

HIPOLIT KORWIN - MILEWSKI

# SIEDEMDZIESIĄT LAT WSPOMNIENÍ

(1855—1925)

*Jan Szczaniecki.  
Główny.*

POZNAŃ 1930

JAN JACHOWSKI  
KSIĘGARNIA UNIWERSYTECKA



## WSTĘP.

Długo żyłem na tym świecie, znacznie dłużej, niż Psalmista obiecywał zwykłym śmiertelnikom. A wskutek okoliczności, z którymi czytelnik się pozna, moje życie od wczesnego dzieciństwa aż do czasów ostatnich rozwijało się w rozmaitych krajach, wśród rozmaitych zajęć, tworząc mi stosunki z najrozmaitszemi warstwami społecznymi, od najniższych do najwyższych, robiąc mnie świadkiem lub nawet dodatkowym czynnikiem różnych ciekawych zdarzeń i szczegółów historycznych, badaczom niezawsze znanych. Ponieważ znowu okres moich, zupełnie jasnych, wspomnień rozciąga się na pełne siedemdziesiąt lat, i rozpoczęły w moim kraju rodzinnym, za czasów właściwie feodalnych, doszedł do czasów, kiedy wszystkie objawy życia narodów europejskich rozwijają się w trzeciej części naszego kontynentu pod panowaniem, a nareszcie pod groźbą i nieustannym strachem komunizmu, więc materiał dla spostrzeżeń i wspomnień złożył się dość bogaty.

Dlatego już przed wojną wszechświatową liczni moi przyjaciele zaczęli mnie namawiać, abym wziął się do spisania moich pamiętników. Nie słuchałem ich, bo czynny i pracowity człowiek, jakim byłem do późnego wieku, jest mało skłonny do zagłębiania się w swoją przeszłość, póki teraźniejszość wystarczo dla zapełnienia jego życia, czasu i myśli. — A gdy — jak u mnie prawie raptownie, w roku 1920 — nadszedł okres całkowitej bezczynności i próżni życiowej, wtedy wystąpił objaw, którego nie życzę dożyć żadnemu umysłowo sprężystemu czytelnikowi, mianowicie starcze lenistwo i zubożenie. Zwy ciężyć je mogła tylko jakaś „iskra“.

Trysnęła ona jesienią 1925 r. w klubie myśliwskim. Zaszła między dwoma kolegami rozmowa o roku 1918; jeden z tych panów przeżył go po tej, drugi po tamtej stronie chińskiego muru, stworzonego przez Niemców między wschodnim i zachodnim ich frontem. Gdy ostatni wspomniał o mojej polemice z zaciętym wrogiem polskiego narodu, akademikiem Fr. Masson, pierwszy zaciekawiony prosił mnie o odtisk mojej odpowiedzi. Otrzymaawszy ją, wystosował do mnie do Poznania obszerny list, zbyt pochwalny, abym go nawet częściowo cytował, w któ-

rym silnie nalegał, abym bezwzględnie wziął się do skreślenia moich wspomnień. Uważając tego wykształconego i czytanego pana za wyjątkowo kompetentnego doradcę, pomyślałem, że mogę jeszcze stworzyć coś użytecznego, i wziąłem się do pracy.

Zaraz na początku powstało kilka zagadnień. Przedewszystkiem, w jakim języku mam pisać? Dużo pisałem i przemawiałem publicznie po polsku, po rosyjsku i po francusku. Lecz moją skrzypką był zawsze język francuski, polski wiołonczelą, a rosyjski kontrabasem. Dzięki temu to, co byłoby po francusku rozrywką, po polsku stało się pracą. Zdecydowałem się jednak na polski: każdemu pisarzowi idzie przedewszystkiem o czytelników. Między cudzoziemcami nie znalazłoby się ich, a w samej Polsce liczba Polaków czytających chętnie i biegle po francusku szybko się zmniejsza.

Dlatego prawdopodobnie niejeden wybredny czytelnik natrafi na wyrazy lub zwroty irracjonalne. Proszę go, by posłuchał rady prawdziwego „muzykanta” w języku polskim, p. Czesława Jankowskiego, który w kilku poświęconych mojej osobie artykułach zawsze zalecał czytelnikom lub słuchaczom, aby zwracali uwagę nie na to, jak mówi lub pisze p. Milewski, lecz na to, co mówi lub pisze.

Drugie zagadnienie: jakiego typu mają być te pamiętniki? Podług niemieckiej terminologii: „subiektywne” czy „obiektywne”? Opierając się na własnych wrażeniach, stanowczo przekładam ostatni typ nad pierwszym. Czytałem w różnych językach masę pamiętników. Prawie wszystkie mnie zaciękawiały więcej niż powieści, albowiem najbujniejsza wyobraźnia ludzka, i co do zdarzeń i co do charakterów, nie dorasła rzeczywistości. — Jaki Walter Scott, Hoffmann, Eugenjusz Sue, Kraszewski potrafiłby wymyśleć... Rasputina? Owszem ci pisarze nawet najbardziej utalenłowani i sławni, jak J. J. Rousseau w swoich „Spowiedziach” lub Amiel w swoim „Journal intime”, którzy na wzór indyjskiego Budhy zagłębiają się w bezusłannej obserwacji własnego pepka i wtajemniczają czytelnika w swoje odruchy serca, lub drobnostki szczegóły swojego życia domowego, sprawiali mi zwykle nudę, niekiedy — (jak Rousseau) obrzydzenie. Nas ludzi, dwunożnych i niby myślących stworzeń, jest na świecie nie mniej niż półtora miljarda. Każdy z nich w swoim czasie marzył o migdałach niebieskich, podkochał się, posiadał jakieś bliższe otoczenie, każdy w swym życiu prywatnem od tego oloczenia doznał różnych niespodzianek, rozczarowania, podstępów, wyzysków i t. d. To wszystko opowiadać czytelnikom, jak to obszernie czyni Morawski co do swoich stosunków z jakimś urzędnikiem konsystorskim i wileńskimi mieszczuchami, lub niedawno uczynił o swych zatargach małżeńskich pewien znany arystokrata zachodni. równa się mniej więcej ogłoszeniu swojej książki kuchennej.



Nie będzie jednak sprzecznem z tym planem, że się na początku szczegółowiej zastanowię nad pochodzeniem samego autora pamiętników. Pobudzają mnie do tego dwa poglądy. Po pierwsze, to pozwoli mi zwrócić uwagę czytelnika na mało znane zjawisko historyczne, o którem, jakem się tu w Poznaniu przekonał w rdzennie polkiem naszym społeczeństwie, pamięć szybko się zaciera nawet w tej części naszej ojczyzny, gdzie ono się odbyło; mianowicie to kolosalne przetasowanie własności ziemskiej, pokładów socjalnych i towarzyskich oraz czynników ekonomicznych, które się odbyło na kresach, przeważnie na Litwie i Białej Rusi, w czasie między rozpoczęciem agonji Państwa Polskiego, tj. wstąpieniem na tron króla Stanisława Augusta, i tym najstraszliwszym kryzysem życiowym samego narodu, jakim był rok 1863.

Po wtóre, mam trwały zamiar czy to w sprawozdaniu dziejów, czy charakterystyce ludzi i zdarzeń, pisać prawdę, bez względu na to, czy to będzie się komu podobało, czy nie. Jednakże wiem zgóry, że tego zamiaru w całości nie dotrzymam. Dlaczego? Dlatego, że w twierdzeniach ludzkich absolutnej prawdy nie ma. Nie dochodząc do teorji niejednej szkoły filozoficznej, przeczącej istnieniu jakiegokolwiek rzeczywistości, którą niby zamienia przedstawienie (Vorstellung) dostarczone nam przez nasze zmysły, ciągła, codzienna rozbieżność między twierdzeniami w sprawach sądowych, równie szczerych, sumiennych i przekonanych świadków, dostatecznie dowodzi, że te twierdzenia i przekonania zależą przedewszystkiem od usposobienia i punktu widzenia indywidualnego. Otóż tu najważniejszy, niezwykły wpływ wywierają pochodzenie, dziedziczne tradycje i nawyczki, dzieciinne wrażenia, wychowanie każdego człowieka. One to mimowoli są dla kronikarza, który sobie szczerze wyobraża, że fotografuje życie, tem, czem są dla rzeczywistego fotografa poziom, z którego on nastawił swój aparat, strona lub światło. Podług nich każde zdjęcie inaczej wygląda.

Niechże czytelnik, patrzący na widowisko życiowe, jeden z pierwszego piętra, drugi z górnego lub parteru, przez okulary, jakie mu życie nałożyło; wie, z którego piętra i przez jakie okulary patrzył opowiadacz; chcąc przybliżyć się do rzeczywistej prawdy, wyprowadzi sobie średnią proporcjonalną.

Co do podziału tegoż dzieła, został mi on wskazany przez sam przebieg mego żywota. W pierwszej jego części, najdłuższej—bo sięgała do 50 roku życia—inogtem byłem i byłem tylko tym przechodniem, który śledzi wypadki dziejowe bez osobistego w nich udziału. Wspomnienia moje z tego perjodu (1848—1898) mogą mieć tylko wartość albumu wizerunków i portretów, jak liczne jednak często ciekawe pamiętniki z końca 18 wieku. Drugi perjod rozpoczął się w r. 1898 podczas niedługo trwającej pauzy,

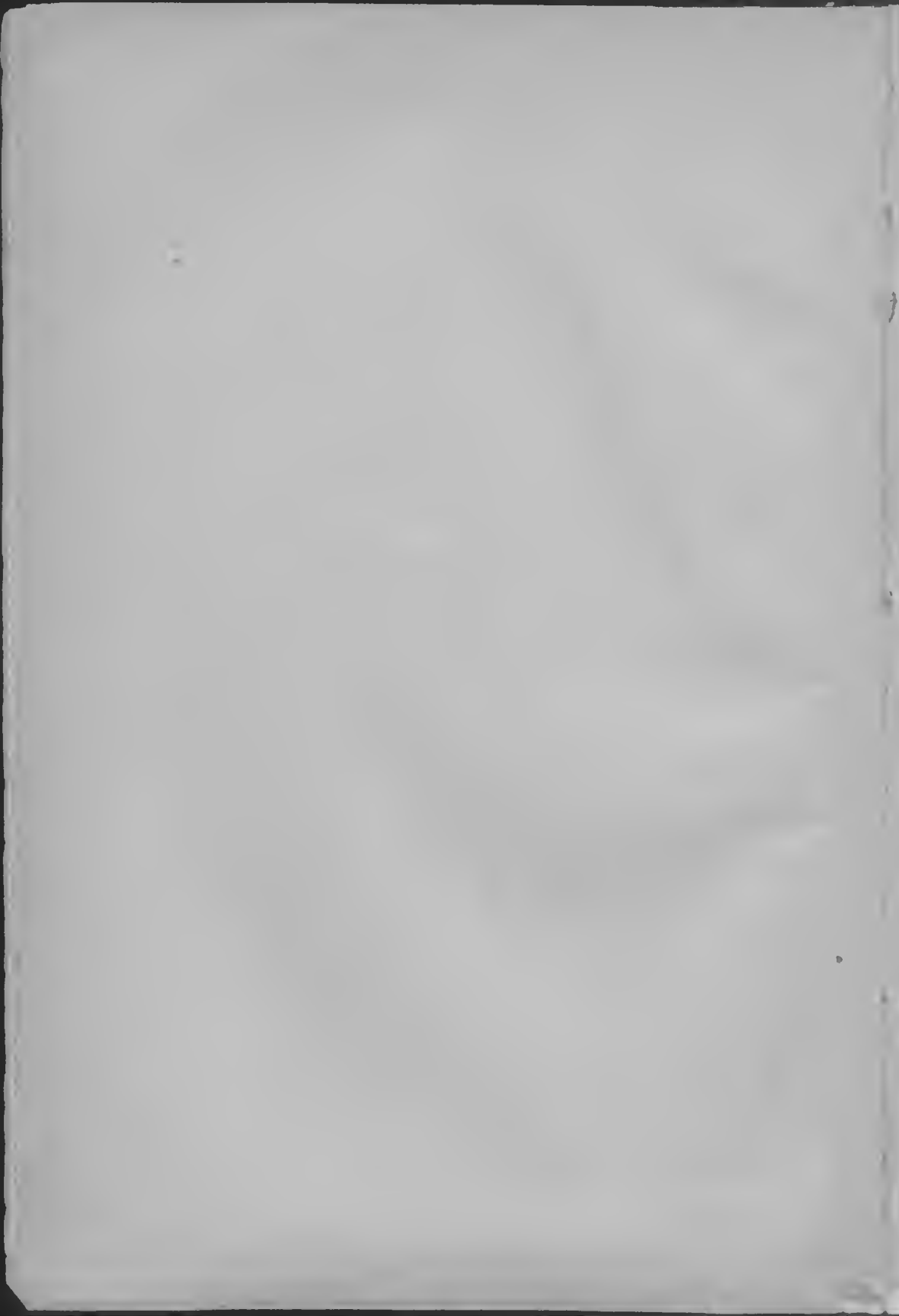
kiedy nieboszczyk cesarz Mikołaj II wylał z pod spódnicy matki, a jeszcze nie podpadł pod spódnicę żony, i kiedy do łochu, w którym się od 30 lat dusiło społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, weszły jakieś promienie światła i powietrza; to był ten czas, w którym mi było przeznaczone rozwiniąć czynność społeczną i polityczną, nie pozbawioną rozgłosu. Ostatni period 1914—1921 rozpoczął się właśnie wówczas, kiedy pod wpływem wężu, słabnącego zdrowia i niektórych rozczarowań, miałem zamiar postawić krzyż nad moją czynnością i podług rady Montaigna otulić się starym szlafrokiem. Stało się inaczej; jeszcze niewypróbniona żyłka społeczna pobudziła mnie wstąpić do licznego wówczas roju much, popychających polski rydwan. Choć mało czynilem, nie małom się napatrzył, pierwej z jednego boku, potem z drugiego. Dwóch dobrych znawców (Ksawery Orłowski i Gustaw Taube) są zdania, że ta trzecia część nie jest pozbawiona interesu; bodaj że mają słuszość, albowiem niejednokrotnie sam się przekonałem, że bardzo dużo Polaków, którzy od początku do końca wszechświatowego dramatu ziemi rodzinnej nie opuścili, po dziś dzień są bardzo słabo uświadomieni, szczególnie od połowy r. 1915, o tem, co się działo poza żelazną obręczą niemiecką. Ponieważ ten period historyczny niezawodnie będzie w ciągu całych pokoleń przedmiotem licznych badań, jakim dotychczas nie przestał być okres Wietkiej Rewolucji Francuskiej, może ta praca posłużyć jako dodatkowe porównawcze źródło informacji. Szczególnie różne zabiegi czynione przez licznych Polaków, między innymi i przeze mnie, w sprawie polskiej zagranicą były dotychczas, o ile wiem, przedmiotem nielicznych publikacyj, przeważnie natury polemicznej.

Zatem będziemy mieli, po krótkim wyżej zapowiedzianym prologu historycznym, wspomnienia: 1) z życia prywatnego 1848—1898, 2) z życia społecznego i politycznego 1898—1914, 3) z kataklizmu 1914—1921.

Jednak mając na względzie, że wziąłem się do pióra w wieku, kiedy każdy dzień przeżyty jest niespodziewanym darem Opatrzności, zacząłem od części ostatniej, która jest już gotowa *ne varietur*. Przysłępuję do pierwszej. Drugą może nie jeden czytelnik dzisiaj pogardzi? Te wszystkie walki, które nas, ówczesnych działaczy w trzech zaborach, każdego w swym zakątku tak pasjonowały, mogą obecnie robić wrażenie burz w trzech szklankach wody. A za jaki dziesiątek lat mogą znowu stać się ciekawymi.

Poznań, maj 1926 r.

**KSIĘGA PIERWSZA**  
**ŻYCIE PRYWATNE**



## Rozdział I.

### Historja starożytna. — Pochodzenie autora.

Urodziłem się 6 sierpnia (26 lipca) 1848 r. w Druskiennikach, kąpielowem miasteczku niedaleko Grodna, z ojca Oskara Korwin-Milewskiego, herbu Sępówron, i matki Weroniki Łaniewskiej-Wołk. herbu Dwie trąby.<sup>1</sup>

Przeszłość obu linii moich, ojcowskiej i macierzyńskiej, jest ściśle związana z wyżej wspomnianym przewrotem, ekonomicznym i socjalnym, który się odbył wśród szlachty polskiej na Litwie i Białorusi (a również na Podolu i Ukrainie) między połową osiemnastego i połową dziewiętnastego stulecia. W połowie XVIII w. ten duży kraj, równy przestrzenią całej dzisiejszej Rzeczypospolitej Polskiej, który potem w połowie XIX w. należał (razem z obszarami zajętemi przez włościan poddanych) w proporcji więcej niż dwóch trzecich do szlachty, prawie jedynie polskiej lub spolszczalej, — należał w czasie pierwszego rozbioru do niej w proporcji mniej niż jednej trzeciej. Lwia część tej ziemi uprzednio należała do kilku rodzin wielkopańskich — t. z. królewiał, Radziwiłłów, Paców, Sapiehów, Chodkiewiczów, Pocięwów, z których jeden Karol Radziwiłł Panie Kochanku posiadał około 12 milionów hektarów. Potem następowały liczne i obszerne dobra królewskie i państwowe — Starostwa, Artylerja Polska i t. d., wkońcu kościelne i klasztorne.

To wszystko rozdrobniło się w ciągu wymienionego stulecia. Z olbrzymiej fortuny Karola Radziwiłła Panie Kochanku w ręku jego wnuczki po bracie, córki ks. Dominika, księżny Sayn-Wittgenstein pozostawało około 1840 r. już tylko milion sto tysięcy hektarów. Ta fortuna, już zahaczona przy pierwszym podziale 1772 r. przez moskiewską konfiskatę dóbr poło-

<sup>1</sup> W trzecim tomie ciekawie i żywo napisanego dzieła Czesława Jankowskiego p. t. „Powiat oszmiański“ może czytelnik znaleźć obszerny ustęp, poświęcony moim majątkom, rodzinie i osobie, naturalnie nie bez niektórych niedokładności, szczególnie co do dat.

zonych w ziemiach Mohilewskiej i Witebskiej, stopniała dzięki t. zw. exdywizji, powodującej podług statutu litewskiego z braku kapitałów i kredytu konkursową likwidację dużych nieruchomości. Ostatni Sapięha linii litewskiej, książę Eustachy, ojciec słynnej p. Marji Branickiej z Białocerkwi a dziadek byłego w r. 1921 ministra spraw zagranicznych, emigrant 1831 r., podpadł pod konfiskatę swoich obszernych (choć już uszczuplonych w XVIII stuleciu) dóbr w ziemi Grodzieńskiej, tak samo ostatni z Paców. Pocięjowie wygaśli przed ostatnim rozbiorem, Chodkiewiczowie do wojny wszechświatowej jeszcze nieźle trzymali się na Wołyniu, lecz ich ogromne majątki w Ziemi Wileńskiej w XIX stuleciu poszły pod eksdywizję. Liczne dobra jezuickie, po skasowaniu zakonu w r. 1773, zostały przez Rzeczpospolitą rozdane „mężom w kraju zasłużonym“ na prawach pełnego dziedzictwa, choć z roczną opłatą bardzo umiarkowanej, nawet na owe czasy, raty na cele oświatowe; liczne starostwa i królewszczyny zostały przez Katarzynę II w miarę każdego rozbioru Polski rozdane jej faworytom, a oni za wyjątkiem jednego Platona Zubowa, wszyscy je prędko rozsprzedawali Polakom, i t. d.

W ten sposób w ciągu niespełna wieku przeszło dziesięć milionów hektarów zmieniło właścicieli prawie wyłącznie na korzyść jednej z trzech ówczesnych warstw szlachty polskiej, mianowicie średniej. To miało duże znaczenie nie tylko ekonomiczne i socjalne, lecz i kulturalno-narodowościowe. Powstały bowiem liczne dwory, zamieszkałe przez rodziny mogące dać swoim dzieciom pewne wykształcenie, które były ośrodkiem polskości i koło siebie wypierały białoruską lub litewską gwarę; to też przez te sto lat (1762—1862) agonji, potem zaniku polskiej państwowości, polska narodowość zrobiła na kresach daleko większe postępy niż w ciągu poprzednich prawie czterech wieków, od Władysława Jagiełły do Stanisława Augusta.

Trzy warstwy ściśle szlacheckie, o których tylko co mówiłem, składały się, za wyjątkiem już gasnących „królewiał“, primo z niezbyt licznych (od stu do najwyżej dwustu) rodzin, które, że sporadycznie były z którymś z „królewiał“ spokrewnione lub piastowały jakiś urząd senatorski, zaliczały się do „karmazynów“. Mieli znaczne, jednak nie przesadne, fundusze, żyli szeroko, utrzymując tylko ograniczoną klientelę szlachecką. Było to wówczas, kiedy np. „Panie Kochanku“ utrzymywał prawdziwe wojsko, przeważnie ze szlachty złożone. Do tej warstwy zaliczę, z pamięci osobistej, zatem daleko niekompletnie, idąc ze Wschodu na Zachód: w Ziemi Mohilewskiej Ciechanowieckich, Sołtanów, Hołyńskich, Świackich — w Witebskiej i na polskich Inflantach Borchów, Szadurskich, Benislawskich, Łopacińskich, Lipskich (gałęź Wielkopolskich), gałęź Platerów, Hrebnickich, na samym wschodzie (do pierw-

szego podziału Polski) Łaniewskich-Wołków, w Mińszczyźnie Niesiołowskich, Rejtanów, Wojniłowiczów, Wańkowiczów, Obuchowiczów, Wojnów, Pruszyńskich, Prozorów, Ciuńdziewiczów, Łohojskich, Tyszkiewiczów, Niezabytowskich — w Ziemi Wileńskiej Tyzenhauzów, Żabów, Judyckich (wszystkie trzy wygasły), Mirskich, Sulistrowskich, Jeleńskich, Pruskich (wygasli), Chomińskich, Druckich-Lubeckich, Geczewiczów; w Grodzieńszczyźnie Skirmuntów, Starzeńskich, Niemcewiczów, Sieheniów, Włodków, Pusłowskich i t. d.; w Kowieńszczyźnie Górskich (mieli siedmiu ciwunów żmudzkich), Karpiów, Czapskich (odkąd jeden z nich, Pomorzanin, ożenił się z przyrodną siostrą „Panie Kochanku“), Ogińskich, Pużynów, Białozorów, Kossakowskich, Wawrzeckich, Gruzewskich, Platerów, Zabiellów, Białozorów, Zawiszów i t. d. i t. d.

Ta warstwa „Panów“ i „pół-Panów“ mało skorzystała z wyżej wspomnianej gruntownej ewolucji ekonomicznej; posiadając aż zanadto ziemi na swoje potrzeby, żadnych kapitałów do wykorzystania okazji, odznaczała się brakiem inicjatywy i przedsiębiorczości, brakiem, który jest właściwy wszystkim warstwom społecznym oddawna przywykłym do szerokiego dobrobytu. Z tego patrycjatu, o ile wiem, tylko legendowy pułkownik (Wojsk Radziwiłłowskich) Michał Tyszkiewicz, Ignacy Plater, na Litwie, Senator Hołyński na Białej Rusi, Ksawery Pusłowski, Umiastowski,<sup>1</sup> wkońcu mój pradziad Łaniewski-Wołk, skorzystali z tej manny majątkowej, żeby dojść do prawdziwie wielkich fortun.

Jeszcze mniej mogła z niej skorzystać trzecia kategoria szlachty, t. z. szaraczkowa, zaściankowa lub zagonowa; bardzo jeszcze liczna na początku wieku XIX, zaczęła stopniowo tajać szczególnie dzięki wymaganiom heroldji rosyjskiej, aż już prawie zlała się z klasą włościańską; ta biedota „nie miała od czego zacząć.“

Wyłącznie prawie skorzystała z tej manny średnia warstwa szlachecka, posiadaczy od kilkunastu do jakich sta lub półtora-sta rodzin chłopskich (t. z. chat). Miljony hektarów „królewiąt“ przeszły do rąk tej szlachty, jako kredytorów i zastawników, bez żadnego wydatku w pieniądzach, a trochę większe majątki starostwa, dobra klasztorne i t. p. kupowało się za bezcen dzięki brakowi kapitałów, jeszcze więcej brakowi konkurencji, albowiem podaż znacznie przewyższała popyt; tryb życia ówczesnej szlachty — aż do reformy włościańskiej i powstania 1863 r. — i jej umysłowość wykłuczały zbieranie kapitału; zresztą kapitał można było umieszczać tylko w formie terminowej pożyczki innemu ziemianinowi, który przez to samo, że jej potrzebował, już wielkiego zaufania nie wzbudzał, albo w dukatach i srebrze w wor-

---

<sup>1</sup> Przewany „Starosta Wywędlński“.

kach i okutych skrzyniach. Z drugiej strony przeważała jeszcze moda króla Sasa — jedz, pij i popuszczaj pasa. Przeciętny ziemianin średniego kalibru nie żył ponad stopę swego majątku, lecz żył ponad stopę swego dochodu, bo prawie żadnego nie miał. Są granice dzielności człowieka, niedołęstwo jest bezgraniczne. Odniechlenia przez chłopów wyrabiane, niesumiennie przez „ekonoma“ lub „ciwuna“ (gumiennego) zasiane pola mało rodziły. A że dobrą część produkcji zjadała polska gościnność, gdy przyszło się na „kontraktach“ św. Jerzego lub św. Józefa zrobić zapas perkalików dla Jejmości i panienek, oraz bakalię do spiżarni i krajowego węgryna do piwnicy, trzeba było udać się do Icka, potem konsolidować długi u innego szlachcica, łapigrosza. Wkońcu Jegomości wyziewając ducha, zostawiał rodzinę w kłopotcie, lecz otoczony szacunkiem i żalem braci-szlachty: „zacności człowiek, prawdziwy szlachcie, co tu Mospanie gadać.“

Obok niego, w znacznie zmniejszonej mierze, był ziemianin pod każdym względem umiarkowanego charakteru. Przedewszystkiem dlatego, że trzeźwy nie przesiadywał tygodniami i miesiącami u sąsiadów i krewnych, lecz mógł nie pocąc się, dozorować swego gospodarstwa. Ten miał dochód dostateczny, żeby wygodnie żyć, synów oddawać do szkół, córkom sporządzać przyzwoite wyprawy, niedość, aby składać kapitał i korzystać z okazji kupna większego majątku; prócz tego się lenił. Umierając bez długu, zostawiał tylko jakieś paręset dukatów na piękny pogrzeb. To też mowa pogrzebowa nad nim zawierała zastrzeżenie: porządny człowiek, ale „rachował się z groszem.“ A to już niebardzo pięknie.

Zupełnie wyjątkowy był typ, który na prowincji francuskiej stanowi dziesięć dziesiątych średnich właścicieli ziemskich, typ gospodarza metodycznie dozorującego swego majątku, ustanawiającego budżet swoich wydatków podług rzeczywistego swego dochodu i corocznie odkładającego część tego dochodu na „czarną godzinę“. Do szkatułki takiego wyjątkowego szlachcica dukaty lały jak muchy do śmietany. Wprawdzie urodzaje na hektarze były marne, lecz zasiewały się ogromne przestrzenie i wszystko, co się spieniężyło, stanowiło czysty dochód. Obejmując Łazduny w 1877 r., znalazłem księgi gospodarcze z lat 1856—1861. Na tym samym majątku, w którym 50 lat później przy wysoko przeze mnie uprzemysłowionem gospodarstwie ogół rozchodu dochodził do 80 % ogółu dochodu, wówczas stanowił rozchód zaledwie 4 %. Skromne pensje kilku oficjalistów i gumiennych, trochę żelaza i oliwy do młocarni, reszty dostarczała pańszczyzna lub sam majątek. Naturalnie ten czysty dochód stanowił w jakimś 1862 r. ledwie połowę wartości darmowej robocizny, spieniężonej po cenach roku 1864. Szlachcie tej trzeciej kategorii, który swej braci nie pojął, lecz składał i miał



zawsze gotowy pieniądz, miał swoje miano: w języku literackim „sknera“, w poufałym „świnia“.

Właściwie jednak „świństwo“ nie polegało na prawdziwym sknerstwie, t. j. odmawianiu sobie samemu przyjemności lub nawet potrzebnych rzeczy. Z pierwszorzędných wówczas budowniczych wielkich fortun jedynie pułkownik Tyszkiewicz odpowiadał typowi Moljerowskiego Harpagona. Inni jeśli się nie zadawali w bezładne pojenie szlachty, to dlatego, że sami trzeźwi brzydzili się jej prostactwem i krzykliwą zamasyistością. Ksawery Pusłowski równocześnie rósł w bogactwie i elegancji, pierwszy ordynat Jan Tyszkiewicz, filantrop angielskiego typu, przepyszenie obudował swoje Birże, a ze swoich 1200 chat włościańskich tamże zrobił tyleż angielskich ferm; dziadek Wołk utrzymywał 60 koni cugowych, własną orkiestrę, tresowane niedźwiedzie z Akademji Smorgońskiej, dziesiątki tysięcy rubli pożyczał na marny procent lub darowywał pochlebiającym mu sąsiadom i t. d. „Świństwo“ tkwiło głównie w pożądaniu i posiadaniu kapitału: nie po rycersku, mój panie.

Rok 1863 i jego gorzkie następstwa miały odrazu zrewolucjonować tę umysłowość. Już około r. 1880 dobre gospodarowanie i ciułanie akcyj lub listów zastawnych Banku Wileńskiego było uważane za cnotę obywatelską.

A że kupująca majątek „świnia“ nie miała konkurentów, kupowała zwykle za pięciokrotną wartość normalnego dochodu; po 5 latach nowonabyty majątek sam się opłacił, kupowało się drugi i t. d.

W ten sposób uformował się na ogromnych obszarach dóbr magnackich, królewskich, państwowych polskich lub kościelnych,<sup>1</sup> obok wyżej opisanego przedrozbiorowego patrycjatu, drugi, patrycjat ziemiański heraldycznie zwykle stary, bo za wyjątkiem kilku prawdziwych dorobkiewiczów, już to z żydów, już to z chłopów, mógł się odwoływać do Paprockiego lub Nieścieckiego, a majątkowo nowy lub, jak u pradiadka Wołka, odnowiony. Bardzo prędko, szczególnie dzięki ślubom i jednokowemu trybowi życia zbliżył się on do tamtego; choć czujne oko pozwalało spostrzec u pierwszego względem drugiego małe „muchy w nosie“, jednak ku końcowi XIX w. linja demarkacyjna już niełatwo dawała się dostrzec. Zatrze się bez śladu, gdy jedni i drudzy będą własne buty czyścili.

W takim środowisku w obu linjach ojcowskiej i matczynej urodziłem się i wyrosłem.

<sup>1</sup> Z czterech majątków, które memu bratu i mnie dostały się od rodziców, ani jeden za czasów polskich nie stanowił własności szlacheckiej. Cicin, majątek dziadka Milewskiego był pojezuickim, Ługomowicze, siedziba pradiadka Wołka — starostwem, Łazduny Radziwiłłowszczyzna, Geranony — własnością artylerji polskiej.

Mało zamiłowany w genealogjach nie zwróć się jak pewien Inflantczyk<sup>1</sup> aż do Adama, lecz zadowolnię się opowiadaniem rodziców i pamiętnikami domowymi.

W połowie XVIII w. żył w słuckim powiecie p. Dominiuk Korwin-Milewski herbu Ślepowron, którego jakiś przodek w XVII w. czy wcześniej, jak większość szlachty na Litwie i Białorusi (prócz żmudzkich autochtonów) przywędrował z Korony, prawdopodobnie w orszaku któregoś z „Królewiał”. Posiadał niezły majątek i był żonaty z Wojnianką,<sup>2</sup> ze znanej w Nowogrodzkim rodziny. Dał się zaplątać jakiemuś aferzyście, za którego poręczył, że zgryzoty umarł, wdowa nie dała sobie rady, majątek przepadł. Osiadła w Słucku, a dorastającym synem — moim dziadem Hipolitem — zaopiekował się bardzo zamożny jej krewniak Judycki (rodzina wygasła), dał mu dobre wychowanie i pokierował — już po ostatnim rozbiorze do służby państwowej, opartej wówczas na wyborach szlacheckich. Po burzy 1812 r. jako sędzia w Oszmianie nabył w bardzo dobrej pszennej glebie pod Smorgoniami osiemdziesięciochatowy majątek pojezuicki Ciciu, do szczętu spalony i zrujnowany przez Francuzów i Kozaków, za zaległe raty i niewielką dopłatę. Zajął się restauracją majątku, na co wystarczyło kilka lat i wspólnie z żoną, Szwańską z domu (młodsza siostrą drugiej Pani Wołkowej), rozmnożeniem szlachty, gdyż mieli siedmioro dzieci, z których pozostali syn i trzy córki; wcześniej owdowiawszy, dał wyjątkowo zdolnemu synowi dobre wykształcenie w gimnazjum wileńskim i pensjonacie Francuza p. Henry, córki powydawał zamaż za równokalibrowych ziemian i umarł — za mojej pamięci — w 1856 roku. Szanowany był i lubiany, choć „rachował się z groszem.” Właściwie, jak szczęśliwe narody, nie miał historii.

Miał ją wielce urozmaiconą, długo legendową, mój dziadek (właściwie pradziad) w linii matczynej, p. Samuel Łaniewski-Wołk.

Urodził się w r. 1768 jako potomek bardzo zamożnej rodziny kalwińskiej w ziemi witebskiej. Dziad jego p. Michał był za drugiego Sasa przedostatnim wielkim pisarzem litewskim.<sup>3</sup> Ojciec jego był wdowcem, powtórnie ożenionym z Grużewską (ze żmudzkiej Kalwinów). Kiedy nastąpił pierwszy

<sup>1</sup> P. Bóg rzekł Adamowi: Béni sois. — Stąd Benisławscy.

<sup>2</sup> Ostatniego bodaj Wojnę, starego kawalera, kuzynującego się z Ojcem, poznałem w Wilnie po powstaniu 1863 r. Jest podanie, że jego pra-pradziadowi Sobieski pod Wiedniem zakomenderował jakiś niebezpieczny atak i na uwagę, że zginie dużo ludzi, odrzekł: Nic wojna. Mospanie ludzi rodzi, lecz Pani Wojnina.

<sup>3</sup> Myleń Cz. Jankowski nazywa go wielkim łowczym; z kataklizmu 1914—1920 cudem pozostały mi trzy jego pótmiski srebrne z wyróżnieniami inicjałami M. W. P. W. W. X. L. (Michał Wołk Pisarz Wielki Wielkiego Księstwa Litewskiego).

podział 1772 r. i Katarzyna kazała, aby wszyscy ziemianie znaczniejsi osobiście, inni na piśmie złożyli jej hołd poddania-  
stwa albo wyrzekli się swych posiadłości, butny pan poszedł  
za przykładem Karola Radziwiłła „Panie Kochanku“, który  
w ten sposób pozbył się kilku milionów dziesięcin ziemi. Mając  
z pierwszego małżeństwa dwóch już 20-letnich synów,<sup>1</sup> prze-  
pisał na nich swe białoruskie majątki, a sam z nową rodziną  
przeniósł się do powiatu nowogródzkiego, gdzie posiadał sta-  
rostwo, i nabył jeszcze majątek Sienierzyce. Umarł krótko  
przed drugim podziałem, zostawiając starszą córkę baronową  
Osten-Sacken i 16-letniego Samuela. Matka, jeszcze zapalna,  
w 10 miesięcy po owdowieniu wyszła za... guwernera  
syna. Oburzony tym mezaljansem czupurny panicz podał do  
sądu skargę na intruza o otrucie ojca, a gdy została jako poz-  
bawiona podtrzymania opiekunów odrzucona, „wziął“ — jak  
u nas mówią — i uciekł z domu.

Niedługo potem jego krewny p. Marszałek Szukiewicz —  
gruba ryba w powiecie lidzkim, będąc w Królewcu, zaszedł do  
cyrku i poznał pośrodku areny — wesoło machającego batem  
po biodrach konia, — swego młodego krewniaka. Zaciągnął go  
do kwatery, zdrowo mu głowę wymył, opatrzył, czem potrzeba  
i zapisał jako podchorążego do wojska — wówczas na szczycie  
sławy — jeszcze żyjącego Fryderyka Wielkiego. Gdy Sejm  
Czteroletni rozkazał wszystkim oficerom polskim będącym na  
służbie obcej, aby powrócili i wstąpili do wojska narodowego,  
p. Samuel tak uczynił. Zajechawszy do swego dobrodzieja Szu-  
kiewicza, zakochał się w wyjątkowo pięknej (i głupiej) jego  
córcie, mojej prababce — czach-mach — ożenił się i dopiero  
wtedy pomyślał wyszukać sobie gniazdo. Był na sprzedaż mają-  
tek Jakub w sąsiednim oszmiańskim powiecie, odlamek byłego  
starostwa trabskiego, przeszło 4 tysiące dziesięcin. Przy pomocy  
teścia kupił go, zainstalował żonę i włączył się między Ja-  
kunią i Wilnem, gdzie konsystował przy Hetmanie Kossakow-  
wskim. Gdy po Kościuszkowskim powstaniu zbuntowała się  
ludność wileńska, p. Samuel właśnie obejmował straż nocną  
u Hetmana na rogu ulic Dominikańskiej i Szwarcowego zaułku,  
w domu później Daukszy; dowiedział się, że przyjechała jego  
żona, zamienił się kolejką z kolegą, aby polecieć do swojej mło-  
dej piękności. Tymczasem powstańcy nadeszli, żądając wy-  
dania im „zdraycy“ Hetmana. Oficer, jakby to uczynił sam  
Wołk, nie chciał ich wpuścić i padł trupem na miejsku.<sup>2</sup>

<sup>1</sup> Ich potomstwo z matek prawosławnych przybrało nazwisko  
Wołków, lecz pochodzenia swego nie zapomnieli; dwu kolegów  
dorpaczkich tego nazwiska i syn starszego z nich, który krótko przed  
wojną był sekretarzem poselstwa w Paryżu, ze mną się kuzynowali.

<sup>2</sup> Legenda twierdzi, że już blisko szubienicy Hetman poznał prze-  
jeżdżającego obok jednego ze swoich synów i zawołał o pomoc —

Wojsko zostało rozpuszczone, pradziad powrócił na wieś, płodził dzieci i kuł pieniądze. Po ostatnim podziale Katarzyna darowała senatorowi Mordwinowowi Starostwo Dudskie, którego większą część stanowiły dobra Ługomowicze. Mordwinów na niewidziane sprzedał je zamożnemu ziemianinowi ziemi grodzieńskiej Korsakowi (właścicielowi dóbr Zukowszczyzna), którego syn potem się ożenił z wnuczką p. Samuela, a moją rodzoną ciotką. Ten się prędko spostrzegł, że nie da sobie rady z oddalonym prawie wyłącznie leśnym majątkiem i odsprzedał go z dobrym zarobkiem, choć jeszcze bardzo tanio, p. Wołtkowi. Ten zaraz zaczął ciąć wówczas prawie bezwartościowe lasy, na ich miejscu założył nowe folwarki i wioski, zbudował w Ługomowiczach obszerny drewniany „pałac“ i w nim w roku 1802 owdowiał przy narodzinach trzeciej córki. W kilka lat później ożenił się powtórnie w sąsiedztwie z p. Anną Szwańską, starszą siostrą mojej babki Milewskiej. Została bezdzietną.<sup>1</sup>

W r. 1810 już uciulał dość pieniędzy, żeby dokupić po eksdywizji Wołdkowiczowskiej eksradziwiłowski majątek Łazduny. W następnym roku oddał swego ledwie 17-to letniego syna jednaka Ignacego do wojska rosyjskiego. Wówczas to dzięki szczególnie Adamowi Czartoryskiemu — kuratorowi Uniwersytetu Wileńskiego i okręgu naukowego, Aleksander I był na Litwie bardzo popularnym. W r. 1812, podczas gdy syn walczył pod Borodinem przeciw Napoleonowi, pozostały w Ługomowiczach ojciec został przez tegoż Napoleona dzięki znanej swej energii mianowany czemś w rodzaju prefekta powiatu i zarządzał tyłem armji. Zaszli do jego dworu trzej Würtemberczycy, włóczęgi, i zaczęli hałasować w kuchni, dziadek kazał ich związać i odstawić do najbliższej komendy wojskowej, i trzasnął drzwiami za sobą. Tymczasem jeden z nich pospieszył wystrzelić, na szczęście, przez drzwi, kula głęboko osiadła w prawej łopatkę dziada i sprawiła mu paraliż prawego ramienia, aż po paru latach swoim ciężarem wylazła i dziad odzyskał swobodę ruchów. Wówczas mniej więcej przesłużył jedno trzech-

---

ten odwrócił głowę i pojechał dalej, a ojciec krzyknął: „obyś oszalał;“ wkrótce potem małoduszny syn rzeczywiście został ukąszony przez psa i umarł z wścieklizny.

<sup>1</sup> Jej rodzice, ojciec, który ze swoim protektorem Pacem pojechał konno na elekcję Stanisława Augusta, i matka, Pruska z domu, krewna i wychowanka Paców, umarli oboje mając 90 lat, dopiero koło 1835 r. Pani Szwańska lubiła opowiadać, jak przed każdą „Assemblą“ nadworny fryzjer Pacowski, potrzebując całego dnia dla erekcji koafjury Jasnie Oświeconej Pani, w której figurowały rozmaite ozdoby, np. miniaturowe statki żaglowe, czesał dwie panny Pacówny i ją wilgą, poczem, aby nie zniszczyć owego dzieła, wszystkie trzy nocowały, siedząc na krzesłach i trzymając każda w ręku długi prętek żelazny, którym polowały na rozłakomione świeżym pudrem ryżowym... wszy.

lecie jako prezydent, z wyboru szlachty, Sądu Powiatowego Oszmiańskiego i pozostał na zawsze panem Prezydentem.

W końcu 1818-tego r. posłał czterokonny kocz ze sprytnym slangretem i naturalnie jeszcze sprytniejszym żydkiem do Lunéville w Lotaryngji, gdzie syn Ignacy konsystował z okupacyjnem wojskiem rosyjskiem i na resztę życia zatruwał się francuską literaturą. Zaraz po powrocie ożenił się również w ludzkim powiecie z panną Laskowiczówną i osiadł w ojcowskiem folwarku Cieczniki, gdzie mu zbudowano drugi „pałac“. Dość prędko owdowiał i sam umarł w r. 1836, zostawiając trzy córeczki; przeniesiono je do Ługomowicz pod skrzydła babki-macochy, która prócz tego miała ciągle przy sobie jedną lub dwie siostrzenice, sieroty Milewskie; to p. Samuelowi było bardzo na rękę, bo zdradzając bezdzielną żonę na centnary, rad był, aby miała otoczenie licznej dziatwy.

I dalej kuł pieniądze, przybliżając się już pomimo szerokiego życia, do godności „świni“. Straciwszy nadzieję pozostawienia potomstwu swego nazwiska, ponieważ był wydał najmłodszą córkę za zamożnego obywatela z nowogródzkiego powiatu p. Adolfa Wołłka — choć innego herbu i przydomku (Karaczewski) — postanowił ich jedynaka syna Władysława uczynić spadkobiercą wszystkich swoich dóbr w nadziei, że mu się uda przerobić Karaczewskiego na Łaniewskiego, co wówczas nie było trudnem. To też trzy jego wnuczki po jedynaku synie wychodząc za mąż, starsza Kazimiera w r. 1840, druga Weronika (moja matka) w 1845 r., nie uchodziły za świetne partje, jakimi potem zostały. Otrzymały po 25.000 rb posagu w gotówce, zrzekając się praw sukcesyjnych.<sup>1</sup>

Dziad już był nad samą osiemdziesiątką, gdy o mały włos nie wyrósł ze „świni“ na hipopotama. Jeden z synów Platona Zubowa, zamieszkały w Moskwie, zawarł mezaljans, rodzina zaczęła nosem kręcić, on się zakaprysił i posłał „chodataja“ do Wilna, aby na gwałt sprzedał jego dwa (katarzyńskie) ogromne klucze, Jurbog i Taurogi — dwa grube handlowe miasta nad Niemnem i kilkadziesiąt folwarków w najlepszej żmudzkiej ziemi. Główne gruboskórce już były nasycone, zostawał tylko p. Prezydent. Ten dał się namówić ulubionej córce (już secundo voto Miłaszewskiej), która swego jedynaka Władka widziała już „szachem szachów“ młodzieży litewskiej i kupił wszystko za pół miljona rubli, z których 400.000 dał gotówką. Akta były dokończone, pieniądze zapłacone, gdy się o wszystkim

<sup>1</sup> Lecz i to na ówczesną wartość pieniądza i ze względu na dynastyczny obyczaj krzywdzenia córek, coś znaczyło. Cztery panny Niesiołowskie, karmazynki (potem dwie Hortingowe, Kaszycowa i Rejtanowa), które koło 1850 roku zawracały głowy młodzieży wileńskiej, miały po 100.000 złotych (15.000 rb). Gdy za mojej pamięci, zaczęto mówić nie „sześć złotych i groszy dwadzieścia“, lecz „rubel“ — panny na giełdzie małżeńskiej strasznie potaniały.

dowiedział jego sąsiad z za Niemca, najserdeczniejszy przyjaciel i równo-kalibrowy wieloryb na eks-starostwie wsiełubskim (600 chat), Mikołajewski generał-anszef hrabia O'Rourke. Co tchu machnął do Wilna do generał-gubernatora Mirkowicza i oświadczył mu, że przejście w ręce polskie dwóch pogranicznych miast i trzydziestu kilometrów granicy stanowiłoby dla państwa rosyjskiego wielkie niebezpieczeństwo; że kiedy Mirkowicz sam nie wystara się u cesarza Mikołaja o zerwanie tej sprzedaży, to on, O'Rourke, się tym zajmie; Mirkowicz zląkł się o swoje stanowisko i wkrótce Mikołaj sprzedaż skasował, przyjął cały jej obiekt do skarbu, kazał Wołkowi zwrócić zapłacone sumy z kosztami i procentami (na czasy obecne czy nie głupi), miasta Jurborg i Taurogi wcielić do państwowych, a majątki darował swemu faworytowi księciu Wasilczykowowi. którego wnuk (mój kolega w Radzie Państwa) w 1914 roku jeszcze je posiadał.

Prędko p. Samuel znalazł okazję dla odplacenia pięknem za nadobne, tylko innemu rywalowi. Umarł Ksawery Pusłowski, zostawiając czterech synów, trzech w kraju a czwartego na emigracji. Potrafił uniknąć konfiskaty (jak na to pozwalało prawo rosyjskie dla majątków nabytych), rozdzielając swoją ogromną fortunę między trzech synów, lecz polecając im ustnie, aby o bracie-emigrancie nie zapomnieli, co święcie wypełnili. Do schedy emigranta, którą trzeba było prędko rozsprzedać wchodziły były dobra artylerji polskiej, przez Katarzynę darowane Bezborodce a przez niego sprzedane Pusłowskiemu. Mianowicie Lipniszki, które nabył p. Aleksander Wołski z Nowogródzkiego, i Geranony, była rezydencja Gasztołda, pierwszego męża Barbary Radziwiłłówny. O nie się targował p. Kazimierz Umiastowski, brat i spadkobierca tego „starosty Wywędlńskiego“, o którym się szeroko w swoich pamiętnikach rozpisuje Morawski. Pusłowscy wymagali ponad dług bankowy (wówczas już bank państwowy wydawał pożyczki długoterminowe po 70 rubli od t. zw. duszy włościańskiej) 50.000 rubli dopłaty. Ledwie się o tem dowiedział p. Samuel, posłał po mego ojca: „Leć do Wilna i kupuj Geranony“. — „Dla Wujaszka“? — „Nie, jam już zbyt stary — kup dla siebie i Werci“. „Nie mam pieniędzy“. — „To ja ci daruję, aby tylko Umiastowski Geranon nie powąchał.“ — Odliczono worki, ojciec przez noc dojechał do Wilna i kupił Geranony na wspólnie z moją matką imię. Już byłam na świecie. Zaraz założono „pałac“ geranoński w bardzo szczęśliwie przez ojca wybranej pozycji, naprzeciw ruin Gasztołdowego zamku.

Wkrótce runęły wszystkie dynastyczne projekty p. Samuela. Władek Wołk służył w huzarach, konsystujących w Nowogródku. Na jakiejś bibie oficerskiej wypoliczkował kolegę,

o świecie odbył się pojedynek na pistolety, na krótką metę; pierwszy wystrzał obrażonego położył Władka trupem na miejscu.

Pradziad naturalnie musiał testament zmienić, inaczej podług praw rosyjskich trzy wnuczki po synie otrzymałyby prawie cały jego fundusz. Starszej wnuczce p. Dmochowskiej dostała się Jakuń z mocną dopłatą, najmłodszej p. Korsakowej Łazduny z małą dopłatą, mojej matce Ługomowicze z dopłatami na korzyść obu siostr i dożywociem babki, p. Milaszewskiej Sienierzyce w Nowogródzkim, a kapitał (około 400.000 rubli) poszedł na wnuczki po dwóch starszych córkach pp. Czyżowój i Żabiny — i na masę legatów rozmaitym sługom, sąsiadom, na cele dobroczynne i t. d. Umarł Dziad w 1851 r. w wieku lat 84-ch.

Temu dzielnemu zabytkowi z czasów Sienkiewiczowskich poświęcił Adam Mickiewicz w swoim „Panu Tadeuszu“ osiem wierszy, w których dla wszystkich czytelników tego arcydzieła zrobił z nieboszczyka p. Samuela prawdziwego potwora.

Pominąłbym milczeniem tę fantazję, gdybym nie pisał dla publiczności polskiej, od 150 lat do tego stopnia cierpieniem i uniżeniem rozczulonej i chorobliwie lakomej pochwał cudzoziemców, że ciągle polrzebuje wcielać się w jakiegoś „nadczołwieka“, którego odrazu obdarza uniwersalną kompetencją, aby on tem zdobył sobie wszechświatową sławę.

Wyrok Mickiewicza na nieboszczyka Wołka zawiera dwie bajki, jedno ogólnikowe grubiaństwo i wkońcu jednostronną prawdę.

1. Jeśli p. Samuel Wołek kiedykolwiek był (z jakiej racji?! ) w Myssie położonej o 100 kilom. od Ługomowicz, to napewno ani jeden z drobnych szlachetek, opowiadających w „Panu Tadeuszu“ te zajścia i zamieszkałych koło „Soplicowa“, za Niemnem jeszcze o kilkadziesiąt kilom. dalej, w tej Myssie nie był i o niej nie słyszał.<sup>1</sup>

2. „Sługą Moskali“ nie można nazwać człowieka, który służył w wojsku pruskim, potem w polskim, potem szlachcie polskiej jako wybrany przez nią sędzia powiatowy, kilka miesięcy Napoleonowi, a na służbie państwowej rosyjskiej nie był ani jednego dnia. Naodwrot p. Adam Mickiewicz, jako nauczyciel etatowy w gimnazjum kowieńskim, był przez dwa lata ro-

<sup>1</sup> W latach moich dziecinnych bywał u mojej matki p. Major wojsk polskich Bukaty, brat ówczesnego dziedzica Myssy. do której dzięki zabiegom ojca powrócił przed powstaniem 1863 r.; bardzo lubił mnie chłopakowi opowiadać wszystkie swoje wspomnienia z przed listopadowego powstania — a nigdy o całym tym zajeździe w jego majątku rodzinnym lub o dramatycznej bytności w nim mojego dziadka nie wspominał.

syjskim płatnym „czynownikiem“ rosyjskiego ministerstwa oświaty.

3. Epitet „lotr“, co oznacza wogóle człowieka bez cził i wiary, w zastosowaniu do człowieka, który choć srog i gwałtowny był wysoko honorowy i za takiego uchodził, zaufany opiekun, doradca, sędzia polubowny, w liczne swoim otoczeniu i sąsiedztwie, stanowi jedną z tych częstych poetycznych grubaństw lub inwektyw, które tradycyjnie stanowią miły grzech „wieszczów“ (n. p. u Wiktora Hugo).

4. A zarzut, że Samuel Wołk był „tyranem dla chłopstwa“, zawiera swoją dozę prawdy o tyle, o ile podług etymologii stosuje się do wszystkich ludzi, którzy posiadali i sprawowali władzę bez odpowiedniej kontroli. Tak dla historii zostali „tyranami“ Cezar i Karol Wielki, Elżbieta Angielska i Ludwik XIV., Piotr Wielki, Fryderyk W. i Napoleon. Tu właśnie poetom wogóle, a Mickiewiczowi w szczególności nie przychodzi na myśl, że historia powinna osądzać czyny ludzkie nie w świetle ówczesnych warunków i pojęć — lecz w świetle ówczesnych i miejscowych. Wielki nasz wieszcz pisał sobie w r. 1836 w Paryżu w małym mieszkanku, nie mając innych podwładnych jak francuską kucharkę, która, gdyby jej pogroził palcem, zbuntowałaby przeciw niemu cały kwartał. A Wołk działał o 2.000 kilometrów na wschód, t. j. jak dzisiaj od Paryża do Pekinu, a co do stopy kulturalnej ludzi, z którymi miał do czynienia, o trzy lub więcej stuleci wstecz.

Mickiewicz, którego ojciec żadnego chłopca nie posiadał, ani nie domyślał się, że Wołk, który ich posiadał nie mniej niż 4.000 wszelkiej płci i wieku, musiał chcąc nie chcąc nimi rządzić i że oni nie tylko stanowili jego roboczy inwentarz, którego jako dobry gospodarz musiał razem używać i mieć pieczę nad nimi, tak jak sumienny fernal razem karmi, czyści swoją czwórkę koni, i batem ją podpędza, lecz że miał oprócz tego powierzona nad nimi dobrą część władzy państwowej. Był względem nich na całym swoim terytorjum izbą skarbową, policją, trybunałem cywilnym i karnym, wkońcu urzędem wojskowo poborowym — bo musiał dostarczyć wedle swego widzimisie i bezapelacyjnie rekruta do wojska.

Tego wszystkiego wymagało sprawowanie władzy. A władza wówczas nie urzeczywistniała się inaczej jak w formie... chłosty. Siekli w całym państwie. Siekli wszyscy i wszędzie. Rodzice siekli od narodzenia swoje dzieci. Kazali im recytować hymn do różeczki i tę różeczkę po egzekucji całować. Siekli w szkołach i sam wielki Adam czy w domu czy w szkole dostał w skórę kilkadziesiąt lub kilkaset razy. Siekli w policji, w trybunale, w wojsku i t. d. I p. Samuel Wołk siekł obficie, po wielkopolsku. Lecz nie siekł tylko na swoją korzyść, lecz i samego chłopca, jak to bezstronnie przyznaje Czesław Jankowski.



Chłop niedbale zaorał lub schował garść nasienia za pazuchę: 10 bizunów bez dodatku; upiwszy się, stracił worek sprzedanego zboża, 20 bizunów bez dodatku. Ten sam chłop zasnął na „noclegu“ i pozwolił ukraść własnego konia: 25 bizunów z dodatkiem darmowego konia z dworu. Zetrząsł ogień z fajki na siennik i spalił całą swoją siedzibę: 100 bizunów i całe nowe zabudowanie, i t. d. Z tego systemu wyrosła dla mego ojca, a szczególnie dla mnie, prawdziwa klęska gospodarstwa. Gdy nastąpiła emancypacja, dawni poddani w Łazdunach i w Ługomowiczach tak znacznie lepiej byli uposażeni w ziemię w porównaniu z sąsiednimi gminami i tak starannie gospodarowali, że ciągle musiałem walczyć z niedostatkiem robotnika, to sprowadzać latem na zbiory i karmić do 100 żołnierzy, to posyłać dziesiątki fur po ludzi do sąsiednich gmin i t. d. Nie powtórzę łacińskiego „qui bene amat, bene castigat“, bo Wołk prawdopodobnie chłopów nie lubił, lecz lubił porządek i pracę, i u siebie i u tegoż chłopu.

Czesław Jankowski, cytując wiersze Mickiewicza o dziadku, cytuje także dosłownie inną poczę, którą znalazł w pustych pokojach ługomowickich; zapewne jeszcze wisi gdzieś w Łazdunach, o ile jej w ciągu całorocznej okupacji nie pokieraszowały „zwycięskie szable“ dziewiętej dywizji polskiej. Jest to przepyszenie kaligrafowane, winogronami i brzoskwiniami ozdobiony akrostych, utwór poetyczny najbliższego sąsiada i starego przyjaciela dziadą Samuela, p. Adama Rymaczewskiego, dziezdica dóbr Babińsk, męża pani Ewy, autentycznej Haraburdziauki<sup>1</sup> i dziedzički Jatotłowicz o miedzę z Łazdunami. W poemacie Rymaczewskiego, tego drugiego Adama, Mickiewiczowski „łotr“ przedstawia się jako baranek Boży, niepokalany gołąbek, rywal, jeżeli nie archaniola Gabrjela, to przynajmniej św. Franciszka z Assyżu i Wincentego à Paulo.

Komu tu wierzyć? Byłbym skłonny rozstrzygnąć tę sprzeczność drogą kompromisową i przyznać: że ś. p. Samuel Wołk był człowiekiem swego czasu i swego środowiska, wykonywującym daną mu władzę właściwymi temu czasowi i środowisku środkami i że podobnie do lepszych śmiertelników (bo gorsi, t. j. najliczniejsi posiadają jedno bez drugiego) posiadał odpowiednie swoim zaletom wady: czynny, gospodarny, energiczny, był jednocześnie wymagającym, srogim i porywczym.

Ten związek zalet z wadami stanowi prawo natury, któremu podlegał w całej pełni sam Adam Mickiewicz. Nikt nie zaprzeczy, że w tej cudownej sztuce, która od czasów Homera i Tyrteusza porywa do największego entuzjazmu dusze ludzkie

<sup>1</sup> Pani Ewa była w prostej linii praprawnuczką tego Haraburdy, posła Stefana Batoiego przy carze Iwanie IV, któremu Aleksy Tołstoj w swoim słynnym dramacie „Śmierć Iwana Groźnego“ przeznaczył bardzo piękną rolę.

t. j. w sztuce zamykania w prawidłowych ramach prozodji myśli, którebyśmy, ludzie zwykli, z większą precyzją wyrazili w linjach dowolnej długości i końcówek, t. j. w poezji, Adam Mickiewicz był genjuszem, supergenjuszem, arcygenjuszem. Jako taki nie mógł nie podlegać, i podlegał, prawu, które już określił filozof rzymski Seneka w słowach: *Non est magnum ingenium sine mixtura dementiae* (niema wielkiego genjuszu bez przymieszki szaleństwa). Przykład:

W chwili, kiedy wieszcz pisał swoje „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego“, Francją rządził najznakomitszy mąż stanu, jakiego miała w ciągu całego XIX stulecia, Casimir Perier. Panu Adamowi Mickiewiczowi, który cały .perjod powstania listopadowego przebył w Dreźnie i nie wystawił na szwank dla Polski ani cała kwadratowej swojej skóry, raptem zachciało się, żeby minister Perier rzucił setki tysięcy lub milion żołnierzy francuskich i miljardy franków jednocześnie na Rosję, Prusy i Austrię, aby jemu, Adamowi, urządzić uroczysty ingres do jego Wilna. A minister tego nie uczynił. Więc nasz wieszcz palnął mu z wysokości swojego „Synaju“, następną, jeszcze sroższą niż dla Wołka, anatemę. Cytuję dosłownie:

„A rządcą francuski rzekł: nie możemy krwią naszą ani pie-niędźmi tego niewinnego odkupywać, bo krew moja i pieniądz „mój do mnie należą, a krew i pieniądz narodu mego, do mego „narodu należą... A rządcą ten nazywał się Casimir Perier, „imieniem słowiańskim a nazwiskiem romańskim. Imię jego „znaczy skaziciela czyli zniszczyciela miru, to jest pokoju, a na- „zwisko znaczy od słowa *perire* albo *périr* zgubiciela czyli syna „zguby. A imię to i nazwisko jest Antychrystowe i będzie za- „równo przekłete w pokoleniu słowiańskim i w pokoleniu ro- „mańskim.“

Albo sam w piętkę gonie, albo tu się ma dobrą porcję „mikstury“.

Co do moich rodziców, już mówiłem, że ojciec p. Oskar, skończył zarówno pensjonat p. Henry jak i wileńskie gimnazjum ze złotym medalem. Mając wówczas sześcioro dzieci i dobry, lecz niezbyt wielki majątek, dziadek Hipolit wyprawił go do Petersburga w poszukiwaniu kariery. Nieznajomość języka (wykładowym w Wilnie jeszcze był język polski) oraz brak skutecznych protekcji zniechęciły go, po sześciu miesiącach powrócił do Wilna. Znajomy jego ojca, pierwszy wówczas w kraju mecenas p. Sidorowicz, oceniając jego zdolności i pracowitość, wziął go sobie na pomocnika. Zręczny, dowcipny, dobrze oswojony z panującym wówczas w „beaumontzie“ francuskim językiem, miał jednocześnie powodzenie w towarzystwie, w którym królowały sławna „komtessa“ Łopacińska (Morikonianka z domu)

i druga księżna Wittgenstein<sup>1</sup> z domu Bariatyńska. Obie mieszkały w bliskości Wilna, pierwsza w Kojranach, druga w Werkach, sławnych za czasów powieszonego później księcia biskupa Massalskiego, i często tam dawały bale i amatorskie przedstawienia. Jednocześnie ojciec „drażnił Muzę“, gdyż napisał libretto do jednej z oper blisko z nim zaprzyjaźnionego Moniuszki.

Prawie jednocześnie ze skasowaniem Unji, na gorliwą prośbę marszałków gubernjalnych Kijowskiego i Podolskiego, Mikołaj I „najmiłościwiej“ raczył na przestrzeni całego Wielkiego Księstwa Litewskiego prócz gubernji Czernigowskiej i Połtawskiej znieść statut litewski i wprowadzić na jego miejsce X-ty tom Swodu Zakonów (księgi praw) z zamianą procedury słownej i jawnej na pisaną i tajną. Zamierzona karjera ojcowska od razu runęła. Zostawała tylko tradycyjnie szlachecka gleba-matka. Wuj ojca, a mój pradziad po matce, który czując ciężar wieku, już był wydzierżawił Łazduny, zaproponował mu dzierżawę sąsiedniej Jakuni, gdzie ojciec osiadł wiosną 1844 r. W następnym 1845 r. ożenił się z młodszą wnuczką swego dziedzica i wuja, Weroniką, i posypała się rok po roku dziatwa.

W 1849 r. jakiś ambitny żandarm w Wilnie wyssał z palca ogromną polityczną „konspirację“, do której zamieszał cały pozostały po Wileńskim Uniwersytecie i Akademji medycznej personel naukowy, oraz tych, którzy wzbudzali podejrzenie swoim wykształceniem, t. j. skłonnością do rezonerstwa.<sup>2</sup>

Ojca uwięziono i przesiedział w kozie blisko dwa miesiące. Tymczasem został przysłany z Petersburga zacny generał-major Nazimow (przyszły wileński generał-gubernator), który całą machinację odkrył i wszystkich uwięzionych wypuścił, ojca nawet bez indagacji. W tem więzieniu nabawił się początku cierpienia, które potem, dzięki związanym ze śmiercią pradziada Wollka kłopotom, bo na żądanie szwagra Korsaka odkupił na kredyt od niego majątek Łazduny, rozwinęło się do tego stopnia, że dostał kilka gwałtownych krwotoków z gardła.

Strwożona matka zwołała cały areopag wileńskich eskulapów, którzy jednogłośnie orzekli, że to nie może być nic innego jak suchoty w ostatnim stopniu, i poradzili matce, by jak najprędzej wywiozła męża do Nicei: niech przynajmniej biedaczysko umrze pod pięknym niebem. Ale zatrzymali się w Berlinie, gdzie sławny naówczas profesor Schönlein, dobrze zbadawszy moribundusa, oświadczył mu, że chciałby jego płuca

<sup>1</sup> Siedemdziesiąt kilka lat później w Lozannie, gdzie osiadła już stuletnia księżna, opowiadała mi o ojcu jako o najlepszym swym tancerzu; chwilami, bo już trochę bredziła, myśląc, że w mojej osobie do niego przemawia.

<sup>2</sup> Tę ciemną historję szczegółowiej opisał w końcu przeszłego wieku drugi żandarm, prawdopodobnie wydalony ze służby, w książkę p. t. „Gołuboj mundir“ (Niebieski mundur).



zakonserwować w spirytusie, bo nigdy jeszcze tak potężnych i zdrowych nie spotykał. Lecz wskutek zadawnionego cierpienia wątroby, ma ją tak bajecznie spuchłą, że naciska na płuca, które są gąbką, i stąd krwotoki. Kazał naprędce jechać albo do Karlsbadu do Szprudla, albo też do Vichy do Grande-grille. Rodzice wybrali ostatnie, ciekawi poznać Francję, a było to krótko po zamachu stanu Napoleona III 2 grudnia 1851 r. Zabawiwszy jeszcze trochę w Paryżu, w jesieni 1852 r. zamieszkali już w dokończonym nowym „pałacu“ w Gcranonach, gdzie się rozpoczynają moje pierwsze wspomnienia.

Powrót ich miał ten skutek, że przez parę lat eskulapi wysyłali wszystkich suchotników do Vichy jako do źródła cudów (Lourdes jeszcze nie było znane), skąd kilku powróciło jakoby zdrowymi.

Z tego szkicu mego pochodzenia, tak w jednej jak i w drugiej linji, czytelnik może się domysleć, że nie mogłem patrzeć na dzieje i ludzi ani przez okulary pękającego z żółci i zawiści „reformatora ludzkości“, ani też przez binokle zamrożonego „żubra“, przckonancgo (a w takim przekonaniu wyrosło prawie całe moje pokolenie), że jemu wystarczają dobre manicry i elegancka powierzchowność, a wykształcenie jest tylko dla mieszcuchów lub szlagonów. Byłem przez przyrodę przeznaczony na „centrowca“ i skazany na poglądy, jak dziś mówią, burżuazyjne.

---

## Rozdział II.

### Lata dziecinne.

Zwykle pamięć u dzieci przechodzi przez dwie różne fazy: płynną, kiedy wrażenia prawie momentalnie powstają i giną — i fazę stwardnienia, kiedy te wrażenia już się ryją w tę pamięć jakby w płytę miedzianą i tam pozostają. To nastąpiło u mnie raptownie w marcu 1855 r.

Jeszcze widzę, jak pod okiem matki, młodej a jednak poważnej, nas czworo wówczas dzieci bawi się w obszernej sali domu rodzicielskiego w Geranonach. Mimo okien przejeżdża stangret, a w kilka minut wlatuje do pokoju mój ojciec, wówczas trzydziestokilkuletni, żwawy i zgrabny mężczyzna, skacze jak młody żreback i rozmachuje rozwiniętą gazetą wykrzykując: „Werciu, Werciu, Mikołaja djabli wzięli!” Taką była mowa pogrzebowa po jego cesarsko-królewskiej mości Mikołaju Pawłowiczu I, autokracie wszechrosyjskim i królu polskim. Działwa otacza rodziców, błagając o wyjaśnienia — i wówczas do mojej wyłącznie polskiej i katolickiej główki wstępuje pojęcie o tem, że oprócz nas, sąsiadów, rodziny i służby (kto tam wówczas myślał o „mniejszości narodowej białoruskiej“) są źli ludzie, zwani Rosjanami, z paskudnym jakimś Mikołajem na ich czele, którzy nas gnębią.

Ewenement był takiej doniosłości, że przez kilka dni służył wyłącznie jako temat rozmowy między rodzicami przy stole. Zostało postanowionem, że na zimę przeniesiemy się do Wilna, wówczas rodzaju stolicy, i dlatego ojciec pojechał, aby nająć stosowne mieszkanie.

W jesieni zamieszkaliśmy w Wilnie w domu księżny Pużyny, a wkrótce potem jakiegoś żyda. Był to rok wyborów szlacheckich, które się odnawiały co trzy lata; wybierano na nich marszałków, gubernjalnego i powiatowych, członków sądów i kuratorów szkół. Ten urząd właśnie piastował mój ojciec. Według obyczaju zamożniejsi ziemianie pokolei ugaszczali na wyłącznie męskich wieczorkach licznie zebraną szlachtę.

To się zwykle odbywało w jednym z trzech głównych „hotel” wileńskich, a raczej, jak mówiono wówczas, domów zajezdnych, bo się zajeżdżało do nich z całą ruchomością, pościelą, samowarami i t. d.

Nie wiem, dlaczego, chyba z chęci popisania się przystojnym i przedwcześnie rozwiniętym malcem, jakim wówczas byłem, ojciec posłał po mnie jednego z młodych przyjaciół i oprowadzał po kilku salonach, w których zebranie się odbywało. To pierwsze zetknięcie się z moimi współobywatelami zrobiło na mnie, może zbyt wykwintnie wychowanym dziecku, tak niemiłe wrażenie, przeważnie strachu, że powróciwszy do matki, rzewnie się rozbeczałem. Wrzawa, pijatyka, wszędzie na stołach stojące butelki szampańskiego, kałuże tego wina na posadzkach, grube podniesione głosy, śmiech jakby rżących koni, zamaszystość ruchów, wszystko to różniło się tylko kostiumem od zgłębku chłopów koło karczmy geranońskiej, obok której przejeżdżaliśmy w święta po niesporach. Były to ostatnie objawy dawnych obyczajów szlacheckich, których sądzono mi było być świadkiem, bo gdy w kilka lat później powróciłem do kraju jako rozgarnięty podrostek, już kolosalny przewrót umysłowy i obyczajowy, spowodowany przez oswohodzenie włościan i skasowanie pańszczyzny, odbił się na całym bycie i układzie naszej szlachty litewskiej.

Od kilku miesięcy mieliśmy nowego generał-gubernatora t. j. wszechwładnego satrapę, generał-adjutanta Nazimowa. Był to człowiek wyjątkowo wzniosłych i szlachetnych uczuć, jakie napotykało się aż do rewolucji 1917 r. w społeczeństwie rosyjskiem, wprawdzie w proporcji homeopatycznej do dziczy lub zgnilizny moralnej. Zawdzięczaliśmy tę nominację na miejsce srogiego (choć zacnego) generała Bibikowa — przyrodzonej mściwości Aleksandra II, którą odziedziczył po ojcu i dziadku, a zostawił w spuściźnie synowi i wnukowi. Rzecz w tem, że gdy Bibikow (brat okrutnej pamięci generał-gubernatora kijowskiego), ulubieniec Mikołaja I, został назначony do Wilna w 1849 r., Aleksander II, już jako 32-letni następca tronu i przewodniczący w Radzie Państwa, życzył sobie, aby Bibikow wziął z sobą do Wilna jakiegoś dobrze ustosunkowanego gwardjaka, towarzysza hulanki Aleksandra, któremu z powodu różnych „figlów” wypadało oddalić się od pułku i stolicy. Bibikow, sumienny wojskowy, odmówił, twierdząc, że wybierając się do kraju i miasta wyłącznie polskich (o czem wówczas żaden Moskał nie wątpił), gdzie na tysiące urzędników polskich będzie tylko jakiś tuzin Rosjan, jego obowiązkiem jest dbać o to, aby ta garstka Rosjan wyjątkowo dobrze przedstawiała społeczeństwo rosyjskie wśród polskiego, podczas kiedy znana osobistość i przeszłość wielkoksiążęcego kandydata może dobrą reputację społeczeństwa rosyjskiego tylko

skrompromitować. Zniecierpliwiony W. Książę rzekł: „Wasza Wysoka Ekscelencja chyba zapomina, że o to prosi następcą tronu?“ A na to dumny generał: „Mam nadzieję nie przeżyć młodszego ode mnie mojego monarchy, lecz póki służę, będę służył panującemu cesarzowi, a nie możliwemu w przyszłości.“ — Aleksander II tego nie strawił i dwa pierwsze akta, które podpisał jako cesarz, postanawiały: jeden jakąś zmianę w umundurowaniu gwardji, co mu przysporzyło przezwisko „Aleksander krawiec“ (portuoj), drugi destytucję Bibikowa.

Jak później powiem, ta zmiana nam na dobre nie wyszła, lecz rodzicom bardzo posłużyła. Rzecz w tem, że od ostatniego pologu (nieszczęśliwego, dzieciątko żyło kilka godzin) zdrowie matki stałe się psuło; skończyło się radykalną utratą głosu. Ojciec naprędce sprowadził aż z mohylewskiej gubernji daleką krewną po kalwinach pannę Kamillę Mackiewicz, 20-letnią bardzo przystojną i szczególnie uroczą, jako kompanjonkę matki. W ciągu 7 lat, póki matka głosu nie odzyskała, była dla niej nieocenioną towarzyszką, a dla nas stała się starszą siostrą; po dziś dzień nie mogę wspominać o niej bez rozczulenia.

Ojciec postanowił matkę zawieźć zagranicę, „do tych co wiedzą“, jak mi później mówił jeden z naszych lekarzy, ale chodziło o otrzymanie paszportu, co było bardzo trudnem. Wojna krymska już się skończyła, ale kongres paryski jeszcze zasiadał; trzeba było za każdy paszport zagranicę uietylko zapłacić tysiąc rubli srebrem, ale także otrzymać specjalne zezwolenie samego cesarza. Zaczny Nazimow, który od czasu „konspiracji“ 1849 r. nabrał dla ojca specjalnego poważania, wyrobił te paszporty. Rodzice wyjechali w lutym z moim starszym bratem Ignacym, do którego matka miała od urodzenia nadzwyczajne przywiązanie, — a siostrę moją Marję, mnie i młodszego brata Oskara odesłano do Geranon z panną Keller jako nauczycielką, a w ostatniej chwili Kamilką Mackiewiczówną jako wice-matką.

Koło Wielkiej Nocy mój młodszy braciszek Oskar dostał krupę i prawie piorunująco umarł. Nasza matka, wysoce pobożna i egzaltowana, głęboko dotknięta tą stratą i przekonana, że obowiązek matki nie pozwala jej rozstawać się z małemi dziećmi, sama zaś cierpiąca dokuczliwą i długotrwałą chorobę, nie mogąc powrócić do nas, uprosiła ojca, by nas przywiózł do niej. Pannę Kellerównę zwolniono, a nam towarzyszyła panna Kamilla. Na Wilno i Kowno swojemi końmi, popasając i noclegując, dojechaliśmy do Wierzbolowa, gdzie nas oczekiwał ojciec. Zanocowaliśmy w Stołupianach, a nazajutrz trafiliśmy do Królewca. Tam dopiero zaczynała się stała komunikacja kolejowa z resztą świata. Prawie jednym ciągiem dojechaliśmy do Bad-Ems, tego samego, w którym 58 lat później

miała mnie zaskoczyć wojna wszechświatowa i gdzie matka odbywała kurację zaleconą przez berlińskiego Schönleina. Najmniejszego polepszenia nie doznała i dlatego pojechaliśmy do Paryża, gdzie ojciec z porady cieszącego się wówczas wśród emigracji polskiej wyjątkowym wpływem doktora Gałęzowskiego, postanowił oddać matkę pod opiekę wszechświatowej sławy Dr. Trousseau. Ten stwierdził, jak się okazało, słusznie, że żadnego specyficznego niedomagania organów oddechowych nie ma, że utrata głosu jest wyłącznie skutkiem anemji i nerwowego osłabienia i że skoro ten stan ogólny się poprawi, to i głos powróci. Okazało się, że genialny Francuz miał rację, lecz zanosiło się na całe lata kuracji. Na początek pojechaliśmy nad brzeg morza, do znanego później w całym świecie Trouville, wówczas jeszcze zupełnie małej miściny. W jesieni powróciliśmy do Paryża i ojciec zainstalowawszy nas w dosyć obszernem mieszkaniu na Champs Elisées (za które z kompletnem umeblowaniem płacił ogromną sumę 350,— fr. miesięcznie) i wyszukawszy nam, jak tego już wymagał nasz wiek, nauczyciela p. Richer, a dla siostry mojej najbardziej klasycznego typu nauczycielkę, pannę Charrin, powrócił do kraju, dokąd go powoływały dozór 20-tu w trzech częściach powiatu rozsianych folwarków, uregulowanie sukcesji po swoim ojcu i ciotce Wołkowej, którzy oboje w tym 1856 r. umarli, wkońcu wyrastająca kolosalnej wagi kwestja reformy włościańskiej.

Te lata 1856 i 1857, w ciągu których moja główka dziecięca z dnia na dzień rozkwitała, zostawiły u mnie do dziś dnia żywe i najprzyjemniejsze wspomnienia. Wszystko wokoło mnie wiodło się nadspodziewanie. Matka pod mądrym kierunkiem wielkiego Trousseau powracała jeszcze nie do głosu ale do sił; panna Kamilla okazała się aniołem dobroci, troskliwości i dobrego humoru, a p. Richer i z charakteru i z uczoności wzorowym pedagogiem; on i panna Charrin prędko mi wpoili te zasady akuracności i poczucia obowiązku, ambicji w czynieniu dobrze tego, co się czyni, zasady, które wówczas były ogólną ceclią francuskiej wykształconej klasy społecznej.

Matka miała w Paryżu krewnego p. Władysława Laskowicza, stryjecznego brata jej matki ś. p. p. Ignacowej Wołkowej. Emigrant z 1830 r. jeszcze w sile wieku, bo wstąpił do powstania jako student pierwszego kursu uniwersytetu wileńskiego, wykształcony i bardzo nabożny, był z charakteru coś nakształt rzymianina - chrześcijanina. Cieszył się wśród emigracji ówczesnej nieograniczonym szacunkiem. Osamotniony od 26 lat, pokochał naszą rodzinę jak swoją najbliższą i prędko stworzył około matki, z musu mało ruchliwej, a w dodatku niemej, dzięki przez wszystkich lubianej pannie Kamilli, całe grono bliskich i serdecznych przyjaciół. Naogół o tych relikwjach z powstania listopadowego została we mnie pamięć, którą kil-



kanaście lat potem, po wojnie i komunie 1870 r., wyrażał wobec mnie mój patron i przyjaciel p. Leon Clement o swoich kolegach z prawocentru wersalskiego zebrania narodowego, pochodzących prawie wyłącznie z średniej szlachty rodowej i mieszczaństwa prowincjonalnego, w słowach następnych: „Il ne sont pas forts, oh que non, mais quelles braves gens!”<sup>1</sup>

Do częstszych naszych gości oprócz W. Laskowicza należeli p. Major Bukaty, bliski sąsiad dziadka Milewskiego w jego Cincinie, i państwo Hryniewiczcy; on, były oficer korpusu litewskiego, niebardzo już młody ale wiecznie wesoły i dowcipny, miał dzięki protekcji Ksawerego Branickiego dobrą posadę jako rachmistrz i kasjer przy dworze ks. Napoleona, stryjczanego brata Napoleona III, dzięki czemu zajmowali wygodne mieszkanie w pałacu Palais-Royal. Ona w 1831 roku pozostała z pierwszym synem w swoim folwarczku w ziemi grodzieńskiej, a potem z kobietą wytrwałością jakoś się dobrała do męża do Francji, gdzie 20 lat cicho, skromnie i walecznie z nim biedę klepała i przysporzyła mu jeszcze syna i córkę. Po 25-ciu latach pobytu na obczyźnie była jakby zakonserwowana w spirytusie. Szlachcianeczka litewska, ledwie mogąca łamanym językiem i z nieopisanym akcentem wyrazić się po francusku, była dobrą i to dobrą do nieskończoności. Mieli troje dzieci; Ludwik, później mąż młodszej córki Adama Mickiewicza (Heleny), początkował jako inżynier kolejowy; drugi Witold był wówczas studentem szkoły centralnej w dziale architektury, najmłodsza zaś córka Helena, 18-letnia, nieładna lecz czarująca, zaraz pokochała naszą pannę Kamille jak siostrę rodzoną — a matkę naszą nazywała tak jak my „mamutka” i bardzo często nawet u nas nocowała z Kamilką. Byliśmy w przyjaźni także z rodziną historyka Karola Sienkiewicza, który miał trzech już dorosłych synów. Na wszystkich niedzielach mojej matki bywały dwie córki Adama Mickiewicza, jeszcze panny, od bardzo niedawna osierocone po ojcu, którymi się głównie opiekowała pani Leonja Faucher, Wołowska z domu (siostra znanego ekonomisty), wdowa po ministrze oświaty drugiej Republiki. Często odwiedzał matkę, którą sobie bardzo upodobał, stary generał Dembiński, bohater z 1831 r., a potem z powstania węgierskiego 1848 r.

Wszyscy nasi znajomi należeli do obozu ks. Adama Czartoryskiego, który zachowawszy swoje galicyjskie majątki, utrzy-

---

<sup>1</sup> Nie powtórzyłbym tego o emigracji 1863 r. Ruch 1831 r. był wyłącznie narodowym i popchnął na emigrację kwiat ówczesnego społeczeństwa polskiego i nie słyszałem, żeby w ważnych zaburzeniach francuskich 1832 r. figurował jaki emigrant. W ruchu 1863 r. ofiarami byli patrioci, którzy napelnili Syberję, wyjątkowo emigrację; rzeczywiście kierownicy byli rewolucjonistami, którzy Paryskiej Komunie 1871 r. dostarczyli przeszło 200 ochotników.

mywał jakgdyby królewski dwór w swoim historycznym pałacu, hotelu Lambert, na wyspie Saint Louis, bardzo pomyślnie nabytym na początku emigracji, i był traktowany przez rząd francuski na stopie panującego i *in partibus*. Polaków z kraju, których w ostatnim lat dziesiątku drugiego cesarstwa miała się zebrać moc, wówczas jeszcze prawie zupełnie w Paryżu nie było.

Na początku lata matka z całym gniazdem osiadła w Dieppe, ponieważ głównym elementem jej kuracji były kąpiele morskie, a szczególnie jak najdłuższy pobyt nad samem morzem. Już wówczas rodzice postanowili wychowywać nas we Francji i z porady Dr. Gałęzowskiego umieścić nas po wakacjach w pierwszorzędnym pensjonacie p. Cousin przy ulicy du Rocher na samem ówczesnem pograniczu właściwego miasta i przedmieścia „Batignolles“, na którem się mieściła bardzo liczna szkoła polska (250 uczniów).<sup>1</sup>

Przed wyjazdem do Dieppe rodzice zauważyli, że zdążyliśmy już prawie całkowicie sfrancuzieć. Aby temu zapobiec, dał nam ojciec na całe wakacje jako guwernera wziętego ze szkoły polskiej w Batignolles p. Kossakowskiego, który był obowiązywany rozmawiać z nami wyłącznie po polsku.

<sup>1</sup> Dr. Gałęzowski był prawdziwą znakomością emigracyjną. Opuścił kraj zaraz po ukończeniu fakultetu medycznego przy uniwersytecie wileńskim. Jakoś uprojektował sobie pojechać do Meksyku, gdzie wówczas był ogromny brak lekarzy przy wielkiem, dzięki świeżo odkrytym kopalniom srebra, bogactwie mieszkańców; w krótkim czasie dorobił się bardzo znacznego funduszu i powróciwszy jeszcze w sile wieku do Paryża, całkowicie poświęcił się emigracji, przeważnie szkole polskiej, w której mieszkał. Ojciec miał głęboką przyjaźń dla tego zacnego człowieka, który pośrednio niemal wpłynął na moje wychowanie.

### Rozdział III.

#### Szkoły paryskie.

Na początku października 1857 r. powrócił ojciec z kraju, nas ulokował u p. Cousin, siostrę zaś oddał do Sacre Coeur przy ulicy de Varennes i, zostawiając w Paryżu Kamilkę Maciewiczównę, aby nad nami czuwała, wyjechał z matką do Włoch.

Ten pensjonat Cousin uchodził wówczas w Paryżu za ostatnie słowo wykwintności, komfortu oraz sztuki pedagogicznej. Utrzymanie każdego uczniaka, bez ubrania lub lekcji dodatkowych (muzyki, rysunków, fechtunku, lub konnej jazdy), kosztowało 3 000.— fr. rocznie t. j. 5 czy 6 razy drożej, niż w innych pensjonatach. Nie przyjmowano ponad 70 uczniów, chociaż komplet korepetytorów i dozorców był ten sam, co w pensjonatach mieszczących po 250 uczniów, jak w szkole polskiej w Batignolles, albo nawet i 300. Stołowanie było pierwszorzędne, każdy uczeń miał swój oddzielny pokój, mieliśmy dla rekreacji trzy obszerne dziedzińce odpowiadające trzem oddziałom małych, średnich i starszych, a pod innemi względami dzisiejsza kucharka nie zgodziłaby się na to, czem wówczas się zadowalniano. Ani jednej wanny w domu nie było, prowadzono nas bandami do zakładu kąpielowego raz na miesiąc, latem do chłodnych kąpiei w Sekwanie dwa razy tygodniowo; szczególnie cierpieliśmy zimą od chłodu. Wówczas w prywatnych mieszkaniach w Paryżu nie znano innego ogrzewania jak kominek, dający temperaturę przy nim 25° C, a w końcu pokoju 5°, albo przedpotopowy kaloryfer z ogrzewaniem powietrzem, ciągle narażający mieszkańców na zatrucie kwasem węglowym albo nawet tlenkiem węgla. Właśnie w pierwszym roku mego pobytu u p. Cousin w nocy coś tam się stało w kaloryferze i cały nasz korytarz tak się zacządził, że nas wszystkich malców trzeba było wynieść nieprzytomnych na dziedzińce, a mój brat Ignacy przez 24 godzin był między życiem a śmiercią. Stały nasz lekarz, jakiś ówczesny książę nauki, zadekretował, że dla dzieci

najzdrowiej jest spać w zimnem pomieszkaniu — i przez następne 7 lat często gęsto trzeba było, wylazłszy z pod trzech wełnianych kołder, przełamywać rączką od szczotki lód w dzbanku do wody:

Salę klasowe były wprawdzie ogrzewane, raczej za mocno piecami żelaznymi, ale na ulicy znówu cierpieliśmy bardzo dotkliwie. Z wyjątkiem eleganckich i drogich zaręczawców i kołnierzy zamożnych pań, ówczesny Francuz futra nie znał, chyba w postaci wysokich czapek grenadjerskich. Gdy ojciec, przyjechawszy z kraju, w obszernem swoim futrze czekał na dworcu północnym na kontrolę bagaży, jakiś podróżny, zresztą porządnej powierzchowności, podprowadził do niego swego kilkoletniego malca i w formie wykładu poglądowego wskazał palcem na ojca ze słowami: „Tu vois ça, eh bien, c'est l'homme du Nord.“

Nawet watowanych płaszczy mężczyźni nie nosili i siedem zim (podczas jednej Sekwana zamarzła) przyszło nam biegać po Paryżu w paltociku z grubego kortu podszytym jedwabiem; o kaloszach jeszcze się pojęcia nie miało. Odmroziny i spierzchnięcia rąk prześladowały nas co najmniej przez dwa miesiące corocznie. To jest jedyne prawdziwie gorzkie wspomnienie, które mi z tych szkolnych czasów pozostało.

Pod wszystkimi innymi względami zachowuję po dziś dzień dla p. Cousin serdeczną wdzięczność. Przedewszystkiem nie pakowano nam wiadomości do mózgu, jak się pakuje gęsiom gałki do gardła, lecz uczono i wychowywano. Najprzód co do akuratności; wstawanie z łóżek, zejście do klasy, ranna kawa, zebrania na lekcje do liceum, śniadania i obiad, koniec zabaw, odpoczynek nocny, wszystko to odbywało się na znak dzwonu z chronometryczną akuratnością i nieuniknioną karą za najmniejsze opóźnienie. Pod tym względem jestem od 60 lat w naszym kraju niedocenionym wzorem i nieznanym męczennikiem, bo nigdy nikt na mnie nie czeka — a ja czekam zawsze na wszystkich. Kochany p. Cousin tak mocno mi zaszczerpił tę precyzję, że się nawet nie mogę zdobyć na to, by się na drugich mścić. Pan Cousin i jego dobra, słodka, bardzo przystojna żona, zajmowali się tylko materialną stroną naszego życia, jednakże tym, których rodzina choć chwilowo nie znajdowała się w Paryżu, okazywali prawdziwie rodzicielską pieczołowitość.

Co zaś do nauk, to mieliśmy wyjątkowego mentora p. Voilemier, jeszcze kawał rzymianina. W 1851 r. wykładał w Sorbonie, lecz gdy po zamachu 2 grudnia 1851 Napoleon III wymagał od wszystkich osób, będących na służbie państwowej, przysięgi wierności, zawzięty republikanin, — aby się nie sprzeciwiały swoім przekonaniom, — porzucił piękną karierę i poszedł szukać niepewnego chleba w nauczycielstwie prywatnem. Jego wpływ na wychowanie uczniów sięgał daleko

poza formalną kontrolę ich prac, bardzo często z nimi czy pojedynczo, czy też małemi grupkami rozmawiał, wyjaśniając im, jaki jest cel i usprawiedliwienie tych lub innych dyscyplin naukowych. Nauka szkolna we Francji, która później, a szczególnie w ostatnich latach 20-tu, dała wielkie, może przesadne miejsce nauczaniu praktycznemu, była wówczas w przeważającej mierze humanistyczna. Języki starożytne, historia, literatura francuska, ćwiczenia stylistyczne i dialektyczne, retoryka, logika i filozofja, były na pierwszym planie, a nauki ścisłe i przyrodnicze na drugim. Pan Voillemier, przekonany humanista, często nam łomaczył, gdyśmy go pytali, naco nam wkońcu będą w życiu potrzebne języki starożytne, że najważniejszą dla podrastającego człowieka z klas wykształconych, który potem potrafi się wyspecjalizować, jest sztuka ujęcia i wyrażenia swojej myśli; powiadał: „Kto dobrze umie mówić i pisać w jednym języku, umie mówić i pisać we wszystkich, potrzeba mu do tego tylko słownika. Otóż język łaciński właśnie dlatego, że jest martwym i że od półtora tysiąca lat nie w nim nie przybywa i nie ubywa, ogromnie przewyższa w precyzji języki nowożytne, które ciągle się przekształcają. W tym języku właśnie, w którym wartość każdego wyrazu lub zwrotu jest specyficznje określona jak pierwiastek chemiczny, człowiek najłatwiej przywyka do używania tylko precyzyjnie określonych wyrazów i zwrotów. A to jest podstawą wszelkiej prawdziwej wymowy i sztuki pisarskiej.“

Prócz tego godny p. Voillemier, powtarzając się ciągle (co wobec roztrzepanych malców jest niezbędnem), wbiiał nam jakby łopata do głowy kilka zasad edukacyjnych, które potem panowały nad całym mojem życiem; nawet lubiał je pisać nad naszymi pulpitemi: greckie „Gnothi se auton“ czyli „Poznaj siebie samego“ — czemu zawdzięczam, że w życiu doznałem mniej „klap“ od innych, bo nie brałem się do tego, czego nie miałem mocnej nadziei dokonać; angielskie „Time is money“ (Czas to pieniądz), do którego słosując się przez pół wieku czynnego życia, nabrałem zwyczaju każdego ranka uplanować użycie całego mego czasu aż do wieczora, i łacińskie: „Festina lente“ (Spiesz się powoli); szczególnie u nas Polaków bardzo dużo znałem ludzi, którzy uważają lataninę za czynność i przechodzą życie w roli jeszcze niedawno słynnego „Augusta“ z cyrku.

Chociaż w ówczesnej Francji panowała kompletna swoboda nauczania, system i program nauk u p. Cousin naturalnie wzorował się na programie oficjalnym nauk w liceum Bonaparte, w którym kompletny kurs nauk rozdzielał się na 8 klas — ósma najniższa, a najwyższa nazywała się retoryką, nad nią zaś były jeszcze dwie klasy przygotowawcze do wyższych szkół specjalnych t. j. do szkoły politechnicznej i wojskowej

w St. Cyr, albo do szkoły normalnej (profesorskiej). Ale p. Cousin uważając, że dla kształcących się dzieci nauka może być owocna tylko wtedy, kiedy nauczanie jest indywidualne, a także ze względów higienicznych, posyłał swoich alumnów do liceum dopiero począwszy od szóstej lub nawet od piątej klasy. W donu mimo to, że byłem o 2½ roku młodszy od mego brata Ignacego, będąc od niego pilniejszy i pracowitszy choć może mniej zdolny, mogłem bez wielkiej trudności utrzymać się z nim na jednym poziomie zupełnie jeszcze elementarnych nauk. Lecz gdy nas oddano do szkoły i mnie odrazu posadzono do jednej klasy z bratem, który nie był spóźniony w naukach, to mnie przez to samo skazano na wygórowany wysiłek: sześciolatek koń łatwo się zejdzie w zaprzęgu z 8-letnim — ale 2-letni żrebak, kiedy szczery, założony z 4-letnim, łatwo się poderwie. A w edukacji dzieci taki pośpiech ma szczególnie to złego za sobą, że chłopiec, który za wcześnie kończy nauki średnie, także za wcześnie rozpoczyna życie młodego światowego człowieka; to z niego na pewien czas robi szlucznie forsowaną roślinę.

Dziś, kiedy szczególnie na Zachodzie a u Anglosasów aż do śmieszności wyznacza się w wychowaniu chłopców ogromne miejsce t. zw. kulturze fizycznej, nowoczesna mamusia oburzyłaby się na myśl, ile od nas wymagało pracy umysłowej, i to nie pracy nominalnej, jak się zwykle praktykuje w Polsce, gdzie chłopak, powiedziawszy: „Mamo, ja będę przygotowywał lekcję,“ zamyka się do swego pokoju na 2 godziny i 1½ godziny poświęca jakiejś mniej lub więcej moralnej powieści a ½ godziny podręcznikowi. Pracowaliśmy, siedząc na ławce i pochyleni nad pulpitami pod nieustannym dozorem albo „maitre d'etude“ czyli klasowego dozorczy na pensji, albo w liceum pod okiem p. profesora — zimą jedenaście, a latem jedenaście i pół godzin dziennie. Mianowicie: zimą o pół do szóstej, a latem o piątej trąba archaniola w postaci ogromnego dzwonu wypędzała nas z łóżka, ½ godziny na toaletę, potem przygotowanie lekcji i repetycja, o siódmej i pół śniadanie — do wyboru biała kawa lub czekolada z bułką i masłem, i marsz do liceum. Tam dla 1800-set uczniów dwie tylko, wprawdzie ogromne bramy, jedna (nasza) od rue du Havre, druga od ulicy Caumartin, otwierały się nie na głos dzwonu, lecz bębna, 5 minut przed 8-mą. Punkt o ósmej przed drugim bębnem 1800 malców już siedziało w trzydziestu audytorjach, albowiem klasy były rozdzielone każda na trzy t. zw. dywizje — i profesor w todze i sędziowskiej czapce rozpoczynał lekcje. Pięć minut po 8-mej trzecie bębnienie i zamknięcie bramy. Kto w ciągu szkolnego roku więcej niż dwa razy w porę nie przybył bez uprzedniego zawiadomienia ze strony rodziców lub dyrektora pensjonatu, był nielitościwie wykluczany z liceum. W ciągu moich 7 lat w liceum Bonaparte zdarzył się tylko jeden taki wypadek. Dla

tego, który taką szkołę przeżył, już na całe życie „rendez-vous“ o 4½ nie oznacza tak, jak dla 29 milionów moich kochanych rodaków, coś między obiadem a kolacją: to oznacza czwartą 29 minut i 60 sekund.

Takich jedenastogodzinowych dni roboczych mieliśmy, po odliczeniu niedziel, letnich wakacyj — i bardzo krótkich, na wszystkie święta, Boże Narodzenie, Nowy Rok, Zapusty, Wielkanoc, Wniebowstąpienie, urlopów, razem 255 dni czyli 2805 godzin pracy umysłowej rocznie. Jak się przekonałem potem, jeden z moich siostrzeńców, bardzo gorliwy uczeń, miał w gimnazjum rosyjskim w Wilnie 165 dni roboczych po 7 godzin z przygotowaniem — razem 1155 godzin, czyli daleko mniej, niż połowę. Jak jeszcze później rachowałem z młodym p. Platerem z Dąbrowicy, uważanym w petersburskim liceum za lepszego ucznia, tam się miało dzięki wszystkim dniom galowym tylko 105 dni roboczych po 7 godzin, a więc 735 godzin pracy rocznej. To, daleko więcej niż różnica programu lub zdolności nauczycieli, daje pojęcie o poziomie wykształcenia młodych ludzi we Francji w mojej młodości i w byłym zaborze rosyjskim. A wszakże p. Clemenceau, Thiers, Guizot, Lamartine, Chateaubriand i t. d., którzy wszyscy to „przepracowanie umysłowe“ przeżyli, w osiemdziesiątym roku życia wcale jeszcze „ramolciami“ nie byli. Zalecam ten rachunczek naszym łatwowiernym mateczkom, które się tak łatwo dają rozczulać mniemanem wyczerpaniem umysłowym swoich małych figlarzy.

Podstawowymi zasadami naszego wychowania i wykształcenia były: co do nauk, rywalizacja; mieliśmy w liceum tygodniowe konkursy w rozmaitych przedmiotach, w których klasowano uczniów podług piśmiennych wypracowań, a w końcu roku wszystkie paryskie licea wysyłały do Sorbony po 5 przedstawicieli każdej klasy na t. zw. konkursy generalne — których rezultaty ogłaszano we wszystkich gazetach; a rozdawanie nagród pod przewodnictwem Ministra Oświaty, poprzedzane jedną łacińską mową, wypowiedzianą przez któregoś z młodych profesorów i jedną francuską, wypowiedzianą przez jakąś znakomitość naukową lub literacką, stanowiło dla całej wykształconej publiczności paryskiej uroczystość, która ją interesowała w większym stopniu niż dziś popisy sportowe.

Obok niezawodnych korzyści, jakie przynosił ten system konkursowy, może jemu to trzeba przypisać jedyną, moim zdaniem, ujemną stronę nauczania w ówczesnych liceach paryskich. Liceum Bonaparte, położone w pięknej dzielnicy, cieszyło się specjalną protekcją władz cesarskich i komplet profesorów był pierwszorzędny. Z moich nauczycieli pp. Wiktor Duruy (historyk), Manuel (poeta), Gréard (pedagog), Perrens — krytyk i historyk, zostali członkami Akademii francuskiej. Błąd był w tem: w każdej klasie było nas około sześćdziesięciu

uczniów, których można było rozdzielić na trzy mniej więcej grupy. Dwudziestu czołowymi (do których brat i ja należeliśmy) profesorowie zajmowali się bardzo starannie, następną grupą już znacznie mniej, a ostatnią wcale nie. Nie czuli, że ich krzywdzili, ponieważ przejściowych egzaminów z klasy do klasy nie było. Tak właściciel wyścigowej stadniny wszystkie swbje starania poświęca w treningu pierwszej klasy, z której spodziewa się, że wyjdą „cracki”. Na drugą mniej uważa, a trzecia pasie się, jak chce.

Zresztą rzucając okiem na późniejsze curriculum vitae moich ówczesnych kolegów, muszę przyznać, że prócz jednego p. Jana Casimir-Perrier, później prezydenta francuskiej republiki, z którym przeszedłem ostatnich pięć klas, tak jak i we wszystkich bodaj szkołach na świecie, powodzenia naukowe nie miały żadnego związku z późniejszym powodzeniem w życiu. Wszędzie robią „bajeczne karjery” i zwycięsko zdają „egzamin życiowy” nie pracowici, uczeni i mądrzy, lecz spryciarze. Zato pierwsi mają tę pociechę — rzeczywistość ogromną, że o ile później zostaną wierni pracy umysłowej i nauce, to znajdują w niej wśród wszystkich niezgód i rozczarowań życia towarzyszkę i pociesicielkę pewniejszą i wierniejszą od wszelkich małżonek i kochanek i to taką, która się nigdy nie starzeje i nie szpetnieje. Dlatego moi napozór bezowocnych ówczesnych prac jeszcze dziś nie żałuję.

Co zaś do wychowania, w którym sami chłopcy jeden na drugiego wywierali nie mniejszy wpływ niż nauczyciele, to uważane były za najgłówniejsze nad wszystkimi innymi górujące i niczem nie zastąpione zalety, szczerłość i odwaga osobista. Hipokryci, denuncjatorzy, których było bardzo mało, i tchórze podpadali pod tak zwaną kwarantannę, to znaczy ogólny bojkot. Naturalnie pojedynki w formie walki zapomocą pięści i nogi były bardzo częste, zwykle przy kilku świadkach, którzy otaczając uczestników ukrywali ich przed wzrokiem „piona” (to jest dozorey) i podlegały, jak pojedynki dorosłych, pewnej liczbie zasad uczniowskiego kodeksu honorowego. Co do mnie bardzo rzadko bywało, żebym w niedzielę stanął przed matką bez sińca, guza lub podrapania. Chociaż matka wówczas mnie nawoływała do łagodności i miłości chrześcijańskiej, potem w życiu nigdy nie żałowałem tych w dzieciństwie otrzymanych — i oddanych kuksaków.

A co do sukcesów na konkursach, muszę stwierdzić ku chwale moich z przed 60-ciu przeszło lat francuskich kolegów, że nie tylko one nie wzbudzały u mnie zdolnych lub mniej pracowitych tej nikczemnej zazdrości, jakiej później tyle razy doznałem w naszym polskim środowisku przy powodzeniach, które mi się czasem udawało osiągnąć, lecz owszem każdy pen-



sjonat wobec liceum, a w liceum każda klasa szczyliły się swoimi zwycięzcami, i nie szczędzono im szczerých pochwał.

Tak się żyło przez 7 pełnych lat i co do mnie, to były to lata najszcześliwsze w całym mojem życiu.

Wakacje 1858 i 1859 roku przepędziliśmy tak samo nad brzegiem morza w Dieppe, tylko guwernera Kossakowskiego zastąpił z rekomendacji kuzyna Laskowicza sławny wówczas w emigracji Rufin Piotrowski; wysłany za czasów Konarskiego jako emisariusz na Podole, schwytany przez Moskali, skazany na dożywotnią katorgę w Syberji wschodniej, korzystając z typowo mużyckiej powierzchowności i bajecznego zdrowia, uciekł i pieszo dotarł aż do Królewca, gdzie go jakiś zacny Niemiec przytulił, ochronił przed niemiecką policją i swoim kosztem wyprawił aż do Francji. Dziwnie skromny, ten nieświadomy bohater swojemi opowiadaniem i o tej swojej ucieczce (trwała dwa lata) więcej nauczył mnie polszczyzny niż swojemi lekcjami o literaturze i historii polskiej, które były raczej słabe.

## Rozdział IV.

Przed powstaniem. — Wakacje 1860, 1861. 1862.

W 1860 roku, kiedy oswobodzenie od pańszczyzny i uwłaszczenie włościan były już oczekiwane lecz nieogłoszone, a więc kiedy jeszcze trwały u nas stosunki średniowieczne, zdrowie małki o tyle się poprawiło, że już mogła szeptać, ale też coraz bardziej tęskniła do kraju; ojciec z całym obozem, z zupełnie już sfrancuziałą Kamilką a także Helenką Hryniewiecką, pragnącą poznać ojczyznę swoich rodziców, powiózł nas na wakacje do kraju. Na ten raz dojechaliśmy koleją aż do Wierzbolowa. na granicy między Prusami a państwem rosyjskiem.

1 [ Kilka dni przed wyjazdem na wieś przepędziliśmy w Wilnie. Ponieważ dzięki przedwczesnym naukom oraz małemu wzrostowi robiłem wrażenie niezwykle rozgarniętego chłopaka, ojciec lubił się popisywać swoim francuzikiem i wszędzie mnie z sobą zabierał. Ówczesne Wilno, oprócz wyłącznie żydowskich obrzydliwie brudnych i cuchnących dzielnic, właściwie ograniczało się do trzech głównych arteryj: Wielkiej ulicy i Zamkowej, jej przedłużenia między Ostrobramą i Katedrą oraz łączącymi się ulicami Świętojańską, Dominikańską i Trocką, Niemiecką i Wileńską. Co kilka kroków trzeba było się zatrzymywać dla przywitania się ze znajomym ojca i kilku słów rozmowy.

2 [ Mogę ręczyć honorem, że w tym ówczesnym Wilnie i do końca roku 1862-go ani jednego słowa innego jak po polsku (lub w żydowskim żargonie) nie zdarzyło mi się słyszeć. Ludzie prości, pochodzenia wiejskiego t. j. białoruskiego czy litewskiego, w mieście swojej gwary nie używali, urzędnicy niby rosyjscy — wszyscy byli Polakami, sądy wyłącznie z wyborów szlacheckich. Z wyższych urzędników byli tylko generał-gubernator Nazimow, — gubernator cywilny Pochwiśniew i prezes izby skarbowej De Roberti. — Wszyscy trzej szanowani i lubiani (a nawet policmajster Wasilniew, znienawidzony czepiański) używali z Polakami wyłącznie języka francuskiego, a jakiś dziesiątek drugorzędnych, wszyscy popisywali się wcale niezłą polszczyzną. Nawet

2 Aleksander II, odwiedzając tak zwane „prowincje zabrane“, gdy już przejechał Dźwinę lub Dniepr, używał tylko języka francuskiego. Daleko później ks. Włodzimierz Czertwiestyński, długoletni prezes naszego klubu myśliwskiego w Warszawie, opowiadał mi, że w tymże 1860-tym roku był na Podolu na bardzo licznym obiedzie, wydanym pod namiotem Aleksandrowi II przez szlachtę podolską. Pod koniec obiadu jakiś podniecony szlachcic wstał i piorunującym basem krzyknął: „A ja jeszcze piję zdrowie Najjaśniejszego Pana!“ — Nato cesarz, nawpół wstawszy, podniósł kielich i z uprzejmym uśmiechem, najlepszym akcentem odpowiedział: „Serdecznie Szanownemu Panu dziękuję.“ Zresztą przed 1830 r. (Aleksander II już miał rok 13-ty) Mikołaj I dał był swojemu starszemu synowi, jako następcy tronu polskiego, polskiego nauczyciela.

Na wsi całe wakacje przeszły nam nadzwyczaj wesoło, zwłaszcza na tak zwanych dożynkach, urządzanych choć z opóźnieniem kolejno w 14-ch kluczach rodzicielskich: Geranonach, Ługomowiczach, Łazdunach i Cicinie, dla poddanych włościan, bo czeladzi gospodarskiej przy pańszczyźnie zupełnie nie było, z nieskończoną ilością szynek, kielbas, serów kminkowych, beczek piwa i wiader miodu, z wykluczeniem wódki, i tańcami na trawie przy dźwiękach pradziadowskiej nadwornej orkiestry „artystów“, których ojciec rozmieścił po swoich 20 folwarkach w roli mniej więcej użytecznych oficjalistów i zbierał tylko na podobne uroczystości.

Wówczas jeszcze nasi włościanie i włościanki nie mieli pojęcia o marynarkach, stanikach i kapeluszach. Nosili, szczególnie do kościoła, swoje tradycyjne ubiory ludowe, te same co za króla Jagielly, u mężczyzn niezgrabne, a u kobiet bardzo malownicze, różnobarwne, szczególnie bogate i misterne ozdoby głowy, a na piersiach liczne rzędy kolorowych paciorków. Dziecięć lat potem już śladu tego nie było. Naturalnie wówczas moje badania psychologiczne nie mogły być głębokie — lecz powiem szczerze, że nie odniosłem podczas tych trzykrotnych wakacyj 1860, 1861 i 1862 roku żadnego wrażenia jakiegokolwiek niechęci wiosek do dworów; a z przesadnie liczną służbą dworską stosunki były zupełnie serdeczne, z odcieniem nawet poufałości, która kilkanaście lat później już ustąpiła miejsca ceremonjalnej lecz mniej życzliwej grzeczności.

We wszystkich majątkach ojciec, który dla każdego z nas przygotował stosownego konia wierzchowego, sam dobry jeździec, urządzał polowania z chartami. Odwiedzało się również pięć ciotek po stronie ojcowskiej i matczynej, każdą obdarzoną dość liczną dziatwą. Prócz jednej wszystkie mieszkały o kilkadziesiąt lub nawet przeszło sto kilometrów od Geranon. Wędrówka odbywała się w sposób następujący. Ponieważ zawsze

były popasy i co najmniej jeden nocleg, więc na przodzie pojedynczym wózkiem jechał chłopak stajenny, żeby uprzedzić żydów karczmarzy, aby przepędzili wszystkich swoich gości i przystąpili do powierzchownego oczyszczenia swoich zajazdów. We 3 godziny za nim wyruszała właściwa karawana, złożona jak następuje: primo Jaśnie Pan, sam jeden w koczku zaprzężonym czwórką koni w poręcz. Secundo tak zwany koczobryk takąż zaprzężony czwórką, zawierający paniczów z guwernerem. Kolejno ojciec zabierał do siebie od postoju do postoju jednego z synów, prowadził właściwie monolog, zawierający bardzo ciekawe i pouczające szczegóły o dawnym poźyciu w kraju i bardzo długie, a jeszcze nudniejsze morały o wszystkim, co trzeba w życiu albo robić, albo czego unikać, bo inaczej... marnie zginiesz.

Za paniczami jechała ogromna landara, karetka matki na stojących resorach, nader czułych, która po naszych piaszczystych, kamienistych, lub błotnistych litewskich drogach tak się kołysała, że biedna nasza siostra prawie ciągle chorowała na morską chorobę. Ta arka Noego była zaprzężona 6-ciu ogromnymi końmi — 4 w poręcz a 2 w lejce — i wiozła na koźle starszego stangreta, a obok niego ojcowskiego kamerdynera. W środku matka, Kamilka Mackiewiczówna albo na zmianę Helenka Hryniwiecka i siostra, a na przyczepionem ztyłu siedzeniu w rodzaju skórzannego fotelu, panna służąca.

Pochód zamykała ogromna, specjalnie na to zbudowana fura, już nie resorowa, również założona czterema końmi i wioząca kucharza, dziewczynę i cały stos materaców, poduszek, kołder, prześcieradeł, miednic i dzbanów, samowarów, rondli, patelni, wszelkich wiktuałów i łakoci, a wszystko przykryte kilkoma niewyprawionymi skórą — od deszczu. Ujeżdżało się przeciętnie po 10 kilometrów na godzinę, najwyżej 70 od rana do wieczora, popasało się i spało się, ile się chciało, — albo jak doradzała pogoda; oprócz straty czasu, o którym w późnym wieku człowiek się przekonywa, że właściwie co do rezultatów fuuta kłaków niewart... było daleko przyjemniej i wygodniej niż w dzisiejszych „sleepingach“, „dining-carach“, tem bardziej automobilach lub aeroplanach, w których człowiek ma wrażenie, że jest nadaną na pocztę kopertą lub posyłką.

4 Dwory naszych ciotek wszystkie były uważane w owe czasy za zamieszane. Jednak „pałace“ zawierały tylko po kilkanaście pokoi, z których co najmniej 4 tak zwane paradne. Pomimo to bardzo często siadało do stołu lub nawet nocowało z gospodarzami razem nie mniej niż 30 osób. Wszyscy byli syci, a jak się to mieściło i spało? Do tego służyły nieobliczone zapasy pościeli, naskubanych całymi pokoleniami poduszek, rozmaite chwilowo opróżnione gospodarskie zabudowania, a głównie błogosławiona niewybredność i skromność wymagań.

Może powrócimy do tego, jak już powróciła Rosja Sowiecka.

Na początku października cała banda prócz ojca powróciła do Paryża i do poprzedniego trybu życia.

Rzucając okiem wstecz na ten rok 1860, powiem, że chociaż uaturalnie starsi przede mną ze swojemi projektami lub marzeniami się nie zwieriali, ale wówczas jak również i dziś uczeń 4-tej klasy był daleko mniej głupi, niż się dorosłemu wydawało, i niejedno podpatrzył, podsłuchiwał i skombinował. Zresztą posługując się spostrzeżeniami mego mądrego ojca, który wówczas nie tracił żadnej sposobności rozszerzenia moich horyzontów.

Otóż retrospektywne moje wrażenie jest, że tej jesieni 1860-go roku, choć ta iskra, która miała rozpałić cały dzieścioletni pożar europejski, t. j. ekspedycja Garibaldiego do Sycylii, już była błysnęła, lecz jej oddziaływania na społeczeństwo polskie w moim kraju jeszcze spostrzec nie było można. Owszem, po wstąpieniu na tron Aleksandra II stosunki polsko-rosyjskie w wielkiej mierze zmiękły i złagodniały, co wzmocniało liberalne zamiary Aleksandra II. W szczególności jego twarde postanowienie przeprowadzenia reformy włościańskiej, które wśród szlachty i arystokracji rosyjskiej napotykało na wściekłą opozycję — w naszym społeczeństwie nawet wzbudzało współczucie; właśnie szlachta wileńska w 1859 r. pierwsza wystąpiła do cesarza z adresem, stanowczo domagając się zniesienia poddaństwa. To go do tej polskiej szlachty zbliżyło. Kolejno przyjął polowanie, urządzone dla niego przez braci Michała i Józefa Tysskiewiczów; potem nastąpił świetny bal wydany na jego cześć przez szlachtę, w specjalnie na ten cel wybudowanej, przy klubie szlacheckim w kamienicy ks. Irenego Ogińskiego, sali balowej. Serdeczny charakter przyjęcia tak mu się podobał, że gdy na początku 1861 r. wstąpił na tron pruski późniejszy Wilhelm der Grosse i zaraz zapowiedział młodszemu wiekiem, ale starszemu na tronie siostrzeńcowi swoją wizytę, Aleksander II zaprosił go do Wilna, aby się popisać dobrymi stosunkami, jakie zapanowały między nim a jego polskimi poddanymi, i dał znać, że życzyłby sobie, aby ten bal był powtórzony. To zaproszenie do walców zostało przez szlachtę narazie gorliwie przyjęte, — a gdy się już zaczęły manifestacje warszawskie jako preludjum do powstania,<sup>4</sup> zaproszenie zostało najniezręczniejsz w świecie wycofane, czego mściwy Romanow nie miał już nigdy zapomnieć ani przebaczyć.

Dnia 2 (14-go) lutego 1861 r. wyszedł manifest, który ogłaszał oswobodzenie włościan od pańszczyzny i władzy nad nimi

szlachty ziemiańskiej; przyznano im pełną własność ich nadziałów przy odpowiednim wynagrodzeniu dziedziców pieńędzmi, lecz jednocześnie faktyczne zastosowanie reformy odłożono na dwa lata, aby ziemiaństwu dać czas na zaprowadzenie inwentarzy roboczych, niezbędnych budynków i przejście od roboty przymusowej i darmowej do swobodnej i płatnej. Ten fakt był dla szlachty przewidziany i oczekiwany, lecz na głowy nadzwyczaj ciemnego wówczas ludu wiejskiego, składającego się z przeszło 98% analfabetów, spadł jako coś zupełnie niezrozumiałego, gdy go odczytano z rozkazu władz ze wszystkich prawosławnych i katolickich ambon. Dwuletniego terminu zastosowania nikt nie pojął, przyznanie prawa własności liczni włościanie rozciągnęli w swojej wyobraźni na wszystkie grunty, które dotychczas obrabiali t. j. i na swoje nadziały i na folwarczne ziemie pańskie, i można tylko dziwić się, że ta niezgrabna procedura nie wywołała daleko szerszych i krwawszych rozruchów niż te, które miały miejsce.

W naszym kraju zresztą ich nie było nigdzie w majątkach, w których gospodarowali sami właściciele, którzy dzięki naogół dobrym stosunkom ze swoimi poddanymi łatwo się z nimi dogadali. Lecz o miedzę od Ługomowicz, majątku mojej matki (później mojego), był ogromny klucz i niemałe miasteczko Iwie, służące jako centrum handlowe w okregu około 30 kilometrów, należące do hr. Augustowej z Tyzenhauzów Zamoyskiej. Od niepamiętnych czasów dziedzica tam nie widziano. Zarządzał dobrami 70-letni niedołęga, p. Jotejko, którego samego manifest prawdopodobnie pozbawił przytomności. Tam na pierwszym targu, połączonym wówczas koniecznie z mocną pijatyką, rozpoczęła się, wzrastająca z godziny na godzinę, fermentacja, która ogarnęła i sąsiednie majątki. Zebrał się kilkunastotysięczny tłum, który nocował na wozach pod gołym niebem. Naturalnie nikt nie wiedział, ani czego chciał, ani nawet o co idzie, — lecz ciągnęli ludzie zwykłym chłopskim baranym pędem, bez żadnej zresztą broni, nawet ręcznej, na zasadzie „jak usie tak i ja.“ Stary Jotejko od razu stracił głowę i schronił się na plebanję, którą był dość obszerny murowany dawny klasztor bernardyński. Proboszcz był mniejszym tchórzem, wikariusz ćwierć tchórza, domyślił się naprędce uprzedzić generalnego plenipotentę mego ojca, p. Józefa Szalewicza w Ługomowiczach. P. Józef, sam właściciel dwóch dobrych folwarków w lidzkim powiecie, był to typowy szlachcic polski z epoki p. Jana Paska, wówczas 50-letni, ogromny wzdłuż, w poprzek i w głąb, arcywąsaty, zapamiętały myśliwy i niedźwiedziobójca; natychmiast wziął ze sobą swego nadleśnego, jakiegoś szczerze mu oddanego stangrela-zawadżakę, zabrał, ile mógł znaleźć broni palnej, nabojów i dobry zapas żywności, poleciał co tchu do Iwia, rozpędziwszy w cwał swoją czwórkę

i hypnotyzując głupi tłum, przebił się przezeń i zamknął się w plebanji, którą w mgnieniu oka ufortyfikował, jak mógł szczególnie dodał jej mieszkańcom, trzęsącym się jak galareta, nie mało otuchy. Pięć dób zrędu siedzieli tam otoczeni kilkutyściczną czernią, którą trzymali w respekcie na odległość wystrzału (wówczas to było 120 kroków), pokazując się bezustannie dzień i noc, pokolei u wszystkich okien.

6 Tymczasem dowiedziano się o tej awanturze w Wilnie. Generał-gubernator Nazimow odkomenderował naprędce dwie rotę piechoty, które gdyby były wystąpiły czynnie, niezawodnie spowodowałyby wielki rozlew krwi. Ale całą sytuację i samych zbalaamuconych chłopów wyratował jego adjutant hr. Józef Tyszkiewicz z Landwarowa. Słyszac, jak przeznaczny generał-gubernator Nazimow rozpaczał, że będzie musiał uciec się do energicznych środków, podjął się doprowadzić wszystko do ładu własnymi kozakami, prosząc, aby dwie rotę piechoty w celach czysto demonstracyjnych oddano pod jego komendę, i dotrzymał słowa.

7 Józef Tyszkiewicz, wówczas ledwie 30-letni, był typem z bujnych czasów saskich lub nawet wcześniejszych. Osierocony przez ojca i matkę w wieku kilkunastu lat, rozporządzając dużym funduszem, kupił sobie o kilkanaście kilometrów od Wilna niewielki majątek Landwarowo, w którym dzięki tolerancji generał-gubernatorów Bibikowa i Nazimowa, chcących mieć przy sobie adjutanta z polskiej arystokracji, prowadził życie fantastyczne. Utrzymywał własnych 18-tu konnych kozaków, a dla ich i swojej wygody pół tuzina kozaczek. Jedyne zajęciem kozaków było przed codziennymi gośćmi, złożonymi z wileńskich pieczeniarzy, popisywać się „dzygilotówką“ (kozackie sztuki na koniu) i skakaniem przez pocztowe bryczki; niektóre kozaczki również skakały. Ekspedycja na Iwie była zresztą jego łabędzim śpiewem. Był już zadłużony po uszy, bracia i stryjowie zmówili się, wyszukali mu wyjątkowo szpetną, a jeszcze wyjątkowiej mądrą i wykształconą pannę Zofję Horwattównę, — córkę i siostrę gubernjalnych marszałków kijowskich. Na wielkim obiedzie bez uprzedzenia posadzili go obok panny, przy leguminie wstał jakiś prałat, wznosząc „zdrowie państwa młodych,“ i sztuka gotowa. Dzięki temu przeżył jeszcze 30 kilka lat najszcześliwszego pożycia małżeńskiego, kierując się zasadą, którą sam od niego słyszałem: „Ja jestem kiep, a Zosia mądra, więc niech ona rządzi i robi majątek, a ja będę robił głupstwa.“

Tymczasem w ekspedycji iwiejskiej rozporządził się jak wielki strategik. Mając za sobą piechotę na rekwirowanych wozach chłopskich, przeleciał od świtu do nocy około sto kilometrów, cichaczem przenocował w jednym z folwarków iwiejskich, a o 10-tej z rana wpadł jak cyklon na czele swoich 18-tu

kozaków, mających szable w pochwach a nahażki w powietrzu, na roisko chłopskie, na ogromnym rynku lwia. Kto tylko mógł, drapnął co tchu bocznymi ulicami i odetchnął dopiero w swojej oddalonej chacie, reszta momentalnie padła na kolana, wydała na cłybił trafił setkę niby podżegaczy, poczem uspokojony tłum sam z ciekawością asystował do wieczora „rozdaniu nagród“ to jest obłitej, po wielkopańsku wynierzonej, chłóście po gołym ciecie. Dostało się i płci pięknej, jednak przez koszulę; na noc wszyscy poszli lub pojechali do domu, leżąc na brzuchach dla łatwo zrozumiałej przyczyny. Piechota pozostała parę dni dla gruntownego objędzenia ludności — i wszystko tak się pięknie uspokoiło, że gdyby nie szczegółowy i nader interesujący list ojca do nas do Paryża, tobym przejechawszy kilka miesięcy potem przez to samo Lwie do Ługomowicz, nie domyślił się tej rewolucyjki w garuku...<sup>1</sup>

Ten sam rok 1861 — zapisał w naszej miejscowej historii kartę zaiste piękną, której ślady jeszcze się dają w znacznej mierze spostrzegać. Przekleństwem owych czasów było ogólne, naprawdę bestjalne, pijaństwo wiejskiego ludu podtrzymywane przykładem samej szlachty, a ułatwione fenomenalną taniością wódki (dobry kieliszek 40 % gorzałki sprzedawano na wsi za dwa grosze czyli kopiejkę). W czasie wyżej wspomnianych wakacyj 1860 roku nie można było jechać w świąteczne lub targowe dni pod wieczór uczęszczaną drogą, żeby nie najechać co paręset kroków na leżącego jak trup przy drodze lub nawet pośrodku drogi pijaka, nierzadko pijaczkę.

Otóż na początku 1861 r. prawdopodobnie dzięki wielkiemu podniesieniu się moralnemu, które towarzyszyło oswobodzeniu chłopów, biskup kowieński Wołaczewski — wielce godny kapłan choć trochę demagog — wymyślił założyć przeważnie wśród ludu „bractwo trzeźwości“. Ta myśl piorunująco się rozniosła po ziemi kowieńskiej i sąsiednich. Wszędzie, gdzie się

<sup>1</sup> Naturalnie tę historję streszczam nie de visu — lecz de auditu — jednak z najlepszych źródeł: z opowieści p. Józefa Szalewicza, później pułkownika Tyszkiewicza, którego dobrze znałem, i wkońcu jednej z ofiar tego dramatu. Gdy w 15 lat później objąłem Ługomowicze, służył tam jako fornał już niepamiętnego mi nazwiska tegi robotnik, noszący podług naszego zwyczaju przezwisko „Łynda“. Usłyszawszy, że dzięki byczemu głosowi i upodobaniu do butelki został schwytany jako jeden z głównych podżegaczy i otrzymał najwyższą porcję to jest 100 bizunów, starałem się dowiedzieć od niego o przebiegu tej całej sprawy. Niełatwo mi się to udało, bo jak się potem przekonaliśmy na niektórych bohaterach wojny tureckiej 1877 r., a także japońskiej 1904, pełnoprawni obywatele wyborcy i nasi prawodawcy tego kalibru wogóle mają i zachowują wrażenia póty tylko... póki skóra świerzbi. Nie bez zdziwienia, gdym przez grzeczność wypowiedział Łyndzie kilka słów współczucia o jego „męczeństwie“, usłyszałem odpowiedź: „I dobre było panoczku, czeho mnie było tam leści.“



gał wpływ kleru katolickiego, w niedzielę lub święta po szablonowem kazaniu księży, mając osobne księgi dla zapisania członków bractwa, nawoływali parafjan do osobistej przysięgi uroczystej z Krzyżem i Ewangelią i do ślubowania absolutnej trzeźwości. Ruch ten musiał mieć i miał dość dotkliwie skutki dla ziemianstwa, albowiem na wsi gorzelnictwo było bardzo rozpowszechnione. Mój ojciec sam posiadał pięć gorzelni i zaraz dwie zamknął. Pomimo to i ziemianstwo wzięło w tym ruchu gorliwy udział. Skutek był nad wszelkie spodziewania. Włościanie, wstydząc się jeden drugiego, gremjalnie zapisywali się do bractwa, pijaństwo wyszło z mody i nawet, gdy pokolenie ówczesnych braci całe wymarło, moda pijaństwa wśród wiejskiego ludu znikła; paralelnie także znikła i wśród szlachty, lecz to dzięki srogiej pokucie 1863 r. i jego następstwom. Rząd rosyjski starał się temu ruchowi ze względów czysto fiskalnych zapobiec. Lecz za późno. Kler prawosławny żadnego udziału w tym ruchu nie wziął, tak że aż do ostatniej wojny wszechświatowej można było w moim kraju utożsamiać trzeźwość z katolicyzmem, a prawosławie z pijaństwem.

Wakacje 1861 roku znowu spędziliśmy w kraju, lecz już w zupełnie innej atmosferze. Epopea Garibaldiego i prawie dokonane zjednoczenie Włoch rozpały już były „od morza do morza“ łatwo zapalne głowy polskie. W Rosji panowały nawskroś prądy liberalne i reformatorskie, demonstracje warszawskie już były w toku. Za nimi żaloba, czamarki i t. p.

Nasz przyjazd do Wilna właśnie zeszedł się z chwilą, kiedy pierwsze fale zarazy demonstracyjnej ku nam dochodzić zaczęły. W początku sierpnia, krótko przed zachodem słońca wjeżdżaliśmy do miasta jeszcze powozami, traktem kowieńskim przez Pohulanę, gdy przy samej bramie ujrzelśmy ugrupowanych paręset kozaków, zresztą bez pik. — Nikt nas nie zatrzymywał, ale gdy po stromej drodze w pełnym kłusie zjeżdżaliśmy, dopędziliśmy w pośrodku drogi luźnie rozpuszczonych kozaków, gorliwie machających na prawo i lewo swojemi nahajkami, podczas gdy po lewej (pod górę) w stronie Pohulanki, która wówczas aż do Zawalnej ulicy nie była zabudowaną i nie posiadała trotuarów, ciągnęła się ze śpiewem „Boże coś Polskę“ i kilku żałobnymi chorągiewkami niezbyt liczna, bo już częściowo rozpędzona, procesja. Przy Zawalnej ulicy tłum się kończył. Bez przeszkody zajechaliśmy do domu Millera na Niemieckiej ulicy i ledwieśmy występli, odwiedził nas młody architekt p. Szalewicz, syn wyżej wspomnianego dzielnego p. Józefa, i zdał nam jeszcze gorące sprawozdanie z całego ewenementu.

Pokazało się, i to słyszałem o wiele lat później od drugiego uczestnika tej manifestacji, p. Antuszowicza, iż tłum na

Pohulanek skierowała wieść, że ....z Kowna już wyruszyła szlakiem Napoleona armja francuska, wysadzona w Wierzbolowie przez flotę angielską! Naturalnie w tych manifestacjach nie obeszło się bez udziału niezbędnych u nas „animatorek“ podobnych wybryków, t. j. ładnych pań i panienek. Na czele ich stały wówczas w Wilnie pani Aleksandryna z Sulistrowskich Lubańska, która jak motyl wszędzie przelatowała, powtarzając swoje wieczne: „il faut chauffer, il faut chauffer“, uroczą pani Iza Tyszkiewiczowa z Waki, wyspecjalizowana w wyrafinowanych impertynencjach względem generał-gubernatorowej Nazimowowej, ładniutka i miłutka panna Walicka, która w czasie tej ekspedycji do Kowna na Pohulance zdrowo dostała nahajką po plecach od kozaka, ale miała w dwa lata potem zeniścić się na Moskwie tem, że wyszła zamaż za prawosławnego p. Michała Komara.

Cała opowieść młodego Szalewicz zrobiła na moich rodzicach bardzo smutne wrażenie. Ojciec już przewidywał, do czego doprowadzi ten obłęd. Zgadzała się z nim co do tego i matka, która choć bardzo egzaltowana i religijnie i patriotycznie, z powodu stanu swego zdrowia wiodła skoncentrowane w sobie życie i skłonna była do zastanawiania się nad rzeczami; to też gdy ojciec stanowczo zdecydował, że ani on, ani nikt z rodziny w tych dziecinnych i niebezpiecznych wybrykach manifestacyjnych udziału nie weźmie, — matka bez protestu poddała się w tak ważnej materji pod decyzję głowy rodziny i była bodaj jedyną damą, która do końca żałoby nie nosiła; tak samo sobie jak i swoim trojgu dzieciom zawsze nakładała jakąś kolorową ozdobę. To naturalnie nie miało odwrócić żadnej z przykrości i strat, których później, jak dalej opowiem, było nam sądzone doznać od rządu moskiewskiego wówczas, kiedy niemało ówczesnych manifestantów i manifestantek, podpalaczy unyśłów, jakoś się szczęśliwie wykreśliło.

Dużo, dużo rzeczy różni mnie od poglądów i metod działania p. Romana Dmowskiego; a jednak serdeczniebym go uściśnął za to, że w ostatniej swojej książce „Jak odbudowano Polskę“ miał pierwszy bodaj z naszych koryfeuszów politycznych szczerość i odwagę wypowiedzieć to zdanie, że wszystkie nasze powstania, wybuchły nie w porę, powinny być uważane ze względu na ich prowadzących nie za zasługę, lecz za ciężkie względem ojczyzny winy. Jak powiedział później wymowny Paderewski w Wilnie, nie wolno chodzić z pochodnią koło strzechy rodzinnej; kto to czyni i strzechę zapala, choćby się sam boleśnie oparzył, nie jest bohaterem, lecz karygodnym wichrzycielem.

Znałem i wówczas i później osobiście licznych uczestników awantury 1863 r., nie z grona konspiratorów i ludzi chętnie łowiących ryby w mętnej wodzie, bo nie nie mają do stracenia,

a spodziewają się wyskoczyć na ojców ojczyzny, lecz z grona tych „bene nati et possessionati,” którzy nie mogli nie paść pierwszemi ofiarami tego szaleństwa 1863 r.

Ani jednego nie pamiętam, któryby twierdził, że w tych latach miał najmniejszą, najbardziej oddaloną nadzieję powodzenia tej imprezy, do której się zaprzął. Owszem, wszyscy bez wyjątku na dowód swej przezorności chwalili się tem, że przewidywali, iż ta impreza (choć nie w takich olbrzymich rozmiarach, jak się to zdarzyło) skończy się klęską. Jeden z głównych organizatorów całego ruchu na Litwie — Gieysztor, w swoich Pamiętnikach wyraźnie to przyznaje; więc poco leżli i dla czego?

Jakich to mów wówczas się człowiek nie nasluchiwał! Jak dziś pamiętam: Jesteśmy na polowaniu u wuja matki w Kirjanowcach. Po obiedzie skromnie siedzę w kątku. Po salonie przechadza się czubaty młodzieniec, kopja Adama Mickiewicza w 1825 r., i wszystko kasuje. Nie będzie szlachty, nie będzie własności, nie będzie rządów, nie będzie duchowieństwa etc. — Ojciec cierpliwie: „A na miejscu tego wszystkiego co będzie?” Młodzieniec zarzuca czupłyne wtył, orliem wzrokiem otacza asystencję i — pauza: „Będzie lud... i naród!!!...” To była epoka „rozumu naturalnego żadną nauką nieprzyćmiowanego.”

Dzięki temu z dnia na dzień rosnącemu usposobieniu i trwodze o przyszłość, te wakacje 1861 r. przeszły dla mnie daleko mniej wesoło niż w roku poprzednim. W październiku byliśmy znowu w Paryżu.

Wstępowałem do 3 klasy (po francusku a po naszymu do 6-tej). Widnokrąg mój coraz więcej się rozszerzał; codziennie, powracając z liceum, u czyhającego na defiladę uczniów przekupnia nabywałem gazetę, koledzy inne, które nawzajem zamienialiśmy, i byłem zupełnie obeznany z biegiem ówczesnej polityki tak wewnętrznej jak zewnętrznej.

W 1860 r. Napoleon III, chcąc sobie zaskarbić na korzyść nie swej osoby, lecz swojej dynastji (wszyscy parwenjusze ulegają tej mrzonce) popularność w narodzie, wydał wówczas słynny dekret 24 listopada 1860 roku, który w różnych kierunkach, mianowicie co do narad w izbach prawodawczych, wprowadził do dusznej atmosfery życia publicznego, stworzonej przez zamach 2 grudnia 1851 r., dość silny prąd świeżego powietrza. Odtąd aż do katastrofy 1870 r. ustrój polityczny Francji zbliżał się podług moich wspomnień i wrażeń więcej niż gdzieindziej na kontynencie do tego wiecznie od ludzkości nieciągającego ideału: swobody wśród porządku.

Dzięki katastrofie 1870 roku, w której właściwie ówczesnym partjom lewicowym przypada daleko większa część odpowiedzialności niż samemu pseudo-Cesarowi, Napoleon III zyskał dotychczas w całej Europie daleko gorszą reputację, niż na nią

zasłużył, i już mniej więcej od 1900 r. we własnym kraju znajduje wśród umiarkowanej opinii coraz więcej zwolenników „okoliczności łagodzących“. Zamachy stanu, teoretycznie niemożliwe, powinny być sądzone głównie z punktu widzenia 1) niezbędności, 2) rezultatów. — Otóż zamach stanu 2 grudnia 1851 r. był niezawodnie niezbędnym jako powstrzymanie kraju na zgubnej pochyłości. A co do skutków, to jeśli Napoleon III popełnił co do spraw wewnętrznych względem swojego narodu i narodów europejskich prawdziwą zbrodnię, zaszczipiając im jako środek własnego wyniesienia chorobę ogólnego bezpośredniego głosowania, a w polityce zewnętrznej rzucając bez określenia warunków i granic „zasadę narodowościową“, za którą zapłaciła przede wszystkim sama Francja przez zjednoczenie równie jej wrogich Włoch i Niemiec, to wewnątrz kraju, jako szeroko wykształcony mąż stanu, pierwszorzędnny administrator, ekonomista i socjolog, potrafił nadać narodowi francuskiemu impet rozwoju we wszystkich kierunkach, którym on jeszcze żyje. Pod tym względem jego nowocześni naśladowcy, Mussolini, Primo de Rivera, Mahmud-Kemal Basza, mają jeszcze egzamin do zdania.

Gdy przechodziłem do 3-ciej klasy w liceum Bonaparte'go, wtedy równocześnie u p. Cousin przeprowadzono nas do wydziału „większych“. Dzięki temu zostaliśmy prędko wtajemniczeni w arkania nie tylko życia politycznego ale i światowego ówczesnej stolicy świata. Cennym naszym informatorem pod tym względem był p. Dimitri Benckendorf, wnuk słynnego szefa żandarmów Mikołaja I, a syn najstarszej z trzech córek późnie wzbogaconego na dzierżawie akcyzy Greka Benardaki, który osiadł w Brukseli, gdzie młoda wdowa Benckendorf wyszła powtórnie za mąż za markiza d'Asc. Korespondentem Benckendorfa w Paryżu, t. j. przedstawicielem rodziców, do którego chodziliśmy w niedziele i święta, był Le Duc de Bassano, właściwie Maret, syn słynnego szefa kancelarii politycznej Napoleona I. Salon księżnej de Bassano był jednym z najbardziej uczęszczanych w Paryżu i tam nasz kolega nasłuchiwał się wszelkich plotek światowych, które nam prawdopodobnie z przyprawą przynosił. Prócz tego pensjonat p. Cousin składał się prawie wyłącznie z synów ówczesnej paryskiej arystokracji lub plutokracji, nie wyłączając wybitnych synów Izraela. Mielśmy dwóch Rotschildów (jeden jeszcze żyje), jednego Percire'a, jednego Ginsburga, syna świeżo na krymskiej wojnie wzrosłego dostawcy wojskowego; prócz tego kilku kolegów miało starszych braci już lansowanych w wyższych sferach paryskiej kokoterji, dzięki czemu o ówczesnych po dziś dzień niezapomnianych kapłankach Wencry, amerykance Cora Pearl, uroczej Hortensji Schneider, twórczyni Pięknej Heleny i późniejszej wielkiej księżny Gerolstein, Julietty Bean, niebawem to-

warzyszki życia hr. Michała Tyszkiewicza, Anny Deslion i t. d., i o ich amorach wiedzieliśmy, jakbyśmy pod ich łózkami nocowali. Niemniej byliśmy obeznani z życiem teatralnym. Ojciec, sam gorliwy teatroman, zmuszał biedną naszą dewotkę matkę, aby nas dla wykształcenia prowadziła na widowiska, a ona dla cnoty więcej niż dla własnej przyjemności, gdyż nie miała żadnego poczucia muzycznego, prowadziła nas wyłącznie do opery włoskiej. Ta z dogorywającym Mario, potem Frascchini i Naudia, panną Penco (a w końcu 1862 z ukazującą się jak kometa Adeliną Patti) stała u zenitu.

Również p. Cousin, gdy rodziców w Paryżu nie było, prowadził nas w soboty lub w dnie świąteczne do „cnotliwych“ teatrów: t. j. do „Teatru Francuskiego“ i „Gymnase“, — w którym królowała niezapomniana Rose Clèri, — do „Wielkiej Opery“ lub „Opery Komicznej“. Ojciec bowiem był zdania, że wychowanie chłopców nie powinno być wyłącznie książkowe. Dlatego, aby każdy z nas miał „kilka strun przy swoim łuku“, od początku kazał nam brać, abyśmy „marnie nie zginęli“, jednemu i drugiemu extra lekcje muzyki i rysunku. To też chociaż brat, bardzo uzdolniony do rysunku i malarstwa, do 20 lat poleczki zagrać nie umiał, a ja mając prawdziwy wrodzony talent do muzyki nigdy prawidłowego nosa narysować nie potrafiłem, aż do wstąpienia do uniwersytetu mieliśmy się dręczyć, brat Ignacy fortepianem, a ja rysunkiem.

Wówczas, i właściwie aż do urodzenia samochodu (niech go licho weźmie), Pola Elizejskie i Lasek Buloński były w pogodne dni codziennym zbiorowiskiem wszystkiego, co w Paryżu miało jakąkolwiek pretensję do szyku. Kto tego nie widział, już dziś nie ma pojęcia o takiej defiladzie przepysznych powozów i koni. Zawsze bywało kilkanaście zaprzęgów czwórka „á la Deaumont“ t. j. z dwoma forysiami.<sup>1</sup> Dlatego też, jak wielki Talleyrand mówił, że kto nie znał świata wersalskiego za czasów Ludwika XVI, nie ma pojęcia o słodyczy życia, tak i ja powiedziałbym, że kto nie przeżył w Paryżu ostatnich 10 lat drugiego cesarstwa francuskiego, nie ma pojęcia o prawdziwej elegancji.

W r. 1862 znowu pojechaliśmy na wakacje do kraju. Na ten raz już dojechaliśmy koleją aż do Kowna, a 2 miesiące później wsiedliśmy do wagonu na dzisiejszym dworcu wileńskim. Coraz bardziej rozgarnięty chłopak, jakim już byłem, mógł odrazu odczuć, że to, co przed rokiem było zarodkiem choroby, już przybrało formę epidemji. Manifestacyj ulicz-

<sup>1</sup> Zaprzęgi á la Deaumont jeszcze 30 lat przed pojawieniem się samochodu zginęły z łasku Bulońskiego w r. 1871 z zaplanowaniem republiki.

nych nie było, lecz w kościołach prawie wszędzie, oprócz u rodziców w Geranonach, gdzie mądry proboszcz Bojarzyński podzielał zapatrywania mojego ojca, suplikacje kończyły się hymnem: „Boże coś Polskę“, czasami nawet pieśnią: „Z dymem pożarów“. Czamarki stały się ubiorem prawie obowiązkowym; naodwrot, po drugiej stronie, tolerancja rosyjska coraz więcej się wzmacniała. Tu wspomnę o wysiłkach w Królestwie wielkiego Aleksandra Wielopolskiego, który doprowadził do tego, że nie było innego urzędnika rosyjskiego jak tylko W. Książę Konstanty.

Na urzędach liczba Rosjan, już przedtem znikoma, jeszcze więcej się zmniejszała. Gdy w Grodnie zawakowały jednocześnie posady gubernatora i wicegubernatora, zamianowano generała w odstawce Chomińskiego, ziemianina z powiatu święciańskiego oraz naszego sąsiada p. Emila Umiastowskiego. Dziś mam wrażenie retrospektywne, uwzględniając stare tradycje prowokacyjne biurokracji petersburskiej, że ta pobłażliwość była wyrachowana dla wywołania, jak później 9 stycznia 1905 r. i w marcu 1917 tak zwanej „krwawej łązi“. Na to nasi szczerzy i udani patrjoci leżeli jak muchy na lep. Dodam, że w 1910 r., kiedy to w Radzie Państwa rozpatrywano projekt Stołypina o zniesieniu finlandzkiej autonomji i zrusyfikowaniu całej finlandzkiej administracji, mój kolega Ksawery Orłowski podchwycił taki koniec rozmowy między dwoma dygnitarzami: „Bieda w tem, że te szelmy Finlandczyki, to zimne głowy; ich tak jak Polaków na powstanie nie wyprowadzimy.“

Ojciec, który starał się wszelkimi sposobami uprzyjemnić nam pobyt w kraju, abyśmy go polubili więcej niż Francję, powziął myśl sprowadzenia nam na całe wakacje do Geranon wileńskiego berejtera p. Łukaszewicza z kilku jego wytresowanymi do wysokiej szkoły końmi. P. Łukaszewicz, który wówczas miał 45 lat, w r. 1848 zaciągnął się był pod Dembińskim i Bemem do powstania węgierskiego — i dlatego zapewne nosił się nie w czamarze, lecz w tak zwanej węgierce z szamerunkami. Odrazu zaczął mi okazywać szczególną przyjaźń i nazywał „porucznikiem“. Wziął z sobą oprócz swoich koni maneżowych jeszcze bardzo piękną klacz, nieujędzoną. Zrana braliśmy na tych koniach maneżowych regularne i metodyczne lekcje, a po obiedzie razem z siostrą, wówczas już 15-letnią panną, i naszą cioteczną siostrą Izabelą Mikoszanką, 18-letnią, która swoją urodą i wdziękiem czarowała całe młode Wilno, wyjeżdżaliśmy (brat i ja już na własnych koniach) na długie spacery. Wówczas Łukaszewicz sam jeździł na wspomnianej młodej klaczy, zawsze z wiszącą szablą przy boku. Nie przeszedł tydzień, jak się mnie, 14-to letniemu smarkaczowi, przyznał, że ta klacz należy do p. Józefa Śniadeckiego i że ją ujeź-

dza dla niego jako przyszłego rotmistrza formującego się szwadronu, w którym on Łukaszewicz będzie wachmistrzem!

We wrześniu tego roku odbył się ślub jednej z licznych pupilek, razem i siostrzenicy, mego ojca. Ponieważ dwór jej matki, graniczący z mińskim powiatem, był bardzo oddalony od wszystkich oczekiwanych gości i niebardzo obszerny, ojciec postanowił wydać ją za mąż z Geranon. A że dzięki ogólnie przyjętej żałobie narodowej zabawy taneczne były wykluczone, postanowił zastąpić je teatrem amatorskim. Widownię i scenę urządził w ogromnej sali murowanego, nowo w stylu paryskiego kościoła św. Magdaleny zbudowanego szpichlerza; salę tę ozdobiono girlandami z zieleni i kilometrami barwnego perkalu. Trupa składała się z dorosłego już i bardzo przystojnego mego brata jako pierwszego amanta, mnie jako pierwszego komika, Łukaszewicza jako rezonera, mojej siostry Marji i kuzynki Izabeli Mikoszanki, pierwszej jako naiwnej, drugiej jako kokietki, rachmistrza Niemca Schwarza, z natury na to skazanego, jako groteska. Graliśmy dwie jednoaktowe komedje Fredry: „Zręczność i przekora“, w której jako pysznie przez fryzjera Teatru Wileńskiego ucharekteryzowany brzuchaty i łysy dziad miałem bajeczne powodzenie, i „Nikt mnie nie zna“, gdzie jako chytremu i głupiemu ordynansowi mniej mi się udało.

Z wyjątkiem wyfrakowanego ojca wszyscy mężczyźni mieli na sobie najrozmaitsze patryjotyczne stroje, czamarkę, węgierki, kościuszkowskie sukmany i t. p., a gdy już siadaliśmy do ślubnego obiadu, zajechał czwórka tegich pstrokaczy wówczas bardzo modnych, poczekawszy oczywiście do stosownej chwili pod bramą, nieproszony i nieoczekiwany, ogromny, brzuchaty, zamaszysty, wykapany Zagłoba, p. Wilhelm Protasewicz, słynny na powiaty nowogródzki, lidzki i słucki dowcipniś, facecjonista ...i pieczeniarsz. Miał na sobie biały kontusz z wyłotami, karmazynowy żupan, pas słucki, safjanowe buty, konfederatkę z pawiem piórem, brakowało mu tylko karabeli, lecz naśladowcy Zagłoby nie lubią niespodziewanie spotkać się z policją. Ojciec nie był oczywiście bardzo rad tej proklamacji Rzeczypospolitej — ale gościnność polska obowiązywała tego nie okazać, i p. Wilhelm prędko zdołał swoją szaloną werwą okupić swój wybryk.

W październiku tego 1862 r. powróciliśmy znowu do Paryża i wtedy ja wstąpiłem do przedostatniej t. j. drugiej klasy. Ojciec miał przyjechać na święta Bożego Narodzenia. Prasa francuska bardzo zajmowała się kwestją polską. Książę Adam Czartoryski już od roku nie żył. Zastępował go jako król in partibus jego drugi syn ks. Władysław, żonały z ks. Ampara, morganatyczną córką królowej hiszpańskiej Krystyny,

zatem siostrą przyrodnią panującej królowej Izabelli; lecz chociaż odziedziczył półoficjalne światowe stanowisko swego ojca, nie odziedziczył ani jego wyjątkowego rozumu, ani szczególnie doświadczenia — i hotel Lambert stał się generalnym sztabem partji „białych“ ekstremistów, pchających otwarcie do powstania. Tradycyjnie odbywała się w hotelu Lambert na Boże Narodzenie wenta dobroczynna na korzyść biednej emigracji, w której sprzedawały nie tylko polskie, lecz i liczne francuskie lub też cudzoziemskie panie wielkiego świata. Wenta tego 1862 r., na którą mnie już ojciec zaprowadził, była wyjątkowo świetna i korzystna.

Figurowała na niej wówczas jeszcze młoda, niezbyt przystojna, lecz urocza hr. Marja Michałowa Tyszkiewiczowa (z domu Radziwiłłówna), której mąż, kolosalnego wzrostu, bardzo piękny, efektowny wielki pan i zawodowy utracjusz, objawszy po stryju Janie ogromną ordynację birzańską, już pośpieszył zainstalować się w pysznym apartamencie na Faubourg St. Honoré — gdzie z ich synami, moimi rówieśnikami, często się bawiłem. Na tej wencie kupił u własnej żony filiżankę herbaty i zapłacił za nią dziesięć tysięcy franków. Naturalnie wszystkie panie, nawet cudzoziemki, były w żałobie, a o zmartwychwstaniu Polski niepodległej od morza do morza mówiło się z taką pewnością, z jaką w sierpniu 1914 r. w Berlinie wrzeszczano „nach Paris“.



## Rozdział V.

Powstanie 1863 r. — Murawjew. — Uwięzienie ojca.  
Świat wileński. — Kaufman.

W drugiej połowie stycznia, właśnie gdy rodzice mieli u siebie kilku gości, przyszła wieść o powstaniu styczniowym 1863 roku.

Najpierw ojciec chciał natychmiast powrócić do domu, mając to szczególnie na względzie, że za parę tygodni ubiega termin dwuletni końca pańszczyzny i że nie ma zaufanego p. Józefa Szalewicza, bo ten uprzedniej wiosny w przewidywaniu kryzysu, aby przygotować doń swoje własne dwa folwarki w lidzkim powiecie, podziękował za służbę; lecz matka uprosiła ojca, aby poczekał, czy ten pożar ogarnie nasz kraj, czy nie. Prędko go ogarnął, i dzięki niewyczerpanej dobroci zacnego generał-gubernatora Nazimowa, który nie mógł się zdecydować na podpisanie nie tylko wyroku śmierci, lecz nawet wygnania na Syberję z jednej strony, a z drugiej dzięki drażniącym mowom we francuskim senacie ks. Napoleona i prezydenta Bonjean oraz notom dyplomatycznym Francji, Anglii i Austrii, o których można było przewidzieć, że się skończą żalosnym dyplomatycznym fiaskiem, także dzięki dwulicowości Napoleona III, jeszcze przed wiosną na całej Litwie zaczęli ludzie „chodzić do lasu“. Noty państw zachodnich skłoniły Aleksandra II i jego ministra spraw zewnętrznych, słynnego Gorczakowa, do natychmiastowego i energicznego stłumienia powstania, choćby dla uratowania tak zwanych zachodnich prowincyj. Lecz gdy poczęto szukać kandydata na miejsce Nazimowa, które mógł zająć tylko jeden z generał-adjutantów, panujący wówczas w Rosji prąd liberalny okazał się tak silnym, że wszyscy generał-adjutanci poczynawszy od ks. Suwarowa i ks. Paszkiewicza - Warszawskiego, oświadczyli cesarzowi, że nie widzą innego sposobu uspokojenia Polaków, jak zadowolnić ich żądania. A te żądania już wypowiedział w Paryżu p. Andrzej Zamoyski wyższemu dygnitarzowi, wysłanemu do niego w celu

zbadania jego programu, p. Enochowi (który mi to później sam opowiadał), w następnym krótkim dialogu: „Ależ wkońcu, panie Hrabio, czego pań od nas żąda?” Odpowiedź: „Allez vous-en“ (Wynoście się)! Zostawało tylko dwóch kandydatów, na których energię można było rachować: Poprzednik Nazimowa, stary generał-adjutant Bibikow (o przyczynach jego niełaski wspomniałem wyżej) i niemniej stary generał-adjutant Michał Mikołajewicz Murawjew, już od 1831 r., kiedy był gubernatorem w Grodnie, przezwany „wieszczatki“.

Ten zaś 2 lata wcześniej został usunięty z hałasem z urzędu ministra dóbr państwa wskutek tak krzyczących nadużyć, że pamiętny Herten w swoim w Londynie wydawanym „Kołokole“ (Dzwon), który Aleksander II codziennie czytywał, ogłosił siarczasty artykuł o tym Murawjewie i zakończył go słowami: „Michale Mikołajewiczu, jesteś państwowym złodziejem.“

Ale wierny tradycji swojej dynastji Aleksander II wolał powierzyć temu złodziejowi prawa nieograniczone (wierzchowny prawa) niż przebaczyć zacnemu lecz hardemu słudze.

Dowiedzieliśmy się w Paryżu, że pierwszym czytem nowego satrapy po przyjeździe do Wilna był rozkaz przedstawienia sobie spisu aresztowanych tego dnia osób. Na samym czele figurowali ksiądz Iszora, proboszcz z ludzkiego powiatu, który z ambony odczytał parafjanom manifest tak zwanego Rządu Narodowego, i cioteczny brat mojej matki, Władysław Laskowicz, 17-to letni uczeń instytutu szlacheckiego, którego jakiś szpicel podsłuchał, gdy na trotuarze jakiejś pannie powiedział, że „Francuzi już wylądowali w Wierzbolowie!“ Na marginesie obu tych nazwisk Murawjew napisał „razstrelat“ i nazajutrz rano obaj zostali bez żadnego sądu ani przesłuchania rozstrzelani na placu Łukiskim.

To tylko wzmocniło prośby matki. — Na wakacje pojechaliśmy znowu nad morze, ale już z racji niezbędnej oszczędności nie do Dieppe, lecz do tańszego Jécamp. Towarzyszył nam znowu Rufin Piotrowski.

Pod jesień, gdy potyczki powstańców na Litwie całkiem ucichły, ojciec już nie dał się wstrzymać — i powrócił do kraju. Murawjew, któremu musiał się przedstawić i który wiedział, że się trzymał na uboczu od wszelkich demonstracyj, przyjął go uprzejmie, przedłużył na rok matki i nasze paszporty, i zdradziecko poradził mu, aby zaraz pojechał do swoich majątków, czego ostrożni ludzie nie czynili z obawy przed różnemi podłościami, wymyślonemi przez naznaczonych do każdego powiatu wojennych naczelników, obdarzonych dyktatorskimi prawami, właściwemi t. zw. stopie wojennej. Ojciec pojechał, rozpatrzył się, zaprowadził jaki taki porządek i powrócił znowu do Wilna, skąd do Geranon przyjechał dopiero na siewy wiosenne, w kwietniu. W parę tygodni otrzymał od

naczelnika powiatu pułkownika Kołodziejowa grzeczny, lecz stanowczy list, w którym ten wypowiadał życzenie poznania się z nim i w tym celu wzywał go do Oszmiany. Ojciec, którego dusiła nasza tradycyjna buta szlachecka, odpowiedział, że wielce zajęty po długiej niebytności w kraju, będzie rad poznać p. pułkownika u siebie w Geranonach, czem się zgubił.

Zamiast pułkownika Kołodziejowa przyjechał oficer żandarmów z dwoma żołnierzami i nie spuszczając z oka podejrzanego, — kazał mu spakować niezbędne rzeczy i zabrał go z sobą do Oszmiany.

Tu muszę wspomnieć o pięknym czynie... żyda, trafem także Jankiela. Ojciec posiadał w sypialnym pokoju kasę ogniotrwałą Ficheta z Paryża, ze wszystkimi zamkowemi szykanami, a w niej gruby portfel zawierający państwowe rosyjskie papiery procentowe na sumę około stu tysięcy rubli. Nie stracił przytomności; składając przy pomocy służącego swoje rzeczy pod okiem oficera, który prawdopodobnie nic podobnego do tej kasy w życiu nie widział, okiem na nią nie rzucił, tylko głośno kazał temu służącemu, aby zawołał bardzo oddanego mu ekonoma Rodziewicza; temu zaś wśród głośniech rozporządzeń szepnął: „W tej chwili Jankiela Dudskiego sprowadzić do mnie do Oszmiany.“ Podano ojcowski powóz i konie, oficer siadł przy ojcu, w nocy przyjechali do Oszmiany. Ojciec podług zwyczaju zatrzymał się w karczmie Jankiela Bakszta, w której Napoleon w 1812 roku uciekając ze Smorgoń, z rotmistrzem Wąsowiczem przenocował. Tu postawiono przed wejściem wartownika i kazano ojcu, aby tej karczmy nie opuszczał, aż się zobaczy z p. pułkownikiem Kołodziejowem, lecz nie widział go aż po tygodniu.

Z samego rana już się pojawił Jankiel Dudski. Ze swoim wspólnikiem Markielem był od lat 20 jakby monopolistą całego handlu zbożem, lnem i t. p. u mego ojca i zawsze odznaczał się całkowitą uczciwością. Bojąc się, żeby lada godzina urzędnicy moskiewscy nie opanowali Geranon, a przedewszystkiem kasy ogniotrwałej, ojciec krótko powiedział Jankielowi: „Jedź do Geranon, udaj się do mego sypialnego pokoju z tym kluczem. Nastawiwszy słowo, otwórz kasę ogniotrwałą. Znajdziesz w niej portfel, zawierający na tyle sto tysięcy papierów procentowych, które lada chwilę mogą stanowić cały mój czysty majątek. Zawieziesz go do p. marszałka Jana Lubańskiego w wilejskim powiecie, wręczysz mu ten depozyt, aby go zachował do mego lub mojej żony rozporządzenia i przywieziesz mi jego odpowiedź.“ Jankiel, ubrawszy się na drogę w najskromniejszą odzież, jakby żebrak, jadąc od wioski do wioski na najętych chłopskich powózkach, trafił do p. Lubańskiego, depozyt wręczył, odpowiedź przywiózł memu ojcu; bardzo pięknie się sprawił.

Ale kilkanaście lat później, kupiwszy już ode mnie grubą partję lnu, skorzystał z mojej nieobecności i przy przyjmowaniu towaru oszukał mego głupiego rządcę w najhaniebniejszy sposób na jakieś około 300 rubli wartości. Gdy po powrocie spostrzegł się na tym figlu, zapytałem Jankiela: jakto człowiek, który w 1863 r. względem mego ojca postąpił tak honorowo, mógł teraz względem mnie popełnić tak mizerne szachrajstwo? Jankiel mi najspokojniej odpowiedział: „Jaśnie Pan niestuszenie ma do mnie pretensję. Wówczas to stary Pan, niech mu Pan Bóg życie przedłuży, zwrócił się do mnie, nie jako do kupca, ale jako do człowieka, jako do przyjaciela, bo taki między nami już był stosunek. Gdybym nadużył jego zaufania, byłbym ostatni z ostatnich. A Jaśnie Pan, gdy mi sprzedawał len, nie miał do czynienia z przyjacielem, ale z kupcem i był dla mnie tylko sprzedawcą, troszczącym się o swój interes, a kupiec o swój. A że Pan sobie wziął głupiego rządcę, to pańska bieda“ .....i zamknął mi buzię.

Gdy wkońcu p. pułkownik raczył wezwać ojca do siebie, sedno rzeczy się wykryło. Zaraz po przyjeździe Murawjew niaby dla ułatwienia operacyj wojskowych i możebności używania artylerji, kazał powycinać we wszystkich lasach dość gęste linje, których ślad można obecnie jeszcze dostrzec, i postanowił, że właściciel albo zapłaci włościanom za ich robotę podług oszacowania uaczelnika powiatu, a drzewo spienięży, jak sobie zechce — albo za robotę nic nie zapłaci, a włościanie zabiorą sobie wycięte drzewo darmo. Jeszcze przed powrotem ojca z Paryża włościanie za wiedzą władz całe drzewo sprzątnęli, a p. Kołodziejowi, z ich strony w spokoju pozostawionemu, zachciało się prócz tego od mego ojca uzyskać cenę robocizny, którą wyrachował na jedenaście tysięcy rubli, i naturalnie bez śladu wsadziłby do swojej kieszeni. Ojciec pewny siebie, zjadł trochę, i opierając się na danej mu przez samego Murawjewa radzie, aby się spokojnie udał na wieś, odmówił. Rozpoczęło się „dzieło“. Pretekstem było, że dowódca jakiegoś partyzanckiego oddziału, Wiślouch, przedzierając się lasami z Królestwa Polskiego w kierunku północnej granicy prusko-rosyjskiej i chcąc przekroczyć Berezynę<sup>1</sup> przez prom, znajdujący się na folwarku ługomowickim, zwanym także Berezyną, zatrzymał się w nim kilka godzin i kazał pachciarce Rubinowej wydać sobie, jakie miała zapasy chleba, masła i śmietany.

W nawiasie dodam, że w niczem system „chodzenia z pochodnią koło strzechy rodzinnej“ nie występuje jaskrawiej, jak w organizowaniu przez Warszawski Komitet Rewolucyjny zbrojnego powstania na naszych kresach. Pod względem mili-

<sup>1</sup> Mowa nie o Berezynie wschodniej, Napoleoniskiej, która wpada do Dniepru, lecz o zachodniej, znacznie krótszej choć spławnej, która wpada do Niemna.

tarnym było to coś żałośnie dziecinnego. Gdzie doszło do potyczki, powstańcy uzbrojeni wyłącznie w broń myśliwską, noszącą o 120 kroków, byli bez żadnych strat ostrzeliwani przez bezpiecznych Moskali, których ręczna broń już wówczas niosła na przeszło 300 kroków. Jedno pewne, że liczba zabitych Moskali w polu na Litwie nie równała się nawet trzeciej części powieszonych lub rozstrzelanych Polaków — (siedmiu w jednej Oszmianie wówczas, kiedy w całym powiecie nie zahuczał ani jeden wystrzał). Zresztą byłoby niesprawiedliwym zarzucać prawdziwym kierownikom tego ruchu „głupotę“.

Nie, nie, coś zupełnie innego. Niedarmo petersburski student Zdanowicz, słabo mówiący po polsku syn lekarza wojskowego, którego po śmierci syna spotkałem w jeneralskim mundurze, jeden z głównych organizatorów wileńskich, gdy go po odczytaniu wyroku na śmierć prezes Sądu wojennego zapytał, jakto tak bystry człowiek (a on nim był) mógł się do takiego stopnia omylić co do widoków powodzenia powstania polskiego, odpowiedział spokojnie: „Widzę, że p. pułkownik się zupełnie myli co do moich celów, one nie są chybione, ani moje dzieło stracone. Dokończy go pewnie, niżbym sam potrafił, mój spadkobierca ...Michał Mikołajewicz Murawjew.“<sup>1</sup>

Tu znowu bardzo pięknie się spisali żydówka i prawosławny pop. Rubinową zamknięto do więzienia do osobnej celi z oświadczeniem, że nie wyjdzie z niej, póki się nie przyzna, iż ojciec przed wyjazdem zagranicę (a było to 6 tygodni przed wybuchem styczniowego powstania) kazał jej, żeby powstańców hojnie ugościła. Rubinowa była w ciąży. Codzień ją straszono, że skoro urodzi, dziecko będzie od niej odebrane i ochrzczone na prawosławie. Urodziła córkę Rochłę i pomimo codziennych gróźb aż do oswobodzenia ojca trzymała się przy swoim, że powstańcy chleb i nabiał zabrali u niej gwałtem — a pan nigdy nic nie przykazywał.

Jednocześnie ponieważ z Ługomowiczami graniczy nad samym Niemnem prawosławne miasteczko Nikołajew, Kołodziejów wysłał oficera do popa nikołajewskiego Protasewicza, zakłętego pijaka, lecz bardzo godnego człowieka, aby kazał nikołajewskim włościanom zaświadczyć pod przysięgą, że ojciec ich namawiał, aby w razie zjawienia się polskich powstańców okazywali im wszelką pomoc. Protasewicz wobec oficera zwołał włościan, palnął im siarczyste kazanie, w którym przypominając im ważność przysięgi, groził im wszystkimi męczarniami piekła w razie, gdyby zeznali co innego niż prawdę,

<sup>1</sup> Miał rację. Jemu i jego stronnikom, którzy pchali do walki zbrojnej naiwne nasze polskie ziemiaństwo, wcale nie szło o to, aby to polskie ziemiaństwo zwyciężyło. Szło o to, aby ono zginęło. To był wspólny cel i Zdanowicza, i Murawjewa.

poczem włościanie jednogłośnie zeznali, że żaden z nich od kilku lat na oczy ojca mego nie widział. Protasewicza na miejscu zaaresztowano, odstawiono do Wilna, miał być na Sybir wysłany, ale arcybiskup Siemaszko (główny sprawca skasowania Unji w 1842 r.) jakoś go wyratował.

Nie mogąc na miejscu uzasadnić takiego wyroku, do jakiego dążył, Kołodziejow we wrześniu wyprawił ojca do Wilna, wprost do przerobionego na więzienie klasztoru Dominikanów, przeznaczonego dla niby niebezpieczniejszych więźniów. Mniej ważnych trzymano w klasztorze franciszkańskim.

Tymczasem brat i ja, zdawszy w sierpniu egzamin dojrzałości (baccalaureat ès lettres), czekaliśmy, już bez guwernera, w Dieppe, jak się pokierują niejasne wówczas dla każdego Polaka nasze losy. Około 1 października matka otrzymała od ambasady rosyjskiej uwiadomienie, że chociaż terminy jej i naszych paszportów jeszcze nie upłynęły, to jednak podług specjalnego rozkazu Murawjewa, o ile w ciągu ośmiu dni nie zjawi się z dziećmi w Wilnie, będzie uważana za emigrantkę, a jej majątki, które stanowiły większość rodzinnego funduszu, będą skonfiskowane. Na łeb na szyję powróciliśmy do Wilna równo we dwa lata po wyjeździe z niego.

Miasto już było nie do poznania: przede wszystkim co do personelu urzędniczego. W ciągu kilku miesięcy Murawjew zdążył, za wyjątkiem biednych „wolno-najemnych“ kopistów biorących po trzy ruble na miesiąc plus łapóweczki, zamienić wszystkich urzędników Polaków, na jaką szuje, każdy się domyśli; dobra połowa „nililistów“. To wszystko przyjeżdżało całemi pociągami, otrzymywało w kancelarji spis wakujących urzędów i w niedzielę rano zapełniało ogromną salę balową pałacu generał-gubernatorskiego. Satrapa w kilku słowach ze spisem w ręku rozdawał mannę. Zawiaływały się kabaretowe dialogi. O jednym mówiono jeszcze dziesięć lat później. Stoi wyciągnięty jakiś drab z fioletowym nosem. Podchodzi satrapa: „Ty, czego chcesz?“ — „Miejsca, Ekscelencjo!“ — „Jakiego?“ — „Kaznaczeja (kasjera) w Witkomierzu.“ — „Służyłeś?“ — „Służyłem, Ekscelencjo!“ — „W jakiej gałęzi?“ — „Inżynierem.“ — „Za co przepędzili?“ — „Górę skopałem, Ekscelencjo.“ — „Na równinie?“ — „Na równinie, Ekscelencjo.“ — „Na kasjera nie nadajesz się. Będiesz sędzią w Oszmianie.“ Został nim.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Memu śp. ojcu udało się tego ptaszka zamordować. W parę lat jako patentowany opiekun, doradca, protektor całej biedoty szlacheckiej w powiecie zaszedł do sądu, żeby wybrać dla wdowy po wygnańcu należną jej i zdeponowaną w sądzie sumkę. Sędzia, już zniszczony chorobą i śmierzdzący wódką o dwadzieścia kroków, chwycił się wy-

Zajechaliśmy do nowootwartego przez żyda Lewensona Hotelu Europejskiego, urządzonego niby wedle stylu europejskiego, t. j. z pościelą, bielizną i gazowem oświetleniem. Wszędzie pełno Rosjan, i wojskowych i cywilnych, patrole po ulicach; po zachodzie słońca nie wolno wychodzić bez latarni w rękę i „przepustki“ w kieszeni; conocne rewizje w mieszkaniach prywatnych; aresztowania wskutek najmniejszego podejrzenia; egzekucyj już nie było, bo cały materiał był wyczerpany; lecz po kilka razy tygodniowo długie szeregi ludzi wszelkich stanów, wieku i płci, — bez sądu wysyłano na Syberję, między innymi wielu chłopów żmudzkich; większość ich nie rozumiała po polsku, a jednak dla Polski cierpień, nie domyślając się, że ich wnuki po zmartwychwstaniu tej Polski będą z nią walczyły.

Matka najpierw udała się do gubernjalnego marszałka Aleksandra Domeyki, wielkiego przyjaciela i wielbiciela mego ojca. Bardzo serdecznie nas przyjął i zajął się gorliwie naszymi kłopotami; przez pierwszy miesiąc prawie wszystkie wieczory spędzaliśmy u niego razem z ciekawym w swoim rodzaju p. Reinholdem Tyzenhausem, największym na Litwie po zgonie Jana Tyszkiewicza bogaczem, wielkim oryginałem; o którym jeszcze wspomnę. S. p. Domeyko już 60 kilkoletni, mały, pękaty staruszek pod wielu względami nie był na wysokości swego stanowiska w takich czasach. Na ostatnich przed powstaniem wyborach szlachta go wybrała „fuksem“ głównie, żeby nie wybrać ks. Irenego Ogińskiego, niepopularnego, nie tyle dlatego, że dzięki żonie, ostatniej z wielkiego rodu Kalinowskich, bylej frejliny cesarzowej, w której się zamłodu kochał Aleksander II, miał w Petersburgu wyjątkowe stanowisko, ile dlatego, że był księciem, bogaczem, z wykwintnemi manierami i dość szerokiem wykształceniem.

Od samego Domeyki dowiedziałem się o szczegółach dokonanego na nim przed rokiem zamachu. Wkrótce po przyjeździe do Wilna Murawjew zażądał, aby Domeyko, wszyscy marszałkowie powiatowi i cokolwiek więcej znani ziemianie, podpisali adres wiernopoddaniczy jako odpowiedź na noty dyplomatyczne państw zachodnich. Pominio przysłanej mu zaraz z Warszawy groźby, że gdy adres podpisze, będzie zamordowany, Domeyko, chcąc i siebie i szlachtę ochronić od masowego wygnania na Syberję (co też zostało zastosowane do tych nielicznych, którzy adresu nie podpisali), sam podpisał i nawet innych do tego na-

---

biegów. „Ale, panie Sędzio, ta biedna kobieta umiera z głodu.“ — „Wy, Polacy, wszyscy niby umieracie z głodu.“ Ojciec, słodziutko: „Alboż to wszyscy mają umierać z pragnienia?“ Sędzia otworzył ogromny dziób, miał wykształcić jakieś grubiaństwo, natomiast wyrwał się potok krwi, który ojcu kamizelkę splamił — i wieczorem p. sędzia oddał Bogu swą szlachetną duszę.

mawiał. Jednak nie przyjął ofiarowanej mu przez Murawjewa ochrony policyjnej. W kilka dni potem zjawił się w przedpokoju jakiś młody człowiek, gwałtem wdarł się do jadalnego pokoju, w którym siedział Domeyko, lekko go pchnął sztyłem w ramię, a nadbiegłego służącego, który starał się go rozbroić, już ciężiej dwoma pchnięciami zranił i uciekł.

Ponieważ na pierwszej indagacji ten służący opisał mniej więcej powierzchowność mordercy, do której należało to, że miał czarne włosy a błękitne oczy, codzień, przeważnie na dworcu kolejowym, chwytało tych, którzy muiej więcej odpowiadali opisowi tego służącego (bo poczciwy Domeyko wyłgiwał się tem, że niby od bólu zemdlął i nic nie pamięta), pokazywano ich słującemu, który z rozkazu swego pana żadnego nie poznawał, — lecz pomimo to codzień jednego wieszano. Dopiero po tygodniu schwyceno przypadkowo na kolei prawdziwego zabójcę, który może na to, aby przerwać tę rzeź niewiniałek, przyznał się do swego czynu, został rzeczywiście przez służącego poznany, i na nim się serja tych egzekucyj zakończyła.

Przedewszystkiem szło o to, aby zobaczyć się z ojcem. Udałiśmy się w tym celu do świeżo nadesłanego z Petersburga w roli pomocnika generał-gubernatora, prawdopodobnie aby umoderować dzikie zapędy Murawjewa, generała świty Najjaśniejszego Pana, Aleksandra Lwowica Potapowa. Był to bardzo małego wzrostu, lecz elegancki, typowy rosyjski „Baryń“. Przyjął matkę i nas bardzo uprzejmie, mówiąc wyłącznie po francusku. Durzył nam głowę niby panującą „praworządnością“, jednak nazajutrz posłał matce dla niej i dla nas pozwolenie na odwiedzinę więźnia u Dominikanów.

Znaleźliśmy go powierzchownie bardzo znienionego i od roku wielce postarzałego w małej, lecz czystej celi klasztornej, którą dzielił ze starym emigrantem 1830 r., ks. Mirskim, wysłanym jako agent przez komitet paryski, w którym zasiadało niemało młodych ludzi, mogących być jego synami, lecz mających należyty dla własnej skóry respekt. Więźniowie mieli na dwóch tak zwanego dzieńszczyka czyli ordynansa, zacne moskalisko, który prosił ojca, żeby gdy go poprowadzą na szubienicę, darował mu swój piękny złoty repetier, a on zato sprawi mu uroczystą „panichidę“. Choć już był od przeszło miesiąca uwięziony, ojciec jeszcze przez nikogo badanym nie był i nie wiedział, jakie na nim ciąży oskarżenia. Powtórnie posłaliśmy do Potapowa, prosząc, by przynajmniej dał możliwość podejrzanemu wytłumaczyć się z zarzucanych mu przewinień. Potapow udał się sam do więzienia, wszystkie cele obszedł, cierpliwie ojca wysłuchiwał i stosownie do jego prośby kazał mu dać kałamarz, pióro, moc papieru i co najważniejsze, całe „dzieło“ wysłane z Oszmiany przez Kołodziejowa, zawierające



przeszło 300 stronic. Ojciec na wszystkie punkta oskarżenia detalicznie odpowiedział. Tydzień po wręczeniu tej odpowiedzi został wezwany do komisji śledczej pod przewodnictwem pułkownika Łosiewa i po bardzo krótkiej indagacji tegoż dnia oswobodzony. Jak się okazało, na tę rychłą decyzję ogromnie wpłynął następny incydent: Jednocześnie z ojcem, choć on o tem nie wiedział, oprócz rzeczywiście głęboko skompromitowanych Gieyszłora z Kowna. A. Oskierki, Edwarda Czapskiego i innych, niebawem wysłanych do wschodniej Syberji, siedział jego dobry znajomy p. Konstanty Kaszyc, żonaty z piękną Niesiołowską, zamożny obywatel lidzkiego i nowogródzkiego powiatów, niby naczelnik niby narodowego rządu jednego z tych dwóch powiatów; schwycony pod groźbą szubienicy odrazu stopniał jak masło na słońcu i wypowiadał się nietylko ze wszystkiego, lecz i o wszystkich. Gdy kolej doszła do mego ojca, na zapytanie, jakie miał stosunki z p. Oskarem Korwin-Milewskim i co wie o jego czynności politycznej, Kaszyc raptem rozbeczał się jak bóbr: „Ach żebym posłuchał tego mądrego człowieka, tobym tutaj nie był.“ Opowiedział, że krótko po powrocie ojca z zagranicy, rozpoczęli w jego mieszkaniu w hotelu drogą partję preferansa we dwóch. Było już koło północy, numerowy zastukał, wręczył Kaszycowi jakieś zapieczętowane pismo. Kaszyc po przeczytaniu złożył na stole już rozdane karty i, obiecując prędko powrócić, wyszedł. Powrócił dopiero w parę godzin później. Wówczas ojciec powiedział mu: „Panie Konstanty, ja zbyt dobrze ciebie znam i twoje przywiązanie do twojej pięknej żony, abym mógł wierzyć, że tak porzuciłeś naszą poważną partję dla jakiejś miłości. Nie pytam ciebie o nic, ale jasne jest dla mnie, że się dałeś wciągnąć do jakiejś intrygi natury politycznej,“ i jasno mu wytłumaczył, że sprawa jest beznadziejna i że Kaszyc może tylko zgubić siebie, swoją rodzinę i sam kraj bez możliwości oddania mu jakiegokolwiek rzeczywistej usługi.

Pomimo to uniewinnienie ojca było tylko częściowe, poważnie ze strony materialnej. Ojciec niemniej został internowany w mieście Wilnie bez prawa opuszczenia go. Jedenaście tysięcy rubli za wycięcie lasów musiał zapłacić, tylko już nie biednemu pułkownikowi Kołodziejowi, lecz do kasy nie więcej godnego zaufania samego generał-gubernatora. Sekwestr majątków, nałożony jeszcze podczas pobytu ojca w Oszmianie, został zdjęty lecz za opłatą ogromnej kontrybucji niby na koszt administracyjne. Ruchomość geranońska okazała się nie-  
tkniętą prócz piwnicy, gdzie nie zostało ani jednej pełnej butelki, a jedenastu ojcowskich oficjalistów, jednocześnie z nim aresztowanych, pomimo jego uniewinnienia wysłano jako materjał kolonizacyjny do Syberji na przeżycie. Ojciec musiał ich tam utrzymywać blisko przez 10 lat do czasu, kiedy jeszcze żyją-

cym pozwolono powrócić. Nakoniec w kilka tygodni po oswobodzeniu późno w nocy wpadł miejscowy policjant z rozkazem, aby ojciec zapłacił w ciągu 24 godzin tysiąc rubli grzywny „za samowolne zbudowanie katolickiego kościoła z prawosławnych kamieni.“ Rzecz szła o dużą i piękną kaplicę, którą ojciec jeszcze przed powstaniem w swoim dziedzicznym majątku Cicinie wystawił na grobie swego ojca, zniósłszy już spróchniały kościółek drewniany. Feralne 24 godziny nie upłynęły, kiedy ojciec już pospieszył dokumentami dowieść, że kościół w Cicinie wybudował uzbrojony we wszystkie wówczas potrzebne zezwolenia i że „prawosławne“ kamienie redukowały się do jednego kamienia grobowego jakiegoś prawosławnego chłopca, który to kamień znajdował się na linii nowego fundamentu i właśnie przez uszanowanie go, został wcielony do murowanej ściany tak, aby napis był widzialny. Lecz ponieważ ojciec zwycięsko wykręcił się od zapłacenia kosztów administracji majątku Ługomowicze, stanowiącego wyłączną własność w niczem niezamieszanej matki, Murawjew zdecydował: „Milewski zanadto mądry, nie można przecież mu wszystkich sztrafów darować.“ i kazał pieniądze ściągnąć.

Zaraz po przyjeździe polecałem z pełnem radości szesnastoletniemu sercem do mego przyjaciela z 1862-go roku „p. wachmistrza wojsk polskich“ Łukaszewicza; znalazłem go w tej samej węgierce, lecz zdarte szamerunki były zastąpione mundurowemi guzikami, na głowie czapka z urzędniczą gwiazdką i kołnierz mundurowy administracji stadnin państwowych. Wielki mój przyjaciel, partner we Fredrowskich komedjach, nazwał mnie na przywitanie już nie porucznikiem, lecz Hipolitem Oskarowiczem, ponieważ właśnie w swoim maneżu dawał lekcje konnej jazdy p. Oznabiszynowi, marszałkowi szlachty z nominacji rządowej. To było pierwsze moje rozczarowanie co do szczerości duszy ludzkiej... ale bynajmniej nie ostatnie i nie najgorsze.

A nazajutrz po wyjściu z więzienia ojciec pod Ostrą Bramą spotkał drugiego bohatera z tego pamiętnego zjazdu w Geranach, p. Wilhelma Protasewicza. Nosił także czapkę z gwiazdką Ojciec spostrzegłszy, że na prawo i na lewo na ulicy nikogo niema, niemiłosiernie go zapytał: „Panie Wilhelmie! A gdzież ten biały kontusz, ten pas słucki, te saffjanowe buty i ta konfederatka?“ Zagłoba zbladł jak ser szwajcarski i drapnął bez pożegnania.

Pierwszą troską oswobodzonego ojca było: Co począć z dwoma synami, którzy co tylko skończyli szkołę średnią, i to zagranicą? Brat miał 19-ty rok, jam ledwie zaczął 17-ty, i na tem skończyć się nauki nie mogły. Zapytany powiedziałem

ojcu, że (jak sam mówi) trzeba na przyszłość pomyśleć o własnym kawałku chleba, a ponieważ wszystko oznaczało w Rosji rozpoczęcie gorączki kolejowej i technicznej, prosiłem go, aby mnie natychmiast odesłał do p. Cousin, gdziebym mógł kosztem jednego dodatkowego roku, najwyżej dwóch, zdać „baccalaurèat è sciences“ z nauk matematycznych i przyrodniczych i wstąpić do szkoły centralnej: mając 20 lat byłbym już inżynierem. Ojciec się zgodził odrazu, ale nie zgodził się Murawjew. Gdy generał Potapow, który ojca wziął w protekcję, poprosił go o wydanie mi paszportu, satrapa odrzekł stanowczo: „Nie, ani jemu ani jego bratu do prawem określonych 20 lat wicku paszportu nie dam, dość się nauczyli po francusku. Nic się nie nauczyła matka rzyńskiego języka rosyjskiego.“

I przyszło się uczyć. Dano nam nauczyciela p. Rodewicza. Nie wiem, dlaczego od 14 maja obecnego 1926 r., kiedy to u nas następcą króla Batorego (daleki) i następcą kanclerza Zamoy-skiego tak grzeczniutko wynieśli się na rozkaz energicznego „ryzykanta“ — nie mogę zapomnieć pierwszej poezji, którą mi wówczas podyktował p. Rodewicz; tak jak dużo napozór pilszych rzeczy, nie jest i ona wcale pozbawiona głębokiej filozofji, i muszę to wspomnienie przed czytelnikiem wylać w nadzici, że mnie więcej prześladować nie będzie.

Ta poczja brzmiała:

„Wszystko moje, orzekł miecz,  
Wszystko moje, rzekło złoto,  
Wszystko wezmę, orzekł miecz,  
Wszystko kupię, rzekło złoto,  
Ruszaj precz, orzekł miecz;  
Otóż pójdę, rzekło złoto.“<sup>1</sup>

Jednocześnie ojciec wprowadzał nas do wileńskiego „świata“. Już nie był on tem, czem do 1861 r., kiedy z jednej strony szeroki dobrobyt wyżej wspomnianego dawnego i nowszego patrycjatu litewskiego, z drugiej strony trudności komunikacji z Warszawą, z Petersburgiem, a tem bardziej z zagranicą robiły z Wilna towarzyską stolicę. Murawjewowski terror, kryzys ekonomiczny wywołany przez emancypację włościan, kontrybucje i t. p. już dawały się mocno odczuwać. Pomimo to liczba domów otwartych, przy bardzo przyjemnym obyczaju, że panie domu przyjmowały co wieczór u siebie bez zaproszeń swoich raz na zawsze akceptowanych znajomych, powodowała, że młody człowiek mógł codziennie to tu to tam przyjemnie spędzić wieczór, naturalnie nie bez jednego, drugiego, stolika kart

<sup>1</sup> Wsio mojo, skazał bułat — wsio mojo, skazało złato;  
Wsio wożmu, skazał bułat — wsio kuplu, skazało złato;  
Paszoł woni, skazał bułat — i pajdu, skazało złato.

dla poważniejszych panów. Pierwszy dom, do którego mnie ojciec zaprowadził, był to sędziwego (musiał wówczas mieć najmniej 80 lat) księcia Konstantego Radziwiłła, żonatego trzeci raz z Karnicką. Posiadał dwa duże majątki, Połoneczkę w powiecie nowogródzkim i Towiany — w powiecie wilkomierskim gubernji kowieńskiej. Pochodził z najmniej zamożnej z pięciu linii Radziwiłłów, które się rozgałęziły w 16-tym stuleciu od ks. „Sierotki“; dlatego odgrywała w naszej historii rolę mniej wybitną od tamtych czterech gałęzi, i właściwie należała nie do rzędu „królewiat“, lecz do karmazynowego patrycjatu, o którym mówiłem na początku.

Starszą córkę (z drugiej żony Sulistrowskiej) ks. Edwinową Drucko-Lubecką już stracił, a z trzeciej małżonki miał pięciu synów i trzy córki, którzy wówczas dzięki wspomnianemu terrorowi przy nim się tulili. Starszy, już trzydziestokilkoletni ks. Mikołaj, bardzo dowcipny, oryginał tak z natury jak z postawienia, bo uważał, że Radziwiłł nie może nie być „typem“, często podhumorzony, a zawsze obrzydliwie zatabaczony, daleko później ożenił się z majątną starą panną Benisławską na Inflantach polskich i tam ugrzązł. Drugi ks. Maciej, bardzo bystry, już odgrywał rolę właściwego szefa rodziny. W kilka lat później ożenił się z bogatą hr. Krasieńską, osiadł w Warszawie i więcej go w Wilnie nie widziano; młodszy trzeci synowie, Karol, Konstanty i po dziś dzień żyjący Dominik, jeszcze nosili mundury gimnazjalne, córki jeszcze były pannami. Był to dom typowo partjarchalny.

Starzy państwo Rafałowie Słizuiowie — ona z Łohojskich Tyszkiewiczów, rodzona ciotka p. Izy Tyszkiewiczowej z Waki, w swoim czasie robiła furory jako piękna panna Kamilla na „assambleach“ za Aleksandra I. Mieli czterech dorosłych synów i dwie córki, które podbijały serca: starsza panna Rytta swoim dowcipem, młodsza Marietta swoją urodą. Pierwsza potem została kanoniczką; druga panią Domeykową.

O marszałku gubernjalnym p. Aleksandrze Domeyke już mówiłem. Co tydzień przyjmowała, wówczas bez tańców, dwa lata później już z tańcami, pani Grabowska, wdowa po bardzo zamożnym ziemianinie powiatu lidzkiego. Rodem zupełnie skromniutka szlachcianeczka, zachowała swoje parafjalne maniere, paliła nie papierosy lecz fajkę z sążnistym cybuchem, i dlatego wolała przyjmować towarzystwo mniej eleganckie niż to, jakie się zbierało w domach, w których bywałem. Matka jedynaka Stanisława, zrazu zawziętego gospodarza, potem w ciągu 40 lat zawziętego paryżanina, który jako stary kawaler umarł nad Sckwaną dopiero przy końcu wojny wszechświatowej, i czterech córek, z których starsza w tymże 1865 r. wyszła za wyżej wspomnianego p. Aleksandra Oskierkę, a po jego skazaniu na Syberję wraz z nim tam pociągnęła i umarła; trzy młode

sze, Kassylida, Franciszka i Marja, wyszły za Szymona Skirmunta, stryja obecnego posła w Londynie, p. Wereszczakę (siostrzeńca Mickiewiczowskiej Maryli) i Bolesława Warzyńskiego, również z lidzkiego powiatu, bliskiego krewnego mojej matki.

Zamieszkiwał wówczas w Wilnie p. Jan Lubański, przez krótki czas przed powstaniem marszałek oszmiański. Również i bliski od chłopięcych czasów przyjaciel mego ojca, żona z Sulistrowską, jeszcze bardzo przystojną. Oboje gościnni, ze wszystkimi pufali, prowadzili domi raczej rosyjskiego prowincjonalnego typu. Przyjmowali przyjaciół, przeważnie płci męskiej, od 10-tej rano. Pan w nocnej koszuli i kałesonach, pani w szlafroczku; skoro ktoś przyszedł, zaraz rozkładał się stół karciany, siadało się do preferansa, zrazu we trzech, potem we czterech, bo pani Aleksandryna grała jeszcze namiętniej i niegorzej od męża.

Oba domy Tyszkiewiczowskie, pp. Józefa z Landwarowa i Jana z Waki, były jeszcze zamknięte, bo obaj bracia cichutko siedzieli w Paryżu, nie śmiejąc się pokazać Murawjewowi; pierwszy dlatego, że uciekł przed nim od adjutanctwa, drugi z powodu wszystkich psikusów, jakie on, a szczególnie jego żona urządzali przed powstaniem jego poprzednikowi Nazimowowi. Jak mysz pod miotłą siedział też w pięknym obszernej mieszkaniu na Trockiej, z którego tylko wieczorem wylazł do marszałka Domeyki, już wspomniany bogacz Reynliold hr. Tyzenhauz. Choć niespełna 40-letni, dzięki kompletnej i znanej obojętności dla płci niby pięknej, przyjmował u siebie dość ograniczone kółko, razem damskie i męskie. Był to człowiek nie tylko oryginalny, lecz zupełnie niepospolity. Odrzucał sobie wszystko, co tam wpakowali paryscy profesorowie. Był razem i bardzo i niezmiernie mało czytany. Gdy ktoś kompetentny zarekomendował mu jakąś wartościową książkę (a znał dobrze obce języki), wnet ją nabywał, siadał nad nią na kilka godzin dziennie, czytając mniej więcej dwie stronicie na godzinę. Ale ciągle się zastanawiając, sprawdzając wszystkie nazwiska i daty w encyklopedjach, wyciskał wkońcu z tej książki dwa razy więcej materiału, niż go tam sam autor pomieścił, i już nigdy nie zapominał. Chorowity, pełen przesądów o swoim zdrowiu, naturalnie mało wydawał, a duże dochody składały się na znaczny kapitał, który gdy koło 1880 r. dostał się jego siostrze hr. Przeździeckiej, wynosił przeszło trzy miliony rubli. To też pomimo że cichaczem, pod sekretem, robił dużo dobrego, był zaliczany do zaszczytnego grona „świń”.

Przyjmowała jeszcze, tylko bliższych znajomych, pani Franciszkowa Kossakowska z domu de Lascy, ciotka daleko później skazanego w Petersburgu jakoby zabójcę swego szwagra Buturlina, O'Brien de Lascy.

Jednak kapelmistrzynią całego ówczesnego wileńskiego świata była pani Aleksandryna z Łęskich hr. Józefowa Ledóchowska; córka zamożnego obywatela z mińskiego powiatu i miejscowej włościanki (zresztą kanonicznie poślubionej) zawdzięczała temu nieco toporną powierzchowność, ale wesola, uprzejma, nieskończenie dobra i usłużna, naturalnie zdrowa jak świeża ryba, była ogólnie lubiana przez niezliczonych swych przyjaciół. Miała frenetyczną pasję do gościnności. Jej mąż hr. Józef, rówieśnik mego ojca, mały, elegancki, nieśmiały, był synem generała Ledóchowskiego i Górskiej ze żmudzkiej karmazynów, która po bezdzietnym bracie odziedziczyła dwa duże, w doskonałej glebie położone majątki, Poszerwińcie na granicy powiatów wileńskiego i wilkomierskiego oraz Ginteliszki na głębokiej Żmudzi. Przed powstaniem rachowano go na dobrych 50 000 rb. srebrnych dochodu. Chociaż już w długach, ponieważ pani Aleksandryna potrzebowała z jednej krótkiej przedkarnawalowej wycieczki do Paryża przywieźć 34 nowe suknie, a pan Józef w końcu tego karnawału sprzedać żydom 1500 próżnych butelek szampańskiego, jeszcze z tonu nie spuszczała. Zajmowali od dołu do góry obszerny trzypiętrowy dom na połączeniu ulic Wielkiej i Ostrobramskiej, wewnątrz urządzone i umebłowane bez najmniejszego smaku artystycznego, lecz bogato, w stylu 2-go cesarstwa francuskiego. Pani Aleksandryna przyjmowała codziennie, a oprócz tego, co dwa czy trzy tygodnie urządzała prośbą przyjęcia z kolacją, do przesyty wykwiutną, na 20 do 30 osób, na które zawsze nas prosiła. Wówczas tylko widziano pana domu, bo zresztą, choć wykształcony i odcytany, miał jedno nieszczęście: nałogowo pił „do poduszki“ i wieczorem był już niewidzialny. Już w następnym roku z powodu przegrania procesu o Ginteliszki, o którym jeszcze wspomnę, ten gościnny dom zaczął się stopniowo kurczyć, aż koło roku 1890 zupełnie zanikł, jeszcze przed śmiercią sędziwych już pp. Ledóchowskich.

W czasie, o którym obecnie piszę, funduszowymi gośćmi tego domu były dwa typy, z których jednemu było sądzonem odegrać później w życiu wileńskim rolę górującą: p. szambelan Cywiński i p. hr. marszałek Adam Plater. Pan szambelan był synowcem i spadkobiercą biskupa Cywińskiego, który przeszło 20 lat zajmował między księdzem Kłagiewiczem (ostatnim przed skasowaniem Unji) i ks. Krasieńskim, wygnanym na samym początku powstania (w którym nie był bez wszelkiej odpowiedzialności), tron episkopalny wileński. Tytułowano go szambelanem dlatego, że będąc kuratorem szpitala św. Jakóba, przyjął w nim w 1860 r. odwiedziny cesarza Aleksandra II i dostał, niebardzo licujący z jego już podeszłym wiekiem, tytuł kamerjunkra. Nadęty, nudny, bez cienia czy wykształcenia, czy dowcipu, nie był ani szanowany ani lubiany, ale wesola

i wiecznie spragniona kompanji hrabina Ledóchowska tolerowała go, bo żadna baba plotkarka w roznoszeniu lub wymyślaniu „ewenementów“ z nim się równać nie mogła.

Adam hr. Plater, do którego jeszcze nieraz powrócę, wówczas właściwie rozpoczynał karierę, ledwie zaczynając 30-ty rok życia.<sup>1</sup> Był synem długoletniego marszałka (z wyborów) powiatowego wileńskiego, legendarnego „Krokodyla“<sup>2</sup> i Żabianki, a właściwie Marcinkiewiczówny; albowiem gdy stary i zamożny dom Żabów wygaśł prawie jednocześnie na mężu najmłodszej córki mego pradziada Wollka, dziedzicu na Holszanach, i jego kuzynce, dziedzicze na Gielwanach w Wilkomierskim, ten ostatni wydając jedynaczkę córkę za pewnego p. Marcinkiewicza otrzymał dla niego zezwolenie dołączenia do własnego nazwiska nazwiska żony.<sup>3</sup>

Pan Adam hr. Plater został wybrany marszałkiem powiatowym rosieńskim, mając lat 22, i przed powstaniem dał się namówić na naczelnika powiatu z ramienia „rządu narodowego“. Gdy jego ojciec „Krokodyl“ wielce lojalny, zaziębiwszy się w cerkwi, umarł i p. Adam przyjechał na jego pogrzeb, Murawjew sprowadził go do siebie. Pokazało się, że doskonale wiedział o jego grzeszku, udzielił mu ojcowskiej admonicji i dał do wyboru: szubienicę albo marszałkowstwo powiatu wileńskiego z mundurem kamerjunktrowskim. Młodemu hrabiemu pierwsza alternatywa nie podobala się, zatem musiał przyjąć drugą; to był pierwszy stopień do jego późniejszej „bajecznej kariery“.

Trochę na marginesie tego towarzystwa, któremu dodawali mało szacunku, lecz trochę brakującej mu intelektualności, stali

<sup>1</sup> Jednak już był zarobił sobie na trafne przezwisko „hrabia Dinde“, które zachował do śmierci.

<sup>2</sup> To przezwisko, o którym wspomina Morawski, nie wspominając o jego pochodzeniu, p. Stefan Plater zawdzięczał temu, że w młodości wysłany po ciężkim zapaleniu płuc, na całą zimę do Kairu, widział na brzegu Nilu krokodyla, a że bajeczny nienk, jakim został do śmierci, jeszcze nie wiedział o egzystencji takich bestyj, potem przez całe życie wszystkich zanudzał opisywaniem potwora. Umarł już podczas rządów Murawjewa.

<sup>3</sup> P. Zaba, zięć ś. p. Samuela Wollka, wcześniej owdowiał, olbrzymiej sily, hulaka i zawadzaka, bardzo uszczuplił ogromny klucz holszański, odziedziczony po babce Sapieżance. Był oficer rosyjski, zorganizował w 1830 r. oddział powstańczy. Aresztowany, nim zdolał się dostać do wojska polskiego, miał przy sobie spis członków całego swego oddziału; prawdopodobnie był zdradzony, bo dwóch żandarmów go schwyciło w celu rewizji osobistej: jak drugi Samson w świątyni odrzucił ich na obie strony do ścian i kompromitujący papier potknął. Został skazany na katorgę i na Syberji umarł; w 1860 r., odwiedzając w Holszanach jego córkę, a moją ciotkę Korsakową, zaszedłem do kaplicy jeszcze nieźle trzymającego się zamku sapieżyńskiego i patrzałem na marmurowy grób jednego z Sapichów, przedstawiający nieboszczyka i pochylone nad nim dwie żony, gdy usłyszałem za sobą szept dwóch dewotek: „A to co?“ „Alboż nie widzisz, głupia, że to jest siedmiu braci śpiących!“

pp. Bolesław Łopaciński i Eustachy hr. Tyszkiewicz, bliscy przyjaciele.

Łopaciński, daleki krewny wyżej wspomnianej comlessy, bardzo piękny i elegancki mężczyzna, dawno już strwoił swój szczupły fundusik i żył, jak powiadają żydzi. „wiatrem“; uchodził za patentowanego dowcipnisia miasta Wilna; i zasłużenie. Jeszcze w 1914 r. powtarzano sobie niektóre jego kawaly. Był autentycznym i historycznym autorem „wilzu“, który od przeszło pół wieku znajduje co kilka lat w warszawskich humorystycznych pisemkach, a który uszanowanie dla historii zmusza mnie zwrócić prawdziwemu autorowi. Grasowała wówczas po Wilnie para zawodowych pieczeniarzy, oboje dzieci francuskich rozbitków 1812 r., państwo Dabry. Pani Dabry już za panowania Bibikowa była szpetną, niemłodą i wyschlą szkapą, ale jeszcze siadała do tańca. Na balu u generał-gubernatora Bolesław Łopaciński zaprosił ją dla żartu do walca. Wyższy od niej, spostrzegł wśród luźnego stanika beltające się dwie nieszczęśliwe kielbaski, zanurzył do próżni swoją pyszną brodę i między kielbaski ulokował... calusa. Oburzona francuzica poleciała na skargę do męża. Na sali u generał-gubernatora skandalu wywolać niepodobna; lecz gdy Łopaciński już wychodził, znalazł w szatni czekającego nań mściwego męża, który po francusku zdrowo mu sypnął w papę: Bolesław majestatycznie: „Panie Dabry, czy to na serjo, czy to żartem?“ — „Proszę wierzyć, że na serjo!“ — „To bardzo dobrze, bo ja takich żartów wcale nie lubię.“

Odwrotnie mu się udało z samym Bibikowem. Wiedząc o jego stosunku do następcy tronu, skoro przyszła wieść o śmierci Mikołaja I, wpadł do pełnego gości salonu i krzyknął: „Vous savez, nous allons perdre notre Bibichon!“ Nazajutrz zjawia się u Bolesława, który tytułarnie konsystował przy generał-gubernatorskiej kancelarii, policjant z rozkazem, by stanął natychmiast przed jego wysoką Ekscelencją. Pełny mundur, szpada, jakiś tam medalik; wchodzi do bardzo obszernego gabinetu, w którym już się znajduje cały personel kancelaryjny; siedzący na samym końcu przy biurku, generał-gubernator imponującym gestem każe mu stawać na baczność: „Jak się ja nazywam? — Proszę powiedzieć, jak się ja nazywam!“ — „Generał kawalerji, generał adjutant, Wileński Generał Gubernator, członek takich to rad, kawaler takich to orderów, NN. Bibikow.“ — Pauza i znowu: „Jak się ja nazywam?“ Da capo: „Generał kawalerji, generał adjutant“ i t. d. i t. d. — „Dobrze, ruszaj i pamiętaj, że nie „Bibiszon“.

Eustachy hr. Tyszkiewicz miał wówczas pięćdziesiąt kilka lat, a wyglądał na osiemdziesiąt, bo nie szanował ani zdrowia, ani siwych włosów i, naturalnie, kiedyś wcale niezłego funduszu. Należał do gniazda Tyszkiewiczów Łohojskich. Codzień



obchodził trzy główne cukiernie wileńskie: Bema, Szpora i Kehla, a powróciwszy do domu, zatapiał się w książkach. Szczególnie biegły w archeologii i numizmatyce, był prawdziwie interesujący.<sup>1</sup> Zaraz po wstąpieniu na tron Aleksandra II założył w oddanem mu skrzydle byłego Uniwersytetu Wileńskiego Muzeum miejscowych starożytności przy pomocy kilkudziesięciu zamożnych ziemian, do których rzędu mój ojciec należał, jako założycieli - protektorów towarzystwa; już w 1863 r. zebrał wcale okazałą kolekcję.

Na początku 1865 r. Tyszkiewicz przyszedł do ojca, prosząc go, aby tegoż wieczora przyszedł do Muzeum na zwołane z rozkazu Murawjewa ogólne zebranie członków towarzystwa, dodając zagadkowo: „Proszę też przyprowadzić ze sobą swego p. Hipolita, on nas wszystkich przeżyje i dobrze, żeby ktoś kiedyś mógł przypomnieć, co się dzisiejszego dnia zdarzyło.“

O 8-mej wieczorem zebrało się nas trzydziestu kilku; Tyszkiewicz przewodniczył i przedstawił zebraniu jeszcze bardzo pięknego, okazałego generała święty Arkadiusza Stolykina, ojca przyszłego wielkiego ministra, który pragnął wygłosić towarzystwu referat o przyszłości Muzeum. Naturalnie słuchaliśmy w niemem milczeniu. Referat był na temat rdzennie rosyjskiej natury i przeszłości kraju północno-zachodniego, a szczególnie miasta Wilna. Zawierał wszystkie wówczas przez Moskowskie Wiedomości stworzone, później przez Nowoje Wremia w ciągu pół wieku wzbogacane, a obecnie przez faworytów warszawskich sfer oficjalnych wskrzeszone banialuki i wymysły historyczne o przeszłości niby rosyjskiej naszego kraju. Naturalnie kamieniem węgielnym całej tej konstrukcji, odpowiadającym prawdzie historycznej, był to związek małżeński między w. ks. Olgierdem, synem Giedymina a ojcem Jagielly, i rosyjską księżniczką Twerską. Całemi stronicami opowiadało się głupie szczegóły o tem, co wówczas robili taki to pop, taki to bojar, czy bojarowa z jej święty, jako dowody rdzennie rosyjskiego charakteru całego kraju. Jeszcze pamiętam następną perlę beczelności: „I wówczas już drukowały się w Wilnie książki rosyjskie“, — dobre sto lat przed wynalazkiem druku! Konkluzja: że Muzeum wileńskie powinno nadal służyć wyłącznie zebraniu pamiątek, stwierdzających tę historyczną przeszłość kraju. i w tym celu przejść pod zawiadowanie władzy generał-gubernatorskiej. Tyszkiewicz z wielką godnością zapytał, czy kto chce zabrać głos — grobowe milczenie — zamknięcie posiedzenia, i wszyscy się rozeszli.

<sup>1</sup> Eustachy Tyszkiewicz posiadał oryginalny, dość zjadliwy dowcip; on to jakimś ważnemu kaufmanowskiemu rusyfikatorowi, przepraszającemu go za to, że mu na nogę nastąpił, odrzekł: „Proszę się nie żenować, jestem katolickiego wyznania.“

Wszystkie zbiory nie potwierdzające tezy p. Stołypina zostały wywiezione do Moskwy. Czy były zastąpione rdzeniem rosyjskimi pamiątkami i dokumentami, nie wiem, albowiem od tego czasu noga moja nigdy w tym budynku nie była.

W parę lat później p. Eustachy przeniósł się na łaskawy chleb do ordynacji birżańskiej i tam spokojnie zakończył żywot, krótko po wojnie francusko-niemieckiej — w 1870 r.

Z całego tego towarzystwa już przed wielką wojną w Wilnie nikogo nie było, i nie zostało ono przez nikogo zastąpione.

Mniej więcej w styczniu 1865 r. ciężkie represje osobiste ustały. Wszyscy, którym się udało dowieść jakiegokolwiek udziału czynnego w powstaniu lub w jego organizacji, już byli skazani to na śmierć (250 kilka egzekucyj naogół), to do ciężkich robót, to na osiedlenie w Syberji i t. p., i tylko niewielka liczba takich, którzy w organizacji brali rzeczywisty udział, lecz którym się udało różnemi sposobami ukryć, została nie-  
tknięta — a niektórzy z nich nawet parę lat później okazali się na czele „prawomyślnych“ (blagonadjeżnych).

Przystąpiono już do wykonania drugiej części programu genjalnego w swoim rodzaju Murawjewa, mianowicie do wyteńczenia w kraju polskości i polskich elementów społecznych — przede wszystkim polskiego ziemiaństwa. Do najbardziej skutecznych środków należały: obowiązkowa sprzedaż majątków w ręce niepolskie, która, choć jeszcze legalnie nie dekretowana, była już w projekcie i otwierały się dla niej drzwi. — Powrócę do tego. — Po wtóre prześladowanie religji katolickiej w formie zamykania kościołów, rozpędzania zakonów, między innymi Wizek w Wilnie, co właściwie trwało bez przerwy aż do 1905 r. — Najskuteczniejszym zaś środkiem, zmierzającym do tego, aby stale poróżnić między sobą stany włościański i ziemiański, było zasadnicze przekształcenie reformy włościańskiej, ogłoszonej 2/14 lutego 1861 r. a faktycznie wprowadzonej w życie równo w dwa lata później, na samym początku powstania.

Główne zasady tej pierwiastkowej reformy 1861 r. co do oswobodzenia włościan od wszelkiej zależności względem byłych ich panów i co do przyznania im pełnej własności gruntów, z których dotychczas korzystali, za wynagrodzeniem przez państwo gwarantowanym, już podałem wyżej.

Właściwie wtedy, gdy Murawjew spadł na kraj jak plaga egipska w maju 1863 r., główne zagadnienia reformy włościańskiej były już uregulowane. Od dwóch lat działali tak zwani pośrednicy, przeważnie porządni ludzie, choć najczęściej ich szala sprawiedliwości ciągnęła na lewo; pańszczyzna była skasowana, granice nadziałów włościańskich albo ustalone, albo łatwe do ustalenia, a ważna kwestja indemnizacji wszędzie uregulowana

dobrowolnie, albo przy pomocy tychże pośredników. W majątkach moich rodziców włościanie zobowiązali się bez szczególnych targów płacić blisko 25.000 rb. rocznej raty. To stanowiło niespełna 40 rb. od chaty i nie było wygórowaniem, ponieważ jednocześnie tak zwane „pustosze“ t. j. nadziały pozostałe bez gospodarzy (a było ich u rodziców około 30-tu), swobodnie wydzierżawione, płaciły 40 do 80 rb. od chaty.

Otóż tu genialny w swoim rodzaju Murawjew znalazł przepełnioną broń dla zniszczenia na zawsze bogactwa, zatem wpływu i społecznego znaczenia polskiego ziemiaństwa. Otrzymawszy przed swoją nominacją władzę prawodawczą, zastąpił całą reformę 1861 r. w podwładnej mu połaci sześciu tak zwanych północnych-zachodnich gubernij swoją własną „instrukcją“; organem wykonawczym jej zostały tak zwane komisje weryfikacyjne, obdarzone prawami prawie nieograniczonymi; wszystko właściwie zależało od usposobienia, bezinteresowności lub nawet chciwości prezesów tych komisyj.

Te komisje, które właśnie rozpoczęły swoje prace na początku 1865 r., przedewszystkiem obniżyły opłaty indemnizacyjne (z rozkazu Murawjewa) o niemniej niż 75 i 80 % dzięki prawu przyznania części gruntów włościańskich charakteru tak zwanych nieużytków, nieobciążonych żadną opłatą. W dodatku komisja określała lub poprostu stwarzała serwituty pastwiskowe, które aż do katastrofy 1914 r. służyły jako niewyczerpane źródło nadużyć i waśni między ziemiaństwem i włościanami. U rodziców indemnizacja roczna została znizowana z 25 tysięcy do 5,200, a o ile w Cicinie i Geranonach jakiś względnie porządek p. Popow okazał się umiarkowanym, to w Ługomowiczach i Łazdunach dzięki wsławnemu p. Tichejewowi ani jeden hektar lasu nie został swobodnym od pastwiskowego serwitutu.

Do wołających o pomstę do Boga nadużyć należało właśnie zastosowanie Murawjewowskiej „instrukcji“ w majątku Ginteliszki wyżej wspomnianego hr. Józefa Ledóchowskiego. Po ogłoszeniu konstytucji 3-go Maja jego dziad p. Górski — (takich przykładów było kilka na Żmudzi) — uniesiony porywem patriotyzmu, nie tylko oswobodził i uwłaszczył wszystkich swoich poddanych włościan, lecz zachowawszy sobie dla utrzymania swego dworu niewielką koło niego przestrzeń gruntu, całą restancję im rozdał na własność, obłożoną t. zw. wiecznym czynszem. Choć ten czynsz przynosił Ledóchowskiemu 36 000 rubli srebrem rocznie, zawsze zgóry opłacanych, był stosunkowo do tego stopnia umiarkowanym, że chłopci, ze swojej strony uniesieni gentlemanerją, gdy p. Hrabia przyjeżdżał do majątku mniej więcej na 6 tygodni co rok, urządzali między sobą komitetek gospodarczych, sprawadzali z Wilna artystę kucharza z kuchikami, służbę, cały obóz wiktuałów i najlepszych win i przez cały

czas pobytu dziedzica podejmowali go wraz z rodziną i gośćmi swoim sumptem. Otóż Murawjewowska komisja wymyśliła włościan ginteliskich obrócić wstecznie, po siedemdziesięciu kilku latach swobody, nazad w poddaństwo, tego samego wieczora zasłosować do nich manifest 1861 r. t. j. oswobodzić od poddaństwa i pozostawiając im jako nadziałowe wszystkie grunta folwarczne między nich przez Górskiego rozdzielone, ustalony wieczny czynsz przerobić na indemnizację, która niby z łaski została określona zamiast 36 000 rb. na 11 000. Ledóchowski próbował się procesować, przegrał we wszystkich instancjach, a że już jego i żony gościnność przysporzyła im 300 000 rb. długu, więc właściwie cała ta wspaniała fortuna nie wystarczyła nawet na opłatę całego długu.

Ten stan rzeczy gwałtownie wymagał obecności niego ojca w majątkach, a to tem bardziej, że choć sekwestr był zdjęty, żadnej administracji nie posiadał, prócz jakiegoś urwisa „czynownika“ z Oszmiany, przez Murawjewa wydalonego, któremu ojciec w chwili wywiezienia do więzienia do Wilna wystosował plenipotencję. Lecz Murawjew dalej go z miasta nie wypuszczał. Za to ojciec wczesną wiosną matkę i nas wyprawił do Geranou, aby włościanie poczuli, że dziedzice jeszcze są.

Tymczasem w Petersburgu z powodu jakichś niejasnych plotek dworskich, jak powiadano, opartych na niewyleczonej chciwości „złodzieja państwowego“, lub też dlatego, że Aleksander II tolerował tego kata póty tylko, póki go uważał za niezbędnego, niespodzianie Murawjew otrzymał dymisję bez naznaczenia mu następcy. Czasowo załatwiał sprawy bieżące generał Potapow. Ojciec natychmiast z tego skorzystał, żeby otrzymać uchylene swego internowania w mieście i również przyjechał do Geranou z zamiarem powrotu w krótkim czasie, aby coś stanowczego zdecydować o dalszem jego brata i nojem kształceniu. Nim rzeczywiście powrócił, okazało się, że w Wilnie zaraz po wyjeździe „wiesziatela“ — (który ze sobą wywiózł 14 wagonów nakradzionych ruchomości) — całe społeczeństwo polskie i drobna część niby „liberalizującego“ rosyjskiego, a poczęści i sam Potapow, tak niedyskretnie zaczęli manifestować swoje zadowolenie, że banda Murawjewowska, na czele jej słynny Katkow, redaktor „Moskowskich Wiedomostiej“, podjęli wrzask o wskrzeszonej „polskiej intrydze“. Ponieważ podług panującej wówczas chiłszyzny naznaczenie na taki wyjątkowo ważny urząd prostego generał-majora świty, jakim był Potapow, byłoby czemś zupełnie niezwykłym, awansowano go na generał-porucznika i ałamana Kozaków Dońskich, a do Wilna wysłano generała infanterji Kaufmana z instrukcją, aby Murawjewowskiemu systemu nie zmieniał.

Temu zwierzęciu Murawjewowi jednak nie można zaprzeczyć jednej „rdzennie rosyjskiej“ zalety, która w innych europejskich społeczeństwach, także i naszym jako „zguilem“ dawno wygasła, — mianowicie wdzięczności.

Jeszcze żył wówczas ks. Lipiński, superintendent (jakby biskup) duchowieństwa kalwińskiego na Litwie, stary przyjaciel dziada Samuela Wołka, jego współwyznawcy. Latem 1863 dano mu sekretnie znać, że jego młody syn, ciężko ranny w polityczce partyzanta Kołyszki (wkrótce powieszzonego) pozostał na polu, i że go wiozą do Wilna, — t. j. na szubienicę lub rozstrzelanie. Jednym skokiem poleciał do Murawjewa i ze wszystkiego się wypowiadał. Ten w rozpacz: „Ależ ojeze duchowny, broń Boże wpadnie w ręce władz. to i ja go nie uratuję!“ — Zadzwoził po adjutanta: „Rotmistrzu, momentalnie na konia, pluton kozaków z sobą, rozsiać się wzdłuż wilkomierskiego traktu, odszukać jadącego na furmance pod strażą rannego młodego człowieka. Będą ci mówili, że to schwycony powstaniec. To kłamstwo wierutne, ja wiem, że on został raniony na polowaniu: żeby nikt nie śmiał inaczej mówić! Rozumiesz? Prosto go odwieziesz do mieszkania pana Superintendenta na Zawalnej ulicy, jemu wręczysz, i milczeć!! — Rozumiesz! — Stupaj!“ — W pół godziny już u Lipińskiego czekał starszy chirurg wojskowy, przyjechał ranny, wyjęto mu kulę, co kilka dni oficer dowiadywał się o jego zdrowie, a gdy młody Lipiński wyzdrowiał, Murawjew posłał mu regularny paszport do jakiejś spokojnej gubernji środkowej i list rekomendacyjny do gubernatora, aby mu urządził „ciepłe miejsce“.

Okazało się, że w 1861 r. stary Lipiński będąc za interesem w Petersburgu, zaskoczony na ulicy jedną z tych północnych gwałtownych i nieskończonych ulew letnich, schronił się pod bramą; stare nogi go zabołały, wyczytał na tablicy „Genierał M. M. Murawjew“, przypomniał sobie, że go znał w Grodnie w 1831 r., i zaszedł dla odpoczynku. Został przyjęty jak archanioł Gabriel i później dopiero domyślił się dlaczego. Było to niedługo po hałaśliwym przepędzeniu Murawjewa z Ministerjum Dóbr Państwa, kiedy biednemu „złodziejowi państwowemu“ nikt w stolicy ręki nie podawał i nie poznawał go, więc żył jak zadżumiony.

Parę razy w życiu doznałem cennych przysług od drobnych moskaliów, o których nawet zapominałem, a oni nie zapomnieli, że kiedyś doznali jakiejś banalnej grzeczności od „Znatnowo baryna“. „Rosyjski człowiek“ to jest prototyp impulsywnego stworzenia, od którego, jak mi raz mówił mądry hr. Pahlen (ojciec, minister), można wszystkiego oczekiwać prócz tego, co prawdopodobne.

O otrzymaniu paszportu zagranicę dla mnie już mowy znowu być nie mogło, a Potapow, który dalek ojcem i nami się

interesował, poradził mu, żeby nas ani do Petersburga a tem bardziej do Moskwy do żadnego naukowego zakładu nie wysyłał — gdyż tam wśród młodzieży już się rozpoczęła była agitacja rewolucyjna tak zajmująco opisana przez Turgeniewa w jego słynnej powieści: „Ojcowie i dzieci“. Życzliwy generał bał się, żebyśmy przesiąknęli do szpiku kości „zgnilizną“ zachodnią nie wpadli w coś niepożądanego, i poradził ojcu, aby nas posłał do Dorpatu, wówczas zupełnie niemieckiego, gdziebyśmy znaleźli mniej obcą nam atmosferę i mniej niebezpieczne otoczenie. Ojciec się na to zdecydował. Ponieważ jednak trzeba było zdać rosyjską maturę i do nowego uniwersyteckiego roku miało się niespełna trzy miesiące, trzeba było nas wzmocnić w znajomości jednocześnie niemieckiego i rosyjskiego języka, więc już na wieś nie pojechaliśmy, lecz zamieszkaliśmy w osobnych dwóch pokojach i z własnym służącym u jakiegoś Niemca-Szwajcara Kellera, utrzymującego pensjonacik z pięciu uczniów gimnazjalnych. Dzieliliśmy ich stołowanie, wcale nieźle, mieliśmy codziennie lekcje niemieckiego języka z p. Kellerem, rosyjskiego z korepetytorem tamtych uczniów, a resztę czasu, mianowicie wieczory, zupełnie swobodnie.

Tymczasem Kaufman już kompletnie się zainstalował i okazało się, że w drugiej części systemu Murawjewowskiego, t. j. wykorzeniania polskości, żadnej zmiany oczekiwać nie było można. Nowych aresztowań i sądów wojennych już nie było, zato wysyłanie „na mieszkanie“ drogą administracyjną do wewnętrznych gubernij szło dalej. Czytałem na własne oczy tekst podobnej rezolucji, dotyczącej się jednego z naszych sąsiadów. Brzmiała dosłownie: „Takiego to z braku wszelkich dowodów jego udziału w ruchu powstańczym uważać jako sądownie niewinnego. Jednak ponieważ niemniej jest podejrzany o współczucie temu ruchowi, wysłać go w drodze administracyjnej do gubernji Tambowskiej.“ A skutki majątkowe takiego wysłania, choć ogłoszone później, oczywiście już były przewidziane.

Jednocześnie Kaufman właśnie dlatego, że był luteraninem, jeszcze więcej zaakcentował prześladowanie religijne. Zainstalował jako wojennego naczelnika powiatu wileńskiego jakiegoś półwarjata księcia Chowańskiego, — który mu obiecywał, że w ognieniu oka, przy zastosowaniu odpowiednich środków, wszystkich włościan katolików przywróci na prawosławie. Nie udało mu się, jednakże nie z winy wyższego duchowieństwa katolickiego. Tu bowiem trzej kanonicy: Żywiecki, administrator diecezji od czasu wygnania biskupa Krasieńskiego, Niemcewski i Tupalski (później zamordowany przez swego służącego), a w Mińsku słynny Sęczykowski, odznaczali się bezgraniczną gorliwością... w kierunku polityki rządowej. Lecz trzymali się murem sami włościanie. Bywały komiczne sceny. Przyleciał Chowański do

gminy (i parafji) Soleczniki w towarzystwie kilku kozaków i policyjnego „assessora“, którym na jego nieszczęście był łalar Sobolewski, później mój „isprawnik“ powiatowy. Chowański, przykazawszy zgóry zwołać do gminy wszystkich „starszych“ z różnych wiosek, zaczął wywierać na nich swoje krasomówstwo, wzięwszy do pomocy sąsiedniego popa. Trwało to parę godzin, a na wszystko włościwanie odpowiadali uporczywie: „Niechaj budzie, jak bywało za baćkau“. Zniecierpliwiony książę rozkazuje Sobolewskiemu zamknąć wszystkich do „chłodnej“ (gminna ciupa), aż się zgodzą, i spisać o rezultacie protokół, a do popa: „A ty, ojcie duchowny, ich przekonywaj.“ Siadł na bryczkę i pognął dalej. Ciupa miała kilka metrów kwadratowych, chłopów dwudziestu kilku, a na termometrze 30 stopni w cieniu. Skoro Chowański odjechał, Sobolewski wcisnąwszy chłopów do ciupy jak śledzie do beczki, wkońcu zaprosił do niej samego popa. Na jego protest: „Książę kazał, żebyś ich przekonywał, to nawracaj bezpośrednio a nie przez ścianę! Ja znam tylko otrzymany rozkaz!“ I popa także wcisnął. Po dziesięciu minutach pop już się dusił na śmierć i prosił o ulaskawienie: „A napiszesz protokół o kompletnem niepowodzeniu twoich wysiłków?“ Napiszę i podpiszę. — Papier, pióro, protokół na plecach jednego z chłopów o tem, że heretycy „upierają się w swoim błędzie“, i wówczas Sobolewski popa i chłopów wypuścił. O ile wiem, ci sami chłopie sołeczniccy jeszcze niedawno „upierali się w swoim błędzie“, kiedy Jego Ekscelencja Ks. Biskup Matulewicz, którego Rzeczpospolita tolerowała przez sześć lat, pod jego protekcją chciał ich przerobić na Litwinów.

W początku sierpnia ojciec powiózł nas do Dorpatu — koleją do Pskowa, potem statkiem wdół rzeki Wielikiej, częścią jeziora Pejpus i rzeką Embach do samego Dorpatu. Obawiając się, abyśmy odrazu wypuszczeni na swobodę „marnie nie zginęli“, ulokował nas u p. Jana Manteuffla, spolszczałego od kilku pokoleń na Inflantach polskich barona Zöge von Manteuffel. Tej rodziny aż do 1861 r. nie nazywano na miejscu inaczej jak „Seyami“. Był żonaty z panną Benisławską, której ojciec, stary p. Urban, z trzema młodszymi córkami także osiadł w Dorpacie w czasie rozruchów chłopskich na początku powstania.

## Rozdział VI.

### Uniwersytet Dorpacki. — Choroba.

Nad tym trzyletnim moim pobytem w Dorpacie niedługo się zatrzymam, raz dlatego, że zostawił w mojej pamięci może najmniej miłe wspomnienia z całego mojego życia, powtóre dlatego, że dziś, kiedy bezpowrotnie zaginął tam cały element niemiecki, ten nadal czuchoński Dorpał, już żadnego interesu dla jakiegokolwiek Polaka, czy nawet wogóle dla Europejczyka przedstawiać nie może.

Choć powiat dorpacki, graniczący od południa z gub. pskowską, a od północy z gub. estlandzką, administracyjnie należał do gub. inflanckiej ze stolicą Rygą, leżał jednak wśród strefy z ludnością czuchońską; dlatego obecnie należy do Republiki estońskiej. Trafiłem do tego kraju właśnie w chwili przełomowej, w której, choć dla postronnego świadka niepostrzeżenie, zaczynały kielkować pierwiastki tego przewrotu, który w 1918 r. zmył, może na zawsze, siedmowiekową historję zwierzchnictwa nad tym krajem rasy germańskiej. Do onej chwili trzy prowincje nadbałtyckie: Kurlandja, Inflanty i Estlandja, przedstawiały coś nakształt naczynia napełnionego wodą tubylczą, a nad nią dość cienką warstwą oliwy niemieckiej, przy kompletnej izolacji jednego płynu od drugiego. Kiedy w końcu XII wieku Zakon Kawalerów Mieczowych opanował ten kraj z rdzenną ludnością łotewską aż do połowy Inflant, a czuchońską we wschodniej części tychże Inflant i w przyszłej guberni estlandzkiej, ludność tubylcza, jeszcze pogańska, była w stanie bardziej zacofanym, niż ówczesne plemiona litewskie albo pruskie, bez żadnej organizacji państwowej, z jakąś elementarną gwarą, nie mającą nawet pisowni. Była właściwie bliższą dziczy niż barbarzyństwa. Byłoby niepojętem, że w 650 lat później t. j. właśnie w 1865 roku wyższa, ciągle trzymająca się na poziomie cywilizacji ogólnonieemieckiej, rasa najeźdców nie zasymilowała gruntownie aż do kompletnego zaniku rasy niższej, jak to się stało w Prusach Wschodnich, gdyby nie prawdziwy



obłęd polityczny, w którym ta wyższa rasa przetrwała aż do moich czasów. Złożona pierwotnie wyłącznie z rycerzy-szlachty, starała się ona sama utrzymać jakby mur chiński między sobą a rasą tubylców — plebejów. Za rycerzami stopniowo osiadła po miastach pewna liczba przybyłego z rdzennej Germanii mieszczaństwa. Ono się powoli kompletowało i dopełniało z bardziej uzdolnionych i przedsiębiorczych elementów łotewskich lub czuchońskich, lecz zaślepione w swojej dumie kastowej rycerstwo tego nie lubiło i jeśli tolerowało w obrębie miast, to na wsi uporczywie walczyło z tą naturalną asymilacją. Kiedy ten zakon rycerski krótko po przyjęciu luteranizmu ostatecznie przekształcił się na ziemiańską arystokrację, stałem w ciągu przeszło trzech wieków jej dążeniem było odgrodzić się „od niższej rasy“ krajowej. Bardzo dużo dla niej zrobiła; pierwsza w całym cesarstwie rosyjskiem (do którego należała już od czasów Piotra Wielkiego) zaprowadziła szkoły ludowe, ale po czuchońsku lub łotewsku. Pierwsza jeszcze za Aleksandra I skasowała poddaństwo, pańszczyznę i zaprowadziła administrację i sądy gminne: po czuchońsku; nabożeństwa i nauka w parafjach wiejskich odbywały się wyłącznie po czuchońsku, chociaż pastorowie, uczniowie niemieckiego Uniwersytetu Dorpackiego, byli mianowani przez kolatorów Niemców. Nieraz słyszałem w samym mieście, że gdy do którego z kolegów - baronów jaki prostak czy półprostak czuchońskiego typu przemówił po niemiecku: Herr Baron, ten systematycznie odpowiadał po czuchońsku. Dzięki temu Dorpat, gdym go poznał, składał się socjalnie z dwóch miast: oliwa, to jest ziemiaństwo, inteligencja, kupiectwo, do drobnych detalistów włącznie, studenterja, niemniej niemieckie niż w jakimś Bonnie czy Heidelbergu, może więcej, bo przesadzano w małpowaniu ideowego Vaterlandu, i woda t. j. rzemieślnicy i wszystko, co przybywało ze wsi. Po kilku latach jazdy po ulicach dorpackich dorożkarz nie rozumiał ani słowa po niemiecku, bo nikt nie raczył przemówić do niego inaczej jak w jego gwarze. Dzięki temu cały mój słownik czuchoński, którego nie zapominałem, ogranicza się do jazdy: sajda (ruszaj), rutta (prędko), kurra ketti (na prawo), paramaketti (na lewo), peakim (stój), ejola rachwa (niema pieniędzy t. j. drobnych).

Otóż właśnie w tym 1865-tym r. rosyjscy nacjonałiści: Katkow, Aksakow, Jerzy Samarin, za nimi Suworin, rozochoceni rusyfikacją naszych kresów, zaczęli stopniowo śledzić za tropem drugiego „wykorzeniania“, mianowicie germanizmu w „rdzennie rosyjskim nadbałtyckim kraju;“ odkryli, że Dorpat przed przybyciem Kawalerów Mieczowych był jakoby Juriewem. Odkryli też, że tak jak u nas antagonizm klasowy między chłopstwem a ziemiaństwem może być skuteczną dźwignią dla polityki rozkładowo-nacjonalistycznej; stąd poszły (już nie za moich czasów) paralelnie ruch narodowościowy łotewski i czuchoński, oraz ru-

syfikacja urzędów, piśmiennictwa administracyjnego. a w końcu panowania Aleksandra III nawet zamiana w Uniwersytecie Dorpackim języka niemieckiego jako wykładowego na język rosyjski. I wówczas rozpoczęła się agonja tego uniwersytetu, który dotychczas stał na samem czele ognisk naukowych w państwie rosyjskiem.

Lecz gdy zamieszkał w Dorpacie, to wszystko jeszcze było w zarodku. Miasto, dostrzegalne dla cudzoziemca, towarzystwo, manieri, obyczaje i stroje, to wszystko było, jak mówiłem, bardziej niemieckie niż nad Renem.<sup>1</sup>

Zdanie niemieckiej matury poszło nam bardzo łatwo. Przeworny ojciec poznał się z kuratorem uniwersytetu hr. Keyserlingiem, który wiedział, że francuskie *baccalauréat è lettres* stanowi lepsze przygotowanie do fakultetu prawnego, na który zamierzaliśmy wstąpić, niż ukończenie dorpackiego gimnazjum; dał odpowiednie instrukcje, i po zdaniu przez nas egzaminu z języków starożytnych i historii powszechnej, który był triumfalny, resztę ułatwili nam sami egzaminatorowie.

Skład Uniwersytetu Dorpackiego wówczas był w porównaniu z głównymi rosyjskimi nieliczny, pięćdziesięciu kilku profesorów i docentów, wyłącznie Niemców, nawpół miejscowych, nawpół sprowadzonych z Vaterlandu. W pięciu fakultetach niespełna siedmuset studentów. Z nich przeszło sześciuset pochodziło z samego kraju bałtyckiego, tylko pięciu z rdzennej Rosji, czterdziestu kilku Polaków, a z nich połowa teologów o nazwiskach wyłącznie niemieckich z Królestwa, reszta z Litwy lub Inflant polskich. Niemcy za wyjątkiem kilku tak zwanych „dzikich“ należeli do czterech „Landschaftów“ (Kuronji, Litwonji, Estonji i Rigensis) — i bardzo nielicznej Arminji (niaby Związek Cnoty). To wszystko było jak najściślej skopjowane z niemieckich korporacyj studenckich. Niemniej ściśle małpowało się obyczaje niemieckich burszów. Pojedynki na tak zwane rapiery, t. j. szerokie proste i ciężkie obosieczne klingi, z twardymi filcowymi hełmami na głowie, obandażowanymi arterjami, dzięki czemu przypadki śmierci zdarzały się raz na kilka lat, a mniej więcej raz na rok w pojedynkach na pistolety, również mało poważnych, ze studentami nie należącymi do żadnej korporacji, lub tak zwanymi filistrami t. j. nie-studentami. Lecz podstawa, że tak powiem, racją bytu życia burszowskiego było... pijaństwo, bądź na perjodycznie urządzanych „komersach“, bądź na codziennych prawie schadzkach w knajpach. Polacy, choć formalnego związku wówczas nie posiadali, we wszystkim prawie naśladowali Niemców. Brat Ignacy prędko wyszukał

<sup>1</sup> Prawo rosyjskie wykladał mi po niemiecku prof. Engelmann podług tłumaczenia z rosyjskich kodeksów (Swod Zakonow). Tak samo z historją rosyjską i rosyjską literaturą.

sobie grono kolegów między niemiecką baronerją — z Polonją mało obcowal i dzięki temu nie był przez nią lubiany. Moje z nią stosunki były lepsze, lecz pomimo że nie zarzucano mi tak jak bratu arogancji, zostawałem dla niej raczej obcym; tam panowały przeważnie samodziałowe czamarki, długie buty i wątpliwej czystości bielizna, a ja nosilem się po zachodniemu.

Nie bez tego, żebym w pierwszych czasach nie dał się wciągnąć do holdowania Bachusowi, a raczej Gambrinusowi (bo się upijano wyłącznie prawie piwem), lecz już w końcu pierwszego roku położyłem temu kres. Miałem zdać, pierwszy raz, egzamin z historii niemieckiego prawa. Ciekawy z natury i pracowity byłem doskonale przygotowany — ale stanąłem do egzaminu o 8-mej rano po całonocnej bibie i śmierzdziałem alkoholem jak lis. Profesor Meykow zwrócił mi na to najsluszniejszą w świecie uwagę, a ja odpowiedziałem tak opryskliwie, że obrażony profesor zaczął mnie dusić, i choć przyszło mu przekroczyć o całe dziesięć minut ustawową półgodzinę egzaminu, wkońcu mnie zerznął. Jedyny raz w życiu. Jestem jego pamięci po dziś dzień wdzięczny za to, albowiem to nieoczekiwane i z punktu widzenia wyłącznie naukowego niezasłużone niepowodzenie zwróciło moją uwagę na zupełnie niestosowny dla byłego ucznia p. Cousin i Liceum Bonapartego tryb życia, który prowadziłem.

Ponieważ pp. Manteufflowie już powrócili do swojego majątku na Inflantach i miałem własną kwaterę, napisałem kredą na drzwiach klasyczne „Aus“, co znaczyło, że student-mieszkaniec już oddaje się pracy i nie chce, aby mu przeszkadzano; odtąd aż do skończenia studjów prawie z nikim się nie widywałem, prócz paru kolegów nieburszowskiego typu, rzadka z rodziną Benislawskich lub pp. Keyserlingów, którzy co kilka miesięcy nas zapraszali na śniadania.

Ten hr. Keyserling był bardzo niepospolitą osobistością. Wykształcony, wielkopańskich manier, bardzo dowcipny, był dzięki temu wielce ceniony przez cesarza Aleksandra II, na którego dworze piastował godność ochmistrza.

Już po Sadowie, kiedy Bismarck raptem dla wszystkich Niemców stał się półbogiem. Keyserling lubiał opowiadać anegdoty z czasów, gdy około 1835 r. będąc na uniwersytecie w Berlinie, zajmował z przyszłym żelaznym kanclerzem wspólne mieszkanie.<sup>1</sup> Będąc na wyjeździe do jakiegoś nadreńskiego uzdrowiska, młody Keyserling otrzymał od swoich bliskich, lecz osobiście mu nieznanym krewnym, kurlandzkich Keyserlingów, uwiadomienie, że wybierają się na parę tygodni do Berlina, celem sporządzenia wyprawy dla zaręczonej córki i proszą mło-

<sup>1</sup> E. Ludwig, autor słynnego w Niemczech dzieła o Bismarcku, często wspomina o tym hr. Keyserlingu, przypisując mu wielki wpływ na byłego kolegę.

dego krewniaka, aby im najął mieszkanie i ułatwił pobyt w nieznaney stolicy. Nie mogąc w żaden sposób odłożyć wyjazdu i nie mając już czasu przy ówczesnej żółtwej poczcie uprzedzić swoich krewnych, Keyserling poprosił wówczas wyjątkowo wesołego i uprzejmego Ottona, aby go we wszystkim zastąpił. Bismarck najchętniej przyjął, najął mieszkanie, poszedł na spotkanie do biura dyliżansu, przedstawił się jako oddany do usług kuzyn, przez dwa tygodnie codziennie całował się z kochanemi kuzynkami, objadał ciocię, pił Liebfrauenmilch całemi puharami na koszt wujaszka, odprowadził ich do dyliżansu i zamknąwszy portjerę w chwili, kiedy pocztyljon już zatrąbił na wyjazd, wręczył niby cioci zanikniętą kopertę ze swoim — prawdziwym biletem wizytowym, aby nie zapomniała adresu, i nie odwracając głowy, uciekł.

Niedługo po mojem wstąpieniu na „rekolekcje“ zawiązałem cenuny stosunek, prędko zamieniony na przyjaźń. Przyjechał do Dorpatu wysłany na osiedlenie do Syberji z konfiskatą jego ślicznego majątku Kiejdany w Kowieńszczyźnie, a korzystający z częściowej ulgi co do miejsca pobytu, były marszałek gubernjalny kowieński, Marjan hr. Czapski. Nędzy nie cierpiał, bo pozostał nietknięty (aż póki pp. Dąbski i St. Grabski Traktatem Ryskim nie darowali go bolszewikom) ogromny klucz Miropol na Wołyniu, odziedziczony przez jego dzieci po matce Rostrowskiej.

Wkrótce po nim przyjechał także z Petersburga jego starszy syn Stanisław, trochę tylko ode mnie starszy, celem wstąpienia na uniwersytet. Ten przyjazd w chwili właśnie, kiedym dał nura do nauki, był dla mnie istnem szczęściem. Dziewiętnasty rok życia nie jest to wiek samotności na dłuższą metę, bo albo jak pies ewangelijny powróciłbym do swych burszowskich wymiotów, albo stetryczałbym. P. Marjan Czapski miał wówczas pięćdziesiąt trzy lata. Bardzo piękny, udoskonalony jeszcze typ Jana Sobieskiego, niemało czytany, zresztą dość powierzchowny, zachował pomimo swoich syberyjskich przygód dobry humor, wielkopańską uprzejmość, sympatję i pobłażliwość dla młodzieży. Prędko utworzyła się koło niego czwórka Muszkieterów, jak sam nas nazywał, złożona z jego syna, mego brata, mnie (niby Aramis) i Ludwika von Helmersen, częściowo speterburszczałego, częściowo w Wilnie, gdzie spędził parę lat dzieciństwa, spolszczałego inflanckiego szlachcica, bardzo miłego młodego człowieka, z którym potem pozostawałem przez długie lata w korespondencji. Codzień po obiedzie, a w świąteczne dni po kolacji, spędzałem w tem kółku po parę godzin, reszta była poświęcona wyłącznie nauce, nie na wykładach, ale w domu. Albowiem prędko się spostrzegłem, że uczęszczanie na wykłady stanowiło zupełnie nieużyteczną stratę czasu. Podług obyczajów

ówczesnych moich profesorów, nie było właściwie wykładów, lecz dyktówek. Nasi profesorowie w Lycée Bonaparte a potem w paryskiej szkole prawa wykładali — t. j. mając naturalnie przed oczyma streszczenie, rodzaj skorowidza, codziennej lekcji, przemawiali do nas, patrząc nam w oczy, śledząc w nich za tem, czy większość z nas rozumie czy nie, w razie potrzeby dopełniając lub rozwijając swoje zdanie, słowem utrzymując ten trudny do określenia, lecz każdemu prawdziwemu mówcy swojski, jakby magnetyczny kontakt między mówcą a jego słuchaczami. Nasi dorpaccy profesorowie owszem siadali przed swoją katedrą, wydobywali gruby zeszyt i nie patrząc na żadnego z nas, od początku do końca dyktowali nam powolnym i monotonnym głosem dzienną porcję przygotowanego i częstokroć latami całemi niezmiennego swojego „kursu“. A potem na egzaminach wymagali, żeby na stawiane przez nich pytania student odpowiadał im nie tylko treścią, lecz dosłownym tekstem ich „heftu“ (t. j. zeszytu). W rezultacie dziewięć dziesiątych czy dziewięćdziesiąt setnych studentów uczyło się właściwie nie danej nauki, np. prawa cywilnego, czy karnego, czy też procedury i t. d., lecz kilkunastu „heftów“ podług metody uczniów Chodźki „byli tacy, byli tacy, aniołowie, aniołowie.“ Naturalnie nie brakowało takich biedaków, którzy nie przepuszczając ani jednego wykładu domorosłą stenografią spisywali tę dyktówkę, równym niemieckiemu stopniowi doktora praw, albo francuskiemu licencié en droit. Tak samo wymagano oprócz złożenia egzaminów rozprawy przez fakultet przyjętej.

Prędko się na tem spostrzegłem, kupowałem sobie takie „hefty“, więcej niż dwa czy trzy razy na wykłady każdego przedmiotu nie chodziłem, lecz uczyłem się w domu, obficie uzupełniając skąpą treść „heftów“ klasycznymi dziełami o danej gałęzi nauki, które zresztą nasi profesorowie nam sumiennie wskazywali w swojej pierwszej inauguracyjnej lekcji.

W ten sposób mogłem także dużo zyskać na czasie i równo w dwa lata po wstąpieniu na rekolekcje, t. j. w październiku 1868 r. powróciłem do Wilna z dyplomem kandydata praw, równym niemieckiemu stopniowi doktora praw, albo francuskiemu licencié en droit. Tak samo wymagano oprócz złożenia egzaminów rozprawy przez fakultet przyjętej.

Przez całe dwa lata rekolekcij mniej więcej trzecią część mego czasu przebywałem podczas letnich wakacyj u rodziców na wsi; podczas zimowych, noworocznych, w Wilnie, gdzie gorliwie karnawałowałem; dzięki temu, a także cotygodniowym obfitym i pouczającym listom ojca, nie przestałem być w kursie naszych spraw i dziejów krajowych, do których powracam.

Generał-gubernator Kaufman niedługo u nas przetrwał, lecz zostawił po sobie pamiątkę, która jak ogromna bryła ołowiu ciążyła nad Kresami aż do roku 1905; mianowicie 10 grudnia starego stylu 1865 r. wyszedł słynny ukaz, którego główne zasady były: 1) Na całej przestrzeni dziewięciu gubernij północno- i południowo-wschodnich, t. j. całej Litwy i Rusi, osoby polskiego pochodzenia lub katolickiego wyznania nie mogły nadal nabywać własności ziemskiej inaczej niż drogą sukcesji a b intestato. Nabywać taką własność mogły tylko osoby, cieszące się „prawami rosyjskiego szlacheństwa“ lub równoległymi (prawosławni włościanie, Tatarzy, bałtyccy Niemcy, luteranie). 2) Wszystkim właścicielom ziemskim, choćby tylko drogą administracyjną wygnanym na przeżycie do prowincyj rosyjskich, naznaczał się termin dwuletni, do 10 grudnia 1867 r., dla dobrowolnego wyzbycia się swoich posiadłości w ręce uprawnionego według punktu pierwszego nabywcy, a po upływie tego terminu majątki miały być sprzedane z licytacji a minima takimiż uprawnionym nabywcom.

Ukaz 10 grudnia przeszedł w sposób anormalny. — Nie był wniesiony do Rady Państwa, zwykłego organu doradczego monarchy w sferze prawodawstwa, ani do Rady Ministrów jako takiej. Aleksander II zwołał dla deliberacji nad projektem specjalną naradę złożoną z siedmiu tylko wybranych ministrów, generał-gubernatorów wileńskiego i kijowskiego (Bezaka) i samego Murawjewa. Monstrualny charakter projektu pobudził sześciu ministrów z siedmiu wypowiedzieć się przeciw. Głosowali za tylko minister Dóbr Państwa Milutin, generał-gubernatorowie i Murawjew. Cesarz jednak zatwierdził „zdanie mniejszości“.

Oczywiście Murawjew wyjeżdżając z Wilna, miał już ten projekt gotowy i zostawił go w spadku Kaufmanowi, który aby rozszerzyć jego zastosowanie, od pierwszego dnia nie przestał wyszukiwać „podejrzanych“ pozostałych jeszcze nietkniętymi i wysyłać ich administracyjnie. Najbardziej głośny wypadek był ze ś. p. Janem Tyszkiewiczem z Waki. Jak mówiłem, uciekł ostrożnie przed Murawjewem, ale nieostrożnie powrócił do Wilna wkrótce po wydaleniu tego kata i wpadł w łapy niewiele lepszego Kaufmana; ten go nie uwięził, lecz trzymał w domowym areszcie, i rozpoczął co do niego indagację.

Właściwie ś. p. Jana Tyszkiewicza, gruntownie znacnego, dobroczynnego i uprzejmego człowieka, ale bardzo szczupłych zdolności umysłowych i wykształcenia, nikt nie brał dostatecznie na serjo, żeby go w coś poważnego wtajemniczyć, i żadnego udziału w powstaniu lub jego przygotowaniu mu nie dowiedziono. Za to on i jego żona, rzadkiej piękności, bardzo dobra i pobożna, lecz także niedaleko widząca pani Iza (Tyszkiewiczówna z Łohojskich) przed powstaniem demonstrowali w naj-

bardziej głośny i nedorzeczny sposób. Prócz żałoby, śpiewów, czamarek i t. p. już w r. 1861 pan Jan zdobył się na dowcip, by zaprosić nieskończonej zacności generał-gubernatora Nazimowa na ceremonialny obiad i posadziwszy go na prawo od swojej żony, umieścić naprzeciw niego a na lewo od siebie ...krawca Korowaja. Gdy mimo to następnego roku 1862 w dzień imienin pani Izy, 3 września, przyjechała do Waki z powinszowaniem pani Nazimowowa, wobec stojących na dziedzińcu czterdziestu czy pięćdziesięciu różnych ekwipaży i doróżek z miasta, marszałek dworu wystąpił na ganek i oświadczył pani generał-gubernatorowej, że pani hrabiny niema w domu. Tego aż nadto wystarczyło żeby uzasadnić „podejrzanie o współzucie dla powstania“, które, jak powiedziałem wyżej, już wywoływało administracyjne wygnanie. Tyszkiewicz został administracyjnie wysłany na mieszkanie do Rygi... z następstwami ukazu 10 grudnia 1865 r.

Niełatwo było rozsprzedać taką ogromną fortunę, tem bardziej, że Tyszkiewicz z optymizmem i uporem właściwym ograniczonemu ludziom (który jednakże czasami się usprawiedliwia) nie chciał sprzedać swojej fortuny inaczej niż w jedne ręce w nadziei, że się jakoś uda ją nazad odkupić. Znalazł w Rydze bogacza kupca Woehrmana, wielce szanowanego, który Wołożyn, Wakę i jeszcze dziewięć rozsianych niemałych majątków kupił za ogólną sumę osiemset tysięcy rubli i jednocześnie zobowiązał się, o ileby Tyszkiewicz w umówionym (dwu lub trzyletnim) terminie otrzymał pozwolenie odkupienia tych majątków, zwrócić je za taką samą cenę plus zwrot kosztów prawnych.

Generał-gubernatorem w Rydze był wówczas hr. Piotr Szuwałow, później słynny szef żandarmów i negocjator Traktatu Berlińskiego 1878 r., syn Polki Walentynowiczówny (wdowy po wielkim Zubowie) i dlatego dość przychylny dla Polaków. Pozwolił Tyszkiewiczowi swobodnie dojeżdżać do Petersburga i starać się o prawo odkupienia swych majątków. Ani Szuwałow ani żywa dusza w całym kraju nie spodziewali się powodzenia tak nadzwyczajnej prośby i niezawodnie ani starania pana Jana ani uprzejmość względem wszystkich generał-adjudantów jego pięknej małżonki do nieczegoby nie doprowadziły, gdyby nie wspaniały czyn byłego generał-gubernatora Nazimowa. Wiedział o staraniach Tyszkiewicza, a był beznadziejnie chory. Gdy cesarz Aleksander II krótko przed jego zgonem odwiedził swego byłego nauczyciela i zapytał go, czy nie może w czemkolwiek ulżyć mu w jego ostatnich chwilach, Nazimow odpowiedział: „Tak, Najjaśniejszy Panie, Ty jeden możesz pomóc mi stanąć bez obawy przed moim Sędzią Niebieskim, albowiem mam na sumieniu ciężki grzech, i od Ciebie, Panie, zależy obmycie mnie z niego. Hrabia Jan Tyszkiewicz został zmuszony pozbyć się całej fortuny, a to nie z powodu jakiegokolwiek winy

względem państwa lub Najjaśniejszego Pana, której mu zarzucić nie można, lecz tylko z powodu kwestji miłości własnej, powstałej między jego żoną a moją. Myśmy oboje dawno to przebaczyli, przebac i Ty, Panie, wówczas będę mógł umrzeć ze spokojnem sumieniem.“

Aleksander II rozczulił się i udzielił pozwolenia odkupienia majątków Tyszkiewiczowi. A tu znowu bardzo pięknie postąpił stary Woehrman. Był także bliski śmierci. Uważając nadzieję Tyszkiewicza za mrzonkę, nie wymówił sobie zwrotu nakładów, a odrazu uczynił dość znaczne. Prócz tego mógł prawnie uważać termin za przedawniony i jego trzej synowie nalegali, aby z tego skorzystał. Lecz honorowy Nieniec na wypadek, gdyby sam nie zdążył przeprowadzić odwrotnej sprzedaży, kazał synom pod błogosławieństwem, aby jej dokonali.

„Lepszy łut szczęścia niż funt rozumu“ powiada nasze stare przysłowie. A jak sprzedawały się te majątki, wskaże jeden między setkami przykład, wzięty z bliskiego mego sąsiedztwa. Właścicielka majątku Berdówka, niemłoda panna Berdowska, zmuszona pozbyć się majątku sprzedała go p. Dębowieckiemu, mohylewskiemu gubernatorowi,<sup>1</sup> na następujących warunkach: Otrzymała 22 000 rb., a p. Dębowiecki jeszcze przed podpisaniem aktu kupna miał w kieszeni kontrakt dzierżawny ubezpieczony załogiem z bogatym żydem, który zobowiązał się i dotrzymał, płacić w ciągu 12 lat 3 000 rb. rocznie zupełnie czystej dzierżawy, oraz w ciągu dwóch pierwszych lat wybudować swoim kosztem gorzelnię i po upływie 12 lat zostawić ją z całym urządzeniem jako bezpłatną własność dziedzica. Prócz tego za mojej pamięci w trzech czy czterech cięciach p. Dębowiecki otrzymał ze sprzedaży lasów 110,000 rb. i w 1914 r. miał jeszcze dosyć lasu na potrzeby majątku.

Wiosną 1866 r. zostaliśmy oswobodzeni od Kaufmana, któremu jako „bojowemu“ generałowi powierzono zdobycie północnego Turkestanu i Taszkentu. Został zastąpiony przez osobistego przyjaciela i towarzysza Aleksandra II, generał-adjutanta hr. Baranowa, który ciągle przesiadywał w stolicy, a na miejscu nic nie zmienił. Nie pogorszył i nie poprawił.

A tymczasem ludzie zaczęli powoli i żmudnie zaprowadzać jaki taki porządek w swoich gospodarstwach, do fundamentów wstrząśniętych przez reformę włościańską. Podług moich wspomnień szło to o wiele mniej źle, niż możnaby się obawiać po takim kryzysie. Stosunki z włościanami pomimo starań

<sup>1</sup> Ten Dębowiecki, wyjątkowo piękny mężczyzna, który mnie jako autorytet rolniczy odwiedził w Łazdunach, był naturalnym synem Aleksandra II; kupiono mu przed urodzeniem jako prawego ojca urzędnika Polaka, z autentycznymi papierami szlacheckimi. W „Dymie“ Turgieniewa są bardzo przejrzyste aluzje do tej historii.



administracji rosyjskiej były naogół znośne. Fala lenistwa, która zaraz po skasowaniu pańszczyzny ogarnęła ludność włościańską, niedługo trwała. Czego najwięcej brakowało, to umiejętności u samych ziemian. O prawdziwej agronomii, o podniesieniu wydajności gruntów lub inwentarza, nikt pojęcia nie miał, i pamiętam dobrze fenomen psychologiczny, który można by było zastosować do warunków obecnych w krajach, które tak jak Polska przeżywają taki sam kryzys organizacyjny: a fenomen polegał na tym, że wcale niezależnie od ich wartości umysłowej zastosować się do nowych warunków umieli tylko ludzie młodzi, dobrze poniżej 40 lat. Ci, którzy jak mój ojciec, p. Jan Lubański, p. Aleksander Skirmunt i inni dotychczas słynni ekonomiści już przybliżali się do pięćdziesiątki lub ją przekroczyli, okazali się zupełnie bezradnymi i do śmierci uporządkować swoich gospodarstw, a szczególnie wydobyć z nich prawdziwego dochodu nie potrafili, o ile nie zdecydowali się na wydzierżawienie wszystkiego. Ale i to mało pomagało, bo sami dzierżawcy nie mieli pojęcia o swym zadaniu. Dopiero dobre dziesięć lat po emancypacji zaczęli ludzie domyślać się, że gospodarstwo rolne jest to przedewszystkiem unormowanie i wykorzystanie pracy ludzkiej.

Zimą roku 1866 na 1867 towarzystwo wileńskie już poczęło oddychać; zbierano się, bez hałasu tańczono, i giełda małżeńska stała się znów czynną. Siostra moja Marja kończyła dziewiętnaście lat i rodzice na stałe zamieszkali w mieście. W 1867 r. siostra zaręczyła się z p. Szymonem Meysztowiczem, obywatelem powiatu nowo-aleksandrowskiego (były jezioroski) w kowieńskiej gubernii, i wyszła za niego jesienią tegoż samego roku. Prawie jednocześnie hr. Baranow ustąpił miejsca już wspomnianemu generałowi Potapowowi, który po dwuletnim pobycie jako ataman dońskich Kozaków awansował na generał-adjutanta. Jednocześnie także zły duch naszego kraju Murawjew, chwilowo powróciwszy do łaski dla wykorzenienia nihilizmu po pierwszym zamachu Karakozowa na życie Aleksandra II, sam przeniósł się do wieczności.

Chociaż zasady prawodawcze Murawjewowskiego systemu zostały nienaruszone i jeszcze przez 40 lat mniej lub więcej ostre jego zastosowanie zależało od zmiany chwilowych prądów w Petersburgu, a generał-gubernatorów na miejscu, przyjazd Potapowa zaraz dał się odczuć znacznym złagodzeniem szczególnie w dwóch kierunkach: w stosunkach między społeczeństwem polskim i personelem urzędniczym i w samym składzie tego personelu. Tu w ciągu kilku miesięcy Potapow przeprowadził gruntowną czystkę; z głównych działaczy Murawjewowskich i Kaufmanowskich prawie nikt nie pozostał, a ci co pozostali, całkowicie zmienili swoje „chody“. Dalej w języku polskim nic, nawet zaproszenia na bal drukować nie było

wolno, i we wszystkich jurysdykcjach świecił na ścianach napis „mówić po polsku zakazano“ (gaworyt po polski wospreszczajetsia). Ale przyczepki w magazynach lub nawet na ulicy za używanie naszego języka na dłuższy czas ustały.<sup>1</sup>

To odprężenie dało się odczuć także w zatargach sądowych z włościanami w wypadkach różnych nadużyć agrarnych. Można powiedzieć, że mniejsza lub większa stronniczość sądów rosyjskich w tych sprawach została aż do końca zwierzchnictwa rosyjskiego u nas najwierniejszym termometrem panującej w Petersburgu względem Polaków temperatury.

Gdy ostatecznie jesienią 1868 r. powrócił do Wilna, ta chwilowa ewolucja ku lepszemu była w pełnym biegu. Dużo jej pomagała pani Potapow, księżniczka Oboleńska z domu, dama rzadkiej dystynkcji oraz dobroci. Jej marzeniem było zlanie na terenie światowym polskiego i lepszego rosyjskiego towarzystwa. W tym celu urządzała u siebie co tydzień liczne zebrania pań i panienek, na których szyto, haftowano i t. p. dla biednych; jednakże o ile mężczyźni „ze względów taktycznych“ zbyt tym zakusom się nie sprzeciwiali, to nasze panie utrzymywały z niedawnym wrogiem stosunki dyplomatyczne mniej więcej takie, jakie nas obecnie łączą z Berlinem.

Potapow zwabił z Rygi Józefa Tyszkiewicza, który tam służył jako adjutant generał-gubernatora hr. Szuwałowa i wziął go sobie jako starszego adjutanta już w randze pułkownika. Dzięki temu i jego żona pani Zofja, coraz mądrzejsza i coraz bardziej płodna (miała w kilka lat potem przekroczyć tuzin), także osiadła we własnym domu na Trockiej w szerokich apartamentach i została światową adjutantką pani generał-gubernatorowej.

U niej to na wielkim balu spotkał mnie pech, którego skutki miały wpłynąć ujemnie na całą moją właściwą młodość, może i na resztę życia. Zaziębilem się, siedząc pod częściowo otwartym oknem i dostałem gwałtownego kataru. Trzy dni później miał być ogromny bal u pp. Potapowych. General już wiedział o moim powrocie z Dorpatu. Nie tylko przysłał mi zaproszenie, lecz powiedział ojcu, że koniecznie rachuje na moją bytność, gdyż chce odnowić ze mną znajomość i zaproponować mi swoją protekcję w Petersburgu w Ministerjum Sprawiedliwości. To było krótko po wielkiej reformie sądowej 1864 r., po zaprowadzeniu procedury słownej i jawnej, sądów przysięgłych i t. p. Cały dawny personel, słusznie uważany za zgniły, został usunięty, na jego miejsce chciano mieć teoretycznie wyszkolonych prawników — a takich było tak mało, że

<sup>1</sup> Później za Kochanowa i Orzewskiego miały się wznowić i p. Bruchanow, syn importowanego z Rosji urzędnika, został wydalony z gimnazjum za przemówienia po polsku na ulicy do kolegi.

w tym czasie moi przyszli koledzy w Radzie Państwa, Anatol Koni i Andrzej Saburow, starsi ode mnie o niespełna dziesięć lat, zatem jeszcze nie trzydziestoletni, byli już pierwszy starszym prezesem, drugi starszym prokuratorem Sądu Okręgowego Petersburskiego. Można śmiało powiedzieć, że w tej chwili otwierała się przede mną piękna karjera prawnicza.

Przeszkodziło temu przede wszystkim to, że moje przeziębienie zaczęło przybierać groźne formy. Przed samym balem u państwa Potapowych czułem już silną gorączkę i oświadczyłem ojcu, że wolę na ten bal nie pójść, bo boję się zapalenia płuc. Ojciec „ze względów taktycznych“, jak powiadają nasi politykusy, uparł się, a że było kilkanaście stopni mrozu, powróciłem rzeczywiście z najpiękniejszym zapaleniem płuc. Leczyli mnie ówcześni książęta nauki wileńskiej: Dr. Trachtenberg, który do moich płuc przykładął jedną trąbkę a do własnego ucha drugą (był głuchy jak pień), i Dr. Tytius, szkolny kolega ojca, bardzo lubiany, dobroczynny, wielki społecznik, który interesował się wszystkim, a najmniej swoim fachem. Ci dwaj „zacności ludzie“ doprowadzili do tego, że już rozpoczynała się agonja, gdy brat Ignacy w środku nocy na swoją rękę poleciał po Niemca, pułkowego Dr. Stackmauna, który mnie z trudem wyratował. Jednak sam niewielki mędrzec, wypuścił mnie z rąk z niedoleczonem kompletnie ogniskiem zapalnym, które mnie dręczyło przez całe sześć lat i które przemogłem tylko dzięki odziedziczonej po pradziadku Wołku i pradziadku Szwańskim oraz innych niepożytych przodkach - Matuzalemach żelaznej konstytucji.

Po tak ciężkiem przejściu ojciec sam już nie myślał o tem, żeby przyjąć propozycję Potapowa i narazić mnie na zabójczy klinał petersburski. Znowu ani jemu ani mnie do głowy nie przychodziło, żebym w dwudziestym pierwszym roku życia miał poświęcić się karierze, wówczas jednak dość ogólnie przyjętej przez młodzież mojego stanu społecznego „polskiego panicza“. Prócz tego nabrałem w Dorpacie prawdziwej namiętności do nauki prawa. Tu występuje ten bolesny kontrast, który tak często się spotyka między pierwiastkami i ich zastosowaniem, między nauką częstokroć wyniosłą i wspaniałą, a rzemiosłem, tak często płaskiem, jeżeli nie podłym. Karjera jurydyczna, szczególnie w formie adwokatury, bywa często jako rzemiosło wprost wstrętne, ale jako nauka równa się wysokością chyba tylko kapłaństwu. Kiedym po wstąpieniu na uniwersytet otworzył „Corpus iuris civilis“ i na pierwszej stronie wyczytał: „Neminem laedere, suum cuique tribuere, honeste vivere — haec sunt principia iuris“ (nikogo nie krzywdzić, swoje każdemu przyznawać, uczciwie żyć — takie są zasady prawa), to doznałem jakgdyby ciosu w mózg, którego bli-

zna u mnie nie zniknie aż do śmierci. Do końca mojej paryskiej edukacji szczerą wiarą religijną była podstawą mego życia wewnętrznego, ale widok wszystkich podłości i brudnego trybu życia, jakich się dopuszczało wówczas w moim kraju nasze katolickie duchowieństwo, prawie zupełnie pozbawione przez wygnanie swoich szlachetniejszych elementów, bardzo szybko ją wykrzerzył: w tak młodym wieku jeszcze się nie odróżnia religii od duchowieństwa. Została bolesna moralna próżnia, którą właśnie nauka prawa mi wypełniła na resztę życia.<sup>1</sup>

Ale byłem do tego stopnia przesiąknięty francuskim genjuszem, że jakoś tej nauce w moich oczach brakowało konsekracji, dopóki nie otrzymała bierzmowania we francuskiej świątyni. Ojciec zgodził się, abym d a c a p o przeszedł kurs prawa w Paryżu, i w końcu marca znalazłem się w Quartier latin.

---

<sup>1</sup> Powróciłem na łono Kościoła daleko później, podczas wojny wszechświatowej, dzięki ciągłemu obcowaniu z takimi sprawiedliwymi, jakimi byli ś. p. Etienne Lamy i Władysław Zamoyski, a także nabrałem przekonania, że ludzkość się stanowczo podzieliła na dwa przeciwne wojska: obrońców zasady obowiązku i jej niszczycieli. Trzeba stać w szeregach jednych lub drugich, nosić mundur i słuchać oficerów, choćby niedoskonałych.

## Rozdział VII.

### Studja prawne w Paryżu. — Praktyka sądowa.

Zupełnie przypadkiem spotkałem się nazajutrz po przyjeździe u drogiego Władysława Laskowicza z moim byłym guwernerem w 1856 r., p. Richet. W rozmowie z nim powstała we mnie myśl dokompletowania mojej wiedzy teoretycznej praktyką sądową; właśnie p. Richet dobrze znał adwokata przy Sądzie Kasacyjnym i Radzie Stanu (ta stanowi zupełnie oddzielną korporację) p. de Maulde. Wstąpiłem do jego gabinetu, w którym zatrudniał dwóch płatnych sekretarzy, jako dodatkowy, niepłatny, zatem nieobowiązany do akuratności, lecz w rzeczywistości przewyższalem w niej moich płatnych kolegów.

W szkole prawa uwzględniono mój dorpacki dyplom o tyle, że mi pozwolono zdawać egzamina bez względu na czas przejścia kursu; właściwie zachodziłem na nie tylko od czasu do czasu przez ciekawość, a przygotowywałem się w domu przy pomocy klasycznych dzieł o każdym przedmiocie. Egzamina dzieliły się tak jak w Dorpacie na dwie części. W pierwszej główną rolę odgrywało prawo rzymskie i prawo karne, które właśnie były moimi ulubionymi przedmiotami w Dorpacie, tak że już w lipcu mogłem stanąć do tej pierwszej połowy, która dla tradycji nazywała się „le baccalaureat en droit“, ale sama przez się żadnych praw nie dawała; zdałem z łatwością.

A swoją drogą z dziesięciu godzin pracy dziennie, które sobie naznaczyłem i których, choć bez dzwonka i bębna, trzymałem się niemniej wiernie jak u p. Cousin i w Liceum, dopełniając, co tam urwały dość rzadkie zresztą wizyty światowe, kosztem snu, poświęcałem gabinetowi p. de Maulde cztery godziny dziennie.

Były one niemniej korzystne, albowiem sprawy w Sądzie Kasacyjnym, co do strony faktycznej już ostatecznie osądzone w pierwszej i drugiej instancji, były rozpatrywane wyłącznie z punktu widzenia prawidłowego zastosowania prawa, tak że każda sprawa stanowiła właściwie przedmiot bardzo wyspecjali-

zowanej rozprawy jurydycznej. Mojem wyłącznem zadaniem było przygotowanie takich memorjałów, a po rozpatrzeniu mojej argumentacji przez p. de Maulde ostateczna ich redakcja. W Radzie Stanu mieliśmy do czynienia wyłącznie z wszechświatowej sławy Sekcją du Contentieux (Sporną), która stanowi najwyższy trybunał administracyjny.

Z moich dwóch kolegów w gabinecie p. de Maulde, jeden p. Mercier, załatwiał łataninę i pisaninę, a starszy p. Ligier, doktor prawa, tak jak ja zajmował się przygotowaniem spraw dla naszego patrona, a jednocześnie rankami lub wieczorami dawał korepetycje prawa, bo i w Paryżu nie brakuje takich osłów, którzy sami nie są w stanie przygotować się do egzaminów, a to tem bardziej, że nie wystarczało jak w Dorpacie wyuczyć się jak papuga jakiegoś „heftu“, na co wyżej opisany sposób wykładów nie pozwalał. Ten p. Ligier, bardzo zdolny, hulaka, wiecznie goły, który miał skończyć w domu warjatów, wprowadził mnie do koła młodych adwokatów, początkujących dziennikarzy lub literatów, kandydatów do profesury, wogóle narodu pachnącego trochę cyganerją, lecz bardzo inteligentnego i tryskającego życiem; zbierali się wieczorami w znanem jeszcze w końcu XVIII wieku Café Voltaire; to jeszcze stanowiło swego rodzaju salę umysłowego fechtunku.

Wiosną 1869 r. odbywały się, na ten raz już w atmosferze kompletnej swobody, wybory generalne do Izby Deputowanych, ostatnie przed wojną i upadkiem cesarstwa. Z nich to wyszli dwaj ludzie, którym było sądzone później odegrać pierwszorzędną rolę w życiu politycznem Francji, Leon Gambetta i Jules Ferry. Dzięki moim znajomym z Café Voltaire, uczęszczałem na mitingi wyborcze, gdzie ci dwaj kandydaci występowali — i nie powiem, żeby one zachwiały moje zachowawcze przekonania.

Był to czas, kiedy genialny cesarz japoński (wówczas dwiętnastoletni) Mutsu Hito, dokonawszy w swoim kraju rewolucji z góry, wysłał do Europy przeszło tysiąc młodych ludzi, aby się kształcili w wyższych szkołach europejskich, prawie w równej mierze francuskich i angielskich, jak niemieckich. Do lacińskiej dzielnicy najechało ich odrazu ze czterystu, z których około stu do Szkoły Prawa. Kilku z nich dość pilnie schodziło się wieczorami do Café Voltaire. Wszyscy jednego wzrostu, jednej powierzchowności, podobnych ruchów, świadczyli o czystości całemi wiekami ustalonej i zamkniętej w sobie rasy. I na moich znajomych i na mnie robili wrażenie, że wcale nas, zachodnich, nie przewyższali zdolnościami, lecz w trudnem do opisanie stopniu przewyższali nas pilnością: kiedy która z tych „małpeczek“, jak ich później nazywali Moskale, przyczepiła się do jakiegoś przedmiotu i skoncentrowała na nim

wszystkie swoje siły umysłowe, to go wydraży, wypróżni, sobie przyswoi i przetrawi tak, aby ani cząsteczki niespożytkowanej nie zostawić; nie byłbym zdziwiony, gdyby za kilka pokoleń ten naród nie zyskał prawa zaśpiewania: „Japan, Japan über alles“ z większym powodzeniem niż autorowie tego hymnu.

Przybyło mi jeszcze jedno cenne źródło umysłowego treningu. Oddawna, zdaje się, przed wielką rewolucją francuską młodzi adwokaci paryscy, tak zwani „stagiaires“ czyli aplikanci, którzy już stopień uniwersytecki zyskali, mieli tak zwane konferencje, analogiczne do słynnych „debating society's“ w Oxfordzie i Cambridge. Słynna „Conference Molé“ jest od początku zeszłego wieku i po dziś dzień rozsądkiem całej wyższej palestry francuskiej i, niestety, koryfeuszów parlamentarnych. Osobna korporacja adwokatów przy Sądzie Kasacyjnym i Radzie Stanu posiadała podobną konferencję, o ile pamiętam pod nazwą: „D'Agnesseau“. Na mocy mego dorpackiego stopnia naukowego i godności sekretarza p. de Maulde zostałem do niej przyjęty; ale podczas gdy w „Conference Molé“ a także w angielskich „Societys“ dyskutuje się o kwestjach teoretycznych, nasza konferencja zbliżała się więcej do życia praktycznego w ten sposób: Wybrany sekretarz wyszukiwał w sławnym repertorium Dalloz rzeczywiście kiedyś już osądzoną, natury, jak powiadają Włosi, „capillare“ (włoskowatej) sprawę, którą na nowo się osądzało na konferencji. Był, jak na posiedzeniu Izby Kasacyjnej, referent, obrońca powoda, pozwanego, prokurator, a kolejno przewodniczący streszczał kwestje i stawiał decyzję na motywowane (o ile kto chciał) decyzje zebrania, działającego w roli sądu. Wszystkie te role rozdzielano kolejno między członków konferencji. Ze ich było około pięćdziesięciu, miało się matematycznie szansę wystąpienia jeden raz na dziesięć posiedzeń. W rzeczywistości zaś wypadło na mnie występować co najmniej raz na dwa posiedzenia, albowiem młodzież jest wszędzie młodzieżą, prawie zawsze jeden z pięciu naznaczonych aktorów gdzieś się zahulał, a że bardzo prędko sobie zrobiłem reputację pół-Japończyka, który przychodził już obznajomiony z przedmiotem dyskusji, — więc zaraz mnie prezes wzywał na improwizowanego zastępcę dezertera. Bodaj, że dużą część moich daleko późniejszych powodzeń oratorskich zawdzięczam tej dwuletniej gimnastyce.

Mieszkała wówczas w Wersalu z synami Józefem i Janem, moimi mniej więcej rówieśnikami, już rozłączona z mężem p. Michałem, hrabina Marja z Radziwillów Tyszkiewiczowa. Dowiedziawszy się o moim pobycie w Paryżu, posłała do mnie swoich synów z prośbą, abym ją jak najczęściej niedzielami odwiedzał, i wówczas zawiązała się między mną a nią i jej synami bliska i szczerza przyjaźń, która trwała aż do ich śmierci;

to jest jedna z klęsk głębokiej starości, że się przeżywa prawie wszystkich tych, których się kochało.

Gdy się rozpoczęły wakacje sądowe, mój patron p. de Maulde, aby mi odpłacić za moją bezinteresną a jednak gorliwą u niego służbę, zaprosił mnie na cały wrzesień do swego majątku Flottin, mniej więcej na pół drogi od powiatówki (podprefektury) Pithiviers do stolicy departamentu Orléans; kraina dziwnie podobna do moich późniejszych Ługomowicz i Łazdun: płaska, gliniano-żwirowata, średniej żyzności, lasy przeważnie iglaste, wyłącznie rolnicza, nie bez przymieszki trochę winnic. Rezydencja coś pośredniego między zamkiem a dużą fermą. Oprócz już niemłodych pani i pana domu byli ich dwaj synowie, około dwudziestu lat każdy, zamężna córka z mężem i ja siódmy. Bywali dosyć często goście z sąsiedztwa, którzy naturalnie nigdy nie nocowali i jak bywa zawsze u tej średniej francuskiej prowincjonalnej szlachty i wyższej burżuazji (pan należał do pierwszej, pani do drugiej), którą uważam za najzdrowszy i najbardziej godny poważania pokład społeczny w całej Europie, duch poufały a zarazem dyskretny w serdeczności, niewyczerpany dobry humor francuski z dużą przymieszką dowcipu. O tym pobycie często wspominałem z zazdrością, kiedy przez blisko trzydzieści lat (między 1877 do 1888 a potem między 1898 do 1915) w moich Łazdunach, będąc jeden jak pies, bo z powodu oddalenia mało mnie kto odwiedzał, musiałem utrzymywać prócz personelu gospodarskiego i administracji nie mniej nic więcej jak dwanaście osób usługi osobistej, tak zwanej pałacowcj; a we Flottin u państwa de Maulde na nas siedem głów było wszystkiego troje sług, jeden mężczyzna zarazem ogrodnik i stangret, jedna kucharka razem praczka i jedna pokojówka; i niczego w niczem nam nie brakowało.

Wkrótce po przybyciu do Paryża poznałem się przypadkowo z p. Leonem Clement, także adwokatem przy Sądzie Kasacyjnym i Radzie Stanu. Słyszał o mnie i zaproponował mi, abym dla urozmaicenia mojej praktyki wstąpił również w roli sekretarza - amatora do jego gabinetu. Z radością przyjąłem, bo uchodził za najbardziej zajętego członka korporacji. Prócz płatnego kancelisty zatrudniał aż czterech „amatorów“ kandydatów do mogących się zdarzyć wakansów. P. Leon Clement (w nawiasie dodam, że zarabiał przeszło 100 000 frs. rocznie), żaden mówca w artystycznym znaczeniu słowa, lecz kapitalny, prawnik, zaprowadził u siebie wielce dla nas aplikantów korzystny zwyczaj: skoro jaki adwokat przy niższych sądach skierował do niego jaką sprawę, zwoływał nas pięciu na radę wojenną. Rozpatrywało się *casus*, ustanawiało wytyczne obrony i wówczas sprawę zabierał jeden z nas, który swój memoriał



oddawał do ostatecznej aprobaty patrona, a ten go wnosił do sądu. Tam główne debaty miały już daleko mniej znaczenia niż w instancjach poprzednich, pierwszej i apelacyjnej.

Naturalnie polityka, tak wewnętrzna jak zewnętrzna, odgrywała niemałą rolę w naszych rozmowach i myślach, tak w gabinecie p. Clement jak na zebraniach w Café Voltaire; przytem, tak zresztą jak w prasie, niedość sobie zdawano sprawę z tego, że prawie wszędzie i zawsze polityka zewnętrzna danego kraju, skoro wyszedł z okresu patryarchalno-absolutystycznego takiego Mikołaja I, jest zależna od polityki wewnętrznej i stanowi jej wynik. Napoleon III, schorowany (kamień) i starzejący się (60 lat), coraz więcej ulegający wpływowi żony i opanowany marzeniami dy nastycznymi, czuł, że mu grunt usuwa się z pod nóg, więc powoławszy na pierwszego ministra wymownego pół-główka Emila Ollivier, puścił się na śliski tor „liberalnego cesarstwa“, choć mógł wiedzieć, że ten przymiotnik i ten rzeczownik przedstawiały psa i kota w jednym worku. — Nowa Izba 1869 nie była ściśle opozycyjną, to znaczy, że nieprzejdanych (intransigeants) było tylko dwudziestu kilku w Izbie złożonej z dwustu pięćdziesięciu członków, ale już wcisnęło się koło pięćdziesięciu niezależnych rezonerów-fronderów, a co gorsza, wczoraj jeszcze zwarta falanga dy nastycznej większości już zaraziła się djabelskim duchem badania i krytyki, jak powiadają Ojcowie Kościoła, i zachwiała się przeświata zasada niemieckiego „zu Befehl“.

Koło marca 1870 r. spotkałem się na obiedzie u starej przyjaciółki z lat dziecinnych Helenki Hryniewieckiej — wówczas już żony malarza Kaplińskiego — z deputowanym hr. de la Tour, referentem budżetu spraw wojskowych; dostarczył mi biletu na posiedzenie, na którym miał referować. Przypomnę, że ustawa o przekształceniu armji francuskiej, przeprowadzona w 1867 r. przez genjalnego marszałka Niel, przewidywała obok regularnej armji t. zw. garde-mobile, rodzaj niemieckiego landsturm, lecz młodszego, która potem między Sedanem a kapitulacją paryską wytrzymała całą wojnę na prowincji i wyratowała jeżeli nie Alzację i Lotaryngję, to honor narodu. Ta gwardja egzystowała jeszcze (w marcu 1870) tylko na papierze. Ministerstwo i komisja wojskowa prosiły o małe kredyty trzech milionów franków na zapoczątkowanie umundurowania. Niezgrabny hr. de la Tour w poszukiwaniu efektownego zakończenia zacytował mniemaną odpowiedź Anglikom pod Waterloo generała Cambronne: „La garde meurt et ne se rend pas“. Jak wiadomo, w rzeczywistości dzielny generał nie użył tego frazesu, lecz jednozgłoskowego wyrazu, dosłownie cytowanego przez Wiktora Hugo w jego „Les Miserables“, a odpowiadającego zwrotowi obecnie bardzo cenionemu ...w Sulejówku. — Gambetta, rozwalony jak wieprz na swojej ławce, krzyknął nie-

zręcznemu referentowi: „Vous faussez le texte!“ — Ogólny śmiech... i Izba ten mizerny kredycik odrzuciła! — Sześć miesięcy przed Sedanem!!!

Mniej więcej wówczas pierwszy raz zetknąłem się z późniejszą bracią „pisałów“. Przypadkowo spotkałem się z p. Konstantym Kaszycem (tym samym, którego płacz pomógł memu ojcu wyleźć z więzienia dominikańskiego). Dobrze władając piórem francuskim, pomieścił kilka artykułów w tygodniku Arsena Haussaye'a „L'Artiste“. Zaprowadził mnie na śniadanie do sławnej wówczas restauracji Brébant, gdzie „Rzeczpospolita literacka“ miała codziennie zarezerwowany dla niej obszerne stół. Znaleźliśmy z dziesiątek ówczesnych „gwiazd“. Pamiętam siedzących obok mnie: modnego kronikarza z „Figaro“ Gastona Jollivet, dramaturga i powieściopisarza Alberica Second, a na przeciw mnie: średniego żurnalistę lecz wsławionego „causeur“, wyspecjalizowanego w odkrywaniu nowych form cylindrowych kapeluszy Nestora Roqueplan, wkońcu Arsena Haussaye i... wielkiego Aleksandra Dumas (ojca). Oba ostatni mieli w kilka miesięcy później na początku wojny zejść przedwcześnie z tego świata. Wspominam o tem śniadaniu, gdzie naturalnie pary z gęby nie puściłem, bo rzadko w życiu byłem na takim fajerwerku umysłowym, przeważnie dzięki Dumasowi.

A tymczasem przygotowywałem dalej ostatni egzamin na „licencié en droit“. Zdałem go około 1 maja „podśpiewując“ i zaraz zasiadłem do rozprawy, pisanej podług ówczesnych prawideł w części po łacinie, w części po francusku. To stanowiło już raczej formalność. Praca przybliżała się do końca, gdy zaszedł wypadek, którego przemilczeć nie chcę, gdyż on tak dobrze rysuje tę atmosferę ogólnej zacości i wzajemnego zaufania, wśród której się wówczas żyło w tym naprawdę „wybranym“ narodzie francuskim. — Całkiem ją rozproszyc i przerobić ten naród na kilkudziesięcio milionowe towarzystwo wzajemnego wyzyskiwania, jakim nasz się przedstawia od r. 1918, nie zdają żadne „nowe ery“, bo ona jest produktem samej rasy; niemniej nie mogę zaprzeczyć, że właśnie od tego feralnego 1870 roku, upokorzenie narodowe, komuna, zwycięstwo demokracji t. j. ilości nad jakością, triumf Gambettowskich oportunistów i „nowych pokładów“ — nakońcu utrata w latach 1914—1918 tak ogromnej ilości najszlachetniejszej krwi narodowej, zastąpienie jej napływową słabszego gatunku, zanieczyściły tę atmosferę, wśród której wyrosłem.

Otóż w połowie maja, wpada do mnie wieczorem w improvizowanej żałobie, wraz ze starszym synem pani de Maulde, żona mego zeszlórocznego patrona. Mąż jej zmarł przed paru godzinami, tknięty apopleksją. Starszy sekretarz p. Ligier chło-

ruje na tyfus, młodszy, p. Mercier, na zapalenie płuc, ma się w gabinecie tylko najętego od kilku dni studencika (niedołęę), a tu trzeba i prowadzić sprawy będące w toku lub mogące wpłynąć, aby klientela nie zmarnowała się, i korespondencję, i sprządać gabinet, który stanowi dobrą część funduszu rodziny.<sup>1</sup> Pani de Maulde błagała, abym się tem wszystkiem zajął. Wszystko odradzało mi przyjęcie na siebie takiego ciężaru. Lecz kiedy się puszczać na donkiszoterję (o honorarjum i mowy być nie mogło), jeśli nie w dwudziestym drugim roku życia? O ile się ma w żyłach czerwone gałeczki, a nie sok buraczany, młodzieniec drapć się na księżyc. Przyjąłem. A jedyny dokument, na mocy którego działałem, był to bilet wizytowy pani de Maulde, na którym napisała: „Mam zaszczyt prosić p. Prezesa korporacji adwokatów przy Sądzie Kasacyjnym i p. bankiera N... na rue Dauphine, aby byłemu pomocnikowi mego nieboszczyka męża, panu K. M. okazali wszelkie zaufanie.“ Z tym biletem nazajutrz podjąłem u bankiera, którego przedtem i potem nigdy nie widziałem, nie trzy tysiące franków, jak zamierzałem, lecz dziesięć, z jego własnej porady bez kwitu. Z prezesem Korporacji stanęło na tem: Będę wnosił skargi kasacyjne i memorjały, ułożone przeze mnie, a podpisane przez pierwszego lepszego w Sądzie spotkanego członka Korporacji. On też stosownie do „konspektu“ przeze mnie zredagowanego wystąpi przed Sądem w sprawach pilnych,<sup>2</sup> o odroczenie innych postara się Prezes; — przygotuję dla Rady Korporacji estymację wartości gabinetu, a ona poprowadzi pertraktację z kandydatem na nabycie następstwa po nieboszczyku i podług jej decyzji rodzina udzieli rekomendacji przed Ministerstwem. To poszło tem łatwiej, że jako główny kandydat stanął mój kolega z czasów mej praktyki w gabinecie p. Leon Clement, p. Renault-Morlière, potem wpływowy członek Izby deputowanych.

<sup>1</sup> Godność adwokata przy Sądzie Kasacyjnym i Radzie Państwa nie stanowi, jak adwokatura przy sądach pierwszej i drugiej instancji, swobodnego zawodu, lecz należy do rzędu t. z. „offices ministériels“ jak np. notariuszy, maklerów przy giełdzie (agents de change) i t. p., których liczba jest ograniczona, zatem jakaś klientela pewna; są pod dozorem Ministerstwa Sprawiedliwości i mają prawo rekomendować swego następcę, za co się bierze dość wysokie „komisowe“. W tym zawodzie, gdzie talent osobisty odgrywa dużą rolę, równa się ono średnio trzykrotnemu dochodowi rocznemu. W notariacie lub maklerstwie nieco wyżej.

<sup>2</sup> We Francji adwokaci, pod grozą wykreślenia z korporacji, która nawet pod względem sądów jest „panią swego spisu“ (l'ordre est maitre de son tableau) nie mają prawa przyjmować pisanej plenipotencji od klienteli (ani też zawierac pisemnej umowy o honorarja). Obrońca staje przed Trybunałem, lekko podejmuje swój czepek adwokacki, powiada: „Mam zaszczyt stanąć w imieniu pana N. w sprawie z p. X...“ i wali. Przykładu nadużycia nigdy nie było.

W miesiąc po śmierci p. de Maulde mogłem już zdać gabinet w porządku p. Renault-Morlière. Rada Korporacyjna zatwierdziła proponowaną przeze mnie cenę 130 000 franków. Ponieważ p. de Maulde kręciła nosem z powodu skromności tej sumy, a p. Renault-Morlière z powodu jej wygórowania, przypuszczam, że Rada i ja mieliśmy rację. Ale po miesiącu tej forsownej pracy (bo jednocześnie wydrukowałem i przeprowadziłem moją rozprawę) moje zdrowie tak się rozklepało, że z rozkazu dr. Guènaud de Mussy, następcy wielkiego Trousscau na czele szpitala Hotel - Dieu, musiałem wyjechać na miesięczną kurację do wód Caulerets w Pirenejach.

## Rozdział VIII.

Wojna 1870—1871 r. — Komuna.

Byłem w połowie tej kuracji, gdy — 14 lipca 1870 — z łaski Bismarka pękła nad Europą taka sama bomba jak ta, którą w czterdzieści cztery lata później rzucił Wilhelm II, mianowicie kandydatura księcia Hohenzollerna do tronu hiszpańskiego. W owej chwili ojciec przebywał na Litwie, a brat Ignacy w Monachjum, gdzie wstąpił do szkoły malarskiej. Przed końcem miesiąca otrzymałem od ojca list jasny, stanowczy — i rozumny, jak wszystko, co wychodziło od tego mądrego człowieka, wówczas pięćdziesięcioletniego. Pamiętam dobrze ten „Ukaz najwyższy“. Wychodząc z ogólnie przyjętej wówczas teorii, że prawnik może być praktycznym, a artysta musi być lekkomyślnym, władza suwerenna postanowiła, że obaj synowie natychmiast, jak i którzy potrafią, powrócą do Geranon, a szefem ekspedycji i skarbnikiem, rozporządzającym okazałą sumą podjętą u Rothschilda gotowych pieniędzy, będę ja. 1-go czy 2-gó sierpnia powróciłem do Paryża, dokąd już brat pospieszył przedostać się przez Szwajcarię z Monachjum.

O wielki, przeświety, niemylny, wszechwiedzący, podniesiony na skrzydłach Ducha i Tonu, ludu — narodzie! Jesteś i wiecznie będziesz, od jednego bieguna do drugiego, podobny do siebie. Ta sama ludność paryska, która jeszcze o trzy tygodnie wcześniej i od kilku lat, szczególnie od Sadowy, niechętnie blamowała wszelkie formy militarizmu, mundury, sztandar narodowy, rozczulała się nad odrodzeniem „bratniego“ narodu niemieckiego, dziś wrzeszczała jak stado wielbłądów: „à Berlin“! W operze, do której udało mi się wcisnąć, prima-donna Marie Sasse w trójbarwnym kostjumie ze sztandarem w ręku śpiewała Marselję, król barytonów Faure w mundurze garde-mobile (której niedawno odmówiono trzech milionów) śpiewał Musset'a odpowiedź na „Wacht am Rhein“: „Nous l'avons eu, votre Rhin allemand, il a tenu dans notre Verre.“ Stary,

wówczas popularny wydawca gazety „La Presse“, Emile de Girardin, tak się nade mną w łoży wykrecał. że omal nie spadł mi na głowę! Przed wyjazdem zaprosiłem na pożegnalny obiad moich kolegów z obu gabinetów pp. Léon Clement i Maulde; koło dwunastej w nocy poszliśmy „dokończyć się“ do najbardziej uczęszczanego wówczas Café américain na Bulwarze; po nogach sobie chodzili, wszystkie stoły wspólne, nieznajomi się bratali, — wszystkich całowały kokotki — i „za miesiąc w Berlinie“! — Doszli do Sedanu, Metzu, kapitulacji Paryża i komuny.

A pół wieku później drugie stado wielbłądów ryczało — i to w ciągu czterech lat: „Nach Paris“ — i doszło do sromotnej kapitulacji 11 listopada 1918, do ucieczki pół-boga Wilhelma II, do Spartakussa, do Berliner Tageblatt'u z r. 1923 z napisem: „Eine Nummer 250 Milliarden“...

Plus ça change, plus c'est la même chose.

Szóstego sierpnia wieczorem, gdy już rozdawano depesze o porażce pod Woerth, opuściliśmy Paryż na Brukselę, Antwerpję, Rotterdam, Hage, Amsterdam, Harlem, rzemiennym dyszlem, wszędzie starannie odwiedzając galerje obrazów, potem Berlin; około 31 sierpnia dojechaliliśmy do Wilna; nie bez podziwienia po paryskich „à Berlin“ zauważyłem wówczas u Niemców ten sam nastrój równoczesnej wstrzemięźliwości i energii, który miał mnie później zachwycać u Francuzów w ciągu lat 1915—1918.<sup>1</sup>

Trzeciego czy czwartego września po krótkim odpoczynku w Wilnie wyruszyliśmy do Geranon, naturalnie końmi aż pod ganek; tu zdarzył się mi cud „poczty żydowskiej“, którego sobie jeszcze wytłumaczyć nie mogę; opowiem, jakim był. Wyjechaliśmy z Wilna, wiedząc z depeš petersburskich, że Niemcy nie znalazłszy w Chalons-sur-Marne wojska marszałka Mac-Mahon, pędzą za nim na północny wschód, i tyle. A o dziesięć wiorst od Geranon spotykamy jadącego z Wilna z ładunkiem zboża Markela Iwiejskiego (asocjanta wspomnianego Jankiela Dudskiego), który nas uwiadamia... o kapitulacji 2 września tegoż Mac-Mahona pod Sedanem!!! — Wówczas od Iwja do Wilna nie było żadnej stacji telegraficznej??

<sup>1</sup> Kilka lat później we Florencji sędziwy książę de Dino, dziadek po matce Ksawerego Orłowskiego, który w 1870 r. miał jednego syna, starszego, we wojsku francuskim, a młodszego w gwardji pruskiej, opowiadał mi, że w końcu lipca 1870 r., gdy wojna była już prawie pewna, powracając z Sagan do Paryża miał pożegnalną audjencję u Wilhelma I. Ten mu powiedział: Rozpaczam ciężką wojnę ze strasznym nieprzyjacielem, lecz ją wygram, bo mam nad nim „bratem“ Napoleonem wielką przewagę. Jeśli los oręża będzie z początku sprzyjał jemu, i on tak, jak jego stryj mego ojca, zapędzi mnie aż do Królewca, to na zamku królewieckim dla mego narodu i dla Europy zostanę Królem Pruskim. A brat Napoleonu po pierwszej decydującej porażce będzie już tylko „pauem Bonaparte“.

Ten rok wojenny 1870—1871 był dla mnie bardzo ciężki, i fizycznie i moralnie. Fizycznie, bo dzięki przepracowaniu po śmierci p. de Maulde, przerwanej kuracji w Pirenejach i długiej trzytygodniowej podróży niedoleczony półtora roku wcześniej przez wileńskich eskułapów punkt zapalny w prawem płucu znowu się przypomniał i odtąd miał mnie dręczyć całe sześć lat, a moralnie dlatego, że z właściwą ówczesnemu memu wiekowi przesadą, przejmowałem się klęskami mojej ukochanej Francji. Nie miałem jeszcze dość wyrobionego doświadczenia politycznego, żeby jasno przewidzieć wszystkie następstwa tej klęski, lecz miałem już dość wykształcenia i znajomości „sensu” historii, żeby dobrze czuć, że nie idzie tu o chwilowe zaćmienie tego promieniowania nad całym światem we wszystkich kierunkach, które Francja lat 1860—1870 wywierała, a którego siły i blasku dziś już domyśleć się nie mogą ci, którzy nie byli jego świadkami. Szczególnie po przewrocie 4 września 1870 r., kiedy wobec dążącego forsownym marszem na Paryż nieprzyjaciela, bez walki, bez wystrzału, bez ofiar, pod naporem kilkutyśiecznego tłumu, a pod kierunkiem kilkuset, najwięcej, kawiarzianych bohaterów, cały francuski gmach państwowy, administracyjny, wojskowy, runął na ziemię, nie wątpię o tem, że katastrofa końcowa jest nieunikniona i będzie długotrwała w swoich skutkach. Niemniej bolesnym był widok tej mało skrywanej radości, z którą prawie cała ówczesna Europa patrzała nie na triumf niemiecki — bo roztrośniejsi się już domyślali, że to się skończy zamianą jednej hegemonji na drugą, lecz właśnie na upokorzenie Francji: tak to kiedyś grecki „cham” głosował za wygnaniem Aristidesa, bo mu zbrzydło słyszeć o jego sprawiedliwości. W Wilnie nie tylko u Moskali, lecz i u rezonujących Polaków z uczuciem ulgi przewidywało się, że nadal — i do końca wieków — Francja będzie odgrywała rolę ...drugiej Portugalji! (Słyszałem dziesięć razy to porównanie). Przy mojem ówczesnem usposobieniu wszystko to było bardzo bolesne.

Niemalęj ulgi doznałem w tem, że wyżej wspomniana pani Marja Michałowa Tyszkiewiczowa, jeszcze przed wybuchem wojny przeniosła się na całe lato z synami do majątku Gródek, położonego o trzy mile od Mińska, oddanego jej przez męża do dyspozycji po ich separacji. Końmi od Gródka do Geranon około sto pięćdziesiąt wiorst drogi. Dowiedziawszy się o naszym z bratem powrocie, napisała do ojca przez umyślnego (to było jeszcze uważane za najpewniejszy sposób korespondencji), prosząc mnie z bratem Ignacym, abyśmy ją odwiedzili i podzielili smutek jej synów, również głęboko sfrancuziałych i stroskanych. Przebyliśmy tam trzy tygodnie, i wówczas zawiązała się moja zaiste braterska przyjaźń ze starszym z dwóch braci, Józefem; trwała pomimo, a może z powodu wielkiej różnicy charakterów, bo on był typem sercowego, a ja mózgowego człowieka,

aż do jego zgonu przed samą rewolucją raczej rewolucyjką rosyjską 1905 r. Widywaliśmy się jeszcze w Wilnie, gdzie pani Marja przepędziła zimę, oraz w Geranonach, dokąd mi przywiózł swego kolegę szkolnego z Wersalu p. Duprè, który całe obłężenie Paryża odbył jako oficer w „garde-mobile“ i zaraz po kapitulacji przyjechał na Litwę odetchnąć i odkarmić się, albowiem długo się żywił szczurami lub, zrzadka, zwierzętami z Zoologicznego Ogrodu (Jardin des Plantes). Ten stosunek wielce mi pomógł w przecierpieniu ciężkiego mego francuskiego bólu.

Ale nie pomagał cierpieniom piersiowym; te zaś do tego stopnia się wzmogły, że strwożony ojciec, który miał na sumieniu moje zapalenie płuc, postanowił z początku marca 1871 sam zawieźć mnie „do tych co umieją.“ Zanim dobraliśmy się do Warszawy, już w Paryżu zaczęło się kotłować do tego stopnia, że woleliśmy zasięgnąć porady w Wiedniu u sławnego wówczas prof. Skody; nim zaś otrzymaliśmy u niego audjencję... wybuchła paryska komuna (18 marca). Kuracja Skody (para terpeutynowa) przyczyniła mi tyle szkody co do stanu ogólnego, ile korzyści miejscowej, więc skoro doszła wiadomość o upadku komuny (29 maja), wybrałem się napowrót do Paryża, już drogą zwykłą, t. j. na Berlin, Kolonję i południową Belgję.

Tymczasem cholera, która przez całą zimę grasowała po Rosji, szczególnie w Petersburgu, i miała jeszcze dwa lata spacerować po Europie, zawitała na Litwę sporadycznie, lecz gwałtownie; gmina geranońska została nietkniętą, podobnie ługomowicka, ale w sąsiednich z nią bakstańskiej i iwiejskiej dwie wioski, Kuprowicze i Starczynieta, zostały tak opustoszone, że trzeba było je zaludnić z innych bliższych; w Wilnie, kiedym przez nie przejeżdżał dla uzyskania zagranicznego paszportu, chowano do stu osób dziennie. Wkrótce po moim wyjeździe padła ofiarą swojej cnoty — bo całymi dniami przesadywała w lazaretach — anielskiej duszy generał-gubernatorowa Potapowowa. Ta strata nie była dla naszego społeczeństwa bez kompensacji. Między nieboszczką i panią Marją Tyszkiewiczową zawiązała się była serdeczna przyjaźń i ostatnia zamknęła oczy umierającej. Z początku zrozpaczony mąż, bezdzielny i starzejący się, przeniósł później swoje przywiązanie na pozostałą przyjaciółkę nieboszczki. Nasze polsko-ziemiańskie społeczeństwo na tem zyskało. Pani Marja, dobra i usługna, korzystała z tej przyjaźni, żeby wzmacniać dobre usposobienie Potapowa i wyrabiać to temu to owemu różne łaski osobiste, między innymi prawo kupienia wbrew ukazowi 10 grudnia 1865 r. nieruchomości ziemskiej. Otrzymali je wprawdzie jej szwagier Józef Tyszkiewicz, marszałkowie wileńscy: gubernjalny Aleksander Domejko (który z tego nie chciał korzystać) i Adam hr. Plater, bracia ks. Bohdan i Michał Ogińscy, Feliks hr. Plater względem własnego, zagrożonego skomplikowanym procesem majątku,



i kilku innych. Choć sami z tego wyciągnęli korzyści, jednak za polskie majątki płacili znacznie drożej, niż gołe jak bizuny czynownicy, i cena ziemi dość znacznie się podniosła.

Przyjechałem do Paryża w połowie czerwca. Aż do okolic stolicy nie zauważyłem tych śladów systematycznego, zwierzęcego zniszczenia przez „Boszów“, które jeszcze w dwa lata po ostatniej wojnie wywoływało oburzenie bezstronnego widza: na to trzeba było czterdziestu pięciu lat „postępu“ niemieckiej kultury i techniki. Za to w Saint-Denis, u samych wrót Paryża, dworzec kolejowy był zajęty przez pruskie pikielhauby; na głównym dworcu (północnym) i w samym mieście prawie żadnej drożki. W mieście ślady, nie oblężenia, lecz zniszczeń komuny, raziły oko i to podwójnie; przepyszny ratusz z XVI wieku (po-tem odbudowany w pierwotnym kształcie). Ministerstwo Finansów (na miejscu którego stoi Hotel Continental), Pałac Królewski les Tuileries, z którego 4 września 1870 uciekła cesarzowa Eugenia (do dziś dnia zrównany z ziemią), leżały w gruzach, a Pałac Rady Stanu i Wyższej Izby Kontroli, w którym tak często bywałem (dziś dworzec kolejowy orleański), jeszcze się dymił. Raziły także spojrzenia pełne nienawiści i żądy zemsty, niemyłne dla ważnego badacza, które tryskały z oczu niemal każdego spotkanego przedstawiciela roboczego ludu.

Bo też represja była nielitościwa, taka, na jaką żaden monarcha, choćby Mikołaj I, moralnie odpowiedzialny przed historją i narodem, nie mógłby się zdobyć. To jest w moich oczach jedyna wyższość formy republikańskiej nad monarchiczną: w czasie takiego cyklonu społecznego nicodpowiedzialność osobista może się stać zbawienną. Generał brygady margrabia de Gallifet, którego dywizja położyła trupem tysiące (przeważnie już rozbrojonych) buntowników i podpalaczy, nie był winien; on spełniał rozkaz głównodowodzącego marszałka. — Marszałek nie winien, on spełniał rozkaz Rządu. Rząd nie winien — bo spełniał wolę Zgromadzenia Narodowego. A tu znowu każdy członek zosobna, jak we wszystkich zbiorowiskach mógł rzec, „to nie ja, to moi koledzy“, a samo zbiorowisko mogło ukrywać się za opinią publiczną.

I to była prawda. Oburzenie całej prowincji na Paryż, a w samym Paryżu burżuazji — na „komunardów“, do których ona zaliczała cały proletarijat, dochodziło do ostatnich granic zjadłości, bo w tem powstaniu, pod okiem zwycięskiego Prusaka, cały naród francuski widział przedewszystkiem sromotną zdradę Ojczyzny. Kiedym przyjechał, już o egzekucjach na ulicach nie było mowy, ale łapanie skrytych komunardów i odsyłanie ich do obozu w Satory pod Wersalem jeszcze się nie skończyło. Gdym nazajutrz po przyjeździe odwiedził mego by-

tego patrona p. Leon Clément — już członka Zgromadzenia Narodowego — i on mnie z sobą zabrał do Wersalu, widziałem na drodze do Paryża codzień zbierające się (choć już za późno) grupy ciekawych, oczekujących prowadzonych pieszo komunistów i t. z. „petrolerek”. Z tego tłumu wiało, szczególnie ze strony kobiet, które z początku rzucały się na niewolników, żeby im parasolkami oczy wykuć, wprost wściekłością.

Często (aż do 1875 r., kiedy został senatorem) p. L. Clément brał mnie z sobą do Wersalu i zawsze jakoś wcisnął do Zgromadzenia Narodowego, które zasiadało w ogromnej sali teatralnej byłego przed 1789 r. pałacu królewskiego. Nawąchałem się wówczas woni kuchni parlamentarnej, nasłuchiwałem się różnych kuglarzy mównicy, których potem starałem się naśladować. (Jules Favre, Gambetta, d'Audiffret-Pasquier, Numa Baragnon i inni), no i nabrałem nieuleczalnego wstrętu do ustroju parlamentarnego (nie mieszać z konstytucyjnym).

Prócz Zgromadzenia Narodowego ciągnął mnie często do Wersalu (już w sierpniu) pobyt w nim pani Marji Tyszkiewiczowej i jej syna Józefa, którzy likwidowali swoją wersalską instalację, oraz sensacyjne procesy w Sądzie wojennym głównych, nie zabitych podczas „krwawego tygodnia” hersztów komuny. Byłem na sprawach ówczesnego Dzierżyńskiego, Ferré, mordercy zakładników (arcybiskupa Darboy, prezesa Sądu Kasacyjnego Bonjean, literata Chaudey i licznych innych), — kapitana w regularnej armji, deztertera Rossel, — obaj skazani na śmierć i rozstrzelani, — słynnego malarza Courbet (pradziada szkoły, która stopniowo doszła do kubizmu), ministra finansów komuny Jourde, deportowanych do Nowej Kaledonii, i innych. Muszę przyznać, że ci wszyscy złoczyńcy polityczni zachowywali przed Sądem — a również i przed słupem — postawę pełną godności. Nie kartonowe Brutusy; siedli do tragicznej partji, przegrali...i zapłacili.

Ta niemiłosierna represja Komuny 1871 r. miała jednak dla Francji zbawienne skutki. Thiers i Zgromadzenie narodowe wychodzili z tej zasady, że kiedy jacyś zorganizowani lub niezorganizowani rokoszanie szturmuja gmach państwowy i. posiadając wszystkie, nawet przesadne, możliwości wyjawienia swego zdania i przeprowadzenia swoich dążeń (a możliwości tych dostarcza nowoczesny ustrój państwowy nawet najmniej do tego usposobionym obywatelom), jeszcze chwytają się broni, to popełniają, każdy indywidualnie, względem narodu zbrodnię, która nie tylko powinna być uśmierzona, lecz i — ukarana, — i to tak, aby ich opuściła wszelka ochota do recydywy. — Nie unikano rozlewu krwi tak, jak strażak pożarny, gdy gasi palący się dach jakiegoś gmachu, nie unika rozlewu wody i zamoczenia sufitów, chyba że — jak Kereński w listopadzie 1917 r. lub pp. Wojciechowski i Witos w maju 1926 r. — w rzeczywistości boi się wleźć na drabinę i opalić sobie buzię. Żołnierzy i „za-

kładników“ zginęło około tysiąc ludzi, komunardów zaś przeszło dwadzieścia pięć tysięcy. A to zostawiło wśród czerni paryskiej po dzisiejszy dzień takie wspomnienie, że pomimo burzliwej historii trzeciej republiki francuskiej, pomimo Gambetowskiego oportunistu, długoletniego anti-klerykalizmu, Boulangizmu, Panamy, Dreyfuzjady, cierpień i wstrząśnięć 1914—1918 lat, dotychczas nie przyszło na myśl hersztom francuskiego motłochu popierać swoje dążności w formie akcji zbrojnej.

Niestety do tej zbrodniczej komuny polazło niemało (jakoby do dwustu) naszych emigrantów 1863 r. z „generałem“ Dąbrowskim na czele. To odbiło się mocno i trwale na usposobieniu francuskiej opinii publicznej względem polskiego narodu; niechęć była tak widoczna, że kuzyn Laskowicz jeszcze kilka dni po ustaniu walki nie śmiał wychodzić z domu. Opowiadał mi, jak (ponieważ władze wersalskie w ciągu tych dwóch miesięcy otrzymały, jak pisali ówczesni historycy, do 300 000 osobistych denuncjacyj) oficer, który zajął kwartał Luxemburski, odrazu udał się do księgarni polskiej Władysława Mickiewicza na rue de Tournon. — Ten, tak jak jego ojciec w 1831 r., a sam w 1863 r., oficjalnego udziału w komunie nie brał, lecz obficie „a latał, a pisał.“ Dowiedziawszy się od Bogu ducha winnego urzędnika księgarni, że Mickiewicza od poprzedniego dnia nie widziano, oficer zapytał: „A pan Polak?“ — „Polak“. — Do ściany i w łeb. — Potem Mickiewicz dzięki protekcji jeszcze żyjących Michelet'a i Edgard Quinet'a, kolegów jego ojca w Sorbonie, jakoś się wykręcił i wyszedł z kryjówek.

Odtąd marka „Polak“ stała się jawnie niekorzystną. Jużci, że prócz jakichś liberalizujących blagierów, dla których Polska służyła za klasyczny bebenek, żaden trzeźwy Francuz nigdy nie sądził, że Opatrzność, w co wierzył nasz „Wieszcz“ (w „Księgach pielgrzymstwa“), stworzyła Francję nato, żeby swoją krwią i swoim bogactwem ratowała Polskę od następstw własnego niedołęstwa. Ale po 1830 r., i do 1870 r., ogół narodu francuskiego, odważnego i ceniącego odwagę, której wówczas u Polaków nie brakło, odczuwał do nich przeważnie litościwą, lecz szczerą sympatię jako do walecznych półgłówków. Komuna положиła temu koniec. Wykształceni Francuzi pod wrażeniem niedawnej depechy dziękczynnej Wilhelma I do Aleksandra II: „Waszej Mości po Bogu Niemcy zawdzięczają swoje zwycięstwo“ za wstrzymanie na początku wojny Austrii od zbrojnej interwencji, wiedzieli, że zawdzięczają ten „cios sztylceciem w plecy“ właśnie swoim platonicznym sympatjom do Polski, i to mniej notom dyplomatycznym z 1863 r., jak osobiście obraźliwym incydentem 1867 r. Jadąc do Paryża, Aleksander II jakby dla przygotowania terenu podpisał w Wierzbolowie dość skromną amnestję dla winowajców 1863 — został przyjęty w Paryżu słynnym „Vive la Pologne, Monsieur“ adwokata Ch. Floquet,

spudłowanym wystrzałem Berezowskiego i przyznaniem ostatniemu przez paryski Sąd przysięgłych okoliczności łagodzących, aby jego, cesarza, pozbawić możności wyproszenia u Napoleona III złagodzenia kary.<sup>1</sup> A już mówiłem, że Aleksander II był chorobliwie mściwy. — Dla „Francuzów z ulicy“ Polacy z ich „generałem“ Dąbrowskim (jedyń z generałów komuny, który nie okazał się błaznem, szukał i znalazł waleczną śmierć) zostali wówczas sprzymierzeńcami zdrajców ich ojczyzny. Odtąd patrzano na nich, jak na niebezpiecznych warcholów, nadużywających gościnności; dopiero w 20 lat później, z wybuchem długiej rusofilskiej manji, i aż do rewolucji rosyjskiej zaczęto nas uważać głównie za nudziarzy, którzy przeskadzają nowemu romansowi z przepotęzną niby kochanicą; a gdy w Brześciu Litewskim — kochanica okazała się do niczego niezdadną nierządnicą, zostaliśmy znowu wyniesieni na godność mopsa, który może w danym razie chwycić za łydkę niemieckiego wilkołaka. W tej chwili bodaj tam zadają sobie pytanie, czy mops ma zęby i czy nie będzie wołał w chwili decydującej „uniknąć rozlewu krwi?“

Umyślnie się zatrzymałem dłużej na moich wspomnieniach z r. 1870/71. Już sześćdziesięcioletni ludzie go nie pamiętają, i zauważyłem, że u nas — nawet zagranicą, młodszy nie zdają sobie sprawy z głębokiego związku historycznego między nieudanym zamachem niemieckim 1914 roku, a udanym w roku 1870.

<sup>1</sup> Bardzo nietaktownie część emigracji polskiej wówczas jakby solidaryzowała się z tym Berezowskim, wystarawszy się mu do obrony o efektownego trębacza, Emanuela Arago. Berezowski nie był Polakiem, lecz Rusinem prawosławnym, wmieszał się do ruchu 1863 r. jako rewolucjonista, na wzór Zdanowicza, i prawie nikt w emigracji go nie znal.

## Rozdział IX.

La Bourboule, Tuluza, Nizza.

W międzyczasie z rozkazu Dra Guinaud de Mussy odbyłem czterotygodniową kurację u nowoodkrytych, mocno arsenikalnych wód La Bourboule w Auvernji: dojeżdżało się do tej dziury końmi (56 kilom.) z Clermont-Ferrard, a składała się ona z lrzech hotelików, z zakładu o dwudziestu wannach i paru luzinów chatk chłopskich. Zaprzyjaźniłem się tam, aż do jego przypadkowej śmierci w dziesięć lat później, z moim młodym lekarzem Dr. Choussy, o którym może jeszcze wspomnę, bo był typem tego „przeciętnego Francuza“ (który tłumaczy tyle i arcypięknych i arcygłupich stron historii Francji od XVIII wieku), człowieka „rozdwojonego“, niezrównanego sensata w życiu prywatnem, bzika w życiu publicznem).<sup>1</sup> Kuracja

<sup>1</sup> Choussy, choć ponsowy radykał, wówczas mi opowiadał niedawny wypadek, który jaskrawo potwierdza moją teorię o tożsamości duszy chłopskiej na całej kuli ziemskiej. 5 września 1870 z rana Choussy jeszcze w łóżku słyszy szmer dość licznych głosów kobiecych i otwiera okno; widzi kilkadziesiąt znanych mu osobiście różnego wieku bab z sąsiedniej gminy Laqueuille; wszystkie mają na plecach długie worki zbożowe: „Czego chcecie?“ — „Panie Ludwiku, nasz maire (wójt) nakleił w tej nocy obwieszczenie, jakoby w Paryżu ogłoszono Republikę, zatem my przychodzimy rabować.“ Gdy w r. 1792 ogłoszono pierwszą Republikę, nowy Rząd jednocześnie wezwał wszystkich obywateli do broni — poszło ich dobrowolnie kilkadziesiąt tysięcy — i pozwoili im swobodnie rabować szlacheckie zamki i burżujskie siedziby. Wlazło do tych dębowych głów jak gwóźdź, że Republika i rabunek, to jedno i to samo, i po czterech pokoleniach gwóźdź jeszcze tkwił.

Tak samo nasi „suwereni“ z partji Wyzwolenia z powodzeniem tłómaczą chłopom, szczególnie kresowym, że ponieważ Polska znikła za pańszczyzny, zmartwychwstała „Polsza“ i pańszczyzna to jedno i to samo.

Zresztą u Ludwika Choussy nic nie zrabowano. Wytłumaczył babom, że rabunek będzie, lecz już nie siedzib, tylko nikczemnego kapitału, i zapomocą kartek wyborczych, a nie worków. Tymczasem od jego siostry Pani Vimal, właścicielki sąsiedniego hotelu, przyniesiono kilka kszów lepszego wina, wypito je razem za „swobodę, równość i braterstwo“ — i wszystko w porządku. Siedem miesięcy później — komuna.

ta tak mi pomogła, że się miałem za ostatecznie wyleczonego i znowu powstawała kwestja: co z sobą począć? Za zgodą samowładcy-ojca dopchać się do doktoratu prawa, a potem się zobaczy, i znów zacząłem zawzięcie kuć „Corpus iuris.“

W jesieni jednak prorok de Mussy zdecydował, że zimować w Paryżu nie powinienem i, żeby pogodzić Corpus iuris z higieną, kazał mi jechać do Tuluzy, z pierwszym po paryskim fakultetem prawnym, z klimatem dwa lata z trzech słonecznym i łagodnym, a kiedy wpadnę na ten nieudany trzeci rok, schronię się do Nizzy. Tak i stało się.

Nikogo nie widywałem prócz rekomendowanych mi z Paryża dziekana fakultetu, dzięki któremu byłem w bibliotece jak u siebie, przeszło siedemdziesięcioletniego wiarusa z pod Borodino, Berezyny, Lipska, Grochowa i Ostrołęki, pułkownika Zablockiego, i starego doktora Desbarraux-Bernard; ten mnie odrazu pokochał, bo sam w moim ówczesnym wieku nabawił się chronicznego bronchitu, borykał się z nim pięćdziesiąt pięć lat i już domu nie opuszczał. Aby mnie skłonić do ogólnego umiarkowania jako podstawy higieny, redukował wszystkie funkcje ludzkie do płuc: „Pamiętajże, moje dziecko, że człowiek chodzi płucami.“ Inny raz, że się je płucami. — Pracuje się nad książką płucami. Ja raz: „A czem, doktorze, człowiek uszczęśliwia ładne kobiety?“ — „Właśnie płucami!“

Przewidziana przygoda przyszła: w połowie grudnia obudziłem się, okno zamarzło, dachy białe, kucharka doktora Desbarraux-Bernard przyniosła mi lakoniczny bilecik: „Pociąg w stronę Nizzy o siódmej wieczorem, jazda.“ — Pożegnałem się z nim, zdał ze mnie dwadzieścia franków za osiem wizyt i nazajutrz byłem w Nizzy.

Nie znałem w Nizzy nikogo, lecz wiedziałem, że w niej mieszka stale we własnej willi p. Kalikst Orzeszko, bardzo zamożny ziemianin grodzieński i wołyński, były do 1860 r. gubernalny marszałek grodzieński, wielki przyjaciel i wielbiciel mego ojca. On i jego żona (Skirmuntówna) — przyjęli mnie z otwartymi ramionami, i przez nich poznałem również całą kolonję polską.

Ci, którzy znali tylko Nizzę XX stulecia, podobną, prócz swego słońca i widoków, do ladajakiego prowincjonalnego nowożytnego miasta, a szczególnie ci, którzy poznali Nizzę po ostatniej wojnie z jej kilkudziesięcioletnią ludnością zimową, bezbarwną, rozproszkowaną, przeważnie burżuazyjnego typu, gdzie nieliczni zamożni ludzie, prawie wyłącznie Amerykanie, nie wiedzą, co począć z pieniędzmi — chyba je przegrywać w Monte Carlo, nie mogą mieć pojęcia o tem, czem była Nizza 1871 roku i mniej więcej do roku 1890. Zewnętrznie,

prócz małego, starego, czysto włoskiego miasta, jest to rodzaj „kurortu“, złożonego z kilkunastu doskonałych hoteli i mnóstwa will, zwykle otoczonych ogródkami. Towarzystwo zaś było to zbiorowisko ludzi wszelkich narodowości, przeważnie należących rzeczywiście do „świata“, lecz dla różnych przyczyn żyjących „na marginesie“. O dwóch przykazaniach boskich, siódmym i szóstym, lepiej było nie wspominać. Co do siódmego prócz nielicznych Francuzów i kolonji polskiej, która mogła wykazywać tysiące autentycznych dziesięcin, ostrożność radziła, by widząc, że są pieniądze, nie troszczyć się o ich pochodzenie; a szóste przykazanie wogóle nie cieszyło się popularnością. Zdarzały się wprawdzie takie mężatki, które nie dawały swoim mężom współpracowników, ale czuły się mniej więcej jakby nosiły przestarzale, zaprzestawiające ubrania, i trzymały się na ustroniu.

Zabiegając wprzód, aby do opisu tej nieboszczki Nizy nie powrócić, pierwsze miejsce wśród nicejskich „kolonij“ zimowych, mniej więcej aż do końca minionego stulecia, zajmowała kolonja polska, przeważnie dzięki trzem otwartym domom pań: Marji (z Sapiechów) Branickiej, Lizy Przeździeckiej i Skarżyńskiej. Wszystkie trzy miały tę wielką przewagę, że drażliwa kwestja „skąd środki“ nie powstawała, bo siedziały na mocnym gruncie ukraińskiego lub podolskiego czarnoziemu i cukru, który wówczas właśnie zaczynał obsypywać nasze południowokresowe ziemianstwo jak złoty deszcz. Państwo Skarżyńscy, p. hrabia, gruby obszarnik podolski, ciocieczny brat pani Marji Branickiej, i pani hrabina, była bona czy guwernantka niemiecka, zajmowali piękną willę na „Promenade des Anglais“ i dawali częste przyjęcia, eleganckie i banalne. Pani Liza Przeździecka, w 1871 r. zajmująca oddzielną willę na Carabacel, potem blisko trzydzieści lat piękne mieszkanie w willi Lyous na promenadzie, sama niewysokiego pochodzenia (cóрка pewnego generała Lachmana), lecz po mężu p. Karolu Przeździeckim prawdziwa arystokratka, za panowania Napoleona III jeden z kwiatów stanowiących „bukiet“ dworski cesarzowej Eugenji — wcale nie wystawnemu życiu, lecz rzadkiej uprzejmości, wesołemu charakterowi i taktowi światowemu zawdzięczała, że jej salon do jej śmierci (koło 1900 roku) stanowił jakby pielgrzymkę wszystkich czy Polaków czy też cudzoziemców, mających czy przyznających sobie prawo do wstępu w światową Kapliczkę, i coś w rodzaju poczekalni do niezaprzeczonego „dworu“ królestwa nicejskiego, jakim się stał, skoro osiadła w swej pysznej willi „Olivetto“ pani Marja z Sapiechów Branicka. Przy tej ostatniej trzeba się zatrzymać: był to bowiem „numer“ w całym znaczeniu słowa, jakich za jej czasów było niewiele w Europie, — a dzięki zawrotnemu obecnemu postępowi (wdół) nie będzie może przez długie wieki, aż póki z socjalnego potopu nie wynurzą się nowe wierzchołki.

Pamiętam ją jeszcze, kiedy w końcu 1862 r. jako księżniczka Sapieżanka była zaręczoną z mocno marcowym p. Władysławem Branickim, dziedzicem ogromnego (koło stu tysięcy dziesięcin) klucza Biała-Cerkiew (rezydencja Aleksandrja) na Ukrainie. Nie była piękną, nawet prawdziwie ładną, bo posiadała potężny nos, do którego — jak Francuzi mówią — deszcz padał. Lecz była na wszystkie strony urocza, a ruchy jej były jakby jakiejś bogini z Olimpu chodzącej po obłokach. To miały i niektóre inne, lecz tem, co ją wyróżniało nad wszystkie „lwice“ jej pokolenia, to był jakiś nadzwyczajny dar utwierdzenia od pierwszego spojrzenia, bez bólu, upokorzenia lub zniecierpliwienia u ofiary, swego zwierzchnictwa i brania każdego i każdej w stan lennictwa; wobec niej nawet takie wieloryby jak np. arcyksiążę Ludwik Wiktor, brat cesarza austriackiego, wyglądali jakby zadowoleni, że pani Marja „wszechmiłościwie raczy“ okazywać im uprzejmość.

Można się domysleć, jak między stale zamieszkałymi w Nizzy domami, stanowiącymi arenę sportu światowego, wyglądała w porównaniu z temi polskimi domami, opartymi na trzech filarach autentycznych nazwisk, autentycznych majątków i autentycznych (choć wyrozumiałych) mężów, cała paczka domów egzotycznych, opartych co do nazwiska, co do pochodzenia funduszu, a nawet co do stanu cywilnego, na znakach zapytania. — Typowym, wyjętym ze słynnego jeszcze wówczas Dumasowskiego Monte-Christo, był dom „hrabiostwa“... no dajmy ...Dolińskich.

Zjawił się w Nizzy autentyczny, znakomicie piękny starzec, dla którego na całym kontynencie drzwi były otwarte, bo w młodości podbił swoją urodą, wykradł i poprowadził do ołtarza pannę wyjątkowo wysokiego pochodzenia i stanowiska światowego. Gdy mu małżonka umarła bezdzietną i związek z jej przezamożną rodziną się przerwał, stary Adonis siadł na miełźnie, znalazł się w Ameryce i stamtąd przywiózł do Europy niewiadomego „bratanka“. Bratanek także podbił i poślubił dojrzałą amerykańską czy angielską wdowę. Kupili sobie obszerną willę i dawali w niej „garden partis“, na które z próżniactwa ludzie jakoś chodzili; gdy (w r. 1872) został założony świetny Club de la Méditerranée, przez następne lat trzydzieści oś życia światowego, bratanek hr. Doliński wsadził weń dobry kusz i został członkiem komitetu — poczem stryj protektor znikł, czy z nicejskiego horyzontu, czy też z tego świata... A tymczasem w tymże klubie dwóch członków, cieszących się ogólnem poważaniem i zaufaniem, twierdziło każdemu, kto chciał, że tego bratanka „hr. Dolińskiego“ doskonale pamiętają o dwadzieścia lat wcześniej jako młodego urzędnika Izby Skarbowej, w której jego ojciec piastował wyższy urząd. Tylko nie jako Dolińskiego, lecz jako: ...niech będzie Jagnięckiego. Podczas ówczesnej wiel-



kiej wojny, kiedy wojska jeszcze walczyły za granicami państwa, a komunikacji kolejowej z niemi nie było, ów urząd skarbowy otrzymał rozkaz wysłania do armji bardzo grubej sumy w złocie; — zabito mamonę do szkatuł obręczami i pieczęciami opatrzonych, złożono komisijkę z paru urzędników, do których należał młody Jagnięcki, i konwój z jakiegoś dziesiątka żandarmów. Wszystko wyruszyło, z drogi wysyłały się pomyślne raporta, a gdy ekspedycja przekroczyła granice państwa, przerwały się raporta, z Jagnięckiego, jego kolegi, żandarmów a głównie szkatulek, zostały tylko wspomnienia. Ale to nic. Mało to plotek na świecie!

Naturalnie, że dokoła tych gościnnych domów i w szynkownych klubach roilo się od „ptaków niebieskich“, których wszystkich bez wyjątku karmiła Dama pikowa, bądź w Monte Carlo, bądź w klubach. W Monte Carlo prawie zawsze to się kończyło źle i dlatego administracja zakładu miała i jeszcze ma w suterrenach trupiarnię ze wszystkim, co potrzeba. W klubach wielbiciele Damy pikowej mogą długo się trzymać kosztem t. zw. baranów. Jednak dopóty dzban wodę nosi,... tak że co rok, co drugi, jakiś ptak próbował „poprawić fortunę“. Dał się złowić i zniknął bez dramatu. O jednym wypadku wspomnę, bo świadczy o niezłomnym duchu, jaki przynajmniej wówczas panował w lepszych kołach tego narodu, w którym może się zachowują jak zarodki greckiej i rzymskiej wiedzy w średniowiecznych klasztorach i przetrwają obecny długotrwały kataklizm społeczny — zarodki n a l e ż y t o ś c i. Zjawił się w klubie elegancki Anglik, młodszy syn wyprowadzającego się od Norumanów lorda, zatem „honourable“, major gwardji królowej Wiktorji, i jeden z faworytów ks. Walji, namiętnego, jak wiadomo, gracza. Major zlicytował bank w baccarat: przegrał kilka rozdań z rzędu, sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni fraka, wyjął nabity banknotami pugilares, lecz tak niezgrabnie, że z pod pugilaresu posypał się stosik podtasowanych kart. Cały stół to widział. Było to w poniedziałek jeszcze przed północą. A we wtorkowym rannym numerze „Times'a“ przeczytałem następny ustęp, który mnie przeraził, jak widok padającego na kark skazańca noża, tak że do dziś dnia pamiętam jego treść: „Major takiego to pułku gwardji Honourable X. Y. jest wykreślony ze spisów armji brytyjskiej, ponieważ Najjaśniejsza Pani nie potrzebuje nadal jego usług (Her Majesty having no further occasion for his Services)“. Oczywiście jeden z obecnych Anglików piorunowo poleciał do angielskiego konsula, ten piorunowo zatelegrafował do Min. Spraw. Wojskowych, tam piorunowo powzięło odpowiednią decyzję i niemniej piorunowo uprzedzono ranne gazety.

Cała rodzina nałożyła głęboką żałobę bez żadnej wzmianki o śmierci, a dopiero w kilkanaście lat później — między śmier-

cią Gordona a zdobyczą Khartumu, w tymże „Times“ podpadła mi druga notatka: „Honourable X. Z. ochotnik w armji generała Kitchnera zginął śmiercią walecznych w Sudanie.“

Naszkiecowane tu życie nicejskie trwało mniej więcej bez zmian aż do końca lat dziewięćdziesiątych; potem śmierć jednych, zesterzenie się drugich, zaczęło je rozprzegać; szczególnie przekształciło całą jego fizjognomję stopniowe, lecz stałe nawodnienie Rivieri wzbogaconym elementem niemieckim. W 1914 r. już w Monte Carlo słyszało się więcej niemieckiego języka niż wszystkich innych razem; jednocześnie Anglicy, którzy do wojny 1870 r. panowali w Nizy, całkiem ją opuścili, bo aż do czasów ostatnich „Bosz“ wszędzie służył jako perski proszak na wyspiarzy. To też opisałem ten mało czcigodny, lecz wesoły świat zagiunionej Nizy, jak stary meloman w obecnej epoce bładych epigonów Wagnera i „jazzbandu“ wspomina o bogatej w melodje muzyce Rossini'ego, Bellini'ego i Auber'a.

Powracając do chronologii, wśród tej zimy 1871—1872 r., dzięki wzruszającemu poemacikowi bardzo popularnego wówczas Fr. Coppée „Les bijoux de la délivrance“ ogarnął całą Francję prawdziwy szal (który się latem 1926 r. powtórzył), mianowicie spłacenia pięciomiljardowej kontrybucji niemieckiej drogą ofiarności prywatnej. Zapanowała epidemia balów, koncertów, przedstawień amatorskich i t. d. W Nizy rzucili się na to państwo Rumboldowie, którzy obcowali głównie z kolonją polską jako światowo najpewniejszą. On, rodzony brat późniejszego ambasadora angielskiego w Wiedniu, zatem stryj posła w Warszawie na początku Rzeczypospolitej (1919—1921), ona księżniczka Łabanów-Rostowska, siostra ambasadora w Wiedniu, później za Aleksandra III Ministra Spraw Zewn. Była to wybitna niewiasta, o której p. Liza Przeździecka słusznie mówiła, że Opatrzność ją hojnie obdarzyła wszystkimi darami, cnotami i wdziękami kobiety prócz jednej, mianowicie... kobiecości. Rzeczywiście i zgrabna, i dobra, i miła i wykształcona, znakomita śpiewaczka, deklamatorka i aktorka, dobra akwarelistka, miała... wzrost karlicy.

Od pierwszego dnia naszej znajomości p. Liza Przeździecka, która młodszą córkę Laurę wprowadzała w świat i urządzała u siebie teatr amatorski z żywymi obrazami, zwerbowała mnie do swojej trupy; mało się to zgadzało z moją pracą egzaminacyjną, ale jeszcze miałem za mało łupetu, żebym potrafił zgrabnie się wyknąć z pod natarczywej uprzejmości takiej emerytki-lwicy, jaką była p. Liza (wtedy już babunia). Wystąpienie moje w roli charakterystycznej, ugrymowanej, miało powodzenie, bo nazajutrz rano Rumbold, który właśnie werbował sobie trupę dla projektowanej pięciomiljardowej imprezy, mającej się składać z wielkiego kostjumowego dramatu „Un duel sous Riche-

lieu“ i opery komicznej „Bonsoir Monsieur Panatlon“ w sali teatralnej ówczesnego Casino (niebawem przekształconego na Club de la Méditerranée) i podczas Wielkiego Tygodnia „Stabat Mater“ Rossini'ego w kościele, proponował mi główną rolę w dramacie; trzymając się „gnothi seauton“ mądrego p. Voillemier, stanowczo odrzuciłem bohatersko-sentymentalną rolę, nie pasującą ani do mojej powierzchowności ani do mojego temperamentu; a ząto będąc dostatecznie oswojony z teatrem wogóle i wówczas jeszcze wcale niezłym muzykiem (pianistą), zgodziłem się być pod kierunkiem Rumbolda reżyserem trupy; tu mogłem dzięki japońskiej akurattości i niezwykłej w moim ówczesnym wieku odporności na słodkie minki lub też kaprysy, rozrzepania, rywalizacje i mizdrzenia się damskiej części trupy być użytecznym, i byłem.

Aby kabotyństwo niezbyt szkodziło nauce, rozdziwiłem się; od ósmej rano aż do pół do pierwszej zatapiałem się w jurysprudencję, poczem habit benedyktyna zamieniałem na strój „dandysa“ i zanurzałem się w światowość.

Wszystko rozmaicie się udało z punktu widzenia artystycznego; dramat ledwie średnio, operetka lepiej, a Stabat doskonale dzięki mistrzowskiemu śpiewowi p. Rumbold i pięknemu głosowi tenora p. Villa, który (jak niegdyś wielki Mario, hr. de Candia) należąć do włoskiej szlachty, bezpłatnie się do nas przyłączył.

A pieniądze, pomimo dość szczupłych rozmiarów sali i kościoła, dzięki hojności słuchaczy zebraliśmy netto całych pięćdziesiąt tysięcy franków... t. j. równo stotysięczną część Boszowskiego haraczu, a cała Francja nagrała, naśpiewała i natańczyła osiem z czymś milionów, czyli sześćset dwudziestą piątą część. Mojem honorarjum była i została jeszcze przez kawał czasu cenna i serdeczna przyjaźń z małżeństwem Rumbold.

Wieczorem po Stabat odjechałem napowrót do Tuluzy, gdzie wiosna już się ustaliła.

## Rozdział X.

### Egzamin doktorski. — Co począć z sobą?

Tu tylko kułem i kułem. Przewidując, że w połowie maja będę arcygotów, listownie zapisałem się na egzamin na następny miesiąc. Dwa dni przed wyjazdem przytrafił mi się wypadek, który przyniósł mi i niemałe zadowolenie miłości własnej i poważne starcie z droгим ojcem.

W kompletnie upalny dzień powracałem ze śniadania w letnim ubraniu i płaskich trzewikach; raptem zebrały się czarne chmury i zaczęło strasznie grzmieć; ledwie zdążył schronić się po drodze do biblioteki, gdy zaczął sypać grad (specjalność Tuluzy), jakiegom więcej w życiu nie widział, rozmiarów średniej śliwki. — Ulice przykryte były warstwą tego gradu na mniej więcej 20 cm. Oczywiście przyszło mi siedzieć w bibliotece do nocy. Zacząłem sobie szukać czegoś ciekawego do czytania. Wpadła mi pod rękę obszerna monografia Savigny'ego, najwybitniejszego romanisty niemieckiego z pierwszej połowy XIX wieku o „przedstawicielstwie w prawie cywilnem rzymskiem“. Oryginalnością prawa rzymskiego z epoki klasycznej — do cesarstwa — było to, że nie znało ono cywilnego przedstawicielstwa; kto chciał sądownie prowadzić i bronić cudzej sprawy, musiał (fikcyjnie) nabyć jego prawo lub przyjąć jego zobowiązania. Wiedziałem o tem tylko ogólnikowo, szczegółowy wykład Savigny'ego mnie zainteresował, dobrze go rozgryzłem, zrobiłem kilka notatek, nazajutrz mając swobodnych kilka godzin przed wyjazdem, dokompletowałem moją świeżą wiedzę przy pomocy innych niemieckich i francuskich autorów i wyjechałem do Paryża, odęty „przedstawicielstwem“ jak wół świeżą koniczyną.

Na trzeci dzień stałem przed Komisją egzaminacyjną złożoną z pięciu profesorów, przy liczniejszej niż zwykle asystencji kandydatów do doktoratu, przybyłych dla przyglądania się oczekującym ich katuszom, bo były kolega od p. de Maulde, Ligier, już wyspecjalizowany w repetycjach, przyprowadził wszystkich swoich młodych osłów. Otwiera ogień p. Girardin, prof. prawa

rzymskiego, uczony niemalej wartości, lecz czepialski i znienawidzony kat egzaminacyjny. I odrazu: „A co pan wie o przedstawicielstwie podług prawa cywilnego rzymskiego?” Wyciągnął na moją korzyść nieboszczkę „miljonówkę“. Zaczynam wyładowywać, nie wspominając o nim, mego Savigny'ego. Girardin z przyzwyczajenia oponuje mi, raczej sofistycznie, a ja kiedy zaczę mu wysypywać jak z worka Savigny'ego i wszystkie przezeń cytowane powagi naukowe, inni profesorowie zaostrzają uszy, sam Girardin kolejno zdziwiony, zniecierpliwiony, a potem zainteresowany, wkońcu ulega francuskiej rycerskości i z uprzejmym uśmiechem: „Muszę przyznać, że pan te szczególności prawa rzymskiego zna niegorzej ode mnie i składam broń.“ Naturalnie reszta egzaminu już była tylko formalnością, przewodniczący przerwał posiedzenie komisji, studenci sprawili mi szumną owację, odprowadzili gremjalnie na dziedziniec, a tu uprzedzony pan Giraud, generalny inspektor wszystkich fakultetów prawnych, były Minister Oświaty, palnął mi całą mowę na temat, że: „byłoby stratą dla nauki prawniczej francuskiej, gdybym się jej nie poświęcił“ i odprowadzono mnie do bliskiej kawiarni „La jeune France“, gdzie mnie ugoszczono „honorowym kuflem“ piwa.

Ten triumf przysporzył mi tylko kłopotu, bo na pewien czas zawrócił mi młodą głowę jak baka pod biczkiem chłopaka. Kiedy w coś prawdziwie bogata dwudziestotrzyletnia głowa, to w nadzieję... i zarozumiałość. Nie przyszło mi nawet na myśl, że mego zwycięstwa nad profesorem Girardin nie zawdzięczam ani mojej wiedzy ani zdolnościom, najwięcej łatwości wyrażania się (t. j. błdze), lecz ...„fuksowi“ nad fuksami, jak wygrana na loterii nie dowodzi zdolności finansowej. Widziałem w sobie co najmniej przyszłego Cujasa lub Savigny'ego, ba nawet Cicerona lub Demostenesa. Plunąć na rodzicielskie pola i lasy, na nudne życie litewskie, chłopów i czynowników, przyjąć poddaństwo francuskie i ...ad astra.

W takim usposobieniu po trzytygodniowym sezonie w la Bourboule, gdzie mnie jednak kochany doktor Choussy trochę otrzeźwił, powróciłem na całe lato do rodzicielskich Geranon.

Nie pospieszyłem jeszcze wtajemniczyć rodziców w moje plany, gdy nazajutrz po moim przyjeździe przyjechali do ojca wspomniani już p. Jan Lubański i p. Zygmunt Salmonowicz, uchodzący za ciepłego kapitalistę; naradzali się z nim przez dwa dni, a po ich wyjeździe śp. ojciec, który z zasady trzymał mnie w kursie wszystkiego, abym się formował i „nie zginął marnie“, powiedział w czem rzecz. Zakładał się ów sławny Bank Ziemi Wileńskiej, który miał w ciągu następnych lat czterdziestu ogarnąć jak olbrzymi pajak całe życie ekonomiczne, społeczne a nawet towarzyskie kraju „północno-zachodniego“

i ci panowie pragnęli ojca wciągnąć do liczby założycieli. Materialnie interes wyglądał — i był nim rzeczywiście — jako świetny. Inicjatorem był książę Piotr Wittgenstein (syn ostatniej Radziwiłłówny z linii nieświeskiej), właściciel przeszło miliona dziesięcin ziemi i wielki faworyt Aleksandra II; dzięki temu otrzymał dla projektowanej instytucji przywileje daleko szersze niż te, które wystarczały Warszawskiemu Towarzystwu Wzajemnego Kredytu; Wittgenstein, nieuleczalny utracjusz, osypyany prywatnymi długami, odrazu wnosił klientelę swego miliona dziesięcin.

Jednak ojciec, chociaż rozporządzał wówczas razem z żoną wcale pokaźnym kapitałem, odmówił wszelkiego udziału w tem przedsiębiorstwie; miał bowiem swoje własne (które częściowo odziedziczyłem) zasady patryjotyczno-społeczne, ograniczone, lecz niezłomne. Nie tracąc z oka tej strasznej russyfikacyjnej maszyny, jaką był ukaz 10 grudnia 1865, znając dobrze nasze polskie ziemianstwo i jego usposobienie, bał się, aby ułatwienie mu pożyczek nie posłużyło co dziesiątemu z naszych obywateli-Polaków do ulepszenia swego gospodarstwa a dziewięciu innym do życia nad skalę, postępowego zadłużenia i wkońcu przejścia ziemi polskiej w ręce moskiewskie. Jego obawy okazały się czczemi tylko, dopóki żył zacny p. Jan Lubański, lecz sprawdziły się, gdy jego następcą p. Józef Montwiłł (koło roku 1883) nadał temu Bankowi kierunek czysto komercyjny.

Reszta lata przeszła na rokowaniach z rodzicami o moim naukowo-emigracyjnym projekcie. Ojciec był temu stanowczo przeciwny, lecz matka bardziej ideowa — (z powodu swobody powołania i t. p., może także dlatego, aby starszego swego syna i wyłącznego, z pominięciem naszej siostry i mnie, faworyta, przerobić na jedynaka) — tak ten projekt sobie upodobała, że ofiarowała mi cały własny kapitał — wart wówczas około 300 000 frs. — zawansować dla nabycia gabinetu przy Sądzie Kasacyjnym a konto jej spadku. — Naturalnie, że ani nie przyszło mi do głowy, abym mógł z tej propozycji skorzystać wbrew woli ojca i wejść jakby klinem w stosunki wzajemne moich rodziców, ale to skłoniło ojca do użycia zamiast metody „silnej ręki“ metody „gilotynowania przez przekonanie.“ — Póki ironizował nad przyszłym obszarnikiem, który zamiast panować na stu kilometrach kwadratowych ziemi „nadzieje czarną spódnicę i z dębowego pudła będzie wykladał francuskim mieszcuchom, jak się tam procesowano przed Chrystusem,“ także póki argumentował mojem zdrowiem, bo któż w tym wieku, czując się wtedy silnym, nie rachuje, że nim zawsze będzie — trzymałem się mocno; — jednak zostałem pokonany.

Każdy szlachcic polski musi mieć swego ulubionego konika, na którym jeździ jak „principien-rejter“, t. j. właściwie bzika. Ojciec miał swojego, ja swojego. Obaj przekonani i uparci

jeździlibyśmy każdy na swoim koniku do nieskończoności, gdyby mądry stary nie potrafił obu ich zaprząć do jednego wozu. Moim bzikiem, od czasu jak mi w Dorpacie spadły na głowę ciężkie in quarto rzymskiego prawa, było jedno słowo: Obowiązek. Przyznawałem sobie prawo wybrania sobie odpowiedniego memu powołaniu zawodu, a obowiązkiem byłoby rzetelne sprawowanie tego zawodu.

Ojciec zaś zapatrywał się z zupełnie innego punktu widzenia. U wszystkich prawie narodów można dostrzec dwa gatunki patriotyzmu. Wrzaskliwy i demonstracyjny, zwykle praktykowany przez ludzi, którzy mają mało do stracenia, a dużo do wygrania w formie sławy lub korzyści, i drugi, rzeczowy, wytrwały i cichy. Ojciec odczuwał i praktykował wyłącznie drugi: O niepodległym państwie polskim nie marzył i powstańców 1863 r. uważał za szaleńców. Lecz wyrosły w Wilnie za czasów, kiedy ono było niemniej polskie niż Warszawa, bardzo odczytany w polskiej historii i literaturze, był głęboko przywiązany do narodowości polskiej.<sup>1</sup>

Słusznie uważał, że na naszych kresach jej skarbem i rozsądnikiem jest ziemiaństwo polskie. Więc od zaprowadzenia u nas wynarodowiania kraju przez wykorzenienie tego ziemiaństwa (ukaz 10 grudnia 1865 r.) jego „bzikiem“ stał się bzik tych Niedobitkowskich, których z takim talentem opisuje Marja Rodziewiczówna w swoich niedawno wydanych szkicach: bronić zębami i pazurami, pomimo nudy, cierpień i niedostatków, swej polskiej ziemi przed tymi, którzy na nią czyhają.

Otóż gdy ojciec z właściwą mu wymową zagrał na tej strunie i znalazł szczęśliwą formułę, że w bliskiej może przyszłości będę sam nad znaczną przestrzenią ziemi polskiej „na posterunku“, jego „bzik“ pokrył się z moim własnym. — Posterunek !! Alboż to nie esencja obowiązku i należyłości, kate-

---

<sup>1</sup> Naturalnie przy takich przekonaniach, których przed nikim nie ukrywał, ś. p. ojciec do śmierci był równie podejrzany dla Moskali (uwięziony w 1849 r., — uwięziony w 1863), jak dla polskich zapaleńców. Gdy zaprowadzono u nas reformę sądową (w latach osiemnastych) gubernator Steblin-Kamiński, chcąc jego i mnie mianować honorowymi sędziami pokoju, namawiał nas, abyśmy wystarali się o wycofanie z kancelarii generał-gubernatorskiej aktu, w którym ojciec — a rykoszetem i ja — figurowaliśmy jako szczególnie „nieprawomyślni“ (niebłogonadziejnyje). Odmówiliśmy. A po śmierci ojca znalazłem w jego papierach list pisany w 1860 r. (podpis nieczytelny) z Paryża do ś. p. Kirkora, wówczas redaktora nieoficjalnej (polskiej) części Kurjera Wileńskiego; ten list został krótko przed śmiercią wręczony ojcu przez Kirkora. W nim jakiś bałwan ostrzegał go, aby się miał na baczności przed p. Oskarem Milewskim, który zna dużo emigrantów, bywa w Hotel'u Lambert, potrafił zyskać zaufanie ks. Adama Czartoryskiego, którego synowie u tego Milewskiego bywają, wówczas kiedy jemu, bałwanowi, dokładnie wiadomo, że ów Milewski jest agentem rosyjskiej ambasady.

goryczny imperatyw Kanta? — Stało na tem, że ojciec mi dostarczy środków do zdobycia dyplomu doktorskiego i wzmocnienia zdrowia zagranicą, a ja muszę być gotów zająć mój „posterunek“, gdy ojciec, który od 1864 r. nie odzyskał dawnej ruchliwości i już przyznawał, że nie może sprostać nowym zadaniom obszarnika, zejdzie na emeryturę.

Decyzja zapadła. Wybrałem się znowu do Paryża, Tuluzy i Nizy. Szczególnych wspomnień, wartych wzmiankowania, ta zima 1872-1873 mi nie zostawiła.

Ponieważ w Tuluzie, korzystając z biblioteki, zajmowałem się wyłącznie rozprawą, a w Nizy nie zdążyłem dostatecznie przygotować się na ostatni egzamin doktorski, aby go zdać mniej więcej z takim powodzeniem jak pierwszy, postanowiłem odłożyć go do jesieni. — I zapal był mniejszy, ponieważ już nie było w perspektywie „czarnej spódnicy.“

A tu nowa „dewena“.

Koniec lipca 1873 roku był w Paryżu wyjątkowo upalny. Nie radząc się Dra Guénaud de Mussy, wybrałem się dla świeżości do Dieppe. Tam raptowny, piorunowy, jak bywa nad morzem, spadek temperatury, nabawił mię jakiegoś złośliwego bronchitu. Powróciłem do Paryża; tu pojawiły się wypadki tej cholery, która zabrawszy przed dwoma laty w Wilnie panią Potapowową, zwolna spacerowała po Europie, zastraszyła Wiedeń i tu dopiero gasła. — P. Guénaud de Mussy, bojąc się zastosować środki wewnętrzne, wyprowadził mnie odrazu do Tuluzy. Tam Dr. Desbarraux - Bernard dogorywał, dał mi jakiegoś młodego lekarza, który zaczął eksperymentować; zdrowie coraz bardziej się psuło; zaniepokojony ojciec wysłał mi matkę jako pielegniarke, ona strwożona wywiozła mnie do Nizy; tu podniecający klimat na ten raz nie dopisał, zacząłem chrząkać krwią, ojciec przyjechał; konsyljum po konsyljum: nadzieja, że „przy wielkich staraniach i ostrożnościach“ mogę przeżyć jeszcze dziesięć lat. A że tych ostrożności nie obserwowałem, więc przeżyłem tylko pięćdziesiąt trzy. Konkluzja, że mnie wyprowadzono do Algeru.



## Rozdział XI.

### Alger. — Wyspa Madera.

Dziś i miasto Alger i jego kraina na obszernej głębokości nie są niczem innem, jak przedłużeniem południowej Francji. Pięćdziesiąt trzy lata temu wstecz był to pod każdym względem zupełnie inny świat: Wschód w całej swojej wspaniałości, który zostawił we mnie wspomnienie jakby rajy ziemskiego. Od czego zacząć w opisanu zachowanych po dzisiaj wrażeń? Przede wszystkim od chwili wejścia statku o 10-tej rano do zatoki Algerskiej, kiedy to, jak i przez cały czas mego pobytu, ogarnął mnie niezrównany, nieprzerwany zachwyt wzroku. Zatoka, czy się na nią patrzyło z odkrytego morza czy też z miasta, mało ustępowała jako obszar i różnaitość widoku, słynnej Neapolitańskiej. Miasto składało się wówczas z czysto europejskiego nadbrzeża, trzech ulic i jednego placu — reszta tak samo turecko-arabskie, jak za czasów ostatniego niepodległego „beya“ w 1830 r. Pobyt Francuzów jeszcze miał wybitny charakter okupacji wojennej; wszakże nieprzerwane od czterdziestu lat walki niepodległościowe tylko co były się skończyły z ostatniem powstaniem Kabylów w 1871 roku. Tak jak bywa na południu, gdzie w dzień się żyje tylko na ulicy, miasto ze swojemi stromemi uliczkami, w których dwa rozpięte parasole się skrzyżować nie mogły, przedstawiało jedno ludzkie mrowisko, nadzwyczaj różnobarwne. Cywilne, monotonne stroje europejskie ginęły wśród mundurów wojskowych, spahisi i żuawi w ubiorach wschodnich, a te znowu tonęły wśród strojów tubylczych: to tureckich-miastowych, to arabskich lub beduińskich ze wsi, a każde niemal plemię zachowywało swoje, od Abrahama odziedziczone, stroje. Naturalnie kobiety muzułmanki w gęstych welonach. — Ta ciągła „kapiel oczu“ już wystarczała, aby młodego osamotnionego człowieka chronić od niebezpiecznego spleen'u.

Zresztą miałem gorące listy rekomendacyjne do generała d'Eudeville i jego uprzejmej żony, którzy mnie jak najserdecz-

niej przyjęli, do prefekta, który mnie wprowadził do domu generał-gubernatora, słynnego z wojny 1871 roku generała Chanzy (później ambasadora w Petersburgu), a także do jego starszego adjutanta majora de Boisdeffre (później szefa generalnego sztabu i autora układu wojskowego z Rosją); prędko nawiązałem w świecie wojskowym zupełnie dostateczne dla mojej ograniczonej światowości stosunki. Prócz tego znalazłem w Hotel d'Orient, w którym się zatrzymałem, ledwie pełnoletniego p. Benedykta Tyszkiewicza z Czerwonego Dworu, którego jeszcze za mojego i jego dzieciństwa poznałem w Paryżu u jego dziadka. — Dr. Choussy zalecił mi swego kolegę Dr. Allinga, sfrancuziałego Amerykanina, zdolnego lekarza; ten był sam suchotnikiem i w dwa lata później umarł. — Uważając, że wolne powietrze więcej mi pomoże niż trzęsienie zaskodzi, namówił mnie, abym miesięcznie wynajął sobie wierzchowego konia; znalazłem za 150 frs. miesięcznie niewyczerpanej wytrzymałości arabczyka i całe popołudnia poświęcałem wycieczkom po malowniczych okolicach Algeru. Wieczory przepędzałem prawie wszystkie w domu. O doktoracie i jego korzyściach już nie było mowy po terminowym wyroku na śmierć wydanym na mnie przez nicejskich lekarzy. W wyrok ten, z wielkim uszczerbkiem dla skąpego zapasu młodzieńczego optymizmu, jaki mi pozostał od Murawjewowskiego okresu, wierzyłem świecie jeszcze ze dwa lata. Lecz na moje szczęście już sobie na zawsze zaszczerpiłem zarazę naukową. Przeniósłem moje studia na sąsiednie z prawem gruntu.

Ale nad wszystkim panował czar klimatu. Algierczycy nie mówią o „zimie i lecie“ — bo i zima jest ciepłą, lecz o dwu sezonach, suchym i dżdżystym; każdy trwa mniej więcej pół roku, lecz ciągłych deszczów nicma. Przechodzą bardzo często, zwykle krótkie, ulewy, między niemi promieniste słońce; ma się coś pośredniego między klimatem Egiptu i Madery. Nad samem miastem Algerem wznosi się dość wysoka góra (400 metrów); Algierczyk spojrzysz na nią, na pozycję względem niej obłoków, i z pewnością przepowiada, czy w ciągu kilku godzin będzie ulewa czy nie, tak że nigdy w ciągu moich codziennych wycieczek konnych nie przemokłem.

W połowie marca po niespokojnej bez dostrzegalnej przyczyny nocy otworzyłem okno, a tu mi bucha w twarz prąd powietrza jakby z otwartego pieca: było to sławne sirokko, o tej porze bardzo rzadkie. Włoskie sirokko, które już przeleciało kilkaset kilometrów morza, daje o tem algerskiem słabe pojęcie. Świeżo zbudowane zimą domy, kapiące wilgocią, w kilka dni doszczętnie wysychają. Już o 10-tej rano był u mnie pocziwy Dr. Alling: „To sirokko“ — powiedział — „które zanosi się na dłuższy czas, jest dla pana zabójcze, uciekaj pan natychmiast. Do Europy za wcześniej, jedź pan w góry. Atlasu, najlepiej do

Tenied-el-Haad, 1000 metrów wysokości.“ Pobiegłem do generała d'Eudeville. Dobrze znał majora de Chazal, byłego swojego podwładnego, komendanta fortu i okręgu Tenied-el-Haad, dał mi do niego ciepły list rekomendacyjny. Wyjechałem pod wieczór koleją do Blida, rodzaj powiatówki o 40 kilom. od Algeru, gdzie się kończyła wówczas kolej w południowym kierunku; przenocowawszy, wyruszyłem o wschodzie słońca w koczku zaprzężonym dwoma arabczykami, które sto kilka kilometrów przeleciały do wieczora. Już o parę mil od Blidy zaczęły przez drogę przebiegać szakale i do końca żadnego Europejczyka nie spotkałem, tylko kilka karawan wielbłądzych. Teniet-el-Haad wówczas składał się z kilku tuzinów domów europejskich i „bordżu“ czyli fortecy, otoczonej glinianą ścianą, dość żeby wstrzymać ataki Arabów wyłącznie skałkówkami uzbrojonych; tam się mieścił komendant i dwa szwadrony, jeden „Chasseurs d'Afrique“ a jeden t. zw. spahisów. Znalazłem po dołach od północy kucze śniegu, a w dzień jaskrawe słońce.

Zajechawszy do skromnego lecz czystego hoteliku, zaraz posłałem panu de Chazal list generała d'Eudeville; natychmiast mi odpisał, że rad byłby mi okazać gościnność, lecz nie ma swobodnego łóżka, bo przed kilku godzinami przybył do niego, w tym samym celu co ja — z liczną świtą książe Ludwik Holenderski, następca panującego króla Wilhelma III, lecz prosi mnie, abym od jutra wyłącznie u niego się stołował.

Od tego jutra i przez cały czas mego pobytu siadał podług etykiety na prawo od pani de Chazal książe, na lewo już niemłody szambelan, po obu stronach pana domu adjutant i rodzaj dyplomatycznego sekretarza, Holendrzy, ja, najmłodszy z kompanji, na prawo od księcia, i zawsze paru francuskich oficerów lub przybyłych cywilnych urzędników. Zaraz spostrzegłem, że pani de Chazal, zupełnie młoda, przystojna, jest bardzo nieśmiała. A jeszcze bardziej nieśmiały był sam mniej więcej trzydziestoletni książe. Ponieważ mego sąsiada onieśmiała młodość i płeć jego sąsiadki, ja zaś Królewska Wysokość sąsiada, a ja nikogo nie onieśmiałem ani się nie bałem, więc rozmowa szła przeważnie ze mną, ku wielkiej mojej przyjemności, albowiem książe Ludwik, skazany suchotnik i o tem wiedzący, okazał się wyjątkowo wykształconym i czytany człowiekiem; między innemi literaturę rosyjską (był rodzonym siostrzeńcem Aleksandra II), która jeszcze u mnie ograniczała się do Puszkina, Lermontowa, Gogola i Turgeniewa, oraz wszystko, co się tyczyło Algeru, znał daleko lepiej ode mnie.<sup>1</sup> Po śniadaniu przechodziło się na kawę do salonu, po pół godzinie wszyscy się rozchodzili, ja na długą przejażdżkę konno, bo p. de Chazal

<sup>1</sup> Biedny ten książe umarł na suchoty w końcu lat siedmdziesiątych przed powtórnyim ślubem ojca Wilhelma III i urodzeniem się przyrodniej siostry, dziś panującej królowej Wilhelminy.

zaraz mi wyznaczył dzielnego podoficerskiego wierzchowca i ordynansa, po obiedzie siedziało się do 10-tej przy gawędzie lub tanim wiściku.

W kilka dni znalazłem obok siebie autentycznego Araba, Kaida Kuider, który przyjechał na raport i został zaproszony do stołu. Podług ówczesnego ustroju ci „kaidzi“, przez władzę francuską uznani przywódcy arabskich plemion, byli to mali kalifowie (jakim właściwie był obecnie światowej sławy Ab-del-Krim), w których się koncentrowała cała władza sądowa, administracyjna, nawet wojenna, bo dowodzili „goum‘em“ czyli uzbrojonym oddziałem pomocniczym jeźdźców plemienia. Zwykle brano ich z arabskiej arystokracji rodowej, co najmniej t. z. „kawalerów wielkich namiotów“ (cavaliers de grande tente). Ci, których spotykałem na większych przyjęciach u generał-gubernatora Chanzy, byli wszyscy wysocy, pięknie zbudowani, magnackiej zaiste postawy i układu. Mój sąsiad Kuider raczej mały, pękaty, paclnął „burżuizmem“. Rzeczywiście zawdzięczał swoje stanowisko nie urodzeniu, lecz zdolnościom. Dobrze mówił po francusku, nosił krzyż Legji Honorowej; gdym wypowiedział ciekawość poznania pustyni i sposobu życia w niej, zaraz mnie zaprosił do siebie razem z miejscowym sędzią pokoju Okregu. Z porady p. de Chazal, który mnie zapewnił, że Kaid uważa podobne odwiedziny za zaszczyt, przyjąłem. Kuider wybierał się do domu tegoż dnia, nas z sędzią oczekiwał nazajutrz.

Niedaleko od „miasta“ Teniet-el-Haad opuściliśmy drogę i tylko tropem wjechaliśmy w pustynię, jeszcze nie skalistą lub piaszczystą, lecz bardzo gęsto pokrytą albo „alfą“ (cenna tkacka roślina, zarazem pożywne pastwisko) albo karłowatą palmą. Wśród krótkich lecz gęstych korzeni lub pni tej ostatniej irlandzki hunter waliłby się co dwadzieścia kroków, nasze arabczyki przebiegały niekulcami kopytami i waliły po 15 kilometrów na godzinę; jakim chodem? O to nie trzeba było pytać ówczesnego algerskiego rumaka; może stępem, może inochodem, może kłusem, może galopem, z tej lub owej nogi, jak popadnie. Ale już w Algerze od pierwszych dni nauczyłem się prawidłową jazdę angielską zamieniać na stosowne „fluczenie pieprzu“ lub kołysanie się. Przypuszczalne czterdzieści kilometrów przejechałszy w dwie i pół godziny, a mój wesoły towarzysz, czterdziestoletni sędzia, ważył 120 kilo!

Choć plemię, nad którem panował Kuider, mieściło się na przestrzeni trzydziestu do czterdziestu kilometrów naokoło w kilkudziesięciu „douars“ czyli wioskach wyłącznie z namiotów złożonych, on sam zajmował własny „bordż“ z lepionej gliny, jakiego 60—70 metrów w kwadrat, z wewnętrznym dziedzińcem, bez innych otworów nazewnątrz prócz dwojga drzwi, jednych szerszych do dziedzińca, drugich zwykłych do gościnnego dla Europejczyków apartamentu: ten się składał z sieni (gdzie spał mój

ordynans), pokoju o dwóch czystych żelaznych łóżkach i jadalni-salonu, skromnie po europejsku umeblowanego, oddzielnego od prywatnego apartamentu gospodarza tylko grubym dywanem, za którym ciągle szeptały między sobą panie Kuiderowe. Stosownie do przepisów proroka było ich cztery. Jakem się dowiedział od sędziego, a on od Arabczyka, bo tylko wspomnieć o nich lub wogóle o jego rodzinie byłoby ostatniem grubiaństwem. U wszystkich wschodnich narodów grzeczność i formy towarzyskie są daleko więcej skomplikowane niż nasze, zatem oparte na podwójnej dozie kłamstwa i obłudy. Przedewszystkiem idzie o „ratowanie oblicza“.

Skorośmy się oczyścili, Kaid zaprosił nas na kolację; stół nakryty po europejsku. Siedział między nami dwoma. Zaraz zauważyłem, że Kaid, wierny Koranowi, który zabrania wszelkich trunków alkoholowych, miał przed sobą tylko szklankę i ogromną karafkę wody, a sędzia i ja po szklance plus trzy kieliszki, choć na stole stały tylko dwie jednego gatunku butelki czerwonego wina i dwie białego. Uczta składała się z 6 dań, wszystkie na tle baraniny, najrozmaiciej przyprawionej. Już przy pierwszym daniu Kuider nalał mi jeden kieliszek białego wina a dwa czerwonego, sędziemu zaś jeden czerwonego a dwa białego. Skoro usługujący Arab sprzątnął talerze i poszedł po drugiego barana, Kaid prędko tyk z jednego z moich dwóch czerwonych kieliszków, tyk z jednego z sędziowskich białych i nim służący powrócił z drugim baranem, bogobojny Kaid już poważnie moczył usta w szklance wody. I tak przy każdym daniu. Naturalnie sędzia i ja nic nie widzieliśmy, oblicze było uratowane. Skończyło się na smacznem, lecz ciężkiem jak ołów, cieście z konfiturami z różanych liści.

Nazajutrz rano wyjechaliśmy na polowanie o kilkanaście kilometrów do „chottów“. Te „chott“, które rozciągają się między Atlasem a Saharą, są to wklęsłości często setki kilometrów szerokie, latem wyschłe i gniazda febry, zimą zalane i tworzące bagno rozmaitej głębokości, zamieszkałe przez miliony wędrujących z północy ptaków, przeważnie niejadalnych (gatunków mew). Wystrzeliliśmy każdy przeszło sto nabojów, zabiliśmy masę ptactwa, większość zaginęła w trzcinach, jednak przywieźliśmy tyle, że było czem parę dni zastąpić baraninę. Nazajutrz to samo, bo Kuider chciał mnie potraktować polowaniem, ale jego Arabowie jeszcze dość bliskiego stada nie odkryli. To polowanie a raczej sport konny, bo właściwie jest to wyścig wytrzymałości między końmi i stadem gazel, o którym mi cuda opowiadano, nie udało się. W ciągu nocy upatrzone stado (jakoby niemniej tysiąca) gazel przeniosło się tak daleko, że przyszłoby, by je dosięgnąć, nocować pod gołym niebem na pustyni, co i mnie i sędziemu nie byłoby do smaku. Powróciliśmy do Teniet-el-Haad; tam po kilku dniach otrzymałem od doktora

Allinga telegraficzną wiadomość, że sirokko ustało. Powróciłem do Algeru, a około 1 maja do Paryża w znacznie lepszym stanie zdrowia.

Doktor Guénaud de Mussy kazał mi przeczekać, abym mógł odbyć kurację w Eaux-Bonnes w Pirenejach, których specjalnością ma być to, że najpierw zaostrażają a potem zablizniają początkowe uszkodzenia płuc, co się ze mną zdarzyło; dzięki temu zawitałem do Geranon dopiero w lipcu.

W jesieni powstawało znowu zagrożenie: dokąd wyprawić tego, na dziesięć lat (z czego jeden rok już upłynął) odroczonego moribundusa, za jakiego byłem bezsprzecznie uznany? Ojciec był pod świeżym wrażeniem rozmów z p. Reinholdem Tyzenhausem, do minionego roku opiekunem tylko co wspomnianego Benedykta Tyszkiewicza. Podług ówczesnych pojęć (przed odkryciami Pasteur'a i Kocha) był to młody skazaniec na prędką śmierć: albowiem w dzieciństwie stracił ojca Michała (z kijowskiej linji) na suchoty, matkę, córkę starego p. Benedykta, na suchoty, a ona się rodziła z jednej z trzech siostr Wańkowiczówien, które tak, jak siostry pp. Mostowska i Tyzenhausowa, również zmarły na suchoty. Tymczasem w tejże chwili młody p. Benedykt, jeszcze obecnie żyjący, czerstwy, przeszło siedemdziesięcioletni starzec, wówczas piękny sprężysty młodzieniec, jeździł po Nowym Świecie w towarzystwie narzeczonej, panny Bancroft, ślicznej Amerykanki, którą w jesieni poślubił. Ten „cud“ Tyzenhaus przypisywał wyłącznie temu, że zaraz po objęciu opieki nad małym „skazańcem“ wyprawił go w towarzystwie bardzo sumiennego domowego lekarza na wyspę Madery i tam go trzymał aż do pełnoletności. Także i brat Ignacy, który przyjechał na wakacje z Monachjum, poznał tam jakiś maderkański „cud“ i we dwóch namówili mnie, żebym tam przezimował; a że doktor Guénaud de Mussy zaopiniował, że to może być użyteczne, więc wzięwszy z polecenia ojca u Rothschilda akredytywę, trzy razy przewyższającą prawdopodobny expens, puściłem się w drogę.

Gdybym użył praktycznej metody „językowej“, byłbym w sześć dni na miejscu: 24 godziny do Liverpoolu i pięć dób do Madery, lecz będąc już do śmierci zatrutym naukowością, wykombinowałem, że kto chce udać się na 18 stopni geograficznych na południe od Paryża, nie powinien kierować się na północ... i podróżowałem trzy tygodnie. Pojechałem do Bordeaux, czekałem tam 2 dni na pyszny statek angielski, który po drodze do Brazylii zatrzymywał się w Bordeaux i w Lisbonie, a tam wylądowałem równo w trzy godziny po odpłynięciu do Madery, jednego z dwóch małych stateczków, które na zmianę raz w miesiącu tę wyspę obsługiwały. Przez dwa tygodnie przyszło mi czekać bez innej rozrywki, jak tylko patrzenie na cudowne ujście do oceanu szerokiego na jakie 3 kilometry pysznego Tagu

i na jedną, daleko więcej obrzydzenia niż ciekawości wzbudzającą „Corridę“ (walkę z bykami). Doczekałem się wyjazdu jakiegoś „Don Pedro“, brudnego, cuchnącego „kalosza“ ciągle grożącego pęknięciem, bo dosztukowany był w środkowej części. W dwie i pół doby dopłynęliśmy.

Madera wygląda jak głowa cukru, która z dna oceanu (głębokości na 5000 m.) wznosi się na 1850 m. ponad morzem i jest tak stromą, że żadnego wówczas powozu na kołach na całej wyspie nie było. A że żaden z przyjezdnych (wszyscy pierwsio chorzy) nie mógł ciągle włożyć lub złożyć jak po drabinie, więc każdy miał miesięcznie najęty jeden z trzech sposobów lokomocji: 1) Sanie na żelaznych płozach, ciągnięte przez dwa woły, do nich woźnica, który mając na płozach dzban wody a w niej ścierkę, ciągle przelatuje z jednej strony na drugą i podkłada ścierkę, aby płozy od tarcia się nie zagrzały; bruku niema, bo grunt to jest zrównana skała. 2) Przeważnie dla pań hamak z żaglowego płótna, ze skórzaną poduszką i płócienną kołdrą na nogi, zawieszony na grubym drągu, którego końce spoczywają na plecach dwóch drabów, chodzących w takty przeczucających drąg z jednego ramienia na drugie. Pani leży trzymając w rękę parasol albo parasolkę, bo jedno jest zawsze niezbędne. 3) Dla bohaterów koń z nieodstępnym stangretem, który chodzi lub biega z szybkością do jakich 15 klm. na godzinę, trzymając się za ogon konia; wieczorem jechało się tak na jakieś przyjęcie we fraku, lakierkach, i zawsze z parasolem.

Rzucona wśród niezmiernego oceanu jak ziarenko na polu, ta wyspka zawdzięcza mu znakomicie równy klimat — nigdy mniej nad 20° C., nigdy więcej nad 30° i powietrze przesycone wilgocią zimą dzięki czystem gwałtownym i krótkim ulewom, latem dzięki wyziewom oceanu do tego stopnia, że nienoszone w ciągu 48 godzin obuwie już pokrywa się pleśnią; kuracyjne działanie tego powietrza pochodzi od przesylenia fosforem, zawartym w wodzie morskiej. Jest ono dziwnie uśmierzające, to też ludność tubylcza jest łagodna, spokojna, zacna, mało do czynu skłonna.

Lud i mieszczaństwo były wyłącznie portugalskie, handel eksportowy prawie wyłącznie angielski, z małą między nimi łącznością. Kolonja przyjezdna złożona z ciężkich suchotników i ich krewnych, od tysiąca do dwóch tysięcy osób, także angielska. Oprócz mnie żadnego Polaka, dwóch na pół zrusyfikowanych Niemców, Włoch młody p. Cora, Amerykanin M. Reed z żoną i dwoma córkami, żadnego Francuza, i to wszystko. To też trzeba było się uczyć języków portugalskiego i angielskiego. Mój bankier p. Blandy polecił mi dwóch młodych ludzi, którzy codziennie przychodzili na godzinę lekcji. Portugalczyka mogłem odprawić po miesiącu, bo język portugalski jest ze wszystkich romańskich najbardziej podobny do

łaciny i wymowa łatwa, jak włoska; Anglika zaś musiałem zachować do końca nie dla trudności samego języka, — najłatwiejsza w świecie gramatyka, a słowa prawie wszystkie francuskiego lub germańskiego pochodzenia, lecz co do wymowy; po dzień dzisiejszy nie mogę się przyzwyczaić do tego, żeby jak mówił Voltaire, ciągle pisać „Canard“ — a wymawiać „Cheval“. Otrzymałem bilet wizytowy kontradmirała „honourable Beauchamp-Seymour“, a pokazało się, że rozmawiam z p. Biczem-Simer.<sup>1</sup>

Przy opisanej konfiguracji wyspy znikoma część jej przestrzeni może być uprawiana i to wyłącznie na tarasach podpartych bitą skałą, na które znoszą koszykami ziemię zebraną w wklęsłościach skały, zalewanych niezliczonymi strumykami; taką ziemię cenią drogo (na metry kwadratowe). Przeważającą daleko wówczas kulturą było nie sławetne wino, którego może dziś już zupełnie nie ma, lecz trzcina cukrowa. Jedno miasto Cette w południowej Francji eksportowało wina Madery, z miejscowych winogron wyrobionego, dziesięć razy więcej, niż cała wyspa.

Ulokowałem się w lepszym hotelu Read, a raczej w jego filji, willi położonej o trzysta kroków dalej a sto metrów wyżej, gdzie nas było tylko siedmiu mieszkańców, z wyjątkiem mnie wyłącznie Anglosasów, którzy naturalnie do ostatnich drobiazgów trzymali się swoich tradycyjnych obyczajów. — Przebiegano się na obiad, a skoro był skończony, tak jak u Walter Scotta, panie wstawały, ceremonjalnie wychodziły gęsiego przez drzwi, otwarte przez najmłodszego z mężczyzn, w porządku ich godności rodowej: na czele dwudziestodwuletnia Honourable Mrs. Greville Nugent jako lordowska córka, za nią czterdziestoletnia Miss Ward jako córka „Sir’a“ t. j. rycerza (Knight), za nią siwowłosa pani Reed, żona wzbogaconego amerykańskiego adwokata „żadna krew“ i jej dwie córki. Ten porządek trwa dotychczas, ponieważ naród angielski, jak twierdzą i p. Loyd George i p. Baldwin, jest „esencjonalnie demokratyczny“. Nas trzech mężczyzn zostawiały te panie, zawsze jak u Walter Scotta, abyśmy mogli bez wstydu upijać się portweinem. Młody suchotnik M. Tenant i ja nie piliśmy go, bo lekarze nam srogo zabronili, a stary birbant M. Reed, jak mi się potem przyznał, gdyby wypił jeden

<sup>1</sup> Ten marynarz pięknie zakończył swój żywot. W kilka lat później jako wice-admirał dowodził całą flotą śródziemną, mając swoją flagę na ozdobie marynarki angielskiej, pancerniku „Victoria“. Oso biście kazał jednemu z krążowników zmienić linję, przepływającą przed Victorją; źle rozrachował się z szybkością chodów i krążownik wbił się w środek pancernika. Admirał z najzimniejszą krwią przewodniczył ewakuacji całej załogi; komenderujący kapitan szedł na końcu, lecz on nie wsiadł z nim do łodzi; wyszedł na najwyższą galerijkę, skrzyżował ramiona na piersiach i ze swoim stakiem zatonął.



kieliszek, toby wypił dwadzieścia, tak że go żona gwałtem zapisała do „Suchego stowarzyszenia“ — ale przez uszanowanie tradycji siedzieliśmy dziesięć minut, poczem udawaliśmy się do wspólnego salonu dla pań; zamieniwszy z przestankami dostateczną ilość „jes, no, indeed, beautiful“ rozchodziliśmy się. — Ranek i popołudnie poświęcałem wycieczkom w łódce po zatoce i spacerowi konnemu po jedynej, sztucznie w skale wyrobionej płaskiej drodze „camino nuovo“ w towarzystwie pp. Reed i Włocha Cora; prócz nas trzech nikt na całej wyspie nie mógł sobie pozwolić na jazdę kłusem. — Poczta europejską i czasopisma otrzymywaliśmy sześć razy na miesiąc.

Od nieopisanej nudy tak rozpaczliwie jednostajnego życia dostałbym prawdopodobnie czarnej melaucholji, gdybym w sam dzień Wielkiej Nocy nie zachorował na ciężki tyfus brzuszny. Tu Opatrzność Boska nadesłała mi trzech istnych aniołów-stróżów w osobach trzech miejscowych Portugalczyków: bogatego handlarza winem, Izraelity p. Abudarham, doktora Vieyra i starszego służącego hotelu Manôel. Pierwszy, którego spotykałem w klubie portugalskim, ale nigdy u niego w domu nie byłem, skoro się dowiedział o mojej chorobie, odwiedził mnie, dyskretnie się wypytał o miejsce zamieszkania moich rodziców, pod sekretem, aby czasem gospodarz hotelu nie kazał mnie przenieść do szpitala, dał mu ode mnie na piśmie polecenie za wszystkie koszty, jakie hotel może ponieść z mego powodu, a gdy mój stan się pogorszył (blisko tygodnia byłem bez pamięci) urządził się tak, że dzień i noc on sam, albo doktor Vieyra, albo Manôel, czuwali przy mojem łóżku. — Telegraficznie uprzedzony przez p. Abudarhama kochany ojciec piorunowo się do mnie wybrał, ale że się znajdował chwilowo w Petersburgu, ten piorun na Wilno, Berlin, Ostendę, Londyn, Liverpool i pięć dób przeprawy morskiej, trwał tyle, że przyjechał dopiero, kiedym przytomność odzyskał. Byłem tak osłabiony, że gdy w parę tygodni lekarz kazał mnie wynieść w hamaku, ważyłem 44 kg. Naturalnie Doktor Vieyra i Manôel zostali hojnie wynagrodzeni. Lecz czem mogłem wynagrodzić zacnego Abudarhama, jak tylko wówczas serdecznem ściśnięciem dłoni, a dziś (miałby przeszło dziewięćdziesiąt lat) rzewną pamięcią o tym dobrym Samarytanie?

Powrót do Europy dopiero w czerwcu był bardzo dla ojca uciążliwy; z powodu uporczywego północnego huraganu podróż do portu Southampton trwała 12 dób zamiast pięciu; ojciec cały czas przeleżał w łóżku, mnie zaś, odpornego na morską chorobę, oceanowe powietrze tylko wzmacniało, i gdy wylądowaliśmy, wyglądało, jakby ojciec przeżył tyfus, a nie ja.

Jednak ta ciężka choroba miała jedno pomyślne następstwo. Doktor Guénaud de Mussy ojcu i mnie jasno wytłumaczył, że gdybym cierpiał nie na lokalną irytację wskutek zaniedbanego w Wilnie zapalenia płuc, lecz na gruźlicę, lub nawet miał jaką

do niej najmniejszą skłonność, toby mnie ten tyfus „zdmuchnął jak świecę“; odtąd terminowy wyrok śmierci wydany przez niemiejskich lekarzy, przestał ciążyć nad ojca i moimi widokami na przyszłość.

Powróciliśmy na Litwę. Tam zaszła ważna zmiana; generał Potapow został mianowany szefem żandarmów (nominalnie naczelnikiem trzeciego oddziału własnej kancelarii cesarza), co w rzeczywistości równało się od czasów Mikołaja I w państwie wyłącznie opartem na policji stanowisku pierwszego ministra. Zastąpił go generał-adjutant Albedyński, typ „posadzkowego generała“, jak mówili wówczas w Petersburgu; piękny i zgrabny, uchodził za pierwszego u dworu mazurzystę. Pomimo „polakożerstwa“ bale u dworu rosyjskiego zawsze zaczynały się polonezem, a kończyły się mazurem. Albedyński nie starał się jak Potapow cicho ale metodycznie zniweczyć dzieło Murawjewa, lecz go też nie rozwijał. Nie poparł arcyważnej dla kraju sprawy skasowania serwitutów, rozpoczętej za Potapowa; tu ojciec, powołany do przygotowawczej Komisji jako rzeczoznawca, odegrał w niej pierwszorzędną rolę. Albedyński dał sprawie zasnąć.

Dość było mi parotygodniowego pobytu w Wilnie, żeby się przekonać, że w nim zaszły w ciągu czterech lat mojej niebytności duże zmiany w różnych kierunkach. Miasto się znacznie rozbudowało. Zaczęły się rozwijać różne przedsiębiorstwa fabrycznego typu, naturalnie tylko niemieckie lub żydowskie. Do pierwszego rzędu należeli pewni Szopen i Holsztein, pierwszy piwowar, drugi garbarz; zostali do Wilna sprowadzeni przez żydów jako majstrowie, za pożyczone pieniądze założyli własne przedsiębiorstwa i tak bystro i pomyślnie je rozwinęli, że już ku końcu wieku mieli milionowe fundusze; zresztą tem przyczyniali się do dobrobytu kraju, bez żadnej dla niego szkody. Inaczej z pewnym Szumanem; z fachu kucharz, założył w ożywionem śródmieściu restaurację, a prędko i filję w botanicznym ogrodzie. Od powstania już wyrosło nowe pokolenie polskie, którego energia życiowa, nieskierowana w stronę choćby niedorzecznego patriotyzmu, ryła sobie koryto w kierunku hulanki; potrzebowało ono widowisk, a wyłącznie rosyjski teatr systematycznie bojkotowała; Szuman wpadł na myśl przyłączenia do swojej botanicznej restauracji „tingel-tanglu“ czyli „szantanu“, mądrze sprowadzał doń niemiecki lub francuzice, tak, aby nie przeważały rosyjskie pieśni — i to głównie w małorosyjskiej gwarze; uformował się cały harem tak zwanych „Szumanówek“, a koło nich „wolnopraczykujących“; policja tolerowała całonocną hulankę; młodzież ziemiańska garnęła się do tej kloaki, i zawiązywały się długotrwałe związki. W ciągu następnych lat trzydziestu dobra część majątków polskich, które popadły w ręce rosyjskie, przeszły przez korytarz Szumanowski jako poczekalnie przed Bankiem Ziemskim... i sprzedają.

Jeszcze bardziej rażąca była zmiana w życiu towarzyskiem wileńskim. Prawie wszystkie domy polskie, o których wspominałem w okresie 1864—1870, zeszły z widowni. Pani Ledóchowska zamieszkała w Paryżu dla edukacji jedynaka syna, a po powrocie żyła coraz skromniej; starzy państwo Słizniowie umarli, państwo Janowie Tyszkiewiczowie, wybudowawszy w Wace wykwinny pałac, opuścili Wilno; pan Józef z odjazdem Potapowa wziął odstawkę i zamieszkał stale w swojej Połędzie nad Bałtykiem, pani Grabowska, wydawszy wszystkie córki za mąż, zeszła z horyzontu. — Wprawdzie powstał dom p. Adama Platera, świeżo ożenionego z majątną panną Genowefą Pusłowską (dziś jeszcze żyjącą), lecz on był tylko powiatowym marszałkiem wileńskim, bo stary Aleksander Domeyko jeszcze żył; w owym czasie to słońce, dokoła którego między 1880 i 1906 latami miało grawitować całe niemal społeczeństwo wileńskie, ledwie dopiero wschodziło.

W początku września, podług zgóry wskazanego mi planu, wyjechałem do Szwajcarii na kurację winogronową, która się nadspodziewanie udała.

W październiku 1875 r. po kilkodniowym pobycie w Paryżu udałem się powtórnie do Algeru. Ten drugi i ostatni pobyt w nim żadnych szczególnych wspomnień we mnie nie pozostawił.

## Rozdział XII.

### Dział familijny. — Florencja.

Podczas zimy 1875 r. mój starszy brat Ignacy, który, jak mówiłem wyżej, od r. 1870 stale zamieszkiwał w Monachjum, obrawszy sobie karierę zawodowego artysty-malarza, zniechęcił się i do malarstwa i do Monachjum i ostatecznie się rozstał z jednym i drugim. To też, gdy wiosną 1876 r. zebraliśmy się w Geranonach, rodzice się znaleźli z dwoma synami, jednym trzydziestoletnim, drugim przybliżającym się do tego wieku; obydwaj zdolni i pełni życia, znacznie więcej i rozmaiciej wykształceni niż większość ich współczesników, ale nie mając żadnego zajęcia lub zawodu byliśmy tylko tem, co Rosjanie wyraziście nazywają „synoczkami mamusi“. — A że do tego z mojej strony powstał pewien projekt matrymonjalny, który, choć nie doszedł do skutku, poruszył zagadnienie o „gnieździe“, rodzice już stanowczo postanowili podzielić swe majątki między synów, a sami, posiadając razem kapitał dostateczny dla zapewnienia sobie szerokiego dobrobytu, pójść „w stan spoczynku.“

Niestety ten cały projekt, którego należyte spełnienie wymagało dotychczasowej jedności między członkami rodziny, powstał w niefortunnej pod tym względem chwili. Brat, który po opuszczeniu Monachjum część zimy spędził w Rzymie, wyrobił sobie tam w kancelarji papieskiej jednocześnie i godność Kawalera Maltańskiego i tytuł hrabiowski, oparty na tem, że za czasów Gasztolda majątek rodziców Geranony był papieskim hrabstwem: to też tytuł brzmiał na rodziców i mógłby ewentualnie rozciągnąć się również na mnie. Nasza matka, typ klasycznej pod każdym względem „damy“, dumna bez cienia próżności, o tę niby promocję światową wcale nie dbała, ale ponieważ nic nie miała do odmówienia swojemu pierworodnemu i ulubieńcowi, wyznaczyła mu ze swego własnego kapitału potrzebną sumę; przez to samo stawiała już po stronie nowego hrabiego. Owszem ojciec i ja właśnie dlatego, że jako przekonani konserwatyści przyznawaliśmy wartość rzeczywistej

hierarchji światowej i jej użyteczność w zdrowo ukonstytuowanym społeczeństwie, patrzyliśmy z prawdziwym niesmakiem na tą włoską różę przypiętą do polskiego szlacheckiego kożucha. To też on do śmierci, ja do dzisiejszego dnia, ten fikcyjny tytuł najkompletniej ignorowaliśmy, jakby go nie było; dzięki temu, właśnie w chwili urzeczywistniania projektowanego przez rodziców podziału ich majątków między synów, zarysowały się dwa obozy, z jednej strony matka ze starszym synem, z drugiej ojciec z młodszym.

Niemniej już pod jesień 1876 r. ojciec zbudował projekt działu. — Ponieważ miał wejść w życie dopiero następną wiosną, wybrałem się tymczasem na zimę zagranicę, ale, jako przejście, nie do jakiejś klasycznej stacji klimatycznej, lecz do Włoch, których nie znałem. W Paryżu spotkałem się z moimi przyjaciółmi, braćmi Józefem i Janem Tyszkiewiczami, oraz ich matką panią Marją. W ich rodzinie także zaszły zmiany, któremi wówczas nasz wileński „beau-monde“ bardzo się zajmował, dzięki bodaj bezprzykładnej oryginalności i samego czynu i jego sprawcy. Oba warte wzmianki.

W 1871 roku ordynał birżański, Michał Tyszkiewicz, legendarnie marnotrawny, który od 1863 roku, rozstawszy się z żoną, nie był ani razu w kraju, znalazł się dzięki huraganowi 1863—1865 i Murawjewowskim „reformom“ w takich kłopotach pieniężnych, że postanowił, zabezpieczwszy sobie bardzo porządne dożywocie, rzec się swojej ordynacji na korzyść starszego syna, a alodjalnego majątku Gródek (pod Mińskiem) na rzecz młodszego, aby do końca życia osiąść zagranicą. O przeprowadzenie tego działu p. Michał i p. Marja prosili mego ojca. Ponieważ właśnie w r. 1871 warunki ekonomiczne zaczęły się poprawiać i większość folwarków, wydzierżawionych w najgorszym czasie, dochodziła do terminu, spodziewany dochód ordynacji prędko wyrósł bardzo znacznie, i ś. p. Józef Tyszkiewicz stał się jednym z najbardziej zamożnych ludzi na Litwie. To była zanadto piękna okazja dla zaspokojenia swego specjalnego „bzika“, żeby się z nią rozminął. — Uważał, że jest także „na posterunku“, że posiadanie ogromnej ordynacji nakłada na niego szereg obowiązków, którym sprostać ze swą bezgranicznie dobrą, artystyczną, oraz leniwą naturą, ani chciał, ani by potrafił; prócz tego ten jego specyficzny bzik (taki sam później stwierdziłem u ś. p. Władysława Zamoyskiego z Kórniką) polegał na tem, że go bezustannie dręczyła manja samopoświęcania się, taka, przy której dobro czynione drugim było mniej celem niż pretekstem do nałożenia na siebie jakiejś włościennicy. A że jego młodszy brat Jan, w pierwszej młodości piękny jak Apollo, światowy, ambitny, marnował się w Petersburgu, w kawalegarskim pułku, więc postanowił odstąpić mu — na warunkach do przesady skromnych, swój majorat. Rzecz,

o ile była łatwą, gdy ojciec p. Michał ustępował miejsce swemu prawnemu następcy, była prawnie niemożliwą ze strony 26-letniego ordynata, kawalera. Trzeba było specjalnego „ukazu” cesarskiego, którego Aleksander II narazie odmówił, a gdy wobec uporu petenta i dzięki protekcji jeszcze urzędującego generała Potapowa, dał na koniec swój podpis, to z uwagą: „Chyba ten młody człowiek zamierza zostać księdzem.”

Wkrótce potem pani Marja z synami musiała przyjechać do Paryża, aby wyrwać z rąk swoich siostr, bliźniaczek Radziwiłłowien (pań Grocholskiej i Oskierczyny, znanych w kolonji polskiej jako „les deux folles”), córkę i siostrę, uroczą pannę Wiktorję, która się wychowała przy ciotkach. Te zaś niedorzecznie dopuściły do swego domu jakiegoś jakoby zamożnego, amerykańskiego Irlandczyka, który, dostawszy w kościele na widok rzeczywiście czarującej panny „piorunowego ciosu”, postawił swoją kandydaturę. Matka i bracia wygotowali mu należytą czarną polewkę;<sup>1</sup> pierwsza córka zabrała do kraju i dość prędko wydała za hr. Aleksandra Jezierskiego (z Garbowa w Lubelskiem). Bracia Tyszkiewiczowie zaś woleli na jakiś czas oddalić się od mądrych ciotek i zaproponowali mi swoje towarzysztwo do Florencji. Zajawszy w nowej, wyrosłej podczas dziesięcioletniego okresu stołecznego (1860–1870) tego miasta słonecznej dzielnicy, dość obszerne umebłowane mieszkanie, założyliśmy w nim falanster; wspólna kawa ranna, śniadanie i obiad w doskonałej restauracji Donney, resztę czasu każdy spędzał, gdzie chciał.

U mnie ten pobyt we Florencji zostawił najmilsze wspomnienie nie tylko dlatego, że to miasto posiada niewyczerpane bogactwa artystyczne, ale i dlatego, że moi nicejscy przyjaciele z r. 1871. państwo Rumboldowie, którzy kolejno zimiowali to w Nizzy, to we własnym pałacyku we Florencji, właśnie tę zimę 1876–77 przepędzali nad Arnem. Byli jeszcze w całym ferworze teatralnym i właśnie przygotowywali na wiosnę dużą „machine” amatorską w języku francuskim. W ich trupie, już złożonej, przeważała rodzina de Talleyrand-Périgord, stale we Florencji zamieszkała. Do niej należeli baron (później hrabia) Karol, były za cesarstwa ambasador w Petersburgu i jego żona (Benardaki

<sup>1</sup> Tej polewce wówczas zawdzięczałem niespodziewany i mało „do mnie podobny” zaszczyt, o którym się później dowiedziałem: mianowicie zostałem bohaterem romansu. Upokorzony Irlandczyk potrzebował zemścić się nad pogardliwą rodziną i wydał powieść zatytułowaną: „Un amour dans le monde”. poświęconą szkolowaniu pani Marji T. Dlatego prawdopodobnie, że nie wiedział o żadnym innym Polaku prócz mnie, którego raz spotkał na śniadaniu u „warjatek”, obdarzył mnie niezbędną rolą zdrajcy-rywala jako „l'odieux Borewski”. Ponieważ ostatni akt powieści odbywał się na „dzikiej” Litwie, gdzie, jak wiadomo, stada wilków spacerują po polu uiby kuropatwy, wypadłem z sań i zostałem rozdarty na szarpie.

z domu), dobra śpiewaczka z dobrym głosem (umarła dopiero w 1919 r. w Paryżu). Księżę de Dino, prawnuk księcia kurlandzkiego Birena po matce, a (w stryjecznej linii) spadkobierca co do wykształcenia i dowcipu słynnego dyplomaty z rewolucyjnych, napoleońskich i restauracyjnych czasów; także jego córka hr. Aleksandrowa Orłowska, matka Ksawerego, mego późniejszego kolegi w rosyjskiej Radzie Państwa, a jakiś czas posła Rzeczypospolitej w Madrycie, miła i wykształcona osoba. Z Polaków mieszkali stale we Florencji poeta Lenartowicz i artysta Antoni Zaleski, popularny wówczas ilustrator Pamiętników Paska.

Tę zimą 1876-1877 przepędzali we Florencji zdetronizowana cesarzowa Eugenia z synem i oczekująca detronizacji brazylijska para cesarska, Don Pedro z małżonką. — Cesarzowa Eugenia dalej celebrowała; choć swego młodego, sympatycznego i banalnego „Loulou“ posyłała na wszystkie przyjęcia, sama nigdzie nie bywała, a gościnnie przyjmowała u siebie; lecz nie miałem żadnej racji jej się przedstawić. Zato jeszcze panujący Najjaśniejsi Państwo brazylijscy uważali się za zwykłych turystów, nie opuszczając ani jednego tygodniowego wieczora u siostry pani Rumbold, wdowy po pośle w Petersburgu p. Ribejro, która mnie ciągle wabiła. — Jeszcze bardziej skromni niż wspomniany następca tronu holenderskiego okazywali wstręt do wszelkiej etykiety, sadzając nawet młodych ludzi jak ja na jednej z sobą kanapie. Stary monarcha wyłącznie rozmawiał o sztuce lub naukach, jego małżonka o plotkach światowych lub nabożeństwach; nie mogłem z nią rozmawiać, żeby mi nie przypomniwała się moja sąsiadka, już wspomniana pani sędzina Ewa (z Haraburdów) Rymaszewska.

Kilka tygodni potem, w nieobecności tej godnej pary monarszej, jak w rosyjskiej piosence, jakiś „miecz“, t. j. generał rzekł „paszoł woj“, monarcha odrzekł „i pajdu“ i wszystko najlepiej w najlepszej z Brazylij.

Ustrój monarchistyczny, najmniej zły dla licznych narodów, od końca XVIII wieku ciągle zanika drogą strejku samych pomazańców. Podstawą tego ustroju jest podwójne poczucie półbóstwa, obiektywne wśród narodów, subiektywne u tych pomazańców. Zastąpić ich mogą dla narodów potrzebujących kułaka różni energiczni awanturnicy, lecz tylko chwilowo, bo ich zalety „kierowników ludzi“, wyrobione wśród nędzy i niebezpieczeństwa, nikną wśród dobrobytu i przepychu: Napoleonowie II nie udają się. Niechby o tem pomyślała nasza „młodzież monarchistyczna.“

Musiałem już w marcu przerwać ten przyjemny pobyt z powodu niespodziewanej i niemiłej wieści. Otrzymałem jednocześnie od matki krótki list, a od ojca obszerniejszy lecz niebardzo jasny, z których wychodziło, że po moim wyjeździe i bez

mojej wiedzy powstały na tle projektowanego działu między starszym bratem i naszą matką z jednej strony, a ojcem z drugiej coraz ostrzejsze nieporozumienia. wskutek których brat na mocy plenipotencji matki objął zarząd jej majątkami, a ojciec zniechęcony udał się do Nizzy; naturalnie projektowany w jesieni układ zupełnie upadł, i wszystko trzeba było rozpocząć a b o v o.

Po tygodniu przebytym w Nizzy, gdzie znalazłem ojca bardzo rozgoryczonego, i kilku dniach w Paryżu powróciłem do Wilna. Tu rozpoczęły się i trwały pół roku zupełnie nowe układy, w których starałem się stosownie do zasady mego *Corpus iuris* „każdemu swoje przyznać“ i zachować neutralność między równo zasługującymi na mój szacunek rodzicami, ze zwykłym skutkiem — szczególnie dla marnego dyplomaty, jakim byłem całe życie — niezadowolenia obu stron. Wkońcu stanęło na tem, że mój brat otrzyma majątek i rezydencję Geranony w całości i trzy czwarte obszaru (a więcej co do wartości dzięki nietkniętym oddawna lasom) wielkiego klucza Ługomowicze, ja zaś pozostałą część tego klucza (z dworem ś. p. dziada Samuela Wołkà) i cały majątek Łazduny, a „po najdłuższem życiu“ ojca — które trwało jeszcze trzydzieści lat — jego dziedziczny majątek Cicin. Choć akta prawne z powodu trudności, które przedstawiało prawo 10 grudnia 1865 roku, zostały dokonane dopiero wiosną 1878 r. — faktycznie objąłem moją sędę w jesieni 1877 r. i zamieszkałem w Ługomowiczach.

Tu się rozpoczyna dwudziestokilkuletni okres mego życia, który normalnie powinien był być — między 28 i 50 latami — najbardziej wydajnym, a w rezultacie okazał się tak nudnym i nawet nieużytecznym, że postaram się, jak czyni podróżnik po głuchej i monotonnej równinie, przebiec tę przestrzeń czasu ...klusem.



### Rozdział XIII.

Rolnictwo. — Aleksander III. — Petersburg, Moskwa.

Na pierwszy rzut oka posiadanie w dwudziestym ósmym roku życia przeszło 8 000 hektarów średniej litewskiej ziemi, czystych od wszelkich długów lub wypłat, wyglądało jako piękny dar i prawdopodobnie wzbudzało zazdrość niejednego młodego człowieka mego stanu społecznego. W rzeczywistości zaś warunki życia z tym funduszem związane w zestawieniu z mojem wychowaniem i dotychczasową przeszłością przepowiadały mi życie galernika wypuszczanego na krótkotrwały — od dwóch do trzech miesięcy corocznie — urlop na wolne powietrze t. j. zagranicę. Co gorsza, galernika dobrowolnego, w imię bzik „posterunku“, nad którego każdym czynem, postanowieniem i zajęciem ciążyła myśl „psiego obowiązku.“

Położenie majątku było następne: Najbliższa stacja kolejowa Wilno — sto dziesięć kilometrów. — Poczta dwa razy co tydzień — sześćdziesiąt kilom., później już piętnaście. Dokoła mnie pięć olbrzymich majątków, w których od niepamiętnych czasów żaden dziedzic nie mieszkał, jeno urzędnicy i dzierżawcy. — Żadnej rezydencji: w Ługomowiczach pradziadowski drewniany „pałac“ częściowo przez administrację zajęty, w  $\frac{2}{3}$  od dwudziestu kilku lat nieopalanym, był już zarażony niewyleczalnym grzybem i musiał być albo pozostawiony gniciu, albo od fundamentu odbudowany. W sąsiednich zaś Łazdunach ojciec przed samcem powstaniem rozpoczął fundamentalny, obszerny i bardzo wygodnie rozplanowany, murowany „pałac“, wyprowadził sutereny i parter, lecz zaskoczony powstaniem, prowizorycznie go nakrył i przeniósł doń z gnijącego już Radziwiłłowskiego „pałacu“ urzędników i część czeladzi.

Co się tyczy gospodarstwa, to z dziewięciu dużych folwarków trzy były dzierżawione przez uczniów Tryptolema, a w sześciu z obszarem trzech tysięcy hektarów pól i łąk stosowano

agronomję Wergiljusza: drewniane sochy, drewniane brony, osie w wozach, młocarnie i maneże; trzypolówka, dwunasta część pól nawieziona obornikiem, reszta t. zw. „prostopole“. Orka wola, 200 sztuk rentującego bydła, przeciętny udój krowy 600 litrów rocznie. W rezultacie coroczny deficyt popełniony z t. zw. „gotowego grosza“, z którego pozostawało dla dziedzica mniej niż suma rocznych pensyj urzędników, t. j. tyle, ile trzeba było, by żyć skromnie w kraju, nie myśląc już o wycieczkach zagranicę, bez których wiedziałem, że prędko dojdę do czarnej melancholji. Nie wątpiłem, że oddana mi fortuna może przy dostatecznej pracy przynieść dostateczny dochód, lecz na to niezbędne były: pewien kapitał obrotowy i umiejętność. Tymczasem zasada „posterunku“ nie pozwalała mi zaciągnąć pożyczki w Banku Ziemskim, gdyż uważałem go, i słusznie, za Dantejskie piekło, a co do umiejętności bardzo zgorszyłem mego odziedziczonego po ojcu rzadcę, gdy przejeżdżając koło pola, na którym rosło coś zielonego i kwitnącego, zapytałem się w prostocie ducha, czy to groch czy kartofle. „Corpus iuris“, historycy, filozofowie i literaci, wszyscy o tem milczeli, choć sobie włosy rwać na głowie.

Wyratowały mnie: szczęśliwa okoliczność i, jak na Maderze, mądry i życzliwy człowiek. Właśnie w 1877 roku dzięki wojnie tureckiej, suszy w czarnoziemnej Rosji i upadku waluty, ceny na produkta rolne rychło wzrosły od 50—60 kopiejek za pud żyta do 1 i nawet 1,20 rubla, wówczas kiedy ceny robocizny — główny expens — nie ruszyły z miejsca; i tak trwało całe trzy lata; obok tego zaradziłem odrazu deficytowi, bo polegał on głównie na złodziejstwie, marnotrawstwie i niechlujstwie: latając jak opętany na trzech dzielnych wierzchowcach, zaglądając we wszystkie kąty, nie szczędząc winowajcom „dobrego słowa“ choć w innym języku i stylu jak w Kasacyjnym Sądzie paryskim, nie wykorzeniłem wprowadzić zła (ktoby potrafił?), jednak przeprowadziłem znaczną „sanację“, i to się odrazu odbiło na dochodzie.

A „dobrego Samarytanina“ znalazłem w osobie mądrego i życzliwego ...Bosza. W całym kraju było wówczas tylko jedno gospodarstwo prowadzone (i to jeszcze przed skasowaniem poddaństwa i powstaniem) postępowo i racjonalnie, mianowicie hr. Chreptowicza, ostatniego po mieczu potomka tego znakomitego rodu litewskiego, byłego, jako zięcia kanclerza Nesselroda, ambasadora rosyjskiego w Londynie. Miał już przeszło 70 lat i dojeżdżał co rok tylko na parę miesięcy letnich do swego majątku Szczorse w doskonałej glebie w nowogródzkim powiecie, o dziesięć mil od Ługomowicz. Posiadał także ogromne dobra Bieszemkowicze w ziemi witebskiej, a o miedzę od Łazdun duży majątek Wiszniew. Temi dwoma majątkami rządził już od dawna na bardzo szerokich prawach Saksończyk, fachowy agro-

nom Fischer. Reputacja jego sięgała daleko po kraju. Wiedząc, że Chreptowicz, którego poznałem w Nizy, polecił mu, aby gościnnie przyjmował ziemian, chcących oglądać to gospodarstwo, porozumiałem się z nim listownie i wybrałem się na kilka dni do Szczors.

Fischer, wówczas pięćdziesięcioletni, bardzo piękny mężczyzna, dobrze już mówiący po polsku, przyjął mnie nader uprzejmie. Cały tydzień mnie wszędzie woził i oprowadzał, wszystko tłumaczył, a ja jak na kursach wszystko zapisywałem. Po jakimś tygodniu jadąc do Wiszniewa, zajechał do Ługomowicz. Oczywiście zainteresowany moim położeniem, zaznajomił się szczegółowo ze wszystkimi warunkami mego bytu gospodarczego. Radząc mi bardzo mądrze, abym uważał Szczorse raczej jako ideał, a naśladował to, co się robi z powodzeniem w identycznych z moimi warunkach w Wiszniewie, nauczył mnie głównych zasad konstytucji gospodarczej, którą sobie sam wydałem na piśmie i przestrzegałem ściśle przez czterdzieści prawie lat, a ponieważ nikomu przysięgi nie złożyłem, zatem pogwałcenie jej nie przyniosłoby mi przyjemności podziwiania siebie samego jako wielkiego i wszechmocnego człowieka.

Główne artykuły tej konstytucji brzmiały: Wyasygnować sobie samemu budżet wydatków osobistych, nie przewyższający dwóch trzecich ostatniego czystego dochodu, resztę poświęcić postępowym nakładom gospodarskim, a kiedy chwilowo dla nich okazji nie będzie, odłożyć na stronę. Ponieważ dzięki wspomnianym pomyślnym okolicznościom ta pensja w żadnym roku nie spadła poniżej sześciu tysięcy rb., a mój ekspens domowy wśród mej pustyni był nader skromny, mogłem sobie corocznie pozwolić na urlop jakich trzech do czterech miesięcy nad Sekwaną lub Riwierą, i unikać melancholji.

Na zasadzie „kto za wiele obejmuje, słabo ściska“, wydzierżawiłem trzy folwarki ługomowickie, a skoncentrowałem ich inwentarz i moją pracę na trzy folwarki łazduńskie, dzięki czemu te trzy folwarki już w pierwszym roku dały mi więcej czystego dochodu niż przedtem sześć; w 1880 roku, oporządziwszy częściowo pałac łazduński, zamieszkałem w nim, pozostawiając pradziadowski „pałac“ ługomowicki...grzybowi. Znacznie później, gdy produkcja gospodarstwa i wzrost inwentarza doszły do maximum tego, na co pozwalała natura gruntów, wycofałem z dzierżawy dwa folwarki.

Ponieważ ukaz 10 grudnia 1885 oraz ciągle zapowiadane, a w 1887 roku nawet częściowo urzeczywistnione groźby jego zaostrenia zagrażały samej własności polskiej, starałem się skoncentrować nakłady na takie przedmioty, przy których one mogły natychmiast albo rychło się opłacić, jak np. szerokie zastosowanie wówczas w kraju prawie nieznanymi nawozów sztucznych, ilościowe i jakościowe podniesienie inwentarzów,

a uniknięcie kosztownych melioracji gruntowych (drenowania, irygacji i t. p.), któreby w razie wywłaszczenia, choćby przy fikcyjnem — jak w 1865 r. — wynagrodzeniu poszły na marne. Te obawy i ta wstrzeźliwość nie usprawiedliwiły się za czasów rosyjskich, bo skończyło się na pogrożkach i strachu, ale w wyższym stopniu usprawiedliwiły się w ostatniej epoce, kiedy w 1919 r. oswobodzenie kraju od Niemców i bolszewików w formie „zdobyczy wojennej“ pp. Piłsudskiego i Osmałowskiego, potem w 1920 całoroczna okupacja wojsk polskich ze zwykłym akompanjamentem pożarów, konfiskaty na rzecz osadnictwa wojskowego, uwłaszczenie drobnych dzierżawców lub fernali, i reforma rolna, przybierająca formę planowanej wojny z własnością polską na kresach, zniewoliły mnie i niemało innych kresowców do zlikwidowania tych majątków po cenach znacznie niższych, niżby kosztowały w swoim czasie melioracje, od których miałem ostrożność się powstrzymać.

A głównym artykułem tego wydanego samemu sobie ukazu było: nauczyć się mego nowego rzemiosła, jużto z książek, jużto zapomocą wycieczek do lepszych gospodarstw niemieckich, francuskich lub też polskich i nie zastosowywać żadnego postępu lub innowacji, nie wypróbować ich na zasadach eksperymentalnych, na mniejszej skali.

Nie wchodząc w szczegóły tych postępów i reform, niezłomne i konsekwentne zastosowanie mojej konstytucji przede wszystkim przyniosło mi tę wielką korzyść, że we własnych moich oczach uszlachetniało moje właściwie prostackie zajęcie hreczkosieja, nadając mu barwę naukową. Widzialny z roku na rok postęp podtrzymywał animusz; co do rezultatu zaś, który ostatecznie powinien być jedynym pewnym probierzem czynności ludzkich, nietylko ze zdanej mi w 1877 r. pustyni zrobiłem jedno z lepszych w kraju znanych gospodarstw, pomnożyłem kilkakrotnie ilość wyrabianych dla konsumpcji ogólnej produktów, a jeszcze więcej sumę zarobków otaczającej mnie ludności, lecz także udało mi się osiągnąć ideał praktycznego ziemianina: jednocześnie podnieść i stopę kulturalną majątku i jego czysty dochód. Został mi przypadkiem mój bilans z 1904 roku, zestawiony jeszcze przed śmiercią ojca, po którym odziedziczyłem niemały kapitał: z niego wynika, że przeżywszy wcale porządnie na tym majątku blisko trzydzieści lat, ozdobiwszy go, podniósłszy jego wartość i czysty dochód, posiadałem 1 stycznia 1904 roku o kilkanaście tysięcy rubli czystego kapitału więcej, niż uzyskałem z trzech grubszych sprzedaży leśnych. Inaczej mówiąc, ze wszystkiego, do czego się wziąłem w długiem mojem życiu, nauki, muzyki, krasomówstwa, publicystyki, polityki, jedyne, co przyniosło prawdziwą korzyść i mnie i krajowi, było to, do czego się wziął bez uzdolnienia, bez przygotowania,

bez upodobania, pod ciągłym naciskiem, „psiego obowiązku“ mianowicie — rolnictwo.<sup>1</sup> — Vanitas vanitatum!!!

Sród nudnej jednostajności tych przeszło dwudziestu kilku lat życia wykształconego „mużyka“ warte są wspomnienia dwa epizody, którym zawdzięczam pierwszą znajomość z stolicą mego ówczesnego państwa, Petersburgiem, i chrzest oratorski w języku rosyjskim.

W roku 1885, kiedy już gospodarstwo zaczynało przybierać ludzką fizjognomję, jednocześnie z otwarciem ruchu na nowo-zbudowanej kolei żelaznej polskiej (Wilno—Lida—Baranowicze i Kijów lub Odessa), która mnie zbliżała do stacji o 55 kilometrów (zamiast 110), zmieniłem z rekomendacji starej i wielce pobożnej przyjaciółki (te są najniebezpieczniejsze) hulakę rządęcą na zacnego idjotę. Miałem gotowych na sprzedaż 80 wołów opasowych. Nowy administrator dla popisu, ponieważ na małym gospodarstwie i w pobliżu Wilna pomyślnie sprzedawał po kilka wolików na wileńskim rynku, nanówił mnie, abym zamiast podług mego zwyczaju sprzedać całą partję na miejscu hurtownikowi, pozwolił je przewieźć do Wilna, gdzieby je idjota rozprzedawał rzeźnikom. Przewiół cały transport jak raz na-zajutrz tego dnia, kiedy to generał Komorow pod Kuską rozbił wojsko afganistańskie; przez parę tygodni, aż się wyjaśniła rywalizacja tchórzostwa między Gladstonem a Aleksandrem III, całą Europa oczekiwała z godziny na godzinę wojny między „Wielorybem i Słoniem“, jak powiadał Bismarck. Niedawno założona w Libawie kompanja angielska dla eksportu mrożonego mięsa roztelegrafowała po całej linji kolei żelaznych libawo-rówieńskiej i poleskiej, że zamyka interes i transportów wołów nie kupuje; ponieważ wyprawiała tygodniowo do Anglii przeszło 1 000 wołów i te transporty szły na Wilno, rynek wileński został w mgnieniu oka zatarasowany. Za moje woły warte mniej więcej po 80 rb. sztuka, kupcy dawali z rana po 60 rb., po obiedzie 40, nazajutrz po 20, wieczorem mniej niż wartość skór; oprócz tego zabrakło paszy. Idjota odwiózł całą partję do Łazdun, a z nią i księgoszusz, wówczas wśród siwego bydła ukraińskiego i małorosyjskiego endemiczny.

Zgóry zaniepokojony nieostrożnością mego niedołęgi w porę się spostrzegłem; nie wdając się w leczenie i wiedząc, że całe bydło na folwarku Łazduny jest skazane, szło mi już tylko o uratowanie iunych folwarków oraz otaczających wiosek. Zatelegrafowałem do władz, a tymczasem urządziłem srogą kwarantannę dokoła dworu, nie szczędząc ani fatygi osobistej ani przekonywujących argumentów do „czynnych“ włacznie. Przyjechała komisja złożona z prezesa gubernjalnego urzędu lekar-

<sup>1</sup> Ze dziś z tego majątku i gospodarstwa nic nie pozostało, to inna rzecz. Ze barbarzyńcy Niemcy zniszczyli katedrę w Reims, nie dowodzi, że była źle budowana.

skiego (żyda) gubernjalnego weterynarza, jakiegoś małorosa na „enkio“ i powiatowego sprawnika, już wspomnianego z czasów nawracania na prawosławie Sobolewskiego. Przy kolacji p. weterynarz palnął nam z wielkim aplombem cały wykład o księgoszusz, którego konkluzją było, że „podług ostatnich wyroków nauki“ pewnym, nieomylnym, symptomem kielkującej już i niewyleczalnej zarazy jest podniesienie temperatury. Ponieważ łazduńskie bydło już okazywało znane mi symptomy zewnętrzne (dreszcze, zwieszone uszy, brak apetytu, a u krów całkowite zerwanie mleczności), więc zgodziłem się na jego rozstrzelanie i pogrzebanie ze skórą. Ale p. weterynarz domagał się jeszcze zbadania i ewentualnie wytepienia bydła znajdującego się w moich sąsiednich folwarkach Nosewicz i Rusaczki, oraz w sąsiednich wioskach i czeladzi w czworakach. Ponieważ już zaczęła pokazywać się młoda trawa, siedemdziesiąt sztuk młodzieży nosewickiej kazalem od pierwszej chwili zapędzić aż o 15 kilometrów od Łazdun, za rzekę Bereżynę; Rusaczki były izolowane tem, że kazalem rozebrać most na oddzielającej je od Łazdun rzeczce; wkońcu włościanom i czeladzi poradziłem, aby swoje bydło zachowywali po bliższych lasach. Pewny co do jego zdrowia i zajęty na miejscu „rzezią niewiniątek“ oraz pilnowaniem kwarantanny, miałem niestrożność puścić weterynarza w drogę bez mnie. — Tymczasem przesyłał zwołał wszystkie czeladne baby, domagając się, naturalnie po rosyjsku, aby przyprowadziły z lasu swoje krowy dla inspekcji, względnie wyniszczenia, z tem, że w ostatnim wypadku będą wynagrodzone „z carskich pieniędzy“. Choć wówczas (i znowu dzięki staraniom Rzeczypospolitej) te panie rozmawiały wyłącznie po białorusku, ich oratorka w najczystszej, jaką zdobyła w kościele, polszczyźnie odpowiedziała, że „wydadzą krowy, kiedy Jasny Pan Miłewski każe i przyrzecze zapłacić, bo on „nie żaden kręciciel“ i my jego pieniądze znamy; zaś car daleko, a o pieniądzach czynowników wiadomo tylko o tych, które oni biorą, a o tych, które oni dają, u nas nie słyhać“. Żydowska ekscelencja (miał rangę rzeczywistego radcy stanu) mowy wysłuchał i machnął ręką. Krowy czeladne ocalały.

Wieczorem p. weterynarz nam oświadczył, że moje 70 ciołek, oraz parę tuzinów chłopskich krów — zachowanych dla karmu niemowląt — już wytepił, ponieważ okazały się jawnie zarażonemi.

To już wzbudziło u mnie wątpliwości co do „ostatniego słowa nauki“ i gdy małoros zapowiedział, że chce jutro pojechać obejrzeć bydło w Rusaczkach, oświadczyłem, że go tam nie puszcze inaczej jak ze mną przy zachowaniu tych samych ostrożności (zmiana za rzeką odzienia i obuwia). Pojechaliśmy aż do rzeki, a przeszedłszy ją po długiej desce, dalej poszliśmy piechotą. Wszystkie krowy zjadały młodą trawę, młodsze pod-

skakiwały, byki się bodły, ekonomowa oświadczyła, że od wczorajszego dnia przybyło kilkadziesiąt litrów mleka; tymczasem weterynarz zakładał krowom termometr, coraz bardziej się sepił i wkońcu zadekretował, że trzeba całe stado popędzić do Łazdun na miejsce egzekucji i zniszczyć, bo jest co do sztuki zarazone: znaczne i ogólne podwyższenie temperatury.

Tu się zbuntowałem i tak jemu, jak „Ekscelencji” i sprawnikowi oświadczyłem, że chyba przyprowadzą z Wilna wojsko, ja zbuntuję przeciw nim czeladź i włościan i nie wydam jednej sztuki, póki sam nie stwierdzą zewnętrznych symptomów. Weterynarz się dąsał, Ekscelencja używała wazeliny, a sprawnik Sobolewski szturchał mnie nogą pod stołem, abym nie ustąpił. — Rozeszliśmy się spać w usposobieniu wojowniczym.

A z rana przy herbacie p. weterynarz oświadczył bez żadnego wstydu, że chwilowo woli powstrzymać się od wymordowania rusackiego bydła, bo ono dotychczas okazuje tylko podwyższenie temperatury, na mocy którego wytepił nosewicką młodzież i chłopskie krowy, które wszystkie miały 39° C. temperatury, albowiem wobec uporu Hipolita Oskarowicza on wieczorem przepatrzył kilka ksiąg weterynaryjnych, które na wszelki wypadek z sobą przywiózł, i znalazł w nich, że normalna temperatura bydła rogatego, jest nie 37° jak u człowieka, lecz właśnie 39°!!! Historyczne.

Wobec tego komisja z nosa ui na kwinty, zostawiwszy mi protokół o wyniszczeniu mego bydła, odjechała, poruczając mnie samemu utrzymaniu, póki potrzeba, kwarantanny i przeprowadzenia dezynfekcji, co się pomyślnie udało.

Pozostawało ratować się od ciężkiej straty gospodarskiej. Rząd rosyjski (głupi!) zamiast jeszcze coś zedrzeć z poszkodowanego za fatygę urzędników, wynagradzał właścicieli za wytepienie z rozkazu władz i w ich obecności bydło, a nawet (głupi!) nie wykrecał się od faktycznej zapłaty, jednak wedle ogólnej, stosownie do ceny najprostszego bydła chłopskiego ustanowionej, taryfy; wobec tego za wybitych mi trzysta kilkanaście sztuk otrzymałbym osiem z czymś tysięcy rubli. Jednak było zastrzeżenie, że za bydło gatunkowe wynagrodzenie może być powiększone do dubeltowej ceny; a ponieważ decyzja zależała nie od władz gubernjalnych, lecz od Departamentu Zdrowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, więc wybrałem się do Petersburga.

To miasto prócz przepysznej Newy, której nikt nie zapomni, kto się nią zachwycał, mające za sobą niespełna dwieście lat istnienia, zrobiło na mnie — w porównaniu z odwiecznymi stolicami prawdziwego Zachodu — wrażenie berlińskiej tandety, a to tem bardziej, że było wówczas napół martwe dzięki ołowianym rządóm Aleksandra III, jako też przekonaniu, że ce-

sarz zniechęcony do miasta, w którym na jego ojca dokonano całego szeregu zamachów i pod wpływem rosyjskich nacjonalistów, przeniesie stolicę do Moskwy. To też w czasie mojej bytności kamienie dochodowe sprzedawały się za pół ceny. Znalazłem w mieście mego dorpackiego przyjaciela Ludwika Helmersena, naówczas wicedyrektora teatrów rządowych, który mi całe miasto pokazywał i ułatwił przyjęcie u niedawno mianowanego towarzysza ministra von Plehve, który w 1904 r. został zamordowany, dzięki staraniom tego samego p. Sawinkowa, który po paru latach, przebytych w Warszawie w najściślejszej z naszym Olimpem rządowym przyjaźni, powrócił do Moskwy, gdzie ś. p. Dzierżyński dokonał na nim zabójstwa. Ten Plehve, który na mnie zrobił wrażenie „bezwzględnego“ kwartalnego policjanta, zawdzięczał swoją bajeczną karierę następnemu wypadkowi, o którym wówczas dużo mówiono. Prosty Łotysz, przechrzta z katolicyzmu (miał imię Wacław), był w chwili dokonanego na Aleksandrze II morderstwa podprokuratorem dzielnicy, w której się znajdował pałac zimowy. Po wysadzeniu w powietrze kordegardu i położonej nad nim cesarskiej sali jadalnej, przeprowadzał śledztwo i inspekcję całego pałacu. Dokonał tego z wielką akuracją i na strychu pałacu — jakoby nad samą salą tronową odkrył... krowę, należącą do jednego z pałacowych stróżów. To genialne odkrycie zrobiło wrażenie na cesarzu, który go odrazu powołał na dyrektora departamentu policji — a już za Aleksandra III został towarzyszem ministra i miał pod sobą departament zdrowia. Nie uwzględnił moich pretensyj, pod tym zresztą legalnym pretekstem, że takich wynagrodzeń nie wypłaca się z ogólnych środków państwowych, lecz ze specjalnego funduszu askuracyjnego, który w chwili obecnej był na wyczerpaniu. Powróciłem z niczem, straciwszy darmo tysiąc rubli „bezterminowej i bezprocentowej pożyczki“, której musiałem udzielić gubernatorowi, znanemu w literackich kółkach petersburskiej arystokracji, aby mi dał świadectwo, że moje bydło było rasowe.

Tu sumienie zmusza mnie do małego zboczenia... w obronie rosyjskiego carskiego łapownictwa. Wówczas kiedy ono w rzeczywistości cywilizowanej Europie nie było praktykowanym, krytyki i żarty nad niem były zrozumiałe. Dziś, kiedy po całym kontynencie, dzięki postępowi i „przewartościowaniu wartości“, jakie nastąpiło po wojnie światowej, łapownictwo rozpowszechniło się po całym kraju Nibellungów i nawet zająrzało do pocziwej Francji w czasie wynagrodzeń za niemieckie dewastacje, śmiało twierdzę, że łapownictwo rosyjskie takie, jakie znałem i odczuwałem w ciągu czterdziestu lat gospodarowania, było instytucją jeśli nie godną uwielbienia, to przynajmniej porównawczego poważania. Mając za sobą tysiąc lat historii, wytworzyło ono sobie stałe tradycje, swoją specjalną etykę, którą



można było porównać co do stałości z kurtuazją światową i innemi doktrynami, zawdzięczającemi swoją siłę długiej przeszłości i wyrobieniu. Głównemi zasadami, nadzwyczaj cennemi dla osób prywatnych, tej etyki łapowniczej były: *primo*, że łapówkę dawało się podług rangi danego urzędnika (po czynu), *sekundo*, że łapówka była w ścisłej proporcji i do wartości interesu i do trudności jego przeprowadzenia czyli stopnia bezprawia, *tertio*, że łapownik brał, ale też i robił. Kiedy mój brat Ignacy zaskarżył u gubernatora Steblin-Kamińskiego jakiegoś policjanta o to, że łapówki bierze, a obiecanę sprawy nie załatwia, to gubernator, naogół dla swoich podwładnych słaby, z wielkiem oburzeniem przepędził policjanta nie za to, że brał, lecz za to, że nie zrobił. To był porządek, przy którym człowiek mógł gospodarować. A dzisiaj? Obecne łapownictwo w porównaniu z ówczesnem rosyjskiem to jest jazzband w porównaniu z symfonjami Beethovena.

Na czas między pierwszą moją wycieczką do „matuszki Rosji“ a następną do Moskwy, przypada epizod mego życia prywatnego, o którym całkiem zamilczeć nie można. — W 1888 r. ożeniłem się z panną Kazimirą Hołyńską, rodzącą się z Plate-równy. Poco, dlaczego, mówił krytyk I. Lemaître o ślubie Chateaubrianda? Jest przysłowie polskie, że dwudziestoletniego mężczyznę żeni rodzina, trzydziestoletni sam się żeni, czterdziestoletniego żeni djabeł. Miałem właśnie czterdziesty rok.

To małżeństwo, rezultat gorliwie w naszych sferach światowych uprawianej przez cnotliwe matrony obławy na dojrziałych kawalerów, nie mogło być i nie było szczęśliwem, tak dzięki głębokim przeciwieństwom charakteru i formacji umysłowej paryżanina i rdzennej Białorusinki, jak dzięki oplakanemu zdrowiu młodej żony, konstytucyjnie niezdatnej do macierzyństwa, tego potężnego cementu, który spaja tyle źle dobranych małżeństw. Nasze ognisko domowe stało się kliniką z sumiennym lecz zniechęconym pielęgniarzem na czele. — Choć przedłużone przez obowiązkowość i dobre wychowanie obu stron, skończyło się to współżycie po dziesięciu latach bez żadnej przymieszki zazdrości dobrowolną separacją. Ś. p. pani Kazimira umarła dopiero po wojnie wszechświatowej.

Ponieważ ten posępny okres mego życia zeszedł się z tym „ołowianym“, jakim był koniec panowania Aleksandra III oraz początek następnego, został bez wpływu na moją karierę społeczno-polityczną.

Natychmiast po objęciu majątku zamknąłem kolejno w Ługomowiczach i Łazdunach dwie przedpotopowe gorzelnie, w których gorzelani żydzi mierzyli temperaturę zacierów obumarzoną

do łokcia ręką; dla wywaru, zresztą bardzo pożywnego, traciło się wartość całej kartofli i opatu, zastąpiłem ten wywar uprawianiem pastewnych roślin okopowych (buraków, rzepy i marchwi) z doskonałym rezultatem. Koło 1890 r. urządziwszy racjonalne płodozmiany i pomnożywszy urodzaje kartofli o 100 % głównie dzięki zaprowadzonej na wzór Szczors szerokiej fabrykacji mąki kostnej, nie miałem już zbytu dla moich ziemniaków. Wówczas właśnie ambitny dyrektor departamentu podatków pośrednich, Aleksy Sergiejewicz Jermołow, później mój kolega w Radzie Państwa, wydał na wzór pruski, lecz z większymi jeszcze przywilejami, ustawę o gorzelnictwie rolniczym. Zdecydowałem się założyć w Łazdunach potężną, mogącą wyrabiać do trzech tysięcy hektolitrow bezwodnego spirytusu, gorzelnię parową najnowszego typu. Jak raz w roku pierwszej mojej kampanji 1891—1892 opanowała całą Rosję europejską podwójna klęska. Na Zachodzie, mniej więcej aż do linii Dźwiny Zachodniej i Dniepru tak dżdżyste lato, że kartofle na połowę zgniły, na Wschodzie zaś taka posucha, że w czterech guberniach czarno-ziemnych nie zebrano nawet nasienia. Szefowie departamentu rolnictwa jako też podatków pośrednich potracili głowy w obawie, po pierwsze, że Rosji zabraknie chleba, po drugie, że jej zabraknie wódki, której spożycie stanowiło główny dochód państwowy. Pierwszy wystarał się o ukaz, zabraniający wszelkiego eksportu zboża zagranicę, wskutek czego powstała panika i cena żyta raptownie podniosła się z czterdziestu kilku kopiejek za pud do rubla trzydziestu. — Ze swojej strony Jermołow rozpoczął między właścicielami gorzelni wściekłą propagandę, aby wypalali jak najwięcej; sam ułatwiał im sprowadzanie Besarabskiej i rumuńskiej kukurudzy, otwierał kredyty itd. A obaj mędrcy doprowadzili do tego, że pod wiosnę okazało się, iż pomimo klęski w czterech guberniach, w czterdziestu ośmiu pozostałych i w Syberji urodzaj żyta był tak obfity, że Rosja sama go skonsumować nie mogła; ceny spadły jeszcze prędzej, niż się były w jesieni podniosły. A drugi mędrzec Jermołow wywołał taką nadprodukcję spirytusu, że mniej przezorni gorzelnicy nie mogli już przepalić swoich zapasów z braku miejsca dla przechowania towaru. Podniósł się między gorzelnikami w całym państwie straszny wrzask, a ponieważ dużo z nich miało mocną sytuację u dworu, Jermołowowi udało się otrzymać od Aleksandra III, pomimo jego wstrętu dla wszelkich manifestacji czy zrzeszeń społecznych,<sup>1</sup> pozwolenie zwołania w Moskwie wszechpaństwowego zjazdu gorzelniczego.

<sup>1</sup> W tym czasie, jak mi później opowiadał ówczesny marszałek gubernjalny moskiewski ks. Trubeckoj, szlachita tej gubernji, aczkolwiek prześlągnięta duchem monarchistycznym, wypowiedziała życzenie, żeby było wolno marszałkom gubernjalnym raz do roku otrzymać (tak jak gubernatorów) osobistą audjencję u cesarza dla złożenia mu

Ponieważ sam tonąłem w swym spirytusie, pojechałem na ten zjazd. Był bardzo liczny, bo przybyło koło pięciuset właścicieli gorzelni ze wszystkich kątów państwa. To był pierwszy od czasów „Ziemskich Soborów“ XVII w. tak liczny zjazd rosyjskiego ziemiaństwa. Sami nie wiedzieli, od czego zacząć ani jak sobie dać radę. Większość miała bardzo słabe pojęcie o swoim przemyśle, bo czyż nie od tego się ma rządów i gorzelanych? To też w kwestjach praktycznych rej wodzili, nie ilościowo, lecz jakościowo, baltyccy baronowie i Polacy. — Z tych pamiętam tylko: Feliksa hr. Czackiego, dwóch przedstawicieli warszawskiej rektyfikacji pp. Kleniewskiego i Prażmowskiego, Stanisława Sianożęckiego, Mieczysława Jeleńskiego i plenipotentą Chreptowicza, Zacharzewskiego.

Mimo to dyskusje były interesujące i naogół rzeczowe prócz tych chwil, kiedy zabierał głos — a to było kilka razy na każdym posiedzeniu — sławny później jako trybun w Dumie rosyjskiej, wówczas zaś już dobry mój znajomy, Teodor Izmajłowicz Rodiczew, ten sam, który niedawno zyskał był zaszczyt osobistej wymówki (wygawor) monarszej i zrzucenia z godności marszałka szlachty z wyborów; — jako doskonały choć deklamatorski mówca umiał on wszystkie zagadnienia o kartofli, kukurudzy, słodzie, aparatach kontrolujących, rektyfikacji, sprzedaży detalicznej i t. d. skierować w stronę praw obywatela i człowieka oraz przedstawicielstwa narodowego.

Choć język rosyjski znałem wówczas już wcale nieźle dzięki interesującej literaturze i historii oraz prasie perjodycznej, a także zwyczajowi prowadzenia osobiście wszystkich moich spraw majątkowych w urzędach i sądach, jednak w mowie czułem się jeszcze słaby, albowiem w Wilnie już od 1865 r. z Moskalami mało obcowałem i, o ile można, używałem z nimi języka francuskiego. — To też przez pierwsze parę dni czynnego udziału w dyskusjach nie brałem. Potem zaś gdy, o ile pamiętam, w kwestji sprzedaży detalicznej zdalo mi się, że mam coś użytecznego do powiedzenia, instynktownie podniosłem rękę, lecz dopiero wtedy, gdy Jerimolow zrobił mi znak, że mnie zapisał, powstało w mojej myśli pytanie: „Czy coś z gardła wylezie czy też nie?“ — Wylazło, i nawet nieźle, sądząc z zainteresowania moich słuchaczy. — Odtąd już brałem w debatach czynniejszy udział, szczególnie wieczorami, gdy po zamknięciu oficjalnych posiedzeń czynniejsi członkowie zjazdu zbierali się w wielkim salonie hotelowym. Na tych to poufnych rozmowach właściwie powstał i został naszkicowany projekt wprowadzenia

raportu o stanie gubernji i potrzebach szlachty miejscowej. Oburzony na takie „liberalizowanie“ Aleksander III, na raporcie o tem ministra spr. wewn. napisał swoim sławnym błękitnym ołówkiem w stylu ludowym słowa: „isz czewo zachotieli“? (widzisz, czego się im zachciało?) — i koniec.

monopolu wódczanego, który — jako wiadomo — okazał się wielkim i nicoczekiwanym sukcesem dla administracji rosyjskiej.

Powracam do głównych zdarzeń mających znaczenie społeczne lub polityczne w naszym „północno-zachodnim kraju“ w ciągu tych dwudziestu paru lat (1877—1898).

Generał Albedyński przebywał u nas niedługo. W 1879 r. został przeniesiony do Warszawy, gdzie umarł, zostawiając po sobie dobre wspomnienie, a zastąpił go bohater z wojny krymskiej i ostatniej tureckiej, generał Todtleben. — Osobiście jako Kurlandczyk nie był dla nas źle usposobiony, i następny fakt świadczy, że był raczej godnym człowiekiem. Gdy mu na bardzo dogodnych warunkach zaproponowano nabycie od skarbu skonfiskowanego Marjanowi Czapskiemu pysznego majątku Kiejdany w Kowieńszczyźnie, poszedł do przebywającego właśnie w Petersburgu Czapskiego i oświadczył mu, że jeśli ma choć najmniejszą nadzieję kiedyś do tego majątku powrócić, to on się tego kupna wyrzeknie i prosi o formalne zezwolenie byłego dziedzica, ponieważ mając zamiar w tym opuszczonym majątku porobić duże nakłady, nie chce uważać siebie na nim za prowizorycznego właściciela, jakby mu sumienie nakazywało, gdyby nie miał formalnego i nieodwołalnego zezwolenia Czapskiego. — Marjan Czapski, który się mrzonkami nie ludził, to zezwolenie dał. Ale Todtleben, jak wszyscy wówczas bałtyccy Niemcy, był przede wszystkim służbistą, przytem przywiózł z sobą jako naczelnika kancelarii młodego i ambitnego Kurlandczyka barona Grewenitza (późniejszego gubernatora), pragnącego się popisać, co było najłatwiejszem na naszych barkach.

W tym samym czasie umarł stary Aleksander Domeyko, i jego urząd gubernialnego marszałka szlachty objął Adam hr. Plater. Aleksander II jeszcze żył i niebardzo było jasnem, w jaką stronę wiatr powieje; gdy kilku wpływowych ziemian powzięło myśl założenia w Wilnie podług przykładu sąsiedniej gub. mińskiej, od Wilna niezależnej, gdzie dzięki gorliwym staraniom Edwarda Woyniłłowicza powstało towarzystwo rolnicze, takiego samego towarzystwa, Plater wziął się do tego z dobrą wolą. Zwołał u siebie bardzo liczne zebranie, na którym pod przewodnictwem gubernatora cywilnego Steblin-Kamińskiego ułożono projekt statutu, wybrano jako ewentualnego prezesa tegoż Platera, a jako wiceprezesa Adolfa Jelowickiego,<sup>1</sup> i wszystko

<sup>1</sup> Adolf Jelowicki, wdowiec po w swoim czasie słynnej piękności przyjaciółce cesarzowej Eugenji, księżniczce Czetwertyńskiej, ożenił się powtórnie ze starszą córką pani Marji Tyszkiewiczowej i osiadł w Czeresach, poradziwiłłowskim majątku żony (w dzisiejszym powiecie).

zdano na ręce generał-gubernatora. — Tu zaś Grewenitz upatrzył okazję do popisania się, przedstawił całą rzecz jako „intrygę polską“ i projektowane towarzystwo nie zostało ani zatwierdzone, ani rozwiązane, lecz zasnęło na równe dwadzieścia lat.

Od tej chwili, ponieważ Bank Ziemski był nie bez podstawy uważany za aparat rusyfikacyjny, a w klubie szlacheckim już element rosyjsko-urzędniczy przeważał nad polsko-ziemiańskim, pozostało w Wilnie tylko jedno stowarzyszenie przeważnie polskie, mianowicie towarzystwo wyścigowe, bronione przez główny zarząd Stadnin Państwowych. — Po przyduszeniu projektowanego towarzystwa rolniczego przyjęło to towarzystwo wyścigowe dzięki, jak się zdaje, koncepcji Adolfa Jełowickiego, jego częściową rolę o tyle, że urządzało perjodyczne wystawy koni i bydła. — Od śmierci głównych jego filarów, Grabowskiego z Lubelskiego i Ursyna Niemcewicza, który długo utrzymywał na spółkę ze słynnym Augustem Potockim (vulgo Guciem) poważną stajnię wyścigową, towarzystwo to zachorowało na suchoty i chyba już nie egzystuje.

Tragiczna śmierć Aleksandra II i wstąpienie na tron Aleksandra III narazie bezpośredniego wpływu na nasz kraj nie miało. Jak wiadomo, nowy cesarz przez krótki czas wahał się między niby postępową polityką ojca i jego doradcy Loris Melikowa, a polityką stanowczo reakcyjną Pobiedonoscowa; gdy się zdecydował na ostatnią i wziął jako ministra spraw wewnętrznych słynnego ambasadora w Konstantynopolu, starszego hr. Ignatiewa (zwanego Mentir-pacha), ten jako pierwszy synapizm na gorączkującą Rosję postawił antysemityzm. Jego „Prawa majowe“, które teoretycznie trwały aż do wielkich reform 1906 r., groziły nam silnym kryzysem ekonomicznym. — Ponieważ z jednej strony zabraniały wszelkiego nowego osiedlania się Żydów na wsi, tak, że każdy Izraelita, który z jakichkolwiek przyczyn opuścił swoją dotychczasową siedzibę, karczmę, młyn, pacht i t. p., musiał przenieść się do miasta, lub formalnie wyznaczonego miasteczka, a z drugiej strony unieważniał wszelkie kontrakty dzierżawne nie tylko na obiekty rolne, lecz nawet na wszelkie przedsiębiorstwa przemysłowe, mające siedzibę poza granicami miasteczek. — W rzeczywistości jednak w ciągu następujących trzydziestu lat sam nie doznałem z tego powodu najmniejszej trudności. — Żydzi do takiego stopnia dowierzali nam, głupim gojom, że zadawali nam się zamiast formalnych kontraktów napisaną po polsku prywatną umową, osiedlanie się zaś, czy to po folwarkach czy po karczmach, było wyłącznie kwestią odpowiednich łapówek, a jak mówiłem wyżej, rosyjska administracja była pod tym względem wzorową.

Tępy i uparty nacjonalizm Aleksandra III, człowieka jednocześnie ograniczonego, bajecznego nieuka,<sup>1</sup> lecz gruntownie po swoim sumiennemu, i zaszkodził nam i pomógł. — Mianowicie jego wstąpienie na tron zeszło się mniej więcej z ustąpieniem generała Todtlebena i zastąpieniem go, dotychczasowym jego towarzyszem, generałem Kochanowem, byłym gubernatorem w Kaliszu.

Ten rozpoczął zaraz wzmocnioną wojnę z używaniem języka polskiego nawet w magazynach. — Kazał między innemi oddać sobie do skontrolowania statut klubu szlacheckiego, do którego obok miejscowych ziemian należała niby wierzchnia warstwa rosyjskiego urzędnictwa, i do paragrafu, zalecającego członkom zachowanie prawideł dobrego wychowania, dodał słowa: „...i nie używać języka polskiego.“ — Ta głupia fantazja oburzyła narazie samych Moskali, którzy przez kilka tygodni ostentacyjnie witali swoich kolegów-Polaków słowami: „Moje uszanowanie Panu.“ — Jednakże po jakimś czasie ten wybryk swoje zrobił i przez jaki dziesięć lat nie mówiono po polsku w klubie jak tylko półgłosem. — Zresztą oprócz mego ojca i mnie nikt z tego powodu z klubu nie wystąpił.

Z drugiej strony zaś ten sam Aleksander III głęboko religijny chętnie twierdził: „Wolę pobożnego heretyka, niż prawosławnego niedowiarka“ — i uważając, że brak w diecezji wileńskiej katolickiego biskupa nie idzie na korzyść prawosławia, lecz rozpasania katolickiego kleru, a wskutek tego i indyferen-

---

<sup>1</sup> Jak wiadomo, Aleksander III był drugim synem cesarza Aleksandra II i został nieoczekiwanie następcą tronu, gdy był już pełnoletnim, wskutek śmierci starszego brata w. ks. Mikołaja, który wzbudzał pod każdym względem największe nadzieje. — Później w Petersburgu jedna z wielkich pań dworu Aleksandra II opowiadała mi następującą anegdotę: Matka tych młodych w. książąt poprosiła sędziwego hr. Strogonowa, który uchodził u dworu za wielkiego uczonego, aby był obecnym przy kilku lekcjach jej synów i odraportował jej o ich zdolności, pilności i postępach. Strogonow wziął swoje zadanie na serjo i powiedział cesarzowej, że co do starszego syna, to okazuje on tyle zdolności, chęci do nauk i pracowitości, iż naród rosyjski może się tylko cieszyć tem, że kiedyś będzie miał takiego monarchę. Ale co do w. księcia Aleksandra (który wówczas już miał 18 lat), to on uważa, że należy zastosować względem niego szczególnie energiczne środki, albowiem nietylko jest mało zdolny, lecz zasadniczo nie chce się niczego uczyć, a nawet prócz gimnastyki, wprost szczydzi się swym nieuctwem, pogardza swymi profesorami i t. d. Na to cesarzowa: „Może to i dobrze. Cesarz i ja doznaliśmy, ile to się ma kłopotów, kiedy najbliższy tronu w. książę jest zanadto wykształcony i za takiego się uważa (myślała o w. księciu Konstantym, byłym namiestniku warszawskim). — Na to oburzony starzec: „Madame, c'est tenter Dieu que de parler ainsi (tak mówić, to kusić Pana Boga)!“ Rozgniewana matka polecała we łzach do męża, oskarżając Strogonowa o to, że życzy śmierci ich starszemu synowi. — Staruszek musiał pokornie przeproszać, a dwa lata potem rzeczywiście młody osioł został następcą tronu.

tyzmu katolików, kazał naznaczyć do Wilna (pierwszego od wygnania w r. 1862 księdza Krasińskiego) biskupa stałego w osobie księdza Hryniewickiego, profesora przy petersburskiej Akademii Duchownej. — W stolicy uchodził on za szczególnie „lojalnego“. Ciężko się na nim zawiedziono. — Właśnie dlatego, że był przez zapaleńców okrzyczany jako „Moskal“, starał się od samego dnia swego ingresu zaznaczyć swoją niezależność od wpływów rządowych, a że był jeszcze młodym i nieosobliwie bogatym w takt polityczny, począł w krótkim czasie Moskałom a w szczególności generał-gubernatorowi Kochanowowi tak się naprzykrzać, że po paru latach pontyfikatu także został wygnany z zastosowaniem przy wywiezieniu go form ostrych.

Właśnie tego wieczora jadłem w restauracji kolację z kilku Polakami i rozprawialiśmy o tym incydencie. Siedzący obok przyzwoitej powierzchowności Moskal wtrącił się do naszej rozmowy: „Panowie sądzicie o tem jednostronnie. — Ja zaś widzę tu dowód tego, jak my prawosławni, mimo woli przyznając waszej religii i duchowieństwu wyższą duchowość niż naszym, okazujemy mu większy niż naszemu własnemu szacunek. Wszak waszego biskupa nikt palcem nie dotknął, choć wiem, że otrzymawszy z rąk posłanego do niego oficera papier generał-gubernatora, żądający od niego tego, czego jako kapłan katolicki spełnić nie mógł, i zredagowany w formie zjadliwej, zapomniał się i rzekł: Powiedz pan swemu jenerałowi, że jest głupcem (durak). A wiecie panowie, co by się stało, gdyby w jednej z centralnych gubernij tak postąpił biskup prawosławny? Oficer ściągnąłby go za brodę do policji i na całe życie byłby zamknięty do celi klasztornej.“ — Uważając, że wówczas, gdy jakiś wiejski wikariusz zawitał do której z naszych arystokrat, sadzano go u stołu na pierwszym miejscu,<sup>1</sup> a kiedy pop w Rosji składał uszanowanie „pomieszczykowi“, ten wychodził do przedpokoju i, przyjąwszy „pokłon“ do pasa, kazał służbie „podać „batiuszce“ wódeczki i zakąskę“ i oddalał się, może ten Moskal miał rację.

<sup>1</sup> To też wówczas wszyscy nasi księża byli konserwatystami. — Dopiero na początku tego wieku, kiedy punkt ciężkości „wygod“ stanowczo przeszedł od dworu do gminy, szczególnie na rdzennej Litwie, nasi księża przypomnieli sobie o ewangelicznym wielbłędzie i stali się demokratami.

## Rozdział XIV.

Bank Ziemski Wileński. — Kochanow. — Orzewski,  
Kroże.

Na początku lat 80-tych towarzystwo nasze wileńskie, a szczególnie Bank Ziemski, poniosło dotkliwą stratę: umarł mianowicie jeden z jego założycieli, dyrektor p. Jan Lubański, o którym już wyżej wspomniałem. — Chociaż wnuk mińskiego żyda, był jeżeli nie z powierzchowności, to z charakteru najklasyczniejszym, jakiego można sobie wyobrazić, „szlagouem“. Dobry i gorliwy gospodarz, nieobcy postępowi, lecz osobisty wróg wszelkiej rachunkowości, dzięki czemu na bardzo dużym majątku ledwo wiązał koniec z końcem i innego kapitału jak posag żony (Sulistrowskiej) nie zostawił. — Kryształowej uczciwości w interesach wzbudzał wśród szlachty nieograniczone zaufanie i póki żył, umiał zachować bankowi, którego był duszą, charakter specjalnie ziemiański a nie handlowy. — Targował się z dłużnikami, aby zaciągali jak najmniejsze pożyczki, pomagał im czasami z własnej kieszeni odroczyć egzekucję długu, która dzięki ukazowi 10 grudnia stanowiła dla nich i dla kraju niepowetowaną klęskę. — Ponieważ prawie jednocześnie z nim umarł także dyrektor Wasiliew, były urzędnik banku państwowego, który zawiadywał całą rachunkowością, niezbędnem było mieć wśród pięciu dyrektorów choć jednego człowieka, biegłego w bankowości, i wówczas to hr. Zubow, marszałek gubernjalny kowieński i prezes zarządu, wyszukał pewnego pana Józefa Montwiłła, średniego właściciela w powiecie wilkomierskim czy też szawelskim dlatego, że był skończył w Niemczech wyższą szkołę handlową. Było mu sądzone odgrywać przez blisko trzydzieści lat w życiu społecznym wileńskim rolę pierwszorzędną. — Był najmłodszym z czterech synów pewnego tak zwanego „wolnego człowieka“, czy też zagonowego szlachcica, który jeszcze za pańszczyzny, zresztą w najbardziej uczciwy sposób, na coraz szerszych dzierżawach i na handlu lnem, dorobił się znacznego funduszu. Niebardzo zdolny, jeszcze mniej bogaty w wykształcenie ogólne, nie posiadający w domu ani jednej



książki, ale obdarzony zdrowym rozsądkiem i wyjątkowo pracowity, Józef Montwiłł zawdzięczał wielkiej pewności siebie i rubasznym manierom znaczny wpływ między ziemianami średniego kalibru oraz inteligencji miastowej. — Nieżonaty i, jak wszyscy powiadali, do małżeństwa niezdolny (nie miał żadnego zarostu), bez potrzeb osobistych, był jednocześnie i bardzo dobroczynnym i niezaprzeczenie chciwym: miałem prawo później mu zarzucić, że praktykuje „la philanthropie expiatoire (filantropię pokutującą)“. Bardzo prędko nadał Bankowi Ziemskiemu charakter wyłącznie komercyjny, wyzyskując do dnia na korzyść mniej akcjonariuszy niż samego zespołu członków zarządu i komisji szacunkowej, a nawet dłużników i właścicieli listów zastawnych, bardzo ostry względem jednych i drugich statut opracowany w Petersburgu, przeważnie celem przyspieszenia przejścia własności ziemskich z rąk polskich do rosyjskich.

Już kilka lat po instalacji Montwiłła mój brat Ignacy, dokonawszy dużej sprzedaży leśnej, uzyskane z niej pół miliona rubli ulokował w akcjach bankowych, które przynosiły wówczas przeszło 16% od ceny emisyjnej, a koło 12% od ceny giełdowej, i pokłóciwszy się na tle stosunków osobistych ze ś. p. Janem Lubańskim i Adamem Platerem, jednocześnie gubernjalnym marszałkiem i dyrektorem banku, rozpoczął przeciw nim, godząc w ich bank, zajadłą kampanję. — Okazała się przedwczesną, bo zaprowadzony przez Montwiłła system jeszcze nie miał czasu wyrazić się w dość krzyczących rezultatach i dlatego w porównaniu z tą, którą sam rozpocząłem kilkanaście lat później, choć gwałtowniejsza co do formy, ta kampanja została czczą.

Punktem kulminacyjnym tej wojny było ogólne zebranie akcjonariuszy na początku stycznia, w połowie lat osmdziesiątych, nie bez dobrej przymieszki komizmu. Ś. p. Ignacy, wymowny i bardzo namiętny, a mogący rywalizować z najslawniejszymi naszymi konspiratorami w wyszukiwaniu różnych kombinacyj „à la Sherlock Holmes“, wystąpił na tem ogólnem zebraniu z aktem oskarżenia zarządu w dużej mierze uzasadnionym, lecz co do formy tak gwałtownym, że przewodniczący zebrania hr. Zubow zagroził mu (bez żadnego ku temu prawa) wydaleniem z sali. — Brat na to: „A niechże kto popróbuje mnie wydalić!“ zawołał, klapiąc się jednocześnie po lewym boku zapiętego surduta, w którym było można łatwo dostrzec groźną wypukłość jakby mieszczącego się w wewnętrznej kieszeni rewolweru. — Wkrótce przewodniczący, przeprowadziwszy gwałtem dzięki podtasowanej większości wszystkie propozycje zarządu, zamknął posiedzenie, i wówczas sprowadzony urzędnik policyjny zbliżył się do brata i zażądał wydania skrytej w jego kieszeni broni palnej. — Na to Ignacy odpiął surdut, wyciągnął

z kieszeni i oddał policjantowi... zawinięty w kawałek papieru grubo salceson.

Nazajutrz z samego rana przyszedł do mnie Józef Tyszkiewicz i oznajmił mi, że Ignacy od niego żąda, żeby natychmiast w jego imieniu udał się jako sekundant do Zubowa i zażądał od niego satysfakcji. Tyszkiewicz zaś, którego łączyło z Ignacym tylko koleżeństwo, a ze mną braterska przyjaźń, odrzekł, że przyjmie tę misję tylko w razie, kiedy ja się zgodzę być z nim drugim sekundantem. Chociaż wówczas, jak wspominałem wyżej, widywałem się z bratem tylko wtedy, kiedy odwiedzałem matkę, to jednak dlatego, że w kwestjach honorowych solidarność rodzinna musi górować nad prywatnymi niesnaskami, przyjąłem zadanie pod warunkiem, że Ignacy absolutnie zda się zgóry na naszą z Tyszkiewiczem decyzję. — Obawiałem się głównie tego, żeby w razie mojej, a zatem i Józefa Tyszkiewicza odmowy, nasz klient nie puścił się — co do niego było bardzo podobnem — na jakąś grubą obelgę względem Zubowa, co by było jednocześnie ogromnie przykre dla tego najgodniejszego z Moskali, a Ignacemu przysporzyłoby niemiłej przykrości ze strony generał-gubernatora Kochanowa. Ignacy przyjął moje warunki, poszliśmy z Tyszkiewiczem do Zubowa i udało się nam zlikwidować całą sprawę przy pomocy zadawalniającego dla obu stron protokołu.

A Ignacy przylem zarobił czysty milion rubli, gdy chciał zemścić się jeśli nie na Zubowie to choć na jego koledze i podżegaczu, Adamie Platerze.

Sposób, który wybrał, rzeczywiście najboleśniejszy, był następujący: Plater uważał, że jego pozycja wymaga, aby jeździł najpiękniejszą w mieście parą koni — a piękność koni umiał ocenić tylko podług centymetrów wysokości. Nie mógł się nacieszyć, odkąd mu się udało na koronacji Aleksandra III odkupić od ambasadora francuskiego parę normandzkich wielbłądów, które gdy przeciągnęły przez miasto Moskwę krokiem ogromniastą karętą galową, swoje zrobiły. Wielbłądy ruszały się tylko stępa, albo małym truchcikiem pod sobą, lecz miały po 7 werszków (1 m 85 cm) wysokości, w czym żadne bestje w Wilnie im dorównać nie mogły, a nawet rzeczywiście elegancki zaprząg hrabiny ordynatowej Klementyny (Alfredówny Potockiej) Tyszkiewiczowej. Był to wówczas punkt kulminacyjny rywalizacji światowej między domami hrabiostwa - marszałków Platerów i hrabiostwa-ordynatów Tyszkiewiczów, szczególnie w oddziale damskim. chociaż suma różnych przewag po jednej i po drugiej stronie mniej więcej się równoważyła, lecz co do końskich centymetrów hrabia - marszałek mógł się chlubić drugoczną wyższością całych dwudziestu centymetrów, tak że nie mogło być boleśniejszej zemsty, jak odebrać panu marszałkowi ten rekord.

Uważając, że bezpieczniej będzie po bankowym skandalu, zatargu z Zubowem i kielbasie, zniknąć na jakiś czas z horyzontu, a dowiedziawszy się, że gdzieś w charkowskiej gubernji jest stadnina kolosalnych rysaków, Ignacy wybrał się tam i rzeczywiście stamtąd przywiózł parę czarnych rysaków o całym werszek ( $4\frac{1}{2}$  cm) wyższych od platerowskich wielbłądów, z którymi codziennie stangret się mierzył, zatrzymując się na kilka minut obok nich przed Bankiem Ziemskim.

W drodze do Charkowa w wagonie zaznajomił się brat z pewnym generałem Marysinem, który tak jak wielu rosyjskich czynowników lubił z piasku bicze kręcić, to jest spekulować bez pieniędzy. — Zwierzył się z kłopotu: niedawno zostały odkryte w charkowskiej gubernji obszerne pokłady soli kamienniej, w uiczu nie ustępujące sławnym kopalniom w Wieliczce. — Nabyła je spółka belgo-reńska i eksploatowała z wielką korzyścią. Dowiedziawszy się o tem na samym początku, generał Marysin kupił od włościan, w samym środku belgijskiej koncesji około czterdziestu dziesięcin ziemi, ale nie miał pieniędzy nie tylko na wiercenie, lecz nawet na opłatę całej ceny, a okazało się, że w tem miejscu sól jest na wielkiej głębokości. — Doszło do tego, że tu w wagonie Ignacy, z natury „wściekły ryzykant“, odkupił prawo Marysina za 55 000 rb.; blisko rok wiercił ziemię, wsadził na urządzenie szybów koło stu pięćdziesięciu tysięcy, a skoro jego sól rzeczywiście pokazała się na rynku, belgijska kompanja dla uniknięcia konkurencji odkupiła wszystkie jego prawa z czystym zarobkiem dla niego miliona rubli.

W tym samym czasie doradcy Aleksandra III w poszukiwaniu wszelkich synapizmów, odciągających od liberalizmu, myśleli o mocnem obostrzeniu ukazu z 10-go grudnia. Głośno mówiono o projektach wysuniętych jednocześnie przez kijowskiego generał-gubernatora Drentelua i przez starszego prezesa wileńskiej izby apelacyjnej, Stodolskiego, o ograniczeniu prawa Polaków dziedziczenia ziemi do prostej linii schodzącej. — Prócz tego krótkotrwałe przymierze trzech cesarzy rozsypało się, wzmagala się rusyfikacja prowincyj nadbałtyckich. Szalała kampanja zniżkowa Bismarcka i jego przyjaciela Bleichroedera przeciw rosyjskiemu papierowemu rublowi, i to wszystko schodziło się do psikusów między wczorajszymi sprzymierzeńcami. Wkońcu wszystko skonkretyzowało się w ukazie z 5 grudnia 1885 r., który z jednej strony utrudniał kupno ziemi pod nazwiskiem podstawionych Rosjan lub korzystających z ich prawa, co się zaczynało coraz częściej praktykować, przez to, że wszelkie przejście własności nawet między Rosjanami zostało uzależnione od specjalnego zezwolenia generał-gubernatora. Głównie zaś ten ukaz godził pośrednio w polskie interesa przez to, że z jednej strony zabraniał, pomimo dotychczasowych

traktatów międzynarodowych, nabywania nieruchomości przez cudzoziemców w Królestwie Polskiem i tak zwanych pogranicznych guberniach, a w razie, gdyby poddany obcy został na tem terytorjum prawnym spadkobiercą nieruchomości ziemskiej, był obowiązany pozbyć się swego spadku w ciągu trzech lat na korzyść nabywcy rosyjskiego pochodzenia. To godziło w bardzo liczne rodziny polskie, a w mniejszej mierze w niemieckie nadbałtyckie, pierwsze spokrewnione z rodzinami polskimi w zaborach pruskim i austriackim, drugie ze szlachtą w Prusach Wschodnich.

Wkrótce po wydaniu tego aktu znalazła się okazja do jego zastosowania na ogromną skalę ze znacznym wpływem na stosunki ekonomiczne naszego kraju. Ks. Piotr Wittgenstein, syn ostatniej Radziwiłłówny linii nieświeskiej, córki Dominika, o którym już kilkakrotnie wspominałem, umarł niespodziewanie: podobno zrozpaczony się otruł, straciwszy francuską towarzyszkę życia, do której był bardzo przywiązany. — Prawną jego spadkobierczynią była jedyna jego — z tej samej matki — siostra, księżna Hohenlohe, żona ówczesnego ambasadora w Paryżu a późniejszego kanclerza. — A że sukcesja wynosiła, przeważnie w granicach gubernji wileńskiej i mińskiej, przeszło milion hektarów ziemi, jasnem było, że raptowna sprzedaż takiej masy, przy odsunięciu od prawa kupna ogromnej większości mieszkańców miejscowych t. j. Polaków, musiała równać się, i w rzeczywistości równała się, konfiskacie na korzyść różnych spekulantów. Z tej fortuny, która dzięki kolosalnym i cennym lasom, gdyby mogła być rozsprzedana w normalnych warunkach, przyniosłaby przeszło sto milionów rubli, księżna Hohenlohe uzyskała tylko dwanaście i pół miliona brutto, a netto dwa i pół, bo było dziesięć milionów długu hipotecznego Banku Wileńskiego. — Lecz księżna sama sobie zawdzięczała tę katastrofę. Była przesadnie dumna ze swego stanowiska medjatyzowanej księżny. Uważając, że dwór rosyjski może być zaszczycony jej wizytą, udała się do Petersburga w nadziei otrzymania wyjątku na swoją korzyść. Uprowadzony o jej przyjeździe i celu podróży Aleksander III zaprosił ją na bal do zimowego dworca, przybliżył się do niej i powiedział, że choć jego zasady nie pozwalają mu robić wyjątków z pod ogólnego prawa, lecz wiedząc w jakim celu księżna przyjechała, radzi jej, aby dla uniknięcia katastrofalnej likwidacji jej funduszu księżna, mając trzech synów, jednego z nich przeprowadziła na poddaństwo rosyjskie i na niego zrzekła się swojej sukcesji po bracie. — A księżna zamiast przyjąć tę propozycję, mając na względzie, że w takim razie jej syn z medjatyzowanego księcia, t. j. uważanego za równego z panującymi domami, zostanie zdegradowany na stanowisko zwykłego obywatela obcego państwa, odpowiedziała: „Najjaśniejszy Panie! Ja się nad

tem namyśle (Sire, j'y réfléchirai).“ Cesarz milcząc odszedł, a gdy kilka dni później księżna prosiła o audjencję w celu przyjęcia tej propozycji, Aleksander III odmówił tej audjencji jako bezcelowej, ponieważ ze swej strony także „się namyślił.“ Jednakowoż zgodził się na przedłużenie trzyletniego terminu, w którym sprzedaż takiej masy nieruchomości była niemożliwa i zachwiałaby nawet interesa hipotecznych banków.

Cały ten ogrom ziemi przeszedł w ręce nabywców, nie mających pieniędzy, z których większość tylko pożyczła swoje nazwiska spekulantom na las. Tak np. majątek Smolewicz obejmujący 75 000 hektarów, przeszedł w ręce mińskiego żyda Sutina, którego duża i raptowna fortuna miała źródło prawdziwie komiczne. — Był on skromniutkim pachciarzem u dzierżawcy Smolewicz, kiedy ś. p. Wittgenstein zaprosił do tego majątku na polowanie na niedźwiedzie jakiegoś medjatzowanego księcia niemieckiego. Przyjechał z gościem, a tu upatrzone i okrażone niedźwiedzie, dzięki raptownej odwilży i zniknięciu śniegu, uciekły. — Wittgenstein w desperacji. — Zjawia się żydek pachciarz i ofiaruje księciu urządzić się tak, że niedźwiedzie będą w ostępie na umówiony na polowanie dzień. Uradowany i nadzwyczaj hojny książę ręczy mu, że jeśli dotrzyma obietnicy, będzie miał taką nagrodę, jakiej sam zażąda. — Żydek, dobrze poinformowany, przez noc leci do Mińska, przywozi cztery tresowane do tańca niedźwiedzie, które tam pokazywali jacyś Moskale z archangelskiej gubernji. Wyjmują im z nozdrzy żelazne kółka, puszcza je do zgóry okrażonego liczną naganką lasu, zręcznie je pędzą ku stanowisku książąt, i każdy z nich zabija po dwóch kosmatych tancerzy. — A mądry żydek jako wynagrodzenie nie przyjmuje żadnych pieniędzy, tylko proponuje interes w równej mierze korzystny i dla majątku i dla niego samego. — Żąda mianowicie, żeby Wittgenstein pozwolił mu wybudować w Smolewiczach swoim własnym kosztem lecz z materiału dziedzica dużą gorzelnię, którą będzie mógł eksploatować w ciągu dłuższego terminu, pozostawiając bezpłatnie na korzyść majątku cały wywar — z tem jednakże zastrzeżeniem, że w ciągu całej długoletniej dzierżawy dzierżawca tak dla erekcji budynku i jego akcesoriów, jak na opał i t. d. i t. d. i t. d., będzie miał swobodne i bezpłatne prawo użycia smolewickich lasów, wówczas jeszcze nietkniętych. — Wdzięczny Wittgenstein podpisał kontrakt bez żadnego zastrzeżenia, a potrzeby gorzelni i wszystkich „i tak dalej“ okazały się takie, że powstało kilka tartaków, i w kilka lat Sutin już uchodził za pierwszego kapitalistę i najbogatszego kupca leśnego w Mińsku.

Z tej dysekcji ostatków „królestwa“ Karola Radziwiłła „Panie Kochanku“ korzystali także wileński gubernator Czeplewski, który bez grosza nabył słynne Werki pod Wilnem,

byłą wspanią rezydencję biskupa Massalskiego, powieszono za czasów Kościuszki, i kilku polsko-rosyjskich lub polsko-niemieckich amfibijów, biegłych w nauce „gdzie raki zimują.“

Ta likwidacja była jeszcze w toku, gdy został wydalony za nadużycia wileński generał-gubernator Kochanow. — Następca jego został generał Orzewski, naczelnik żandarmerji w Królestwie Polskim, cieszący się w kołach polskich najgorszą opinią, co w oczach Aleksandra III było dobrą rekomendacją. Mógł sobie dużo pozwalać dlatego, że żonały z księżniczką Szachowskiej, ulubioną frejliną panującej cesarzowej Marji Teodorówny. Znalazł sposób na to, by w prześladowaniu polskości przeciągnąć nawet Kochanowa.

Jedną z pierwszych jego ofiar był mój brat Ignacy. Jeszcze za życia księżny Hohenlohe, naturalnie pod nazwiskiem jakiegoś Moskala, kupił on dochodzący aż do samego miasta las, zwany Zwierzyniec. Kochanow zmusił go, rzeczywiście bez żadnych jurystycznych podstaw, wyrzec się tej afery. Ignacy od razu nie skapitulował, więc wywiązał się horrendalny w oczach ówczesnego Moskala zatarg między „polaczyszką“ a jego wysoką ekscllencją generał-gubernatorem. — Skandal jeszcze nie ostygł, gdy władzę objął Orzewski. Chcąc dać przykładną lekcję „buntownikowi“, skorzystał z tego, że brat po śmierci naszej matki (1892) przyjął poddaństwo austriackie celem zatwierdzenia mu jego papieskiego tytułu hrabiowskiego, i dlatego tu już zupełnie legalnie zabronił mu pobytu w granicach generał-gubernatorstwa. Dzięki temu ś. p. Ignacy musiał pozbyć się rzadko wykwinąć i artystycznie wykończony pałacyku na św. Jerskiej ulicy — i sprzedał go za trzecią część tego, co weń wsadził, powstającej na widnokręgu wileńskim gnieździe, czy też drugorzędnej komecie, Antoniemu Tyszkiewiczowi — trzeciemu z pięciu synów byłego adjutanta przy wileńskich generał-gubernatorach, Józefa Tyszkiewicza z Landwarowa. Bardzo wówczas młody Antoni Tyszkiewicz miał pretensje rywalizować z prawdziwym potentatem wileńskiego społeczeństwa, Adamem Plate-rem. Zarzucał mu, że „nie umie kształcić ludzi“, dając do zrozumienia, że on z wysokości swego doświadczenia (miał 22 lat) doskonale potrafi to wykonać. Musiał naturalnie, choć bardzo ostrożnie i skromnie, trochę „liberalizować“. Wtedy to dowiedziałem się (bo naogół byłem zawsze bardzo mało informowany o tem, co się dzieje w podziemiach), że właśnie nad mieszkaniem mego ojca zbiera się u adwokata Tadeusza Wróblewskiego, wskrzeszone niby z uniwersyteckich czasów „towarzystwo szubrawców“. Jakim był, prócz powierzchowności i tonu wielkości członków tego towarzystwa, jego prawdziwy program, po dziś dzień nie wiem. — Jednak domyślałem się, że się ograniczał do energicznego kiwania palcem w bucie, tak cicho

i ostrożnie, że nigdy żaden Moskał o egzystencji tego „buntu“ się nie dowiedział.

Drugim pomysłem Orzewskiego była erekcja posagu Murawjewa Wieszatiela naprzeciw generał-gubernatorskiego dworca, a także okien mego ojca. dokonana przy pomocy stosownej agitacji w gazecie Nowoje Wremia niby z ofiar między pałtrotami, a w rzeczywistości na koszt państwowy.

Nie mógł też naturalnie ominąć prześladowania katolickiego kościoła i przerabiania katolickich kościołów na cerkwie prawosławne. Lecz tu omal sobie karku nie skręcił. W miasteczku Kroże w głębi świętej Żmudzi (wówczas jeszcze o ruchu litwańskim nikt nie myślał) były dwa kościoły, jeden murowany i dość okazały, drugi daleko skromniejszy, drewniany. Orzewski zadekretował, że drugi wystarczy dla ludności katolickiej, a pierwszy zdecydował przerobić na cerkiew dla nieegzystujących w całej okolicy prawosławnych. Dowiedziawszy się o tem, gorliwi „Żemojtesi“ płci obojga urządzili dzienną i nocną wartę w kościele, bezustannie śpiewając różaniec lub suplikacje, aby nie dopuścić do faktycznego zajęcia kościoła przez władze prawosławne. Po dość długich i daremnych perswazjach Orzewski kazał kowieńskiemu gubernatorowi Klingenbergowi „przyjąć stanowcze miary.“ Ten, urwis pierwszego kalibru, moeno skompromitowany w oczach samych Moskali dzięki temu, że będąc jako towarzysz prokuratora członkiem poważanego i naogół poważania godnego sądownictwa rosyjskiego, zgodził się objąć daleko obfitszy w dochody urząd policmajstra wileńskiego. Właśnie dlatego, że był bałtyckim Niemcem i luteraninem, chciał się popisać: przyleciał z kozakami, a ponieważ żmudziaki kościoła nie opuszczali, wprowadził do świątyni swoich kozaków, aby nahajkami ludność wypędzili. — Wyrósł skandal nad skandalami, na który cały kraj, nie wyłączając porządniejszych Moskali, się oburzył. Orzewski spodziewał się całą sprawę zatuszować, ponieważ innej prasy na miejscu, jak oficjalny Wileńskiej Wiestnik, nie było. Lecz to mu się nie udało głównie dzięki bardzo ostrożnemu i „lojalnemu“, lecz z kośćciami pocziwemu księciu Michałowi Ogińskiemu. Potrafił o całej sprawie poinformować Aleksandra III; ten, jak mówiłem, był na swój sposób wielce sumiennym człowiekiem, wziął sprawę bardzo na serjo i wydelegował do Wilna, dla przeprowadzenia indagacji i zdania mu osobistego sprawozdania, dyrektora departamentu wyznań obcych, ks. Kantakuzena. Uprzedzony o tem Orzewski, otoczył swego sędziego śledczego wszelkimi pochlebstwami i ulokował w swoim generał-gubernatorskim pałacu. Szło o dobranie odpowiedniej i do ważności sprawy i do stanowiska Kantakuzena łapówki, oczywiście wyjątkowo grubej; szczęśliwy los ją nastręczył.

Właśnie w tym czasie przybył do Wilna hr. Mostowski, docent przy uniwersytecie krakowskim, w Krakowie od dziecka wychowany, i choć właściciel pysznego majątku Łuczaj w powiecie święciańskim, nie mający o wartości swego funduszu innego pojęcia jak to, które sobie wyrobił z posyłanych mu przez pełnomocnego rządcę dochodów, oczywiście bardzo skąpych. Na tym majątku ciążyła gruba wierzytelność (koło dwustu tysięcy rubli) jego matki. — Ponieważ wbrew jej woli zawarł związek małżeński, rozzłoszczona pani zażądała natychmiast zwrotu całego jej kapitału. Mostowski (oczywiście docent czegoś takiego jak spryt życiowy nie miał), przyjechawszy do Wilna, udał się wprost do Banku Ziemskiego, który już potrafił i na miejscu i w innych dzielnicach zareklamować się jako pierwsza, nawet jedyna w kraju instytucja społeczno-polska i wskazana opiekunka ziemiaństwa. — Wpadł w ręce p. Edmunda Bortkiewicza, prezesa komisji szacunkowej, który mu wytłómaczył, że podług prawideł banku żadną miarą nie może otrzymać pożyczki wyższej nad sto sześćdziesiąt (może sto ośmdziesiąt) tysięcy rubli, żeby zaś dostać niezbędne dla spłacenia matki dwieście tysięcy, niema innego sposobu jak Łuczaj sprzedać. — Znalazł się, naturalnie trafem, kupiec w osobie p. Zandera, prawosławnego Niemca i sąsiada Bortkiewicza. Mostowski sprzedał mu majątek za tę cenę i wyniósł się napowrót do Krakowa.

Ale Bortkiewicz, bardzo szczupły ziemianin, upojony powodzeniem tej nadspodziewanej afery, zamiast dyskretnie trzymać się za plecami nominalnego kupca Zandera, zaraz osobiście zaintronizował się w Łuczaju. — Zaczął rozporządzać się w nim jak szara gęś, odgrywać rolę dziedzica, zaprowadzać reformy, t. j. tworzyć sobie nieprzyjaciół, i t. d.

Naturalnie bardzo rychło o całej tej manipulacji dowiedział się Orzewski. Wobec groźnego Kantakuzena była to czysta manna niebieska! Sprowadził więc do siebie Zandera i Bortkiewicza, potrafił do nich przemówić po żandarmsku: sybir — katorga — szubienica — i t. d.; mało zainteresowany Zander przyznał się do wszystkiego, Bortkiewicz struchlał, i Orzewski zmusił ich odsprzedać ten pyszny Łuczaj Kantakuzenowi za dług bankowy bez żadnej dopłaty; ledwie zdołano zapomocą odpowiednich „trypotażów“ podwyższyć pożyczkę tak, aby Bortkiewiczowi za jego „zasługę krajową“ zostało jakieś 20 000 rubli napiwku. Potem wdowa księżna Kantakuzenowa, urwawszy naprędce coś z lasu, to złote jajko sprzedała byłemu policmajstrowi, później generał-gubernatorowi kijowskiemu Klejgel-sowi, za pięćset kilkadziesiąt tysięcy; ten zaś, także dobrze las przepłókawszy, odsprzedał Łuczaj trzeciemu, rdzennie rosyjskiemu spekulantowi, i summa summarum okazało się, że ten majątek, z którego Mostowskiemu po spłaceniu matki, nie zo-



stało złamanego szeląga, był wart około miliona dwustu tysięcy rubli.

Dzięki temu krożański skandal przyjął rozmiary piramidalne. Aleksander III dowiedział się o wszystkim wpierw, nim stanął przed nim Kantakuzen z raportem, obielającym Orzewskiego jak kamizelkę balową. Dał mu cały raport skończyć, poczem odśpiewawszy mu całą litanję wyborowych połajów rosyjskich — a tak bogatego repertuaru żaden język nie posiada — swoją niedźwiedzią łapą chwycił go za piersi, podniósł w powietrze, trzasnął całą siłą o ziemię i jeszcze kopnął go nogą. Biednego łapownika wyniesiono oblanego krwią od pierśowego krwotoku, i trzy tygodnie później umarł w Biarritz.

W Wilnie epilogiem tej sprawy był proces wytoczony prawdziwym lub domniemanym podżegaczom krożańskich włościan o sprzeciwianie się władzy. Stosownie do ówczesnego prawa proces toczył się przed starszą izbą sądową z udziałem t. zw. przedstawicieli stanowych, t. j. gubernjalnego marszałka, prezydenta miasta i jednego wójta gminnego. Plater, nie mogąc oddać głosu przeciw obwinionym, a obawiając się o swoją karierę, gdyby oddał głos na ich korzyść, zawczasu wyjechał na wieś i tam niby zachorował. Bodaj dobrze zrobił, albowiem z urzędu zastąpił go marszałek powiatowy wileński, Rosjanin Leontiew; a oburzenie u samych Moskali było takie, że przy odpowiednim kierownictwie sprawą przez prezesa Stodolskiego (choć znanego polakożercę) oskarżeni zostali w większej ilości uniewinnieni „z braku dowodów“, w części zaś skazani na kary iluzoryczne. Lecz p. marszałek gubernjalny na tem obmyciu rąk zarobił od kumoszek wileńskich przezwisko „Pilater“.

Sam Orzewski dzięki wpływom żony jakoś się chwilowo wykreślił. Jednak czuł się mocno zagrożonym, dostał cierpienia sercowego, doczekał się swego łabędziego śpiewu w formie inauguracji posagu Murawjewa Wieszatiela, zdążył ostatecznie zrujnować i zmusił do wyprzedania się ze swego pięknego majątku Zułów p. Piłsudskiego,<sup>1</sup> ojca przyszłego naczelnika państwa polskiego, i już za panowania Mikołaja II oddał lucyferowi swoją piękną duszę.

Inauguracja murawiewowskiego pomnika, którego wstydziła się większość w kraju zamieszkałych Rosjan, przeszła prawie niepostrzeżenie. — Z Polaków był na niej obecny tylko gubernjalny marszałek Adam hr. Plater, którego Orzewski wyraźnie uprzedził, że gdyby pozwolił sobie na ten dzień zachorować, toby następstwa były ciężkie nie tylko dla jego stanowiska, lecz także dla Banku Ziemskiego. Czy w takich warunkach wypadało Platerowi kapitulować czy nie, nie podejmuję się sądzić.

<sup>1</sup> Zaczny Michał Ogiński próbował ten Zułów jakoś uratować, fikcyjnie go kupując. Ale i to Orzewski przewąchał, kupno złamał i Ogiński na tem stracił podobno kilkadziesiąt tysięcy rubli.

W takich zaiste piekielnych czasach trudno było wyprowadzić ścisłą linię demarkacyjną między poświęceniem i płaskością.

Śmierć Aleksandra III i wstąpienie na tron Mikołaja II nie przyniosły narazie najmniejszych zmian w prądach politycznych bądź ogólnopauistwowych, bądź miejscowych. — Aleksander III, mając żonę pustą i powierzchownie sprytną, oddał całkowicie w jej ręce edukację swoich pięciorga dzieci, aby się nie wtrącała do spraw państwowych. Ona zaś, sama nie przyznawając się do swoich lat, także i dzieci traktowała jak niemowlęta. Już pełnoletni, po powrocie ze słynnej swej podróży do Japonji, i pełniący czynną służbę w pułku gwardji (preobrażeńskim), następca tronu był tak krótko trzymany, że gdy ambasadorowi francuskiemu, generałowi Appert, wypadło po otrzymaniu w imieniu w. księcia jakiegoś cennego fantu dla loterii dobroczynnej francuskiej, złożyć osobistą wizytę następcy tronu, został przez ceremonimajstra wprowadzony do ubieralni Najjaśniejszej Pani, zawalonej ubraniami manekinami drewnianymi, do której wychodziły jedyne drzwi jedynego pokoju zajmowanego przez cesarzewicza. — Już po wstąpieniu na tron i ożenieniu się z t. zw. w niemieckich dworach „die böse Alice“ alias cesarzową Aleksandrą Fiodorowną, biedak jeszcze zajmował w pałacu matki (Aniczkin dworec) tylko trzy pokoje: sypialny, salonik i mały gabinet, w którym przyjmował ministrów. Wszyscy ministrowie przed audjencją u cesarza referowali cesarzowej-matce, ta zaś, jak opowiadał generał Czerewin,<sup>1</sup> naczelnik osobistej ochrony cara, gdy na jakieś polecenie cesarzowej-matki miał nieostroźnie odpowiedzieć, że o tem zreferuje cesarzowi, rozszłoszczona dała mu taką replikę: „l'Empereur? — l'Empereur est mort, à présent il y a moi et mon fils“. Czerewin chwalił się, że odrzekł: „Dla Najjaśniejszej Pani to jest syn, a dla mnie to jest cesarz.“ Lecz można przypuszczać, że ta słusza odpowiedź zabrzmiała... na schodach.

W tym to właśnie czasie rozegrała się sławna scena, którą odrazu na równe 10 lat rozwiąza wszelkie złudzenia liberalnych Rosjan co do jakiejkolwiek zmiany kursu; przyjmując bowiem dość liczną deputację „ziemstw“, Mikołaj II na adres, zawierający bardzo skromną aluzję do reform, odpowiedział zebranym, że ich aluzje stanowią „głupie mrzonki“ (bezumnyja mnicztania).

Jak mi później opowiadali rosyjscy koledzy z Rady Państwa, ten niefortunny wybryk był wprost „podsunięty“ przez Pobiedonoscewa w zмовie z cesarzową-matką i stryjami cara;

<sup>1</sup> Tego Czerewina znalazem osobiście jako młodego porucznika gwardji u jego matki w Dorpacie, gdzie przebywała z dorosłą bardzo przystojną córką i małym gimnazjastą. Z nią i bratem Ignacym grałem u niej komedję po francusku. Przyszły „grand maitre des espions“, jak się sam później tytułował, był wówczas wesołym, dowcipnym młodym człowiekiem i już zawodowym pijakiem.

wiedząc, że Mikołaj II jest dla deputacji ziemskiej dobrze usposobiony, w ostatniej chwili, w której go deputacja oczekiwała, Pobiedonoscew odegrał wielką szekspirowską scenę: rzucił się do nóg cesarza, szlochając obejmował jego kolana i wzruszonemu, słabemu, aż do swojej śmierci moralnie niepełnoletniemu cesarzowi wpakował do rąk przygotowany już tekst odpowiedzi, który biedaczysko włożył na dno czapki i zdumionej deputacji, sam także zdumiony, odczytał.

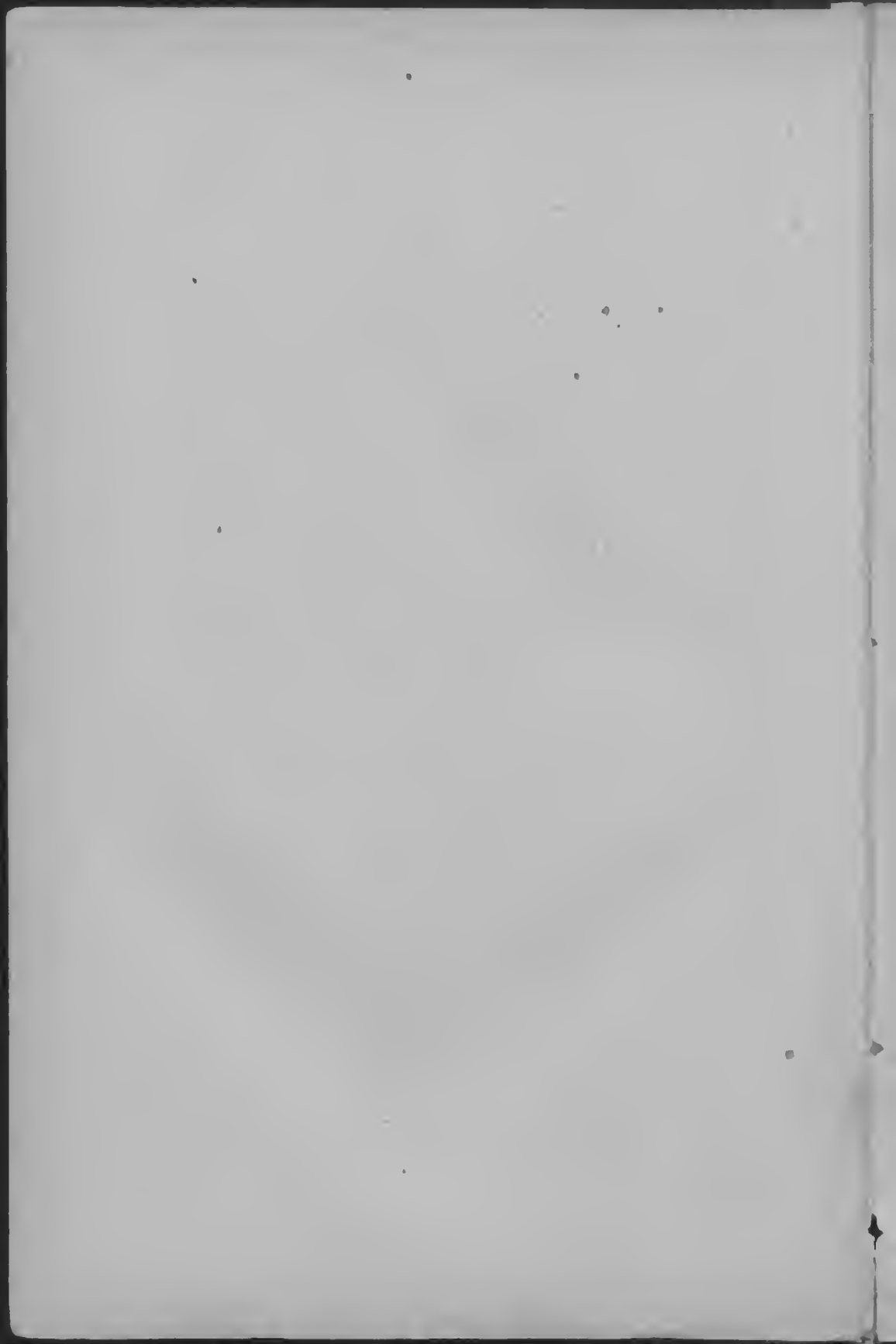
Dopiero po przeprowadzeniu się do zimowego pałacu z powodu pierwszego połogu żony, a szczególnie po swojej koronacji w maju 1896 r. Mikołaj II oswobodził się od matczynej tyranji. Wówczas szeptano, że cesarzowa-matka, aby odrazu zapobiec temu „buntowi“, w porozumieniu z odziedziczonym po Aleksandrze III ministrem dworu, hr. Woroncow-Daszkowem, postanowiła ogłosić swego syna, niby z powodu otrzymanego w Japonii ciosu szabłą po głowie, umysłowo chorym, a siebie samą regentką. Spisek został cesarzowi odkryty przez pomocnika Woroncowa, gen. Fryderyksa. Pewnem jest jedno, że w tymże 1896-ym roku Woroncow Daszkow został wydalony do Tyflisu jako namiestnik Kaukazu, Fryderyks zajął jego miejsce jako minister dworu, a cesarzowa-matka wyjechała do rodziców do Kopenhagi i dobre półtora roku stamtąd nie wracała.

Wówczas dopiero bardzo lekko, a jednak spostrzegalnie dla tak czułych, jak były u ruskich czynowników, organów wędrowych, można było wyczuć jakąś zmianę prądów, i to więcej na korzyść naszych polskich interesów niż wewnętrznych rosyjskich. Jeszcze przed słynną podróżą do Warszawy, która wywołała narodziny partji tak zwanych ugodowców, Mikołaj II zrobił wycieczkę do Kijowa. Tam przejeżdżając w niedzielę obok katolickiego kościoła, zauważył ogromny tłum modlących się na ulicy. — Dowiedział się, że w Kijowie na kilkadziesiąt tysięcy katolików jest tylko jeden kościół ich obrządku, i natychmiast kazał, by na koszt państwowy zbudowano drugi. Również dowiedział się, że właściciele ziemscy Polacy jeszcze płacą kontrybucję, nałożoną specjalnie na nich przed trzydziestu paru laty za Murawjewa. Na uroczystem przyjęciu zbliżył się do pani Marji Branickiej z Białej Cerkwi i po paru słowach przywitania wypowiedzianych głośno, formalnie szeptem i pospiesznie rzekł: „Niech pani hrabina mi powie, czy to prawda, że właściciele Polacy jeszcze płacą kontrybucję nałożoną w roku 1863?“ „Jakżeż Najjaśniejszy Panie — w tych ostatnich czasach musiałam zapłacić przeszło 50 tysięcy rubli.“ Po kilku innych słowach wypowiedzianych również głośno cesarz oddalił się i niebawem kontrybucję kazał znieść.

U nas w Wilnie ten nowy prąd dał się przedewszystkiem odczuć tem, że po śmierci gen. gubernatora Orżewskiego nieznaczono po nim tytularnego następcy. Tymczasowe spełnianie

jego funkcji poruczono generałowi Trockiemu, głównodowodzącemu okręgiem wojennym wileńskim. — Ten zaś zachował odziedziczony po Orzewskim naczelnika kancelarii Sudejkina, syna zamordowanego przez nihilistów za ostatnich czasów Aleksandra III żandarmskiego pułkownika. Lecz Sudejkin „przesolił“ i wywołał jednocześnie pierwsze od czasów Potapowa promienie światła w naszych sprawach miejscowych i moje własne pierwsze wystąpienie na arenę społeczną. I tu przechodzę do drugiego okresu, społecznie-politycznego, mego życia, t. j. do lat 1898—1914.

**KSIĘGA DRUGA**  
**ŻYCIE SPOŁECZNE I POLITYCZNE**



## Rozdział I.

General Trocki. — Serwituty. — Towarzystwo rolnicze.

Gdyby nie wszechświatowa wojna oraz rewolucja rosyjska, których głównem następstwem dla nas była niepodległość Polski, okres mego życia, zawarty między r. 1898 i 1914-ym byłby najbardziej interesującym, a dla przyszłych historyków północno-zachodnich kresów najbogatszym w cenne wspomnienia. Dziś natomiast sędzę, że to wszystko w porównaniu z okresem następującym straciło na wartości, i dlatego będę się starał uwydatnić tylko ważniejsze zdarzenia i wrażenia przeze mnie przeżyte, oraz przedstawić je zwięźle, niżbym to uczynił, gdybym to był pisał w roku 1914.

Rok 1898 wrył się w moją pamięć jako rok wogóle przełomowy mniej z powodu formalnych zdarzeń, z którymi ta data jest związana, niż dzięki zespołowi t. zw. „imponderabiliów“, które właśnie nabierają tem więcej wagi, im więcej są otoczone uciskiem a pozbawione rozgłosu. Wszystko to jednak składało się na stopniowe wzmocnienie i odrodzenie polskości wśród ludności mojego kraju i nawet w jego zewnętrznej fizjonomji.

Przedewszystkiem rozpoczął się okres łagodniejszego kursu wobec Polaków ze strony cesarza Mikołaja II. — Jako pierwszy objaw trzeba policzyć naznaczenie, w kilkanaście lat po wygnaniu biskupa wileńskiego Hryniewickiego, nowego pasterza diecezji w osobie ks. Zwierowicza. Był to pod każdym względem wzorowy kapłan, lecz zdolności umiarkowanych, małej energii, i właśnie dzięki prawości swego charakteru do swego ciężkiego stanowiska niedorósł. To też nie przeszły dwa lata, gdy w podobnych warunkach jak biskup Hryniewicki, choć w mniej brutalnej formie, został on z Wilna wydalony; nastąpiło w diecezji wileńskiej nowe interregnum aż do intronizacji ks. biskupa Roppa. — Jednakże sam ten fakt, że tron episko-

palny wileński znowu był zajęty i to przez Polaka, wystarczał dla ożywienia w kraju poczucia jednocześnie katolicyzmu i polskości.

W tym to roku zauważyłem zjawisko, które jednocześnie spostrzeżono w sąsiednich gubernjach — grodzieńskiej i mińskiej, mianowicie rodzaj obrzydzenia ludności włościańskiej do swojej wiekowej gwary i dążność, przynajmniej w stosunku z panami, do używania języka polskiego. — A ten objaw rozwijał się bez przerwy do roku 1914 i, jak mnie zapewniano, nie wstrzymał się podczas okupacji niemieckiej 1915—1918 r.; dosyć byłoby jeszcze jednego pokolenia, żeby białoruska masa włościańska miejscowa zupełnie się spolszczyła, gdyby ta ewolucja nie została w roku 1921 systematycznie zwalczona przez... Rząd Rzeczypospolitej Polskiej.

Do formalnych zdarzeń tego roku, które służyły jako zarodki wskrzeszenia życia społecznego, należały: wznowienie kwestji serwitutów pastwiskowych i założenie Towarzystwa Rolniczego wileńskiego.

Zastępujący bezterminowo generał-gubernatora po śmierci Orzewskiego generał Trocki w sprawach cywilnych absolutnie na niczem się nie rozumiał i co do nich zostawiał wolną rękę odziedzicznemu po Orzewskim już wspomnianemu naczelnikowi kancelarii Sudejkinowi oraz gubernatorowi cywilnemu, którym w tej chwili był już nieźle dla nas usposobiony, wyżej wspomniany Czepielewski. Sudejkin uważając, że serwituty włościańskie, o których w rdzennie rosyjskich gubernjach a nawet w mohylewskiej nikt pojęcia nie miał, zniechęcają rosyjskich nabywców do kupowania majątków w kraju „północno-zachodnim“, zakonspirował sobie wskrzeszenie kwestji uregulowania serwitutów, przerwanej, jak już opowiadałem, przed dwudziestu laty, w nadziei, że się mu uda, dzięki kompletnej nieznanomości przedmiotu ze strony gen. Trockiego, jednocześnie położyć jednym strzałem trzy zające: podciąć dobrobyt polskiego ziemiaństwa, przeprowadzając reformę wyłącznie kosztem właścicieli, wzbudzić wdzięczność włościan, wzbogacając ich w znacznie większej mierze, niż się uprzednio projektowało — i nakoniec oczyścić nasze majątki naszym kosztem od wstrętnego dla spodziewanych rdzennie rosyjskich nabywców ciężaru. Namówił Trockiego, aby zwołał pod svojem przewodnictwem dużą komisję dla opracowania, na proponowanych przez Sudejkina zasadach, projektu likwidacji serwitutów, któryby był wniesiony do Rady Państwa. Komisja składała się prawie wyłącznie z ludzi zajmujących ważne stanowiska oficjalne. Wówczas to z rekomendacji Adama Platara jako gubernjalnego marszałka (nie byłem jeszcze z nim poróżniony), a także z rekomendacji prezesa sądu okręgowego, przed którym niedawno osobiście broniłem i wygrałem zasadniczy proces



serwitutowy, Trocki powołał mnie do tej komisji jako rzeczoznawcę.

Ta komisja zasiadała bezustannie w ciągu kilku tygodni i wzięła zupełnie inny obrót, niż się tego spodziewał Sudejkin. — Już po odczytaniu zdradzieckiego jego projektu debaty przybrały charakter nieprzerwanego między nim a mną pojedynku. Pokazało się, że pod wojennym mundurem Trockiego krył się dość zamożny ziemianin twerskiej gubernji, który jako taki czuł się daleko bliższym obszarnika i zachowawcy Korwin-Milewskiego, niż kancelaryjnego „psiuka“ Sudejkina. Gdym zaczął obalać artykuł po artykule jego projekt, wskazując bez litości, jakie właściwie przewrotowe tendencje pod każdym się kryją, skończyło się na tem, że przed redakcją każdego artykułu projektu Trocki się zwracał do mnie ze stereotypowem pytaniem: „Ilipolicie Oskarowiewu, jakbyś pan ten artykuł zre-dagował?“ Ja mówię, a Trocki zwracając się do Sudejkina z wytkniętym w stronę jego nosa palcem: „Nu, tak i piszytlic.“

Naturalnie cały projekt w Radzie Państwa „poszedł pod sukno“ tak, jak jego ojciec z 1876 r. i późniejszy jego syn (także przeze mnie opracowany, lecz już w roli prezesa wileńskiego Towarzystwa Rolniczego) i z tych samych rzeczy-wistych przyczyn. Lecz pominimo tego praktycznego niepowodzenia, ponieważ praca tej komisji wzbudzała wśród ziemianstwa duże zainteresowanie, moje nazwisko i moja osobistość, dotychczas znana tylko w nielicznem kółku wileńskiego „beau mondu“, zyskały pewien rozgłos wśród szlachity ziemiańskiej, co się odezwalo przy następnych okolicznościach w jesieni tegoż 1898 r.

W gubernji wileńskiej był już zaprowadzony monopol spirytusowy. Ze względu na niewysokie ceny zboża, a także na bardzo dobrze zapowiadający się urodzaj kartofli, ceny, które monopol miał płacić właścicielom gorzelni, zostały na wspólnej między nimi a zarządzającym akcyzą naradzie ustalone raczej nisko. Aż tu w sam dzień św. Michała starego stylu powstał gwałtowny wiatr wschodni. O zachodzie słońca było już zero, nazajutrz rano 5 stopni R. mrozu, wieczorem ośm, następnego dnia rano dwanaście, w nocy zaś spadło pół metra śniegu, który leżał blisko tydzień, a po którym jeżdżono saniami. Ja osobiście szczęśliwie się wykręciłem. W porę zwąchałem niebezpieczeństwo, obiecałem moim parobkom szeroki kredyt wód-czany, a ich dziewczętom po pięknej chustce na głowę, i przez pierwszą noc wszystkie kopce zostały pokryte cienką, lecz dostateczną warstwą końskiego nawozu tak, że ani jedna kartofla w kopcach nie zmarzła. Natomiast u ogromnej większości gorzelników i plantatorów prawie wszystkie kopce przemarzły ze strony wschodniej do szezętu, a gdy śnieg zeszedł i można

było je odkryć (bo potem mieliśmy przeszło miesiąc bardzo łagodnej jesieni), więcej niż połowa kartofli była zepsuta.

Podniósł się ogólny jęk i z inicjatywy ruchliwego gorzelnika-rektyfikatora, Aleksandra Lubańskiego, syna wyżej wspomnianego zasłużonego Jana, zebrał się w Wilnie zjazd około siedmdziesięciu gorzelników i większych plantatorów. Ponieważ gubernjalny zarząd akcyzy niedostatecznie uwzględnił tę klęskę rolniczą, postanowiono natychmiast wysłać małą delegację do Petersburga z memorjałem, podpisanym przez wszystkich obecnych, a zredagowanym przeze mnie. Gdym go w sąsiednim pokoju układał, ktoś wśród pozostałych rzucił myśl, że gdybyśmy mieli tak jak w sąsiedniej gubernji mińskiej swoje wileńskie Towarzystwo Rolnicze, toby i obrona interesów gorzelniczych była daleko łatwiejsza. Na to generał Iwanow, wzbożacony na remontach artyleryjskich nabywca majątku Soły pod Oszmianą, skądinąd doskonały gospodarz, oświadczył, że właśnie w tej chwili możnaby pomyślnie wskrzesić projektowane przed dwudziestu laty towarzystwo (o którym wyżej pisałem), albowiem gen. Trocki, przy którym zięć gen. Iwanowa, p. Niewierowicz, służył jako starszy adjutant, świeżo powrócił z Petersburga. Miał prywatną audjencję u cesarza, który, nie mając o czym rozmawiać (przed chwilą wyszedł od niego minister rolnictwa Jermołow), zapytał, jak w jego gubernatorstwie rozwijają się towarzystwa rolnicze? — „Najjaśniejszy Panie! u mnie zupełnie ich niema.“ „To szkoda, bo Jermołow powiada, że to bardzo użyteczna instytucja.“ Kto pamięta, czem byli za owych czasów starzy służbiści w rodzaju Trockiego, domyśli się, że pocziwiąc od tej chwili sobie powtarzał: „Musi być Towarzystwo Rolnicze.“ Wszyscy postanowili, by po powrocie deputacji z Petersburga powtórnie się zebrać, a tymczasem przygotowywać grunt u starego Trockiego, ponieważ nikt nie wątpił, że cały personel Banku Ziemskiego, z Platerem na czele, będzie uważał to nowe zgrupowanie ziemiańskie jako niebezpieczną dla hegemonji bankowej konkurencję. Tak się rzeczywiście stało. Po powrocie Aleksandra Lubańskiego i jego towarzyszy ze stolicy, gdzie otrzymali zadawalniające podwyższenie monopolowej ceny spirytusu, postanowiono domagać się od gubernjalnego marszałka założenia towarzystwa rolniczego, obejmującego całą gubernję. Chociaż przewidzianej złej woli ze strony kliki bankowej nie zabrakło, to jednak gen. Trocki, a zatem i zachwiany na swoim stanowisku Sudejkin, chętnie pomagali „wolnomysłącym“. Mimo to wszystko szło jak po grudzie, a ponieważ przykład mińskiego towarzystwa, które dzielny Edward Wojniłowicz postawił na czele wszystkich podobnych stowarzyszeń w Cesarstwie, przekonywał mnie, że ta nowa instytucja może jednocześnie posłużyć naszym interesom rolniczym i stać się rzeczywiście przeciwwagą hege-

monji bankowej, która zaczynała mi, jak powiada Francuz, „leżeć do nosa“, więc postanowiłem zaprząć się do tego wozu, a byłem wówczas jeszcze dobrym koniem dyszlowym. W towarzystwie ruchliwego Adama Bogdanowicza, dobrego gospodarza w powiecie wilejskim, i gen. Iwanowa pojechaliśmy do Petersburga z tem, że nie powrócimy bez zatwierdzenia towarzystwa. — Minister rolnictwa, ten sam Jermołow, który w 1892 r. przewodniczył zjazdowi w Moskwie i o mnie nie zapomniał, życzliwie nas przyjął. Dopomógł nam także zaenry książę Michał Ogiński, który wszystkie zimy spędzał w eleganckim własnym pałacyku na Karawannej. Powróciliśmy ze stałą obietnicą, że towarzystwo będzie; a gdy było pewnem, że niepożądana forteca powstanie, zostawało bankowej „camorrze“ obsadzić ją własnymi siłami. Plater zwołał do siebie dość liczne zebranie, na którem został podpisany akt założenia towarzystwa. Chociaż to zebranie składało się prawie wyłącznie z bankowych klientów, trudno było mnie nie zaprosić. Plater wystarał się już o to, żeby w opracowanym w ministerstwie rolnictwa statucie godność prezesa towarzystwa była związana z marszałkostwem gubernjalnem i wzmocniona kilku wyjątkowymi przywilejami. Zresztą przewidywano, że jak w Mińsku, gdzie Wojniłowicz był tylko wiceprezesem, a nominalnym prezesem gubernator, tak i w Wilnie głównym pracownikiem będzie także wiceprezes, którego miano dopiero wybrać. Zaproponować na to stanowisko jednego z dygnitarzy bankowych nie odważono się; więc wyszukano bardzo mało w Wilnie znanego, lecz w swoim kółku cenionego, nieposzlakowanej zacności człowieka, Hipolita Gieczewicza, zamożnego właściciela, dobrego gospodarza, na którego wybór można było rachować. — A na kompletną jego uległość wobec już wysoko bardzo wyrosłego Platera mógł rachować sam pan hrabia marszałek. Ułożono także listę dwunastu członków rady. W tej liczbie umieszczono dla dekoracji dwóch Moskali, mianowicie wspomnianego gen. Iwanowa i jako figuranta czynownika a zarazem drobnego właściciela, p. Baturyna. — Resztę członków rady stanowili wyłącznie zwolennicy banku. O mnie i o Bogdanowiczu „zapomniano“.

Czas przechodził, a pierwszego posiedzenia jakoś nie zwoływano, choć dzięki moim i Bogdanowicza staraniom już było wiadomem, że liczba adherentów będzie wynosiła niemniej niż dwustu kilkudziesięciu.

Zrzeszywszy się z Bogdanowiczem i Iwanowem w tajny komitet „publicznego zbawienia“ i korzystając z tego, że dość niezgrabny artykuł statutu opiewał, że pierwsze ogólne zebranie zwołuje się przez prezesa lub założycieli, bez określenia ich liczby ani proporcji, postanowiliśmy, zebrawszy jeszcze podpisy różnych wolnomyślących, od siebie zwołać to pierwsze ogólne zebranie. — Gdy o tem się dowiedziano, a w ówczesnem

kochanem Wilenku nikt nie kichnął, żeby całe miasto o tem nie wiedziało, Plater skapitulował i sam zwołał zebranie w końcu listopada czy na początku grudnia do wielkiej sali świeżo otwartego hotelu Żorża.

Od roku 1862 tak licznego i przeważnie polskiego zebrania w Wilnie nie było. Panowała atmosfera jeśli nie zmartwychwstania, to rekonwalescencji społecznej. Wprawdzie przeczorny Plater napędził jako członków towarzystwa wszystkich mieszkańców miasta mniej lub więcej zalczych od Ziemskiego Banku i od jego syjamskiego brata, Banku Komercyjnego, którzy wszyscy głosowali na komendę, jednak i wieś wysłała dobry zastęp szlagonów, instynktownie grupujących się koło Adama Bogdanowicza i mnich. Główna batalja rozegrała się na tle wyboru członków rady, albowiem Hipolit Gieczewicz, pomimo zbyt zaakcentowanej uległości względem Platera, był osobiście tak szanowany i lubiany, że przyszedł dużą większością. Przewodniczący Plater nie zawahał się postawić listy swoich dwunastu kandydatów, między którymi mego nazwiska nie było. Lecz Bogdanowicz postawił moją kandydaturę, ktoś z obecnych jego; balotowano kartkami, Bogdanowicz pod naporem zwartej falangi bankowej nie dostał nawet połowy głosów, natomiast co do mnich okazała się ona beczsilną. Oczywiście między mnichmanymi bankowymi zwolennikami znalazło się niemało zdrajców, bo przeszedłem znacznie większą liczbą głosów, niż było potrzebnem. Gorliwie i ostentacyjnie agitowali na moją korzyść Michał ks. Ogiński i ordynat Tyszkiewicz, co częściowo zmniejszało skuteczność Platerowskiej niełaski. Następne walne zgromadzenie zostało naznaczone na maj, a tymczasem na pierwszych posiedzeniach zajmowano się drobnymi kwestjami organizacyjnymi.

Ponieważ w Wilnie nowa instytucja nie zarysowała się jako „polska intryga“, dwie sąsiednie gubernje z tego skorzystały, i już w ciągu tegoż 1900 r. powstały także w Kownie i Grodnie gubernjalne towarzystwa rolnicze. W każdym z tych towarzystw liczba członków wahała się od 300 do 400, między którymi było przeszło 90% Polaków.

Ponieważ postęp agronomiczny dawał się coraz więcej odczuwać i okazywało się coraz większe zapotrzebowanie narzędzi rolniczych i sztucznych nawozów, więc do pilniejszych potrzeb rolniczych należało założyć przy towarzystwie własnego składu. Tu odrazu wystąpił najaw spiskowy charakter wybrancj rady, wśród której gen. Iwanow i ja znaleźliśmy się izolowani, a we wszystkich cokolwiek ważniejszych kwestjach występowała falanga dziesięciu głosów. Na majowym zgromadzeniu ustanowiono specjalne oddziały lub komitety i podjęto przy ogólnej aprobacji myśl założenia własnego składu. Zaraz po zakończeniu walnego zgromadzenia na posiedzeniu rady ktoś przypo-

niał, że właśnie obecnie otwiera się w Poznaniu coroczna przenośna wszechniemiecka wystawa rolnicza (wandernde Austellung). Ku niemałemu mojemu zdziwieniu postanowiono wydelegować na nią właśnie mnie z poleceniem nie tylko przedstawienia szczegółowego referatu o tej wystawie dla rady i przyszłego walnego zgromadzenia, lecz także nawiązania stosunków z wystawcami na korzyść projektowanego składu towarzystwa. — Wybrałem się tego samego dnia do Poznania. Przesiadując przy najpiękniejszej pogodzie od rana do wieczora na wystawie, nie miałem czasu do nawiązania jakichkolwiek stosunków światowych ani do zwiedzenia miasta. Zresztą zdawało mi się, że ono tego nie warto, do takiego stopnia robiło wówczas wrażenie zwykłego małego prowincjonalnego miasta niemieckiego. Pod tym względem to moje wrażenie równało się temu, jakie na mnie czyniło aż do wojny 1914 r. miasto Kijów. Wówczas bowiem, kiedy nawet w najgorszych chwilach moskiewskiego ucisku, za Kochanowa i za Orzęwskiego,<sup>1</sup> Wilno robiło na każdym przyjeźdźnym wrażenie miasta polskiego, w którym się znajduje dużo Rosjan, Kijów miał charakter rosyjskiego miasta, zawierającego dużo Polaków. Tak samo było z ówczesnym Poznaniem co do charakteru niemieckiego.

Powróciwszy wprost do Łazdun, napisałem gruntowny referat o tej wystawie i przedstawiłem go na pierwszym miesięcznym posiedzeniu rady Towarzystwa Rolniczego. — Jednakże przewodniczący podtrzymany przez wszystkich obecnych oświadczył bez żadnej ceremonji, że rada nie ma czasu tym referatem się zająć, i prosił mnie złożyć go na ręce sekretarza na wypadek, gdyby się kto nim zaciekał. Naturalnie uważałem to za bardzo kiepski żart, którego natura i cel natychmiast się wyjaśniły. Szło tylko o wydalenie mnie z Wilna i zawarcie bez mojej wiedzy następnego interesiku. Egzystowały wówczas w Wilnie dwa maciupeczkie składziki narzędzi rolniczych, oba rozmiaru średniej kawiarni. Jednym zawiadywał jakiś p. Żęgałowicz na rachunek p. Ignacego Parczewskiego, największego wówczas w Wilnie aferzysty, a drugi należał do wspomnianego już Antoniego Tyszkiewicza. Naturalnie, że wobec założenia składu towarzystwa o właściwym rozmiarze, te dwa kramiki musiałyby zamknąć swoje interesa, przyczem połowa towaru

<sup>1</sup> W ostatnich czasach urzędowania Orzęwskiego, kiedy to w magazynach płacono grzywny za używanie języka polskiego, widziałem, przechodząc koło pałacu gen.-gubernatorskiego, stojący obok chodnika ekwipaż z ruską uprzążą i z brodaczem stangretem w tak zwanej podziowce, oraz wilńskiego policjanta w mundurze, a przez otwarte okno prowadził z nimi ożywioną rozmowę w białym czepcu i w białej kurtce artysta kucharz groźnego gubernatora. Mijając tych trzech „rdzennie rosyjskich“ ludzi słyszałem, że wszyscy trzej rozmawiają... po polsku.

poszłaby na stare żelazo, a same firmy straciłyby wszelką wartość. — Lecz ponieważ i Parczewski i Antoni Tyszkiewicz utrzymywali z kliką bankową najserdeczniejsze stosunki, wymyślili, za co z ich punktu widzenia niebardzo można ich winić, sprzedać swoje składy samemu towarzystwu. Otrzymali bez szczegółowej oceny po 35 000 rubli czyli razem (dla niemowlęcia towarzystwa był to dług inauguracyjny) 70 000 rubli, z których prawdziwej wartości można było rachować najwięcej dwadzieścia tysięcy, bo reszta, t. j. klientela, lokale i różne wysze z aktualności graty, nie miały dla towarzystwa żadnej wartości. I wysłano mnie do Poznania nato, żeby całą operację zakończyć bez mojej wiedzy i w mojej nieobecności. Stwierdziwszy to, momentalnie podałem moją dymisję jako członka rady i, jak wypada dymisjonowanemu ministrom, stanąłem od razu na czele opozycji, która zresztą na to tylko czekała.

Walne zgromadzenia, gromadząc zawsze bardzo wielu, bo od 150 do 250 uczestników, odbywały się przez pierwsze dwa lata po trzy, później po dwa razy do roku i były bardzo ożywione, raz dlatego, że służyły jako jedyny kran, wydzielający nabierane w ciągu trzydziestu kilku lat milczenia gazy rezonujące i opozycyjne lub zwykłe deklamatorskie, powtórę dlatego, że służyły za pyszną arenę dla walki między coraz bardziej wzrastającą w pychę „Camorrrą“ bankową i „profanum vulgus“ ziemianstwa. — Co do formy, wszystkich nas hamowało to, że debaty musiały się prowadzić wyłącznie po rosyjsku. Mieliśmy dwóch zawodowych podżegaczy w osobach pp. Kowalewskiego i Hrehorowicza, obu obdarzonych żelaznemi płucami i byczemi gardłami; byli oni już znani jako oponenci z zasady i warchoły w towarzystwie mińskim, lecz to im nie wystarczało, i niemniej gorliwie występowali na scenie wileńskiego. O tych walnych zebraniach szeroko się rozpisywała prasa warszawska i petersburski „Kraj“, wychodzący w stolicy i mniej srogo cenzurowany. Choć ograniczałem się do występów tylko w kwestjach ważniejszych, mniej dzięki formie niż staremu treningowi oratorskiemu, nabytemu kiedyś w paryskich konferencjach adwokackich, uchodziłem za „primo tenore assoluto“ tego teatru czy też szopki, jak się komu podoba. Do ożywienia tych zapasów bardzo pomagało to, że krótko przed powstaniem Towarzystwa Rolniczego została w Wilnie założona pod nagłówkiem „Północno-zachodnie Słowo“ pierwsza od trzydziestu pięciu lat gazeta niezależna. — Chociaż wydawcą był żyd, drukarz Syrkin, i cała redakcja z utalentowanym p. Radinem na czele była żydowska i czerpała swoje natchnienie od żydowsko-liberalnej kliki petersburskiej, z której wyszła potem partja „kadetów“ (konstytucyjno-demokratyczna), jednak jako opozycyjna sprzyjała tendencjom polskim i ścierpieć nie mogła Banku Ziemińskiego, fortecy niby feodalizmu, kapitalizmu, reakcji i t. d.

Gdym, nie pamiętam z jakiej okazji, pomieścił w niej krótki artykuł, odrazu mnie zaadoptowano, i aż do wskrzeszenia dopiero w 1905 roku przeze mnie samego prasy polskiej w Wilnie byłem w tem piśmie jak u siebie w domu. Z niego to oprócz ciężkich pocisków na walnych zgromadzeniach Towarzystwa Rolniczego puszczałem na bank rozmaite rakiety.

## Rozdział II.

### Walka z Bankiem Ziemskim.

Zresztą już w pierwszym roku przyszło mi wystąpić przeciw temu wszechpotężnemu bankowi w ataku frontowym. — Dokonałem dość poważnej sprzedaży lasu i ulokowałem część tego kapitału w listach zastawnych Banku Ziemskiego. W parę lat po nabyciu tych obligacyj potracono mi przy wypłacie kuponów koło trzech tysięcy rubli procentu, albowiem duża część moich obligacyj jakoby prawie momentalnie po ich wypuszczeniu już została wylosowana. Ponieważ wówczas obligacje pięcioprocentowe stały wyżej parytetu, bank na wzmocnieniu losowań, które zastępował nowymi emisjami, zarabiał po kilka procentów, a właściciel obligacji tracił i tę nadwyżkę i swój dochód, o ile odrazu nie dopilnował losowania. To mi się nie podobало. Wsadziłem nos do tej tirażowej kuchni i przekonałem się, że prawie wszystkie przepisy statutu o losowaniu były systematycznie albo wprost omijane, albo w zastosowaniu spaczono. W dodatku komisja tirażowa, która, wybrana przez akcjonariuszy z rekomendacji zarządu, miała dwa razy do roku pilnować losowania obligacyj, i której członkowie otrzymywali skromne wynagrodzenie trzystu rubli rocznie, składała się w rzeczywistości: 1) z małego urzędniczka kancelaryjnego, 2) z ciotecznego brata hrabiego-marszałka-prezesa banku, zrujnowanego ks. Cezarego Giedroycia, absolutnie ślepego, którego po korytarzach prowadził za rękę dwunastoletni chłopaczek i 3) ze starszego lokaja tegoż marszałka-prezesa. — Zaprotestowałem, a że moja pretensja została odrzucona, więc przenieśli sprawę do sądu okręgowego. — Obszedłem dobry tuzin znanych w Wilnie adwokatów, i wszyscy mi oświadczyli, że ich stosunki osobiste z dyrekcją banku nie pozwalają im występować sądownie przeciw niej. Najałem więc za kilkadziesiąt rubli skromnego żydka, tak zwanego prywatnego obrońcę, aby pilnował terminów, wręczał i odbierał papiery, i sprawę poprowadziłem osobiście tak piórem jak słowem. W pierwszej instancji przed są-



dem okręgowym, gdzie przewodniczył ten sam prezes, który mi dość dzielnie pomagał wśród komisji serwitutowej Trockiego w walce z zajadłym Sudejkinem, będąc zresztą tego dnia w szczególnej werwie, wygrałem sprawę z hałasem. Lecz gdy w kilka miesięcy stanąłem znów w apelacji, przed Izłą Sądową zmiana dekoracji. — Podczas gdy w pierwszej instancji obrońca banku pod moim naciskiem wykręcał się jak lis przed gończymi w przeciągu dwóch godzin, tu już inny obrońca zadowolnił się w kilku słowach oświadczeniem, że potwierdza swoją skargę apelacyjną. Przewodniczący po pięciu minutach przerwał mi, „bo uważa sprawę jako wszechstronnie wyjaśnioną“, sąd oddalił się do sali narad, a po kilku minutach dzwonek oznajmił, że powraca do ogłoszenia wyroku: mój żydek uradowany oświadczył mi, że podług obyczajów oznacza to, iż wyrok sądu okręgowego jest bez żadnej zmiany potwierdzony. Tymczasem Izba Sądowa ogłosiła wyjątkowo krótki i prawie nieumotywowany dekret, w którym postanowienie sądu okręgowego zmienia i moją pretensję w całości odrzuca. A wieczorem w klubie jeden z członków Izby Sądowej, który zasiadał w tej sprawie, trochę zażenowany przyznał mi się, że izba sądowa otrzymała z ministerjum sprawiedliwości formalny rozkaz, aby mnie zerżnęła, a to dlatego, że minister finansów, zbadawszy sprawę, przekonał się, że wykazane przeze mnie nadużycia praktykują się w Banku Ziemskim wileńskim od tak dawna i na tak grubą sumę, że przyznanie mi słuszności, które pociągnęłoby automatycznie za sobą zwrot nieprawidłowo odliczonych przez dziesięć lat kuponów wszystkim posiadaczom wylosowanych obligacyj, miałoby taki skutek: z jednej strony perspektywę straty niespełna trzech tysięcy rubli dla bardzo zamożnego, za jakiego uchodziłem człowieka, a z drugiej straty około trzech milionów dla instytucji kredytowej, obejmującej rejon siedmiu gubernij, która z tego powodu mogłaby nawet zbankrutować.

Naturalnie ten proces miał następne skutki: 1) Zamknął przede mną nie tylko dom p. hrabiego - marszałka - prezesa, lecz także i wszystkich w jego orbicie obracających się salonów tak, że już mnie nikt nie prosił „na kolacje z Platerem“, cenione daleko wyżej niż „kolacje z szampanem“. 2) Rozniósł moją sławę aż do granic rejonu banku wileńskiego i wzniosł mnie na piedestał jakiegoś nieustraszonego Leonidasa. To się działo mniej więcej w środku roku 1901. Lecz moja zemsta, i to straszna, była już nie za górami, a nad tym przepotężnym bankiem zawisło groźne mane — tekel — fares —, na głowach trzech króli, jak nazywano trzech dyrektorów, Kończę, Montwiłła i Bortkiewicza (K M B), korony były zachwiane.

Jak mówiłem wyżej, Józef Montwiłł stopniowo już nadał Bankowi Ziemskiemu charakter czysto komercyjnej entreprizy.

Sam w sposobie życia nader skromny i dobroczynny, doprowadził różnemi figlami roczne wynagrodzenie dyrektorów od 6 000 rubli, któremi się kontentował poczciwy Jan Lubański, do przeszło 18 000 rocznie, a to pod naciskiem Platera, który (trzeba mu to przyznać) prowadził dom prawdziwie marszałkowski, a z buty wielkopańskiej nie chciał pobierać pensji rządowej, duże swe majątki zaniedbywał i ciągle potrzebował pieniędzy. A główna manipulacja polegała na tem, że bank zaczął rozdawać pożyczki więcej właścicielom nieruchomości miastowych niż właścicielom ziemskim. Wybuchła we wszystkich miastach w rejonie tych siedmiu gubernij, głównie w samym Wilnie, Białymstoku, Mińsku, Dynaburgu, nawet w Pskowie, prawdziwa epidemia budownictwa. Ludzie, przeważnie żydki, kupowali albo gołe place, albo walące się chałupy, otrzymywali na nie wygórowane pożyczki, za te pieniądze zakładali fundamenta, przy każdym wyprowadzonym pięttrze pożyczka się powiększała, i wkońcu prawdziwi spryciarze dochodzili do tego, że nie brali pożyczki dla budowania domów, lecz budowali dla otrzymania pożyczki, poczem się wszystkiego wyrzekali. — W ciągu tego 1901 r. jakby na komendę kilkuset właścicieli takich domów nie zapłaciło pierwszej i drugiej raty, domy zostały wystawione na pierwszą licytację, a potem na drugą, lecz nie znalazły nabywców, — i blisko trzysta domów w rozmaitych miastach zostałoby według statutów własnością banku.

W dodatku jakby na szczęście dla kata bankowego, jakini się stałem, podobne krachy i to w większym nawet rozmiarze, zachwyciły banki ziemskie w Charkowie, we Lwowie, nawet w Magdeburgu nad Łabą. Zachwiał się kurs akcji i zewsząd to akcjonariusze, to właściciele listów zastawnych, to dłużnicy bankowi, zaczęli wznosić ręce i wołać o pomstę do... Leonidasa Milewskiego. Albowiem już parę tygodni przed zapowiedzianem na 21 stycznia 1902 r. dorocznem walnem zgromadzeniem akcjonariuszy gazeta „Siewierozapadnoje Słowo“ codziennie gorliwie drukowała reklamacje rozmaitych, rzeczywiście lub mniemanie, pokrzywdzonych i zapowiadała, jako coś szczególnie sensacyjnego, moje wystąpienie na tem zgromadzeniu. Dzięki temu zwracali się do mnie osobiście lub piśmiennie nie tylko pokrzywdzeni, lecz i niemało fałszywych braci, którzy, zależni od bankowej kliki lub gotowi jej jawnie pochwlebiać, radzi byli skrycie uzbrojony w taki materiał obwiniający, jakiegoby mi pozazdrościł niejeden prokurator.

Sala była przepelniona po brzegi. Przyszedłszy zawczasu, zająłem miejsce tak, aby móc zwracać się jednocześnie do prezydium i zarządu po mojej lewej stronie, a do mego audytorjum po prawej. — Punktualnie o 8-ej wieczorem, przy atmosferze

jawnie naładowanej prochem, przez ciasne przejście między piecem a mną przedefiniował jak orszak koni wyścigowych przed „Derby“ „Jaśnie Wielmożny Zarząd“. Plater, który jeszcze się ze mną choć lodowało witał, zatrzymał się przede mną i tak, jak niegdyś pani Du Barry w 1794-ym roku przed gilotyną próbowała rozczulić kąt, swoim pamiętnym głosem nosowym (jak wiadomo kwintesencja arystokratycznego stylu) rzekł mi: „Panie Hipolicie, ja jestem jednym z najstarszych przyjaciół pańskiego ojca i pana pamiętam od czasów, gdyś jeszcze konicę koszulki w zębach trzymał. Dlaczego mnie pan tak wszędzie niemiłosiernie obgaduje?“ Ja na to: „Pan Marszałek się myli, owszem bardzo często pana bronię twierdząc, że gdyby mnie w ciągu trzydziestu lat wszyscy tak kadzidło łamali na nosie jak panu, tobym był daleko gorszy.“ Więcej odtąd aż do mego wstąpienia do Rady Państwa nie poznawaliśmy się. Po bardzo niedyplomatycznym wyborze tegoż Platera na przewodniczącego zebrania, pierwszy zabrałem głos. Moja mowa trwała dobrze przeszło godzinę, została nazajutrz dosłownie wydrukowana w „Siewierozapadnom Słowie“. Po wyjaśnieniu krytycznego stanu, w którym się znajduje bank dzięki krachowi dłużników miastowych, opierałem moją argumentację i moje oskarżenie na tem, że z każdym rokiem, od śmierci ś. p. Jana Lubańskiego, lejtmotiwem działalności banku jest jedynie powiększenie tantjem zarządu i komisji szacunkowej na koszt akcjonariuszy, dłużników i posiadaczy listów zastawnych. Ponicważ te tantjemy obrachowuje się nie z rozdanej oddzielnym akcjonariuszom dywidendy, lecz z całości dochodów bez obrachowania strat na sprzedanych majątnościach, które spisuje się z kapitału rezerwowego, więc doszło do tego absurdu, że przy jednokowej i dziś i przed piętnastu laty liczbie osób, dzielących te tantjemy, dywidenda akcjonariuszy w porównaniu z epoką p. Jana Lubańskiego zmniejszyła się o 25%, a wynagrodzenie każdego z dyrektorów poosobno wzrosło przez ten czas o 200%. — Ta część mojej filipiki, w gruncie najboleśniejsza, była tak dobitnie udowodniona, że została bez wszelkiej odpowiedzi ze strony licznych obrońców zarządu. Drugim bardzo dotkliwym dla zarządu zarzutem, było niemiłosierne i mocno zadokumentowane wyjaśnienie prawdziwej natury pewnej operacyjki, dokonanej w ostatnich dwóch tygodniach przed ogólnem zgromadzeniem, którą mi detalicznie wytłómaczyli moi dobrowolni denuncjatorowie. Miała szczególnie anormalny charakter i bodaj, że na Zachodzie mogłaby nawet pociągnąć jej sprawców na ławę oskarżonych. Mianowicie dziewiątego stycznia, t. j. dwa naście dni przed zebraniem, odbyły się targi na domy, już raz wystawione na licytację i nie kupione: gdyby i teraz nie znalazły nabywców, to podług statutu przeszłyby na własność banku, a ten byłby obowiązany rozsprzedać je po bądź jakiej

cenie w ciągu roku. Tymczasem na tych targach wystąpiła jakaś dotychczas na tym terenie nieznana spółka Huszcza i Malinowski, która kupiła za dług hipoteczny dwieście kilkadziesiąt domów, położonych w rozmaitych miastach. Dowiedziałem się, że Huszcza i Malinowski, właściciele technicznego biura, byli właściwie figurantami, a głównie zainteresowanymi kapitałistami rodzona siostrzenica jednego z dyrektorów p. Pawła Kończy i dwaj stryjeczni bracia drugiego, mianowicie samego Platera: a mogli to bezpiecznie zrobić dlatego, że do warunków sprzedaży w ostatniej chwili dodano paragraf, także w ostatniej chwili przez ministerstwo finansów zatwierdzony, który pozwalał zarządowi banku według swego widzimisię już po kupnie zmniejszyć dług hipoteczny do rozmiarów „pozwalających nabywcy spłacać roczną ratę z amortyzacją włącznie z czystego dochodu nabytej nieruchomości“. To jest właściwie stać się po upływie amortyzacyjnego terminu właścicielem tej nieruchomości bez wydatku jednej kopiejki; a że ta niestychana ulga zależała wyłącznie od widzimisię zarządu, więc konkurencja kupców niezapewnionych o jego protekcji była obsolutnie usunięta. To pozwoliło mi bez zaprzeczenia zaproponować dla tej spółki następną firmę: bratniosiostrzane towarzystwo dla wykorzystania kosztem akcjonariuszy banku błędów i nadużyć, popełnionych przez jego zarząd.

Naturalnie naszpikowałem moją mowę kilku przykładami fikcyjnego charakteru prawideł bankowych co do estymacji za-hipotekowanych nieruchomości, która prowadziła do tego, że podług tego, czy jeden z dyrektorów chciał pod ręką nabyć za-hipotekowany majątek (cytowany wyżej przykład z majątkiem Łuczaj hr. Mostowskiego), czy też jeden z jego faworytów chciał się korzystnie pozbyć niedogodnej nieruchomości (wypadek z domem kupionym przez zięcia ś. p. Lubańskiego, p. Kaszyca, za kilkanaście tysięcy rubli, natychmiast założonym w banku za trzydzieści kilka i bankowi zostawionym), maksymalna estymacja mogła się równać albo szóstej części prawdziwej wartości sprzedanej nieruchomości, albo przewyższała tę wartość potrójnie.

Naturalnie posypały się odpowiedzi wyłącznie ze strony członka zarządu Montwiłła i adwokatów bankowych, mecenasów Wróblewskiego i Sumoroka. Ale te odpowiedzi, prawie wyłącznie osobistego charakteru, zupełnie nie osłabiły wrażenia mojej filipiki, zbyt mocno na niezaprzeczonych faktach opartej. Montwiłłowi, który rozwlekłe rozwijał myśl, że p. Milewskiemu, „który nic nie robi, łatwo się nie mylić i drugich krytykować“, sucho odpowiedziałem, że ja w moim zawodzie rolniczym owszem dużo robię i dużo popełniam omyłek, lecz sam za nie płacę, a majątku cudzym kosztem na nich nie buduję. — Wróblewskiemu, który jako wyspecjalizowany w sprawach krymi-

nalnych adwokat oburzał się na mój brak zaufania do cnotliwego zarządu, odrzekłem, że idzie tu wyłącznie o zagadnienie ekonomiczne, a z różnych gałęzi nauk ekonomicznych, które wszystkie znam, jedna mi jest nieznajoma, którą pozostawiam p. Wróblewskiemu, jest to ekonomja uczuciowa.

Ponieważ zgodnie ze statutem potrzebne było drugie zebranie, wyznaczone na dwunastego lutego tegoż roku, żadnych konkretnych wniosków nie postawiłem, a wniosek Bogdanowicza o naznaczenie rewizji ministerjalnej został naturalnie ogromną większością odrzucony. Dwa tygodnie później (12. II. 1902 r.) miało miejsce dla zatwierdzenia nowych wniosków zarządu drugie, osłateczne zebranie, na którym Plater miał ostrożność się nie zjawić, lecz przewodniczył jakiś wybrany, zresztą bezbarwny akcjonariusz, a był obecnym kontroler rządowy p. Dubrawin (pół karła, garbaty). Powaga jego cierpiała bardzo na tem, co każdemu było wiadomem, iż dawszy się koptować jednocześnie na dyrektora, niezależnie od dość skromnej pensji z ministerstwa finansów, otrzymywał od zarządu równe z dyrektorami tantjemy. Zasiadał przy stole w mundurze ogólno-urzędniczym (t. zw. vice-mundur). Chcąc się podliznąć swoim hojnym chlebobdawcom i ulegając dopiero wówczas ledwie zaczynającemu słabnąć, a od czasów Murawjewa (40 lat!) niezachwianemu przekonaniu o naturalnem zwierchnictwie wszelkiego Rosjanina nad „polaczyszką“, ten niepoczesny garbuś „zagalopował się“ i tak, jak przed 20-tu laty biedny hr. Zubow z bratem Ignacym, przerwał moją, bardzo dla zarządu przykrą, lecz co do formy poprawną mowę słowami: „Uprowadzam pana, że kiedy pan nie zmiękcy swojej mowy, to panu głos odbiorę, albo nawet z sali wydale.“ Lecz jak mówią Moskale: „Nie na swojego popadł.“ Spokojnie, lecz bardzo twardo patrząc mu w oczy, odrzekłem: „To ja pana powołuję do porządku: mnie, a nie panu przewodniczący dał prawo głosu, i pan mnie nie wyprowadzisz, bo nosisz mundur urzędnika państwowego, a nie liberję bankowego woźnego. Przedłużam mowę.“ Garbuś ani pisnął, i co najlepsze, gdy po kilku dniach spotkaliśmy się przed drzwiami banku, najuprzejmiej mi się pokłonił.

Wiecznie się będzie sprawdzał francuski wiersz XVI-go wieku:

„Oignez vilain, il vous poindra,  
Poignez vilain, il vous oindra.“<sup>1</sup>

Na tem zebraniu już wystąpiłem z trzema wnioskami: 1) żeby był cofnięty warunek, pozwalający bankowi według swego widzimisię zniżać dług nabywcom zlicytowanych nieru-

<sup>1</sup> Poglądź chama, on cię szturchnie, szturchnij chama, to cię pogłodzi.

chomości, 2) aby były zmniejszone progresywne, według czasu opóźnienia w opłacie procentów, grzywny, 3) aby było postanowione dla tantjem zarządu maximum 12 000.— rb. dla dyrektorów, a 6 000.— rb. dla członków komisji szacunkowej, a nadwyżka rozdana urzędnikom. Naturalnie — „dla honoru“ — wszystkie trzy wnioski zostały odrzucone. Lecz to było zaiste Pyrrusowe zwycięstwo.

Te moje wystąpienia 21 stycznia i 12 lutego zrobiły w całym naszym kraju nadspodziewane wrażenie.

„Siewierozapadnoje Słowo“ zebrało w dość grubą broszurę wszystkie mowy i polemiki na jego własnych szpaltach wydrukowane i parę tysięcy egzemplarzy zostało momentalnie rozchwytyanych. Odczytałem teraz tę broszurę, której egzemplarz udało mi się jakoś wyratować, i dziś, kiedy jak zwykle stare niedołęgi stał się „dobrym“ człowiekiem, muszę się przyznać do ciężkich wyrzutów sumienia przed ś. p. hr. Dinde, Kaspresem, Melchiorsem i Baltazarem. Ależ ich trzepałem, trzepałem! A co oni właściwie zrobili? Wszędzie, gdzie mogli, trochę „naskrobali“. Ależ to były czasy ohydneho przekupstwa, łapownictwa, wszystkich (jak wiadomo) z despotyzmem związanych przywar. Mimo to moje ówczesne ofiary, choć skrobali, rozdawali nam, baranom akcjonariuszom, do 1914 roku na jedną akcję pierwotnie 250 rublową po 40 rubli złotych rocznej dywidendy.

Dodam, że wkońcu te niby rekiny mało skorzystały na swojej skrobaninie lub nawet do niej dopłaciły. Melchior-Montwiłł prawie wszystko, co naskrobał, wpakował do swojej filantropji; Kasper-Kończal — do przerobienia swoich Szeszoł (dziś w Kowieńszczyźnie) w cacko gospodarcze. Nawet Baltazar-Bortkiewicz, jak opowiem dalej, dosypał do składu Towarzystwa Rolniczego 45 000 rubli. A co do hrabiego Dinde, to mocno przypłacił do swojej skrobaniny. Dali się skusić (razem z Lubaińskim i Zubowem) za marne 3 000 rubli rocznych nominalnym tytułem członków zarządu Banku Komercyjnego, założonego jednocześnie z Bankiem Ziemskim jako jego ściek. Prawdziwy gospodarz, Niemiec Goldman, puścił się na nicostrożną i przeciwstatutową spekulację, na zniżkę papierowego rubla, strwonił na niej cały własny fundusz i prawie cały kapitał banku. Członkowie zarządu pokryli stosownie do ówczesnej etyki (głupiej, głupiej, głupiej!) straty banku z własnych funduszy, jedni w gotówce, inni w corocznie odnawianych wekslach; wkońcu spadkobiercy hr. Dinde, wdowa i synowie, kosztem sprzedaży jego akcji i pałacu na Wielkiej ulicy, wnieśli Bankowi Komercyjnemu całych czterysta tysięcy rubli odszkodowania.

A dziś, kiedy dzięki zasadom swobody, równości i braterstwa dożyliśmy związanej z niemi (jak wiadomo) cnoty republikańskiej i nieskażoności, mamy takie towarzystwa akcyjne, które zatrudniają setki urzędników, tysiące robotników i których dy-

rektorowie przeżywają po kilka, nawet kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie... a akcjonariusze sprzedają swoje akcje na giełdzie po kilkadziesiąt groszy za sztukę... i nikt zarządów nie trzepie!

Naprawdę czuję się przy tem wspomnieniu jak człowiek, który srogo wybażował jakiegoś malca za to... że zjadł w cukierni jedno zbytne ciastko.

Pomimo odrzucenia moich wniosków na zebraniu nacisk opinii był tak silny, że wszystkie moje postulaty zostały i to z dodatkami przeprowadzone przez sam zarząd w ciągu następnego roku. Bratnio-siostrzana spółka została rozwiązana, a na następnem walnem zgromadzeniu uchwalono nawet najboleśniejszy mój postulat, t. j. redukcję tantjem zarządu bankowego do wskazanego maximum, dwunastu i sześciu tysięcy rubli.

Jeśli się dłużej zatrzymałem na tych dwóch epizodach mojej kariery społecznej, to dlatego, że na tych dwóch między sobą związanych trampolinach, rolniczej i bankowej, właściwie wyrósł ten dotychczas dla mnie niezupełnie pojęty wpływ, którym się cieszyłem wśród naszej wileńskiej szlachty ziemiańskiej w latach 1900—1914. Muszę przyznać, że podług starych tradycji wszystkiego, literalnie, mi do tego brakowało. Miałem w Wilnie dla komfortu własne mieszkanie, ale żyjąc albo w Ładzunach albo zagranicą lub później w Petersburgu, nie prowadziłem otwartego domu i gardel moich zwolenników nawet herbata nie zalewałem. — Brakowało mi także fizycznych właściwości klasycznego „społecznika“. Wzrost ledwie średni (166 ctm.), figura szczupła, sucha; ani imponującego brzucha, ani nawet poważnej, gałkowatej łysiny nie miałem; a głos, jeśli dochodził do końca dużej sali, to tylko dzięki starannie wyrobionej jeszcze w młodości dykcji. — Wkońcu między ludźmi, nie umiejącymi żyć bez towarzystwa i koleżeństwa, byłem dzięki mojej smutnej, razem pracowitej i chorobliwej młodości, typowym samotnikiem. — Wykorzeniony Litwin lub przeflancowany Francuz, nie znałem w całym kraju prócz krewnych dziesięciu ludzi, z którymi byłem na „ty“.

A jednak w ciągu piętnastu lat ta kochana (Bóg zapłać) szlachta wileńska szła za mną zwartym orszakiem, wierzyła mi i podtrzymywała. Dlaczego? Chyba tylko dlatego, że czystym trafem okazałem się „stosownym człowiekiem w stosownej chwili“ i trafem skorzystałem z tak zw. momentu psychologicznego.

Od 1865 roku do mniej więcej 1900 duch tej wileńskiej szlachty ziemiańskiej uległ był strasznej depresji. Po ciężkich stratach i ofiarach lat 1863—1865 doszła ona pod trzydziesto-

kilkoletnim uciskiem do usposobienia owego Sieyes'a, który zapytany o to, co robił podczas terroru 1793—1795, odpowiadał: „j'ai vécu.“ Nie używała nawet tej broni, którą nieprzyjacieli jej pozostawił,<sup>1</sup> i apatycznie oddawała się „niesprzeciwianiu się złemu“. Aż około lat 1898—1900 przeszedł, jak już mówiłem, przez to społeczeństwo jakiś dreszcz przebudzenia, i poczuło ono na dowód powrotu do życia potrzebę... no, poprostu pokazania języka. Ja zostałam tym emblematycznym organem. Wzięto mnie i wystawiono przed moskiewskimi lub bankowymi gnębiicielami: Macie, psiakrew.

Tu poczucie sprawiedliwości wywołuje jedno wyznanie. Wogóle nietylko nie byłem nigdy feministą, lecz nawet dzisiaj—tak zwane „chłopczyce“ są dla mnie szczególnie wstrętne. Ale „każdemu swoje.“ Te młode panienki, o których pisałem wyżej pod datą 1865 roku, wychowane prawie wyłącznie na francuszczyźnie, mówiły polszczyzną zapożyczoną od pokojówek, nie po polsku nie czytały, o historii naszego narodu wiedziały mniej niż o rzymskiej. Gdy jednak zaczęto niemiłosiernie dusić ich narodowość i wiarę, bez propagandy i agitacji, pojedynczo wszystkie te panieneczki, których ostatki dziś, jak moja siostra, są 80-letnimi staruszkami, przerobiły się na zjadłe bojowniczkii polskości. Jużto korzystając, mimo jakich trudności!, z kilku tajnych pensjonatów, co kilka miesięcy zmieniających mieszkanie (pod tym względem dwie siostry panny Mierzejewskie oddały nieocenione usługi), jużto podług środków sprowadzając nauczycielki z Kongresówki lub Galicji, prenumerując warszawskie pisma i nabywając polskie książki, te dzielne kobiety znają-

---

<sup>1</sup> A już od czasów Potapowa można było odgryzać się, często skutecznie. Oto jeden z licznych przykładów: Kolo 1890 r. miałem jako sędziego pokoju jakiegoś Konorowa, łapownika, bandytę, którego żona, niepiśmienna chłopka, namawiała włościan, aby wszczynali głupie procesy, i brata je „na akord.“ Na prośbę sąsiadów udałem się do wspomnianego prezesa izby sądowej Stodolskiego. On mnie ofuknął: „Sędziego K. uważam za wzorowego.“ „Panie prezesie, wierzę, że jego papiery są wzorowe. Lecz cóż, jeśli u tych papierach zeznania świadków brzmią bialo, a były składane czarno?“ — „W takim razie on godziny na miejscu nie zostanie, lecz pan musi to dowieść.“ „Dowiodę!“ Nająłem zawodowego krętacza, który cały miesiąc podsłuchiwał sprawy, spisywał swój prawdziwy protokół, kupował od głodnego „pismowoditela“ kopje oficjalnych protokółów i wręczył mi jakiś tuzin „ananasów“ sądowych, które oddałem Stodolskiemu. Ten pojechał na miejsce, sprawdził osobiście, we dwie godziny sprzątnął bandytę i zaprosił mnie na uroczyste posiedzenie zjazdu sędziów pokoju, na którym wystosował do mnie mowę na temat mego dobrego czynu obywatelskiego, kończąc słowami: „Wierzę pan, że liczni wyżsi przedstawiciele władzy gorącoby pragnęli wykończenia nadużycia, lecz o nich nie wiedza, bo publiczność wszystko znosi i często nawet broni winowajców ze strachu przed ich zemstą.“



dowały sposób nauczyć swoje córki tego, czego same nie umiały. Oprócz tego na wsi, dzięki najrozmaitszym figlom i łapówkom, prawie wszystkie utrzymywały polsko-katolickie szkółki dla swojej czeladzi i bliższych włościan. Im to, daleko więcej niż mężczyznom, trzeba przyznać zasługę, że w 1900 r. płomyk polskości na Kresach mógł znowu się rozniecić. Cześć tym zacnym mrówkom!

---

### Rozdział III.

Książę Mirski, hr. Pahlen, ks. biskup v. Ropp.

Jednocześnie z temi rolniczo-bankowymi walkami zaszły tak na dole, t. j. w moim oszmiańskim powiecie, jak pośrodku, czyli w Wilnie, i na samym wierzchu, czyli w stolicy, znaczne zmiany personalne, odpowiadające zmianom prądów, wszystkie w kierunku odświeżenia powietrza. Marszałkiem szlachty oszmiańskiej został mianowany młody hr. Tatiszczew, były adjutant gen. Trockiego, człowiek zdolny, porządny, ambitny, który, gdyby śmierć przedwczesna nie przerwała jego kariery, niezawodnie doszedłby był do najwyższych szczebli. Zaraz po instalacji przyjechał do mnie do Łazdun i przez kilka dni starał się ode mnie dowiedzieć się o stanie rzeczy w powiecie, o potrzebach ziemiaństwa, elementach społecznych, na których mógłby się opierać, i t. p. Wnet też zaprzyjaźniliśmy się.

Prawie jednocześnie gen. Trocki, już siedmdziesięcioletni, został „zdany do archiwum“. Powstał znowu projekt całkowitego skasowania generał-gubernatorstwa. Lecz ponieważ Wilno było zawsze uważane za rodzaj półstolicy, nie wypadało zostawiać tego ważnego punktu podrzędnej figurze, jaką był gubernator Czepielewski. Posłano na jego miejsce generał-lejtnanta Freze, który na tem stanowisku okazał się z gruntu zacnym, życzliwym, lecz mało doświadczonym gospodarzem gubernji. To też po upływie niespełna roku znalazł się mu jakąś synekurę i znowu wskrzeszono urząd gen.-gubernatora, który objął generał książę Piotr Światopołk-Mirski, przeznaczony do odegrania w cztery lata później krótkiej lecz pierwszorzędnej roli. Należał do autentycznej rodziny Rurykowiczów, oddawna spolszczonej, ale znów zruszczalcj w osobie jego dziadka. Był synem jednego z dwóch braci, wsławionych podczas wojny turckiej 1877 r., dobrze i bogato ożenionych w Petersburgu, choć obydwaj pierwsze klasy przeszli w paryskiej szkole emigranczej w Batignolles. Ojciec ich, emigrant 1831 r., człowiek awanturniczego charakteru, w pierwszych latach po zajęciu przez

Francuzów Algeru, puścił się tam na próby kolonizacyjne, nabroił rządowi francuskiemu przez jakąś niedorzeczną propagandę niepodległościową między Arabami, a gdy odesłany zpowrotem do Francji nie znalazł sobie zajęcia i cierpiał głód, przypomniał sobie, że jest Rurykowiczem, przyciągnął się jakoś do prusko-rosyjskiej granicy i zdał się na łaskę i niełaskę Mikołaja I. Ten dwóch chłopców, dwunasto i czternastoletniego, oddał do korpusu paziów i stosownie do woli ojca przeprowadził na prawosławie. Samcego zaś ojca jako niebezpieczne stworzenie zainternował z przyzwoitą pensyjką gdzieś na wschodzie, gdzie życie zakończył. Obaj młodzi emigranciki, przystojni i sprytni, zrobili w gwardji karierę, odznaczyli się rzeczywiście na Bałkanach i należeli już do petersburskiej arystokracji.

Nasz książę Piotr był człowiekiem mającym czterdzieści cztery lata, wyglądającym jednak prawie na sześćdziesiąt, chorowitym, ale bardzo przyjemnego i sympatycznego układu. Trzymał się metody „wieszania przez namowę” (le guillotinée par persuasion) i zaraz zajął się zaokrągleniem wszystkich węglów i smarowaniem wazeliną wszystkich mechanizmów administracyjnych. — Szczególnie gorliwie zastosowywał sposób, wówczas jeszcze zaniedbany a obecnie przez Rzeczpospolitą polską udoskonalony, wykorzenienia polskości na kresach przy pomocy elementów tubylczych, białoruskiego, litewskiego, czy też rusińskiego. Wyszukał sobie w tym celu skutecznego sprzymierzeńca w osobie ks. biskupa barona Edwarda von Ropp, gorliwego katolika i wzorowego kapłana, lecz niepolskiego pochodzenia, a szczególnie usposobienia. Mirskiemu właściwie zawdzięczamy pierwsze zarodki kwestji litewskiej. On to pierwszy wskutek, niestety, niezręcznych starań hr. Aleksandra Tyszkiewicza z Kretyngi, który obecnie opłacił swoją pogoń za popularnością utratą całego ogromnego swego i żony majątków, pozwoilił na drukowanie w kraju książek lub pism w języku litewskim szryftem polskim, zamiast dotychczas obowiązkowego szryftu rosyjskiego. Dzięki temu już w cztery lata później cała Litwa rdzenna była zalana bibułą agitacyjną, specjalnie antypolską.

Na wileńskiego gubernatora cywilnego sprowadził Mirski z Warszawy, gdzie był dość długi czas lubianym wicegubernatorem, hr. Konstantego von der Pahlen, drugiego syna słynnego ministra sprawiedliwości.

Nakoniec w samym Petersburgu, gdzie rozpoczęła się nowa serja mordów politycznych, po zamordowaniu ministra oświaty Bogolepowa, został w samym westibulu Rady Państwa zastrzelony minister spraw wewnętrznych Sipiagin i zastąpiony wyżej wspomnianym Wacławem von Plehwe. Rozpoczęła się prawie natychmiast wojna na noże o decydujący wpływ między nowym ministrem, mającym w ręku całą policję polityczną i apa-

rat szpiegowski, t. j. najskuteczniejszy sposób teroryzowania biednego monarchy, i wszechmocnym dotychczas ministrem finansów Wittem, który dzięki dwóm ogromnym powodzeniom, wskrzeszeniu waluty złotowej i zaprowadzeniu monopolu wódczanego, oraz jako twórca syberyjskiej kolei żelaznej, uważał siebie za niezbędnego i przez to nieświadomie wzbudzał do siebie coraz głębszą niechęć cesarza. Ten, jak wszyscy ludzie słabi, zatem skryci, i potrzebował ludzi wybitnych i nie mógł znieść ich wyższości.

Już wisiało w powietrzu przekonanie, że „trzeba coś zrobić“ dla zaspokojenia nurtujących w całym społeczeństwie rosyjskiem dążeń do działalności społecznej, i myślano o ogromnej ankiecie co do miejscowych potrzeb rolnictwa. — Właściwie nie należało to ani do resortu Plehwego jako ministra spraw wewnętrznych, ani Wittego jako ministra finansów, lecz do ministra rolnictwa i dóbr państwa, Jermołowa. Atoli skromny ten wół roboczy, jakim był Jermołow, musiał zostać zgnieciony między dwoma bykami bojowymi, jakimi byli i Witte i Plehwe.

Pierwszemu udało się zagarnąć cały ten instrument w prosty i zupełnie biurokratyczny sposób przez dodanie stosownego przymiotnika. Postanowiono rozpocząć wszechpaństwową ankietę nie o potrzebach rolnictwa, lecz „o potrzebach rolniczego przemysłu.“ Ponieważ zaś oddzielnego ministerstwa przemysłu i handlu jeszcze nie było, a odpowiednie dwa departamenty wchodziły w skład ministerstwa finansów, więc obermaszynista musiał być koniecznie Witte i, jak powiadali Moskał, „sprawa w czapce“. Po całym państwie powstały odpowiednie komitety powiatowe, złożone przeważnie z ziemian i paru wójtów gminnych, pod przewodnictwem marszałka szlachty. Referaty komitetów powiatowych miały być skoncentrowane w komitetach gubernjalnych pod przewodnictwem gubernatorów, a stamtąd skierowane do Petersburga do jakiejś wszechpaństwowej komisji, któraby mniej więcej przypomniała wielką komisję Katarzyny II.

Naturalnie Tatiszczew zaprosił mnie do swej komisji oszmiańskiej i opierał się na mnie jak na prawej ręce. Podzieliwszy zebranie na podkomisje, wypchnął mnie na prezesa najważniejszej, t. j. komisji redakcyjnej. Tu powstała trudność: Marszałkom było poruczone, żeby nie dopuszczali do żadnych wniosków ani debatów charakteru politycznego. Ja zaś na pierwszym posiedzeniu stanowczo oświadczyłem, że nie znajduję sposobu wyjaśnienia usterek miejscowego rolnictwa bez wzmianki o trudnościach, którym podlega w jakiejby nie bądź formie przejście własności ziemskiej z rąk do rąk t. j. właściwie ukazom 10 grudnia 1865 r. i 5 grudnia 1887 r. Nietylko Tatiszczew lecz i gen. Iwanow, rusyfikator z przekonania ale dzielny rolnik, zupełnie podzielali moje zdanie. Jak jednakże

wyleźć bez świętokradztwa z zastrzeżenia przeciw polityce? Trzeba było wynaleźć, jak później w czasie wojny „sok winogronowy“ zamiast wina, a teraz „przemysł rolniczy“ zamiast rolnictwa, odpowiedni fortel słowny. Stało na tem, że po zamknięciu naszych debatów i przed przystąpieniem do oficjalnego referatu, ja wniosę od siebie i odpowiadając tylko za swoją osobę, projekt referatu, w którym swobodnie sobie rozciartkuję grudniowe ukazy, podpiszę ten projekt wyłącznie mojem nazwiskiem, a komisja przywłaszczywszy sobie mój referat jako swój własny, lecz bez bluźnierczego ustępu, mój projekt razem z bluźnierstwem dołączy jako załącznik; „sok winogronowy“ — został wynaleziony, a nawet przeszedł w wyższych instancjach bez opozycji. Dzięki licznym związkom Tatiszczewa, Iwanowa i paru innych Moskali, oraz niedyskrecjom prasowym rozeszło się po całej Rosji, że w Oszmianie opracowuje się coś wyjątkowo mądrego i z masy powiatów posypały się prośby do oszmiańskiego komitetu, o jak najprędze zakomunikowanie naszego referatu. Musiałem naturalnie mój bluźnierczy projekt wydrukować własnym kosztem w wykwintnej formie w kilkuset egzemplarzach.

Wszystko odeszło do komitetu gubernjalnego. Uprzedzony przez gubernatora Pahlana, że będę zaproszony jako członek tego komitetu, oczekiwałem spokojnie w Łazdunach tego wezwania, gdy raptem przylatuje tak zwany urzędnik (miejscowy policjant) z uprzedzeniem, że za parę godzin będę miał wizytę samego gubernatora, który rewidując powiaty, zboczył na pięćdziesiąt kilometrów, aby mnie odwiedzić.

Ten podług ówczesnych obyczajów hierarchicznych zupełnie niezwykle zaszczyt zawdzięczałem, jak mi na samym wstępie wytłómaczył hr. Pahlen, następnemu wypadkowi: Przy układaniu, celem rozesłania zaproszeń, ostatecznej listy członków komisji gubernjalnej hr. Adam Plater formalnie zaprotestował przeciw mojemu udziałowi w tej komisji, a gdy Pahlen nań nalegał nie tylko dlatego, że uważał mnie za kompetentnego, lecz także, że był już ze mną związany, Plater nawet zagroził, że kwestję odda do decyzji ministra spraw wewnętrznych. Ten ostracyzm p. gubernator przypisywał mniej zatargowi między mną a Bankiem Ziemskim, niż temu, że p. hr. „Dinde“ jeszcze nie mógł strawić wybitnej roli, którą odegrałem w wyżej opisanej komisji serwitutowej gen. Trockiego. I dodał, że to usunięcie mnie od udziału w komisji uważa dla siebie samego za do tego stopnia uciążliwą, że przyjeżdża do mnie na wieś umyślnie, żeby mnie formalnie za to przeprosić.

Ponieważ Pahlen, sam ziemianin kurlandzki, bardzo interesował się rolnictwem, siedział u mnie całe dwie doby, detalicznie zwiedzając całe moje gospodarstwo, zaciekawiony tem, co mi się udało zrobić w ciągu równych 25 lat z tego na początku

archaicznego majątku. Rzeczywiście moje gospodarstwo było już wówczas prawie u swego zenitu, nawet stadnina końska, o której smutnych losach pod opieką władz polskich jeszcze wspomnę, była już szeroko znana, a w dodatku przynosiła mi wcale pokażny czysty dochód.

Jak mi potem opowiadał mój marszałek powiatowy Tatischew, który do tej gubernjalnej komisji należał, Platerowski protest przeciw mojemu udziałowi wniósł w jej pracę element niechęci, dzięki czemu cała robota szła zupełnie marnie. Zresztą w samym Petersburgu cała ta pompacyjnie przez Wittego inscenizowana ankieta „o potrzebach rolniczego przemysłu“ poszła na marne dlatego, że sam Witte runął z wyjątkowego stanowiska, jakie zajmował, i to w okolicznościach i formie, które, jak mi później sam z goręczą opowiadał, rzucają razem i smutne i litość wzbudzające światło na tę zagadkową osobistość, jaką był biedny Mikołaj II. Witte wiedział, że od jakiegoś czasu Plehwe prowadzi na niego decydujący szturm. Przyjechał do Carskiego Siola na swój tygodniowy raport i od razu był zdziwiony niezwykłą uprzejmością, z jaką go cesarz przyjął. Wszystkie jego propozycje przeszły gładziutko, cesarz nawet bardzo serdecznie rozpytywał się o zdrowie jego pasierbicy, pani Naryszkinowej, najczulej z nim się pożegnał, ściskając jego rękę w obu dłoniach, i dopiero, kiedy Witte był przy drzwiach, zawrócił go, wołając: „Sergiej Juljewicz, Sergiej Juljewicz, bardzo przepraszam, ale zapomniałem o małym interesie, który pan załatwi — oto w tej kopercie jest wszystko przygotowane. Chodzi tylko o to, żeby to pan w zwykłej formie kazał ogłosić w rządowym kurjerze (Prawitielstwiennyj Wiestnik) dla wypełnienia. — Do widzenia, czcigodny Siergiej Juljewicz, do widzenia.“ — Naturalnie Witte, ledwie zamknawszy drzwi, otworzył kopertę i w niej znalazł... 1) swoją własną nominację na prezesa komitetu (a nie rady) ministrów,<sup>1</sup> 2) nominację na ministra finansów jakiegoś obokurnego Plesse, który wkrótce umarł. Witte więcej już się z cesarzem nie widział, aż gdy dobrze po śmierci Plehwego musiano udać się do niego jako do zbawiciela wśród klęsk japońskich.

W końcu 1903 roku wileńska diecezja oczekiwała przybycia mianowanego już nowego biskupa, ks. barona Edwarda von Ropp, w owej chwili biskupa wewnętržno-rosyjskiej diecezji sara-towskiej, obejmującej całą południową Rosję, a uprzednio pro-

<sup>1</sup> Aż do reform 1905 roku Rady Ministrów, w zachodnim sensie, Rosja nie posiadała. Cesarz pracował z każdym ministrem osobiście i oddzielnie. A tak zwany komitet ministrów, w którym nie wszyscy ministrowie zasiadali, a zasiadali też i nie-ministrowie, miał specjalne, przeważnie prawodawczo-finansowe atrybucje, i rzadko się zbierał. Właściwie była to najwyższa synekura.

boszcza katolickiej parafji w Libawie. Tymczasem duże wzburzenie wśród pobożnego społeczeństwa wywołał następny casus: Jakiś młody ksiądz Bolcewicz, proboszcz małej parafji w lidzkim powiecie, należący oczywiście do typu tak dowcipnie niedawno opisanego przez Clement Vautel w jego romansie i sztuce „Mój proboszcz wśród bogaczy“ (Mon curé chez les riches), rozpoczął w jakichś pismach warszawskich polemikę z paru księżmi wileńskimi. Młody reformator o wiele lepiej pisał, ale jego przeciwnicy mieli w kapitule wileńskiej daleko więcej wpływów. Dlatego do przedmiotów polemiki zaraz przybyła domieszka miłości własnej, i skończyło się na tem, że śmiałego literata poddano ni mniej ni więcej jak tylko zasuspendowaniu, t. j. jednocześnie dla wiejskiego biednego proboszcza i karze śmierci cywilnej i karze śmierci głodowej. Sentymentalne dewotki prawie wszystkie rozczuliły się łosem biednego proboszcza, a „matki kościoła“ uważały, że kapituła albo jest albo powinna być nieomylną. Rzecz doszła do prasy. Jednocześnie w petersburskim „Kraju“ utalentowany p. Czesław Jankowski, a w wileńskim „Wiestniku“ także niezły pisarz, p. Tieplów, wystąpili bardzo ostro przeciw postanowieniu kapituły, co w rezultacie mogło tylko pogorszyć sytuację biednego księdza. Z obu stron, i sentymentalnych pobożniś i matek kościoła, zwrócono się do mnie, abym wystąpił na arenę, to na pomoc biednego księdza, to na pomoc prestiżu władzy duchownej katolickiej. Zastanowiwszy się nad sytuacją, którą łatwiej było rozjątrzyć niż złagodzić, wytłómaczyłem sobie, że skoro posiadamy już oficjalnie naznaczonego biskupa, to właściwie całe rozstrzygnięcie tego sporu powinno być jemu pozostawione. Jednocześnie domyślałem się, że ten nowy biskup, dotychczas i diecezji i polskiemu społeczeństwu obcy, jest prawdopodobnie tendencyjnie informowany przez nabożnych partaczy pióra; trzeba było znaleźć fortel, żeby się zwrócić jednocześnie i do tego biskupa i do społeczeństwa. — Redaktor „Wilenskawo Wiestnika“ p. Czumi-kow, z którym o tem pomówiłem, zaraz z entuzjazmem otworzył mi szpalty swojej gazety. Lecz mnie, katolikowi, Polakowi, było wstrętne zwracać się do mego biskupa w języku rosyjskim. Stańco na tem, że napiszę do ks. biskupa Roppa po francusku, a „Wilenskij Wiestnik“ ten list wydrukuje jako komunikat także w języku francuskim. Musiałem przejrzeć kilkanaście korekt, bo zecerzy znali łaciński szryft, ale ani jednego francuskiego słowa, jednakże wkońcu żadnej omyłki w tekście gazety nie zostało.

Plan mój udał się. Ksiądz Ropp, o którym jeszcze niejednokrotnie wspomnę, odpowiedział mi w tonie uprzejmym, bardzo roztropnie co do treści i dobrą francuzczyzną; a co do sprawy to postąpił jako sumienny pasterz i prawdziwy chrześcijanin. Albowiem suspendowanie wstrzymał, a potem nawet odwołał.

zbyt gorliwego księdza umiarkował, wysławszy na swój koszt do Fryburga niby na dopełnienie nauk teologicznych, a potem dal mu gdzieindziej nie gorszą od poprzedniej parafję.

Ta historyjka wywołała w swoim czasie w całej Wileńszczyźnie dość duże wrażenie.

W kilka tygodni po tym całym incydencie z ks. Bolciewiczem odbył się uroczysty ingres ks. biskupa von Ropp'a. Dzięki prawdopodobnie mylnej informacji, a w dodatku stosownie do osobistych przekonań tego księcia kościoła, ingres rozpoczął się w taki sposób, który na ogromnej większości katolików wileńskich zrobił bardzo ujemne wrażenie. — Wstąpiwszy w katedrę na ambonę, nowy biskup zwrócił się do swojej trzody przede wszystkim w języku... litewskim. Od czasu założenia katedry wileńskiej nie słyszano w niej tej gwary, więc użycie jej zdziwiło mu nietylko tych bardzo rzadkich słuchaczy, którzy ją rozumieli, lecz nawet tych jeszcze rzadszych, którzy jej używali. — Albowiem przy licznych późniejszych obliczeniach ludności katolickiej w Wilnie, już pod wpływem odpowiedniej agitacji, nigdy nie udało się doliczyć więcej niż 3% katolików, przyznających się do narodowości litewskiej. Lecz ta demonstracja nie mogła być uważana za omyłkę; albowiem nieco później przy pierwszej wizytacji w powiecie święciańskim, w północno-zachodniej jego części, w której włościanie mówią między sobą po litewsku, ks. biskup znowu pierwsze słowa wypowiedział z ambony w tym języku; atoli z jeszcze mniejszym powodzeniem niż w katedrze wileńskiej. Tam napotkał tylko na milczące zdumienie, a w tej wielkiej parafji, gdzie większość słuchaczy rzeczywiście była pochodzenia litewskiego, rozległ się szczególnie wśród płci żeńskiej niemało znaczący pomruk i pewna część parafjanek demonstracyjnie podczas kazania opuściła kościół. Stało się to z tej przyczyny, nad którą jeszcze przyjdzie mi się nieraz zatrzymać, że w owych czasach, dopóki w 1921 roku nie zaczęło się wywieranie ze strony władz Rzeczypospolitej Polskiej systematycznego nacisku w odwrotnym kierunku, t. zw. miejscowe żywioły litewskiego, a tem bardziej białoruskiego pochodzenia patrzyły na swoją własną gwarę jako na sposób wyrażania myśli drugorzędny, niekulturalny i same uważały użycie tych gwar w kościele, z uszczerbkiem języka polskiego tak zwanego u nich szlacheckiego, za rodzaj lekceważenia religii katolickiej. Zresztą w ciągu całego swego episkopatu w Wilnie myślą przewodnią J. Eksc. ks. biskupa Roppa, była ta zasada, z którą się nie ukrywał, że Kościół katolicki jako wszechświatowy i panujący nad wszelkimi pojęciami narodowościowymi nietylko nie powinien być narzędziem jakichkolwiek tendencyj patryjotycznych, lecz nawet je zwalczać tam, gdzie one



górują nad religijną formą ludzkiej ideologii. — Nie będę się wdawał w polemikę z takim zapatrywaniem ks. Arcybiskupa, stwierdzam tylko, że jak w swoim czasie zruszczały księżę Światopełk-Mirski i Niemiec luteranin hr. Pahlen starali się takie usposobienie dla swoich celów wykorzystać, tak samo wszelki do swojej narodowości przywiązany Polak winien się z tem przekonaniem liczyć.

## Rozdział IV.

Wojna japońska. — Partja narodowo-demokratyczna. — Pomnik Katarzyny II.

Powracam do światowej wagi ewenementu, który zapanał w Rosji wogóle, a w mojej Wileńszczyźnie szczególnie nad całym rokiem 1904, to jest do wojny japońskiej. Znajdowałem się w klubie szlacheckim, w którym już od śmierci Kochanowa język polski odzyskał prawa obywatelstwa, kiedy koło godziny jedenastej wieczorem dyrektor telegrafu wpadł zasapany i oznajmił nam o storpedowaniu, bez żadnego wypowiedzenia wojny, trzech pancerników rosyjskich przez małe torpedowce japońskie w zatoce Port Artura. Wogóle wszystkie główne incydenty tej wojny zachowały się jeszcze w pamięci nawet dość młodych ludzi, i nad niemi będę się mało zastanawiał, a to tem bardziej, że nie miałem jeszcze wówczas sposobności zebrania jakichkolwiek osobistych, większości czytelników nieznanych, informacyj. — Muszę tu tylko powtórzyć uwagę, którą już w pierwszej części tych pamiętników uczyniłem z powodu wojny francusko-niemieckiej 1870 r., a którą będę musiał powtórzyć jeszcze z okazji wojny wszechświatowej 1914 r. Czy dlatego, że Opatrzność Boska chce nam biedakom oszczędzić daremnych męczarni, ograniczając naszą przezorność, czy też dlatego, że większa część z nas składa się z baranów, które u wrót rzeźni nie wiedzą o tem, co ich czeka, albo z takich, którzy wedle Pisma świętego mają oczy, aby nie widzieć, ta wojna w styczniu 1904 r., o której już od czterech lat mówiono, której oczekiwano i którą przepowiadano, a ze strony rosyjskiej nawet starannie wywołano, w ostatniej chwili spadła tak wszystkim na kark, jak spada jakiś bolid z nieba. A najmniej ze stu kilkudziesięciu milionów obywateli rosyjskich przewidywał tę wojnę... cesarz Mikołaj II. W parę lat później były długoletni generał-gubernator kijowski Ignatiew, już mój kolega, opowiadał mi fakt następny: W połowie stycznia 1904 r. powrócił on do Petersburga po dłuższej podróży zagranicznej i jako jeden ze starszych gen.

adjutantów miał dłuższą prywatną audjencję u cesarza. Aby temu przyjęciu nadać charakter niesłużbowy, Mikołaj II zapytał swego gościa, którego żona utrzymywała w stolicy znany i bardzo wpływowy (szczególnie na św. Synod) salon polityczny, czem się obecnie głównie interesują w salonie hrabiny? „Najjaśniejszy Panie, głównym przedmiotem zaniepokojenia u nas, jest obecna groźba wojny z Japonją.“ Nato cesarz, wskazując okiem na wiszącą mapę państwa rosyjskiego, na której dumnie rozciągało się pięć milionów wiorst kw. Rosji europejskiej, dwadzieścia pięć milionów kw. wiorst Rosji azjatyckiej, a na samym końcu biedne trzysta tysięcy wiorst kw. Japonji: „Uspokój się, drogi Aleksy Pawłowiczu, i uspokój gości hrabiny; dobrze rozumiesz, że ta wojna zależy wyłącznie ode mnie jednego, i że jej nie będzie, bo ja jestem zasadniczo zwolennikiem pokoju.“ Ignatiew tegoż właśnie wieczora zebrany u jego żony mędrcom powtarzał słowa Mikołaja II i uspokajał ich, gdy rozległ się dzwonek telefonu i ktoś z ministerjum wojny tak, jak nam w klubie wileńskim i mniej więcej o tej samej porze, zakomunikował o storpedowaniu pancerników w Port Arturze.

Dodam, że pod tym względem biedny Mikołaj II wiernie wyrażał usposobienie całego swego rządu i narodu. Jeśli od trzech i pół lat on sam, kręcąc się koło niego trójca spekulantów na lasy w Korei, Bezobrazow-Wonlarski, i admirał Abazza, i Witte, i namiestnik admirał Aleksiejew, wszystko wyrabiali, co musiało prawie gwałtem popchnąć, choćby z rozpaczy, rycerski naród japoński do wojny, to dlatego, że sami (i to jest jedna z właściwości tak zwanej duszy rosyjskiej) nie dopuszczali myśli, żeby słaby w ich przekonaniu przeciwnik mógł się odważyć na odkrytą walkę z niezmiernie silniejszym, a nawet sądzili, że można bez niebezpieczeństwa na wszystko sobie z nim pozwolić. Słowo „bezwzględnie“, które tak często od 6-go sierpnia 1914 r. słyszymy ze strony pewnego obozu politycznego, należy do umysłowości rosyjskiej.

Co do mnie, już wówczas nie byłem zdziwiony ani wybuchem tej wojny, ani potem jej wynikiem. Właśnie skończyłem czytać bardzo ciekawą i świeżo wydaną książkę o Japonji p. Bousquet'a, który tam przebył ośm lat na służbie japońskiej i ciągle nie „przewidywał“, lecz „przepowiadał“ wojnę rosyjsko-japońską jako zdarzenie nieuniknione i postanowione. Znowu kilka tygodni przed tem zdarzeniem, zaznajomiłem się przypadkowo z wielce roztropnym oficerem sztabu rosyjskiego, Polakiem, który przebywszy całą kampanję przeciw bokserom w 1900 r. w ciągłej łączności z oddziałem japońskim, opowiadał mi cały szereg zaobserwowanych przezeń faktów, z których można było wnioskować, że gatunkowo wojsko japońskie

ma względem rosyjskiego co najmniej potrójną lub poczwórną wartość.

Mniej więcej także w końcu 1903 r. i na początku 1904 r. dała się odczuć, przynajmniej dla zupełnie nie „zakonspirowanego“ naiwnego człowieka jak ja, infiltracja do naszych kresowych sfer społecznych partji narodowo-demokratycznej. Co do mnie dowiedziałem się o niej dzięki temu, że pewien p. Antoni Aleksandrowicz, o którym jeszcze przyjdzie mi wspomnieć, przyniósł mi i podarował, radząc z tajemniczą miną ją przeczytać i przemedytować, broszurkę z nagłówkiem: „Myśli nowocześniejszego Polaka“. Nie wiedziałem jeszcze o egzystencji p. Romana Dmowskiego. Przeczytałem ją i uważałem za utwór zupełnie niepospolity, a jednak pozostał mi po nim jakiś nie-miły posmak. Za wiele było niedomówień i jakby ostrożnych wykrętów, a gdym prawie jednocześnie otrzymał od anonimowego korespondenta programu młodej partji w kilkunastu artykułach, i wyczytałem w ostatnim z nich słowa: „wszelka akcja zbrojna jest obecnie wykluczona“, dość było tego słowa „obecnie“, żeby mnie przekonać, że to nie dla mnie. Kto wyklucza „obecnie“, oczywiście w przyszłości dopuszcza. Jakie w 1903 r. można było przewidzieć warunki, w których akcja zbrojna, chyba dla szaleńca, byłaby dopuszczalną na terenie byłej Rzeczypospolitej Polskiej? Przeciw komu? Nawet w tych wówczas nieprawdopodobnych warunkach, w których potem między 1914 i 1918-tych r. akcja zbrojna polska, choć skromniutko, rozwinęła się, jedna okazała się szkodliwą, ponieważ się rozwijała na korzyść dwóch z naszych trzech wrogów, a na niekorzyść naszych zachodnich przyjaciół, a druga, korszystna, mogła się urzeczywistnić i urzeczywistniła się tylko na obczyźnie.

Jednak nasz brat, szlachcie litewski, naogół nie jest zarażony tą prawie chorobliwą potrzebą jasności i precyzji, którą we mnie wyrobiła edukacja zachodnia; jak bardzo słusznie uważał p. Piłsudski w swoich słynnych raportach z czasów okupacji niemieckiej, Polaka należy wabić nie rozumowaniem, lecz uczuciem; to też nowa partja dość szybko się rozgałęziła, szczególnie w ziemi grodzieńskiej, gdzie ogarnęła prawie połowę ziemiaństwa, w ziemi kowieńskiej trochę mniej niż połowę, w Wileńszczyźnie najwięcej trzecią część, a w Mińszczyźnie, w której wówczas panował samowładnie dzielny Edward Woyniłowicz, prawie żadnych zwolenników nie znalazła. Wówczas zresztą partja narodowo-demokratyczna często także u nas była nazywana „wszechpolską“. Gdyby się domyślano, że w kilka lat później jej program terytorjalny zacznie się ze „względów taktycznych“ kurczyć jak Balzakowska skórka szagrinowa

i że się z wesołym sercem pożegna nawet ze Słucczyną, toby ta partja u nas nie miała nawet o co się zaczepić.

Skutki wojny japońskiej były od samego jej początku wyłącznie negatywne. Natychmiast po ataku na flotę rosyjską w Port Arturze (styczeń 1904) niezgrabna administracja rosyjska próbowała, między innymi także w Wilnie, wywołać manifestacje uliczne na korzyść wojny. Lecz to było wykonane tak niezręcznie i jakby odniechcenia ze strony samej policji, że te oczywiście podkupione manifestacje całkiem znikły po dwóch czy trzech dniach. Zato uczucie najpierw osłupienia, potem niezadowolenia, a prędko i oburzenia rosło z dnia na dzień nawet między ludnością napływową rosyjską, a przeważnie właśnie między wojskowymi. Narody (prócz niemieckiego), a nawet ich rządy, są zasadniczo odporne na doświadczenie i całemi wiekami popełniają te same błędy. Jeśli oniał wszyscy wyżej wspomniani sprawcy wojny japońskiej wszystko robili, co mogło ją wywołać, to prócz jednego, mianowicie ministra spraw wewnętrznych Plehwego, chcieli wszystkiego, co tę wojnę wywołało, jedni ograbienia Korei z jej lasów, drudzy aneksji Port-Arthura i założenia w celach kradzieży portu w Dalnym, inni faktycznego opanowania Mandżurji i dominującego wpływu nad Chinami, ale samej wojny nie chcieli. Chciał wojny dla wojny w owej chwili prawie wszechwładny Plehwe, a to na mocy starego już o cały wiek przesądu, że wojna zewnętrzna stanowi synalizm od zarazy liberalnej lub rewolucyjnej, przed którą rząd i klasy kierownicze w Rosji nie przestawiały drżać od czasów Pawła I. Tymczasem wojny napoleońskie, pomimo końcowego zwycięstwa Rosji, wywołały ruch tak zwanych Dekabrystów 1825 r. Wojna krymska wywołała ducha reformatorskiego pierwszych lat panowania Aleksandra II, ówczesny nihilizm i zamachy królobójców; wojna turecka 1877 r. aczkolwiek zwycięska wywołała wzmocnienie tego ruchu i wkońcu zamordowanie Aleksandra II. Wojna japońska wywołała rewolucyjną próbę generalną 1905-1906 r. A ostatnia wojna wszechświatowa, spowodowana w równej mierze intrygami na Bałkanach i Rosji i samych państw centralnych, wywołała upadek całego ustroju państwowego socjalnego i ekonomicznego tego kolosalnego mocarstwa. — I tak będzie na przyszłość.

W naszym kraju dzięki wstrętom księcia Mirskiego do wszelkich miar stanowczych i zamiłowaniu jego do dróg krętych, echo tego ogólnego niezadowolenia przedewszystkiem objawiło się w formie osłabienia nacisku administracyjnego, dzięki czemu Mirski zyskał u nas względną popularność, a w wyższych sferach petersburskich reputację specjalisty od „gilotynowania przez perswazję.“

Tam też zaczęto, choć bardzo lekko, nas kokietować. — Wiosną 1904 r. wysłano do Kowna, pod pretekstem inspekcji armji, w księcia Włodzimierza, stryjka Mikołaja II. Pod sugestją Mirskiego oraz Stołypina, naówczas marszałka gubernjalnego kowieńskiego, cenionego przez ziemiaństwo kowieńskie za jego gorliwy udział w założeniu i prowadzeniu towarzystwa rolniczego, którego był prezesem, ziemiaństwo kowieńskie wydało na cześć w. księcia obiad i uprosiło u Benedykta Tyszkiewicza, aby na to przyjęcie oddał swój pyszny zamek krzyżacki, Czerwony Dwór. Była też obecna w. księżna Włodzimierzowa (Marja Pawłowna), która odjechała wielce zgorszona tem, że gdy jej przedstawiono pana domu i gdy wyciągnęła do niego rękę do pocałowania, Tyszkiewicz, tak dlatego, że wogóle lubił Moskałom język wystawiać, jak też dlatego, że jego dawny związek małżeński z uroczą pod każdym względem Amerykanką, panną Bencroft, zrobił z niego pół-jankesa, tę wysoko-cesarską rączkę ścisnął zdrowem „shake-hand“. Przy obiedzie naturalnie wzniesiono zdrowie wielko-książęcej pary, co obecni przyjęli z należytym, ale niezbyt entuzjastycznym uszanowaniem; potem ktoś z obecnych przypomniawszy, że tego dnia właśnie jest św. Piotra, wznosił zdrowie ks. Mirskiego (Piotr Dmitriwicz). Ten toast został przez wszystkich obecnych przyjęty z tak demonstracyjną serdecznością, że Włodzimierz, słynny ze swego grubjańskiego obejścia się ze wszystkimi wojskowymi, zemścił się zato na Mirskim. Gdy go bowiem Mirski odprowadził na dworzec kolejowy pewny, że go w. książę zaprosi do swego wagonu, aby po drodze do Petersburga zostawić go w Wilnie, Włodzimierz ledwie wszedł do wagonu, rzekł do biednego Mirskiego dosłownie: „A ja was, generał-gubernatorze, więcej nie potrzebuję“, zatrzasnął drzwi i biedaka zostawił na peronie, gdzie musiał czekać do następnego pociągu.

Ta podróż w. księcia Włodzimierza miała oczywiście na celu rodzaj odświeżenia jego „prestżu“ w opinji publicznej; lecz właśnie była nie na czasie, bo języki coraz bardziej stawały się swobodnymi i wszędzie mówiono o grubych nadużyciach popełnionych przez dwóch najbardziej wpływowych stryjów cesarza: w. księcia Aleksego, który był w. admirałem, przy obstalunkach dla floty, i w. ks. Włodzimierza, który był równocześnie głównokomenderującym gwardją i stał na czele wszystkich organizacji Czerwonego Krzyża w państwie. — Gdy po rozpoczęciu operacji wojskowych w Mandżurji przystąpiono do gruntownej rewizji stanu finansowego Czerwonego Krzyża, okazało się, że dość znaczna część kapitałów tej instytucji figuruje w formie... weksli w. księcia Włodzimierza.

Wkrótce potem wybrałem się na kurację do Ems, dokąd prawie jednocześnie przyszły wieści o zamordowaniu Plehwego,

o przyjściu na świat nieszczęśliwego następcy tronu Aleksego, co już nie wystarczyło dla ożywienia stygnącego przywiązania narodu do swej dynastji, i wkońcu o mianowaniu Mirskiego ministrem spraw wewnętrznych na miejsce Plehwego. To był początek tak zwanej krótkotrwałej „wiosny rosyjskiej“, której było sądzono zostać tak samo płożną jak dwadzieścia pięć lat wcześniej „dyktaturze serca“ Loris Melikowa.

Po powrocie do Wilna w końcu sierpnia dowiedziałem się, że „wiosna“ rozpoczęła się także w Wilnie, jednakże warunkowa. Mianowicie książę Mirski, objąwszy urząd w Petersburgu, powrócił do Wilna na krótki czas, zwołał do siebie kilkunastu będących na widoku przedstawicieli ziemianstwa z trzech gubernij i oświadczył im, że zamierza rozciągnąć projektowane i już przez opinię publiczną od niego oczekiwane reformy także na kraj północno-zachodni, lecz ma do przewyżnienia jeszcze rozpowszechnione w „sferach decydujących“ uprzedzenia co do lojalności społeczeństwa polskiego w tych prowincjach względem i dynastji i państwa rosyjskiego. Dla ugruntowania swoich dobrych zamiarów musi żądać od tego społeczeństwa uroczystej manifestacji jego zakwestjonowanej lojalności. Ponieważ ma się na widoku w krótkim czasie odsłonięcie w obecności samego cesarza już gotowego pomnika Katarzyny II na placu katedralnym, książę żąda, aby ziemianstwo było na tej uroczystości w dostatecznej liczbie reprezentowane i oczekuje od obecnych, że nie tylko sami przybędą, lecz i między znajomymi zrobią gorliwą propagandę, aby była pewność, że liczba ziemian dojdzie co najmniej do jakich czterdziestu. Wszysey u Mirskiego obecni zgodzili się na jego prośbę, czy też żądanie, bez żadnych zastrzeżeń. Podług dostarczonych mi informacji (głównie przez Antoniego Tyszkiewicza) obietnice Mirskiego były ogólnikowe i żaden z tych rabinów, wśród których odznaczał się gorliwością dyrektorowie banku, pp. Józef Montwiłł i Paweł Kończa, nie domyślił się, czy też się nie odważył zapytać, jakie mianowicie reformy i ulgi dla Polaków minister zamierza przeprowadzić? To też bardzo rad, że moja podróż do Ems oszczędziła mi udziału w tej naradzie, po dwudniowym pobycie w Wilnie unknąłem do Łazdun. Dopiero po tygodniu, t. j. w pierwszych dniach września nowego stylu, musiałem na kilka dni powrócić do miasta. — Dowiedziałem się, że wyżej wspomniany hr. Tatiszczew, już przeniesiony z Oszmiany do Wilna jako powiatowy marszałek szlachty, codzień przychodził do mego mieszkania i dowiadywał się o mnie. Rzeczywiście już nazajutrz rano po moim przyjeździe był u mnie i prosto z mostu oświadczył mi, że jest do mnie delegowany przez ks. Mirskiego, który bardzo żałuje, że z powodu mej bytności zagranicą nie mógł mnie mieć u siebie na naradzie z ziemianstwem, ale Tatiszczewowi specjalnie polecił, żeby

mnie zwerbował do liczby mających asystować odsłonięciu tego pomnika. Wierny mojemu zwyczajowi grania odkrytej gry, odpowiedziałem Tatiszczewowi, że ponieważ bez żadnej ogródki i zastrzeżenia uznaję zwierzchnictwo rosyjskiego cesarza jako w. księcia litewskiego po przeszło stuletniem panowaniu nad moim krajem, to byłbym zupełnie gotów stanąć w jego obliczu i mieć zaszczyt być mu przedstawionym, ale zjednoczenie tego przyjęcia z uroczystością na cześć Katarzyny II wydaje mi się myślą niefortunną. Sam Tatiszczew musi zrozumieć, że o ile dla każdego Rosjanina pamięć o wielkiej imperatorowej i dokonanym pod koniec jej panowania ogromnem powiększeniu przestrzeni państwa stanowi wspomnienie sławy bez żadnej przymieszki, o tyle dla Polaka to wspomnienie ma przeważnie charakter uroczystości żałobnej. Zatem wolę skorzystać z przypadkowej mojej nieobecności na naradzie u ks. Mirskiego, a ponieważ w żadnej formie nie posiadam charakteru osobistości oficjalnej, wolę zostać na uboczu. Narazie miałem wrażenie, że Tatiszczew, wzorowy dżentelman, nie miał mi za złe mej odmownej odpowiedzi. Nazajutrz jednak znowu przyszedł i powiedział mi, że gdy Mirskiemu doniósł o niepowodzeniu danego mu polecenia, general-gubernator zarzucił mu brak gorliwości czy zręczności w wypełnianiu swojej misji, kazał mu powtórnie się do mnie udać i oświadczyć mi, że przyznaje mojej obecności na projektowanej ceremonii zupełnie wyjątkową wagę, że jeśli w obecności Najjaśniejszego Pana będę figurował tylko jako jeden z kilkunastu obecnych ziemian Polaków, to względem daleko liczniejszych przedstawicieli i miejscowego i petersburskiego oficjalnego świata moja obecność będzie miała znaczenie zasadnicze i symboliczne, ponieważ jestem wśród społeczeństwa rosyjskiego szeroko znany jako człowiek, który takiego kroku nie robi, nie zdawszy sobie rachunku z doniosłości swego postępu; i jak się wyrażał przed Tatiszczewem, pod tym względem moja obecność będzie równała się obecności dwudziestu przeciwnych ziemian Polaków. Skorzystałem z tego i odpowiedziałem memu kusicielowi: „Grajmy w odkrytą grę. Mówiłem panu i zdaje mi się, że rozumiałeś, że ten uroczysty obchód jednocześnie aneksji tego kraju do Rosji i zaginięcia jego niepodległości, nie jest pozbawiony dla mnie i goryczy i poniekąd upokorzenia. — Ponieważ książę Mirski uważa mnie za szczególnie rozważnego człowieka, to musi rozumieć, że żąda ode mnie bolesnego poświęcenia, tem bardziej, że prawdopodobnie, bardzo dużo Polaków, niezaszczyconych uwagą p. general-gubernatora, będzie oskarżać obecnych na odsłonięciu tego pomnika o płaszczenie się, jeśli nie o zdradę. Wiem już, że z tej okazji mają być rozdane niektóre odznaczenia honorowe; powiedz pan księciu, że co do mnie wszelki podobny napiwek uważałbym dla siebie za ubli-



żający, ale zato chcę naprawić wielki błąd, popełniony przez zaproszonych przez generał-gubernatora na naradę ziemian i postawić punkta nad i: wiemy wszyscy, że prądy w Petersburgu są zmienne i ogólnikowe, nadzieje. o których ks. Mirski wspominał, mogą tak, jak przed kilku laty w Warszawie, pójść na marne. — Nawet gdyby tak nie było, znam dosyć i duch waszej, kochany hrabio, biurokracji i moich rozczulonych rodaków, żeby obawiać się, że jedna gotowa nas zbyć sentymentalnymi ulgami w dziedzinie języka i wiary, a drudzy wziąć to za rzeczywistą monetę. A w moich oczach ze wszystkich ulg w obecnym położeniu Polaków w tym kraju, tylko jedna ma dla mnie znaczenie dostateczne, żeby mnie skłonić do poświęcenia mojej miłości własnej na korzyść mego kraju, a taką jest albo całkowite zniesienie albo bardzo znaczne ograniczenie ukazów 10 grudnia 1865 i 5 grudnia 1887 r. Upoważniam pana powiedzieć ks. Mirskiemu, że kiedy zgodzi się dać mi słowo honoru szlacheckie, że wyteży cały swój wpływ nato, żeby przynajmniej było dozwolonem swobodne nabywanie wszelkimi drogami prawnymi nieruchomości ziemskiej między Polakami, to chociaż nie bez boleści, stanę na jego zaproszenie; a kiedy takiej obietnicy dać mi nie może, to się wstrzymam.“ Tego samego wieczora Tatiszczew powrócił trzeci raz do mnie i oznajmił mi, że gdy przedstawił ks. Mirskiemu moje warunki, książę z uśmiechem mu powiedział: „Milewski zuch (maładiec), bo postawił palec na główną bolączkę tego kraju. Powiedz mu hrabio, że ma moją honorową obietnicę i że kiedy nie otrzymam zmiany ukazu 10 grudnia przynajmniej do granic, które on wskazał, to się zrzeknę zadania, które mi Najjaśniejszy Pan powierzył.“

10/23 września odbyło się to pamiętne odsłonięcie pomnika Katarzyny II. Prawie w ostatniej chwili cesarz, czy z obawy przed jakim zamachem, czy też dlatego, że w tym samym czasie rozegrała się w Mandżurji klęska pod Liao-yangiem, wydelegował zamiast siebie swego brata w. księcia Michała. Po wszystkich ceremoniach odbyło się w palacu gen. gubernatorskim śniadanie na paręset osób, na którem Mirski pomimo obecności kilkudziesięciu osób mających wysokie rangi oficjalne, posadził mnie o jedno miejsce naprzeciw W. Księcia. Muszę przyznać, że w kilku mowach, oczywiście z góry przez Mirskiego cenzurowanych, na których się ta uczta zakończyła, potrafiiono uniknąć wszystkiego, coby dla polskiego ucha prawdziwie było bolesnem.

Jak było do przewidzenia, wśród ziemiaństwa polskiego i inteligencji miastowej dość ostro krytykowano obecność Polaków na tej uroczystości i wynaleziono dla nich przezwisko „katarzyniarzy“. Nie najmniej zajadlymi byli ci, którzy, gdyby ich proszono, radośnieby to zaproszenie przyjęli, lecz nie mogli

strawić, że ich nie zaliczono do rzędu tych „czołowych przedstawicieli społeczeństwa“, których liczba z natury rzeczy musiała być ograniczoną. Najciekawiej popisał się p. Józef Montwiłł, znany mistrz w sztuce siedzenia na kilku stołkach. Był na pierwszej naradzie u ks. Mirskiego, obiecał swój współudział, w ciągu kilku tygodni gorliwie agitował, aby jak największej ludzi zapowiedziało gotowość wzięcia udziału w ceremonji, a sam w ostatniej chwili znikł i nie zjawił się ani na placu katedralnym, ani na uczcie u gen. gubernatora.

Wówczas uderzyła mnie jako cecha niewyrobieńia politycznego większości naszego społeczeństwa pobłażliwość, z jaką ten błazeński postępek został przez ogół osądzony. — Większość ludzi widziała w tem tylko zręczność prawdziwego spryciarza. O ile przyjmuje się zasadę, że w życiu publicznem jest uczciwość tak jak w prywatnem, to takie postępowanie stanowiło w moich oczach zwykłą podłość.

Zresztą oburzenie skoncentrowało się na tych sześciu panach, którzy jako nagrodę za ich udział otrzymali dworskie godności, mianowicie szambelana p. Hipolit Gicewicz, kamerjunktrow: dwaj bracia Antoni i Józef Tyszkiewiczowie, Aleksander Meysztowicz (obecnie minister sprawiedliwości), Konstanty Skirmunt (obecnie poseł w Londynie) i szósty, którego już zapomniałem. Wszyscy przeoczyli, że w opinii samych Moskali ich udział byłby nabrał daleko większej wartości, gdyby został bezinteresowny. I to było zapewne przyczyną, że mnie samego nawet w pierwszej chwili nikt (może też Tatyszczew rozgadał się o swoich ze mną pertraktacjach) do „kataryniarzy“ nie zaliczył i że wpływ, jaki wówczas miałem, jak się już w następnym roku okazało, w niczem się nie zmniejszył. Tylko o dwóch osobach słyszałem, że mnie potępiali: p. Benedykt Tyszkiewicz z Czerwonego Dworu, z którym od trzydziestu lat łączyła mnie szczerą przyjaźń, walił niejako góry i mury na „kataryniarzy“, obiecywał, że „im pokaże“, i rzeczywiście przy pierwszym spotkaniu odmówił swemu kuzynowi Józefowi podania ręki; to też milcząco, drogą abstynencji zerwałem stare moje z nim stosunki, nie bez żalu, ponieważ cenilem w nim to, co było u większości arystokratów polskich mego pokolenia bardzo rzadkiem, mianowicie, że zasady, jakie wyznawał, praktykował, nie wdając się z niemi w kompromisy. — A drugim srogim sędzią była p. Marja Mickiewiczówna, która dopiero w czternaście lat później, kiedy na spółkę z p. Janem Horodyskim ustanowiła kwarantannę dookoła państwa Paderewskich w czasie, gdy piastowali premierostwo (latem 1919 r.), spostrzegła, że Naczelnik Rządu Rzeczypospolitej nie powinien mieć żadnych stosunków z byłym „kataryniarzem“.

Jednak po tej historii nie byłem co do siebie samego spokojnym, obawiając się, szczególnie po upadku Mirskiego

w styczniu, że dałem się jemu i Tatiszczewowi nabrać. To też gdy wiosną 1905 r. mój siostrzeniec ś. p. Edward Meysztowicz, wówczas urzędujący przy rosyjskiem poselstwie w Berlinie, wiedząc, że się tem gryzę, zatelegraował do mnie do Łazdun terminową depeszę, którą otrzymałem nocą, przed gazetami, że „ukazy“ 1865 i 1887 r. są zniesione, właśnie w umówionej przeze mnie z Mirskim mierze, natychmiast zatelegraowałem do niego, przebywającego w swym majątku w charkowskiej gubernji, gdzie odsiadywał głęboką niełaskę, depeszę, brzmiącą następująco: „Rad jestem oświadczyć waszej Ekscelencji, że we wrześniu zeszłego roku niedarmo zawierzyłem honorowej obietnicy rosyjskiego szlachcica.“ Rozczulony książę odpowiedział mi depeszą blisko sto słów zawierającą.

Hałaśliwie zapowiedziana „wiosna“ okazała się i dla Mirskiego i dla rosyjskiego społeczeństwa, może i dla biednego Mikołaja II, wielkiem i w tragiczne następstwa bogatym rozczarowaniem. Tylko dla nas nie, albowiem Mirski zaustalował na swoje miejsce już wspomnianego gen. Freze, starego kawalera, który bez żadnych demonstracji, cicho i skromnie, lecz gorliwie przeprowadził wszystko, co Mirski obiecywał, a nawet więcej.

Miał w tem czynnego pomocnika w osobie Mikołaja II, o którym już wówczas wszystkim działaczom polskim i w Wilnie i potem w Petersburgu powtarzałem, że jeśli mamy w całym państwie rosyjskiem jednego rzeczywiście życzliwie dla nas usposobionego człowieka, to tym człowiekiem jest Mikołaj II. Tak było (może dzięki słodkim wspomnieniom o Warszawiance Krześcińskiej), dopóki nasi warszawscy mędrcy sami nie urządzili mu w 1907 r. grubjańskiego afrontu, którego żaden monarcha, szczególnie żaden Romanow, ani zapomnieć, ani przebaczyć nie mógł. — Lecz o tem później.

Freze przywiózł z sobą jako naczelnika kancelarji p. Andrzeja Afanasiewicza Stankiewicza, który był właścicielem ziemskim i czynnym członkiem zebrania ziemskiego w gub. woroneżskiej. Biurokratyczny jad ledwie częściowo go zatruł. Od samego początku okazał się względem Polaków szczerze życzliwym, podtrzymywał swego szefa w jego dobrych zamiarach i umiał je urzeczywistniać. Zaraz po przyjeździe ze mną się zapoznał, często się odwiedzaliśmy i com jedynie mógł mu zarzucić, to był jego przesadny liberalizm w ogólnie państwowych kwestjach rosyjskich. Zmienił chorągiewkę, i to raptownie, jak bywa u Moskali, dopiero w 1907 r., poczęści wskutek kłótni z biskupem von Roppem, a głównie wskutek ekscesów włościańskich w jego własnej woroneżskiej gubernji; wówczas też został przeniesiony jako gubernator do Tobolska, potem został dyrektorem głównego departamentu spraw wewnętrznych

w Petersburgu, a za bolszewików, pogrzebawszy śliczną żonę i córeczkę, zmarłe z nędzy i głodu, sam umarł literalnie z głodu.

W grudniu tegoż 1904 r. udałem się na odpoczynek do Paryża. Cała ówczesna prasa zagraniczna, a szczególnie francuska, dzięki panującej w całej sile rusofilji zajmowała się rosyjską „wiosną“ w duchu lirycznego optymizmu. Przyszło mi na myśl, że warto francuską opinię publiczną do pewnego stopnia otrzeźwić i napisałem obszerną pracę pod tytułem: „La crise constitutionnelle en Russie.“

Po krótkim wstępie historycznym wyjaśniałem główne wówczas walczące programy reform w państwie rosyjskiem. 1) W liczbie pojedynczej to jest całkowitego przekształcenia ustroju na ogólnych zasadach konstytucyjnych. 2) W liczbie mnogiej czyli detaliczne ulepszenia poszczególnych warunków bytu narodu rosyjskiego oraz licznych narodowości, tak zwanych obcoplemiennych, stopniowo do tego olbrzyma przyrosłych. Wykazywałem wszystkie niebezpieczeństwa raptownego przejścia od nieograniczonego absolutyzmu, tego samego, który sztucznie stworzył Piotr Wielki na podstawie średniowiecznego, przeważnie teokratycznego „samodzierżawia“, do ogólnie europejskiego, opartego na przedstawicielstwie narodomem, konstytucjonalizmu, a to dla braku tych warstw społecznych, z których można byłoby zaczerpnąć to przedstawicielstwo. Znowu co do reform poszczególnych nie ukrywałem, że przy tradycyjnej, niezwyciężonej zlej wierze rosyjskiej biurokracji niebezpieczeństwo tkwiło w tem, że one będą oddzielnie obiecanie, spacone w ich wykonaniu i wkońcu odwołane. Za główne niebezpieczeństwo ustroju socjalnego w Rosji uważałem sposób posiadania ziemi. U góry ograniczona ilość większych właścicieli, u dołu stumiljonowa masa chłopska władająca ziemią na zasadzie wspólności gminnej gruntów, przez to przyzwyczajona do niebezpiecznej solidarności, złożona z równych sobie i wzajemnie zależnych atomów, bez żadnej między temi dwoma warstwami, górną i niższą, klasy średniej. Dzięki temu uważałem rewolucję wyłącznie polityczną za niemożliwą, a natomiast za możliwą lub nawet prawdopodobną rewolucję socjalną, która by na kolosalnej rosyjskiej wsi nie zostawiła śladu z kilkuwiekowych dobytów cywilizacji. Kończyłem mój przegląd wyjaśnieniem ówczesnego stanu różnych kwestyj obcoplemienicznych, stawiając naturalnie na czele kwestję polską oraz kresową.

Program był tak obszerny, że z trudnością się zmieścił w jednym, nawet wyjątkowo rozciąglým artykule któregośkolwiek z pierwszorzędných miesięczników. Zaniósłem go najpierw do „Revue des deux mondes“. Dyrektor, zajęty z jakimś akademikiem, osobiście mnie przyjąć nie mógł, ale jego sekre-

tarz generalny oświadczył mi, że numer pierwszy i piętnasty stycznia są, jeden w druku, a drugi już uplanowany, i że moja praca mogłaby wyjść najwcześniej piętnastego lutego. Tymczasem w Petersburgu wszystko rozwijało się szybko, i niemoc biednego Mirskiego do opanowania gwałtownego prądu, który sam wzbudził, oraz utrata przez niego zaufania dworu z jednej i opinii publicznej z drugiej strony tak szybko się zarysowywały, że moja praca mogłaby na zwłoce albo stracić prawie całą swoją wartość albo wymagać całkowitej przeróbki. Przypomniałem sobie wówczas, że drugi, najbardziej po „Revue des deux mondes“ rozpowszechniony we Francji miesięcznik „Le Correspondant“, specjalnie katolicko-zachowawczy, ma za dyrektora p. Etienne Lamy, niedawno wybranego członka Akademii francuskiej, z którym spotykałem się około r. 1880 u pp. Konstantych Branickich, których dom na rue de Penthièvre stanowił wówczas centrum kolonii polskiej. Zaniósłem mu mój rękopis. W zasadzie go przyjął i obiecał, że go wydrukuje w pierwszym następnym numerze, ale że praca straciłaby ogromnie na rozbiciu na dwa numery, wyrachował bowiem, że zajmie całych 60 dużych i gęstych stronnic miesięcznika, więc prosił mnie, żebym artykuł zredukował do maksymalnego rozmiaru czterdziestu stronnic, a jednocześnie radził, żebym go wydał osobno, w pierwotnej formie, bo uważa go jako szczególnie cenny. — Tak też zrobiłem. Choć to nie było łatwe, bo wówczas jeszcze nie dyktowałem, lecz pisałem ręcznie i miałem styl bardzo zwięzły, w ciągu trzech dni do 31 grudnia zdążyłem zamputować moją pracę do wskazanych 40 stronnic, a jednocześnie oddałem pierwotny tekst znanemu wydawcy, Alphonsovi Lemerre. Utwór wyszedł w „Le Correspondant“ 10 stycznia 1905 r., osobne wydanie u Lemerre'a w dwa tygodnie później. Ówczesne warunki rosyjskie z jednej strony, z drugiej ogólnie znana nieufność francuskiej publiczności do Polaków, piszących o Rosji, pobudziły mnie do podpisania tej pracy nie mojem nazwiskiem, lecz klasycznymi trzema gwiazdami, i już dalej się tej metody trzymałem.

Moje studjum zostało dość szeroko omówione w prasie codziennej i Etienne Lamy napisał mi już do Wilna, że między prenumeratorami miało takie powodzenie, że prosi mnie wszelkie moje inne artykuły zachować dla jego miesięcznika, któremu wydał „najwyższy rozkaz“ przyjmować od p. Korwin-Milewskiego „tout ce qu'il voudra, quand il voudra“. Od tego czasu zawiązały się między mną a ś. p. E. Lamy (o którym jeszcze wspomnę) bardzo bliskie stosunki osobiste, które prędko przybrały formę serdecznej przyjaźni i w ciągu następnych szesnastu lat (do 1921 r.) umieściłem w tymże „Correspondant“ parę tuzinów artykułów; o niektórych może jeszcze wspomnę.

Co zaś do osobnego wydania u Lemerre'a, osobiście przekonałem się, że poza Paryżem znalazło niemało czytelników w Berlinie, Wiedniu, Krakowie, Warszawie i nawet w Petersburgu. Jak zwykle bywa, mój anonim stopniowo został wysledzony tak, że gdy w następnym 1906 r. zjawiłem się w Radzie Państwa, to już kilku moich nowych kolegów Rosjan przywitało mnie jako autora tej broszury.

## Rozdział V.

Rok 1905. — Ukazy tolerancyjne Mikołaja II. — Kurjer Litewski. — Manifest 17-go października.

A tymczasem nad Nową biedny Mirski ze swojemi szczeremi i udanemi iluzjami, obietnicami i chytrściami zupełnie się zawalił. Nieostrożnie dopuścił do zebrania się w Petersburgu około stu głównych działaczy z prowincjonalnych ziemstw. Chociaż posiedzenia nie były publiczne, niedyskrecje prasowe rozgłosiły, że to zebranie ustanowiło program w dziesięciu punktach blisko przypominający sławną deklarację praw człowieka i obywatela za wielkiej rewolucji francuskiej. Ze swojej strony ks. Trubeckoj, profesor filozofji przy uniwersytecie kijowskim, otrzymawszy audjencję u cesarza na czele kilku swoich kolegów, palnął mu zuchwałą admonicję (która także dostała się do prasy), w której nie wahał się ostrzec wszechrosyjskiego samodzierżawcę, aby zmienił cały kierunek swoich rządów, „póki nie będzie za późno”.<sup>1</sup> Na ten raz już Mikołaj II nie odpowiedział „głupimi mrzonkami“, jak o dziesięć lat wcześniej, lecz urazę odczuł, nie zapomniał i odrazu wzięły górę wpływy jego stryjów, przeważnie w. księcia Włodzimierza i Sergjusza, który pomimo klęski na Chodzyńskim polu piastował jeszcze w czasie koronacji w 1896 r. urząd gen. gubernatora w Moskwie. Z jego rekomendacji cesarz, jakoby bez porozumienia się z ks. Mirskim, назначył moskiewskiego oberpolicmajstra Trepowa, równocześnie tytularnym towarzyszem ministra spraw wewnętrznych i gen. gubernatorem nad miastem Petersburgiem. Ze Mirski natychmiast nie żądał odstawki, może zrozumieć tylko ten, który dość długo żył z ówczesnymi wyższymi dygnitarzami rosyjskimi i znał ich chorobliwe, bezgraniczne przywiązanie do oficjalnych zewnętrznych form i oznak jakiegokol-

<sup>1</sup> W kilka dni po tej scenie ks. Trubeckoj rapłownie umarł. Trochę o tem paplano, lecz wiem od jego dwóch braci, później moich kolegów, że uległ anginie sercowej, której objawy już uprzednio się ukazywały.

wiek władzy, pozwalającej twierdzić, że są „u dieł“ (przy sprawach).

Trepow, nie troszcząc się o swego tytularnego zwierzchnika, przygotowywał dramat, który będzie stanowił w historii rosyjskiego samodzierżawia jedną z jej najbardziej sromotnych kart. — Mówię o niedzieli, dnia 9/22 stycznia 1905 r., kiedy to, później zdeńskowany jako szpieg i przez rewolucjonistów zamordowany, pop Gapon wyprowadził na plac przed pałacem zimowym i sąsiednie szerokie ulice tłum dwustu tysięcy robotników niiby celem złożenia prośby cesarzowi, który zamieszkiwał o <sup>dwadzieścia</sup> kilka wiorst w Carskim Siole, aby dać możliwość, bez żadnego ze strony tego tłumy gwałtu i bez uprzedzenia, wystrzelać go jak stado kaczek. — Ogólna liczba trupów dochodziła do dwóch tysięcy. Już wówczas nie brakowało ludzi, którzy przewidywali, że ta „krwawa łaźnia“ może stać się Mane, Tekel, Fares nie tylko ustroju autokratycznego, lecz i samej dynastji. Od tego dnia zaczęły się u nieszczęśliwego Mikołaja II ciągle alternatywy to represji, to ustępstw, to odwołań łakowych, tak jak kiedyś u biednego Ludwika XVI, stanowiące aż do jego abdykacji dwunastoletnią historję drugiej części jego panowania.

Odpowiedzią rewolucjonistów na tę zbrodnię było wysadzenie w powietrze w. księcia Sergjusza. Mikołaj II struchlał i w kilka dni po tym zamachu, dając całemu narodowi powtórny dowód (pierwszy był dał po identycznym co do formy zamordowaniu Plehwego), że jedynym środkiem otrzymania czegoś od niego jest terror, wystosował do ministra spraw wewnętrznych Bułygina reskrypt, w którym „wszechmiłościwie mu rozkazywał“, aby przygotował do jego zatwierdzenia projekt zwołania Dumy Państwowej, złożonej z „bohaterów myśli i słowa“ narodu rosyjskiego dla „rozważania“ nad prawodawstwem. Bułygin, b. naczelnik kancelarji zamordowanego w. księcia Sergjusza w Moskwie (opowiadam to z jego słów), człek z natury roztropny, otrzymawszy ten reskrypt odpisał cesarzowi, że stworzenie takiej instytucji w tej formie i w chwili obecnej, uważa za niebezpieczną, nie ufa swoim siłom do wykonania danego mu polecenia i prosi Najjaśniejszego Pana, aby go i od tego polecenia i od stanowiska ministra spraw wewnętrznych uwolnił. Mikołaj II, idąc za przykładem swego ojca względem ministra finansów Abazza na początku panowania, odpowiedział prawie dosłownie: „Aleksandrze Grzegorzewiczu, zapominacie, że jesteśmy nie w Anglii lecz w Rosji i urząd swój opisaćie wówczas, kiedy sam was wydalę. Proszę moje polecenie spełnić!“

Biedny Bułygin siadł do roboty, w kilka tygodni potem wniósł szkic projektu, który był rozpatrzony na kilku posiedzeniach pod przewodnictwem samego cesarza; — o ciekawszych



szczegółach tych narad, które mi bardzo detalicznie opowiedzieli niektórzy ich uczestnicy, jeszcze wspomnę. Możeby, też i ta druga „wiosna“ jak ks. Mirskiego nie rozkwitła, gdyby nie rozegrała się w marcu haniebna klęska Kuropatkina pod Mugdenem, która właściwie położyła koniec operacjom wojennym na lądzie przeciw Japonji. Jej to może zawdzięczyliśmy, że obiecane nam przez Mirskiego, a gorliwie podtrzymane przez generał-gubernatora Frezego reformy nie poszły na marne.

W końcu kwietnia st. stylu wyszedł ukaz tolerancyjny, rzeczywście szeroki, który pozwalał na swobodne przejście z jednej wiary chrześcijańskiej na drugą, a niebawem na początku maja nastąpiło zniesienie w prowincjach zachodnich ukazów 1865 i 1887 r. prawie dosłownie w granicach umówionych przed odślonieniem pomnika Katarzyny między hr. Tatiszczewem, ks. Mirskim i mną; jednocześnie skasowanie najbardziej dotkliwych ograniczeń w używaniu „języków miejscowych“ t. j. głównie polskiego.

Wrażenie pierwszego z tych ukazów, tolerancyjnego, było w pierwszych dniach piorunujące. W sąsiedniej z moją gminie Nalibockiej, w której, jak mi opowiadał zacny proboszcz Dawidowicz, nie było nawet 5 % katolików, w ciągu jednego tygodnia nie zostało jednej prawosławnej duszy prócz popa; lecz i tego godnego kapłana dwie dorosłe córki przyszły za zgodą ojca prosić ks. Dawidowicza, aby je nawrócił na katolicyzm, „bo inaczej nie mają nadziei wyjścia zamaż“. Ta sama konsyderacja wzbudziła niepolamowane powołanie religijne mojej praczki, Nasty. Niestety niejednemu katolickiemu księdzu zabrakło ducha. W chwili ogłoszenia ukazu tolerancyjnego znajdowałem się w Wilnie. Gubernator Pahlen zaprosił mnie do siebie i pokazał mi przysłany mu przez umyślnego list mojego łazduńskiego proboszcza, ks. Mackiewicza, w którym ten apostoł donosił, że z ośmiuset prawosławnych, znajdujących się w jego parafji (liczącej przeszło pięć tysięcy katolików), już pięciuset zgłosiło się do przejścia na katolicyzm, i prosił p. gubernatora, aby mu wskazał, jak on ma względem tego żywiołowego ruchu postąpić? Pokazując mi list ten, Pahlen powiedział: „Mnie jako Kurlandczykowi i luteraninowi zupełnie to obojętne, ale ponieważ jestem rosyjskim gubernatorem, więc poco mnie pański „idjota“ (tekstualnie) stawia w takie głupie położenie?“ Odpowiedziałem mu, że zmiana religji jest krokiem ważnym w życiu człowieka i że radzę mu w każdym poszczególnem zdarzeniu przekonać się, czy jego neofici mają prawdziwe powołanie. — Pomimo gorliwości ks. Mackiewicza po dwóch tygodniach przeszło sześciuset prawosławnych łazduńskich „uparło się w swoim powołaniu“. W licznych gminach gubernji mińskiej także prawosławni włościanie przeszli na

katolicyzm co do jednego. Lecz władze powiatowe wzięły na siebie bez żadnych wskazówek z Petersburga postawić na drodze nawróceń szereg małych kruczków, jak to odpowiednie oświadczenie do prawosławnego proboszcza i do policji, przeczekanie ośmiodniowego terminu między oświadczeniem i obrzędkiem wyrzeczenia się wiary prawosławnej; dla naszych chłopów, analfabetów, czujących głęboki wstręt do wszelkich formalności piśmiennych, to wystarczyło, żeby barani pęd całkowicie wstrzymać. Odtąd i aż do wojny wszechświatowej nawrócenia były już tylko sporadyczne, przeważnie przy ślubach mieszanych.

Szerokie ulgi w używaniu języka polskiego miały dla mnie nieoczekiwany skutek. W kilka dni po ogłoszeniu odpowiedniego ukazu rozegrała się haniebna klęska na morzu, pod Cuszimą, floty admirała Roździeństwieńskiego. Oburzenie w całej Rosji, a u nas nawet między rosyjskimi urzędnikami, było tak gwałtowne, że na pewien czas nie można było myśleć o jakiegokolwiek reakcji, i nawet przyśpieszono pracę około projektowanej tak zwanej Bułyginowskiej Dumy Państwowej. Odwiedził mnie szef kancelarji generał-gubernatora Frezego, Slankiewicz, i oświadczył w jego imieniu, że choć wyraźnie o tem w ostatnim ukazie majowym mowy niema, lecz gen. gubernator i on sam rozumieją go w tym sensie, że pisma lub gazety w języku polskim w Wilnie powinny być już tolerowane, i że gen. Freze nawet uważa, iż to byłoby do życzenia jako sposób łagodzenia stosunków między społeczeństwem polskim i rosyjskiem, jednakże pod warunkiem, że ta polska prasa nie stanie się owszem narzędziem animozji polsko-rosyjskiej i wskrzeszenia zasłużonych i niezasłużonych żalów Polaków do Rosji. Szef Slankiewicz skończył tem, że gen. Freze pod tym względem ufa mojemu umiarkowaniu i błaga mnie, abym wziął na siebie wskrzeszenie w Wilnie prasy politycznej polskiej niemniej w interesie społeczeństwa polskiego, niż polityki zachowawczo-postępowej ogólnorozyjskiej, którą, jak uważa, byłbym zdolny podtrzymać.

Myśl ta wcale mi się nie uśmiechała. Przedewszystkiem wiedziałem dobrze, że, jak mówią nad Sekwaną, jeżeli się nie zrobi z gazeciarstwa brudnego interesu reklamowo-szantażowego, to można taniej „utrzymać trzy lancarki niż jedną gazetę.“ Oprócz tego balem się nadmiaru pracy, bo wiedziałem, że z moją naturą szczerego konia, jeśli nałożę chomąto, to będę cały wóz sam ciągnął; na koniec trzeba było prawie zupełnie porzucić bliższy nadzór nad mojem dużem gospodarstwem i bez wyjazdu mieszkać w Wilnie. Jedno nie mogło nie kosztować połowy mego dochodu, drugie dzięki memu poróżnieniu z całą kliką bankową obiecywałoby dość nudne pożycie. To też stanowczo odmówiłem. Stary mój ojciec najkompletniej mnie apro-

bował. Lecz Freze nie dał za wygrane; zaprosił mnie do siebie i bez ogródek oświadczył, że już otrzymał ośm podań o pozwolenie wydawania polskiej gazety codziennej politycznej,<sup>1</sup> a kilka o wydawanie specjalnych tygodników gospodarskich lub religijnych. Dalej mówił, że co do ostatnich, zostawia kwestję odkrytą, lecz co do polskiej gazety politycznej we właściwym sensie, to albo będzie pod mojem wydawnictwem, albo zupełnie jej nie będzie, i skończył słowami: „c'est à prendre ou à laisser“, albo pan, albo nikt. Dodał jeszcze, że z mego polskiego punktu widzenia nicma czasu do stracenia, albowiem wiedząc jako wojskowy, że po Mugdeńskiej klęsce cesarz już na żadne operacje na lądzie się nie odważy, po Czusimie przewiduje, że się niebawem rozpoczną pertraktacje pokojowe z Japonją; kiedy one dojdą do skutku, to można obawiać się kompletnego zwrotu na prawo, któryby rozwiązał nie tylko projekt obecne, i dobre względem Polaków kresowych usposobienie, lecz może nawet i projekt tak zwanej Bułginiowskiej Dumy.

Tu znowu powstał dla mnie kryzys sumienia podobny do tego, jaki w jesieni zeszłego roku zawdzięczałem Katarzynie. Wszystkie wyżej wspomniane racje odmowy zostawały w całości, a perspektywa, którą kusiciel Stankiewicz mi otwierał, że będę miał pyszne pole dla popisów literackich, mnie nie wabiła, albowiem przyznam się, że nie byłbym cenionym sławę „muzy departamentalnej“, jak mówi Balzak, w takim zakątku umysłowym jak Wilno. Jedyne zagadnienie zatem było: czy nie zadałbym kłamu całej mojej już blisko trzydziestoletniej działalności, gdybym odmówił polskiemu społeczeństwu na Litwie tak potężnego narzędzia utrzymania i rozwinięcia polskości w moim kraju, jakim jest pismo codzienne polityczne w języku rodzinnym. Postanowiłem zatem przyjąć propozycję Frezego z wewnętrznym zastrzeżeniem, że przy pierwszej okazji zrzucę z plec to ciężkie jarzmo.

Lecz trudności materialne były ogromne, tem bardziej, że podług rady samego Frezego nie było czasu do stracenia. Otrzymanie koncesji w departamencie prasowym ministerstwa spraw wewnętrznych było kwestją dwudniowej podróży do Petersburga. Lecz we wszystkim innem szło jak z kamienia.

Od czterdziestu lat w Wilnie nic po polsku się nie drukowało prócz książek do nabożeństwa w drukarni Zawadzkiego. Musiałem się udać do żydowsko-rosyjskiej drukarni Syrkina, do wydawcy „Siewiero-zapadnawo Słowa“, który zatem technikę gazeciarską znał, lecz musiał sprowadzić z Petersburga kilkanaście pudów łańcuchów i czcionek, a z Warszawy kilkunastu zecerów. Także niepodobna było na miejscu zwerbować dosta-

<sup>1</sup> Najbardziej bodaj umiarkowanym z tych kandydatów był już wspomniany mecenas Tadeusz Wróblewski, założyciel i kierownik „towarzystwa szubrawców“.

tecznego sztabu redakcyjnego. Pojechałem do Warszawy i tam z rekomendacji ś. p. Pawła Górskiego umówiłem na nominalnego redaktora (bo wiedziałem, że prawdziwym będę sam) p. Ostroróg-Sadowskiego, autora kilku niezłych prac literackich, niezłe piszącego po polsku, lecz jeszcze mniej ode mnie obznajomionego z techniką prasową. On zaś wyszukał mi swego rodzaju perłę w osobie p. Ursyna (prawdziwe nazwisko kozackie: Zamarajew) ze słabym cenzusem naukowym, lecz już długoletnią praktyką w dziedzinie tak zwanej kuchni gazeciarskiej.

Na miejscu dobrałem jako administratora młodego urzędnika bankowego, p. Radeckiego-Mikulicza, i kilku przygodnych współpracowników, p. Uziembło, specjalnie biegłego w wileńskiej archeologii, p. Napoleona Raube, rewolucjonistę—socjalistę—bombistę i t. d., lecz zdolnego i wykształconego, jako ko-rektora, paru reporterów wspólnych z rosyjskimi gazetami, i z tem puściłem się w drogę. Naturalnie, że nie obeszło się bez wściekłego niezadowolenia ze strony konkurentów. P. Tadeusz Wróblewski wystąpił nawet na łamach Kurjera Warszawskiego z artykułikiem, w którym ledwie dwuznacznie dawał do zrozumienia, że jestem przez administrację rosyjską przekupiony. W samym Wilnie chodziły gawędy o dokładnej cyfrze obiecanej mi subwencji rządowej 30.000.— rb. Miałem mocne podejrzenie, że autorem tej kaczki był właśnie pewien jegomość, który pragnąc cudzym kosztem i cudzym talentem stworzyć sobie zasługi społeczne, ofiarował mi swoje podtrzymanie finansowe, ograniczając jednak swoją odpowiedzialność pieniężną sumą dziesięciu tysięcy rubli, a wynagając wzamian głosu decydującego w kierownictwie pisma. — Naturalnie odmówiłem, lecz len pan już nigdy, wobec powodzenia gazety, tego mi nie darował.

Te wszystkie przygotowania, niezbędność pewnej reklamy dla zwabienia zgóry przynajmniej jakiegoś jądra prenumeratorów, pozwoliły nam wypuścić pierwszy numer dopiero 1/14 września. Rozpocząłem od szeregu artykułów omawiających świeżo wydane prawo o przyszłej Dumie państwowej; jak wiadomo, aż do manifestu 17/30 października ta Duma miała być tylko organem doradczym i to nawet nieobowiązkowym, a jej stosunek do w niczem nienaruszonej Rady Państwa był wielce niezgrabnie określony. Te artykuły, oparte na przeszło trzydziestoletnich studjach w dziedzinie prawa państwowego i komentowane w sposób sympatyczny i przez polską i rosyjską prasę, odrazu postawiły „Kurjer Litewski“<sup>1</sup> narówni z poważ-

<sup>1</sup> Ten tytuł wybrałem dlatego, że miał pewien charakter jakby rezurekcji; mianowicie na początku wieku za czasów Czartoryskiego wychodziło w Wilnie pod tym nagłówkiem pismo polskie, które dopiero około epoki skasowania Unji jako gazeta częściowo polska, a w oficjalnej części rosyjska, przyjęło nazwę „Kurjera Wileńskiego“ (Wilenskiij Wiestnik).

nemi organami codziennej prasy, polskiej i rosyjskiej. Zresztą już przy układaniu projektu pierwszego numeru przekonałem się, że mój tytularny redaktor, p. Ostroróg-Sadowski, na którego można było rachować w dziedzinie literackiej, żadnego wyrobienia politycznego ani nawet ugruntowanej linii politycznej własnej nie posiada, i że cały ten ciężar oprze się wyłącznie na moich barkach. To też w przeciągu trzech miesięcy mego wydawnictwa, t. j. około 80-ciu numerów, wyszło w „Kurjerze Litewskim“ z mego pióra 78 gruntownych artykułów wstępnych, lub też w ograniczonej ilości t. zw. „kronik“ nawpół humorystycznych w rodzaju tych wielce cenionych, które p. Perzyński wydawał w pierwszej „Rzeczypospolitej“ p. Strońskiego. Podpisywałem je „Wujaszek“.

Naturalnie nie mogłem się dotknąć polskiego pióra, żebym się zaraz nie potknął o... Adama Mickiewicza. Już w 1906 roku ten wielki człowiek dzięki czterdziestoletniej reklamie, prowadzonej podług wszystkich prawideł nauki handlowej przez jego syna Władysława na swoją wyłączną i osobistą korzyść (— ani grosza dla siostry Goreckiej lub brata Józefa —), stał się u nas jedynym monopolowym uosobieniem całego narodu, nie w mniejszym stopniu niż Garibaldi u Włochów. Moi współpracownicy sądzili, że Kurjer Litewski bez inwestytury bożyszcza żyć nie może. Wiedzieli jednak, że oddając należyty hołd genialnemu poecie i pisarzowi, uważam polityka, działacza i moralistę, wielbiciela zdrady, „ducha“ nastroju i „tonu“, a osobistego wroga rozsądku, jako nie mniejszego truciela duszy i myśli polskich, jakimi stali się dla narodu francuskiego J. J. Rousseau, a dla rosyjskiego, Tołstoj. To też nie troszcząc się bynajmniej o to, czy erekcja pomnika będzie dozwolona (jeszcze przed manifestem 17/30 października), gdzie stanie, lub kto i jak go wykona, na zasadzie prawnej „jak kto chce“, otworzyli w „Kurjerze“ subskrypcję na pomnik Mickiewicza.

W pierwszych dniach miała duże powodzenie. Mój brat Ignacy i jego przyszła żona, wdowa Władysława Umiastowska, wnieśli kilka tysięcy rubli, ja sam, zdając się, pięćset; posyłały się liczne wpłaty na setki, ogółem zebrało się przeszło pięć tysięcy, lecz mniej niż dziesięć. Moi panowie współpracownicy wywoławszy efekt, o tej subskrypcji zapomnieli, już w październiku szła ona kapaniną, a w listopadzie całkiem się urwała. Tu następuje historia, dobrze malująca nasze specyficzne obyczaje. Przewidując, że moje wydawnictwo nie będzie długotrwałem, że pomnik nie stanie, a ofiarodawcy będą mogli zażądać zwrotu pieniędzy, miałem ostrożność zupełnie odgrodzić tę zbiórkę od gazety jako takiej, kazałem administratorowi Mikuliczowi, aby ani grosz z subskrypcji do kasy nie wpływał, lecz aby wpływy były codziennie wpłacane na specjalne konto bankowe; przy zdaniu gazety p. Zawadzkiemu zdałem mu ten fundusz za

specjalnym rewersem. Gdy wkrótce p. Zawadzki odstąpił pismo ks. biskupowi Roppowi, miałem jeszcze możność przekonać się, że fundusz Mickiewiczowski został regularnie zdany nowemu wydawcy, i mając podwójną gwarancję, więcej się o niego nie troszczyłem. Ks. biskup wycofał się z polityki i ze znaczną stratą gazetę odstąpił jakiemuś konsorcjum z dyrektorami bankowymi p. Pawłem Kończą i Aleksandrem Meysztowiczem na czele, redaktora p. Czesława Jankowskiego zastąpił p. Wojciech Baranowski, tego p. Hłasko i dopiero podczas wojny, kiedy po proklamacji w. księcia Mikołaja można było się spodziewać, że erekcja w Wilnie posagu Mickiewicza będzie możliwa, zapytałem się ś. p. Kończę, co się stało z funduszem Mickiewiczowskim? Dowiedziałem się, że już go nie ma i że zamiast posagu na wolnem powietrzu, postawiono w budynku bibliotecznym, darowanym miastu Wilnu przez p. Włodzimierza Łęskiego... popiersie Wielkiego Wieszca.

Gdybym był Francuzem lub Anglikiem, to, ponieważ popiersie, nawet ze srebra wykute, nie mogło pochłoniąć całej zebranej sumy, sprawdziłbym, do czyjej kieszeni wlała i spoczywa różnica między zebraniem kapitałikiem a kosztem popiersia? — Lecz nie chciałem i nie chcę oburzać moich współobywateli takim nieskromnem pytaniem. Jestem Polakiem, znającym swój naród i swój kraj. Jedną z chlubniejszych jego cech jest, że różne zniszczenia, straty lub zmarnowania, które w tamtych krajach mają indywidualnych sprawców, u nas nie mają żadnych; są wynikiem jakichś nieodpowiedzialnych sił żywiołowych tak jak deszcz, który pada, choć nikt go nie leje, lub mróz, który studzi, choć nikt go z amoniaku i próżni nie tworzył, albo wynikają z popełnionego nad sobą samym przez różne przedmioty harakiri. — Kto od czasów Piasta lub Popieła słyszał, żeby w Polsce ktoś coś stłukł, zniszczył, stracił, strwoził lub sobie przywłaszczył? Były: waza, talerz, lusterko, i nie ma ich. Dlaczego? Wiadomo, stłukły się. — Był dobry scyzoryk, a jest połamany: wiadomo: zepsuł się. Gdzie parasol? Zatracił się. Co z pieniędzmi? Rozeszły się. W 1914 r. naród polski posiadał, jak twierdzą ekonomiści, w różnych postaciach dziesięć miliardów franków złotych ruchomego kapitału; teraz go nie ma. Kto go zniszczył lub skradł? Wiadomo: zmarnował się!

Niech tak będzie z subskrypcją Mickiewiczowską.

Zupełnie jednocześnie z Kurjerem Litewskim pojawiło się pismo w języku litewskim pod tytułem: Wilniaus žynios, wydawane przez inżyniera p. Wilejszysa, którego żona i córki zresztą ani słowa po litewsku nie rozumiały. Nie znając także tego języka, miałem tę przykrość, że trzeba było mieć specjalnego dla tego świstka tłumacza. Ale i ten z trudnością się wywiązywał ze swego zadania, bo wówczas jeszcze ten niby język

był w stanic zarodku i składał się właściwie z tylu gwar, ile było na Żmudzi lub Litwie gmin, a przynajmniej powiatów. Przypominam sobie, że mi właśnie w tym czasie siedzącemu w gabinecie w trakcie płodzenia jakiegoś artykułu przeszkadzała bardzo głośna dyskusja w kuchni między służbą. Udaję się do niej, aby nie tak głośnie krzyczeli, i wpadam na debatę polityczno-socjalno-agrarną między kamerdynerem Symonem Tulko, niby Litwinem z łazduńskiej wioski Bobrowicze, gdzie po chałach jeszcze tą gwarą mówiono, moim lokajem wileńskim Konstantym, Litwinem, i kucharką Petronclą, też Litwinką, a wszyscy troje dyskutują po polsku. Ja do nich: „A cóż to, kiedy wasz Wilniaus Żynios codziennie na mnie napada za to, że w waszym „Wilniusie“ pozwalam sobie pisać po polsku, wy troje, Litwini, nie możecie się kłócić w swoim języku?” — Na to Symon wesoło: „Bo widzi J. Pan, ja jestem Litwin z oszmiańskiego powiatu, Konstanty z wilkomierskiego, a Petroncla z telszewskiego. Więc gdybym poprosił o ścierkę, to Pietrusia podałyby mi patelnię, a Konstanty może szczotkę.<sup>1</sup> Naturalnie ten biedny Wilniaus Żynios o wszystkich wówczas palących kwestjach politycznych się nie wypowiadał i nie posiadał żadnego zdania, płaszczył się przed rządem i narodem rosyjskim, a jego jakiś braciszek w Tylży lub Memlu przed rządem i narodem pruskim, i nie znał innego przedmiotu do zapełniania swoich czterech stroniczek jak ciągłe sykanie na polski język, na polskie społeczeństwo i t. d. Dlaczego p. Milewski śmie nazywać swoją polską gazetę Kurjerem Litewskim, dlaczego ludność katolicka wileńska modli się i rozmawia po polsku? To wszystko stanowi najstraszniejszy ucisk. O Krożach już zapomniano. Zniccierpliwiony, palnąłem artykuł pod tytułem: „Do braci Litwinów“, w którym ostrzegając ich, że dawno już ich myśl przerosła ich język, napomknąłem o różnicy między wołem a żabą z bajki; ten artykuł został przedrukowany we wszystkich gazetach warszawskich i krakowskich, poczem srogo poleciłem moim współpracownikom, żeby mi o tej głupiej błędzie litewskiej w gazecie więcej mowy nie było, albowiem toby tylko jej posłużyło za reklamę.

Prócz tego jeszcze i kilka innych moich występow w Kurjerze wówczas zrobiło wrażenie. Dziś po dwudziestu latach już o nich zapominałem, ponieważ cała kolekcja mojego Kurjera została mi skradziona przez tę „zwycięską szablę“ litewską,

<sup>1</sup> Jeszcze w 1913 r., kiedym w Rzymie opracowywał dla kardynała Merry del Val memoriał o kwestji języków w kościołach katolickich w Wilnie, złożyłem konsylium językowe ze wspomnianego Symona, hr. Aleksandra Tyszkiewicza i pokojówki jego matki i okazało się, że to samo słowo, które we wsi Bobrowicze oznaczało ogiera, w Kretyndze nad Bałtykiem oznaczało klacz. Tegoby nie dokazał nawet angielski parlament, który podług jurystów łamecznych wszystko może, prócz z chłopca zrobić dziewczynę lub naodwrot.

która zajmowała moje wileńskie mieszkanie, między najazdem bolszewików i ucieczką tych bohaterów przed generałem Żeligowskim w 1920 r. Jeden z tych artykułów był dobrym uczynkiem. Godzinę przed ostatnim terminem oddania rękopisu do drukarni wzywa mnie do telefonu wyżej wspomniany szef kancelarii generał-gubernatora, p. Stankiewicz: „Zmiłuj się Hipolicie Oskarowiczu, zaostrz swoje pióro, zrób miejsce w jutrzejszym numerze i ratuj wileńskie dzieci od klęski. Wczoraj miało miejsce liczne zebranie rodziców uczniów gimnazjalnych, którzy nie otrzymawszy od kuratora wszystkich żądanych reform, postanowili rozpocząć szkolny strejk. Kazałem Czumiłowowi (redaktor Wileńskiego Wiestnika), aby w jutrzejszym numerze wezwał swoich rosyjskich czytelników do rozumu i rozważ, ale oni gotowi go nie usłuchać, bo gazeta jest pół-oficjalna, a prócz tego obecnie rosyjskie głowy są jeszcze gorzej roznamiętnione niż polskie. Pana zaś jego czytelnicy, posłuchają i kiedy na jutrzejszym zebraniu rodzice Polacy choć w mniejszości sprzeciwia się strejkowi, to mam nadzieję, że to otrzeźwi rozognione głowy moich biednych rodaków czynowników.“ Tak też się stało. W ciągu niespełna godziny, posyłając co kwadrans przez chłopców redakcyjnych oddzielne kartki do drukarni, zdążyłem ułożyć artykuł, w którym, nie wchodząc zupełnie w meritum samych reklamacyj, tłumaczyłem rodzicom, jaką niepowetowaną, może na całe życie, krzywdę wyrządziliby swoim dzieciom, przerywając może na dłuższy czas ich trening umysłowy, przyzwyczajając ich do lenistwa i t. d. Napisany z rzewnością, często właściwą improwizacjom, ten artykuł, zakończony słowami: „Rodzice niech robią starania, dzieci niech się uczą!“ — zrobił takie wrażenie, że na wiecu Polacy jednomyślnie oddali głosy przeciw strejkowi, Moskale rzeczywiście otrzeźwiali i poszli za ich przykładem, i ta głupia impreza, która potem w Kongresówce przyniosła ówczesnej młodzieży tyle szkody, została zażegnana.

Powracając do Bułyginowskiej Dumy najbardziej charakterystyczną jej częścią była zawarta w tej samej ustawie ordynacja wyborcza, do niczego znanego w krajach cywilizowanych niepodobna. Streszczę ją tutaj w kilku słowach, bo tylko w małych szczegółach dokompletowana manifestem 17/30 października, gruntowniej przerobiona dopiero ukazem (nielegalnym) 6 czerwca 1907 r., została naogół podstawową dla wszystkich czterech przedrewolucyjnych Dum państwowych; ustanawiała wybory trzy lub dwupiętrowe, wszystkie stanowe. Włościanie wybierali po dwóch wyborców z gminy do zjazdu powiatowego. Tam z pomiędzy siebie delegowali wyborców do zebrania gubernajnego, które już wybierało posłów do Dumy. Mieszczanie to jest ludność miastowa z bardzo szczupłą reprezentacją robot-



ników fabrycznych, prócz kilku głównych miast, które stanowiły jednostkę wyborczą samą w sobie, tak samo posyłali delegatów do powiatu, a ten do zjazdu gubernjalnego. Nakońcu właściciele ziemscy, nie włościanie, o ile posiadali cenzus ziemski, różny według wartości ziemi, lecz taki, aby odpowiadał wartości szacunkowej dla podatków nie mniej piętnastu tysięcy rubli, mieli głos osobisty w zjeździe powiatowym, a niecenzusowi, do których zaliczali się proboszczowie prawosławni lub katolicy z tytułu gruntów parafjalnych, wysyłali do powiatówki delegatów składkowych. Miało się zatem trzy oddzielne kurje: 1) ziemiańska, 2) miastowo-mieszczańska, 3) włościańska, które już na zjeździe gubernjalnym wybierały, — każda kurja osobno swojego oddzielnego przedstawiciela, a resztę przypadającą na gubernję liczby deputatów wybierali wspólnie. Ilość delegatów powiatowych do zebrania gubernjalnego ustanawiano niby podług ilości mieszkańców oraz ilości posiadanej przez nich ziemi, a w rzeczywistości zupełnie arbitralnie i empirycznie.

Na wspomnianych wyżej naradach w stolicy, odbywanych pod przewodnictwem samego cesarza, pewien Łobko, wówczas kontroler generalny państwa, wmówił w cesarza, który biedaczysko nigdy innego muzyka nie widział jak Susanina, bohatera opery „Życie za cara“, występującego na scenie teatru Maryńskiego, że nató, aby mieć posłuszną i sformą Dumę, trzeba wpakować do niej jak najwięcej muzyków, którzy nieomylnie padną przed nim na kolana i tak jak za Iwana Groźnego będą błagali „Ojczeńku, skazuj na śmierć lub ulaskaw, wola Twoja.“ Podług tego ułożono tabelę podziału głosów na zebraniach gubernjalnych. A że każdemu znającemu ludność państwa było wiadomem, że przedstawiciele różnych stanów będą dawali głosy wyłącznie za swoimi, mogłem w artykule do „Correspondant“ pod nagłówkiem: „Le parlement futur en Russie“ przepowiedzieć na kilka miesięcy przed wyborami, że Duma będzie zawierała nie mniej niż dwustu „muzyków“ lub mało od nich różniących się wiejskich popów. W rzeczywistości znalazło się ich dwustu dwóch z ogólnej liczby czterystu czterdziestu kilku deputowanych.

Wówczas właśnie organizowała się ostatecznie partja t. zw. Kadetów (konstytucyjnych demokratów), podług tradycji wielkiej rewolucji francuskiej prawie otwarcie szturmowała władzę dzięki przeistoczeniu doradczej niby Dumy na Zebranie Narodowe; tak w 1789 r. Stany Generalne przerobiły się na Konstytuante. Ta ordynacja wyborcza zniewoliła Kadetów, aby do siebie zwabić muzyków, rzucić hasło reformy agrarnej z ogólnem wywłaszczeniem powyżej pięciuset dziesięcin. W Rosji reforma ta była o tyle groźniejsza, że miała jako podglebie wspólną własność, a w pewnych częściach państwa do rozproszkowania rozdrobnione nadziały. Ponieważ u nas dzięki Bogu tego nie

było, postanowiłem, przekonawszy się bardzo prędko, że mój Kurjer Litewski dochodzi nawet do siedzib włościańskich, tę kwestję zupełnie ignorować.

Okolo 1 października gazeta miała już przeszło sześć tysięcy stałych prenumeratorów, sprzedaż detaliczna dochodziła do dwóch tysięcy egzemplarzy, a przedpotopowa drukarnia Syrkina przez noc więcej wydrukować nie mogła. To wystarczało dla pokrycia kosztów papieru i druku; lecz koszty redakcji, korespondentów i t. d. mogły pokryć tylko ogłoszenia. Ograniczony przemysł krajowy i archaiczne obyczaje handlowe dostarczały bardzo mało ogłoszeń miejscowych. Lecz wiedząc, że pismo jest już dość rozpowszechnione w Warszawie, wszedłem w korespondencję z trzema głównymi tamiecznymi agencjami i z nimi umówiliśmy się o dzień dla podpisania odpowiednich umów. — Nagotowawszy bigosu gazeciarskiego na dwa dni, wybrałem się do Warszawy nocnym pociągami 9 października 1905 r., biorąc z sobą tylko jedną zmianę bielizny i bez służącego. — Jeden dzień wystarczył dla zawarcia umów z agencjami, i wieczorem wybrałem się napowrót do Wilna. Przyjechałem na dworzec kolejowy na Pradze i dowiedziałem się, że przed godziną wybuchł historyczny wszechrosyjski strejk kolejowy. Był organizowany tak metodycznie, tak powszechnie i tak jednorazowo w całej kolosalnej Rosji, że po dziś dzień nikt mi nie wybije z głowy, że to było dzieło osobiste samego Wittego (już hrabiego). Obdarzony nową godnością prezesa Rady Ministrów po traktacie portsmutskim, który w rzeczywistości był dla Rosji o wiele mniej sromotnym niż się można było obawiać, Witte, który zresztą miał do Mikołaja II osobistą niechęć, postanowił wprowadzić ustrój konstytucyjny, lecz natrafiwszy z jego strony na zasadniczy upór, chciał go przyprzeć do muru, i przyparł.

Powróciłem do Bristolu, od następnego dnia zacząłem codziennie chodzić do Bobrowskiego i kupować bieliznę, przesiadywałem od rana do wieczora w Klubie Myśliwskim i gryzłem się szczególnie myślą, że mój redaktor p. Sadowski tam głowę traci i moją biedną gazetę skompromituje, co też się sprawdziło. O tych ośmiu dniach strejkowych nie wspominam, bo są chyba w pamięci wszystkich. Dnia 18/31 października siedzieliśmy przy śniadaniu w klubie ze ś. p. Włodzimierzem Czetwertyńskim, gubernatorem Martynowem i kilku innymi siwimi głowami i wyśpićywaliśmy „o tempora, o mores“, gdy raptem roztwierają się na oścież drzwi od sali jadalnej, wlatują jak warjaci, mając każdy pod pachą po 10 kilo jeszcze mokrych z pod prasy gazet i skacząc jak żrebięta kolo stołu, rozrzucają po nim swoje pisma założyciele świeżutkiej partji „Spójnia“ (surogat Endecji), trzydziestoletni ks. Seweryn Czetwertyński

i ś. p. ordynat Adam Krasiński. Tak poznałem się z historycznym manifestem 17/30 października. — Przeczytałem go, odczytałem i rzekłem lakonicznie do Martynuwa: „Teraz dopiero rozpocznie się prawdziwy taniec. Niech pan gubernator wyda mi natychmiast paszport zagraniczny, bo jeszcze dziś drapnę do Berlina, stamtąd do Wierzbołowa i choć chłopską furmanką do Wilna.“ I rzeczywiście, gdym koło piątej po południu się wybierał z wizytą na Świętokrzyską, dwóch drabów zatrzymało moją dorożkę, a trzeci, trzymając rękę w prawej kieszeni, lewą wskazał na szeroką kałużę i grzeczniutko: „Może jasny hrabia pofatyguje się do tego błotka?“ Z bohaterstwem godnym jakiego prezydenta Rzeczypospolitej pofatygowałem się. Powróciłem do Bristolu, w którym siedział od dziewięciu dni także kilku przez strejk uwięzionych Niemców; złożyliśmy szpiegowski kapitalik i wynaleźliśmy żydka, prawdopodobnie mającego stosunki z podziemnymi partjami, który zobowiązał się czy tak czy siak dostawić nas do niemieckiej granicy. Wieczorem oświadczył nam, że na nasz koszt najął jakiś stateczek parowy, który nas Wisłą dowiezie do Torunia, lecz dzięki strejkowi dorożek i wogóle wszystkich środków lokomocji musieliśmy wybrać się bocznymi uliczkami i piechotą aż do Wisły, gdzie łódeczkami dostaliśmy się na nasz statek. Płynąc z prądem dla ciszy aż dobrze za miasto, pod wieczór przybyliśmy do Torunia. Nad ranem byłem w Berlinie i zatelegrałowałem do Wierzbołowa do mego zacnego przyjaciela żandarmskiego pułkownika Miasojedowa (w 1915 r. powieszono go za zdradę), aby mnie uprzedził, kiedy wyjdzie jakikolwiek choćby towarowy pociąg do Wilna. To nie trwało długo i 23 października (5 listopada) w nocy już dojechałem do Wilna.

W Wilnie także wrzało tem samem mniej więcej tempem jak w Warszawie, z większą jednak przymieszką żydowskiego elementu. Na drodze z dworca do mego mieszkania koło drugiej w nocy zatrzymał mnie patrol „obywatelski“ z półtuzina żydków podrostków, na ich czele szesnastoletnia żydóweczka, wcale przystojna, która chciała zaprowadzić mnie do jakiegoś żydowskiego „komitetu ogólnego zbawienia“, zasadającego pod kierownictwem Robespiera-Radina (wpomnianego redaktora Siewiero-zapadnawo Słowa), lecz posłyszawszy moje nazwisko, uważane jeszcze za nazwisko obrońcy swobody i ludzkości, łaskawie wypuścić raczyła ze słowem: „rasresaju“. Z rana dowiedziałem się od służby i z leżących na biurku numerów Kurjera Litewskiego, że w Wilnie tak jak w Warszawie (na placu teatralnym) manifest 17/30 października został powilany ogromną manifestacją wyłącznie rewolucyjnego charakteru i przeważnie żydowską. Gubernator Pahlen wyjechał na jej spotkanie, został naprzeciw hotelu „Żorża“ okrążony przez tłum i oddzielony od swego

policyjnego orszaku, zdłoniował się, zgodził się sam prowadzić tłum do dworca generał-gubernatorskiego, tymczasem jakaś amazonka wypaliła mu w plecy wystrzał z małokalibrowego rewolweru, stojący na przeciwnym trotuarze św. Jerzego prospektu (dziś ulica Mickiewicza) pluton wojska na ten wystrzał odpowiedział bez komendy salwą karabinową. Wszystko się rozproszyło, lecz zostało na bruku kilka trupów; było ich także kilka na Zawalnej ulicy.

Podniesiono je i nazajutrz urządzono przy udziale gorliwych zbawicieli narodu uroczysty pogrzeb, dla katolików na Rossie, dla żydów na Popławach. Temu żydowskiemu konduktowi przewodniczył p. Bronisław Umiastowski, widoczny przez swój okazały wzrost i silną budowę. Uporczywie krążyła pogłoska, że obstalowano więcej trumien, niż było rzeczywistych trupów, i że dwie czy trzy z nich były napelnione piaskiem.

Cały ten nowy czternaście lipca 1789 r. czy też 29 lipca 1830 r. zajmował półtorej stronicy mojego, Hipolita Korwin-Milewskiego, własnego „Kurjera Litewskiego“. Zresztą nie bez werwy, z obfitym dodatkiem czerwonego sosu sprawozdanie było napisane i podpisane przez wspomnianego czerwieńca p. Napoleona Raubę. Domyśliłem się, że mój p. Ostroróg-Sadowski od razu dostał rozwolnienia żołądka, wówczas szeroko panującego.<sup>1</sup> Natychmiast polecałem do redakcji, dałem każdemu podług jego zasług należytą burę, postanowiłem głośno, że ani jeden wiersz do drukarni inaczej niż przeze mnie nie będzie wysłany, przez cały tydzień dla równowagi karmiłem moich czytelników rosółem z żubra, co doskonale strawili, lecz in petto dałem sobie słowo, że skoro nastąpi prawo wydawania gazet bez koncesji, co było nieuniknione, za wszelką cenę strząsnę z plec ten ciężar wydawniczy.

Rzeczywiście w kilka dni później Pahlen, który mógł wychodzić, albowiem damska kula dzięki grubo wałowanemu płaszczowi zatrzymała się między kamizelką a koszulą, zwołał naradę wszystkich redaktorów gazet pod przewodnictwem wicegubernatora Bezobrazowa, który się przed nami trząsł, i tam zadecydowano, że prowizorycznie cenzura będzie zawieszona, a wydawnictwo gazet po rosyjsku równie jak po polsku będzie pozwolone na mocy prostego zajawienia. Zaraz potem ks. biskup Ropp, obłożnie cierpiący, poprosił mnie do siebie i zaproponował nabycie ode mnie „Kurjera“. Choć dawał do zrozumienia, że jest przygotowany do sułego „odstępnego“, nie przyjąłem jego propozycji, bo z dość wyczerpującej i z jego strony zupeł-

<sup>1</sup> W owych dniach p. Czumikow, wydawca i naczelny redaktor oficjalnego „Wilenskawo Wiestnika“ rozpoczynał artykuł od słów: „Właściwie jestem z zasady anarchistą“, za co go wykpiłem. W rok później spotkałem go u Stołypina jako referenta prasowego ministerstwa spraw wewnętrznych.

nie szczerzej rozmowy, domyślałem się, że nada gazecie kierunek chrześcijańsko-socjalistyczny, litwomański, w każdym razie nie polski: a przecież tylko dla celów polskich pismo założyłem. To też ks. biskup wypuścił swoje własne „Nowiny Wileńskie“, a prawie jednocześnie powstał specjalnie endecki dziennik i jeszcze jakieś czerwone pismo, niedługo trwałe, p. Michała Romera.

Pod koniec miesiąca ulica zupełnie się uspokoiła, ale zewsząd mówiono, że agitacja rozpowszechnia się po wsiach. W bałtyckich prowincjach rozruchy agrarne wzięły bardzo poważny obrót. Przeszło sto pięknych rezydentów baronowskich zostało zniszczonych. Ruch, choć niekrwawy, zaraził powiaty litewskie kowieńskiej gubernji, gdzie niemało naszych ziemian popisało się godną p. Ostroróg-Sadowskiego walecznością. Bratali się z czeladzią, naprzemian po kilku zapraszali do swego stołu i t. d. Na prośbę niektórych z nich, udałem się do generał-gubernatora Frezego, a ten jednocześnie poprosił mnie, żebym jako wydawca gazety puścił kaczkę, że będą „podjęte szczególnie energiczne kroki“, a poufnie zwierzył się, że żadnych nie będzie, albowiem dzięki głupocie ministerstwa wojny, które od początku wojny japońskiej zamiast formalnej mobilizacji wyławiało po całym państwie kilkorazowo paczki od szczęściu do kilkunastu żołnierzy z rot, w chwili obecnej cztery korpusy będące pod komendą Frezego przedstawiały wogóle z całą garnizonową służbą i ordynansami czternaście tysięcy bagnietów. Gdyby Wilhelm II nie był zarozumiałym i krótkowzrocznym trzpiotem, jakim się okazał, to wówczas, kiedy i Francja także, dzięki Dreifusarowemu generałowi André, była w stanie kompletnej dezorganizacji wojskowej, mógłby być prawie bez wystrzału przespacerować się z jednym korpusem do Moskwy.

Ponieważ jednocześnie mówiono, że w wileńskiej gubernji krążą jacyś ludzie po wsiach i „zdejmują czeladź“, więc nie-spokojny o moje Łazduny i o usposobienie mego ówczesnego roztropnego, lecz mocno liberalizującego administratora p. Lakmunda znowu nagotowałem dla gazety bigosu na kilka dni i poleciałem na jeden dzień do Łazdun. Nazajutrz rano lokaj mi melduje życzącego sobie rozmówić się ze mną o kwestji roboczej „sycylistę“ z sąsiedniej wsi Baczeszniaki: — podobno każda wioska miała już swojego. Wyszedłem do niego do kredensu. Był to chłopiec najwyżej dwudziestoletni. Rozpoczął oczywiście wyuczoną na pamięć perorę w języku rosyjskim; mrugnąłem na lokaja, ażeby otworzył drzwi od kręconych schodów (mieszkałem na piętrze). Zakomenderowałem „sycylistowi“ zwrot na lewo, co machinalnie wykonał, otrzymał z mojej wówczas jeszcze sprężystej nogi pchnięcie w tak popularną na naszym Olimpie część ciała, wyleciał na schody, tam się powalił i tyle

było konferencji. — W południe przyszła do mnie deputacja od czeladzi, która wiedząc od stangreta, że przyjechałem na bardzo krótki czas, oświadczyła mi: „Jak tam będzie w przyszłości, to będzie, ale my ze swoim panem chcemy żyć w zgodzie, więc niech pan sobie jedzie spokojnie, bo kiedy przyjdą nas jacyś ludzie buntować, to inaczej z Łazdun jak rakiem nie wyjdą.“ — Nazajutrz najspokojniej powróciłem do miasta.

W tym czasie odbywał się w Moskwie wielki zjazd działaczy ziemskich, w którym królowała partja Kadetów. Ona zaś słuchiła głównie jakiegoś intryganta angielskiego, p. Stead, który przyjechał do Rosji rozwozić ewangelję konstytucyjną i propagował, jakgdyby nikt o tem nie słyszał, czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze (ogólne, równe, bezpośrednie, tajne), którem wówczas sama Anglja wcale jeszcze się nie cieszyła. Nie mało Polaków, przeważnie ochotników, tam się udało. Między innymi już wspomniany mecenas Tadeusz Wróblewski, naówczas zaufany inspirator ks. biskupa Roppa. Po całym mieście kursowała anegdota, że gdy go ktoś ze względu na częste zmiany jego programu zapytał, do jakiej partji się właściwie zaliczał, odpowiedział: Do żadnej, bo mnie możnaby najtrafniej określić jako „chrześcijańskiego anarchistę.“ Przy jego udziale zorganizowano w wielkiej sali klubu poleskiego miting polityczny, na którym zdał sprawozdanie z moskiewskiego zjazdu. Mówił jak zwykle z wielką swadą, łatwością i górnolotnie; co zaś do treści, to tam można było znaleźć wszystko, co się chciało. To też nazajutrz, dając w Kurjerze szczegółowe sprawozdanie z tego wiecu i mowy mecenasa, zakończyłem artykuł słowami: „Takim było zdanie p. mecenas Wróblewskiego... listopada 1905 r. o godzinie 11 wieczorem.“ Czytelnikom podobno bardzo się to zakończenie podobało.

Powstanie konkurencyjnych pism polskich memu Kurjerowi Litewskiemu pieniężnie nie zaszkodziło, bo liczba czytelników ze wszystkich stron wzrastała, i podczas gdy nowe pisemka słabo się trzymały, Kurjer w listopadzie zupełnie swoje koszty pokrywał. To też otrzymałem w tym miesiącu propozycję o ustąpienie pisma od p. Józefa Zawadzkiego, właściciela polskiej drukarni, jako wydawcy, z dzielnym pisarzem p. Czesławem Jankowskim (byłym współpracownikiem petersburskiego „Kraju“ p. Erazma Piłza) jako redaktorem. Moje zajęcie zaczynało mi ponad siły dokuczać. Zawodowy gazeciarsz może sobie tak, jak kura znosi jajka, codziennie wypuszczać swoje artykuły; tak samo zawodowy adwokat bez zmęczenia codziennie występować z jakąś mową, lecz dla człowieka, który do pięćdziesięciu kilku lat nigdy nie drukował i nie przemawiał, jak tylko wówczas, kiedy miał rzeczywiście coś do napisania lub do powiedzenia, zasiąść codziennie do biurka o pewnej godzinie i wy-

robić w sobie na komendę werwę, natchnienie i ciętość pióra, to jest naprawdę niezdolne. To też chociaż z punktu widzenia handlowego moja gazeta już zorganizowana, ciesząca się wzięciem u klientów, przedstawiała, jak się to potem sprawdziło, niemałą wartość, jednakże jak ją założyłem, z pobudek wyłącznie idcowych, tak ją chciałem opuścić, i żądałem wyłącznie zwrotu kosztów założenia, ruchomości i t. p., czyli około trzech tysięcy rubli, zostawiając nietkniętą kasę, która dzięki prenumeratorom z góry była tłusciutka, i biorąc nawet na siebie indemnizację współpracowników, których p. Zawadzki zatrzymał sobie nie życzył; miałem ostrożność wymówić sobie od p. Zawadzkiego, aby mój Kurjer czasami koziołka nie przewrócił, piśmienną obietnicę, że sam gazety nikomu bez mego zezwolenia nie odstąpi. Co się z tą obietnicą stało, opowiem dalej. Ogółem cała ta wycieczka gazetarska kosztowała mnie znacznie taniej niż nawet utrzymanie jednej tancerki, bo niespełna trzy tysiące rubli. Dnia 1 grudnia z ogromną ulgą zdałem pióro p. Czesławowi Jankowskiemu i pojechałem do Łazdun. A tymczasem rozpoczął się ostatni akt tej próbnej rewolucji rosyjskiej w formie ulicznego powstania w Moskwie.

Zostało ono stłumione dość krwawo, szczególnie dzięki naprędce przysłanemu z Petersburga pułkowi gwardji t. zw. „Siemionowski“, złożonemu przeważnie z Polaków kongresowych, których zachęcała nadzieja „bić Moskale“. Minister spraw wewnętrznych, Piotr Mikołajewicz Durnowo, codzień stawał się więcej niezależnym od Wittego, a w miarę tego rozstrój żółdkowy Mikołaja II ustawał. W końcu miesiąca już ta rekonwalescencja autokratyczna dawała się odczuwać wszędzie na prowincji. Słaby Pahlen został usunięty z Wilna i zastąpiony moim przyjacielem Tatiszczewem, który przesłużywszy kilka miesięcy jako wicegubernator kowieński, został przeniesiony w najgorszej chwili do Kiszniewa, a okazawszy tam jednocześnie energję i umiarkowanie, otrzymał jako nagrodę gubernatorstwo wileńskie. Nie obeszło się bez tego, żeby nie było jeszcze kilku przedostatnich drgic. W Łazdunach wszystko było spokojnie, lecz zaczęto gadać o podziale majątków między włościan. Spotkałem pod kościołem jednego z moich dobrych przyjaciół, chłopów, (a miałem ich kilku, wszystkich prawdziwie zaonych i, w granicach bardzo ciasnego ich widnokręgu, znakomicie roztropnych ludzi) i zapytałem: „Tomaszu, a ty będziesz moją ziemię zabierał?“ „A na co mnie pańska ziemia? Mam pełny nadział (16 hektarów), starsza córka zamężna, starszy syn osiadł w Rosji, zostali tylko młodsi syn i córka. Niczego w domu nie brak, a z żoną we czworo ledwie możemy swoją gospodarkę obrobić. Na co mnie pańska ziemia?“ „To znaczy, że kiedy będą ją rozdawali, to ty się udziału wyrzekniesz?“ „A nie, panoczku, brać od pana to nie będę, ale kiedy będą

rozdawać, czemu nie brać, kali dając?" Wybuchł znowu częściowo dwu czy trzydniowy strejk kolejowy jako śpiew łabędzi, i musiałem tak jak przed dwudziestu laty powrócić do Wilna swojemi końmi, nocując po drodze u znajomych.

Tymczasem w Wilnie ambitny ks. biskup Ropp, który choć w dojrzałym wieku został kapłanem i to najgodniejszym w świecie, z urodzenia jednak i z temperamentu<sup>1</sup> był krzyżakiem z czasów Juranda, zwołał ogromny wiec, na którym postanowiono założyć jego partję chrześcijańsko-demokratyczną; w krótkim czasie wydrukował w swoich „Nowinach” oraz wszędzie rozesłał program polityczno-socjalny, ułożony przy bliższym współudziale p. Tadeusza Wróblewskiego. W tym programie między innemi domagano się kompletnej wspólności lasów dla obecnych właścicieli i włościaństwa. Mój następca w Kurjerze, p. Czesław Jankowski, sam ziemianin i z tego samego co i ja powiatu oszmiańskiego, czuł potrzebę zgruchotania tej partji i tego programu; znalazł poparcie u ogółu ziemian, nawet takich, których nazwiska figurowały pod programem ks. biskupa Roppa, między innymi Józefa Montwiłły i Stanisława Łopacińskiego, prezesa Towarzystwa Rolniczego witebskiego; okazało się bowiem, że choć rzeczywiście na przedwstępnej naradzie u ks. biskupa przyrzekli ogólnikowo swoje przystąpienie do partji chrześcijańsko-demokratycznej, lecz w redakcji samego programu żadnego udziału nie brali i własnoręcznie go nie podpisali. Jednakże p. Jankowski, czy to dlatego, że chciał cichaczem menażować wojowniczego księcia kościoła, czy też, że nie czuł się jeszcze dostatecznie mocnym na siodle, poprosił mnie, żebym osobiście i w artykule z moim podpisem rozpoczął kontratak. Zgodziłem się i udało mi się do tego stopnia, że w obozie dobrowolnym czy przymusowym ks. biskupa powstały wszechkrajowy płacz i zgrzytanie zębów. Sypały się w ciągu paru tygodni codziennie w „Nowinach” Jego Ekscelencji, a nawet w innych polskich pismach, bądź z podpisem samego biskupa Roppa, bądź pokolei wszystkich proboszczów jego obszernej diecezji, protesty, ekskomuniki, wyklęcia i t. d. Siedziałem spokojnie jak bokser, który wymierzywszy dobry cios w bolesne miejsce przeciwnikowi, liczy na sekundy, jak długo przeciwnik leży na podłodze, a potem wydystylowałem ogólną odpowiedź w tymże Kurjerze. Może trochę przesoliłem. Nietylko porównałem ks. biskupa do tych opancerzonych kardynałów XVII wieku, wsławionych fechtistrzów, de la Vallette i de Retz, którzy pod La Rochelle lub pod St. Denis osobiście konno prowadzili ataki, lecz ponieważ mój przeciwnik zarzucał mi,

<sup>1</sup> Napoleon I powiedział: on peut agir contre ses convictions, contre ses sentiments, et même contre ses intérêts — mais on n'agit pas contre son tempérament.



że nie po rycersku czepiałem się w jego programie niedokładności stylistycznych, przypomniałem mu, że kto się bierze do układania programów ekonomicznych i politycznych, powinien pisać piórem stalowem, „a nie kropidłem“. Potem polemika ustała i cała partja wyzionęła ducha z postępowej anemji.

---

## Rozdział VI.

Rok 1906. — Wybory do Dumy i Rady Państwa.

Naogół w końcu stycznia 1906 r. cała burza polityczna przynajmniej zewnętrznie zaczynała się uspokajać. Czulem się mocno zmęczony i potrzebowałem kuracji kąpielowej w roztworze zdrowego rozsądku, której mógł mi dostarczyć tylko Zachód. W końcu lutego wybrałem się do Berlina i Paryża.

Wkrótce po moim przyjeździe gazety rosyjskie przyniosły tekst nowego aktu, niebardzo oczekiwanego, który reorganizował Radę Państwa jako Izbę Wyższą, z temi samemi co Duma prawami z dodatkiem członków z wyboru w liczbie równej z członkami koronnymi. A w trzy dni później otrzymałem list od p. Adama Bohdanowicza, który już się stał moim impresario. Donosił mi, że nowy akt zrobił wśród ziemianstwa ogromne wrażenie; naogół oczekują od tej zreorganizowanej Rady Państwa lepszych i praktyczniejszych rezultatów niż od Izby Niższej, a ponieważ w każdej gubernji europejskiej, których było 56, miały Ziemstwa gubernjalne tam, gdzie działały, a w innych zjazdy pełnocenzusowych właścicieli ziemskich, wybrać po jednym przedstawicielu, więc liczni ziemianie mają mnie na widoku jako swego kandydata. Kończył, zapytując, czy jestem gotów przyjąć tę kandydaturę i czy zechcę go upoważnić do jej postawienia. O kandydaturze do Dumy Państwowej nie myślałem ani jednej chwili, wiedząc, jak powiedziałem wyżej, że będzie złożona napół z muzyków, a napół z warjatów; co zaś do Rady Państwa to mi się zdawało, że więcej odpowiada „mojemu rodzajowi piękności“, lecz kwestja była, czy wytrzymam i niebezpieczny klimat petersburski i wytężenie fizyczne, związane z gorliwym udziałem w pracy parlamentarnej. Udałem się do profesora Hayem, wówczas mego spowiednika co do zdrowia. Ten bardzo rozumny człowiek, z jednej strony poradził mi przyjąć propozycję, bo wstępuję w wiek, w którym głównem niebezpieczeństwem jest próżnia życiowa, a z drugiej strony, żebym miał do ciągłego rozporządzenia kryty powóz,

oraz bym przekraczał próg pałacu Izby, mając zawsze w kieszeniach podwójny „doping“, mianowicie średnią dozę Koli do połknięcia w chwili, kiedy się zapisuję do głosu, dla wzmocnienia ruchu płuc, i chusteczkę nasiąkniętą mocnym roztworem mentolu, którąbym co kilka minut podnosił do ust dla ożywienia strun głosowych. Oba dopingi udały mi się wyśmienicie. Odpowiedziałem Bohdanowiczowi, że w zasadzie upoważniłam go do postawienia mojej kandydatury, lecz musi wziąć na siebie całą agitację wyborczą, bo ani myślę przerwać wypoczynku wcześniej, niż za miesiąc, a potem będę musiał poświęcić pewien czas Łazdunom, które po dziewięciu miesiącach wiru gazeciarsko-politycznego bardzo potrzebowały choć krótkiego rzutu pańskiego oka.

W Wilnie mój impresario oświadczył mi, że prawdziwie niezawisła część ziemiaństwa murem stoi za mną, ale będę miał przeciwko sobie primo wszystkich świętoszków z powodu mojej niedawnej walki z ks. biskupem Roppem, prawdopodobnie klikę bankową, która jeszcze oplakuje obcięte jej przeze mnie tantjemy, a napewno organizowaną Endecję (Bohdanowicz sam był nią mocno zarażony), ponieważ wiadomo, że na mocy najwyższego ukazu z Warszawy kandydatem partji będzie już wspomniany Wawrzyniec hr. Puttkammer, wnuk Mickiewiczowskiej Marylki Wereszczakówny i przez to samo opromieniony częściowo aureolą świętości patriotycznej. Naogół obliczał obecne moje szanse na 40 %, dodając, że kiedy go upoważnię zorganizować przedwyborcze zebranie w wigilję samych wyborów, to spodziewa się, że moja gęba przyciągnie jeszcze przynajmniej 15 %. Upoważniłem go i pojechałem na wieś. Wybory do Dumy Państwowej były już naznaczone na początek kwietnia, około ósmego, a do Rady Państwa, kilka dni później.

Wybory do Dumy odbywały się w sposób następujący: Wszyscy wyborcy, tak pełnoprawni jak i delegaci, musieli się zebrać w jednej sali przed godziną dwunastą, po której nikogo już nie wpuszczano. Po sprawdzeniu przez przewodniczącego marszałka szlachty uprawnienia każdego z obecnych zaczęło się od wyznaczenia kandydatów kartkami, poczem tych, którzy kandydaturę przyjęli, balotowano gałkami, i za wybranych uważali się w miarę otrzymanych białych gałek tylko ci, którzy otrzymali ich więcej niż połowę. Nie robiłem sobie żadnej iluzji co do tego, że przejdę na gubernjalnego wyborcę, albowiem w wigilję miało miejsce dość liczne zebranie przedwyborcze, na którym nie kto inny, jak tylko p. Czesław Janowski, redaktor ex-mojego Kurjera Litewskiego, ten sam, który mnie naszczywał na barona Roppa, wystąpił gwałtownie przeciw wybraniu mnie na członka gubernjalnego zjazdu wyborczego, t. j. jednocześnie podług prawa na możebnego kandydata

do Dumy Państwowej. Chodziło o to, że w międzyczasie p. Feliks Zawadzki, zupełnie nie troszcząc się o swoje względem mnie zobowiązanie nieodstępowania nikomu gazety bez mego zezwolenia (w Polsce jak kto chce), sprzedał ją z sutym podobno zarobkiem temu samemu biskupowi v. Ropp; a że ten kandydował do Dumy i p. Jankowski także, bali się nie mojej kandydatury, o której wiedzieli, że jej nie przyjmę, ale mego wpływu na zebraniu gubernjalnem. Za to ten sam p. Jankowski głośno oświadczył, że zamierza całemi siłami popierać moją kandydaturę do Rady Państwa, czego też dotrzymał. Przewaliłem się z braku kilku głosów, bo pełnocenzusowi ziemianie mimo wszystko głosowali za mną; naturalnie mało sobie z tego fiaska robiłem.

Podczas powrotu z Oszmiany spotkałem starego jegomościa, który choć go osobiście nie znałem, bardzo uprzejmie mi się uklonił. Ponieważ z wyglądu i podług wcale porządnego ekwipażu musiał być pełnocenzusowym wyborcą, zatrzymałem się na chwilę i zapytałem go, czy się nie spóźnił na wybory; a on: „Nie, Panie, bo nie pojechałem; ja tej szopki nie uznaję. Byłem całe życie gnębiony i będę, lecz wolę, żeby mnie gnębił jeden dureń niż pięciuset durniów.“ Nieglupi staruszek.

W parę dni później odbyły się ostateczne wybory do Dumy Państwowej. Najpierw z miasta Wilna, które stanowiło oddzielny okręg wyborczy, a nazajutrz z gubernji. W Wilnie, dzięki pomocy wyborców prawosławnych, a mimo silnej organizacji żydowskiej, przeszedł z łatwością poseł Polak (jeśli mnie pamięć nie myli), mecenas Michał Węglawski. W zjeździe gubernjalnym kurja ziemiańska i kurja chłopska miały prawie równą liczbę głosów, a języczkiem u wagi była kurja mieszczańsko-miasteczkowa, wśród której przeważali żydzi. Dzięki kolejnym koalicjom chłopów to z kurją ziemiańską, to z żydowsko-miasteczkową, i targom, które trwały całą noc, prowadzonym przez wspomnianego dyrektora banku, Bortkiewicza, pięć mandatów gubernji podzieliły się tak: dwóch włościan, jakiś mieszczanin katolik, ks. biskup Ropp i p. Czesław Jankowski. W Kownie i w Grodnie rezultaty okazały się oplakane: dzięki koalicji chłopów z żydami przeszło tylko po jednym, obowiązkowym, ziemianinie Polaku. Nawet Mińsk, w którym na podstawie obszaru ziemi kurja ziemiańska, złączona z przedstawicielami miasta Mińska, miała absolutną większość, dał ośmiu Polaków i tylko jednego obowiązkowego chłopca. Za to gubernje białoruskie, witebska i mohylewska, oraz rusińskie, Wołyń, Podole i Ukraina, w których włościanie sami mieli więcej niż połowę głosów, dały razem tylko pięciu posłów Polaków; ogółem Kresy miały ich dziewiętnastu. Królestwo Polskie z miastem Warszawą włącznie wysłało trzydziestu czterech Polaków, wskutek czego w Dumie zjednoczone Koła Polskie, kongresowe

i kresowe, przedstawiały poważną liczbę pięćdziesięciu trzech głosów.

Niebawem też nastąpiły wybory do Rady Państwa. Na urządzonym przez Adama Bohdanowicza przedwyborczym zebraniu, przed jego zagajeniem, moje szanse przedstawiały się mniej więcej tak, jak Bohdanowicz przewidywał, lecz w parę godzin już wzrosły daleko więcej, niż się spodziewał, szczególnie dzięki niezręczności mego jedyne go konkurenta, Puttkammera. Otrzymawszy pierwszy głos, wystąpiłem z metodycznym programem politycznym na wzór zachodnich i przede wszystkim starałem się podług mego zwyczaju być jasnym i stanowczym. Uprzedziłem między innymi panów wyborców, że chociaż jako Polak będę miał przede wszystkim na względzie interesy ludności polsko-katolickiej naszego kraju, jednak będę się uważał za przedstawiciela i pełnomocnika całej ludności gubernji, nie wykluczając nawet żydów. Gdybyśmy bowiem prowadzili inną politykę niż pojednawczą, to chociaż stanowimy jakoś c i o w o główny element kulturalny gubernji wileńskiej, i l o ś c i o w o jesteśmy w mniejszości i moglibyśmy się znaleźć w położeniu „emigrantów w kraju własnym“. Obiecywałem także, że nie ograniczę mojej czynności w Izbie Wyższej na sprawach dotyczących wyłącznie choćby całego Kraju Zachodniego i Królestwa Polskiego, lecz przekonany, że nasza przyszłość zależy od szczerego połączenia ze społeczeństwem rosyjskiem, będę się starał udzielić pomocy, jaką jestem w stanie przynieść, także zagadnieniom, dotyczącym się rdzennie rosyjskich prowincyj.

Nietrudno było dostrzec, że ta mowa, która zgóry dobrze przygotowana trwała mniej więcej godzinę i została przez p. Jankowskiego przez noc obszernie streszczona i bardzo życzliwie komentowana na łamach Kurjera Litewskiego, zrobiła na moich słuchaczach dodatnie wrażenie.

Po mnie wstał p. Puttkammer. Ku ogólnemu zdziwieniu, zupełnie nie dotykając żadnego z traktowanych przeze mnie przedmiotów, puścił się na niezmiernie długą dysertację o taryfach kolejowych, które jako były inżynier znalazł dobrze, i które rzeczywiście, wyrachowane na korzyść gubernij wewnętrznych, były dla zachodniej części państwa niekorzystne; poczem, prawdopodobnie przeceniając potęgę swojej partji czy przez ostrożność względem obecnych na zebraniu kilku ziemian Rosjan, zakończył temi słowami: „Co zaś do moich przekonań politycznych, one są znane moim partyjnym przyjaciółom.“ Aż tu raptem wstaje szlachcic ziemianin p. Boharewicz i powiada: „Ja przyszedłem tutaj, aby się dowiedzieć o przekonaniach politycznych i zamiarach naszych kandydatów do Rady Państwa. Wysłuchawszy p. Milewskiego, chociaż nie wchodzę w rozpatrzenie jego programu, jednakże doskonale wiem, jakim on jest i czego od tego kandydata mogę się spodziewać. Co zaś do p. hr.

Puttkammera usłyszałem od niego tylko, że o jego linii politycznej wiedzą jego przyjaciele. Ponieważ nie mam zaszczytu należeć do ich rzędu, więc jutro będę głosował za p. Milewskim.“ Przeszedł przez całe audytorjum jeden z tych ledwie dostrzegalnych i nieomylnych prądów, które mnie przekonały, że płynę na wierzchu fali, a mój niezręczny konkurent sam się utopił.

Nazajutrz od samego rana (takie oficjalne wybory rozpoczynały się o godzinie dwunastej) przyszli do mnie kolejno młody p. Wacław Łaskowski, ziemianin z oszmiańskiego powiatu, i p. St. Laskowicz z lidzkiego i obaj oświadczyli, że choć należą do partji N. D., mają zamiar po wczorajszem zebraniu puścić kantem naznaczonego im z Warszawy kandydata, lecz chcieliby wiedzieć, jakie zajmę stanowisko względem ich partji. Powiedziałem im, że jeśli chodzi o postulaty partji, to naogół będę je popierał, bo są mi bliższe niż zbyt skromne życzenia partji realistów, lecz zachowam swoją całkowitą niepodległość, albowiem nie mogę się zgodzić ani z organizacją, ani z metodami ich partji; uważam, że polityczna partja nie powinna wyglądać na spisek, przyczem zamierzam względem Rosjan w obecnej pomyślnej konjunkturze trzymać się tej samej linii, której się trzymałem od blisko trzydziestu lat, t. j. nie lizać zwiniętej w kulał ręki i nie kasać wyciągniętej do zgody.<sup>1</sup> Obaj ci panowie obiecali mi, że będą razem ze swoimi towarzyszami partji głosowali za mną.

Na sali p. Puttkammer, oczywiście uprzedzony, formalnie rzekł się kandydatury; innej nikt nie postawił; przystąpiono do balotowania gałkami i otrzymałem ich sto trzydzieści cztery białych przeciw dwudziestu dwom czarnym. Okazało się, że i endecja i bank skapitulowały na moją korzyść, a nieprzejednanymi zostali tylko świętoszki. Lecz i ci tegoż i następnego dnia złożyli mi swoje dobre życzenia, skoro się dowiedzieli, że jednym z pierwszych, którzy mi winszowali mego powodzenia, był właśnie ks. biskup Ropp. Także na sali p. Adam Plater, który jako gubernjalny marszałek przewodniczył zebraniu, a za nim wszyscy tak zwani bankowicze, uprzejmie mi złożył swoje powinszowania i odrazu zapanował pokój na ziemi między ludźmi dobrej woli.

Dzień po dniu odbywały się wybory i w innych guberniach, albowiem otwarcie Izb już było naznaczone na 27 kwietnia (10 maja). Otrzymawszy w ciągu następnego dnia liczne depesze gratulacyjne od zupełnie mi nieznanych Rosjan z Peters-

<sup>1</sup> W ciągu dwudziestu trzech lat między gen. gubernatorem Albedyńskim i ks. Mirskim moja noga nie była w wileńskim pałacu gen. gubernatorskim. Znowu się tam pokazałem dopiero za Mirskiego i Frezego.

burga. Moskwy i prowincyj rosyjskich. nazajutrz wyjechałem do Poznania na ślub jednego z moich siostrzeńców z Wielkopolką, panną Kęszyką. Jak koń pocztowy powróciłem przez Warszawę, gdzie się także odbyły wybory, i spotkałem w Klubie Myśliwskim trzech moich przyszłych kolegów. Parę dni odetchnąłem w Wilnie i 6 maja z rana trafiałem do Petersburga, gdzie już miałem zamówione mieszkanie umeblowane na Spokojnej (za placem Maryjskim) części Wielkiej Morskiej. Po pierwszych formalnościach, jak wizyty u prezesa Rady Państwa hr. Solskiego i sekretarza państwowego barona Uksküll'a, starałem się nawiązać kontakt z moimi towarzyszami Polakami. Pierwszy raz zebrał nas poseł ziemi kowieńskiej, hr. Aleksander Tyszkiewicz, którego wybór był pierwszym w całym państwie.<sup>1</sup>

Na ten zebraniu, któremu przewodniczył według zwyczaju gospodarz, poznaliśmy się wszyscy między sobą, bo ja znałem osobiście tylko posłów sąsiednich gubernij, pp. Tyszkiewicza, Daszkiewicza i Wojniłowicza, oraz członków Myśliwskiego Klubu w Warszawie, pp. Kronenberga, Ostrowskiego i Dobieckiego; niektórzy inni przyjechali do stolicy, nie znając osobiście ani jednego ze swoich kolegów Polaków. Postanowiono w zasadzie, że się zorganizujemy w dwa Kola, jedno koronne, drugie kresowe, stanowiące między sobą tak zwany Związek Kół, a resztę odłożono do mającego się odbyć nazajutrz w pałacu Rady Państwa (tak zwany pałac Maryjski) walnego zebrania wszystkich członków Izby Wyższej z wyborów oraz do uroczystego otwarcia obu Izb przez Najjaśniejszego Pana.

Na zebraniu w pałacu Maryjskim narady zaczęły się od kwestji stroju; mianowicie czy członkowie z wyboru przyjmą czy nie propozycję rządową, aby nosili ten sam mundur (w którym pod złotymi haftami prawie sukna widać nie było), co członkowie z nominacji cesarskiej, czy też będą nosili ubiór cywilny. Przy moim żywym udziale w dyskusji stanęło na tem ostatniem postanowieniu. Nietrudno było wyłómaczyć, że wobec Dumy Państwowej takiej, jaką ona wyszła z urn wyborczych jedyną siłą Izby Wyższej może być to, że nie jest tak jak dotychczasowa Rada Państwa instytucją wyłącznie biurokratyczną, lecz że opiera się także na siłach społecznych. Tu też, nieformalnie i bez efektów krasomówczych, kilku mówców, między innymi bardzo do rzeczy p. Edward Wojniłowicz z Miń-

<sup>1</sup> Ówczesny ceremoniał wymagał, by o każdej zmianie w składzie Rady Państwa minister sprawiedliwości osobiście referował cesarzowi; ponieważ prawie jednocześnie był wybrany do Dumy Państwowej młodszy brat p. Aleksandra p. Władysław, który przez całą zimę od manifestu 17/30 października trzymał w Warszawie otwarty dom polityczny i - endekował na potęgę. Mikołaj II, słysząc, że do Rady Państwa wstąpił Tyszkiewicz, z uśmiechem zapytał: „Który, czy król polski?”

ską, zarysowało stanowisko grup, do których należeli. Już przy końcu tego zebrania wiedzieliśmy, że cała Izba podzieli się na trzy grupy, mianowicie prawica, złożona głównie z członków z nominacji cesarskiej, centrum przeważnie z członków z wyborów, oraz bardzo nielicznej (około dziesięciu) paczki t. zw. Kadetów - profesorów lub przemysłowców.

---



## Rozdział VII.

Inauguracja Izb. — Pierwsza Duma. — Izba Wyższa.  
— Związek Kół Polskich. — Rozwiązanie pierwszej  
Dumy. — Stołypin.

Dnia 27 kwietnia (10 maja), przy niepamiętnej od dziesięć lat o tej porze roku w Petersburgu pięknej i nawet upalnej pogodzie, miało miejsce w pałacu zimowym uroczyste otwarcie obu Izb przez cesarza Mikołaja II. Scena była imponująca nie tylko z powodu blasku zewnętrznego, bo zapożyczono ceremoniał koronacyjny z przywiezionemi z Kremlu w Moskwie godłami (korona, berło, płaszcz gronostajowy, miecz i sztandar cesarski), lecz i dlatego, że każdy czuł, że w tysiącletniej historii tego kolosalnego państwa coś się na wieki załamuje. Nas wprowadzono ze strony paradnego wejścia od Newy jednocześnie z „ważnymi“ uczestnikami t. j. Senatem i korpusem dyplomatycznym; zebraliśmy się w paru salonach poprzedzających salę tronową. „Ciemnych dumców“, jak ich już nazywali nawet dorózkarze, wprowadzono od przeciwnej strony, a rodzina cesarska częściowo przenocowała w pałacu, dla ostrożności przyplłynawszy przez Nową z Peterhofu, częściowo zaś zebrała się o ósmej z rana w wewnętrznych apartamentach i tam się przebrała. Tu dopiero poznaliśmy się z zupełnie nowym ministerjum, albowiem trzy dni przed otwarciem Izby Mikołaj II miał nieostrożność, ulegając swojej osobistej niechęci ku Wittemu, wydalić go, cały jego gabinet zastępując p. Goremykinem jako prezesem rady ministrów i zupełnie nowymi ministrami, nieprzygotowanymi, bez określonego planu i bez programu, tak że wszyscy, obie Izby prawodawcze, rząd i sam monarcha, byli jak w lesie. Kilku z nowych ministrów już znałem. Między innymi Stołypina, byłego marszałka gubernjalnego kowieńskiego, potem gubernatora w Grodnie i na koniec w Saratowie, gdzie się w najburzliwszym czasie odznaczył razem zimną krwią i stanowczością. Przyjechał w wigilję już jako minister spraw wewnętrznych. Oczywiście nikogo w tem licznie zebraniu jeszcze

nie znał i rad był odnowić znajomość ze mną, Tyszkiewiczem i Daszkiewiczem.

Przed samą jedenastą wprowadzono nas do jeszcze pustej sali tronowej i ulokowano po prawej stronie tronu, o dziesięć kroków od niego. Nie więcej niż pięć kroków oddzielało nas od małej estrady, na której się ulokowały panie z rodziny cesarskiej w oczekiwaniu dwóch cesarzowych. Naprzeciw nich, t. j. po lewej stronie tronu, Senat, najwyższy trybunał sądowy i administracyjny, w pysznych, z czasów Piotra Wielkiego dających się czerwonych mundurach. Za nami, Radą Państwa, w głębi sali, także po prawej od tronu stronie, korpus dyplomatyczny, a cała lewa strona, naprzeciw nas i korpusu dyplomatycznego, była zostawiona dla czterechset pięćdziesięciu „ciemnych dumców“, którzy musieli się cisnąć jak śledzie w beczce. Bardzo liczni z nich, nietylko „muzyki“ lecz i półinteligenci, umyślnie przyszli w wysokich, zapyłonych butach, codziennem ubraniu a nawet brudnej bieliźnie. Polacy byli wszyscy we frakach i białych krawatach. W samym środku pierwszego rzędu ks. biskup Ropp ze swoją szczupłą fizjonomją, arystokratyczną postawą i we fioletowym płaszczu, bardzo korzystnie się odbijał na tle długowłosych, brodatych i rozczochranych popów. Na chórach prasa i pewna liczba uprzywilejowanych widzów.

Punkt o jedenastej otworzyły się na drugim końcu sali naprzeciw tronu podwoje i przy dźwiękach hymnu „Boże Cara chrani“ wszedł cesarz, za nim obie cesarzowe, z koronami na głowie, młodsza, lecz panująca, po prawej, cesarzowa-matka po lewej od niej stronie, na przodzie i z tyłu wyżsi dygnitarze dworscy, między nimi nasz p. marszałek Adam Plater, który wtenczas piastował najwyższą rangę oberhofmajstra. Dwóch uprzejmych kolegów wysokiego wzrostu, wysunęło mnie przed siebie tak, że widziałem jak na dłoni jednocześnie orszak cesarski, który przechodził przez niezbyt szerokie przejście między korpusem dyplomatycznym i Radą Państwa z jednej strony, a „ciemną Dumą“ z drugiej, oraz sam tron. Od chwili, kiedym ich spostrzegł przy wejściu, miałem jasne wrażenie, że cesarz Mikołaj i cesarzowa Aleksandra posuwają się naprzód w mocnem przekonaniu, iż idą na śmierć: on wyprostowany, sztywny, stawił automatycznie nogę przed nogą jak na paradzie; tak musiał w wózcie zamku Vincennes iść do słupa ks. d'Enghien; ona zaś, wówczas trzydziestopięcioletnia, wysoka i kształtna kobieta, przygarbiona, z obu policzkami jakby namalowanemi krwią; obok niej cesarzowa-matka, mała, rezolutna, z wyrazem wściekłości na twarzy, patrzyła jasno i bardziej wyzywająco. Oczywiście wszyscy troje w ciągu długiej defilady wzdłuż „ciemnych dumców“ mieli przekonanie, że z pośród nich padnie na nich jakaś bomba; albowiem ledwie Mikołaj II doszedł do stóp tronu, a obie cesarzowe do swojej estrady, nastąpiła rap-

lowna zmiana dekoracji. Obracając się do nas, cesarz miał już ruchy swobodne, elastyczne, wyraz oczu spokojny, dotknął się lewą ręką gronostajowego płaszcza zawieszonego na poręczy tronu, lekko go podniósł, jakby się przybierał go włożyć i opuścił go znów, eleganckim ruchem przyjął od ministra dworu hr. Fryderyksa zwinięty pergamin z tekstem mowy tronowej, lecz ledwie rzucił nań okiem, patrząc wprost na salę, wypowiedział ją napamięć pewnym, pełnym, dochodzącym do wszystkich zakątków ogromnej sali barytonem, a gdy zakończył słowami: „Niech Bóg pomoże mnie i wam“, to z taką pyszną i stosowną intonacją, że nabrałem przekonania, iż musiał tę mowę repeto-ować z jakimś aktorem teatru Aleksandryjskiego, prawdopodobnie Dalmałowem. Lecz skoro zeszedł z tronu, a za nim znów cesarzowe, i skierowali się napowrót przez niebezpieczne przejście, ta sama sztywność, ten sam wyraz twarzy jednocześnie srogi i przerażony.

Ponieważ pierwsze posiedzenie Rady Państwa było naznaczone na godzinę trzecią, a Dumy Państwowej na godzinę pierwszą, miałem czas na pół godzinki zajechać na tę historyczną inaugurację, być świadkiem z łoża Rady Państwa, jak podług „praw zasadniczych“ czyli konstytucji wiceprezes Rady Państwa Frysch zagał pierwsze posiedzenie Dumy, wzywając Izbę do wybrania sobie przewodniczącego, co zostało dokonane w kilka minut jednogłośnie, bo już dawno był na to upatrzony moskiewski deputowany profesor Muromcew.<sup>1</sup> Mogłem jeszcze wysłuchać wstępu jego niedługiej mowy od słów: „Dokonywa się rzecz wielka“, potem zajechać do restauracji Cubat, przepełnionej kolegami, i trafić do kolosalnej i pięknej sali w tak zwanem Zebraniu Szlacheckiem, w którym się odbywały przez pierwsze dwie sesje walne posiedzenia Rady, ponieważ w jej własnym gmachu, byłym pałacu w. księżnej Marji, żadna sala stu osiemdziesięciu oddzielnych foteli, pokrytych czerwonym aksamitem i odpowiedniej ilości stołów, tak samo pokrytych, pomieścić nie mogła. A nie wypadało, żeby nasze „wysokie ekscelencje“ siedziały na ławkach przed pulpitemi, tak jak „ciemne dumcy“. Przewodniczył aktualny prezes starej Rady

<sup>1</sup> Podczas ostatniego pobytu w Paryżu w przewidywaniu wyboru mego do Rady Państwa zaszedłem do p. Charles Benoit, znanego profesora prawa państwowego i deputowanego, aby go poprosić o zestawienie mi listy lepszych i nowszych dzieł w dziedzinie nauk, z którymi miałbym do czynienia, dla odświeżenia mojej trochę przestarzałej biblioteki. Tylko co miał wizytę pani Muromcew, która w imieniu męża prosiła go, ponieważ jest pewnym, że będzie prezesem Dumy, a Duma przeistoczy się w Konstytuante, aby mu zrobił projekt konstytucji dla państwa rosyjskiego, lecz z warunkiem, że będzie gotowy do jutrzejszego rannego pociągu. P. Benoit odpowiedział, że gdyby nawet szło o projekt konstytucji dla Francji, potrzebowałby nie ośmnastu godzin lecz ośmnastu tygodni, a dla Rosji, której zupełnie nie zna, prawdopodobnie ośmnastu lat.

Państwa (honorowym prezesem był w. książę Michał Mikołajewicz) hr. Solski, przeszło siedmdziesięcioletni tłuścioch, który podniósłszy się na dwóch łokciach, żeby ogłosić otwarcie posiedzenia, odwalił się nazad do swego fotelu jak snop i więcej go nie widzieliśmy; przed następnem posiedzeniem już został mianowany na jego miejsce wiceprezes Frysch, nie młodszy, lecz więcej rzeźwy. To pierwsze posiedzenie było tylko formalnem z natury rzeczy, a w Dumie Państwowej wskutek czy głupoty, która była bezdenne, czy też złej woli — także bezdennej — rządu, aby Izby „gotowały się w swym sosie“ i przez to dyskredytowały się w opinii publicznej, nie przygotowano dla nich ze strony rządu najjnniejszego wniosku prawodawczego i dopiero na trzecim posiedzeniu Dumy przedstawiono jej wniosek o otwarcie kredytu kilkunastu tysięcy rubli na budowę ciepłicy i łaźni przy uniwersytecie dorpacim.

Nim przystąpię do chronologicznej opowieści ówczesnych wypadków, uważam za stosowne naszkicować kolejną skład, fizjonomję i usposobienie dwóch ciał, wśród których miały się rozegrać moje kilkoletnie popisy t. j. samej Rady Państwa, oraz Związku Kół kongresowego i kresowego. Zacznę od pierwszego.

Do reformy liczba członków Rady z nominacji cesarskiej (jak się sami nazywali: ozłoconych) była prawnie nieograniczona, lecz faktycznie nigdy nie przekraczała stu kilkunastu, z których rzadko zasiadało więcej niż osiemdziesięciu, albowiem reszta składała się z inwalidów, czy też wysokich dygnitarzy, urzędujących zagranicą lub na prowincji. Podług nowego statutu brać udział w pracach Rady mogło tylko tylu członków 1 stycznia osobiście przez cesarza naznaczonych, ilu było członków z wyboru. A takich się miało: 1) osmnastu delegatów od szlachty Rosji europejskiej, z wyjątkiem naszych Kresów i Kongresówki, jako uprzywilejowanego stanu społecznego, wybranych przez delegatów zjazdów szlacheckich, 2) sześciu, także przez ogólnopaństwowe delegacje wybranych, przedstawicieli duchowieństwa prawosławnego (trzech od tak zwanego białego duchowieństwa, t. j. żonatego i poniżej godności biskupiej, i trzech z tak zwanego czarnego duchowieństwa, t. j. zakonników, z których wyłącznie się rekrutował episkopat), 3) sześciu przedstawicieli ciał uczonych t. j. uniwersytetów i akademij, 4) dwunastu przedstawicieli przemysłu i handlu, wybranych regionami, 5) pięćdziesięciu sześciu przedstawicieli prowincyj: z cesarstwa pięćdziesięciu, po jednym z gubernji, wybranych, jak mówiłem, przez Ziemstwa gubernjalne, a tam, gdzie ich nie było, tak jak na Kresach, przez zjazdy pełnocenzusowych właścicieli ziemskich, a z dziesięciu małych gubernij kongresowych

sześciu członków, wybranych w Warszawie przez delegatów miejscowych zjazdów ziemian. Wszystkich razem członków wybranych dziewięćdziesięciu ośmiu, tak że cała Izba w pełnym komplecie liczyłaby stu dziewięćdziesięciu sześciu członków, z których jednak nigdy nie pamiętam obecnych więcej niż stu siedemdziesięciu.

Teoretycznie trzeba przyznać, że w taki sposób złożona Izba Wyższa musiałaby co do powagi, kompetencji i wartości umysłowej znacznie górować nad wszystkimi Izbami Wyższymi europejskimi. W proporcji do ludności Izba Wyższa angielska liczy przeszło jednego członka na sto tysięcy mieszkańców. Izba Panów pruska tak samo, i także Izba Panów austriackich. Senat francuski ma jednego senatora na sto trzydzieści tysięcy mieszkańców. Włoski Senat, dotychczas wyłącznie mianowany i konstytucyjnie nieograniczony, jeszcze mniej i t. d. Izba zaś Wyższa rosyjska w całym komplecie liczyła tylko jednego członka na przeszło osiemset tysięcy ludności, a członkowie wybrani, oddzielnie wzięci, przedstawiali po jednym miljonie osiemset tysięcy obywateli płci obojga. Trudno sobie wyobrazić bardziej ścisłej selekcji. Pod tym względem konkurować z nią mógł tylko Senat amerykański, który posiadając po dwóch członków z każdego stanu, także ma przeciętnie jednego członka na przeszło miljon mieszkańców.

Tylko żeby te teoretyczne nadzieje się sprawdziły, trzeba było, żeby było z czego tej selekcji zdolności, wiedzy i t. d. dokonać. Tymczasem trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia ówczesna tak zwana inteligencja rosyjska, t. j. właściwie klasa czynowników, ziemianstwa, zawodowców po miastach, wkońcu bardzo szczupła ilość już wylazłych z „sarafanów” i długich butów przemysłowców lub kupców, była biedna w te wszystkie przymioty, szczególnie wiedzy oraz znajomości tego, co na Zachodzie już stanowiło cechę wszystkich stanów, wzniesionych ponad klasę fizycznie pracującą. Z dziewięćdziesięciu ośmiu członków z nominacji cesarskiej pamiętam tylko kilku, którzy rzeczywiście mieli obfity zasób wiadomości ogólnych i byli dobrze obeznani z warunkami państwowymi i ekonomicznymi europejskimi; już w ciągu kilku dni zbliżyłem się do nich i do końca zostałem z nimi w najlepszej przyjaźni. Byli to: sędziwy hr. Konstanty Pahlen (ojciec wileńskiego gubernatora), siedmdziesięciokilkoletni Aleksander Połowcow, długie lata sekretarz państwowy, kolosalnie bogaty przez żonę Stieglitzównę, który połowę swego czasu spędzał zagranicą, Andrzej Saburow, byłý kurator uniwersytetu dorpckiego po hr. Keyserlingu, potem minister oświaty, i trochę później Anatol Koni, jeden ze wzorów i luminarzy magistratury rosyjskiej.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Nie bez prawdziwego zdumienia, a zarazem i z boleścią, w 1921 r. tu w Poznaniu pewna Polka, docentka fakultetu prawnego petersbur-

Wszyscy inni dygnitarze, cywilni czy wojenni, byli to w najogólniejszym sensie karierowicze, a w najciaśniejszym specjaliści od jakiejś pojedynczej gałęzi ogromnego dębu państwowego i od dnia porzucenia liceum, uniwersytetu lub szkoły wojennej uprawiali swój zawód jako rzemiosło na podobieństwo konia założonego do maneżu, znając je tylko ze strony. że tak powiem, mechanicznej. Liczni prawnicy, prócz wyżej wspomnianych i byłego profesora Tagancewa, znali często doskonale ustawy (zakony), lecz nie znali prawa w sensie naukowym; zato wszyscy znali doskonale prawdziwą naukę czynowniczą, którą mi kiedyś pewien „czynownik” określał w sposób bardziej malowniczy niż przyzwoity: daj pan pokój, Iwan Iwanowicz nigdy kariery nie zrobi. on zawsze nie tę (Sulejówku, pomagaj!) ...„rękę” całuje.

Tak samo można było powiedzieć i o członkach z wyborów. Z wyjątkiem kilku profesorów było bardzo dużo praktycznie lub światowo wyrobionych i doświadczonych ludzi, lecz oświaty i wiedzy ogólnej bardzo skąpo. Ciężko było nawet z wymaganiem „praw zasadniczych”, aby prócz cenzusu majątkowego, czterdziestu lat wieku, każdy przedstawiciel Ziemstwa lub zjazdów ziemian zdał maturę lub odpowiedni egzamin (n. p. w korpusie kadetów). Astrachańska gubernja liczyła wówczas przeszło 70 000 kil. kw. przestrzeni i półtora miliona mieszkańców. W 1906 r. przedstawicielem tego kraju w Radzie Państwa był generał Baramow, marszałek dworu w. ks. Michała Mikołajewicza; posiadał tam po ojcu dzięki ohydному rabunkowi w 1878 roku obszarów koczujących Kirgizów, przerzuconych do Azji środkowej, duży obszar ziemi, lecz w życiu swoim tam nie był. Został jako były uczeń akademii wojennej wybrany telegraficznie, bo między kilkuset cenzusowymi ziemianami nie znalazł się ani jeden czterdziestoletni maturzysta. Gdy po śmierci w. księcia generał Baramow złożył mandał, Astrachan przysłał nam jakiegoś niedźwiedzia, nad którego zatwierdzeniem komisja „składu osobistego” i plenum się mocno zastanawiały, albowiem jedyny jego cenzus naukowy polegał na tem, że nie przełazłszy przez gimnazjalne Termopile, zapisał się na „junkra” i przeszedł junkierskie „uczyliszcze”, aby, będąc szlachcicem, nie służyć trzech lat w koszarach jako szeregowiec. Zwichnięto

skiego. na prywatnym referacie pod przewodnictwem ś. p. kardynała Dalbora zbliżyła się do mnie ze słowami: „Czy mam zaszczyt mówić z p. Korwin-Milewskim?” „Do usług pani.” — „To muszę się zaraz zwolnić od przysięgi, jaką dałam przed ucieczką z Petersburga jednemu z pańskich najserdeczniejszych przyjaciół, że gdziekolwiek pana spotkam na Zachodzie, wyrażę mu jego szczerą pamięć i przyjaźń.” — „Któż to taki?” — „Anatoly Teodorowicz Koni. Cieszę się, że jeszcze żyje, (bo był o kilka lat ode mnie starszy). Lecz co on może obecnie robić w Petersburgu pod panowaniem Lenina?” — „Jest prezesem komisji prawodawczo-kodyfikacyjnej!”

ustawę jedynie dlatego, że inaczej ten duży kraj zostałby bez żadnego przedstawiciela w Izbie Wyższej. Później (1909 r.) skończył z tego precedensu jeden z naszych kolegów Polaków, który się znajdował, jako junkier w huzarskim pułku w Libawie, w identycznych z tym astrachańskim niedźwiedziem warunkach co do cenzusu naukowego.

Zato ta wysoka Izba miała jedną sympatyczną stronę: co do manier, układu, stosunków wzajemnych i tonu obrad, to był duży salon.

To też od pierwszych dni przyznano mi godność jakiegoś, jak powiadali niektórzy, dykejonarza Laroussa, korepetytora lub, jak się wyrażał profesor Bagalej, „krzewiciela konstytucjonalizmu w Radzie Państwa.“ Rzeczywiście, szczególnie podczas pierwszej sesji, moi koledzy w liczbie 197 byli jak w lesie. Już na drugim posiedzeniu komisji do opracowania regulaminu Izby (który trzecia Duma zaadoptowała prawie dosłownie) prezes Gołubiew, trochę głuchy, posadził mnie obok siebie, „bo widać, że Hipolit Oskarowicz będzie kierownikiem całej naszej pracy.“ Na posiedzeniach ogólnych prezes Frysch po kilka razy przysyłał do mnie urzędnika kancelarii państwowej, abym mu wskazał, jak postawić taką kwestję do głosowania, lub pomógł mu w braku regulaminu wybrać z jakiej drobnej trudności; tu właśnie zdarzało się skonstataować u owych „wielkich świata tego“ zaiste zdumiewające bezdnie ignorancji. Minister sprawiedliwości Szczegłowitow prosi mnie do gabinetu prezesa, abym go poinformował, jak to podług konstytucji angielskiej i francuskiej tłumaczy się ich artykuł 87 praw zasadniczych,<sup>1</sup> i muszę ku ogromnemu zdziwieniu p. ministra powiadomić go, że te państwa podobnego dziwadła nie znają i dodać, że Anglja żadnej konstytucji we właściwym tego słowa znaczeniu nie posiada, lecz tylko zbiór różnych od czasów W. Karty oddzielnych ustaw, a szczególnie tradycji. Stołypinowi muszę z wielką trudnością wytłumaczyć różnicę między ustrojem konstytucyjnym a parlamentarnym, i on każe sobie potwierdzić słowem honoru, że w Stanach Zjednoczonych północno-amerykańskich ministrowie są zupełnie od parlamentu niezależni. „Zmiłuj się, Hipolicie Oskarowiczu, toż tam republika!“ — Jeszcze lepiej: Na pierwszym posiedzeniu komisji budżetowej zaczynają wszyscy pokolei wyszukiwać, za pomocą jakich to mądrych forteli obie Izby zdążą, otrzymawszy preliminarz budżetowy pierwszego listopada, kolejno go zatwierdzić przed świętami Bożego Narodzenia. Gdy się wszyscy wygadali, ja powiadam: „Szanowni koledzy, szukacie kwadra-

<sup>1</sup> Ten artykuł 87, przypominający sławny artykuł 14-ty konstytucji austriackiej, pozwalał monarsze wydawać w czasie między sesjami Izb ustawy prowizoryczne, do późniejszego ich zatwierdzenia przez ciała prawodawcze.

tury koła; data 1 listopada jest nam narzucona przez prawa zasadnicze (konstytucję) i zresztą w kraju, prawie wyłącznie rolniczym, nigdy sesje zwyczajne wcześniej nie będą otwarte. W siedm tygodni dwie Izby nie są w stanie skontrolować sumiennie, jak to panowie chcecie zrobić, najgrubszego budżetu na świecie (koło ośmiu miliardów franków, wówczas kiedy frantuski i angielski nie przekraczały pięciu miliardów). Jeśli chcecie uniknąć fatalnych „prowizorycznych dwunastych“, to na to jest tylko jeden sposób: przenieść rok budżetowy z pierwszego stycznia na pierwszy kwietnia lub pierwszy lipca.“ Ogólne osłupienie. Przewodniczący Czerewański, wielki Witte i dorastający go już aktualny minister finansów Kokowcew zamieniają spojrzenia znaczące: Milewski zbzikował; sypią się zarzuty na temat „straszliwej łamaniny (żasniają łomka)“; aż na ostatku, zresztą okazujący mi zwykle dużo sympatii, p. Włodzimierz Wierchowski, były kontroler państwowy, z uszczypliwym uśmiechem woła: „Wszyscy przywykliśmy do znanego dowcipu czcigodnego Hipolita Oskarowicza, lecz na ten raz wystąpił on z zanadto grubym żartem (wykiął szutku).“ Ja na to: „Kiedy to ma być żart, to muszę przyznać, że strasznie oklepany, bo mam zaszczyt oświadczyć panom, że w chwili obecnej prócz Francji i Belgji, które zachowały rok budżetowy kalendarzowy i dzięki temu utwierdzają w porę swoje budżety najwięcej raz w ciągu kilkunastu lat, niema jednego znacniejszego cywilizowanego państwa w Europie, w północnej Ameryce i Japonji, któreby od dość dawna nie przeszło na rok budżetowy 1 kwietnia, lub jak w Austrii 1 lipca.“ — Przeszedł chłodek między ich wysokimi ekscelencjami.

Muszę przyznać, że te moje początkowe powodzenia zawdzięczałem nie wyższości zdolności nad moimi kolegami, z których liczni przewyższali mnie w talencie, lecz wyższości metody, wyrobionej jeszcze za starych już czasów mojej pracowitej młodości wśród zachodniej kultury. Prawie wszyscy koledzy, może bez wyjątku, przychodzili na posiedzenia czy komisyj, czy zebrania partyjnych, czy nawet plenarnych, na które, jeśli mieli wystąpić, zwykle przygotowywali się (tylko co do formy zewnętrznej) i recytowali swoje mowy jak papugi, „trzymając ręce w kieszeni“, formując swoje zdania w ciągu posiedzenia i czerpiąc z pamięci z ogólnego funduszu swoich wiadomości. — Ja zaś, jak powiem dalej, jeśli co do formy zewnętrznej nigdy, dosłownie nie recytowałem, to co do treści zawsze byłem dobrze przygotowany. Od pierwszego do ostatniego dnia miałem co dzień wykrojoną minimalną porcję czterech godzin, od ósmej do dwunastej z rana, poświęconą to odświeżeniu przy pomocy, około czterechset tomów, przywiezionych z Łazdun, albo



nowszych dzieł, wypisanych z Berlina, Paryża i Londynu,<sup>1</sup> moich wiadomości w dziedzinie nauk politycznych; pomagałem sobie także biblioteką Rady, wcale bogatą, mieszczącą się w oddalonym oddzielnym budynku, w którym nigdy żadnego kolegi nie spotkałem; miała dwóch niby bibliotekarzy, lecz po stuletniej egzystencji, posiadała katalog alfabetyczny, a przedmiotowy zawsze był w projekcie!! Prócz przejścia tego trzeciego uniwersytetu, polityczno-prawodawczego, te moje pracowite ranki pozwalały mi, ponieważ wiedziałem, o czym będzie mowa na każdym posiedzeniu, przychodzić na nie zawsze ze świeżą amunicją i chwilowo służyć „Larousse” dla innych, jak oni powiadali.

Staruszka Rada Państwa starannie trzymała się swego już stuletniego ceremonjału. Należało do niego prócz kostjumu (nie inaczej jak wizytowy, wówczas dwurzędowy surdut) obowiązkowe wizytowanie ze strony nowego członka wszystkich senjorów; choć na wspomnianem pierwszym spotkaniu wybrani wzajemnie się od tej pańszczyzny uwolnili, zostawało przeszło stu „złoconych”; a szelmy wszyscy przyjmowali, nawet ugaszczali „czajkom”, rozpytywali się, a na trzeci dzień akuratnie rewizytowali i siedzieli najmniej pół godziny. Aby podzielić tę nudę i koszt (stałego ekwipażu jeszcze nie miałem) książę Piotr Trubeckoj,<sup>2</sup> prezes partji centrum, który mnie odrazu jakoś polubił (jako Gedyminowicz wyznawał polonofilskie uczucia), zaproponował, abyśmy tę pielgrzymkę razem odbyli, i umówiliśmy się, że pokolei jeden będzie emablował, a drugi szpiegował stopę życia i inwentarzował ruchomość, aby przekonać się, czy jesteśmy u starego łapownika, czy nie. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu prócz znanych krezusów jak Połowcow i Wan-Derwis, notorycznych „geszefciarzy” Wittego, braci Ignatjewych (ambasadora Mentir-Pasza i byłego kijowskiego generał-gubernatora) i admirała Czychaczewa, kilkoletniego ministra marynarki, znaleźliśmy tylko trzech czy czterech „podejrzanym”.

Naturalnie moje powodzenia w szerszem kole Izby nie mogły nie wpłynąć na mój stosunek do Polskiego Koła. Różne

<sup>1</sup> Całą tę bibliotekę, zawartą w dwóch dużych w Petersburgu kupionych szafach, jakiś uczoney Bosz, podczas okupacji niemieckiej 1915—1918 lat sumiennie skradł i razem z szafami wyprawił do Watterlandu.

<sup>2</sup> Był jednym z większych bogaczy rosyjskich, posiadał bowiem 400 000 dziesięcin czarnoziemiu i kilkanaście stadnin, przeszło tysiąc matek. Umarł tragicznie. Kolosalnej budowy, pomimo swoich 55 lat, dał się przyłapać swemu rodzonemu siostrzeńcowi w zamkniętym wagonie „bez krawatu” z ładną i płochą żoną ostatniego. Rozwścieklony mąż położył wujaszka trupem z rewolweru i został przez sąd przysięgłych uniewiniony.

wady ludzkie spotykają się we wszystkich rasach i narodach, a w niektórych panują absolutnie, jak syfilis u pewnych plemion murzyńskich pod równikiem. Już w wieku XVII jeden z moralistów francuskich potępiał „la médiocrité envieuse qui se prive des services utiles pour ne pas avoir à les reconnaître.” A w znakomitem swoim dziele o „chorobach nowoczesnej demokracji” cytowany profesor p. Charles Benoit wymienia tę chorobę jako jedną z najwstrętniejszych i najszkodliwszych. — Co do mnie, nie potrzebowałem zasłużyć ze strony moich kolegów na zwykłą konspirację zazdrości: znalazłem ją gotową przy pierwszym z nimi zetknięciu w formie dość oryginalnej, abym ją przemilczał.

Z całego państwa było wybranych Polaków ośmnastu, czyli więcej niż szósta część wszystkich członków z wyborów, a dziesiąta maksymalnej liczby rzeczywiście zasiadających członków Izby. Biorąc pod uwagę, że ze 198 nominalnych w tym 1906-tym roku ośmiu stanowiło lewicę (kadecką), niespełna 80 prawicę, a koło 110 t. zw. grupę centrum, to wśród niej Polonia, gdyby dobrze manewrowała, a szczególnie, gdyby była lepiej do swego zadania przygotowana, mogła odegrać wcale poważną rolę, taką jaką odegrał do śmierci Stołypina drugi odłam centrum, trochę od Polonii mniej liczny (15 członków), a od ich kierownika, Aleksego Borysiewicza Neuhardta, szwagra Stołypina, żonatego z jego siostrą Olgą, nazwany Neuhardowcami lub, od danego im przeze mnie przezwiska, grupą szwagrów.

Polską grupę składali w 1906 roku: Z Kongresówki: panowie Józef Ostrowski (późniejszy regent), Eustachy Dobiecki, Leopold Kronenberg, Konstanty Przewłocki, Stanisław Gawroński, Antoni Napiórkowski; z Kresów: Aleksander Tyszkiewicz z gubernji kowieńskiej, ja sam z wileńskiej, Korybut-Daszkiewicz z grodzieńskiej, Edward Wojniłowicz z mińskiej, Stanisław Łopaciński z witebskiej, Władysław Sianożęcki z mohylewskiej (pierwszym posłem był p. Wykowski, który do polskiego Związku nie wstąpił, zasiadał z Kadetami, złożył mandat razem z nimi po rozwiązaniu pierwszej Duni i nie powrócił), Jan Olizar z wołyńskiej, Wacław Jełowicki z Podola i Stanisław Syroczyński z Ukrainy. Przyłączyli się do związku nie tylko p. Stanisław Rotwand, przedstawiciel przemysłu i handlu rejonu warszawskiego, lecz i pp. Wincenty Paklewski i Stanisław Glezmer, pierwszy z rejonu permskiego, drugi z petersburskiego. Ogółem siedemnaście głosów, a już w 1907 ośmnastcie. Ci, którzy te czasy pamiętają, już zauważyli, że z tych nazwisk ogólnie znanym był w całym kraju tylko zasłużony p. Edward Wojniłowicz dzięki trzydziestoletniej pracy na czele Tow. Rolniczego Mińskiego. Panowie Dobiecki i Ostrowski byli znani tylko w Kongresówce jako zwykli pośrednicy między partją ugodowców (później realistów) a biurokracją stołeczną; trzynastu albo

znanych tylko w swoim ciasnym środowisku albo zupełnie nieznanymi „byle jakich“ — (le n'importequisme p. Ch. Benoit), a tylko ja jeden byłem już znany z prasy i polskiej i rosyjskiej jako posiadający te przymioty, których się zwykle oczekuje nie od miejscowego, lecz od parlamentarnego działacza. Dlatego podług naszych starych tradycji spisek tych szesnastu przeciw tamtemu siedemnastemu był wskazany; to też, jak mówiłem wyżej, znalazłem go gotowiutkim już przy pierwszym zetknięciu z tymi panami. Przybierał on dwie formy.

Pierwsza, klasyczna, wyrażała się w formie różnych, artystycznie skombinowanych psikusów kolektywnych, nigdy indywidualnych, których typem był właśnie następujący. Po pierwszym spotkaniu u hr. Aleksandra Tyszkiewicza, na którym on przewodniczył jako gospodarz, nazajutrz tenże p. Tyszkiewicz proponuje, aby, póki się nie ukonstytuujemy i nie wybierzemy stałego prezesa, przewodniczył każdorazowo z porządku najstarszy. Lecz gdy kolejno przewodniczyli pp. Rotwand, Syroczyński i Wojniłowicz, okazało się wbrew oczekiwaniu (wówczas jeszcze zręczny i wyelegantowany wyglądałem znacznie młodszym, niż byłem), że kolej przychodzi na mnie; wtedy jednogłośnie i bez dyskusji postanowiono, że kolej pójdzie od najmłodszego; tak przeszło trzynastu „bądź jakich“ i wówczas postanowiono wybrać stałego prezesa w osobie p. Edwarda Wojniłowicza, ponieważ już założenie Związku Kół kongresowego i kresowego nie podlegało wątpliwości. Dzięki tym przebiegłym kombinacjom wszyscy szesnastu koledzy przewodniczyli prócz mnie, „quod erat demonstrandum.“ Podobne ciche, cichutkie, lecz jak przyjemne! sztuczki powtarzały się zresztą do samego końca mojej służby w Radzie, lecz o nich nie wspomnę, zastosowując do nich tę najskuteczniejszą metodę, której się trzymałem odrazu wówczas: nie dostrzegałem ich.

Druga zaś forma, także u nas klasyczna, lecz mniej niewinna, polegała na świadomym „sabotowaniu“ wspólnej roboty, aby podciąć niepożądanemu tenorowi okazję do popisu. Tu naodwrot zawsze reagowałem stanowczo. O innych wspomnę w swoim czasie, jeden zaś fakt zdarzył się właśnie w czasie, o którym mowa. Związek już faktycznie egzystował, lecz brakowało mu regulaminu; opracowanie projektu powierzono p. Józefowi Ostrowskiemu, który w tym celu wypisał sobie regulaminy Kół polskich, berlińskiego i wiedeńskiego. Pięknego dnia „ogłoszono“ mi ten regulamin jak dekret sądu karnego, bo oczywiście było, że wszystkim prócz mnie dokument jest już znany. Wysłuchałem go spokojnie i odpowiedziałem, że niewątpliwie jest dla mnie, że ten regulamin został opracowany nie dla siedmiu członków Związku, lecz przeciw jednemu, którym jestem ja. On daje Związkowi możebność większością głosów zredukować mnie na trzy lata do roli niemej maszynki

do głosowania. Lecz proszę pp. członków Związku mieć na uwadze, że kiedy na mnie głosowało wileńskie ziemiaństwo po wyczerpującej naradzie przedwyborczej, na której nikt ani słówkiem o żadnym Kole nie wspominał, lecz zało z uwagą wysłuchano i przyjęto program mój, a nie hipotetyczny obecnych tu szesnastu panów, to mi dało mandat przeprowadzenia, o ile mi się uda, tego właśnie programu, i to wśród Izby Wyższej, a nie wśród Koła. Zatem oświadczam, że nadal tak jak dotychczas terenem mojej działalności będzie Rada Państwa a nie Koło, i będę się kierował w niej moim programem, a nie tym, który będą sobie z dnia na dzień stwarzali ci panowie, ponieważ dotychczas żadnego sobie nie wyrobili. Jednak, uważając, że byłoby korzystnym dla wspólnej sprawy, abyśmy dla Rady Państwa przedstawiali, o ile można, front jednolity, zgadzam się na następujące zasady dyscypliny: 1) We wszystkich kwestiach ogólnopaństwowych, o ilebym nie podzielał zdania Koła, wstrzymam się od głosowania i od wystąpienia na mównicę Izby, zachowując owszem swoją swobodę w kwestiach narodowych, gdybym uważał, że Koło trzyma się jawnie szkodliwego dla nich kierunku (co zdarzyło się jeden raz). 2) Że o ile uznaję za pożyteczne przemawiać w sensie postanowień Koła i dla ich poparcia, zastrzegam sobie swobodny dostęp do mównicy bez uprzedniego upoważnienia, szczególnie w razie nieprzewidzianych incydentów.<sup>1</sup>

Co najlepsze, że te moje słowa prawdy zostały wysłuchane i regulamin stosownie znieniony prawie bez dyskusji: a to dlatego, iż wszyscy obecni w liczbie 16 doskonale wiedzieli, że jaki tam się uda wykuć kaganiec, będzie zastosowany tylko do mnie, a dla reszty kolegów nie będzie faktycznie innego regulaminu, jak staropolskie, kochane „jak kto chce.” To się sprawdziło na następnych dwóch posiedzeniach Rady Państwa. Na jednym p. Napiórkowski wniósł i przeprowadził bez uprzedniego rozpatrzenia w Kole zresztą dorzeczną poprawkę do regulaminu, na drugim p. Łopaciński wystąpił na mównicy przeciw karze śmierci wbrew postanowieniu Koła, i żaden z nich nagany nie otrzymał.

<sup>1</sup> To ostatnie jest niezbędne. Koło polskie w Dumie właśnie trzymało nad buziami swoich członków stalowy kaganiec. Rezultatem było, że gdy podczas sesji 1909 r. minister sprawiedliwości Szczegłowitow rzucił z mównicy w twarz temu Kołu grubszą, chamską obelgę, Koło ją milczkiem połknęło, bo nie było postanowienia Koła ani upoważnionego mówcy. To był zaiste litośny i upokarzający incydent. Jednakże posłowie Jaroński, Harusewicz, a szczególnie Ludomir Dymśa, pozostawieni sobie, doskonaleby potrafili dać chamowi należyłą odprawę. Tymczasem dopiero w kilka dni jeden z nich wystąpił kolektywnie z jakąś marną „deklaracją” w nieobecności winowajcy. Potem Eustachy Dobiecki w Radzie Państwa jeszcze smutniej się zblamował (niżej).

Godniem uwagi jest, że tej, oczywiście już przed poznaniem się ze mną zorganizowanej, konspiracji szesnastu przeciw jednemu nie odpowiadała żadna osobista antypatja. Ze wszystkimi co do jednego członkami Związku, poszczególnie wziętymi, moje stosunki były poprawne, z kilku, zbliżonymi do mnie wiekiem i stanowiskiem, nacechowane zażyłością; a z dwoma, Władysławem Sianożęckim i Ksawerym Orłowskim, z którymi prędko byłem na „ty“, przeszły do ich śmierci w serdeczną i nigdy niezachwianą przyjaźń. Jednak żaden z nich dwóch nigdy mnie nie uprzedził ani potem mi nie wspomniał o gotujących się dla mnie „świństewkach“. Może byli zaprzysiężeni, jak dawniej u włoskich carbonari, z dodatkiem trupiej czaszki i sztyletu? — A kto był inspiratorem i organizatorem tych spisek? Nikt: wiadomo, one „urządziły się.“

Trochę dłużej się zatrzymałem na tej względem mnie konspiracyjce i tej próbie zakneblowania mi buzi, bo chociaż do naszej obecnej polskiej garkuchni parlamentarnej nigdy nie zaglądałem, ani chwili nie wątpię, że u naszych „suwerenów“ panuje ta sama choroba „zjadania“ wybitnych jednostek. Inaczej nie byłoby do zrozumienia, że w ciągu czterech lat istnienia pierwszego Sejmu, nigdy nie wystąpił na jego mównicy p. Roman Dmowski, sam jeden więcej znany i ceniony na całym świecie niż 450 „byle jakich“ jego kolegów, ani że po czterech latach istnienia drugiego Sejmu, nie słyszano w nim potężnego głosu pierwszego mówcy polskiego, jakim jest — nawet przed p. Daszyńskim — Ignacy Ściebko. Tylko zdrowemu, czerstwemu choć wąskiemu rozumowi naszych chłopów należy przypisać, że jeszcze swojego Witosa nie zjedli.

Nim przystąpię do chronologicznej opowieści zdarzeń, które zbliża widziałem w tych w fakta bogatych czasach, chcę jeszcze dać krótki szkic extra politycznych stosunków, jakie sobie wyrobiłem nad Nową; były nieliczne, bo nawet w młodych latach na zbytnią światowość nie chorowałem, lecz prawie wszystkie interesujące i wszystkie zostawiły we mnie przyjemne wspomnienia. Dodam, że te znajomości miały ten wspólny, bardzo cenny charakter, że nie ja ich szukałem, lecz one mnie.

Na Wielkiej Morskiej moje okna na piętrze wychodziły wprost na duży i we środku z rzadkim przepychem urządzony pałac (t. zw. osobniak) państwa Połowcowych. W pierwszych jeszcze dniach otwieram okno, a przy swoim siedzi Aleksander Aleksandrowicz Połowcow, którego w przeddzień poznałem na komisji; pogoda cudowna, ulica cichutka, przez nią zawiązuje się gawędka. Po kwadransie starzec (miał już 76 lat) wdrapuje się do mnie, gawędzi parę godzin i odrazu zaciaga do siebie na śniadanie, na którym poznałem jego już siedmdziesięcio-

letnią, lecz doskonale zakonserwowaną małżonkę; jeszcze zgrabną, zachowała przyjemne rysy, żwawy umysł i niezwykle wykształcenie. Była podrzutkiem, znalezionej w przedpokoju przez arcybogatego bankiera Stieglitza, który tak się do miłego dzieciątka przywiązał, że jej zostawił połowę swego majątku t. j. kilkadziesiąt milionów rubli. Wyszła z miłości za przystojnego i zdolnego urzędnika senackiego Połowcowa, zresztą z dobrej pskowskiej rodziny. Od tej chwili aż do ich śmierci często u nich bywałem; oboje dobrze pamiętali czasy Mikołaja I i stanowili niewyczerpane źródło anegdot politycznych i nawet (była „Staats-Dama“) plotek dworskich, z których może jakąś przytoczę.

W parę dni po moim przyjeździe zaszedł do mnie mój były gubernator wileński hr. Pahlen i w imieniu rodziców prosił, abym ich odwiedził, co też zrobiłem. Stary Pahlen, wnuk słynnego zabójcy Pawła I, jednocześnie głowa starej jak świat rodziny kurlandzkiej, pomimo czterech pokoleń petersburskich dygnitarzy, mówiący czy w języku rosyjskim czy francuskim, którymi władał wyśmienicie, nieuleczalnym akcentem niemieckim, wówczas już siedmdziesięcio ośmioletni, oddawna zasłużył był wśród wysokich sfer rządowych na przezwisko „sumienie państwa rosyjskiego“; nie tylko jako długoletni minister sprawiedliwości, którym został, mając lat 34, i właściwy reformator sądownictwa rosyjskiego (jedynej czcigodnej gałęzi rosyjskiej maszyny państwowej od czasu Aleksandra II), lecz i dlatego, że umiał tym półbogom, jakimi się czuli rosyjscy samodzierzcy przy wyjątkowych wielkich naradach, do których zawsze był powoływany, wypowiadać takie prawdy, przed którymi każdy innyby struchlał, i takim tonem, że były słuchane. Jego żona była skądinąd banalną choć wzorową wielką panią, lecz że miała za sobą pięćdziesiąt lat życia dworskiego, można było od niej także słyszeć ciekawe wspomnienia. — Do śmierci tych zacnych staruszków, a jedno drugie krótko przeżyło, bywałem u nich po parę razy na miesiąc zawsze z przyjemnością i korzyścią.

Na pierwszym posiedzeniu komisji regulaminowej podszedł do mnie także sekretarz państwowy Andrzej Saburow i poprosił mnie w imieniu żony i mojem, abym uczęszczał na ich wieczory niedzielne, co skwapliwie przyjąłem, wiedząc, że to jest interesujący i szczególnie dla Polaków uprzejmy salon. Andrzej Saburow (zmarły podczas wojny) był pod każdym względem wybitną osobistością. Potomek już w XVI wieku znanej rodziny bojarskiej, która od tego czasu dała swojej ojczyźnie licznych i użytecznych dygnitarzy, a ani jednego lotra, był w młodym wieku prokuratorem zreformowanego sądu okręgowego petersburskiego, potem kuratorem okręgu naukowego i uniwersytetu

w Dorpacie, wkońcu ministrem oświaty. Został przez jakiegoś złośliwego warjata - studenta spolickowany; a że nie chciał się na nim mścić, wpadł u Aleksandra III w nieodwołalną niełaskę. Umysłowo bardzo wykształcony, moralnie stał na takiej wysokości, że porównać z nim mógłbym chyba tylko mego francuskiego przyjaciela E. Lamy. Jego żona, hr. Solłohub, była córką od kilku pokoleń zruszczałego Polaka i dobrego literata ze znanej rodziny wołyńskiej; nieładna, lecz nieskończenie dobra, wesoła i gościnna. Ich niedzielę, zupełnie skromne, na których się zbierało od kilkunastu do trzydziestu kilku osób i na których zawsze się słyszało dobrą wokalną lub instrumentalną muzykę, często interesujące odczyty, 'odznaczały się dobrym tonem, wzajemnem zaufaniem i swobodą, bo państwo domu byli mało wymagającymi co do arystokracji, bardzo co do wartości osobistej i charakteru. Nigdy nie obchodziło się bez kilku Polaków obojga płci. Przez wszystkie lata mego pobytu w stolicy rosyjskiej prawie żadnej z tych niedziel nie opuściłem.

Już trochę później zacząłem bywać regularnie w salonie zupełnie innego typu, lecz bodaj jeszcze ciekawszego. Znajdując się w operze, spostrzegłem siedzącą w łoży panią Brochocką, primadonnę tego teatru pod pseudonimem Bolska. Odwiedziłem ją i znalazłem u niej nieszpętną średniego wieku damę o typie wschodnim. Zaprosiła mnie jak najuprzejmiej na swoje czwartki. Była to warszawianka, „Polka wyznania mojżeszowego,“ żona krakowskiej „mniejszości narodowej“ pana Propera, wydawcy „Birżewyje Wiedomości“, najpopularniejszego w Rosji organu tak zwanej prasy brukowej, jedynej obok Nowoje Wremia gazety, którą Mikołaj II codziennie odczytywał od deski do deski, z tą jednak różnicą, że p. Suworin, wydawca Nowoje Wremia, notorycznie drukował dla swojego ukoronowanego czytelnika specjalną odbitkę — ad usum Delphini, a bibuła Propera, którą cichaczem kupował i czytał każdy kuchcik pałacowy, dochodziła do najjaśniejszych oczu „in naturalibus.“ Czwartki pani Properowej, zajmujące bardzo obszerny „osobniak“ na arystokratycznej Angielskiej Nadbrzeżnej, rozpoczynały się o czwartej po południu, a kończyły się koło czwartej z rana. Przez te dwanaście godzin wchodziło i wychodziło aż do późnej nocy to na pół godziny, to na kilka godzin paręset gości, z których zawsze kilkudziesięciu jednocześnie. Herbata, ciastka, cukierki, owoce, a po dwunastej i solidniejsze artykuły żywnościowe, krążyły bezustannie, tak jak bezustannie gawędzono, śpiewano, tańczono, grano w karty lub rzępolono na różnych instrumentach, zawsze dobrze, pod hasłem swobody, równości i braterstwa. Bywali tam i wielcy tego świata, i artyści i rozmaicie enotliwe artystki, spekulanci giełdowi, cudzoziemcy, wszystko co Bóg naprowadził, a brakowało tylko... głupców. Ten salon,

czy też ten karnawał wenecki, zostawił we mnie z owych czasów przyjemne wspomnienia.<sup>1</sup>

Wkońcu do stałych i częstych moich stosunków należał dom państwa Brianczaninowych. On były dyplomata, potem czynny amator-społecznik, szeroko wykształcony i mający stosunki zagranicą. Nie wiedziałem o nim, gdy w dzień mego wyboru do Izby Wyższej otrzymał od niego gorące telegraficzne powinszowanie, tak że przyjeżdżając do stolicy, znalazłem już gotową znajomość. Pani, wdowa księżna Kudaszew, córka ks. Konstantego Gorczakowa a wnuczka kanclerza, przystojna i wyjątkowo sympatyczna. Posiadali obszerny „osobniak“ za Nową, w którym Brianczaninow urządził periodyczne, często bardzo interesujące wieczory dyskusyjne. Pani umarła na wygnaniu, z mężem, dalej politykującym w Paryżu, jeszcze mam stosunki.

Również niemal uprzyjemniało mi życie członkostwo w tak zwanym „Nowym Klubie“, do którego mnie z wielką łatwością wprowadzili Połowcow, główny jego założyciel, hr. Pahlen, a dzięki ich poparciu sam prezes klubu ks. Jusupow, naówczas komenderujący pułkiem kawalergardów. Ten klub stanowił secesję słynnego Jachtklubu, wśród którego za czasów Aleksandra III rozpoczęła się wojna domowa między obozem panującej cesarzowej (Dagmary) i obozem „braci“, t. j. ww. książąt Włodzimierza, Aleksego, Sergjusza i Pawła. Walka prędko przybrała charakter wojny starych z młodymi i „bracia“ pociągnęli starych na górę Awentyńską, którą został obok pałacu w. księcia Włodzimierza na Pałacowej Nadbrzeżnej dość elegancki „osobniak“; ten miał jeszcze i ten awantaż, że był tak obszerny, iż na drugim piętrze mógł pomieścić pięć apartamentów, prawie zawsze zajętych przez przyjezdnych z prowincji członków. Ogólny ton i skład osobisty tego klubu bardzo przypominały klub de L'Union w Paryżu i Myśliwski w Warszawie za czasów nieodżałowanego prezesa ks. Włodzimierza Czterwertyńskiego, do których należałem aż do tego roku.

Naturalnie zdarzało mi się sporadycznie bywać i w innych domach rosyjskich lub poselstwach zagranicznych, ale tu już właściwie z urzędu; częściej bywałem tylko w poselstwie francuskim, które zajmował p. Georges Louis, człowiek wielkiej wartości umysłowej, lecz mało reprezentacyjny, z którym później widywałem się w Paryżu podczas wojny, gdzie raptownie umarł.

Polskich domów, przeważnie urzędników rosyjskich, było bardzo dużo, między innymi wówczas pułkownikostwa, a w Warszawie jenerałostwa Jacynów. Ś. p. Józef Potocki, członek pierwszej Dumy państwowej, osiadłszy wówczas w Petersburgu po-

<sup>1</sup> Biednego Propera rozstrzelali bolszewicy. Bóg wie za co, na początku swego panowania. Co się stało z jego sympatyczną żoną, nie wiem.



został w nim, zdaje się, aż do końca wojny wszechświatowej, lecz obcował prawie wyłącznie z rosyjską przydworną arystokracją. Jedyne dwa domy polskie, w których bywałem bardzo często, były już wspomnianej pani Brochockiej (Bolskiej), u której się spotykało prócz Polaków międzynarodowy świat artystyczny, oraz pani Władysławowej Sianożęckiej, żony mojego kolegi w Radzie Państwa, przedstawiciela gubernji mohylewskiej aż do roku 1909, kiedy go zastąpił jakiś Rosjanin. Oboje jednak Petersburga nie opuścili, a pani Anna nawet po śmierci męża, przed wojną, została wierna swojemu pięknemu mieszkaniu na W. Koniuszennoj. Zaskoczona przez rewolucję i bolszewizm kilka lat go przecierpiała. W 1921 r. jakoś się dobrała napowrót do kraju i wkrótce wskutek wszystkiego, co przecierpiała, nagle umarła. I mąż i żona wykształceni, ona doskonała muzyczka, bardzo prędko okazali mi prawdziwie braterską przyjaźń, która w znacznej mierze osładzała mi różne gorycze tego petersburskiego życia.

Przechodzę do historii tej krótkotrwałej sesji pierwszego parlamentu rosyjskiego w 1906 r.

Jak już mówiłem, Duna Państwowa po swojej inauguracji, nie mając żadnego materiału do pracy, bądź z inicjatywy rządowej bądź z własnej gotowała się w swoim sosie, t. j. co dzień przez sześć godzin łajała wszystkich i wszystko. Składając się z dwustu chłopów i wiejskich popów oraz kilku tuzinów zawodowych rewolucjonistów, robotników fabrycznych lub emigrantów, tworzących razem partję t. zw. „Trudowików“ (partja pracy), miała na prawo od siebie około stu ośmdziesięciu Kadetów, typowych doktrynerów, dość blisko przypominających naszą ówczesną partję N. D., choć bliższą socjalizmu; potem pięćdziesięciu dwóch naszych Polaków z Kongresówki i Kresów, którzy pod dyskretnem kierownictwem mecenasa Nowodwor- skiego zachowywali się umiarkowanie i z godnością: jeszcze sondowali grunt. Skrajne prawe skrzydło tworzyło czternastu tak zwanych Październikowców, pośrednich między Kadetami i zupełnie wówczas w Izbie niereprezentowanymi reakcjoni- stami, pod kierunkiem hr. Heydena, Michała Stachowicza i Mi- kołaja Lwowa (z nie książęcej rodziny).

Na początku ławki ministerjalne świeciły kompletnemi pustkami. Dopiero po dziesięciu dniach gabinet p. Goremykina, z nim samym na czele, raczył się pokazać i wystąpił z programową deklaracją, oczywiście w ostatniej chwili przerobioną. Program był dość umiarkowany, naturalnie ani ogólnej amnestji ani przymusowego wywłaszczenia nie dopuszczał, jednakże mógłby służyć jako kanwa do pracy i pewnego postępu dla Izby

zdolnej pojąć tę ciągle zapomnianą prawdę, że owocny postęp idzie krokiem a nie cwalem. Byłem na tem posiedzeniu obecny i nie mogę o niem wspomnieć bez uczucia litościwej pogardy.

Ledwie Goremykin zakończył swoje czytanie i siadł, tuż obok mównicy, o jakie pół metra niżej od niej, wystąpił w imieniu Kadetów młody p. Nabokow, syn ministra sprawiedliwości, następcy hr. Pahlena, były urzędnik przy Senacie i kamerjunker zdegradowany za liberalizowanie. Dzięki pochodzeniu i wychowaniu, mowa jego z tonu, postawy i gestykulacji była przyzwoita, a co do treści szablonowo rewolucyjna i głupia, albowiem kończyła się słowami, które ich autor oczywiście spodziewał się przekazać najdalszej przyszłości: „Niech władza wykonawcza podda się pod władzę prawodawczą!“ Tymczasem we wszystkich konstytucyjnych krajach Izba Niższa stanowi tylko jedną trzecią część władzy prawodawczej, wykonawcza także, z tem jednak, że w dodatku posiada ona swoje oddzielne atrybucje. Po Nabokowie wystąpił również jeden z Kadetów, p. Winawer, adwokat, warszawski żyd, przesadzony nad Nowę. Ten już grubzanił i rzucając anatemę na deklarację ministerjalną, którą trzymał rozwiniętą w ręku, ciągle wymachiwał nią w stronę Goremykina, od czasu do czasu dotykał jego faworytów, ostrzyżonych w formie pletw; premier ją odpędzał jakby muchę i niewzruszenie dalej siedział. Czerwieńca Winawera zastąpił na mównicy rewolucjonista Aladin, świeżo przybyły z Londynu, gdzie służył po hotelach jako tłumacz, a przeważnie rajfur. Po nim zjawił się już opętany Czerkies, Ramiszwilli, który swoim azjałyckim akcentem niecierpliwiał nawet swoich zwolenników; po jego mowie wyniosłem się z obrzydzeniem.

Nadal już przy wszystkich posiedzeniach byli obecnymi dwaj lub trzej, najczęściej podrzędni, członkowie rządu. Głównymi tematami tych bezładnych dumskich obrad były: Adres do cesarza, który ze względu na jego ton był przyjęty tylko przez ministra dworu i został bez wszelkiej odpowiedzi, — ustawa o zasadniczem zniesieniu kary śmierci, która doszła do Izby Wyższej i na ostatniem jej posiedzeniu została odrzucona — reforma agrarna, której główne podstawy były: 1) przymusowe wywłaszczenie wszelkich gruntów prywatnych ponad 500 dzieścin przestrzemi niezależnie od tego, czy się one znajdowały koło Morza Białego i były warte po pół rubla, czy też na Krymie, gdzie się je pod winnice sprzedawało po 1000 rb. To podług projektu Kadetów. Formę zaś wynagrodzenia określił sam autor kadeckiego projektu, Herzenstein (niedługo potem zamordowany publicznie przez jakiegoś czarnosetińca), który twierdził, że kwestja finansowania tej operacji nie egzystuje, „póki państwo posiada blachę drukarską.“ A zasadą projektu tak zwanych Trudowików (stąd ich nazwa) było obdzielenie każdego obywatela rosyjskiego ziemią w ilości, odpowiadającej

jego „siłom roboczym“, na co nie wystarczyłoby ziemi uprawnej w europejskiej Rosji. W tej ostatniej dyskusji wystąpili i zwrócili na siebie uwagę dwaj posłowie polscy z gubernji mińskiej, ks. Hieronim Drucki-Lubecki i p. Roman Skirmunt. Pierwszy wybezczał całą mowę na temat „i my Bożyje i ziemia Bożaja“, z której trzynastcie lat później miał skorzystać w Sejmie polskim jego ówczesny kolega na ławach dumskich, także książę, Seweryn Czetwertyński. Natomiast mowa Romana Skirmunta, człowieka wyjątkowo zdolnego, ulubionego ucznia Edwarda Wojniłłowicza i dlatego niby „Białorusina polskiej kultury“, była do tego stopnia jasną, rzeczową i opartą nie na czułych frazesach, lecz na prawdzie ekonomicznej, że warta byłaby powtórzenia w naszej własnej Dumie na ulicy Wiejskiej. Na jednym z tych posiedzeń wystąpił Piotr Stołypin, wówczas minister spraw wewnętrznych, i potrafił przemówić do tej tłuszczy w takim tonie i z taką postawą, że on jeden z przedstawicieli rządu w czasie tej sesji nie został zasypyany obelgami. Wkońcu ta Duma, widząc, że jej zbawienne projekty mają mało szans urzeczywistnienia drogą normalną, wybrała komisję mającą zredagować tekst odezwy do narodu, zalecającej nie płacić podatków, wódkę pić darmo i nie dawać rekruta aż do nowego rozporządzenia, i na tem biedaczka, jak dalej opowiem, się zawaliła.

W ciągu tej sesji 1906 r. bardzo mało było kontaktu między Kołami polskimi w Dumie i Radzie Państwa. Zresztą nie było gotowego materiału do obrad. Dopiero w następnych latach te Koła zaczęły się zbliżać, szczególnie kiedy dzięki nielegalnej zmianie ordynacji wyborczej przez ukaz 6 czerwca 1907 r., o którym jeszcze wspomnę, dysproporcja między przedstawicielstwem Koła kongresowego i kresowcami w Dumie się zmniejszyła. W tym to czasie można powiedzieć, że doszedłem do kulminacyjnego punktu sławy parlamentarnej: moja karykatura pojawiła się na pocztówkach.

W Radzie nasze zajęcia były następujące: Zaczęło od adresu do Najj. Pana; podczas dyskusji nad nim miałem okazję wypłacać tę zupełnie niedoświadczoną Izbę, a nawet jej prezesa Fryscha, z kłopotu, w który wpadli, dyskutując jednocześnie całe trzy projekta adresu, jakby chcieli jednym lykiem jeść, pić i cygaro palić; to zwróciło uwagę na mnie, jako na użytkownego robotnika. Niemnało czasu zajęły dyskusje i utwierdzenia regulaminu, a ostatnie dwa posiedzenia były poświęcone dyskusji i odrzuceniu dumskiego projektu o zniesieniu kary śmierci. Zato poza oficjalnemi posiedzeniami i nieomal codziennemi posiedzeniami tak zwanego Biura grupy centrum, którego byłem czynnym członkiem, coraz namiętniej i nie bez uczucia trwogi zajmowano się wzrastającym z dnia na dzień

konfliktem między rządem i Dumą oraz sprzecznymi prądami bezpośredniego otoczenia Mikołaja II; część jego, z Gorenykinem na czele, pchała cesarza w stronę bezwzględnej reakcji, a druga, kierowana przez gen. Trepowa, sprawcę krwawej łaźni 9/22 stycznia 1905 r., i przez ministra spraw wewnętrznych Aleksandra Izwołskiego, który przy cesarzu zajął stanowisko repetytora prawa konstytucyjnego zachodniego, skłaniała go w stronę uformowania gabinetu parlamentarnego t. j. w danym momencie kadecckiego. Dzięki zwierzeniom moich nowych przyjaciół, starego Pahlena i Połowcowa, byłem codziennie w kursie tych intryg. Tu mieści się incydent, który mi pozwolił zakulisowo odegrać w tym pałacym okresie historii państwa rosyjskiego rolę tej małej iskierki, która padając na naładowaną prochnicę, wywołuje potężny wybuch. O tym szczególnie dość szeroko rozpisał się w swoich, po śmierci jego przez córkę wydanych, pamiętnikach sam ś. p. Aleksander Izwołski. Lecz bądź dlatego, że nie prowadząc, jak sam przyznaje, dziennika, po dziesięciu latach jego wspomnienia się zatępiły, lub dlatego, że chciał złagodzić swoją własną wówczas bardzo nieostrożną rolę, do jego opowieści zakradły się niektóre błędy; prócz tego dla nieznanych mi przyczyn, dość obszernie wspominając o zwołanej przez niego samej decydującej naradzie, żadnych nazwisk nie wymienia. Ja zaś tego samego dnia, te nazwiska zanotowałem w moim spisie członków Rady Państwa, i nie mając pamięci obciążonej taką masą ważnych spraw państwowych jak ś. p. Izwołski, jestem w stanie ten moment historyczny opisać z większą dokładnością. Rzecz się miała tak:

Podczas plenarnego posiedzenia Rady we środę, zdaje się, 6/19 lipca 1906 r. p. Jermołow, założyciel naszej grupy centrum i prezes Biura czyli po naszymu komisji wykonawczej, po dość długiej szeptaninie z prezesem grupy ks. Trubeckim podchodzi do mnie i szepcze mi na ucho: „Hilipolicie Oskarowiczu, po zamknięciu posiedzenia proszę nie opuszczać gmachu Rady, nie rozmówiwszy się ze mną; będę oczekiwał Pana przy naszej herbaciarni.“ — Tak też zrobiłem. Jermołow wówczas do mnie powiada: „Mój cioteczny brat, Aleksander Izwołski, dziś na początku posiedzenia prosił mnie z wyraźnego polecenia Najjaśniejszego Pana, abym u siebie zwołał poufną radę bardzo doświadczonych członków naszej grupy centrum w bardzo ważnej i poufnej sprawie. Proszę przybyć do mnie akuratnie o pół do dwunastej w nocy do mojego mieszkania na Sergiejewskiej, a swój powóz zostawić nieco opodal, żebyś również jak i inni, przychodząc do mnie, nie zwrócił uwagi.“ — Charaszo! — Jestem na Sergiejewskiej z umyślnem opóźnieniem pięciu minut, aby nie być pierwszym. Znajduję u Jermołowa oprócz Izwołskiego jeszcze dziewięciu kolegów z grupy.

centrum, a mianowicie: członków z naznaczenia monarszego Schmema i ks. Wasilczykowa, oraz następnych członków z wyboru: barona Korfa z gubernji petersburskiej, Michala Krasowskiego z gubernji czernigowskiej, ks. Golicyna z gub. nowogrodzkiej, Awdakowa, przedstawiciela przemysłu, Chomiakowa z gubernji smoleńskiej, Szypowa z gubernji moskiewskiej, a ja ósmy, ogółem jedenastu członków zebrania. Piotr Trubeckoj wiedząc oczywiście, o co chodzi, i spokrewniony z wielką partją rosyjską K. W. D. (Kuda wietur dujet czyli dokąd wiatr wieje) zatelefonował, że czuje się niedobrze. Siadamy do herbatnego stołu i prosto z mostu Izwolski nam oświadcza: „Najjaśniejszy Pan doszedł do przekonania, że obecny gabinet Goremykina, prowadzący względem Dumy wyzywającą politykę, nie może być utrzymany. General Trepow mocno skłania Cesarza, aby jako deski ratunkowej chwycił się prawdziwie konstytucyjnego a raczej parlamentarnego rozwiązania i uformował gabinet z Kadetów pod kierownictwem prezesa Dumy, Muromcewa, albo nawet Pawła Miliukowa.<sup>1</sup> W chwili obecnej już idą w tym kierunku pertraktacje.“ Dalej mówił Izwolski, że on osobiście gołów podzielić zdanie Trepowa, lecz cesarz jeszcze nie jest zdecydowany, prócz jednego, a mianowicie usunięcia Goremykina i kompanji. Ufając razem i wierności i politycznej dojrzałości grupy centrum w Radzie Państwa, polecił mu zasięgnąć naszego zdania i cesarzowi zareferować. Jermolow daje mi nie pierwszemu głos. Ja zaś oświadczam, że choć mam o tej kwestji wyrobione zdanie, lecz jako Polak nie jestem w tym wypadku tak mocno zainteresowany jak moi koledzy i wolalbym im dać możliwość wypowiedzenia się bez mojego na nich wpływu. Proszę więc, by mnie pozwolono wypowiedzieć się na końcu. Zaczyna się defilada przemówień (zdaje się, pierwszy mówił Krasowskij) w zaiscie rosyjskim, a szczególnie czynowniczym duchu podług znanej formy naszej kancelarji państwowej „Trudno zaprzeczyć, że... lecz jednocześnie można nie przyznać, że...“ a ponieważ nie wiadomo, czyją rękę trzeba będzie za kilka dni całować, ani jeden z tych panów konkretnego programu postępowania nie przedstawia. Ostatni, przede mną, wypowiada się sam gospodarz i przewodniczący Jermolow, królko lecz bardzo logicznie twierdząc, że o konieczności sprzątnięcia Goremykina i kompanji niema żadnej wątpliwości, ale co do kształtu przyszłego gabinetu, to wszystko zależy od tego: z jaką Dumą przyjdzie temu przyszłemu gabinetowi pracować? Jeśli z obecną, to on sam nie wątpi, że wskazanem jest ministerjum kadeckie, lecz gdyby ta Duma doprowadziła rzeczy do tego, że trzebaby

<sup>1</sup> Miliukow nie był członkiem Dumy, bo w czasie wyborów siedział w kozie za jakieś przestępstwo prasowe, lecz był w całej Rosji znany leaderem partji kadeckiej wogóle i tajnym kierownikiem tej frakcji w Dumie; to też nie opuszczał żadnego posiedzenia.

ją rozwiązać, to pożądany byłby gabinet zdolny przeprowadzić te operacje, a także i nowe wybory, a wówczas rzecz się przedstawia zupełnie inaczej; na tem zamilkł. Wówczas ja, przemawiając głównie do Izwołskiego (siedziałem między nim i Jermolowem) i często naszpikowując moją mowę frazesami w języku francuskim, którym Izwołski władał jak własnym, tak powiedziałem:

„Czekałem ostatnich słów czcigodnego Aleksego Siergiejewicza, ale nie powiem jak on „jeśli Duma będzie rozwiązana“. Powiem: tego dnia, kiedy ona będzie, i to bardzo rychło, rozwiązana! W chwili, gdy tu rozmawiamy, tam w Dumie specjalna komisja, z polecenia Izby opracowuje tekst manifestu do narodu, który ma ogłosić bezpośrednio. To nie jest nic innego, jak wypowiedzenie wojny i Najjaśniejszemu Panu i nawet zasadzie monarchistycznej. Po tem ogłoszeniu przyjdzie komuś ustąpić z zajmowanego przez się pałacu: albo Mikołajowi II z Carskiego Sioła — albo panom dumcom z pałacu Taurydzkiego. Sądzę, że p. minister i my wszyscy tutaj poradzimy Najjaśniejszemu Panu popробować, czy się nie uda pierwszemu z tych mieszkańców pozostać u siebie, choćby miał tamtych wyprosić. Ponieważ u nas harakiri nie jest w modzie, więc przez to jest już wykluczony gabinet kadecki, któryby miał przedewszystkiem Kadetów rozpedzić. Lecz i po dokonaniu tej operacji w żadnym razie nie polecałbym powierzać władzy wykonawczej rządowi, złożonemu z Kadetów. Proszę nie zapominać, że kiedy Ludwik XVI dnia 10 sierpnia 1792 r. został ze swojego pałacu Tuilleries wyprowadzony, uwięziony w fortecy le Temple, a w końcu publicznie ścięty, to stało się dlatego, iż miał słabość wziąć sobie ministerjum Girondystów t. j. właśnie kadeckie, w którym zawczasu jego główni ministrowie Rolland i Pache przygotowywali atak na pałac królewski, którym dowodził powołany przez nich generał armji regularnej Westerman. Co było wówczas, niezawodnie takżeby się powtórzyło jutro. Lecz rozwiązując obecną Dumę, co niezawodnie wywoła mniej lub więcej silną fermentację, niezbędnem jest mieć odrazu za sobą całą umiarkowaną część opinji publicznej rosyjskiej. Ta zaś obecnie nie dopuszcza nawet myśli o prostym powrocie do starego reżymu. Koniecznem jest, aby miała przekonanie, że po rozwiązaniu pierwszej Dumy nastąpi po niej druga, a tego przekonania nie będzie miała, jeśli w nowym gabinecie pozostaną trzej ludzie, którzy w oczach tej opinji publicznej uchodzą za zdecydowanych zwolenników odwołania wszystkich dotychczasowych reform, a szczególnie zasady przedstawicielstwa narodowego. Tymi ludźmi są: prezes gabinetu Goremykin, generalny prokurator św. Synodu ks. Szryński-Szachmatów i minister dóbr państwa Stisziński. Niemniej niezbędnem jest w moich oczach zachowanie na czele ministerstwa spraw we-

wewnętrznych Piotra Arkadjewicza Stolypina, który dowiódł w Saratowie, że posiada jednocześnie decyzję charakteru i zimną krew, a tutaj, że jedyny z całego gabinetu potrafił wzbudzić wśród dumskiego motłochu szacunek dla swojej osoby. O dopełnieniu nowego gabinetu członkami wziętymi z pośród nielicznej prawicy Dumy, albo z pośród członków naszego centrum z wyborów nie mówię, bo jestem podzielony między nadzieją, że przyniosą mu pewną popularność, i obawą, że im zabraknie fachowości.<sup>1</sup> Skończyłem."

Izwolski odpowiedział krótkim podziękowaniem za nasze rady i wyniósł się. Nas kolegów Jermolow zatrzymał i wypuszczał co pięć minut po jednym, aby na ulicy uwagi nie wzbudzić. Było już światło.

Mnie odprowadził ostatniego ze słowami: „Bądź Pan pewny, że pańskie przemówienie mój kuzyn powtórzy dosłownie cesarzowi."

Już w powozie nabrałem przekonania, że „ciemni dumcy" będą lada chwila rozpędzeni, że prawdopodobnie wywiąże się dość gęsta kasza i że moje miejsce jest nie w Petersburgu, lecz w moim Wilnie lub Ładunach. Tegoż dnia (w czwartek) zatelegrafowawszy po konie, wyjechałem do Wilna, zatrzymałem się w nim od pociągu do pociągu i w piątek wieczorem byłem na wsi. Ledwie się rozpatrzył, kiedy w niedzielę po południu otrzymałem od kolegi Wacława Jełowickiego depeszę brzmiącą: „Duma rozwiązana, Wasza obecność niezbędna, przyjeżdżajcie natychmiast!" Wyrachowałem, że kołmi na stację Lidę (pięćdziesiąt kilometrów) już nie zdążę, lecz kolej od mojej bliższej stacji Juraciszki (dwanaście kilometrów), choć oficjalnie nie otwarta, już była gotowa, i naczelnik stacji dostawił mnie tak zwaną „drezyną" do Lidy, gdzie zdążyłem na pociąg osobowy; przebyłem w Wilnie kilka godzin, aby zabrać zostawiony tam kufer i nazajutrz rano byłem w stolicy.

Posłałem rzeczy ze służącym do mieszkania, a sam zajęchałem wprost do Jełowickiego, który mi powiedział, że w tej chwili zasiada w klubie „działaczy społecznych" grupa centrum, która mnie oczekuje. Już z gazet wiedziałem, że rozwiązanie Dumy poprzedziła dymisja Goremjykina, Stiszyńskiego i Szyryńskiego-Szachmatowa, że Stolypin jest prezesem rady ministrów, zachowując tekę ministra spraw wewnętrznych, więc ze mój Izwolskiemu przedłożony program, został akceptowany i spełniony co do joty. Wiedziałem też, że w napadzie prawdziwego obłędu zbiorowego dwustu kilkudziesięciu człon-

<sup>1</sup> Właściwie moja wstrzeźliwość w tym względzie była wywołana tem, że już od paru dni mówiono o możliwości gabinetu złożonego z członków Rady Państwa z wyborów — i o konieczności udzielenia jednej czy dwóch tek polskiemu Kołt, wymieniając wyraźnie Edwarda Wojciłłowicza i mnie samego, a nie miałem najmniejszej ochoty wejść do tego gniazda szerszeni.

ków Dumy jeszcze w niedzielę pojechało do Wyborga w Finlandji; tam, małpując zawsze wielką rewolucję francuską i przysięgę w sali „Jeu de paume“, odbyli niby oficjalne posiedzenie i ogłosili proklamację, będącą dosłownem powtórzeniem tej, którą — jak mówiłem — przygotowała dumska komisja; tem te dzieciaki polityczne dały Stołypinowi najbardziej legalny pretekst do pozbawienia ich wszystkich prawa obieralności do Dumy następnej.

W chwili, gdy wchodził do sali obrad w klubie, członek „Biura“ Michał Wasylewicz Krassowski, uwiłdowił zebranie, już dość liczne, że w tym samym klubie w jednym z salonów na parterze obraduje cała prawica rozwiązanej Dumy z hr. Heydenem, Michałem Strachowiczem i Mikołajem Lwowem na czele, nad zrzuceniem w tej chwili bardzo niepopularnej koszulki „październikowskiej“ i założeniem wzamian nowej partji „pokojuowego odrodzenia“ (mirnawo obnowlenia); mówca proponował, żeby tych panów zaprosić do wspólnej narady i w odpowiedzi na buntowniczą proklamację wyborskich protestatorów wypracować z nimi i ogłosić drugą, zachowawczo-liberalną. Wszyscy na propozycję sekretarza państwowego i kawalera orderu św. Aleksandra Newskiego, Jermołowa, oraz stallmajstra ks. Trubeckiego, bez słowa protestu na to się zgodzili i już Krassowski dochodził do drzwi, aby tę paczkę dumców sprowadzić, kiedym, zorientowawszy się, że idzie o akt także w wyższym stopniu niebezpieczny, ryknąłem całą siłą schorowanych płuc: „Michale Wasilewiczu, stój, nazad do nas, to tak nie można!“ — W kilku dobitnych słowach przypomniałem moim chwilowo z toru legalności wykołejonym kolegom, że wobec naszej konstytucji panowie z Dumy, pozbawieni swoich mandatów na mocy najprawidłowszego w świecie aktu monarszego, nie są niczem innym, jak łada jacy przechodnie z ulicy. My zaś zachowaliśmy charakter prawodawców, stanowimy jeden z trzech filarów, na których się państwo opiera, i musimy nawet być przygotowani do tego, że wraże rozszerzenia się zamętu (a już się był zaczął w Kronsztadzie, Odessie i innych punktach) monarcha może się zwrócić do nas, jedyne niezależnego ciała prawodawczego, jako do deski ratunkowej. I dlatego musimy unikać wszelkiego cienia nielegalności lub pospiesznej improwizacji. W trochę pompatycznym lecz efektownem zakończeniu dodałem: „Pamiętajcie, szanowni koledzy, że my w tej chwili musimy stać na stronie porządku materialnego, lecz to może się prędko zmienić; kiedy obecne próby zamętu zostaną, jak się spodziewam, stłumione, to siłą nieuniknionej, zawsze w historii powtarzającej się reakcji, będziemy mieli do wytrzymania odwrotny nacisk, mianowicie na te prawa i swobody, które zawdzięczamy manifestowi 17-go października. Aby móc stanąć w ich obronie i mieć nadzieję, że nas usłuchają, trzeba, żebyśmy wówczas mogli



z podniesioną do góry głową rzec: słuchajcie naszych rad, bo myślny w chwili trwogi i zwątpienia dowiedli, że jesteśmy roz-  
wagą, praworządnością i zimną krwią.“ Nikt głosu nie podjął.  
Wszyscy obecni zamienili spojrzenia i propozycja Krassowskiego  
upadła jak kamień w wodę. Zaczęto już spokojnie radzić nad  
sytuacją; ktoś bardzo mądrze rzucił myśl, że trzeba byłoby  
sprawdzić, czy sam rząd ma ustalony program i mianowicie  
jaki, i w tym celu zebranie wydelegowało swojego prezesa ks.  
Trubeckiego i mnie do Stołypina, aby go w imieniu centrum  
Rady Państwa wybać. Zgłodniały jak wilk, wyczerpany długą  
podróżą, coś po drodze zjadłszy, powróciłem do domu, położy-  
łem się spać, a pod wieczór Trubeckoj uwiadomił mnie, że Sto-  
łypin nas oczekuje nazajutrz o 11 rano i że po mnie zajedzie.

Jak można się domyślić, nowemu premierowi, któremu się  
udało dzięki nader zręcznemu wykonaniu opłynąć niebezpieczny  
przyładek rozpędzenia pierwszej Dumy, przynajmniej w sto-  
licy (bo na prowincji taniec wówczas dopiero się zaczynał), już  
przybyło kilka centymetrów wzrostu i zewnętrznej uroczystości.  
Oczywiście rad naszemu „interview“ zaczął bardzo szeroko  
rozwozić się o swoim programie, który wkońcu redukował się  
do starej formuły, oklepanej już od pierwszych czasów pano-  
wania Aleksandra II „uspokojenie, potem reformy“. — Nie  
mogłem się powstrzymać od zaproponowania mu drugiej, a mian-  
owicie „uspokojenia przez reformy“, co naturalnie otworzyło  
drzwi do nowej dyskusji. Trwała już półtorej godziny, gdy  
Trubeckoj zerwał się, przypominawszy sobie, że na godzinę  
pierwszą zaprosił do siebie na śniadanie pół tuzina gości. Sto-  
łypin wówczas mieszkał na wyspie tak zwanej Aptekarskiej  
w bardzo skromnej drewnianej willi, której okna i drzwi wcho-  
dowe wychodziły bezpośrednio na pustą Nadbrzeżną tak zwanej  
„Małej Newy“. Oczywiście minister życzył sobie jeszcze ze mną  
pomówić sam na sam, bo zaproponował, żeby Trubeckoj odje-  
chał i po mnie odesłał tę samą czy drugą dorożkę. Rzeczywi-  
ście wnet po wyjściu Trubeckiego, wzięwszy ode mnie obietnicę  
dyskrecji, którą łamię dopiero teraz w piętnaście lat po jego  
śmierci, zapytał mnie, co myślę o zmianie drogą ukazu cesar-  
skiego t. j. właściwie zamachu stanu (na który się zdecydował  
dopiero w rok później) ordynacji wyborczej. Odpowiedziałem  
bez najmniejszego wahania, że obecna jest tak niedorzeczna  
i z taką pewnością pomimo wszelkiej presji administracyjnej  
będzie zawsze dawała Izby niezdolne do owocnej pracy, że na  
jego miejscu przystąpiłbym do tego nieuniknionego zamachu  
stanu w najbliższym czasie, albowiem wydanie takiego ukazu  
z araz miałoby ten duży awantaż, że odrzuciłoby dość  
uporczywie krążące słuchy, że już wcale żadnej Dumy nie będzie,  
i nawet ofiarowałem się, gdyby sobie życzył, w ciągu jednego ty-  
godnia przedstawić mu odpowiedni poufny projekt. Lecz mi-

nister odpowiedział mi, że przyjąwszy misję uformowania gabinetu na podstawie ścisłej wierności manifestowi 17/30 października 1905 r. i znając usposobienie Najjaśniejszego Pana, który raz zachwiany w obecnym kierunku, może się dać zachwiać i w odwrotnym, uważa, że chwila obecna jest niestosowna i że woli zostawić sobie czas do namysłu. Tymczasem przyjechała dorożka księcia i Stołypin uprzejmie odprowadził mnie aż do sieni. Rzuciłem okiem na długą poczekalnię przed jego nieobszernym gabinetem, którego jedyne okno dawało widok na duży ogród, podczas gdy okna poczekalni i izby poprzedzającej kancelarię wychodziły na Nadbrzeżną i były naprzekroś otwarte. Na chwilkę zatrzymując się, rzekłem: „Pietrze Arkadjewiczu, my się już znamy nie od dzisiaj, więc pozwól Pan mnie zrobić sobie jedną uwagę: dotychczas nieraz Pana spotykałem na ulicy w otwartym powozie i oczywiście bez żadnej ochrony, ale dzierżąc tylko jedną tekę ministerjalną, nie Pan za ogół polityki państwowej odpowiadałeś, lecz Iwan Logunowicz (Goremykin); dziś prawdopodobnie będziesz Pan zmuszony wziąć się do środków energicznych, za które odpowiedzialność padnie całkowicie na Pana. Na pańskim miejscu jednego dniabym nie przemieszkał w tej odosobnionej willi, bo wszak przez te okna przejeżdżający zbrodniarz mógłby wrzucić bombę, rozsadzić cały ten domek i uciec, nimby ktokolwiek go zatrzymał.“ Na to on odrzekł: „Wiem to dobrze i dlatego bardzo mi się nie chciało objąć sukcesji po Goremykinie, ale jestem stary gwardjak; kiedy Najjaśniejszy Pan mnie ten posterunek powierzył, domyśliłem się, że to jest właściwie posterunek wojenny. Więc „In-icza-Allah“ (po arabsku „Wola Boska!“). Następnego miesiąca już moje obawy się sprawdziły.

Dodam, że jeśli tak stanowczo się wypowiedziałem za rychłą zmianą ordynacji wyborczej, to szczególnie dlatego, że wiedziałem, iż w chwili obecnej taka zmiana może naszemu polskiemu przedstawicielstwu daleko prędzej coś pomóc niż zaszkodzić. Rzeczywiście całe postępowanie Koła Polskiego w tej pierwszej Dumie zrobiło na umiarkowanych Rosjanach a jeszcze bardziej na cesarzu Mikołaju osobiście bardzo dodatnie wrażenie. Sam słyszałem z ust jednego kolegi z wyborów: „To trochę dla nas nieprzyjemnie, że z sześćdziesięciu pięciu członków tej Dumy, którzy głowy nie stracili, jest całych pięćdziesięciu dwóch Polaków.“ A gdy Józef Potocki, szambelan cesarski, który do pierwszej Dumy należał, zęgnął się z Najjaśniejszym Panem, ten mu powiedział: „Powiedz Pan swoim kolegom, że mojej uwagi nie uszło, że żaden z nich do Wyborga nie pojechał.“ A gdy Potocki może niezręcznie dodał, że niestety Lednicki i Pietrażycki pojechali, cesarz lepiej poinformowany, niż można było się spodziewać, dodał: „Oni do Koła Polskiego przecież nie należą. Jeden jest moskiewskim, a drugi petersburskim Kadetem “

## Rozdział VIII.

### Miedzy pierwszą i druga Dumą.

Skorzystawszy z cudownej pogody, zrobiłem krótką wycieczkę do Finlandji, wypowiedziałem mieszkanie na Morskiej, które nie było mi potrzebne conajmniej do jesieni, w którym to czasie miało nastąpić w stolicy walne zebranie grupy centrum Rady, i powróciłem do Wilna. Zaszedłem wieczorem do klubu, i tam zaraz, ciekawy mego zdania co do rozpędzenia pierwszej Dumy, napadł na mnie p. Zamysłowski, towarzysz prokuratora, niemniej mocno liberalizujący. Odpowiedziałem: „Uważam to jako najbardziej legalne użycie prerogatywy, należącej do każdego monarchy nawet w najbardziej liberalnych krajach. A jakic nastąpią rezultaty, to zobaczymy przy przyszłych wyborach.“ Na to on podniesionym tonem: „To już pan zaraziłeś się od swoich wysokich ekscelencyj w Radzie Państwa, bo ja tu widzę przedewszystkiem pogwałcenie woli narodowej.“ Półtora roku później ten sam Zamysłowski wstąpił do trzeciej Dumy jako przedstawiciel nowo utworzonej w gubernji wileńskiej specjalnej kurji rosyjskiej, odznaczał się jako zajadły polakożerca i nieprzyjaciel katolicyzmu, na czem zarobił, że w liście otwartym, pomieszczonym — nie pamiętam — czy w Rieczy czy w Ruskim Słowie, przypominałem mu brzmienie jego ówczesnych słów. Podobno się wściekał, lecz odpowiedzieć nie śmiał.

W październiku powróciłem na parę tygodni do Petersburga. Codzienne zebrania grupy centrum właściwie ograniczały się do opowiadania kolegów z gubernij środkowych i bałtyckich o bardzo poważnych ekscesach, które prawie wszędzie, oprócz na ziemiach byłej Rzeczypospolitej, nastąpiły po rozwiązaniu pierwszej Dumy. Ogółem zostało zniszczonych do trzech tysięcy majątków szlacheckich. Jednocześnie wzmożyły się ogromnie zamachy osobiste na rozmaitych wyższych urzędników i spiski szczególnie na osobę Stołypina. Ten ostatni opowiadał mi o szczegółach zamachu dokonanego na niego na wy-

spie Aptekarskiej i to w formie, przeze mnie przewidzianej. Krótko po moim wyjeździe moje mieszkanie na Morskiej zostało zajęte przez kompanję kilku mężczyzn i dwóch kobiet, którzy także wzięli w spadku po mnie moją kucharkę Emilję, warszawiankę. Założyli tam konspiracyjną kwaterę. Pewnego pięknego dnia w odkrytym parokonnym powozie troje z nich, ubranych w pełną formę żandarmskich oficerów, podjechało pod ganek Stołypinowskiej willi na Aptekarskiej wyspie. Dwoje z nich wysiadło, lecz w bardzo wąskim przedpokoiku woźny, dawny żołnierz, zdziwiony, że zamiast letnich białych czapek, mają zimowe barankowe, a jeden nawet swoją trzyma w ręku, niby z powodu upału, zagroził im drogę; odepchnęli go, wtargnęli do kancelarji, a gdy paru urzędników, tam będących także wstało, ten, który trzymał czapkę w ręku z przekleństwem: „Czort nas wsiech pobieri (niech nas wszystkich djabli wezmą)“, nie dochodząc do drzwi poczekalni, całą siłą cisnął o podłogę ukrytą w czapce bombę. Wybuch był straszliwy. Sami obaj zbrodniarze, woźny, dwaj urzędnicy (jeden cudem ocalał) zostali rozerwani na kawałki; nawet jeden z stojących na ulicy koni padł, a pozostali spiskowiec i niby woźnica uciekli pieszo. W przepelnionej poczekalni zostało dwadzieścia kilka osób, czekających na audjencję, albo zabitych na miejscu albo strasznie pokaleczonych. Generałowi Zamiatinowi, starszemu adiutantowi Stołypina, wybuch odciął głowę jak gilotyną. W gabinecie Stołypin i rozmawiający z nim dygnitarz nie ucierpieli, a chociaż pokój na piętrze nad kancelarją nie zawalił się, to jednak napór gazów był taki, że czternastoletniej córce premiera, Natalji Petrownej, wiadomo jak, bez zewnętrznego uszkodzenia skóry, wszystkie mięśnie w obu udach zostały zmiażdżone jak mięso siekane do kołdunów, a kości ocalały. Właśnie w chwili, gdy mi to ojciec ze łzami w oczach opowiadał, biedaczkę, bardzo ładną, siostrą miłosierdzia w wózku przewoziła przez ojcowski gabinet. Wskutek tego zamachu przeniósł cesarz swego premiera do lepiej niż gmach ministerstwa spraw wewnętrznych chronionego pałacu zimowego.

A gdy w parę dni po tej mojej wizycie u Stołypina, czekaliśmy z Jermołowem we dwóch w pałacu Maryjskim (Rady Państwa) koło godziny drugiej na naszych kolegów z Biura centrum, rozległ się huk niby armatni, lecz jeszcze silniejszy, i Jermołow od razu powiedział do mnie, że to znowu jakiś zamach. Rzeczywiście w tym momencie na przejeżdżający od centrali celnej do centrali kasy państwowej furgon, dokonano zamachu zapomocą rzuconej pod konie bomby. Momentalnie siedząca na jednej dorożce młoda kobieta i dwóch drabów z innej dorożki rzucili się na roztrzaskany furgon, zabrali sześćset kilkadziesiąt tysięcy rubli w banknotach, koło trzydziestu tysięcy w złocie, zwiniętych w papierowe rulony, spadło na bruk,

rozsypało się i pozostało na ziemi — a winowajcy ulotnili się. Dopiero w kilka tygodni wszystkich schwytano w Finlandji. Okazało się, że dyrektorka zamachu, żydówka, była tą samą, która latem wyprawiła z mego mieszkania ekspedycję na Stołypina. Została z towarzyszami powieszona.

To był moment, kiedy nasz Związek Kół Polskich w Radzie Państwa cieszył się największym wpływem; uważano nas i nie bcz racji w chwili, kiedy u większości naszych kolegów Rosjan głowy kręciły się na karkach jak chorągiewki na dachu, rozpoznając, skąd „wiatr dmucha“, za rodzaj konserwatorjum politycznej równowagi. Zanimiśmy się rozjechali, miał miejsce w klubie „działaczy społecznych“ uroczysty obiad, na którym ja i Wojniłowicz siedzieliśmy każdy między dwoma ministrami, ja między ministrem finansów Kokowcem i ministrem oświaty Filosofowem, p. Edward między tymże i ministrem rolnictwa ks. Wasilczykowem,<sup>1</sup> a przy szampanie dziekan Rady Państwa, sędziwy Siemionow-Tańczański, wzniósł w imieniu całej grupy centrum zdrowie Koła Polskiego jako najpewniejszego wyrażiciela dążności i programu politycznego większości Rady Państwa.

W ostatnich dniach października powróciłem do Wilna, aby się pożegnać z ojcem, który pomimo swoich 89 lat wybierał się podług zwyczaju na zimowy sezon do Nicci, dokąd, niestety, nie dojechał. Zatrzymał się na odpoczynek w Berlinie i tu prawie niespostrzeżenie zgasł.

Ledwie zalał wzięte ze spadkiem po ś. p. ojcu interesy, zresztą bardzo proste, bo głównymi spadkobiercami byliśmy siostra i ja, gdy przyszło mi się znowu w końcu listopada wybrać do Petersburga, na skutek wprost błagalnej depechy od ś. p. Henryka Święcickiego, wzbogaconego entreprenera kolejowego i gorliwego społecznika - amatora. Nim zdążyłem wyjechać wieczornym pociągiem, jakiś podróżny, którego oczywiście Święcicki złapał na dworcu kolejowym, oddał w moim mieszkaniu jego list i streszczenie projektu aktu, w którym Stołypin jakoby zamierzał na mocy wspomnianego artykułu 87 konstytucji wprowadzić do naszych trzech litewskich prowincyj, wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej, organizację ziemską, której nie posiadały, albowiem w tamtych sześciu białoruskich i rusińskich już od kilku lat działały pseudo-ziemstwa, więcej biurokratyczne niż wyborowe, na które ziemianie się mocno skarżyli.

<sup>1</sup> Wkrótce po rozwiązaniu Dumy Stołypin, który wogóle dzięki wpływom żony Olgi Borysowny Neuhardtówny Polaków mało lubił, lecz ulegając wspomnianym prądom, zaofiarował Wojniłowiczowi stanowisko towarzysza ks. Wasilczykowa. P. Edward odmówił i miał rację, bo był w nim materiał na szefa, a nie towarzysza eleganckiego księcia.

Święcicki twierdził, że ten projekt ma na trzeci dzień przejść przez radę ministrów i błagał mnie, abym w braku innych upoważnionych przedstawicieli naszego kraju w Petersburgu, natychmiast przyjechał i temu projektowi kark skrzył. Przyjechałem do stolicy z rana i natychmiast widziałem się z uprzedzonym telegraficznie Święcickim oraz ze znajdującym się przypadkowo w Petersburgu p. Konstantym Skirmuntem, obecnie posłem Rzeczypospolitej w Londynie. P. Konstanty odsiadywał wówczas pokutę społeczną jako „kataryniarz” i to w wzmocnionym stopniu, ponieważ był jednym z sześciu obdarczonych za swoją obecność na uroczystości białymi pantalonami dworskimi. Chcąc strząsnąć ekskomunikę, rzuconą nań przez dość wpływową w ziemi grodzieńskiej endecję, wynalazł oryginalną, lecz skuteczną procedurę; mieszkając wówczas w Grodzie nie pani Eliza Orzeszkowa, ogólnie uznana wówczas kapłanka jednocześnie patrijotyzmu i płacziwej demokracji. Udał się do niej o rozgrzeszenie, uroczyście wypowiadał się przed nią, wysłuchał zwykłej przy konfesjonałe nauki i otrzymał jednocześnie rozgrzeszenie i pokutę, która polegała na tem, że się miał wyrzec wszelkich godności społecznych. Jakże obecnie piastował (był wiceprezesem Towarzystwa Rolniczego), i do pewnego terminu żadnych nie przyjmować. Dlatego nie został członkiem Rady Państwa; „interim” jego spełniał p. Korybut-Daszkiewicz, który po upływie naznaczonego przez małkę Elizę terminu, podał się do dymisji, a zastąpił go w Radzie Państwa wybielony grzesznik, który już pozostał w niej aż do rewolucji rosyjskiej 1917 r. Naturalnie ten stan pokuty nie miał w moich oczach żadnego znaczenia. Zostawał tylko wykształcony i rzadko zrównoważony ziemianin, rad więc byłem zasięgnąć jego zdania.

Projekt Stolypina był bez porównania łagodniejszy niż ten, który urzeczywistnił cztery lata później w specjalnym celu zmniejszenia reprezentacji Kresów w Radzie Państwa z dziewięciu członków do sześciu, o czem będzie jeszcze mowa. Zbliżał się nawet daleko więcej niż „erzatzowe” Ziemstwa, działające w białoruskich i ruskich gubernjach, do ogólnie rosyjskiej organizacji. Jednak zawierał trzy niebezpieczne punkta: Zaprowadzał zasadę kurjalną, przyznając w naszych trzech gubernjach ziemianstwu rosyjskiemu obowiązkową reprezentację, która nie dałaby mu przewagi wśród kurji ziemiańskiej, lecz mogłaby mu łatwo dać tę przewagę dzięki koalicji z przedstawicielstwem włościańskim i żydowsko-mieszczańskim, co z powodu ciągłego faworyzowania chłopów kosztem szlachty było bardzo możebne. Powtórze zostawiał niełkniętą zasadę ogólnie rosyjskiej organizacji, która przyznawała marszałkom szlachty obowiązkowe przewodnictwo w ziemskich zebraniach, pozostawiając do wyboru tylko przewodnictwo w tak zwanej ziemskiej uprawie, t. j. dyrektorjum wykonawczem, lecz nie wskrzeszał jedno-

częście wyborów marszałków przez szlachtę, ani radykalnie skasowanej przez Murawjewa organizacji stanowej tejże szlachty. Tymczasem wszyscy dotychczasowi u nas marszałkowie z nominacji, prócz Adama Platera, byli i prawdopodobnie byłiby Rosjanami. Wkońcu i ja, i Skirmunt i Święcicki, wiedzieliśmy doskonale, że ogólnie ziemskie instytucje były wówczas wśród ogromnej większości naszego ziemiaństwa prócz nielicznych demagogów gruntownie niepopularne. Przykład gubernij wewnętrznych obiecywał ogromne zwiększenie podatków bez odpowiednich korzyści dla ludności. Przytem wszyscy obawiali się tak zwanego „trzeciego elementu“ czyli licznych urzędników ziemskich, którzy w całej Rosji stanowili rezerwę propagandy rewolucyjnej, a u nas mogliby być łatwo użyci i dla propagandy antypolskiej. To też zdecydowaliśmy we trzech ze Skirmuntem i Święcickim, że użyję wpływu, jaki mieć mogę, żeby powstrzymać Stołypina od przedstawienia tego projektu do sankcji monarszej z tem, że jeśli o to mu chodzi, wniesie ten projekt drogą normalną do Dumy Państwowej, o której już wiadano, że będzie prawdopodobnie wybrana w ciągu dwóch miesięcy. Telefonicznie otrzymałem audjencję u premiera na dzień następny.

Nazajutrz znalazłem u Stołypina grunt dobrze przygotowany przez ministra rolnictwa księcia Wasilczykowa, którego o to prosiłem, i choć audjencja trwała bardzo długo, bo przeszliśmy na różne inne zagadnienia chwili, to jednak samego celu mojej wycieczki do Petersburga t. j. odroczenia całego projektu do zwołania drugiej Dumy dopiąłem bez trudności.

Naturalnie o tej mojej akcji, podjętej bez szerególnego mandatu, uwiadomiłem po powrocie do Wilna wszystkich spotkanych ziemian, a w swoim czasie moich kolegów Polaków z Rady Państwa.

Ani jednego nigdy słowa krytyki nie słyszałem prócz dwóch: narazie od p. Józefa Montwiła, który nienawidził szlachty i ziemiaństwa jako „ciemężycieli ludu“ i któremu projektowana reforma uśmiechała się daleko mniej w nadziei korzyści dla tego ludu, niż ciężkich ofiar dla szlachty ziemiańskiej; a znacznie później od p. Wawrzyńca Pułtkammera, któryby bardzo niechętnie zapłacił kilka tysięcy rubli podatków ziemskich za swoje Korelicze i Bolceniki, lecz jako działacz, zaciętrzewiony na punkcie subordynacji, organizacji i innych endeckich dogmatów, uważał, że powinienem być w ciągu dwudziestu czterech godzin zebrać, wysłuchać i posłuchać całej jakiejś ciężkiej i zawadzaającej maszyny społecznej, jak ta, w której sam przyjął rolę posłusznego narzędzia. Ale ponieważ do żadnej takiej organizacji nie należałem, a nawet innych wówczas prócz endeckiej i różnych podziemnych nie było, więc sobie znoś z lekkim

sercem wituperacje ś. p. pp. Józefa i Wawrzyńca, i moja ówczesna inicjatywa mego sumienia nie gryzie.

W czasie tej krótkiej wycieczki do Petersburga odwiedził mnie dwa razy przyjaciel, którego pozyskałem wkrótce po wstąpieniu do Rady Państwa i który został do końca mojej kariery parlamentarnej niemniej cennym źródłem informacji o tem, co się dzieje na rozmaitych piętrach położonych poniżej mojego, t. j. na kadeckim parterze i w rewolucyjno-spiskowo terrorystycznych podziemiach, jak to, którem były panie Połowcowi i hr. Pahlen względem dworskiego Olimpu. Był to współpracownik kadeckiej gazety „Riecz“ a przedtem krótkotrwałego rewolucyjnego „Towariszcza“ niby p Lwow, a w rzeczywistości Klaczko, żydek z Wilna, stryjeczny bratanek znakomitego Juljana. Często mnie odwiedzał, wyciskał ode mnie plotki z Rady Państwa, a przynosił dumskie i nierzadko pod rubryką „jakoby“ rewolucyjne. Zawdzięczałem mu znajomość z panem Hesse, redaktorem gazety „Riecz“, w której często z podpisem własnym lub pod płaszczykiem tegoż Lwowa, umieszczałem to, co sobie życzyłem rozgłosić po świecie. I już wówczas w końcu 1906 r., t. j. prawie pięć lat przed ostatecznym dramatem, ten Klaczko uprzedzał mnie, że Stołypin nie umrze inaczej jak z ręki rewolucjonisty, albowiem już wywołanym przez rozwiązanie pierwszej Dumy rozruchom, spiskom i zamachom odpowiadały niemiłosiernie represje, sekretne sądy wojenne, także sekretne egzekucje między czterema ścianami więzień, które prędko doszły liczby kilkadziesiątu miesięcznie. O niektórych z tych zamachów jeszcze wspomnę w ich porządku chronologicznym.

Po powrocie na Litwę i krótkotrwałej wycieczce do Berlina i Paryża, wywołanej likwidacją ojcowskiej sukcesji, przyszło mi w styczniu zająć się wyborami do drugiej Dumy. Był to prawie punkt kulminacyjny walki w Rosji dwóch obozów opozycyjno-rewolucyjnego i rządowo-reakcyjnego. Jak to zwykle bywa, obóz, który w rzeczywistości czekała porażka, przeceniał swoje siły, przesadzał swoje pretensje i przez to przyspieszał swoją klęskę. Już w chwili rozwiązania pierwszej Dumy został pod dyktando słynnego w swoim czasie dra Drubowina założony, tak zwany „Związek Narodu Rosyjskiego“ vulgo nazwany Czarną Seciną, której na drugim końcu państwa, w Bessarabji, gorliwie i skutecznie pomagał znakomicie czynny i raczej niewyczerpane gadatliwy niż rzeczywiście wymowny Puryszkiewicz.<sup>1</sup> Obaj mieli jako główne punkty swego programu, z jednej strony powrót do samodzierżawia, z drugiej zaczepny nacjonalizm, zaczynając od polonofobji. Partja t. zw. Październikowców, do których formalnie zaliczał się Stołypin, otrząsała się z dyskre-

<sup>1</sup> Później dobił on Rasputina.



dytu, w który była chwilowo wpadła w czasie rozwiązania pierwszej Dumy, i już nie wstydziło się do niej należeć. A Kadeci, których kosztem w rzeczywistości wszystko się odbywało, stawiali się coraz bardziej nieprzejednanymi w swoich pretensjach. Tak samo u nas w Warszawie na bardzo liczny zjeździe przeróżnych działaczy społecznych, na który byłem proszony w początku listopada i na jedną dobę pojechałem, a który zresztą został zupełnie bezskuteczny, uważałem, że partja N. D., która na tym zjeździe przeważała, czuła się względem rządu rosyjskiego mocniejszą niż była przed pół rokiem. Wówczas, kiedy dla uważnego badacza było jak raz odwrotnie.

Wybory powiatowe odbyły się w Oszmianie w ostatnich dniach stycznia. Na ten raz, ponieważ już byłem notorycznie ulaskawiony przez jego ekscełencję biskupa Roppa, przeszedłem jako wyborca do zjazdu gubernjalnego jak pigułka. Tam zaś na przedwyborczym zebraniu ks. biskup, który, choć był także wyborcą gubernjalnym, już swojej kandydatury stawić nie chciał, sam zaproponował mnie na tak nazwanego „dyktatora na sali.“ A to się przydało. Właśnie w wilję miałem wizytę p. Barka, żyda ze Święcian, wzbogaconego kolejowca i wydawcy gazety „Riecz“; wydelegowany ze swego miasteczka jako wyborca do zjazdu gubernjalnego, zamierzał tam postawić swoją kandydaturę na posła, nie wątpił o jej powodzeniu, albowiem uważał się pewnym głosów kurji włościańskiej, i zjawił się u mnie z miną konkwistadora.

Zaczawszy od deklaracji, że ziemiaństwo w całej Rosji, a także i w wileńskiej gubernji politycznie już nie egzystuje, i oświadczając, że na pięć mandatów, dla gubernji (prócz miasta Wilna) przeznaczonych, pewny jest przeprowadzić dwóch chłopów i dwóch żydów, ofiarował mi z łaski przepuścić jednego Polaka ziemianina, lecz pod warunkiem, że będzie miał jego i żydów aprobatę. Raczył dodać, że taką łaskę jego partja gotowa okazać mnie, gdybym się zgodził zamienić mój mandat w spróchniałej Radzie Państwa na takiż w młodym debie, jakim będzie druga Duma. Był bardzo zdziwiony, gdy mu odpowiedział, że się ogromnie myli, że przeciwnie jego drobna żydowska paczka na sali bardzo mało będzie znaczyła, a naszej ziemiańskiej, choć jest sama jedna, do połowy całego zjazdu gubernjalnego plus jeden brakuje tylko pięciu głosów, które z biedy można byłoby przeciągnąć od włościan, podczas gdy żydzi, aby przeprowadzić choć jednego ze swoich, muszą mieć podtrzymanie całej bez wyjątku kurji, albo chłopskiej albo ziemiańskiej. I dlatego naodwrot ja z łaski swojej, aby być zupełnie pewnym rezultatu wyborów, proponuję mu jeden mandat dla niego samego, jeden dla jakiegoś chłopca, przez chłopów wy-

branego, a trzy mandaty dla ziemian. Inaczej mogę mu zaręczyć, że choć może nie przeprowadzimy więcej niż jednego ziemianina, ale ani jednego żyda nie dopuszczę. Rozeszliśmy się na stopie wojennej, wyszło zaś jeszcze lepiej, niż się spodziewałem.

Przez noc udało się naszemu ambasadorowi do chłopskiego falaństeru, Bortkiewiczowi, i dwom księżom, między którymi odznaczył się ks. dziekan lidzki, zupełnie przekabacić chłopów, wzbudzić u nich zdecydowany antysemityzm i skłonić ich do tego, że podzielią z nami mandaty: trzy dla nich, a dwa dla nas, lecz żyda nie dopuszczą. Nazajutrz na sali pokazało się, że chłopci, którym bardzo smakowało dziesięć rubli dziennej diety dumskiej, zgodzili się na jednego obowiązkowego, mianowicie jakiegoś Ciwunelisa, niby Litwina ze święciańskiego powiatu, lecz dobrze mówiącego po polsku, absolwenta czteroklasowej szkoły powiatowej, a co najważniejsza, posiadacza sześćdziesięciu dziesięcin własnej ziemi, lecz dalej aż do feralnej godziny dwunastej otwarcia wyborów porozumieć się nie mogli. Już na sali dziekan lidzki uprzedził mnie, że żydzi tymczasem podeszli do chłopów z innej strony i namówili większość ich, aby się wstrzymali od głosowania w nadziei zerwania zebrania, lecz że ma pięciu chłopów ze swego dekanatu, na których może z pewnością rachować. To, z dodatkiem wspomnianego Ciwunelisa, wystarczyłoby, żeby zapewnić nam o dwóch głosujących wyborców więcej niż połowę obecnych, a tego było dosyć dla prawomocności wyborów. Więc skoro chłopci wybrali swego Ciwunelisa,<sup>1</sup> którego natychmiast w kilku grzecznych słowach wsadziłem sobie do kieszeni, a dziekan trzymał na smyczy swoich pięciu wiernych, Bark i wszyscy żydzi oświadczyli przewodniczącemu Platerowi, że się wstrzymują od głosowania, i większość chłopów poszła za ich przykładem: zażądałem od Platara, aby to natychmiast zaprotokółował. Przystąpiono do wyborów na cztery pozostałe mandaty; a że w przeddzień wyborów upatrzyliśmy w przewidywaniu podziału z chłopami tylko dwóch kandydatów, więc na mocy moich dyktatorskich praw, dałem hasło, święcie usłuchane, żeby ziemianie głosowali na dwóch przeze mnie improwizowanych kandydatów, p. Stanisława Wańkowicza i, nie pamiętam, czy Wawrzyńca Puttkammera czy Henryka Święckiego. Ani jeden z moich tu na miejscu zaprzysiężonych spiskowców nie pierzchnął i na mocy zupełnie prawomocnego wyboru gubernja wileńska wysłała do Dumy, włącznie z miastem, razem pięciu Polaków i jednego spolszczonego włościanina. Pyszny p. Bark osiadł na miełźnie.

---

<sup>1</sup> Ten Ciwunelis już nie wyszedł z Dumy aż do jej śmierci 1917 r.; regularnie mię parę razy do roku odwiedzał, należał do Koła Polskiego i zupełnie przykładowie w niem się sprawował.

Zato w sąsiednich gubernjach wyszło znacznie gorzej. Kowieńska i grodzieńska dały tylko po jednym polskim mandacie, a w mińskiej poniosło się prawdziwą klęskę. Miasto Mińsk nie miało, tak jak Wilno, oddzielnego posła do Dumy, lecz jego wyborcy z kurji miastowej, wyłącznie Polacy, wchodzili w skład zjazdu gubernjalnego. Komisja, kontrolująca prawidłowość wyborów, skasowała je zupełnie bezprawnie, a że to nie wstrzymywało wyborów na samym zjeździe, ten się znalazł zmniejszony o ośm głosów; kilku ziemian Rosjan zawiązało koalicję z kurją chłopską i w rezultacie gubernja mińska, która do pierwszej Dumy wysłała ośmiu deputowanych Polaków, teraz nie miała ani jednego. Gubernje białoruskie i wołyńska także nie dopisały, podolska dała tylko jednego Polaka, więc naogół Koło Polskie w Dumie uszczupliło się o pięć czy sześć głosów.

Do Rady Państwa nowych wyborów nie było nigdzie prócz gubernji mohylewskiej, która Kadeta p. Wykowskiego zastąpiła Władysławem Sianożęckim, tak że Związek Kół, kongresowego i kresowego, doszedł do osmnastu głosów. Za to grupa centrum w całości poniosła niemałą stratę na korzyść reakcyjnej prawicy. W ustawie o zreformowanej Radzie Państwa był artykuł, który głosił, że corocznie 1 stycznia dla dokompletowania ubywających cesarz назнача z ogólnej liczby członków z nominacji (jak mówiłem, stu kilkunastu) tych dziewięćdziesięciu ośmiu, którzy mają faktycznie zasiadać. Z początku wszyscy ten artykuł rozumieli tak, że nowe nominacje 1 stycznia będą się tyczyły tylko zastąpienia umarłych, a naznaczeni na początku członkowie będą i nosili tytuł i zasiadali dożywotnie, jak dotychczas. Tymczasem Stolypin, który z dnia na dzień wzrastał w siłę, znaczenie i pewność siebie, namówił cesarza, aby 1 stycznia 1907 r. ułożył całkowitą listę zasiadających członków, opuścił kilku liberalizujących z grupy centrum między innymi gen.-adjutantów Durnowo (z bojarskiej linii, nie krewnego, byłego ministra), hr. Kutaisowa, w 1908 r. także generała Kosicza, a nadto dwóch umarłych zastąpił pravicowcami. Jednocześnie mocno zorganizowało się wśród centrum oddzielne skrzydło Neuhardowskie t. j. szwagrów, które wystarczało, by w pewnych kwestjach dać prawicy przewagę kilku głosów nawet nad koalicją reszty centrum z nielicznymi lewicowcami. Do tych ostatnich przybył profesor Maksim Maksimowicz Kowalewski, który w roku 1906 należał do Dumy i, sprzedawszy korzystnie swój duży majątek w Małorosji, głosował za obowiązkowem wywłaszczeniem.

Co do wyborów do Dumy, opozycyjne elementy razem zyskały na gwałtowności, a straciły na liczebności. Skrajna lewica, t. j. byli Trudowicy, dziś już rozgałęziona na czystych Trudowików, S. D. (socjalistów demokratów) i S. R. (socjalistów rewolucjonistów), tak samo jak w pierwszej Dumie liczyła

dwieście z czemś głosów. Natomiast Kadeci z liczby około dwustu, dzięki swojemu wyborgskiemu wybrykowi, dziewięćdziesięciu. W kwestjach antyrządowych stanowili jeszcze większość, lecz w kwestjach państwowych, w których skrajna lewica nie wychodziła z wiecznej negacji, większość mogła być osiągnięta tylko dzięki czterdziestu ośmiu głosom polskim, albowiem prawie wszystko, co stracili Kadeci, zarobili już ośmieleni Październikowcy: razem z nieliczną skrajnie reakcyjną prawicą pod batutą Puryszkiewicza, liczyli koło stu dwudziestu głosów zamiast czterestu bardzo umiarkowanych w pierwszej Dumie.

## Rozdział IX.

Druga Duma. — Koło Polskie i jego polityka. — Rozwiązanie tej Dumy. — Ukaz 6/19 czerwca 1907 r.

Otwarcie obu Izb odbyło się 20 lutego — 5 marca, i to każdej z osobna, w nieobecności cesarza. Tak jak w roku zeszłym mogłem być obecnym na obu ceremonjach, o godzinie 1-ej i o 3-ej. Otwarcie Dumy było nazewnątrz bardzo burzliwe. Już od Troickiego mostu w stronę pałacu rozpoczynał się tłum, a od Litiejnego prospektu był on tak zwarty, że mój powóz, zamknięty, ledwie się mógł ruszyć. Gawiedź, wśród której, nie wiadomo jak (bo pobyt w Petersburgu był im niby zakazany), była masa żydów płci obojga, sądząc, że jestem członkiem Dumy ciągle mnie otaczała, czasem groziła, nawet otwierała to jedno to drugie drzwiczki karety, zapytując, czy będę głosował za amnestją. Z trudnością się dobrałem do osobnego ganku, prowadzącego do łoży Rady Państwa, na ten raz wyznaczonej na piętrowej galerji. Była pełna. — Jednakże udało mi się dostać do pierwszego rzędu przy samej balustradzie; i tu rozegrała się scena, która aż do upadku dynastji w 1917 r. przez dziesięć lat miała ciążyć jak ogromna skała nad całą polityką polsko-rosyjską, bo w mgnieniu oka przerobiła jedynego w Rosji pewnego naszego przyjaciela w zaciętego, skrytego, lecz nieubłaganego wroga, mianowicie cesarza Mikołaja II. Posłowie już przed pierwszą godziną byli wszyscy na miejscu. Siedzieli z prawa na lewo (patrząc od mównicy) w następnym porządku: Skrajna prawica (koło trzydziestu ludzi), Październikowcy (ośmdziesięciu kilku), Koło Polskie (czterdziestu ośmiu), Kadeci (koło dziewięćdziesięciu), skrajna lewica (dwustu kilku). Punktualnie o pierwszej wszedł w pełnym galowym mundurze i wstędze Aleksandra Newskiego wiceprezes Rady Państwa, Iwan Jakowlewicz Gołubiew (bo zeszłoroczny Frysch, już był prezesem Izby Wyższej), wstąpił na trybunę prezydjalną, zagał posiedzenie

i wezwał Izbę do wybrania sobie prezesa.<sup>1</sup> Tak jak w roku zeszłym była to rzecz kilku minut, bo był z góry upatrzony dość niepoczesny p. Golowin, deputowany z miasta Moskwy. (Muromcew dzięki Wyborgowi nie był wybieralnym). Następnie Gołubiew, zaprosiłszy go do zajęcia prezydjalnego fotelu, sam wstał, wyprostował się i rzekł dosłownie: „Nim opuszczę to miejsce jestem szczęśliwy spełnić wysokie polecenie, którem mnie zaszczycił Najj. Pan, Cesarz Mikołaj Aleksandrowicz, i w jego imieniu wypowiedzieć panom jego powitanie i szczere życzenia owocnej pracy.“ Naturalnie już przy słowach „w imieniu Najj. Pana“ prawica, Październikowcy, nawet Kadeci co do jednego wstali, a rewolucyjna lewica wyzywająco siedziała... i także Koło Polskie, nie wykluczając członków Klubu Myśliwskiego, pp. Dembińskiego i kamerjunkra dworu cesarskiego hr. Henryka Potockiego. Sądząc, że się nasi nie zorientowali, tak gwałtownie pochyliłem się przez balustradę, żeby krzyknąć „Polonia wstać!“, że prawdopodobnie upadłbym do sali, gdyby mój kolega w Radzie z gubernji sypbirskiej, Poliwanow, myśląc, że ulegam jakiemuś niedomaganiu, nie chwycił mnie za poły i gwałtownie nie ściągnął wtył na ławkę. Już nazajutrz się dowiedziałem, że ten grubjański postępek Koła Polskiego, nie był przypadkowym, lecz formalnie postanowionym na posiedzeniu tegoż Koła. Dotychczas nie mogę pojąć przyczyn tego obłędu, jako też nie wiem, kto był jego inicjatorem, oraz jaką jest w tem odpowiedzialność ówczesnego prezesa Koła, p. Romana Dmowskiego. Tyle wiem, że od tej chwili zrobiliśmy sobie z dotychczas życzliwego Mikołaja II nieprzejednanego wroga, co się okazało w krótkim czasie w słynnym ukazie 6 czerwca 1907 r., a dzięki czemu można być pewnym, że jak się to pokaże w ostatniej części obecnych pamiętników, gdyby nie tragiczny los Mikołaja II, to pomimo wszelkich późniejszych płaskości i wszelkich wielkoksiażących deklaracyj w 1914 r., obietnic i manifestacyj, przy końcu wojny wszechświatowej wyszlibyśmy jak... Zabłocki na mydle.

Pierwsze posiedzenie drugiej sesji Rady Państwa tegoż 20 lutego 1907 r. miało wyłącznie formalny charakter z braku materiału i trwało niespełna pół godziny, lecz tego czasu wystarczyło, żeby się przekonać, że wiatr już stale dmucha z innej strony, niż wtedy, kiedy musiałem wstrzymywać moich kole-

<sup>1</sup> Gołubiew, najzacniejszy w świecie człowiek, mój przyjaciel, miał jedno nieszczęście: będąc jeszcze chłopakiem, został przez konia tak nieszczęśliwie uderzony, że musiano go operować i nadać mu kwalifikacje na urzędnika sułtańskiego haremu, lub śpiewaka w dawnej kaplicy sykstyńskiej. Dzięki temu przy dość okazałym wzroście i poważnej postawie zachował głos dziecienny. Dużo ludzi, którzy nie wiedzieli, że fatalna demonstracja Koła Polskiego na tej uroczystości była zgóry obmyślana i postanowiona, przypisywało słabemu organowi Gołubiewa mniemaną pomyłkę naszego Koła.

gów z grupy centrum od niekonstytucyjnego amalgamatu z rozwiązanymi członkami Dumy. Mianowicie ogromny sto pięćdziesięcio kilogramowy, a pomimo tego czuły jak piórko na powiew „wiatru“, p. Michał Rodzianko, który w pierwszej sesji prawie na każdym posiedzeniu zmieniał swój fotel w stronę lewego skrzydełka, a na ostatnim naszym posiedzeniu siedział już na samem pograniczu, teraz znalazł się na samym krańcu Neu-hardowskiej grupy szwagrów, na linii demarkacyjnej od prawicy, i gdy przewodniczący staruszek Frysch wzniósł okrzyk na cześć Najj. Pana, p. Roman Rodzianko, basem, od którego zatrzęsły się wszystkie szyby gmachu, zaryczał hymn: „Boże Cara chroni“, któremu musieliśmy, biedni staruszkowie, do końca wtórować naszymi słabymi głosami albo kaszlem.

Już koło drugiego posiedzenia zdarzył się wypadek, w którym cały obóz opozycyjny starał się drogą insynuacji, domysłów i wątpliń widzieć jakiś szatański plan przeciw przedstawicielstwu narodowemu, a właściwie najnaturalniejszy w świecie. W kilka godzin po zamknięciu posiedzenia Dumy w wielkiej sali posiedzeń zawalił się na całej przestrzeni sufit sali: trzymał się niestałą równowagą od czasu Potemkina i Katarzyny Wielkiej, tak jak sam gmach państwowy od czasów Piotra Wielkiego.

Belki zgnily, no i amen. Dzięki temu musieliśmy się dzielić naszą salą z Izłą Niższą, aż tam zaciągnięto nowy sufit, co zresztą dzięki wyjątkowo zdolnemu architektowi budynków dzworskich, p. Benoit, zostało dokonane w wprost bajecznie krótkim czasie, w niespełna trzech tygodniach. Duma zasiadała prawie codziennie od pierwszej do szóstej, energicznie wietrzono salę, aby ją oczyścić od miazmów opozycyjnych, poczem myśmy od Źlzewiątej do dwunastej wieczorem znowu wyłaniali woń zdrowych zasad i cnoty.

To też jakby u siebie w domu byłem obecny na pierwszym zetknięciu Stołypina z tą nową Dumą. Po odczytaniu programowej, bardzo obszernej deklaracji rządowejabrał głos nowo wybrany Czerkies Ceretelli. Młody, małego wzrostu, lecz zgrabny i z przyjemną twarzą, choć przedstawiciel grupy socjał-rewo-*delucystów* łucjonistów, przyzwoity co do manier i tonu, niby jakiś „kniaziok“ w swoim plemieniu, za to jadowity jak żmija, jednak, jak się potem okazało, o szlachetnej naturze. Rzadko mi się zdarzało słyszeć jednocześnie tak silną, razem i elegancką filipikę polityczną. Ale tym razem miało się do czynienia nie z ramolcią Goremykinem, lecz z godnym potomkiem ruskich bojarów z XVI wieku, jakoby nawet z twarzy i postawy bardzo przypominającym Borysa Godunowa, mianowicie z Piotrem Stołypinem. Dał jeszcze wyszczekać się kilku bladym mówcom opozycyjnym, prawdopodobnie, aby zyskać czas na przygotowanie odpowiedzi (bo jak się potem nieraz przekonałem, nie

posiadał cennego daru improwizacji), a gdy znowu wstąpił na mównicę i w kilkunastominutowej replce wziął wszystkie byki razem za rogi, z niezwykłą otwartością oświadczył im, że oni nie walczą ani mądrością, ani doświadczeniem, ani wiedzą, ani prawdziwą miłością do narodu, lecz tylko bezczelnością i terorem, i z odpowiednimi intonacją i gestem zakończył swoim historycznym „nie zapugajetje“ (nie zastraszyć); wszyscy momentalnie poczuli, że Rosją pierwszy raz od zgonu Aleksandra III kieruje prawdziwie silna ręka... i że czcigodny p. Michał Rodzianko, przyszedł przy innym znowu wietrze grabarz monarchji, dowiódł teraz dobrego węchu.

Przed Świętami Wielkanocnymi zajechałem na kilka dni do Wilna; zaraz mnie odwiedził nowy nasz gubernator, p. Dymitr Lubimow, następca Tatiszczewa, którego Stołypin posadził na swoim miejscu jako gubernatora w Saratowie. Żonaty z litewską Tatarką, panną Tugan-Baranowską, oboje byli dla nas raczej dobrze usposobieni; prosił mnie, abym mu pomógł załagodzić świeżą i przykrą historję. Nasz krzyżak-biskup baron Ropp z przyczyny jakiejś różnicy zdań z generał-gubernatorem Krzywickim, którą prawdopodobnie można było załagodzić przez zamianę not dyplomatycznych, udał się osobiście do Krzywickiego. A że ten, typowy „Burbon“, jak mówili Rosjanie, t. j. drobny karjerowy oficer, w dodatku przechrzta z katolicyzmu, nie posiadał żadnej światowej ogłady, wówczas kiedy owszem ks. biskup jako rdzenny arystokrata rozporządzał całym kłębkiem szpilek, więc przy zachowaniu poprawnych form doprowadził biednego „burbona“ do takiej wściekłości, że ten nie marzył o niczem innem jak o wygnaniu wojowniczego apostoła na Syberję. Lubimow twierdził, że Krzywicki ma duże dla mnie uznanie i spodziewał się, że mi się uda sprawę jakoś załagodzić. Udałem się do pałacu, ale pierwiej zaszedłem do mego przyjaciela Stankiewicza, który także na wzór p. Rodzianki stopniowo ostrygał w swoim liberalizmie; znalazłem go jeszcze bardziej rozgoryczonym na ks. biskupa, niż mógłby być sam Krzywicki. Skierowałem się do biskupiego pałacu, lecz po drodze spotkałem barona Roppa, który piechotą delektował się wiosnemiem słońcem. Wziął mnie pod rękę, odprowadził do mego mieszkania, i przekonałem się, że szuka męczeństwa, chce wojować i do żadnego zastosowania wazeliny mnie nie upoważnił. Czas nagił i musiałem powrócić do stolicy bez niczego. A tu w parę tygodni przybył ks. biskup i już sam się do mnie zwrócił, bo okazało się, że Stołypin gorliwie się ujął za generał-gubernatorem i że nie szło o nic innego jak o wygnanie biskupa na Ural lub jeszcze dalej. Poszedłem do Stołypina. Znalazłem go stosunkowo wyrozumiałego. O pozostawieniu wi-



nowajcy w diecezji już mowy być nie mogło, lecz starałem się przynajmniej otrzymać, aby ks. biskupowi było pozwolone osiąść w Kurlandji, u swoich krewnych Zyberg-Platerów (baron Edward Ropp rodzi się z Platerówny). Stołypinowi nie szło tak o zemstę osobistą nad winowajcą, jak o spokój. Dobrze wiedząc o mojej własnej z ks. biskupem wyżej opisanej wojnie, obawiał się, żeby na samym pograniczu diecezji i wśród ludności choć łotewskiej, lecz nawpół katolickiej, nie rozpoczęły się pielgrzymki, manifestacje i protestacje wszelkiego rodzaju i zakończył słowami: „Ja się na prośbę ks. biskupa zgodzę, jeżeli pan, Hipolicie Oskarowiczu, mnie słowem honoru za niego zaręczysz.“ Na to odpowiedziałem: „Ani za takt ani za spokój charakteru ani za rozum polityczny barona Edwarda Roppa honorowem słowem ręczyć nie mogę i nie myślę. Ale mogę ręczyć za uczciwość tego nieposzlakowanego szlachcica w dotrzymaniu danej mi obietnicy. Więc zaraz się do niego udam i jeśli on przede mną słowem honoru się zobowiąże dotrzymać waszych, Piotrze Arkadjewiczu, warunków, to za jego własne spełnienie tej obietnicy mogę śmiało zaręczyć.“ Tak się i stało. Ks. biskup to zobowiązanie przyjął, uczciwie dotrzymał, spokojnie w majątku pp. Zyberg-Platerów (zdaje się Bebra) przesiedział bodaj aż do samej wojny, a jego funkcje jako administrator diecezji, naogół zadawalniająco, spełniał ks. Michałkiewicz.

Zaraz po Świętach Wielkanocnych 1907 r. zeszło na nas wszystkich członków Rady Państwa z wyborów „szczęście nad szczęściami.“ W poprzednim roku 1906, zapewne przy innym wietrze, obawiano się, żeby nie nastąpiła ze strony lewicy jaka opryskliwa odmowa. A teraz dano nam znać, że Najj. Pan i Najj. Pani, aby nas we wszystkim zrównać z naszymi „złocencami“ kolegami, życzą sobie poznać nas osobiście t. j. nie stądami, lecz na prywatnych audjencjach w gabinecie pierwszego i Buduarze drugiej. Rozpoczęły się codzienne wycieczki do Carskiego Siola małemi paczkami, w porządku alfabetycznym. Mój dzień „szczęścia i sławy“ wypadł koło 25 kwietnia. Do mojej paczki należeli Wacław Jełowicki i Maksym Kowalewski. Wyjechaliśmy koło 11 rano specjalnym pociągiem. Na stacji Carskoje Sielo przeszliśmy do osobnego pawilonu dworskiego, oddalonego od pałacu o mniej niż kilometr, a tam na nas czekały dworskie karety. Wprowadzono nas do osobistego gabinetu Najj. Pana; tu najpierw marszałek dworu generał-adjutant hr. Benkendorff (później zamordowany z rodziną cesarską w Eka-terinenburgu) dał nam króciutką lekcję o ceremonjale i sakramentalnych słowach; anonsował tak zwany „laufer“ Farafontiew, w operowym stroju z XVIII wieku z jakąś na głowie dziwną aksamitną czapką, wpoprzek której powiewało

To

ogromne strusie pióro. Po wyjściu Maksyma Kowalewskiego podszedł do mnie cesarz, a że byłem ostatnim, więc rozmowa trwała o kilka minut dłużej niż z poprzednimi. Z tą znaną właściwą panującym pamięcią fizjognomji odrazu zwrócił się do mnie ze słowami: „Ja pana już widziałem, zdaje się, że podczas jednej z moich podróży.“ Rzeczywiście w końcu 1904 r. kiedy to Mikołaj II odbył długą podróż po południowej Rosji, aby błogosławić wyruszające do Mandżurji wojska, zatrzymał się na krótki czas na stacji Lida, na linii Odessa—Petersburg, i przyjmował tam kilkunastu o tem uprzedzonych ziemian. Dzięki temu rozmowa zaraz przeszła na temat nowootwarłej drogi żelaznej Bałagojc—Mołodeczną—Lida—Sielce, o której do mnie powiedział Mikołaj II: „Zawdzięczasz ją pan swoim przyjaciółom Francuzom, którzy się jej domagali w celach strategicznych.“ W porównaniu z tym 1904 r. biedny cesarz wydał mi się zmierzniałym i poszarzałym. Zaraz po skończonej audjencji Benkendorff, który znajdował się w sąsiednim saloniku, zaprowadził mnie do buduaru Najj. Pani, która czekała zupełnie sama, stojąc na środku pokoju. Była to jeszcze wcale przystojna, wysoka i z ładną figurą kobieta, lecz bez najmniejszego wdzięku w spojrzeniu i wyrazie twarzy. U obu wysokich małżonków uderzała nadzwyczajna, prawie chorobliwa nieśmiałość, tak że chciałoby się człowiekowi ich ośmielać; w tej sytuacji jest to zawsze związane ze skrytością. Mikołaj II podczas rozmowy nie wiedział, co czynić ze swojemi rękami, i ciągle dłuubał to łańcuszek od zegarka, to kłamrę od paska (był w mundurze finlandzkich strzelców); a gdy Aleksandra Feodorowna, żegnając mnie, podała mi rękę do pocałowania, instynktownie poczułem, że trzeba tę rękę oswobodzić i zwrócić ją właścicielce, bo samaby nie śmiała jej wyciągnąć z męskiej dłoni, która ją trzymała. Potem nas poproszono na krótkie śniadanie, bo było już koło pierwszej; po śniadaniu powrót. Naturalnie w wagonie podzieliliśmy się z kolegami wrażeniami i treścią naszych rozmów. Ważnem dla charakterystyki ś. p. cesarzowej Aleksandry (zwanej „die böse Alice“, co oznacza to, co Francuzi nazywają „un caractère russe“) było, że do Jelowieckiego i Kowalewskiego, o których mogła sądzić, że władają językiem rosyjskim lepiej niż zagranicznymi, przemawiała po francusku; do mnie, o którym ją oczywiście uprzedzono, ponieważ rozpytywała się tylko o mojej przeszłości zagranicą, że jestem pół Francuzem, zwracała się po rosyjsku, w języku poprawnym, lecz z mocnym akcentem angielskim, spodziewając się mnie tem zażenować.

W tych czasach nie przedstawano w bliskich dworowi kołach szeptać o dramacie, który miał miejsce koło Nowego Roku w rodzinie cesarskiej. Dziwię się, że od 1917 r., kiedy cała prasa europejska tak namiętnie zajmowała się plotkami o Ra-

sputinie, o jego stosunku do pary cesarskiej i tej pary między sobą, o tem zupełnie nie wspomiano. Szczegóły tego dramatu opowiadano mi u pp. Połowcowych. Mieliśmy wówczas w nowym klubie kolegę lejtnanta marynarki, p. Wyrubowa; bardzo sympatyczny typ niezbyt mądrego, szczerego jak złoto, silnego jak niedźwiedź i bohaterskiej waleczności marynarza, jednego z tych kilku, którzy nie zatonęli pod Czusimą na okręcie admirała Roździeńskiego, który sam w porę drapnął na torpedowcu i proponował swemu adjutantowi Wyrubowowi zabrać go z sobą, lecz ten nie chciał się rozłączyć z załogą. Wpadł do wody, dość długo płynął jak beczka, do której z kształtu ciała był podobny, aż go wyratowali japońscy rybacy. Ten Wyrubow był moim częstym partnerem w bezika, a wiedziałem, że jest zięciem mego kolegi w Radzie Państwa Taniejewa, szefa osobistej kancelarii cesarza, a mężem wielkiej faworytki cesarzowej. Raptem Wyrubow znikł z horyzontu.<sup>1</sup> Opowiadano u państwa Połowcowych, że stało się to wskutek okoliczności następujących: Jeszcze w r. 1906 mówiono o szczególnych względach okazywanych przez cesarzową Aleksandrę wyjątkowo pięknemu młodemu generałowi Orłowowi, który jako energiczny i niemiłośliwy uśmierzyciel chłopskich rozruchów w sąsiedniej gubernji estlandzkiej zrobił sobie aureolę rycerza zasad konserwatywnych i monarchistycznych.

Otóż pięknego wieczoru Wyrubow, który mieszkał w Carskiem Siole niedaleko pałacu, nie znalazłszy partji w klubie, wrócił do domu znacznie wcześniej niż zwykle. Nie uważając na stojącą o kilkadziesiąt kroków karetę, otwiera drzwi zewnętrzne własnym kluczem, ale nie może wejść, bo są zaszczipione od środka na łańcuch. Podbiega służąca, w paru słowach tłumaczy, że wejść teraz nie można, żeby pan powrócił za dziesięć minut i zamyka mu drzwi przed nosem. Zdumiony marynarz, drapiąc się w głowę, spaceruje wzdłuż swego domu, aż tu jednocześnie drzwi się otwierają, podjeżdża pełnym kłusem karetą, do której wskakuje wysoka strojna postać, podobna z figury jak dwie krople wody do cesarzowej, karetą momentalnie odjeżdża, a w kilka minut drzwi się znowu otwierają i wychodzi niemniej znakomity i znany z postaci piękny gen. Orłow. Rycersko usposobiony Wyrubow momentalnie się domyślił, do czego służy jego dom, wpada do żony, chwytą ją swoją niedźwiedzią łapą, lewą za włosy, a prawą zaczyna okładać buzią „Anuszki“ (pod tem imieniem ją potem Rasputin osławił) i: „Masz tobie za cesarzową, masz tobie (w drugi policzek) za Orłową,“ i jeszcze raz za cesarzową i jeszcze raz za

<sup>1</sup> Kilka lat później, kiedy jego nazwisko dzięki znanej przyjaźni jego żony z Rasputinem stało się już głośnie na całą Rosję, spotkałem tego Wyrubowa w powiecie wilkomierskim, gdzie służył jako ziemski naczelnik.

Orłowa i t. d. Pisk, wrzask, fraucymer wylatuje na ulicę wrzeszcząc: „Ratujcie, pan panią zabija“... Nazajutrz nadzwyczajne posiedzenie św. Synodu, elektryczny rozwód, dymisja z floty i biedny lejtnant znikł jak kamfora.

A w parę tygodni potem piękny, silny jak dąb generał Orłow umarł zagadkowo, wskutek krwotoków piersiowych, tak jak niegdyś ks. Kantakuzen (patrz wyżej), a cesarzowa przez pewien czas osobiście nosiła kwiaty na jego grób! Wyrubowowa została jeszcze w większych łaskach, ciągle przesiadywała w pałacu, dawała się złapać w trakcie całowania na dywanach śladów nóg Najj. Pani, i zaczęto mówić o specjalnym stosunku, którym od czasu do czasu zajmują się pornograficzne romanse francuskie, na ostatku „La Garçonne.“

Choć niema wątpliwości, że w ostatniach jakich szczęściu do ośmiu latach Mikołaj II ulegał coraz silniejszemu, pod koniec panowania zupełnie wyłącznemu wpływowi swojej żony, to kompletne opanowanie małżonka przez małżonkę, którego przyczyny należą więcej do erotyki i do psychiatrii niż do sentymentalności, rozpoczęło się dość późno po awanturze z Orłowem, po zjawieniu się dziwnej choroby (hemofilji) ubóstwianego przez oboje rodziców następcy tronu i wystąpieniu na scenę czarodzieja Rasputina. W 1905—1907 roku z jakimś wyłącznym wpływem cesarzowej nad cesarzem jeszcze się w t. zw. „sferach“ nie rachowano.

Jako następstwo odnowienia tradycyjnych stosunków między tronem a Radą Państwa zostaliśmy wszyscy zaproszeni 6/19 maja w dzień urodzin Najjaśniejszego Pana na uroczyste nabożeństwo, a potem na śniadanie, do carskosielskiego pałacu. Ta ceremonia, która odnawiała się dwa razy do roku w wiecznie jednostajnych formach, polegała na tem; punktualnie o pół do jedenastej z rana wyjeżdżano pociągiem do Carskiego Sioła, ze stacji karetami dworskimi do pałacu, gdzie natychmiast wprowadzano nas do pałacowej kaplicy. Obecni byli wyłącznie rodzina cesarska, znajdująca się w stolicy, z wyjątkiem niepełnoletnich, oraz członkowie Rady Państwa i prezes Dumy państwowej, jedyny z tej „ciemnej“ kompanji; nawet ministrowie, o ile nie byli jednocześnie członkami Izby Wyższej, nie byli proszeni. Po nieskończeniu długiej mszy, upięknionej cudownymi śpiewami liturgicznymi prawosławnymi, której cała asystencja w ciągu mniej więcej półtorej godziny wysłuchiwała stojąc, a młoda cesarzowa klęcząc od początku do końca, rodzina cesarska wychodziła ceremonjalnym marszem, mając z przodu i z tyłu wyższych dygnitarzy dworskich, a w orszaku cesarz pod rękę z matką, za nimi panująca cesarzowa z bratem cesarza, w. księciem Michałem, inni podług bliskości do tronu. Skoro się domyślano, że ten orszak miał czas dojść do we-

wewnętrznych apartamentów, przepuszczano nas do dwóch salonów, zawieszonych obrazami, przedstawiającymi wyłącznie zwycięstwa rosyjskie od czasu Piotra Wielkiego, a po kilku minutach mistrz ceremonji wywoływał nas w porządku alfabetycznym; przechodziliśmy przez wąski salonik, w którym stali cesarz i obie cesarzowe: ogłoszenie nazwiska, ściśnięcie jednej dłoni, pocałowanie dwóch, wejście do kolosalnej sali, już zapelnionej kilkunastu okrągłymi stołami, każdy na kilkanaście miejsc. Skoro rodzina cesarska usiadła przy jednym z tych stołów, razem z prezesami obu Izb, pierwszym ministrem i wielkim szambelanem hr. Pahlenem, wszyscy siadali przy innych stołach, jak kto chciał. Śniadanie, wiecznie to samo, smaczne, lecz mające tę właściwość, że się do wieczora człowiek zapijał sodową wodą albo Vichy, trwało mniej więcej godzinę. Skoro ze stołu cesarskiego było dane hasło wstania, cesarz i dwie cesarzowe stawali przy końcowej ścianie, stoły znikwały w mgnieniu oka, i rozpoczynał się tak zwany „cercle“, to znaczy, że wszyscy stawaliśmy półkołem, naprzeciw panujących, cesarz i dwie cesarzowe wywoływali przez staruszkę Pahlenu na trzęsących się nogach, pokolei trzech czy czterech obecnych na króciutką rozmowę, Najjaśniejszy Pan i Najjaśniejsze Panie składali całej asystencji głęboki ukłon i ceremonjalne dygi, na które się odpowiadało ukłonem do pasa, i tradycyjnem „hurra“, a skoro mistrz ceremonji zauważył, że bogowie i półbogowie wstąpili do niebios, rozbiegaliśmy się jak gimnazjaści po szatniach, powozach, wagonach, do stolicy zpowrotem. Ta ceremonia powtarzała się jak obrządek kościelny i na Nowy Rok i wszystkich, prócz ułajonych bluźnierców, napelniała słodkiem poczuciem własnej wielkości.

A jakby ironją losu nazajutrz po tej pierwszej monarchistycznej uroczystości, przyszło Radzie Państwa wysłuchać oficjalnego komunikatu rządowego o zaaraszowaniu bandy 28 spiskowców, którzy przygotowywali szereg zamachów na życie Najjaśniejszego Pana, w. księcia Mikołaja oraz Stołypina. Naturalnie wysłano natychmiast do Najjaśniejszego Pana telegraficzne powinszowanie, do którego redakcji przewodniczący wiceprezes Gołubiew mnie powołał. Od mego przyjaciela Kłaczkidowiedziałem się, że i nasze skórki były w niebezpieczeństwie... Między tymi, którzy mieli wysadzić w powietrze w. księcia Mikołaja w jego pałacu, znalazł się jeden niby Włoch, korespondent rzymskich gazet, który stale asystował naszym plenarnym posiedzeniom. U niego znaleziono duży portfel skórzany, a w nim gruby słownik rosyjsko-włoski, w rzeczywistości potężną bombę oraz plan naszej sali a na nim czerwonym atramentem oznaczoną linię przebiegu pocisku, rzuconego od ławki żurnalistów w stronę stołu ministerjalnego. Znak i różne cyfrowe dodatki dowodziły, że pocisk z powodu ciężkości, metyby nie doszedł,

lecz prawdopodobnie upadłby na głowę Eustachego Dobieckiego lub Leopolda Kronenberga, i dlatego niby Włoch czekał okazji przejścia, daleko bliżej niego, Stołypina od swego stołu do naszej herbaciarni... nie doczekał się i został „impicato”<sup>1</sup> razem z siedmiu współnikami.

Podczas tej krótkiej, niespełna czteromiesięcznej sesji, Rada Państwa z braku materiału miała mało zajęcia. Jeszcze przed pierwszym oficjalnem posiedzeniem Izby był w grupie centrum przewidziany ten brak zajęcia i dość liczni członkowie wypowiedzieli przy ogólnem poparciu myśl, że Rada Państwa, a specjalnie stanowiąca większość Izby grupa centrum, powinna wykorzystać przyznane jej konstytucją prawo inicjatywy prawodawczej i przystąpić do opracowania tak długo oczekiwanych reform poszczególnych w rozmaitych kierunkach, prawnych, administracyjnych i ekonomicznych. Pod tem wrażeniem opracowałem pod tytułem „Szkic projektów prawodawczych” cały szereg zupełnie dojrzałych reform, które Rada Państwa, daleko bogatsza w praktyczną wiedzę niż Duma, mogłaby u siebie opracować i oddać do zatwierdzenia mniej kompetentnej Dumie państwowej oraz zawałonej pracą władzy wykonawczej t. j. monarszej. Pracę tę, niezbyt rozciągłą, wydrukowałem i rozesłałem wyłącznie moim kolegom z Izby Wyższej oraz urzędującym ministrom. Grupa centrum dość żywo interesowała się tą kwestją, która była przedmiotem dyskusji na kilku posiedzeniach, i postanowiono zacząć od wniosku o gruntywnem przekształceniu „rządzącego Senatu”. Od czasów jego założenia przez Piotra W., to znaczy w ciągu przeszło dwustu lat, przetrwawszy prawie bez zmian wszystkie koleje tego ogromnego państwa, stał się właściwie już starą zardzewiałą machiną, niezdolną odpowiedzieć swoim zadaniom. Grupa centrum postanowiła nasamprzód wprowadzić tę pierwszorzędną reformę. Wniesiono według konstytucji na ręce prezesa z podpisem 39 członków Izby odpowiedni wniosek, który w ciągu dość licznych posiedzeń, przy napozór przychylnym udziale ministra sprawiedliwości, Szczegłowitowa, był przedmiotem narad plenum Izby. Naturalnie musiałem jako pierwszy inicjator często w tej sprawie zabierać głos jednocześnie z wybitnymi jurystami, tak z wyborów, jak z naznaczenia. A skończyło się jak zwykle na pustych gawędach. Wówczas kiedy ja i kilku wybitniejszych kolegów domagaliśmy się, aby Rada powierzyła opracowanie szczegółowego projektu ustawy własnej komisji, do której znalazłoby się wśród niej aż nadto dosyć kompetentnych ludzi, minister Szczegłowitow wszystko skierowywał na manowce, przyjmując na siebie i na rząd opracowanie takiego projektu

<sup>1</sup> Powieszony.

i wniesienia go drogą wskazaną przez konstytucję dla projektów państwowych do obrad Dumy, i.... nigdy go nie wnosił.

Właściwie cały interes i punkt ciężkości podczas tej sesji koncentrował się w Dumie, a wśród Dumy w Koło Polskiem. Różniło się ono dość znacznie od przeszłorocznego w pierwszej Dumie, które, jak mówiłem, pozostawiło po sobie i u cesarza Mikołaja II i wśród społeczeństwa rosyjskiego bardzo dodatnie wrażenie. Zmieniło się dość znacznie co do składu osobowego. Odpadło, jak powiedziałem, pięciu członków kresowców, tak że ogólna liczba zjednoczonych Kół Polskich zeszła do mniej więcej czterdziestu ośmiu. Przytem naturalnie Koło kongresowe, składające się tak samo z 34 członków, zyskało jeszcze większą przewagę. A ono znów zmieniło się, niekoniecznie na korzyść umiarkowania i rozważli. Liczyło już tylko dwóch członków nie należących do partji narodowo-demokratycznej, mianowicie ś. p. Dembińskiego i p. Henryka Potockiego. Jako prezesa miało już nie p. Nowodworskiego, lecz p. Romana Dmowskiego, po którym dużo ludzi spodziewało się cudów. Obok niego ks. Gralewski, w kierunku przeważnie N., t. j. narodowościowym, a p. Władysław Grabski w kierunku D., t. j. demokratycznym, dość mocno zabarwiali całą grupę. Lecz utratę kilku głosów aż nadto wyrównywała zupełnie wyjątkowa, nadspodziewana sytuacja parlamentarna, którą już opisałem: Czterdzieści ośm głosów polskich stanowiło tę wagę decydującą, bez której pomocy państwowo usposobiona część Izby żadnego postanowienia powziąć nie mogła. To się prędko okazało, gdy tylko dzięki Kołu Polskiemu Duma przyjęła powołanie rocznego kontyngensu wojskowego. Obok tego dla rządu i dla państwowo myślącej części Dumy z jednej strony, a dla Koła z drugiej, powstały dwa programowe, górujące nad wszystkiem postulaty. Dla rządu i niezwarjowanej części Izby Niższej tym postulatem było przeprowadzenie dyskusji nad budżetem i jego zatwierdzenie, którego giełdy zachodnie domagały się nie bez ironji, jako wstęp do zawarcia na bolesnych warunkach pożyczki zagranicznej. A dla Koła Polskiego właściwie jedynym postulatem była autonomia Królestwa Polskiego, z którego dominująca wśród wyborców endecja zrobiła mandat imperatywny.

Przed przedstawieniem rządowi w formie ultimatywnej swojego projektu autonomji Królestwa Koło Polskie w Dumie zaprosiło na wspólną konferencję związek Kół Polskich w Radzie Państwa. — Już wiedziałem, że się rzecz zbliża do konfliktu i że najmnijsem niebezpieczeństwem, na które się naraża Koło Polskie w Dumie w razie zerwania pertraktacji z rządem, będzie drugie rozwiązanie Dumy i nowe wybory prawdopodobnie nie bez zmiany ordynacji. W przeddzień naszej wspólnej konferencji stary Połowcow, który jako prezes spe-

cialnego komitetu finansów, mającego za główne lub nawet wyłączne zadanie pożyczki zagraniczne, bardzo się interesował przeprowadzeniem budżetu przez Izby, poprosił mnie do siebie w nadziei, że będę mógł wpłynąć na moich rodaków, aby w żadnym razie nie przyłączyli się do rewolucyjnej lewicy dumskiej i nie odrzucili przejścia do poszczególnego rozpatrzenia preliminarza. Był bardzo podniecony; treść tej rozmowy jeszcze dobrze pamiętam. Mówił mniej więcej: „Co pańscy rodacy wyśmiali, przypierając nas do ściany ze swoim żądaniem formalnego uznania autonomji Królestwa Polskiego? My tej formalnej autonomji dać nie możemy!” — i tu pod sekretem (ale ten sekret przed upływem dwóch lat już był sekretem poliszynela) Polowcow mi wyznał, że Wilhelm II formalnie przez swego ambasadora uprzedził cesarza Mikołaja, że biorąc na uwagę własną politykę względem swoich polskich poddanych, uważałby przyznanie przez Rosję Królestwu Kongresowemu formalnej autonomji za akt nieprzyjazny i że nie dopuszcza reform idących dalej, niż te swobody rodzaju administracyjnego i językowego, które jego austriacki sprzymierzeniec przyznał Galicji. Stary dalej powiadał: „Czyż pańscy rodacy w Dumie nie rozumieją, że nas wyzywają na wojnę, w której żadnych szans nie mają? Jesteśmy w tej chwili słabi, biedni, upokorzeni po klęskach japońskich, razem zagrożeni i bezbroni, lecz nie przestajemy być najliczniejszym w Europie narodem i dumnym ze swojej przeszłości; doprowadzać nas do ostateczności, wymagać od nas w formie ultymatywnej tego, czego dać nie możemy, nie mogąc nawet wyznaczyć dlaczego, jest to przymuszać nas do środków ostatecznych. Wszakże jesteśmy przygotowani do bardzo poważnych ustępstw, a ciągle nam rzucają pod nogi rozdrażniające słowo autonomja, autonomja. „Mais, sacrebleu, qui's prennent tout ce qui la constitue, et nous fichent la paix avec le mot!”

A znowu jeśli wierzyć ś. p. Ludomirowi Dynszy, który mi o tych wszystkich pertraktacjach ze Stółtypinem, prowadzonych przez ministra oświaty Kaufmana, jego przyjaciela, detalicznie opowiadał, te ustępstwa jako zapoczątkowanie były wcale szerokie. 1) W dziedzinie oświaty i kwestji językowej ofiarowano Kołu Polskiemu: W szkole ludowej język polski jako wykładowy, a parę godzin na tydzień poświęconych językowi rosyjskiemu jako przedmiotowemu. W sferze szkół średnich wszystkie gimnazja z językiem wykładowym polskim i językiem rosyjskim jako przedmiotowym, przy zachowaniu tylko dwóch gimnazjów rosyjskich, jednego w Warszawie, drugiego w Lublinie, z obowiązkową w nich nauką języka polskiego jako naodwrot przedmiotowego. Nakoniec w uniwersytecie warszawskim trzy katedry, mianowicie literatury polskiej, historii i prawa w języku polskim, z prawem utrzymywania ze środ-



ków nie rządowych, lecz społecznych, obok każdej katedry profesorskiej rosyjskiej docentów wykładających te same przedmioty w języku polskim. 2) Co do administracji miejscowej w gminach, język polski jako urzędowy. 3) Wprowadzenie do każdej z dziesięciu gubernij Królestwa samorządów wzorowanych na wewnątrzno-rosyjskich Ziemstwach, z tą samą kompetencją (która była bardzo szeroka), z językiem polskim w mowie i piśmie, prócz korespondencji z władzami centralnymi. 4) Wkońcu wskrzeszenie namiestnikostwa, przyczem obok namiestnika działałaby delegacja po sześciu członków od każdego gubernjalnego samorządu jako rada przyboczna, na której opinjowanie byłoby obowiązkowo oddane, przed wniesieniem ich do Izb prawodawczych w stolicy, wszelkie wnioski prawodawcze dotyczące się Królestwa Polskiego.

Lecz słowa „autonomja“ nie było, a jak często bywa, szło przeważnie, lub też wyłącznie, o to słowo.

Na wspomnianem zebraniu Kół z obu Izb, nie wiem dlaczego, p. Roman Dmowski nie przewodniczył. Referował ks. Gralewski. Tego referatu szczegółów już w pamięci nie mam, zresztą po rozminowie z Polowcowem interesowała mnie daleko mniej treść niż metoda. Głosu ani ja, ani żaden z kolegów kresowych nie zabieraliśmy jako właściwie w sprawie nie zainteresowani. Z Koła kongresowego w Izbie Wyższej przemawiali tylko Eustachy Dobiecki i Józef Ostrowski, obaj krótko i bardzo wstrzemięźliwie. Lecz podczas zawieszenia posiedzenia zbliżyli się do mnie, stojącego we framudze drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju, dwaj wpływowi członkowie dumskiego Koła i zapytali o moje zdanie. Odpowiedziałem im prawie dosłownie: „Mnie daleko mniej interesuje treść waszego projektu niż metoda, którą będziecie go przedstawiali i popierali. Kiedy będziecie się trzymali metody układów i wzajemnej zgody, to proście sobie cłoć o oddzielne wojska i mundury napoleońskie jak przed 1830 rokiem, bo wiadomo, że układ jest to targ, gdzie każda strona ma w zapasie coś do ustąpienia. Lecz kiedy, jak powiadają, zamierzacie panowie stawić kwestję na ostrzu noża, w formie ultimatum, albo nadanie formalnej autonomji, albo odmowa przejścia do rozpatrzenia budżetu, to gracie grę nadzwyczaj niebezpieczną. Nie mogę wszystkiego powiedzieć, bo jestem związany obietnicą dyskrecji, lecz wiem, że obecnie rząd formalnej autonomji wam przyznać nie to, że nie chce, lecz nie może. Przejście zaś przez Izby budżetu jest mu niezbędne i odrzucenia go nie zaryzykuje. Zatem będzie to nieprzejednany konflikt. A w tym konflikcie spotkają się z jednej strony ogromne państwo z wojskiem, może nie ciekawem, lecz miljonowem, a z drugiej strony tylko języki, może dzielne, lecz w liczbie trzydziestu czterech. Jabym za nic na świecie na taki

konflikt nie poszedł, targowałbym się, przyjąłbym to, co można wyrwać, i czekałbym nowej pomyślnej okoliczności.“

Na to jeden z moich słuchaczy, którego miałem i mam (bo jeszcze żyje) za bardzo roztropnego, odpowiedział mi: „Ale cóż możemy zrobić, kiedy Warszawa na nas wywiera nacisk, o którym pan pojęcia mieć nie może?“ — „Przepraszam, ja o nacisku mogę mieć pojęcie, lecz nie pojmuję, żeby w tak żywotnej dla narodu kwestji można było jemu ulegać. Jestem sam wybranym przedstawicielem mojego wileńskiego społeczeństwa, ale nie uważam siebie za komisjonera, lecz jako zaufanego pełnomocnika. Gdyby mi postawiono wymagania, których sumiennie wypełnić nie mogę bez jawnej szkody dla sprawy, tobym postąpił po swojemu, a potem powiedziałbym moim wyborcom: tak postąpiłem, bo tak mi nakazywało sumienie, a kiedy nie jesteście z mego postępowania zadowoleni, to obierzcie sobie mędrszego.“ Na to mój pan poseł jakby z westchnieniem: „Łatwo panu tak mówić, panie Milewski, który możesz jak chcesz wyrzec się i mandatu i polityki bez żadnej szkody dla pańskiej sytuacji światowej lub majątkowej, a my jesteśmy we wszystkim od naszej partji i naszych wyborców zależni.“

I to jest przekleństwo, które ciąży we wszystkich krajach, nawet daleko więcej od naszego rozwiniętych, nad tak zwanymi zawodowymi politykami; dla nich zajęcie się sprawami publicznymi stanowi nie ukoronowanie ich kariery, lecz samą karierę. Muszą wkońcu nie dziś to jutro stać się nie kierownikami, lecz pokornymi sługami tego niepoczytalnego stada, jakim się staje w chwilach podniecenia wszelkie liczne zbiorowisko nawet wykształconych ludzi.

W takich warunkach rozwiązanie drugiej Dumy okazało się koniecznością nie mniej nieuniknioną niż rozwiązanie pierwszej; lecz Stołypin był zanadto mądry, żeby się doczekać formalnego odrzucenia dyskusji budżetowej i wobec stu kilkudziesięciu milionów muzyków przyznać się, że car rozwiązuje Dumę dlatego, że ona chce, żeby lud nie płacił podatków i akcyzy za wódkę. Daleko korzystniejszym było hasło: my rozwiązujemy Dumę dlatego, że część jej członków projektuje cara zamordować, a Duma ich nie wydaje.

Szczęśliwa gwiazda Piotra Arkadjewicza ten pretekst mu nastręczyła. Oczywiście uprzedzona przez jakiegoś zdrajcę policja przyłapała na gorącym uczynku całą paczkę spiskowców w trakcie, kiedy w konspiracyjnej kwaterze na Newskim Prospekcie z bibułą i wszystkimi potrzebnymi dowodami naradzali się nad rozpropagowaniem i zbuntowaniem kilku w stolicy konsystujących pułków. W spisek było zamieszanych dwudziestu dwóch członków Dumy, między innymi wyżej wspomniany

Ceretelli.<sup>1</sup> Stołypin chwycił się tego, wymagał natychmiastowego wydania tych dwudziestu dwóch spiskowców i Duma by nie odmówiła, lecz bardzo słusznie jej komisja domagała się umotywowania podejrzeń na każdego oskarżonego poszczególnie. Stołypin to przyjął jako odmowę i pod tym pretekstem znienacka Dumę rozwiązał. Na posiedzeniu w sobotę 5/18 czerwca odczytano nam ukaz cesarski, odraczający zajęcie Izby Wyższej do 1 listopada 1907 r. A nazajutrz wyszedł słynny ukaz 6/19 czerwca, na mocy artykułu 87 praw zasadniczych wydany, zatem pozbawiony wszelkiego cienia legalności, który wnosił do ordynacji wyborczej Izby Niższej bardzo ważne zmiany, a mianowicie:

Co do Królestwa Kongresowego i Kresów jednym pociągnięciem pióra zredukowano ich przedstawicielstwo w Kongresówce z 34 posłów na dwunastu pod pretekstem do pewnego stopnia usprawiedliwionym przez postępowanie ostatniego Koła Polskiego, że „nie można dopuścić, aby grupa obcoplemieńców stała się arbitrem losów narodu rosyjskiego“, a Kresy obdarzono pierwszą, nieśmiałą próbą kuryj narodowościowych; nasze trzy gubernie litewskie otrzymały każda po jednym przedstawicielu od ludności rosyjskiej, którym co do Wilna został wspomniany, potem dość znany skrajny prawicowiec, p. Zamysłowski. Co zaś do reszty Cesarstwa nie zadano sobie fatygi w czemkolwiek zmienić zasady przedstawicielstwa. Wprost wzięto dla każdej gubernji zestawione tablice z liczbą wyborców od każdej kurji ziemiańskiej, chłopskiej i mieszczańsko-miastowej i przewrócono cyfry; up. gubernja woroneska, w której już 74% ziemi uprawnej należało do włościan, wskutek czego mieli na zjeździe wyborczym gubernjalnym przewagę głosów i do dwóch pierwszych Dum wysłali wyłącznie czternastu chłopów, teraz otrzymała większość kurja ziemiańska, i naturalnie do trzeciej Dumy wysłała tylko jednego chłopca. Inowacją w tej nowej ordynacji było tylko to, że każdy z tych trzech stanów musiał mieć z każdej gubernji najmniej jednego przedstawiciela, ale ponieważ był wybrany przez ogół wyborców gubernjalnych, można było z góry rachować, że ziemiańska większość żadnego prawdziwego przewrotowca nie dopuści. Dość było dla przezornego badacza przeczytać ten ukaz 6 czerwca 1907 r., żeby zgóry

<sup>1</sup> Ten sympatyczny marzyciel wówczas postąpił po rycersku. Podczas gdy inni z dwudziestu dwóch oskarżonych posłów wykreśli się na dumskiej mównicy, starając się dowiedzieć, że ich związek nie miał na celu wywołania buntu wojskowego, on z mównicy oświadczył, że właśnie ten cel miał na widoku, że Duma jest dla niego tylko środkiem dla propagowania i dla urzeczywistnienia jego rewolucyjnego programu i że dalej temu celowi będzie służył. Poszedł do katorgi, dopiero po rewolucji marcowej w r. 1917 powrócił z Syberji, w pierwszych czasach jego nazwisko się spotykało, potem zanikło. Zanedbano ideową osobistość wśród tej zgrai łotrzyków. Nie wiem, czy jeszcze żyje.

wiedzieć, że przyszła trzecia Duma będzie naogół prawicową, dla Polaków niechętnie usposobioną, a Koła Polskie nie będą w stanie odegrać w niej żadnej roli. Ten ukaz Stołypin, a raczej jego szara eminencja, wiceminister spraw wewnętrznych Krzyżanowski (syn Polaka), na początku pierwszej sesji dokomplotował bardzo chytrym pomysłem. W obu pierwszych Dumach ogromną rolę w usposobieniu posłów chłopstwa lub popów odgrywała kwestja diety poselskiej; była oznaczona na dziesięć rubli dziennie podczas sesji rzeczywistej. Lecz zwykle chłopci wyborcy, pewni swojej przewagi, wymagali od swoich kandydatów ustępstwa na rzecz gminy większości tej diety, co zawsze było święcie obserwowane. Pamiętam, jak raz, gdy jadłem śniadanie w moim klubie, nasz gospodarz Mikłaszewski, znakomity gastronom, zaprosił mnie na ciekawą rozmowę w kre-densie klubu. Bardzo biednie odziany muzyk prosił, aby dano mu jakiegokolwiek zajęcie, lecz tylko takie, które mógłby spełniać nocą, np. stróża, lub drwa; zapytany, dlaczego, powiedział naiwnie, że jest posłem do Dumy państwowej, lecz jego wyborcy wymogli na nim, żeby ze swoich dziesięciu rubli dziennie odsyłał im dziewięć rubli, na co on się zgodził, ponieważ w jego nadwołżańskiej mieścinie można dobrze wyżyć za dwadzieścia pięć kopiejek dziennie. W stolicy zaś z jednym rublem końca z końcem związać nie mógł. Otóż zaczawszy od trzeciej Dumy posłowie otrzymywali trzysta pięćdziesiąt rubli miesięcznie, t. j. cztery tysiące dwieście rubli rocznie, niezależnie od długości sesji; z nich nie do gminy już nie odsyłali, bo byli faktycznie wybrani nie przez braci muzyków, lecz przez większość ziemiańską. A że te sesje przeciętnie nie trwały więcej niż dwieście dni, chłop albo pop, który za trzy ruble dziennie mógł doskonale w stolicy, po ośmiu w dwóch pokojach, ze wspólną wiejską gospodynią, przemieszkać, najesć się do syta i nawet podpić, mógł co roku przywieźć do domu trzy tysiące sześćset rubli, t. j. przeciętną wartość dobrych dziesięciu hektarów ziemi, lub dla popa posag jednej córki; to też od tego czasu i aż do rewolucji, rząd miał w Dumie sto pewnych chłopskich lub popowskich głosów, którym dość było szepnąć na ucho słowo „rozpusk“ (rozwiązanie), żeby głosowali jak jeden człowiek za wnioskiem rządowym, nawet niekorzystnym dla włościaństwa, jak o tem opowiem.

W ostatnich dniach sesji straciliśmy na anginę sercową naszego zacnego prezesa Fryscha. Wszyscy się spodziewali, że jego miejsce zajmie podług starej tradycji wiceprezes Gołubiew. Lecz on mi odrazu powiedział: „Już ja żadnej przyszłości mieć nie mogę dzięki pańskim rodakom z Dumy,“ przymawiając się do wyżej wspomnianej sceny przy otwarciu Izby. Oczywiście w „sferach“ życzo-no sobie mieć w Radzie prezesa-żandarma

i nie można było pod tym względem uczynić stosowniejszego wyboru jak p. Akinowa, jednego z najmłodszych co do nominacji członków Izby, szwagra Piotra Nikołajewicza Durnowo, krótkotrwałego ministra sprawiedliwości pod koniec gabinetu Wiltego, a w swoim czasie znanego jako prokuratora sądu okręgowego w Kijowie ze swojej twardej pięści.

Także w tym czasie zaczęło mówić o projekcie, później w czyn wprowadzonym, wydzielenia Chełmszczyzny z Królestwa Kongresowego i przydzielenia jej do naszych Kresów. O decydującym momencie w powstaniu tego projektu, który po zmianie ordynacji wyborczej wiązał się z tą antypolską polityką rosyjską, wywołaną przez stanowisko, zajęte przez Koło Polskie w drugiej Dumie i pomimo późniejszych umizgów trwającą bez najmniejszej przerwy aż do wojny wszechświatowej, opowiadał mi p. Dillon, dziś w całym świecie znany publicysta angielski, naówczas korespondent w Petersburgu angielskiego *Daily Telegraph*. Czekał na audjencję w poczekalni Stołypina, gdy ten powrócił z posiedzenia Dumy w stanie wielkiego podniecenia i odrazu Dillonowi opowiedział, że p. Roman Dmowski z mównicy potrzebował oświadczyć Izbie rosyjskiej, że szczere porozumienie między narodem rosyjskim a polskim jest tem bardzo utrudnione, że my Polacy jesteśmy Europejczykami, a Rosjanie są właściwie Azjatami. I Stołypin kilkakrotnie powtórzył: „Kiedy tak, to ja p. Dmowskiemu prędko pokażę, odkąd się ta Azja zaczyna!” Zresztą Stołypin prawdziwego wynalazku nie uczynił, bo ta myśl powstała jeszcze o dziesięć lat wcześniej w kancelarji feldmarszałka Górko.

Także w końcu tej sesji nasi koledzy Wacław Jełowicki, przedstawiciel Podola, i Korybut-Daszkiewicz z gubernji grodzieńskiej podali się do dymisji i zostali zastąpieni: pierwszy przez ś. p. Ksawerego Orłowskiego, a drugi przez wspomnianego już p. Konstantego Skirmunta.

W kilka dni po zamknięciu sesji powróciłem do Wilna. Ta pierwsza w Petersburgu przebyta zima dała mi się bardzo we znaki co do zdrowia. — Niemało także dręczyły mnie nieznośne białe noce petersburskie, kiedy o dwunastej w nocy ludzie chodzą po ulicy, czytając wieczorne gazety, i pomimo najgrubszych firanek poczucie, że na dworze zupełnie jasno, nie pozwala człowiekowi zasnąć. Pojechałem do Paryża, żeby się poradzić doktora Hayem. Ten zupełnie nieodpowiednio zastosował kurację hydropatyczną, która mi zaszkodziła. Zmieniłem go za poradą Ludwika Góreckiego na słynnego doktora Józefa Babińskiego, który mnie wysłał do rzeczywiście bardzo uśmierzającego Ilomburga pod Frankfurtem. Tam znalazłem sympatycznego naszego sekretarza państwa barona Uksküll

z rodziną, z którą się bliżej zaprzyjaźniłem, i drugiego kolegę Schwanenbacha, byłego kontrolera państwowego. Bawił tam także stryj cesarza Mikołaja, w. książę Aleksy Aleksandrowicz, były Wielki Admirał. Cały dzień walczył się po mieście z panią Baletta, była aktorką francuskiego teatru w Petersburgu, która razem ze swoim przyjacielem ostatecznie opuściła stolicę, a gdy potem, występując w roli światowej elegantki, pokazała się na scenie obsypana funtówemi brylantami (było to wkrótce po Czusimie), publiczność pomimo obecności Wielkiego Admirała w loży, pokazując palcami tę bezczelną biżuterję, zaczęła krzy-  
czeć: „Oto nasza flota!”

We wrześniu powróciłem do kraju; w październiku odbyły się w tym samym trybie co uprzednio wybory do Dumy państwowej, które w naszej wileńskiej gubernji dały te same wyniki co w lutym z tą tylko różnicą, że przedstawicielem miasta Wilna został p. Józef Montwiłł. W drugiej połowie października byłem zpowrotem w Petersburgu.

## Rozdział X.

### Trzecia Duma.

Nie trzeba było szczególnej przezorności, żeby spostrzec, iż dzięki silnej pięści Stołypina i wynikom wyborów wedle nowej ordynacji zarysowuje się wyraźny zwrot na prawo tak wśród opinii publicznej rosyjskiej, jak w usposobieniu Mikołaja II. Trzej nasi koledzy, którzy później mieli być kolejno prezesami Dumy państwowej aż do rewolucji 1917 r., mianowicie pp. Chomiakow, Guczkow i Rodzianko, opuścili Radę Państwa i zostali członkami Dumy. Chomiakow został prezesem Izby Niższej odrazu i przetrwał koło dwóch lat, aż się poróżnił z wzrastającym w coraz większą pychę Stołypinem z okazji drobnej kwestji miłości własnej (przywołał go jak zwykłego śmiertelnika do przedmiotu dyskusji); Guczkow, wnuk pańszczyźnianego chłopca, staroobrzędowiec, zamożny przemysłowiec moskiewski, był założycielem i został głównym kierownikiem partji 17/30 października. Podczas wyboru do pierwszej i do drugiej Dumy został przebalotowany, bo Moskwa była wówczas wyłącznie kadecką; podczas drugiej sesji zawitał do Rady Państwa jako przedstawiciel przemysłu, lecz po rozwiązaniu drugiej Dumy i zamachu państwowym 6/19 czerwca 1907 r. dzięki naodwrot kompletnemu zwycięstwu jego partji nad partją Kadetów powrócił do Dumy; zastąpił Chomiakowa na fotelu prezydjalnym, lecz ześliznął się na Rasputinie i został aż do rewolucji zastąpiony przez Rodziankę. Choć w nowej Dumie partja Październikowców sama jedna większości nie stanowiła, bo liczyła tylko 180 głosów na 450, jednak była grupą najsilniejszą; spokrewniona zaś blisko z grupą Nacjonalistów, liczącą około stu głosów, i skrajną prawicą pod batutą Puryzskiewiczza, mając zresztą zawsze do rozporządzenia kilkadziesiąt głosów chłopskich lub popowskich, terroryzowanych groźbą rozwiązania Izby, ta partja Październikowców przez całe pięć lat trwania trzeciej Dumy faktycznie panowała nad Izbą. — Jednocześnie rząd, który dotychczas mógł znaleźć wobec opinji

publicznej poparcie tylko w Radzie Państwa, zaczął go szukać i znalazł skutecznie w Dumie; dlatego znaczenie Izby Wyższej zaraz się zmniejszyło, a wśród samej Izby Wyższej zmniejszyło się znaczenie grupy centrum, ponieważ dzięki coraz wzmagającej się liczbie prawicowców z nominacji grupa Neuhardowska czyli Stołypinowskich szwagrów stała się panią sytuacji, a w grupie centrum takiemu samemu zaćmieniu uległ Związek Kół Polskich, przed rokiem jeszcze tak wysoko ceniony.

Osobisty mój wpływ tymczasem na tem nie ucierpiał, bo podczas całej tej sesji główne zajęcia Rady Państwa skoncentrowało się na kwestjach finansowych, a byłem członkiem stałej komisji finansowej. W ciągu półtora roku moje codzienne cztery godziny pracy naukowej w domu pozwoliły mi dobrze się zapoznać z teorją finansów państwowych, ekonomją i wiedzą budżetową; to też miałem niejedną okazję być użytecznym moim leniwym pod tym względem kolegom. Komisja zasiadała bardzo często, bo dla pośpiechu zdecydowaliśmy, że będziemy od początku listopada przepatrywali cały budżet, nie czekając formalnego przekazania go nam z Dumy i przewidując, że ta wniesie do preliminarza tylko mało znaczące zmiany. Już na początku udało mi się wymyślić i przeprowadzić w komisji a następnie i w Izbie mały fortel, który potem sobie przywłaszczyła także Duma Państwowa, a który rozszerzał znacznie bardzo wąskie ramy, posławione przez prawa zasadnicze czyli konstytucję, kompetencji finansowej obu Izb.

Podług tej konstytucji budżet rozchodów państwowych dzielił się na dwie części, prawie sobie równe: jedna, którą zaraz przeważano „opancerzoną“, zawierała wszystkie oparte na ustalonych prawodawczo etatach wydatki, między innymi pensje etatowych urzędników. Tu żadna z Izb nie zmienić nie miała prawa. Druga część, tak zwana „operacyjna“, t. j. zawierająca wszystkie wydatki gospodarskie, mogła podlegać uszczupleniom lub nawet odmowie. Ten rozdział, przyjęty z woli własnej przez angielską Izbę Gmin, przedstawia nicmało korzyści, bo ogromnie skraca pracę Izb i nadaje części wydatków państwowych cenną stałość; naodwrot w Izbach francuskich brak takiego rozdziału prowadzi do kosztownego nadużycia, który Francuzi nazywają „la législation par voie budgétaire“. W pogoni za popularnością to jeden to drugi deputowany drogą asygnowania, a nadzwyczajnie rzadko zmniejszenia kredytów, z odpowiednią wzmianką w tak zwanej ustawie finansowej, stwarzają bez dostatecznego wystudjowania kwestji nowe funkcje i nowe urzędy. Z drugiej strony jeśli pojąć restrykcję konstytucji rosyjskiej, jak ją z początku pojmowali i rząd i wszyscy moi koledzy w komisji finansowej, t. j. jako odgrozdzenie tej „opancerzonej“ części budżetu nie tylko od postanowień Izb prawodawczych, lecz także od jej rozpatrzenia lub nawet płatonicznej kry-



tyki, to ze szkodą nie tylko dla narodu, lecz nawet i dla samego rządu, dużo już niepotrzebnych lub naodwrot potrzebnych na przyszłość urzędów i kredytów byłoby pozbawionych tego elementu ożywienia biurokratycznej rutyny, które przynosi z sobą dyskusja w komisjach parlamentarnych, a tem bardziej na plenum. Wymyśliłem następny figiel: komisja po rozpatrzeniu specjalnych oddziałów budżetu rozchodów, które wszystkie zawierały kredyty i opancerzone i nieopancerzone, przy zatwierdzeniu ostatek dodalaby motywowane przejście do porządku dziennego, w którym obok postanowień wypowie swoje życzenia (pożelania) o zmianach na przyszłość w części opancerzonej.

Ten właściwie wybieg, ponieważ bezpośrednio praw władzy wykonawczej nie zaczepiał, a znacznie rozszerzał teren obrad Izby, podobał się nawet większości prawicowych członków komisji; nie spotkał opozycji ze strony ministra finansów Kokowcewa, postanowiono go wypróbować na plenum Izby przy rozpatrzeniu pierwszego poszczególnego oddziału preliminarza, którym miał być właśnie budżet Rady Państwa i wyższych instytucyj państwowych (Senatu i kancelarji państwowej). Dla tego wybrano mnie, dając mi rolę rozpoczynającego ogień tyraljera, na obrońcę propozycji komisji co do tego oddziału.

Nim jednak doszło do tego, rozpoczęliśmy rozpatrzenie już przesłanego nam z Dumy budżetu dochodów. Ponieważ to był pierwszy od stworzenia świata publiczny egzamin finansowego położenia Rosji, uważałem, że byłoby użytecznem, żeby ktoś z niezależnych od rządu członków Izby przedstawił jej ogólny szkic stanu finansowego państwa i program racjonalnej polityki finansowej, czego nikt w Dumie nie zrobił. Naturalnie, że takiej, nawet streszczonej syntezy zmieścić w ramy naszych regulaminem ubezpieczonych trzydziestu minut mowy, było niemożliwem. Zwierzyłem się z moim zamiarem przed prezesem-zandarmem Akimowem, który ku mojemu zdziwieniu otworzył mi kredyt nieograniczony. To moje kontr-expose trwało pełne siedm kwadransów. Zwróciło przychylną uwagę Izby i prasy, lecz przekonałem się, że w tej stodole (w której na koncertach mieściło się półtora tysiąca słuchaczy) przerachowałem się, pomimo dopingu, z marnemi moimi siłami lizycznemi; w chwili, kiedy schodził z mównicy, chwyciło mnie tak gwałtowne duszenie i bicie serca, że się schroniłem i wyciągnąłem na kanapce za oddzielnem siedzeniem sekretarza państwa, br. Uksküllä. Pocziwy baron opuścił swoje miejsce, aby mnie ratować. Wystarczył półgodzinny odpoczynek, lecz wówczas powstał między nim a mną projekt zbudowania w naszym Maryjskim własnym pałacu, na części bardzo obszernego dziedzińca, naszej własnej sali dla posiedzeń plenarnych. Ponieważ płaciłszy szlachcie petersburskiej za najęcie sali, opał, światło

i t. d. koło 80 000 rb. rocznie, a osobna nasza sala nie mogła kosztować nawet pół miliona rubli, więc minister finansów Kowcew chętnie się na to zgodził, wyszukał w zakamarkach budżetowych potrzebną sumę, a wspomniany już sztukiniistrz architekt Benoit tak się popisał, że następnej jesieni 1908 r. już zasiadaliśmy w swojej sali, cztery razy mniejszej od szlacheckiej stodoły, jednak zdolnej pomieścić wygodnie 250 sztuk ekscelencji, z doskonałą akustyką, a co najważniejsze już suchą jak pieprz. Ta zgraja bolszewików, która prawdopodobnie teraz tam zasiada, nie domyśla się, że memu niedomaganiu zawdzięcza swoje wygody..

W kilka dni po tej ogólnej dyskusji wszedł pod obrady specjalny preliminarz Rady Państwa, kancelarii państwowej i zależnej od niej drukarni państwowej. Komisja finansowa wypowiedziała w części „opancerzonej“ kilka bardzo praktycznych „pożelanij“ (życzeń) przy udziale moich polskich kolegów w komisji, pp. Rotwanda i Kronenberga, zatem zgóry znanych naszemu polskiemu Związkowi. Niespełna w dwie godziny przed plenarnem posiedzeniem w tym przedmiocie przylatuje do mego mieszkania (już siedziałem przy śniadaniu) dwóch zajadłych prawiwców, lecz w tej kwestji gorących zwolenników mego wynalazku, Piotr Mikołajewicz Durnowo i Schwanenbach, aby mnie uprzedzić o podłej sztuczce prezesa komisji, starego Czerewañskiego. Był to typowy cham, syn astrachańskiego popa, lecz fenomenalnie pracowity i posłuszny zwierzchnikom, dzięki czemu dostał się aż do Rady Państwa. Od pierwszego dnia mnie nie cierpiał, nie znosząc, aby człowiek bez „czynów“ mógł w raju czynowniczym, za jaki uważał Radę Państwa, mieć to znaczenie, jakie sobie wyrobiłem. Wymyślił rozesłanie referatu komisji wstrzymać do ostatniej chwili — (sam go otrzymałem dopiero w obecności Schwanenbacha i Durnowo) i w końcu tego referatu, w którym wyjaśniały się zresztą dosłownie życzenia komisji, chytry cham od siebie dodał słowa „nie podlegające głosowaniu w Radzie Państwa“. Przez to stary lis spodziewał się całą przeze mnie wymyśloną i przez dużą większość komisji aprobowaną maszynkę przerobić na marną igraszkę. Jasnem bowiem było, że te życzenia komisji, o ileby nie były zatwierdzone przez plenum Rady Państwa drogą głosowania, straciłyby wobec rządu wszelkie znaczenie. Durnowo i Schwanenbach prosili, abym przy samem otwarciu posiedzenia wstąpił na mównicę, przeprowadził „życzenia“ komisji, przyzwolicie wykpił starego chama (uważano mnie za specjalistę od tej roboty<sup>1</sup>) i zyskał od Izby potwierdzające postanowienia; przyczem Durnowo obiecał, że sam po mnie wystąpi w roli „supportera“, jak powiadają w Izbach angielskich, i jeszcze na

<sup>1</sup> To też mojem przezwiskiem było „zatruta torebka“ (puzyrok s-jadom).

chwilkę wstąpi do swego szwagra Akimowa, prezesa Rady Państwa, aby mi mój kontrakt na Czerewańskiego ułatwił.

I wszystko stało się podług programu. Lecz formalista Akimow, uważając, że wobec redakcji nadanej referatowi odczytane przeze mnie „życzenia” stanowią już wniosek mój osobisty, który podług regulaminu musi być poparty trzydziestu podpisami, zawiesił posiedzenie na dziesięć minut (nikt nawet z miejsca nie powstał), aby dać mi czas te podpisy zebrać. Naturalnie zacząłem od moich kolegów Polaków; aż tu pięciu z rzędu odmówiło pod pretekstem, że Związek zatwierdził propozycję komisji, lecz nie moją własną, która była identyczną, i że dlatego potrzebują uchwały Związku, którą w danych warunkach otrzymać było niemożliwem. Szósty nawet, Eustachy Dobiecki, wynalazł istnie szekspirowski wybieg: obawiał się, aby moja w imieniu komisji postanowiona propozycja nie stanowiła zamachu na ...prerogatywę monarcha! Machnąłem ręką i z moim papierem w ręku poszedłem szukać podpisów u kolegów Moskali. Pierwsi podpisali się trzej siedzący wprost przed mównicą arcybiskupi prawosławni, za nimi dwudziestu sześciu pod rząd prawicowców, a jako trzydziesty pierwszy, na własną prośbę, sam Czerewański, który już się wstydził swego wybryku. Powróciłem na mównicę, wręczyłem swój papier przesowowi, ten postawił wniosek pod głosowanie, wniosek został przyjęty przez Izbę jednogłośnie, a więc także siedmnaście głosów moich polskich odszczepieńców padło za nim.

Było to w swym rodzaju powodzenie parlamentarne nie-lada, ale pozostawienie mnie w sstychu przez cały Związek polski odrazu zwróciło uwagę całej Izby; nawet arcybiskup warszawski Mikołaj, biorąc się do podpisu, rzekł do mnie z uśmiechem: „Czy nie wypadałoby mi podpisać się po polsku?” Uważałem, iż po tej kolektywnej wituperacji nie wypada mi pozostać członkiem biura kierowniczego grupy centrum w roli przedstawiciela i pełnomocnika w nim Związku polskiego; listownie złożyłem dymisję jednocześnie na ręce prezesa biura, Jermolowa, i prezesa związku, Wojniłłowicza.

Lecz tu cała grupa centrum, która ceniła mój udział w swoim biurze kierowniczem, odplaciła się Związkowi polskiemu psikusem za psikus. Gdym na następnem, wyjątkowo licz-nem zebraniu grupy stosownie do postanowienia Związku poprosił grupę o wybranie na moje miejsce wyznaczonego przez Związek p. Stanisława Łopacińskiego, głosowano podług obyczaju kartkami, p. Łopaciński otrzymał wyłącznie siedmnaście głosów polskich, w tych i mój, a czterdzieści kilka głosów bez jednego brakującego, co wskazywało także na ukartowany figiel, padło na mnie samego. Naturalnie podziękowałem bardzo serdecznie, lecz wyboru nie przyjąłem i prosiłem o nowe głosowanie. Powtórzenie historii: znów 17 kartek na Łopaciń-

skiego. a czterdzieści kilka na Milewskiego. Dopiero kiedym oświadczył, że w ten sposób biuro pozbawia się jednego członka, bo nie mam już zamiaru stawiać się choćby na jedno posiedzenie. przystąpiono do trzeciego głosowania i p. Łopaciński otrzymał kilkanaście kartek rosyjskich dostatecznych, by z polskimi siedemnastu przewyższyć połowę i uczynić wybór prawomocnym. a reszta dwadzieścia kilka czy trzydzieści kartek okazały się białymi.

Ta oczywiście ukartowana awanja grupy centrum dla polskiego Związku wymagała. wedle wszystkich zasad chrześcijańskich i parlamentarnych. kontrawansji od związku do wyróżniającego się członka. to jest do mnie. Wyszukano, nie wiem z czyjej inicjatywy i po jak długich konferencjach i szepceniach, następującą procedurę: p. Wincenty Koziół-Poklewski. prawdopodobnie o to uproszony, ponieważ i przedtem i potem utrzymywał ze mną najlepsze stosunki. wydał w swoim eleganckim pałacyku naprzeciw cerkwi św. Izaaka uroczyste śniadanie dla Związku, na które zaprosił swoich szesnastu kolegów. a mnie nie, lecz natychmiast po kawie przyszedł do Nowego Klubu, w którym wiedział że mnie o tej porze znajdzie, i naturalnie także z polecenia mnie o tym śniadaniu-bojkocie zawiadomił. Udałem, że nie rozumiem, a p. Koziół-Poklewski jeszcze w ciągu przeszło dwóch lat po kilka razy corocznie zapraszał mnie na różne, nie związkowe, śniadania lub obiady. lecz jakoś się tak składało, że zawsze w ostatniej chwili jakaś przeszkoda nie pozwoliła mi przybyć. i już nigdy w tym zresztą bardzo gościnnym domu łyżki zupy nie połknąłem, choć do tychczas pozostałem z kolegą Poklewskim i jego uprzejmą małżonką w najlepszych stosunkach osobistych.

Taką u nas uprawiano wielką politykę narodową.

W tym to czasie pokazało się dla wtajemniczonych to pierwsze ziarnko piasku (podług Pascala), które miało stałe rosnać, aż do jego śmierci. w krzemyk, potem w kamik. potem w bryłę. wkońcu w skałę, a ta przydusiła wpływ i karierę polityczną Stołypina. Około 1 marca 1908 r. były one u swego zenitu. Dzielny Piotr Arkadjewicz zasłabł na zapalenie płuc czy silny bronchit. Po przejściu stanu zapalnego lekarze przepisali mu wypoczynek na południu, a Mikołaj II, uzupełniając łaskawie pozwolenie na przebywanie w Zimowym Pałacu. zaoferował mu pobyt podczas rekonwalescencji w swym słynnym pałacu Liwadji na Krymie. Tu zaś wzrastająca w pychę przedzej niż sam mąż Olga Borysówna Stołypinowa wymyśliła w Liwadzie zainstalować się w sypialnym pokoju Najjaśniejszej Pani i przez cały miesiąc plugawiła łóżko i prześcieradła pół-bogini swoim marnem. poddańcem i olejem nie pomaza-

nem cielskiem. Doszło to do wiadomości pół-bogini; a że jednocześnie Anuszka Wyrubowowa (choć jeszcze o Grysce Rasputinie mowy nie było) jakoś potrafiła skleić w półtora roku po awanturze z Orłowem współzycie małżeńskie Najjaśniejszego Państwa; wiązywała ich coraz bliżej także troska o biednego synka, który wówczas właśnie zaczynał zdradzać pierwsze oznaki strasznej i nieuleczalnej choroby (hemofilji); więc wpływ Aleksandry Teodorówny na męża zaczynał rosnać z dnia na dzień, a ziarnko piasku wolno lecz stale przeistaczać się w skałę.

## Rozdział XI.

Wilno wiosną 1908. — Bezdany. — Towarzystwo Rolnicze.

W ciągu tej zimy i wczesnej wiosny 1908 r. zaszły też na miejscu w Wilnie wypadki, o których warto wspomnieć. Słońce wileńskiego społeczeństwa, t. j. Pan - Hrabia - Marszałek - Oberhofmajster - Prezes Banku Ziemskiego i Towarzystwa Rolniczego, zaczęło gasnąć, nie fizycznie, bo zachował swoją oryginalną i imponującą postać zabalsamowanego eleganta z 1860 r., lecz umysłowo; zachowawszy do przeszło siedmdziesięciu lat wcale nie platoniczne upodobanie do płci pięknej, doszedł do tego, że musiał za pośrednictwem swej żony, która pomimo faktycznej już kilkunastoletniej separacji w ostatnich czasach otaczała go anielską opieką, wyrzec się wszystkich urzędów i godności prócz dworskiej. Odwieziono go na wieś, gdzie wkrótce umarł. Szło o zapełnienie licznych po nim pozostałych wakansów. Chociaż był gubernjalnym marszałkiem nie z wyborów lecz z nominacji, życziwe usposobienie względem Polaków zainaugurowane przez Mirskiego i Frezego jeszcze trwało i chciano mieć na ten urząd także Polaka. Generał gubernator Krzywicki wysłał do mnie swego szefa kancelarii Stankiewicza, aby mnie uwiadomić, że życzy sobie mnie właśnie przedstawić do Petersburga jako marszałka gubernjalnego wileńskiego, i prosił mnie, abym się z nim w tym względzie porozumiał. Bez wahania odmówiłem. Chociaż co najmniej połowa moich kolegów w Radzie Państwa, przedstawicieli prowincjonalnych, była jednocześnie gubernjalnymi marszałkami swoich gubernij, lecz ich stanowisko było zupełnie innem, niżby było moje, gdybym przyjął. Przedewszystkiem wybrani przez szlachtę nie nie zawdzięczali władzy administracyjnej. Jabyim przeciwnie został właściwie *czynnikiem* bezpośrednio zależnym od ministra spraw wewnętrznych, i toby zupełnie zmieniło moją sytuację jako członka Rady Państwa, z której rezygnować jeszcze nie myślałem: niemniej ważnem

było i to, że marszałek gubernjalny był obowiązkowym członkiem albo nawet kierownikiem licznych urzędów kolegjalnych w gubernji, a w razie nieobecności zastępował go marszałek powiatowy wileński. Takim był w danej chwili osobiście mnie nawet nieznan Rosjanin, na którym wcale nie mogłem polegać, że w jakiej delikatnej sprawie (jak n. p. krożańskiej) nie skompromituje względem społeczeństwa polskiego mego urzędu lub nawet mojej osoby. A gdyby na marszałka powiatowego wileńskiego zamianowano półpolaka i porządnego człowieka p. Krasowskiego, w tej chwili marszałka święciańskiego, który się na to zgadzał, toby faktycznie moje urzędowanie było związane z jego własnym i tylko nominalne. A całe życie miałem prawie chorobliwy wstręt do gołej figuracji i czysto dekoracyjnych odznaczeń. Muszę tu nawet zaznaczyć, iż się tak potrafiłem urządzić, że choć mój stopień uniwersytecki dawał mi już w dwudziestym roku życia prawo do dziesiątej klasy urzędniczej (czyn), doczekałem się upadku samej monarchji rosyjskiej, nieozdobiony nawet czternastą (i najniższą) rangą.

Wówczas gen. gubernator Krzywicki i Stankiewicz prosili mnie, abym w sprawie wyboru nowego marszałka gubernjalnego rozmówił się ze Stołypinem, obiecując, że się zgodzą na jego i mój wybór. A gdyśmy na konferencji z tymże Stołypinem przejrzieli wszystkich ziemian Polaków w gubernji, okazało się, że jest już do takiego stopnia biedna w ludzi posiadających jednocześnie odpowiedni fundusz i odpowiednio wykształcenie, że wypadło naznaczyć z mojej właśnie rekomendacji tegoż p. Krasowskiego, po ojcu rdzennego szlachcica ziemianina powiatu święciańskiego, a tylko po matce prawosławnego; cieszył się bardzo dobrą reputacją i ten urząd piastował aż do reje-rady moskiewskiej w 1915 r.

W kilka tygodni potem samo stanowisko wileńskiego gen. gubernatora zostało ostatecznie skasowane. Gen. Krzywicki wstąpił do Rady Państwa i już złożył mi wizytę jako swemu senjorowi, a p. Andrzej Stankiewicz został mianowany gubernatorem tobolskim.

Na Święta Wielkanocne udałem się na krótki czas do moich Łazdun. Już wyjeżdżając z Petersburga, dowiedziałem się o słynnym napadzie na stacji Bezdany, o dwadzieścia kilometrów od Wilna w stronę Petersburga, na pociąg pocztowy z Warszawy, w którym przewożono z izby skarbowej warszawskiej do ministerstwa finansów dwa miliony osiemset tysięcy rubli, prawie wyłącznie w banknotach. Wagon pocztowy własnej straży nie posiadał. Dyżurujący na stacji żandarm został od razu zastrzelony, a rabusie w liczbie czterdziestu, zabrawszy wszystkie pieniądze, zręcznie się rozproszyli i znikli; jednak

dwóch schwytano, dzięki czemu już było wiadomem, że banda składała się wyłącznie z Polaków i że cały zamach był uplanowany, naturalnie nie bez wskazówek otrzymanych w urzędzie pocztowym warszawskim, w samej stolicy polskiej.

Spałem snem niewinnych, gdy o szóstej z rana obudzono mnie, meldując, że zajechała przed ganek chłopska furmanka i że czekają na mnie w przedpokoju na dole jakaś pani i jakiś pan, którzy nazwisk nie wymieniają, lecz mają do mnie nadzwyczaj pilny interes. Ranne ubranie, pantofle i schodzę na dół. Poznaje znanego mi tylko z widzenia p. Michała Romera, przez krótki czas w ciągu „rewolucyjki“ 1905—1906 r. wydawcę i redaktora czerwonej polskiej gazetki, i damę średnich lat, zupełnie przyzwoitej powierzchnowości, bez żadnego wierzchniego ubrania ani jakiegokolwiek choćby ręcznego tłomaczka, która trzęsącym się od zimna (było na dworze 2 czy 3 stopnie powyżej zera) głosem i dzwoniąc zębami zaczyna mi tłumaczyć, że przyjeżdża do mnie jednym tchem z Paryża, musi dziś jeszcze powrócić do Wilna, bo chodzi o życie ludzkie... Ja jej przerywam: „Życie ludzkie obecnie narażone, to jest właśnie życie Szanownej Pani, bo widzę, że Pani gotuje się lada chwilę chwycić zapalenie płuc czy coś podobnego. A że niema pociągu do Wilna przed godziną drugą, to stanowczo proszę Panią natychmiast położyć się do łóżka, gdzie moja gospodyni i służąca dobrze ją natrą, czemś gorącym napoją i ogrzeją, parę godzin snu i wówczas Pani mi opowie, o co chodzi.“ Tak się stało, i dopiero w kilka godzin rzecz się wyjaśniła. Moja dama była żoną zamieszkałego w Paryżu zamożnego Polaka, znanego mi z nazwiska. Oczywiście dawna, lub może jeszcze aktualna działaczka, rewolucjonistka i konspiratorka; wzięła sobie w Wilnie p. Romera jako adjutanta i jak obłąkana przyleciała do mnie, do Łazdun, albowiem dowiedziawszy się w Paryżu, że jej przyjaciel z lat dziecińczych był jednym z dwóch schwytanych po bezdańskim zamachu i skazanych na śmierć, jak była, wyrobiwszy sobie piorunowo paszport, i bez niczego, nawet wierzchniego okrycia, pierwszym pociągiem machnęła do Wilna; tam się dowiedziała jednocześnie, że jej przyjaciel ma być powieszony nazajutrz rano, i że ja jeden w całym kraju mogę temu zapobiec. Więc jest tu i błaga ze łzami w dobrych czarnych oczach, abym jej dał list do generała Martsona, głównokomenderującego okręgiem wojskowym, i uprosił go, aby odroczone egzekucję. Naturalnie opowiada mi cały romans: Jej protegowany jest barankiem niewinnym, artystą, poetą i, jak wypada w tym zawodzie, warjatem. Był zamknięty we Włoszech w zakładzie dla obłąkanych, z niego uciekł i, jak sama logika nakazuje, znalazł się jakoś w okolicach Bezdun. Został najnieśluszniej podejrzany i zaaresztowany, ale o zamach na pociąg pocztowy i zamoczenie rąk jednocześnie w krwi żan-



darma i w obfitych paczkach banknotów podejrzanym być nie może, bo między jego ucieczką z włoskiego sanatorium i chwilą zamachu nie upłynęło dosyć czasu, żeby mógł w porę trafić na miejsce, i patati, i patata...

Ja z obowiązkową względem damy grzecznością wysłuchuję tej bajki z tysiąca i jednej nocy, a „in petto” przeprowadzam sobie mały rachunek sumienia: z jednej strony mój stary „corpus iuris” nie przyznaje dwóch moralności, jednej prywatnej, drugiej politycznej, bandytyzm jest bandytyzmem i ani moje przekonanie ani moje stanowisko nie radzą mi wsadzać palca między gardło przestępcy a zasłużony stryczek. Lecz z drugiej strony omyłka, choć nieprawdopodobna, jest możliwą, a byłaby niepowetowaną; kandydat na szubienicę, aby pobudzić złą damę (słyszałem o niej jako o takiej) do takiego warjackiego kroku, musi mieć w sobie, jak niektórzy z tych szaleńców, strony szlachetne, prócz tego idzie o swoją, polską krew. Więc choć generała Martsona nawet z widzenia nie znałem, lecz mogłem się spodziewać, że na moją interwencję zwróci pewną uwagę, wystosowałem do niego list najbardziej rzewny, na jaki mi moja niekoniecznie rzewna natura pozwalała, prosząc, aby chwilowo wstrzymał wykonanie wyroku i kazał zbadać stan umysłowy skazańca oraz możliwość jego faktycznego udziału w bezdańskim zamachu.

Paryska zbawicielka zdążyła jeszcze wieczorem trafić do Martsona, egzekucja została wstrzymana, młodego człowieka, który oczywiście swoją rolę warjaka odgrywał porządnie, oddano do wielkiego zakładu dla obłąkanych koło Wilejki; gubernator Lubimow, który okazując mi dużo przyjaźni, niby go osobiście badał, po pewnym czasie został przewieziony w głąb cesarstwa. Znowu na prośbę tej samej zbawicielki Ksawery Orłowski, jej dobry znajomy, zaprotegował go u Stołypina. O dalszych jego losach nie wiedziałem, aż w 1919 r. w Paryżu oddał mi wizytę jeden z adiutantów p. Józefa Piłsudskiego i w serdecznych wyrazach podziękował zato, że dzięki mnie dożył niepodległości ojczyzny. To wzmocniło moje wątpliwości co do należytości mojej interwencji. Lecz zostały one rozwiane w następnym 1920 roku, kiedy (jak niżej opowiem) ten sam łazduński dwór, z którego rozluźniłem stryczek na gardle przestępcy, został zdobyty przez „zwycięzkie szable” polskie, przez nie zniszczony, a ja zniewolony pozbyć się czterdziestopięcioletniego warsztatu mojej pracy. Mój ówczesny czyn musiał być dobrym, skoro zostałem zań tak srogo ukarany.

Naturalnie wśród tych wszystkich zajęć i ciągłej lataniny między stolicą Wilnem i Łazdunami dawny mój ukochany chrzestniak, t. j. Towarzystwo Rolnicze wileńskie, zupełnie uszedł mojej uwagi, i od początku 1906 r. na żadnym walnem

zgromadzeniu nie mogłem być obecnym; to też nie bez wielkiego zdziwienia w początku maja tego 1908 r. otrzymałem sażnistą terminową depeszę od p. Adama Bohdanowicza, w której mi oświadczał, że na walnem zgromadzeniu towarzystwa, które miało wybrać prezesa na miejsce p. Adama Platera, ponieważ już artykuł statutu, który wiążywał to stanowisko z gubernjalnem marszałkostwem, został skasowany, na osobę nowego prezesa większości się nie znalazło; wiceprezes p. Stanisław Wańkowicz zrzekł się swego urzędu, wśród towarzystwa panuje anarchja i większość członków uważa, że ja jeden mógłbym wyratować towarzystwo od całkowitej dezorganizacji; że obecnie jeszcze się nie rozjeżdżają w oczekiwaniu mojej natychmiastowej odpowiedzi, czy przyjmę wybór na prezesa. Ma nastąpić szczegółowy list. Narazie odpowiedziałem, że jestem gotów chwilowo wybór przyjąć, o ile panowie członkowie towarzystwa ułatwią mi przeprowadzenie takich zmian, jakie uznają za niezbędne dla ocalenia instytucji. Zostałem, również telegraficznie, jednogłośnie wybrany i zaraz po otrzymaniu obceanego, zaiste rozpaczliwego listu p. Bohdanowicza wyruszyłem do Wilna. Znalazłem nicopisany galimatjas. Okazało się, że p. Stanisław Wańkowicz, urzędujący po p. Hipolicie Giećewiczu wiceprezes, gdy przy wyborach na prezesa towarzystwa nie otrzymał większości głosów, obraził się i stanowczo z wiceprezesostwa się zrzekł. W dodatku i rada towarzystwa, która na tych samych wyborach została odnowiona, jest na dwa równo obozy podzielona; jeden, prawdziwie rolniczy, któryby chciał pracować, drugi, owszem wyłącznie politykujący, kierowany przez jakiegoś endeckiego agitatora, zupełnie obcego i krajowi i rolnictwu. Dzięki intrygom tego faceta, który zamierzał zrobić sobie z naszego pocziwego towarzystwa trampolinę polityczną, w pełni tego słowa „niezgoda zapanowała w obozie Agramanta“. Nie było innej rady, jak piętnaście lat zgóry, natchnąć się duchem Mussoliniego, co też zrobiłem, na ten raz udało. Przedewszystkiem zwołałem radę, która się gremjalnie zebrała, i formalnie objąwszy urządowanie, zażądałem pojedynczo od każdego z jej członków podania na moje ręce zrzeczenia się członkostwa w radzie; poczem zwołałem nowe nadzwyczajne walne zebranie, rozsyłając jednocześnie wszystkim członkom efektowną proklamację, w której ich powoływałem, aby mi pomogli zreorganizować towarzystwo, oświadczając, że w przeciwnym razie będę musiał skorzystać z drakońskiego artykułu statutu (pozostałego jeszcze z czasów despotycznych platerowskich) i całe towarzystwo rozwiązać, pozostawiając, komu zechce, założenie nowego.

Pocziwe ziemianstwo wileńskie posłuchało dobrej rady członkiewa, o którego życzliwości nie wątpiło i stanęło w zupełnie niezwykłej liczbie na moje wezwanie. W kilku serdecznych i stanowczych słowach oświadczyłem zebranym, że jeśli pomimo

nadmiaru zajęć przyjąłem ich wybór, to tylko w nadziei wyratowania towarzystwa od zguby i że moje zadanie jest podwójne: Z jednej strony usunąć całkowicie z towarzystwa wszelką politykę, dla której obecnie już niema miejsca, skoro posiadamy swoich upoważnionych przedstawicieli w obu Izbach ustawodawczych. Powtórę postawić na czele Towarzystwa Rolniczego prawdziwych rolników, bez uwagi na ich polityczne tendencje. Zatem składając do aktów powierzone mi dymisje dwunastu członków rady, proszę pp. członków o wybranie nowych, podług proponowanej przeze mnie listy; cała ta lista przeszła bardzo znaczną większością. Wówczas zaproponowałem jako wiceprezesa i faktycznego kierownika całej roboty p. Pawła Kończę. Tu już poszło trudniej. Ś. p. Paweł Kończa skądinąd zupełnie się do tego nadawał; jako dyrektor Banku Ziemskiego ciągle mieszkał w Wilnie, w swoim majątku Szeszole (dzisiaj na Litwie kowieńskiej) prowadził postępowe i racjonalne gospodarstwo, wkońcu w życiu prywatnem był nieposzlakowanym. Mimo to był bardzo niepopularnym. -- Chociaż jako uczeń instytutu szlacheckiego w 1863 r. „poszedł do lasu“, ojciec go jakoś ukrył na dłuższy czas, póki o nim Moskale nie zapomnieli, w Wielkopolsce, niby oddawszy go na praktykę gospodarczą; tam napatrzył się niemieckiego „dryllu“ i na zawsze wyrobił sobie styl „eines schneidigen Leutnants“. W dodatku ożenił się z panną Mielżyńską, przez co zafarbował się hrabiostwem, a że nie posiadał (tak jak zresztą i ja) talentu, doprowadzonego do prawdziwego mistrzostwa przez Józefa Montwiła i Edwarda Wojniłłowicza, bezustannego upraszania ludzi o przebaczenie im ich zalet, więc do śmierci został nielubianym. Niemniej przez zaufanie do mnie udzielono mu dostatecznej większości. Wówczas odstąpiwszy mu na chwilę fotel, sam złożyłem mój mandat prezesowski i zostałem znów jednogłośnie wybrany. Mogłem nazajutrz powrócić do stolicy, podśpiewując: „Veni, vidi, vici.“

Cały ten kryzys wyszedł kochanemu memu towarzystwu tylko na korzyść. Wśród rady, w której już o żadnej polityce mowy nie było (agitator zupełnie się ulotnił) było kilku młodych, tęgich i gorliwych pracowników, jak pp. Mieczysław Jąłowicki, Borkowski, Sienkiewicz, Karol Wagner i wspomniany marszałek Krasowski; Kończa pracował gorliwie i umiejętnie, ja zaś tylko przewodniczyłem na walnych zgromadzeniach, a za to w Petersburgu, dzięki przyjaźni ministra rolnictwa Kriwoszeina, mogłem w roli ambasadora obficie dobrać budżet państwowy na rozmaite subsydia dla coraz bardziej rozgałęziających się przedsiębiorstw towarzystwa. Ta część mojej czynności, która trwała aż do roku 1914, zostawiła mi tylko dobre i cenne wspomnienia, bez żadnej przymieszki przykrości.

## Rozdział XII.

Droga Amurska. — Neoslawizm. — Marjawici.

Koniec długiej sesji 1907—1908 r. wart wspomnienia tylko z powodu trzech spraw: debatów w Radzie Państwa nad budową drogi żelaznej Amurskiej, ostateczną aneksją przez Austrię Bośni i Hercegowiny, oraz niefortunną i krótkotrwałą imprezą neoslawistyczną.

Niebardzo dokładnie wiem, kto z pochlebców Mikołaja II., który jeszcze nie strawił upokorzeń swoich porażek na Dalekim Wschodzie, prawdopodobnie chcąc dobrze się nakarmić koło ogromnego piroga, podsunął mu myśl przeprowadzenia drogi żelaznej lewym brzegiem Amuru do Władywostoku, jako przygotowanie w przyszłości odwetu nad Japonją. Choć w tym samym czasie Izwolski, minister spraw zewnętrznych, prowadził z rządem Mikada rokowania, które miały dojść do skutku, o ostateczne zagojenie pozostałych po wojnie ran, Stołypin, który po powrocie z Liwadii zwąchał, że jego prestiż przed Mikołajem II. zaczyna słabnąć, rzucił mu tę zabawkę, wniósł projekt do Dumy Państwowej i tam dzięki szowinistycznemu usposobieniu młodej Izby z łatwością przeprowadził. Lecz gdy ustawa została wniesiona do dojrzałszej Izby Wyższej, natrafiła tam, ponieważ szło o ogromny wydatek (prawdopodobnie przeszło 800 milionów rb.) i o źródło nowych zatargów w przyszłości, na silną opozycję, ogarniającą z początku nie tylko całe centrum i lewicę, lecz i dużo trzeźwych głów wśród prawicy. Wybrano specjalną liczną komisję, do której wszedłem; tu wszystkie starania rządu, ozdobione nawet łagodzącymi obietnicami ministra Kokowcewa, których naturalnie nie dotrzymał, zyskały projektowi ledwie jeden głos większości. Domyślano się już, dzięki niedyskrecji tajnego przeciwnika tego projektu, Durnowo, że jego szwagier Akimow, prezes Izby, pod silnym naciskiem ze sfer dworskich, będzie używał dla przeprowadzenia projektu przez plenum wszystkich rozporządzalnych środków, szczególnie trzydziestominutowej gilotyny oratorskiej, przewi-

dzianej w regulaminie. A ponieważ kwestje jednocześnie polityczno-dyplomatyczna, techniczna, finansowa i ekonomiczna, były zbyt obszerne, żeby je można było pomieścić wśród ram gilotyny, więc utworzył się mały spiszek czterech lepszych pyśków ze wszystkich odcieni Izby, mianowicie skrajnego prawicowca, wsteczника i polakożercy Pichno, wydawcy słynnego „Kijewlanina“, „dzikiego“ hr. Wittego, mnie jako nadwornego śpiewaka grupy centrum i lewicowca Michała Stachowicza; podzieliliśmy między siebie role tak, żeby każdy z czterech chwilowo zaprzysiężonych muszkieterów mógł jedną ćwierć całej kwestji omówić gruntownie i doszczętnie. Witte, równie kompetentny jako kolejowiec i finansista, prosił mnie, aby zrzucić z siebie podejrzenie o chęć dopiekania obecnemu ministrowi finansów Kokowcewowi, żebym wziął na siebie dział finansowy, rezerwując sobie techniczny. — Ogień miał rozpocząć Pichno, mówca nie efektowny, lecz przekonywujący. Przy otwarciu debatów prezes Akimow nas uprzedził, że będzie srogo zastoso-  
wywał trzydziestominutową gilotynę. Rzeczywiście w chwili, kiedy bardzo interesującego przemówienia p. Pichno cała Izba słuchała z największą uwagą i mówca miał dziób otwarty, raptem rozległ się głos naszego żandarma: „Trzydzieści minut przeszło; Grzegorz Aleksandrowiczu Krestownikow, macie głos.“ — Prawie cała Izba, przeważnie prawica, zaczęła szema-  
rać: „Prosimy przedłużyć!“ A nasz żandarm z grubą intonacją: „Wasze głosy, panowie, nie mają dla mnie równie żadnego znaczenia, bo działam na mocy regulaminu podług własnego zdania.“ — Podczas herbaty dużo wysokich ekscelencji propo-  
nowało wnieść na żandarma skargę do Najj. Pana, lecz jak to bywa, propozycja spełzła na niczem. Ale byłem uprzedzony, że coś podobnego mnie spotka ze strony naszego gbura, i już wchodząc na mównicę po Krestownikowie, powtarzałem sobie: „Bacność“; nie darmo. Kiedym podług mego programu zaczął wyjaśniać, jakie daleko ważniejsze i pilniejsze wydatki niżli budowa kolei żelaznej, skazanej na wieki na coroczny deficyt, ciążą obecnie nad skarbem rosyjskim, i wymienilem konieczność odnowienia zupełnie zrujnowanego po wojnie japońskiej uzbrojenia armji, żandarm odrazu mi przerwał słowami: „Proszę pana tego przedmiotu nie dotykać; armja nie wspólnego z budową kolei żelaznej nie ma.“ Ja na to: „Panie prezesie, kolej ma najściślej-  
szy związek z naszym stanem finansowym, a ten z potrzebami naszej armji.“ Żandarm: „Powtarzam, proszę pana tego przedmiotu nie dotykać.“ Wówczas ja: „Wasza wysoka ekscelencjo! Kiedym był dzieckiem, uczono mnie pisać pod dyktandem, ale mówić pod dyktandem mnie nie uczono, i nikt nie nauczy“ — i zeszedłem z mównicy z postawą rzymskiego senatora.

Na twarzach wszystkich kolegów ze wszystkich stron Izby mogłem wyczytać wyraz zadowolenia, gbur Akimow ani piśnął, chytry sekretarz państwowy baron Uksküll mrugnął na mnie i ruchem palca dał do zrozumienia, że mnie znowu zapisuje do głosu, i rzeczywiście po wznowieniu posiedzenia, zarobiwszy już wyekspensowane 15 minut, wszedłem na mównicę i zacząłem od słów: „Pochlebna uwaga, z którą Izba raczyła wysłuchać początku mojej mowy, pozwala mi ją przedłużyć od tego punktu, na którym byłem zmuszony ją przerwać.“ Żandarm to cicho połknął. Nazajutrz cała prasa, nawet rządowa, szeroko ten incydent komentowała, i wbrew wszelkim oczekiwaniom już do końca mojej kariery parlamentarnej prezes Akimow obchodził się ze mną z wyszukaną uprzejmością.

Niemniej taką była jeszcze u wykształconych Moskali słuszalność, że pomimo ostrzeżeń Wittego, który z nieczrównaną kompetencją po mnie dowiódł, że z powodu właściwości gruntu i klimatu (na lewym brzegu Amuru ziemia odmarza latem tylko na metr dwadzieścia cm głębokości, poczem się ma dziesięć metrów odwiecznie zamarzłej ziemi, w której się znajdują mamuty z całą skórą i mięsem), ta kolej zaprzepaści nie wiadomo ile selek milionów, wystarczyło, jak w ładnej operze Leona Delibes hasła „le roi l'a dit“, żeby w Radzie Państwa, gdzie ta niemądra impreza nie miała dziesięciu szczerych zwolenników, projekt ten przeszedł, wszakże szczupłą większością.

Mniej więcej w tym samym czasie powodzenie Izwolskiego w pertraktacjach z Japonją, które dzięki rycerskiemu charakterowi tego narodu zabezpieczyło Rosji nawet dotychczas prawdziwy pokój, zostało zneutralizowane przez bolesną porażkę dyplomatyczną Rosji na Bałkanach. Izwolski dał się nabrać jak chłopczyk chytremu austriakowi Aerenthalowi, została ogłoszona formalna aneksja Bośni i Hercegowiny do korony austriackiej i Rosja nie zaprotestowała. Powstało krótkotrwałe oburzenie wśród opinii publicznej rosyjskiej; mieliśmy z tego powodu parę bombastycznych zebrań w Klubie Działaczy Społecznych, gdzie hr. Włodzimierz Bobrynskij wykrzykiwał, że gdyby się znalazł taki beczelny notariusz, któryby przyłożył do aktu o aneksji Bośni i Hercegowiny pieczęć państwową rosyjską, to wypadłoby co do jednego członka zaareztować całą Dumę Państwową (której Bobrynskij był członkiem). Lecz okazało się, że Izwolski pieczęć zgóry przyłożył, i bardzo prędko całe wzburzenie zamilkło. Zato bardzo mądrze skorzystal z tej chwili wówczas słynny, a teraz nie wiem dla czego przebywający w cieniu działacz czeski, członek wiedeńskiego Reichstagu, p. Kramarz, niby umiarkowany. Przybył do Petersburga w towarzystwie mocniej czerwono zabarwionego p. Kleofacza. Pierwszy z tych panów, żonaty z Rosjanką, siako

tako tłumaczył się po rosyjsku; założyli sobie główną kwaterę w Klubie Działaczy Społecznych, i w ciągu kilku wieczorów robili propagandę dla idci „neo-slawizmu“. W czym ten nowy slawizm miał się różnić od starego, z lat 1860-tych, panslawizmu, po dziś dzień nie odgadłem.

Już po pierwszej mowie p. Kramarza, w której z powtórzonym naciskiem zaznaczał swoją niezłamaną wierność dla dynastji Habsburgów, oraz po przemówieniu już wówczas znanego nacjonalisty, potem w 1914-1915 r. okrytego sławą europejską rusyifikatora Galicji wschodniej, hr. Włodzimierza Bobryńskiego, jasnem było dla mnie, że tu chodzi, jak wogóle przy zamianie serdecznych całusów, o ogromne wzajemne oszustwo; ani Kramarz i Kłofacz, ani prawdopodobnie jakikolwiek wykształcony Czech, nie myślał o szczerem połączeniu (z nieuniknionym skutkiem oczekującym wszystkich słabych i niecierpliwych, łączących się z silnymi i licznymi) oddawna kulturalnego i wyrobionego narodu czeskiego z dziczą moskiewską, tembardziej bułgarską, serbską lub czarnogóorską. Może, i to z zastrzeżeniami, zawarliby prawdziwy sojusz z nami Polakami, jedynymi, jak oni, nieprawosławnymi Słowianami. Prostu będąc w ożywionych targach z Wiedniem o rozszerzenie swoich już niezbyt złych warunków państwowych wśród habsburskiej monarchji, używali rosyjskiego straszaka dla swoich targów o spodziewany trializm narówni z królestwem węgierskiem. Z drugiej strony nie widać było, żeby choć jeden Moskal szczerzy rozumiał nowy, stary lub pojutrzejszy slawizm inaczej jak podług słynnej formuły „złania się (t. j. zniknięcia) słowiańskich struynyków w rosyjskiem morzu,“ przyczem nasz trzydziestomiljonowy naród polski byłby jednym ze struynyków.

Pierwsze zebranie opuściłem z mocnem postanowieniem, że końcem mego palca tej z obu stron przeźroczystej farsy nie dotknę, i gdy nazajutrz Koło Polskie w Dumie zaprosiło Związek w Radzie Państwa na wspólną naradę w kwestji stanowiska, jakie mamy zająć w tym ruchu, udałem się na to posiedzenie w usposobieniu zdecydowanie negacyjnem. Lecz i tu zaraz spostrzegłem, że kwestja jest naodwrot przesądzona w sensie pozytywnym. Oczywiście spodziewano się tą określną drogą jakoś zneutralizować starannie wywołany w poprzedniej drugiej Dumie państwowej i dalej rozwijający się w sferach rosyjskich prąd antypolski. Ta niby narada była zresztą i krótka i bardzo powierzchowna. P. Roman Dmowski, jako prezes Koła Polskiego w Dumie, w dość krótkim przemówieniu, umotywował postanowienie swojego Koła przyłączenia się do zainicjowanego przez p. Kramarza ruchu. Jeszcze lakoniczniej przyłączył się do jego zdania nasz kolega w Radzie Państwa, p. Jan Olizar. Chociaż jasnem było, że wszystko już jest ukar-

mnie zniewala do wstrzymania się od wszelkiego udziału w tej akcji. — Nietylko wyżej wypowiedziane motywy, lecz i to, że w chwili obecnej, po zmarnowaniu przed rokiem niespodziewanie korzystnej sytuacji, jaką mieliśmy względem rządu i opinii rosyjskiej podczas pierwszej i drugiej Dumi państwowej, musimy przyznać, jak Franciszek I po klęsce pod Pawią, że „wszystko stracone prócz godności.“ W oczekiwaniu lepszych koniunktur nie należy marnować tego ostatniego klejnotu, dając się dobrowolnie sprowadzić na poziom jakiegoś Montenegro. Naturalnie zostałem głosem wołającym na puszczy, panowie Dmowski i Olizar przespacerowali się na uczty w Pradze i Sofji, gdzie kochany ś. p. Władysław Zamoyski (syn generała), jak mi nieraz wspominał ze złością, siedział obok Włodzimierza Bobryńskiego i wymieniał z nim judaszowe komplementy, a już rok potem, jak niezadługo opowiem, ten sam Kramarz i ten sam Roman Dmowski, właśnie w tej samej sali Klubu Działaczy Społecznych, dali mi rewanż, jawiąc się z nosami o kilka centymetrów dłuższymi, a Włodzimierz Bobryński z zadartym do góry jak u nosorożca, w porównaniu z rokiem 1908.

Wówczas też, a może i później (lecz to nie przedstawia nic ważnego) odbył się w tym samym Klubie Działaczy Społecznych seans raczej koniczny. Na jednym z tygodniowych naszych zebrań zjawił się założyciel jeszcze młodego wówczas kościoła marjawickiego, ksiądz, później samoupieczony biskup Kowalski, w towarzystwie innego „świętego“, lecz bez „mateczki“ Kozłowskiej. Sala była przepelniona, bo ogromna większość Rosjan, już zbłazowanych na sektach prawosławnych, o katolickich nie nie wiedziała. W bardzo długiej przemowie rekomendował słuchaczom swoich „świętych“, których przywiózł do stolicy ich „kornak“, jakiś Moskal z Królestwa, aby im wyjednać w deparlamencie wyznań obcych prawa niepodległego kościoła. O marjawityźmie mniej wiedziałem niż o sektach z czasów soboru nicejskiego, lecz ponieważ referat „kornaka“ był od początku do końca naszpikowany złośliwymi napaściami na Kościół rzymsko-katolicki, papieża i św. collegium, uważałem, że warto, nim „święty“ Kowalski lub jego kolega apostoł rozpoczną swoją osobistą reklamę, podciąć im trawę pod nogami, i zapisałem się do głosu. Wiedziałem, że w społeczeństwie rosyjskiem, tak jak niestety i w naszym, śmieszność nie jest jak u Francuzów zabójczą, lecz uważałem, że nie wypada puścić płazem tej szopki i z braku wszelkiej informacji o marjawityźmie, zdecydowałem się apostołów i ich „kornaka“ zaślagać. To nie było trudnem, ponieważ „kornak“ przy licznych, to zręcznych, to zjadliwych twierdzeniach zagalopował się i w pochwałach i w krytyce. Wyliczywszy całemi tuzinami wszystkie cnoty swoich



klientów. oświadczył, że sama obecność tych „świętych” „wprowadza go w stan łaski”, a znowu ich niepowodzenie w Rzymie przypisywał polskiej intrydze, dodając mimochodem, że jeden z intrygantów przywiózł z sobą czternaście tysięcy rubli. Przeprosiwszy obecnych za to, że nie mogę stanąć na tym samym terenie, co szanowny prelegent, dlatego, że zanadto smaczną kolacją, od której niedawno wstałem, odbiera mi poczucie stanu łaski, podziękowałem mu za cenną informację, jakiej mi dostarczył. Od pewnego czasu rozmyślam nad tem, gdzie schronię się na ostatnie lata mojej starości; teraz wiem, że to będzie Rzym, jako najtańsza stolica na całym świecie, ponieważ tam można za czternaście tysięcy rubli kupić papieża i kilkudziesięciu kardynałów, wówczas gdy tu w Petersburgu za te pieniądze trudno byłoby kupić jednego szlacheckiego sowiecownika. Cała sala parsnęła śmiechem, i sam przerwałem moją mowę, czując, że cała szopka się zawaliła.

Sesja 1907/8 dzięki nawałowi spraw rozstrzygniętych w Dumie Państwowej, trwała aż do 5/18 lipca 1908 r. Klimat petersburski i już zbyt intensywna dla równo sześćdziesięcioletniego człowieka praca, na tyle mnie wyczerpała, że pojechałem do Paryża, aby mnie czarodziej Babiński podłatał. Powróciłem do kraju dopiero w połowie września, aby stanąć znowu w Petersburgu, gdzie sesja zwyczajna rozpoczęła się w drugiej połowie października.

Mój zapał prawodawczy i wiara w użyteczność pracy dla mego narodu, bo jużci rosyjski pozostawał na drugim planie, zaczynały ostygnać. Albowiem czulem, że coraz mocniej wieje wiatr jednocześnie reakcyjny i nacjonalistyczny, antypolski. Sumiennie pracowałem w komisji finansowej, lecz w ogólnopaństwowych kwestjach na mównicy daleko rzadziej występowałem.

### Rozdział XIII.

Stołypin słabnie. — Etaty morskie. — Projekt Pichna.  
— Moja dymisja. — Fiasko neoslawizmu.

Zato w kulisach teatru przygotowywała się wielce mądra intryga przeciw Stołypinowi, którego prawica postanowiła zważyć jako niby niebezpiecznego liberała. Pretekst był następny: Stołypin nie dopatrywał, że między masę projektów o stworzeniu nowych etatów służbowych i otwarciu odpowiednich kredytów wkradł się marny projekt o stworzeniu kilku drugorzędnych urzędów w sztabie floty wojennej, z wydatkiem kilku tysięcy rubli. Tymczasem podług praw zasadniczych, t. j. konstytucji, wszystkie etaty, związane z obroną państwa na morzu równie jak na lądzie, były wyjęte z pod kompetencji Izby prawodawczych, które były powołane do otwarcia lub nawet odmowy odpowiednich kredytów, lecz ustanawiać samych urzędów, określać ich rangi służbowej i t. d. prawa nie miały. Przy odpowiednim nastroju u dworu i ostygnięciu względem premiera uczuć Mikołaja II (który już zaczynał skarżyć się, że „Stołypin na mnie nakrzyczał”) spodziewano się ten malutki błąd rozdmuchać do rozmiaru zamachu na prerogatywę monarszą. Trzeba było tylko zapewnić sobie większość, do której, o ileby grupa centrum ze Związkiem polskim i Neuhardowcami oraz lewicą wystąpiły solidarnie, brakowałoby kilku głosów. Zatem spiskowcy, do liczby których należał sam prezes Rady Państwa Akimow, postanowili zwlekać z rozpatrzeniem tych morskich etatów, już przez Dumę zatwierdzonych, aż do wiosny 1909 r., kiedy w ciągu całych sześciu tygodni, przeszło czwarta część członków z wyborów, podlegająca odnowieniu swoich mandatów byłaby zmuszona na pewien czas przebywać u siebie na prowincji, a prawica, złożona przeważnie z członków z naczynienia, byłaby przez parę tygodni panią sytuacji.

Naturalnie jakiś zdrajca uprzedził o tym spisku Stołypina, a ten dla odparowania tego ataku, wymyślił następny fortel: Pod pretekstem, żeby nie dezorganizować pracy Izby, prze-

dłużył mandaty podlegających odnowieniu członków z wyboru aż do września 1909 r., przyczem o zgodzie Dumy Stołypin nie wątpił, lecz wśród Rady zupełnie decydującymi były ośmnaście głosów polskich. Kwestja mogła być rozpatrzona tylko po wakacjach noworocznych, lecz już przedtem była przedmiotem gruntownych debatów wśród polskiego Związku. Z początku większość jego pod wpływem p. Edwarda Wojniłłowicza, który się zaciął na tem, że Związek ma znaczenie wyłącznie jako część składowa grupy centrum, i w niczem od jego większości odstąpić nie powinien, skłaniała się ku podtrzymaniu proponowanego przez zwolenników Stołypina przedłużenia mandatów. Jednakże narazie udało mi się moich kolegów przekonać. Już było wiadomem, że jeden z bardziej zajadłych polakożerców w Izbie, Pichno, zbiera wśród prawicy, z początku z pewną trudnością, niezbędne trzydzieści podpisów dla wniesienia z inicjatywy Izby Wyższej projektu ograniczenia liczby przedstawicieli Polaków kresowych, z dziesięciu, jakich posiadała obecnie, do maksymalnej cyfry trzech. Udało mi się przekonać moich kolegów, że jedyny sposób zaszachowania tego projektu, który dzięki już nadchodzącym wakacjom, brakowi dotychczas niezbędnych podpisów, nie będzie mógł być rozpatrzony wcześniej, jak po dokonaniu w porę, t. j. w marcu i kwietniu, wyborów na Kresach, jest to właśnie odrzucenie Stołypinowskiego projektu przedłużenia tych mandatów do jesieni. Nie mówiąc już o zupełnej nieregularności, z punktu widzenia prawa państwowego, przedłużenia przez członków Izby swoich mandatów, bez wiedzy wyborców, nam Polakom niema co się troszczyć o ambicje coraz bardziej nieprzychylnego dla nas Stołypina, i że obrona naszego polskiego stanowiska o wiele więcej ma wartości niż to, czy będzie dalej Rosją rządził Stołypin, czy też jakiś reakcjonista, któryby prawdopodobnie okroił przywileje „ciemnych dumców“, ale nas Polaków-by menażował. Ponieważ było pewnem, że cała prawica będzie głosowała przeciw przedłużeniu mandatów, wszystko od nas zależało; rozjechaliśmy się na wakacje noworoczne z tem, że Związek Kół polskich będzie głosował przeciw przedłużeniu mandatów.

Pojechałem wprost do Paryża, mniej dla odpoczynku, niż dla nabycia w Bretanii dwóch ogierów i czterech klaczy pysznej rasy „Norfolk-bretons“ do mojej stadniny, już cieszącej się dość szeroką renomą.

Gdym powrócił do Petersburga 20 stycznia st. st., dowiedziałem się prywatnie, że Związek Kół polskich, pod wpływem zasady p. Wojniłłowicza, bezwzględnej subordynacji naszego Związku woli większości grupy centrum, postanowił w kwestji przedłużenia mandatów głosować z grupą, t. j. za tem przedłużeniem. W mojem przekonaniu, którego słuszność się potwier-

dziła, to postanowienie było do takiego stopnia zgubne dla naszych specjalnie polskich interesów, że wyłamałbym się z pod niego nawet, gdybym był oficjalnie o nim powiadomiony. Ale że takiego uwiadomienia nie otrzymałem, więc mogłem uciec się do niezbędnej zresztą w życiu politycznem, a szczególnie parlamentarnem, hipokryzji, i gdy 28 stycznia starego stylu (9 lutego nowego) rozpoczęła się dyskusja nad projektem przedłużenia mandatów, w której żaden z Polaków oprócz mnie nie wypowiedział się, wstąpiłem na mównicę i starałem się z całych sił obalić ten wniosek prawodawczy, bijąc naturalnie wyłącznie w jego niekonstytucyjność a nawet nieprzyzwoitość względem wyborców. Ale kwestja była przesądzona. Choć przy głosowaniu zostałem podtrzymany przez całą prawicę, przy nie-niniejszej zwartej koalicji grupy centrum z Neuhardcami (t. zn. Stołypińskimi szwagrami na czele) i lewicy, projekt został przyjęty niewielką większością, natychmiast odesłany do Dumy państwowej, przez nią przyjęty, przez cesarza sankcjonowany i stał się nieodwołalnym.

A następstwa dały się prędko odczuć. Pewny, że ta sama większość się znajdzie i dla sankcjonowania niebezpiecznego dla Stołypina wniosku o etatach morskich, premier przyspieszył jego dyskusję i rzeczywiście dzięki tej samej większości, a pomimo zajadłej opozycji prawicy, projekt został przyjęty. Lecz wówczas biednego Stołypina spotkał afront, któregoby żaden minister na świecie prócz w Rosji nie wytrzymał. Temu samemu wnioskowi prawodawczemu, wniesionemu do Izb przez jego rząd, przeprowadzonemu prawie przebojem przez obie Izby, Mikołaj II... odmówił swojej sankcji. Stołypin jako dobry Moskal i czynownik ani pisał, stulił ogon między nogi, lecz potrzebował zemsty. — Nad kim? Nad tym samym Związkiem Kół polskich, który go wyratował od uroczystego potępienia przez Radę Państwa. Prawica, która dotychczas menażowała nasz Związek w nadziei, że jej pomoże Stołypina zgnać, i dlatego nie dawała p. Pichno potrzebnych mu trzydziestu podpisów dla projektu o ograniczeniu liczby przedstawicieli Polaków z dziewięciu gubernij kresowych do trzech, zaraz dostarczyła mu tych podpisów. Projekt doszedł do dyskusji dopiero na początku maja. Nie było wątpliwości, że skoro Izba nie odrzuci go odrazu, lecz zgodzi się na oddanie go do rozpatrzenia specjalnej komisji, to można uważać go zgóry za przyjęty. Stołypin wystąpił osobiście za oddaniem do komisji, wypowiadając swoją zasadniczą zgodę na pomysł p. Pichno, i zapowiedział, że dla ułatwienia jego przyjęcia, które już nie mogłoby nastąpić w ciągu sesji obecnej, on wniesie do obu Izb projekt prawodawczy, na mocy którego wybory do Rady Państwa w dziewięciu gubernjach zachodnich będą ograniczone terminem jednego roku, a w tym czasie projekt p. Pichno będzie

mógł być ostatecznie przyjętym. Oddanie do komisji zostało przyjęte, po głosowaniu kartkami, 94 głosami przeciwko 64, co dowodziło, że nie tylko za projektem p. Pichno głosowała jednocześnie cała prawica i grupa Neuliardowska, lecz że korzystając z tajnego głosowania, przyłączyła się do nich część tej rdzennej grupy centrum, której Związek oddał się na łaskę i niełaskę.

Już w przewidywaniu takiego rozwiązania zdecydowałem się natychmiast zrezygnować z godności członka Rady Państwa, skoro projekt przejdzie. Wszystko ku temu mnie skłaniało: 1) mój trzyletni mandat już upłynął od trzech tygodni i dalsze piastowanie urzędu stanowiło lekceważenie woli moich wyborców, 2) pomijając różne psikusy, o których wspomniałem wyżej, a które świadczyły o nieprzyjaznym usposobieniu do mnie polskiego Związku jako takiego, ostatni rozłam między nim a mną czynił dalszą z nim współpracę wielce niesmaczną, 3) a głównie to, iż zająłem w Izbie taką pozycję, że zredukowanie mojego współpracownictwa z nią do spraw specjalnie kresowych, jednocześnie stanowiło dla mnie kwestję godności osobistej i niczem nie usprawiedliwiałoby mojego dalszego przebywania w niebezpiecznym klimacie i raczej niemiłym świetle petersburskim. Musiały te argumenty być oczywiste, bo gdyśmy się po tem posiedzeniu rozchodzili, niemniej dziesięciu kolegów Rosjan ze wszystkich grup (pamiętam o Piotrze Durnowo z prawicy, Płatonowie z centrum i Maksymie Kowalewskim z lewicy) zapytali mnie pierwsi, czy po tej awanturze nie podam się natychmiast do dymisji. Rzeczywiście tegoż dnia wystosowałem do prezesa Akimowa list, co do formy wyszukanie grzeczny, w którym bez ogródki oświadczyłem, że wobec postanowienia Izby i samego Rządu, uważam mój udział w Wysokiej Izbie po upływie mego mandatu i bez wyraźnej woli moich wyborców, jako niemożliwy — i zrzekam się godności członka Rady Państwa.

Ten list, naturalnie zakomunikowany prasie i przez wszystkie gazety rosyjskie przedrukowany, zrobił poważne wrażenie. Niemalże też w Dumie Państwowej, która odnowienie dziewięciu mandatów kresowych tylko na rok przyjęła, lecz projekt p. Pichno odrzuciła, wymagając za to wprowadzenia w tych prowincjach opartych na wyborach ziemstw, któreby tak jak w reszcie cesarstwa wybierały swoich przedstawicieli do Izby Wyższej. Nawet najbardziej rozpowszechniona w Rosji gazeta moskiewska „Ruskoje Słowo“, poświęciła mojej osobie rozciągły artykuł zatytułowany: „Petronjusz Rady Państwa“, który kończył się twierdzeniem, że ze mną „odchodzi cała poczta Rady Państwa.“<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Ten artykuł rozpoczynał się od ciekawego *qui pro quo*, może umyślnego, aby mnie odrazu zafarbować Petronjuszostwem; autor

W prasie polskiej zaś moją dymisję stanowczo krytykował w „Warszawskiem Słowie“ ś. p. Donimirski. Twierdził, że dymisja, choć wskazana, powinna być kolektywna i że, ustępując sam, pozbawiłem tylko sprawę wpływowego głosu. To dowodziło, że autor, prawdopodobnie zacierzewaniony na punkcie solidarności kół parlamentarnych, nie zadał sobie fatygi pomyśleć właśnie o tem Kole, do którego należałem. Ono nie mogło dymisjonować dlatego, że było samo, dzięki przeprowadzeniu prolongaty mandatów, głównym winowajcą całego ataku przeciw nam, a z drugiej strony, gdyby była w tem Kole solidarność, toby była jak we wszystkich związkach polskich skierowana przede wszystkim ku zniweczeniu oddzielnych indywidualności, i mój głos nie podniósłby się w tej sprawie, bo Związek, jak to się projektowało przy ułożeniu regulaminu, zakneblowałby mi usta.

Między temi dwoma sprawami, mianowicie przedłużenia podlegających wznowieniu mandatów i przyjęcia w zasadzie projektu p. Pichno, mieścił się w Dumie i w Radzie Państwa incydent w owym czasie bardzo głośny, który jasno oświeca niebezpieczeństwo dwóch klasycznych w naszych kołach sposobów postępowania, mianowicie nieprzyznawania oddzielnemu członkowi prawa wystąpienia bez uprzedniego upoważnienia Koła, a z drugiej strony nieprzygotowania wystąpień na mównicy, lecz dosłownego wyuczenia się mowy napamięć. W Dumie minister sprawiedliwości Szczegółowitow, idąc po ustalonej już przez Stołypina antypolskiej pochyłości, podczas dyskusji budżetu swego departamentu na wypowiedzianą przez jednego z Polaków skargę, że w Kongresówce Polacy są systematycznie odsuwani od kariery sądowniczej, brutalnie odpowiedział, że on ani myśli w Królestwie Polskiem zanieczyszczać (zasorat) sądownictwa rosyjskiego przymieszką polskiego elementu. To bezprzykładne grubiaństwo, które prasa rosyjska i polska natychmiast rozgłosiła po całym państwie, zostało narazie bez wszelkiej odpowiedzi dlatego, że nie było żadnego formalnie przez Koło upoważnionego mówcy, a kto wie, może i dlatego, że temu mówcy trzeba było kilka godzin czasu, aby wydestylować, napisać i wyuczyć się napamięć, jak papuga, repliki, która, aby być skuteczną i efektowną, powinna była być wystrzelona jak z pistoletu. Dopiero po kilku dniach jeden z członków Koła Polskiego w Dumie w nieobecności winowajcy i wśród ironicznej obojętności Izby wystąpił z jakimś tam pro-

opowiadał, że gdy na tem fatalnem posiedzeniu 8/21 maja 1909 r. książę Aleksy Oboleński po gorącej i bardzo długiej mowie przeciw projektowi schodził z mównicy, ja podszedłem do niego i podałem mu różę. A w rzeczywistości ta róża była, jak ją wówczas noszono, jedwabną chustką do nosa, na różowem tle, nasycona moim mentolowym dopingiem. Uważając, że Oboleński jest strasznie zasapany, podałem mu ją, gdy przechodził koło mnie, do powąchania.

testem. A u nas w Radzie Państwa padł ofiarą drugiej metody, w sposób zaiste żaloszny, najzdolniejszy, bardzo wykształcony nasz kolega z Kongresówki, Eustachy Dobiecki. Gdy budżet ministerstwa sprawiedliwości doszedł do Rady Państwa, chciał wykorzystać okazję, żeby się na Szczegółowicie zemścić. Po polsku był wcale dobrym mówcą. Lecz nie dowierzając swojej ruszczyźnie, poprosił zdolnego żurnalistę o ogłóadzenie jego mowy. i wyuczył się jej napamięć, oczywiście zanadto dokładnie. Wstąpił na mównicę, z początku mówił płynnie i nie bez swady, lecz gdy doszedł do przytyków i złośliwości skierowanych do nieobecnege zresztą ministra, prezes Akimow, nie bez słuszności, przerwał mu i powołał do przedmiotu. Zawiazała się krótka dyskusja; rąptem biedny Dobiecki stracił wątek swojej mowy, nie potrafił skleić przerwanego przez Akimowa frazesu z jakimś nowym, który wypadalo zaimprovizowac, obu łokciami oparł się o pulpit, wziął się za głowę dla skoncentrowania myśli, a wkońcu ze słowami: „Nie mogę dalej“ zeszedł z mównicy z miną absolutnie zrozpaczoną. Tak wziął to fiasco do serca, że już mało się pokazywał na sali, a po skończeniu sesji do nowych wyborów, które niezawodnie przeszedłby pomyślnie jako działacz w Królestwie bardzo ceniony, nie stanął i wogóle od tego czasu coraz mniejszy brał udział w Życiu publicznem. Naogół cała ówczesna taktyka obu Kół Polskich w Petersburgu polegała więcej na zamianie zgóry kolektywnie obmyślanych „deklaracyj“ niż na prawdziwej „dyskusji“, t. j. zamianie indywidualnych zdań, a na tem właśnie polegają debaty parlamentarne.<sup>1</sup>

Likwidacja mego mieszkania, albowiem zupełnie nie myślałem o stawianiu mojej kandydatury na nowe wybory we wrześniu, trochę opóźniła mój wyjazd z Petersburga, lecz wzamian dała mi jednocześnie i rewanż nad przeszłoroczną grubą omyłką pp. Romana Dmowskiego i Jana Olizara, a za nimi polskich Kół w obu Izbach, kiedy niedorzecznie się zabrali do niefortunnej imprezy neosłowiańskiej, i także najwięk-

<sup>1</sup> Cały ten smutny i pouczający incydent opowiadam tak, jak byłem jego naocznym świadkiem. W stenograficznym sprawozdaniu (które jakoś mi ocalało od niemieckich i polskich rabunków mojej łazduńskiej biblioteki) prawdopodobnie z woli samego ś. p. Dobieckiego, zatarg między nim a prezesem Izby jest wspomniany, lecz dodano do mowy jakieś formalne zakończenie, którego nie było. Wogóle jeśli stenogramy, podane tegoż dnia lub nazajutrz samym mówcom dla przejrzienia, były dość dokładne, to prezes Akimow wcale nie żenował się — niby „ze względów taktycznych“ z ich cenzurowaniem w ostatecznych, oficjalnych, niby „stenograficznych sprawozdaniach“, które wychodziły zwykle w parę tygodni po każdym posiedzeniu. O typowym takim przykładzie wspomnę dalej, z okazji mego (ostatniego) wystąpienia w sprawie autonomji fińskiej.

szy może sukces oratorski, jaki miałem w życiu. Albowiem podług okoliczności i tematu, triumf mówcy może przybrać dwojaką formę. Jedną, zwykłą, i przez to mniej cenną, jest to, kiedy sala obsypuje mówcę oklaskami, wykrzyknikami podziwienią, komplementami i ściskaniem dłoni, jak miało mi się zdarzyć rok później w Krakowie. A druga rzadsza, i przez to właściwie smaczniejsza, kiedy audytorjum, schwycone przez mówcę za kołnierz i trzęsione jak gruszka, kurczy się pod bolesnem *verbum veritatis*, oburza się, ryczy, tupcze nogami, grozi i t. d. Taki triumf wówczas zawdzięczałem neosłowiańskim bohaterom krokodylowych serdeczności w Pradze i Sofji. Przyjechał znowu do stolicy p. Kramarz, zebrała się znowu do Klubu Działaczy Społecznych przeliczna asystencja i sprawozdanie zdawali, lecz już w zupełnie minorowym tonie, kolejno p. Kramarz i p. Roman Dmowski.

Pan Kłofacz (nie ręczę nawet, że był) ust nie otworzył; przebiegły i światowo wyrobiony ś. p. Olizar także się nie odezwał. Panowała atmosfera jakiegoś ogólnego „*mea culpa*“; ja siedziałem w kącie prezydjalnej ławki obok Michała Stachowicza i przypominając moje przeszłoroczne ostrzeżenia, piłem miód i mleko podczas spowiedzi winowajców. P. Kramarz już nie ukrywał, że jego niby neoslawizm w ciągu tego roku, w którym zaczępnął antypolski nacjonalizm, prowadzony w Rosji przez zwolenników p. Włodzimierza Bobryńskiego, paralelnie z serdecznościami słowiańskimi zagranicą, obecnie paraliżuje wszelkie zamiary wszechsłowiańskiego braterstwa, bo trudno wyobrazić sobie wszechsłowiaństwo bez pojednania przynajmniej między dwoma najliczniejszymi narodami słowiańskimi, rosyjskim i polskim. Po p. Kramarzu zabrał głos p. Dmowski i mniej zdecydowany niż czeski mąż stanu do przyznania swojej omyłki, w ogromnie długiej mowie starał się jakoś „wyratować oblicze“ przy pomocy nieskończonej, zawilej, pełnej niedomówień dysertacji o różnicy między starym panslawizmem i neoslawizmem. Wszystko to było naciągnięte, przypominało człowieka, który zabrnął do trzęsawiska i nie może z niego wybrnąć, bo mu ciągle gruntu wysłizguje się z pod nóg. Te rozpaczliwe próby bratania się z cofającymi się od zgody przeszłorocznymi „Azjatami“ robiły na obecnych Polakach tak niemiłe wrażenie, że siedzące naprzeciw mnie panie Ludomirowa Dymyszyna (żona posła do Dumy) i Brochocka-Bolska zaczęły rozpaczliwie gestykulować w moją stronę, powołując mnie do siebie. Podeszedłem — i te panie zaczęły na wyścigi błagać mnie, abym te gęste sztuczne mgły oświecił kilku słowami „prawdziwej prawdy“. Odmówilem, albowiem przez plecy Stachowicza widziałem, że przewodniczący p. Krasowski ma na liście przeszło dziesięciu zapisanych mówców. Lecz Stachowicz, zaciekawiony gestykulacją tych pań, zapytał mnie, czego



ode mnie chciały, i gdym powiedział, jako wogóle człowiek szczery i szczery nasz przyjaciel, nie pytając mnie, podszedł do przewodniczącego i będąc drugim na liście, oznajmił mu, że mi swoją kolej odstąpił. Nie było co robić. Po p. Dmowskim dość krótko, lecz z wielką obfitością kłamstw i sofizmów przemówił p. Włodzimierz Bobryński. Jeszcze bardziej rozdrażniony jego chytrściami wstałem i, jak powiadają, wyładowałem cały ten tłumok niedomówień, dwuznaczników lub fałszów. W krótkim, mniej więcej piętnastominutowym przemówieniu, wyliczyłem wszystkie antypolskie kroki, dokonane w ciągu roku i przez rząd, i przez Izby, i przez władze warszawskie. Ponieważ wszyscy trzej poprzedni mówcy uważali za stosowne uciec się do dywersji w stronę antypolskiej polityki Niemców, więc bez litości zerwałem maskę, twierdząc, że pod tym względem Rosja w chwili obecnej nie ma nic do zazdroszczenia Niemcom; że po obu stronach granicy walka idzie o wykorzenienie samej narodowości polskiej i że przed nami Polakami stoi tylko kwestja metod i pytania: „Co jest bardziej bolesnem dla narodu polskiego? Umierać tak, jak po tamtej stronie granicy z suchot czy postępowej anemji, lecz wśród wszystkich wygod i korzyści wysokiej kultury, czy ginąć wśród nędzy i ciemnoty pod brutalnemi ciosami szorstkiej pałki?“ Ledwie te słowa wypowiedział, gdy trzy czwarte sali porwały się na nogi, zaczęto wrzeszczeć: „Bezczelny! kłamić! jak on śmieć!“, a nawet wymachiwać krzesłami nad głowami, jakby chcieli niemi cisnąć na mnie, tak że poczciwy Stachowicz podniósł się, chcąc mnie ochronić; lecz znowu czwarta część publiczności, której moja szczerość się podobała, zaczęła silnie demonstrować na moją korzyść, a nad wszystkiem górował cienki lecz donośny głosik miłej panny Marusi Makłakówny (siostry słynnego dumskiego mówcy), która rozpaczliwie piszcziała: „On prawdę mówi, prawdę, a jego prawda, to nasza hańba!“ Ja stałem spokojnie, oparty o stół. W duszy się cieszyłem, bo ten skandal dowodził, że trafił w sam sęk, a gdy wrzawa trochę ucichła, spokojnie dodałem: „Panowie, jestem prezesem wileńskiego prywatnego Towarzystwa Rolniczego. Na naszych walnych zgromadzeniach zbiera się zwykle od stu pięćdziesięciu do dwustu Polaków, a nigdy nie widziałem więcej niż trzech i to dobrze polską mowę rozumiejących Rosjan. Ale nie mamy prawa mówić o swojej kartofli i swoich krowach we własnym języku. Było ono nam przyznane w 1905 r. a w 1906 r. odebrane.“ Ogólne milczenie i mogłem już spokojnie zakończyć tradycyjnym pożegnalnym kupletem, o wspólnym wrogu obu narodów, którym jest odwieczny Wąreż, t. j. rosyjskie czynownictwo.

Na tym jednym wieczorku rozpetzła się cała neosłowiańska krotochwila. Nie bez tego jednak, żeby nie przyniosła sprawie polskiej niepowetowanej szkody, której ślady dają się jeszcze

odczuwać. Albowiem ona to pobudziła dominującą jeszcze w Polsce partję narodowo-demokratyczną, uważaną wówczas i zagranicą i w Rosji za oficjalną przedstawicielkę polityki polskiej, do przewrócenia kompletnego koziołka i zamiany dotychczasowego programu „wszechpolskiego“ na program umniejszycielski, niby Polski etnograficznej; następstwami jego było nie tylko podczas wojny 1914—1918 w negocjacjach w Petersburgu, Paryżu i Londynie kompletne puszczenie „na sałatę“ Kresów wschodnich, lecz w 1919 r. pobłażliwe dopuszczenie powstania kowieńsko-litewskiego niby państwa i oddanie mu na zagładę kilku tysięcy polskich rodzin ziemiańskich, a w 1921 r. przy traktacie Ryskim, przy gorliwym udziale p. Stanisława Grabskiego daremne, z identycznym rezultatem, wyrzeczenie się Inflant Polskich, prawie całej Mińszczyzny, części Wołynia i trzech powiatów podolskich. Tego obecne hasła o „wielkiej Polsce“ nie zwróca.

## Rozdział XIV.

Ponowny wybór do Rady Państwa. — Kwestja agrarna i finlandzka. — Testament ks. Ogińskiego.

Opuściłem Petersburg w końcu czerwca i pojechałem na odpoczynek zagranicę. Powróciłem dopiero w końcu lipca. Lecz tu spotkała mnie niekoniecznie przyjemna niespodzianka. Nowe wybory do Rady Państwa zostały naznaczone na połowę września. Ziemiaństwo wileńskie już się zmówiło i postanowiono na złość Stołypinowi i rusyfikatorom zażądać ode mnie, żebym przyjął nowy mandat, choćby na ten jeden rok, w formie protestu. Zresztą o żadnej innej kandydaturze mowy nie było. Na bardzo liczne przedwyborcze zebraniu, złożyłem obszernie sprawozdanie z mojej czynności parlamentarnej w ciągu ubiegłego trzechlecia, bez żadnych ogródek wyjaśniłem moje stanowisko do Związku Kół Polskich i oświadczyłem, że nie przyjmę nowego mandatu inaczej, jak tylko gdy będę miał zupełną swobodę względem przyszłej grupy polskiej w Radzie Państwa, co zostało przyjęte bez opozycji. Tylko p. Eugenjusz Kowalewski podniósł zarzut, że ponieważ w moim liście dymisyjnym do prezesa Izby Akimowa pisałem, iż mój program polityczny poniósł z powodu przyjęcia projektu p. Pichuo całkowitą porażkę, więc muszę od tego programu odstąpić. Odpowiedziałem cytując Wergiljusza: „*Victrix causa diis placuit, sed victa Catoni.*” Nie braknie na tym świecie ludzi, którzy z lekkim sercem wyrzekają się zwyciężonego programu. Lecz to nie jest przykład do naśladowania. Zostałem wybrany prawie jednogłośnie, posłałem urzędnika, aby mi się wystarał na całą zimę o nowe mieszkanie, które znalazł, eleganckie i wygodne, choć bardzo drogie, na Angielskiej Nadbrzeżnej, i od połowy października byłem znowu w Petersburgu.

Ten ostatni rok mojej służby parlamentarnej już był daleko mniej czynnym niż poprzednie. Nawet życie towarzyskie było dla mnie mniej interesujące. Umarły jedna po drugiej

pani Połowcow i hrabina Pahlen, a wkrótce po nich ich już przeszło ośmdziesięcioletni mężowie. Zaszły też znaczne zmiany w składzie osobistym obu Kół Polskich, kongresowego i kresowego. W kongresowym prócz p. Józefa Ostrowskiego, przyszłego regenta, który choć miał słabość postawić swoją kandydaturę i został wybrany, lecz ciągle zapadał na chorobę snu i po kilku miesiącach wyrzekł się mandatu, żaden z sześciu posłów poprzedniej kadencji nie powrócił. Na czele tego kółeczka stanął ś. p. Zygmunt Wielopolski. Zato wzbogaciło się ono o pierwszorzędną siłę, która sama przedstawiała więcej wartości niż wszyscy „bylejacy“ razem wzięci, mianowicie p. Ignacego Szebekę z białoruskiej rodziny, której większość już zruszczała i dała nowej ojczyźnie tak w cywilnej jak w wojskowej hierarchji kilku dystyngowanych dyguitarzy. Sam wychowany w petersburskiem liceum, służył potem w prokuraturze rosyjskiej, władał językiem rosyjskim lepiej niż polskim, a obdarzony naturalnym talentem krasomówczym i wyrobiony, został w ostatnich latach egzystencji Rady Państwa niezaprzeczenie pierwszym mówcą w Izbie Wyższej. Od przemysłu i handlu powrócił stary p. Rotwand, ojczym pani Szebekowej, lecz pp. Glezmer i Koziół-Poklewski nie zostali znów wybrani. Nakoniec w Kole kresowym gubernja kijowska wysłała zamiast Polaka p. Syroczyńskiego, hr. Andrzeja Bobryńskiego (brata przyszłego gen. gubernatora we Lwowie w czasie wojny wszechświatowej), z gubernji mohylewskiej zamiast p. Władysława Sianożęckiego, został wybrany również Rosjanin, tak samo w gubernji witebskiej p. Stanisława Łopacińskiego zastąpił jakiś rosyjski czernosotinieć. Znowu p. Edward Wojniłowicz w Mińsku wyrzekł się nowego wyboru, i na jego miejsce przybył ks. Hieronim Drucki-Lubecki, a w kowieńskiej gub. tak samo zamiast p. Aleksandra Tyszkiewicza wybrano p. Aleksandra Meysztowicza.

Od pierwszego zetknięcia się członków Polaków, których ogólna liczba spadła z 18-tu do 13-tu, postanowiono ze względu na niechęć, z którą Rosjanie przy nowym wietrze patrzyli na ciasny Związek Kół kongresowego i kresowego, podzielić się na dwa Koła, któreby obradowały z zasady oddzielnie, a tylko wyjątkowo wspólnie. Przyjeżdżając do Petersburga byłem przygotowany nato, że mnie Koło kresowe będzie ignorowało. Przeciwnie (i to jest bardzo ludzkie) podeszło ono do kapryśnika i pierwszy raz zebrano się u mnie. P. Olizar, za zgodą swoich kolegów, zaproponował mi prezesostwo tego kresowego Kółka. Odmówiłem, nie chcąc obarczać się dodatkową pracą, jako rozmaite konwokacje, cyrkularze, nadzór nad wspólnym sekretarzem, zbieranie składek i t. p., a przyjąłem tylko funkcję przedstawiciela w biurze grupy centrum, oraz lidera na sali, upoważnionego w każdym razie wystąpić na mównicę w imieniu Koła i w nieprzewidzianych wypadkach udzielić innym człon-

kom Koła instrukcji co do głosowania. Wogóle w ciągu tej sesji posiedzenia naszego kresowego Koła były i rzadsze i szczególnie mniej rozwlekłe niż w poprzednim trzeźłociu, a co do narad z Kołem kongresowem, to było ich w ciągu całej sesji nie więcej niż pięć.

W grupie centrum także sytuacja zmieniła się na gorsze. Przy zestawieniu 1 stycznia listy zasiadających rzeczywiście dziewięćdziesięciu ośmiu członków z nominacji, wszystkie wakansy zapełniono wyłącznie prawicowcami, nawet nowe wybory dostarczyły pod wpływem nowych prądów członków reakcyjnych, dzięki czemu grupa Neuhardowców była kompletnie panią sytuacji i właściwie Stołypin został obsolutnym władcą decyzji Rady Państwa.

Uważając, że moja własna edukacja finansowa jest dokończona, a sama machina budżetowa już dobrze nastrojona, oraz że wojna z obcoplemieńcami na całej linii będzie się prowadziła drogą prawodawczą, rzuciłem stałą komisję finansową, a przeszedłem do również stałej komisji projektów prawodawczych, właściwie jurydycznej.

Głównymi przedmiotami obrad Izby podczas tej sesji były: 1) ustawa agrarna, t. j. zatwierdzenie z niektórymi zmianami wydanej w listopadzie 1906 r. między pierwszą a drugą Dumą ustawy na mocy art. 87 konstytucji, o której wyżej wspomniałem, a w drugiej połowie sesji przekształcenie, a właściwie zniesienie autonomii W. Księstwa Finlandzkiego. Oba przedmioty warte, abym je szczegółowo opisał.

Reforma agrarna 1906 r., wniesiona podług konstytucji do zatwierdzenia drugiej Dumy, która nie dożyła nawet jej rozpatrzenia, a potem do trzeciej, która jej poświęciła całe półtora roku pracy, została wkońcu wniesiona do aprobaty Rady Państwa. Tu debaty, przy kompletnej neutralności rządu, były prawdziwie poważne, i u tych Polaków, którzy je pamiętają, mogą w porównaniu z debatami o tym samym przedmiocie w naszym pierwszym i drugim Sejmie wzbudzić tylko uczucie litości. Podstawowemi zasadami tej reformy były: a) zniesienie wspólnej własności gminnej i zamiana jej na własność prywatną na zasadzie ogólnego prawa cywilnego, b) obowiązkowa komasacja obecnych udziałów, c) ułatwienie przejścia własności włościańskiej z rąk do rąk, d) ułatwienie, dzięki pomocy państwowej przez tak zwany Bank Włościański, nabycia włościanom ziemi od obszarników, oraz przesiedlenie włościan z przełudnionych gubernij do Syberji.

Walka o pierwszy punkt, t. j. o zniesienie wspólnej własności gminnej, była zaciętą w obu Izbach. Albowiem zwolennikami tej dzikiej formy własności byli jednocześnie i lewicowcy, którzy podług przykładu nawet zachodnich ideologów, upatry-

wali w niej zarodek form własności rolniczej w oczekiwaniem mniej więcej bliskim Eldorado ludzkim, a z drugiej strony z większą jeszcze namietnością prawicowcy-nacjonałiści, w których oczach ta przedpotopowa instytucja stanowiła jakby historyczną relikwję twórczości rosyjskiego narodu.<sup>1</sup>

Mojem zdaniem, ponieważ główna część tej reformy agrarnej w niczem nie dotykała interesów ani Królestwa Polskiego, które nigdy własności gminnej nie znało, ani większej części Kresów, członkom obu polskich Kół należało do kwestji zasadniczej się nie wtrącać, a ograniczyć się do dyskusji nad temi częściami wniosku prawodawczego, które miały styczność z formami posiadania włościańskiego w gubernjach przez nich przedstawionych. To też osobiście wystąpiłem tylko w obronie przejściowych interesów członków rodziny włościańskiej, ponieważ u nas na Litwie, tak samo jak w Rosji, własność, a tam posiadanie nadziału w przekonaniu i obyczajach chłopstwa stanowiło nie indywidualne prawo jednej osoby, t. j. gospodarza, lecz całej rodziny, tak zwanej chaty. Natychmiastowe przeprowadzenie, jak to przewidywał projekt, tytułu własności na jedną głowę obecnego gospodarza, mogłoby przynajmniej w ciągu jednego pokolenia przynieść dotkliwą krzywdę innym członkom rodziny, szczególnie dorosłym dzieciom, którzy nie tylko swoje zarobki na miejscu, lecz i po miastach i fabrykach wnosili, jak powiadali nasi chłopci, „na korzyść chaty“. Miałem nawet tę przyjemność, że gdy w kilka dni po mojem w tym przedmiocie wystąpieniu siadałem do sanek przed gmachem Izby na bardzo daleki kurs, doróżkarz, oczywiście należący do kategorii włościan, którzy część swoich zarobków odsyłali do domu, zapytał mnie, czy znam tego Korwin-Milewskiego, który tak dobrze zna życie chłopskie i umiejętnie broni od krzywdy członków rodziny włościańskiej. Dodał, że to go interesuje do żywego, bo jego własny ojciec, ożeniwszy się powtórnie z młodą dziewczyną, która ma nad nim wielki wpływ, pewnie skorzysta z nowego prawa, żeby cały nadział przeprowadzić na swoje imię i puścić kantem dzieci z pierwszego łoża. A drugi raz wystąpiłem już nie jako rolnik lub wieśniak, lecz jako niezły znawca prawa cywilnego ogólnego, celem sprostowania grubej omyłki jurydycz-

<sup>1</sup> Większość tych czcigodnych rosyjskich żubrów nie znała nawet psikusa, jaki im urządził ś. p. Jermołow w znakomitej swej książce o kwestji agrarnej. Pierwszy swój ustęp rozpoczął od ogólnego naszkicowania warunków posiadania, podziału, form użytkowania i t. d. własności chłopskiej na zasadzie wspólności, i na trzeciej czy czwartej stroniicy raptem dodał: prawdopodobnie czytelnik sobie wyobraża, że daję mu sumaryczny szkic własności gminnej rosyjskiej. Wcale nie. Dałem mu dosłowne tłumaczenie starej książki niemieckiej o bycie rolniczym w Niemczech, opisujący sposób władania ziemią u chłopów saksońskich na początku XVI. wieku. — Własność gminna rosyjska nie była żadnym specjalnym wynalazkiem rosyjskiego narodu, lecz zabytkiem prawiekowego barbarzyństwa.

nej tego naogół mądrego i użytecznego projektu prawodawczego, lecz niepozbawionego detalicznych błędów: mianowicie wówczas, gdy ogólne prawo cywilne rosyjskie przyznawało, że właściciel powierzchni jest razem właścicielem wnętrza ziemi, projekt nie przyznawał włościaninowi, który na siebie zatwierdził własność swego nadziału prawa do mogących się znaleźć pod jego powierzchnią pokładów mineralnych. Przez to tworzyły się dwa typy własności ziemskiej, zależne od stanu właściciela, szlachcica, mieszczanina, lub też włościanina.<sup>1</sup>

Obie te mowy zwróciły uwagę prasy rosyjskiej i były przez nią komentowane, lecz powodzenia nie miały. A to z jednego powodu, który wiekami hamował w Rosji wszelki prawdziwy postęp, mianowicie wstrętu do rozwiązania wszelkich „kompli-kowanych zagadnień“, albo „łamaniny“. Prawo, nie jako rzemiosło, lecz jako nauka, jest przez to szczególnie interesujące, że podobnie do sztuki malarskiej, rozciąga się od fresk Michała Anioła do minjaturek XVIII stulecia; lecz „szeroka natura rosyjska“ woli rozrąbywać węzły, niż je rozwiązywać.

Ale ponieważ wszyscy członkowie obu Kół polskich byli ziemianami i z ogólną kwestją agrarną obeznani, niemało z nich skorzystało z okazji dla osobistych popisów. Jednak prawdziwie popisał się tylko Ignacy Szebeko, którego mowa w kwestji zasadniczej, usunięcia lub zachowania wspólnej własności gminnej, była i co do treści i co do formy zaiste pomnikową. I właśnie dlatego wywołała ze strony hr. Oksufiewa, gorącego zwolennika tego niby klejnotu starej rosyjskiej kultury, uwagę, że się wtrąca do tego, w czym jego kraj nie jest zainteresowany. Lecz mowa była tak silną, że ze wszystkich stron Izby podniosły się głosy: „Prosimy, prosimy!“, mógł więc mowę spokojnie dokończyć.

Miedzy kwestją agrarną a finlandzką, na której zakończyła się sesja, cała kolonja polska w Petersburgu oraz część wyższego towarzystwa rosyjskiego namiętnie zajmowały się innego rodzaju sprawą.

Umarł, od paru lat zupełnie obłąkany, bezdzietny, ks. Bogdan Ogiński, dziedzic ogromnego klucza Retów na Żmudzi oraz dużego majątku na Ukrainie, starszy syn już wspomnianego

<sup>1</sup> Odpowiadał mi bardzo obszernie, w imieniu południowych węglarzy, pewien p. Karpow. Zauważyłem, że choć w mojej srogo jurydycznej mowie, nie było najbardziej oddalonej próby dowcipu, ciągle wspominał o „dowcipnej mowie Hipolita Oskarowicza“ w nadziei, że ją tem zdyskredytuje. Moskale to naród ciągłych kontrastów i wyjątków. Zrzadka posiadają dowcip (Gogol, Szczedryn, Czełkow) i bardzo soczysty, lecz naogół to są umysły ciężkie, wolowate i dlatego uważają dowcip za broń zdradziecką, której się szczególnie boją, bo sami nią nie władają.

Tch

księcia Ireneusza i najmłodszej z trzech ostatnich przedstawicielek wielkiego polskiego rodu Kalinowskich, o której roman-sie z Aleksandrem II (jeszcze następcą tronu) dużo paplano za czasów Mikołajewskich. Młodszy brat ks. Michał umarł koło 1902 r. także bezdzietny.

Na tych dwóch braciach Ogińskich kończyła się linja tak zwana helmańska, która zresztą aż do samych ostatnich czasów Rzeczypospolitej nie należała, z braku odpowiednich ogromnych funduszków, do liczby tak zwanych królewiat (do których należały i prawie jednocześnie zeszły z tego stanowiska cztery rodziny: Radziwiłłowie, Pacowie, Sapichowie, Chodkiewiczowie), lecz oddawna byli zaliczani do kresowej arystokracji, jednocześnie i rodowej i funduszowej. Nie było człowieka na Litwie, któryby nie wiedział, że bracia Ogińscy uważali za swojego głównego spadkobiercę hr. Józefa Załuskiego, pochodzącego od rodzonej siostry ich ojca ks. Ireneusza; to też hr. Józef Załuski, odrazu bez żadnej kontestacji osiadł w Retowie przy ciotce wdowie Bohdanowej z domu Potulickiej. Druga wdowa Ogińska (Michałowa), szeroko przez męża zabezpieczona, już oddawna mieszkała w majątku męża będącym pod jej dożywociem, Pługianach. Aż tu jakiś obskurny ksiądz Żmudzin, wystąpił z testamentem niby nieboszczyka Bohdana, na mocy którego ten ostatni zostawił Retów i dość duży majątek Zalesie koło Smorgoń jakiemuś nigdy w Retowie niewidzianemu kapitanowi gwardji Wonlarskiemu, synowi pułkownika gwardji, który przed kilku laty, na spółkę z ówczesnym faworytem Mikołaja II Bezobrazowym i kontr-admirałem Abbaza, odegrał wielce podejrzaną rolę w nabyciu ogromnych i cennych lasów nad rzeką Yalu w Korei, co było na dnie pierwszych załargów Rosji z Japonją.

W praworządncm państwie i przy naogół poważnieni sądownictwie, do czego Rosja ówczesna już miała prawo rościć sobie pretensje, ten testament chociaż noszący niezawodnie i niezaprzeczenie podpis nieboszczyka Bohdana, nie powinien był być przez sąd cywilny dopuszczony do rozpatrzenia. Albowiem szło głównie o majątki dziedziczone po ojcu Bohdana, ks. Ireneusza, bo autor testamentu miał ostrożność nie wspominać o majątkach księżnej, Kalinowskiej z domu, któreby poszły do krewnych rosyjskich; ale rzecz w tem, że prawo cywilne rosyjskie o nieruchomościach dziedzicznych czyli sukcesyjnych wyrażało się krótko i węzlowało w słowach: „Majątki dziedziczne rozporządzeniu testamentarnemu nie podlegają“, i dopuszczało tylko następny wyjątek: Właściciel takiego majątku miał prawo rozporządzić nim testamentarnie tylko pod trzema warunkami: 1) że je zapisze krewnemu pochodzącemu choć w najdalszym stopniu od tego swojego przodka, od którego majątek dostał się jego rodowi, 2) że taki spadkobierca będzie jedyny i nieobciążony żadnemi spłatami, i 3) że testament będzie zestawiony



w formie sądowej, a od wielkiej reformy 1864 r. w formie notarialnej.

Przedstawiony do sądu testament ks. Bohdana Ogińskiego nie podpadał pod żaden z tych trzech warunków. Najpierw pochodzenie młodego Wonlarlarskiego od któregokolwiek z tak nazwanych prawnym językiem autorów Bohdana Ogińskiego, było twierdzeniem lecz wcale niedowiedzionem, albowiem Retów bracia Ogińscy zawdzięczali swemu ojcu Ireneuszowi, ale ten otrzymał to byłe starostwo polskie nie od ojca Michała, lecz od matki, słynnej na początku wieku z piękności, sprytu i złej konduity Włoszki, przywiezionej z Wenecji przez pewnego Nagrodzkiego (czy też Narzymskiego), po którego śmierci wyszła powtórnie za Michała Ogińskiego, a skoro Katarzyna i Paweł zaczęli rozdawać polskie starostwa swoim faworytom, poleciała sama do Petersburga i tam dzięki różnym swoim talentom potrafiła otrzymać darowiznę Retowa (38 000 ha) nie dla ich dotychczasowego posiadacza ks. Michała jako starostwa, ale dla niej i jej dzieci (których już było czworo). Od tego czasu ks. Michał nigdy ze swego dziedzicznego majątku Zalesia do Retowa nie pojechał, a księżna się tem nie smuciła. Niemiłej, to było 3 lata po nielegalnem rozwiązaniu drugiej Dumi państwowej i już zapanowała w całej Rosji zasada „jak Najjaśniejszy Pan uważa“, więc blisko 3 miesiące po przedstawieniu testamentu sąd najmniejszego kroku ku jego zatwierdzeniu lub odrzuceniu nie rozpoczął. Wonlarlarski się rozbijał po całej stolicy jako pewny dziedzic tego ogromnego źle widzianego (jako polskiego) majątku, głównie zaś dlatego, że Wonlarlarski służył w pułku szczególnie przez cesarza dobrze widzianym, a jego żona, młoda panna Nabokow, miała w całym beau-mondzie stolicznym reputację, jak mówią u nas w Wilnie, „wyrwiduszek“. Naturalnie przyjechały co tchu obie księżne wdowy, Bohdanowa i Michałowa, osobiście w sprawie niezainteresowana, lecz dlatego że po śmierci swojej legendowej teściowej Kalinowskiej z domu już potrafiła urządzić sobie rodzaj monopolu niezrównanej wielkości rodu Ogińskich, w którą od śmierci męża wierzyła, wierzy i wierzyć będzie aż do Józefackiej doliny.

Naturalnie, że te wszystkie wielkopańskie dramaty wśród moich ówczesnych poważnych zajęć zajmowały mnie jako istne fraszki. Księżna Marja Michałowa, którą z powodu dobrej przyjaźni z jej nieboszczykiem mężem dobrze znałem, ufając w swoją w Petersburgu mniemaną wszechpotęgę mnie o żadną pomoc nie prosiła, a księżny Bohdanowej, która bodaj nigdy w Wilnie nie była, nie znałem. Aż tu nagle zjawia się u mnie hr. Potulicki, blizki krewny księżnej Bohdanowej; przywiozła go do Petersburga jako pomocnika w mieście, którego sama wcale nie знаła, a on jeszcze mniej; lecz powinnyby wiedzieć, że trafili do kraju, jak mówił Aleksander von Humboldt,

„das Land aller Möglichkeiten“. Potulicki wielce zdeterminowany przywiózł mi feljeton gazetowy „Birżewyje Wiedomosti“ z tegoż dnia, zawierający kłamliwy od początku do końca, ale bardzo niebezpieczny w danym usposobieniu utwór jakiegoś reptyla, którego nazwisko już dziś zapomniałem, i oświadczył mi, że ponieważ wiadomo, iż cesarz Mikołaj co dzień czyta od deski do deski najbardziej wpływową polityczną gazetę „Nowoje Wremia“ (egzemplarz specjalnie dla niego odbity) i brukową gazetę „Birżewyje Wiedomosti“, którą owszem w pałacu czytają i on i wszystkie kuchciki, więc jest obawa, że na koniec sfinks z Carskiego Siola jakieś zdanie wypowie, i w takim razie jasne jest, że wszystkie, Retów, Zalesie, prawo cywilne i inne fraszki djabli mogą wziąć. Sprawa coraz bardziej przybierała naturę walki narodowościowej między obozami światowemi rosyjskim i polskim. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że mam do czynienia z potężnie zorganizowaną szajką, i stanowisko, które wówczas zajmowałem, nie pozwalało mi na neutralność, chyba bym był czem innem niż tem, czem byłem i dotychczas zostałem. Przedewszystkiem trzeba było osobiście zobaczyć się z Propperem, wydawcą „Birżewych Wiedomosti“, którego dobrze znałem, szczególnie dzięki jego bardzo miłej i gościułej żonie, sympatycznej mniejszości narodowej warszawskiej, o której, zdaje się, już wspomniałem.

Natychmiast udałem się do redakcji, pokazałem Propperowi przestępny feljeton, którego zupełnie nie znał, i bez ogródek mu oświadczyłem, że kiedy ten feljeton rzeczywiście wyzwie od jego najjaśniejszego czytelnika takie wyrzeczenie, które przy jego znanej nieśmiałości nie pozwoli mu wstrzymać zapewne tylko na to czcchajacej bandy, i duży fundusz Ogińskich wyjdzie z polskich rąk, to może mi wierzyć, że całe polskie społeczeństwo już na tym punkcie roznamiętnione, jemu, krakowskiemu obywatelowi, chętnie ten szczycącemu się, nigdy tego nie daruje. Dlatego musi tak czy siak w najkrótszym czasie, póki biedny cesarzyk nie wypowie się, to odrobić. Propper ani minuty temu nie zaprzeczył i odpowiedział mi bez ogródek: „Ja tego nie mogę zrobić, bo to i późno i trudno, ze względu na tak zwaną etykę redaktorską. Ale Pan, Panie Milewski, to możesz i dość łatwo. Ja wiem z najpewniejszych źródeł, że Najjaśniejszy Pan od czasu rozwiązania pierwszej Dumy ma o Panu zupełnie wyjątkowe zdanie. Pan posiada nie gorsze pióro od tego prawdopodobnie przekupionego feljetonisty i doskonale zna wszystko, co się tyczy Ogińskich, niech Pan powróci do domu skleci mi odpowiedni kontr-feljeton i ja go umieszczę z odpowiednim zastrzeżeniem o rzeczywistej z mojej strony omyłce, tylko pod jednym warunkiem, że będzie ten feljeton podpisany Pańskim imieniem i nazwiskiem.“ Zgodziłem się, zatrzymałem u siebie pana Potulickiego, aby mi dostarczył kilku potrzebnych

szczegółów, nazajutrz oddałem pracę do redakcji i wyszła na trzeci dzień.

• Feljeton znakomicie się udał i mógł rzeczywiście zainteresować mego ukoronowanego czytelnika, bo zgóry postanowiłem nie szczędzić nietylko Bohdana Ogińskiego, ale też i dziwaczki jego matki, która za czasów Aleksandra II, dzięki legendzie o jej amorach z Carem Oswobodzicielem i mniemanemu jego ojcowstwu jej starszego syna Bohdana, wyrobiła sobie w ziemi Kowieńskiej i w Petersburgu jakąś napół królewską sytuację, jaką bez troski o godność kobietą swojej matki ów starszy syn Bohdan eksploatował na różne sposoby. Bohdan starał się zupełnie beczelnie wzmocnić tę legendę tem, że w stryżeniu włosów, koafiurze, w formie bakenbardów i wąsów ostentacyjnie kopjował powierzchowność Aleksandra II, chociaż będąc ociężałym i niezgrabnym, w niczem nie przypominał jego znakomicie eleganckiej i okazałej figury. Legendowy na cały, tak zwany kraj zachodni wypadek, który pomieściłem in extenso w moim feljetonie w myśli bodaj słusznej, że to robi wrażenie na moim głównym czytelniku, przedstawiał się następująco. Na początku lat 70-tych młodzi bracia Ogińscy, wówczas ledwie pełnoletni, wymyślili sobie następną facecję: Mając jakąś mniej więcej słuszną pretensję do miejscowego komisarza policyjnego (stanawoj przistaw) sprowadzili do go Retowa i kazali wsypać mu 50 „gorących“, to jest bizunów. Asesor natychmiast się udał na skargę do Kowna do gubernatora Bazylewskiego, znanego polakożercy, a ten pierwszym pociągiem do Petersburga na skargę do cesarza Aleksandra II. Lecz że wówczas było od Retowa do Kowna przeszło 100 km drogi polnej, a od Retowa do Mitawy, Rygi i Petersburga dwadzieścia kilka godzin jazdy koleją żelazną, więc Bazylewski, nim się dobrał do osobistej audjencji u cesarza, znalazł go już uprzedzonego odpowiednim listem od jego byłej przed dwudziestu pięciu laty, ukochanej. Cesarz dał mu się wygadać, ale ponieważ ten całą arję wyśpiewywał na C. dur, więc mu przerwał słowami: „O tym całym incydencie już jestem poinformowany i uważam, że go bierziesz tragicznie. Trzeba umieć dla młodych ludzi, jakimi są książęta Ogińscy, być pobłażliwym.“ A że Bazylewski nastawał na swoją arję C. dur, Aleksander II mu rzekł: „Wiesz, co masz do zrobienia, to jest, co następuje. Musiałeś już tam narobić hałasu i jestem przekonany, że biedna księżna bardzo się niepokoi o los swoich synów. Więc ruszaj natychmiast do Kowna, siadaj do powozu i jedź do Retowa, by księżnę uspokoić, że ta cała historia żadnych skutków mieć nie będzie. Do widzenia.“ „Le roi l'a dit.“

Bazylewski, nie zjadłszy nawet w stolicy butterbroda, pojechał na koleją, siadł do pośpiesznego pociągu, a w Kownie do

czekającego nań powozu, połknął jeszcze dobre 100 kilometrów kurzu do Retowa, został wprowadzony do gościnnego pokoju, gdzie mu podano zakąskę, a po trzech czy czterech godzinach wprowadzony na audjencję do buduaru Jaśnie Oświeconej Księżnej, w którym prócz jej fotelu przy kominku znajdowało się tylko w kąciaku jakieś jedno krzeselko. Złożył swój raport, został zaszczycony łaskawem kiwnięciem głowy i, jak mówią Moskale, „dopuszczony do rączki“, co oznacza, że ważna Pani, aby nie narazić swej jaśnie oświeconej łapki na zwykłe jej ściśnięcie przez jakiegoś gbura, podnosi ją sama aż do ust obdarzonego.

Od tego czasu i aż do śmierci Aleksandra II nikt na całej przestrzeni tak zwanego północno-zachodniego kraju nie odważył się obrazić choćby psiuczka retowskiej władczyni.

Po katastrofie 1/13 marca 1881 r. to napół królewskie stanowisko retowskiej Pani i częściowo jej synów stopniowo zaczęło gasnąć dlatego, że wogóle wielce sumienny Aleksander III, choć z wielkim taktem, ignorował wszystko, co przypominało liczne miłosne słabości jego ojca, a szczególnie silnie umocnioną w naszym kraju legendę.

Jeśli wierzyć zasadzie „post hoc, ergo propter hoc“, skutki tego feljetonu nie dały na siebie czekać. Podobno cesarz Mikołaj nakoniec wypowiedział swoje zdanie w tym sensie, że nie jest inu przyjemnie, iż oficer jego ulubionego pułku zaplątał się w taką podejrzaną sprawę. W kilka dni potem już młody Wonlarlarski, jego ojciec i litewski ksiądz, który pisał i przedstawił testament, siedzieli pod kluczem: jeszcze przed opuszczeniem stolicy miałem przyjemność być na procesie tych panów, który się skończył srogiemi karami dla winowajców (prócz pułkownika, który się wykręcił, niiby z braku bezpośrednich dowodów) a wkońcu skasowaniem testamentu. W krótkim czasie księżna Bohdanowa i pan Józef Załuski już byli w posiadaniu spadku po nieboszczyku.

Także w lutym 1910 r. zapowiedziała swoje odwiedziny delegacja parlamentarna francuska, złożona częściowo z członków izby deputowanych, a częściowo z senatorów, pod przewodnictwem senatora p. d'Estournelles de Constant, który już od kilku lat wyrobił sobie pewną renomę w różnych krajach jako założyciel i prezes „Ligi pokoju“. Oczekiwało ich w petersburskich sferach parlamentarnych i oficjalnych przyjęcie albo dość obojętne, albo kwaskowate, albo nawet zupełnie grubiańskie. Wszystko, co było na prawo od Kadetów, zatem Październikowcy, nacjonalistyczna prawica, a tem bardziej skrajna prawica, chciało widzieć w nich prawnuków wielkiej rewolucji francuskiej, przedstawicieli wszystkich z nią związanych prze-

wrotów politycznych i socjalnych i roznosicieli niebezpiecznych mikrobów. Na osobnem posiedzeniu grupy centrum postanowiono ich przyjąć z umiarkowaną grzecznością i mnie poleciono być ich kornakiem i mistrzem ceremonij. Prawica zaś postanowiła jako taka ich ignorować, zostawiając oddzielnym swoim członkom swobodę wzięcia udziału w zupełnie oficjalnych zebraniach. Natomiast szczupła nasza lewica, tak samo jak Kadeci w Dumie, pokazała im więcej sympatji. Naogół można powiedzieć, że te odwiedziny stanowiły „klapę”. Sprytni Francuzi prędko to spostrzegli i nawet uważałem, że choć byli mi osobiście szczerze wdzięczni za moje koło nich starania, woleliby jednakże, żeby ich kornakiem nie był obcoplemieniec, nie przedstawiający żadnej potęgi materialnej, lecz jakiś rdzenny. Moskal, co do którego mogliby sami w siebie wmawiać, że ma za sobą trzy miliony bagnetów i milion kozackich pik. Co do prasy, to „Nowoje Wremia” i jemu podobne gazety o tych gościach mało wspominały i wyrażały się więcej niż wstrzemięźliwie. A skrajnie prawicowa prasa wprost ich łajała, główny zaś jej organ „Ziemszczyna” wydała z tego powodu cały artykuł pod tytułem: „Sekretarz komuny paryskiej członkiem Rady Państwa” — a tym niby sekretarzem komuny 1871 r. miałem być ja sam.

Ta francuska wizyta trwała dziesięć dni. Co rano zabierałem tych panów i oprowadzałem po wszystkich ciekawościach stolicy. Z oficjalnych ceremonij pamiętam: odwiedzenie jednego posiedzenia Rady Państwa i jednego w Dumie, zwiedzenie pałaców cesarskich i muzeów, gdzie nas dyrektorowie przyjmowali, naturalnie na koszt listy cywilnej, zimnem śniadaniem. — Wówczas miałem okazję przekonać się, że w domostwie Najjaśniejszego Mikołaja II rzeczy się działy zupełnie tak, jak u jego skromnego poddanego Milewskiego. W Łazdunach, kiedy mnie moja ochmistrzyni i kucharz zanadto beczelnie truli, cały obiad odprawiałem do kuchni, kazałem sobie podawać zwykły obiad tak zwanego drugiego stołu (dla oficjalistów) i oblizywałem palce. Tutaj także. O ile po każdym śniadaniu u Najj. Państwa w Carskiem Siole trzeba było, jak mówiłem, do wieczora zapijać się wodą Vichy, to te śniadania w pałacach i muzeach, właściwie także drugi stół, były ostatniem słowem wykwintnej i zdrowej gastronomji. Pomimo że delegacja francuska została przyjęta na króciutkiej audjencji w Carskiem Siole, żadnego przyjęcia dla nich ani u premiera Stołypina, ani u jego szwagra, ministra spraw zagranicznych Sazonowa, ani u prezesów obu Izb nie było. Ze światowych przyjęć mieliśmy tylko raut u hrabiostwa Orłowych-Denisowych, obiad w ambasadzie francuskiej, na którym prócz mnie byli tylko Francuzi, i ucztę składkową w wielkiej sali restauracji Niedźwiedź, na której musiałem naturalnie wypowiedzieć krótką mowę w imieniu grupy centrum.

Nasz prezes-żandarm Akimow nie mógł odmówić swojej bytności i wypowiedział następującą historyczną mowę: „Je bois à la santé et à la prospération du sénat voilà“. Francuzi wyglądali trochę zdziwieni, ale mój sąsiad, deputowany, dowcipny wicehrabia de Grandmaison osądził: „Ce n'est pas français mais ce n'est pas malhonnête.“

Prócz tego, ponieważ ta francuska wizyta zbiegła się ze straszną powodzią Paryża, z inicjatywy Michała Stachowicza urządzono galowe dobroczynne przedstawienie w operze na pomoc ofiarom tej klęski. Para cesarska, co było bardzo symptomatyczne, nie zaszczyliła tego przedstawienia swoją bytnością. Za to cesarzowa matka, głównie aby pokazać język Niemcom za oderwanie w jej pierwszej młodości Schleswig-Holsteinu od Danii, przybyła na sam początek przedstawienia, demonstracyjnie oklaskiwała artystów, szczególnie swoją synową z lewej ręki, tancerkę Krzesińską, i za mojem pośrednictwem u ministra dworu bardzo uprzejmie przyjęła p. d'Estournelles.

Pan d'Estournelles de Constant, niekoniecznie bardzo zręcznie, skorzystał ze swojej bytności w Petersburgu, żeby przy pomocy i pod przewodnictwem Maksyma Kowalewskiego urządzić w sali ratuszowej wielki wiec pacyfistyczny. Mówił długo, zręcznie i wymownie, lecz to wszystko nie mogło zmienić ducha czasu, ani naładowanej miazmami wojennymi atmosfery politycznej europejskiej. To też nie wytrzymałem i za zgodą Maksyma Kowalewskiego odpowiedziałem mu. A treść mego kontrreferatu, którego nie podaję, bo zajmuje siedm stronnic druku, polegała głównie, naturalnie po obsypaniu i Francji i Ligi pokoju i samego jej prezesa całemi górami kwiatów, na ostrzeżeniu, że tu, jak i we wszystkich stosunkach ludzkich, pierwszym warunkiem powodzenia szlachetnej myśli, jest nadzieja wzajemności, która w obecnych koniunkturach nie jest ze wszystkich stron pewna i nie powinna wykluczać ostrożności. Przytem znalazłem sposób wsadzić tę myśl, że żadnemu narodowi tak jak francuskiemu nie wypada być głosicielem idei tolerancji rasowej i narodowościowej, bo tę tolerancję całemi wiekami rdzenny naród francuski zastosowywał do kolejno przyrastających do malutkiej monarchji jedenastego wieku plemion i państw; lecz że trudno spodziewać się prawdziwej tolerancji i usposobienia pokojowego nazewnątrz tam, gdzie się tych cnót nie praktykuje jeszcze nawnątrz.

Francuzi tej myśli mocno przyklaskiwali, a rosyjskie moje audytorjum daleko mniej. Po powrocie do Paryża p. d'Estournelles, który mnie już w Petersburgu prosił o spisanie dla niego tych dwóch przemówień, telegraficznie zażądał ode mnie wysłania mu dziewięciuset drukowanych egzemplarzy, dla rozdania ich wszystkim członkom izby deputowanych i senatu, co też zrobiłem. Następnej jesieni, gdy znowu trafił do fran-

cuskiej stolicy, ci panowie wydali dla mnie śniadanie, które im oddałem, prawie wszyscy zaprosili mnie do siebie, i stosunki z nimi miały dla mnie wartość w czasie wojny wszechświatowej.

P. d'Estournelles de Constant w czasie tej wojny umarł, a z nim umarła i jego Liga pokoju.

Koniec tej sesji 1910 r. oraz mojej służby w Radzie Państwa był cały zajęty sprawą finlandzką. Była to antreprzyza samego Stołypina, podjęta w ciągłym poszukiwaniu dywersji dla biednego Mikołaja II od coraz bardziej wzmagającej się jego nienawiści do wymuszonego na nim w 1906 r. przez Wittego ustroju konstytucyjnego.<sup>1</sup>

A potężną pomoc okazywała Stołypinowi pod tym względem prasa nacjonalistyczna z „Nowoje Wremiem“ na czele. Ale jednocześnie ta kampania rusyfikacyjna nie odpowiadała żadnym potrzebom państwowym, ponieważ od stu lat cesarze rosyjscy nie posiadali wierniejszych poddanych niż właśnie Finlandczyków. Bardzo dużo roztropnych prawników zdawało sobie z tego sprawę tak w Izbie Niższej, jak szczególnie Wyższej. To też dla złamania przewidywanej opozycji Stołypin uciekł do tego samego fortelu jak przy drodze żelaznej Amurskiej i wniósł projekt do Izb — nie w imieniu rządu, lecz bez żadnej potrzeby „z najwyższego rozkazu“ (po wyszczególnieniu). Znałem osobiście jednego z senatorów finlandzkiej hr. Berga i wicesekretarza w sprawach finlandzkiej barona Ettera. Oni prawdopodobnie w Helsingforsie rozgadali o mnie, i już podczas rozpatrywania tej sprawy w Dumie ciągle zajeżdżał do mnie to ten to ów patryjota z prośbą, abym nie odmówił ich sprawie pomocy mego słowa i aby dostarczyć mi potrzebnej argumentacji. Trudno było mi, także prześladowanemu obcoziemcowi, odmówić im. Zresztą był to także wdzięczny temat dla mego łabędziego śpiewu w tej Izbie, w której przez cztery lata tyle naśpiewałem.

Ta cała historia o zniszczeniu finlandzkiej autonomii, która dziś przedstawia tylko interes archeologiczny, wówczas rozdzie-

<sup>1</sup> Od samego wstąpienia na tron Mikołaj II okazywał niechęć do Finlandczyków i Finlandji. Przypisywano ją — tak jak naodwrot początkowe dobre usposobienie względem Polaków miłej buzi panny Krzesińskiej — następemu wypadkowi: Jeszcze jako młody oficer gwardji Mikołaj II odwiedzał prywatnie swoje przysze Wielkie Księstwo. Zaszedł do biura pocztowego, aby nadać list polecony. Ponury, jak wogóle Finlandczycy, urzędnik odsunął list: „Rosyjskie znaczki“. Oficer prosi o finlandzkie i kładzie rubla. Odepchnięty: „Rosyjskie pieniądze“. — Takimi bywają często prawdziwe pobudki ważnych decyzji politycznych, nawet ze strony niekoronowanych monarchów.

łała całą t. zw. inteligencję rosyjską, tu postępową, tam nacjonalistyczno-reakcyjną, na dwa roznamietnione obozy. Nie przyznosiła ona chwały ani charakterowi Mikołaja II jako monarsze, ani Stołypinowi jako mężowi stanu grubego kalibru, ani nawzajem ówczesnym kierownikom finlandzkiego społeczeństwa. Wyrobiłem sobie wówczas o tym nielicznym, rasowo i językowo mieszanym (25 % Szwedów, 75 % Finnów), ale patriotycznie jednolitym narodzie zdanie jako o godnym wszelkiego poważania, lecz mało sympatycznym. Bezprzykładnie uczciwi, prawi, obowiązkowi, pracowici i wytrwali, potrafili w ciągu kilku pokoleń i to właśnie pod berłem rosyjskiem zrobić ze swego rozpaczliwie biednego kraju prawdziwą oazę kulturalną obok rosyjskiej dziczy. Ale krnąbrni, skryci, nudni, mściwi i niewdzięczni, przez sto lat korzystali ze słabości swoich czterech (aż do Mikołaja II) Wielkich Książąt-Carów, którzy patrzyli na tę małą Finlandję jak na rodzaj pawilonika obok swego kolosalnego cesarskiego majątku, aby cichaczem od nich stopniowo wyprasać najrozmaitsze przywileje, nie wzamian nic dając. Cieszyli się od Dunaju do Kamczatki wszystkimi prawami lub nawet przywilejami „rdzennie rosyjskich ludzi“ (u nas rusyfikowali), a u siebie, o 25 km od stolicy, nie pozwalali „muzykowi“ z sąsiedniej gubernii otworzyć skromnego kramiku bez specjalnego zezwolenia swego senatu w Helsingforsie. A prztem uparci jak stado kozłów. Com tym, którzy mnie prosili o pomoc, nie tłumaczył (mniej więcej jak panom Polakom z Koła dumskiego w 1907 roku), że muszą iść na ustępstwa kosztem po części nieusprawiedliwionych przywilejów, aby uratować żywotne prawa i przynajmniej uniknąć utraty swej narodowości dzięki gwałtownej jak u nas rusyfikacji, i t. d.; na wszystko odpowiadali: „Wir dürfen auf unsere Rechte nich verzichten“ i choć im koły na głowach ciosaj!

Zato na tej dyskusji bardzo korzystny egzamin zdała sama Rada Państwa jako Izba prawodawcza. Pozostawiona sobie, tylko swemu rozumowi i doświadczeniu, onaby niezawodnie Stołypinowskiego wniosku takiego, jakim był, nie przepuściła, zupełnie jak przed dwoma laty kosztownej zabawki Amurskiej drogi żelaznej. Lecz znowu zdecydowało: „Le roi l'a dit“. Typową tego nastroju rozmowę miałem w kilka dni przed ogólną dyskusją w plenum z nikim innym, jak prezesem Izby Akimowem, wiceprezesem Gołubiewem i szwagrem pierwszego, Piotrem Durnowo, t. j. najwybitniejszymi przedstawicielami „złoconej“ części Izby. Gdy wychodził ze specjalnej komisji, do której mnie wybrano, znalazłem ich żwawo dyskutujących w sąsiednim salonie, zaczępili mnie po drodze i ze zdziwieniem wysłuchałem od nich gorzkiej napaści na Stołypina za jego anti-finlandzki pochód. Lecz gdym wypowiedział im nadzieję, że znajdę w nich sprzymierzeńców w mojej walce z tym niebezpiecznym wnio-



skiem, wszyscy trzej mi oświadczyli, że mają żal do premiera właśnie dlatego, że wmieszawszy w tę sprawę osobę N. J. Pana, zmusza ich do oddania swych głosów przeciw własnemu przekonaniu! Tego rodzaju zaiste religijnej uległości nie znaly ani Anglja Tudorów, ani Francja Ludwika XIV; kiedy pierwszy prezes Lamoignon królewskiemu ministrowi, wyrażającemu wdzięczność króla za wypowiedziany w myśl jego życzeń wyrok, wspomniał o oddanej „usłudze“, dumnie odrzekł: „Sąd (la Cour) oddaje wyroki a nie usługi“. Pomyśleć, że biednemu Mikołowi II i jego histeryczce żonie wystarczyło siedm lat, aby doszczętnie zmarnować ten dziesięciu wiekami zebrany kapitał monarchicznego prestiżu!

Tem chwalebniej dla Izby wyszła debata w niej. Na korzyść wniosku prawie cały ciężar walki musiał wziąć na siebie sam Stołypin, słabo poparty przez dwóch „bylejakich“ z liczby pozłoconych. Przeciw wnioskowi wystąpiło przedewszystkiem w roli pierwszego kadryla opozycyjnego baletu czterech członków komisji, którzy „zostali przy oddzielnem zdaniu“, mianowicie rektor uniwersytetu petersburskiego Grim, Maksym Kowalewski, ja sam i Michał Stachowicz; nieoczekiwanie przyłączyło się do nas aż trzech „złconych“, pierwszy w Rosji mistrz prawa karnego Tagancew (później zamordowany przez Dzierżyńskiego) i brat ambasadora Piotr Izwolski, których głosy na mównicy zaiste drżały, bo ich dusiły jednocześnie po rosyjsku pojęcia lojalność i własne sumienie, oraz były (i znakomity) prezes Izby Sądowej Stołecznej, Gonczarow; ten nawet nie wstąpił na mównicę. W chwili, gdy rozpoczęło się głosowanie wstawaniem i siedzeniem, (aby nie było zdrady) pierwszy wstał i do Akimowa: „Proszę Waszą Ekscelencję mego głosu nie liczyć, bo skoro wniosek został wniesiony z Najwyższego rozkazu, moje przekonania monarchiczne nie pozwalają mi głosować przeciw; jednocześnie moje sumienie nie pozwala mi głosować za, albowiem uważam, że Najjaśniejszy Pan został źle poinformowany, i ten wniosek stanowi wielki błąd, a więc od tej chwili składam z siebie godność członka tej Wysokiej Izby“ — i opuścił salę. A wszyscy wiedzieli, że oprócz swojej pensji 12 000 rb., która zejdzie do skromnej emerytury, żadnego funduszu nie posiadał. — Zawsze perły wśród śmietniska.

Naturalnie, że dzięki memu paskudnemu obyczajowi podejmowania masek i ściągania fałszywych nosów, to moje ostatnie wystąpienie nie obyło się bez incydentów. Gdym ostrzegał, że przyznanie rosyjskiemu senatowi prawa autentycznej interpretacji finlandzkich ustaw pozwoli mu „w dziesięciu wierszach przeinterpretować Finlandję na Turkestancki kraj“, Akimow mnie zaczepił za urąganie wyższej instytucji państwowej — a szelma sam mi nastręczył ten argument, twierdząc w onegdajszej rozmowie, „że Finlandja powinna zostać Finlandją, a nie

drugą Ołoniecką gubernją.“ Gdym powstawał przeciw wprowadzeniu „języka państwowego“ jako otwarciu drzwi do rusyfikacji, i szczególnie drażliwych prześladowań językowych, jednocześnie mi przerwali p. Naryszkin (zresztą bardzo godny, człowiek) i już wspomniany zjadły Styszyński. Pierwszy: „Pan budujesz swą argumentację na imaginacjach“, drugi: „Pan prowadzi pochód obcoplemieńców na naród rosyjski.“ — Ja na to: „Du tac au tac.“ Nie imaginuję, lecz pamiętam. Za czasów generał-gubernatora Kaufmana, po wprowadzeniu u nas „języka państwowego“, pewna stara poważna dama udała się w interesie do wileńskiego policmajstra, przemówiła po francusku, on niby nie rozumiał, więc ponieważ w Wilnie do przyjazdu Murawjewa nie słyszało się języka rosyjskiego, przemówiła po polsku, i została zaszczycona następującymi historycznymi słowami: „Kiedy mieszkaś na ziemi rosyjskiej i jesz rosyjski chleb, mów językiem rosyjskim, a nie swoim psim. A zarzut Aleksandra Siemionowicza (Styczyńskiego) mnie nie wzrusza, bo wiem, widzę, że w czasie tak bliskim, może wszyscy tu obecni go dożyjemy, moi szanowni rdzennie rosyjscy koledzy będą nas obcoplemieńców błagali, abyśmy stanęli koalicją obok nich w obronie wspólnego państwa od wspólnego wroga.“<sup>1</sup>

Dzięki samemu Stołypinowi różnica poglądów między nim a mną przyjęła formę utarczki osobistej. Ponieważ starał się mnie ukąsić, więc w moim końcowym „allegro apasionnato“ starałem mu się odpłacić. Pomimo to Piotr Arkadjewicz, który był „dżentelmenem w każdym calu“, choć od czasu przyłączenia się jego do wniosku Pichno nie zamieniliśmy słowa, podczas herbaty zatrzymał mnie przechodzącego słowami: „Hipolicie Oskarowiczu, zdania jak zdania, lecz muszę przyznać, że w dzisiejszym turnieju oratorskim panu się dostała kokarda.“ — „Piotrze Arkadjewiczu, pan sam jesteś nie gorszym odemnie jeźdźcem i fehmistrzem, lecz w turnieju dużą rolę odgrywa koń, a dziś jeździłem na dzielniejszym od pańskiego rumaku.“ — Więcej już nie widziałem tego niepospolitego męża, w następnym roku zamordowanego.

Pomimo naszych wysiłków oratorskich wniosek przeszedł, a następstwem było to, że w cztery lata później ta sama Finlandja,

<sup>1</sup> Te dwa incydenty, z Naryszkinem i ze Styszyńskim, zostały w oficjalnym protokole zupełnie opuszczone. Pamięć o „psim języku“ prawdopodobnie jako niemiłe wspomnienie, a ostrzeżenie o wspólnym wrogu „ze względów dyplomatycznych“. To daremnie. Już kilka dni przed wyjściem na świat protokółów była o tem mowa w prasie berlińskiej, i sądzę, że to się przyczyniło do specjalnej „protekcji“, którą moje Łazduny cieszyły się ze strony Niemców w ciągu lat 1915—1918. Pięć lat później po zajęciu Warszawy, w tej samej sali Rady Państwa, ta sama prawica wrzeszczała „Niech żyje Polska“. Incydent z Akimowem i zamiana szpileczek ze Stołypinem w tym protokole podane wiernie.

która w ciągu przeszło stu lat stanowiła jedną z najbardziej wiernych monarchji i Rosji części tego olbrzyma, strzeleckie bataljony, które cieszyły się taką reputacją waleczności i wierności, że aż do tego niefortunnego 1910 r. sam Mikołaj II najchętniej nosił ich mundur, podczas wojny 1914—1916 roku stały się, o 25 km od stolicy rosyjskiej, gniazdem szpiegostwa i propagandy na korzyść Niemców, którzy podczas wojny mieli w swoim wojsku cały pułk złożony, wyłącznie z finlandzkich ochotników.

Nie czekając formalnego zamknięcia sesji 1909-1910, której ostatnie dni były poświęcone mniej ważnym sprawom, opuściłem Petersburg w samym końcu czerwca, aby po krótkim pobycie w Wilnie i w Warszawie zdążyć na czas do Krakowa na odsłonięcie pomnika Władysława Jagiełły, ofiarowanego miastu przez Ignacego Paderewskiego; nigdy jeszcze w życiu w Krakowie nie byłem, i trudno było znaleźć stosowniejszą chwilę dla poznania staropolskiej stolicy.

---

## Rozdział XV.

Kraków, dui grunwaldzkie. — Moskwa. — Nowe wybory do Rady Państwa.

Przybyłem dwa dni przed odsłonięciem pomnika. Byłem na tyle przezorny, że zgóry zamówiłem mieszkanie w Grand Hotelu, czemu zawdzięczałem przyjemność oddania częściowo gościnności petersburskiemu przyjacielowi Aleksandrowi Brianczaninowi. Biedak, nieprzezorny i o dzień spóźniony, błakał się cały dzień po mieście, napróżno szukając swobodnego kąta, i wreszcie zaszedł do mnie; naturalnie z radością go przytulilem, mając nierozdzielne dwa pokoje. W tymże hotelu mieszkali i codzień jadali Państwo Paderewscy, których znałem z Paryża, z nimi p. Roman Dmowski i ówczesny redaktor bardzo rozpowszechnionej gazety „Echo de Paris“, p. de Noussanc, oraz właściwy bohater chwili, rzeźbiarz-architekt, Antoni Wiwulski; lecz ten bohater to był gołąbek, którego trzeba było kołowrotem wyciągnąć z jego kąteczka, aby się pokazał, a zwłaszcza, by gębę otworzył.<sup>1</sup>

Dzięki temu przyjemnemu towarzystwu, sumiennemu zwiedzaniu miasta i bogatych jego zabytków historycznych, ceremonjom, widowiskom, bankietom i t. d. te ośm dni, któremi rozporządzałem, przeszły błyskawicznie, a jednak zrobiły na mnie,

<sup>1</sup> Ze ś. p. Antonim Wiwulskim (Zmudzinem z pochodzenia) później zaprzyjaźniłem się w Paryżu, gdzie się uparł wyrzeźbić moje pierwsze bronzowe, i uważał je za jedno z lepszych swoich dzieł. Pokochałem go jak synka, bo to była typowa artystyczna natura, żyjąca wyłączone w obłokach sztuki, idea i prawie chorobliwego altruizmu, który go uniósł do światła lepiej, niż obecny, do niego zastosowanego. Wojna go chwyciła w Wilnie, gdzie jako architekt (daleko ustępujący rzeźbiarzowi) budował nowy kościół Serca Jezusowego. W ciągu tych paru dni, które upłynęło między ewakuacją niemiecką a wkroczeniem bolszewików, zaciągnął się do „straży obywatelskiej“, był na warcie, miał dobre futro, a gdy go zastąpił jakiś rzemieślnik w marynarce, pożyczył mu tego futra, bezeń powrócił w mocny mróz do domu, zdążył chwycić piorunujące zapalenie płuc i przeniósł się do wieczności, jak żył, na skrzydłach. Nieboszyk miał jako artysta wielką zaletę: ani nie wiedział, ani słyszeć nie chciał o polityce.

już sześćdziesięcioletnim sceptyku, wrażenie głębokie i przesadne. Aż do tej wycieczki krakowskiej znałem przeszłość mego narodu tylko z książek, a jego stan obecny tylko z tego, com ciągle widział w zaborze rosyjskim lub w niemieckim, a tu i tam widziałem piętno rządów i narodów zaborczych. W Krakowie dopiero de visu zabytki świetnej epoki naszej przeszłości jaskrawo mi pokazały, czem był ten mój naród, dopóki (w końcu XVI stulecia) nie okazało się, że nie jest, tak zresztą jak narody turecki i hiszpański, przygotowany do przejścia od średnio-wiecznego romantyzmu do nowoczesnego organizowanego pozytywizmu.

Także w Krakowie dopiero spotkałem się po raz pierwszy z czystym, bez przymieszki, ludem polskim. Prawdziwie mi zaimponował ten lud w czasie wielkiego pochodów przez całe miasto, jakich 30 do 40 tysięcy chłopów, robotników i t. p., oraz podczas zlotu Sokołów. Byłem zachwycony. Nie raz w życiu w różnych krajach widziałem rozmaite tłumy; nawet z okazji świątecznej, zawsze się dawały czuć u nich niepokojące sub-strata duchowe; pod tłumem cieszącym się można było od-gadnąć „la foule criminelle“ filozofa Sighale. A tu pełen swobody ruchów porządek, radosny spokój, jakiś dwudziestotysięczny uliczny polonez. Kiedy Genewa skasuje wojny i od-uczy ludzi nawet związać palce w kuliak, my Polacy zapomocą „demonstracyj“ i „deklaracyj“ opanujemy świat.

Kto to zorganizował? Napewno nie królująca wówczas w Galicji partja Stańczykowska. Dzięki wybitnie anti-niemieckiemu charakterowi uroczystości, już w godzinę po przyjeździe jasne dla mnie było, że kto tylko „stoi i stać chce“, dyskretnie trzyma się na ustroniu. Może endecja? Nie wyglądało nato podług zachowania się p. Romana Dmowskiego. Może też ta wówczas mi nieznana organizacja, która cztery lata później wybuchła w formie legionów i 11 listopada 1918 r. wzięła naród polski za czub i opanowała jego rydwan państwowy tak jak pociąg bezdański? Jakkolwiek było, ta organizacja była świetna.

Ale to niedługie jakby nabrzmienie moich wewnętrznych „ducha i tonu“ sprawiły mi niepożądaną sztukę. Przyjechałem z mocnem postanowieniem, jak mi to nakazywała moja, jeszcze oficjalna sytuacja, pozostania wśród tego okresu polskiego szowinizmu prostym widzem i nigdzie głośno gęby nie otworzyć, wiedząc, że będę ciągle pod nadzorem prasy polakożerczej rosyjskiej. Aż wyszło niespodziewanie inaczej: ba, właściwie moja cnota mnie zgubiła.

Punktem kulminacyjnym tych uroczystości grunwaldzkich była uczta dziennikarska. Ogromny stół w podkowie; na środku przewodniczyła jakaś gruba ryba literacka; na prawo od niej Paderewski, jego Francuz, Roman Dmowski, Rodziczew (zamieszkały u prof. Marjana Zdziechowskiego), a na lewo druga

ryba, ja i Branczaninow. Już od zupy temperatura zaczęła się podnosić i z zapachem pieczystego rozpoczęły się mowy, Paderewskiego, Dmowskiego, Rodziczewa (po rosyjsku), Francuza de Noussanne, Brianczaninowa (po francusku); każdy kolejno przelicytował poprzednika; i już Brianczaninow podniósł kielich „à la Pologne une et indivisible.“ To już pachnęło wypowiedzeniem wojny dwom państwom centralnym, ale że nie dodał „indépendante“, więc z Syberją jeszcze się rozmijał. Aż tu wstaje ś. p. Władysław Żukowski (ojciec dzisiejszej generałowej Sosnkowskiej), członek, z Królestwa, Dumy państwowej rosyjskiej, i z kopyta wzięwszy cwał, dobiega do „Niech żyje Polska zjednoczona i niepodległa!“ Co go porwało? Bo znałem go jako nie tylko bardzo zdolnego inżyniera i ekonomistę, lecz wyjątkowo trzeźwego i umiejącego panować nad sobą człowieka. Jakkolwiek było, momentalnie błysnęły mi przed oczyma Nowoje Wremia, Ziemszczyzna, cała szkoda, jaka mogła z tego wyniknąć dla naszych w zaborze rosyjskim i bez tego słabych interesów, pomyślałem, że tu niezbędnym jest natychmiastowy zimny kompres; pochyliłem się do przewodniczącego, Paderewski spostrzegł mój ruch, natychmiast udzielono mi głosu i wstałem, naturalnie nie tylko bez wyuczonej lub nawet obmyślanej „mowy“, lecz nawet planu, tylko z instyktowem poczuciem, że mi wypada trzymać się tonu zwykłej gawędy a nie uroczystej mowy. Szczęśliwym trafem pozostał mi wycinek z gazety „Czas“, która nazajutrz wydrukowała tę mowę dosłownie, więc, ponieważ komentarz zająłby prawie tyleż samo miejsca, podaję ją „in extenso“:

#### „ECHA UROCZYSTOŚCI GRUNWALDZKICH.

Piękna mowa członka rosyjskiej Rady Państwa p. Hipolita Korwin-Milewskiego, która wypowiedziana na uczcie dziennikarskiej zrobiła tak silne wrażenie na obecnych, brzmiała dosłownie, jak następuje:

„Szanowne Panie i Szanowni Panowie! Nie byłem na liście, bez tego długiej, zapisanych mówców, jednak w tej chwili poprosiłem o protekcję u przewodniczącego, aby do Was wystosować nie mowę, lecz raczej gawędę. Przewiduję, że może na Was zrobić wrażenie ochładzające, lecz wiecie, że podczas wysoko gastronomicznych uczt, po podniecających potrawach i mocnych trunkach roznoszą lody. Ja się wcale nie dotknę politycznego znaczenia obecnych uroczystości. Tobo mnie zmusiło ucieszyć się do sztuki, w której, jak powiadają moi krytycy, nie jestem dostatecznie wyćwiczony, sztuki mówienia nato, aby nic nie powiedzieć. Albowiem nie przyznaję sobie prawa zapomnieć gdziekolwiek choćby na jedną chwilę, że noszę godność członka rosyjskiej Rady Państwa. W tem jestem wierny zasadzie, która stanowi jedyną moją zasługę polityczną: nigdy, nie mówić przed

Polakiem tego, cobym bał się powiedzieć przed Moskałem (Panowie Rosjanie wybaczą za słowo) i nigdy także przed Moskałem tego, czegobym się wstydził przed Polakiem. Twierdzę bowiem, że trzeba kochać swój naród i swoją ziemię rodzinną nie jako łapanych w wesołem miejscu przyjaciela lub przyjaciółkę, których się zbywa komplementami, lecz jako ojca i matkę rodzonych, którym trzeba służyć, a nie pochlebiać. Najmniejsza, drobniotka korzyść, którą im przyniosę, opłaca mi najcięższe niepowodzenia oratorskie, najmniejszej szkody, której im przyczynię, nie opłaca żadne oklaski. A zresztą Panowie wiecie, że dla polityka, jak dla rolnika, choć nauka jest jedna, dążności i środki powinny być rozmaite. Nie można zastosowywać tych samych na bogatej i głębokiej glebie podolskiej i na litewskich piaseczkach, jako też inaczej działa ten, kto może obracać milionami i ten, który musi grosz po groszu składać do kasy oszczędnościowej. Oto dlaczego nie dotykam zupełnie politycznych stron i skutków tych dni krakowskich.

Zato clicę się podzielić z Wami moimi wrażeniami osobistymi. Przyznam się Wam, że jestem pierwszy raz w życiu w Krakowie, i przyjechałem tu rozczarowany do głębi duszy, bo to, co tam robimy w północnym parlamencie, to jest proste rzucanie grochu o ścianę. Miałem mocne postanowienie nie tylko prosić moich wyborców, aby mnie zwolnili z mandatu, w którym już widzę jakąś karę Boską za moją zarozumiałość, ale skorzystać z prawa starości, aby zupełnie się usunąć od wszelkiej czynności społecznej. Lecz skoro tu się znalazłem, poczułem, że tak jak Anteusz, kiedy się dotykał Matki-Ziemi, nabrałem nowej siły. I powiedziałem sobie: mandat poselski nie jest jedyną formą pracy publicznej; niech go spełnia kto drugi, któremu Bóg dał zaletę, muie skąpo wymierzona, mianowicie niewyczerpaną cierpliwość. Ale ty, stary koniu, chomąta nie zrzucisz, lecz będziesz dźwigał, póki sił stanie.

A wiecie Panowie, co mi dodało takiej otuchy? To nie Wasze zebranie i mowy, to Wasza ulica. — Przypominam sobie, jak w Wilnie, po czterdziestoletnim uwięzieniu języka polskiego, dożyliśmy pierwszego przedstawienia teatralnego po polsku. Pomimo największego entuzjazmu, publiczność umiała zachować tyle godności i taktu, że miejscowy gubernator wychodząc, powiedział: Wileńscy Polacy zrobili się Anglikami. — Tak, lecz to było kilkuset ludzi z najbardziej wykształconej i zamożnej warstwy ludności. A na wczorajszej uroczystości, w dzisiejszym pochodzie widziałem dziesiątki tysięcy wieśniaków, rzemieślników, najskromniejszego ludu, słowem tłum, a ten tłum okazywał wśród największej radości taki majestatyczny spokój, tyle rozważi, panowania nad sobą, zimnej krwi, że pomyślałem: Oby tam w naszych Izbach ci, którym społeczeństwo wierzy i którzy powinni być sami jego kierownikami, oby oni

zawsze mieli tyle rozwagi, panowania nad sobą i godności, ile ten tłum. — Panowie! Piję za tłum krakowski!”

Domyślałem się, wstając, że nie oczekują mnie, jak przed rokiem w petersburskim Klubie Działaczy Społecznych grubaństwa i podjęte krzesła, lecz byłem przygotowany na chłodne choć grzeczne milczenie, może grymasy. Jakiem nie było moje zdziwienie, kiedy w miarę, jak mówiłem, twarze się coraz rozjaśniały, a gdy rzucił w Cdur kuplet końcowy o tłumie krakowskim, nieskończony grzmot oklasków — tak, że musiałem jak aktor kilkakrotnie wstawać i kłaniać się — podejście do mnie, ściskania dłoni; entuzjasta Paderewski i jego Francuz zerwali się z miejsca, pierwszy, całując mnie w oba policzki, oświadczył, że słuchając mnie, miał na chwilę „le sentiment de la grandeur“ (a gdzie się podział „katarzyniarz“ z 1919 roku)? — Drugi, że choć nic nie rozumiał, jednak wziął lekcję krasomówstwa, i t. d. Battistini lepiejby nie życzył.

Dziś, po siedemnastu latach, odczytując tę mowę, powiem, że w oświeceniu ówczesnych warunków, niczym w niej nie zmienił. Do takiego stopnia wyrażała dokładnie ówczesne moje przekonanie... prócz jednego ustępu. Jaki djabeł, chyba niebezpieczna dla improwizatora pokusa umizgania się do marnej kokietki, jaką jest publiczność, natchnął mnie zagadać o starym koniu i społecznem chomacie? Dla szczęśliwców, jak jeden z naszych najsłynniejszych ministrów, którzy „zastrzegają sobie, aby im nie przypomniano dzisiaj tego, co mówili wczoraj“, to nie miałooby znaczenia. Ale dla biedaka, jak ja, prawie od kolebki zatrutego humanizmem, klasycyzmem, wszelkiní Plutarchami, De viris illustribus, Emersonami i t. d., zatem prawie religijnem poszanowaniem własnego słowa, to jest bardzo niebezpiecznem. Prędko, jak dalej opowiem, miałem srogo zapłacić za tę krakowską fanfarę.

Naturalnie piorunów prasy rosyjskiej nie zabrakło. Nowoje Wremia poświęciło tej uczcie aż dwa sążniste artykuły. Żukowskiemu dostało się od zdrajcy stanu, a mnie od tem niebezpieczniejszego, że skrywającego się pod maską lojalności „polonizatora“. Szanowna gazeta nieraz mi przypięła ten hańbiący epitet.

Po powrocie do Wilna musiałem, ponieważ nowe wybory do Rady Państwa miały się odbyć we wrześniu, zawczasu się zabezpieczyć, żeby mi znowu tego „chomata“ nie narzucono. Jak jeden człowiek wszyscy wyborcy mi oświadczyli, że jeśli mnie zwolnią, to tylko pod warunkiem, że im wskażę mego następcę. Myślałem wpierw o p. St. Łopacińskim, lecz odmówił, spodziewając się jeszcze (mylnie) przejść w swojej witebskiej gubernji.



— Stanęło na p. Aleksandrze Chomińskim. dość popularnym, bo nikomu w niczem nie zawadzającym, ziemianinie święciańskiego powiatu. Wystosowawszy do moich wyborców odpowiedni cyrkularz, wybrałem się do Moskwy na perjodyczną, co trzy lata, wszechrosyjską wystawę końską i kongres hodowców; jednocześnie na wielki kiermasz w Symbirsku, gdzie zamierzałem nabyć ze dwadzieścia koni roboczych, tęższych i tańszych, niżli nasze litewskie. Potrzebne mi były, bo wycofałem z dzierżawy dwa folwarki.

Ponieważ dotychczas znałem Rosję z widzenia tylko podług Petersburga, t. j. dekoracji operowej, w 1892 r., Moskwy i Kijowa także niemało Europą zafarbowanych, skorzystałem ze sposobności, aby zajrzeć, jak tam mateczka Rosja wygląda w koszuli. Z Moskwy pojechałem do Niżniego-Nowgoroda, gdzie już czuć prawdziwy zapach narodowy, a do Symbirska popłynąłem Wołą; 48 godzin — statek (w pierwszej klasie naturalnie) czysty, kuchnia dobra, lecz pejzaż do znudzenia jednostajny; przy średniej szerokości rzeki 500—600 metrów, prawy brzeg od początku do końca urwisty na jakie 80—100 metrów wysokości; wie się, że tam na czarnoziemnym stepie są wsie, miasteczka i miasta, może lasy lub nawet dwory, lecz w ciągu tych 500—600 kilometrów wodnej podróży absolutnie ich z dołu nie widziałem. A na lewym brzegu także od Niżniego do Symbirska, prócz na półdrodzu wznoszącego się o kilka kilometrów odległości na dość wysokiem płaskowzgórzu miasta Kazania, brzegi absolutnie płaskie, ledwie o jaki metr wyższe niż zwykły poziom wody, wiosną zalane tygodniami na kilkanaście kilometrów od koryta, zatem ani zasianych pól, ani budynek jak oko sięga, tylko wysoka błotnista, choć jakoby pożywna trawa, stogi bez końca i stada bydła lub koni.

Powróciwszy do Moskwy kolejną na sam czas kongresu hodo-  
wlanego, prócz wieczorów, które spędzałem na różnych, prze-  
ważnie interesujących przedstawieniach, cały dzień pochłaniały  
posiedzenia, przedpołudniowe sekcje, bo wybrano mnie preze-  
sem sekcji koni zimnokrwistych, a po południu plenarne; tu  
prezes wszechrosyjskiego towarzystwa hodowców ksiązę Szezer-  
batow, na samym początku poróżniwszy się ze swoim zebrani-  
em, zakaprysił, nie chciał ani rzec się prezesostwa wszech-  
rosyjskiej instytucji, ani wadzić się ze zniechęconem zebrani-  
em, więc mnie pod różnemi pretekstami prosił, bym go  
wyręczył na fotelu przydyjalnym. Jednocześnie odbywały się  
wyścigi konne, ważniejsze niż w Petersburgu, na których  
konkurowały dwie główne w całym państwie stajnie, ksią-  
żąt Lubomirskich i p. Łazarewa. — Ostatni wygrał „Derby”.  
Z tego powodu zjazd światowy był duży. Wówczas pierwszy raz  
zauważyłem, że gwiazda samej dynastji zaczyna błednać, albo-  
wiem już zaczęto szeptać o Rasputinie, wymawiając Stołypinowi,

że go toleruje. Zresztą tradycyjnie, szczególnie od panowania Katarzyny II, arystokracja moskiewska frondowała petersburską, przeważnie dworską, i języki w „pierwszo-tronowej” stolicy były daleko swobodniejsze niż w „lokańskiej”, jak nazywali przy-baltijską stolicę niektórzy potomkowie starych bojarów, tych, którzy, jak się raz wyraziła namiestnikowa Woronzowowa-Daszkowa, „byli u dworu, kiedy tamci jeszcze byli w stajni”.

Powróciłem do Wilna w porę na przedwyborcze zebranie, wyłącznie polskie, na którym po mojem powtórnem sprawozdaniu z mojej czynności w czasie ostatniej kadencji, mój kandydat p. Aleksander Chomiński został wybrany jednogłośnie. Spotkała mnie jednak tu zupełnie nieoczekiwana, później dotkliwa przykreść. Mój brat Ignacy,<sup>1</sup> który, jak wyżej pisałem, już za czasów Orzewskiego zupełnie kraj opuścił i przyjął poddaństwo austriackie, powróciwszy do rosyjskiego, przed samymi wyborami rozesłał wszędzie rodzaj plakatu pod nagłówkiem „Głos starego szlachcica”, w którym (nie stawiając formalnie swojej kandydatury do mojej sukcesji) zalecał bezwarunkowe zlanie się szlachty naszego kraju ze szlachtą rosyjską.

Ten występ został przyjęty przez naszą szlachtę nieprzychylnie, przeważnie całkowitem milczeniem. Uparł się, pojechał do Petersburga i najawszy wielką salę szlacheckiego zebrania, urządził tam rodzaj wiecu, na którym wyłuszczył tenże program. Lecz ponieważ tam nie było niemal człowieka, któryby nie znał i osobistości i kilkuletniej czynności drugiego Korwin-Milewskiego, rzecz również powodzenia nie miała. Ale tego chwyciła się prasa warszawska i dobra jej połowa, z niepojętą dla mnie dotychczas lekkomyślnością, wszystko zwała na mój kark. Bawiłem wówczas na Riwierze jednocześnie z Ignacym Paderewskim; po naradzie z nim i przy jego pomocy co do redakcji rozesłałem do tychże gazet sprostowanie, które, choć umiarkowane, zostało przez nieboszczyka źle przyjęte. Odpowiedział, nazywając mnie „swoim byłym bratem”, co podług obecnego żargonu „przyjąłem do wiadomości”.

Wkrótce potem zaczęły się pojawiać z pod tegoż pióra ulotki pod tytułem „Walka z kłamstwem”, przeważnie rosyjskiem. Czytano je z większym zaciekawieniem, bo były pisane z werwą i stylowymi wynalazkami, na które nie odważyliby się ani Leon

---

<sup>1</sup> Ś. p. Ignacemu (umarł 80-letni w październiku 1926) warto byłoby zupełnie niezależnie od pokrewieństwa poświęcić parę stronic tych pamiątek, bo był wśród mego pokolenia i stanu towarzyskiego tak w dodatkiem jak i w ujemnem znaczeniu, co się nazywa „numerem”. Wstrzymuję się od tego, bo zerwawszy z nim stosunki prawie 50 lat temu wstecz, obawiam się wzbudzić i u czytelnika i we własnem sumieniu podejrzenie o brak bezstronności. Może inny kronikarz tych samych czasów mnie wyręczy — i tak rozgadałem się obszerniej niż zamierzałem.

Daudet ani p. Adolf Nowaczyński. — Po kilku miesiącach wszystko wpadło w wodę.

Jednak ta przykrość miała dla mnie nikłe znaczenie w porównaniu z tą ciężką belką, która mi wówczas spadła na plecy, a którą miałem dźwigać przez cztery lata — ostatnie z tego okresu mego życia — jako zemstę losu za dwanaście lat nieprzerwanych powodzeń na tej arenie: mówię o zbudowaniu w Wilnie polskiego teatru, do którego historii pora przejść.

---

## Rozdział XVI.

Teatr Wileński 1910—1914. — Założenie Spółki. — Śmierć Stołypina. — Erekcja gmachu. — Omyłki i trudności. — Egipt. — Ems. — Tunis. — Towarzystwo Rolnicze. — Przeróbka teatru. — Trochę filozofji.

W ciągu półtora pokolenia, od 1862 roku, kiedy w teatrze miejskim w budynku ratuszowym, po obowiązkowej jednoaktówce w języku rosyjskim, samo przedstawienie szło po polsku, aż do jesieni 1905 r., dla dwóch trzecich dwuset tysięcy miasta Wilna i ludności katolicko-polskiej „teatr“ przedstawiało coś tak trudnego do wyobrażenia sobie, jak słowo śnieg dla podrównikowego murzyna. Do teatru rosyjskiego wstydzono się chodzić, do tingel-tangu Szumana (patrz wyżej), właściwie giełdy prostytucji, chodziła tylko część złotej młodzieży, reszta tej stotrzydziesto tysięcy ludności polskiej nie znała innej formy widowisk jak, kilkanaście razy do roku, koncerty przyjezdnych artystów.

We wrześniu 1905 r., zaraz po wyjściu na świat mego „Kurjera Litewskiego“, władze rosyjskie pod wrażeniem tonu tego pisma zgodziły się, wskutek starań moich współpracowników warszawiaków i kilku innych, niby „na próbę“ na serję przedstawień polskich części trupy warszawskich „Rozmaitości“. Grano w drewnianym, nieopalanym teatrzyku letnim, wystawionym przez tegoż Szumana. Repertuar był dobrany czysto literacki, bez przymieszki „kokardowej“ i na pierwszym przedstawieniu publiczność, wprowadzic ze znikłą proporcją ludowej, potrafiła tak się zachować, że przy wyjściu gubernator Pahlen powiedział mi (jak wspomniałem): „Il n'y a pas à dire, Vous êtes devenus des Anglais.“

Do końca tej serji ani jednego przedstawienia nie opuściłem; stopniowo powiększała się proporcja robotników, łąziłem po wszystkich kątach, podsłuchiwałem i byłem zdziwiony i gorliwością, a bardziej jeszcze stopniem pojętności tej „publiczki“. Jako już wyspecjalizowany w „lojalnem polonizatorstwie“ pomyślałem, że koniecznem jest zabezpieczyć ludności trwałość

tak silnego, może silniejszego niż prasa, agenta i polonizacji, i moralizacji niższej warstwy ludności wileńskiej, jakimby był stały teatr polski, albowiem każde 25 kopiejek zapłacone za miejsce na paradyzie, to rubel odebrany od szynku.

Lecz tu powstawała ciężka kwestja pomieszczenia; ten teatrzyk w botanicznym ogrodzie, na 400 miejsc, nieopalany, właściwie barak, mógł służyć od 1-go maja do 1-go października, t. j. podczas martwego sezonu teatralnego. A znowu teatr miastowy także za mały, urządzony, kiedy Wilno było o cztery razy mniej zaludnione niż obecnie, był zajęty przez trupę rosyjską z klientelą przeważnie żydowską. Więc pomacawszy swoje kieszenie i zmierzwszy swoją czynność, która nie pozwalała mi osobiście wziąć na siebie tego zadania, puściłem w Kurjerze artykuł, w którym wyłuszczywszy konieczność zbudowania wspólnymi siłami teatru specjalnie polskiego, kończyłem oświadczeniem, że jeśli znajdzie się prawdziwie zdalny do założenia odpowiedniego towarzystwa działacz, wymieniając specjalnie ś. p. Józefa Montwiłła, jestem gotów wejść do takiej spółki do wysokości 20.000 rb.<sup>1</sup>

P. Józef Montwiłł, bardzo gorliwy społecznik w kierunku humanitarno-demokratycznym, wcale nie „polonizator“, bo prędeż, jako rdzenny Żmudzina, skłonny do litwomaństwa, nie chciał o tem ani słyszeć, tem bardziej, że założył wśród klasy roboczej towarzystwo śpiewackie „Lutnia“ i budował dlań praktycznie i tanio własny budynek, który po jego śmierci popełnił megalans kinematograficzny. Ja wycofałem się z Kurjera, opuściłem Wilno dla Paryża i Petersburga i cały projekt poszedł spać. — Zdążyłem jednakże skorzystać z przyjaźni p. Stankiewicza, żeby wylargować na zimę podział teatru miastowego między trupą rosyjską i polską po 3—4 kolejno 4—3 dni tygodniowo dla każdej. Ale to trwało krótko, bo przy szczupłej objętości teatru, ani jedna ani druga trupa swoich kosztów nie pokrywała.

Tymczasem założono pod egidą p. Klementyny, ordynatowej Tyszkiewiczowej, „Towarzystwo popierania sztuki scenicznej“, do którego należałem nominalnie tylko jako subskrybent; rozporządzając ze składek i hojności pani Klementyny około 5.000 rb. rocznie, podtrzymywało ono jako tako przedstawienia polskie. Lecz z lokalem było coraz gorzej. Z teatru miastowego przeniesiono się do ogromnej sali w nowozbudowanym przez miasto niby dochodowym domu koło Ostrej Bramy; w tej sali akustyka była szkaradna, oświetlenie marne, w przedniej poło-

<sup>1</sup> Trochę obszerniej się zatrzymam na tym epizodzie mojej kariery społecznej, bo pokora chrześcijańska nakazuje mi wypowiadać się z jednego z największych głupstw, jakie popełniłem w życiu, a także dlatego, że incydenty tej kampanji teatralnej dają typowy obraz przedwojennych usposobień i metod, praktykowanych wśród ówczesnej wileńskiej polskiej „inteligencji“.

wie trochę widziano, mniej słyszano, a w tylnej ani jednego ani drugiego, zatem sala była wiecznie napół pusta, przedsiębiorca tracił, i pięknej nocy wybuchł pożar tak pomyślnie, że sala i dobrze ubezpieczony materiał teatralny się spaliły, a reszta domu ocalała. Znowu: gdzie grać? Był na dużym placu na Łukiszkach już dość stary, zatem suchy jak proch, barak cyrkowy, wyłącznie z desek zбитy. Trupy cyrkowe grały tylko latem, barak się słabo opłacał, i Towarzystwu udało się tanio go wynająć; ogrzewając korytarze żelaznymi piecami, przerabiając arenę na parter, odgradzając także deskami widownię od sceny i łóż aktorskich, jakoś udało się zainstalować tam trupę i dawać przedstawienia. Jednak interes szedł słabo. Drobną publiczność zapełniała tanie miejsca, bo już zasmakowała w polskich przedstawieniach, lecz lepiej płacąca się powstrzymywała, zrażona obrzydliwym smrodem. Albowiem parter, t. j. arena cyrkowa, miał pod sobą, jak zwykle w cyrkach, pod piłównami grubą warstwę końskiego nawozu, a w korytarzu, także podzielonym przepierzeniem, mieściły się z desek zбитe i bez kanalizacji lub wody „dla Panów“ i „dla Pań“. — Raz jeden zaszedłem do tego cuchnącego baraku i po pierwszym akcie uciekłem. Ze swojej strony życzliwy gubernator Lubimow ciągle ostrzegał, że lada dzień będzie zmuszony zamknąć to gniazdo pożarów; tak więc kwestja zbudowania własnego teatru polskiego stawiała się palącą.

Króliko po wyborach do Rady Państwa odwiedził mnie p. Aleksandrowicz (ten sam, który kiedyś mnie chciał wtajemniczyć w zasady wiary endeckiej); pisywał w Kurjerze Litewskim o przedmiotach teatralnych i uchodził za jednego z poufalszych gości pani ordynatowej Klementyny Tyszkiewiczowej. Występował jako specjalny ambasador tej Pani prosząc mnie, abym chciał zapomnieć o starym już naszym zatargu i ją odwiedził dla porozumienia się w kwestji budowania polskiego teatru.

Ta „kapitulacja 11 listopada 1908 r.“ ze strony Damy, trzymającej się na trzysta metrów wysokości buty rodowej i światowej, trochę mnie zdziwiła, lecz szło o przedmiot mnie jako „polonizatorowi“ drogi, więc propozycję przyjąłem.

Choć o tej Pani już była i jeszcze będzie mowa, zasługuje ona na oddzielny szkic jako numer nad numerami wśród ówczesnego wyższego świata polskiego. Klementyna z Potockich, ordynatowa Janowa Tyszkiewiczowa (1856—1920), młodsza córka byłego premiera austriackiego, potem namiestnika Galicji, Alfreda Potockiego, i jedynaczki ks. Sanguszkówny, siostra znanych, Romana na Łańcucie i Józefa na Antoninach, Potockich oraz p. Julji Władysławowej (ze Stawiszcza) Branickiej, tak na mocy tej sytuacji światowej, jak zaiste posagowej urody (choć bez kobiecego uroku), o której jeszcze przed jej ślubem

wiedziała Europa, dzięki temu, że słynny wówczas malarz wiedeński Makart, w swoim na wystawie paryskiej furory robiącym obrazie „Wjazd Karola V do Antwerpii“, postawił ją w stroju matki Ewy na pierwszy plan obrazu; w dodatku wyjątkowo zamożna i po sobie i po mężu, pani Klementyna należała do rzędu tych, wówczas po całej Europie nierzadkich wielkich Pań, które od kolebki wyrastały w przekonaniu, że wszelkie reguły i zasady, choćby grzeczności światowej, są dla drugorzędnych arystokratek, lecz nie dla nich. Bez wykształcenia, a z nieporównanym tupetem, była ona t. zw. dzieckiem natury. Jako jedyne siły kierownicze... miała instynkty. Lecz były między niemi i szlachetne. Jako kolega od lat dzieciennych i bliski przyjaciel jej męża, pierwszy po ich ślubie gość w ich Birzach, zostałem od razu poufałym gościem tego domu. Odstępowało ją ode mnie, że czuła we mnie cenzora, a przyciągała szczerość, którą ja posuwałem często do zuchwalstwa, a ona nieraz jeszcze dalej.

Naturalnie, mając męża typowego sybarytę i na wszystko gwiżdżącego, już po paru latach zadawała ton w Wilnie, a salon jej stał się środowiskiem więcej wesołym niż wzorowym. Póki byłem kawalerem, to mnie wcale nie obchodziło. Lecz gdy — jak powiedziano wyżej — zaręczył się z zupełnie światowo nieodświeżoną panną, zaczęła mnie korcić myśl, jak obronię swoje ognisko domowe od niebezpiecznego wpływu i przykładu takiej lwicy? A znajomość musiała od razu stać się bliską dlatego, że jedna z tych Pań była szwagierką, a druga bardzo bliską krewną ś. p. Władysława Branickiego, rodzącego się z Hołyńskiej. Na szczęście „lwica“ sama wybawiła mnie z kłopotu.

Gdy między zaręczynami a ślubem podskoczył do Paryża w kwestji prezentów ślubnych i umeblowania, zaraz zaszedłem do ś. p. Jana Tyszkiewicza, znawcy w tym względzie. Spotkałem go na schodach, wyjeżdżał na wyścigi, gdzie jego koń biegął; lecz chwycił mnie za rękę i prawie gwałtem pociągnął do żony, pewny, że będzie rada mnie widzieć. Ona zaś po wyjściu męża i po dobrem śniadaniu już się rozbawiła ze swoją paczką, cenzor był niepożądany, więc nie namyślając się, schowała się i kazała mi powiedzieć, że „nie domaga“; a tu w przedpokoju pół tuzina płaszców i cylindrów, a przez drzwi salonu słysząc wesołe głosy i śmiechy kilku gości. Zupełnie wyżej opisana scena w Wace w 1862 r. między generał-gubernatorową Nazimowową i ś. p. panią Izą Tyszkiewiczową. Poszedłem sobie zupełnie rad, że od razu została rozwiązana drażliwa kwestja przyszłych stosunków; otrzymawszy tegoż dnia miłe zaproszenie na śniadanie, odpowiedziałem suchem na kartce wizytowej „dziękuję i żałuję“, a gdy wkrótce po moim ślubie skruszała winowajczyni wysłała do mnie Ignacego Ledóchowskiego z bardzo

szczeremi przeprosinami i prośbą wznowienia stosunków, liard odmówilem; odtąd gdyśmy się spotykali, patrzaliśmy jedno na drugiego jak para „porcelanowych piesków“.

Lecz teraz, we dwadzieścia dwa lata po zbrodni, dwanaście po mojej z panią Milewską separacji, nastąpiła pora na Locarno. Nazajutrz po wizycie p. Aleksandrowicza odwiedziłem panią honorową przesową Towarzystwa popierania sztuki; wszystko poszło naturalnie, jakgdybyśmy się wczoraj rozstali. „bez aneksji ani kontrybucji“; gotowym łącznikiem między nami było to, że pani Klima, choć zgodnie z tradycją swego ojca, „stała i stać chciała“, była jednocześnie gorliwą „polonizatorką“, to też zgodnie z jej i moim charakterami ta odgrzana przyjaźń trwała bez żadnego zaćmienia aż do jej śmierci.

Lecz to Locarno na dobre mi nic wyszło. Sądziłem, że gdy potwierdzą pani honorowej przesowej moją obietnicę w Kurjerze Litewskim poświęcenia na rzecz polskiego teatru 20 000 rubli, to na tem się dla mnie wszystko skończy. A pani Klementyna rzecz rozumiała zupełnie inaczej i pewna, że ja się swojej starej obietnicy nie wyrzeknę, tylko dla jej potwierdzenia nie poszłaby do Canossy. Dać pieniądze na teatr to jedno, i na to była przygotowana, a zbudować teatr z całym akompaniamentem pracy organizacyjnej, trosk, kontroli i t. d., to drugie, i tę rolę łaskawie mnie przeznaczała. Właśnie jako „dziecko natury“ i białogłowa miała nade mną co do chytryści pełną przewagę, jaką mają podrównikowi murzyni, czerwono-skórzy, lub Eskimosi nad odwiedzającymi ich uczonymi, lub proste baby gosposie nad swoimi mężami-profesorami; wszyscy i wszyskie znają ludzi nie z analizy, porównania i tym podobnych zabawek umysłowych, lecz z węchu. Zaraz moja kusicielka wyjechała z dosłownym cytatem mojej niedawnej krakowskiej fanfary o Anteuszu, starym koniu i chomacie. (Ah! que c'est beau!) zrobiła z niej uroczyste ślubowanie pracy społecznej przed zebraniem około pieczystego narodem polskim i ojcami ojczyzny Dmowskim i Paderewskim i t. d. i t. d., zagrała na miłości własnej swojej ofiary jak na gitarze i wkońcu wyszedłem zwyciężony.

Nazajutrz zebrało się u tej samej pani Klementyny ze dwadzieścia osób, których pomocy można było się spodziewać. Dzielnego Józefa Montwiłła między nimi nie było. W tymże czasie raptownie umarł. Rozpoczęło się zebranie przy pomyślnych nadziejach.

Gdy postanowiono wspólnymi siłami zbudować własny teatr polski, pani Klementyna oświadczyła, że do dyspozycji projektowanej spółki wnosi swoich dziesięć tysięcy rubli, a swego brata Józefa Połockiego i swego szwagra Władysława Branickiego dwa tysiące, razem dwanaście, ja dwadzieścia, niespodzianie obecny właściciel drukarni p. Feliks Zawadzki oznajmił,



że stary przyjaciel jego ojca, znany z reputacji, a mało komu osobiście, p. Rudziewicz ze skromnego swego funduszu ofiarowuje i składa na jego ręce dziesięć tysięcy rubli, jeszcze kilku przyrzekło nie niżej tysiąca, ze startu już się miało pięćdziesiąt tysięcy, a trzymając się przykładu świeżo powstałego teatru w Kaliszu uważano, że koszt niezbyt pretensjonalnego gmachu, nie może przekroczyć sto pięćdziesiąt tysięcy. Dotychczas dobrze. Ale szło głównie o formę prawną stowarzyszenia.

Jako pierwszą myśl rzucono założenie zwykłego, klasycznego towarzystwa akcyjnego, o kapitale zakładowym 150 000 rubli, z akcjami po sto rubli, aby przyciągnąć średnie mieszczaństwo wileńskie. rzeczywiście bardzo patriotycznie usposobione. Znając dobrze — dzięki mojej kampanji przeciwbankowej — warunki prawne i porządki wewnętrzne takich towarzystw, mocno się temu sprzeciwiłem. Obawiałem się, że 1) normalnie takie towarzystwo stanie się prędko koteryjką, gdzie sobie kilku miejscowych spryciarzy upiecze swoje pirożki kosztem sprawy, 2) że nabywszy pewną ilość akcji dla popisu, większość akcjonariuszów, ponieważ będą od nich otrzymywali słabą lub żadną dywidendę, cichaczem się ich pozbędzie, i one prędko się znajdą w rękach czy moskiewskich, czy żydowskich, 3) że sama forma akcyjnego towarzystwa pociągnie za sobą nadzór władz rosyjskich nad ogólnemi zgromadzeniami, obowiązkowe używanie na nich, jak i w rachunkowości, języka rosyjskiego, publikacje bilansów etc., co odrazu odejmie wszystkiemu charakter instytucji polskiej, 4) nakoniec, podług prawa rosyjskiego, towarzystwo akcyjne, którego kapitał zeszedł do choćby 49% zakładowego, podlegało obowiązkowej likwidacji: słowem wszystko wisiałoby ciągle na sznurku większej lub mniejszej tolerancji władz rosyjskich względem polskośći na Kresach, a tendencja była wówczas właśnie zniżkowa.

To też oświadczyłem, że do takiego akcyjnego towarzystwa nie przystąpię, jeżeli statut nie będzie zawierał gwarancji co najmniej następujących: 1) członkowie zarządu nie będą pobierali żadnego jakiegokolwiek wynagrodzenia, 2) akcje będą tysiąc rublowe, aby zebrania były jak najmniej liczne, z charakterem prywatnym, 3) te akcje będą wyłącznie imienne, 4) nie będą mogły być sprzedane bez wiedzy i pozwolenia Zarządu, z pierwszeństwem dla niego odkupienia podług ceny emisyjnej lub ostatniego bilansu. To wszystko naturalnie wymagało specjalnego zatwierdzenia w Petersburgu, lecz wiedziałem, że w Moskwie funkcjonuje kilka towarzystw akcyjnych natury ideowej z podobnemi statutami.

Moje wymagania zostały przyjęte, obecny mecenas p. Małiński (?) wziął na siebie zatwierdzenie w stolicy projektowanego statutu, umówiono się o nowe, już decydujące zebranie wczesną wiosną. Pani Klementyna pojechała do Paryża, wkrótce ja też.

Zimę przepędziłem poczęści nad Sekwaną, gdzie sobie na wszelki przypadek, z upoważnienia dyrektorów, dniem opatrywałem mniejsze, lecz nowsze teatry i studjowałem ich anatomię wewnętrzną. — Napisałem jeden czy dwa artykuły do czasopisma „Le Correspondant“ i bratałem się z delegacją parlamentarną w Petersburgu — a poczęści na Riwierze. W kwietniu powróciłem do Wilna, pani Klementyna też, i odbyło się u niej drugie, zapowiedziane zebranie.

P. Maliński przedstawił nam ułożony przezeń niby nowy statut towarzystwa akcyjnego; lecz w nim prócz tego, że akcje będą tysiąc rublowe, a nie sto rublowe, i że mogą podług życzenia nabywców być imienne lub bezimienne, żadnej z wymaganych przeze mnie wyżej wyjaśnionych gwarancyj czy od „szwindlów“, czy od przejścia spółki w ręce obce, nie było. Oświadczyłem, że co do mnie, do takiej spółki nie wstąpię i swych pieniędzy nie wniosę. Lecz zamiast z tego skorzystać, żeby odzyskać swobodę, zacząłem pod naciskiem pani Klementyny szukać, jakby zapobiec niebezpieczeństwu, a jednak dopiąć celu, t. j. mieć teatr. — Pani Klementyna, pewna o swego konia, złożyła swoje 12 000 rubli do mojego rozporządzenia w Banku Handlowym Wileńskim i znów poleciała zagranicę. Ja zaś po rozmowie z życzliwym gubernatorem Lubimowem, który był zdania, że niema innego sposobu siako tako zabezpieczyć się od przewidzianych komplikacji i ingerencji rządowych, jak założyć zupełnie prywatne towarzystwo firmowo-komandytowe, zdecydowałem się na tę formę i, także z porady p. Lubimowa, wybrałem się do Petersburga, gdzie nie brakowało prawników wyspecjalizowanych w różnych formach spółek.

W Petersburgu pewien adwokat Kaufman opracował mi statut towarzystwa „firmowo-komandytowego“ (na wiere). Zasada jest, że obok jednego, lub kilku towarzyszy tak zwanych firmowych, którzy mają cały kierunek przedsiębiorstwa i odpowiadają za jego zobowiązania całym własnym funduszem, komandytariusze nie mają głosu, lecz za to odpowiadają tylko swemi udziałami. P. Kaufman, który jako Petersbureczyk dobrze o mnie wiedział, namawiał mnie, abym został jedynym firmowym, twierdząc, że moje jedno nazwisko (przy moim obszernym funduszu) wzbudzi u przyszłych komandytariuszów nie mniej, może więcej zaufania, niż z dodatkiem nieznanych szerzej nazwisk; bodaj miał rację, i gdybym jego posłuchał, oszczędziłbym sobie niemało przykrości. Lecz właśnie zabrakło mi tego, co mi nieraz zarzucano: zarozumiałości.<sup>1</sup> Świeża jeszcze pamięć

<sup>1</sup> Ten zarzut (jeszcze forma zazdrości), który u nas prawie zawsze pada na wszystkich cokolwiek czynnych ludzi, jest właściwie idjotyczny. Na tym świecie roi się od bałwanów, którzy sobie przypisują niedocenioną wartość. — Gdzie jest ten wartościowy człowiek (chyba hipokryta), który siebie uważa za bałwana?

o moich przygodach w Kole Polskiem Rady Państwa narażała mnie na zarzut, że chcę przeważnie za cudze pieniądze zgarnąć wyłączną sławę dobrodzieja miasta Wilna. — Mając już 62 lata, za sobą 40 lat ciągłych niedomagań, jak dużo ludzi w rzeczywistości — jak się okazało — z żelazobetonu skutych, trapiła mnie myśl: co się stanie z tem dziełem i powierzonymi mi pieniędzmi w razie mego zgonu przed zakończeniem? — Nakoniec początek starczego lenistwa wywoływał chęć dobrania sobie młodych pomocników w uciążliwej pracy.

Powróciwszy więc do Wilna, zacząłem sobie szukać pary towarzyszy firmowych, najprzód wśród moich znacznych współpracowników w Towarzystwie Rolniczem, lecz wszyscy, wieśniacy i ludzie niewielkich funduszy, bali się jak ognia nieograniczonej odpowiedzialności pieniężnej. Zato sam ofiarował się p. Mieczysław Bohdanowicz, zamożny ziemianin powiatu wilejskiego i właściciel w Wilnie Hotelu Europejskiego, a we dwóch bez trudności namówiliśmy p. Feliksa Zawadzkiego. Oba znałem z reputacji jako ludzi roztropnych, praktycznych, w sile wieku, zatem mogących, o ile zechcą, mnie staremu być czynną pomocą; lecz osobiście znałem ich zbyt mało, żeby mieć pewność, że znajdę u nich niezbędne, w tak ciasnem współpracyownictwie tak jak w pożyciu małżeńskim dobrane do mego własnego charakteru. Tu, w bardzo rozmaitym zresztą stopniu, się zawiodłem. P. Zawadzki właśnie dlatego, że był typowym prowincjałem wileńskim, nie zadawał mi się myślą zbudowania tego, co było dla dziury wileńskiej dostatecznem, t. j. gmachu, o jakich 800 miejscach, znośnie urządzonego wewnątrz, lecz ciągle marzył o wzbogaceniu swojego miasta rodzinnego jakimś św. Piotrem rzymskim lub Louvrem paryskim i chorował na „ostatnie słowo nauki;“ ledwie od niego wylargował kręconą scenę na wzór warszawskiej Szyfmana, czystego dzieciństwa, bo publiczność i aktorowie potrzebują antraktów dłuższych niż zmiana dekoracji. Pewny, jak ciągle powtarzał, że „z moimi stosunkami można Bóg wie co zrobić,“ że mu wyżebrze choć miliony udziałów, tworzył mi w ciągu dwóch lat takie życie, jak statecznemu staremu kawalerowi młoda, dzielna i rozrzutna żoneczka. Lecz zato dobry rachmistrz, znający każdego majstra w mieście, czynny, biegający jak wiewiórka po rusztowaniach, gdzie mnie głowa się kręciła, oddał tej niepomysłnej imprezie tyle usług, że można powiedzieć, iż jeśli nie byłoby wileńskiego teatru polskiego bez Milewskiego, to nie byłoby go także bez Zawadzkiego.

A byłby bez p. Bohdanowicza, który, skoro dopiął swego jedynego celu przez erekcję gmachu w pobliżu swego Hotelu Europejskiego, a dalej od konkurencyjnych hoteli na św. Jerskim Prospekcie (wileńskie Krakowskie Przedmieście), to cały jego zapal do roboty upadł, i jedyny raz uporczywie śród

spółki mnie swoją wolę narzucił i to, jak powiem dalej, z niefortunnym rezultatem.

Spółka została notarialnie założona w lipcu 1911 r. Wniosem na początek 20 000 rb. własnych, p. Bohdanowicz nominalnie 10 000, z których, jak mówił, 2 000 własnych, a 8 000 zebranych w jego rodzinie, p. Zawadzki 10 000 starego Rudziewicza, jemu powierzonych; przewidywał się maksymalny kapitał towarzyski 200 000 rubli. — Pierwszem zadaniem było nabycie odpowiedniego placu. P. Bohdanowicz mocno nastawał na wybudowanie teatru na niższej części Pohulanki, niedaleko jego hotelu, a dalej od Prospektu; natomiast p. Zawadzki życzył, by ten monument ozdabiał Prospekt. Obaj przywiązywali decydujące znaczenie do topograficznego położenia teatru. Ja zaś patrzałem na ten spór obojętnie, wiedząc z doświadczenia innych dużych miast, że ludzie do teatru nie zachodzą tak jak do cukierni, lecz się doń wybierają. Ponieważ kilka jeszcze swobodnych placów na Prospekcie pochłonęłoby odrazu cały dotychczas zebrany kapitał, zgodziłem się na obszerny plac na Pohulance, który dawał widok na trzy ulice i na którym ze względu „monumentalnego” gmału by się dobrze prezentował. Wówczas dopiero można było pomyśleć o wyborze architekta i planu. Tu także, gdyby decyzja zależała ode mnie jednego, to wiedząc, że wszyscy architekci wileńscy, właściwie rzemieślnicy w budowaniu serjami domów mieszkalnych podług wzorów wziętych z albumów, nie mieli pojęcia o specjalnych wymaganiach teatru, prostobym skopjował jakikolwiek z nowoczesnych teatrów zagranicznych, powierzyłbym jego robotę akordowo odpowiedzialnemu antrencrowi (choćby zdolnemu Rosjaninowi Prozorowowi); koszt byłby łatwy do obliczenia i pozostawałoby nam tylko do pilnowania sumiennego wykonania. Lecz moi małżonkowie teatralni, obaj przesiąknięci umysłowością wileńską, uważali, że muszą przedewszystkiem zaskarbić łaski opinii miejscowej, wśród której panowało przekonanie, że skoro się zakłada coś dla korzyści publicznej, to wszyscy mają prawo głosu, radzenia, krytykowania i decydowania, prócz tych, którzy dają pieniądze: im wystarcza delectowanie się własną zasługą. Dlatego zdecydowano, że będzie ogłoszony konkurs, premjowany, plan otrzyma tysiąc rubli nagrody, a do przyznania nagrody będzie przywołany komitet złożony z trzech członków Warszawskiego Towarzystwa Architektów, z obowiązkowym udziałem p. Przybylskiego, który wówczas właśnie budował w Warszawie teatr polski (tak zwany Szyfmana) naprzeciw Kopernika. Tą całą operacją, która naturalnie mogła dojść do końca dopiero po kilku miesiącach, zobowiązał się zająć p. Mieczysław Bohdanowicz, którego dlatego, że wybudował praktycznie i stosunkowo tanio ogromne domisko na placu Katedralnym, uważaliśmy za naszego specjalistę. A tymczasem wybrałem się aż do wczesnej

wiosny do Warszawy i do Paryża, tak dla odpoczynku jak dla werbowania komandytarjuszy.

W tym to czasie, właściwie we wrześniu, został zamordowany w Kijowie Piotr Stolypin w okolicznościach, które są chyba większości czytelników jeszcze pamiętne. Jego zejście ze sceny politycznej było oczekiwane z dnia na dzień, a nawet jego następca przewidziany. Ogólnie wiedziano, że biedny Mikołaj II jest znużony wyższością nad nim swego ministra, niemniej jak był Wilhelm II we dwa lata po wstąpieniu na tron wyższością i sławą starego Bismarcka; przewidywano też, że wkrótce poteni, w braku ciągłej ochrony policyjnej, zostaną pomszczone na nim te trzy tysiące kilkaset powieszonych rewolucjonistów, na czele których wstąpił do niebios. Niemniej był to najznakomitszy mąż stanu, którego Rosja posiadała od czasów Katarzyny II i całą gębą gentleman, w dodatku prawdziwy patriota rosyjski, naturalnie nie polski. To też poświęciłem mu na łamach Kurjera Litewskiego obszerny nekrolog, który w tłumaczeniu został powtórzony dosłownie w całej prasie umiarkowanej lub zachowawczej rosyjskiej. Jego dawno upatrzony następca. Kokowcow, agresywnym nacjonalizmem się nie odznaczał, względem Polaków żadnej zawziętości nie czuł, to też za jego dwuletnich rządów, dało się odczuć na Kresach raczej uspokojenie zaczepnej polityki Stołypinowskiej.

W Paryżu znowu naczerniłem bibuły dla mojego „Correspondant“, i wyżebrałem dla teatru niemało pieniędzy; dowiedziawszy się, że na konkursie architektów w Warszawie został premjowany plan spółki budowlanej pp. Michniewicza i Parczewskiego i że wszystko jest niby gotowe do założenia kamienia węgielnego naszego monumentu, powróciłem do Wilna koło 1 kwietnia, aby do zimy budynek mógł stać pod dachem, poświęcając następny rok 1912–1913 wewnętrznemu urządzeniu.

Założenie węgielnego kamienia ze zwykłym ceremonjałem, odbyło się dopiero 17/30 kwietnia 1912 r. i odrazu rozpoczęliśmy najwspanialszą, jaką można sobie wyobrazić, „polnische Wirtschaft“.

Ponieważ budowa teatru została powierzona tymże laureatom p. Michniewiczowi i Parczewskiemu, którzy kontraktowo zobowiązali się nie przekroczyć w wydatkach maksymalnej sumy 150.000 rb., natychmiast prosiłem o zakomunikowanie mi kosztorysu. Nie był gotów. Gdy mi go oddano, sam go nawet nie przejrzawszy, wręczyłem go p. Bohdanowiczowi dla kontroli, ponieważ to miała być jego specjalność. Zabrał go do siebie na wieś, trzymał dwa tygodnie, odwiózł, i przyznał się, że

go tylko powierzchownie przepatrzył i mało zrozumiał. Już podejrzewałem, że wszystko pójdzie poomacku, niemniej zasiadłem sam do roboty. Sprawdziłem, że tak nazwana gruba część t. j. ściany i dach, była jako tako opracowana, reszta zaś t. j. roboty żelazo-betonowe, stolarskie, centralne ogrzewanie, oświetlenie, kanalizacja, urządzenie widowni, sceny i t. d. i t. d., obrachowane ogólnikowo na dziesiątki tysięcy rb. na kilku stronicach, pachnęły czystą fantazją. Dlatego zabrałem ten kosztorys i pierwszym pociągiem machnąłem do Warszawy, aby u pp. architektów, którzy premjowali pp. Machniewicza i Parczewskiego, dowiedzieć się, co to był za konkurs, i w porę jeszcze przekonać się, czy nie byłoby sposobu naszą rozpoczynającą się polską gospodarkę choć częściowo wynarodowić na francuską lub niemiecką?

Udałem się zaraz do dwóch wówczas obecnych w mieście członków komitetu, który premjował naszych architektów, do prezesa architektów warszawskich p. Tołwińskiego i p. Przybylskiego. Bardzo życzliwie mnie przyjęli. Pierwszy zabrał kosztorys do siebie i na trzeci dzień mi odniósł, oświadczając, że niema nawet zewnętrznego wyglądu prawdziwego kosztorysu, i że biorąc się do budowy na takiej podstawie, muszę być przygotowany na to, że rzeczywisty jej koszt przewyższy może trzykrotnie przewidziany. A pan Przybylski nie skrywał, że premjowano właściwie tylko styl i fasadę gmachu,<sup>1</sup> a innych jego szczegółów, nie tylko kosztu lecz i wewnętrznego urządzenia, kompletnie sądzić nie było można z braku ścisłych i definitywnych danych.

Powróciłem do Wilna w usposobieniu minorowem. Tu się przekonałem naocznie, że z naszych architektów p. Michniewicz prawie nigdy osobiście się nie pokazuje, p. Parczewski raz w dzień na pół godziny zawsze o tej samej porze, a z raportu p. Zawadzkiego, że ci panowie wbrew najformalniejszemu warunkowi ich kontraktu, już sami dostarczają cement po swojej — nieco wyższej od rynkowej — cenie. Wziąłem za pióro i wystosowałem do tych panów list „niekulturalny“, bo stawił kropki na wszystkich „i“ (a kultura wileńsko-warszawska właśnie wymaga ominięcia tych niedyskretnych punkcików). Otrzymałem jako odpowiedź... dymisję, naturalnie bez zwrotu nieostrożnie przez p. Zawadzkiego wypłaconego awansu 20 % honorarium wówczas, kiedy nie dokonano nawet 5 % roboty. Tego właśnie się spodziewałem. Za zgodą p. Zawadzkiego (p. Bohdanowicz

<sup>1</sup> Ten styl, niby patryjotyczno-polski (???) właściwie flamandzki — takich jest w Poznaniu całe setki) — polega głównie na łamanych dachach z czerwonej dachówki. Lecz w Wilnie, gdzie „gmachów“ prócz kościołów zupełnie niema, a te, co nato pretendują są albo w ciężkim stylu „empire“ albo banalnym neo-włoskim, ten teatr przyjemnie odbija od ogólnej banalności.

odpędzał swoją kartoflę) dymisję „przyjąłem do wiadomości“ — i znowu jazda do Warszawy. Wprost do p. Przybylskiego.

Spodziewałem się jakimśbądź kosztem zdać mu całą opiekę nad naszym niefortunnym teatrem. Lecz teatr polski do tego stopnia pochłaniał cały jego czas, że nie mógł wileńskiemu poświęcić ani jednego dnia. Za to mi zarekomendował swego kolegę architekta p. X.<sup>1</sup>

Bardzo prędko zgodziliśmy się, zawarliśmy piśmienną umowę, w której się formalnie obowiązywał, zachowując zewnętrzne formy gmachu podług planu pp. Michniewicza i Parczewskiego, gruntownie przekontrolować, a w razie potrzeby poprawić i zmienić wszystkie potrzebne niedokładności wewnętrzne. Nazajutrz rano pojechaliśmy razem do Wilna. Gdy opatrzyliśmy już wychodzący ponad ziemię gmach, p. architekt obiecał mi pozostać aż wszystko doprowadzi do zupełnego ładu. Tymczasem trzeciego dnia wyjeżdżając znowu do Warszawy, dla łapania pacjentów - udziałowców, ze zdumieniem znalazłem w wagonie mego p. architekta, który bez uprzedzenia mnie ani pożegnania się, powracał do Warszawy twierdząc, że wszystko już przygotował i załatwił. To załatwienie polegało na tem, że się niespodzianie natknąłem na jedną z najbardziej niebezpiecznych form naszych specyficznie polskich obyczajów, dzięki której (może dlatego cała Europa nas nazywa narodem spiskowców) nasze społeczeństwo dzieli się na ogromną liczbę band i bandeczek wzajemnie się wyzyskujących. Mówię o tak zwanej „etyce koleżeńskiej“, tak jak się u nas ją pojmuje i praktykuje; która nie pozwala żadnemu zawodowemu specjaliście naprawiać błędów, ba, nawet grzechów kolegi w zawodzie. W danym wypadku pokazało się, że p. X. za obowiązek uważał zacząć od układów z pp. Michniewiczem i Parczewskim, a także, w tajemnicy przede mną, z p. Zawadzkim. Treści tych układów po dziś dzień nie znam, ale namacalnym rezultatem ich było, że odtąd rzeczywiście nienaruszalnym i nieparuszonym warunkiem wśród tych, które osobiście zawarłem z p. architektem, był i został ten, że coby on tam nie począł, ja Milewski osobiście mu zagwarantuję wypłatę całego umówionego honorarium.

Nadchodziła pora przystąpienia do robót żelazo-betonowych, które w erekcji teatru odgrywały kapitalną rolę, a mnie trochę trwożyły, bo niezliczone przykłady przekonały mnie, że wystarczy mała niedokładność w planowaniu, opieszałość lub niesumienność w wykonaniu tych robót, żeby spowodować prawdziwe klęski. To też dla wyboru między podanemi nam ofertami i dla zawarcia odpowiedniej umowy zjechaliśmy się wszyscy trzej z p. architektem do Warszawy. Poważnych ofert było trzy:

<sup>1</sup> Dokładnego nazwiska nie podaję, bo choć przyczynił Spółce немало kłopotu przez mylne pojęcie o „etyce koleżeńskiej“, to nie należy do rzędu ciężkich grzechów.

ś. p. Marjana Lutosławskiego, znanego jednocześnie działacza politycznego, później zamordowanego w Moskwie przez bolszewików, pewnego inżyniera Kołuckiego i firmy niemieckiej „Zelbet“. Usunęliśmy ofertę p. Lutosławskiego, który stawiał wysoką cenę, nie tylko nieчем nie zabezpieczał sumienia wykonania swoich zobowiązań, lecz domagał się jeszcze przed rozpoczęciem robót grubego awansu; uważając, że prowadzimy sprawę nie betonową, lecz polityczno-narodową, która czynnemu członkowi partji N. D. nadaje przywileje, po nieprzyjęciu przez nas jego oferty wystosował do spółki list pełny oburzenia. Usunęliśmy także jako zbyt drogą ofertę młodego p. Kołuckiego, który nie tylko nas nie wyłajał, lecz dwa lata później miał oddać teatrowi ogromną usługę, a zawarliśmy, z rabatem około 8 000 rb., umowę z przekłętym szwabem, z czego aż do końca, dzięki dokładności jego robót, nie mogliśmy dość się nacieszyć.

Lecz prędko przy rozpoczęciu tych robót betonowych powstał dramat. Nie czując się dostatecznie kompetentnym, polegając z początku na p. Bohdanowiczu, a potem na p. architekcie X. drobiazgowo planu widowni, łóż i balkonów nie przestudiowałem. Skoro zaś ustawiono drewniane formy na betonowanie, wystarczyło mi rzutu oka, żeby się przekonać, że wysokość balkonów i łóż nad parterem oraz drugiej galerji nad pierwszą jest zupełnie bezprzykładną. I jedna i drugi wynosiły przeszło półtora metra więcej niż wszystko, com kiedy widział. Zwykle ta przestrzeń wynosi od 2,20 m. (wzrost olbrzymiego mężczyzny) do 2,50 m., a że w dodatku te balkony frontowe, niczem nie podtrzymane jak tylko komplikowanym systemem wystających ze ścian bocznych gmachu belek żelazo-betonowych, sterczały nad parterem aż do trzeciej jego części, więc była poważna obawa, której jeszcze sprawdzić naocznie nie było możliwości, bo sama scena przedstawiała tylko ogromną jamę, że tak, jak kiedy się stoi u brzegu studni, zbyt pionowa linja wzroku albo uniemożliwi, albo znacznie utrudni (za wyjątkiem pierwszego rzędu) widok z tych balkonów i łóż na scenę.

Dobrze wyjaśniłem moje obawy moim towarzyszom oraz p. architektowi. Domagałem się, żeby zniżono te dwa balkony i łoże mniej więcej o półtora metra każdy, i albo zniżono o tyle cały budynek, co by przyniosło 20.000 rb. oszczędności, albo jeśli na to zewnętrzna figura gmachu bez oszczędzenia go nie pozwala, żeby dodano trzecią galerję, tak zwany paradys, co by przysporzyło 120 tanich ludowych miejsc.

P. X. przyjął moje uwagi bardzo lekko, prawie ironicznie, oświadczył, że ponieważ przeprowadzone ołówkiem po planie linje od galerji łóż i balkonów do sceny wskazują, że będzie zadowalniająca perspektywa, to ma zamiar poprostu trzymać się dokładnie planu pp. Michniewicza i Parczewskiego i przystąpić bezzwłocznie do betonowania. To postanowienie p. architekta



mogło się tłumaczyć tem, że nie chciał poświęcić całego tygodnia lub dwu pobytu w Wilnie dla dokładnego zbadania, a prawdopodobnie i przeróbki planu, oraz ze względu na triumf „cłtyki koleżeńskiej“ przez wykonanie bez zmiany planu, jego kolegów-partaczy. A dlaczego pp. Bohdanowicz i Zawadzki zawzięcie, szczególnie pierwszy, wzięli stronę p. architekta, mając pełne prawo nie prosić, lecz zgodnie ze mną wymagać, to się wyjaśni w końcu tej opowieści, jako też praktyczny rezultat odrzucenia moich żądań.

Reszta tej kampanji przeszła normalnie. Niemiec nam wysłał jako dozorcę jego robót sumiennego młodego p. Starka. przy jego, p. Zawadzkiego i moim ciągłym dozorze betonowanie wykonano sumiennie i w porę; p. Bohdanowicz dalej zajmował się swoją kartoflą, lecz wyszukał zamożnego ziemianina. p. Oskierkę, będącego zupełnie pod jego wpływem, który niby wstąpił do Spółki nie jako komandytariusz lecz jako firmowy, aby mnie, posiadającego dotychczas połowę głosów, z pewnością zmajoryzować; koło 1-go listopada budynek stał pod dachem i rozpoczęły się we środku roboty stolarskie. Wówczas naba-wiwszy się kilkumiesięcznem siedzeniem wśród wilgotnych betonów i tynków osłabienia bronchji, które mnie dręczyło ze trzy lata, wyjechałem na Zachód. — Wysłano mnie do Egiptu, nieznośny pył wypędził mnie z Kairu do Helouan. a stamtąd zbyt excytujące powietrze pustyńne. Powróciłem do Pau, a dowiedziawszy się, że we Włoszech bawi moja siostrzenica, p. Lipkowska, przebyłem dwa tygodnie w Neapolu, trzy w Rzymie, aby z wiosną znowu powrócić do mego teatru.

W Rzymie bliżej się zapoznałem z zacnym Monsignore Skirmuntem, a w jednym ze mną hotelu zamieszkiwał mój były kolega w Petersburgu Aleksander Tyszkiewicz. Jeden i drugi mię znow wciągnęli w politykowanie i pisaninę.

Lato roku 1912 widziało w Wilnie chwilowo słynną tak zwaną wojnę kucharek. Ks. biskup Ropp ze swego wygnania w Kurlandji nie zaprzestał, wpływając na administratora diecezji, ks. Michałkiewicza, może zbyt uległego wpływowi swojego hierarchicznego szefa, swojej akcji litwomańskiej, a poczęści białoruskiej, w obu razach właściwie antypolskiej. Korzystając z tego, litwomańscy działacze w Wilnie z wojowniczą mecenasową Wilejszysową na czele, którym już był odstąpiony, zupełnie wystarczający dla tej garstki wiernych, kościół św. Mikołaja, zaczęli domagać się codziennego nabożeństwa w języku litewskim we wszystkich kościołach miasta, a szczególnie w dawniejszym kościele uniwersyteckim św. Jana, uważanym jako rodzaj świątyni idej polskiej. Więc pani Wilejszysowa zorgani-

zowała bataljon kucharek lub sług prywatnych, z których wyłącznie składała się kolonja litewska w Wilnie; te, jednocześnie ze śpiewami polskimi, ryczały po litewsku, by zagłuszyć śpiew polski. Jednak liczba służących, uważających się za Polki, tak dalece przewyższała kontyngens litewski, że jednocześnie w różnych kościołach wileńskich, walka okazała się zbyt nierówną: pañi Wilejszysowej zabrakło „Frauenmaterial“. Wpadła na mądry koncept strategicznej koncentracji sił. Ponieważ w każdym kościele było codzień z rana po kilka mszy, więc bataljon litewski, nawrzeszczawszy dostatecznie w jednym kościele, przenosił się klusem do drugiego, potem trzeciego i t. d. Polska t. zw. inteligencja miała dość taktu, żeby w tej wojnie kucharek udziału nie brać. Lecz kucharki, między którymi odznaczała się moja gruba Aniela o żelaznych płucach i piskliwym głosie, same sobie dały rady: zorganizowały kontrbataljony, i dzięki pobłażliwości pañ domu, które przez kilka miesięcy musiały być naczczo do 10-tej rano, kucharki polskie stanowczo wzięły górę i zmusiły litewskie do milczenia. Jednocześnie pewna agitacja dawała się odczuwać i po parafjach wiejskich, ale bez powodzenia. W parafji bieniakońskiej włościanie, choć w domu jeszcze używali gwary litewskiej, swego litwomańskiego proboszcza związali, położyli na wózek, wywieźli na granicę parafji i wysypali do rowu. Echo tych walk doszło do Rzymu i oburzyło czcigodnego Monsignora Skirmunta. Ze swojej strony Aleksander Tyszkiewicz coraz więcej ostrygał w swoich pierwiastkowych litwomańskich zapalach i nie mógł strawić, że na proboszcza polskiego kościoła św. Stanisława w Rzymie kurja rzymska, z rekomendacji poselstwa rosyjskiego, naznaczyła ks. Propolinasa. Wówczas tak w Rzymie, jak i w innych stolicach europejskich, Polska była uważana za prosty pawilonek gmachu rosyjskiego. Ten ks. Propolinas odegrał był bardzo podejrzaną rolę w sprawie sfalszowania testamentu ks. Bogdana Ogińskiego — a gdy opuszczał Kowno, gazeta „Litowska Rus“, oficjalny organ bractw prawosławnych w gubernji, ogłosiła, że: „wczoraj odprowadziliśmy na kolej odjeżdżającego do Rzymu naszego współpracownika ks. Propolinasa.“ Naturalnie i z obyczajów ten Propolinas używał reputacji wspólnej wówczas wszystkim księżom litwomonom.

Tyszkiewiczowi okropnie chciało się tego ptaszka zgryźć. Z jego oraz ks. Skirmunta namowy miałem dwie audjencje u ówczesnego kardynała sekretarza stanu Merry del Val. Przy drugiej poprosił, żebym wystosował do niego i do św. Collegium memorjał w sprawie „kwestji językowej w diecezji wileńskiej“. Ten memorjał wydrukowałem dopiero w Paryżu w 60 egzemplarzach, które posłałem ks. Skirmuntowi. A po powrocie do Wilna na prośbę ks. Maciejewicza, byłego członka Dumy państwowej, a kilka lat temu Sejmu warszawskiego, przetłuma-

czyłem i wydrukowałem po polsku.<sup>1</sup> Jednocześnie zaprosił mnie do siebie kardynał Rampolla (przewidziany, wówczas następca Piusa X, który w rzeczywistości go przeżył). Ten życzył sobie wysondować mnie co do szans pojednania kościoła prawosławnego z katolickim. Ponieważ Kościół rzymski jest wieczny, więc może sobie pozwolić na wiekowe błędy, do rzędu których należy od czasów Possewiniego mrzonka o aneksji do Rzymu kościoła wschodniego. Ta mrzonka, obecnie za Piusa XI jeszcze się wzmocniła i będzie trwała, aż wszyscy nasi Unici, może i katolicy Białorusini, przy pomocy Rzeczypospolitej, przejdą na prawosławie.

Wygotowałem dla kardynała Rampolli memoriał o polityce Kościoła rzymskiego względem Rosji wogóle, lecz tego już nie wydrukowałem, bo to mogło kosztować mnie przejażdżkę do jakiejś oddalonej gubernji.

Wczesną wiosną powróciłem do Wilna i rozpoczęło się wewnętrzne urządzenie teatru.

Technicznie robota szła normalnie dzięki staraniom p. Zawadzkiego więcej niż moim własnym, zato finansowo zapowiadała się źle.

Sam wyeksplloatowałem prawie wszystkich zamożnych znajomych, moi towarzysze firmowi, którzy mieli węższe stosunki także wyskrobali wszystko, co mogli, i chociaż zamiast początkowo uplanowanych 150.000 rb., zebraliśmy 165.000 rb., ten kapitał już się wyczerpał, a do końca było daleko.

W lipcu już była prawie pewność, że będziemy mogli dać pierwsze przedstawienie w jesieni, i pora była pomyśleć o wydzierżawieniu teatru. Pierwszym kandydatem było naturalnie „Towarzystwo popierania sztuki scenicznej“. Polecono mnie z niem pertraktować, lecz jak mówiłem, jego faktyczni kierownicy, z wiceprezesem chirurgiem Dembowskim na czele, który sam wniósł jako uczestnik składkowego udziału do kapitału naszej spółki całych 300 rubli, uważał, że za to kupił prawo rozporządzenia całym naszym budżetem. Jego oferty nie dawały rękojmi wypłacenia umówionej dzierżawy, a ofiarowana suma dzierżawna nie pozwoliłaby nietylko wypłacić udziałowcom choćby skromnego procenciku, ale nawet odłożyć niezbędnej dla przyszłych remontów sumy amortyzacyjnej. Układy zerwałem. P. Dembowski przeniósł kwestję na łamy „Kurjera Litewskiego“, a przyszła mu na pomoc ówczesna muza wileńska, autorka paru powieści, rodzaj wice-Orzeszkowej, pani Jeleńska (za mężem doktorowa Dmochowska); biorąc mnie osobiście i jedyne go za przedmiot swego ataku, dowodziła, że

<sup>1</sup> Propolinasą zjeść ani Tyszkiewiczowi ani mnie nie udało się. Dopiero po upadku monarchji w Rosji, Rzym się przekonał o niegodności tego niby kapłana i od probostwa św. Stanisława go usunął.

skoro wzięłem na siebie ogromny zaszczyt zbudowania teatru polskiego, to zobowiązany jestem z własnego funduszu pokryć wszystkie obecne i przyszłe deficyty, a to tem bardziej, że wyraziłem skromnej publiczności wileńskiej krzywdę (dosłownie). A krzywda polegała na tem, że do brudnego cuchnącego i co chwila pożarem zagrożonego teatru - cyrku, opisanego wyżej, ten skromny ludek mógł sobie chodzić w codziennych ubraniach, w brudnej bieliźnie, w niczem się nie krępując, wówczas kiedy budując mu gmach z rozmaitemi wyszukanemi wygodami i elegancjami, skłaniał go do strojenia się i przy-muszania się do różnych ograniczeń swojej naturalnej swobody. Nie dodawała wyraznie, lecz można było się domysleć, że dobra wentylacja, kanalizacja i t. d., zmusi ten kochany ludek do po-wstrzymania się od tego, co mu dotychczas ułatwiały pokład końskiego nawozu pod nogami i drewniane ustępy bez wody na korytarzu, t. j. oswobodzenie się od skutków zbyt obfitego od-żywania się kapustą.

Prawie jednocześnie otrzymaliśmy ofertę od p. Oranow-skiego. Był z zawodu aktorem, grywał w Wilnie z powodze-niem role pierwszego amanta, zaskarbił łaski dojrzałej i średnio zamożnej panny i dysponował kapitałikiem koło 30 000 rubli. Jego oferty poparte dostatecznym załogiem zabezpieczały zupeł-nie niezbędny dochód dla Spółki, dlatego przedstawiłem je moim towarzyszom pp. Bohdanowiczowi i Zawadzkiemu. P. Oskierko na posiedzenie przeze mnie zwołane się nie zjawił, napisałwszy, że się zgóry zgadza na nasze postanowienia.

Chociaż miałem jakieś wrażenie, że tym panom kandyda-tura p. Oranowskiego nie bardzo się podoba, dlatego prawdo-podobnie, że obaj czy jeden z nich mieli jakieś inne projekty, o których mi nie mówili. lecz oferty p. Oranowskiego były porównawczo zbyt korzystne, żeby ich nie wysłuchano; zgóry uprzedziłem tych panów, że nazajutrz wyjeżdżam na kurację do Ems, mam już zamówione mieszkanie i że jeśli dojdzie do podpisania jakiego formalnego kontraktu, to już będą musieli sami go zawrzeć. Usłuię obaj ci panowie przyznali warunki ofiarowane przez p. Oranowskiego jako mogące służyć za pod-stawę formalnej z nim umowy, i wychodząc p. Bohdanowicz długo i z naciskiem nalegał na mnie, abym nazajutrz wspólnie z nim, bo p. Zawadzki niby miał jakieś pilne zajęcie, rozmówił się z p. Oranowskim. Nie zgodziłem się odłożyć mego wyjazdu, lecz pozostawiając tym panom dalszą umowę z kandydatem, wystosowałem do niego list, w którym, przypominając wszyst-kie warunki przeze mnie w jego imieniu proponowane moim towarzyszom, zawiadomiłem go jednocześnie, że te warunki zo-stały w zasadzie przyjęte jako podstawa do zawarcia ostatecz-nego kontraktu, oraz dodając, jak nakazywała mi uczciwość,

że nie powinien jeszcze tego uważać jako nieodwołalne zobowiązanie.

W Ems (gdziem złowił ogromnie ciekawy memorjał barona Roscna, byłego ambasadora w Tokio, o którym dalej wspomnę) otrzymałem list p. Oranowskiego, w którym pisał, że się udał do pp. Bohdanowicza i Zawadzkiego, nie został nawet dopuszczony do pertraktacji, a gdy się odwołał na mój list, odpowiedziano mu oficjalnie, z podpisem wszystkich trzech<sup>1</sup> towarzyszy niby firmowych, że list p. Milewskiego jest „z rzeczywistością niezgodny“, t. j., że żelgałem; zresztą mieli ostrożność nie wymienić, na czem właściwie polegała niezgodność mego listu z rzeczywistością: łesz — i basta. — Teatr zaś został bez mego udziału wynajęty na rok, na materialnie gorszych warunkach, p. Baranowskiemu, redaktorowi Kurjera Litewskiego.

Tu były tylko dwie alternatywy: albo wyzwanie na pojedynek, o którym wiedziałem, że nie będzie przyjęty (inaczej nie byłoby obelgi), a rzecz skończy się na jednym z naszych błazeńskich „Sądów honorowych“, — albo ruch ramionami i wieczyste zerwanie osobistych stosunków; na tem stanąłem.

Ale była druga konsekwencja, ta mianowicie, że jeśli ze strony p. Oskierki to zadanie mi kłamu mogło być tylko błazeństwem, to ze strony rozważnych i przebiegłych ludzi jak pp. Bohdanowicz i Zawadzki, ta obelga była oczywiście uplanowana. Już nie zasiląłem kasy, nadchodziła pora zbierania owoców i, włożywszy w interes, jeden z tych panów dwa tysiące rubli swoich własnych, drugi prawie nic, prócz pożyczonego staremu Rudziewiczowi nazwiska, zaczęli wyłącznie figurować w łoży firmowej, protegować trupe i t. d., słowem, pora wysypać starego.

Ta strona operacji nie oburzyła mnie szczególnie. Moim celem było stworzyć teatr polski, a nie osobiście nim się delectować lub w nim figurować. Natomiast już wówczas byłem zdania, że — jak mówiłem na początku tych pamiętników — sprawiedliwie oceniać czyny ludzkie można tylko w świetle ich środowiska, czasu, obyczajów i t. d. W ciągu czterdziestu lat napatrzyłem się, wśród ówczesnego naszego społeczeństwa, którego moi pp. towarzysze firmowi byli obaj typowymi przedstawicielami, setek różnych podobnych „kombinacyj“, to przy działach familijnych, to oszustwach matrymonjalnych, wypłacaniu długów, nawet sprzedawaniu przyjaciółom chorych lub kalekich koni, które wyzywały u jednych bardzo platonicznie potępienie, a u drugih przyznanie sprawcom tych figlów honorowego tytułu „ćwika“. Zatem wiedziałem dobrze, że, czy w wielkiej czy w małej polityce, pierwiastkiem wszelkiego po-

<sup>1</sup> T. j. i nieobecnego na posiedzeniu p. Oskierki w roli podstawnego świadka.

wodzenia i zdania „egzaminu życiowego“ jest przede wszystkim wygrzebywanie kasztanów cudzemi palcami.

To też nie miałem nawet pokusy zemścić się, choć zemsta, bardzo dotkliwa, była pod ręką. Jeszcze przed dokończeniem teatru koło 165 000 rb. udziałowych były wyczerpane; brakowało — dla pokrycia długów u różnych dostawców — koło 100 000 rb. Trzeba było zaciągnąć taką pożyczkę hipoteczną. Podług statutu to wymagało jednogłośnej zgody wszystkich towarzyszy firmowych. Dość mi było odmówić mego zezwolenia, żeby skazać (podług prawa rosyjskiego) każdego z członków trybunału, który mnie osądził na infamję, na upłatę koło 30 000 rb. grzywny, z rzeczywistą stratą dla mnie tylko piętnastu tysięcy. Tymczasem nie tylko dałem przez pełnomocnika zgodę na zaciągnięcie pożyczki w Banku Ziemskim wileńskim, lecz ponieważ ten nie zgadzał się na całą potrzebną sumę, sam wniosłem jeszcze 15 000 rb. na drugą hipotekę i na znacznie niższy procent dla zagrozenia drogi dalszemu zadłużeniu; z nich tylko raz otrzymałem roczny procent, a niedawno wyzrekłem się całej należności.

Naturalnie już od powrotu z Ems do uroczystego otwarcia teatru moja noga w nim nie była.

W międzyczasie pojechałem do Kijowa, gdzie się odbywała znowu wszechrosyjska wystawa końska i kongres hodowców, zajechałem na parę dni do Białocerkwi, aby odwiedzić już bardzo starzejącą się panią Marję Branicką; lubowałem się jej ogromnem przemysłowo-rolniczem gospodarstwem, jednocześnie i wzorowem i dochodowem, i powróciłem do Wilna na nowe wybory do Rady Państwa.

Wzbudzały daleko mniej zainteresowania, bo wiadano, że dzięki już ostatecznemu zredukowaniu przedstawicieli Polaków z liczby dziewięciu do trzech oni żadnego znaczenia mieć nie mogą, i choć p. Chomiński ogłosił, że odwołania mandatu nie przyjmie, jeszcze we wilję wyborczego zebrania żadnej kandydatury nie było. Wybrano mnie na przewodniczącego. Dopiero wówczas postawiono dwie kandydatury: pana Stanisława Wańkowicza, posła do Dumy, i p. Stanisława Łopacińskiego, byłego w 1906—1909 latach członka tejże Izby Wyższej z gubernji witebskiej, posiadającego także w wileńskiej majątek cenzusowy. Jak często bywa, byłem podzielony między sympatją osobistą do p. Łopacińskiego, byłego kolegi, wykształconego, rzadko zacnego w życiu prywatnem, choć w politycznem trochę łakomego na popularność, a zaufaniem do czynności parlamentarnej p. Wańkowicza, o jakie dziesięć lat młodszego, mniej politycznie wykształconego, lecz stałego w zdaniach i obdarzonego rzadką u nas odwagą cywilną. A to mu właśnie zaszkodziło; bo skoro się zbiera razem przeszło stu pięćdzie-

sięciu roztropnych mężczyzn, to to zbiorowe ciało przerabia się momentalnie prawie w jedną sentymentalną niewiastę. Ktoś przypomniał, że St. Wańkiewicz z mównicy Dumy, na zarzut jakiegoś nacjonalisty rosyjskiego, że Polacy kresowi wciąż marzą o niepodległości, odrzekł, że „oni na tę myśl postawili krzyż.“ Nie było na sali we wrześniu tego 1913 r. ani jednego człowieka, któryby tak samo nie myślał, szczególnie między „endekami“. Wszak już od roku 1909, po słynnej kampanji neo-słowiańskiej, ich prasa warszawska nas, kresowych Polaków, codziennie puszczała kantem z rozczulającą jednomyślnością. „No, tak, tak, wiemy, ale jak to można takie rzeczy głośno mówić?“ Z winy obecnych endeków Wańkiewicz się przewalił. Łopaciński został członkiem Izby Wyższej aż do rewolucji 1917 r., nic tam nie zrobił, i nie zrobiłby także Wańkiewicz, bo nasza chwila przeszła. Bywają okresy, kiedy mąż polityczny musi jak mysz siedzieć pod komodą.

Inauguracja teatru odbyła się 12/15 października 1913 r.

Postanowiłem na niej nie pokazać się i kilka dni przedtem wybrałem się do Łazdun; ale pani Klementyna Tyszkiewiczowa, która daleko więcej niż ja sam wzięła do serca „kombinację“ pp. towarzyszy firmowych, koniecznie wymagała, abym powrócił na ten dzień, bo postanowiła urządzić mi mściwielską apoteozę, która miała polegać na tem, że naprzeciw parterowej łoży moich zwycięzców i potępieli miałem w wielkiej łoży prosceniowej na przedzie paradować obok pani Klimy jako równy z nią twórca nowej polskiej placówki.

Podczas pierwszej przerwy i drugiego aktu obszedłem wszystkie kąty widowni, aby się przekonać, o ile się sprawdziły moje obawy. Kłapa nad kłapami!! Już bez mojej wiedzy urządzono jeszcze (czy z wymysłu twórców planu, czy ich następcy, nie wiem) w łożach i galerjach głuche betonowe poręcze 110 centymetrów wysokości; zwykle głuche poręcze, do wysokości pachwiny średniego wzrostu mężczyzny, mają od 64—70 cm, tak że w łożach wystaje cały biust siedzących na przedzie pań, a w wyższych galerjach panuje dla bezpieczeństwa mniej więcej o 40 cm nad poręczą żelazny pręt, który widoku nie hamuje. Tu w łożach i w pierwszym rzędzie galerji występowały nad poręczą tylko głowy siedzących z przodu pań, a tylne rzędy, z parteru niewidzialne, same nie widziały nawet głów grających jak zwykle blisko rampy, aktorów. Na pierwszej galerji przyszło mi usłyszeć, jak pewien jegość, tyłem do mnie zwrócony, głośno powiedział dosłownie: „Ależ to bałwan ten Milewski, żeby zaprzepaścić takie pieniądze w ten teatr i dać nam widownię bez widoku.“ Połknąłem pokornie, bo zasłużenie.

W parę tygodni jeszcze zaszedłem na jakąś „gastrolę“ z Warszawy. Parter był pełny, łóżka puste, w galerjach za pierwszym rzędem nikogo. Pani Klima powróciła do Paryża, pozostawiając swojemu koniowi wybrnąć, jak potrafi, z tej kłęski. Niebawem i ja wybrałem się na całą zimę w nadziei, że jakoś podleczę mój betonowy-tynkowy bronchit.

Znowu mnie wysłano do Afryki. Na ten raz wybrałem się do nieznanego mi Tunisu. Kraj już nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak kiedyś Alger, nawet Egipt. Zato byłem zbudowany metodą rządzenia Francuzów tym obcym narodem, może dzięki nabytemu w Algerze doświadczeniu. Było ich w całej regencji 30 000, a Włochów 80 000. — Wszędzie się dawał czuć, ku wielkiej korzyści ludności, ich wpływ, bardzo mało ich władza. A z miejscowymi obyczajami, prawodawstwem, religią, językiem, obchodzili się z takim taktem, tak mało było tych, właściwych sztywnym Anglikom (a jeszcze bardziej brutalnym Niemcom) upokarzających objawów swojej rasowej i kulturalnej wyższości, że zupełnie się nie dziwiłem, kiedy rok później wszystkie wojska kolonialne oddały swoim francuskim „ciemnierzycielom“ nieocenione usługi.

Powróciłem do Paryża wczesną wiosną, w połowie kwietnia znów byłem w Wilnie, dokąd mnie powoływały upływ mego drugiego trzylecia jako prezesa Towarzystwa Rolniczego i konieczność ratowania teatru od kłęski.

W Towarzystwie Rolniczym, raczej obok niego, niedawno rozegrał się dramat. Pod kierunkiem dyrektora Banku Ziemskiego, p. Edmunda Bortkiewicza, o którym była mowa z okazji mojej wojny z tą instytucją, skład towarzystwa bardzo się rozwinął i doszedł do dużego obrotu. Ale Bortkiewicz zaniemógł na nieuleczalną sklerozę, w porę się nie wycofał, a we wszystkim zaufał bardzo zdolnej i pracowitej buchalterce, kulawej i już siwiejącej. Ta miała ciepłe serduszko, a w niem się zagnieździł pewien młody Adonis. Ten artystycznie doił swoją jałowicę. A ona obok serduszka miała i skrobadło, więc jak w operetce Offenbacha „czem silniej pukało serce, tem mocniej pracowało skrobadło“ i doskrobało do 45 000 rubli deficytu w kasie. Nie bez grymasu ś. p. Bortkiewicz wszystko pokrył z własnej kieszeni (czy nie głupiec, podług obecnych obyczajów?). Zresztą Towarzystwo stało u swego zenitu. Miało dobrze działającą (wówczas właśnie dokonałem ich inspekcji) szkołę rolniczą, mieszczącą się w dobrym, dobrze obudowanym folwarku, дарowanym w tym celu Towarzystwu, kosztem jego dużego majątku Mańkowicze, przez księcia Władysława Druckiego-Lubeckiego. Miało także w nabytym własnym folwarku



przy bliskiej stacji kolejowej Bieniakonie stację doświadczalną, we wszystkich powiatach filjalne towarzystwa i gęstą sieć parafjalnych kółek rolniczych o charakterze polskim. Do tego wszystkiego przyczyniałem się ofiarami pieniężnymi oraz protekcją w Ministerstwie Rolnictwa, a najmniej pracą osobistą. Doszedłem zatem przed nowymi wyborami do przekonania, że odgrywam właściwie rolę dekoracyjnego figuranta, co mi zawsze było nie do gustu; historia z teatrem także mnie zniechęcała do pracy zbiorowej, i zadawałem sobie pytanie, czy nie powstanie u moich kochanych kolegów ziemian myśl, żeby mnie jak dawniej Arystydesa nazwać sprawiedliwym. zatem poprosiłem ogólnie zgromadzenie, aby mnie przeprowadziło „w stan odpoczynku“, a wybrało na moje miejsce mego gorliwego wiceprezesa ś. p. Pawła Kończę. To poszło łatwo, bo „ciężkość“ jego już ustępowała przed jego rzeczywistymi zasługami. Mnie zaś przyznano godność członka honorowego Towarzystwa i postanowiono ozdobić lokal Rady moją podobizną. Wszystko w porządku.

Z likwidacją katastrofy teatralnej poszło mniej gładko. Już domyślałem się, że stan finansowy okaże się opłakany, bo nasz warszawski architekt, który już mnie znać nie raczył, przypominał sobie o naszej znajomości, żądając, abym mu dopłacił 1520 rubli zaległego honorarium, których p. Zawadzki mu nie płaci, czy z powodu zbudowania nami „widowni bez widoku“, czy prędzej z powodu golizny, nie pamiętam. Najpierw odprawiłem go do tych, po stronie których stanął, wytykając mu niedotrzymanie zobowiązań względem mnie przyjętych. Odpisał mi, nazywając mój list „niekulturalnym“. Kultury są rozmaite, i może z punktu widzenia swojej, dość popularnej na Marszałkowskiej ulicy i Świętojerskim prospekcie wileńskim, wymagającej co do majteczek, pończoch, trzewiczków i tuzinów „proszę pana“, a pobłażliwej dla partactwa, ten Pan miał rację. Jednak zważyłem, że w tej fuszerce zyskał podtrzymanie moich towarzyszy, których ja sobie dobrałem, a nie on, i wniosłem dla niego do Banku Handlowego te 1520 rubli. A to znowu było (podług mojej starej szkoły prawa francuskiej) „kulturalne“, choć może podług Marszałkowskiej i Prospektu raczej naiwne. Więcej o tym artyście nie słyszałem. Zwołałem jako pierwszy towarzysz firmowy, stosownie do statutu Spółki, walne posiedzenie towarzyszy firmowych i komandytowych, osobiście lub przez pełnomocników. Znacznie przeważali udziałowcy, którzy swoje pieniądze powierzyli mnie, a nie moim zwycięzcom, i tym Panom a nie mnie przypadła rola oskarżonych. Na przewodniczącego został wybrany ś. p. Paweł Kończa. Ze sprawozdania p. Zawadzkiego dowiedzieliśmy się, że w kasie „pusto wszędzie, goło wszędzie“, bo wybrany

przez tych panów antreprenier teatralny już w początku sezonu przestał płacić tenutę, nawet do końca sezonu nie dotrwał, a p. Zawadzki nie skorzystał ze swego kontraktowego prawa, przez swojego urzędnika z codziennego „incasso“ ściągać odpowiednią kwotę, boby biedny Baranowski, który i tak wszystko stracił, co miał, nawet swoje zajęcie na czele „Kurjera Litewskiego“, zamknął budę już w styczniu; któż jeśli nie Spółka był winien temu, że sala była ciągle napół pusta? Kończą dość złośliwie zacytował p. Zawadzkiemu przykład ś. p. Bortkiewicza ze składem, lecz natrafił na najrzeczniejszą w takich razach odpowiedź: rybie milczenie.

Pozostawała kwestja widowni. Niemilosierny Kończą zainterpelował pp. Bohdanowicza i Zawadzkiego, dlaczego wyraźnie przeze mnie uprzedzeni o grożącym tej widowni niebezpieczeństwie pomogli architektowi wyłamać się ze swego zobowiązania sprawdzenia i poprawienia onylek picrwiastkowego planu pp. Michniewicza i Parczewskiego? Otrzymał dwa razy powtórzoną odpowiedź, którą można uważać (co do lapidarności i siły syntetyzowania w czterech słowach całej umysłowości i stanu psychologicznego) za równą najślawniejszym replikom Shakspear, Corneille'a lub Goethego. P. Bohdanowicz oświadczył, że i ten i wszystkie inne popełnione błędy trzeba przypisać jednej ogólnej przyczynie; tej mianowicie, że „PAN MILEWSKI CHCIAŁ PRZODOWAĆ.“

Obecni, którzy doskonale wiedzieli (w Wilnie wszystko się wie), dlaczego i w czym właściwie p. Milewski „przodował“, przyjęli tę lapidarną replikę znaczącym uśmiechem, u Kończy bardzo szerokim. Ja się nie uśmiechnąłem, lecz „in petto“ dałem sobie przysięgę Hanibala, że już nigdy nie dam się nikomu namówić na jakiegokolwiek „przodowanie“ między synami nieboszczyka Lecha.

Zaproponowałem składkę między obecnymi dla niezbędnej przeróbki. Wszyscy z litości, pp. Bohdanowicz, Zawadzki i Oskierko ze wstydu, zgodzili się. Zebrano przecieżnic po 500 rb. od osoby — koło 6000 rb.<sup>1</sup> Co zaś do wykonania, zebranie, zupełnie ignorując moich firmowych zwycięzców i potępiaczy, powierzyło ś. p. Kończy wyszukanie nowego antreprenera i umowę z nim, a mnie osobiście przeróbkę widowni oraz zebrany kapitalik. Kończą zaraz umówił się na korzystnych warunkach z poznańskim dyrektorem, z tem naturalnie, że do zimy widownia będzie w porządku, lecz wojna jego i jego

<sup>1</sup> Tu jeszcze przyszło mi mimo woli „przodować“ bo wniosłem rzeczywiście nie 500 lecz 1.000 rb. Kończą chwilowo nie miał pieniędzy. prosił mnie, abym te 500 rb. zaawansował, nastąpiła wojna, zastój bankowy. moja ucieczka zagranicę, jego do Petersburga. tam umarł i jeszcze posiadam wierzytelność 500 rublową... na Królestwie Niebieskiem.

trupe odcięła. Ja nie cieszyłem się z narzuconego mi znów „przodowania“, obawiając się, że kosztła przeróbki przewyższą o kilka razy składkowy kapitalik, a jeszcze bardziej, że znów natrafie na „kulturalnego“ architekta.

A tu Pan Bóg miłosierny znów, jak kiedyś na Maderze, nadesłał mi człowieka opatrnościowego. Był nim nie kto inny, jak ten młody inżynier Kołucki, którego oferty betonowe zbrakowałem. Podług wszystkich praw Boskich i ludzkich powinien był zacierać sobie radośnie ręce z mojej dekonfitury. On natomiast odwiedził mnie, wypowiedział swoją sympatię i zaofiarował się za zebrany kapitalik doprowadzić widownię do tego, że z każdego miejsca będzie się widziało budkę suflera. Radośnie przyjąłem i puściłem mu cugle na szyję. On zaś natchnął się Mahometem; zbiecie parapetów o 40 cm było drobnostką; co do reszty, nie mogąc z powodu kosztów i straty czasu, przybliżyć łóż i galeryj do sceny i parteru, przybliżył scenę i parter do łóż i galeryj. Podniósł pierwszą (z ruchomych desek) o półtora metra, a nad betonowym parterem dał drugi, o metr dwadzieścia wyżej — i gotowe. Tak się zawinął, że pomimo wybuchu wojny na początku robót, korzystając z tego, że jednocześnie betonował fortecę w Grodnie i jego robotników nie zmobilizowano, już we wrześniu wszystko było gotowe. Siadłem na wszystkich miejscach, sprawdziłem, że zewsząd widać co najmniej znośnie (akustyka została jak była, doskonała), pocałowałem na oba policzki mego zbawiciela, i wyzionąłem najszczęśliwszą bodaj w życiu: Uf!! — Już więcej progę tego mojego inferno nie przekroczyłem.

Wówczas dopiero mogłem doprowadzić akuratu bilans tej mojej mądrej polonizatorsko-społeczno-artystycznej klapy. Przedstawił się tak: Aktywa — jedyne: stoi na wileńskiej Pohulance niby polski teatr, który w pierwszym roku pustował dzięki widowni bez widoku, w drugim dzięki wojnie i bliskości frontu, w czterech następnych dzięki okupacji niemieckiej, potem bolszewickiej, w którym od 1920 r. od czasu do czasu, wskutek stopniowego metodycznego odpolszczania ludności oraz zabójczej konkurencji kinematografów, grywa się jeszcze po polsku w oczekiwaniu czasów, kiedy dzięki staraniom nowych (lub tych samych) pp. Stanisława Grabskiego i Dąbskiego będzie się śpiewało i tańczyło litewską „rutę“ albo niby białoruskiego kozaczka, albo żydowskiego majofisa. Tyle aktywów.

Pasywa — primo: w pieniądzech 20 000 rb. firmowych, 1 000 rb. komandytowych na imię jednego z siostrzeńców, 15 000 rb. pożyczki na wieczne nieoddanie, 1 000 rb. przeróbki widowni, 1 520 rb. p. „kulturalnego architekta“, 500 rb. gratyfikacji gorliwemu konduktorowi robót Kuleszy, tyleż różnym majstrom, przeszło 2 500 rb. dla dwudziestu kilku wycieczek do Warszawy i Petersburga w pogoni za komandytariuszami

i t. p. Ogółem bitych 22 000 dolarów. — Jakby pięknie one teraz wyglądały!

Secundo: Trzy lata opuszczenia mego łaźduńskiego gospodarstwa, gdzie w nieobecności kota myszy się rozpasaly, i kilkolatni betonowo-tynkowy bronchit.

Tertio: Patent na „nieprzyjaciela ludu“ (jak u Ibsena) i krzywdziela demokracji, wydany mi przez Mużę Emmę Jeleńską.

Quarto: Patent na łgarza, wydany przez nieskazitelnych i zasłużonych krajowi pp. Mieczysława Bohdanowicza, Feliksa Zawadzkiego i Oskierkę.

Quinto: Patent na bałwana (najbardziej zasłużony), wydany mi przez „nieznanego żołnierza“ na pierwszym przedstawieniu. Niema co, słaby interes!

Właściwie po naprawieniu dzięki zacnemu inżynierowi p. Kołuckiemu błędów architektonicznych w budowie teatru wileńskiego, narzuconych mi przez moich towarzyszy firmowych, mając na względzie, że niema żadnej nadziei, aby ten teatr mógł przynieść towarzyszom komandytowym jakikolwiek procent od poświadzonego przez nich kapitału, dalsze istnienie tej spółki nie miało żadnej racji bytu. To też zaraz po moim powrocie z czteroletniego pobytu zagranicą pragnąłem tę spółkę rozwiązać i sam gmach oddać na własność miasta Wilna. Lecz stale zamieszkałem w Poznaniu i zdażyłem ten zamiar urzeczywistnić dopiero przez pośrednictwo mego siostrzeńca ś. p. Henryka Lipkowskiego oraz wyżej wspomnianego p. Stanisława Wańkowicza, uprawnionego jako towarzysza komandytowego do zastąpienia mnie na ogólnych zebraniach towarzystwa, dnia 22 sierpnia 1927 aktem sporządzonym u wileńskiego notariusza Aleksandra Rożnowskiego z warunkiem przeze mnie postawionym i przez miasto przyjętym, że „gmach teatru tego ma służyć dla przedstawień scenicznych, odczytów, zebrań i zgromadzeń wyłącznie w języku polskim.“

Z tej okazji dopiero po kilkunastu latach dowiedziałem się o jednym z ostatnich ligielków względem mnie pp. Mieczysława Bohdanowicza i Feliksa Zawadzkiego. Jak powiedziano wyżej, podczas budowania teatru ci dwaj panowie oświadczyli mi, że do spółki przystępuje jako czwarty towarzysz firmowy zamożny ziemianin z powiatu wilejskiego, p. Oskierko.

Bardzo rzadko brał udział w naszych firmowych posiedzeniach i między innymi zaproszony przeze mnie na posiedzenie, na klórem rozpatrywano ofertę p. Oranowskiego co do wynajęcia mu teatru, odpisał mi, że na to posiedzenie nie stawi się, zgóry zgadzając się na moje i pp. Bohdanowicza i Zawadzkiego postanowienie i na tem posiedzeniu nie był obecny.

Niemniej uznał za stosowne dopisać się do wyżej wspomnianego listu, adresowanego do p. Oranowskiego przez p. Zawadzkiego, w którym ci panowie zadali mnie kłam uroczyście, względem niego. Tymczasem gdy przy pertraktacjach o przejście teatru na własność miasta wymienił w deklaracji do Zarządu miasta tego pana Oskierkę, jako jednego z firmowych właścicieli teatru, ten sam p. Zawadzki w korespondencji, która z tego powodu powstała, wymagał wykreślenia jego nazwiska, „ponieważ firmowym towarzyszem nie jest.“ Oczywiście nie był nim także w 1913 r., bo nie znalazłoby się w całym Wilnie notariusza, któryby się zgodził p. Oskierkę z liczby firmowych towarzyszy wykreślić bez mojego, głównego firmowego, jakiegokolwiek udziału, a więc p. Oskierko był już w 1913 r. podstawionym firmowym towarzyszem względem mnie.

Nie wiem, czy w Niemczech, Francji lub Anglii, gdzie takie formy słowarzyszenia są bardzo rozpowszechnione, znalazłby się choć jeden podobny wypadek.

Jak mówią Hiszpanie: „Cosas de Polonia“ — bez komentarzy!

A teraz, na zakończenie tej księgi drugiej obecnych pamiętników, trochę filozofji.

Jeśli rzucę okiem wstecz na te prawie dwadzieścia lat pracy społeczno-politycznej, to mnie uderza jedno: wszystko com robił o siłach własnych, bez innej pomocy jak tylko załączonych ode mnie pracowników, udało mi się dobrze, bo byłem sam sumiennym pracownikiem. A wszystko, co wymagało nie narzędzi, lecz materialnie niezależnych odemnie współpracowników, albo się nie udało, albo przy uporze szło wprost jak z kamienia. Dlaczego? Czym rzeczywiście należał do rzędu dziwaków, „którzy nie umieją z ludźmi żyć?“ Sądzę, że nie, bo połowę życia spędziłem w kraju między naszymi ludźmi, a połowę na obczyźnie między innymi, i tam nie podobnego mnie nie spotykało. Czy znowu, i naodwrot, trzeba powtórzyć słynny aforyzm rozczarowanego Aleksandra Wielopolskiego, że „z Polakami nic nie można zrobić?“ Jeszcze mniej. Wszak na moich oczach w naszej prowincjonalnej sferze, Józef Montwiłł w samym Wilnie, choć trochę tendencyjnie, Edward Wojniłłowicz w swoim Mińskim państewku, w najszlachetniejszym kierunku, zrobili wyłącznie z Polakami bardzo wiele w najcięższych warunkach. A kto, także zresztą tendencyjnie, zrobił z Polakami więcej niż p. Józef Piłsudski? — Tak. Tylko p. Montwiłł, Wojniłłowicz, Piłsudski ze swoimi Polakami robili po polsku. Tacy działacze stają się łatwo „kierownikami lu-

dzi, wśród których sami wyrosli", umiejąc bez wysiłku wykorzystać ich zalety i wady, często napozór sprzeczne. A Wielopolski, wychowanek Wiedeńskiego Teresianum a potem kształcony w kilku zachodnich uniwersytetach, postępował z Polakami po wiedeńsku, w każdym razie po zachodniemu; ja postępowałem, i nie mogłem inaczej, po francusku. Nicunikniona kakofonia.

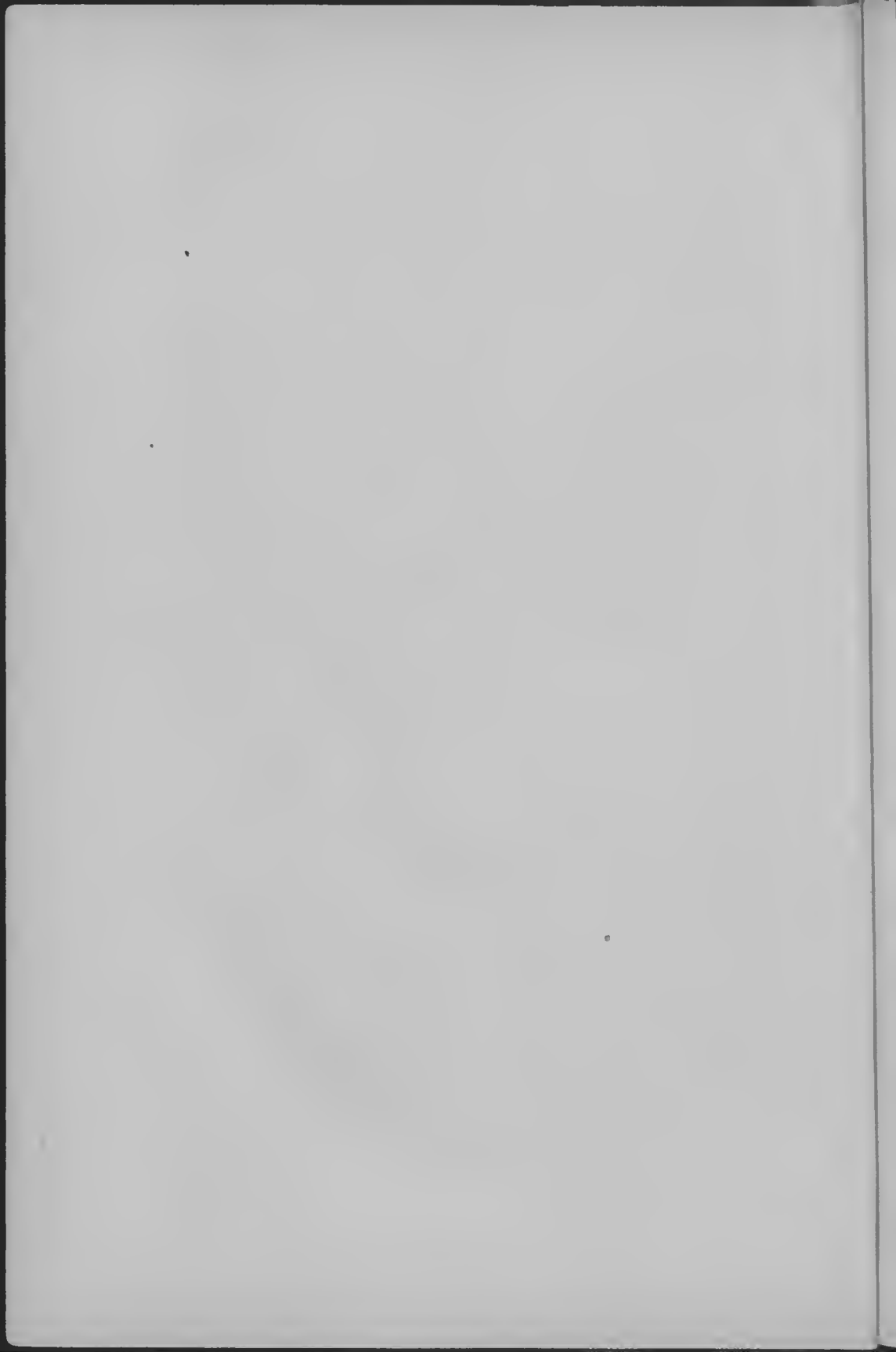
To mnie pobudza odpowiedzieć na pytanie, które mi często stawiano, a którego zwykle wysłuchiwałem wstrzemięźliwie, domyślając się, że idzie o jednego własnego „aniolka“, lecz swobodniej mogę traktować z nieznanym czytelnikiem. Czy warto dla zamożnych Polaków (o ile jeszcze tacy będą) wychowywać swoich chłopców na Zachodzie, specjalnie w Anglii lub Francji, tych dwóch źródłach prawdziwej nie tylko umysłowej lecz i moralnej cywilizacji? Distinguo. Czy idzie o kształcenie, czy o wychowanie? Kiedy o pierwsze, które się nabywa właściwie w wyższych a nie w średnich zakładach naukowych, to może być korzystnym dla kraju, bez ujmy dla młodego człowieka, kiedy wychowany w kraju, w wieku 18 do 20 lat dopełni swoich nauk tam, gdzie profesorowie zwykle nie są dyktantami lub rzemieślnikami, bo powróci do swojego własnego środowiska i nie mu nie przeszkodzi między ludźmi, z których psychiką się zrosł, zdać „egzamin życiowy“. Na odwrót, kiedy idzie o wychowanie chłopca, szczególnie w angielskim lub francuskim internacie, w wieku mniej więcej 8 do 18 lat, t. j. w tym, w którym z zarybku wyrasta karp, z pisklęcia kogut, to tu stanowczo mówię: nie i nie. Nikła korzyść dla społeczeństwa, kalectwo dla chłopca. Choćby tysiąc cytryn rozrzuconych po Wiśle nie przerobią jej na limonadę, a owoce pójdą na marne.

Naród polski jest zbyt liczny, zbyt stary, żył zbyt długo życiem własnym, żeby nie wyrobił sobie, jak inne, nawet mniej liczne narody, swoich własnych cech, obyczajów, nawyków i t. d. Czy lepsze czy gorsze od zachodnich, mniejsza o to, lecz i n n e. Który jest lepszym koniem, angielski wyścigowiec, czy belgijski ciężarowiec? Oba są dobre, lecz ich razem zaprzadzić nie można. Między wszystkimi odcieniami (wyliczyć je, to przedmiot monografii), które różnią tamecznego, przeciętnego, normalnego młodzieńca lat 8 do 18 od naszego, jeden góruje nad wszystkim. U tamecznego młodzieńca, zwykle przez całe życie, stoi przed oczami hasło: „Jak kto powinien“ — tu — „jak kto chce.“ Tam zasada, reguła, — tu fantazja, chwilowe natchnienie. Hiszpanie różne odrębności swego bytu narodowego streszczają w słowach „Cosas de Espana.“ Mamy także swoje „Cosas de Polonia“, z którymi trzeba żyć się od kolebki.

Pamiętam dobry tuzin Polaków, prawie wszystkich kresowych, moich mniej więcej rówieśników i mniej więcej mego

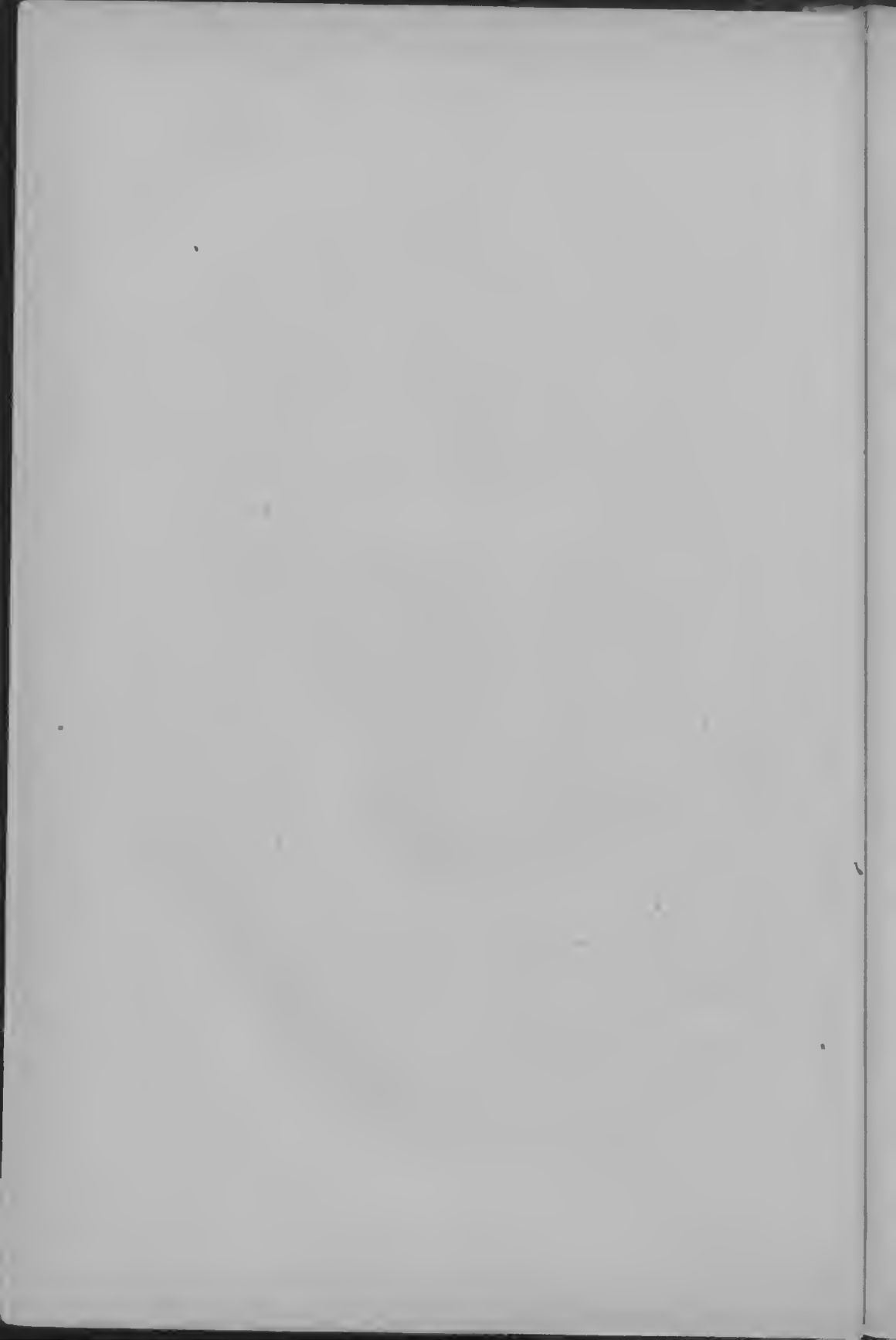
stanu światowego, którzy jak ja byli wychowani we Francji. — Żaden co do zdolności nie ustępował „dobrej średniej“, trzej ją znacznie przewyższyli. Wszyscy, powróciwszy do kraju, starali się, jeden dłużej, drugi krócej „coś zrobić“. — Wszystkim ręce opadły, większość umarła na obczyźnie; a wszyscy w swoich wynurzeniach skarżyli mi się na to, że póki żyli w kraju, czuli się ciągle wykorzenionymi i odosobnionymi. To jest dla jednostki bolesne, dla ogółu bezowocne.

Przechodzę do ostatniego „przedramolciowego“ okresu mojej przeszłości.





**KSIĘGA TRZECIA**  
**Z WOJNY WSZECHŚWIATOWEJ**



## OSTRZEŻENIE !

Przystępując do trzeciej i ostatniej części obecnych pamiętników, uprzedzam, że będzie w nich, w bardzo znacznej mierze, mowa o moich lub innych działaczy zabiegach w kwestji polskiej. Lecz uprzedzam jednocześnie, że nie mam żadnej, zupełnie żadnej pretensji do tego, żebym nie tylko „odbudował” niepodległe Państwo polskie, lecz coś budował. Byłem prawie jedynym na Zachodzie przedstawicielem polskich Kresów i należałem do liczby tych, którzy podczas wulkanicznego pięcioletniego (1914—1919) wybuchu pracowali w miarę swoich sił i talentu nad tem, żeby ci, o których przeczuwałem, że w końcu wojny będą mieli głos decydujący, nie zapomnieli o tem, że jest taka Polska, której prawa powinny być uwzględnione — i nic więcej. — Patrzałem także na to, co robią inni, i com widział, to teraz opowiem. — Nie będę durzył głowy czytelnikowi jakimiś głębokimi planami, ułożonemi zdołu, bo ich nie miałem.

W rzeczywistości nikt Polski niepodległej, prócz Opatrzności Boskiej, nie odbudował. Ani ci w jednym obozie, którzy jakoby od pieluszek o tem myśleli, choć mówić zaczęli dopiero z polecenia samego Moskala, ani ci z drugiego obozu, którzy w decydującym okresie walczyli przeciw możebnym wskrzesicielom Polski na korzyść wiadomych „wykorzeniaczy” samego narodu, a skoro trafem wzięli ster w rękę, zaraz zajęli się nie odbudowaniem Państwa, lecz rozwaleniem społeczeństwa. Dodam, że o „odbudowaniu” Państwa Polskiego jeszcze mówić nie wypada, bo po dwunastu latach budynku państwowego nie widać: system barakowy.

Jeśli jest jeden człowiek na świecie, który może z częściowem prawdopodobieństwem pochwalić się tem, że stworzył niepodległe Państwo Polskie, to jest ten nieznany mi partyzant (bodaj jakiś Sokołow),<sup>1</sup> który w marcu 1917 r. w Piotrogradzie

<sup>1</sup> Można się domyślić, że temu rewolucjonście i Sowietowi żołdatów najmniej szło o los Polski, lecz tylko o to: że wyrzekając się Polski, której nie posiadali, ogromnie ułatwiali natychmiastowe zawarcie pokoju z Niemcami, a hasło było: precz z wojną. Wszak tym aktem Rosja uznawała niepodległość Polski, lecz jej nie gwarantowała.

„podsunał” pierwszemu Sowietowi roboczych i żołnierskich deputatów, a ten Rządowi tymczasowemu, proklamację 29-go marca 1917 roku uznającą niepodległe Państwo Polskie. Ona to, w związku z listopadową (1916 r.) proklamacją Państw centralnych, rozwiązała skrupuły Ententy względem jeszcze sprzymierzonej Rosji. Posypały się jedno za drugim: uroczyste posiedzenie w Sorbonie, dekret o stworzeniu polskiego wojska na froncie zachodnim, oficjalnie przyznany i subwencjonowany Komitet Narodowy, Wilsonowskie czternaście punktów; odtąd już wskrzeszenie niepodległego Państwa Polskiego z programu obu wojujących koalicji nie zeszło. Sprawdziła się przepowiednia genialnego Z. Krasińskiego, że Polska będzie „kiedy nie dzięki zacnym, to z woli Boskiej, dzięki Szatanom.”

Nic tak jak historia różnych starań, wysiłków, udanej i nieudanej propagandy, krzyżujących się intrygi i manewrów około wskrzeszenia Polski lepiej nie potwierdza starego aforyzmu „L' homme s' agite et Dieu le mène”, a po naszymu „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.”

Tej historii w całokształcie ani nie chcę ani nie mogę napisać. Napiszę, com widział, słyszał, doznał lub uczynił. O trafności moich sądów lub wywodów, o ile się na jakie puszcę, niech czytelnik sądzi, jak sam rozumie. Nad faktyczną zaś częścią mojej opowieści mogę śmiało postawić motto Montaigne'a „Je fus là, telle chose m' advint”.

Z jednego względu czytelnik może mi ufać. Jeden z moich rosyjskich kolegów w Petersburgu dzielił swoich współbraci z nominacji monarszej, co do ich niezależności, na dwa gatunki: tych, którzy już siedli, i tych, którzy jeszcze się wdrapują. Ja już siadłem, niebawem nawet się położę.

## Rozdział I.

Lipiec 1914. — Ems. — Berlin—Wilno. — Łazduny. —  
Proklamacja w. ks. Mikołaja. — Wymarsz Rennen-  
kampfa. — Tannenberg.

Miesiąc lipiec 1914 r. był w mojem życiu tym szczytem, z którego łatwiej się stoczyć w przepaść niż się na nim usadowić. Kończyłem sześćdziesiąty szósty rok, ale starości jeszcze nie czułem. Dożyłem chwili, kiedy człowiek już może spoglądać z olimpijskim spokojem na tę miłą połowę ludzkości, której każdy mężczyzna powinien przypisać, wzamian za chwilowe rozkosze, prawie wszystkie błędy, zgryzoty, rozczarowania, śmieszności lub nawet podłości, „zdobiące” jego przeszłość. Dla zaspokojenia pragnienia poważania, właściwego temu wiekowi, i nadziei, że *non omnis moriar*, miałem za sobą do wysokiego stopnia kultury doprowadzone gospodarstwo, pomyślnie rozwijające się Towarzystwo Rolnicze Wileńskie, dalej prosperujący nadanym mu przeze mnie impetem „Kurjer Litewski”, pewny rozgłos mówcy i pisarza, wkońcu mozolnie dokończony Teatr Polski w Wilnie. — Patrząc zaś na przyszłość, jak Peretka Lafontaine’a, widziałem moją starość podzieloną na dwie równe części, jedną w kraju, opartą na dochodach z majątku, drugą nad Sekwaną lub Rivierą, ubezpieczoną dochodem od dużego kapitału. — Tymczasem, dzięki obłąkaniu kierowników niemieckiego narodu i samego tego narodu, z tych pięknych marzeń pozostało tyle, ile ze dzbana Peretki i jej mleka; zinnrok mego życia przybrał tę samą szarą barwę, co jego zorza za Murawjewa i Kaufmanów, minus młodość i nadzieję. Bo przeciw tym zajądłym niszczycielom polskiego ziemiaństwa, zatem i samej polskości, na Kresach udało się memu ojcu i mnie pomyślnie walczyć, przeciw ich godnym spadkobiercom w Warszawie nie udało mi się właśnie dlatego, że to moi i że lepiej znają słabe strony swoich ofiar.

Dalej ze wspomnieniami.

Wbrew przekonaniu tych licznych, którzy dzieje ludzkie przypisują ciągłym cudom, Mesjaszom, trafom i „trykom“, historia powtarza się bez końca nie tylko jako nieubłagalny związek między równymi sobie przyczynami i ich skutkami lub wynik właściwego każdemu licznemu narodowi temperamentu (daleko więcej stałego, niż bywa u pojedynczego człowieka), lecz także częstokroć w szczegółach napozór zupełnie przygodnych. Kiedy przypomnę sobie wybuch, tak żywo jeszcze pozostającej w mojej pamięci, wojny niemiecko-francuskiej 1870-71 r., to znów widzę, że prawie cały świat ją przewidywał, a prawie nikt prócz napastnika do niej się nie przygotował, i że tego, co wiedział każdy najbardziej przeciętny Europejczyk, nie wiedzieli kierownicy wielkich, zainteresowanych w walce narodów, odpowiedzialni za ich losy. W 1870 r. o zbliżającej się napaści niemieckiej wiedział cały świat prócz marszałka Leboeuf, francuskiego ministra wojny, i księcia de Gramont, ministra spraw wewnętrznych. W 1914 r. o przemarszu wojsk niemieckich przez Belgię oraz o koniecznym, w takim razie nieuchronnym wystąpieniu do walki Anglii wiedziały wróble na dachach, lecz nie wiedzieli z jednej strony sztab francuski, z drugiej kanclerz Bethman-Holweg. To powtarzanie się historii wyraża się częstokroć nawet w przygodach, dotyczących się takich atomów, jakimi są ludzie pojedynczy, między innymi i w moich własnych. Tak jak wojna 1870 r. zaskoczyła mnie leczącego chroniczny bronchit u wód w Pirenejach, tak samo wojna 1914 r. spadła mi na kark, gdy leczyłem tego samego, prawie 50-letniego towarzysza życia, w Ems, i pomimo dobrze ustalonej w gronie przyjaciół i znajomych mojej reputacji przezorności politycznej dałem się zaskoczyć katastrofie jak prosty kanclerz lub wódz naczelny.

Konieczność, nieubłagalność i bliskość konfliktu co najmniej między Rosją i Francją z jednej strony, a sojuszem niemiecko-austriackim z drugiej, przewidywałem oddawna. Pozostają tego dowody drukowane w dwóch moich swego czasu bardzo głośnych i w prasie niemieckiej komentowanych wystąpieniach w Radzie Państwa rosyjskiej, a w 1913 r. w obszernym artykule, wydrukowanym (naturalnie bez podpisu) w zeszycie z dnia 10 września 1913 r. miesięcznika „Le Correspondant“ pod tytułem „Les contrecourants de la politique extérieure russe.“

Nie wątpiąc o tem, że taki nawet ograniczony konflikt spowoduje w zainteresowanych w nim krajach straszny kryzys finansowy, myślałem o tem, żeby zabezpieczyć moją starość przeciw jego skutkom. Posiadałem wówczas prócz mego nieruchomościowego funduszu ulokowany poczęści w banku państwowym w Berlinie, poczęści w filji banku państwowego rosyjskiego w Wilnie spory kapitał złożony z papierów państwowych niemieckich, rosyjskich i austro-węgierskich. To też zimą 1914 r.

w Paryżu, dobrze i wszechstronnie, przy pomocy bardzo biegłego w kwestjach bankowych p. Karola Halperta (żonatego z Branicką, obecnie czynnego członka naszego poselstwa w Paryżu), obinysliłem projekt następny: zmobilizować całą tę masę, nabyć w Londynie za pośrednictwem stryja p. Halperta taką samą sumę 4,5 % - wych obligacyj dróg żelaznych północno-amerykańskich, podlegających perjodycznemu zwrotowi „al pari“ i ulokować wszystko „u Pana Boga za piecem“. Z tym stałym projektem powróciłem 14 kwietnia do Wilna, ale ze zwykłym moim, prześladowającym mnie od urodzenia „pechem“ zaczęły się piętrzyć przeszkody. Przedewszystkiem trzeba było, jak mówiłem wyżej, zwołać ogólne zebranie towarzyszy Spółki teatralnej. Oprócz tego w podeszłym już wieku i przy zachwianem zdrowiu, obawiałem się puścić się w podróż Berlin—Londyn i t. d.! bez innego Anioła Stróża niż służący, obładowany jak osioł, przewożący relikwie, miljonowym kapitałem, i postanowiłem wziąć z sobą jednego z moich czterech siostrzeńców, Meysztowiczów. Tu jak na złość starszy, Michał, miał się żenić i ożenił się na początku czerwca z panną Marją (Tomaszówną) Potocką. Drugi, Oskar, sam zachorował na jakąś zagadkową i uporczywą, inniej więcej tyfoidalną gorączkę, a dwaj ostatni, Edward i Szymon, byli unieruchomieni stanem zdrowia swoich własnych żon. Gdybym jeszcze był w rzeczywistości tym „fortis et tenax propositi vir“, którym zawsze życzyłem sobie być, tobym, widząc jasno grożące niebezpieczeństwo, te wszystkie przeszkody jakoś przezwyciężył. Okazałem się prostym „homo“, w dodatku Polakiem, zatem dubeltowo skłonny do tego, co genjalny Bossuet nazywa największym obłędem umysłu ludzkiego, mianowicie do wiary, że coś będzie dlatego jedynie, że się pragnie, aby ono było. — Dekretując „in petto“, że bez mego pozwolenia Wilhelm II się nie poruszy, odłożyłem moją podróż kapitalistyczną na miesiąc sierpień i, nie zważając na zamordowanie 26 czerwca arcyksięcia Ferdynanda, w którym nikt (prócz Wilhelma II i jego 66 milionów poddanych i współpiskowców) nie upatrywał pretekstu do bliskiego kataklizmu wszechświatowego, postanowiłem w międzyczasie odbyć coroczną kurację w Bad-Ems; 14 lipca 1914 r. wyruszyłem z Wilna.

Na peronie raptem przez okno wagonu wysunęła się kolo-salna 150 kilogramowa postać, wołająca po rosyjsku niedźwiedzim basem: „Hipolicie Oskarowiczu, gołąbku, wstąp do mnie, mam osobny przedział.“ — Wstąpiłem. Był to p. Michał Rodzianko, naówczas prezes Dumy państwowej rosyjskiej w 1906—1907 r., mój kolega jako przedstawiciel gubernji ekaterinosławskiej w Radzie Państwa, któremu było sądzono wywołać abdykację ś. p. cesarza Mikołaja II i odegrać przez kilka dni kapitalną, lecz niefortunną rolę, bo pomimo swojej olbrzymiej postaci

i piorunującego głosu, które same już wystarczały, aby mu zapewnić opanowanie zbuntowanego bydełka ludzkiego, dał się zapędzić w kozi róg na peronie przed pułkiem wołyńskim, oddającym się pod jego komendę, marnemu chłystkowi Kiereńskiemu, posiadającemu bardzo mało talentu, lecz zaiste żydowskie cechy (naprawdę pół-żydowskie): tupet i beczelność i w ciągu kilku minut zeszedł na zawsze do historycznego archiwum.

W ciągu długiej aż do nocy rozmowy z tym niby mężem stanu, którego miałem prawo uważać za szczególnie dobrze uświadomionego, nie spostrzegłem ani śladu zaniepokojenia co do wiszącej nam obu nad głową katastrofy międzynarodowej. Wybierał się najspokojniej do Nauheimu, tak jak ja do Ems.

Kuracja moja już dochodziła równo do połowy, gdy raptem trzasnęło pamiętne ultimatum austriackie do Serbji. I na mnie i na moich kilku czasowych znajomych, zrobiło ono wrażenie, że jest zredagowane tak, aby było obowiązkowo odrzucone, a zatem pachnęło prochem. Mój sąsiad z sali jadalnej, pułkownik wojska belgijskiego, podzielał to zdanie i zaczął odrazu się trwożyć. Jednak przez parę dni zamiana depesz między Wielkimi tego świata, pokorna odpowiedź Rządu Serbskiego, napozór szczerze starania Wilhelma II, zmierzające niby do zlokalizowania konfliktu, utrzymywały nadzieję pokojowego rozwiązania, i w tym sensie wyrażali się bez żadnego wyjątku wszyscy Niemcy. „Z u B e f e h l.“ — Ta sama taktyka, powtarzana w kilkudziesięciu niemieckich „Kurortach“, wprowadziła w błąd ogromną liczbę poddanych rosyjskich i naraziła ich na pamiętne jeszcze wszystkim napaści i brutalności „dobrodusznej“ ludności niemieckiej. Ja, któremu nie bardzo się chciało przerywać kurację, dałbym był się złapać, gdyby mnie nie uratowała specjalna zdolność do przeprowadzania z głowy nawet zawikłanych rachunków. We czwartek 30 lipca rano, idąc do inhalacji, kupiłem sobie środowe wydanie paryskie amerykańskiego New York Herald. Z otwartym dziobem, połykając pył wody mineralnej, doczytałem się do działu handlowego, w którym wyczytałem depeszę z New Yorku brzmiącą: „Zawczoraj wyszedł z naszego portu do Hamburga parostatek Wilhelm der Grosse z ładunkiem 14 milionów dolarów w złocie, a dziś odpływa statek Krouprincessin Căcilie z ładunkiem 10 milionów.“ Błyskawicznie powstała w moim mózgu myśl, że spowodzenie takich sum w złocie w momencie, kiedy waluta niemiecka żadnym wahaniom nie podlegała, nie może być niczem innym, jak przygotowaniem się do wojny. A że biorąc pod uwagę, ile czasu potrzeba, żeby taką sumę złota, ważącą koło czterech tysięcy kilogramów, zebrać, zważyć na wagach precyzyjnych, zapakować i naładować na statki, jasnem jest jak słońce, że rozkaz zebrania i wysłania takiej sumy był wysłany z Niemiec kilka dni przed wysłaniem ultimatum z Wiednia do Belgradu. Zatem Wilhelm II



i Rząd niemiecki nietylko nie byli tem ultimatum zaskoczeni, jak twierdzili we wszystkich swoich telegramach, lecz prawdopodobnie sami ten decydujący krok natchnęli.

Ergo, panie Hipolicie, w nogi. Nie powracając do domu, pobiegłem na dworzec kolejowy, kupiłem bilety do Berlina na wieczorny pociąg pospieszny, rozpląciłem się wszędzie, powróciłem do „Vier Jahreszeiten“ i kazałem służącemu natychmiast pakować rzeczy. Gdym zeszedł na śniadanie, mój belgijski pułkownik oświadczył mi, że za godzinę wyjeżdża do swego zamku, nad samą holenderską granicę. „Dlaczego?“ — „Bo wojna wybuchnie może jutro i będę lada chwila znów powołany do służby czynnej.“ — „A panu co do tego, wszak Belgja jest państwem neutralnem?“ — „Tak, to jest na papierze, ale Niemcy naszą neutralność zgwałcą, po naszym brzechu wkroczą do Francji.“ — „Tak to z pewnością będzie, ale czyż mała Belgja się temu sprzeciwi?“ — A pułkownik z oburzeniem: „Alboż pan o tem wątpi? Nie bylibyśmy ani państwem ani narodem godnym niepodległości, gdybyśmy taki afront bezbronię znieśli! Nasz król Albert momentalnie straciłby swoją koronę. Ale on jest rycerzem, stanie na czele narodu. Gdyby miała z całego królestwa zostać jedna grudka gdzieś pod Dunkierkiem, to na niej polegnie.“ — Głęboko wzruszony ścisnąłem mu rękę, z boleścią przypominając sobie naszą ogromną Rzeczpospolitą z XVIII wieku, po której przy niktniętych niby granicach w ciągu 70-ciu lat rozmaite wojska cudzoziemskie spacerowały, jak po „terra nullius“.

Przy czarnej kawie przysiedli się do mego stolika jakiś nieznaczący Niemiec, pewien baron z Zagłębia Rury, z którym już kilka razy rozmawiałem, i napół zniemczony Anglik z Hamburga. — Baron, człek gadatliwy a jednak roztropny, rozpoczął sam rozmowę o grożącej wojnie. Zaraz zauważył, że Polska może na niej tylko zarobić i szeroko wyjaśniał, dlaczego niemiecko-austriacki związek otrzyma pewne i piorunujące zwycięstwo, twierdząc, że Austrija sama jedna wystarczy, by utrzymać w szachu liczne, lecz żadnej wartości technicznej nie przedstawiające wojsko rosyjskie, i że wojsko francuskie, choć waleczne i mające dobrą komendę, ale częściowo skrepowane przez Włochów, nie może wytrzymać naporu dwa razy liczniejszego wojska niemieckiego. Na moją uwagę, że on napróżno liczy na czynne wystąpienie Włochów, a nie liczy się z pewnem wystąpieniem Anglii, Niemiec bez wahania odpowiedział: „Mag sein, aber Sie haben dort keine Idee von unserer Ausrüstung.“ (Może być, ale oni tam nie mają pojęcia o naszym uzbrojeniu.) Ta ślepa wiara w swoją sławną technikę, która trwała aż do samego końca, właściwie zgubiła ten rozumiały naród. A zakończył mój baron ciekawą i, jak się okazało, bardzo trafną uwagą: westchnął i rzekł: „A pomimo

pewności naszego zwycięstwa, ja sędzę, że nasz cesarz popełni wielką omyłkę, kiedy się na tę wojnę puści. Co my na niej zarobimy? Kilka miliardów odszkodowania, jakiś kawałeczek pozostałej Francuzom Lotaryngji i dobrą połowę ich zamorskich kolonij, ale zato cały świat, zazdroszczący nam naszej sławy i naszej potęgi, znienawidzi nas do głębi duszy — i stracimy na całe pokolenie, może na kilka, nie nas nie kosztującą naszą bezgraniczną kolonję rosyjską, naszą bez końca bogatą kolonję angielską, nasze śliczne i miłe kolonje francuską i włoską. Żaden interes.“ — Ciekawym, co teraz o interesie myśli pan baron?

Po śniadaniu, choć oficjalnie nie były dekretowane ani mobilizacja ani nawet poprzedzające je ogłoszenie „niebezpieczeństwa wojny“, przed moimi oknami przedelfowało kilkuset młodych Niemców, jeszcze po cywilnemu ubranych, wrzeszczących: „Deutschland über alles“ — a służący hotelowy zapytany odpowiedział lakonicznie: „Mobilmachung“.

Od tej chwili zapach prochu wszędzie się wznosił z godziny na godzinę. Gdym wieczorem o 11 siadł do pierwszej klasy pospiesznego pociągu, znalazłem w niej rozwalonych czterech Niemców, którzy wnet zaczęli burzyć na intruza, a kiedy kilka minut później kontroler zażądał biletów, pokazało się, że ja jeden posiadam bilet pierwszej klasy, a tamci pasażerowie mają bilety drugiej albo trzeciej. — Spojrzałem znacząco na konduktora, który mruknął: „Kriegszeit“.

To też gdym o 8 rano trafił do Berlina, posłałem służącego do hotelu Continental, aby mi najął pokój do wieczora, a sam udałem się wprost do biura wagonów sypialnych. Dostałem jeszcze jeden przedział i poleciałem wprost naczczo do Deutsche Bank, jeszcze nie otwartej. Mając tam przeszło 20 000 mk. na bieżącym rachunku, wszystko oprócz 1 000 mk. (na nasienie) podjąłem w złocie francuskim i banknotach rosyjskich. Wyplacono mi bez żadnej uwagi, a już kilka godzin później, jak mi potem opowiadał dr. Hłasko z Wilna, gdy chciał wycofać swoje skromne 2 000 mk., nie wyplacono mu ani jednej, z uwagą: „My nie dajemy pieniędzy naszym wrogom,“ a mobilizacja była oficjalnie ogłoszoną dopiero o następnej północy!

Przechodząc przez Unter den Linden koło pierwszej po południu, zauważyłem w stronie zamku ogromny tłum, który się ciągnął aż do Friedrichstrasse. Nie wiedząc, o co chodzi, zapytałem jakiegoś Niemca, który odpowiedział: „To nasz cesarz przemawia do swego narodu.“ Była to ta sławna mowa z balkonu, w której Wilhelm II, ogłaszając równocześnie „Kriegszustandgefahr“ i machając rozpaczliwie jakimś pękiem telegramów, oskarżał swego kolegę — monarchę i kuzyna Mikołaja II, że go „podle oszukał“ (niederträchtig betrogen). Wieczorem o 12, już przy ogłoszonej mobili-

zacji, wsiadłem a raczej wskoczyłem w biegu do pociągu na Królewiec i Eydkuhnen. Tragarz wrzucił przez okno memu służącemu bagaż ręczny i nim ten zdążył go rozłożyć i wyjść do swojej trzeciej klasy, drzwi zostały gwałtownie zamknięte i zatarasowane tłumem pasażerów, jadących w pozycji wertykalnej aż do granicy; a służący musiał przenocować w moim przedziale. W Dirschau przez szparę między firankami, które kazano nam spuścić, (koło 6 rano) spostrzegłem, że cała łąka, która tam sięga aż do horyzontu, jest pokryta namiotami i żołnierzami w „feldgrau“, 6 godzin po ogłoszeniu mobilizacji!! Tak to biedny, niewinny „Bosz“ był zaskoczony wojną przez chytrego Moskala i jeszcze chytrzejszego Francuza. — Koło 12-ej dojechaliśmy do Eydkuhnen. — Stacja i wszystkie otaczające ją domy były zupełnie puste. Trzymano nas dwie godziny, nie pozwalając wysiąść do zresztą pustego bufetu, a byliśmy wszyscy naczczo. Wkońcu przywieziono nas do Wierzbółowa, niemniej pustego niż Eydkuhnen. Oczywiście w tej chwili i Moskale i Niemcy chowali się jedni przed drugimi. W Wierzbółowie okazało się, że mego bagażu nie ma. Na moje reklamacje urzędnik rosyjski, który kontrolował spis z niemieckim, powiedział: „Niech się Pan nie fatyguje. Z 715 kwitów bagażowych brakuje mi 60-ciu i wszystkie co do jednego należą do pasażerów pierwszej klasy lub sypialnego wagonu.“ Oczywiście Niemcy już sobie przyswoili „Kulturny bagaż“. — Rzeczywiście z poszukiwań, zrobionych już w 1919 roku po zawieszeniu broni, okazało się, że mój bagaż razem z innym „kulturnym“ został wyladowany jeszcze w Królewcu, tam niby sprzedany na licytacji, a w rzeczywistości splądrowany i zarząd kolejowy przez Konsulat Polski zaofiarował mi 400 marek, które wówczas były warte 21 fr. Nie pofatygowałem się je przyjąć.

Jednak udało mi się, albowiem następny pociąg z Berlina już został zatrzymany o 14 kilometrów, w Stołupianach. W książe Konstanty Konstantynowicz i słynny mówca parlamentarny. Makłakow byli zmuszeni piechotą przejść aż do Wierzbółowa, niosąc sami swoje ręczne pakunki. Bagaż większy również przepadł.

Ponieważ na stacji Wierzbółowo nie było ani lokomotywy, ani wagonów, musiano nam sprowadzić pociąg aż z Kowna, który wyruszył z soboty na niedzielę, właśnie w chwili wypowiedzenia wojny w Petersburgu przez hr. Pourtalès. Dojechaliśmy do Wilna koło 10 rano. Zajechawszy do mego stałego mieszkania obok znanego hotelu St. Georges, przebrałem się i poszedłem na śniadanie a zarazem na wywiady do restauracji tegoż hotelu. Była przepełniona znajomymi. Wszyscy mnie

otoczyli, zasypywali mnie pytaniami i prawie wszyscy powtarzali stereotypowy frazes, że „się odwraca nowa karta historii.“ Między innymi ceremonjalnie przybliżył się do mnie hr. ordynat birżański, Alfred Tyszkiewicz, syn ś. p. Jana i sławnej pani Klementyny, późniejszy „ambasador“ w Londynie litewsko-kowiewieńskiej republiki — i uroczyście poprosił, abym jako najlepszy przyjaciel jego nieboszczyka ojca i mąż doświadczony wyjaśnił, „jaki jest w historycznej chwili obecnej obowiązek dobrego Polaka.“ Odpowiedziałem: „Czekać, oglądać się, a przedewszystkiem zachować starannie polską ziemię i polską krew, to jest majątek i własną skórę;“ a to dlatego, że pamiętałem, jak podczas wojny japońskiej Alfred Tyszkiewicz, nie koniecznie głowa Metternichowska, ale chłop odważny, zaciągnął się dobrowolnie do Kozaków, bo jako jedynak nie podlegał służbie wojskowej, i cały rok narażał się w służbie Moskale w sprawie, w której my Polacy nic zyskać nie mogliśmy.

Aby krótko określić stan opinii, panującej w tej chwili w Wilnie w naszych kołach polskich i ziemiańskich, opiszę je mniej więcej tak: niejasne poczucie, że z rozpoczynającego się konfliktu powinno wyjść coś pomyślnego dla sprawy polskiej, bez żadnego pojęcia, jak się to stanie i w jaki sposób możemy sami temu dopomóc. — Dzięki tradycyjnej sympatji do Francji i wrodzonej we wszystkich warstwach słowiańskich antypatji do „szwaba“ przychylność do sprawy aljanckiej o wiele przeważała antypatję do Moskali jako takich, zresztą niemało osłabioną od czasu reform 1905-1906 r. Natomiast nadzieje na powodzenie dość chwiejne. Większość naszej inteligencji lepiej знаła Niemcy niż Francję, a szczególnie Anglię, i była przeciwną prawie bezgraniczną admiracją dla niemieckiej „organizacji“, techniki i t. d. i w tem pierwszym stadium nie odczuwała jeszcze tego ogólnego oburzenia na Niemców i Austriaków za to, że wywołali tę wojnę, oburzenia, które bardzo prędko miało stać się dla większości chrześcijańskich narodów aż po dni ostatnie (piszę po zjeździe w Locarno) ogólnym artykułem wiary.

Głównie mnie w tych pierwszych dniach sierpnia interesowało usposobienie wsi, bo już chodziły pogłoski o sporadycznych napaściach powołanych rezerwistów na dwory szlacheckie, poważnie tam, gdzie były gorzelnie i zapasy spirytusu. Bardzo głośnym był taki napad, rozpoczęty zrabowaniem składów spirytusu a dokończony doszczętnem zrabowaniem całego pałacu w majątku pp. Wańkowiczów w powiecie igumeńskim gubernji mińskiej. To też jeszcze z Wierzbolowa zatelegraflowałem do administratora moich dóbr, nieciekawego rolnika, lecz spryciarza pierwszej klasy, którego już projektowałem usunąć na następną wiosnę i który w czasie najazdów niemieckiego, bol-

szewickiego i polskiego dowiódł, że należy do tej klasy pleni-potentów, którzy w danym razie gotowi są jak Molierowski Tartuffe, oświadczyć dziedzicowi: *La maison est à moi, c'est à vous d'en sortir*.<sup>1</sup>

Dzięki utrudnionej komunikacji kolejowej przybył dopiero po kilku dniach i prosto z mostu zaczął mnie zaklinać na rany Chrystusowe, abym dla ocalenia własnego mego życia, broń Boże, w chwili obecnej w swoich Łazdunach się nie pokazał. — „Niebezpieczne usposobienie, nastrój, wrzenie umysłów, niepokój“ i t. p. ogólniki, lecz bez zacytowania najmniejszego faktu. Zrozumiałem w czym rzecz i z godnością rzymskiego senatora przed napaścią Gallów rzekłem mu: „To co pan mówi, jest wielce poważne, ale właśnie człowieka obowiązkowego, jakim zawsze byłem, to przekonywa, że w tej chwili właściwie moje miejsce jest w Łazdunach, gdzie obecność moja może działać na ludność miejscową otęrażająco; zatem proszę pana jutro powrócić do Łazdun, a pojutrze posłać po mnie konie do Lidy; stamtąd ponieważ linja Lida—Mołodeczno, jak pan powiada, jest zawałona transportami wojennymi, jakoś się dobiore do Łazdun „ładem“.

Przed moim wyjazdem odbyły się kolejno uroczyste nabożeństwa w „Soborze“ prawosławnym i w katedrze wileńskiej, na którym także był głównokomenderujący armją północno-zachodnią generał Rennenkampf. — To mnie pobudziło do oddania generałowi Rennenkampf wizyty. Odniosłem wrażenie, że kwadrans rozmawiałem z prostym wachmistrzem. Krępy, raczej niezgrabny, prawie 60-cio letni, z szeroką rozpiętą twarzą i sztucznie po obu wargach przedłużonym wąsem à la Taras Bulba, arcypewien siebie, w danej chwili dla wybitnego Polaka wyjątkowo grzeczny, oświadczył mi cywilnemu, czegoby chyba niemiecki lub francuski głównodowodzący nie zrobił, że za kilka dni przekroczy granicę pruską. Przed jednym ze znajomych wyciągnął na stół lewe ramię, mówiąc: „Niech mi tę rękę utną, jeśli za trzy tygodnie nie będę w Berlinie.“ — Może nie wiedział, że od Wierzbolowa do Berlina jest przeszło 700 kilometrów i że nawet przy triumfalnym nieprzerwanym marszu trzeba byłoby jego wojsku dwa razy więcej czasu.

11 sierpnia przybyłem do moich Łazdun. Nie dojechałem jeszcze do dworu, a już przekonałem się, że strachy i grozy mego spryciarza-rzadcy były zręcznym manewrem, zmierzającym do tego, abym nie był świadkiem jego łowienia ryb w męt-

<sup>1</sup> Dzięki mazgajstwu naszych władz i ochronie mieszkańców udało mi się sprzątnąć tego szkodnika dopiero dobrze po uwolnieniu mego majątku od okupacji polskiej 1920—1921 r. Niedawno przesiedział w więzieniu w Wilnie jako podejrzany o współwinę w tajemniczym zamordowaniu sąsiada p. Sikorskiego, obecnie wypuszczony pod kaucją.

nej wodzie, opartym na bezgranicznym zaufaniu w głupotę swoich chlebobawców, które spoczywa na dnie opinii większości służących. Kogo tylko spotkałem na przestrzeni około 2 kilometrów od granicy majątku do ganku pałacowego, czy z włościan, czy z mojej czeladzi, czy też ze służby domowej, wszyscy witali się bardzo serdecznie z powracającym wśród tego zatrzęsienia ziemi z odległego kraju dziedzicem. Nicjeden się rozpytywał z ciekawością, co będzie, a przy robocie wszyscy okazali właśnie z powodu odejścia licznych męskich robotników niezwykle dobrą wolę. Ogromne rezerwoary w gorzelnii, zawicrające przeszło 1000 hektolitrow spirytusu, stały nietknięte, nikt o nich nie myślał, słowem: „Pokój na ziemi dla ludzi dobrej woli.“

Dowiedziałem się, że powołani rezerwanci wszyscy dobrowolnie i nawet z wesołością wybrali się do Oszmiany, mojej powiatówki. Jednak wiosną pod kościołem słyszałem na własne uszy, jak dwóch mędrców z wioski prowadziło rozmowę o możliwej wojnie i jeden twierdził „Żadnej wojny nie będzie, bo ona bez m u ż y k ó w nie obejdzie się, a kto z nas polezie?“ — Oczywiście nawet w wioskach wzięła górę nadzieja „tluc Niemca.“

Po kilku dniach powróciłem do Wilna, aby „zasiegnąć języka.“ Już na mojej stacji kolejowej Juraciszki, drugiej na wschód od Lidy, musiałem przesiedzieć pół nocy, aby doczekać się pociągu, do którego mógłbym się wcisnąć do oddziału przeznaczonego dla oficerów. Byłem prawdziwie zbudowany, szybkością, sprężystością służby kolejowej w tym krytycznym momencie, szczególnie gorliwością wszystkich aż do najjnniejszego urzędnika lub służącego kolejowego. To zresztą trwało tylko kilka tygodni i ustąpiło zwykłemu u Słowian po silnym natężeniu „collapse“ energii, lecz zadało tak jak tyle szczegółów tej wojny jaskrawy kłam zgóry w całej Europie ostawionej powolności mobilizacji rosyjskiej; i nie tylko w Europie, bo i sami Rosjanie, którzy tego nie oczekiwali, nie potrafili tego powodzenia wykorzystać.

Do Wilna trafiłem w sam dzień przekroczenia granicy niemieckiej przez wojska *Rennenkampf* i ogłoszenia tej kolosalnej blagi, jaką była proklamacja w. księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków, obiecująca im uroczystie zjednoczenie wszystkich ziem polskich i wskrzeszenie autonomicznego Państwa Polskiego pod berłem rosyjskiego cara.

Wrażenie, jakie ta odezwa wywarła na naszym wileńskim społeczeństwie, było podobniejsze do zdumienia niż do wybuchu radości. Nic podobnego do tego, co wywołał o dziewięć lat wcześniej sławny manifest 17/30 października 1905 r., niby kamień węgielny Konstytucji rosyjskiej. Może dlatego, że

połknąwszy już jedno takie mydło, społeczeństwo in petto odpowiadało Najjaśniejszemu Panu: „Nie, Papusiu, powtórnie nie oszukasz.“

Wśród Rosjan jakby piorunem rozpowszechniło się hasło zbagatelizowania tej proklamacji, bądź jako nieobowiązującego wybryku osobistego W. Księcia, bądź jako oddalonej obietnicy po zdobyciu całej Wielko- i Małopolski, a w każdym razie jako ograniczającej się wyłącznie do rdzennie polskich ziem, lecz nie dotyczącej się w niczem „odwiecznie rosyjskiego Północno-Zachodniego Kraju.“ — Co zaś do naszych polskich kół, to z rzadkim u nas wężem politycznym każdy odrazu zrozumiał, że kiedy temu próbnemu balonowi nie trzeba wierzyć, zato trzeba mocno i głośno udawać, że się wierzy. To też z inicjatywy mojego następcy na czele Towarzystwa Rolniczego Wileńskiego, prezesa Pawła Kończy, zostało naprędce zwołane zgromadzenie wszystkich obecnych w mieście ziemian Polaków; odbyło się ono w mojem mieszkaniu i pod mojem kierownictwem. Celem tego zebrania było zredagowanie, podpisanie i odprawienie dziękczynnej depeszy do w. księcia Mikołaja. O właściwości takiego kroku już dyskusji być nie mogło, bo wszyscy wiedzieliśmy, że w Mińsku wielu z ziemian Polaków wystąpiło z takim, może co do formy zbyt lirycznym telegramem, i Wileńska Gubernja oczywiście kaprysić nie mogła. Redakcję depeszy powierzono mi i jednemu z obecnych ziemian, nie pamiętam w tej chwili, komu. Bruljon tej depeszy zaginął mi w 1920 r. podczas okupacji mego mieszkania przez jakiegoś litewskiego bandytę - generała, lecz pamiętam, że kładłem szczególny nacisk na słowa wielkoksiażęcej proklamacji, które można było bardzo łatwo komentować w tym sensie, że wbrew gorącym wówczas życzeniom polskiej Narodowej Demokracji, ona właśnie tyczy się naszych Kresów; a były to dwa wstępne wiersze o 150 latach minionych od chwili, kiedy „żywe ciało Polski było rozdarte na kawałki“, co oczywiście oznaczało rok 1772 a nie rok 1796, a jeszcze bardziej słowa paru wierszy końcowych, twierdzących, że Rosja od Polaków nic nie oczekuje, jak tylko uszanowania praw tych narodowości, z którymi historia ich związała. O jakich to narodowościach innych niż Rusini, Białorusini i Litwini mogła być mowa? Chyba nie myślało się o Żydach lub Cyganach? Wbrew zasadom naszych „umniejszycieli“ na tym, według mego zdania, bardzo silnym koniku jeździłem aż do Traktatu Wersalskiego. — Depeszę podpisaną „z polecenia“ przeze mnie i p. Kończy, odprawiłem przez wileńskiego gubernatora i na trzeci dzień otrzymałem adresowaną bezpośrednio na moje imię odpowiedź W. Księcia, bardzo grzeczną, lecz mglistą.

Prawdziwy nastrój miejscowych Rosjan został obnażony w kilka dni później dość ciekawym incydentem, w którym

także wziąłem udział. Rennenkampf szybko przekroczył, z początku bez żadnego oporu, granicę Prus Wschodnich. Walki zaczęły się dopiero między Stołupianami a Gumbinnen. Pierwsze pociągi z rannymi wyładowywali narazie w Wilnie. Prędko się uformowała między Polakami plci obojga partja Sióstr Miłosierdzia i Sanitarjuszów. Dworzec kolejowy w Wilnie stoi na końcu miasta, a podlejszych bruków niż wileńskie chyba niema na świecie. To też biedni ranni, których wożono dorożkami do dalekich szpitali, cierpieli od wstrząśnień prawdziwe katusze. Z inicjatywy, o ile pamiętam, hr. Kaszowskiego, Wołyniaka, żonatego z Platerówną ze Żmudzi, powstał bardzo prędko liczny oddział tak zwanych brankardierów, którzy rannych przenosili na noszach do miasta. — Oczekując przybycia zameldowanego już pociągu, liczne grono takich brankardierów, wyłącznie Polaków, na peronie rozmawiało między sobą po polsku, gdy podszedł do nich i zaczął im szorstko wymawiać, że używają publicznie „przestępnego języka“, dyżurny oficer żandarmerji. Tegoż dnia ktoś z obecnych przyszedł mi o tem donieść. Uważałem, że takiego wybryku przepuścić nie należało. Ponieważ codziennie na śniadaniu spotykałem się z bardzo przyzwoitym generałem Zubowem (nie z Katarzyńskich, ale ze starej bojar-skiej rodziny), którego małkę znałem we Florencji w 1876 r., całą historję jemu opowiedziałem. Generał gorliwie zajął się tą sprawą i zmusił żandarma, aby się zjawił u mnie, niejako polskiego senjora, w pełnym mundurze i w towarzysztwie oficera, wydelegowanego jako świadka przez generała Zubowa, aby mi złożyć formalne przeprosiny. „Miłosiernie raczyłem je przyjąć“ i odtąd już o podobnych tarcjach nie było słyhać.

Jednak wstrzemięźliwy ton, co do tej w moich oczach żywotnej kwestji, prasy rosyjskiej i nawet polskiej warszawskiej, oraz przeczucie, które niestety nie przestało się wzmacniać aż do roku 1918, że Warszawa zamierza nas Kresowców „puścić kante“, zrodziły w mojej myśli projekt, skoro załatwię pilne, przez udzielone bankom moratorium wywołane kłopoty pieniężne, podskoczyć do Petersburga, a tymczasem operacje wojenne na obu frontach rozwijały się szybko. Na południu piorunowy awans wojsk austriackich na Lublin został wprowadzie zaszachowany w okolicach ordynacji Zamoyskich, ale zupełnie nieodparte wkroczenie Niemców do Kalisza z powtórzeniem belgijskich okrucieństw, a w Prusach coraz powolniejszy postęp Rennenkampfa, który wyglądał jakby swoją rękę już oddawał na odcięcie, zapuszczając korzenie pod Insterburgiem przed znacznie słabszymi siłami niemieckimi; na zachodzie, zdobycie przez Niemców Liège, odstąpienie Francuzów na smutnej pamięci Charleroi i nieczynność „marnej armji French'a“, jak się wyrażał Wilhelm II, wszystko to zaciemniało horyzont.



Ofiary się mnożyły; padł, nie zabity, lecz zamordowany na ulicy młody Hołyński, kawaler-garda, za co rosyjski pułkownik kazał rozstrzelać 100 cywilnych Boszów. Padł bohater wojny japońskiej, młody, bardzo sympatyczny, choć rdzennie zmo-skwiczały ks. Mikołaj Radziwiłł, syn Wilhelma i słynnej Rze-wuskiej, a mąż *secundo voto* „Magdaleny Iwanowny“ z Za-wiszów wdowy Ludwikowej Krasieńskiej, padł ks. Igor Romanow, syn w. księcia Konstantego Konstantynowicza; ciało jego zostało przewiezione do Wilna, rodzice na spotkanie przybyli z Peters-burga, nabożeństwo odbyło się w nowo zbudowanej cerkwi na Pohulance; jako osobiście znajomy z W. Księciem musiałem na niem być.

W tych to dniach miałem dwie bardzo ciekawe wizyty. Pięknego poranku służący zameldował, że w kuchni czeka na przyjęcie jakiś podoficer. — „Prosić“. — Wchodzi średniego wzrostu dwudziestokilkoletni, bardzo zgrabny, przyzwolonego układu, młody człowiek, salutuje po wojskowemu i rekomenduje się: „Jestem Bałachowicz, syn Józi.“ „Ach, proszę siadać“ — albowiem Józia była córką odwiecznego kucharza moich rodzi-ców, Józefa Szafrana, który między 1860 a 1864 r. służył u mojej matki w Paryżu.

Małeńka, bardzo przystojna, sympatyczna, zawsze poważna i czynna Józia, w 1867 roku była pokojóweczką przy mojej siostrze, dzięki Bogu jeszcze żyjącej Marji Meysztowiczowej. Gdy siostra odjeżdżała na ślub, mała Józia przypięła się do jej spódnicy, zabeczła wśród łez: „Ja od panienki nie odstąpię, ja za panienką na koniec świata pojadę“ — i pojechała. Potem wyszła zamaż za kucharza mojego szwagra, ze swoich oszczęd-ności wzięli u pp. Meysztowiczów małą dzierżawę, potem więk-szą, doskonale wychowali kilkoro dzieci, i stojący przede mną młodzieniec w chwili wybuchu wojny był nadzorcą leśnym wielkiego obszarnika hr. Feliksa de Broel-Platera. Został z frontu przez pułk wysłany do Wilna dla nabycia różnych narzędzi, chciał także sobie samemu coś kupić, zabrakło mu pieniędzy, osobistych i prosił, żebym mu zaawansował 25 rubli, co z przy-jemnością uczyniłem. (I zostały mi rychło przez jego rodziców odesłane.) Skorzystałem z okazji, żeby go wziąć na indagację, jak się tam na froncie dzieje. — „Źle z powodu zagadkowości zamiarów wyższej komendy, jeszcze bardziej z braku uzbroje-nia.“ — Pamiętam, że mówił mi, iż Rosjanie mają 2 karabiny maszynowe na bataljon, a Niemcy 4 na rotę — to też żołnierz zaczynał burzyć: my się Niemca nie boimy, ale chcemy wal-czyć z ludźmi, a nam każą walczyć „mięsem“ z maszynami.

Parę dni potem zjawił się uroczysty, w dwurzędowym sur-ducie, p. Karol Salmonowicz, starszy dyrektor Banku Handlo-wego Wileńskiego, z prośbą, abym ze względu na ważność chwili dla potężnych instytucyj finansowych, jemu wypowie-

dział mój szczerzy horoskop o wyniku tej wojny. Powiedziałem mu: „Ja tu widzę właściwie dwie wojny, zachodnią i wschodnią. Na zachodzie Niemiec będzie niezawodnie prędzej czy później zwyciężony — to już nie rok 1870. Skoro wojsko francuskie od paru tygodni odstępuje w pełnym porządku bez zachwiania dyscypliny i Rząd mógł się spokojnie przenieść do Bordeaux, to już minęło najstraszniejsze niebezpieczeństwo, od którego mnie, pół-francuzowi, mrówki po ciele przechodziły, mianowicie, że tak jak 4 września 1870 r. raptem, przy pierwszym znacznem niepowodzeniu runie cały budynek państwowy francuski. Znam wojsko francuskie. Ono ilościowo jeszcze ustępuje niemieckiemu, ale jakościowo jest mu co najmniej równe. A pozostaje to, że nawet gdyby ogromne siły rosyjskie były zneutralizowane przez Austrię, to jednak w tej walce już nietylko wojsk lecz narodów, sześćdziesiąt kilka milionów Niemców porwało się na przeszło sto milionów Francuzów, Anglików i Belgów, równych z nimi cywilizacją i walecznością, bogatszych i mających swobodny dostęp do morza wówczas, kiedy Niemcy lada dzień już zaczną się smażyć w garnku. Dla Francuzów i Belgów chodzi o życie, a Anglik to buldog, który gdy raz ukąsi, już nie puszcza łydki, jak tylko z mięsem w zębach. Zato znów mnie mocno intryguje to, co się dzieje na froncie wschodnim. Przeciw Austrii toczy się tak jak na zachodzie wojna na noże, ale co do Niemców, mój stary czuły nos, prędzej niż dokładne wiadomości, wskazuje na coś nieszczerego, szlucznego. Myślę o tych dwu zapaśnikach cyrkowych, którzy niby walczą zjadle, ale prawdziwych, bolesnych ciosów sobie nie zadają — i wiedzą in petto, kto wkońcu i jak drugiego położy na łopatki. Kilka dni potem Salmonowicz, który był w ścisłej zażyłości, na ty, z pułkownikiem Fedorenko, szefem sztabu korpusu wileńskiego, pozostałym w tyle, przyznał mi się, trochę zawstydzony, że miał nieostrożność powtórzyć naszą rozmowę swojemu przyjacielowi, że pułkownik strasznie się oburzył, oskarżał mnie o pół-zdradę, przebąkiwał o szubienicy i ledwie od niego wymógł „słowo honoru oficerskie“, że o tem zamilczy. A w dwa miesiące potem, kiedy już Rennenkampff, powróciwszy do łaski, komenderował drugą armją w ziemi Łomżyńskiej, ten sam Salmonowicz mi oświadczył, że pułkownik Fedorenko, który już powołany przez Rennenkampffa przyjechał na jednodniowy urlop żonę odwiedzić, formalnie go prosił, aby mi wyraził jego szczerze przeprosiny, mówiąc, że dobrze przypatrzył się, jak się rzeczy dzieją na froncie, i dodał: „Twój staruszek ma pełną rację; rzetelna wojna tak się nie prowadzi.“ (Dobrosowiecstnaja wojna tak nie wiedziotsia.)

Ta moja podejrzliwość, która się okazała przezornością co do szczerości udziału Rosji w wojnie wszechświatowej, opierała się w niemałej mierze na informacji osobistej, ogółowi

mało znanej; w końcu księgi drugiej tych pamiętników, aby nie psuć jedności opowieści o teatrze wileńskim, tylko mimochodem o niej wspomniałem, a teraz wypada się na niej zatrzymać.

Bawiąc w Ems w sierpniu 1913 roku, poznałem w hotelu całą paczkę petersburskich tuzów oficjalnych, znanych mi z reputacji tak, jak sam byłem im znany. Do tej paczki należał p. Botkin, poseł rosyjski w Lizbonie, brat osobistego lekarza rodziny cesarskiej. Człowiek wyjątkowo inteligentny, zacięty absolutysta i wróg „serdecznej Entanty”, uważany za prawdopodobnego następcę p. Sazonowa w razie, gdyby ten, jak to się zdarzyło w 1916 roku, przestał się podobać. P. Botkin zapytał mnie, czy słyszałem o bardzo ciekawym memorjale barona Rosena, byłego ambasadora w Japonii i towarzysza Wittego przy układach w Portsmouth o traktat pokojowy rosyjsko-japoński. Coraz bardziej zbliżająca się groza wojny Rosji z niemiecko-austriackim sojuszem wzbudziła w nim myśl kompletnego przewrotu polityki zagranicznej rosyjskiej, i w tym celu streścił w formie memorjalu dość obszerny projekt. Atoli oszczędny Niemiec, będąc już członkiem Rady Państwa, zamiast wydrukować swój elaborat w drukarni prywatnej, powierzył tę pracę drukarni Izby Wyższej. Zaraz doszła do wiadomości p. Sazonowa, a ten, wystraszony jej możebnymi skutkami, zdusił ją. — Lecz jeden egzemplarz, noszący w niezliczonych błędach cechę pierwszej korekty, dostał się w ręce p. Botkina, który mnie go powierzył po śniadaniu z tem, że mu go zwróć przy wieczornym obiedzie. Po przeczytaniu paru pierwszych stron już się przekonałem, że mam do czynienia z dziełem pierwszorzędnej wartości i że, o ileby rozpowszechniony między już arcywplywową prawicą Rady Państwa przy jej pomocy wpłynął na decyzję cesarza Mikołaja, a szczególnie cesarzowej, toby stanowił dla mojej ukochanej Francji wprost śmiertelne niebezpieczeństwo.

W tym memorjale, napisanym z wyjątkowym talentem, baron Rosen zalecał radykalny przewrót całej polityki zewnętrznej rosyjskiego państwa. Wychodził z założenia, że ciasny sojusz zachowawczego i absolutyczno-monarchicznego państwa rosyjskiego z francuską republiką, dziedziczną wszystkich demagogicznych tradycji wielkiej rewolucji, stanowi nonsens i musi fatalnie wpłynąć na rozpowszechnienie wśród narodu rosyjskiego dążeń do przewrotowych. Z drugiej strony dowodził, że Anglja, choć dotychczas niby konserwatywna, jest już od blisko dwóch wieków nieubłagany wrogiem i przeciwnikiem wszystkich ambicji i planów Rosji. Twierdził nawet, że monarchiczne i zachowawcze państwa niemieckie i austro-węgierskie w uiczem nie grożą prawdziwym interesom Rosji i są wskazanymi sprzymierzeńcami jej polityki tak wewnętrznej jak zewnętrznej; to też należałoby Rosji raz na zawsze wyrzec się swo-

ich zakusów na bliski wschód i nie przeszkadzać niezbędnej dla tych dwóch państw ekspansji w tę stronę. Dalej z wielką siłą utrzymywał, że bałkańskie państewka, głęboko przejęte demokracją i rewolucyjnością, są także dla narodu rosyjskiego tylko rezerwoarem trucizny moralnej, — a wreszcie zarazem trafnie i dotychczas bodaj bezprzykładnie twierdził, że kilkowiekowa mrzonka rosyjska o posiadaniu Konstantynopola, jako południowego klucza na zachód, stanowi właściwie nonsens, albowiem Rosji chodzi nie o posiadanie cieśnin Bosforu i Dardaneli, ale o swobodne z nich wyjście, czemu państwa zachodnie, a szczególnie Anglja, dzięki niedorównanej wyższości swoich flot i nowoczesnej technice, zawsze przeszkadza, kiedy zechcą. Autor wkońcu proponował: zawarcie bliskiego gwarancyjnego sojuszu z państwami centralnemi, pozostawienie im kompletnej swobody „zlikwidowania swoich rozrachunków z Francją“ i zaszachowania przewagi Anglii na morzu, co mogłoby tylko iść na korzyść Rosji, i jako rezultat, ubezpieczwszy się kompletnie dzięki takiemu sojuszowi od zachodu, zwrócić wszystkie siły i całą militarną potęgę państwa rosyjskiego w stronę Azji: przede wszystkim Korei i Mandżurji, z odwetem za bezsławną porażkę 1905 r. jednocześnie w stronę Afganistanu i Indyj, a w dalekiej przyszłości nawet Chin.

Gdy zadzwoniono na obiad, udałem cierpiącego, kazałem sobie coś przynieść do numeru, jednocześnie duży imbryk czarnej kawy, i do czwartej z rana zdążyłem przepisać cały ten memoriał.

Ale jak uprzedzić moich druhów Francuzów o grożącym im ojczyźnie niebezpieczeństwie? Podskoczyć do Paryża i ustnie uprzedzić, kogoby nalczało w ministerjum spraw zagranicznych, było łatwo. Ale wiedziałem, że cały oficjalny świat francuski w owej chwili do tego stopnia leży płazem przed „Harun-al Raszidem“ Izwołskim, że wielkość i potęga Rosji stanowią dla większości opinii publicznej francuskiej i tamecznych mężów stanu ogólny kolektywny obłęd. Mocno ryzykowałem niczego praktycznego się nie dobić, a za to być zdradzonym i na dość długi czas przejechać się do Kamczatki.

Chwyciłem się następującego fortelu. Wiedząc, że miesięcznik „Le Correspondant“ jest w paryskim ministerstwie spraw zewnętrznych uważany za szczególnie dobrze informowany o zagadnieniach polityki europejskiej, napisałem do dyrektora, p. Trogan, że posiadam ważny i dotychczas sekretny memoriał, dotyczący się trójprzymierza, i zapytałem go, czy życzy sobie, żebym mu naprędce napisał o nim recenzję z tem, że ją pod najszerszym anonimem wydrukuję w przyszłym numerze. Trogan odpowiedział telegraficznie: „allez-y“. Chociaż byłem na wyjeździe, siadłem natychmiast do pracy i z samego Ems, po-

tem z Berlina, z Wilna, z Kijowa, wkońcu z Białej Cerkwi u pani Branickiej, aby zbić z tropu pocztowe szpiegostwo, wysyłałem do p. Trojana z rozmaitych stacyj pocztowych oddzielne kartki, stanowiące ogółem dość gruby artykuł, napół złożony z dosłownych cytat Rosenowskiego memorjału, napół z moich do niego komentarzy, i artykuł pod tytułem: „Les contre-courants de la politique extérieure russe“ wyszedł w numerze miesięcznika 25 września 1913 r.

A skutek tej mojej kampanji był następny: ówczesny kanclerz niemiecki, von Bethmann-Holweg, niezawodnie mój artykuł czytał, ponieważ ode mnie ukradł, z wszechświatowem historycznem powodzeniem, wówczas zupełnie nieużywane określenie traktatów międzynarodowych jako „świszków papieru“ (chiffons de papier). Musiał być czytany w paryskim ministerstwie spraw zagranicznych, które posiada w tym celu specjalne biura, i pogardliwie rzucony do kosza jako bluźnierstwo przeciw „wielkiemu przyjacielowi i sprzymierzeńcowi“. A wiem dokładnie, bo z jego własnych słów, że ówczesny ambasador francuski w Petersburgu p. Paleologue, gdy go odwiedził na początku września 1914 r., już w czasie wojny wszechświatowej, i po dokonanej przez generałów Rennenkampfa i Żylińskiego zdradzie, która spowodowała klęskę i samobójstwo Samsonowa pod Tannenbergiem, nietylko o moim artykule w „Le Correspondant“ lecz i o Rosenowskim memorjale, który był znany co najmniej połowie Rady Państwa i który może w znacznym stopniu przyczynił się do systematycznego sabotażu wojny rosyjsko-niemieckiej, absolutnie nic nie wiedział, bo bardzo mnie prosił, abym zaraz po powrocie do Wilna, wysłał mu egzemplarz mojej pracy.

„Il n'y a pas de pire sourd que celui qui ne veut pas entendre.“

Nastąpiła straszna klęska armji Samsonowa pod Tannenbergiem i rejterada, a raczej ucieczka, armji Rennenkampfa.

## Rozdział II.

Petersburg we wrześniu 1914 r. — Łazduny. — Warszawa w styczniu 1915. — Memorjał do pp. Jengałyczewa i Lubimowa.

Dla Wilna, z powodu oddalenia, Niemna i silnej forticy kowieńskiej — bezpośredniego niebezpieczeństwa nie było. To też 15 września, już po „Cudzie nad Marną“ wyruszyłem do Petersburga. Zamieszkałem na Dworcowej Nadbrzeżnej w moim Klubie, którego prezesem naówczas był generał adjutant ks. Jusupow, bardzo dla mnie uprzejmy, ojciec przyszłego zabójcy Rasputina, żonatego z rodzoną siostrzenicą cesarza Mikołaja. Byłem w centrum prawdziwych wiadomości i plotek. Przedewszystkiem udałem się na wywiady do tych, którzy trzymali rękojeść państwową. Ówczesne Ministerstwo było, jak zawsze w Rosji aż do samego końca monarchji, podzielone na grupy potajemnie z sobą walczące i rozpadało się na dwa obozy: z jednej strony stosunkowo umiarkowani i dla nas nieźle lub nawet dobrze usposobieni: prezes Rady Ministrów Goremykin, minister spraw zewnętrznych Sazonow i bardzo wpływowy minister dóbr Państwa i Rolnictwa Krywoszein; z drugiej zaś strony zajadli polakożercy: minister sprawiedliwości Szczegłowitow, minister spraw wewnętrznych Makłakow, spraw wojskowych Suchomlinow i *minores gentes*. Pana Sazonowa, osobście mniej mi znanego (wstąpił do Rady Państwa dopiero pod koniec mego w niej udziału), na ten raz nie rozpytywałem, wiedząc z pewnych źródeł, że już żałuje swojego ojcostwa Wielko Książęcej proklamacji, ograniczyłem się do wyczerpujących rozmów z pp. Goremykinem i Krywoszeinem. Obaj byli mi od początku kolegami i w Radzie i w Klubie. — Goremykin, który przeważnie starał się mnie samego wybadać co do szans powodzenia Aljantów Zachodnich, już twardo i niewzruszenie siedział na trzech zasadach: 1<sup>o</sup> warunkowość Wielko-Książęcego manifestu, ciasno związanego ze zdobyczą Wielko- i Małopolski, 2<sup>o</sup> wewnątrzno-rosyjski a nie międzynarodowy charakter kwestji polskiej i 3<sup>o</sup> wykluczenie Kresów.

Daleko więcej pocieszającą była rozmowa z Krywoszeinem. Wielki wielbiciel mego rodzaju krasomówstwa przywitał mnie

jako „ulubionego słowika“. Nie skrywając, że proklamacja Wielko-Książęca Kresów się nie tyczy, twierdził, że prawdziwym jej celem jest wieczyste pojednanie rosyjskiego i polskiego narodu; że tu (rozwiął tę myśl bardzo wymownie), głoszenie połowy polskiego narodu na części jego dawnego terytorjum nie doprowadziłoby do celu, na reszcie zaś tego terytorjum systematycznie rozdrażniałoby drugą część narodu, ilościowo mniejszą, lecz jakościowo co najmniej równą, ponieważ dostarczyła temuż narodowi więcej niż połowę wszystkich znakomitych ludzi, którymi się szczyci. — (Krywoszczin tę połowę dobrze znał, bo całe dzieciństwo i pierwszą młodość przeżył w Grodnie.) Dlatego zapewniał mnie, że o ile jego najgorętsze starania nie pójdą na marne, to dla Kresów także, jeśli będą reformy, których granicą byłoby całkowite równouprawnienie z rdzennymi Rosjanami, to te reformy mogą być tylko w kierunku złagodzenia dzisiejszych warunków. Dla pewności, gdy już odprowadził mnie i schodziłem ze schodów, jeszcze otworzył drzwi i krzyknął: „Pamiętajcie, Hipolicie Oskarowiczu, tylko w kierunku dalszych ulg.“

Z Polaków cokolwiek na widoku będących żadnego w stolicy nie było, prócz ś. p. Ludomira Dymyzy, posła do Dumy, którego prawie codziennie widywałem; parę razy u niego spotkałem jego bratową, Rumunkę z urodzenia, damę wielce wykształconą i roztrofną, krewną i przyjaciółkę posła rumuńskiego, p. Diamandi, dziś zajmującego taką posadę w Paryżu i mojego kolegi z klubu „de l'Union“. Człowiek bardzo wartościowy. Pani Dymyszyna już wówczas poufnie wobec mnie twierdziła, co się w 14 miesięcy potem sprawdziło, że niby walająca się Rumunja z pewnością wejdzie w szranki i to po stronie aliantów, ale że z braku amunicji i pieniędzy może wojować tylko 3 miesiące, zatem wystąpi tylko w końcu wojny. Zrozumiałem, że tak jak nicmało innych „rzuci się na pomoc zwycięzcom“.

Właściwie główny cel mojej wycieczki (podrzednym było wypróbnienie kiczeni i przeprowadzenie całej gotówki do Paryża, co jeszcze było możebnem) był osiągnięty, ale złapałem dzięki obrzydliwej petersburskiej jesieni pierwszą z czterech w tym roku influencę i jeszcze parę tygodni posiedziałem w stolicy. W tym czasie między zarządcm Monopolu Spirytusowego a obecnymi w mieście gorzelnikami zaszło porozumienie co do tego, jak wobec zupełnie zabronionej sprzedaży alkoholu<sup>1</sup> ma

<sup>1</sup> Ten zakaz tyczył się także wina (równość demokratyczna). To też gdy w słynnej restauracji Cubat zażądał pół butelki wina, znajomy mi Tatar odrzekł: Srogo zakazano; ale może „wasza jasność“ poprobuje naszego „soku winogronowego“? — Jaki macie? — Mamy ze wszystkich winogron rosnących koło Bordeaux, a także w Burgundji. — Dawajcie sok z Medoku. — Podali. naturalnie w karafe.

być z kampanją gorzelniczą 1914/15. Uchodziłem w sferach ekonomicznych rosyjskich za „rabina“ w kwestiach gorzelniczych (i hodowli koni) i przyczyniłem się do kompromisu, mojem zdaniem bardzo dla gorzelników korzystnego, na mocy którego każda gorzelnia, która wyrzeknie się palenia podczas tej kampanji, otrzyma zgóry w gotówce 20 % wartości swego kontryngensu według cen zeszłorocznych.

Co wieczór w Klubie zbierało się do obiadu kilka osób. od których można było dowiedzieć się coś ciekawego. Szczególnie wiceprezes Klubu ks. Konstanty Gorczakow, syn sławnego kanclerza, obracający się w kołach dyplomatycznych, wiceprezes Duny państwowej książę Wołkoński, syn naczelnika sztabu Ministerstwa Wojny i sam sztabowiec, rotmistrz Frołow i inni — a przed obiadem dwa filary codziennego bridga, wspomniany książę Jusupow i przedostatni później prezes Rady Ministrów carskich, mój kolega z Rady Państwa, Aleksander Teodorowicz Trepow. Z tym ostatnim, największym leniuchem na kuli ziemskiej, ale wyjątkowo byстрыm, który potem jako minister dróg i komunikacji i twórca w czasie wojny drogi żelaznej do Murmanu wykazał bajeczną czynność, miałem ciekawą rozmowę. Wychwalał przede mną znakomity duch i ofiarność, jaką niespodziewanie okazały masy ludowe włościańskie i robotnicze. Powiedziałem mu dosłownie: „Tak jest, ale niedaremnie pewien pisarz pisał: „Biada tym, którzy podejmują mętne fale bagna ludowego.“ Po zwycięskiej wojnie te masy u naszych aljantów i u nas przedstawia rachunek swoich cierpień i strat. A u nas będzie ten rachunek bardzo długi.“ — Na to Trepow (mówiliśmy po francusku) „Eh bien, on la payera, cette addition.“ Mądry mąż stanu rzeczywiście w ciągu swego krótkiego premierostwa starał się rachunek zapłacić, przynajmniej dać a conto, i możeby wyciągnął z przepaści tonącą monarchję, gdyby tak jak tylu innych (książę Szczerbatow, Samarin, Krywoszejn e. t. c.) nie poślizgnął się na podstawionym pod tron przez „Boga Zemsty“... Rasputinie.

Jusupow opowiadał mi szczegóły (i to potwierdził Frołow) strasznej katastrofy z armją Samsonowa pod Tannenbergiem. Właściwie to Hindenburg i Ludendorff powinni byli być otoczeni i zgruchotani do ostatniego człowieka, gdyby przyszli Samsonowi na pomoc: z jednej strony Rennenkampf ze swojami 180.000 żołnierza, z drugiej generał Żyliński, który na granicy ziemi Łomżyńskiej i południowo-pruskiej miał pod sobą 5 korpusów; lecz obaj, słysząc kanonadę Samsonowa, z miejsca nie ruszyli, twierdząc, że „Samsonow nzebierał dość wawrzynów, niech się wygrzebie sam.“ Wszak generał Hoffman (może Ludendorff?) w swoich pamiętnikach twierdzi, że dla zgruchotania Samsonowa Hindenburg od frontu przeciw Rennenkampfowi odciągnął całe wojsko, prócz jednej brygady, która udawała, że



jego trzyma w szachu, a Reunenkamp udawał, że w to wierzy. Słusznie jeden z francuskich historyków wojny pisze, że kto chce zrozumieć operacje wojny niemiecko-rosyjskiej musi nad swoją opowieścią napisać wielkimi literami motto: Zdrada.

A obok zdrady, jako przykład nieopisanej opieszałości tego wojska rosyjskiego, książę Wołkoński nam opowiadał następujący epizod, który się zdarzył z jego synowcem. W piękny sierpniowy dzień on, jego kolega i ich ordynans, rozkwaterowani w pustej niemieckiej willi, widzą o jakiś kilometr, prawie otoczone laskiem, ładne jezioro. Zachciało im się użyć kapieti, i marsz. A kiedy dwaj oficerowie pluskają się w wodzie, a ordynans na brzegu pilnuje ich ubrań, wyjeżdża z lasku długa fura niemiecka, na niej oficer, sześciu szeregowców z karabinami i mitraljezą. Spłoszony ordynans zaczyna wrzeszczeć. Dwaj oficerowie w kostjumach papieża Adama wyłazą z wody. Niemcy stanęli i odrazu podejmują czternaście rąk do góry; goli oficerowie i ordynans biorą ich do niewoli, włożą na furę, jadą do willi; tam drugi ordynans przygotował siakie takie śniadanie, znalazł się i sznaps. Rosyjscy oficerowie goszczą swego jeńca. Związują się rozmowa i po czwartym czy piątym kieliszku Moskale zaczynają drwić ze swego Niemca, że siedmiu do zębów uzbrojonych ludzi dało się wziąć do niewoli dwóm gołym nieprzyjaciółom. Niemiec na to: „A cóż było robić? Wszakże nie poszłicie w takim czasie się kąpać o kilometr od swego mieszkanka, nie rozstawiwszy po lesie najmniej tuzina szyldwachów, którzyby nas jak kuropatwy rozstrzelali.“ A gdy mu Rosjanie wytłómaczyli, jak było w rzeczywistości, Niemiec oburzony: „Pfuj, z wami Rosjanami człowiek nie przewidzieć nie może.“

Mniej więcej w miesiąc po rozpoczęciu operacji wojennych rotmistrz Frołow spotyka mnie, radośnie wykrzykując: „Witajcie mi, Hipolicie Oskarowiczu, dziś skończyliśmy uzbrajać piąty miljon żołnierzy.“ — Ja na to: „Czy pewnie uzbrajać? Może prędzej odziać i opatrzyć w łyżki i miski, bo wszakże w Wilnie skonstatowałem temu kilka dni, że całe wojsko garnizonowe i zapasowe niedaleko linii bojowej jest uzbrojone nie w karabiny magazynowe, lecz w stare berdanki?“ Na to Frołow z istic rosyjską niedbałością: „To się znajdzie w swoim czasie.“ Znalazło się dopiero w 15 miesięcy później, kiedy Centrowcy już się na stałe okopali od Dynaburga do Zbrucza, na całej linii drugiego podziału Polski.

Podczas tego pobytu odwiedziłem parę razy p. Paleologue'a, ambasadora Rzeczypospolitej francuskiej; człowiek światły i światowy, bardzo zgrabny i zajmujący pisarz, z którym potem jeszcze lepiej się poznałem w Paryżu, po rewolucji rosyjskiej. Wydał mi się mniej wtajemniczony we wszystkie podziemne podkopy i intrygi dworskie, niż było do życzenia. Wprawdzie

w tej chwili Rasputin jeszcze leżał gdzieś na Syberji, ciężko raniony przez jedną ze swoich niezliczonych ofiar kobiecych. O kwestji polskiej wyrażał się jednocześnie i bardzo sympatycznie i bardzo wstrzemięźliwie, oczywiście bał się Sazonowa, w wydanych zaś po wojnie swych pamiętnikach opowiada, że Sazonow go ostrzegał przed stosunkami z pewnymi Polakami, mianowicie, Zygmunt Wicłopolskim, Adamem Zamojskim i mną.<sup>1</sup>

Tymczasem klęska Rennenkampfa została zatkana i nawet generał Siewers znowu osiadł aż do następnego marca na samej granicy ziemi pruskiej. — Natomiast Hindenburg podszedł forsownym marszem aż pod samą Warszawę, został triumfalnie, szczególnie dzięki pułkom tak zwanym syberyjskim a w rzeczywistości złożonym przeważnie z samych Polaków, odrzucony aż za granicę niemiecką, około Kalisza zgrabnie przerzucił swoje wojska w stronę Torunia, i z północy znowu kroczył piorunująco na Warszawę. Pod Łodzią ze swojemi ośmiu dwudziwizyjnymi korpusami został niemal całkowicie okrążony przez czternaście (każdy o jedną dywizję lżejszy) korpusów Wielkiego Księcia. Ocalał dzięki uprzejmym omyłkom „łścieruskich“ generałów Szejdmana i Rennenkampfa i osiadł na całą zimę nad Bzurą koło Sohaczewa. Nastąpiło dość długie wojenne i polityczne zacięcie.

Większość tego czasu przesiedziałem w Łazdunach; na Nowy Rok opanowała mnie myśl zwiedzenia Warszawy i „obwąchania“ tamecznej atmosfery. Na Lidę — Wołkowysk — Sielce wyjechałem 6/19 stycznia w Warszawie w Hotelu Europejskim. Po obiedzie odwiedziłem moją byłą marszałkową gubernalną, wdowę po słynnym panu Adamie, panią Genowefę z Pusłowskich hr. Broel-Plater, która mi powiedziała, że już zainstalowali się w Warszawie nowy generał-gubernator książę Jengalyczew, a jako towarzysz jego w sprawach cywilnych, nasz były gubernator wileński Dmitri Mikołajewicz Lubimow, dobry nasz wspólny przyjaciel, który w ziemi wileńskiej zostawił najlepsze wspomnienia.

Wieczorem jadłem obiad w Klubie Myśliwskim obok przejeżdżającego i powracającego ze Lwowa lirabiego Dmitrja Adamowicza Olsufjewa, człowieka odznaczającego się rzadką u Ro-

<sup>1</sup> P. Paléologue, uważając mnie za półrodaka, powiedział mi wówczas to, co prawie dosłownie miał mi powtórzyć w 1915 r. p. Poincaré: „Porażki wojsk rosyjskich na rezultat wojny nie wpływają; trzeba aby do końca utrzymali na swoim froncie poważną część sił nieprzyjaciela, a ostateczne zwycięstwo militarne będzie naszą i Anglików sprawą.“

sjan, lecz w takim razie absolutną, szczerością. Powiedział mi, że ta podróż, w którą się puścił jako pielgrzymkę do rosyjskiej Jerozolimy, stanowi największe rozczarowanie jego życia. Sprawdził bowiem, że Lwów jest niemniej polskiem miastem jak sama Warszawa i oburzał się na działalność Wł. Bobryńskiego, który, wytipia polskość na korzyść nie rosyjskości, lecz daleko niebezpieczniejszego dla Rosji od polskości, ukraïnizmu.

Nazajutrz rano, kiedy jeszcze oczekiwałem na ranną kawę, słyszę silne pukanie do drzwi, wołam: „Wejść“ — siada obok mego łóżka Lubimow i prosto z mostu: „Gołąbku. Kochanieńko. Hipolicie Oskarowiczu, Genowefa Wandalinówna mówiła mi o pana przyjeździe, jeszcze wieczorem telefonowałem do księcia Jengałyczewa i oto jestem, bo zaiste to Pan Bóg tu pana zesłał. Przyjechaliśmy obaj z twardym, tam na szczytach przyjąłem programem, zaprowadzenia natychmiast szeregu reform zdolnych wzbudzić w polskiem społeczeństwie przekonanie, obecnie zachwiane, że obietnicy w. księcia Mikołaja nie stanowią puste słowa; lecz obydwaj zupełnie obcy lutejszemu krajowi nie wiemy, z jakiego końca zacząć. Nikt lepiej od pana nas z kłopotu wybawić nie zdoła. Uważam pana za szczerego monarchistę a zarazem dobrego Polaka, wyrobionego męża stanu i cieszącego się poważaniem pańskich rodaków. Pan to musisz nam pomóc i ułożyć program.“ — „Ależ Dmitrze Mikołajewiczu, ja byłbym wprowadzić wskazany w Wilnie, ale nie tutaj. — Wszak panu wiadomo jak i mnie, bom niedawno był w Petersburgu, że nawet w oczach najlepiej dla Polaków usposobionych dygnitarzy wszystko, co się robi, powinno się ograniczyć ściśle do Królestwa Polskiego, poza granicami którego zresztą i Pan i książę żadnej władzy nie posiadacie. Lecz rzecz bardzo prosta. W Warszawie jest już od półtora miesiąca ukonstytuowany i działający Komitet Narodowy Polski. Na czele jego stoją: niemniej pewny ode mnie Zygmunt Wielopolski i od kilku lat już bardzo umitygowany w dążnościach swoich Roman Dmowski, zajadły wróg Niemców i zwolennik Ententy. Zwróćcie się panowie wprost do tego Komitetu, a nie wątpię, że z nim dojdziecie do porozumienia.“ — „Ale właśnie bieda w tem, że choć to może chińszczyzna, lecz nam formalnie zabroniono uznać oficjalnie ten Komitet i wejść bezpośrednio z nim w stosunki. Trzeba nam pośrednika — i właśnie pan jesteś wskazany, a możesz pan czerpać swoje natchnienia, gdzie sam zechcesz.“

Na tej kanwie rozmowa trwała aż do trzeciej po południu. Musiałem w obecności p. senatora ubrać się, sprowadzić do numeru śniadanie i stanęło na tem, że Lubimow tu na miejscu wystosował do mnie, jako rodzaj akredytywy, dosyć długi list, w którym ustanawiał wytyczne punkty projektowanych reform i prosił mnie o wystosowanie do niego odpowiedzi na piśmie,

W  
był  
zostawiając mi zresztą prawo do tych jego propozycji i w porozumieniu z moimi doradcami dodać, co będę uważał za użyteczne; z zastrzeżeniem jednak, że w chwili obecnej jest do życzenia, aby proponowane ulgi mogły być wprowadzone „w porządku Najwyższego Zarządu“ (w poradzie kierownictwa), aby można było obejść się bez Izby prawodawczych, w których górowały tendencje nacjonalistyczne. — Ledwie zamknął drzwi — poleciałem do Bristolu, w którym wiedziałem, że przebywa członek Dumy i Komitetu Narodowego Ludomir Dymśa, w kilku słowach streściłem przedmiot mojej z Lubimowem rozmowy i wprost razem pojechaliśmy do Zygmunta Wielopolskiego. Znaleźliśmy go w łóżku chorego na influencję i gorączkującego. Wysłuchał mego sprawozdania bez wielkiej wiary w skutek, ale formalnie mnie upoważnił i prosił, abym poszedł po wskazanym przez Lubimowa tropie, gdyż można coś tym sposobem uzyskać, a w najgorszym razie Komitet Narodowy przeze mnie zaangażowany być nie może. — Tegoż wieczora i nazajutrz przy śniadaniu w Klubie Myśliwskim zwierzyłem się ze wszystkimi różnym obecnym członkom Komitetu Narodowego lub wpływowym działaczom, z których mogę jeszcze z pewnością wymienić ś. p. Eustachego Dobieckiego, ks. Macieja Radziwiłła, Leopolda barona Kronenberga, Józefa Ostrowskiego, ks. Seweryna Czertwiernyńskiego, naówczas bardzo czynnego prezesa Komitetu Obywatelskiego, który rozporządzając liczną kancelarią, wielce pomógł mi w robocie, dostarczając mi zdolnego stenografa - daktylografa. Naturalnie, że u wszystkich tych panów rozpytałem, co oni, wszyscy obywatele Królestwa Polskiego, uważają za pożądane i możliwe. Przyznam się, że się spodziewałem, iż mnie zaproszą na poufną naradę z samym Komitetem Narodowym, ale taka propozycja nie nastąpiła. Uważając jednak, że w danych mi odpowiedziach brakuje jednomyślności a szczególnie systematyczności, pomyślałem sobie, że rzeczywiście kompetentnym będzie p. Roman Dmowski, telefonicznie się z nim skomunikowałem i otrzymałem „Allerhöchsten Empfang“ w jego mieszkaniu o 12 w nocy.

W futrze, z czapką na głowie i derą na nogach, bo już był głód opałowy, przesiadziałem u mistrza dwie godziny z ołówkiem w ręku i arkuszem papieru i ułożyłem z nim wszystkie decyzerale do przedstawienia Lubimowowi, żadnego z proponowanych przez niego nie przepuszczając, żadnego z moich, przez niego nie akceptowanych nie notując, rezerwując sobie samemu naturalnie, ponieważ szło o list osobisty do p. Lubimowa motywowanie i redakcję; prócz tego nie obeszło się bez rozmowy, z której dwa szczegóły, dobrze malujące nastrój ówczesny, pozostały mi w pamięci. Już wówczas jako staremu „animal pensant“ kręciło mi się w głowie, a w końcu końców bez żadnego nawet ze strony Polaków, a tem bardziej szczerych

lub nieszczerých naszych przyjaciół starania, może jako wynik tej wojny, mianowicie w razie zakończenia jej drogą kompromisową, wyskoczyć Polska niepodległa, i zapytałem się p. Dmowskiego, czy są obecnie w Królestwie jakie partje lub ugrupowania, któreby sobie taki program postawiły?

Odpowiedział mi dosłownie: „Może się znaleźć kilka starych guwernantek, które marzą o pięknym księciu Wied, wkraczającym na białym koniu na Krakowskie Przedmieście; poza tem mało kto o tem myśli.“ Powiem, że, niezależnie od humorystycznej formy tego zdania, ono bodaj w chwili ówczesnej trafnie wyrażało przeważającą w kraju opinię.<sup>1</sup> Była też mowa o projektowanej wówczas w Warszawie formacji legjonu polskiego po tej stronie linii bojowej. Opowiadał mi szczegółowo swoje w tym przedmiocie pertraktacje z generałami Januszkiewiczem, ówczesnym szefem Generalnego Sztabu i innymi, nie kryjąc zresztą, że tak jak ja nie sprzyjał tej myśli, która mogła się skończyć na postawieniu dwóch polskich legjonów jeden naprzeciw drugiemu, i zaprosił mnie, abym nazajutrz udał się do wielkiej sali przemysłu na Krakowskim Przedmieściu, gdzie się odbywały przez władze tolerowane zebrania publiczne. — Z pewnem zdziwieniem (urodziłem się, zawsze byłem i jestem człowiekiem naiwnym) usłyszałem długi referat o tych legjonach, zawierający praktyczne wskazówki o sposobach zapisywania się do nich, lecz z którego żadną miarą nie mogłem zrozumieć, czy mówca zaleca swoim słuchaczom wstąpienie do nich, czy przeciwnie uważa to za niepożądane.

Po powrocie z urady z p. Dmowskim, siadłem do roboty. i w piątek rano mój list-memorjał do p. Lubimowa był gotów, w kilkunastu egzemplarzach odbity; natychmiast poniosłem go na egzamin do ś. p. Ludomira Dymyzy. Znalazłem właśnie u niego p. Dmowskiego — a Dymsza się pakował na wyjazd do Petersburga. Prosiłem p. Dmowskiego, aby mi udzielił pół godziny czasu dla wysłuchania mego utworu. Ku memu zdziwieniu, nawet zgorszeniu, wymówił się jakąś pilną wycieczką, prosił tylko, abym mu dostawił jeden egzemplarz do domu, Dymsza zaś, dalej się pakując, słuchał uważnie i był, jak mówił, do tego stopnia zadowolony, że prosił o darowanie mu jednej odbitki, żeby w Petersburgu ją wydrukować w 1000 egzemplarzy i rozdać wszystkim członkom obu Izb Prawodawczych, wyższym urzędnikom i redaktorom wpływowych

<sup>1</sup> Dodaje, że S. Askenazy w swoich „Uwagach“ cytuje z protokółów posiedzeń Komisji Goremykinowskiej z 5 lipca 1915 następujące słowa p. Dmowskiego: „Obecnie Polacy są przesiąknięci przekonaniem o pełnej nierozłączności Polski od Rosji.“ Znowu, bardzo może być, że p. Dmowski w rozmowie ze mną trzymał się tej samej ostrożności co z Goremykinem, bojąc się, żebym go nie zdradził przed pp. Jengatyczewem i Lubimowem. Wszak wówczas cały naród polski składał się z konspiratorów... a poczęści denuncjantów.

gazet. Na to się żadną miarą nie zgodziłem i, wręczając mu jeden egzemplarz, rzekłem: „Możesz go użyć słownie jak chcesz, wziąć go za kanwę dla własnych rozmów lub referatów, ale na rozpowszechnienie jego dosłownego tekstu zgodzić się nie mogę, gdyż chcę mu zachować charakter prywatnego i poufnego listu do p. Lubimowa, jak muie o to prosił, inaczej popełniłbym grubą niedyskrecję.“ Tegoż samego dnia udałem się znów do p. Dmowskiego, a nie znalazłszy go w domu, położyłem sam memorjał na jego biurku, prosząc służącą, aby ten referat zaraz po powrocie oddała swemu panu. W Klubie Myśliwskim dałem do przeczytania wszystkim wyżej wymienionym kolegom, z których jedni wyrażali się o nim ze szczerą pochwałą, żaden najmniejszej krytyki ani co do treści, ani co do formy nie podniósł. — Nazajutrz rano w sobotę posłałem ten list p. Lubimowowi, raz dlatego, że parę razy się dowiadywał, czy już gotów, powtórę dlatego, że w międzyczasie otrzymałem od siostry Meysztowiczowej rozpaczliwy list, uwiadamiający mnie, że jeden z młodszych jej bliźniaków jest bardzo niebezpiecznie chory, i zaklinający, bym natychmiast przyjeżdżał i przywiózł z sobą jakąś znakomitość lekarską. Przed śniadaniem zaszedł do mnie znowu Lubimow i w imieniu swoim i księcia Jengalczewa, z którym już dwa dni wcześniej miałem długą konferencję, oświadczył, że książę, na cześć którego margrabina Wielopolska miała nazajutrz wydać wielki obiad, spodziewa się mnie na tym obiedzie spotkać i osobiście podziękować. Rzeczywiście tegoż wieczora otrzymałem od margrabiny telefoniczne zaproszenie. — Nazajutrz, w niedzielę rano, p. Dmowski mnie odwiedził. Dowiedziawszy się, że memorjał już został wręczony, wypowiedział wstrzemięźliwe niezadowolenie, że się pospieszył (lecz inaczej zrobić nie mogłem, a miał aż nadto czasu, kiedy chciał, dla zakomunikowania mi swoich uwag) i więcej go, aż rok później w Paryżu, nie widziałem. U margrabiny Jengalczew wziął mnie na długie a parte, znów gorąco dziękował, zaręczał, że i on i Lubimow przyjmują proponowany im program jako swój własny i nazajutrz umyślnym kurjerem wyślą ten memorjał na ręce p. Krywoszeina z prośbą, aby przeprowadził wszystkie jego postulaty przez Radę Ministrów i otrzymał sankcję monarszą.

Nocnym pociągami powróciłem do Wilna. Tłómaczenie tego memorjału, który dotychczas świata nie ujrzał, jednak nie jest bez historycznego znaczenia jako prawdziwe zwierciadło ówczesnego usposobienia, ponieważ jego postulaty były bez wyjątku uchwalone, właściwie nawet natchnięte przez ówczesnego „kierownika polityki polskiej“, podaję przy końcu jako załącznik.

To zaś, że w trzy lata później usposobienia, dążności i program tych samych sfer i tego samego „ojca ojczyzny“

były już zupełnie inne, nie odbiera, lecz dodaje wartości temu faktowi, przynajmniej dla badaczy historycznych, w oczach których ewolucja myśli ludzkich jest niemniej pouczająca, niż kolejność zdarzeń.

A oryginalny epilog całego incydentu był następny: Po-wróciwszy do Wilna 1 lutego, nie nikomu o moich z panami Lubimowem i Jengałyczewem pertraktacjach nie mówiłem nie-tylko przez dyskrecję, lecz dlatego, że byłem całkowicie pogrą-żony rozwijającą się szybko choroba, potem śmiercią biednego Edwarda Meysztowicza, którego kochałem jak dziecko rodzone, i jej następstwami. — Dopiero w kilka tygodni podpadł mi pod oczy sażnisty artykuł wstępny w Kurjerze Litewskim, pod-pisany przez jego redaktora p. Józefa Hłaskę, w którym cała szpalta była poświęcona zgruchotaniu dosłownie niewymienio-nego, lecz bardzo przezroczyście opisanego p. Antoniego Żwana, za to, że się ośmielił bez pozwolenia nauczycieli napisać parę listów o kwestji polskiej do gazet francuskich. Poczem nie-mniej jasno mierząc do mnie, choć z wazeliną „większych reputacyj i zasług“, zarzucał mi (cytuje z pamięci, lecz bodaj dosłownie): że „nieproszony, bez podziękowania, nikogo się nie radząc i nie pytając, ułożył projekt reform i złożył swój ela-borat w ręce dygnitarzy.“

Zdarzyło się, że parę dni później spotkałem się na jakiejś licznej naradzie z p. Hłaską u pana Bronisława Umiastow-skiego. Skorzystałem z tej sposobności, żeby opowiadając o siedmiogodzinnej wizycie u mnie p. Lubimowa, dwugodzin-nej rozmowie z ks. Jengałyczewem, moich konferencyach ze ś. p. Zygmuntem Wielopolskim, Ludomirem Dymszą i innymi a szczególnie z p. R. Dmowskim, oświadczyć panu Hłasce bez żadnych ogródek, że w jego tyczącym się mnie artykule, ile słów, tyle kłamstw (sic). — Pan Hłasko, ani słowem nie do-tykając kwestji prawdy lub nieprawdy, puścił się w zawikłane tłumaczenie o suwerennych prawach redaktorów, a obelżywy zarzut połknął. Tyko przy wyjściu p. Umiastowski wobec jednego ze swych gości powiedział mi, że m daremnie skrzywdził biednego, duszę Bogu winnego Hłaskę, gdyż jemu, Umiastow-skiemu, wiadomo, iż w wilję pojawienia się na świat tej filipiki, otrzymawszy depeszę od jadącego do Petersburga p. R. Dmow-skiego, że zatrzyma się na dworcu kolejowym od jednego pociągu do następnego, p. Hłasko miał z nim ogromną konfe-rencję i swój artykuł napisał niezawodnie „z n a j w y ż s z e g o polecenia.“

To się w życiu prywatnem nazywa psikus — a w po-litycznem — przynajmniej polskiem — taktyką.

O cudowna siło słów! Wyraz „psikus“ brzmi nieładnie, zmniejsza urok wielkiego polityka. Ale „taktyka!“ Zaraz się

myśli o Hannibalu, o ks. de Condé, o Fryderyku Wielkim. Prosimy siadać. Prawie to samo co nienaruszalne godło „demokracja“ lub „postęp“. To też tę taktykę wykreśliłem z porachunków... lecz nie z pamięci.

Odrzućmy zgadłem, że projekty p. Lubimowa wzięły w łeb, inaczej cała chwała poszłaby na korzyść ojca ojczyzny, a mnie, o ilebym nie był „przypadkiem“ zapomniany, zostawiliby zasługę dobrowolnego gryzmoły.

Aby mieć co do tego czyste sumienie, a także by przygotować coraz więcej dojrzewający w mojej myśli projekt wyjścia aż do końca wojny do Francji, wybrałem się znów do Petersburga. Znowu zamieszkałem w Klubie, znowu nabawiłem się grypy, co przedłużyło mój pobyt na kilka tygodni.

I znowu miałem kilka interesujących rozmów, wartych wspomnienia. Zaczęły Krywoszein przyjął mnie jak zawsze po przyjacielsku, lecz z nosem na kwintę. Rasputin wyzdrowiał i stał się znowu groźnym. Skorom wspomniawszy o moim dla p. Lubimowa memorjale, Krywoszein wyciągnął go z biurka i rzekł: „Otrzymałem go, natychmiast przedstawiłem „gdzie się należy“ i oto, jak widzicie, Hipolicie Oskarowiczu. Powrócił do mnie na wieczny odpoczynek. Od zeszłej jesieni wiatr się zmienił co do was Polaków z Kresów; dziś cieszyć się, jeśli nie będzie wam gorzej. A co do Królestwa, to niestety każda porażka naszych wojsk trochę mu pomaga, a każde powodzenie bardzo szkodzi. — Dość długo jeszcze rozmawialiśmy o perspektywach wojennych, o coraz wzmagającym się wpływie cesarzowej Alexandry i kamaryli absolutystów. — Pożegnaliśmy się w tonie minorowym i więcej tego mądrego i pocziwego człowieka nie widziałem. Pana Goremykina ani żadnego z półbogów zagabać już nie chciałem, aby znowu po palcach nie dostać. W owych dniach sprawy wojenne poprawiały się; na południu upadek Przenyśła oczekiwany był z dnia na dzień i trochę się spacerowało za Karpatami. Zato się psuło na północy, gdzie Siewersa z krańca Prus Wschodnich przepędzili. Pomimo to książę Jusupow, gdy mu się zwierzył z moim zamiarem wyjazdu zagranicę, wziął mnie na stronę i, jakgdyby odkrywał wielką tajemnicę, powiedział: „Poczekaj pan kilka dni, a najwyżej parę tygodni. Przy pańskim stanie zdrowia dwie chwilowo otwarte drogi są dla pana obie niebezpieczne — przez Szwecję, morze Północne i Anglię z powodu chłodu — a na południe przez Rumunję, Bułgarię i Dedeagacz miałbyś pan bardzo uciążliwą i długą podróż lądem, różne przykrości i trudności ze strony Bułgarów; tymczasem lada dzień Dardanele będą w ręku aliantów, Konstantynopol w naszym, stąd do



Odessy znajdziesz pan najlepszy pociąg w Europie (co było prawdą), a z Odessy do Marsylii jakikolwiek pływający pałac francuskich „Messageries Maritimes”. — Co z tym drugim dzbankiem Peretki wyszło, każdy pamięta.

Niemniej ciekawego incydentu byłem świadkiem u ś. p. Ludomira Dymyzy, mianowicie konfliktu dwóch „orientacyj”. Trzecia, ani austriacka ani rosyjska lecz prosto polska, jeszcze kielkowała w rzadkich mózgach. Proszony na poufną herbatę wieczorem, znalazłem tylko profesora Petrażyckiego, znanego mi jako członka pierwszej Dumy Państwowej, i nieznanego pana Stanisława Grabskiego, profesora uniwersytetu lwowskiego (niedawno ministra oświaty). Gdy wszedłem, toczyła się między dwoma uczonymi rozmowa przy temperaturze co najmniej 38,5 stopni. Pan „ordinarny” profesor impieratorskawy pieterburskawy Uniwersyteci — gorzko zarzucał panu „ordentlicher Professor der kaiserlich-königlichen Universität zu Lemberg” — jego czarną niewdzięczność względem czcigodnego, zasłużonego dla narodu polskiego twórcy swobody polskiej w Galicji, cesarza Franciszka Józefa. A w odwet Herr kaiserlich-königlicher Professor piorunował na ordinarnawo profesora za to, że odgrywał względem szlachetnego, szczerego, wskrzesiciela Polski zjednoczonej i autonomicznej Mikołaja II rolę zdradziecką. — Dymsza wyglądał strasznie zażenowany. Ja jako senior zebrania, widząc, że dyskusja przechodzi w kłótnię, żeby zmienić przedmiot rozmowy, postawiłem p. Grabskiemu pytanie, jak tam się zachowują we Lwowie okupanci rosyjscy i czy trzymają się przepisów konwencji Hagskiej co do personelu administracji cywilnej i użycia języka polskiego. — A odpowiedź była: „Wszak szanowny pan nie chciałby, żeby Rosjanie, wracając do kolebki swego narodu (sic), nie przyprowadzili z sobą swego języka i swojej administracji”. — Czy czcigodny ordentlicher Professor mówił na serjo — czy też brał mnie na kawał, po dziś dzień nie mogę sobie wyjaśnić, dowiedziawszy się od tego czasu, że podpisał się jeden z pierwszych pod odezwą o formacji legionów galicyjskich, a niedługo potem z zachwytem się wyrażał o wkroczeniu do Lwowa pierwszych kozaków. Tempora mutantur.

Celem podróży p. profesora Grabskiego do Petersburga była konferencja, której jeszcze oczekiwał, z ministrem spraw zewnętrznych Sazonowem o losie Galicji, żeby została w ręku Rosji, bo o zdobyciu Wielkopolski od Niemców już się nie marzyło. Wynik tej konferencji był mi szczegółowo opisany przez L. Dymszę i zupełnie odpowiadał prądowi, opisanemu przez Krywoszeina. P. Sazonow podobno oświadczył, że jego zdaniem są dwie Galicje. Jedna, na wschód od Sanu, stanowi „rdzennie rosyjski kraj” i powinna we wszystkim podzielić los sąsiednich Wołynia i Podola. Druga połowa, polska, będzie przyłączona

do Królestwa na jednakowych prawach, przyczem Królestwo na tem zarobi, a Galicja zachodnia straci, albowiem Rosja nie może się zgodzić na autonomję tak szeroką jak ta, którą Austria przyznawała Galicji.

W owym czasie p. Aleksander Brianczaninow, żonaty z wdową księżną Kudaszew, córką księcia Konstantego Gorczakowa, czarującą damą, urządził w swoim obszernym „osobniaku“ na Kamiennym Ostrowie dość liczne zebrania polityczne; na każdym z nich rozbierało się jak kapłona jednego z wrogów Ententy. Pamiętam jedno, poświęcone Turcji, w obecności kilku delegatów bułgarskich (przypominam, że Turcja wystąpiła przeciw Aljantom po stronie niemieckiej wczesną jesienią 1914-ego roku, a Bułgarja dopiero rok później). Słuchałem milcząc, ale bardzo sceptycznie, jak rozkrajano biednego Turka i, uważając Konstantynopol za stanowczo przeznaczony dla Rosji, szukano różnych kompensat dla Bułgarji. — Ktoś (bodaż czy nie sam gospodarz) wyciągnął mnie za język. Wierny zwyczajowi nieobwijania w bawełnę mojej myśli odrzekłem: „Nie wątpię o szczerości zdań obecnych tu panów bułgarskich działaczy społecznych, lecz oni sami nam powiedzieli, że ze swoim Rządem nie są związani; a w polityce zewnętrznej decydują nie prywatni ludzie, lecz Rządy. Rząd bułgarski to jest właściwie zdolny i uparty król Ferdynand. Jeśli go nie zrzucą, jestem przekonany, że o ile Bułgarja wystąpi, to nie po stronie Rosji, lecz po przeciwej. Wszak wiadomo, że Ferdynand sam marzy o Konstantynopolu dla siebie; gdyby się Rosja w nim usadowiła, zrobiłaby z Morza Czarnego swoje jezioro, Bułgarja i cały półwysep Bałkański zostałyby pod rosyjskim protektorem. Chyba w Sofji jeszcze nie zaponowano o Kaulbarsie; może nie zapomniano nawet o pewnym artykule „Grażdanina“ pióra ówczesnego powiernika oraz wpływowego doradcy cesarza Aleksandra III, księcia Meszczerskiego, tak znamiennym, że jego zdanie końcowe jeszcze tkwi w mojej pamięci: „Nie przystoi to dla takiego Państwa jak Rosja ludzi mały naród bułgarski; pora go uprzeczyć, że Bułgarji sędzono być nie republiką lub księstwem niepodległym lecz rosyjską gubernją.“

Przeszedł przez salę jadalną Brianczaninowa zimny przeciąg. — Potem dowiedziano się, że właśnie w tym miesiącu marcu 1915 r. Ferdynand Koburski już był podpisał z mocarstwami centralnemi traktat czynnego przymierza, prosząc tylko o kilka miesięcy zwłoki dla uzbrojenia się.

A propos Brianczaninowa i jego teścia przytoczę smakowity dialog przy obiedzie w Klubie. Rozmowa zesłała na Przemyśl, w którego bliskości leży Łańcut, przepyszna ordynacja Potockich. Książę Konstanty Gorczakow, typ starego Adonisa, choć i w Petersburgu i w Paryżu ciągle bywał w polskich salonach, nigdy nie przepuszczał zręczności przypięcia nam latki. Zwra-

cając się do mnie: „A znasz pan Romana Potockiego? — Powiedźże pan, jak on biedak się urządzi? Wszak cesarz Franciszek Józef odwiedzał jego ojca w Łańcucie, on sam tam podejmował arcyksięcia Ferdynanda, jest szambelanem przy dworze wiedeńskim; jak on teraz robi, żeby z Austriaka przemienić się na Rosjanina?” A tu „du tac au tac” gruby, wesół głos rotmistrza Frołowa: „Co nam książę plecie? Roman Potocki, tak jak nasz poważany Hipolit Oskarowicz, tak jak oni wszyscy, nigdy nie był Austriakiem i nigdy nie będzie Rosjaninem. Był Polakiem i Polakiem zostanie.” Żałowałem, że ta nauczka nie wyrwała się z moich ust.

Wówczas też rozegrał się głośny dramat ze zdrajcą pułkownikiem Miasojedowem, adjutantem ministra wojny Suchomlinowa, z którym był tem bliżej związany, że Suchomlinow, przeszło 60-cioletni, był żonaty z dojrzałą już wówczas rozwódką, a oboje mieli właściwy swemu wiekowi pociąg do „świeżego mięsa”. Pan minister pocieszał się w objęciach młodej pułkownikowej, a pani ministrowa w objęciach tego pułkownika; ta „partie carrée” żyła w najlepszej harmonii. Miasojedow był przeszło dzieśnięć lat (dlatego dobrze go znałem) szefem pogranicznych żandarmerów w Wierzbołowie, ciągle przejeżdżał granicę, zawiązał po stronie niemieckiej stosunki, które Niemcy od samego początku wojny wykorzystali, żeby go wciągnąć do niezaprzeczonej zdrady. Został powieszony; przed straceniem, będąc chłopem herkulesowej budowy, bronił się jak wściekły. Jednocześnie z nim byli straceni jego szwagier Rigier osiadły w Ziemi Wileńskiej, były oficer pruski, żonaty z siostrą Miasojedowej; obie były córkami bogacza Holsteina, garbarza i nabywcy majątku Bezdany, osławionego, jak mówiłem wyżej, w 1908 r. Jednocześnie też powieszono kapitana czy rotmistrza Bensona, wyjątkowo przystojnego, zagadkowego pochodzenia, który służąc przy Misji Wojskowej w Paryżu, której szefem był bogacz generał hr. Nostiz, wykradł z biurka swego szefa nader ważny komunikat sztabu generalnego francuskiego.

Powróciłem do Wilna 30 marca i do końca maja kręciłem się między miastem i wsią. — W Wilnie powstała agitacja pomocy zniweczonym przez Niemców gospodarstwom w Kongresówce. Zaczęła się przy wysokim natchnieniu, a, jak u nas bywa, mniej dzięki skąpstwu niż dzięki niedołęstwu i zwlekaniu, skończyła się mniej więcej błazeńsko. Inicjatorem był ś. p. Paweł Kończka, prezes po mnie Towarzystwa Rolniczego, co było naturalnem, ponieważ szło głównie o pomoc w naturze, inwentarzu i nasionach. Zwołał zgromadzenie, na które się zjawilo daleko więcej inteligencji miastowej, naturalnie endecko lub lewicowo usposobionej, niż ziemiaństwa; pierwsza,

która nie posiadała ani cielaka, żrebaka ani litra zboża i bardzo mało pieniędzy, wybrała z porady już wyżej wspomnianego redaktora p. Hłaski komitet, w którym miały być reprezentowane wszystkie partje a nie, jak się wydawało sprawiedliwem, śpichlerze, stada i kieszenie; biedny Kończą nie został wybranym, a tylko z trudnością naznaczono go skarbnikiem (czego?) Nazajutrz Kończą zwołał w lokalu Towarzystwa Rolniczego czysto ziemiańskie zebranie; zebrało się ośmiu ludzi, postanowiono się opodatkować według mego zdania zbyt skromnie. Widząc, że wszystko zanosi się na komedję i na długie zwłoki, wolałem się opodatkować sam znacznie wyżej ponad przyjętą skalę, zaraz odpowiednią sumę posłać na ręce ks. Seweryna Czertwiertyńskiego, prezesa Komitetu Obywatelskiego w Warszawie; wyjechałem do Łazdun, na wszelki wypadek wyrobiłem sobie paszport zagraniczny, uregulowałem wszystkie rachunki, zabrałem całą, odświeżoną w Petersburgu po niemieckim rabunku garderobę i więcej Wilenka do jesieni roku 1919 nie widziałem.

Albowiem na froncie szło z dnia na dzień coraz gorzej. Na południu, po piorunowym ataku Mackensena pod Gorlicami i nad Dunajcem, wojska rosyjskie uciekały jak stado baranów, uzbrojone przeważnie w kije dębowe i granaty ręczne z kamieniami, na północy Niemcy z Szawel szli na Mitawę. Dwie pobudki skłaniały mnie do schronienia się do końca wojny na Zachodzie. Raz, bo Niemcy u nas jak w Belgji i Francji wiedzieli do najdrobniejszych szczegółów o wszystkim i o każdym. Już jesienią 1914 roku miałem tego dobitne dowody. Są one typowemi.

Do majątku hrabiny Aleksandrowej z Pusłowskich Tyszkiewiczowej podchodzi z lewego brzegu Niemna oddział feldgrauów; prom ściągnięty na tę stronę, jednak się dobrali do dworu, hauptmann zagląda do swego „notesu“ i: „Wo ist der Malinowski (rządca)?“ — „Tylko co wyjechał.“ — „Tak, nie chciał nas przyjmować? — Przyprowadzić trzy jego własne krowy i kabana.“ — Przyprowadzają. — „Kerls, macie sobie na kolację... A gdzie jest Mandel (przewoźnik)?“ Podchodzi Mandel. „Ach du verfluchter Kerl, jesteś rodowitym Niemcem, a ściągnąłeś prom na tę stronę i masz dwóch synów nie w naszym wojsku, lecz w nieprzyjacielskiem! Zamknąć go do tego sklepu kartoflanego, niech w nim zgnije.“ — Nie zgnął Mandel, bo się pokazał kurz od soteń kozackich i feldgrauy przebrali się na lewy brzeg rzeki.

W gubernji augustowskiej, na pograniczu, hr. Mohl zapija herbatę-majówkę w swoim lesie. Podjeżdża oficer niemiecki. Bardzo grzecznie prosi go, aby zaraz powrócił do domu i rozporządził się, bo prędko nadejdzie sztab dywizji, i uprzedza go, że ponieważ (notes) pałac zawiera tyle-to pokoi na piętrze

a tylc na parterze, to z piętrowych takie zostanę dla rodziny, taki dla Ekscełencji, parter dla oficerów, prosząc, żeby z tylu krów, które Herr Graf posiada, wybrał dla swojej rodziny i służby dwanaście, a resztę będzie doiko lub zje wojsko. I wszystko akuratnie.

Domyślałem się zatem, że kiedy Niemiec trafi do Łazdun, to wiedząc nietylko o moich pokojach lub krowach, lecz o mojej przeszłości, moich wystąpieniach słowem i piórem, urządzi mi życie pozbawione wszelkich rozkoszy. Dziś, wiedząc co przecierpieli inni właściciele majątków, położonych jak mój na samej linii bojowej, nie wątpię, że gdybym został, tobym jeszcze przed 11 listopada 1918 pękł ze złości... i nie byłoby tych pamiętników.

Drugą pobudką była ta: mój pobyt w Petersburgu wyrobił we mnie przekonanie, że nawet, a raczej szczególnie, w razie przegranej Rosji, ona się postara nas „naduć” w wyższym stylu, i jeśli można choć cokolwiek utargować korzystnego, to tylko na zachodzie; a że żyłka polityczno-społeczna jeszcze nie była we mnie całkiem zmarniała, pomyślałem, że tam moja znajomość terenu, stosunki, niezłe pióro francuskie, no i gęba, mogą się na coś przydać. — Czy tak było, czy raczej jak tylu, tylu innych byłem prostą muchą przy wozie, sam nie mogę osądzić, ale „that is another story”. — W każdym razie budżetu Państwa naszego lub francuskiego, tych dwóch nędzarzy, nie obciążylem na jeden grosz a dla siebie (może i czytelnika) zbierałem kupę ciekawych wspomnień.

Wyruszyłem 5 lipca 1915, już nie na Wilno. Gubernator Wierowkin, w przewidywaniu inwazji, wydał ciekawy rozkaz wzbraniający wjazdu do miasta „bez osobnego i osobistego jego pozwolenia”. — To jest wjeżdżać do miasta mógł tylko ten, kto w nim siedział. — Skierowałem się koleją wschodnio-północną Mołodeczno—Połock—Bołogoje (na linii moskiewsko-petersburskiej.)

W stolicy bawiłem krótko, codziennie spotykając się na śniadaniu z Zygmuntem Wicłopolskim, Eustachym Dobieckim, Ignacym Szebeko i paru innymi działaczami polskimi. Dali mi szczegółowe sprawozdanie z przebiegu tylko co zakończonych narad, pod przewodnictwem p. Goremykina, Komisji Mieszanej, złożonej z społecznych działaczy polskich i rosyjskich. Ostatni byli starannie wybrani wyłącznie z grona polakożerców, i obie grupy nie doszły do żadnego porozumienia — pozostając na swoich pozycjach. Lecz bardzo znamienncm było to: Ignacy Szebeko, nie tylko pierwszorzędny mówca, lecz i mąż stanu w całym znaczeniu tego słowa, postawił p. Goremykinowi pytanie: „Co będzie, jeśli, co nie daj Boże, wojna się zakończy na podstawie status quo ante bellum, bez zmiany

granic, i czego w takim razie w myśl ulepszenia dotychczasowych warunków może oczekiwać Królestwo Polskie, jako skutku obietnic w. księcia Mikołaja Mikołajewicza? — „Nic. Proklamacja W. Księcia jest wyłącznie oparta na hipotezie zdobyczy Wielkiego Księstwa Poznańskiego i Galicji; nie będzie zdobyczy, to nie będzie proklamacji.“ — Chyba resztki iluzji powinny były pierzchnąć? Dotychczas nie mogę pojąć, w jakim celu do ostatniej chwili, po abdykacji Mikołaja II, Komitet Narodowy w Petersburgu, a jeszcze bardziej jego przedstawiciele na Zachodzie mogli się trzymać oburącz i wyłącznie za poły pp. Sazonowa i Izwolskiego?

Podróż miałem bardzo uciążliwą. Od Petersburga do Sztokholmu na Torneo trzy doby bezustannej jazdy kolejowej przy denerwujących północnych białych nocach. Już od Upsali i aż do granicy Norwegii zwróciło moją uwagę to: wszystkie, do najmniejszych, stacje kolejowe, packhauzy i nawet perony były z braku innych pomieszczeń zawałone stosami balów bawełny; ponieważ przemysł tkacki szwedzki jest bardzo szczupły, oczywiście to wszystko czekało wysyłki do Niemiec. Zresztą później nie kto inny, jak były „attaché“ morski angielski w Skandynawji miał w ciekawej książce przyznać się, że do końca 1916 roku zacna Anglja, utrzymując niemiłosierną blokadę Niemiec względem ich dostawców, systematycznie protegowała dostarczanie im przez Holandję i Szwecję kontrabandy wojennej na korzyść własnych eksporterów. Między Sztokholmem a Chrystjanją (dziś Oslo), przejeżdżając przez pasmo gór, rozdzielających Szwecję od Norwegji, nabawiłem się bardzo bolesnej newralgji twarzy, która mnie pomimo wszelkich trucizn dręczyła aż do Paryża. Z Chrystjanji do Bergen, gdzie wsiadłem na obrzydliwy kalosz, dotychczas przeznaczony wyłącznie do wycieczek turystycznych między fjordami. Maleńki, o szybkości nie więcej niż 10 mil morskich na godzinę, na pełnym morzu, nawet stosunkowo spokojnem — kołysał się jak jajko; zamiast odrazu wyjechać na Morze Północne, statek do późnej nocy wykręcał się między fjordami i na całą noc zatrzymał się w Stavanger, gdzie nie można było zmrużyć oka od hałasu ładowanych sztab wyborowej szwedzkiej stali. — Numer pierwszy kontrabandy wojennej. Zrobiło się bardzo wesoło na duszy, ponieważ kapitan już mi opowiadał, jak łodzie podwodne niemieckie ciągle czatowały na okręty kursujące między Norwegją a Anglją, rewidowały statki i choć jeszcze ich nie topiły, ale podług ilości i gatunku kontrabandy wojennej albo ją wyrzucały do morza, jak mu się zdarzyło przy ostatniej podróży z ładunkiem kilkuset beczek świeżego masła, albo, kiedy towar był czy zbyt niebezpieczny w sensie zapasów wojennych, czy

zbyt liczny i ciężki (a nasz ładunek stalowy miał jeden i drugi charakter), zaciągały go do najbliższego portu niemieckiego, gdzie pozostawał internowany; dlatego to zamiast w prostej linii dopłynąć do Newcastle w dwie doby — on całe 3 doby wykreczał się jak wiewiórka podług sygnalizacji telegraficznej krążowników angielskich, i dopiero w czwarty dzień nocą wylądowaliśmy w Newcastle. Było nas tylko sześciu pasażerów, wyłącznie prócz mnie Francuzów.

Przenocowawszy w Newcastle, nazajutrz koło południa stanąłem w Londynie i zatrzymałem się w doskonałym, wyjątkowo dobrze położonym Hyde-Park-Hotelu. Zatrzymałem się tu 2 tygodnie, chcąc sobie wypocząć i poznać tego olbrzyma-stolicę, przez którą tylko przejechałem przed 40 laty, wracając z wyspy Madery. Miałem listy rekomendacyjne do kilku wybitnych dziennikarzy, między innymi do p. Wiesielickiego i do p. Weeckham-Steed.

Pan Wiesielicki, odwieczny i znany korespondent dziennika Nowoje Wremia, lecz Serb z pochodzenia, załem mało sprzyjający myśli o „słowiańskich ruczajkach zlewających się do rosyjskiego morza“, uprzedził o moim pobycie hr. Benckendorfa, posła rosyjskiego, który mnie zaprosił do siebie. Chociaż nasza rozmowa trwała bardzo długo, p. Benckendorf, wykwinął co do form dyplomata, a przytem w gruncie człowiek bardzo mierny, który nie dochodził do kolana swego paryskiego kolegi p. Izwolskiego, znalazł sposób rozmawiać o wszystkim, prócz o kwestji polskiej; to już jest specjalność i może kwintesencja całej nauki dyplomatycznej.

P. Weeckham-Steed (nie mieszać z tym starym farceur Stead, który w 1905—1906 roku dresował rosyjskich Kadetów i wymyślił czteronożne prawo wyborcze) widziałem, bądź u niego bądź u mnie, kilka razy; znalazłem w nim człowieka absolutnie wybitnego, który, gdyby nie wybrał kariery żurnalisty, lecz wstąpił do parlamentu, byłby niezawodnie na zupełnie pierwszym planie dzisiejszego składu angielskich mężów stanu. Bardzo długie lata korespondent Times'a w Wiedniu, w 1915 r. kierował całą polityką zagraniczną tego pisma, został potem jego głównym dyrektorem, musiał zejść z tego stanowiska za czasów rządów Lloyd George'a z powodu zdecydowanego swego frankofilstwa — a obecnie jest na czele jednego z głównych angielskich miesięczników. Doskonale włada językiem francuskim i zupełnie nie podziela tak rozpowszechnionego między jego rodakami samoubóstwiania siebie. Jemu się to zdarzyło rozpocząć we Francji swój referat od słów: „We Francji przyjęto jest uważać naród angielski za zdolny; to jest niebezpieczny przesąd...“

Z rozmów ówczesnych z nim pozostały mi cenne wspomnienia. Sam był ciekaw mego wrażenia o Londynie w tym końcu

lipca. Nie skryłem przed nim, że było ono dla mnie zupełnie nieoczekiwanem. Ożywienie i ruch na ulicy ogromny; teatry, restauracje i wszelkie weseliska przepelnione, wygląd ludności wcale niezafrasowany lub nieprzygnebiony, i gdyby nie masa mundurów wojskowych, miałoby się wrażenie najbardziej szczęśliwego czasu pokojowego. Gdy powiedziałem moje wrażenie, że równo w rok po wybuchu wojny (wprawdzie dosyć długo przed zaprowadzeniem obowiązkowej służby wojskowej) publiczność angielska zapastruje się na tę straszną wojnę, powodującą z drugiej strony kanału codziennie śmierć tysięcy ludzi, jako na „wielce ekscytujący sport“, Steed mi odpowiedział: „Pan byś inaczej mówił, gdybyś zaglądnął do jednego z naszych portów wojennych, lecz co do wojny na lądzie, pan ma najkompletniejszą rację. Nie wiem, jak to długo potrwa, lecz dotychczas w myśli większości, nietylko ludzi prywatnych lecz także personelu rządzącego, ideą kierowniczą jest, że udział Anglii w tej wojnie powinien polegać prawie wyłącznie na zachowaniu dla siebie i swoich sprzymierzeńców panowania nad morzem i swobodnej komunikacji z całym światem, zaparciu przez blokadę i wkońcu zagłodzeniu państw centralnych, no i, gdyby można, zniszczeniu dla większej naszej korzyści coraz groźniejszej w ostatnich czasach floty wojennej niemieckiej. Co zaś się tyczy operacji wojennych na lądzie, zasadą jest, że one dotychczas stanowią wyłączny obowiązek walecznych wojsk francuskich i niezliczonych rosyjskich, które oba bronią swoich własnych terytorjów. Dla nas wystarcza bronić do upadłego jednego zakątka, mianowicie dostępu do Calais i naszej cieśniny. — To trafne określenie polityki wojennej angielskiej, razem arcyegoistycznej i bardzo niedorzecznej, bo przedłużyła wojnę co najmniej o rok i dała Stanom Zjednoczonym Amerykańskim niebezpieczną tak dla samej Anglii jak i dla Francji przewagę moralną, nie przestało być aktualnem aż do samego końca, i bardzo mi posłużyło dla prawdziwej oceny sytuacji. Pan Steed już przewidywał rozwinięcie się i straszliwe skutki wojny podwodnej niemieckiej. Wprawdzie, jak mi powiedział, już wówczas udało się Anglikom zniszczyć niemniej niż 30 tych potworów, o czem się nie pisało i nie mówiło dla ostrożności. Ale nie miało się jeszcze innego sposobu jak cienkie, giętke siatki druciane zatopione w różnych miejscach i na szerokich przestrzeniach na odpowiednią głębokość; gdy łódź podwodna na nie natrafiała, obie strony siatki przylegały do boków statku i obwijały śrubę, a statek unieruchomiony już podnieść się nie mógł; lecz Niemcy prawdopodobnie dzięki temu, że któreś z ich łodzi udało się cudem ocaleć, wynaleźli na to sposób. Nos łodzi uzbrajał się w silny, nadzwyczaj ostry nóż stalowy i siatka była przecięta przed tem, nim korpus łodzi obwinęła. Dopiero w ostatnim roku wojny dzięki odkryciu, że woda morska, nieprzezroczysta



już na metr głębokości, kiedy się na nią patrzy z bliska, staje się zupełnie przezroczysta, gdy się ją bada z wysokości kilkuset metrów, aż do głębokości niedostępnych dla łodzi podwodnych, kombinacja aeroplanów z łódką motorową, gdzie pierwszy planował nad podwodną łodzią i oznaczał jej miejsce, a wypuszczona z wielkiego statku motorówka nadjeżdżała ponad nieprzyjaciela i wypuszczała potężną torpedę, spowodowała, że łodzie podwodne niemieckie zaczęły ginąć jak muchy. — To pozwoliło na przewiezienie przez Atlantyk bez żadnej straty dwóch milionów żołnierzy amerykańskich. Wyczerpał się u Niemców zapas bohaterów gotowych narazić się na taką straszną śmierć i pierwsze „pchnięcie kindżałem w plecy“, wymierzone ogromnej potędze niemieckiej, to była właśnie odmowa marynarzy w Kilonji służby na łódkach podwodnych.

Piątego sierpnia opuściłem Londyn dla Francji na Folkestown. Mały, ogromnie prędkie, stateczek był przepelniony. Wyruszyliśmy o 11 rano. mieliśmy wylądować za 2 godziny w Boulogne. Statek był zaopatrzony wyłącznie w butterbrody, biszkopty i różne trunki, tymczasem zaczął rozpaczliwie jęczeć telegraf bez drutu, oczywiście były sygnalizowane łodzie podwodne. Zaczęliśmy się wywijać wprost jak pijawki w boku i w końcu wylądowaliśmy nie w Boulogne, lecz w Dieppe o pierwszej w nocy, zgłodniałymi i przemęczonymi. Musiałem zano-cować; nazajutrz przespacerowałem się po tym miłym mieście, związanym z najlepszymi wspomnieniami mego dzieciństwa i wieczorem wylądowałem w Hotel de Crillon na placu de la Concorde, ponieważ mój stary, kochany hotel Chatham był zamknięty. Jego dyrektor p. Michaut, większość urzędników i służby byli na froncie.

## Rozdział IV.

Paryż w sierpniu 1915. — „Le sentiment profond“. — Izwolski. — Polscy działacze. — Lozanna, Vevey. — Sienkiewicz. — Powrót do Paryża.

Po dziś dzień zachowałem wrażenie, jakie nazajutrz rano zrobił na mnie ten ówczesny Paryż, który znałem od 60 lat jak dorożkarz. Boże, jak to miasto, zawsze jakby zaćmione dla widza przez 3 miljonowe ruchawe, wrzaskliwe mrowisko, a teraz bez jednego powozu lub samochodu — z rzadkimi przechodniami, wydało mi się i pięknem i uroczystym, prawie majestatycznym! Ze wszystkich elementów, składających piękność architektoniczną, Francuzi jedni od bardzo dawna mieli i zachowali poczucie perspektywy; teraz, pozbawione ruchu marnej ludzkości, ten przepyszny Place de la Concorde, Pola Elizejskie z jednej strony, ogród Tuilleries z drugiej, cały brzeg Sekwany aż do katedry Notre Dame, wszystko to występowało w całej wspaniałości. Niemniej głębokie, choć innego rodzaju wrażenie zrobiły na mnie wygląd i zachowanie się ludności, szczególnie kiedy je porównywałem do pierwszych tygodni wojny 1870. Zaszedłem (bo była niedziela) do kościoła św. Magdaleny, przepełnionego po brzegi co najmniej do połowy mężczyznami, których przed wojną się nie widziało więcej niż  $\frac{1}{6}$  lub  $\frac{1}{6}$  część. Wszystko to się modliło naprawdę. Na śniadanie zaszedłem do bardzo uczęszczanej drugorzędnej restauracji Webera, pełnej oficerów na urlopie; wszystkimi oczami i uszami przyglądałem się i przysłuchiwałem... Gdzie do błagi i przechwałstwa 1870 roku? Spokój, powaga, umiarkowanie tonu, atmosfera niezłomnego uporu i wytrwałości, ogólny charakter jakiegoś religijnego namaszczenia, jakgdyby cały naród na klęczkach adorował podniesioną przed nim Monstrancję... Ojczyzny!

Te same wrażenia miałem tegoż dnia, gdy po południu odwiedził mego nieodżałowanego przyjaciela Etienne Lamy, członka i wiecznego sekretarza Akademii Francuskiej. Znalazłem już 70-letniego staruszka w mundurze, bo codzień w ciągu kilku godzin coś gryzmołił w generalnym sztabie, jako zastępcą

powołanego na front urzędnika. Zastałem u niego najprzód p. Judet, dyrektora gazety „Eclair“, potem p. de Nalèche, dyrektora „Journal des Débats“; u obydwóch później nie mało pisywałem. Na obiad pojechałem do niemniej bliskich przyjaciół państwa Dumont; on, były dwukrotnie minister, wpływowy członek Izby Deputowanych, ona Polka (naturalnie w stroju Siostry Miłosierdzia), a u nich kilku bliskich ich znajomych, z których dwóch chwilowo urlopowanych z frontu oficerów. W obu domach nastrój jednakowy: powaga, rezygnacja, stalowa wytrwałość; powracając do siebie powtarzałem sobie sławne potem słowa marszałka Petain: „On les aura“, — alias: „Nie-mieć caput!“

Nazajutrz rano pocztą przyniosła mi list p. E. Trogan, dyrektora miesięcznika „Le Correspondant“ katolicko-zachowawczego, rywala „Revue des deux Mondes“, który od 10 lat wydrukował sąłą porcję mojej bibuły. Dowiedziawszy się, nie pamiętam jaką drogą, o mojej bytności w Londynie i adresie, jeszcze tam mnie prosił o opracowanie dla niego artykułu o sytuacji obecnej. Odpowiedziałem, że mając zwyczaj pisać tylko to, co myślę, i jak myślę, jestem pewny, że cenzura francuska, wówczas (i do końca wojny) bardzo sroga, pokieroszuje mój utwór na kawałki. — A teraz z jakiegoś zakątku Bretanii pisał do mnie, że ufając wielce mojej przezorności politycznej i doświadczeniu, błaga mnie, abym jeśli nie dla jego pisma, to dla niego osobiście streścił „non sentiment prolound“ o sytuacji ogólnej.

Otrzymawszy z ręki p. Dumont nieźrównaną stenografkę-maszynistkę p. Marie Turin, już dojrzałą niewiaścę, nietylko doskonałą techniczną, lecz wykształconą i ocytana; do końca wojny oddała mi nieźrównane usługi, o których bez wdzięczności wspomnieć nie mogę; zasiadłem do tej pracy i na czwarty dzień mogłem wysłać p. Trogan dość obszerny memorjał (28 stronnic druku), który, chociaż w moich oczach zupełnie poufny, nieprzewidzianym trafem przysporzył mi kilka cennych stosunków, poczęści jeszcze zachowanych. Większa część moich prognostyków sprawdziła się i, stopniowo sprawdzając się, wzmocniła u tych, którzy tę pracę czytali, moją reputację politycznej wróżki. Zaczynając od przeglądu sił i roli czterech głównych aliantów, twierdziłem, że Rosja już straconego terenu, szczególnie północnego, zajętego przez Niemców (a Warszawa już była ewakuowana), do końca wojny nie odzyska, że będzie może zajadłe walczyła z wojskiem austriackim, a bardzo wstrzemięźliwie z wojskiem niemieckim, że o ile dotrwa do końca wojny, co nie jest pewne z powodu zawikłań polityki wewnętrznej i intryg dworskich, silnych w Petersburgu wpływów germanofilskich, niemocy przemysłowej rosyjskiej i trudności przewiezienia z Zachodu uzbrojenia i amunicji,

wszystko, na co wojska francuskie mogą rachować, jest to, że unieruchomi ona na swoim froncie znaczną część sił niemieckich. Że Anglja nietylko dotrwa do końca i nawet będzie podtrzymywała wytrwałość francuską, o ileby tego była potrzeba, ale (dziękuję, panie Steed) na gruncie francuskim będzie ciągle stała się zostawić lwią część wysiłków i ofiar samej Francji. A że Włochy jak prowadzą, tak będą prowadziły do końca „la nostra guerra“. Zato wypowiadałem mocne przekonanie, że tu na Zachodzie już widzę wszystkie elementa kompletnego zwycięstwa militarnego, lecz pod dwoma absolutnemi warunkami, które się urzeczywistniły dopiero we 3 lata — i do tego zwycięstwa doprowadziły; a te dwa warunki: primo odebranie nieprzyjacielowi jego głównego przywileju t. j. jedności komendy nad wszystkimi operacjami swoich sprzymierzonych, co, jak wiadomo, ze strony Ententy nastąpiło dopiero wiosną 1918 roku; secundo nabranie mocnego przekonania, które wbili w swój naród dopiero dwaj zbawiciele, Clemenceau i Foch, mianowicie, że zwycięstwa nie zyskuje się bez ciężkich ofiar, i że koniec końców jest mniej bolesnem stracić milion Francuzów i Anglików w ciągu pół roku niż dwa miliony w ciągu dwóch lat. Niestety, jak się wyrażałem, jeśli takie pojęcie jest zupełnie naturalne u takiego półboga, jakim jest autokrata wszechrosyjski lub półtora Boga, jakim się czuje Wilhelm II, to dla francuskich i angielskich ministrów parlamentarnych, ten biedny chłopak, którego się posyła na śmierć, jest nietylko krwią ich krwi i kością ich kości, lecz przede wszystkim... wyborcą. — Rzeczywiście, aż do objęcia komendy głównej przez Focha, od jesieni 1915 roku rozpoczynały się francuskie lub angielskie ofensywy, dawały narazie pyszne rezultaty taktyczne, lecz nie były wyzyskane strategicznie, bo się opinia publiczna i sam rząd wzdrygały przed ogromem poniesionych strat.

Kończyłem przeglądem sytuacji polskiej i najsilniej, jak mogłem, ostrzegałem przed niepodlegającym już wątpliwości zamiarom Rosji obrócenia uroczystej proklamacji w. ks. Mikołaja w świstek papieru. Ze czterech odbitek tego memorjału, które mi sporządziła panna Turin, jeden posłałem właściwemu inspiratorowi mojej pracy, p. Trojan, dwa oddałem pp. Dumont i Lamy, a jeden zachowałem sobie, lecz Ksawery Orłowski, który mnie prawie codziennie odwiedzał, pożyczył go na 24 godziny, od razu poleciał do „Romeo“ i spłodził jemu czworo dzieci. Jedno oddał sąsiadowi i przyjacielowi ś. p. Mikołaja Potockiego, p. Hanotaux, byłemu Ministrowi Spraw Zewnętrznych i członkowi Akademji Francuskiej, który ze swojej strony rzekł temu memorjałowi: „Idź i rozmnażaj się“ — tak, że koniec końców dowiedziałem się z pewnego źródła, że jedno z tych dzieci lub wnuków zabił aż do rąk... króla włoskiego.

W Paryżu było naówczas bardzo mało czynnych, szczególnie piórem, Polaków. Władysław Zamoyski (z Kórniku i Zakopanego), jego matka generałowa, dzielna jego siostra p. Marja, z któremi odnowiłem znajomość, a ta się prędko zamieniła w najściślejszą i najcenniejszą przyjaźń, — p. Jan Tarnowski, ś. p. Jan Sierakowski; w obozie „czerwonych“ i „różowych“ dr. Motz i utalentowany inżynier Józef Lipkowski, rozwiedziony pierwszy mąż pani Dumont. Dr. Motz wydawał tygodniowy listek, ciągle zmieniający tytuł, bo ciągle prześladowany przez moskalofilską cenzurę francuską, a inż. Lipkowski ulotne kartki lub memorjaliki, jeden i drugi nie bez talentu. Nakoniec dwóch zawodowych literatów warszawskich: p. Gąsiorowski, który wydawał tygodnik „Polonia“, zacięcie frankofilski a rykoszetem rusofilski, drugi p. Antoni Potocki. Ten pisywał memorjały i wyrabiał sobie rozmowy z różnymi mężami stanu francuskimi, a co najużyteczniejsze, pomagał historykowi p. Grapin w ułożeniu popularnej historii polskiej, która kilka miesięcy potem wyszła drukiem i miała powodzenie. Z domów polskich, nie politykujących, znalazłem tylko zdawna mi znajomych państwa Halpertów (mąż był dyplomata rosyjski, żona Branicka z domu, wdowa po włoskim księciu Strozzi), barona Gustawa Taube z żoną (wdowa Zamoyska-Kronenbergówna z domu), hr. Klementynę Tyszkiewiczową (z domu Alfredówna Potocka) i hr. Feliksową Plater-Zyberk (z domu Sobańska).

W kilka dni po moim przyjeździe ambasador rosyjski, p. Aleksander Izwolski, mój były kolega w Radzie Państwa, dowiedziawszy się o mojej bytności w Paryżu, zaprosił mnie do siebie; konferencja trwała bardzo długo, zaczęła się od petersburskich prądów i plotek, potem nastąpił przegląd sytuacji ogólnej, wkońcu pan ambasador sam przeszedł na temat Polski. Odmienne od dygnitarzy petersburskich brał niby zupełnie na serio obietnice w. księcia Mikołaja, w urzeczywistnieniu ich szedł bardzo daleko, bo przewidywał nie tylko oddzielne, jak dziś mówią „suwerenne“ Izby prawodawcze polskie, ale także jak w 1815 roku, oddzielne wojsko polskie, co ja, pamiętny konspiracji wojskowej 29 listopada 1830 i jej następstw, uważałem za niebezpieczne, bo mogło służyć przyszłym rusefikatorom za pewne narzędzie prowokacji — ale — ale... gdy się doszło do sposobów urzeczywistnienia tego pięknego programu, odkryła się między panem Izwolskim a mną przepaść nie do zapełnienia. Ja twierdziłem (i to było do końca wojny moim „cheval de bataille“), że skoro mowa była nie tylko o reformach w granicach Kongresówki, lecz i o przyłączeniu do niej krajów zdobytych na Niemcach i Austriakach, przeważnie dzięki pomocy aliantów zachodnich, to cała kwestja polska stanowiła zagadnienie w najszerszym sensie międzynarodowe, które może być rozstrzygnięte, a przyszły statut

zjednoczonej Polski zagwarantowany. tylko przez kongres pokojowy. A p. Izwolski twierdził z uporem, że kwestja polska do kompetencji kongresu nie należy, że przyszły statut powinien być ustanowiony wyłącznie przez Najjaśniejszego Pana i Izby Prawodawcze rosyjskie. Nie skrywał, że będzie bronił tej tezy na przyszłym kongresie „Où j'aurai mon petit mot à dire“. Biedakowi nie było sądzonem brać udziału w tym kongresie, i ledwie go dożył). Nie będąc młodzikami ani jeden ani drugi, zrozumieliśmy się dobrze. Od tego czasu, choć zachowałem z państwem Izwolskimi najlepsze stosunki światowe, bo nieraz aż do rewolucji rosyjskiej prosili mnie na śniadanie lub na obiad i regularnie co miesiąc bywałem na codziennych six o'clockach bardzo uprzejmej ambasadorowej, lecz z p. Izwolskim, który wbrew obyczajom paryskim był zawsze na nich obecny i często mnie brał aparte, rozmawialiśmy o wszystkich możliwych kwestiach politycznych prócz polskiej.

Jednocześnie leczyłem u znakomitego lekarza i przyjaciela mego, dr. Józefa Babińskiego, moją newralgię i wyczerpanie sił, on zaś zadekretował, że się w Paryżu za wiele wysilam, mam za wiele wrażeń, i skierował mnie na odpoczynek do Szwajcarii; a Babiński jest taki medyczny dyktator, którego się słucha bez dyskusji; 7 września 1915 dotarłem do Lozanny.

W tem przemiłym mieście roilo się wówczas od rozmaitych uciekinierów, którzy woleli dla różnych przyczyn przeczekać na ustroniu wszechświatową burzę, nie tylko Polaków, lecz i Francuzów; drapnąwszy w sierpniu 1914 roku, kiedy Niemiec przybliżał się prawie do przedmieść Paryża, a Rząd schronił się do Bordeaux, jeszcze nie zdecydowali się powrócić. Między innymi było kilku moich dawnych znajomych. Niemało Niemców i Austriaków tak samo zrobiło, lecz trzymali się oni kantonów niemieckich, przeważnie Bernu, albowiem w tak zwanych romańskich usposobienie ludności miejscowej było im demonstracyjnie wrogie. Ze światowych znajomych Polaków znalazłem pp. Ksawerostwo Orłowskich, Józefa Przeczdzickiego (starszego brata obecnego posła przy Kwirynale), jego nieskończonej dobroci i dla mnie wyjątkowo łaskawą siostrę hr. Szapary, ich kuzynkę panią Chełmińską, ś. p. Aleksandra Mańkowskiego z rodziną (pani wnuczka księżnej Falkonieri z domu Hołyńskiej), a z Francuzów hrabinę Werę de Tailleyrand-Périgord, moją starą i dobrą znajomą z młodych lat we Florencji (1876). Z politykujących p. Erazma Piltza, który już zdążył założyć mały Komitet prasowy polski — i p. Władysława Skrzyńskiego, obecnie posła polskiego przy Watykanie. A w bliskim Vevey mieszkali w jednym hotelu Henryk Sienkiewicz, który wówczas przewodniczył w Komitecie zapomogi okupowa-

nemu przez Niemców Królestwu Polskiemu, jego prawa ręka w sprawach dobroczyńnych p. Osuchowski i historyk Szymon Askenazy. Łożańska Polonja, nie wykluczając mnie, odbywała często pielgrzymki do ówczesnej gwiazdy polskiej literatury. O nich wszystkich jeszcze pomówię.

Po krótkim pobycie w hotelu Beau Rivage, przepełnionym i mającym charakter dworca kolejowego, przenieśliśmy się do hotelu Royal, bardziej centralnego i spokojniejszego, w którym mieszkali Józef Przeździecki i hr. Szapary. Towarzystwo w tym hotelu, w którym przeważali Grecy, w tej ciwilii okazywało głośnie, nawet zbyt głośnie sympatje dla aliantów zachodnich, szczególnie dla Francji. Co wieczór synowie Hellady wymagali od muzyki zagrania to „Marsyljanki“, to „Chant du départ“, to „Madelon“ z bisami, oklaskami itd. To się miało rychło przemienić, ale o tem wszystkiem jeszcze będzie mowa.

W parę dni po mojem przeniesieniu się do hotelu Royal wcisnął się do mego pokoju niezameldowany jakiś jegomość średnich lat, niebardzo uprzedzającej powierzchowności, i prosto z mostu po uemiecku zarekomendował się jako korespondent różnych gazet prowincjonalnych i jakgdyby powtarzał szablonową reklamę z przesadzonej pochwalami dla mego politycznego znaczenia, oświadczył chęć wejścia ze mną w stałe stosunki. Odrazu zgadłem, że uam do czynienia ze szpiclem, że szpicel popelnił „błąd co do osoby“ i bierze mnie za mego starszego brata Ignacego. Brat mój Ignacy, który w końcu 1926 roku umarł na swojej wyspie Santa Catarina na Adrytyckiem morzu, miał swego czasu niemały rozgłos jako mecenas sztuki malarskiej i jako właściciel jedynej w swoim rodzaju galerji utworów malarzy polskich, a jeszcze przedtem z powodu zajądłej kampanji przeciw klice bankowej w Wilnie oraz rozpraw sądowych z kilku żurnalistami warszawskimi.

Bogaty w talenta różnego rodzaju, mniej w stałość przekonania i konduity, odznaczał się zawsze wielką zręcznością. Otóż jeszcze wówczas, kiedym w Petersburgu, wyjeżdżając zagranicę, prosił p. Sazonowa, aby mi ułatwił podróż przy różnych przedstawicielstwach rosyjskich, szef kancelarji ministerstwa baron Szilling, były radca poselstwa w Paryżu, uprzedził mnie, że muszę dla uniknięcia bardzo dotkliwych przykrości, wszędzie odrazu zaznaczać, że jestem, jak się wyrażał: „Fedot, da nie tot“, t. j. odseperować się stanowczo od brata, a to dlatego, że na początku wojny Ignacy, który miał ulokowane w Berlinie poważne sumy bądź swoje własne, bądź bogatszej jeszcze od niego żony, chcąc wyjechać zagranicę, prosił p. Sazonowa o protekcję przy misjach rosyjskich, otrzymał ją — a skoro przyjechał do Bukaresztu, puścił się na jakieś interview lub też artykuły przyjazne dla mocarstw centralnych, bardzo pogardliwe dla potęgi militarnej i szans powodzenia

Rosji. A że posiadał ostry język i cięte pióro, musiało to być dla rosyjskich władz szczególnie dotkliwym. — Dzięki temu odrazu zyskał sobie względy sztabu niemieckiego, mógł w Berlinie podjąć i schronić poważną sumę, wyrobił sobie jakiś nadzwyczajny „Kaiser-Pass“, dzięki któremu mógł swobodnie podróżować jak drugi Hindenburg, jeździł nawet do neutralnych wówczas Włoch w celach agitacyjnych i miał wtedy w obozie niemieckim reputację pewnego sprzymierzeńca.

Zgadłszy odrazu, że to jest ogromna omyłka w druku, nie odmówiłem sobie przyjemności, udając naiwnego, wziąć szpicla na kawał. Dałem mu wygadać się do końca, wychwalać potęgę i niezwyciężoność Vaterlandu, prosić mnie o udzielenie naszej sprawie w prasie szwajcarsko-francuskiej pomocy mego „famoses Talent“ i wówczas dopiero, odkrywszy mu, że jestem: „Fedot, da nie tot“, majestatycznie pokazałem mu drzwi.

Tymczasem dowiedziałem się o zajęciu przez Niemców Wilna. Wychodziło wówczas w Genewie codzienne piśmko pod tytułem „La Guerre Mondiale“ bardzo cenne (choć zbyt boszofilskie) przez to, że codziennie wydawało mapę frontów wojennych, naprzemian zachodniego i wschodniego. Z niej spostrzegłem, że mój majątek, który z wioskami zajmował przeszło 120 klm. kw. ziemi, znajduje się na samej linii bojowej, bądź z tej bądź z owej strony. Lecz której? Dla wyjaśnienia tego palącego dla mnie zagadnienia, pojechałem do Berna i udałem się wprost do Poselstwa Rosyjskiego. W nieobecności posła p. Bacharachta (żonatego z hr. Czapską, jakiś czas narzeczoną morganatyczną w. księcia Heskiego, ojca cesarzowej rosyjskiej Aleksandry) zostałem przyjęty przez radcę poselstwa p. Strahlborna. Pokazało się, że jest synem byłego mego kolegi w uniwersytecie dorpacim i uroczej wówczas, dobrej mojej znajomej baronówny Tyzenhausen. Wytłómałem mu, co mnie trapi; natychmiast posłał do Misji Wojskowej Rosyjskiej i stwierdził stanowczo, że rzeczywiście  $\frac{4}{5}$  mego majątku na prawym brzegu Berezyny zachodniej są w rękach niemieckich, reszta jeszcze zajęta przez wojska rosyjskie. Poprosiłem go, aby mi jak najrychlej się dowiedział, *p r i m o*, czy mój dwór i pałac są zajęte przez okupantów, *s e c u n d o*, czy mój rządca został na miejscu, czy też został dobrowolnie lub przymusowo, co często bywało, ewakuowany do Rosji. Strahlborn odpowiedział mi, że to jest niemożliwe. Na to ja: „Nic, panie radco, w drodze wywiadu dla dyplomacji niema niemożliwego. Dla mnie jest to kwestja żywotna; powiem panu szczerze, że w mojem przekonaniu wojska niemieckie może jeszcze przejść przez Berezynę na wschód, ale wojska rosyjskie już nigdy jej na zachód nie przekroczą. Zatem, kiedy się do pana zwrócim i jeszcze uważam siebie za poddanego Najjaśniejszego Pana Mikołaja II, to tylko dlatego, że nie należę do rzędu ludzi, którzy łatwo



zmieniają swoje przekonania i tak odrazu aż do wyjaśnienia. co będzie z moim krajem rodzinnym, nie chcę złamać danej uroczystości w Radzie Państwa przysięgi wierności. Ale i to uczucie ma swoje granice. Kiedy Poselstwo Rosyjskie mnie swojej pomocy odmówi, to natychmiast udam się do „konkurencji“ (t. j. do Poselstwa niemieckiego).“ Strahlborn się oburzył, twierdząc, że jedno przejście progu niemieckiego przez człowieka osobiście cesarzowi Mikołajowi II znanego i, jak wiadomo, dobrze przez niego widzianego, byłoby prawdziwym skandalem, niebezpiecznym i złym przykładem i t. d. Na to ja: „Może być — ale „koszula bliższa ciała niż kaftan“, „c'est à prendre ou à laisser“. — Wówczas trochę zdetonowany p. radca obiecał mi, że czy tak czy owak da sobie radę i prawdopodobnie przez dyplomację hiszpańską, która w Berlinie przyjęła na siebie protekcję poddanych rosyjskich, potrzebnej mi informacji dostarczy. Uprowadzając wypadki, aby już później o tem nie mówić, dodam, że rzeczywiście wkrótce po powrocie do Paryża zostałem wezwany do Poselstwa hiszpańskiego, gdzie mi wręczono rodzaj raportu dosyć detalicznego, podpisanego „porucznik Otto Graf Kaiserling“. Życzliwa forma tego raportu odrazu mnie przekonała, że ten młody Otto nie jest nikim innym, jak synem mojego z dawnych czasów dobrego znajomego hr. Kaiserlinga, w swoim czasie marszałka gubernialnego kurlandzkiego, bardzo lubianego przez cesarza Aleksandra II, bo był człowiekiem dystygnowanym, wykształconym i bardzo dowcipnym. Posiadając równo pół tuzina synów, z niemiecką, dosyć częstą w prowincjach nadbałtyckich przezornością, skrocił z nich dwie porcje: trzech synów wykirował na „rdzennie rosyjskich“ ludzi, a trzech oddał Vaterlandowi. W raporcie (co było zaiste dowodem życzliwości) Kaiserling uprzedzał mnie, że mój rządca posiada kwity rosyjskie na dokonane w ostatniej chwili przez Rosjan rekwizycje. Wówczas poprosiłem Poselstwo hiszpańskie, aby mi te kwity wyłowiło. Rzeczywiście otrzymałem je już zimą 1916 r.; wszystkie posłałem do Petersburga jednemu z moich siostrzeńców z kilku listami rekomendacyjnymi do odpowiednich dygnitarzy. Władze moskiewskie aż do rewolucji rosyjskiej postępowały z byłymi swoimi poddanymi w duchu sprawiedliwości, prawie hojności, która prawdopodobnie wzbudza głębokie oburzenie naszych ministrów finansów, szczególnie p. Wł. Grabskiego, bo nietylko nie czepiano się tego, że kwity były pisane ołówkiem na wyrwanych z notesu kartkach, i nie myślano kazać mi wnieść zgóry porządnej prowizji na wieczne nieoddanie; choć odmówiono mi wprowadzić wypłacenia odszkodowania za wywiezioną miedź gorzelaną (która prawdopodobnie uległa metamorfozie w rondle i patelnie dla pań komisarzowych ludowych sowieckich), bo miała mi być zwrócona w naturze, ale za było, ocenione jako rasowe podług wyższej taksy, wypła-

cilo mi gotówką przeszło 40 000 rubli, mających wówczas jeszcze wartość po 2 franki, które mi pomogły wytrzymać do końca wojny bez żebraniny u przyjaciół.

26 września rozegrała się w Szampani ogromna ofenzywa francuska, która w ciągu kilku dni wzbudzała w obozie frankofilskim szalone nadzieje, a skończyła się tak, jak to przewidywałem o kilka tygodni wcześniej w moim „sentiment profond”. Francuzi przebili uzbrojony front niemiecki, posunęli się na około 40-kilometrowym froncie o kilka kilometrów naprzód, wzięli do niewoli przeszło 40 000 Niemców, ponieśli sami odpowiednie straty i po tygodniu zatrzymali się na miejscu, nie wykorzystawszy strategicznie swego taktycznego zwycięstwa tak z powodu tych strat, jak i trudności materialnych i terenowych, których jeszcze przez trzy lata, w braku przyszłych czołgów i przewagi w lotnictwie, ani jedna ani druga strona przezwyciężyć nie potrafiła. Wówczas to Niemcy mówili dosyć słusznie: „Auf der westlichen Front geht niemand durch.” — Później się przekonałem, że o tej ogromnej bitwie opinia publiczna niemiecka nigdy się nie dowiedziała. Zresztą i o bitwie nad Marną we wrześniu 1914 r. i jej kolosalnych następstwach naród niemiecki dowiedział się dopiero w roku 1917.

Już wówczas egzystowały w Lozannie i Vevey dwie organizacje polskie. W Lozannie Komitet Prasowy, którego prezesem był profesor uniwersytetu w Genewie p. Laskowski, a rzeczywistą duszą niezmordowanej pracy p. Erazm Piltz. Od pierwszego posiedzenia, na które byłem proszony, zauważyłem, że on kompletnego zaufania koło siebie nie wzbudza, prawdopodobnie ze względu na jego więcej niż ugodowe tendencje przed wojną. Zajmował się wydaniem encyklopedji polskiej, do której nawet udzielałem informacji statystycznych bardzo powierchownych, bo dostarczanych z pamięci przysłanemu do mnie ad hoc przez p. Piltza sekretarzowi. Ta mała encyklopedja nie miała wielkiej wartości a kosztowała niepomniernie drogo w porównaniu do prawdziwych kosztów wydania i wywołała skargi tak ze strony prenumeratorów, jak i wydawcy p. Payot. Naodwrot, wówczas jeszcze tylko projektowana wielka encyklopedja, wydana pod główną dyрекcją i przy gorliwym współpracownictwie, bodaj głównym sumptem p. Jana Żółtowskiego, mieszkającego wtedy we Fryburgu, miała wartość prawdziwą.

Zwykle posiedzenia Komitetu Prasowego były nieliczne i mało interesujące; inaczej było z liczniejszym zebraniem, na którym występował przeważnie p. Kucharzewski, później minister Rady Regencyjnej. Było to jeszcze starcie wyżej opisanych „orientacyj”. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek wy-

luszczał jasno określony, stanowczy program polski, nie prześlągnięty wpływami ani rosyjskimi ani niemieckimi.

Drugi 'Komitet' wyłącznie dobroczynny, o którym już wspomniałem, zasiadał w Vevey. Przewodniczył w nim Henryk Sienkiewicz, głównym pracownikiem był p. Osuchowski, przedstawicielem w Paryżu baron Gustaw Taube. Dwa czy trzy razy odwiedzałem tam wielkiego pisarza a jednocześnie p. Szymona Askenazego, raz w towarzystwie Ksawerego Orłowskiego, raz z Władysławem Skrzyńskim. Na tych kilku wizytach zaprzestałem, znalazłszy obu tych znakomitych ludzi zamkniętych na trzy zamki. Pierwszy dla przyczyn, których się domyśliłem dopiero rok później. Drugi, człowiek i bystry i posiadający poczucie rzeczywistości, prawdopodobnie dlatego, że jeszcze w owej chwili szukał drogi. Bardzo dobre wrażenie zrobiło na mnie wystąpienie p. Władysława Skrzyńskiego wobec Sienkiewicza. Był przed wojną pierwszym sekretarzem przy ambasadzie austro-węgierskiej w Paryżu i dzięki pięknej powierzchowności (w 1915 r. już się mocno roztył) i dystynkcji słynął z powodzeń u pięknych pań z wyższego świata paryskiego. Potem był radcą poselstwa w Brukseli, a następnie urzędnikiem przy Ministerjum Spraw Zagranicznych w Wiedniu i jako taki znalazł się w Szwajcarii. Otóż w mojej obecności oświadczył ś. p. Sienkiewiczowi, że dalej w zebraniach u niego udział brać nie będzie, bo pewnie Sienkiewicz życzy sobie, żeby każdy mógł się wypowiedzieć szczerze i z punktu widzenia czysto polskiego, wówczas gdy on, Skrzyński, jeszcze przebywa na służbie austriackiej i w żadnej okoliczności życia o tem zapomnieć nie może. Później z pamiętników hr. Czernina dowiedziałem się, że ta służba nie była nominalna, bo były minister austriacki kilkakrotnie się odzywa o trafności przysłanych mu ze Szwajcarii przez p. Skrzyńskiego memorjałów. Muszę dodać, że wielce skromny sposób życia p. Skrzyńskiego w Lozannie, gdy jego majątek w Galicji Wschodniej został z kretesem zdemolowany przez Moskali dowodził, że jego wynagrodzenie nie przewyższa zwykłej gaży jawnego urzędnika. Natomiast tajni podczas wojny zupełnie się inaczej mieli i żyli.

W październiku atmosfera w moim hotelu Royal zmieniła się w ciągu kilku dni. Aljanci rozpoczęli poważną akcję koło Salonik. Domagali się czynnej pomocy ze strony króla Konstantego, naco „Tino” w duszy sprzyjający szwagrowi swemu Wilhelmowi II a szczególnie przekonany jak 9/10 narodu greckiego, że kraj Peryklesa i Platona ma prawo delektować się kasztanami przez innych wygrzebanymi, a sam ich w żadnym razie wygrzebywać nie powinien, zaczął mocno nosem kręcić. Chociaż jeszcze morderczego zamachu na żołnierzy francuskich, przebywających w Atenach, nie popełnił, dosyć było jego jawnej złości, żeby cała Grecja w moim hotelu Royal momentalnie prze-

wróciła kurtkę na drugą stronę. Marsyljanka zamilkła. Dzięki temu bardzo prędko cały hotel nabrał w całym mieście, a szczególnie w konsulacie francuskim, reputacji boszofilskiego. Ponieważ jednak był i jest znakomicie utrzymany i ma dobrą kuchnię, zostałem jemu wierny.

W początku listopada, jak się spodziewał dr. Babiński, czyste powietrze i dolce far niente poskutkowało — czułem się w dobrym stanie zdrowia, nudziłem się, nie miałem żadnego zajęcia, więc postanowiłem wrócić do Paryża.

## Rozdział V.

Paryż w listopadzie 1915. — Usposobienie Francuzów. — Działacze polscy. — Myśl o polskim Komitecie zachowawczym. — O zawodowych politykach. — Myśl o pracy dydaktycznej w sprawie polskiej. — Pp. Piltz, Dmowski, Plater. — Polemika.

W Paryżu zamieszkałem czasowo w hotelu Regina naprzeciw ogrodu Tuilleries i zaraz miałem w nim wizytę młodego człowieka, trochę jakającego się, noszącego w rysach wyraz powagi i wstrzemięźliwości, niezwykłych w jego wieku; był to p. August Zaleski, który chciał się ze mną poznać. Wydelegowany zagranicę w pierwszych dniach wojny przez grupę „secesji“ endeckiej, doskonale znając język angielski, założył swoją kwaterę generalną w Londynie, gdzie gorliwie agitował na naszą korzyść w prasie, mało pisząc, lecz dużo inspirował. Inspirował szczególnie miesięcznik „Polish Review“, dla którego następnie wytargował u mnie artykuł, zresztą dosyć powierzchowny, o kwestji litewskiej. Od tego czasu nigdy w Paryżu nie bywał, żeby mnie nie odwiedził i zrobił tak na mnie, jak na Władysławie Zamoyskim i Gustawie Taubem bardzo dodatnie wrażenie. Jest obecnie ministrem Spraw Zagranicznych. — Tymczasem dowiedziałem się, że mój stary hotel Chatham, którego dyrektor został zwolniony z wojska, bo przekroczył lata, został znów otwarty, przeniósłem się doń i przesiedziałem w nim 3 lata aż do końca wojny.

Po kilku dniach zjawia się u mnie tenże dyrektor p. Michaut i jakby nieśmiało powiada: „Panie Milewski, pan jesteś jednym z naszych najstarszych klientów, bardzo pana cenimy, więc pozwalam sobie zrobić panu jedną propozycję. Wiem przez pańskiego służącego, że największa część pańskiego funduszu jest w ręku Niemców. Wojna się prawdopodobnie bardzo przedłuży i obawiam się, żeby się panu nie zrobiło kuso ze środkami. A że pan mi powiedział, że nie zamierza opuścić Francji do końca wojny, więc proponuję, żeby pan u nas zamieszkał i karmił się ze swoim służącym, tygodniowe rachunki

podpisywał, lecz nie płacił, a po skończeniu wojny pan nam wszystko wróci z doliczeniem 6 % rocznie, co pozwoli panu środki, którymi pan w Paryżu rozporządza, obrócić tylko na wydatki osobiste.“ — Propozycji nie przyjąłem, bo mogłem sobie jako tako dać radę, ale naprawdę nic wiem, czy na całym świecie oprócz tej kochanej Francji znalazłby się oberżysta, któryby ze swojej inicjatywy wystąpił z taką propozycją.<sup>1</sup>

W końcu 1915 r. usposobienie ogromnej większości Francuzów względem nas Polaków było mniej więcej następujące: Najliczniejsi prawie nic o nas nie wiedzieli, a Polska w ich oczach przedstawiała się w rodzaju jakiejś Albanji lub w najgorszym razie Armenji. A drudzy, w tem prawie cała prasa, o Polsce ani wiedzieć a tem bardziej pisać nie chcieli, bo drżeli przed ewentualnością wycofania się Rosji z Ententy i instynktownie czuli, że kwestja polska tych niezbędnych i, jak sądzili, zbawiennych sprzymierzeńców drażni. — Miałem tego dwa typowe osobiste dowody. Spotkałem się w tramwaju z ś. p. senatorem p. Leroux, z którym jako członkiem delegacji parlamentarnej francuskiej zaprzyjaźniłem się w 1910 r. w Petersburgu. Odwiedził mnie w hotelu Chatham i prawie zaraz prosił mnie, czy nie mógłbym umitygować „cette feuille séditeuse“. A to była gazetka pana dr. Motza, który w każdym numerze drukował na widoku motto „La Pologne aux Polonais“. — To samo oburzenie i w tym samym mniej więcej czasie wypowiadała skądinąd dla mnie wroga gazeta „La libre parole“ (18 lutego 1916). To nawet poskutkowało, i dr. Motz musiał chwilowo dać nura, żeby wypłynąć pod innym tytułem. A na bulwarze zatrzymuje mnie jakiś pan; poznaję lekarza, u którego przed wojną przechodziłem dosyć długą kurację elektryczną; i dosłownie: „Ależ ja pana doskonale pamiętam i pańskie tak zajmujące rozmowy; pańskie nazwisko już zapomniałem, ale pan dla mnie zostałeś tym Rosjaninem, który się upiera być Polakiem. Pan jesteś z części północnej, z Kurlandji, czy nieprawda?“ Potem wykorzystałem tę rozmowę jako wstęp do mojej pracy o „obecnym stanie kwestji polskiej“, o której dalej opowiem.

W tymże miesiącu listopadzie 1915 r. poznałem oprócz wyżej wspomnianych jeszcze trzech „działaczy“ polskich z epoki wojennej, panów Woźnickiego, Rettingera i Jana Horodyskiego. Pierwszy, będący na czele małej agencji prasowej, spokrewnionej z biblioteką polską na Quai d'Orléans i z agencją

<sup>1</sup> Ś. p. Stanisław Grabowski, dziedzic pięknych dóbr Możejkwów w lidzkim powiecie, zaskoczony wojną w hotelu Continental (był dziesięć lat ode mnie starszy) przeżył w nim na kredyt, otrzymując nawet małe pożyczki aż do śmierci w 1918 r. Dopiero w 1919 Ludwik Gorecki z polecenia spadkobierców (Grabowski był starym kawalerem) wszystko zapłacił.

lozańską, pomieszczał, gdzie tylko mógł, notatki i nowiny dla naszej sprawy korzystne, lecz na swoją rękę nie działał. Młody, zdolny i wykształcony p. Rettinger, syn krakowskiego mecenasa, protegowany przez Władysława Zamoyskiego, który go trzymał do chrztu, był typem działającego tylko samodzielnie partyzanta. Główną jego siłą była doskonała znajomość języka angielskiego i sympatja dla niego p. Asquith'a, ówczesnego angielskiego premiera; gdy ten został wysadzony w powietrze przez Lloyd George'a, czynność pana Rettingera musiała się znacznie ograniczyć. Później wspomnę o jego smutnych przygodach. Pana Jaua Horodyskiego, który po 10-letnim pobycie w Stanach Zjednoczonych amerykańskich, gdzie się zaprzyjaźnił z pp. Paderewskimi, krótko przed wojną powrócił do rodzinnej Galicji Wschodniej i na samym początku wojny ze szczupłym zasobem pieniędzy puścił się „na szczęście“ na Zachód, poznałem u pani Klementyny Tyszkiewiczowej, która go przytuliła, będąc sama z urodzenia Małopolanką. — Przez pierwsze miesiące ciągle u mnie bywał i brał oczywiście repetycje politycznego wykształcenia, bo sam o sobie twierdził, że ma tylko chłopski rozum, ale dobry. Rzeczywiście mało kogo znałem w swoim życiu, któryby do tego stopnia uosabiał typ „spryciarza“. Później, po krótkiej wycieczce do Ameryki, postąpił na służbę wywiadowczą angielską, został „Count Horodyski, british subject“ — w ciągu dziesięciomiesięcznego pół-panowania pp. Paderewskich był, czy w Paryżu, czy w Warszawie, ich nieodstępnym współtowarzyszem, dziś spoczywa w Paryżu na bardzo grubym worku pieniężnym i przyjmuje na godnych Lukullusa śniadaniach całą arystokrację polską.

W tymże listopadzie miałem bardzo częste wizyty p. Erazma Piltza, niespodzianie przybyłego z Lozanny; domyśliłem się, a potem dowiedziałem się, że jakoś tam z Komitetem Prasowym szczególnie pod względem finansowym mu się niebardzo wiodło i że potrzebował przeflancowania. Jeszcze w czasie mego pobytu w Lozannie Agencja prasowa polska otrzymała od p. Paderewskiego z Ameryki lakoniczny telegram, w którym obiecywał zasilek miesięczny pod ścisłym warunkiem, że Agencja ta przyjmie i będzie popierała program „maksymalny“. Chyba ten nieco elastyczny wyraz w żadnym razie nie mógł oznaczać bezgranicznego podporządkowania polityki Agencji wskazówkom przedstawicieli dyplomatycznych rosyjskiego i francuskiego?

Z inicjatywy, o ile pamiętam, wyżej wspomnianego publicysty p. Antoniego Potockiego powstała myśl utworzenia Komitetu Polskiego, coś nakszałt Narodowego w Warszawie a wtenczas już w Petersburgu, pod mojem przewodnictwem. Było w tym przedmiocie kilka zebrań u mnie, ale rzecz nie doszła do skutku tem bardziej, że jak się mogło do tego przyznać dzisiaj, z całą perfidją, do jakiej jestem zdolny (a tego niewiele),

staralem się temu projektowi kark skrócić. — Kierowałem się następnymi względami, z których dwa pierwsze poważne, lecz nie decydujące, wypowiedziałem moim kolegom, a dwa decydujące, wypowiem dopiero teraz w chwili generalnej spowiedzi. Motywa jawne były: primo, że w obecnem usposobieniu rządu francuskiego i angielskiego o żadnych, mogących przygotować przyszłość pertraktacjach mowy być nie mogło, gdyż w chwili, kiedy w obu krajach świat oficjalny już przy brzmieniu słowa „Polska“ zaostrzał uszy i bał się, żeby Moskal nie zmarszczył brwi, można było przynieść sprawie więcej aktualnej szkody niż korzyści przyszłej; pozostawała zatem tylko użyteczna, potrzebna nawet, żeby o nas nie zapominali, propaganda. Lecz ta, żeby być metodyczną i skuteczną, potrzebuje dość sutych funduszy, któremi nie rozporządzaliśmy i nie mieliśmy skąd ich zebrać. — A propagandę w „rozsypkę“ mogliśmy prowadzić i bez komitetu, przyczem nie było najmniejszej nadziei, żeby dość mocno organizowany komitet pod kierownictwem p. Dr. Motza, bardzo czerwono zabarwiony, przyłączył się do nas „wsteczników“ — i wyszłaby tylko tradycyjna u Polaków, a w moich oczach bardzo niepożądana, rywalizacja komitetów i anty-komitetów.

A niewypowiedziane, lecz decydujące motywy, które inną kierowały, były: 1<sup>o</sup> Moje postanowienie nigdy więcej między synami Lecha nie „przodować“ (p. wyżej). — 2<sup>o</sup> Od młodych lat, kiedym w początkach Republiki Francuskiej bliżej się przypatrzył sprężynom nowoczesnej polityki krajów swobodnych, przekonałem się, że plagą, istną trucizną prawie wszystkich tych krajów, jest to polityk zawodowy. Typ ten północni Amerykanie pod nazwą „Politician“ stawiają w skali swego poważania na jednym prawie poziomie z prostytutką. Franciszków z Assyżu lub Wincentych à Paulo w polityce niema. Ale kiedy jaki obywatel, mając dostatecznie zapewniony chleb powszedni, puszcza się w politykę z ambicji, bo pragnie rozgłosu swego nazwiska, sławy dla swego potomstwa, choćby upajającej tyle ludzi potrzeby władzy i wpływu nad innymi, lub też z dyletantyzmu i miłości własnej artystycznej, to można się spodziewać, że wyteży swoje siły ku zastosowaniu tego, co w jego przekonaniu wygląda najkorzystniej dla sprawy publicznej, bo jej powodzenie wiąże się z jego własną ambicją. Zupełnie inaczej z tym politykiem zawodowym, który szuka w tej polityce nie tylko sytuacji społecznej lub światowej, której mu urodzenie i przeszłość nie dały, lecz nawet swego własnego bytu materialnego. Skoro na polityce spoczywa i komorne mieszkaniowe, i befszytk powszedni, i rachunki krawca lub praczki, to taki rzemieślnik polityczny uprawia politykę tak, jak szewc szyje buty lub krawiec marynarkę. Nie robi ich spiczastemi lub zaokrąglonemi, obcisłemi lub szerokimi,



podług swoich przekonań o estetyce, lecz podług tego, co się lepiej sprzedaje. A że jego stanowisko zależy wyłącznie od upodobania mniej lub więcej licznych grup i tłumów, więc koniec końców jego zasadą staje się historyczne słowo pseudotrybuna Ledru - Rollin w 1849 „Il faut bien que je les suive — puisque je suis leur chef“.

Niestety „politykusi“ górują nad „dyletantami“ pod kilku względami; u nich częściej spotyka się nie tylko więcej talentu, lecz szczególnie więcej czynności. Dyletant pracuje prawie wyłącznie gębą i piórem, politykus prócz tego nogami. Pierwszy, gdy się przy biurku namyślił i przygotował, bywa w świecie, przyjmuje, bawi się, tymczasem drugi lata jak opętany po zebraniach, schadzkach poufnych, redakcjach, kularach parlamentarnych, tu mówi, tam szepce, wszędzie werbuje i wkońcu pierwszy dochodzi do słupa wyścigowego. To też zupełnie obejść się bez tego elementu żadna partja, organizacja społeczna lub nawet Izba prawodawcza nie może: lecz powinienby on stanowić małą, znaczną mniejszość, mniej więcej w proporcji musztardy do kielbasy. Tymczasem z góry wiedziałem, że z możebnego składu osobistego projektowanego komitetu tylko Jan Tarnowski (de l'or en barre, jak go nazywał Ludwik Gorecki) będzie regularnym i ciągłym uczestnikiem posiedzeń; Taube, Halpert, superdyletanci, będą tylko przypadkowymi gośćmi, Władysław Zamoyski i Jan Sierakowski odmówili udziału ze strachu przed władającymi całym ich funduszem Boszem i Austriakiem: byłbym więc stale majoryzowanym. A oprócz tego obawiałem się, że dzięki co najmniej dwom albo trzem z tych zawodowych polityków ustanowi się od razu między stołem posiedzeń a Ministerjum Spraw Zagranicznych francuskim, Ambasadą Angielską a już bez pudła Rosyjską, telegraf bez drutu.

W trakcie tych posiedzeń odwiedziłem panią Izwolską; jej mąż zaraz przysiadł się do mnie i prosto z mostu: „Czy pan zna pana Piltza?“ — „Czemu szanowny kolega się pyta?“ — „Bo był u mnie i mieliśmy wielce interesującą rozmowę.“ Że Izwolski p. Piltza osobiście nie znał, było bardzo naturalne, ale żeby o nim nie wiedział, przynajmniej dzięki agencjom dyplomatycznym rosyjskim w Szwajcarji, to wzbudziło moją ostrożność i wypowiedziałem się bardzo pochlebnie o nim jako pracownikowi i pisarzowi, ale o jego roli politycznej ani pisałem. Lecz gdy w odpowiedzi na to p. Izwolski puścił się na istny dytyramb o wszystkich zaletach, mądrościach i t. d. człowieka, którego tylko raz widział, nie mogłem się nad tem nie zastanowić i tego zapomnieć; a wszystko się wyjaśniło, gdy w 1917 roku, po rewolucji rosyjskiej, zostały w Petersburgu opublikowane cyfry, wydawanych podczas wojny przez różne

ambasady rosyjskie funduszów sekretnych i nazwiska tych, którzy z nich korzystali.

To wszystko skryształizowało we mnie myśl, że o ile wszelkie pertraktacje byłyby przedwczesne, a może szkodliwe, o tyle jest i potrzebnem i pilnem, aby tej Polsce, o której wszyscy zapominają, lub nawet chcą zapomnieć, urządzić reklamę, że tak powiem, komercyjną. Aby Polska stała się jakimś „Velma Suchard“ lub „Milka Suchard“ i aby kiedy przyjdzie chwila na prawdziwe pertraktacje i układy w krajach, w których rzeczywistym suwerenem jest opinia publiczna, ogólnie wiadano, że nie idzie o „Albanję lub Liban, ale o wielki kraj z licznyim narodem, z wielką przeszłością, postanowiłem przy każdej okoliczności wykorzystać moje dobre pióro francuskie w tym celu. — A miałem nad moimi gorliwymi towarzyszami broni tę przewagę, że moje dobre stosunki osobiste z dwoma dyrektorami poważnych i poważanych gazet oraz wpływowego miesięcznika pozwalały mi przemawiać do daleko szerszego kręgu czytelników.

O potrzebie takiej pracy syntetycznej przekonały mnie szczególnie trzy przejściowe znajomości, wkrótce jedna po drugiej zawarte z pp. Humbert, Hériot i Viviani. — Z pierwszym, senatorem i dyrektorem bijącej codziennie pół miljona egzemplarzy gazety „Le Journal“, który miał dwa lata później być dość brzydko zamieszany w proces o starania Rządu Niemieckiego, żeby nabyć polajemnie jego gazetę, za co trzej aferzyści zostali rozstrzelani, zaznajomiła mnie u siebie księżna de Crusol d'Uzès, rodząca się z katolickiej Galicyi i zestosunkowana z polską arystokracją. Z p. Viviani, prezesem Rady Ministrów w chwili rozpoczęcia wojny, zapoznał mnie dyrektor „Journal des Débats“, p. E. de Nalèche; z p. Hériot, wówczas senatorem, którego późniejsza rola jako twórcy „Kartelu lewicowego“, obalacza dzielnych prezydentów Millerand i Poincaré, premiera od maja 1924 do maja 1928, jest dobrze znana, zetknął mnie senator p. Grosjean. — U wszystkich trzech skonstatowałem: 1<sup>o</sup> zaciekawienie kwestją polską tylko jako mogącą wpłynąć na rozwój rozgrywającej się tragedji wszechświatowej, 2<sup>o</sup> najgruntowniejszą nieświadomość jej stanu obecnego i 3<sup>o</sup> grzecznie skryta obojętność co do przyszłości naszego narodu po wojnie. — To pobudziło mnie do zostawienia tych znajomości bez żadnego „jutra“, lecz zarazem wzmocniło moje przekonanie, że przede wszystkim trzeba „dawać na dzwony“.

W grudniu p. Piltz po dokonaniu z p. Izwolskim porozumienia powrócił do Lozanny, z którą w dość prędkim czasie

miał się ostatecznie rozstać. — Rozeszła się wśród kolonii polskiej wieść, że p. Roman Dmowski jest w Londynie, że zamierza przyjechać do Paryża i mieć odczyt o sprawie polskiej w kolo-salnej sali Sorbony. Sławetny „Ojciec Ojczyzny“ cieszył się wówczas u większości tej kolonii stanowczą niepopularnością. Czysto patriotycznie nastrojona część (głównie młodzież płci obojga) nie mogła mu darować jego zbliżenia się z Moskwą, a koła demokratyczne lub nawet socjalistyczne, w których właściwie rej wodziły jak zawsze nieliczne lecz wpływowe dzieci Izraela, jego nieprzejednanego antysemityzmu. Zawiązała się istna konspiracja, postanowiono prelegentowi urządzić uroczysty skandal, prelegent się w porę o tem dowiedział i seans w Sorbonie został odroczonej ad kalendas Graecas. W drugiej połowie grudnia (?) pokazał się rzeczywiście na horyzoncie „Ojciec Ojczyzny“ w towarzystwie hr. Konstantego Platera, występowali jakby w roli dwóch Ajaksów — jednego politycznego, drugiego światowego, mających się wzajemnie podtrzymywać w respektywnych swoich sferach. Miałem zaraz wizytę p. Platera, a tylko w kilka dni później p. Dmowskiego. I z jednym i z drugim rozmowa była dość długa, bo materiału do niej nie brakło, lecz czysto informacyjna. Pan Roman Dmowski jest człowiekiem umysłu tak żywego, bogatego we wszelkiego rodzaju koncepcje, wykształconym i dobrze poinformowanym, że rozmowa z nim jest zawsze interesującą, nawet kiedy bezcelową; a tak musiało być w danym razie. Pan Dmowski żadnych nawet zdaleka ofert jakiegokolwiekbądź współdziałania mi nie uczynił, a ja sam byłem zdecydowany ewentualnie ich nie przyjąć, bo pamiętałem o zeszłorocznej historii z pp. Lubimowem i Jengalyczewem, a należę do rzędu kotów, które raz oparzone potem nawet zimnej wody się wystrzegają. Gdym go odprowadzał i zapytałem dla rewizyty, gdzie się zatrzymał, powiedział mi, że jest już spakowanym i za godzinę wyjedzie do Lozanny. To też pamiętając, jak całemi latami od czasu publikacji broszury „Zasługi Erazma Piltza przed Rządem Rosyjskim“<sup>1</sup> ci dwaj publicyści się wzajemnie niemiłosiernie ujadali, nazajutrz postawiłem memu arcy-spryciarzowi Horodyskiemu pytanie: „Kto tam kogo zje? — Piltz Dmowskiego, czy odwrotnie?“ — Spryciarz bez

<sup>1</sup> Ta broszura, która na początku naszego stulecia narobiła dużo hałasu i była ogólnie uważana za robotę „endecką“, stanowiła właściwie dosłowne tłumaczenie memorjału przypadkowo znalezionej w bibliotece cesarskiej w Petersburgu; w tym memorjale p. Piltz przekonywał władze rosyjskie, do których był wystosowany, że jego tygodnik „Kraj“ zawsze stanowił przed społeczeństwem polskiem gorliwą obronę polityki rosyjskiego rządu, szczególnie w kwestji rusińskiej. — Przysporzył autorowi dużo przykrości z prasą warszawską tem bardziej, że autentyczności memorjału zaprzeczyć nawet nie próbował. Podczas wojny został przez anonimowego przyjaciela przedrukowany w Szwajcarii i rozestawiany różnym Polakom, między innymi i mnie.

wahania odpowiedział: „Dmowski połknie Piltza jak ostrygę“, — a wyszło zupełnie inaczej; dwa sprzeczne elementa w alembiku Ambasady Rosyjskiej połączyły się w jedną chemiczną kombinację, która skryształizowana w postaci „Komitetu Narodowego“ przetrwała do końca Kongresu Pokojowego.

W nieobecności tych panów zdarzył się taki wypadek, który mnie pobudził, pierwszy raz od przyjazdu do Paryża, do wystąpienia w prasie.

Naówczas czytająca publiczność paryska rozrywała sobie szczególnie dwie gazety: ranną „La Victoire“ i wieczorną „L’Intransigeant“ przez skrócenie „L’Intrant“. Redaktorem pierwszej był p. Gustaw Hervé; przed wojną wstąpił się swoim głośnym „Le drapeau au fumier“ (Sztandar do nawozu) i zarobił sobie parę miesięcy więzienia. Zaraz po wybuchu wojny, może pod wpływem zamordowania Jaurès’a, dokonał śmiałego salto mortale i nie zmieniając nawet tytułu swojej gazety „La Guerre sociale“, stanowczo stanął na gruncie pojednania wszystkich stanów w jednolitą partję narodową. Później w 1915 roku przemienił swój tytuł na „La Victoire“. Poznałem go na śniadaniu u jego współpracownika Georges Bienaimé; zrobił na mnie wrażenie jednego z tych zawsze przekonanych, lecz codziennie inaczej, ideologów, którzy na wzór niedawno jeszcze potężnego u nas męża stanu „zastrzegają sobie, aby im nie przypomniano dzisiaj tego, co mówili wczoraj“. Georges Bienaimé, żonaty z Polką czy tam ze spolszczoną Litwinką, a może już dziś zlitewszoną Polką, panną Dowojna, był jednym z użytecznych partyzantów prasowych na korzyść sprawy polskiej. — Druga zaś gazeta „L’Intransigeant“, założona niegdyś przez słynnego Henri Rochefort, osobistego nieprzyjaciela cesarzowej Eugenji, potem komunarda, potem Boulanżysty, w ręku nowego redaktora p. Balby nie zmieniła swego tytułu, lecz zmieniła kierunek i była politycznie umiarkowaną, patryjotyczną, przeważnie informacyjną.

Otóż w ostatnich dniach grudnia wyszedł raptem za podpisem p. Jean de Bonnefond zaiste wściekły, skądinąd bardzo cięto napisany artykuł przeciw komitetowi dobroczynnemu Henryka Sienkiewicza w Vevey. Autor dowcipnie, we właściwym mu oryginalnym stylu opowiadał, jak to w Vevey odwiedził p. Osuchowskiego, jak ten mu pokazywał swoje księgi, jak chwalił się, że już zebrał i przesłał do Królestwa Polskiego 5 milionów franków zapomogi (miały potem wzrosnąć do 15 milionów) i kończył tem, że ponieważ te pieniądze idą przez terytorjum niemieckie lub austriackie na terytorjum zajęte przez nieprzyjaciół Francji, więc cała ta czynność stanowi w gruncie nieprzyjazną dla aliantów i szkodliwą dla nich imprezę i Rząd

Francuski powinien domagać się od Szwajcarskiego zamknięcia i rozpaddinga tego komitetu.

Przedstawiciel we Francji komitetu w Vevey, Gustaw Taube, i ja byliśmy zdania, że nie można przepuścić tego wściekłego ataku i trzeba jakoś zareagować. — Wiedzieliśmy obaj, że ten p. Bonnefond jest znanym w sferach prasowych specjalistą od szantażu, który przykrywając się barwą katolicką, wysłedziwszy to tu to tam kryjące się nielegalne stowarzyszenia katolickie, wypowiadał naiwnych ich kierowników, poczem pod groźbą ogłoszenia w prasie ich fortelików wyduszał od nich większe lub mniejsze zapomogi. To też zarobił sobie na śmieszne przezwisko: „Le lutrin“ (pulpit na chórze), albowiem „devant lui les prêtres chantent“. Oczywiście było, że p. de Bonnefond podstawił pocziwemu Osuchowskiemu pulpit, lecz ten nie zaśpiewał.

Poszliśmy w dwóch z Taubem do p. Balby, wytłumaczyliśmy mu, jak rzeczy rzeczywiście stoją, wyraził szczery żal, że się dał złapać i sam nam zaproponował pomieszczenie w tymże „Intransigeant“ gruntownego sprostowania z zastrzeżeniem tylko, żeby to sprostowanie było ściśle rzeczowe i nie zadrasnęło miłości własnej jego współpracownika. Ja zaś nie skryłem przed p. Balby, że mi to nie wystarcza, że doskonale rozumiem jego zastrzeżenie, lecz że jego pismo nie jest jedynem i postaram się p. de Bonnefond odplacić się pięknem za nadobne. Podzielił się nam zadanie z Taubem. On jako przedstawiciel komitetu wystosował do tego samego „Intransigeant“ bardzo rzeczowe, jasne i umiarkowane w tonie sprostowanie, które wyszło w następnym numerze tejże gazety, a ja ze swojej strony postanowiłem dla przykładu i aby wiadano, że u Polaków także bywają zęby, sprawić szantażyście zasłużoną łażnię. Już wówczas miałem otwarte drzwi w „Journale des Débats“, lecz to jest zaiste vice Akademja Francuska, dla której taki pojedynek prasowy się nie nadaje; zaniósłem więc swoją replikę p. E. Judet, dyrektorowi gazety „L'Eclair“, jak raz tego samego kalibru co „L'Intransigeant“, pomieścił go w numerze 1-go stycznia 1916 roku i jako szczery nasz przyjaciel dał mu od siebie wstęp pod tytułem: „Pour la Pologne“, który dosłownie tłómaczę jako ilustrację ówczesnej atmosfery, która nie pozwalała, nawet najgorliwszym naszym przyjaciółom i w gruncie sceptykom względem „olbrzyma-sprzymierzeńca“ mówić o Polsce, bez przy mieszki słodkiego rosyjskiego sosu. Oto ten wstęp:

#### DLA POLSKI.

„Autonomja Polska obiecana przez Rząd Rosyjski stanowi jeden z zasadniczych artykułów programu francuskiego. Straszliwe położenie kraju, spłodowanego, zrujnowanego, zarzniętego, czyni go jeszcze bardziej sympatycznym; po tylu klęskach

historycznych, które czynią sprawę bohaterów, synów Poniatowskiego, tak pasjonującą, Polska znosi jedno więcej męczeństwo, najstraszniejsze i najbardziej krwawe. Zatem jest i naturalnem i sprawiedliwem, aby nasza pomoc szczerze szła na korzyść tylu ludzi cierpiących, ofiar wojny, oswobodzenia, które dla nich zaczyna się przez pokutę i katusze wszelkiego rodzaju.

Wbrew oczywistości pewne dzienniki pod wrażeniem drażliwości, wywołanej chęcią bronięcia wyłącznie francuskich interesów, napadły na czynność komitetu w Vevey, stworzonego dla scentralizowania pomocy i darów cywilizowanego świata dla Polaków przygnębionych jarzmem nieprzyjaciela.

„L'Intransigeant“, który pomieścił o tej delikatnej kwestji artykuł przepełniony niecenem podejrzeniem, lojalnie wydrukował także jasne, niezaprzeczone wytłomaczenie barona Taubę, przedstawiciela we Francji komitetu w Vevey. O tym samym przedmiocie otrzymujemy od upoważnionego pióra Polaka Paryżanina, wielkiego i wiernego obrońcy naszej ojczyzny, prawie rodaka, artykuł decydujący, który sprostowuje zapomniane prawdy i rozwiewa dobrowolne nieporozumienia. Liczni Polacy, którzy tak mężnie walczą w szeregach naszego wojska, z przyjemnością przeczytają piękny protest podpisany jego nazwiskiem. Wszyscy Rosjanie przyjaciele Francji, wszyscy Francuzi przyjaciele Rosji, będą nim równie zadowoleni; on odpowiada ich uczuciom, ich przyjaźni, ich wspólnym interesom i silnie dowodzi, że usługi oddane przez Polskę nie będą nigdy zanadto głośno ocenione i nie wzbudzą nigdy dosyć wdzięczności. — (podpisano: E. J.)“

Mój własny artykuł, zatytułowany „Zbytek gorliwości“ był trzy razy dłuższy, dlatego go streszczam i daję tylko jedną cytate:

Przypomniawszy napaści p. de Bonnefond, wyjaśniłem, na czem polega czynność Sienkiewiczowskiego komitetu i starałem się dowieść, że wszystkie zarzuty mego przeciwnika stosują się także co do joty do daleko szerszej, dzięki hojności amerykańskich miliardców Rockfellera i Carnegie, akcji ratunkowej na korzyść również pod okupacją niemiecką będących Belgji i północnej Francji. Poczem pisałem: „Jednak to nie są fakty tak zgrabnie przedstawione przez p. de Bonnefond, a tak jasno postawione pod właściwem światłem przez p. Taubego, które mnie głównie interesują, lecz zagadnienie, jakie mogły być pobudki tego zbyt zrécznego artykułu? W zaciętości jego napaści na „małego starca“ (p. Osuchowskiego) są niezawodnie ślady rozczarowania i żalu. Czem ten świecki Wincenty à Paulo mógł rozczarować swego badacza? Lecz nie, nie chcę bronić p. Osuchowskiego. One bywają niecierpliwiące, te kryształowe dusze, które się niczego nie domyślają. Czyżby miał „nicestrożność“ on, który całe życie rozdawał biednym to, co dostawał od

bogatych, pokazać swemu egzaminatorowi swoje „precyzyjne i metalowe palce maszyny do brania“, a czyż nie mógł wystawić tamtych drugich! Wszak maszyny do dawania są daleko sympatyczniejsze.“

„Ponieważ znana reputacja p. de Bonnefond pozwala przypisywać mu tylko wysoko ideowe pobudki, więc donyślam się, że mogą być one wyłącznie patryjotyczne, i że chciał pochlebić wielkiemu przyjacielowi rosyjskiemu, napadając na Polaków. Ale się spóźnił, bo na terenie dobroczynności panuje dziś między Rosjanami i Polakami kompletna zgoda do tego stopnia, że w Petrogradzie działa paralelnie z Sienkiewiczowskim drugi komitet pomocy dla biednych Polaków pod bardzo czynnem przewodnictwem w. księżnej Tatjany, córki cesarza Mikołaja II; tak więc tym razem p. de Bonnefond przesadził w gorliwości. — Kto uprawia podobne rzemiosło, odstręcza sympatje jednych, a nie podnosi się w opinii drugich.“

Mając na względzie, że mój szantażysta mógł się czuć obrażonym osobiście i żądać satysfakcji, podpisałem się wbrew memu zwyczajowi całem nazwiskiem.

Jednak ten atak w tym samym przedmiocie nie był ostatnim. Jeszcze w czerwcu tegoż 1916 roku w gazecie „Echo de Paris“ p. Herbetle, potem redaktor politycznej zagranicznej wielkiej gazety „Le Temps“, a dziś przedstawiciel Francji przed Sowdepją, odnowił tę napaść... Posłałem mu znów protest, lecz go nie pomieścił — może dlatego, że był zbyt słony.

## Rozdział VI.

Praca o „obecnym stanie kwestji polskiej”. — Jej losy.  
P. Raymond Poincaré. — Stosunki światowe.

Dnia 5 stycznia 1916 roku skończyłem moją wyżej wspomnianą pracę o kwestji polskiej. W streszczeniu plan jej był następny:

Stan opieki polskiej przed i po wybuchu wojny. — Proklamacja w. księcia Mikołaja 3/16 sierpnia 1914 r. — (Tekst.) — Wahania w zastosowaniu jej. — Logiczne jej następstwa mianowicie, że kwestja zjednoczenia Polski staje się ogólnoeuropejską. — Kwestja granic. — Podług tekstu samej proklamacji nie mogą być inne jak granice 1772 roku — a jeśli można lub nawet wypada je posunąć na zachód, to nie na mocy prawa lecz tylko korzyści tak dla rosyjskiego jak i przyszłego polskiego autonomicznego Państwa. — Możliwe rozstrzygnięcie zadania. — Rozstrzygnięcie niemieckie i austriackie dopuszczalne tylko w nieprawdopodobnym wypadku zwycięstwa państw centralnych. — Rozstrzygnięcie rosyjskie, bądź tych kół moskiewskich (Samaryn i drudzy), którzy domagali się kompletnego odseparowania Polski (naturalnie zredukowanej do minimum) od Rosji, nie wykluczając kordonu celnego, bądź tych kół biurokratycznych petersburskich, któreby chciały nawet obietnice W. Księcia zbagatelizować. — Rozstrzygnięcie stosownie do obietnic w. księcia Mikołaja, t. j. prawdziwa autonomja zjednoczonej Polski. — Tę uważałem za zadawalniającą pod dwoma absolutnemi warunkami. *Primo*, żeby ta Polska nie była zbytecznie uszczuplona pod fałszywym pretekstem etnograficznym, którego ani Francja względem niektórych swych prowincyj, ani Anglja względem nietylko Irlandji (wówczas), lecz księstwa Walji i północnej Szkocji za uicby sobie narzucić nie dały. *Secundo*, żeby ta autonomja miała gwarancję całej Europy, zabezpieczającą ją od zwrotów politycznych petersburskiej biurokracji, która tradycyjnie szuka derywacji trudności wewnętrznych w szczuciu rdzennie rosyjskiego narodu na obco-



plemieńców. — Nakoniec rozwiązanie czysto polskie — t. j. kompletna niepodległość. Może ona wypłynąć nawet bez, nawet pomimo życzenia samych Polaków przy układach pokojowych, o ile ten pokój nie będzie Państwow Centralnym narzucony siłą, lecz zawarty wskutek tylko częściowego zwycięstwa, jak to było po wojnach Krymskiej, Włoskiej 1859 roku — lub Rosyjsko-Japońskiej — t. j. przez obie strony przedyskutowany i przyjęty. W takim razie Państwa Centralne mogłyby same, przy równych z ich strony i ze strony Rosji ofiarach terytorjalnych, wymagać odbudowania Polski jako ważnego elementu równowagi europejskiej.

Przechodziłem do bezstronnego rozpatrzenia korzystnych lub niebezpiecznych stron takiego rozwiązania. Co do Europy a nawet samej Rosji pierwsze biją w oczy, ale z punktu widzenia samego narodu polskiego powinny być brane pod uwagę także i drugie.

Tu wyrażałem się jak następuje:

„Minęło 120 lat od czasu, gdy trzeci podział Polski wy-mazał ją z liczby Państw niepodległych; czy posiada ona dziś w sobie pierwiastki niezbędne do odbudowania bez pomocy obcej tak skomplikowanego organizmu, jakimi się stały wielkie państwa nowożytne? W XVIII wieku Państwo Polskie runęło nie tak pod ciosami swoich przeciwników, albowiem wszystko przeszło prawie bez walki, jak wskutek braku własnej żywotności i braku z winy samego narodu niezbędnych dla obrony i trwałości wielkiego państwa organów: wojska, finansów, sprawiedliwości, administracji i t. p. Czy w tych warunkach nowa Polska raptownie obdarzona całkowitą niepodległością nie przypominałaby tego chorego, któremu po długiej i srogiej diecie dostarczono raptem zbyt sytej i pożywnej ucztę i którego rekonwalescencja kończy się katastrofą?

Znowu Polska w chwili, kiedy zginęła, posiadała jak i liczne wówczas kraje europejskie tylko jeden stan społeczny, politycznie czynny: większą i małą szlachtę ziemiańską; klasy średnie i ludowe doszły do cywilizacji, do wykształcenia, do dobrobytu, do poczucia swojej siły, bez wpływu wychowawczego wspólnej ojczyzny; te klasy wpadną odrazu w nowoczesny wir demokratyczny bez przygotowania, podobne do dziecka, które się nigdy nie kąpało, a wrzucono je do głębokiej rzeki. Czy w tych warunkach nie stanie się ten naród nieuniknioną zdobyczą wszelkich możebnych Rabagasów,<sup>1</sup> których nigdzie nie brak? I jeśli to ma być monarchja, czy nie oczekuje jej los tych świeżych państw bałkańskich, gdzie jeden tylko

<sup>1</sup> Rabagas jest to tytuł głośnej na początku lat 1870 komedji Victorien Sardoux; była to satyra wyżej opisanego politykusa i jakoby stosowała się do Leona Gambetty. — To też po kilkudziesięciu przedstawieniach została zabroniona i ostatecznie zdjeta z repertuaru.

król rumuński Karol I umarł w łóżku z koroną na głowie, bo wszyscy inni zostali zdetronizowani lub zamordowani? — A jeśli to ma być republika, czy nie będzie się ona wzorowała na licznych republikach południowo-amerykańskich raczej niż na Szwajcarii lub Stanach Zjednoczonych?”

Potem z całą siłą uderzyłem na to, że oprócz Polski rdzennej mamy jeszcze związane z nią od 500 lat Kresy, które zawierają jeśli nie ilościowo to jakościowo dobrą połowę narodu polskiego, to jest jego wykształconej warstwy; że jeżeli można podzielić na dwie połowy terytorja, to nie można tak samo podzielić narodu, i że dla uniknięcia tego, żeby te Kresy nie stanowiły wiecznie niebezpiecznej i dla Rosji i dla Polski „irredenty“, musi Rosja na zawsze pożegnać się ze swoim systemem przymusowej rusyfikacji i co najmniej przyznać tym obszarom, także pod gwarancją Europy, usunięcie wszelkich praw wyjątkowych i przyznanie kompletnego równouprawnienia. Wkońcu konkretnie skryształizowanego programu przedstawić nie podejmowałem się, bo wszystko zależało od wyniku wojny i nie czułem się do tego upoważnionym, jednak uważałem, że dzięki jednomyślności pod tym względem całego narodu każdy Polak ma prawo bronić następnych trzech tez:

a) Przyszła Polska powinna być jedna, jedna i jedna. Jeśli ma być jaki „suweren“, jakiś „protektor“ lub jakiś Brat syjamski, powinien być tylko jeden.

b) Ta Polska powinna być dosyć wielka, aby żyć własnem życiem, nie powinna być bez końca okrojona w imię jakiejś niniemanej, do absurdu posuniętej etnografji, której żaden wielki naród europejski u siebie nie przyznaje.

c) Statut tej Polski, jakiby on nie był, powinien być dziełem Europy i powinien być przez nią zagwarantowany.

Los tej pracy był następujący: Domyślałem się, że ona w danej chwili bez okrojeń przez cenzurę nie przejdzie. Dałem ją do przepisania na maszynie w kilkudziesięciu egzemplarzach, część rozesłałem osobistym francuskim znajomym, a nie mniejszą ilość rozdał zaznajomiony z całym światem politycznym francuskim wymieniony przyjaciel, Charles Dumont. Zawdzięczałem temu długie przyjęcie u ówczesnego Prezydenta Francuskiej Republiki p. Raymond Poincaré. Przyjęcie to naturalnie z obawy przed ambasadą rosyjską było otoczone pewną tajemniczością. Nie otrzymałem oficjalnego zaproszenia, lecz p. Dumont uwiadomił mnie, że p. Poincaré gotów jest mnie przyjąć jakiegokolwiek bądź dnia między 4 a 7. A gdy przyjechałem i znalazłem p. Dumont czekającego na mnie, zostaliśmy przez woźnego zameldowani nie podług naszych nazwisk, lecz jako: „pan deputowany Dumont i jego przyjaciel.“

Pan Prezydent przyjął nas z więcej niż etykietałną uprzejmością i zaraz wziął mnie na indagację. Precyzja i jasność jego pytań odrazu mnie przekonały, że mam do czynienia z mężem stanu zupełnie wyjątkowej wartości; a gdy mnie pożegnał, powiedział prawie dosłownie: „Panie Milewski, pan masz cenną zaletę, że znając doskonale obce nam stosunki, umiesz je wykładać i wyjaśniać po naszemu. Niech pan swojej czynności nie zaprzestanie, aczkolwiek będzie pan miał trudności, których ja narazie osobiście usunąć nie mogę, bo pan rozumie, że nasz angielski sprzymierzeniec i my jesteśmy absolutnie skrepowani. Rosja obecnie neutralizuje na swoim froncie Niemniej niż  $\frac{1}{3}$  sił naszego nieprzyjaciela, to jest dla nas kwestja życia i śmierci, i w niczem drażnić jej nie możemy; ale bądź pan dobrej myśli. Ta wojna kiedyś się skończy, wówczas niezliczone hufce rosyjskie nie będą nam niezbędne, a nasza pomoc finansowa będzie tam niezbędna i odwieczna przyjaciółka Polski odzyska głos.“

Dyrektor wspomnianego już miesięcznika „Le Correspondant“, przeczytawszy tę pracę, zaproponował na swoje ryzyko ją wydrukować — i wydrukował. W ostatniej korekcie przedstawił do cenzury i na wszelki wypadek kilkadziesiąt egzemplarzy tej korekty mi wręczył; a na trzeci dzień odesłał mi jedną z dwoma ogromnemi krzyżami ołówkiem narysowanemi i z krótką notatką cenzury, że jeden z oznaczonych ustępów powinien być całkiem wykreślony a drugi całkiem przerobiony w oznaczonym kierunku, t. j. jako rozwiązanie możebne, ale przez naród polski niewymagane. — A te dwa ustępy były: a) ten, w którym z całą siłą przekonania dowodziłem, że kwestja polska nie jest wewnątrzno-rosyjską, lecz wszech europejską, b) ten, w którym przewidywałem rozwiązanie niepodległościowe. — Choć miałem obiecać ładne honorarium w razie pojawienia się mojej pracy, odpisałem p. Trojan, bom się już domyślał, czyj to ołówek mnie pokieraszował, że jeśli artykuł ma wyrażać nie moją myśl lecz obcego polityka, niechże ten polityk sam go napisze.

Tego jeszcze wieczora byłem na miesięcznym obiedzie współpracowników gazety „Journal des Débats“. W mundurze wojskowym zasiadł obok mnie p. Hubert Morand, zmobilizowany i odkomenderowany do cenzury, i zaczął mi serdecznie winszować mojej pracy. — Ja na to: „Ale drogi kolego, pan mnie bierze na kawał, albowiem to znaczy, że to pan mnie pokieraszował?“ — „Ja ołówek nawet do rąk nie brałem; pańską pracę przeczytałem do końca, bo już na piątym wierszu poznałem pańską łapkę, lecz z ciekawości a nie z urzędu. Procedura u nas jest taka: wszystkie artykuły tyczące się krajów obcych musimy odsyłać do Ministerjum Spraw Zagranicznych. A tam, skoro idzie o Rosję lub Polskę, to one wędrują wprost

na ulicę de Grenelle (Ambasada rosyjska) i ołówek, na który się pan skarża, to nie francuski, lecz rosyjski.“ Rzeczywiście, kiedy po jakimś czasie p. Roman Dmowski mi powiedział, że tę pracę czytał, domyśliłem się, że nie mógł jej dostać inaczej, jak z rąk p. Piltza, a ten z rąk Izwołskiego.

Ta praca została przyjęta przez francuskich czytelników jako pouczający dla nich szkic „obecnego położenia polskiego zagadnienia.“ A na polskich czytelnikach musiała zrobić i robiła różne wrażenia, podług ich stopnia obiektywności. Tak up. gdy jeden egzemplarz posłał już wspomnianemu dr. Motzowi, tego samego dnia otrzymałem od niego gwałtowny akt oskarżenia w 14 punktach (jak Wilsonowski program). Dzieśiąty czy jedenasty, dotyczący się moich horoskopów o niepodległej Polsce, kończył się słowami: „takiej nieufności do naszej „młodej demokracji“ nie ma prawa wypowiadać żaden polityk, ani żaden Polak.“ — Ja za kapelusz, wprost do czcigodnego doktora i oburzonym tonem: „Panie Bolesławie, jak pan śmiałeś do mnie wystosować podobną ekskomunikę zarazem i od polityki i od polskości? Że panu moje zdania nie podobają się, co jest pańskim prawem, to dowodzi tylko, że pan, uważając siebie samego jak każdy człowiek za rozumnego, mnie uważa za głupca. — To panu daje niezawodne prawo odsadzać mnie od polityki, bo głupiec o polityce pisać nie powinien, ale jak możesz pan mnie za to odsadzać od polskości? Głupota polityczna jest nie tylko najświętszym prawem obywatela i człowieka, a dla Polaka nawet obowiązkiem historycznym!“ Motz zrazu zdumiony skombinował, uśmiechnął się i po dziś dzień siedząc każdy na swoim krześle, on na czerwonym, ja na białym, zostajemy w dobrej komitywie.

Ale nie wszyscy Polacy byli tego zdania. Nieodżałowana generałowa Zamoyska po przeczytaniu tej pracy pocałowała mnie w czoło i zaszczyliła nazwą „swego synka“; wkrótce otrzymałem także od Henryka Sienkiewicza następujący list, który dosłownie podaje:

„Czcigodny Panie!

Piszę do Pana pod świcem wrażeniem broszury, którą mi dał do przeczytania A. Plater i nie mogę się powstrzymać od powiedzenia Panu, że uważam ją wprost za świetną. Oto co się nazywa pisać rozumnie i przekonywująco. Nawet humor i dowcip, które bywają zwykle rzeczą poboczną, są tu związane bezpośrednio z treścią i wzmacniają w wysokim stopniu zarówno przedstawienie rzeczy jak i samo rozumowanie. Nie wątpię też, że broszura zrobi kapitalne wrażenie i we Francji i wśród sąsiadów po prawej i lewej stronie.

Załączam wyrazy szczerego i wysokiego poważania.

Vevey 4. III. 1916. Hôtel du Lac.“

H. Sienkiewicz.

Ten list i jego data wzbudziły we mnie podejrzenie, że tu znowu, jak w sierpniu 1915 r. dla mego „Sentiment profond“, jakiś dobrodziej zajął się rozmnożeniem mojej pracy. 4 marca 1916 Sienkiewicz nie mógł czytać w Vevey mojej broszury, bo jej nigdy nie było, ani nawet korekty z „Correspondant“, która nosi datę „Mars 1916.“ Mógł czytać tylko autografowany zesztyt. A jak ten się dostał do rąk hr. A. Platera, którego mało znałem i nie posiadałem jego adresu (bodaj we Fryburgu)? Jak przede mną stanowczo twierdzono, dostała się ona także do Warszawy i była przedmiotem osobnego posiedzenia, bodaj czy nie u księcia Zdzisława Lubomirskiego, przyszłego regenta? — Tajemnice nad tajemnicami.

W owym czasie wyrobiłem już sobie dostatecznie obszerny krąg stosunków albo przyjemnych albo użytecznych, przeważnie i jedno i drugie. Do czysto światowych należały domy: przede-wszystkiem Generałowej i Władysława Zamoyskich oraz jeszcze żyjącej dziś panny Marji. Ten dom zasługiwałby nato, żeby mu jaki Józef Weyssenhoff poświęcił całą książkę. Generałowa już kończyła wówczas 85-ty rok, ale taką jasność umysłu, pamięć, pracowitość (wówczas właśnie kilka godzin dziennie poświęcała uporządkowaniu i wydaniu pamiątników generała Zamoyskiego) rzadko się spotyka nawet w daleko młodszym wieku; a co do charakteru, przymieszka nieskończonej dobroci a zarazem stanowczości w zasadach, pobłażliwości i srogości podług stopnia win, wiary i przezorności, robiły z tej białogłowy typ małrony polskiej, którego nasze społeczeństwo prawdopodobnie nie powtórzy. Syn jej Władysław, piękny jak stary Jowisz, postaci potężnej, budził się i zasypiał w stanie ciągłego entuzjazmu. Średnio-proporcjonalnej nie uznawał. Ludzi dzielił na bohaterów i infamisów — pojęcia, myśli lub przedmioty, na cudowne i obrzydliwe. Panna Marja posuwała dobroczynność do ostatnich granic naiwności. Chodziła piechotą od jednego końca Paryża do drugiego i zpowrotem, aby za oszczędzone na kolei podziemnej lub autobusie 30 centymów zanieść choremu chłopczykowi pomarańczę. Wszyscy troje żyli tylko dla drugich. Posuwali oszczędność osobistą do ostatnich granic. Z kolosalnego funduszu nie mieli prawie żadnego dochodu, a co mieli, rozdawali. Raz dyktowałem coś pannie Turin, gdy wszedł do mnie Władysław Zamoyski. Został tylko kilka minut; dość było tego, by serduszek dojrzalej panny zapukało na widok tego starego Antinousa, bo zapytała mnie: „Kto jest ten przepiękny starzec?“ — „Hr. Władysław Zamoyski.“ „Czy nie z Quai d'Orléans Nr. 6?“ — „Właśnie, ale skąd pani o nim wie?“ — „Ja jestem skromna kobiecina, a kto w Paryżu wśród małego ludu nie zna „la maison du Bon Dieu?“

Często też odwiedzałem już wspomniane gościnne domy pp. Halpertów, baronostwa Taube, hrabiostwa Zyberg-Platerów, a w innym obozie państwa Motzów. Z francuskich domów, bardzo licznych, których liczba po parysku to się rzeszerzała, to się zwężała, wymieniam dwa, w których stale bywałem aż do samego końca wojny; obie te panie poznałem bez uprzedniego spotkania lub prezentacji.

Wkrótce po powrocie z Lozanny dzwoni telefon, głos ko-biecy. Pytam: „Proszę, kto telefonuje?” „Dorotca de Castellane.” „Słucham rozkazu.” — „Tak wiele słyszałam w Lozannie o panu od ciotki de Tayllerand i kuzyna Orłowskiego, że bardzo życzy-łabym sobie Pana poznać. Którego dnia i o której godzinie mogę spodziewać się Pańskiej wizyty?” — I gotowe. Pani Dorotea de Castellane, znana całemu Paryżowi, jest z domu Talleyrand-Perigord. Doskonale obeznana z Berlinem (bo wyrosła w domu swojej rodzonej ciotki ks. Antoniowej Radziwiłłowej), wysłała prino voto za medjatyzowanego ks. Fürstenberg, osobistego przyjaciela Wilhelma II; blisko spokrewniona z domem książąt Hatzfeld, secundo voto żona swego kuzyna de Castellane, jest, jak mówią Francuzi „à cheval” na francuskiej i niemieckiej wyższej arystokracji. Jeszcze piękna, żwawa, wykształcona i wszystkiego ciekawa, gościnna, dość wielka pani, żeby prze-ważnie oceniać wartość osobistą swoich znajomych. Była w ta-kiej chwili cennym źródłem informacji, z której korzystałem podczas wizyt poufnych lub na śniadaniach, na które mnie często zapraszała; zawsze się spotykało jaką ciekawą osobistość z kół politycznych i dyplomatycznych, literackich lub wyższej finansjerji. Oprócz tego jej drugi mąż hr. Jan de Castellane, czynny naturalnie wówczas oficer lotnik, często choć błyska-wicznie pokazywał się i przywoził świeżutkie i poufne wrażenia z frontu.<sup>1</sup>

Prawie w tym samym czasie otrzymałem miłutki liścik od hr. Róży de Jitz-James, proszącej mię, abym „zaszczycił swoją bytnością” jej niedzielne przyjęcia. Bardzo prędko nasza zna-jomość przybrała formę szczerzej przyjaźni, nieprzerwanej aż do jej przedwczesnej śmierci, która nastąpiła krótko po wojnie. Zupełnie inny typ niż pani de Castellane. Z urodzenia ochrzczona żydówka z Wiednia, z ogromnie bogatej rodziny morawskich przemysłowców i kupców Gulman. Mała, nieładna, lecz z dziw-nie przyjemnym wyrazem dobroci i inteligencji, potrafiła w ciągu trzydziestu kilku lat, bo liczyła ich już 56, wyrobić sobie w świe-cie paryskim wyjątkowe stanowisko. Jej salon składał się prawie wyłącznie z Francuzów, należących do arystokracji rodowej lub unysłowej; to też zaliczał się do salonów tak zwanych akademickich, i pamiętam jedno bardzo nieliczne śniadanie, na

<sup>1</sup> Hr. Jan de Castellane jest obecnie wybranym prezesem paryskiej rady municypalnej.

którem byli oprócz mnie, jedyne „prostaki“, trzej członkowie Akademii Francuskiej, pp. Paul Bourget, hr. d'Haussonville, Etienne Lamy oraz członek instytutu znany historyk Schlumberger. Tu źródła wiadomości o polityce międzynarodowej były raczej skąpe, lecz wiadomości z frontu bardzo bogate.

W dodatku przedwojenna znajomość zamieniła się w bliską przyjaźń z trzema literacko-prasowymi osobistościami. Byli to ś. p. Etienne Lamy, członek i tak zwany „wieczny sekretarz“ (t. j. właściwy gospodarz) Akademii Francuskiej, dyrektor „Journal des Débats“ hr. Stefan de Nalèche i dyrektor gazety „L'Eclair“, Ernest Judet. O dwóch pierwszych jeszcze nieraz wspomnę, teraz zastanówię się tylko nad trzecim. Ogromny, ciężki, odważny pod każdym względem, miał kilka politycznych pojedynków, był na pierwszym planie podczas pamiętnej Dreyfussady jako zacięty przeciwnik tego historycznego Żydką, zatem i jego zwolennika pana Clemenceau, który w czasie swojej półtorarocznej dyktatury zacięcie i niekoniecznie po rycersku próbował się na nim zemścić. Często go odwiedzałem w jego małej willi na przedmieściu Neuilly. Dawał tam mniej więcej co miesiąc śniadania, na które mnie zawsze zapraszał i na których spotykałem prawie zawsze tę samą kompanję męską: E. Lamy, byłego ambasadora w Petersburgu (przed panem Paleologue), p. Georges Louis, znanego mi jeszcze z owych czasów, admirała Degouy, znanego jako kilkoletniego więźnia Wilhelma II za to, że jako młodszy oficer marynarki studjował cichaczem nadbrzeże morskie niemieckie, i podpułkownika generalnego sztabu hr. Armand (a nie St. Armand, jak go mylnie nazywa w swoich krótkich o tych czasach pamiętnikach p. Jan Tarnowski), a także markiza de Villeneuve, żonatego z księżniczką Bonaparte.<sup>1</sup> Jak widać, kompanja wysoce patriotyczna, złożona z tak zwanych wówczas „kokardziarzy“. Jakże nie było zatem moje zdumienie, kiedy prawie w trzy lata później wszechpotężny Clemenceau wytoczył przeciw panu Judet sprawę o zdradę stanu, zmusił go do ucieczki do Szwajcarii, gdzie pomimo pewnego w tem niebezpieczeństwa odwiedziłem go przy samym końcu 1918 r.; wszystko skończyło się przed paru laty uniewinnieniem przez Sąd przysięgłych w Paryżu triumfalnem dla oskarżonego, a raczej upokarzającym dla oskarżyciela.

Co do wspomnianego pułkownika hr. Armand'a, słynnego później ze swoich negocjacyj z przedstawicielami cesarza Karola I austriackiego o seperalwyny pokój w r. 1917, to zaraz po

<sup>1</sup> Ś. p. P. de Villeneuve był głową najstarszego, sięgającego aż do Karolingów, domu szlacheckiego w dawnej Provence. Zamiłowany w pięknym języku, starej i bogatej literaturze oraz historii swego rodzinnego kraju, był niemiężej gorliwym synem swojej francuskiej Ojczyzny. Często z nim o tym przedmiocie rozmowy utrwały mój pogląd osobisty na naszą kwestję litewską.

powrocie z Lozanny, ale już w hotelu Chatam, telefonują mi z dołu: „Czy pan przyjmie oficera generalnego sztabu?“ — „Jak się nazywa?“ — „Nie mówi, ale nosi pięć galonów (pułkownika).“ — „Prosić.“ — Wehodzi znany mi jeszcze jako cywilny przed wojną hr. Armand, bogacz i członek Jockey-Klubu. Po odnowieniu znajomości nastąpiły opowieści, jak to w młodości (bo miał już obecnie przeszło 50 lat) był oficerem, na początku wojny wstąpił znów dobrowolnie do służby, przeżył rok w okopach, nabył cały zbiór reumatyzmów, przeszedł jako pyszny strzelec do lotnictwa, żeby Boszów „spuszczać“, stąd do generalnego sztabu i dzięki swoim szerokim stosunkom został odkomenderowany do słynnego drugiego biura: „Zatem“, powiada z wielkopąską dezygnacją, „masz pan przed sobą oficjalnego szpiega. Otóż obecnie wszystko, co się tyczy Rosji, dotyka nas do żywego, a ponieważ wiemy, że w Petrogradzie gorliwie pracują i na naszą korzyść i na naszą niekorzyść liczni wyżsi dygnitarze, którzy na fotelach ministerjalnych zmieniają się jak w kalejdoskopie, stawiam panu, który cały ten personel znałeś osobiście, pytanie, czyby pan jako wypróbowany przyjaciel mojej ojczyzny pozwolił mi w razie potrzeby przychodzić do pana po informacje o tych wszystkich ludziach.“ — Trochę się namyślałem, bo jeśli czego mi kompletnie brakuje, to szpiclowskich zdolności, i odpowiedziałem: „Właściwie nigdy nie byłem Rosjaninem lecz Polakiem, poddanym cesarza Mikołaja II; dziś, kiedy Rosja przez swoje niedołęstwo, a częściowo przez zdradę, uas a mianowicie mój kraj oddała na pastwę Niemcom, Rosja mnie daleko mniej interesuje niż Francja, więc wiedząc, że pan nigdy ode mnie nie przeciwnego honorowi wymagać nie będzie, mogę panu służyć.“ Od tego czasu mniej więcej co parę tygodni mnie odwiedzał i opłacał ciekawymi, choć niepoufnymi wiadomościami z frontu; opracowałem dla niego cały memorjał (którego bruljon posiadam) o partjach i wybitnych osobistościach Dumi Państwowej rosyjskiej; a po marcowej rewolucji 1917 r., kiedy cały personel rządzący rosyjski wyskoczył w powietrze i został zastąpiony przez Kiereńskiego i jego bandę, mój hr. Armand, któremu już na nic nie byłem potrzebny, ulotnił się jak kamfora tak, że o jego późniejszych pertraktacjach austriackich nic szczególnego nie wiem. Lepsze informacje można znaleźć w ciekawej broszurze p. Jana Tarnowskiego „Nasze przedstawicielstwo polityczne i t.d.“



## Rozdział VII.

Verdun. — Iune znajomości. — Pp. Dmowski i Piltz. — Projekt deportowania mnie do Rzymu. — Bombardowanie Paryża. — Delegacja parlamentarna rosyjska.

W lutym 1916, trzymając ciągle ucho nad sercem narodu francuskiego, pierwszy i ostatni raz do końca wojny poczułem, że osłabło. To trwało mniej więcej tydzień, pierwszy tydzień po ataku Niemców na Verdun. Dotychczas nie rozumiem, jak się Francuzi dali do tego stopnia zaskoczyć. Nietylko załoga fortecy i siły w pobliżu były o 5 czy 6 razy mniej liczne niż atakujące i od niekrótkiego czasu już się koncentrujące siły niemieckie, lecz niepodobna prawie było prędko dostarczyć dostatecznych posiłków z braku komunikacji kolejowej prócz inarnej wązkotorówki. — Zato okazała się znowu, obok częstej u Francuzów opieszałości przed niebezpieczeństwem, ich nieporównana, wprost bajeczna sprężystość i energia wobec niebezpieczeństwa, dla Boszów zawsze zdumiewająca.

W ciągu jednego tygodnia dziesiątki tysięcy samochodów, z całego kraju zebrane, kursowały jak łańcuch bez końca dzień i noc o 20 metrów odległości jeden od drugiego i co 20 metrów robotnik, który w czasie tych kilku sekund, oddzielających przejście jednego samochodu od drugiego, poprawiał szosę. Po tygodniu wszystko było dostarczone, posiłki, amunicja, ciężka artylerja, żywność. Tymczasem nieliczni stosunkowo obrońcy przypominali sobie każdy osobno bohaterski rozkaz do wojsk marszałka Jeoffre 5 września 1914 przed Marną: „Kto nie może postąpić naprzód, niech umrze na miejscu.“ Zabrzmiało historycznie: „on les aura“ generała Pétain, i już do samego zwycięstwa serce narodu francuskiego nie przestało bić normalnie.

Ale straty były olbrzymie. Wszędzie się mnożyły suknie żałobne i trudno sobie wyobrazić, z jakim męskiem, spokojnem bohaterstwem te straty były znoszone przez ojców, matki i żony poległych. Komubym nie wypowiadał moich serdecznych kondolencyj, czyto była hrabina de Beauchamp, która straciła

jedynaka syna, ślicznego 20-letniego chłopaka, czyto byli inni, choćby golibroda p. Martin, który mi od dwudziestu lat strzygł włosy, a stracił dwóch synów i zięcia, zawsze jedna odpowiedź: suche spojrzenie, przytłumione westchnienie i słowa: „C'est pour la France“, które od Pirenejów do Północnego Morza stały się dewizą całego narodu.

Często spędzałem wieczory u pp. Dumont, u których naturalnie słyszałem zupełnie inny dźwięk dzwonu niż u moich arystokratek, ale niemniej pouczający. Tam się poznawały myśli i uczucia, a tutaj czyny i drgała rękojeść historii, albowiem pan Dumont, bardzo wpływowy członek parlamentu, należał i jeszcze należy do partii radykalnej, która od wyborów 1914 r. nie przestała przy rozmaitych odcieniach rządu Francją. Znał doskonale cały kierujący personel polityczny i sam był jednym z dwóch Missi-Dominici, którym Izba Deputowanych, zbyt wścibiająca się do operacji wojskowych, poleciła ciągnąć rewizję całego frontu. Oprócz różnych mężów stanu w tym bardzo gościnnym domu zawsze był ktoś z urlopowanych, czynnych oficerów. Zwróciło moją uwagę, szczególnie gdy porównywałem ducha obecnego z duchem 1870 r., że wszyscy ci wojskowi wyrażali się z wielkiem uznaniem o waleczności i zdolności swoich przeciwników. Parę razy nawet słyszałem, jak na próbę ośmieszania wojska niemieckiego, naturalnie ze strony pań, twierdzili, że takie zapatrywanie umniejsza ich własną zasługę i sławę, iż mogą się przeciwstawić takiemu wrogowi.

Także interesującymi i pouczającymi dla mnie były comiesięczne obiady współpracowników „Journal des Débats“, na które raz na zawsze zaprosił mnie ich dyrektor p. de Nalèche, i tygodniowe śniadania, nazwane „déjeuner Lebon“ od ich założyciela i przewodniczącego, autora słynnej nawet w Polsce książki „La psychologie des Foules“ oraz wielu innych. Poznałem go na obiedzie u bogaczy pp. Lebaudy i on sam mnie na te śniadania zaprosił. Tam przychodził każdy, nie wykluczając kilku pań, kto tylko posiadał albo sobie przypisywał jakieś znaczenie polityczne lub literackie. Nie miały jak obiady w Debatach charakteru koleżeńskiego i poufalego, lecz trochę uroczyste. Z wyboru pana Lebon każdą razą jeden z gości, przez to samo skazany na głód, „trzymał spluwaczkę“ (jak powiada Flaubert) — t. j. referował o danym aktualnym przedmiocie, a podczas leguminy otwierała się dyskusja. Wówczas biedny referent odławiał jak mógł ostygłą rybę i pieczone. Kilka razy referowałem o sprawach nie polskich lecz rosyjskich, ostatni raz po abdykacji Mikołaja II za czasów Kiereńskiego.

Zdarzyło mi się wówczas coś ciekawego. Jeszcze nie wyzerpałem swego przedmiotu, kiedy na chwilę zamilkłem, żeby

zwilżyć gardło kilku powolnemi haustami parzonego mleka (najmocniejszy trunek, na jaki mi dr. Babiński pozwalał), gdy siedzący obok p. Lebon t. j. naprzeciw mnie p. Aristide Briand, dzisiejszy triumfator w Locarno, który wówczas niedawno złożył tekę ministra spraw zewnętrznych, skorzystał z mego milczenia, żeby dorzucić krótką uwagę. Lecz przy jego bajecznym talencie improwizacji uwagi zaczęły piętrzyć się jedna nad drugą i skończyło się na sub-referacie, bodaj niemniej długim jak mój własny. Naturalnie że wobec tego, iż p. Briand o Rosji wogóle a szczególnie o Kiereńszczyźnie był bardzo słabo poinformowanym, mowa jego była niemniej powierzchowną co do treści, jak ujmującą i błyszczącą co do formy u takiego pierwszorzędnego stylisty. Gdy zamilkł, dawszy mi czas odłapać całe śniadanie i nawet zaatakować leguminę, generał Mangin szepnął do mnie: „Ponieważ on skończył haftować, pan powinienbyś mu odpowiedzieć, gdyż początek pańskiego referatu był bardzo interesujący.“ Odrzekłem: „Odpowiem p. Briand, gdy mowa będzie o dolnej Loarze.“ (Pan Briand jest rodem z miasta Nantes.) Ten generał Mangin, wówczas w nielaskę za zbyt kosztowny choć zwycięski atak w Szampanji (zresztą nakazany mu przez ówczesnego generalissimusa Nivelle) i nawet ubrany po cywilnemu, miał równo rok później nieprzerwaną od trzech miesięcy ofensywę niemiecką przemienić 15 lipca 1918 r. w porażkę, od której już do końca Bosze nie powstał. Był mały, chudy, milczący jak ryba, z wyrazem twarzy ciągle rozzłoszczonym jak u złośliwego buldoga. Niedawno umarł.

Dla zmiany powietrza mniej więcej co miesiąc odwiedzałem w jego pięknej rezydencji o 50 kilometrów na zachód od Paryża pod samem miastem Rambouillet bogacza Mikołaja Potockiego, wnuka po starszym synu Mieczysławie Szczęsnego. Posiadając przed wojną i orgią automobilizmu bodaj najpiękniejszą i najliczniejszą slajnię w Paryżu, przerobił swój ogromny maneż w Grange-Colombes na szpital o 100 łózkach dla rannych, utrzymywał go swoim kosztem i bardzo gorliwie się tem zajmował.

M. Potockiemu zawdzięczam ciekawe potwierdzenie faktu, przeze mnie osobiście już stwierdzonego, że jeśli wyższe władze wojskowe i polityczne francuskie w latach 1914—1917 tak strasznie się zawiodły na skuteczności rosyjskiej pomocy militarnej, to dlatego, że jak to tak często bywa, same chciały być zawiedzionemi. Sąsiad o miedzę państwowych dóbr i lasów Rambouillet, w których Prezydent Republiki Francuskiej (jak u nas w Spale) spędza swoje wakacje, Potocki był „funduszowym“ przyjacielem i towarzyszem wszystkich pokolei Prezydentów. W czasie pierwszej wojny bałkańskiej, kiedy już pokój europejski wisiał na sznurku, zrobił dłuższą wycieczkę

na Podole, Ukrainę a mianowicie zwłaszcza do Kijowa. Jako „wieloryb“ światowy najgrubszego kalibru, były paż Mikołaja I, był przyjmowany ze szczególnymi atencjami, proszony na manewry i t. p. przez wyższe władze wojskowe rosyjskie. Niezupelnie obcy rzeczym wojskowym dobrze się przypatrzył wszystkiemu i po powrocie, będąc sam na sam z ówczesnym Prezydentem p. Fallières, zakomunikował mu szczegółowo wszystkie swoje spostrzeżenia, uprzedzając głowę Państwa, że w razie wojny Francję oczekuje wielkie rozczarowanie co do wartości bojowej „wielkiego druha i sprzymierzeńca“. P. Fallières wysłuchał go z pewną dyskrecją, a następnej jesieni serdecznie mu podziękował za jego ostrzeżenie, dodając, że dzięki niemu prosił naczelnika Generalnego Sztabu (wówczas generał Pau), aby wysłał tam zaufanego sztabowca; ten zaś odraportował, że wszystko znalazł w stanie jeszcze gorszym, niż go przedstawiał ś. p. Połocki. — Niemniej w końcu sierpnia 1914 r. całe wojsko francuskie i opinia publiczna nie mogły zrozumieć, jak to Rosjanie jeszcze nie zajęli Berlina.

W połowie marca dowiedziałem się, że p. Roman Dmowski po wycieczce do Szwajcarii, do Rzymu i bodaj do Londynu, znajduje się w Paryżu. Wiłien byłem nim rewizytę; złożyłem bilet w jego hotelu i w parę dni potem znów mnie odwiedził i jak zawsze bardzo mnie zainteresował. Prawie wszystkie koszty rozmowy brał na siebie. Przekonałem się wówczas, że ten mąż stanu, prócz innych niezbędnych w tym zawodzie zalet umysłowych, posiada dobrą dżę imaginacji. Zawsze uważałem, że dla polityka, który nie dąży do „bajecznej kariery“, ale uprawia sztukę dla sztuki, wyobraźnia, której mi prawie całkowicie brakuje, jest jednak niezbędną jako pierwiastek twórczości. Bez niej można tylko uprawiać, cłooby w najlepszym stylu klasyczną, do normalnych warunków przystosowaną robotę polityczną. Lecz ta dodatkowa ingredjencja jak sól do potrawy powinna być dozowana skąpo, najwyżej łyżeczką herbatnią, inaczey prowadzi do „wścickiego ryzykanctwa“, a co najmniej do określonego przez Bossuet'a niebezpieczeństwa, lecz nie tylko zgóry t. j. naprzód, ale i zdołu, t. j. wstecz. Zgóry wierzy się, że coś się zdarzy, bo się tego chce — a wstecz wierzy się, że się czegoś chciało i coś planowało dlatego, że się zdarzyło... „fuksem“.

W tej długiej rozmowie p. Dmowski, przewidując już niepodległą Polskę, pokładał ogromne nadzieje w polskim chłopie. Uważał ten „Menschenmaterial“ za niewyczerpany skarbiec wszystkich moralnych i umysłowych cnót i zdolności. Ponieważ mimowolnie potrząsałem głową, — „bo p. prezes (tak mnie tytułowano dzięki Towarzystwu Rolniczemu), żyjąc tam na Kre-

sach, naszego polskiego chłopą kongresowego nie zna“, — odrzekłem krótko: „To prawda, że waszego kongresowego chłopą nie znam in specie; zato 40 lat współżycia z moim ludem wiejskim pozwalają mi znać chłopą in genere, i dlatego boję się, żebyś pan sobie nie tworzył wielkich iluzyj.“ — Rzeczywiście chłop prawdziwy jako produkt przeważnie ziemi i przyrody, jest mniej więcej identyczny w całej Europie; tak jak weterynarz nie potrzebuje znać praktycznie wszystkich ras krów od 500 kilogramowej holenderskiej do półtorasta kilogramowej poleskiej, żeby wiedzieć, jak i co krowa lubi jeść, jak żuje, jak oddaje lub wstrzymuje mleko, jak się kojarzy i jak rodzi, tak samo prawdziwie doświadczony rolnik czyto na Kresach czyto w Bretanii lub w Meklenburgji wie, że chłop z jednej strony ma ogromne zalety prywatne, szczególnie wytrzymałość, pracowitość i oszczędność, rezygnację i posłuszeństwo, ale zato jest rdzennym egoistą, niedostępnym innemu ideałowi jak tylko religijnemu (bo się djabła boi); szczególnie jego widnokrąg kończy się z jego parafją. Jak mówił (p. wyżej) hr. Olsuffieff, chłop nabiera pojęcia o ojczyźnie wówczas, gdy przestał być chłopem. Pamiętajmy, jak w 1920 roku gorliwy obrońca polskiego chłopą (czy Witos czy p. Daszyński?) zapowiadał, że „polski chłop będzie bronił ojczyzny, jeżeli ojczyzna mu dosyć drogo za to zapłaci“.

Druga nadzieja mego gościa jeszcze więcej mnie zadziwiła. Przewidywał, że obok niepodległej Polski wyrosną także niepodległe Czechy; ponieważ dzięki pokrewieństwu rasy i języków oraz ogromnej przewagi, jakaby miała Polska z powodu swojej ludności i przeszłości, nie mogłaby nie wywierać nad Czechami czegoś w rodzaju moralnego i kulturalnego protektoratu, toby Czesi, zdolni do handlu i przemysłu, mogli u nas zastąpić miejsce: ...Żydów. — Prawdopodobnie zapominał, że u nas jest Żydów niemal tyle, ile w ówczesnem królestwie św. Wacława było rdzennych Czechów. Żegnając się ze mną, p. Dmowski oświadczył, że zna moją pracę „L'état actuel de la question polonaise“ (skąd??) i wręczył mi odbitkę na maszynie (którą jeszcze posiadam) swego memorjału do p. Izwolskiego, w którym pierwszy raz rzeczywiście zabrzmiało słowo: „Polska niepodległa“.

Starannie przeczytałem ten memorjał (wszystko, co pisze p. Dmowski, warto przeczytać starannie); wywarł on na mnie przynębiające wrażenie. W oczach moich, Kresowca i Wileńczuka, wartość przymiotnika: „niepodległa“ ginęła pod groźnem znaczeniem przyklejonego doń przymiotnika: „narodowościowa“, bo takim jest prawdziwy sens po francusku wyrazu: *Etat national indépendant* — a wcale nie państwo „narodowe“, jak się czyta w polskiem tłumaczeniu tego memorjału. Dla Francuza słowo „nation“ oznacza całość ludności danego państwa i jego poddanych, bez żadnego rozgatkowa-

nia; dodanie tego przymiotnika do rzeczownika państwo stanowi nawet rodzaj pleonazmu, bo państwo bez narodu być nie może. Oba bieguny nie posiadają żadnego narodu lub ludności i dlatego nie mogą stanowić państwa. Un état national albo nie nie znaczy albo oznacza państwo narodowościowe. Że tak pojmował rzecz sam autor w chwili, kiedy pisał, dowodzi jaszkrawo poprzedzający o kilka wierszy ustęp, w którym tenże autor twierdzi, że „współzawodnictwo rosyjsko-polskie w ziemiach, gdzie mowa polska nie przeważa, nie może wpływać na Rosję w jej polityce względem Polski“. Czy można jaśniej wypowiedzieć, że w myśli autora, Polska temi ziemiami się nie interesuje? Ponieważ i autorowi i adresatowi tego memorjału było wiadomem, że współzawodnictwo rosyjsko-polskie w tych prowincjach z nieprzeważającym językiem polskim wyraża się gwałtowną rusyfikacją lub wyłączeniem polskiego elementu, prawdziwy postulat był ten: oddajcie nam naszą rdzenną Polskę, a tam rusyfikujcie, jak sobie chcecie.

Że moje wrażenie nie było mylne, dowiodła mi nazajutrz, czy w parę dni potem, wizyta Władysława Zamoyskiego. Z oburzeniem na p. Dmowskiego opowiedział mi, jak musiał z siostrą całą noc przebyć przy łóżku staruszki matki dotkniętej ciężkim atakiem sercowym, który zawdzięczała wizycie p. Dmowskiego. — Chwaląc się tem, że nakoniec ośmielił się, i to w porozumieniu z p. Izwolskim, wypowiedzieć słowa: Polska niepodległa, dodał, że trzeba się zato wyrzec Kresów a mianowicie Wilna, co do głębi duszy poruszyło godną staruszkę, gorliwą „wszech-Polkę“. Prawda, że w rok później, w końcu marca 1917 roku, p. Dmowski w swoim memorjale do p. Balfour, angielskiego ministra Spraw Zewnętrznych, znacznie rozszerzył swój program, odsuwając wschodnie granice Polski trochę na wschód od linii 2-go podziału 1792 roku.

Lecz tu, aby już ten przedmiot wyczerpać, nasuwa się kilka uwag. Mianowicie: podanie tego ostatniego memorjału w końcu marca 1917 r. stanowiło w rzeczywistości, choć prawdopodobnie p. Dmowski o tem jeszcze nie wiedział, pusty wystrzał, ponieważ nastąpił w kilka miesięcy po znamienym układzie między pp. Izwolskim a Briandem, uznającym kwestję polską za „kwestję wewnętrzną rosyjską“ z prawem dla Rosji określenia swojej granicy zachodniej według swego widzimisie.

Z drugiej strony, ponieważ postulat takiej granicy z mało znaczącemi zmianami był właśnie tym moim, którego nigdy przed nikim nie skrywałem i którego się domagałem we wszystkich moich pracach podczas wojny, to czemu p. Dmowski na pytanie p. de Nalèche, dyrektora „Journal des Débats“, o jego opinię o mnie pozostawił mnie za drzwiami swego komitetu, nazywając mnie przesadnym imperjalistą?

Różnica między dwoma programami podanymi p. Izwolskiemu i p. Balfourowi jest ogromna; odpowiada niejako uwadze, którą p. Dmowski pocieszył Władysława Zamoyskiego co do Wilna, że programy bywają zmienne tak jak okoliczności; przed trzema miesiącami nie można było pisać o niepodległości, a dziś się o niej mówi. Może za jakiś czas będzie się mówiło i o Wilnie? To także może być taktyka, lecz niebezpieczna. Kiedy ten sam polityk przyznaje dziś, że dany kraj nie jest polskim, a jutro twierdzi, że jest polskim, to łatwo powstaje pytanie: „Kiedy to muś świadomie wprowadzono w błąd, czy wówczas czy obecnie?” W owych czasach opowiadano, że podobna rozmowa zaszła w Szwajcarji między p. Dmowskim a p. Kucharskim.

Właściwie w całej sprawie tego niepodległościowego memoriału, jak mi w kilka miesięcy później mówił ś. p. Zygmunt Wicłowski (i to się jaskrawo wyjaśniło w tylko co wspomnianej umowie 11 marca 1917 roku), p. Dmowski dość dobrodusznie dał się „nabrać” p. Izwolskiemu, który sam był inicjatorem (nigdy o tem nie trzeba zapominać) tego memoriału. Izwolski i Sazonow doskonale znali swojego pana, wiedzieli o tem mistycznym, nieprzewidywanem przekonaniu Mikołaja II, że jako pomazaniec Boży nie ma prawa pod groźbą świętokradztwa umniejszać spuścizny po swoich przodkach i co do jej granic i co do jej formy (samodzierżawja); dlatego to on bezustannie walczył przeciw własnemu manifestowi 17/30 października 1905 roku, uważając, że mniejszym grzechem jest złamanie obietnicy ludzom niż przysięgi przed Bogiem w chwili koronacji. Czy można było lepiej mu udowodnić, że w tej samej chwili, kiedy prezes Komitetu Narodowego w Petersburgu z nim się całuje jak ze swoim królem, a on przed tymże Wielopolskim potwierdza swoją królewską obietnicę znakiem krzyża, tam nad Sekwaną drugi odłamek tegoż Komitetu Narodowego stara się koronę polską z głowy mu zdjąć?<sup>1</sup>

Ta zasadnicza różnica programu i czynności w Paryżu, między mną z jednej strony a pp. Piltzem i Dmowskim z drugiej, musiała rozbudzić myśl radykalnego jej rozwiązania, którego próba nastąpiła w najbardziej oryginalny sposób. W samym końcu marca 1916, t. j. już po podaniu wspomnianego memoriału niepodległościowego, zostałem zaproszony przez p. E. Piltza na ważną naradę u niego w Hotelu Continental. Zostałem prócz

<sup>1</sup> Tak, jak to pisałem w mojej (wydanej w roku 1919) książce „Que faire de l'Est européen”, powtarzam, że w całej tej negocjacji żadnej winy ze strony ś. p. Izwolskiego nie widzę. On nie był Polakiem lecz Rosjaninem i grał grę swego narodu. Rzeczą było naszych negocjatorów wygrywać grę naszego.

niego p. Dmowskiego, ordynata Maurycego Zamoyskiego, zdaje mi się jeszcze przez tego ostatniego niezupełnie usuniętego p. Konstantego Platera, Ksawerego Orłowskiego, Gustawa Taube i, zdaje mi się, Jana Tarnowskiego. Trójca Dmowski, Piltz, Zamoyski coraz więcej się stawiała jako wyłączna z konsekracji Ambasady Rosyjskiej przedstawicielka i kierowniczka sprawy polskiej. W jej imieniu dość uroczyście p. Piltz mi oświadczył, że nastąpiła pora, aby nasza sprawa miała swego czynnego przedstawiciela i obrońcę przed każdym z wielkich państw niezwiązanych z Koalicją Centralną, — że tę rolę biorą na siebie w Paryżu on i hr. Zamoyski, w Londynie p. Dmowski, w Ameryce Północnej p. Paderewski, w Petrogradzie Zygmunt Wielopolski, a zostaje zupełnie nieobsadzona placówka w Rzymie i my (t. j. trójca) prosimy pana ją zająć.

Odrazu błysnęło w mojej, zwykle nie zbyt chytrej głowie, o co to chodzi, o to mianowicie, że skorobym osiadł w Rzymie, jużbym do końca wojny niezbędnej dla powrotu do Francji wizy Ambasady Rosyjskiej nie otrzymał. A gdybym wziął moją misję na serjo i zajął się na korzyść sprawy polskiej jakąkolwiek propagandą, pertraktacjami i t. p., wyszłoby jak w roku 1915 z moim memorjałem do pp. ks. Jengalczewa i Lubimowa, że działałem „nieproszony, bez podziękowania, nikogo się nie pytając i nie radząc.“ To też wiedząc, że przy pierwszej wizycie p. Piltza u Ministra Spraw Zewnętrznych p. Brianda, ten go powitał słowami: „Gotów jestem pana wysłuchać, o ile pan jest w zgodzie z p. Izwołskim“, odpowiedziałem prawie dosłownie:

„W obecnym czasie o żadnych bezpośrednich pertraktacjach ze sprzymierzeńcami Rosji mowy być nie może, ponieważ oni nas słuchać nie chcą i odsyłają do rządu rosyjskiego. Możliwa i potrzebna jest tylko propaganda. Pod tym względem ja dzięki znajomości terenu, doskonałemu władaniu piórem i słowem w języku francuskim, stosunkom osobistym, mogę oddać tu w Paryżu naszej sprawie większe usługi niż którykolwiekby z panów. W Rzymie zaś, gdzie byłem tylko dwa razy w życiu jako turysta i nikogo nie znam, a język włoski posiadam tylko na tyle, żeby czytać gazety i móc uczęszczać do teatrów, byłbym zupełnie bezsilny. Zatem kiedy panowie chcecie mnie wysłać z tego miasta, gdzie mogę być bardzo użytecznym, do takiego, gdzie będę zupełnie nieużytecznym, to znaczy, że wam nie idzie o to, żebym był w Rzymie, lecz o to, żebym nie był w Paryżu. Ja zaś nie jestem królem Menelausem i na Krętę nie pojadę.<sup>1</sup> Wstałem, wyszedłem i każdy poszedł swoją drogą.

<sup>1</sup> Dopiero po kilku latach tu w Poznaniu dowiedziałem się od p. Ignacego Mrozowskiego, że służąc w owym czasie w Petrogradzie przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, widział tam depeszę zamie-



Wiosna przeszła prawie niespostrzeżenie prócz operacji pod Verdun i coraz częstszych ataków nadpowietrznych na Paryż. Jak bywa zwykle, pierwszy z nich zrobił najwięcej szkody i największe wrażenie. W bliskości mego hotelu padły aż trzy ogromne torpedy. Jedna na Placu Vendome zupełnie nieszkodliwa, druga także na ulicy na zwykle bardzo uczęszczanym rogu „bulwaru i ulicy Drouot wyrządziła tylko materialne szkody, trzecia na ulicy Jeoffroy-Marie i bardzo blisko od znanych Folies-Bergères wpadła na dach, przebiła trzy piętra i jakim się nazajutrz rano przekonał, zamieniła w gruzy aż do ziemi cały kilkopiętrowy dom z mieszkańcami, odciawszy go jakby brzytwą od dwóch sąsiadnich.

Natychmiast zastosowano środki ostrożności, bo ta przyjemność trwała to z przerwami, to dzień po dniu aż do lata 1918 roku. Ceremoniał był następujący: Skoro krążące nad frontem aeroplany francuskie spostrzegły, że niemieckie ruszyły w kierunku stolicy, telegraficznie uprzedzone władze wojskowe rozsyłały po całym Paryżu samochody opatrzone potężnymi syrenami; na ich pisk wszelkie światło gasło, ulice się opróżniały, a mieszkańcy chronili się do piwnic; zaczynały się wybuchy torped niemieckich, dające się słyszeć na całej przestrzeni olbrzymiego miasta. Strzały armatnie do aeroplanów były prawie zawsze bezskuteczne, a także mniej hałaśliwe wystrzały mitraljezowe, pochodzące od goniących za nimi aeroplanów francuskich. To trwało od najmniej 20 minut do 1½ godziny, po czym znowu po całym mieście rozjeżdżały się samochody, trąbiąc głośny i znany sygnał (zwany „la berloque“). Wówczas tchórze wylazili z nor i wracali do łóżek. Bywało, choć rzadko, że Niemcy uciekli, lecz powracali do nowego ataku, znowu syreny, znowu „la berloque“ i można było zasnąć dopiero koło drugiej w nocy. Pierwszy atak nigdy nie następował wcześniej jak o 11 ani później jak o pół do pierwszej w nocy. Co do mnie, w dzień pierwszego ataku ciekawość wzięła górę nad ostrożnością i włączyłem się po ulicach, a nazajutrz, gdy z gazet dowiedziałem się, że ten pierwszy i najstraszniejszy atak zrobił w całym mieście tylko półtora sta ofiar, wyrachowałem (tak jak kiedyś w Ems ze złotem amerykańskim), że kiedy będę czekał w pokoju Woli Boskiej, to wtedy w dwu i pół milionowym wówczas mieście mam jedną szansę na 15.000 być trafionym, a kiedy będę schodził do piwnicy i siedział tam godzinę, to będę miał co najmniej każdą razą jedną szansę na dziesięć złapać dobry katar, bronchit i t. p. „Kein Geschäft“. Zatem skoro się rozlegała syrena, służący mój, obrzydliwy tchórz, chłop z mojej wsi wlatywał, momentalnie mnie ubierał, zabierał pieniądze i do-

nioną między tem Ministerstwem i Ambasadą paryską głoszącą: „Żelatelno ubrat Korwin-Milewskawo iz Paryża“. (Byłoby do życzenia sprzątnąć Korwin-Milewskiego z Paryża.)

msun qe'

kumenta osobiste, schodziłem na pierwsze piętro do zwykle pustego saloniku uprzejmego oficera łącznikowego i tam czytając czekałem „berloki“, a służący Szymon bohatersko leżał na brzuchu w piwnicy aż do końca i jako chłop kataru nie dostawał. Francuzi prędko wymyślili fortel, który na początku się udał, potem był mniej skuteczny, ale napędził Boszom takiego strachu, że już trzymali się na ogromnej wysokości; ponieważ miasto było pogrążone w absolutnej ciemności, więc nie wiedzieli, nad czym latają i większość torped padała na puste miejsca na przedmieściach. Ten sprytny fortel polegał na tem: w najrozmaitszych punktach miasta były rozstawione długie owalne balony obserwacyjne, tak zwane „salcesony“, przyczepione do cienkiego, choć mocnego drutu stalowego, który z pomocą kołowrotu pozwalał się salcesonowi wnieść aż do 600 metrów wysokości, a potem go ściągnano назад. Drut naturalnie był absolutnie w nocy niewidzialny, a sam salceson stosownie pomalowany; niemiecki aeroplan, krążąc niżej 600 metrów, aby móc wymierzyć swoje ciosy, gdy się spotkał przy szybkości 150 km na godzinę z takim drutem i o niego zaczepił choć koniuszkiem skrzydła, walił się na ziemię jak kamień. Raz powracając od pp. Halpertów, od których wyszedłem przed syreną, byłem świadkiem na rogu placu de la Concorde takiego rozbiecia.

Naturalnie zaraz trysnęła paryska blaga. Ponieważ we francuskim żargonie nazywają człowieka małego ducha „kielbasą“, więc rozeszło się, że skoro salcesony się wznoszą, kielbasy schodzą.

Latem 1916 r., zdaje się w czerwcu, przyjechała do Paryża delegacja parlamentarna rosyjska, składająca się z członków Dumy Państwowej i Rady Państwa. Między pierwszymi był poseł ziemi kowieńskiej, p. Raczkowski, między drugimi Zygmunt Wielopolski. Ambasador Izwolski urządził na ich cześć „Garden party“ na której byłem i poznałem przewodniczącego delegacji, wiceprezesa Dumy Protopopowa, przyszłego grabarza monarchii rosyjskiej. Żadnego wrażenia na mnie nie zrobił i nie domyślałem się, że mam do czynienia z nieuleczalnym warjatem. Wielopolski, nie zważając na niechęć do mnie pp. Dmowskiego i Piltza, był kilka razy u mnie i opowiadał o wszystkim, co się wówczas w Petrogradzie działo; wierzył święcie w obietnice i szczerość Mikołaja II, daleko mniej w niezbędną mu energję, aby przezwyciężyć upór jego żony i dworskiej kamarylli, wyrażał się więcej niż wstrzemięźliwie o czynności pp. Dmowskiego i Piltza i prosił, abym go zaznajomił z kilku do tej paczki nienależącymi Polakami, szczególnie Władysławem Zamoyskim i Tarnowskim. W tym celu wydałem

w moim hotelu dość liczne śniadanie, na którym Wielopolski na niedowierzających mu dotychczas zrobił bardzo dodatnie wrażenie. Nazajutrz bodaj delegację podejmowała w ratuszu (Hotel de Ville) rada municipalna paryska. Nikogo nie uprzedziwszy, boby mu prawdopodobnie przeszkadzili, Wielopolski wystąpił wyraźnie jako Polak z krótką mową, której dosłowną treść prasa opublikowała i która była wprost arcydziełem godności, taktu, zręczności dyplomatycznej i nawet stylu francuskiego. Kto mu ją napisał? Bo sam do tego stopnia językiem nie władał, nie wiem; kilka osób mnie o to posądzało, lecz dowiedziałem się o niej dopiero z gazet, a sam posądzam, że tym suflerem był Karol Halpert.

Dało mi się sprawdzić wówczas na ś. p. Wielopolskim objaw, który później zauważyłem także u p. Maurycego Zamoyckiego, jak łatwo i prędko ludzie, którzy otrzymali w dzieciństwie i pierwszej młodości doskonałe wychowanie, umieją, gdy potrzeba, w wieku dojrzałym w dostatecznej mierze dokompletować (czasami oplakany) brak wykształcenia. Z Wielopolskim, który był późniejszego wydania, kolegowałem w Petersburgu tylko rok. Mając z nim częstą styczność, bo był leaderem Koła Kongresowego a ja Kresowego, z przykrością zauważyłem, jak daleko, mimo że górował nad nami wyrobieniem dworskim, było mu pod względem kapitału umysłowego do takich jak Ignacy Szebeko, Jan Oliżar i choćby ja sam. A po pięciu tylko latach tu w Paryżu już znalazłem w nim choć nieuczonego, lecz pod każdym względem odpowiadającego swemu zadaniu męża stanu. Odwrotnie nie bywa. Pomyśleć, czem zostali do końca co do wychowania taki Thiers lub Gambetta, czem jest p. Lloyd George!

## Rozdział VIII.

Zycie materialne. — Evian, H. Sienkiewicz. — Czwartki słowiańskie p. E. Denis. — Manifest niemiecki 6 listopada 1916. — Zgon H. Sienkiewicza. — Kryzys w Petrogradzie. — Pośrednictwo Wilsona.

Zycie materialne od mego przyjazdu w sierpniu 1915 r. do jesieni 1918, kiedy ceny zaczęły rosnać jak na drożdżach, było wygodne i bardzo tanie, o wiele tańsze niż przed wojną, bo dzięki temu, że większa część Paryża opustoszała, ustanowiono tak zwane „prix de guerre“. Np. w hotelu Chatham to samo mieszkanie, za które w roku 1914 bez żadnego dodatku płaciłem 30 franków, miałem teraz (aż do października 1918 r.) za 25 franków i to z pełnem utrzymaniem mego służącego i moją ranną kawą. To samo z drobnymi wydatkami. Co do jedzenia i opału były ograniczenia i zaprowadzona obowiązkowa oszczędność, lecz ani jednego dnia nie cierpiało się niedostatku. Z więcej niż niemiecką akuracją wszystko było obrachowane. Chleba dla 60-letniego lub wyżej konsumenta jak ja 200 gr. dziennie, dla próżniaka w sile wieku jak mój służący 300 gr. (zato nie miał tak jak ja prawa do 1/2 litra mleka), dla pracującego na powietrzu 500 gr. Nie więcej niż dwa dania na śniadanie i trzy na obiad; trzy dni w tygodniu, poniedziałek, środa i piątek zupełnie bez mięsa -- i to wszystko bez czepialstwa i drobnych prześladowań, jak to było (powiadano mi) u Niemców i jakem tego doznał nawet w Szwajcarii. Rachowano, i słusznie, na patriotyzm i wyrozumiałość samej ludności. Lecz głównie to, że to wszystko, choć ograniczone co do ilości, było doskonałe co do gatunku i nie brakowało ani przez jeden dzień; „erzatzów“ nie znaleźmy; a doskonałej, świeżej ryby, morskiej oraz rozmaitych jarzyn dzięki Algerowi mieliśmy w bród. Temu dobrobytowi materialnemu w porównaniu z nędzą niemiecką trzeba w znacznej mierze przypisać ostateczne runięcie potęgi niemieckiej. Bosz z pustym żołądkiem, z wieszającą mu na brzuchu jak worek kamizelką, jak go widziałem

jeszcze w pół roku po zawieszeniu broni, już nie jest Boszem. Także ruch kolejowy pomimo bliskości frontu, nawet w czasie przerzucania o setki kilometrów całych wojsk, jak to się powtarzało niejednokrotnie, z bezpiecznego odcinka frontu na zagrożony, był normalny i ani razu w ciągu czterech lat nie byłem skazany na „stojącąkę“, jak to mi się ciągle zdarzało na kolejach polskich aż do 1922 roku.

W końcu lipca 1916 roku wobec strasznych upałów w Paryżu pojechałem dla odświeżenia się z porady Dr. Babińskiego do Evian - les - Bains na francuskim brzegu jeziora genewskiego, tak osłoniętego od południa, że do samego miasteczka nigdy słońce nie dochodzi. Przejazd do Szwajcarii nie był jeszcze tak utrudnionym, jak został później podczas panującej za czasów dyktatury p. Clemenceau szpiegomanji. Po kilka razy tygodniowo przepływałem na cały dzień na brzeg szwajcarski (Evian znajduje się jak raz naprzeciw Lozanny) i dwa razy spędziłem w Bex, nad jeziorem, całe popołudnie ze ś. p. Aleksandrem Mańkowskim i z Henrykiem Sienkiewiczem. Każdą razą bez innych świadków; skonstatowałem w nim istną metamorfozę. O ile przed rokiem w Vevey był milczący, cedzący niemal każde słowo, zamknięty na trzy klucze, o tyle znalazłem go teraz serdecznym, gadatliwym, szczerym i otwartym co do wszystkich przedmiotów, szczególnie politycznych. Po dziś dzień nie mogę się domyślić, czy to był skutek wyżej wspomnianej mojej pracy, którą tak szczerze pochwalił, czy raczej innego otoczenia. Nie wystrzegał się już przeszłorocznych słuchaczy, a kogo się mógł wystrzegać, mniejsza o to. W połowie września, przechorowawszy kilka dni w Lozannie, powróciłem do Paryża.

Jeszcze latem słynny profesor historyk Ernest Denis, którego Czesi słusznie uważają i czczą jako rzeczywistego twórcę ich niepodległego państwa, zaczął mnie regularnie zapraszać na swoje bardzo uczęszczane czwartkowe wieczory słowiańskie, które odbywały się na Boulevard St. Germain obok Izby Deputowanych, w lokalu Komisji Spraw Zewnętrznych tejże Izby. Chociaż oprócz mnie pokazywał się tam sporadycznie jakiś Polak, zebrania składały się w ogromnej większości z Czechów i Jugosłowian oraz rzadkich Rosjan; pomimo że przewodniczący p. Denis nadawał systematycznie dyskusji i swoim bardzo zręcznym, nacechowanym francuską łatwością do syntezy streszczeniom tematu tendencyjny odcień rusofilski, posiedzenia te były interesujące i pouczające. To też mało je opuszczałem. Miałem sposobność sprawdzić, z jaką systematycznością pp. Piltz i Dmowski dążyli do opanowania kwestji polskiej jako swojej wyłącznej specjalności, a nawet, kiedy ze względów „tatyki“ na te lub owe napaści sami nie reagowali, nie pozwalali

nikomu występować w obronie naszych interesów. Raz p. Denis, trochę naciągając, bo mowa była nie o Polsce lecz o Jugosławii, zainterpelował mnie w kwestji stosunków społeczństwa galicyjskiego i pamiętnego N. K. N. do rządu austriackiego, a rikoszełem i niemieckiego; starałem się obliczyć moich rodaków, porównując warunki, które rząd austriacki przed wojną stworzył dla swoich poddanych w Galicji, z temi, w których rząd rosyjski utrzymywał takąż ludność polską w Kongresówce. Dowiedziawszy się o tem, p. Erazm Piltz, na tem posiedzeniu nieobecny, od samej chwili zagajenia następnego posiedzenia poprosił o głos i wystąpił z długim, naturalnie pisanym i odczytanym referatem; w nim jak i do końca wojny, nawet do Traktatu Wersalskiego, kładł nacisk na austrofilstwo lub nawet boszofilstwo reprezentacyjnych sfer krakowskich i warszawskich. Tak samo, kiedy zostałem zaproszony na jedno z perjodycznych posiedzeń stowarzyszenia „Komitetu badań socjalnych i politycznych“, o którego egzystencji nawet nie wiedziałem, a który złożony był przeważnie z członków wyższego sądownictwa i administracji pod kierunkiem starszego prezesa sądu kasacyjnego p. Baudoin, na odczyt o kwestji polskiej, to skoro mój odczyt został wydrukowany i rozesłany członkom stowarzyszenia, p. Roman Dmowski zaprosił się na kontr-odczyt, o którego treści się nie dowiadywałem.

W początku listopada tegoż 1916 roku pojawił się manifest cesarzów austriackiego i niemieckiego, przyznający a raczej obiecujący niepodległe Państwo polskie. Panowie Dmowski, Piltz i M. Zamoyski postanowili ogłosić protest przeciw temu aktowi. Ordynat Zamoyski, z którym zachowałem stosunki światowe, przyszedł do mnie prosząc, abym projekt tego protestu podpisał. Znalazł mnie obłożnie chorego na influenżę. Właściwie mając na względzie, że cały mój fundusz nieruchomości i większość ruchomego znajdowały się pod łapą niemiecką, ostrożność nakazywałaby mi, tak jak Janowi Sierakowskiemu, Janowi Tarnowskiemu i Władysławowi Zamoyskiemu, wstrzymać się od podpisania tego kontr-manifestu. Lecz uważałem, że całkowite milczenie ze strony przebywających we Francji Polaków o austro-niemieckim manifestie stosownie do zasady: „kto milczy, ten się zgadza“, mogłoby bardzo zaszkodzić sprawie polskiej wobec rządów i społeczeństw francuskich i angielskich — i że moje nazwisko, już dosyć znane w sferach politycznych, pod tym protestem może mu dodać pewnej wagi. Ponieważ jednak znalazłem w tekście projektu parę wierszy, które nie dodając nic do stanowczości protestu, mogły bez potrzeby drażnić miłość własną Niemców i Austriaków i zaszkodzić moim znajdującym się tam w kraju pod ich jarzmem rodakom, wy-

magalem ich usunięcia. W parę godzin Zamoyski powrócił z ekspurgowanym tekstem i podpisałem go. Przyjął nazwę Manifestu Lozańskiego dlatego, że z 20 ludzi, którzy go podpisali, tylko 7 przebywało we Francji, a 13 w Szwajcarji. Wśród podpisów nie widać było ani jednego, należącego do grup tak zwanych lewicowych, krążących około Dr. Motza, Józefa Lipkowskiego, nawet Władysława Mickiewicza.

15 listopada 1916 roku umarł prawie nagle w Vevey Henryk Sienkiewicz. W tak dramatycznej chwili — punkt kulminacyjny wojny rumuńskiej, operacje na północ od Saloniki, męczeństwo serbskiego narodu, wznowienie mandatu Prezydenta Republiki Amerykańskiej Wilsona — wieść ta w prasie zrobiła mało wrażenia; dopiero w dobrych 10 dni później otrzymałem kartkę pneumatyczną od dyrektora dwutygodnika „Le Correspondant“, pysznie malującą prawdziwą naturę literackiego braterstwa. Pan dyrektor bez żadnych ogródek oświadczał mi, że w tej chwili dowiaduje się o mającym się pojawić w zeszycie 15 grudnia „Revue des deux Mondes“ artykule pióra p. H. de Wyzewa — o Sienkiewiczu (Revue des deux Mondes wychodzi 1 i 15, a Le Correspondant 10 i 25 każdego miesiąca), a że nie można opuścić okazji „podciąć trawy pod nogami“ najdroższego kolegi, ogłaszając o pięć dni przed nim artykuł o tym samym znakomitym pisarzu, więc prosi, abym muskleił naprędce kilkanaście stron o nieboszczyku, aby mogły być oddane do drukarni w równo 60 godzin później; z braku bowiem zecerów drukarz potrzebuje nie pięciu jak przed wojną, lecz dziesięciu dni czasu. Z tupetem właściwym mojemu wiekowi (nie miałem jeszcze 70 lat) odpisałem: all right. — Natchniony zasadą czasami użyteczną, że najlepiej jest pierwaj czynić a potem myśleć, polecałem do biblioteki polskiej, odświeżyłem pamięć, zapuszczając oko to tu, to tam, do przeszło dwudziestu tomów dzieł mego autora, wypompowałem od Władysława Mickiewicza kilka szczegółów o przeszłości i przebiegu jego życia. Najutrz wieczorem już posłałem przez służącego wprost do drukarni dwa listy drukarskie literackiej marinolady. Artykuł wyszedł 10 grudnia 1916 — pięć dni przed artykułem Wyzewa — t. j. kiedy już niczego w nim zmienić nie mógł. Co najdziwniejsze, to to, że ten artykuł, mniej gruntowny niż praca mego rywala, lecz pisany, a raczej dyktowany z właściwą improwizacją werwą, wcale nie tracił w porównianiu z konkurencyjnym produktem.

Dziś dopiero przeciąłem kartki pozostałej mi korekty tej pracy i spostrzegam, że na ostatniej stronie jest ze 20 wierszy nie „kawioru“ lecz raczej „mleka“. — To ciocia Anastazja (po parysku cenzura) zgorszyła się tem, że wspomniałem o na-

paściach p. de Bonnefond i Herbette (vide supra) na Sienkiewiczowski Komitet dobroczynny. Tak się wówczas żyło i pisało.

W grudniu, choć jeszcze Rasputin żył, zaczęły co do spraw rosyjskich krążyć, jak Moskale mówią, w kołach wyjątkowo dobrze informowanych „kiepskie wieści ze wsi“. W czasie „six o'clocku“ p. Izwolskij wzruszony p. ambasador zainterpelował mnie: „Wiesz, kolego, co oni tam wymyślili?“ Nazaczyli Protopopowa Ministrem Spraw Wewnętrznych.“ — „Nie widzę w tem nic złego, Protopopow jest Październikowcem, wiceprezesem Dumy Państwowej, to może złagodzić tarcia między nią a dworem.“ — „Nie w tem rzecz i nie w jego opinjach, lecz w tem, że jest warjatcm.“ — „W jakim sensie?“ — „No, w najzwyczajszym, medycznym.“ — To się sprawdziło. Dopiero po jego śmierci Dr. Marie, jeden z pierwszych psychiatrów paryskich, powiedział mi, że podczas wycieczki parlamentarnej rosyjskiej latem tegoż 1916 roku Protopopow się go radził — i że on u swego klienta skonstatował niezaprzeczoną „krążącą warjację“ (folie circulaire), objaw rzadki, jednak w nauce znany, w którym chory z przerwami przytomności przeclodzi kolejno wszystkie znane formy obłąkania i tak bez końca. Warjat Protopopow potrafił wmówić po śmierci Rasputina warjatce cesarzowej Aleksandrze (meliores ambo), że tylko ciało świętego umarło, a dusza jego wcielila się w ciało jego, Protopopowa, i przez jego usta się wyraża.

Jednocześnie Stürmer został usunięty z premjerostwa i ministerstwa Spraw Zewnętrznych, a zastąpiony przez Aleksandra Teodorowicza Trepowa jako Prezesa Rady Ministrów i wyżej wymienionego Pokrowskiego jako Ministra Spraw Zewnętrznych. Obu dobrze znałem, szczególnie Trepowa. „Le Correspondant“ często wówczas wydawał tak zwane szkice wojenne (sillhouettes de guerre) pióra najrozmaitszych współpracowników z jednostajnym podpisem „omnibusem“ Miles, pod którym dałem artykuł o tych dwóch mężach stanu. Wypowiadałem i jeszcze mam przekonanie, że Trepow leniuch, umiejący, gdy potrzeba, pracować „zapojem“, wykształcony, choć przeważnie z nasłuchania się, zarazem giętki i silnej woli, według mego zdania wyratowałby monarchję rosyjską przynajmniej na czas dostateczny dla zgruchotania potęgi niemieckiej, gdyby mu udzielono sześć miesięcy nieprzerwanej władzy. Lecz postawił sztorcem, i nie mógł inaczej zrobić, kwestję, „albo Protopopow albo ja“, i przeszczepiona dusza Rasputina zwyciężyła.

Obok rewolucji rosyjskiej kielkowało w tym miesiącu grudniu 1916 roku drugie wszechświatowej wagi wydarzenie, które miało z jednej strony, choć tylko do pewnego stopnia, kompensować na korzyść Ententy katastrofę tej rewolucji, lecz



z drugiej strony w prawdziwie decydującym czasie, t. j. podczas układów zakończonych Traktatem Wersalskim, przeistoczyć arcybohaterski wysiłek i triumf wojenny kochanej Francji na niewyleczalne może jej wyczerpanie, zmarnowanie jej zwycięstwa i ustalenie na długi czas hegemonji rasy anglosaskiej, i to hegemonji politycznej po tej stronie Atlantyku, ekonomicznej po tamtej, które razem ciążą nad kontynentem europejskim jak skała na piersiach: mówię o interwencji po stronie aliantów Stanów Zjednoczonych Amerykańskich. Zapowiedzią jej było w grudniu 1916 orędzie Prezydenta Wilsona do obu koalicyj, wzywające je do wyjaśnienia swoich respektywnych celów i rozpoczęcia pertraktacji pokojowych. Wystąpienie Stanów Zjednoczonych do walki wszechświatowej po stronie aljanckiej nie stanowiło wątpliwości dla żadnego przezornego człowieka. Jednak dlaczego nie nastąpiło natychmiast po barbarzyńskim zatopieniu „Lusitanji“ przez Niemców, lecz o dwadzieścia miesięcy później? Dlaczego przez te dwadzieścia miesięcy Europa położyła trupem pięć milionów swojej młodzieży, wydała dwieście miliardów franków złotych, straciła zatopionych kilkanaście milionów tonn swoich towarów? — Najpierw dlatego, żeby wspaniałomyślny i arcybogobojny naród Yankesów miał czas przesypać z kieszeni europejskich do własnych półtoraście miliardów dolarów. Następnie dlatego, żeby jakiś profesor Woodrow Wilson, dopełzły do stanowiska Prezydenta Republiki, namiętnie pragnący odegrać w historii rolę Neptuna uspakajającego Ocean, lecz nie mogący się domacać, czy większość wyborców życzy sobie wojny czy nie, mógł przelawinować do 4 listopada 1916, dnia nowych wyborów na Prezydenta. Skoro mu się udało ten niebezpieczny przyładek opłynąć, wystąpił ze swoim orędziem.

Ponieważ nie było wątpliwości, że owa nota Wilsona stanowi przedmowę do interwencji zbrojnej po stronie aljanckiej, cała bez wyjątku prasa, cała opinja publiczna, od razu zaczęły wynosić do niebios amerykańskiego profesora: zrobili z niego — i to trwało aż do końca Kongresu — nowego Mojżesza, Sakja Muni, Konfucjusza, uosobienie: MYŚLICIELA!! — Chcę tu pochwalić się tem, że już wówczas, skorom przeczytał to dziwaczne orędzie, zgadłem, że Myśliciel jest tem, za co go już dziś bardzo wielu publicystów uznaje, t. j. uroczystym gapiem i megalomanem; a to nigdy bez przymieszki bzika nie idzie (jak tego dowiodła potem jego choroba umysłowa). Całe orędzie było oparte na twierdzeniu, że cele wojenne obu koalicyj „właściwie są jednakowe“ (reviennent virtuellement au même) — Paweł chce zabić Piotra, który mu porwał żonę, i ją odebrać, a Piotr chce zabić Pawła, aby żonę zachować; ponieważ obaj chcą zabijać, ich cele są jednakowe, niech lepiej się rozejdą. — A żona...? — Do diabła żona... — Taką była logika „Myśliciela“.

Nieco później Niemcy nadali swej intrydze litewskiej przez utworzenie swojej groteskowej „Taryby“ formę konkretną. Dałem o tym przedmiocie do „Journal des Débats“ z dnia 2 lutego 1917 r. artykuł zatytułowany „Le Coup Lithuanien“, — w którym naturalnie musiałem dać szkic tego, czym są właściwie nie „narody“ lecz „klasy chłopskie“, litewska i białoruska. Gwarę białoruską, którą wcale dobrze posiadam, nazywałem „un patois polono-russe“. Nazajutrz redakcja otrzymała i mnie za-komunikowała długi list p. Meillet, profesora języków porównawczych w Collège de France, który oburzając się na mnie, twierdził, że język białoruski, choć nie posiada żadnej literatury, jednak stanowi zupełnie oddzielny i samoistny odłam języków słowiańskich. Mając chwilowo zamiar mu odpowiedzieć, wziąłem do pomocy mego służącego i we dwóch ułożyliśmy listę stu wyrazów najbardziej używanych w życiu białoruskiego chłopca. Okazało się, że jest (o jeden czy dwa różnicy) 40 wyrazów identycznych po polsku, po rosyjsku i po białorusku, ze 30 identycznych po polsku i po białorusku, a róż-nych po rosyjsku, dwadzieścia trzy identycznych po rosyjsku i białorusku, a tylko pięć niezapóżyczonych ani z polskiego ani z rosyjskiego języka.<sup>1</sup> „Journal des Débats“ na zasadzie: de minimis non curat praestor — nie pomieścił protestacji p. Meillet a zatem i moja replika została tylko w projekcie.

Od tego czasu spotkałem się z p. Meillet, czy w Warszawie czy w Poznaniu, nie pamiętam, i przyznał mi się, że swoje ów-czesne zdanie zmienił.

Od jakiegoś czasu działały dwie, jeśli można się tak wyrazić, instytucje polskie, prawdopodobnie nie bez związku między sobą, mianowicie Biuro niby prasowe w Hotel de St. James et d' Albany na ulicy St. Honoré, będące pod kierunkiem zamieszkałego tam p. E. Piltza, i piątkowe zebrania u p. Karola Halperta, który zajmował przepyszne mieszkanko na rogu rond point des Champs Elysées. Zająłem względem tego ostatniego stanowisko bierne, odkąd na jednym zebraniu p. Antoni Potocki wystąpił wyrażnie w imieniu nieobecnego p. Piltza z rodzajem posłania od niego, jakiemi bywają różne „messages“ Prezydenta amerykańskiej lub francuskiej republiki do Izby, a nawet dość ostro wypowiedziałem p. A. Potockiemu, że nie widzę, na jakiej podstawie, chyba z delegacji p. Izwolskiego, ten zasłużony dla rządu rosyjskiego mąż występuje tu jako kierownik i inspirator naszych polskich narad?

<sup>1</sup> Pod Białymstokiem z jednej strony, pod Mohylewem z drugiej, proporcje byłyby odwrotne. — Te pięć wyrazów są: 1) *a* po polsku „tak“, po rosyjsku „da“, po białorusku „ale“. 2) *a* żeby, *b* czto-by, *c* kap. 3) *a* dla, *b* dla, *c* dziele. 4) *a* kłamać, *b* wrat, *c* machlować. 5) *a* kartoffla, ziemniak lub w Poznańskim pyrki, *b* kartofiel, *c* bulba. — Więcej ani Szymon ani ja nie wyszukaliśmy. — A różnicę stanowi a k c e n t.

## Rozdział IX.

Oddźwięk rewolucji rosyjskiej. — P. Izwołski. — Seans polski w Sorbonie. — Formowanie wojska polskiego. — Montrésor. — Prasa o rewolucji rosyjskiej.

W marcu wybuchła ta wszechświatowego znaczenia katastrofa, z której niezależnie od wszystkich planów, projektów lub czynności pewnych jednostek lub partyj polskich wytryśnęła... niepodległość Polski.

Już od 11 marca i prasa paryska i nawet Ambasada Rosyjska, do której codziennie zachodziłem na wywiady, wiedziały, że w Petersburgu kotłuje się jakaś ogromna kasza, lecz jaka i jak, dzięki przerwaniu komunikacji telegraficznej nikt się nie domyślał. Dopiero 16 wieczorem dowiedziano się o abdykacji Mikołaja II na korzyść swego brata Michała. Odrzucając odrazu jak podarty pantofel wczorajsze uwielbienia względem wielkiego „sprzymierzeńca i przyjaciela“, prasa angielska i francuska najrozmaitszych odcieni powitały tę rewolucję wybuchem nieopisaney radości. Pewien, zresztą sprzyjający nam, dziennikarz odrazu zaśpiewał o: „cet imbécile de Nicolas“ i prawie wszyscy w tym wszechświatowym katakliźmie upatrywali tylko „normalne rozwiązanie“ już oddawna przygotowującego się kryzysu. Mój instynkt mi podpowiadał, że tu idzie o coś zupełnie innego. To też gdy dyrektor „Journal des Débats“ prosił, żebym obok wstępnego artykułu tytułarnego zawiadowcy działu polityki zagranicznej p. A. Gauvin dał drugi o „la gènèse de la crise russe“, dokończyłem tem zdaniem: że będzie to „rozwiązaniem“ o tyle tylko, o ile się gwardja skupi dokoła nowego, zacnego i osobiście poważanego cara Michała i o ile ten okaże, że posiada to, czego głównie brakowało jego bratu, t. j. silną wolę — a inaczej...

Następnej niedzieli p. Izwołski na czele całej Ambasady i niemal wszystkich przebywających w Paryżu Rosjan udał się do cerkwi na Rue Darú na uroczyste nabożeństwo, na którym wszyscy obecni przysięgali wierność Rządowi Tymczasowemu.

wemu; a jak mi opowiadało paru obecnych, sędziwy pop, dając przysięgającym do pocałowania ewangelję i krzyż, półgłosem dodawał: „A budzież na kolenach molitsja Bohu, człob on wozwrałiśja“ (a będziesz na klęczkach modlił się do Boga, aby on powrócił).

Ta uległość nie pomogła biednemu Izwolskiemu. Wbrew jego nadziejom jeszcze w kwietniu został przez nowego Ministra Spraw Zewnętrznych Tereszczenkę pozbawiony stanowiska, nawet bez naznaczenia mu aż do jesieni następcy, i zmuszony opuścić gmach Ambasady; wkrótce, i to ostatni raz przed jego śmiercią, spotkałem go na śniadaniu u Markizy de Ludre, także pół-akademickiej damy. Nie bardzo taktownie, bo przez głowę pani domu, która między nami dwoma siedziała, zaczął się uskarżać na mniemaną „zdradę“ paryskich Polaków, którzy z wyjątkiem p. Piltza już wyrzekają się Rosji. Nie dałem sobie pluć w kaszę i odpowiedziałem: „Tak, panie ambasadorze, i ja sam należę do liczby tych renegatów, tylko słowa pańskie dowodzą, że pan i bardzo wielu z panem Rosjan nigdy sobie nie zdawaliście sprawy z tego, na czym spoczywa w oczach nas Polaków nasz związek z państwem rosyjskiem. Nie obrażaj pan siebie, że wśród polskiego narodu był kiedykolwiek jakiś Polak, któryby przyznawał zwierzchnictwo narodowi rosyjskiego względem polskiego. Owszem. Zawsze uważaliśmy siebie jako przodujących mu w cywilizacji, starożytności, zasługach przed ludzkością i blasku naszej historii. Ale, przynajmniej w moim obozie, Polacy są przekonani, że jedynym ustrojem, mogącym im zabezpieczyć porządek, ład wewnętrzny i rozwój swoich sił kulturalnych, jest to ustrój monarchiczny. Już w wieku XVIII własnej dynastji nie mieliśmy, historia nam narzuciła dynastję Holstein-Gottorpów i my ją zaakceptowaliśmy. Mikołaj II dla nas nie był Cesarzem, lecz dla takiego Zamoy-skiego Królem Polskim, dla mnie Wielkim Księciem Litewskim, jak się sam tytułował; wam Rosjanom podobało się ten potężny lecz jedyny węzeł, który nas związywał z Rosją, przeciąć. Tego dnia, kiedy pan, panie ambasadorze, ślubowałeś na Rue Darú wierność Rządowi Tymczasowemu, jednocześnie pan zwolniłeś mnie i moich rodaków od wierności Rosji; odtąd „każdy dla siebie a Bóg dla wszystkich.“ — Izwolski zamilkł i przeszedł na inny temat.

Od tej chwili przebieg rewolucji rosyjskiej i jej skutki tak na sytuację wojenną, jak na naszą sprawę polską, rozwijały się jak na kinematograficznym filmie. Dwa błyskawicznie jeden po drugim następujące akty nowego rządu, były to sławny „prykaz Nr. 1“, dzięki prawdziwemu obłędowi przepuszczony przez konserwatywnego ministra wojny Guczkowa, który w mgnieniu oka zniszczył wszelki pierwiastek dyscypliny wśród kilkamiljonowej niby jeszcze wojującej armji rosyjskiej, a drugi

podsunęty także Kiereńskiemu przez jakiegoś figuranta, prędko przez niego żalowany, ale już nieodwołalny, był to akt o zrzeczeniu się przez Rosję swoich praw do Polski (którą zresztą dzierżył Niemiec) z formalnem przyznaniem jej niepodległości.

W maju korpus rosyjski, pod dowództwem generała Le-szyckiego będący, w mgnieniu oka zbolszewiczał, bunt został przez Francuzów bardzo energicznie stłumiony, a korpus roz-wiązany i rozproszkowany na cztery wiatry. Tymczasem ro-syjski „walec gniotący“ topniał w palcach; Anglik, który cią-gle trzymał w rezerwie w swoim kraju koło trzech milionów wojska dla obsadzenia frontu przeciwniemieckiego, targował się o każdego żołnierza; — o przybyciu w dostatecznej mierze wojsk Stanów Zjednoczonych, które dopiero w marcu formalnie przystąpiły do koalicji, jeszcze mowy nie było i w całej ostrości wystąpił we Francji głód na „Menschenmaterial“. Polski bar-dzoby się przydał, o ile udałoby się go zebrać.

Jako przygotowanie mieliśmy w tymże maju ogromne i uro-czyste zebranie franko-polskie w wielkiej auli Sorbony, mogącej pomieścić do pięciu tysięcy słuchaczy. Byłem na niem i jako nieuleczalny Tomasz-niedowiarek wyniosłem wrażenie dosyć sceptyczne. Przy stole prezydjalnym nie było ani Prezesa Rady Ministrów, ani Ministra Spraw Zewnętrznych lub Wojskowych, nawet żadnego dzierzącego określony portfel członka gabinetu; i to nie było przypadkowem, bo wówczas właśnie (jeszcze rachowa-no na Rząd Tymczasowy Rosyjski) kursował po dobrze in-formowanych kołach frazes p. Ribot, ówczesnego Ministra Spraw Zewnętrznych: „Ta Polska wkońcu nas poróżni albo z obecnymi albo z jutrzejszymi naszymi sprzymierzeńcami“. Prze-wodniczył p. Denis Cochin, katolik konserwatywny, mający ty-tuł ministra stanu bez teki i na zasadzie „świętego pojednania“ niby krzesło na posiedzeniach Rady Ministrów. — Pierwszy wystąpił p. Georges Leygues, prezes Komisji Spraw Zewnętrz-nych w Izbie Deputowanych, który nam odczytał ogromny re-ferat, dający wprawdzie bardzo jaskrawy obraz wszystkich prześladowań, którym podlegali Polacy ze strony Niem-ców w zaborze pruskim, ale o daleko dotkliwszych prześlado-waniach przez Rosjan, o Murawjewie, Apuchtinie, Górcie, kon-fiskatach, egzekucjach i wygnaniach w zaborze rosyjskim ani słóweczka. Nie straciło się jeszcze całkowicie nadziei, że rosyjski „gniotący walec“ pomimo przykazu Nr. 1 jeszcze się ruszy z miejsca; Polskę uważano jeszcze za chwilowy „Ersatz“ Rosji, a zatarg Polski z jej ciemnizycielami za specjalny zatarg polsko-niemiecki. Ten pogląd, który Komitet Narodowy, jeśli go for-malnie nie aprobował, to w kompletnem milczeniu tolerował, trwał jeszcze w końcu roku 1918.

Po p. Leygues wystąpił p. Denis Cochin i w niemniej długiej poufalej rozmowie, raczej niż mowie, opowiadał nam swoje dziecinne wspomnienia o Polakach, szczególnie o generale Zamoy skim i jego białym koniu. Dopiero na końcu p. Stephen Pichon wstał i ten z najszczerzą stanowczością oświadczył, że zjednanie i niepodległość ziem polskich stanowią jeden z celów wojennych Francji. Ale... ten mówca, który dopiero w sześć miesięcy później miał wstąpić do gabinetu p. Clemenceau jako Minister Spraw Zewnętrznych i który okazał się aż do końca naszym szczerym przyjacielem, przynajmniej przyjacielem Komitetu Narodowego, był w chwili, kiedy wygłaszał swoją deklarację, tylko senatorem, jednym z 900 członków parlamentu, i słowa jego nikogo prócz niego samego nie obowiązywały.

W kilka lub kilkanaście dni później wyskoczył jak Filip z konopi najniespodziewaniej w świecie. prócz dla dwóch czy trzech Polaków, dekret Prezydenta Republiki Francuskiej o uformowaniu we Francji oddzielnego i „autonomicznego“ wojska polskiego. Ten dekret wywarł narazie na całej kolonji polskiej bez różnicy prądów i przekonań, z wyjątkiem tych kilku wtajemniczonych, i osłupienie i stanowczą opozycję. Nazajutrz czy na trzeci dzień po ogłoszeniu dekretu, miało miejsce u p. Halperta dość liczne zebranie, na którym się nie zjawił p. Piltz, lecz sam p. R. Dmowski, dopiero co przybyły z Londynu.

Na wstępie przyszedł Prezes Komitetu Narodowego oświadczył nam, że zawczasu o tem projektowanem wojsku nie był uprzedzony i dowiedział się o dekrete Prezydenta Republiki dopiero z gazet; ale jednocześnie zawzięcie bronił myśli tego wojska, twierdząc, że to jest absolutny warunek, a byś my byli na Kongresie. Czy to my w jego myśli stosowało się do narodu polskiego, czy tylko do niego i p. Piltza, narazie sobie nie wyjaśniłem, lecz to wyjaśnił sam przebieg Kongresu, o którym w swoim czasie będzie mowa. Ta kompletna ignorancja co do projektowanego wojska u działacza, którego rząd francuski już uważał za głównego przedstawiciela polskiego narodu, szczególnie w zestawieniu z gorliwą obroną samego dekretu, wydała mi się do tego stopnia nieprawdopodobna, że upatrywałem w niej niezaprzeczone oznaki taktyki, dzięki czemu, nie będąc sam taktykiem, pary z gęby na tem posiedzeniu nie puściłem; gdy powstał między pp. Dmowskim a Gustawem Taubem ostry incydent z powodu uczynionego Taubemu zarzutu, że jest znanym boszofilem, wołałem się wynieść. Prędko zrozumiałem, dlaczego nim kogut trzeci raz zapiał, adwokat dekretu prezydenckiego tak stanowczo wyrzekł się znajomości z nim. Albowiem w całym społeczeństwie polskim w Paryżu bez najmniejszego wyjątku ten dekret wywołał jednogłośnie i nawet przesadne oburzenie. Przyczyny tego oburzenia były:

Przedewszystkiem zaraz się dowiedziano, że sam pomysł był nie polskiego, nawet nie francuskiego, lecz wyłącznie rosyjskiego pochodzenia, w czasie, kiedy jak p. Dmowski sam w swojej książce o Odbudowaniu Polski słusznie twierdzi, wstręt do Moskali był jeszcze głównym objawem polskiego patriotyzmu. W krótkich słowach geneza tego polskiego wojska była taką: Od początku wojny kręcił się koło ambasady rosyjskiej i był bardzo blisko ustosunkowany z pułkownikiem hr. Ignatiewem, szefem biura wywiadowczego rosyjskiego, pewien p. Mokiejewski z Warszawy, który poznawszy się z ś. p. Janem Sierakowskim, rozpoczął rozmowę od słów: „N'oubliez pas, Monsieur, que vous parlez à un Russe.“ Zaskoczony wojną we Francji, gdzie spełniał jakieś polecenia Ministerstwa Rolnictwa Rosyjskiego, i należąc do rezerwy, skorzystał z prawa odbycia służby wojskowej w wojsku francuskim i dzięki asymilacji z jego rangą cywilną nosił się w mundurze podpułkownika. Wstrzymanie dostaw dla wojska rosyjskiego przez Archangielsk i dyslokacja wojska rosyjskiego w Szampanji były dla pułkownika i podpułkownika bardzo dotkliwe. Między nimi zrodziła się myśl zastąpienia tego wojska polskim „Ersatzem“. Pojęcie o tym „Ersatzu“ było w sferach francuskich jeszcze tak zakorzenione, że na główno-komenderującego tem przyszłym wojskiem polskim miano z początku na widoku właśnie głównodowodzącego korpusem rosyjskim, pozostałego na mieliznie generała Leszyckiego. Zresztą kilka dni później Władysław Zamoyski był u jednego wpływowego, nam bardzo przychylnego urzędnika francuskiego; ten mając przed sobą gruby stos papierów, rzekł do Zamoyskiego: „Weźm pan to w rękę.“ — „Poco?“ — „Aby być pierwszym Polakiem, który się dotknął aktu formacji polskiego wojska.“ — Zamoyski odwrócił wierzchnią kartę i spostrzegł, że papier Nr. 1, fundament polskiego wojska, był pisany w języku rosyjskim.

Z drugiej strony uroczysty seans w Sorbonie, gdyby nawet nie był bogaty w różne niedomówienia, był zbyt świeży, by odrazu skasować złe wrażenie, które wywierało na większości przebywających we Francji Polaków systematyczne ignorowanie ich narodowości. Nietylko wymagano od Polaków, najbardziej pewnych w swoich opiniach, żeby się podawali w biurach policyjnych jako obywatele rosyjscy, austriaccy lub niemieccy, lecz bywały takie wypadki: pewnego tak zwanego Bajończyka, który był ciężko ranny na francuskim froncie i za to odznaczony krzyżem walecznych, zainternowano do obozu koncentracyjnego dlatego, że z chwilą, gdy przestał być żołnierzem francuskim, został znowu poddany austriackim. — Przy takim usposobieniu wyrosły samorzutnie różne zebrania Polaków dla przeciwdziałania niepopularnemu dekretnowi 4 czerwca.

Na jedno z takich zebrań, w mieszkaniu inżyniera p. Rudnickiego na Avenue Henri Martin, zostałem zaproszony. Przeczuałem, że przyjdzie mi na niem przewodniczyć (co się też stało). Wiedziałem też, że w dzień wybuchu wojny było we Francji wszystkich Polaków z trzech zaborów, licząc kobiety, dzieci i starców, 12 000 dusz, i że z nich wstąpiło dobrowolnie do wojska francuskiego 1500 ludzi, czyli ogromna proporcja 12,5 % ludności. Ponieważ czerpać Menschenmaterial ze wszystkich trzech zaborów z braku wszelkiej komunikacji było niemożliwem, pozostawały absolutnie tylko dwa źródła: pruscy jeńcy Polacy i Polacy ze Stanów Zjednoczonych Amerykańskich. Udałem się więc do Poselstwa Amerykańskiego; w nieobecności posła byłem przyjęty przez radcę poselstwa; wprost postawiłem mu pytanie, czy można rachować na to, że rząd amerykański dopuści do werbowania ochotnika polskiego w granicach swego państwa. Odrzekł: „Nie. Jeszcze nie mam żadnych instrukcyj w tym względzie, ale znając dobrze politykę mego rządu i pobudki jego wstąpienia do Koalicji Zachodniej mogę panu powiedzieć, że zezwolenie, o którym pan mówi, jest „hautement improbable“. Stany Zjednoczone zawierają teraz przeszło sto milionów ludności. Z niej mniej niż trzecia część, bo koło 30 milionów należy bądź dziedzicznie, bądź z późniejszej imigracji do rasy anglo-saksońskiej; reszta złożona z masy plemion należących do rasy białej, lecz przeważnie niższego stopnia kulturalnego, żyje swoim życiem, rozmawia swojemi językami, często ledwie rozumie kilka słów po angielsku i dzięki temu, że nasze prawo otwiera dostęp do obywatelstwa po roku pobytu, mamy znaczną większość wyborców do Kongresu, Senatu i Izb oddzielnych Stanów, niczem z Państwem niezwiązanym, którzy w dzień wyboru po rozmaitych szynkach (saloons) sprzedają swoje głosy pierwszemu lepszemu agentowi po dolarze za sztukę. Panuje od jakiegoś czasu mocna tendencja do spojenia tej różnobarwnej masy w jeden naród, i niezawodnie niema skuteczniejszego sposobu, jak powołanie pod broń pięciu milionów młodych ludzi i wyrobienie między nimi tego potężnego cementu, jakim jest braterstwo broni. Dlatego też nie sądzę, żeby p. Prezydent Wilson pozwolił nie tylko podlegającym służbie obowiązkowej, co się rozumie samo przez się, lecz nawet i ochotnikom, zaciągnąć się pod inny sztandar niż gwiazdzisty“.

Na zebraniu u p. Rudnickiego dyskusja była ożywiona. Różni mówcy wysuwali różne argumenta, lecz wszystkie dekrety 4 czerwca nieprzychylne. Nie bez zdziwienia zauważyłem, że większa część obecnych uważa za prawdziwy i obowiązujący rząd polski świeżo stworzoną w Warszawie Radę Regencyjną (co ich właściwie stawiało w obozie przeciwaljanckim). Wkońcu postanowiono starać się jeśli nie o odwołanie dekretu



1 czerwca, to o bezterminowe odroczenie jego wykonania i polecono mnie i Gustawowi Taube poczynić przed władzami francuskimi odpowiednie kroki. — Zredagowałem niedługi memoriał, w którym dowodziłem, że w stanie obecnym źródła dla werbowania ochotnika rzeczywiście polskiego są prawie wyczerpane, że uformowanie maciupeckiego autononicznego wojska mogłoby tylko wywołać jakieś postępowanie dla polskiego narodu i dla samej Ententy niekorzystne ze strony okupantów niemal całej Polski i, nie dodając żadnych elementów siły wojsku francuskiemu, kompromitować naród polski w oczach mało uświadomionej publiczności francuskiej z powodu mikroskopijnych rozmiarów tej armii; udaliśmy się z Taubem razem do dobrze mu znajomego p. Maginot, ministra kolonji i członka ścisłej rady wojennej, okaleczonego bohatera z frontu. Narazie podzielał nasze zdanie. -- Podobna protestacja, wydrukowana i rozpowszechniona, powstała ze strony daleko liczniejszych zebrań grup lewicowych pod przewodnictwem Dr. Bolesława Motza i zawodowych, kierowanych przez p. Józefa Lipkowskiego.

Dekret nie został cofnięty, ale potężniejsza niż wszystkie dekrety siła rzeczy jeszcze przez cały rok przyznawała nam rację; ściągnięto z frontu pięciuset kilkudziesięciu jeszcze zdolnych do służby Polaków, skoncentrowano ich dla formacji do miasteczka w zachodniej Francji Silly-le-Guillaume, i o tyle osłabiono czynne siły aljanckie. Zaczęły się tam garnąć osobistości nie polskie, bo ich nie było, lecz mogące w jakikolwiek sposób podszyc się pod polską skórę, aby uciec od niebezpiecznego frontu. W tem taka proporcja synów Izraela, że kochana p. Marja Zamoyska, praktykująca ten w moich oczach najsympatyczniejszy, bo szczery i zdecydowany, rodzaj cnoty, który Rzymianie nazywali *virtus irrita*, tym niły ochotnikom, którzy się do niej zgłaszali, prosząc o adres polskiego sztabu, odpowiadała: „Idź do synagogi“.

Zało nowa instytucja przyniosła duże korzyści, jeśli nie operowanej Polsce, to operatorom. Zaraz została utworzona już nie pod przewodnictwem generała Leszyckiego, lecz starego zasłużonego generała Archinard, organizacyjna misja wojskowa polska na ul. Chanaleiles. Naturalnie figurował na jej czele ten sam p. Mokiejewski, już znowu spolszczony, oraz kilka figur takiego rodzaju, że gdy zwrócono uwagę generała Archinard na ich stopień moralności, odpowiedział: „Je le sais bien, mais que voulez vous, il n'y a que les fripouilles qui marchent.“ A na tle tej misji wyrósł oficjalnie uznany „Komitet Narodowy“, o którym będzie dalej mowa.

Pomimo to, patrząc na rzeczy z oddalenia i w ich całości kształcie, powiem otwarcie, że w tym sporze między ogółem kolonji polskiej w Paryżu i tą malutką garstką ludzi, z których

wyrósł „Komitet“, rezultat dał rację (to często bywa) tej garsteczce, a nie tłumowi, do którego należałem, dlatego... że garsteczka umiała wytrwać. — Mniej więcej do początku 1918 r. ta Judeo-Polska „Erbärmliche kleine Armee“ (Wilhelm II o French'u) raczej nas ośmieszała. Potem, gdy z zezwolenia Wilsona posypali się ochotnicy amerykańscy, jeńcy Polacy z niemieckiego i austriacko-włoskiego frontu, to wojsko dorosło do kilkudziesięciu tysięcy ludzi i w decydującej chwili (18 lipca 1918 r.) walecznie się popisało; ono znacznie podniosło „nasz“ urok przed Kongresem Pokojowym. — Jak wykorzystano ten urok, szczególnie tę poważną siłę zbrojną, o tem jeszcze pomówimy.

W drugiej połowie czerwca ś. p. Jan Sierakowski, który miał nadzór nad pysznym majątkiem Montrésor (przeszło 1.500 hektarów w przepięknej Touraine) swego wuja Ksawerego Brannickiego, zaproponował mi pojechać tam z nim na tydzień czasu, com chętnie uczynił, aby się przekonać, jak żyje wieś francuska, pozbawiona wszystkich, prawie dosłownie, swoich do pracy zdolnych mężczyzn. Włóczyłem się od rana do wieczora po polach i fermach i zostałem zdumiony sprężystością i metodyczną pracowitością tych francuskich wieśniaków. Pamiętam jedną fermę o 80 hektarach dobrej, tłustej ziemi; mężczyzny ani jednego, dzierżawca i pięciu fernali na froncie. Dla zbiorów posługiwano się niemieckimi więźniami, kwaterującymi obok pałacu. — W domu zaś byli tylko gospodyni, licząca koło 40 lat, tęga siedemnastoletnia dziewczucha i trzynastoletni chłopak, jej dzieci. Gdym przyjechał, było to koło drugiej godziny, chłopak wybierał się w pole na pięcioskilbowym traktorze, kolejno pożyczanym dzierżawcom przez dwór, matka i córka kończyły doić 30 krów; poczem dziewczucha założyła dwa ogromne konie i pojechała bronować, matka sama jedna popędziła bydło na pastwisko; dopędziłem chłopca: orał jak młody bóg grecki. — Z całych 80 hektarów doliczyłem się tylko mniej więcej dziesięciu, które oczywiście leżały odłogiem od przeszłej jesieni, ale może także potem zostały zasiane oziminą. — W moich Łazdunach dziesięciu ludzi nie sprawiłoby się z tem, czego dokonywała ta kobieta i jej dwoje dzieci.

Lato tego 1917 roku poświęciłem głównie publicystyce, lecz nie o sprawach polskich, które drzemały i które triumwirat coraz zazdrośniej monopolizował, lecz o sprawach rosyjskich. Kiereńszczyzna rozwijała się potężnie, ofensywa Brusilowa chwilowo zabłysła, zgasła, a rozkład Rosji, szczególnie wojska, postępował olbrzymimi krokami, co naturalnie i niepokoiło, i pasjonowało opinię publiczną francuską.

Działo się to tem bardziej, że i na froncie francuskim sytuacja się psuła. Już w końcu 1916 roku generał Jeoffre, główny zwycięzca nad Marną w 1914 roku, który od tego czasu spoczywał na swoich wawrzynach i zapowiadał, że nie zamierza „połknąć“ Boszów, lecz ich stopniowo „zgrysć“, został usunięty z buławą marszałkowską; jego następca generał Nivelle przez całą zimę przygotował ogromną ofensywę, rozegrał ją w maju; miała ona powodzenie taktyczne, lecz ponieważ odbywała się kosztem dużych strat, została raptownie wstrzymana przez ministra Painlevé. To rozczerowanie, przykład zbuntowanego korpusu rosyjskiego i gwałtowna kampanja defetyzmu kupionej przez Niemców (i subwencjonowanej przez francuskiego Ministra Spraw Wewnętrznych p. Malvy) gazety „Le Bonnet Rouge“ wywołała poważne rozruchy wśród dwóch frontowych dywizyj; zostały one mistrzowsko stłumione przez generała (dziś marszałka) Petain — żelazna ręka w aksamiitnej rękawiczce. Niemniej usposobienie wykształconego społeczeństwa francuskiego było minorowe. Amerykanie się spóźniali, i znów zaczęto poglądać w stronę Rosji, spodziewając się od zrewolucjonizowanego „mużyka“ takich porywów patriotyzmu i cudów waleczności, jakich dokazali chłopci francuscy w 1792 roku. — To też poważne i bardzo rozgałęzione, szczególnie w sferach wolnomularskich, stowarzyszenie przemysłowo-ekonomiczne, mające swoje siedzisko na ulicy d'Aguesseau, przez swojego jeneralnego sekretarza, znajomego mi z Krakowa w 1910 roku publicysty p. de Noussane, poprosiło mnie o odczyt na temat obecnego stanu wewnętrznego Rosji. — Dzięki obfitości wówczas w Paryżu gazet rosyjskich rozmaitych kierunków nie przedstawiało to trudności.

Na taką prośbę moich dwóch dyrektorów, w „Journal des Débats“ i „Correspondant“, ogłosiłem w pierwszym obszerny artykuł o ukraińszynie, który wówczas dzięki tolerowanej przez Kiereńskiego „Radzie“ kijowskiej zakrawał na jakieś nowe państwo, mające się rozciągnąć od Dniestru do Kaukazu, a w drugim trzy pod rząd prace o „śmiertelnych niebezpieczeństwach rewolucji rosyjskiej“, jak się wyraził sam Kiereński, t. j. o kwestji agrarnej, o bezgranicznem zastosowaniu nawet do stopni wojskowych zasady wyborczej i o wyrastających ze wszystkich stron separatyzmach narodowościowych. Skoro pierwsza z tych prac wyszła na świat, znany jako wydawca wszystkich palących nowości p. Payot napisał do dyrektora „Le Correspondant“ p. Trogan, prosząc go, aby za moją zgodą odkrył mu mój anonim, i zaproponował mi, abym następnym swoim pracom dał takie rozmiary, żeby mogły razem z pierwszą stanowić całą książkę, którą wyda swoim sumptem. Zgodziłem się i 15 września wyszła książka pod tytułem „Les dangers mortels de la révolution russe“. Miałem otrzymać jako

honorarium zwykle wówczas (przy cenie 2.75 franków za tom u księgarzy) po 50 centów od sprzedanego tomu a 1.000 franków zgóry jako minimum. Książka musiała mieć powodzenie, bo dowiedziałem się potem od Ksawerego Orłowskiego i od p. Franciszkowej Jaroszyńskiej, że w Buenos Ayres i w Sztokholmie wszystkie wysłane przez wydawcę egzemplarze zostały rychło wyczerpane, a w jednej Lozannie księgarz, brat p. Payot, rozsprzedał 400 egzemplarzy; w Paryżu pewien profesor Collège de France, którego nazwiska już sobie nie przypominam, dowiedziawszy się od mego przyjaciela Etienne Lamy, że mnie zna, zaprosił nas obu na śniadanie do siebie i pokazał mi moje dzieło pokryte od deski do deski adnotacjami. Pomimo to wydawca nigdy się nie przyznał, że sprzedał więcej tomów niż 2000, już zgóry opłaconych. Jest to plaga życia literackiego we Francji, że pisarze, dzięki obyczajom i jurysprudencji ustalonej od czasu słynnego procesu między powieściopisarzem Paul Bourget i wydawcą Lemerre, są zupełnie na łasce tych przedsiębiorców.

## Rozdział X.

Komitet Narodowy Polski w Paryżu. — Zwycięstwo bolszewików. — Pp. Poincaré i Clemenceau. — Praca „Les éléments de la question lithuanienne.”

Wczesną jesienią rozeszła się wieść, że rządy aljanckie wskutek założenia oddzielnego wojska polskiego zapragnęły mieć pod ręką stałe przedstawicielstwo polskie i jako takie przyjęły tych trzech panów, którzy dzięki długiej i gorliwej protekcji p. Izwolskiego zawiązali z Quai d'Orsay (paryskie Ministerstwo Spraw Zewnętrznych) stałe stosunki. Przy zakulisowym udziale p. Horodyskiego, który już był na stałej służbie wywiadowczej angielskiej, zebrali się w Lozannie w hotelu Beau-Rivage pp. R. Dmowski, E. Piltz, ordynat M. Zamoyski, hr. Konstanty Broel-Plater (ten pierwiastkowy mentor światowy zaraz został za flagą), kooptowali sobie pp. Rozwadowskiego i Marjana Seydę jako przedstawicieli pruskiego i austriackiego zaboru, a p. Modzelewskiego (żonatego ze Szwajcarką panną de Diesbach) jako przedstawiciela swego w Szwajcarii i założyli przeznaczony do „bajecznej kariery” Komitet Narodowy Polski w Paryżu. Temu Komitetowi Aljanci przyznali subwencję miesięczną, nominalnie trzysta a faktycznie podobno tylko 200 tysięcy franków, wówczas jeszcze złotych. Dotychczas bowiem od końca 1915 roku koszt utrzymania pp. Dmowskiego i Piltza oraz inne ekspensa, jak to zanie przyznaje p. Dmowski w swoim dziele o Odbudowaniu Państwa Polskiego, pokrywał bardzo hojnie ordynat hr. M. Zamoyski. Ordynat pozostał „skarbnikiem” swoich kolegów, których dotychczas, jak dowcipnie twierdził Orłowski, był „skarbem”. Właściwie nawet ta subwencja była tylko awansem, ponieważ p. M. Zamoyski, a z nim, zdaje się, pp. K. Skirmunt i Wł. Sobański poręczyli jej zwrot. Ta aktualna zaliczka pociągnęła jak zwykle za sobą w oczach tak rachunkowych ludzi jak Francuzi i Anglicy nieuniknioną zależność, dzięki czemu Komitet czuł się w równej, a może i w nierównej mierze przedstawicielem narodu polskiego przed

Ententą i agentem Ententy przed społeczeństwem polskim. To też panowie z Komitetu mieli daleko mniej do czynienia z Ministrem Spraw Zewnętrznych lub arcywplywowym sekretarzem jenerałnym p. Philippe Berthelot. niż z zawiadującym „funduszami“ ministerstwa p. Kamerer lub nawet (w randze konsula II klasy) p. Degrand. — To się dawało wyczuwać, jak sam raz doznałem, w tonie i manierach tych trzeciorzędnych figurek nawet względem Polaków, którzy nie żebrali.

Ci panowie najęli sobie na Avenue Kleber Nr. 11 elegancki dom prywatny, urządzili sobie kancelarię... i poszli „na gancę“.

Trudno sobie wyobrazić bardziej niekorzystną atmosferę niż ta, wśród której się narodziła ta oficjalna niby reprezentacja, a jak sama sobie wyobrażała, władza polska. Odrazu pojawiła się drukowana protestacja (10 października 1917 roku), którą podpisało osiem organizacyj polskich we Francji, mianowicie Komitet Polski niepodległej, Grupa polskich demokratów, Towarzystwo jedności i niepodległości, Towarzystwo artystów polskich, Bratnie stowarzyszenie pracowników polskich we Francji, redakcja Polskiego Echa, redakcja Rzeczypospolitej Polskiej i redakcja Głosu Polskiego Dr. Motza. Wszystkie stowarzyszenia dobroczynne polskie prócz jednego odrzuciły ostentacyjnie ofiarowane im przez Komitet subsydja. Natomiast „Polonia“ p. Gąsiorowskiego zaraz stała się organem „Klebera“. W tej deklaracji, ponieważ Komitet niby czerpał swoje pełnomocnictwa od Kongresu polskiego, który się odbył 8 sierpnia 1917 r. w Moskwie, twierdziło się, że ten Kongres, złożony wyłącznie z partji narodowo-demokratycznej i tak zwanych realistów, nie ma prawa występować w imię ogromnej większości narodu polskiego, którego przedstawiciele w nim udziału nie brali. Lecz i w obozie zachowawczym wszyscy z wyjątkiem dwóch domów pp. Halpertów i Feliksów hr. Zyberg-Platerów, blisko związanych z ordynatem Zamoyskim, trzymali się ostentacyjnie na uboczu. Ze swojej strony Komitet, jak od przyjazdu w końcu 1915 roku pp. Dmowskiego i Konstantego Platera, tak i nadal nic nie robił dla zbliżenia się z całą resztą kolonji polskiej, i ulubiona piosenka na Avenue Kleber była: „Komitetowi o popularność nie idzie“.

Odrazu przyjęto metodę „silnej ręki“: teroryzować lub kupić przeciwników i obojętnych. (Zabiegam naprzód, aby z tym uumieliśmy przedmiotem skończyć.) Zaczęły się prześladowania i denuncjacje, które aż do otwarcia Kongresu Pokojowego stanowiły jedyne zajęcie Komitetu, bo o propagandzie prasowej, odparciu napaści ze strony nieprzyjajnych Polsce organów nie myślano. Dr. Motz i Władysław Zamoyski zostali zaszczytzeni wizytą oficjalnych policjantów; Zamoyskiego uprzedzono, że jeśli nie przestanie frondować Komitetu, to chociaż poddany francuski „on saura le pincer“, tak samo z Gustawem Taube

inną drogą. Rudnickiemu i Tarnowskiemu, jego głównemu współpracownikowi, zamknięto ich piśmko niby z powodu ataków na wojsko polskie. Żadnych ataków nie było, tylko w ostatnim numerze była pomieszczona notatka o tem, że w Warszawie władze niemieckie prosiły redakcje gazet polskich o pomieszczenie z okazji 70-lecia Hindenburga chwalebnych o nim artykułów i że wszystkie odmówiły prócz jednej „dwugroszówki”. Władysław Mickiewicz i jego córka prawie wyłącznie czerpali swoje środki od stworzonego dla nich inspektoratu rozsianych po całej Francji w obozach koncentracyjnych jeńców Wielkopolan. Formalnie ich uprzedzono, że wszystkie urzędy związane z interesami polskimi zostały oddane pod kierownictwo Komitetu i że jeśli nie przejdą do obozu na Avenue Kleber, to stracą swoją posadę. Mnie niby dano święty spokój, bo „za mocno siedziałem”, lecz w rok później miałem się przekonać, że były dane na mnie dwie potajemne denuncjacje. Gorzej było z młodymi ludźmi, przedstawiającymi mniej „powierzchni”. Augustowi Zalewskiemu (w chwili obecnej minister Spraw Zewnętrznych), który w Londynie inspirował „Polish Revue” i ciągle polemizował z p. Dmowskim, gdy się na krótki czas udał do Szwajcarii, zamknięto przy powrocie granicę i do końca wojny musiał przebywać w Szwajcarii. Młody Rettinger natychmiast po ostrej z jego strony, prawie do nieprzyzwoitości posuniętej dyskusji z p. Dmowskim w obecności angielskiego urzędnika przy Foreign Office p. Gregory, wydany został nic do Szwajcarii, skąd mógłby otrzymywać posiłki od swojej krakowskiej rodziny, lecz do Ilispanji, gdzie cały rok musiał literalnie cierpieć głód itd. itd.

W tym mniej więcej czasie siły Komitetu zbogaciły się o przybyłych z Petrogradu pp. Konstantego Skirmunta, Józefa Wicłowiejskiego, a czasowo Stanisława Gutowskiego. Pan Skirmunt był wydelegowany przez uformowaną w Petrogradzie grupę Kresowców (pp. Stanisław Horwatt, Aleksander Meysztowicz, Stanisław Łopaciński i paczka innych), aby przeciwdziałać w Paryżu „umniejszycielskiej” polityce panów Dmowskiego i Piltza na nickorzyć Kresów i dlatego zaraz złożył mi wizytę, lecz po rozmowie z triumwiratem przekonał się, że podobna akcja byłaby bezskuteczna, a nawet jako rozłam szkodliwa, i przyjął delegację do Rzymu, tę samą, którą mnie ofiarowano w marcu 1916 roku. Pan Józef Wicłowiejski, dawniej prawa ręka p. Piltza w warszawskim „Słowie”, pracowity, wykształcony, został generalnym sekretarzem Komitetu i wiele przyczynił się do aroganckiego jego tonu względem wszystkich wolno myślących Polaków, nie wykluczając nawet takiego wieloryba jak Mikołaj Potocki. — A to drogo kosztowało późniejszą Rzeczpospolitą. Mikołaj Potocki, bezdzienny, nie mający nawet bliskich krewnych swego nazwiska, nosił się z myślą, z którą nie-

jednokrotnie mi się zwierzał, darowania swego przepysznego pałacu na Avenue de Friedland jeszcze za swego życia przyszej Rzeczypospolitej na siedzibę reprezentacji dyplomatycznej polskiej. W tym celu kilkakrotnie się udawał na Avenue Kleber, lecz tam został tak zrażony pogardliwym obejściem się tych panów z nim, 70-cioletnim starcem, że cofnął już gotowy do podpisu u notariusza akt darowizny.

Jeszcze przed panem Wielowiejskim przybył przez Syberję, Japonję i Stany Zjednoczone były niegdyś sekretarz poselstwa rosyjskiego w Washingtonie, p. Stanisław Gutowski: człowiek wykształcony, zdolny, pracowity, lecz niewyleczalny „fronder“, nie mogący z nikim współpracować. Miał wstąpić do Komitetu jako szef kancelarii, co się nie skleiło, a tymczasem starał się wyrobić Kleberowi postulatowany mandał społeczny; uprosił p. Motza, aby w sali zwykłych posiedzeń jego grup demokratycznych na rue Danton zwołał rodzaj wiecu, na który mnie proszono i zaproponował nam wszystkim, abyśmy poszli do Kleberowskiej Kanossy. Po siarczystych mowach Motza i jakiejś znakomicie wyjęzyczonej żydówki lekarki oraz innych zdecydowano owszem jednogłośnie, aby do Kanossy przybył sam Kleber, i do końca wojny, tak jak na froncie, obie strony pozostały w swoich okopach.

Nastąpiła dłuższa stagnacja kwestji polskiej; tymczasem żyło się na „Kleberze“ szeroko, tak szeroko, że to wywołało wściekłe antypolskie wystąpienie akademika Fryderyka Masson, o którym później będzie mowa, a nawet nieboszczka pani Klementyna Tyszkiewiczowa w swoim soczystym języku powiedziała mi, że już na Kleberze „wszyscy przestali posługiwać się omnibusem i zaprowadzili własne dziewczyny“.

W listopadzie 1917 r. przyjechali do Paryża dobrzy moi znajomi z petersburskich czasów, pierwszy mówca parlamentarny rosyjski Wasili Aleksiejewicz Makłakow i jego arcysympatyczna siostra panna Marja. Wyjechał ze stolicy jako ambasador jeszcze sprzymierzonego państwa rosyjskiego; a w czasie, kiedy przepływał Morze Północne, Kiereński, który go mianował, został przepędzony przez Lenina i na całe półrocze „przepadł bez wieści“. Mimo to p. Makłakow został tu oficjalnie uznany przez Rząd francuski. Stare nasze stosunki same przez się odżyły. Od niego i jego siostry dowiedziałem się niemało ciekawych szczegółów o przebiegu rewolucji marcowej 1917 r. W. Makłakow sam na czele tłumu, aby je wyratować od spłądrowania i pożaru, zdobywał gmach sądowy na Litejnej oraz magazyny apro wizacyjne. W ostatnich znalazł starannie porozdzielany na dni użytku zapas mąki na 26 dni prócz tego, co było w drodze. Jak wiadomo, tłum robotniczy dopiero wówczas wyszedł na ulicę,



kiedy od dwóch dui w piekarniach chleba zabrakło. Protopopow tego chciał; obsadziwszy wszędzie dachy karabinami maszynowymi, zamierzał wziąć „krwawą łaźnię“ 9 stycznia 1905, ale na ten raz wojsko przyłączyło się do tłumu.

W miarę jak upadał prestiż Rosji, a wzrastał polski, sympatje panny Marii Maklakówny dla Polaków jawnie stygły, co nie mogło nie wpłynąć na nasze stosunki. Po wyjściu na świat mojej książki „Que faire de l'Est Européen“ one zupełnie zanikły. — Bardzo szczerze tego żałuję, bo była to piękna dusza w całym znaczeniu tego słowa.

Inaczej postąpił już wspomniany Aleksander Brianczaninow. Spokławszy go na ulicy właśnie, kiedy ta książka miała już wyjść, uprzedziłem go, że prawdopodobnie wpłynie ona na nasze stosunki: „Z pewnością nie, ja mniej cenię Pańskie zdanie niż Pański charakter.“ — Rzeczywiście niedawno (styczeń 1926) otrzymałem od niego egzemplarz odezwy politycznej z noworocznymi życzeniami.

Ta jesień 1917 r. była dla obu stron wojujących czasem krytycznym i wielkiej wagi. Niemcy i Austriacy, choć mogli się pochwalić swoją mapą wojenną na wschodzie i szli z Rosją i Rumunją do traktatów w Brześciu i Bukareszcie, choć trzymali w szachu siły aliantów w Macedonii i południowej Serbii oraz rozbili w puch Włochów pod Caporetto, a na terytorjum francuskim i belgijskim siedzieli niewzruszeni w swoich okopach, topiąc na morzu do 2 milionów tonn miesięcznie flot handlowych państw nieprzyjacielskich lub neutralnych, niemniej u siebie dochodzili do formalnego głodu, a ich „Menschenmaterial“ topniał jak śnieg. W tym to czasie cesarz Karol austriacki zawiązywał swoje desperackie pertraktacje pokojowe w Szwajcarji przez hr. Revertera i wspomnianego wyżej hr. Armand, a także osobiście ze swoim szwagrem Sixte de Bourbon, oficerem wojska belgijskiego. Jak się dowiedziałem z bardzo dobrego źródła, te pertraktacje zostały zerwane, a Aljanci wzmocnieni w swoim postanowieniu walczenia do końca dzięki pewnemu Polakowi z Poznańskiego. Był członkiem jednej czy nawet dwóch Izb Prawodawczych w Berlinie. Odznaczał się lojalnością niemiecką i w pewnej komisji wysłuchał referatu kanclerza Beltman-Holwega o rozpaczliwej sytuacji wewnętrznej oraz niemożności nie tylko dla Austrii, ale i dla samej Rzeszy niemieckiej przedłużenia wojny do zwycięskiego końca. Dobrze sobie wszystko zanotował, przeniósł się do Szwajcarji i wszystko odkrył Rządowi francuskiemu po dziś dzień jeszcze wdzięcznemu za to, że dzięki niemu kierownicy Ententy w porę nabrali przekonania, że oni to doczekają tego „ostatniego kwadransa“, który podług japońskiego generała Kuroki decyduje o wyniku wojen.

Lecz i po stronie aljanckiej, szczególnie we Francji, rzeczy wyglądały nie pocieszająco. Wprawdzie Stany Zjednoczone formalnie weszły do Koalicji i oddawały jej nieocenione finansowe i przemysłowe przysługi, ale jeszcze nie były w stanie dopełnić po tej stronie także topniejącego „Menschenmaterial“; a „perfidny Albjon“, który mógł go dopełnić, targował się o każdą rotę, o każdy kilometr frontu. W usposobieniu opinii publicznej było coś w wyższym stopniu sprzecznego. Z jednej strony ogromna większość narodu francuskiego po ostatecznym triumfie nad Niemcami pod Verdun niezłomnie się trzymała hasła generała Petain: „On les aura.“ A z drugiej strony coraz bardziej wychodziły najaw symptomy defetyzmu, a nawet zdrady. Był to okres głośniejszych procesów, kończących się nieraz rozstrzelaniem, jak słynnej tancerki Matta Harry, Bolo-paszy, Duvala, Lenoir. Jeszcze gorzej zapowiadały się przyszłe skutki społeczne tego nadludzkiego wysiłku narodu i klas niższych; nie wiadomo, skąd coraz bardziej rozszerzały się przesady, niewykorzenione z ciężkich mózgów ludowych, że ta wojna jest wojną bogaczy, którzy prowadzą biedotę na rzeź, bo się zbyt rozmnożyła. Mój przyjaciel Lamy jedzie tramwajem. Jakaś prostytutka głośno peroruje i opowiada, że wówczas, kiedy biedni Niemcy i Francuzi się wzajemnie na śmierć zabijają, bogacze z obu stron zamieniają między sobą nie zabijające kule (des balles qui ne tuent pas). Ja sam wchodzę do tramwaju, kiedy „poilu“, oczywiście trochę podпиты, kończy swoją perorę, trzymając w ręku nóż, wówczas właśnie rozdany żołnierzom w okopach dla walki ręcznej, słowami: „Rozdano nam noże dla walki przeciw Boszom, one po wojnie posłużą nam na co innego.“ Spostrzegł wchodzącego burżuja i zamilkł. Wówczas też spotkałem na bulwarze wyjątkowo bystrego człowieka, p. Fabre Luce, wice-prezesa kolosalnego banku Le Crédit Lyonnais. Z ponurym wyrazem twarzy, zamyślony, powiedział mi: „Oni (zapewne wielcy tego świata) wyobrażają sobie, że prowadzą największą między historycznymi wojnę, a w rzeczywistości oni przygotowują największą, jaką świat widział, rewolucję.“ Dużą w tem winę ponosił p. Albert Thomas, dziś jeszcze paradujący na czele komisji pracy przy Lidze narodów, niby przekonany socjalista; on to siedząc obok mnie w restauracji Volney, w której się dosyć najadłem za siedem franków, wpakował sam jeden do swego proletarijuszowskiego brzuszka za 36 franków potraw, rzadkich win i likierów. Naówczas minister uzbrojenia i amunicji ściągnął z frontu lub zatrzymał 600 tysięcy podlegających mobilizacji robotników. Wszyscy byliby najszczęśliwszymi, gdyby otrzymywali gotowe utrzymanie i 25 centymów żołdu jak na froncie, lecz daleko od niebezpieczeństwa i cierpień fizycznych. A on im naznaczył na ich utrzymanie dziennie 18 fr., wówczas jeszcze złotych, t. j. potrójną od

przedwojennej placę. Ile to musiało wzbudzać zazdrości i gorczy u wszystkich „poilus“ na froncie, robotników, a szczególnie chłopów!

Jasnym było, że tylko silna, nieugięta, żelazna ręka mogła sprostować zachwiany duch narodu. Izba wybrana wiosną 1914 r., mocno zabarwiona socjalizmem, kłótlawa, wścibska, ciągle zwalająca ministerja, doszła do szczytu niepopularności. Pamiętam, jak czekałem na placu de la Concorde na tramwaj nr. 19; z powodu przzerwania toku elektrycznego, mocno się spóźniał. Zaczęli koło mnie zbierać się inni pasażerowie. Było ich już więcej niż tramwaj mógł zmieścić, gdy przy ślicznej słonecznej pogodzie z pałacu Izby Deputowanych po drugiej stronie Sekwany wyszło na wielki ganek kilkunastu deputowanych. Ktoś ze stojących obok mnie, człowiek już pewnego wieku, głośno powiedział: „Gdyby się nas zebrało drugie tyle, warto byłoby pójść tam i wszystkie te kanaje wrzucić do rzeki.“ — Nikt nie zaprotestował. — Wskazany był jeden rzeczywiście mąż opatrnościowy, stary „tygrys“, kiedyś półkomunarda, już 77-letni lecz o niezłomnej energii, Jerzy Clemenceau. I tu ówczesny prezydent Rzeczypospolitej p. Raymond Poincaré postąpił jako wielki nad wielkimi obywatel swego kraju. Od czasu wyboru w 1913 r. p. Poincaré na prezydenta Republiki, p. Clemenceau, który wszystkimi siłami popierał kandydaturę bogacza radykała p. Pams, miernoty, przy której spodziewał się odegrać rolę szarej Eminencji, nie mógł darować nowemu prezydentowi jego zwycięstwa. Szczególnie od wybuchu wojny wylewał nań w swojej gazecie „L'Homme libre“ (potem „L'Homme Enchaîné“) całe kałamarze swego zaprawionego żółcią atramentu, szkalował, ośmieszał, suchej nitki na nim nie zostawiał. Niemniej gdy się p. Poincaré przekonał, że silna łapa tygrysa jest Ojczyźnie niezbędną, powierzył mu utworzenie Rządu, zdał mu pełność władzy, skromnie się za nim skrył i nawet wyrzekł się swoich częstych (może za częstych) wycieczek na front. Od chwili, kiedy Clemenceau z mównicy Izby Deputowanych w odpowiedzi na natrętne pytania różnych lewicowych mirmidonów<sup>1</sup> rzucił swoją sławną, tak

<sup>1</sup> Ogólną cechą parlamentarnych mirmidonów jest wszędzie wstrętne przymieszka bezczelności i chorobliwego łchórzostwa. W tym 1917 r. (jeszcze przed p. Clemenceau) rozegrała się w Parlamencie taka scena, którą mi opowiadał naoczny świadek, deputowany (prawicowiec). Teke ministra wojny dzierzył generał (dziś marszałek) Lyautey, sławny twórca dzisiejszego Marokko. Zniecierpliwiony gradem zarzutów ze strony lewicy, stary żołnierz ze słowami „Panowie mnie narzucacie rzemiosło, które nie jest mojem“ (Vous me faites faire un métier qui n'est pas le mien) złożył papiery, zeszedł z mównicy i opuścił salę. Momentalnie na lewicy sto pysków zbladło jak stearyna, zamieniły się zbląkanie spojżenia, niektórzy już opuszczali swe miejsca... oczywiście myśląc, że rezolutny generał poszedł po zawsze stojący na pogotowiu piket wojskowy. Dopiero kiedy Lyautey, dopędzony i uspokoi-

przez Ludendorffa podziwianą odpowiedź: „Co ja robię w tym przedmiocie? Robię wojnę. Co ja robię w owym? Robię wojnę. Co w trzecim? Robię wojnę. Walczę przed Paryżem, będę walczył w samym Paryżu, będę walczył za Paryżem.“ Parlamentarne mirmidony ucichły, a pokrzepiony jakby cudownym filtrem naród już rezonu pomimo dramatycznych chwil wiosną 1918 r. nie stracił i dotrwał do ostatecznego zwycięstwa.

Na początku roku 1918 zaczęła się wzmacniać w prasie francuskiej agitacja kowieńskich Litwomianów, gwałtownie podtrzymywanych, a właściwie utworzonych przez Niemców. Ogniskiem tej agitacji była Szwajcaria. Pomimo że każdy wiedział, że ma do czynienia z utworem czysto niemieckim, znajdowali sposób docierania do Paryża nie tylko piśmiennie, lecz i osobiście. Ku memu zdumieniu p. Ernest Denis na jednym z czwartkowych zebrań słowiańskich zapytał, co to jest za ksiądz litewski, który kręci się po Paryżu i nawet wyzebrał sobie w Ministerjum Spraw Zewnętrznych 3000 fr. jałmużny na powrót niby do Litwy. Wiedziałem, że to jest nie kto inny jak ksiądz Olszewski, oficjalny przedstawiciel Taryhy wileńskiej w Berlinie, tam zamieszkały. Wówczas już gazeta „Le Temps“ najbardziej rozpowszechniona wśród prasy tak zwanej „poważnej“, zresztą nie ciesząca się reputacją zbyt uczciwej bezinteresowności, choć nie śmiała występować z jawnie litwomańskimi artykułami, помещała jednak niemal codziennie jakieś krótkie nowiny, w których figurowały nazwy Vilnius, Kownas, lub nawet Gardinas (Grodno). Pomyślałem, że pora uświadomić publiczność francuską o tej kolosalnej, monstrualnej błędzie państwowości litewskiej, której po dziś dzień strawić nie mogę. Właśnie kiedy planowałem swoją pracę i robiłem przygotowawcze badania w Bibliotece polskiej, zjawili się u mnie p. Marjan Seyda, członek Komitetu Narodowego, i p. Bronisław Piłsudski (o którym będzie mowa polem) i oświadczyli mi, iż uważają, że pora byłaby zająć się kwestją litewską i że mnie mają za odpowiedniego do tego. Odpowiedziałem, że się tą kwestją właśnie zajmuję, nie obiecując wcale — z łatwo zrozumiałych przyczyn — wyciągać kaszlany z ognia dla Komitetu.

Nie mało pomógł mi zupełnie nieoczekiwany, dotychczas dla mnie niepojęty traf. Otrzymałem pocztą ze stemplem Tuluzy, ale bez słówka rekomendacji lub komentarza, od niewiadomego korespondenta wycinek z bardzo wpływowej prowincjonalnej

jony przez premjera (bodaj p. Briand) powrócił do sali, ze stu bohaterskich piersi wyszły szerokie wdychania skazańców, ulaskawionych pod szubienicą. Kilka dni później generał Lyautey złożył lekę i powrócił do swego Marokko.

gazety „La Dépêche de Toulouse“, zawierający dosłowne tłumaczenie, z 10 października 1917 r. raportu wysłanego 3 stycznia 1917 r. do głównej komendy „Oberost“ przez wyższego urzędnika p. von Beckerath, o porównawczej wartości zamieszkujących kraj elementów narodowościowych, mianowicie o Białorusinach, Litwinach, Polakach i Żydach. Autor stanowczo wypowiadał przekonanie, że jedynym elementem kulturalnie i politycznie wyrobionym, na którym warto się opierać i z nim się liczyć, jest element polski. To było tak jasno i dokładnie napisane, że zakończyłem dosłowną cytate z tej pracy słowami: „Jestem gotów podpisać się pod obraz, narysowany przez p. von Beckerath.“

Artykuł pod tytułem „Les Eléments de la question Lithuanienne“ wyszedł w zeszycie dwutygodnika „Le Correspondant“ 25 lutego 1918. W tej pracy zaczynałem od rozbicia tego bezczelnego dwuznacznika a raczej tróznacznika, którym Litwinom ciągle durzą głowy zachodnim ignorantom, między słowem Litwa jako terytorjum zamieszkałem przeważnie przez oddzielną rasowo i językowo ludność litewską, zawierającą w rzeczywistości trochę mniej niż 60% ludności ogólnej t. j. Litwę etnograficzną, a między Litwą geograficzną, tak jak ją u nas pojmowano już w XVIII wieku, t. j. dawniejsze gubernje wileńską, kowieńską, grodzieńską i zachodnią część mińskiej (reszta gubernji mińskiej jako Polesie albo Białoruś), i na koniec Litwą historyczną, t. j. dawniejszem W. Księstwem Litewskiem, które sięgało aż pod Kijów.

Niemniej mocno robiłem nacisk na to, że ruch litewski nie jest właściwie ruchem narodowym, lecz antagonizmem klasowym, ponieważ z wyjątkiem kilkuset ambitnych pół-inteligentów i najczęściej wykołojonych księży wszystko ogranicza się wyłącznie do klasy włościańskiej; aż do 1914 r. można było śmiało twierdzić, że w całej Kowieńszczyźnie lub Suwalszczyźnie z wyjątkiem tych kilkuset entrepreneurów, kto tylko przestał być chłopem, przestał być Litwinem. To mi pozwoliło odpowiedzieć sędziwemu profesorowi lingwistyki i historykowi Louis Leger (wybornie władającemu językiem polskim), który, wspominając o swoim kilkotygodniowym pobycie w Wilnie zapytywał, jaka może być w tem mieście różnica między człowiekiem, który się podaje za Polaka, a tym, który się podaje za Litwiną, wówczas, kiedy nie ich nie różni, i nawet, jak się przekonał, nie jeden z tych Litwinów, władający doskonale językami polskim i rosyjskim, po litewsku mówić nie umie? — „Rzecz prosta; tam na miejscu Polak to jest taki Litwin, który nigdy w życiu gęsi nie pasał, a Litwin to jest taki Polak, który gęsi pasał albo jeszcze pasie.“

Moja konkluzja była naturalnie ta, że skoro Niemcy będą z tego Kowenlandu wyrzuceni dla dobra samej ludności litew-

skiej z wyjątkiem naturalnie entrepreneurów, kraj powinien podzielić losy wyżej opisanej Litwy geograficznej z uwzględnieniem praw języka czyli raczej gwary litewskiej.

Na prośbę ś. p. Bronisława Piłsudskiego, wyrażoną mi w imieniu Komitetu, kazałem odbić osobno niemałą liczbę egzemplarzy tej pracy. Br. Piłsudski zabrał ich kilkadziesiąt, zwracając mi proporcjonalny koszt.

## Rozdział XI.

„Credo“ o rewolucjach. — Propozycja stworzenia kontr-komitetu. — Bombardowanie Paryża „grubą Bertą“. — Atak niemiecki 23 maja 1918. — S.p. Bronisław Piłsudski.

10 marca tegoż 1918 r. z rana czytałem sobie gazety poranne francuskie i angielskie. W jednej z ostatnich wyczytałem, że poprzedniego dnia w Izbie gmin angielskich p. Balfour (dziś już lord Balfour), minister spraw zewnętrznych, siostrzeniec rodzony lorda Salisbury, posiadacz 8000 hektarów ziemi, przedstawiciel w gabinecie koalicyjnym partji konserwatywnej, zagalopowawszy się w pogoni za taną popularnością, zaraz po Traktacie Brzeskim w chwili, kiedy Lenin i jego „Czereczyczajka“ topili we krwi całą inteligencję rosyjską, kiedy cioteczny brat i cioteczna siostra jego króla z dziećmi na Syberji oczekiwali z dnia na dzień swojego wymordowania, wypowiedział swoje szczere zadowolenie... z rewolucji rosyjskiej!

Zerwałem się, siadłem przy biurku, nie czekając p. Turin, nagryzmołem artykuł do Debatów (które wychodzą po południu) i przez służącego posłałem go do redakcji. Dyrektor p. de Nalèche natychmiast mi zatelefonował, że artykuł jemu osobiście ogromnie się podoba, że chce go tegoż dnia pomieścić na czele gazety, ale ponieważ gazeta od 120 lat wychwala nieśmiertelne zdobycze wielkiej rewolucji 1789 r., więc musi memu artykułowi nałożyć tak zwany kapelusz t. j. odpowiednie zastrzeżenie. — Nałóż pan choć dwa kapelusze, niech tylko artykuł wyjdzie. — I wyszedł na wstępie w numerze datowanym 17 marca 1918 r. pod tytułem: „Z powodu rocznicy.“ Podaję tu dosłownie jego tłumaczenie, bo uważam te półtorej szpalty za najlepszą rzecz, jaką w życiu napisałem.

### „Z POWODU ROCZNICY.

Pod tym tytułem otrzymujemy od wybitnego cudzoziemca, szczególnie dobrze obznajmionego ze sprawami rosyjskimi, list następujący:

Od 10 tego miesiąca różne gazety obchodzą, każda pod inną datą, rocznicę rewolucji rosyjskiej. Właściwie przypada ona na dzień dzisiejszy, albowiem to w nocy z 15 na 16 marca Mikołaj II podpisał akt abdykacji, i to była iskra, która wysadziła prochownicę, starannie naładowaną przez cztery pokolenia carów od 1825 r. Odtąd widzieliśmy, jak się rozwijała w łatwym do przewidzenia porządku nieubłagalna logika f a k t ó w; równolegle rozwijała się niewzruszona logika słów, która już od czterech lat nie bez powodzenia podkrada się pod pierwszą i jest wygodniejszą, bo można ją zmienić do woli, wówczas kiedy tamta się narzuca i upiera z pedanterją złego tonu. Ta logika słów została streszczona w sposób wydatny przez znakomitego sprzymierzonego męża stanu; on twierdzi, że: „niema nikogo, kto by nie powitał z zadowoleniem końca autokracji rosyjskiej, pojawienia się tego, co w naszych nadziejach miało być i co dalej, spodziewamy się, będzie, panowania porządku wśród swobody.“ Zdarzenie, o którym mowa, może być tylko rewolucją rosyjską w marcu 1917 r.

Ta cytata pomoże nam oświecić prawdziwą doniosłość tej rocznicy. Tak, mówca ma rację, kiedy cieszy się z końca rosyjskiej autokracji „w samej sobie“, powiedziałby Niemiec. Wszystkie naganne wyrazy słownika nie wystarczyłyby, żeby dać pojęcie o tym reżymie temu, kto go nie przeżył. Lecz bywa koniec — i koniec. Cierpię na okrutną scjatykę w nodze. Jeśli doktor Miracle dzięki wstrzyknięciu nawet bolesnemu położył koniec moim cierpieniom, całem sercem będę się cieszył z tego końca; ale kiedy uśpiwszy mnie odetnie mi nogę aż do biodra, całe życie będę żałował mojej nogi.. i mojej scjatyki.

Co przyniósł Rosji w ciągu 12 miesięcy koniec autokracji co do swobody, do dobrobytu, wykształcenia, moralności, postępu? Nic. — Zato więcej gwałtu, zniszczenia, morderstw, ruin publicznych i prywatnych, cierpień ludowych, niż despoti z ich oplakaną biurokracją nagromadzili w ciągu stu lat. Zde-tronizowany car zostawił w spuściźnie swojemu narodowi, który bardzo tego potrzebował, cenne dobro: trzeźwość. Dziś cała Rosja jest pijana. Wedle listów prywatnych lub informacji prasy niemieckiej muzyk już nie zjada swego zboża, ale je przepija. We wszystkich wioskach przebiegli spekulanci nauczyli go zacierać i przefermentowywać swoją mąkę i obchodząc chaty z przenośnym alembikiem, przepędzają mu obrzydliwą „siwuchę“, przepelnioną trującymi pierwiastkami; rodzice, dziadkowie, działwa płci obojga, są pijani od rana do wieczora. Już zeszłego lipca słynny trybun Rodziczew, który od 40 lat oczekiwał i przygotowywał tę rewolucję, rzucał ten okrzyk rozpaczny: „Rosja przestała pracować!“ Nie zatrzymam się na tym obrazie, codzienn telegraf dodaje mu nowy rys.



Czy to wywołuje zadowolenie wymienionego męża stanu? Nie, wywołuje je nadzieja. — Nadzieja! Nieoceniony pokarm naszych dusz; ale z jakich pierwiastków może się składać nadzieja, że z rewolucji rosyjskiej takiej, jaką ją widzimy, wyjdzie cenny ideał porządku wśród swobody? To nie może być operacja umysłowa czyli budowa prawdopodobnych hipotez, opartych na danych, dostarczonych przez badania i doświadczenia; mąż stanu przezorowy i wysokiej kultury wie, że jedynie rasa anglosaksońska i jej matka skandynawska dotychczas historycznie dowiodły swojej zdolności do stworzenia w samych sobie tej ceunej kombinacji porządku i swobody. Inne napróżno za nią gonią, albo z rezygnacją poświęcają jedną z tych zasad — drugiej. Wiemy o takiej, zdolnej, świetnej i sławnej ponad wszystkie, wiekami przewodniczącej drugiej, która jeszcze goni za tą formułą; to szczególnie dlatego, że u niej wspomnienia pełne wielkości i okropności ustaliły w formie nadziei w oczach jednych, grozy w oczach drugich, tę myśl zwodniczą, że przewrót stanowi niezbędną okup postępu.

Co do urodu moskiewskiego, to nigdy od najdalszych początków nie cieszył się on minutą prawdziwej swobody. Pozorowy porządek, który go przykrywał, był zawsze tylko anarchją skrytą i przyduszoną, a jego władcy obecni cynicznie głoszą, że nie dbają ani o jedno ani o drugie. Wszystko to jest wiadome chwalcom rewolucji rosyjskiej; wiedzą oni też, że o ile porządek odrodzi się, czy to zrodzi się w jej własnem łonie (co by wymagało źródeł czyuników i środków, których nikt jeszcze nie dostrzega), czy też będzie przyniesionym z zewnątrz jak za czasów Waregów, to będzie porządek, może mocno zabarwiony socjalizmem, ale swobody politycznej lub nawet cywilnej będzie mu niemniej brakowało jak uprzednio.

Ależ w takim razie, kiedy się nie ma tej nadziei, dlaczego się ją ostentacyjnie wypowiada? Dlaczego się nie śmie dotknąć fetysza słów „rewolucja“, „demokracja“, które się stały od trzech lat, gdy wszyscy straciliśmy poczucie rzeczywistości, formułą czarodziejską i nietykalną? To ubóstwianie słowa prowadzi do przyznania, że rewolucja, wszelka rewolucja jest dobrem, źródłem dobrego, zatem i nadziei.

Otóż nie, tak nie jest! Rewolucja prawdziwa nie jest dobrem, lecz złem, może nieuniknionem, może niezbędnem, ale złem, tak jak wielkie operacje chirurgiczne; tak jak te ostatnie wywołuje ona inne pojęcia, które od roku 1914 jakby również zostały pogrzebane na dnie kasy sekretnych myśli ludzkich, pojęcie o n i e p o w e t o w a n e m.

Nie ludźmy się. „Rewolucja“ znaczy „przewrót“. Nieśluszenie ten wyraz zastosowują też do kryzysów rządowych angielskich z lat 1642, 1648 i 1688; francuskich z lat 1830, 1848, 1870, które narazie ani na jotę nie zmieniły budowli

socjalnej i ekonomicznej obu narodów. W sensie rewolucyjnym historia dotychczas przedstawiała tylko dwa przykłady prawdziwej rewolucji, francuskiej XVIII wieku i obecnej rosyjskiej. Ta ostatnia pobiła rekord: niedawno widziano na czele wielkiego okręgu wojennego prostego żołdaka analfabetę, który nigdy ognia nie widział, prawdopodobnie mocnego krzykacza, a jednocześnie w koszarach szyldwach uzbrojony w karabin i bagnet pilnował kilku generałów, czyszczących konie i wyrzucających nawóz.

Rewolucja francuska nawet w chwilach paroksyzmu starała się nie bez powodzenia odbudowywać to, co niszczyła. W Rosji od dwunastu miesięcy widzimy niszczenie i jeszcze raz niszczenie, a u wszystkich tych rewolucjonistów, którzy dziesiątkami lat w swoich zakamarkach komentowali i dopełniali teorie Marksa, Engelsa, Kautskiego i innych socjalnych architektów, nie widać najmniejszej próby zamienienia, reorganizowania i rozdzielenia czegokolwiek bądź; rozbudzili wszystkie najniższe instynkta zwierzęcia, które drzemiały w człowieku, patrzą — i napełniają sobie kieszenie, albowiem ze wszystkich podstaw starego reżymu zachowali i ulepszyli tylko jedną: przekupstwo. Tam gdzie carski czynownik zadowalał się skromną łapówką 10 rubli, wygłodzony internacjonalista, który go zastąpił, nie kiwnie palcem bez stu.

Otóż tak, jak wszelki stary naród, olbrzymi naród moskiewski był to żywy organizm, u którego liczne organa żywotne i niezbędne, mające odpowiednie przeznaczenia, dzięki przez długowiekową ewolucję opracowanej wymianie wzajemnych usług, składały się na zabezpieczenie funkcji życiowych. Nie ma ani jednego z tych organów, czy to monarchja, czy to biurokracja, czy to wojsko, czy to kościół, własność, kapitał a także wyrzeczność i cierpliwość, patriotyzm i t. d., któryby nie był w ciągu całego roku krajany do żywego albo amputowany. Co pozostanie z tego olbrzymiego ciała, co znajdzie uzdrowiciel, o ile przyjdzie? Może ciało tego biedaka, o którym mi mówiono, tułów bez rąk i nóg, ślepy, a jednak żywy? Może się nieco tańszym kosztem obejść? Lecz napewno, nawet jeśli nazewną odzyska tę lub ową część swego terytorjum, od niej dziś oddzielnego, nawewnątrz ta Rosja rzeczywiście kolosalna, która była wielką, groźną, niedawno ubóstwianą, nawet piękną, pięknoscią niektórych paradoksalnych potworów, zostanie zawsze kaleką dzięki właśnie zdarzeniu 16 marca 1917 r.

Oto dlaczego rocznica ta przynosi mi mniej „zadowolenia” niż czcigodnemu p. Balfour, ministrowi, wielkiemu humaniście... i konserwatyście...”

W połowie marca baron Gustaw Taube uprzedził mnie, że p. Emile Bourgeois, profesor w Collège de France, uchodzący

za rodzaj „Szarej Eminencji“ Ministerstwa Spraw Zewnętrznych, życzy sobie mnie poznać i zaprosił nas obu na śniadanie w znanej restauracji Voisin. — Po wstępnych banalnościach p. Bourgeois skierował rozmowę na będący w pełnym rozkwicie Polski Komitet Narodowy; ministerstwu jakoby wiadomo, że prócz nielicznych Polaków picnięźnie od niego zależnych nie ma on wśród kolonji polskiej żadnego poparcia, i dlatego zachodzi obawa, czy dostarczane przez ten Komitet wiadomości i poglądy nie są jednostronne. Dlatego radzi nam, abyśmy uformowali drugi Komitet, także z ministerstwem zestosunkowany, pod mojem kierownictwem; będzie można słyszeć różne dźwięki. — Zamieniwszy spojrzenie z Taubem, odpowiedziałem, że takie postępowanie od razu przypominałoby najgorsze czasy przed- i porozbiorowej historii polskiej, kiedy każda organizacja natychmiast wywoływała kontr-organizację; możebyśmy jednak pomimo mego wstrętu do „przodowania“ coś innego skombinowali, gdy nasz kusiciel, myśląc zapewne, że argument jest zwycięski, położył mi rękę na łokic i dodał: „Et puis vous savez, vous aurez de l'argent aussi“ — i tem właśnie w naszych oczach wszystko zepsuł. Wszak największy zarzut, jaki robiliśmy Komitetowi, był właśnie ten, że, jak mówi Pismo św., „nie można dwom panom służyć.“ — Wymówilem się wickiem, zdrowiem i t. d. — Po wyjściu Taube dał mi całkowitą aprobatę. — A co do rezultatu, czy nasza wstrzeźliwość wyszła na korzyść sprawy czy nie, o tem sądzić nie mogę.

W Wielki Poniedziałek 23 marca w sam dzień piorunującego ataku Niemców na Amiens, dzięki któremu angielska armja generała Gough została rozbita w proch, front przełamany na 50 kilometrów szerokości, setki angielskich gentlemanów wziętych do niewoli, jeden goły jak ojciec Adam w swoim kauczukowym „tubie“, inny z twarzą zamydloną i „giletta“ w rękę, aż genialny Foch po siedmiodniowej walce znowu załatał dziurę, wchodzi do muie punktualnie o 8 rano służący z rannem śniadaniem i wali się ze strachu na ziemię z tacą, kawą, śmietanką i t. d. Przy jaskrawem słońcu, czystem jak we Włoszech niebie, nicmożebności jakiegokolwiek ataku nadpowietrznego niemiecckich aeroplanów, rozległ się huk strasznego wybuchu nieco odmienniej intonacji niż te, któremi co wieczór prawie nas traktowały torpedy z aeroplanów. Zaśpiewała po raz pierwszy „die grosse Berta“.

Wybuchy w różnych dzielnicach miasta tego dnia odnawiały się regularnie co kwadrans; do godziny drugiej cały Paryż trzymał się za głowę, nie mogąc zgadnąć, co skąd pada, aż ckspertyza techniczna bez wątpienia ustaliła, że to padają pociski armatnie kalibru 22 ctm. Jednocześnie francuskie acro-

plany ustaliły, że Berta siedzi gdzieś w lasach Saint-Gobain o 120 kilometrów w prostej linii od stolicy. Kilka dni później w Wielki Piątek o godzinie czwartej po południu w chwili, kiedy się rozpoczęły sławne w całym Paryżu śpiewy w kościele St. Gervais za ratuszem, taki pocisk ukośnie wpadł do kościoła przez okna, przeciął jak brzytwą jeden z głównych filarów tego gotyckiego kościoła, sklepiony sufit runął, zabijając około 180 modlących się.

Ta nowa nieprzyjemność trwała aż do połowy lipca, kiedy Francuzi, zniszczywszy kolejno trzy Berty (zawsze działała tylko jedna), przepędzili Niemców z lasu, a czwartą, ostatnią Bertę wzięli żywcem. Ta nowa boszowska zabawa była jednocześnie i daleko więcej dokuczliwa i daleko mniej szkodliwa niż bombardowanie nadpowietrzne. Była dokuczliwsza dzięki temu, że ataki aeroplanowe były oczekiwane, zapowiadane przez syreny i wznoszące się „salcesony”; ludność chroniła się do piwnic i po godzinie lub półtorej szła spokojnie spać; natomiast bombardowanie trwało od ósmej z rana do zachodu słońca i nadzwyczajnie denerwowało drażliwe osoby. To też w ciągu tygodnia koleje, które przez całą wojnę funkcjonowały z zadziwiającą sprężystością, wywiozły z Paryża na prowincję około miliona mieszkańców, przeważnie kobiet i dzieci. Dla pozostałych był jednakże jeden sposób ochrony: czy dlatego, że Berta się strasznie nagrzewała i trzeba było jej dać czas ostygnąć, co bardzo zależało od zewnętrznej temperatury, czy też dlatego, że były kłopoty z dostarczaniem naboju, dzięki sławnej niemieckiej akurtności przerwy między wystrzałami były każdego dnia absolutnie równe, 10 minut albo 15 albo 20. Paryżanin przekonywał się o tem przy drugim wystrzale, wychodził spokojnie na ulicę z zegarkiem w ręku, o 9-tej czy o czternastej, czy o 19-tej minucie chronił się pod pierwszą lepszą bramą i po wystrzale ruszał dalej. A to bombardowanie było mniej szkodliwe dzięki temu, że o ile pocisk nie spadł sztorcem na dach lub nie trafił ukośnie do zamieszkałego budynku, a wówczas niszczył wszystko, co tam było i żyło, lecz padał na niezabudowane przestrzenie, które stanowią trzy piąte powierzchni Paryża, to dzięki temu, że dla wzniesienia się o 32 kilometry, wysokości dla osiągnięcia sfery, w której rozrzedzone powietrze już prawie żadnego oporu pociskowi nie przeciwstawia i ten spada postępowo aż o 90 kilometrów od punktu kulminacyjnego, ten pocisk musiał mieć dużą wagę specyficzną; miał bardzo grube ściany z kulej stali, zatem zawierał stosunkowo mało materiału wybuchowego. Padając płazem, zupełnie nie wybuchał, a padając sztorcem, wydrążał w gruncie głęboką jamę tak prędko, że wybuchał już w niej i odłamki odbijały się o ściany tej jamy. Gdy raz szedłem do przyjaciela, o którym już mówiłem, 14 czy 19 minuta wpędziła mnie do bramy tuż

na rogu kościoła św. Magdaleny. Rozległ się straszny trzask, tak że się za uszy chwycilem. — W pół minuty potem byłem na miejscu z najbliższym posterunkowym; na dnie jamy głębokiej na półtora do dwóch metrów coś się jeszcze dymiło, lecz naokoło żadnego znaku uszkodzenia nie było widać prócz tego, że jeden odłamek trafił w głowę św. Łukasza (kościół św. Magdaleny jest otoczony posągami apostołów) i całkiem ją zerwał. Znalazłem mego przyjaciela w otoczeniu kilkunastu osób słabych nerwów w piwnicy. Już blisko od tygodnia przesiadywał w niej całymi dniami. Poradziłem mu, żeby jeśli nie może tej zabawy wytrzymać, wyniósł się na prowincję, co też uczynił. Każdy człowiek ma w jakimś zakątku swego mózgu swoją komórkę odwagi i tchórzostwa. Ja sobie na Berty i Gothy (tak nazywano niemieckie aeroplany) wprost gwizdałem. A drżałem jak galareta przy nadejściu kolosalnych samochodów ciężarowych amerykańskich, które już zaczęły latać po warjaku po wszystkich głównych ulicach. Do końca miałem przekonanie, że jeden z nich musi mnie rozduścić, tak jak kiedyś p. Curie, męża naszej Skłodowskiej.

W końcu maja pod wieczór formalnie napadło na mój hotel Chatham półtora sta uciekinierów z okolic Epernay, stolicy wina szampańskiego. Okazało się, że na tamtym odcinku Bosze znowu przełamały front. Dlatego całe miasto bocznymi kolejami uciekło do Paryża. Naturalnie, że się wszyscy w tanich hotelach nie pomieścili; zacny nasz dyrektor p. Michaud wszystkich darmo rozlokował, co mu było łatwo, gdyż było nas już tylko dwóch lokatorów, i darmo nakarmił, co było trudniejsze. Jeszcze się nie rozmieścili, gdy zatrąbiła syrena i wszyscy schronili się do piwnic. Lecz Foch znowu dziurę zatkał — i to już ostatnią, a po kilku dniach mogli uciekinierzy powrócić do swoich siedzib.

W tymże miesiącu maju nawiedził kolonję polską smutek. Bronisław Piłsudski, o pięć lat starszy brat Józefa, organizatora legjonów galicyjskich, rzucił się z mostu de L'Alma do Sekwany i utonął. Skromny, łagodny, wykształcony, był ogólnie lubiany, korzystał przy Komitecie Narodowym z jakiejś synekury „po części naukowej“. Ostatniemi czasy wpadł w głęboką melancholję, zanudzał Władysława Zamoyskiego lub mnie pięć i więcej godzinnymi wizytami, zapominając, że nie jest u siebie. Mój służący wybawiał mnie tem, że koło wieczora wyciągał strój wieczorowy i głośno mnie ostrzegał, że się spóźnię na proszony obiad. — Wobec niezaprzeczonej choroby arcybiskupstwo pozwolilo, aby pogrzeb odbył się w kościele katedralnym.

Ś. p. Bronisław jako student uniwersytetu petersburskiego został przez nikczemną machinację ówczesnego dyrektora Departamentu policji p. N. Durnowo wciągnięty do jakiegoś te-

rorystycznego procesu. Odbył 15 lat katorgi na wyspie Sachalinie. Pocziwy Moskal, zawiadujący katorgą, wysyłał go na różne misje do północnych wysp japońskich i on został pierwszym na świecie znawcą języka i obyczajów zupełnie oddzielnego od rasy japońskiej plemienia Ainosów. — Dodam, że nieboszczyk często przypominał, że nie jest z pochodzenia Polakiem, lecz Żmudzinem i że właściwie nie nazywa się Piłsudskim, lecz „Ginetem“ ze starej rodziny pogańskich bojarów, a przydomek pochodzi od kiedyś będącego w rodzinie majątku Piłsudy na pograniczu Litwy i Kurlandji.

## Rozdział XII.

St. Briec. — Napaść akademika Fr. Masson. — Moja odpowiedź. — Porażki niemieckie. — Brak pieniędzy, wyjazd do Szwajcarii. — Przygody graniczne. — Memorjał p. Pichon w sprawie ewakuacji niemieckiej. — Lozanna w listopadzie 1918 r.

Zapanowały w mieście straszliwe upały, gorąco; kieszeń wysychała, bo już od listopadowego zamachu bolszewickiego z Petersburga nie otrzymywałem i od kraju byłem odcięty. Stawało się jasnym, że następuje początek końca i chciało mi się doczekać go we Francji. Chociaż w Paryżu życie było stosunkowo tanie, ale wiedziałem, że na prowincji jest za bezcen i że będę mógł tam zaoszczędzić najmniej tysiąc franków miesięcznie. Wybrałem miasto St. Briec w Bretanii, położone o cztery kilometry od morza, zatem z klimatem dość świeżym latem a umiarkowanym zimą. Miałem tam w pierwszym hotelu mieszkanie i pełne porządne utrzymanie dla siebie i mego służącego za 25 fr. dziennie.

Nazajutrz po moim przyjeździe 15 czerwca Niemcy zarysowali nowy atak w kierunku Paryża, i to już był ich śpiew łabędzi.

Miałem z Paryża listy rekomendacyjne do miejscowego biskupa, stosunkowo młodego i bardzo światłego kapłana, oraz do dyrektora gazety katolicko-konserwatywnej t. j. „Un Chouan”. W całej Bretanii, a także i w Vendei jeszcze nie zagasły wspomnienia o homerycznych walkach z czasów wielkiej rewolucji i Napoleona między stronnikami ołtarza i tronu, których wówczas nazywano „des Chouans”, oraz rewolucjonistami lub wiernymi Napoleonowi, którzy byli „des bleus”. W 1918 r. jeszcze prawicowcy byli wszyscy des Chouans, a lewicowcy des bleus. Dzięki tym dwom znajomościom, bogatej bibliotece miejskiej, w której zacny bibliotekarz (także un Chouan) pozwalał mi gospodarować jak u siebie i zabierać do domu, com chciał, a także dzięki długim spacerom po ślicznych okolicach. czas przechodził przyjemnie.

O dwadzieścia kilometrów od St. Bricue w miasteczku Quintin działała wówczas szkoła podoficerska dla formującego się wojska polskiego. Pewien kapitan ciężko ranny, ściągnięty z frontu jako instruktor, gdy przyjeżdżał do „stolicy“, zawsze przysiadł się w restauracji hotelowej do mego stołu; chętnie opowiadał o swoich uczniach, prawie wyłącznie Amerykanach-Polakach; uważał za ogólną ich cechę narodową bystrość i łatwość, z jaką przyswajali sobie początkowe pierwiastki niezbędných podoficerom wiadomości; lecz skoro doszli do pewnego, niezbyt wysokiego poziomu, odrazu wpadali w zarożumiałość i pewni, że reszty się jakoś domyślą, już dalej nie postępowali. — Kapitan dodawał: „Nas ta wojna nauczyła, że z trzech naszych francuskich szeregowców można wybrać jednego podoficera, z trzech podoficerów jednego oficera, a z trzech oficerów jednego generała. A z moich uczniów Polaków z dziesięciu szeregowców wybiorę siedmiu podoficerów, z dziesięciu podoficerów tylko jednego oficera, a na jednego generała, to już trzeba będzie dwudziestu oficerów.”

W samych ostatnich dniach czerwca otrzymałem z Paryża od panny Marji Mickiewiczówny list i numer gazety „Le Gaulois“ z 26 czerwca 1918. Prosiła mnie, bym po przeczytaniu zawartego w tym numerze antypolskiego artykułu p. Fryderyka Masson, znanego historyka, członka Akademji Francuskiej, zastrzył „moje dobre pióro z Toledy“ i dał mu odprawę, na co jestem niby wskazany; odpisałem, że mojem zdaniem wskazanym jest właśnie Komitet Narodowy, do którego panna Mickiewiczówna już należy, a którego członkowie oczywiście sami przez swój tryb życia wywołali tę zaiste wściekłą napaść. Lecz ta bierność, która u mnie i moich przyjaciół wywoływała szczególnie niesmak, stanowiła stały, obmyślony system już od założenia przez p. Erazma Piltza agencji prasowej w Lozannie, potem w Hotel St. James, lub przy Komitecie Narodowym: wszystkie choćby najbardziej obelżywe napaści znosić w milczeniu, nastawić drugi policzek i czekać wynagrodzenia za uległość.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Bywało lepiej: czynna pomoc naszym potwarzom. W gwiazdkowym numerze (koniec 1916 r.) „Polonji“ p. Gąsiorowskiego, już podporządkowanej pod Hotel St. James, pojawiła się bez żadnego skrócenia lub zastrzeżenia „współpraca“ znanego polakożercy historyka Chuquet. Ten jegomość, życząc sobie oczywiście „se payer la tête“ polskiego pisma, zamiast choć kilku wierszy własnego pióra, nadesłał obszerny wyciąg z tajnych raportów (zachowanych w archiwach francuskich) słynnego generała Dumouricz, naówczas agenta ministra Choiseul przy Konfederacji Barskiej. O tonie tego raportu dają pojęcie następne cytaty: „Quel chaos de vices! Pac... qui devait son élévation à cinq ou six lachetés... le prince Radziwiłł, une espèce de



Więcej o tem nie myślałem, gdy w trzy dni później otrzymałem od mego przyjaciela redaktora, który chwilowo przebywał na wsi, ten sam Numer „Le Gaulois“ i list, w którym ze swojej strony jako szczerzy przyjaciel Polski błagał mnie, abym dał p. Masson należną mu naukę za jego „frenetyczną napaść“. Tym razem wystąpienie tego cudzoziemca i jego bezinteresowne oburzenie nadały mojemu własnemu tak gwałtowny charakter, że dostałem silnego ataku. Musiałem sprowadzić lekarza, który zaraz zaopiniował jakieś mocne wstrząśnienie moralne. — Pomyślałem sobie, że najskuteczniejszym kataplazmem na złość jest to odwet. Leżąc wziąłem się do pióra i wydystylowałem dla p. Masson litr hiszpańskiego pieprzu (jak to nazwał mój Bretończyk). Pokazałem mu mój utwór, powiedział mi, że w obecnych warunkach cenzuralnych żadna gazeta go opublikować nie będzie mogła, a że byłaby szkoda go złagodzić do stopnia cenzuralnej lury, więc radził posłać go bezpośrednio samemu winowajcy, aby, jak się wyraził, zwrócić mu mój atak. Tak zrobiłem; aby być pewnym, że go otrzymał, posłałem własnoręczny tekst listu Władysławowi Zamoyskiemu z prośbą, by go kazał w kilkudziesięciu egzemplarzach odbić i by posłał autentyk panu akademikowi, a pewną liczbę kopij czterem francuskim przyjaciołom (pp. Etienne Lamy, de Nalèche, Ch. Dumont, hrabinie de Fitz-James), większą zaś liczbę rozmaitym naszym rodakom. — To zostało wykonane. List ten, który nigdy drukowanym nie był, podaję razem z artykułem p. Masson w załączeniach, albowiem on to wywołał ze strony hrabiego K. ten zbyt pochwalny list, który mnie zachęcił do napisania obecnych pamiętników...

Francuscy moi korespondenci wszyscy czterej odpowiedzieli. Kochana pani de Fitz-James w tonie entuzjastycznym, Charles Dumont z zastrzeżeniem co do mego szkicu historycznego, że nie wszystkie prawdy są na dobie i że on obecnie uznaje tylko takie, które pomagają zwycięstwu; Etienne Lamy, który swego kolegę niebardzo lubił, z ironiczną uwagą, że mu odkryłem, iż można być „ludożercą-gentlemanem“, a pocziwy E. de Nalèche z żalem, że mu nie dałem tego listu do ogłoszenia, bo głęboko oburzony na napaści p. Masson możeby trochę złagodził mój dla niejednego Francuza przykry szkic historyczny, lecz „sos Caboul“ wydrukowałby in extenso. Co się tyczy Polaków, to ich wrażenia były bardzo ujemne, lub bardzo

brute — Bohusz, éloquent mais fourbe, (tylko Zamoyski i Sapieha ulaskawieni jako głupcy) a wszyscy razem „ces Asiatiques de l'Europe.“

Ponieważ podpisałem się na cztery zgóry opłacone numery, a żadnego nie otrzymałem, napisałem do p. Gąsiorowskiego (19 stycznia 1917), że „upatruję w niedostarczeniu mi tego pisma pewnego rodzaju uznanie, za które szczerą mu wdzięczność wyrażam“.

• dodatkowo podług tego, czy kto korzystał z sypiącej się na Kleberze manny niebieskiej, czy nie.

15 i 18 lipca Niemcy otrzymali pod Chateau-Thierry od generała Mangin z udziałem dwóch świeżo przybyłych dywizji amerykańskich, a w Szampanji od generała Gouraud, pod którym dobrze walczyły pułki polskie, dwie formalne i już niepowetowane porażki. W Paryżu zamilkły odrazu i gruba Berta, bo Niemcy byli za daleko odrzuceni, i Gothasy, bo Francuzi już byli kompletnymi panami powietrza.

8 sierpnia — t. j. w dzień, który Ludendorff w swoich pamiętnikach oznacza jako feralny dzień upadku potęgi wojennej niemieckiej, kiedy dwie dywizje odmówiły posłuszeństwa, stało się już jasnym każdemu na zachodzie, że ostateczne zwycięstwo Aljantów jest tylko kwestją czasu. Wtedy to u mnie z pieniędzmi zaczynało być już kuso. Mając w Berlinie poważną sumę zebranych od 4 lat procentów od mego kapitału i spodziewając się, że przebywający w Warszawie mój siostrzeniec coś mi uratował z Petersburga, a mogąc jedno i drugie ściągnąć tylko do kraju neutralnego, postanowiłem udać się do Szwajcarii i koło 1 września powróciłem do Paryża.

Dzięki sumiennej do przesady podejrzliwości p. Clémenceau co do dalekiej nawet możliwości szpiegostwa, uprawianego głównie przez Szwajcarję, komunikacja z nią była prawie całkowicie przerwana. Wszystkie punkty dostępne do niej były absolutnie zaparte prócz jedynej stacji granicznej Bellegarde, prowadzącej do Genewy. Lecz i tu kursował w obie strony tylko jeden pociąg tygodniowo w dnie i o godzinach zgóry nieokreślonych, podług widzimisię miejscowego starszego komisarza, który o tem zawiadamiał różne władze paryskie tylko 12 godzin naprzód. Ponieważ od Paryża do Bellegarde było 9 godzin samej jazdy, faktycznie prywatny człowiek nie miał czasu w porę się wybrać, lecz musiał na szczęście jechać do Bellegarde i tam czekać. — Sam przyjazd do Bellegarde i pobyt w nim wymagały specjalnego pozwolenia.

Dowiedziawszy się o tem wszystkim i chcąc koniecznie mieć zapewniony powrót do Paryża przed zawarciem zawieszenia broni lub pokoju, gdyż wyobrażałem sobie, że inogę w kwestji Kresów być użytecznym, udałem się do znajomego mi osobście Ministra Spraw Zewnętrznych p. Pichon i tak słownie jak i w krótkim memorjale oświadczyłem mu, że będąc już w trudnem położeniu finansowem, zamierzam pojechać do Szwajcarii, aby stamtąd sprowadzić pieniądze z Berlina i z Warszawy, naturalnie także przez Berlin; że to mnie zmusi bezpośrednio, czy też pośrednio wejść w stosunki handlowo-pieniężne z nieprzyjacielem. O ilebym to zrobił potajemnie, naraziłbym

się względem rządu francuskiego na ciężką odpowiedzialność, a że chcę koniecznie być w Paryżu przy zakończeniu wojny w interesach mego kraju rodzinnego, proszę Pana ministra otwarcie mi powiedzieć, czy ma do mnie dostateczne zaufanie, żeby wierzyć, iż nie nadużyję danego mi pozwolenia, i w takim razie ułatwić mi wyjazd do Szwajcarii i zapewnić swobodny powrót do Paryża, skoro załatwię mój interes. Jeśli zaś do tego stopnia mi nie ufa, co znajduję bardzo naturalnem, to niech szczerze mi to wyrazi, a w takim razie pozostanę w Paryżu, bo mam w nim dostateczne stosunki i kredyt, żeby, choć byłoby mi bardzo przykro z niego korzystać, finansowo dotrwać do końca.

Pan Pichon pochwalił mnie za moją szczerość, powiedział, że ma do mnie kompletne zaufanie, że gwarantuje mi swobodny wyjazd do Szwajcarii i powrót z niej w każdej chwili, i jeszcze nazajutrz zatelefonował do mnie z zapytaniem, któremu z przedstawicieli francuskich w Szwajcarii ma mnie zarekomendować, aby mnie wziął pod swoją opiekę. Wskazałem na generalnego konsula w Lozannie. Z drugiej strony w towarzystwie jednego kolegi z „Journal des Débats“, osobiście mu znanego, udałem się do pana Labussière, dyrektora „generalnego bezpieczeństwa“ (Sureté Générale) na całą Francję. — Wyspowiadałem się przed nim jak przed p. Pichon, otrzymałem od niego przepustkę do Bellegarde i obietnicę wszelkiej pomocy.

Tak uzbrojony w różne protekcje pojechałem do Bellegarde przekonany, że będę spotkany co najmniej przez kilka dziewczynek w bieli z bukietami w ręku. Spotkał mnie po przekontrolowaniu nazwisk pasażerów i porównaniu ich z jakimś trzymanym w ręku repertorium pewien obrzydliwej powierzchowności szpicel, który mnie, mego służącego i wszystkie nasze rzeczy zaprowadził do jakiegoś lokalu, gdzie nie było ani jednego krzesła, i zaczął, nie tykając się jednak mojej osoby, trząść wszystkie moje rzeczy aż do roztwierania buteleczek z perfumami lub lekarstwami. Po dziesięciu minutach siadłem na stole, co skłoniło szpicla do przyniesienia mi krzesła. Dziwne; że żadnego z moich licznych papierów nie przeglądał i nie zatrzymał — lecz w pudełeczku od biżuterji znalazł pozostałe tam i zapomniane od przyjazdu z Anglii w 1915 roku cztery i pół funta szterlingów w złocie: Cap — i protokół, bo wywóz złota z Francji był srogo wzbroniony pod karą i konfiskaty i sześciu miesięcy więzienia. Nadaremno mu tłómaczyłem, że ponieważ mam siedzieć w Bellegarde na terytorjum francuskim jeszcze 6 dni, to o przestępstwie wywożenia złota będzie można mówić dopiero za sześć dni, a tymczasem mam i czas i prawo moje funty zamienić na francuskie lub szwajcarskie banknoty w tymże Bellegardzie. Puszczono mnie na swobodę, więc zgłodniały jak dwa psy zainstalowałem się w jedynym porządnym hotelu.

Tam pewien poważny Francuz, towarzysz mój wagonowy, zaraz mi powiedział: „Bądź pan pewny, że tu była postana z Paryża denuncjacja i to niezawodnie nie od ogólnej Policji Państwowej (Sureté Générale), lecz od specjalnej przez p. Clemenceau stworzonej i od tamtej niezależnej policji politycznej (Sureté de l'Etat, dyrektor p. Meringer)“. Przed wieczorem zjawił się mocno zażenowany ober-szpicel i zaproponował mi podpisanie gotowej formuły transakcji, na mocy której ja wyrzekałem się praw moich do czterech i pół funcików a policja swego prawa do akcji sądowej karnej. Jako stary prawnik od razu zgadłem, że idzie o skanalizowanie mego złota z kasy państwowej do szpiclowskich kieszonek. Chociaż miałem pełne prawo odmówić i moją mamonę odzyskać, podpisałem, bo się bałem, że tymczasem szpicle mnie prewencyjnie zasadzą do ciupy, gdzie zanim mnie prokurator wypuści, przy dotkliwym chłódzie (Bellegarde leży na 600 m wysokości, a nigdzie jeszcze nie opalano) rozchoruję się i może jednocześnie rozstać się z funcikami i z życiem. Gdy w 5 czy 6 dni później, wyjeżdżając już do Genewy, otrzymałem napowrót moje papiery, oświadczono mi, że powrót do Francji jest mi wzbroniony, a kiedy się zjawię, będę zawrócony (refoulé); starszy komisarz, który dopiero powrócił z urlopu, bardzo grzeczny, powiedział mi, że taki rozkaz otrzymał już od kilku miesięcy na wypadek, gdyby się zjawił w Bellegarde.

Ledwie przyjechał do Lozanny, natychmiast zająłem się już nie moim interesem, lecz moimi interesami, bo ich w Bellegarde przybyło dwa, a mianowicie: Primo ściągnięcie z Berlina i z Warszawy pieniędzy, secundo otrzymanie prawa swobodnego powrotu do Francji, tertio przeprowadzenie ścisłego śledztwa co do tego, komu z paryskich rodaczków (bo od razu zgadłem, że wszystko tylko od nich może pochodzić) mam do zawdzięczenia przyjemności w Bellegarde. We wszystkim rachowałem na pomoc przebywającego wówczas w Lozannie p. Jana Horodyskiego, który jako agent polityczny angielski ciągle przejeżdżał granicę w obie strony ze wszystkimi wygodami.

Wszystkie trzy interesa (aby do nich już nie powrócić) zostały załatwione w sposób następujący. P. Horodyski powołał mnie do Monsignore Kazimierza Skirmunta, dobrze mi znanego jeszcze z Rzymu, który jako poddany austriacki przesiadywał w słynnym klasztorze Einsiedeln. Ten mi obiecał wszystko załatwić przez swego przyjaciela, gorliwego katolika, słynnego Erzbergera (później został zamordowany jako główny winowajca zawieszenia broni 11 listopada), lecz naówczas bodaj najwpływowszego człowieka w Niemczech. Skirmunt pisał, Erzberger odpisywał, obiecywał, lecz miał co innego na głowie, przechodził czas, aż dopiero w grudniu wyszukałem w samej Lozannie bankiera

p. Dubois, zesłosunkowanego z Berlinem, który mi moje osiemdziesiąt kilka tysięcy marek sprowadził w ciągu tygodnia. Tylko dzięki spadkowi marki niemieckiej po zawieszeniu broni, straciłem na kursie całych 20.000 franków szwajcarskich; pieniądze z Warszawy już mnie oczekiwały w Bernie w agencji Rady Regencyjnej Warszawskiej. To też na pewien czas skrzydła mi odrosły.

Co do drugiego interesu napisałem o całej przygodzie w Bellegarde do p. Charles Dunont, dobrego przyjaciela ministra p. Pichon, i list wręczyłem p. Horodyskiemu. Ten go przyjął, nie nic powiedział, obiecał doręczyć, lecz powróciwszy znowu do Lozanny po 6 tygodniach wręczył mi zpowrotem mój list nietknięty.... „bo był zaklejony“! Przypomniat mi się legendarny Anglik, który w wilję ślubu wynógł, żeby mu pozwolili przez dziurkę od klucza obejrzyć swoją narzeczoną „in naturalibus“, i zerwał, bo się przekonał,... że ma za długie nos.

Musiałem znowu przez jakiegoś francuskiego księdza napisać tym razem do p. de Naléche; ten polecił do Ministra, który się strasznie oburzył, mówiąc, że mam wszelkie prawo posadzić go o perfidję, i natychmiast przez konsulat francuski w Lozannie zapewnił mnie oficjalnie, że granica francuska jest dla mnie otwarta, kiedy i jak zechcę. Ale już był początek stycznia — zawieszenie broni podpisane od dwóch miesięcy, a Wilno zajęte przez Bolszewików od tygodnia.

Co do trzeciego punktu, to dzięki dwom przyjaciołom „wywiadowcom“, zesłosunkowanym z Komitetem Narodowym, przekonałem się, że były dane na mnie właśnie do policji politycznej p. Meringer, a nie do starej Sureté Générale lub Ministerstwa Spraw Zewnętrznych, w których cieszyłem się najlepszą marką, aż dwie denuncjacje. Jedna pochodząca od misji wojskowej polskiej na Rue de Chanalcilles, druga osobiście od p. Erazma Piltza, który stworzył listę rozmaitych Polaków, nie zasługujących na zaufanie.

Przez to upadły moje pierwotne podejrzenia, że mi się odplacił p. Fryderyk Masson. — Francuzi nie są pozbawieni mściwości, lecz walczą z odkrytą przyłbicą. Skryta, choć przykryta nprzejmym uśmiechem denuncjacja jest to od XVIII wieku nasz wyrób krajowy. Szymon Askenazy, wielki szperacz archiwów, jest na ten temat niewyczerpany.

Znalazłem w Lozannie wszystkich znajomych z 1915 r., a do nich przybyli zamieszkali w sąsiednim z moim hotelu Savoy księstwo Władysławowie Lubomirscy (z linji Kruszyńskiej); księżna, córka barona de Vaux z francuskiej rodziny, osiadłej w Wiedniu podczas wielkiej rewolucji, i Lanckorońskiej. Prędko z nimi zawiązałem najbardziej przyjazne stosunki, a że w Sa-

voy także mieszkała hrabina Szapary, której brat Józef Przecież codzień tam przychodził, przepędzałem tam większość moich wieczorów nie bez rozszerzenia źródeł moich informacji, bo w Savoy wogóle panowała „orientacja“ austriacka. W tych to czasach na Bałkanach generał Franchet d'Esperey olbrzymimi krokami posuwał się na północ, Bułgarię zdala się na łaskę lub niełaskę zwycięzców, i upadek Austrii a zatem i Niemiec był tylko kwestją niedalekiego czasu.

Przy tej okazji przypominam sobie, że w przeddzień wyjazdu z Paryża spotkałem się na Bulwarze z już wspomnianym wice-prezesem Crédit Lyonnais p. Fabre-Luce. Dzień był słoneczny, zaczęliśmy się przechadzać tam i z powrotem i rezonować. Przewidując absolutne zniszczenie habsburskiej monarchii, powiedziałem: „Ja w tem widzę...“, a p. Fabre-Luce przerwał i dokończył „un crime contre la France.“ Miał rację. Już od czasów Fryderyka II i Marii-Teresy zasadniczy antagonizm prusko-austriacki stanowił artykuł wiary polityki europejskiej i podstawę jej równowagi. — Dla czego Prusy „puściły kantem“ Austrię w 1795 r. (traktat w Bazylei), w 1805 przed Austerlitzem, w 1859 (wojna austro-francuska) i osłabioną w 1866 r. rozgromiły? — Jeśli pomimo to w 1873 r. Austro-Węgry oddały się w lennictwo niemieckie, to wyłącznie, jedynie ze strachu przed rosyjskim olbrzymem. Jesienią 1918 r. ten olbrzym już był na całe pokolenia obezwładniony, niebawem miał być od Austro-Węgier rozdzielony niepodległą Polską, i państwo Habsburgów siłą rzeczy automatycznie musiałoby wstąpić, w przewidywaniu nieuniknionego za jakie 20-30 lat odwetu niemieckiego, do zachodniego bloku przeciwniemieckiego. Więc poco było temu blokowi zachodniemu, zamiast tylko okroić zwyciężone państwo na korzyść sprzymierzonych Włoch, Jugosławii i Rumunii, do szczytu zniszczyć trialistyczne Austro-Węgierskie-Czeskie Państwo? Albowiem Czechom, które i przed klęską pod Białą Górą na początku XVII stulecia wiekami stanowiły część św. Cesarstwa Rzymskiego, wznowienie korony św. Wacława obok korony św. Stefana aż nadto by wystarczyło.<sup>1</sup>

Że ta „zbrodnia względem Francji“, a raczej przeciw cywilizowanej Europie została popełniona, to rozumiem i wiem dla-

<sup>1</sup> Dziś już liczni Francuzi podzielają ówczesne zdanie p. Fabre-Luce i potępiają zjadłość starego tygrysa Clémenceau. W lutym 1926 przy przyjęciu do Akademii Francuskiej p. Picard jako następcy ś. p. de Freycinet, prawej ręki Gambetty podczas wojny 1870-1871 r. a potem kilkakrotnie premiera, przyjmujący nowego nieśmiertelnego Marcel Prévost opowiadał, że w 1917 r. Freycinet, podczas niedoszłych do skutku pertraktacji z cesarzem Karolem, jego szwagrowi księciu Sixte de Bourbon oświadczył, że podług jego przekonania utrzymanie — przy pewnych poświęceniach — Państwa Austro-Węgierskiego stanowi warunek przyszłego bezpieczeństwa Francji.

czego. Albowiem już dawno doświadczenie mi nie nauczyło, że wielkie zagadnienia polityczne rozstrzygają się nie z punktu widzenia państw, narodów lub krajów, które są „opercowanymi”, lecz z punktu widzenia „operatorów”, jakimi są chwilowi kierownicy tych państw i narodów, dalej że ci operatorowie jak wszyscy ludzie może myślą pod wpływem swego rozumowania, lecz działają tylko pod wpływem swoich uczuć, sympatii, nienawiści, chciwości i t. d.

Kim byli w końcu 1918 r. operatorowie nad decydującymi Francją, Anglią, Stanami Zjednoczonymi, Włochami? Stary Wendejczyk z rodziny „bleus”, radykał, pół-komunarda w 1871 r., antyklerykał Clémenceau; syn walijskiego chłopca, pogromca Izby lordów, niby purytanin Lloyd George; doktryner ustroju republikańskiego i „samo-określenia”, osobisty wróg zasady monarchistycznej, presbyterjanin, Woodrow Wilson; lewicowiec, wolnomularz Orlando i jego minister spraw zewnętrznych półżyda Sonnino. Dla tych wszystkich operatorów prastara dynastia Habsburgów z jej etykietalnym dworem, otaczającą go dumną, bogatą, elegancką arystokracją, tradycjami katolickimi, była daleko więcej wstrętna niżli wulgarne i ociężałe (nawet gdy pochodzą od Nibelungów) protestanckie lub bezwyznaniowe Bosze, szczególnie po usunięciu Wilhelma II i mniejszych dynastji.

Dlatego to zaciętość względem państwa austriackiego, doprowadzona do całkowitego skreślenia go z mapy europejskiej, w porównaniu z pobłażliwością okazaną dla jeszcze ciaśniejszej jedności Rzeszy Niemieckiej, dla przyszłego pokoju Europy, o wiele niebezpieczniejszej, ta zaciętość, aczkolwiek apolityczna z punktu widzenia interesów Państw Koalicyjnych, operowanych, daje się doskonale zrozumieć z punktu widzenia ich ówczesnych operatorów.

Lecz czego absolutnie nie mogę zrozumieć, to tego, że tę samą zaciętość, tę chęć całkowitego zniszczenia Państwa Austriackiego podzielała — jak się obecnie tem chwali — wówczas kierująca „polityką polską” partja Narodowo-demokratyczna. Interesu w tem operowanej Polski dopatrzeć się nie mogę. Koło roku 1950, kiedy Niemcy, nie mając już ani jednego wojskowego rocznika, któryby przeżył okropności przeszłej wojny (a będąc zawsze najbardziej mięsożernym narodem na świecie), powiększone o ośm milionów Austriaków, zaczęły na ten raz kolejno gryźć swoich roślinożernych sąsiadów, a niema bardziej roślinożernego narodu jak polski, położenie Polski będzie to samo co Francji: zamiast mieć za sobą Państwo Austro-Węgierskie, wśród którego Madziarowie stanowiliby element szczególnie bitny, Polska znajdzie Niemcy jeszcze bardziej wzmocnione o osiem milionów Austriaków.

I nie widzę także interesu endecji jako „operatorki”. W 1918 r. była ona narodową w rzeczywistości, demokratyczną tylko słownie, i nie ulegała lichym uczuciom, które kierowały, prowadzając kongresu. Jej austrofobia mogła mieć swoje źródło tylko w starej nienawiści do „partii krakowskiej”. Ponieważ pewność wcielenia Galicji do niepodległej Polski dawała ręką mię rozerwania węzłów między Krakowem a Wiedniem, zatem austrofobia przybierała formę już nie walki partyjnej, lecz zemsty. Zły doradca w polityce. W 1918 r. „przestępstwo przeciw Francji” stanowiło jednocześnie przestępstwo przeciw Polsce. — Niestety „gnębienie” przeciwników, aktualnych i przeszłych, stanowiło zawsze główne zadanie tej partii.

Koło 10 października prasa francuska a za nią frankofilska szwajcarska zaczęły jakby na komendę, w przewidywaniu niedalekiej kapitulacji niemieckiej, przypominać sławny dekret konwentu rewolucyjnego francuskiego, głoszący, że się nie pertraktuje z nieprzyjacielem na terytorjum własnem, i żądać jako przedwstępnego warunku do wszelkiego zawieszenia broni ewakuacji przez Niemców zajętych od 1914 roku obszarów obcych; błysnęło w mojej głowie: to bardzo dobrze na zachodzie, lecz u nas na wschodzie? Wśląd za Niemcem wstąpi Bolszewik. Postanowiłem zredagować o tem memorjał i posłać go do p. ministra Pichon.

Moja obawa do tego stopnia odpowiadała chwili, że gdy kończyłem dyktować mój memorjał, z rana odwiedził mnie p. Władysław Skrzyński i powtarzając moją własną myśl, prosił, abym się zwrócił do p. Pichon. Dałem mu memorjał do przeczytania; był z niego zadowolony. — A tegoż dnia po śniadaniu wpadł z sąsiedniego Montreux Ksawery Orłowski z taką samą propozycją. Odpowiedź moja była: „Czytaj”. — Ale z nim rozważywszy kwestję na prawo i na lewo, doszliśmy do przekonania, że dzięki bardzo powierzchownym znajomościom na Quai d'Orsay warunków wschodnich, niezbędnem jest, żeby ktoś cieszący się tam zaufaniem wskazał, aż do drobnych szczegółów włącznie, drogi praktycznego urzeczywistnienia. Ponieważ byłem z Komitetem Narodowym na bakier, postanowiliśmy, że Orłowski ze swojej strony zwróci się do tegoż Komitetu w osobie swego przyjaciela p. Maurycego Zamoyskiego. Oba pisma, moje obszerniejsze, Orłowskiego krótsze, wyszły 14 października, moje przez kurjera generalnego Konsulatu Francuskiego, Orłowskiego, o ile pamiętam, przez jadącego do Paryża znajomego. Oba doszły do swoich adresatów.

Tekstu tego memorjału, dość obszernego (siedem stronnic maszynowych), podawać nie warto, bo pomimo dobrej woli Rządów Ententy, lecz dzięki złej polskiego przedstawicielstwa,



absolutnie żadnego rezultatu nie dał, w niczem nie odwrócił tego morza cierpień i zniszczeń, które tak wspaniale opisuje pani Kossak-Szczucka w swojej „Pożodze“.

W streszczeniu każdy się domyśli motywowania, a co do postulatów, to były one po pierwsze, żeby owszem przy zawieszeniu broni Niemcy byli obowiązani nie ewakuować terytoriów byłego cesarstwa rosyjskiego inaczej, jak stosownie do wskazówek Ententy, dopóki te kraje nie zorganizowałyby sobie pod kontrolą tejże Ententy prowizorycznych kadr administracji cywilnej i siły zbrojnej, a po drugie, żeby zaraz po zawieszeniu broni już niepotrzebna na froncie zachodnim armja polska (licząca wówczas już kilkadziesiąt tysięcy ludzi) była odprawiona przez Gdańsk, Libawę i Odessę w towarzystwie małych oddziałów wojsk sprzymierzonych „dla respektu“ — celem obsadzenia granicy bolszewickiej i stopniowego zastąpienia cofających się sił niemieckich. — Dla zaszachowania szczupłych wówczas hord bolszewickich ta armja Hallerowska, wzmocniona resztkami armji Dowbór-Muśnickiego, aż nadto by wystarczyła.

Wysyłając ten memorjał do p. Pichon przez konsulat, jednocześnie prosiłem p. de Nalèche, aby dopilnował, żeby moja praca nie zatęchła w koszu. Po kilku dniach otrzymałem odpowiedź, że gdy Nalèche odwiedził p. Pichon, ten już memorjał mój otrzymał, przeczytał i oświadczył, że uważa postawioną przeze mnie kwestję za bardzo poważną i że niezawodnie będzie uwzględniona przy zawieszeniu broni. Rzeczywiście w tekście rozejmu 11 listopada figuruje artykuł 12-sty, którym Niemcy obowiązują się ewakuować wszystkie terytoria okupowane na zachodzie natychmiast, a terytoria zajęte kosztem byłego cesarstwa rosyjskiego „wedle wskazówek Aljantów z uwzględnieniem (comple tenu) warunków, w których te kraje się znajdują.“ Prócz tego art. 16 gwarantował Aljantom swobodny dostęp do Kongresówki przez Gdańsk i Wisłę.

Te artykuły zostały martwą literą z braku wskazania Aljantom praktycznych środków ich wykonania. Ksawery Orłowski, który mi obiecał, że dopilnuje skutku ze swojej strony wysłanej notatki do Komitetu Narodowego, powróciwszy rychło do Paryża, uwiadomił mnie, że niczego się nie dobił i jego utwór poszedł „pod sukno“. Dlaczego? Może dlatego, że w danej chwili p. Roman Dmowski jeszcze bawił w Ameryce, a faktycznie zastępował go p. Erazm Piltz, już upatrzony jako drugi przedstawiciel Polski na Kongresie i główny pośrednik między Komitetem a Quai d'Orsay, — p. Piltz naturalnie postąpił... po swojemu.

To też nie bez pewnego zdziwienia wyczytałem w książce p. Dmowskiego o Odbudowie Polski na str. 400, że myśl kierownicza mojego i Orłowskiego memorjałów stanęła mu przed

oczami po przeczytaniu tekstu rozejmu, t. j. nie wcześniej niż 7 listopada, i że on otrzymał od amerykańskiego sekretarza stanu p. Lansing'a cytowany wyżej dodatek (obiecany mi przez p. Pichon przeszło dwa tygodnie wcześniej); a dalej, że mu odmówiono wysłania wojska polskiego celem wstrzymania bolszewickiej nawały.

W takim razie powstaje dla mnie szereg zagadek: *Primo*, dlaczego Komitet Narodowy, który wszak mógł telegraficznie łatwo się skomunikować ze swoim prezesem, nie rozpoczął dla urzeczywistnienia tego dodatkowego artykułu? *Secundo*, dlaczego uporczywie krążyło po Paryżu i nawet po Szwajcarii twierdzenie tegoż prezesa, że „powróci do Warszawy tylko na czele bagnatów” — a w samym wojsku głośnie skargi, że „chcemy być wojskiem polskim, a nie gwardją pretoriańską Komitetu?” *Tertio*, dlaczego jeszcze 25 lutego 1919 pół-oficjalna gazeta „Le Temps” twierdziła, że nie wysłano wojska polskiego do Polski, bo „nie chciało się pomagać rządowi polskiemu w Warszawie, dopóki się nie pogodzi z rządem polskim na Avenue Kleber?”

Wkońcu gruchnęły jedne po drugich zwycięstwa Włochów 28 października pod Vittorio-Veneto, a raczej przemarsz triumfalny za całkiem już rozprzęgniętem i uciekającym wojskiem austriackim, abdykacja i ucieczka cesarza austriackiego Karola I, rozpadnięcie się wojska niemieckiego, desperackie prośby ks. Maksa Badeńskiego u Wilsona o zawieszenie broni, abdykacja i ucieczka Wilhelma II, wreszcie podpisanie zawieszenia broni 11 listopada 1919 roku, a jednocześnie wybuch rewolucji w Berlinie, w Monachjum, Wiedniu i Budapeszcie.

Lozanna napełniła się uciekinierami z Państw Centralnych, należącymi głównie do „degeneratów”, jak dziś mówią „nowi Panowie”. Do hotelu Savoy schroniła się stara księżna ordynatowa Metternich (ze słynnego Johannisbergu), bratowa byłego ambasadora w Paryżu za Napoleona III i wszechświatowej sławy księżny Pauliny, bliska przyjaciółka księstwa Lubomirskich; wszystkie wieczory z nimi spędzała. Był to typ. (Umarła niedawno w 87 roku życia). Ta pani dawała żywy obraz tego, czem musiała być Markiza de Maintenon, gdy ją odwiedzał Piotr Wielki. Prosta jak świeca, do obiadu zawsze wygorsowana i pokryta miljonowej wartości biżuterją. każdy jej ruch, każde spojrzenie, kiwnięcie głową było obrządkiem. Mówiła po francusku w stylu La Bruyèra i La Rochefoucauld'a. Księżna Lubomirska chyba musiała mnie jej zarekomendować jako „rabina”, bo raz wzięła mnie na stronę i zapytała, co myślę o tej „ohydnej” rewolucji niemieckiej i co przewiduję? Odpowiedziałem: „Mości Księżno, nie mogę powiedzieć, ile tygodni

lub miesięcy potrwać obecne rozruchy w Berlinie, lecz znając dość dobrze naród niemiecki, rzeczownik „anarchja“ i przymiotnik „niemiecka“ jakoś się dla mnie nie wiążą. Sądzę, że Księżna się prędko doczeka „einer kaiserlich-königlichen Republik.“ Dziś, przy panowaniu z Bożej łaski Hindenburga, bodaj że się nie omyliłem.

Do tej paczki w Savoy przyłączali się często to Władysław Skrzyński, przez całą wojnę (jak twierdzi hr. Czermin) czynny, w Szwajcarii urzędnik wiedeńskiego Ballplatz, baron de Vaux, brat księżnej Lubomirskiej i poseł austriacki w Bernie, czasem któryś z braci zdetronizowanego króla greckiego Konstantego, pod koniec i hrabia Berchtold, znany mi jeszcze z czasów jego ambasadorstwa w Petersburgu. Dzięki temu z głową nabitą poglądami, wiadomościami, plotkami i legendami aljanckimi miałem sposobność dokompletować je ze źródeł przeciwnego obozu. — Otóż w tych wiedeńskich wysoko „degenerackich“ kołach trzymała się twardo jak kamień następna legenda, że jeśli od 1908 do 1914 roku Berlin tak systematycznie szukał pretekstu do wojny prewencyjnej, to dlatego, aby uprzedzić oczekującą go napaść „serdecznej Ententy“ t. j. Rosji, Francji i Anglii. Podług tej legendy król Edward VII, rzeczywisty twórca tego trójprzymierza, gdy w roku 1908 odwiedzał w Iszlu cesarza Franciszka Józefa, pod wrażeniem serdeczności przyjęcia starał się go oderwać od przymierza z Niemcami: w tym celu uprzedził go, że w 1916 r., gdy Rosja poprawi się po klęskach w Mandżurji, a jemu się uda zaprowadzić w swoim państwie obowiązkową służbę wojskową, Ententa rozprawi się z coraz groźniejszym wzrostem we wszystkich kierunkach potęgi niemieckiej. Stary Franciszek Józef wymknął się od zobowiązania... i uprzedził swego berlińskiego Nibelunga. — Przyznam się, że i wówczas (i dzisiaj) ta legenda wydawała mi się mało prawdopodobną. Niema wątpliwości, że odpowiada politycznej sytuacji 1908 r., odkąd rzeczywście rozpoczęły się gorączkowe przygotowania niemieckie, szczególnie na morzu. — Ale czy mógł taki nieczrównany polityk, jakim był Edward VII, zapomnieć, że cała polityka austriacka od czasu wojny Krymskiej, a szczególnie Tureckiej 1877-8 była wyłącznie kierowana obawą przed bałkańsko-pansławistycznymi zakusami Rosji i wiarą, że przymierze niemieckie stanowiło dla Austrii jedyną deskę ratunkową? — Dlatego tylko „relata refero“.

W końcu roku 1918 Polski Komitet prasowy lozański przynajmniej co do personelu, jeśli nie co do czynności, bardzo się rozrósł. Czynność jego polegała właściwie tylko na codziennem wydawaniu autografowanego listu, zawierającego rozmaite mające związek z kwestją polską wiadomości i rozsyłanego do gazet szwajcarskich. Była to robota dla jednego urzędnika

i jednej daktylografki, a kręciło się koło tej roboty do 20 rozmaitych Polaków, pojedynczo bardzo skromnie płatnych, jednakże dostatecznie, by przeżyć; można było w owym czasie w Lozannie mieć całkowite znośne utrzymanie za 6 fr. szwajcarskich dziennie. Naturalnie ta cała grupa opiewała chwały karmiącego ją Komitetu Narodowego paryskiego. Kto zaś do niej nie należał, był na ten Komitet wprost wściekły. Do najwścieklejszych należeli generał du Moriez i Aleksander Mańkowski; ostatni odwiedzał mnie codziennie, głównie wygadywał na Komitet, obiecywał, że o jego czynach powstanie, jak mówił, „cała literatura“; nie powstała, chybaży za taką uważać kilka „Uwag” prof. Askenazego, daleko później wydaną broszurę p. Jana Tarnowskiego „O naszym przedstawicielstwie w Petersburgu i na Zachodzie“ i 30 stronnic w mojej książce, do której zaraz przejdę.

W ciągu listopada dwa razy przyjeżdżał do mnie z Fryburga p. Jan Żółtowski, o którego gorliwej, użytecznej i bezinteresownej pracy propagandowej już mówiłem... Wybierał się do Paryża jako kooptowany członek Komitetu Narodowego i chciał ode mnie otrzymać zezwolenie na nowe wydanie mojej już wspomnianej pracy „Les éléments de la question lithuanienne“... Nic przeciw temu nie miałem, o ileby nowe wydanie było dosłownym przedrukiem pierwszego. Ale p. Żółtowski, naówczas gorący zwolennik p. R. Dmowskiego, żądał, abym pozwolił mu wyrzucić półtorej stronnicy, w której przypominałem głośną kampanję tego męża stanu między 1908 rokiem i wojną, kiedy to twierdził, że Polska Jagiellońska niestuszenie kierowała swoją ekspansję na wschód a nie na zachód, i właściwie wyrzekał się w jej imieniu „obcoplemiennych“ Kresów; zaznaczałem również sprzeczność między stanowiskiem zajętem przez Komitet Narodowy petrogradzki i Komitet Obywatelski tamże względem Rady Regencyjnej warszawskiej, której oddawali hołd uznania, a stanowiskiem zajętem przez Komitet Narodowy paryski, który starał się tęże Radę Regencyjną dyskredytować. Nie zgodziłem się na taką kastrację mojej pracy, bo uważam historję nie za środek polemiczny, lecz za naukę i to naukę podstawową dla innych, dla której fakty dokonane powinny zostać faktami do końca wieków. Na tym punkcie rozeszliśmy się z szanownym Janem Żółtowskim.

### Rozdział XIII.

Zarodek książki o Europejskim Wschodzie. — Eks-regent Z. Lubomirski. — Powrót do Paryża. — Z Kongresu Pokojowego. — Litwomani. — Losy książki. — Wpływy żydowskie.

Jeszcze w Paryżu po powrocie z Bretanii mój przyjaciel E. Lamy w przewidywaniu bliskiego końca wojny i Kongresu Pokojowego zaczął mnie wprost „piłować“, abym napisał książkę poświęconą zagadnieniu przyszłości Europejskiego Wschodu, a specjalnie wszystkich odłamów byłego imperjum rosyjskiego. Jak wobec mnie twierdził, był w tym względzie organem życzeń p. Louis Barthou, kilkakrotnie ministra lub premjera i swego kolegi w Akademji Francuskiej. Podobno p. Barthou, który mnie osobiście nie znał, lecz czytał większość moich prac, miał kłaść nacisk na to, że choć nie braknie Polaków lub Rosjan, którzyby tę kwestję, dla Francuzów bardzo mało znaną, posiadali nie gorzej ode mnie, ale nikt tak jak ja nie potrafi jej wyjaśnić w dostępny i dla francuskiego czytelnika przekonywujący sposób. To też prawie wszystkie nasze rozmowy i listy E. Lamy kończyły się zapytaniem „A quand ce livre?“ Nie mając co robić, i przez cały miesiąc zaparły w mieszkaniu wskutek grypy, która wówczas straszliwie grasowała w Szwajcarii, siadłem do roboty.

Tytuł książki był: *Que faire de l'Est-Européen* (Co począć ze Wschodem Europejskim)?

A plan jej był następujący: Rosja i Bolszewizm — ich charakterystyka. — Niezdolność rosyjskiego narodu do reorganizacji własnymi siłami. Konieczność interwencji Państw Zachodnich jako jedyny sposób zapobieżenia opanowaniu w bliższej lub oddalonej przyszłości Rosji przez naród niemiecki. — Konieczność we własnym interesie rosyjskiego narodu odseparowania od Rosji narodów siłą przez nią podbitych, a mianowicie Polski, Litwy, Białej Rusi, krajów nadbałtyckich, Finlandji i Kaukazu. — Nierealny charakter „Państwa“ ukraińskiego.

W części poświęconej kwestji polskiej i jej przyszłości, miałem pierwotnie zamiar wspomnieć dość krótko o Komitecie Narodowym paryskim i, nie zważając na doznane prześladowania osobiste, raczej wstrzemięźliwie. Zmieniły mój zamiar następne okoliczności. Przede wszystkim zajęcie Wilna przez Bolszewików, które przypisywałem i jeszcze przypisuję inercji Komitetu Narodowego, niewykorzystaniu przczeń wyżej wspomnianego artykułu rozejmu 11 listopada i będącej w jego rozporządzeniu naówczas już wcale poważnej armji Hallera.<sup>1</sup> Jednocześnie napaść bolszewicko-ukraińska na Lwów, rozpaczliwe walki ludności miejscowej i związany z temi walkami następny smutny incydent. Odwiedził mnie w towarzystwie swego kuzyna Władysława książę Andrzej Lubomirski z Przeworska. Powiedział mi, że znajduje się w Szwajcarii tylko przejazdem, aby wystarać się o wówczas jeszcze wcale niełatwe do otrzymania prawo przyjazdu do Paryża, gdzie z polecenia swoich rodaków chce wymodlić tak od Komitetu Narodowego jak i od Ententy jak najrychlejszą pomoc zbrojną dla Lwowa. Sprawa otrzymania paszportu szła dosyć trudno, bo wiadano, że podczas wojny książę Andrzej wystąpił w Izbie Panów wiedeńskiej z głośną mową mocno zabarwioną austro-filstwem. Wreszcie dostał paszport, miał się już puścić w drogę, gdy w ostatniej chwili otrzymał od ambasadora francuskiego w Bernie p. Dulasta co do formy bardzo grzeczne ale nicmniej stanowcze uprzedzenie, aby się wstrzymał, bo przez granicę francuską nie będzie przepuszczony z powodu cofnięcia wizy, przez ambasadę, która otrzymała od Komitetu Narodowego w Paryżu depeszę głoszącą, „że Komitet Narodowy nie może księcia Andrzeja Lubomirskiego przyjąć na swoją odpowiedzialność.“ Książę musiał jeszcze przeszło miesiąc siedzieć w Bernie; gdy wkońcu dzięki nalcganiom króla belgijskiego, na którego dworze księżna de Ligne, bliska krewna księcia Andrzeja, zajmowała godność wielkiej ochmistrzyni dworu, otrzymał swobodny przejazd do Paryża, Lwów już był oswobodzony. Jeśli dodać do tego, że Padcewski już był wyruszył do Warszawy, gdzie niebawem objął premjerostwo i tekę Ministra Spraw Zewnętrznych, a nicmniej francuski Minister Spraw Zewnętrznych p. Pichon uroczyście z mównicy Izby Deputowanych 29 grudnia głosił, że rządy aljanckie uważają Komitet Narodowy za „regularny rząd polski“, wskutek czego Polska niby miała dwa rządy, jeden w kraju a jeden w Paryżu, to

<sup>1</sup> Tłómaczenia, jakoby Ententa nie zgodziła się na przesłanie do Polski armji hallerowskiej lub jej części, mnie nie przekonywują, albowiem właśnie w tym samym czasie mała armja czeska, która także walczyła na froncie francuskim, została przetransportowana do jeszcze formującej się Czecho-Słowacji i natychmiast nam pod nosem zajęła Śląsk Cieszyński.

można zrozumieć, że mój pierwotny zamiar się zmienił i że w przekonaniu, iż Komitet Narodowy może być nadal dla naszej sprawy, szczególnie z punktu widzenia Wilczyńskiego, raczej szkodliwy niż użyteczny, poświęciłem mu w mojej książce ustęp dłuższy.

W tym rozdziale po przeglądzie różnych komitetów niby narodowych, stworzonych od początku wojny w Krakowie, w Warszawie, a potem w Petrogradzie, w Moskwie, Ameryce (tam aż dwa) opisałem powstanie Komitetu Narodowego tak, jak je już opowiedziałem wyżej. Badając przyczyny rzeczywistości rażącej niepopularności tej instytucji we wszystkich środowiskach polskich prócz tego, które później — dzięki subwencji — sam sobie stworzył, przypisywałem to z jednej strony jego wyraźnie rosyjskiemu pochodzeniu, z drugiej zbyt wąskiemu jego programowi, wkońcu osobistościom, stojącym na jego czele.

O p. Maurycym Zamoyskim mówiłem tylko tyle, że „temu naczelnikowi znakomitego rodu historycznego, wielce zamożnemu, bardzo w swoim kółku światowemu lubianemu, warstwy demokratyczne zarzucają, iż uprawia sport polityczny i wpływa na losy ojczyzny dlatego tylko, że jego środki pozwalają mu mieć „lejbpolityków“<sup>1</sup>

Do p. Piltza wystrzeliłem strzałę, krótką lecz bolesną, przypominając anonimową broszurę, przed wojną wydaną w Krakowie, potem nie wiem przez kogo (choć się domyślam) przedrukowaną w Szwajcarii, pod tytułem: „Zasługi Frazma Piltza przed rządem rosyjskim.“

O p. R. Dmowskim (à tout seigneur tout honneur) i jego przeszłości politycznej rozpisałem się obszernie. Oddając całkowite uznanie jego zasługom aż do 1906 roku jako dzielnemu i skutecznemu wskrzesicielowi ducha narodowego wśród zasympiającego już polskiego społeczeństwa,<sup>2</sup> konstatowałem podług

<sup>1</sup> To, co było prawdą w końcu 1918 r., dość prędko przestało nią być. O p. Maurycym Zamoyskim można powtórzyć to, com wyżej pisał o ś. p. Zygmuncie Wielopolskim. Do roli politycznej wówczas nieprzygotowany, ale z natury bardzo roztropny wolał w czasie swego nowicjatu pozostać w cieniu swoich inicjatorów, ale potem, szczególnie kiedy odjazd z Paryża pp. Dmowskiego i Piltza zostawił go samodzielnym kierownikiem ambasady naszej w Paryżu, rychło umiał nabyć to, czego mu brakowało; cztery lata później odnowiłem znajomość z zupełnie już wyrobionym mężem stanu, mającym o zagadnieniach politycznych swoje własne zdanie i wiedzącym, dlaczego je ma, i umiejącym je wyrazić równie po francusku jak po polsku w formie jasnej i zwięzłej.

<sup>2</sup> O tym okresie kariery p. Dmowskiego wyrażałem się tak: „Gdyby Opatrzność Boska, która często nie daje swoim prawdziwym faworytom (Rafaelowi i Mozartowi, A. Chénier i Chopinowi, Gustawowi Adolfowi i Hoche) czasu na zepsucie własnego dzieła, tak samo postąpiła z Romanem Dmowskim, to pozostawiłby w historii polskiego risorgimento pamięć znakomitą i przez nikogo niezaprzeczoną.“

przykładu B. Motza (patrz wyżej), że odkąd w 1907 r. jako leader Koła Polskiego w drugiej Dumie wystąpił na szeroką arenę parlamentarno-polityczną, niemal każdy jego krok okazał się błędem i dał odwrotne od spodziewanych rezultaty.

Wkońcu przypominałem rzeczywiście wstrętną czynność policyjno-denuciatorską Komitetu, twierdząc nadto, że skoro Polska już posiada w swoim Sejmie, w swobodnie wybranej władzy wykonawczej (Piłsudski, Paderewski) wszystkie organa dobrego lub złego, lecz oczywiście prawidłowego rządu, to dyrektywa polityki zagranicznej Polski powinna wychodzić z Warszawy a nie z „Kleberu“.

Aleksander Mańkowski i generał du Moriez, obaj wtajemniczeni w moją pracę, ostrzegali mnie wprawdzie, że moja szczerość przysporzy mi kopę nieprzyjaciół, lecz obaj przyznawali, że to wszystko powinno być rozgłoszone i że nikt nie jest bardziej ode mnie wskazanym dla dokonania tej operacji. Ani oni, ani ja nie przewidywaliśmy, że tej mojej córce sędzono skończyć jak biednej Desdemonie — zaduszeniem pod poduszką.

Książka była gotowa do druku w samym końcu lutego. Postanowiłem powrócić do Paryża, aby tam ją wydać.

Przed wyjazdem miałem kilka razy sposobność widzieć się z dawnym moim znajomym, eksregentem księciem Zdzisławem Lubomirskim. Opowiadał mi we wszystkich szczegółach o ostatnich czasach swoich rządów, szczególnie o stłumionym przez ś. p. Józefa Ostrowskiego „buncie” gabinetu Świerzyńskiego i o intronizacji przez niego samego p. Józefa Piłsudskiego, przewodzącego partii socjalistycznej. Wówczas też przyszło mi, a szczególnie moim konfidentom, Aleksandrowi Mańkowskiemu i generałowi du Moriez, na myśl, że może wiosną 1918 r., odpowiadając odmownie na propozycję (patrz wyżej) p. Emila Bourgeois o uformowaniu pod moim kierunkiem oddzielnego komitetu polskiego, blisko zesłusunkowanego z francuskim Ministerstwem Spraw Zewnętrznych, popełnię, jeśli nie z punktu widzenia mojego spokoju i drogiej mi zawsze niezależności, to z punktu widzenia interesów polskich, prawdopodobny błąd. Albowiem z opowiadania księcia Z. Lubomirskiego okazywało się jasnym, że jeśli ten niepozubawiony energii mąż stanu w chwili runięcia potęgi niemieckiej znalazł się zupełnie bezbronnym wobec agitacji ulicznej, zakusów partii P. P. S., machinacji p. Daszyńskiego w Krakowie i w Lublinie i t. d., to dlatego, że nie skorzystał w ostatnich miesiącach z osłabienia ciężkiej łapy niemieckiej, żeby sobie zorganizować zawczasu, czy przez porozumienie z Dowbór-Muśnickim, czy przez urządzenie w Warszawie i w głównych miastach z elementów umiarkowanych rodzaju milicji, swoją własną siłę zbrojną.



A to może i zechciałby i potrafiłby zrobić, gdyby aż do października, słysząc tylko jeden dzwon, nie był tak jak większa część społeczeństwa warszawskiego hipnotyzowany przez wszechpotęgę niemiecką i przez pewność ostatecznego zwycięstwa państw centralnych. Prawdopodobnie postąpiłby zupełnie inaczej, gdyby był dobrze poinformowany, nie z gawęd i słuchów, lecz z poważnego wzbudzającego jego osobiste zaufanie źródła o rzeczywistym stanie rzeczy i pewnych perspektywach.

Otóż gdybym stosownie do propozycji p. Emila Bourgeois uformował niezależnie od Klebera i z nim paralelny komitecik, to naturalnie nie inaczej jak pod warunkiem, że byłoby nami pozwolone utrzymywać ciągły kontakt i stosunki z Radą Regencyjną w Warszawie. Nie wątpię, że takiemu komitecikowi, złożonemu prawdopodobnie tylko ze mnie, Władysława Zamoyskiego, generała du Moriez, Gustawa Taube i Jana Tarnowskiego (a wszyscy wzbudzaliśmy na Quay d'Orsay absolutne zaufanie), takie pozwolenie byłoby udzielone, a nawet poczynione wszelkie ułatwienia. Wówczas regenci książę Lubomirski i Ostrowski najpóźniej od 15 lipca (dzień, w którym generałowie Mangin i Goureaux każdy ze swojej strony gruntownie potłukli Niemców) wiedzieliby, z jaką siłą rzeczywistą Polska będzie miała do czynienia i stosownieby się przygotowali. Ale stało się. — Górę wzięły u mnie wstręt do „przodowania“ (prawdopodobnie to samo byłoby z Władysławem Zamoyskim) oraz chorobliwa buta szlachecka. Nie chciało się iść na utrzymanie, a bez skromnego subsydjum, zdolnego pokryć koszt podróży stałego emisariusza do Warszawy, nie moglibyśmy się obejść. — Wkońcu pytanie: czy okazałbym się na wysokości zadania? — Co do zręczności, prawdopodobnie nie.

1 marca 1919 byłem na miejscu. Miasto od października zupełnie zmieniło swój wygląd. Ruch ogromny. Dziesiątki tysięcy samochodów i autobusów zwróconych po rekwizycji lub nowo nabytych, masa cudzoziemców, ponieważ już zasiadał Kongres Pokojowy, głód mieszkaniowy i, chociaż waluta francuska jeszcze się mocno trzymała, potrójne od przedwojennych ceny.

Nie przeszło 24 godzin od mego przyjazdu, gdy zjawił się u mnie ś. p. hr. Wawrzyniec Puttkammer, mój były współzawodnik przy pierwszych wyborach do Rady Państwa 1906 r. Znany „kardynał-legal“ partii N. D. na ziemię wileńską jeszcze przed zajęciem Wilna przez Bolszewików umknął i przez Szwajcarję, gdzie mnie odwiedzał, przyjechał do Paryża na cały czas Kongresu; został natychmiast kooptowany do Komitetu Narodowego. Na samym wstępie rzekł do mnie wesoło: „Widzi pan, że mamy na Kleberze dobrą policję, bo już wczoraj dowiedzieliśmy się o pańskim przyjeździe; dlatego przy-

szedłem zdać panu raport o wszystkim, co się u nas robi.“

Jasnym było, że smutne fiasko denuncjacji pp. Piltza i Spółki wywołało na „Kleberze“ zmianę taktyki względem mnie. Lecz ten inwyt nieprzygotowanym mnie nie zaskoczył. Jeszcze w Lozannie, kiedy życzliwi Aleksander Mańkowski i generał du Moriez ostrzegali mnie, że ustęp mojej książki o Komitecie Narodowym usunie ode mnie świeżo podany na stół państwowy polski „talerz z masłem“, a jednocześnie rozpoczął się na mnie atak pewnego grubego spekulanta, abym mu za grubą łapówkę ułatwił dostęp do tego talerza, rozważyłem wszechstronnie moje względem odrodzonego Państwa Polskiego stanowisko i doszedłem do stanowczej konkluzji, że: 1) To młode Państwo, spoczywając na polskim społeczeństwie, nie może być niczem innym jak pękiem koteryj na wzór włoskich „camorre“, które, czy będą walczyły między sobą o talerz z masłem, czy go będą dzieliły, obcych, niezawisłych spożywców do stołu nie dopuszczają; ponieważ nie było do pomyślenia, żebym przystąpił do socjalistyczno-terorystycznej „camorry“ P. P. S., jeszcze mniej do Witosowskiej, zostawała tylko „kleberowska“; wiedziałem, że Komitet Narodowy już się rozrósł do rozmiarów zgiełku (przeszło dwadzieścia osób) i że kiedy jego prowodyry mnie przyjmą lub zaproszą, to nie nato, aby wykorzystać dla sprawy tę siłę, jaką mogłem jeszcze przedstawiać, lecz żeby ją ubezwładnić. 2) Nie ludziłem się także co do wartości tej siły; dopiero co skończyłem siedmdziesiąt lat. W tym wieku, prócz fenomenów w rodzaju Tygrysa Clémenceau, można jeszcze być człowiekiem myśli, wiedzy, pióra lub słowa (w takich, przeważnie mniemanych, już obfitowało), lecz człowiekiem czynu, nie. A tego właśnie potrzebowało młode Państwo: Am Anfange war Tat, mówił Goethe. 3) Co do „masła“ wiedziałem, że albo tak jak w Wilnie i w Petersburgu w końcu dosmaruję własnego... albo masło będzie nieczyste.

To też choć z grzecznym uśmiechem, bo nasze osobiste stosunki ze ś. p. Puttkammerem były dobre, odpowiedziałem wymijająco na to dosyć jasne „zaproszenie do walca“; domyślałem się też, że dzięki właśnie swojej doskonałej policji kierownicy Komitetu Narodowego już wiedzą o moim zamiarze wydrukowania czegoś, co mogło być im niekoniecznie przyjemnem.

Nazajutrz odwiedziłem hr. Wiktorję z Sobańskich Plater-Zybergową, gorącą zwolenniczkę Komitetu i blisko zaprzyjaźnioną z p. Piltzem, która także, widząc mnie, od razu podniosła ręce do góry, wykrzykując: „Cóż to pan tak długo marudził, tu pana czekają z niecierpliwością!“ — „Kto mianowicie?“ — „No, ci panowie z Komitetu.“ — Czy była hr. Wiktorja upoważniona do jakiejś propozycji czy nie, nie wiem, ale to nowe

„zaproszenie do tańca“ przyjąłem już stanowczo odmownie, co uważano za odmowę zaproszenia na dwór królewski; tegoż dnia powiozłem rękopis mojej książki do wydawcy p. Payot, o którym już wspominałem z powodu książki „Les dangers mortels de la révolution russe.“

Pan Payot, obiecując, że prawdopodobnie weźmie na siebie wydanie tego nowego dzieła, prosił mnie, bym powrócił za parę dni, bo chciał mieć czas je starannie przeczytać i szczególnie przekonać się, czy nie będzie miał jakich trudności z cenzurą. zresztą już łagodniejszą niż przed zawieszeniem broni.

Gdym powrócił na umówioną godzinę, znalazłem go wprost zachwyconego treścią, a szczególnie palącą aktualnością mego dzieła. Oświadczył mi, że zamierza odrazu wydrukować je na początek w 10 000 egzemplarzy i zaofiarował mi honorarium o 20% wyższe niż poprzednio, t. j. 60 centimów od sprzedanego egzemplarza. Nauczony doświadczeniem i korzystając z dobrego wrażenia, jakie książka na nim zrobiła, odpowiedziałem, że mając zamiar niedługo przebywać w Paryżu i powrócić do kraju na czas nieograniczony, wolę mu sprzedać moje prawo autorskie za stałą cenę bez potrzeby dalszych rachunków.

Stało na tem, że mi zapłaci w trzech dość bliskich terminach 6 000 franków, odpowiadających 10 000 egzemplarzy i kwita z resztą. Miałem ostrożność zastrzec sobie prawo wzięcia sobie z wydawnictwa tytułu egzemplarzy, ile sobie będę życzył po cenie niższej o 40% od detalicznej, i szeroko potem skorzystałem z tego prawa, gdy książka uległa uduszeniu.

Zaraz po moim powrocie do Paryża spotkała mnie przygoda, której brakowało do rozmaitych wrażeń mego długiego żywota; ofiarowano mi łapówkę i to grubą. Rzecz miała się tak: jeszcze w Szwajcarii w lutym poznałem na jakiejś hotelowej herbacie pewnego pana, uchodzącego za wielkiego aferzystę i bardzo szeroko żyjącego. Odwiedził mnie kilka razy; wiedząc o mojej przeszłości i zapewne o dobrych moich przedwojennych stosunkach z p. I. Paderewskim, życzył sobie, żebym go przed nim należycie zarekomendował, bo chce zaproponować rządowi polskiemu rychłą dostawę dwustu, może do czterystu lokomotyw i czterech tysięcy wagonów nowszego typu. Odpowiedziałem mu, że z p. Paderewskim od 5 lat się nie widziałem, nie mogę się domyślić, czy obecny premier Rzeczypospolitej będzie, czy nie, pamiętał o dawnych prywatnych stosunkach, o czem dowiem się dopiero w Paryżu, uprzedzając go formalnie, że nie ruszę się z miejsca, jeśli nie będę miał pewności, że jego oferty są dla Rzeczypospolitej nie więcej uciążliwe niż mogłyby być inne; — wyjechał do Paryża przede mną, a w kilka dni po moim przyjeździe znów mnie odwiedził i to kilkakrotnie; prócz tego, że obstalunek miał być dokonany przez największe firmy metalurgiczne szwajcarskie, o cenie, sile i objętości loko-

motyw i wagonów nie mi powiedzieć nie chciał, pozostawiając to do pertraktacji z upoważnionymi przez Rzeczpospolitą Polską osobami. Zato dodał, że o ileby interes był zawarty, otrzymałbym najmniej pół miliona franków szwajcarskich, a może i więcej. Żadnego awansu nie wymagał i obstalunek miał być wypłacony obligacjami terminowymi Rządu polskiego. Zrozumiawszy wkońcu, w czym rzecz, bo nie będąc geszefciarzem, takie sprawy rozumieć powoli, lecz dobrze, powiedziałem mu, że wyłącznie światowa nasza dotychczasowa znajomość nie wystarcza, żebym wziął na siebie odpowiedzialność popierania jego tak nieokreślonych ofert, że sam muszę się przekonać o jego odpowiedzialności finansowej i że dam mu odpowiedź u niego — w mieszkaniu. Nigdy jej nie dałem a to dlatego: zwróciłem się natychmiast do dobrze znanego mi osobiście pierwszorzędnego tuza finansowego i zapytałem, co mój jego-ność przedstawia jako odpowiedzialna siła finansowa. Tuz zwrócił mnie do specjalisty od podobnych wywiadów, a ten po kilku dniach odpowiedział krótko i precyzyjnie: Pan X. rozporządza znacznymi kapitałami, obrabia duże interesy, jest uważany za przedsiębiorcę solidnego a jednocześnie za „zawodowego handlarza sumieniami“ (un acheteur de consciences). Masło było, lecz nieczyste.

Natychmiast wziąłem samochód i w nieobecności naówczas w Paryżu pp. Paderewskich pojechałem na Rue de Balzac, gdzie, jak już mówiłem, lokowali się warszawscy delegaci przy Kongresie, i zapytałem pewnego niby mistrza ceremonij, kto z tych panów zawiaduje interesami finansowymi i obstalunkami. Zeszedł do mnie p. Olszowski, później, zdaje się, Minister Rzeczypospolitej Polskiej w Berlinie, który w nawiasie zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie, lecz pokazało się, że podobnymi sprawami się nie zajmuje, a podesłał mi dwóch innych panów, którym w kilku słowach opowiedziałem całą historję, aby w danym razie wiedzieli, z kim będą mieli do czynienia. Na tym incydencie skorzystałem o tyle, że wiedząc od bardzo dawna jako poddany rosyjski, w jaki sposób łapówki się dają, dowiedziałem się w siedemdziesiątym roku życia, jak się one biorą. Ale biednusia Rzeczpospolita na tem nie skorzystała, albowiem obstalunek został potem zdany jakiejś firmie amerykańskiej na bardzo korzystnych warunkach dla bliskiego przyjaciela p. Paderewskiego, o którym już wspomniałem, lecz nie dla skarbu polskiego. Nie mało o tem paplano jesienią 1919 r. w Warszawie.

Póki się książka drukowała, odnowiłem stosunki z mojem kółkiem znajomych prócz nieodżałowanego Etienne Lamy, który, do końca we wszystkim szczęśliwy, umarł w styczniu na za-

palenie płuc w 74 roku swego życia w chwili, kiedy cały świat wynosił pod niebiosą chwałę jego ojczyzny, a ona sama jakby się nie domyślała, jak gorzkie będą dla niej owoce jej wspaniałego zwycięstwa. Prawie wszędzie, gdzie bywałem, znalazłem nastrój nadzwyczaj optymistyczny, choć nie brakowało to tu, to tam trzeźwych ludzi, którzy podzielali moje zdanie, pod koniec wojny wypowiedziane w tej formie: Dotychczas wszyscy upajamy się szampańskim zwycięstwem i chwałą, ale gdy zamilkną armaty, rozpocznie się prawdziwy „Katzenjammer“ (mal aux cheveux.)

Z owych dni pozostało mi specjalnie w pamięci śniadanie przeważnie polityczne, na którym byłem u państwa Charles Dumont w końcu marca. Obecnymi byli p. Clementel, wówczas Minister Przemysłu i Handlu w gabinecie p. Clémenceau, a w 1924 roku Minister Finansów w gabinecie p. Herriot, a także p. Raoul Perret, prezes Komisji Budżetowej w Izbie Deputowanych, potem prezes samej Izby. Mowa była o odszkodowaniach niemieckich. Zasadą wszystkich obecnych mężów stanu było, że Niemcy powinni zapłacić tyle, ile Ententa wyrachuje wszystkich przez zwyciężonego poczynionych szkód, których minimum naówczas określali na 232 miliony marek złotych. Pozwoliłem sobie te różowe nadzieje oblać kilku kropkami zimnej wody. Powiedziałem im, że mojem zdaniem byłoby ostrożniej przyjąć te 100 miliardów marek złotych odszkodowania, które hrabia Brockdorf-Rantzau, główny przedstawiciel niemiecki wówczas „akordowo“ ofiarowywał. Zabezpieczyć je okupacją szerokiej połaci niemieckiego terytorjum, któraby się ewakuowała stopniowo w miarę rzeczywiście dokonanych spłat (tak jak Niemcy postąpiły z tąże Francją w roku 1871) a reszty się wyrzec na mocy przysłowia: „un tiens, vaut mieux que deux tu l'auras.“ Albowiem 232 miljarady marek złolem, nawet nie biorąc pod uwagę straty dla Niemców dwóch najbogatszych prowincyj przemysłowych, Alzacji i Górnego Śląska i tego rolniczego śpichlerza, którym było Poznańskie, stanowią 40% całego przedwojennego majątku narodu niemieckiego. Jeżeli do tego doliczyć koło 200 miliardów marek, wydanych przez Rzeszę Niemiecką podczas wojny, to naród niemiecki zostałby obciążony długiem około 70% swojego mienia. Ponieważ żaden naród wypłacić takiego długu nie jest w stanie, trzeba przewidywać, że Niemcy skorzystają z takiego niezwyciężonego argumentu i, nie mogąc wszystkiego zapłacić, chwycą się wszystkich możebnych wybiegów, żeby nic lub prawie nic nie zapłacić. Dodałem, że stopień, do którego można swego dłużnika przydusić, bardzo zależy od jego psychologii. Naród francuski w 1871 roku zrobił wysiłek wówczas kolo-

*miljarady*

salny, w którego możliwość sam Bismark nie wierzył, żeby w ciągu niespełna trzech lat pozbyć się upokarzającej obcej okupacji; a niemiecki naród, o ile go znam, będzie wolał znosić upokorzenia, a pieniądze zachować w kieszeni. Dodałem także: „Naród francuski to jest szlachetnej rasy koń, którego zapomocą ostrogi miłości własnej i szpicruty niepodległości można wypędzić aż na platformę wież katedralnych, a naród niemiecki to jest potężny, ciężki, cierpliwy wół, który, gdy wysilek przekracza jego siły, kładzie się w brózdzie, kręci głową i pomimo batów i szturchańców, dalej żujkę żuje. Powie wam: tych pieniędzy nie mamy a zapożyczyć się nie możemy; jeśli chcecie, zajmijcie wszystkie nasze gospodarstwa, fabryki, porty i t. d. i sami wybierzcie swoje 232 miljardy, o ile potrafiacie.“ — Uważałem, że chociaż moje porównanie konia z wołem podobało się moim słuchaczom, to konkluzja zrobiła na nich mniej dodatnie wrażenie. — A teraz, gdy ledwie rozpoczęte plany Daves'a i Younga już są zakwestjonowanemi, bodaj że byli Aljanci żałują propozycji hr. Brockdorf-Rantzau.

W owym czasie roilo się w Paryżu od wszechmożnych „delegatów“ polskich. Było ich podobno do 600. Wszyscy naturalnie na koszt opływającej w zbytkach Rzeczypospolitej, połowa z nich nie znała ani Paryża ani nawet francuskiego języka. — Co oni użytecznego mogli zrobić, nie domyślałem się i dziś się jeszcze nie domyślam. Dla przyzwoitości mieli prawie codziennie posiedzenia. Zwolennicy Komitetu Narodowego w hotelu na ulicy Balzac, a fronderzy w specjalnie najętym mieszkaniu na ul. Lauriston. Zachodziłem tu i tam i śmiało mogę ręczyć, że wszystkie te posiedzenia nie zaważyły na jeden centygram na szali naszych losów.

Inaczej być nie mogło w warunkach, w których odbywał się ten niby Kongres. Albowiem, jak wiadomo, prócz paru uroczystych posiedzeń na początku i na końcu nie było żadnych innych, jak to bywało na Kongresie Berlińskim 1878, Paryskim w 1856, Wiedeńskim 1814-15 i t. d., gdzieby wszystkie zainteresowane Państwa miały głos i gdzieby o spornych kwestiach decydowano po wspólnej naradzie między wojującymi stronami. Odrazu podzielono nominalnie należące do Kongresu państwa na takie, które miały w nim interes ogólny, i takie, którym przyznano tylko „interesa ograniczone“ i do tych zaliczono Polskę. Wyłoniła się Rada Dziesięciu (później i dotychczas t. zw. Rada Ambasadorów) a nad nią Rada Pięciu (t. zw. Big five<sup>1</sup>), która o wszystkim decydowała, przyznając innym mniejszym tylko głos doradczy. A tym aeropagiem „grubych“

<sup>1</sup> Właściwie nawet czterech (Francja, Anglja, Stany Zjednoczone, Włochy), bo przedstawiciel Japonji trzymał się bardzo dyskretnie.

kierowali wyłącznie... Żydzi. Prezesem, starym p. Clémenceau, naczelnik jego gabinetu p. Mandel, w rzeczywistości p. Rothschild lecz „podlejszego gatunku.“ Prezydentem Wilsonem nieodstępny jego przyjaciel p. Baruch, podobno lwowski Boruch, p. Lloyd Georges'em jego sekretarz osobisty p. Sassoon, członek potężnej dynastji finansowej. O jednym tylko p. Orlando, najcieńszym z grubych, nie było głośno wiadomem, jaki krzywy, nos nim kieruje.<sup>2</sup> W tym „sanctum sanctorum“ Polska miała jako zawziętych nieprzyjaciół wszystkich Żydków a w szczególności p. Lloyd Georges'a, który powziął osobistą, demonstracyjną, często nieprzyzwoitą w swoich objawach nienawiść do głównego przedstawiciela Polski, odkąd jego warszawska gazeta popęliła grubą niedyskrecję co do życia prywatnego tego niby purytanina.

Tymczasem moja książka się drukowała i była gotową koło 1 kwietnia. Pragnąc jak najprędzej ją rozpowszechnić między bardziej wpływowymi członkami Kongresu, gdy jeszcze szła robota introligatorska, wzięłam sobie pierwsze sto egzemplarzy (moje autorskie) i rozesłałam je, a jeden z moim biletem wizytowym złożyłam u tylko co przybyłego do Paryża p. I. Paderewskiego.

Ani się domyślałam, co z tego wyniknie. U wielkich wydawców jak Payot jest jeden dzień w tygodniu, w domu Payot czwartek, w którym się dokonywa „mise en vente“ czyli wypuszczanie w świat nowych dzieł. Polega ono primo na rozсылaniu do różnych gazet paryskich, prowincjonalnych i kilku zagranicznych podług ich ważności i rozpowszechnienia, albo tylko tytułów nowych, książek, albo na pomieszczeniu specjalnych, w rozmaitych formach redagowanych reklam lub nawet w rzadkich razach gruntownych recenzyj, swoją drogą na rozсылaniu do rozmaitych księgarni detalicznych odpowiednich ilości egzemplarzy. O mojem dziele dały bardzo obszerne recenzje trzy czasopisma, z których kierownikami pozostawałam zawsze w osobistych stosunkach, mianowicie: „Le Correspondant“, „Le Journal des Débats“ i „L'Action Française“, w tym ostatnim pióra utalentowanego i bardzo znanego p. Jacques Bainville. W mojej obecności p. Payot rozkazał odpowiednim swoim urzędnikom, aby dla mojej książki przygotowali jak najszerszą reklamę i rozpowszechnienie: To też gdy w dzień t. zw. „mise en vente“ zaniemogłam tak, że dziesięć dni z domu nie wychodziłam, z początku o los mego dzieła nie bardzo się troszczyłam. Dopiero jedna po drugiej zaczęły do mnie dochodzić od różnych przyjaciół, którzy o mojej „zbrodni“

<sup>2</sup> Zato jego kolega, minister spraw zewnętrznych Sonnino, syn Żyda.

wiedzieli, alarmujące wieści o zupełnie nikłym rozpowszechnieniu mego utworu. Wybrałem się do p. Payot. Odrazu podnosząc ręce do góry, zaczął się żalić, że z mojej łaski połknął najstraszniejszy „buljon“ (tak się w żargonie literackim nazywa utwór, który nie ma powodzenia). Ale się zdradził sam najpierw tem, że mnie zapytał, czy mojem zdaniem książka będzie mogła mieć jeszcze powodzenie za jaki rok, na co mu naturalnie odpowiedziałem, że prawdopodobnie żadnego, ponieważ jest ściśle aktualną. Następnie zaproponował mi, żebym sam i swoim kosztem zrobił tej książce szeroką reklamę gazeciarską wówczas, kiedy w naszej umowie wyraźnie było naznaczone, że wydawca bierze na swój koszt i trud wszelkie ogłoszenia i wszelkie rozpowszechnienia. To wszystko wydało mi się bardzo podejrzane, więc odpowiedziałem sucho p. Payot, że w powodzeniu materialnem książki są dwa czynniki i dwóch sprawców; rzeczą autora jest stworzyć interesującą i dobrze napisaną książkę. Że to mi się udało, świadczą i zachwyt samego p. Payot, kiedy otrzymał mój rękopis, i komplementa otrzymane od tych, którym był znany mój anonim; między innemi p. Clemenceau i p. Pichon. Reszta zaś czyli ogłoszenia, reklamy i rozsyłanie po księgarniach detalicznych jest zadaniem wyłącznem samego wydawcy. Lecz postanowiłem zbadać tę tajemnicę; w tem mi pomogło kilku znajomych, którzy dowiedziawszy się przypadkowo o egzystencji mojej książki, skarżyli się, że nie mogą jej znaleźć nawet w najbardziej uczęszczanych księgarniach detalicznych; lecz odkrył mi bez najmniejszych wątpliwości, „wo der Hund begraben ist“, młody oficer polski, p. Morawski (syn p. Franciszka), który wybierając się do Warszawy i chcąc tam zawieźć sześć egzemplarzy, po wielkich staraniach dostał tylko jeden, a ciocia Janowa Żółtowska (żona członka Komitetu Narodowego) słyszała od męża, że tę książkę (tylko co wydrukowaną w 10.000 egzemplarzy!!) ogromnie trudno dostać.“ Wkońcu generał du Moriez, który także coś wydawał u Payot'a, powiedział mi, że zaszedłszy w samem wydawnictwie do sekretarki specjalnie przełożonej nad redakcją i rozsyłaniem reklam i ogłoszeń, usłyszał od niej, że otrzymawszy od p. Payot rozkaz zredagowania i rozsyłania do rozmaitych gazet osiemdziesięciu rozmaitego stylu reklam, w wilją dnia „de la mise en vente“ otrzymała rozkaz odwrotny, aby żadnej reklamy nie wysyłała.

Biorąc pod uwagę, że wydrukowanie 10.000 egzemplarzy i moje honorarium stanowiły dla wydawcy z góry niemniej niż 26.000 franków, t. j. że przy ustępstwie detalistom 30 % od ceny oznaczonej (6 franków) trzeba było tylko dla pokrycia kosztów wyprzedać najmniej 6.000 egzemplarzy, stawało się jasnem jak słońce, że wydawca nie puścił się na tak dobrowolną stratę bez odpowiedniej kompensaty, zatem, że tu jest



czyjaś rączka i czyjaś mamona. A czyja, to niemniej jasno występowało: 1<sup>o</sup>) z zasady: *is fecit, cui prodest*, albo *cui nocuerit*, 2<sup>o</sup>) ze starych stosunków p. Piltza z p. Payot, jego wydawcą w Lozannie, 3<sup>o</sup>) z tego, że tylko grube subsydja pozwalały poświęcić co najmniej 20.000 franków na zaduszenie dzieła i 4<sup>o</sup>) z wynurzeń porucznika Morawskiego. Wówczas napisałem do p. Payot o rezultatach mojej ankiety, dodając, że ponieważ Pan Bóg jeszcze nie stworzył takiego czytelnika, któryby w kolosalnym Paryżu udawał się specjalnie do wydawcy, żeby u niego nabyć książkę, o której egzystencji nic nie wie, więc jasnem jest, że „Buljon“ na który się skarży p. Payot, został przez niego samego dobrowolnie zgotowany, albowiem w przemyśle wydawniczym mogą powstać tak jak w innych przemysłach takie warunki, że przemysłowiec może zarobić więcej przez wstrzymanie niż przez rozpowszechnienie swojego towaru; Payot obraził się za ten domysł i wstrzymał się od wniesienia do wskazanego mu banku jeszcze niezapłaconej części mego honorarjum. Skoro termin przeszedł, oddałem sprawę w ręce adwokata przy trybunale handlowym; sądy handlowe we Francji nie marudzą i nie otaczają protekcją niesumiennej dłużników kosztem ich wierzycieli, dlatego w parę miesięcy już po moim powrocie do kraju należna mi suma została uzyskana i do tegoż banku wniesiona.

W ten sposób materialnie na przyduszeniu mojej książki nie straciłem, a co do mojej autorskiej miłości własnej, to z jednej strony więcej zyskała, niż z drugiej straciła; albowiem liczba moich czytelników była znacznie mniejsza, niż się z początku spodziewałem (wszystkiego rozeszło się około 2000 egzemplarzy), lecz za to ci, którzy dowiedziawszy się o jej egzystencji mieli cierpliwość sobie ją sprowadzić wprost od wydawcy. (w Warszawie tem zajmowała się księgarnia Hoesicka na Senatorskiej), poświęcili książce daleko więcej uwagi, bo zyskała w ich oczach aureolę prześladowania. Takim był także w samym Paryżu jedyny rezultat formalnej kampanji, rozpoczętej przez pewną damę, naówczas zajadłą stronnice Komitetu, która rozpoczęła pochód po salonach francuskich i polskich, aby dobić się mojej ekskomuniki; nigdzie mnie nie wyklęto, a tylko proszono o przysłanie zbrodniczego utworu.

W końcu kwietnia dowiedziałem się, najpierw z gazet, o oswobodzeniu Wilna od Bolszewików, potem ze wszystkimi szczegółami od wileńskiego politykującego adwokata, obecnie senatora, p. Krzyżanowskiego, który zaraz się wyrwał do Paryża i choć osobiście mi dotąd nieznany, często mnie zaczął odwiedzać. Opowiadał mi, że ten krótkotrwały najazd na Wilno,

który tak łatwo mógł być uprzedzony,<sup>1</sup> kosztował życie jednego, najbardziej mi bliskiego z moich siostrzeńców Meysztowiczów, Michała; ś. p. Michał, choć starannie unikał, by w czemkolwiek nie rozdrażnić Bolszewików, był tak z powierzchowności jak z układu i manier typowym „paniczem“ a w oczach licznych, zaraz zaprowadzonych szpiclów bolszewickich, między którymi, jak mi twierdził p. Krzyżanowski, nie brakowało miejscowych Polaków, wskazaną ofiarą. Ponieważ było zabronionem trzymać w domu więcej niż tysiąc rubli, a resztę trzeba było oddać w depozyt kasom bolszewickim, zrobiono u niego rewizję; znaleziono mniej niż tysiąc rubli, ale dowiedziano się od stróża domu, że nieboszczyk, który miał troje malutkich dzieci, trzymał w mieście dwie krowy, które chciał sprzedać, jako już niemleczne, a ze wsi sprowadzić inne. Kilka godzin po pierwszej rewizji, kiedy już kasa bolszewicka była zamknięta, zjawił się żydek, bez targu kupił obie krowy za przeszło tysiąc rubli, zapłacił na miejscu, w pół godziny potem nowa rewizja: corpus delicti, areszt; biedaka zamknęli do celi, w której leżało dwóch chorych na tyfus plamisty, a skoro się tam zaraził, już bez przytomności odwieźli go do domu, gdzie nazajutrz umarł.

Wybrałbym się natychmiast napowrót do kraju, gdyby nie to, że w początku maja pan Charles Dumont z polecenia ministra p. Pichon, naówczas prezesa „Rady Dziesięciu“, wyraził mi prośbę p. Pichon, abym nie wydalą się z Paryża, bo ta „Rada Dziesięciu“ ma się zająć sprawą granic wschodnich Polski i chce mnie wezwać na jedno z posiedzeń, naturalnie nie w roli „przedstawiciela“ (od tego byli pp. Paderewski i Dmowski), lecz w roli kompetentnego rzeczoznawcy. Odpowiedziałem, że się zgadzam, o ile się temu nie będzie sprzeciwiał wówczas bawiący w Paryżu minister spraw zewnętrznych mojego Państwa rodowitego, p. Paderewski. To też wystosowałem do niego list w formie zupełnie oficjalnej (bo przed wojną utrzymywaliśmy serdeczne stosunki osobiste), w którym zapytywałem go, czy się zgadza czy nie nato, abym przyjął zaproszenie p. Pichon.

<sup>1</sup> Naówczas Bolszewicy rozporządzali tak nielicznymi siłami wojskowymi, że za obrębem miasta mieli rozsiąanych to tu to tam niby komisarzy, którzy organizowali po dworach i wsiach t. zw. komitety biedoty, ale żadnego wojska nie utrzymywali; w mojej gminie i sąsiednich w ciągu tych trzech i pół miesięcy nikt żadnego krasnoarmiejca nie widział. Kiedy w wigilję Wielkiej Nocy pułkownik Belina-Prażmowski prawie warjackim raidem naskoczył na Wilno, Bolszewicy uciekli bez jednego wystrzału; te trzydzieści ofiar z każdej strony, które pogrzebano, składały się wyłącznie z polskich żołnierzy wkraczających do miasta, na których z rozmaitych okien strzelali miejscowi Żydzi, natychmiast przez naszych zuchów zamordowani we własnych mieszkaniach

Ten list posłałem przez służącego do hotelu Wagram, w którym lokował się dwór p. Paderewskiego i jego małżonki; pan minister wysłał do mnie zawiadującego naówczas jego gabinetem p. Augusta Zaleskiego, aby mnie zapewnił, że stanowcza odpowiedź nastąpi, ale że sprawa jest zbyt ważna, aby jej nie przedyskutował ze swoimi „kolegami“ (prawdopodobnie pp. Dmowski i Piltzem). Lecz chociaż kilka razy jeszcze widziałem się z p. A. Zaleskim, ta formalna odpowiedź nigdy nie nastąpiła. Dzięki temu już w czerwcu napisałem do p. Pichon, prosząc, aby na mnie nie rachował i zechciał mi zwrócić swobodę ruchów. Niby w formie kompensacji zostałem zaproszony na prywatną konferencję o tym przedmiocie z p. Jules Cambon, w 1914 r. ambasadorem francuskim w Berlinie, moim osobistym znajomym od wczesnej młodości, który wówczas został prezesem tak zwanej Rady Ambasadorów, zastępującej Radę Dzieścięciu, i dziś jeszcze tę godność piastuje. Rozmowa nasza szła wyłącznie na tematy rusiński i litewski, o Białorusinach nie było mowy.

Myśl p. Pichon powołania mnie jako rzeczoznawcy nie zgadzała się z kongresową metodą. Od najrozmaitszych rzeczoznawców wprost roilo się koło kongresu, ale inicjatywa ich naznaczenia zawsze pochodziła od oficjalnych przedstawicieli zainteresowanych państw. Tajemnica wyjaśniła się dla mnie dopiero daleko później, gdy się dowiedział o memorjale wystosowanym przez Komitet Narodowy do Komisji terytorjalnej kongresowej w początku marca 1919. W tym memorjale Litwa litwująca, choć ze specjalnym ustrojem, rewindykuje się jako część składowa Państwa polskiego. A na mapie (t. z. Dmowskiego), wydanej mniej więcej w tym czasie, figuruje — na biało — jako kraj zupełnie obcy. — Ze czterech dokumentów, którymi wówczas niezawodnie rozporządzało francuskie ministerjum, mianowicie memorjału podanego p. Izwolskiemu w 1916 r., takiegoż podanego w 1917 p. Balfourowi, ostatniego z 1919 r. i wkońcu mapy, każdy sławiał różne postulaty; dlatego zapewne p. Pichon życzył sobie mieć zdanie człowieka z Komitetem uiczem niezwiązanego.

Wiosną 1919 r. przebywał w Paryżu u swojej małki p. Klementyny hr. Alfred Tyszkiewicz, ordynat na Birzach w Kowieńszczyźnie, ten sam, który na samym początku wojny uroczyście mnie zapytywał, „jakim jest obowiązek dobrego Polaka?“ Powróciwszy do kraju przed końcem wojny „dobry Polak“ przeistoczył się na doskonałego Litwina i chciał pomimo zajętego przeze mnie jaskrawo antylitwomańskiego stanowiska czy właśnie dlatego, wciągnąć mnie do „swojej akcji“. Po kilkakrotnych wizytach otrzymał wkońcu ode mnie zgodę na spotka-

nie się na wspólnym śniadaniu z jego kolegami, jako naówczas jeszcze niegłośnymi przedstawicielami Kowieńskiej Taryby: p. Iczasem i p. Waldemarasem. Zgodziłem się, aby choć raz się dowiedzieć, „co oni mają w żołądku.” O p. Iczasie wiedziałem, że niby adwokat przy wiejskich sądach pokoju był przed wojną posłem do Dumy Petersburskiej od Ziemi Kowieńskiej. P. Waldemaras zaś, nauczyciel gimnazjalny, kurlandzki Łotysz, przerobił się na Litwina. Znalazłem obu ludzi dosyć wulgarnej powierzchowności, zreszlą przyzwoitych, bardzo słabo mówiących po francusku a doskonale po polsku. To też w tym języku toczyła się cała nasza rozmowa. Tylko dzięki (dobrze znanej każdemu, który w ciągu przeszło godziny „in genere”), psychologii chłopskiej w ciągu przeszło godziny nie mogłem z nich wyśrubować, jak oni właściwie widzą w przyszłości stosunek swego kraju do Polski. Przyparciu do muru ciągle się wykręcali tem, że ich program jest jasno wyłożony w deklaracji już wydrukowanej, którą zamierzają złożyć kongresowi pokojowemu; wkońcu zatem oświadczyłem im, że żadnej opinii osobistej wypowiedzieć nie mogę, nim się z tym programem nie zaznajomię, i wzięwszy od A. Tyszkiewicza obietnicę, że mi go prędko dostarczy, z tymi panami się pożegnałem.

Program ten został mi dostarczony tegoż dnia. Po dwóch stronicach rozmaitych amplifikacyj, naszpikowanych, jak ci panowie zwykli, wielce wątpliwymi twierdzeniami natury historycznej lub etnograficznej, doczytałem się takiego ustępu: „Le peuple lithuanien repousse toute idée d' un lien politique quelconque avec la Pologne” (naród litewski odrzuca wszelką myśl jakiegokolwiek związku politycznego z Polską).

Sapientli sat. Wziąłem natychmiast za pióro i napisałem do p. Alfreda Tyszkiewicza w stanowczych wyrazach, że ponieważ wie doskonale, iż Litwa litwująca sama przez się może mnie interesować tylko jako część nierozdzielna Państwa polskiego, to proszę go nadal uważać mnie za zupełnie obcego wszelkim jego staraniom w interesie Litwy Kowieńskiej. Zaraz po otrzymaniu tego listu p. ordynat Tyszkiewicz przyjechał do mnie koło 9-lej wieczorem. W pierwszych słowach naszej rozmowy niemniej stanowczo prosiłem go, by więcej tego przedmiotu ze mną nie poruszał, jednak prawdopodobnie, ażeby zaznaczyć, że ta różnica zdań nie powinna wpłynąć na nasze stosunki osobiste, siedział u mnie do 12-tej w nocy, opowiadał mi różne swoje przygody między lądem 1914 r. a obecnym naszym spotkaniem w Paryżu, a między innemi jeden szczegół, który wart wspomnienia jako dobrze cechujący rolę i nadzieje żydów w wojnie wszechświatowej.

Jeszcze przed zawieszeniem broni p. A. Tyszkiewicz w przewidywaniu, że Niemcy będą musieli kraj opuścić, a Rosjanie

go nie zajmą, opracował projekt współzycia czterech głównych nasz kraj zamieszkujących elementów: polskiego, białoruskiego, litewskiego i żydowskiego. Zakomunikowawszy swój elaborat kilku przedstawicielom każdej z trzech chrześcijańskich grup, udał się także do pewnego rabina, uchodzącego za bardzo wpływowego pośród wileńskiego żydostwa, którego nazwiska w tej chwili sobie nie przypominam.<sup>1</sup> Mędrzec Izraela, któremu odczytał cały swój memoriał, gdy skończył czytanie, powiedział mu z tą zewnętrzną proroczą powagą, którą kiedyś tak wyśmienicie sobie przyswajał sławny aktor Żółkowski w sztuce „Żydzi“, mniej więcej dosłownie: „Wszystko, co pan graf mi przeczytał, może być bardzo interesującym z punktu widzenia teoretycznego; ale z praktycznego ja sądzę, że to żadnego skutku mieć nie może. Kiedy pan graf pofatygował się wniknąć w rozmaite fazy tej wielkiej wojny, w jej przebieg i w jej rezultaty, to mógł się już przekonać, że walczyły między sobą i wzajemnie się wyniszczały rozmaite narody i państwa chrześcijańskie, ale prawdziwymi triumfatorami będziemy bez wątpienia My. I my także pomyśleliśmy o przedmiocie, który pana grafa interesuje, i mamy nasz własny plan. Ale on się od pańskiego bardzo różni.“

Epilog tego incydentu z panami litwomianami był dla mnie nicoczekiwany. Nazajutrz rano po wizycie p. Tyszkiewicza wpadł do mnie wzruszony i gestykulujący wyżej wspomniany p. mecenas Krzyżanowski (obecnie senator), człek natury demonstracyjnej, zaczął gorzko mi wymawiać, że m raptem „starybiał“ i że o moich niby „intrygach“ z paczką litwomańską dowiedział się od pp. Paderewskich. Nietrudno mi było go uspokoić, lecz domyśliłem się zaraz, że całą plotkę zawdzięczam nie komu innemu jak p. Alfredowi Tyszkiewiczowi, który ciągle laził do p. Paderewskiego, a ten go przyjmował i z nim konferował, nie rozumiem dotychczas dlaczego i poco; chyba nie dlatego tylko, że pan hrabia ordynat? A w parę godzin potem wpadł do mnie Ludwik Gorecki z formalnem poleceniem od swojej ciotecznej siostry p. Marji Mickiewiczówny. Panna Mickiewiczówna poleciła mu ostrzec mnie, że p. Paderewski dowiedział się o moich litewskich „intrygach“, że uważa je za rodzaj zdrady, jest wielce na mnie oburzony i dlatego niby życzliwa mi p. Marja koniecznie radzi, abym słownie czy listownie się „usprawiedliwił“ przed oficjalnym przedstawicielem Polski.

Ponieważ wiedziałem, że p. Paderewski zna moją książkę: „Que faire de l' est européen“, w której kwestja litewska i białoruska zajmują całych 70 stron i w której pretensje roszczone przez garstkę ambitnych półinteligentów w imię jednego i dru-

<sup>1</sup> Bodaj późniejszy senator p. Rubinsztein choć nie ręczę.

giego z tych plemion były traktowane z negatywną szczerością, na którą zdaje się żaden polski publicysta się nie zdecydował w takim stopniu jak ja, więc odpisałem p. Mickiewiczównie: że na żaden z doradzanych mi kroków się nie puszcze, bo wiem, że p. Paderewski mój dotychczasowy pogląd na kwestję litewską doskonale zna, że zna mnie także jako człowieka niezdolnego do przewracania w ciągu kilku dni podobnych politycznych koziołków, a zatem jeśli mnie posadza o taką raptowną zmianę frontu, to dlatego, że dla tych lub owych przyczyn życzy sobie w taką zmianę frontu wierzyć. I na tej odpowiedzi incydent się zakończył.

Nie mając właściwie nic do robienia w Paryżu po zlikwidowaniu incydentu z wydawcą mojej książki i z niedoszłem do skutku zaproszeniem na rzeczoznawcę przez Radę Ambasadorów, postanowiłem zaraz po podpisaniu Traktatu Wersalskiego powrócić do kraju.

Jak wiadomo, Traktat Wersalski a raczej traktaty były podpisane na uroczystem posiedzeniu w Wersalu 29 czerwca 1919 roku. Z tych traktatów jeden, główny, poświęcony zakończeniu wojny między Aljantami a byłym cesarstwem niemieckiem jest dość znany, abym o nim wspominał. Drugi zaś, specjalnie między państwami niby sprzymierzonymi, mianowicie Ententą z jednej strony a Polską, Rumunją itd. z drugiej, był pod kilku względami dla nas Polaków niekorzystny a pod jednym nawet upokarzający, bo przyznawał t. zw. mniejszościom narodowym, właściwie żydom, cały szereg przywilejów, któreby wszelkie w rzeczywistości niepodległe państwa odrzuciły z oburzeniem, co też zrobiła Rumunja; gdyby bowiem był ściśle zastosowany w praktyce (na szczęście tak nie jest), to wszystkie polskie sądy i urzędy powinnyby zachowywać szabas, posiadać język hebrajski, a raczej żargon żydowski narówni z polskim. I tu się mieści jeden szczegół, na którym się zatrzymam, bo zdaje się nigdy jeszcze nie był ogłoszony, a może mieć niemałe znaczenie dla historyków (prawd z i w y c h) powstania Polskiego Państwa i zabójczego wpływu wywartego na nasze losy przez wszechświatowe żydostwo. Będąc już na wyjeździe, koło 1 lipca zaprosiłem na pożegnalne śniadanie panów Krzyżanowskiego, księcia Wł. Lubomirskiego i Ksawerego Orłowskiego. Mowa była prawie wyłącznie o dopiero co podpisanym Traktacie Wersalskim, o jego ciężkich dla Polski warunkach i o niepojętej dla wszystkich, szczególnie w porównaniu ze stanowczością rumuńskiego premjera p. Bratiano, ustępliwości naszych pełnomocników.

Wówczas Orłowski wystąpił z opowieścią, której prawie każdy wyraz dosłownie się wraził w moją pamięć, bo rzeczy-

wiecie była arcyciekawą. Kilka dni po zawieszeniu broni 11 listopada 1918 roku odwiedził Orłowskiego baron Maurycy de Rothschild, ambitny członek parlamentu światowo mu znany, i nie bez pewnej uroczystości mu oświadczył, że udaje się do niego jako do wybitnego członka Kolonii polskiej z ostrzeżeniem, które może mieć dla jego, Orłowskiego, ojczyzny, duże znaczenie. Osobiście p. Rothschild, pamiętając, że aż do końca XVIII wieku Polska była najbardziej w Europie tolerancyjnym dla Żydów państwem, życzyłby sobie, żeby kwestja żydowska zupełnie nie była na Kongresie poruszana, lecz pozostawiona układom w samej Warszawie między obywatelami obu wyznań, mojżeszowego i chrześcijańskiego, które potrafią dojść do zgody. Ale ten pogląd nie jest wśród Izraela ogólnie przyjęty. Między chrześcijanami panuje przekonanie, że całe żydostwo na całym świecie jest absolutnie solidarne i w kwestiach politycznych maszeruje jak jeden człowiek: To jest wielki błąd: bo istnieje cały szereg zagadnień, co do których panuje między samymi Żydami wielka rozbieżność; np. w kwestiach społecznych i ekonomicznych, on, Rothschild Żyd, i p. Lejba Trocki także Żyd, idą w zupełnie przeciwnych kierunkach. Lecz jest jeden punkt, na którym rzeczywiście cały naród Izraela jest do ostatniego człowieka absolutnie solidarny, mianowicie kiedy idzie o honor Izraela. Np. w historycznej sprawie Dreyfusa bardzo mało Żydów dbało o to, czy jakiś p. Alfred Dreyfus będzie czy nie będzie gnął dożywotnie na „Wyspie Djabła”. — Ale żaden Żyd na całym świecie nie mógł dopuścić, aby było sądownie przyznanem i stwierdzonem, że oficer Żyd może być zdrajcą swego mundur. Dlatego wówczas Izrael wystąpił rzeczywiście jak jeden człowiek i zwyciężył.

Otóż teraz występuje casus zupełnie analogiczny. Jeśli na Kongresie oficjalnym przedstawicielem Rzeczypospolitej Polskiej będzie (nie wymieniając nazwiska) ten „były od miasta Warszawy członek Dumy Państwowej Rosyjskiej”, który zyskał wszechświatowy rozgłos jako zajadły antysemita, to cały Izrael i p. Rothschild sam będą uważali taką nominację za policzek wymierzony w twarz całego ich narodu i stosownie do tego postąpią. Hrabia Orłowski powinien wiedzieć, że wpływy żydowskie na postanowienia Kongresu pokojowego są bardzo wielkie. Niechaj wie zgóry i uprzedzi, kogo należy, że kiedy Polska będzie oficjalnie reprezentowana przez tego pana, to Izrael zastąpi jej drogę ku wszystkim jej celom, a one są nam znane. „Wy nas znajdziecie na drodze do Gdańska, na drodze do Śląska pruskiego i do Cieszyńskiego, na drodze do Lwowa, na drodze do Wilna i na drodze wszelkich waszych projektów finansowych. Niech pan hrabia to wie i stosownie do tego postąpi.”

Nazajutrz po podpisaniu Wersalskiego Traktatu zdarzyło się, że Orłowski spotkał się z tymże baronem Maurycym de

Rothschild'em w towarzystwie p. Filipa Berthelot'a, wówczas dyrektora a dziś sekretarza generalnego przy Ministerstwie Spraw Zewnętrznych francuskich, u jakichś wspólnych przyjaciół i p. Rothschild prosto z mostu: „Hrabio Orłowski, czy pamięta pan naszą rozmowę w przeszłym listopadzie?” — „Pamiętam.“

— „Otóż pan byłeś uprzedzony i nie możesz się skarżyć, że się stało to, co panu przepowiadałem: „ça y est“. Nieprawdaz, Berthelot?” — Ale pan Berthelot się wykręcił tem, że tą częścią traktatu się nie zajmował.

Gdy Orłowski skończył swoją opowieść, zapytałem go: „A cóż, czy powtórzyłeś tę całą rozmowę z Rothschildem p. Romanowi Dmowskiemu?” — „Nie, bo to było bardzo drażliwe, ale uprzedziłem jego bliskiego przyjaciela Jana Żółtowskiego.“

— O ile znam zacnego ale do przesady delikatnego p. Jana Żółtowskiego, to musiał on tego polecenia nie spełnić. Zresztą pytanie, czy nawet uprzedzony i gotów do osobistego poświęcenia p. Dmowski mógłby z licznych innych względów usunąć się bez znacznej szkody dla sprawy. Tylko prawdopodobnie miałyby się na ostrożności i uniknęłyby pewnych antysemickich manifestacyj, które żydów i ich Kongresowych szabesgojów jeszcze bardziej rozjątrzyły. — „W każdym razie uprzedzam ciebie Ksawery, że ponieważ żadnego zastrzeżenia o poufnym charakterze swojej opowieści nie zrobiłeś, to ja jej przyznaję takie znaczenie historyczne, że zachowuję sobie prawo ją przy okoliczności rozgłosić.“ — „A rozgłaszaj sobie, kiedy chcesz!“

Otóż i rozgłaszam.



## Rozdział XIV.

Powrót do kraju. — Warszawa w lipcu 1919. — Wilno. — Osmołowszczyzna. — Uniwersytet Wileński. — Granice wschodnie, memoriał o nich i deputacja do Naczelnika Państwa. — Tragedja łaźduńskiej stadniny.

12 lipca 1919 r., w cztery lata po moim wyjeździe z Petersburga do Szwecji i dalej, opuściłem Paryż i rzemiennym dykaszem na Szwajcarię, Wiedeń itd. trafiłem 3 sierpnia do Warszawy, w której nie byłem od końca stycznia 1915 roku. Na samym wstępie przekonałem się o rzeczywistości opisu, danego mi jeszcze w Paryżu przez jedną z pań warszawskich, która w naszej stolicy przemieszkała cały czas wojny i potem na krótki czas zawitała do stolicy francuskiej. A mianowicie o tym porywie ogólnego wzajemnego wyzyskiwania, który opłamał cały naród polski od samego dnia jego zmartwychwstania, od tego czasu bezustannie się rozwijał i dziś już stanowi najbardziej niepokojącą cechę naszego społeczeństwa na wszystkich jego szczeblach. Na dworcu kolejowym wziąłem dorożkę i oprócz tego, mając duży kufer, który się na koźle nie mieścił, kilkunastoletniego chłopaka z ręczną taczka; gdy zajechawszy na chwilę do mego byłego kolegi I. Szebeki, przy pomocy jego uprzejmego syna znalazłem mięszkanie w Hotelu Angielskim na Wierzbowej, dorożkarz żądał 20 marek (naówczas 4 franki szwajcarskie), a mój smarkacz domagał się 50 marek i to w sposób tak natrętny i grubiański, że młody Szebeko musiał wezwać na pomoc posterunkowego, aby się od niego odczepić.

Przed zachodem słońca zainstalowawszy się, udałem się przez Plac Saski do Klubu Myśliwskiego na byłej Erywańskiej dziś Kredytowej. Nie jestem z natury człowiekiem łatwo wzruszającym się. Przyznam się jednak, że gdym przechodził przez plac, ujrzałem po lewej stronie przez otwarte na wskroś wrota kościelne odprawiające się nabożeństwo katolickie w świątyni, którą zostawiłem jako cerkiew prawosławną, wyłącznie dla naszego upokorzenia wzniesioną, a po prawej stronie wesóło i wcale niezłe grającą orkiestrę wojskową w polskich mundu-

rach, coś mnie gwałtownie ścisnęło za gardło i prawdziwe łzy wystąpiły mi w oczach. Tej chwili rozczulenia już niestety, powtórzyć się nie było sądzonem.

Przebyłem w Warszawie koło trzech tygodni, aby zasięgnąć języka i skomunikować się z moimi bliskimi krewnymi na Litwie. Było to krótko po wydaniu pierwszej ustawy 10 lipca 1919 r. t. zw. agrarnej, ustanawiającej zasadę ograniczenia do bardzo małych rozmiarów ziemskiej własności prywatnej i wywłaszczenia reszty na korzyść włościanstwa. Pamiętając, z jaką gruntownością i kompetencją analogiczna kwestja agrarna za czasów Stołypina była traktowana w Radzie Państwa rosyjskiej, z ciekawości przeczytałem w Monitorze Polskim stenogramy debatów, poprzedzających tę ustawę w naszym pierwszym sejmie ustawodawczym, i byłem zdumiony nie tylko powierzchowności debatów i lekkomyślnością samego postanowienia, w którym brało udział oczywiście tylko z tchórzostwa i płaszczenia się przed demagogją kilku t. zw. obszarników, a szczególnie tem, że w dyskusji, która miała stanowić o całym socjalnym i ekonomicznym ustroju państwa i narodu na całe pokolenia naprzód, przy ustroju niby parlamentarnym, ani Prezes Rady Ministrów p. Paderewski — który powinien był na posiedzenie przylecieć aeroplanem, ani żaden członek gabinetu nie wypowiedział zdania rządu; i rzeczywiście całe ziemiaństwo polskie domyśliło się znaczenia tego, co się stało 10 lipca 1919 roku, dopiero sześć lat później na zjeździe ziemiańskim w Warszawie we wrześniu 1925 roku.

Waluta polska jeszcze stała wcale niczłe. Za markę otrzymywało się 4 korony czeskie, a dolar był notowany 17 marek tak, że aby doprowadzić finanse państwa do równowagi w kraju, wprowadzić częściowo zubożałym dzięki wojnie lecz prawie bez długów państwowych, nie byłoby trudno uporządkować stan ekonomiczny kraju i finansowy państwa..., gdyby o tem pomyślano.

Także mocno mnie zafrasowało to, że w pewnym numerze gazety w sprawozdaniu o miesięcznym ruchu skarbowym przekonałem się, że ledwie dziesiąta część wydatków państwowych pokrywa się z dochodów, a reszta oczywiście z drukowania banknotów. — Pewnego dnia w Klubie Myśliwskim zapytano mnie, jakie na mnie wrażenie robią dotychczas osiągnięte rezultaty w odbudowaniu, a właściwie budowaniu od fundamentów państwa polskiego? Wypowiedziałem zdanie, że aparat państwowy nowoczesny stanowi maszynę tak niezmiernie skomplikowaną, że zmontować ją mogą tylko wytrawni specjaliści i że jeśli w pewnych gałęziach n. p. co do sądownictwa dzięki licznej we wszystkich trzech zaborach naszej palestrze, w kolejnictwie, z biedą w różnych gałęziach Ministerstw Spraw Wewnętrznych, Rolnictwa i Handlu, możemy sobie siako tako sami dać radę, to

w dwóch bez pomocy obcej nie porządnego stworzyć nie jesteśmy w stanie: mianowicie w organizacji wojska, nie stojącego na wyżynie nowoczesnej techniki, i w organizacji rzeczywiście sprężystego aparatu finansowego. Że byłoby niezbędnem zaraz wprowadzić sobie (jak to bardzo skutecznie uczyniła Czechosłowacja) z Francji dość liczne grono wojskowych, a z tejże Francji lub też Włoch, posiadających bardzo dobrą administrację finansową, paczkę t. zw. inspektorów finansowych, którzyby nam w ciągu kilku lat zorganizowali te dwie maszyny, wyszkolili naszych własnych maszynistów, poczem tych gości z pięknym podziękowaniem i dobrym napiwkiem odprawiliby się do domu bez żadnego niebezpieczeństwa, żeby nauczyciele przeistoczyli się na opiekunów, bo Polska obecna jest państwem zbyt obszernem i zaludnionem, żeby miała czegoś podobnego się bać. — Posypały się w moją stronę najrozmaitsze wyrazy oburzenia: „godność narodowa“, czem my gorsi od innych, własna cywilizacja, nowe kajdany, Polonia fara da se“ itd. itd. Musiałem zamilknąć; a teraz po upływie jedenastu lat przypominają mi się uwagi mego przyjaciela w St. Brieuc: w ciągu pierwszego roku naszej niepodległości doskoczyliśmy do rangi sierżantów i... stop, może na wieki wieków.

20 sierpnia wybrałem się do Wilna, zatrzymując się jednakże cały tydzień u siostrzeńca mego pod Wołkowyskiem, aby tam sprowadzić z mego majątku rządcę i dowiedzieć się, jak rzeczy się mają tak u mnie na wsi jak i w moim mieszkaniu wileńskim. Do Wilna dostałem się dopiero 1 września. Zajechałem wprost do mego mieszkania na „Prospekcie“, już przezwanym na ul. Mickiewicza. Znalazłem je stosunkowo w stanie wzorowym, w każdym razie niespodziewanym. Okazało się, że przez cały czas okupacji niemieckiej było zajęte przez jakiegoś wojskowego Ober-lekarsza, wyjątkowego Bosza, który zajmował tylko sypialny pokój i jadalny, ordynansa ulokował w pokoju mego kamerdynera, a salon i gabinet z biblioteką, rzeczywiście ozdobne i bogate w dzieła sztuki, strzegł jakby muzeum, pokazywał czasami swoim gościom, lecz kluczów nie wypuszczał i przed wyjazdem kazał mojej służącej, którą porządnie opłacał i karmił, powiedzieć mi, że jeśli coś zabraknie, to tylko takich rzeczy, które były od niego samego zarekwirowane przez władze wojenne niemieckie, mianowicie miedź kuchenna, bielizna stołowa i pościelowa, również kasa ogniotrwała paryska, którą odnalazłem w jakimś eksniemieckim biurze; chociaż wiele misternie została przez Nibelungów bez żadnego uszkodzenia otwarta, oswobodzona od kilkudziesięciu mniej więcej pamiątkowych monet złotych, odziedziczonych po ś. p. ojcu lub przeze mnie zebranych, lecz wszystkie papiery i dokumenty pozostały

w całości. Bolszewicy w ciągu swego czteromiesięcznego panowania do mieszkania nie zaglądali, albowiem moja siostra przeznaczyła tam ulokować jakąś uczciwą rodzinę polską.

Pierwsze moje wrażenie o starym moim Wilnie było raczej dodatnie; wprawdzie bruk na ulicach i trotuary były w opłakanym stanie, zało choć ustalony przez p. Józefa Piłsudskiego satrapa p. Jerzy Osmołowski we wszystkim, co mogło przynieść jakąś korzyść materialną, rządził krajem na zasadzie „zdobyczy wojennej“, to nie było jeszcze śladu tego systematycznego „odpolszczenia“, które nastąpiło dopiero przy powtórnym wypędzeniu Bolszewików w 1920 roku i z niemiłosierną systematycznością trwa do dziś dnia. Urzędnicy, z którymi przyszło mi mieć do czynienia, byli wszyscy co do jednego miejscowymi Polakami. Niemcy, choć siedzieli trzy i pół roku, w obliczu narodowościowem miasta naturalnie nie zostawili żadnego śladu. — Litewszczyzny, pomimo że wymyślona przez Niemców „Taryba“ miała swoje siedlisko w Wilnie, także było mniej, niż się jej dostrzegało w roku 1915. Co zaś do moskiewszczyzny, to ku mojemu zdumieniu po równo pięćdziesięcioletnich zaiste barbarzyńskich wysiłkach rządu rosyjskiego dla rusyfikacji ludności i nadania miastu fizjonomji rosyjskiej, zostało tylko kilka kopuł cerkiewnych; wystarczyło, że wynieśli się czynownicy i wojsko rosyjskie, i cała rusyfikacja spłynęła jak farba wodna pod nawalnicą. Naogół powtórzył się, ale może jeszcze bardziej gruntownie fenomen, który zauważyłem w Poznaniu w roku 1920, porównywując charakter narodowościowy tego miasta z tym, który widziałem w czasie moich dwóch w nim pobyków, w 1900 i 1906 roku. Słusznie mówią Francuzi: *La terre boit les hommes*.

Komunikacje kolejowe były wówczas, jak każdy bodaj jeszcze pamięta, tak nieregularne, pociągi tak przepełnione, że chcąc zaglądnąć do majątku, kazałem po siebie posłać jedyną przez Niemców pozostawioną bryczkę parokonną i wózek pod rzeczy, a zanoconawszy po drodze u znajomego ziemianina, dojechałem do swoich Łazdun przedpotopowym sposobem 20 września. Tam już zupełnie inne niż w Wilnie wrażenie. Linja bojowa niemiecko-rosyjska przechodziła przez mój majątek o 10 km od pałacu. Chociaż na mojem terytorjum potyczek nie było, lecz jak to zresztą wyczytałem w genewskiej „*Guerre mondiale*“ we wrześniu 1915 roku, walka artyleryjska trwała kilka dni, nim się Moskale cofnęli za rzekę Berezynę zachodnią i tam także na mojej ziemi się okopali. Dwór służył w ciągu przeszło trzech lat za rezydencję sztabu całej dywizji niemieckiej. W pałacu rozlokowało się około 40 oficerów z jakąś ekscelencją na czele; dla wygody tego żołdactwa z 32 ubikacyj zrobiono zapomocą przepierzeń 40; cięższe meble (bufet, bilard, szafy biblioteczne dębowe) zostały na miejscu, a wszystkie

lżejsze i wykwintniejsze oraz przedmioty ozdobne pojechały do Vaterlandu; pomimo tego, ponieważ 40 oficerów Boszów na ziemi siedzieć i spać nie chciało, pozostawili wszędzie więcej mebli niż ich było, prawdopodobnie ściągniętych z okolicznych skromniejszych dworów, plebanij, mieszkań żydowskich itp. Najboleśniejsem dla mnie było splądrowanie mojej biblioteki i archiwum. Ze czterech tysięcy kilkuset tomów zostało ledwie dwa tysiące, po większej części niekompletnych. Co zaś do archiwum, to prawdopodobnie w przewidywaniu zamierzonego wywłaszczenia większych majątków polskich na korzyść niemieckich „mężów krajowi zasłużonych“ okupanci tak starannie oczyszczili dwie specjalnie wmurowane szafy, że nie zostawili nawet świstka z całej mojej starannie złożonej i skatalogowanej korespondencji ze ś. p. moim ojcem od 1858 do 1906 roku (kiedym go stracił), która ze względu na głęboki rozum i wykształcenie nieboszczyka ojca miałaby bodaj daleko większą wartość historyczną i literacką niż obecne moje pamiętniki.

W majątku szkody były wielkie. Ogromna gorzelnia parowa, która była jakby osią całego mego gospodarstwa, już ogołocona przez Moskali z całej miedzi, była przez Niemców również ogołocona ze wszelkich żelaznych części i przerobiona na koszary. Duży, murowany na sklepieniach śpichlerz przerobiony na jakąś szwajcarską willę dla nie mieszczących się w pałacu oficerów. Krowiarnia na 110 sztuk bydła, przerobiona na kinematograf dla wojska, stajnia cugowa. w której mieściła się także stadnina (w ostatniej chwili ewakuowana do Rosji), na 60 koni doszczętnie spalona pociskiem. W dużej wozowni. w której posiadałem prawdziwą kolekcję eleganckich powozów wszelkiego typu, znalazłem tylko starą niemiecką landarę bez kół i bryczulkę poznańskiego typu, na której przyjechałem. Co do pól, Niemcy od pierwszego roku zaczęli siać wyłącznie żyto po życie bez sztucznych nawozów ani obornika, albowiem wszystkie konie prócz kilku oficerskich trzymali po wioskach. w których rozlokowali liczne żołnierstwo. Jednak ponieważ dopiero w końcu września 1918 roku przekonali się, że przyjdzie im kraj ewakuować, zostawili zasiane żytem 160 kilka hektarów, co pozwoliło do czegoś przyczepić zmartwychwstające gospodarstwo. W lasach, których naówczas posiadałem 4000 hektarów, było jeszcze gorzej. Niemcy zainstalowali w nich dwa tartaki i dwie maszyny do tarcia wełny drzewnej, które w ciągu trzech i pół lat pozwoliły im wysłać do Vaterlandu niemniej niż sto tysięcy metrów sześciennych drzewa. To był system zastosowany w całym kraju w miejscowościach niezbyt oddalonych od kolei i, jak mi mówił hr. Puttkammer, gdy zaraz po ewakuacji niemieckiej wyjechał do Szwajcarii, to od granicy pruskiej jechał kilkadziesiąt kilometrów w prawdziwym tunelu złożonym ze stosów naszego litewskiego drzewa. Po stronie

moskiewskiej, gdzie się znajdowało jeszcze koło tysiąca hektarów lasu, eksploatacji nie było, lecz niemiłosierne niszczenie, tak dla okopów jak i dla wyłożenia okraglakami wszystkich dróg i drózek w błotnistej okolicy. Pomimo to jeszcze było możebnem dla mnie mieszkać w domu i zająć się odbudowaniem gospodarstwa, naturalnie na stopie bezporównania skromniejszej niż dawniej. Było sądzonem (to powiem dalej) Rzeczypospolitej Polskiej uniemożliwić mi i przebywanie we własnym domu i rozpoczęcie jakiegokolwiek mogącego się opłacić gospodarstwa.

Jednocześnie dokompletowałem już, że tak powiem, na własnej skórze moje informacje o sposobie rządzenia byłym „północno-zachodnim“ krajem, oswobodzonym przez Polskę. Ta t. zw. „Osmołowszczyzna“ stanowiła wprost coś fantastycznego. To tem bardziej było dziwnem, że p. Jerzy Osmołowski, który mnie po moim powrocie do Wilna zaszczycił swoją wizytą, wskutek czego sam go odwiedziłem, robił osobiście raczej dodatnie wrażenie. Przystojny mężczyzna średniego wieku, dobrych form, dobrze się wyrażający, nie wypowiadający żadnych zdań mogących razić takiego starego klasyka jak ja, na wszystko się zgadzał, prawie wszystko obiecywał, a potem wydawał „rozporządzenia“. A tu już choć za głowę się chwyta. Te rozporządzenia, mające siłę prawa obowiązującego i zmieniające wszelkie dotychczasowe prawodawstwo, rozciągały się na wszelkie możebne strony życia prawnego, ekonomicznego, rolniczego, finansowego, z fantazją godną jakiegoś średniowiecznego cara moskiewskiego lub bagdadzkiego kalifa. Nie nadarzyła się ku temu okazja, ale gdyby była, to nie wątpię, że p. Jerzy Osmołowski jakiejś lekko uszkodzonej pannie na wzór cara Mikołaja I „najmiłosierniej“ kazałby „być po dawnemu dziewczicą.“

Dotychczas nie zgłębiłem zasady jurydycznej, na której się opierało to prawodawstwo. Wszak p. Józef Piłsudski, wówczas jeszcze nie marszałek, który p. Osmołowskiego mianował i powierzył mu „rządzenie“ krajem, nie mógł na starej zasadzie „nemo plus iuris transferre potest quam ipse habet“ przelać na swego satrapę władzy prawodawczej, której sam jako naczelnik państwa polskiego nie posiadał. Tymczasem wśród wydanych w ciągu kilku miesięcy od dnia przepędzenia Bolszewików przez Komisarza Generalnego Ziem Wschodnich rozporządzeń, już wówczas zanotowałem sobie następne perły: Rozporządzenie 5 sierpnia 1919 głosi, że na „terenie ziem wschodnich i obwodu białostockiego (t. j. naówczas na przestrzemi większej niż cała Kongresówka) wszystkie fabryki wyrobów użytku powszechnego oraz demontowane ich części składowe: tartaki, elektrownie, gorzelnie, krochmalnie, cegielnie, fabryki zapalek i t. p.,

prasy do siana, maszyny do torfu, dobra państwowe, pola zasiane, łąki, lasy, drzewa, narzędzia rolnicze — niezwłocznie i bezpośrednio przejmuję w administrację komisarz generalny zarządu cywilnego ziem wschodnich, który sporządzi niezwłocznie inwentarz przejętych wartości i prześle go prezydentowi Rady Ministrów.“

Proszę tylko zważyć prawdziwy sens tego rozporządzenia, gdyby było akuratnie i sumiennie wypełnione przez władze niższe! Ani jeden z jakich czterech milionów mieszkańców tego niby „oswobodzonego“ obszernego kraju nie mógłby rozporządzać swobodnie czemkolwiek bądź ze swego dotychczasowego mienia prócz ubrania na plecach i zawartości swoich kieszeni. Na szczęście większość urzędników wprost wstydziła się wykonać ten warjacki ukaz, choć były zaiste ohydne przykłady. I tak, pani Bittnerowa (koło Wołkowyska) i p. Józef Biszewski w świeciańskim powiecie posiadali w chwili okupacji niemieckiej dwie połączne lokomobile parowe. Niemcy je zarekwirowali do swoich stacyj elektrycznych; wynosząc się, pozwolili właścicielom zabrać je napowrót, o czym dowiedziawszy się komisarz ziem wschodnich, przywłaszczył je sobie. Drugi przykład: Bolszewicy, jak już powiedziałem nakazali wszystkim osobom prywatnym całą swoją gotówkę ponad 1000 rubli, a bankom ponad sumę znacznie wyższą, złożyć za pokwitowaniem w depozyt kasy sówjeckiej. Wkroczenie do miasta pułkownika Beliny-Prażmowskiego było tak raptowne, że Bolszewicy nie zdążyli tej kasy wywieźć; i władze polskie znalazły w niej 11 milionów rubli carskich, wynoszących jeszcze wówczas koło miliona dolarów. Gdy właściciele złożonych kapitałów zażądali z kwitami w ręku zwrotu swoich depozytów, nie zwrócono im ani szeląga pod pretekstem, że „Rzeczpospolita Polska nie uznaje długów bolszewickich.“ Ona uznawała tylko ich wierzytelności.

Do rządu takich rozporządzeń należało jedno, nacechowane nie tylko grubą samowolnością, lecz i żalosną głupotą, a dla mnie bardzo dotkliwe. Podczas czteromiesięcznego panowania bolszewickiego (styczeń - kwiecień 1919) włościanie rzucili się na pańskie lasy i porobili sobie ogromne zapasy najlepszego budulca. Skoro pokazały się polskie konfederatki, liczne gminy, sądząc, że nastanie rozrachunek z „panami“, postanowiły ich dobrowolnie wynagrodzić. Moja gmina, w której tylko jedna wioska Bajrasze w rabunku udziału nie wzięła, ofiarowała zapłacić 80 tysięcy rubli „carskich“, naówczas dobrych 6 tysięcy dolarów, które odrazu pozwoliłyby siako tako wskrzesić gospodarstwo. Pan Świętorzecki, zarządca dóbr państwa i leśnictwa, oczywiście z rozkazu, bo sam był właścicielem cennych lasów, zabronił włościanom przez swoich leśniczych wypłacać pieniądze poszkodowanym właścicielom, ogłaszając, że rząd drzewo zabierze „dla odbudowania kraju“, a z właścicielami się rozrachuje.

W rzeczywistości rozrachunek nigdy nie nastąpił, a gdyby nastąpił, to naturalnie dzięki upadkowi marki tylko w formie oszustwa. Ten budulec nie został przyjęty, włościanie go użyć nie śmieli... i cały doszczętnie zgnił. Wszystkie te rozporządzenia kończyły się stereotypowym frazesem: „dochodzenia sądowe są niedopuszczalne“.

Rozumie się, że te wszystkie mongolskie hece prawodawcze i administracyjne już wówczas oburzały wszystkich mieszkańców kraju, o ile osobiście z nich nie korzystali. To też jeszcze przed moim wyjazdem z Wilna do Łazdun kilku ziemian prosiło mnie o wysłudjowanie prawodawstwa komisariatu generalnego ziem wschodnich dla zestawienia odpowiedniego memorjału i przedstawienia go Naczelnikowi Państwa, czy przez jaką deputację wysłaną do Warszawy, czy też przy okazji oczekiwanego przyjazdu do Wilna p. Piłsudskiego na inaugurację wskrzeszonego Uniwersytetu Wileńskiego.

Wieczorami opracowałem odpowiedni rodzaj monografji i po powrocie do Wilna 1 października przedstawiłem go na zebraniu około dziesięciu ziemian u p. Stanisława Kognowickiego, właściciela ziemskiego w ziemi kowieńskiej i naówczas głównego dyrektora Banku Handlowego. Postanowiono streścić moją pracę, czem się zajął pan Tomasz Zan, w formie skargi do Naczelnika Państwa, czy też Wodza Naczelnego, ponieważ pod tym tytułem p. Józef Piłsudski przyznał sobie władzę autokratyczną nad naszym krajem, i domagać się od niego naznaczenia przy komisarzu generalnym ziem wschodnich osobnej rady rzeczoznawców, złożonych z kompetentnych przedstawicieli rolnictwa, przemysłu i handlu, oraz paru profesorów fakultetu prawnego i członków sądownictwa, bez udziału których nie miałyby prawa wydawać swoich „najwyższych ukazów“. Wybrano w tym celu deputację z trzech czy czterech członków, do której należeć nie chciałem, domyślając się już, że p. Piłsudski do mnie sympatji nie czuje i że mój udział w tej deputacji mógłby zaszkodzić jej powodzeniu. Po przybyciu na otwarcie uniwersytetu p. Piłsudski tę deputację przyjął... i wykpił. O dziwacznych rozporządzeniach p. Osmołowskiego nawet nie wspomniał, żadnego odwołać lub zmienić nie obiecał, a co do projektowanej rady przybocznej odpowiedział, że naznaczenie takiej komisji doradczej przewyższa władzę, którą sobie przyznał (choć nie przewyższała konfiskaty całego ruchomego i nieruchomego mienia wszystkich obywateli kraju), lecz proponował tym panom: złożyć taką komisję mędrców z delegatów... rad gminnych, tylko co zaprowadzonych i złożonych wyłącznie z chłopców analfabetów, inaczej mówiąc „sowieców muzycznych deputatów“ na wzór bolszewickich. Panowie delegaci poszli z długimi nosami, a p. Jerzy Osmołowski dalej sobie



hulał, aż następnej wiosny cichaczem drapnął przed czerwcową ofensywą bolszewicką.<sup>1</sup>

Mniej więcej w środku października odbyło się niby uroczyste otwarcie uniwersytetu. W rzeczywistości miało ono raczej mizerny wygląd. Ograniczyło się wszystko do nabożeństwa i posiedzenia w szczupłych rozmiarach auli starego uniwersytetu, a wieczorem rautem w byłym pałacu generał-gubernatorskim. Na obu ceremoniach „Komendant“, który jeszcze wówczas nie nosił ani „demokratycznego“ tytułu Marszałka Polski, ani wielkiej wstęgi Legji Honorowej, wystąpił w swojej zwykłej, szarej, obcisłej, krótkiej kurtce, coś w rodzaju Napoleonowskiego szarego surduta. W auli zostaliśmy uszczęśliwieni mówką, z której zostało mi w pamięci, że odtąd należy się nam kierować zupełnie nowymi zasadami, a zapomnieć o przesadach, które nam dotychczas wbijano w głowę. Do tych przesądów należało „nie porywaj się z motyką na słońce.“

Raut wieczorny, na którym byłem uszczęśliwiony prezentacją, był dlatego nieudany, że kilkaset obecnych pań i dojrzałych lub starych mężczyzn musiało kilka godzin stać z braku siedzeń. Albowiem Rosjanie w 1914 r. przerobili pałac generał-gubernatorski na szpital wojskowy. Przy ewakuacji miasta w 1915 r. rannych zostawili za sobą pod nadzorem sióstr miłosierdzia, które swoich chorych nie opuściły, a starszej między nimi pani Jewdokimowej wyższa władza wojskowa na wszelki przypadek zostawiła prawo „główniej komendy“ nad pałacem. Na tej zupełnie prawnej podstawie, gdy zabrakło środków na utrzymanie pozostałych rannych, pani Jewdokimowa zaczęła rozprzedawać pierwiej meble luksusowe, po większej części zabytki z czasów Aleksandra I, a potem i wszelkie zbywające meble użytkowe. Pierwsze zostały rozkupione za gotowe pieniądze przez Niemców, którzy je wyprawili do Vaterlandu, lub przez miejscowych zamożniejszych mieszkańców, między innymi mego siostrzeńca Meysztłowicza i hr. A. Tyszkiewicza. Te ostatnie p. komisarz generalny ziem wschodnich na mocy wyżej

<sup>1</sup> Ten p. Osmołowski aż do nawałnicy bolszewickiej 1920 r. cieszył się bezgraniczną protekcją i zaufaniem swojego szefa, a po powrotnym oswobodzeniu Wileńszczyzny (jesienią 1920 r.) dał takiego nura, że nawet nie było już słyhać o pięknym p. Jerzym. Dlaczego? Chyba nie za jakie nadużycia władzy, bo ich było aż nadto dosyć już jesienią 1919 r., ani też za jego ucieczkę z zagrożonego kraju. Jediną zasługę, jaką trzeba przyznać byłemu salarapie, jest ta, że choć szczególnej gorliwości pod tym względem nie okazywał, jednak w niczem nie przeszkadzał bystrej polonizacji powierzonego mu kraju, która od 1905 r. szła olbrzymimi krokami, aż ją od czasu „buntu“ gen. Żeligowskiego gwałtownie — i po dzień dzisiejszy trwale — odepchnięto wstecz.

wydanego rozporządzenia o „zdobyczy wojennej“ wprost ściągnął policją bez żadnego odszkodowania i ozdobił niemi prywatne pokoje, przeznaczone dla wysokiego gościa, pospolitych zaś mebli nie odszukał.

W tym samym miesiącu październiku przyjechał z Paryża znany petersburski inżynier p. Słaboszewicz z wiadomością, że jakoby Rada Najwyższa ma się zająć niebawem ustanowieniem granic wschodnich Rzeczypospolitej, że sprawa nie stoi w wyśmienicie i że jest mocniej popierana przez naszych przeciwników niż z naszej strony, i w tym celu prosił wyżej wspomnianego pana Kognowickiego, aby urządził u siebie zebranie bardziej kompetentnych kresowców, na którem, pamiętam, byli prócz mnie p. Stanisław Łopaciński z Inflant polskich, p. Aleksander Meysztowicz, hr. Marjan Plater, p. Tomasz Zan z Kowieńszczyzny, p. Stanisław Wańkowicz jednocześnie z ziemi wileńskiej i z mińskiej, i paru innych. Ponieważ brakowało przedstawicieli Wołynia, Podola i Galicji Wschodniej, postanowiono po określeniu życzeń obecnych i dla rozszerzenia i wzmocnienia akcji, przenieść ją do Warszawy. Udałem się do niej koło 1 listopada. Tam przyłączyli się do narad prof. Szymon Askenazy, prof. Kamieński (poseł na sejm), Stanisław Horwatt, były członek Rady Państwa, Ignacy Szebeko (tak samo), hr. Leon Łubieński, były członek Dumy Państwowej, Podhorski, inżynier Sużycki i paru innych rzadziej na posiedzenia uczęszczających. Odbyły się dość liczne posiedzenia w mieszkaniu księcia Stanisława Lubomirskiego w pałacu Potockich, na których rozpatrzone i kwestję granic i metodę dla przeprowadzenia naszych dezyderatów. Co do pierwszych jednogłośnie przyznano, że chociaż teoretycznie i prawnie należałoby się trzymać granic 1772 roku, jednakże w celach większej spójności wskrzeszonej ojczyzny i aby nie obciążać jej zbyt ciężarem obcych elementów, wypada obecnie domagać się tylko tych ziem, w których polski element jest dostatecznie liczny i silny, żeby stopniowo i pokojowo spodziewać się dobrowolnej asymilacji elementów obcych, t. j. domagać się linji, któraby od północy ku południowi objęła, jak następuje:

Inflanty polskie czyli powiaty: drysieński, dynaburski, rzeczycki i luczyński, dalej powiaty lepelski, połocki, witebski i siebierski, całą Litwę Kowieńską z uwzględnieniem jej odrębności językowej, zachodnią część byłej gubernji mohylewskiej, całą byłą gubernję mińską aż do połączenia Prypeci z Dnieprem, a odtąd ciągnęłaby się brzegiem rzeki Teterów od miasteczka Konstantynów ku Dniestrowi z włączeniem do Rzeczypospolitej całego Wołynia i trzech do czterech zachodnich po-

wiatów dawnej gubernji podolskiej aż do granicy besarabskiej; (większości Podola i całej Kijowszczyzny za zgodą pochodzących stamtąd pp. Horwatta i Podhorskiego postanowiono wyrzec się, aby nie wcielać do Rzeczypospolitej zbyt wielkiej liczby prawosławnych Rusinów).

Co do stosunku tych ziem do rdzennej Polski uważano, że przy takich rozmiarach byłoby ostrożniejszem nie wcielić ich do jedyne go Państwa, lecz na pewien czas wskrzesić dawną Unję, ciasną nazewną, luźniejszą wewnątrz, przynajmniej pod względem administracyjnym i ekonomicznym.

Wkońcu jednogłośnie przyznano, że dotychczasowa postawa jeszcze egzystującego Komitetu Narodowego (było to w czasie ciężkiej choroby, potem dłuższej podróży do Afryki p. R. Dmowskiego) w kwestji naszych Kresów i znane jego tendencje restrykcyjne nie pozwalają powierzyć jemu wyłącznie obrony naszej tezy przed Radą Najwyższą i że Rząd Polski powinien tę obronę powierzyć osobnej nielicznej deputacji.

Całe debaty, toczące się wśród zebrań nigdy nie przewyższających tuzina uczestników, nosiły rzadki charakter dojrzałości, spokoju i prawie zawsze jednomyślności. Po przegłosowaniu tylko co wyjaśnionych myśli wytycznych postanowiono streścić je w formie umotywowanego memorjału, który przedstawiony i aprobowany na ostatecznem posiedzeniu tego zebrańia byłby złożony w jego imieniu Ministrowi Spraw Zagranicznych (wówczas jeszcze p. Paderewskiemu) i Naczelnikowi Państwa.

Redakcję memorjału powierzono mnie. Po kilku dniach był gotowy, z małemi zmianami przez wszystkich aprobowany, a ponieważ większość członków się rozjeżdżała, wybrano deputację w osobach mojej i p. Horwatta, Słaboszewicza i Suzyckiego. Ledwie potrzebuję dodać, że w tym memorjale nie wyrażałem wyłącznie i absolutnie moich własnych myśli, sądząc co do mnie, że projektowana linja graniczna szła na wschodnich brzegach Dźwiny i Dniepru trochę za daleko, lecz wyrażałem, jak to powinno być, zdanie i postanowienie większości. Nie podaję przy końcu jako aneksu dosłownej treści tego memorjału, bo jak się okazało z tekstu traktatu ryskiego, żadnego wpływu na losy sprawy nie wywarł.

Nim memorjał został zupełnie na czysto przepisany i podpisany, Ministerjum p. Paderewskiego upadło. — Nastąpił gabinet p. Skulskiego z p. Patkiem na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który wnet po nominacji wyjechał zagranicę; dowiedzieliśmy się, że kwestja granic wschodnich obecnie rozstrzygnięta nie będzie (jak wiadomo, została ustalona dopiero

w 1923 r.). Wobec tego wszystko straciło na aktualności. Niemniej moi towarzysze znajdowali, że należy kwestję oraz żądania naszej narady zakomunikować Naczelnikowi Państwa, i w tym celu wystarali się dla nas czterech o specjalne przyjęcie. Wybrałem się na nie bez nadziei jakiego praktycznego rezultatu, raczej z ciekawości poznania się z bądź co bądź bardzo niepospolitym człowiekiem. Moi koledzy pp. Horwatt, Staboszewicz i Sużycki prosili mnie, abym w ich imieniu przemówił. Wolałem wprost prosić Naczelnika Państwa, aby pozwolił mi odczytać mu nasz memorjał. On zaś odrzekł, że nie posiada dość stałej uwagi, żeby podczas czytania nie ulec dystrakcji, i prosił, abym mu słownie wypowiedział nasze poglądy i postulaty, co też zrobiłem, właściwie powtarzając prawie dosłownie treść memorjału, co mnie jako redaktorowi jego było łatwem. Słuchał z uwagą, ani razu mi nie przerywając i podczas mojej co najmniej trzydziestominutowej perory zauważyłem jeden szczegół, który na człowieku zbyt otwartym, jakim jestem, zrobił niekoniecznie dodatnie wrażenie, mianowicie, że systematycznie unikał wzroku człowieka, który do niego przemawiał, jakgdyby nie chciał mu dać możności wyczytania w jego oczach wrażenia rozwijającej się mowy. W mojej dość długiej i obfitej karierze oratorskiej zawsze miałem zwyczaj patrzeć prosto w oczy najczęściej dwom czy trzem wybranym słuchaczom, w ich wzroku wyczytywać wrażenie moich słów, aby do nich dodawać potrzebne ingredjencje. Większość aktorów czyni to na scenie jak kucharz, który próbuje palcem gotującą się potrawę i dodaje do niej tę lub ową przyprawę. Gdym skończył, p. Piłsudski zabrał głos i zawiązała się między nim a moimi kolegami dość ożywiona rozmowa, w której oprócz jednego razu czynnego udziału nie brałem. Starannie unikając wszystkiego, co by mogło wyglądać jako obietnica lub wyjaśnienie swoich postanowień, szczególnie zastanawiał się bystro i jasno nad trudnościami, na jakie napotka urzeczywistnienie naszego programu. Między innemi nawiązując do naszej myśli, że akcja dla ustalenia naszych granic wschodnich, właściwie skierowana obecnie przeciw dzierżącym Rosję w swoim ręku Bolszewikom, wymagałaby porozumienia z kontr-rewolucyjną akcją rosyjską, którą wówczas prowadził generał Denikin, p. Piłsudski opowiedział nam następny szczegół, który w wielkiej mierze usprawiedliwia go od uczynionego mu później przez prasę berlińską zarzutu, że jakoby w końcu 1919 roku porozumiał się z Bolszewikami i odmówił czynnej pomocy polskiego wojska wówczas jeszcze walczącemu Denikinowi. Otóż jakoby p. Piłsudski, słusznie mojem zdaniem, nie chcąc kosztem Polski wyciągać kasztanów z ognia dla p. Denikina, żądał, żeby w razie powodzenia obu antybolszewickich wojsk Polska miała zagwarantowane i w zasadzie określone granice wschodnie od

strony restaurowanej Rosji. W tym celu były prowadzone z generałem Denikinem formalne, otwarte pertraktacje, przyczem ostateczne wymagania generała Denikina były następne: przyznawał zupełnie niepodległe Państwo Polskie, złożone z byłego Księstwa Poznańskiego, Galicji Zachodniej i byłej Kongresówki — pozostawiając jednak tutaj kwestję Chełmszczyzny „odkrytą”. Co do reszty Kresów, już będących lub mogących podczas operacyj obu wojsk popaść w ręce wojsk polskich, aż do końca wojny z Bolszewją i restauracji prawidłowego rządu rosyjskiego, stan tych wszystkich niegdyś lub nawet w tej chwili polskich terytorjów byłby następny: Polska okupacja wojskowa przy natychmiastowym wprowadzeniu zarządu cywilnego rosyjskiego (polskaja wojennaja okupacja pri niemiedlennom wwieđenii ruskawo grażdanskawo uprawlenia). Co do mnie, rozumiem, że p. Józef Piłsudski na taki program się nie zgodził.

Ciekawym szczegółem tej rozmowy, bo malującym całą umysłowość męża stanu, był następny. Pan Piłsudski moeno nastawał na to, że prosty lud na Kresach właściwie nie jest polskim, żadnego patriotyzmu polskiego odczuwać nie może i trzeba by było wyjaśnić, co Polska tej ludności przyniesie, aby ją do siebie przywiązać i zyskać jej dobrowolne uznanie. Ponieważ na tej myśli zatrzymywał się z niemałym naciskiem, zabrałem głos i powiedziałem mniej więcej: że jeśli pan Naczelnik Państwa pod tem, co Polska przyniesie tym obcoplemiencom, szczególnie Białorusinom, rozumie jakieś ideały, porywy uczuciowe, głośnie hasła patriotyczne, polityczne, nawet socjalne, religijne itd., jest pewnem, że ona im właściwie nie przyniesie i przynosić im tego nie warto, bo ci ludzie, których (przynajmniej Białorusinów) dobrze znam, są na te wszystkie pobudki ideowe najkompletniej nieczuli. — Ale zato ci ludzie są wielce praktyczni. Doskonale rozumieją, co im jest potrzebne i korzystne. Nie są jeszcze kulturalni, ale potrzebę kultury już głęboko odczuwają i namiętnie do niej dążą. A tu właśnie Polska może im dać dobro dla nich nieocenione, którego ani od Rosji carskiej ani od niemieckich okupantów, jeszcze bardziej od Bolszewików nie doznali, t. j. dobrą i praktyczną administrację. Wogóle we wszystkich krajach polityka, formy rządowe itp. interesują często do namiętności tylko sfery inteligentne lub półinteligentne. Lecz administracja interesuje do żywego najskromniejszego pacholka na wsi. On już czuje, że mu są potrzebne najrozmaitsze dogodności życiowe, których ani on sam ani jego gmina dostarczyć mu nie mogą, lecz tylko państwo. On już potrzebuje i to coraz gwałtowniej dobrych dróg komunikacyjnych, szkół, szpitali, poczt, dobrych sądów, dobrej polieji, instytucyj asekuracyjnych, kas oszczędnościowych itd. itd. To wszystko należy nie do dziedziny polityki, ani do form zewnętrznych rządu, ale do administracji.

Niech Polska tym ludnościom obcoplemiennym, pozbawionym dotychczas tak polskiego jak i rosyjskiego patriotyzmu, ale potrzebującym i pragnącym we wszystkich kierunkach postępu. przyniesie to, co się nazywa dobrą administracją, to one się do niej prędko przywiążą i będą jej broniły tak, jak chłop i proślak niemiecki, którzy dali Wilhelmowi II wyssać prawie ostatnią kroplę ich krwi i potu nie dlatego, żeby im szło o wielkość domu Hohenzollernów lub o „Deutschland über alles“, ale dlatego, że niemiecka administracja im dostarczała masy codziennie odczutyh korzyści i wygod, bez których nie mogliby się już obejść. Inaczej mówiąc, czuli się akcjonariuszami ogromnego stowarzyszenia, które im dawało dużą dywidendę.

Podczas tej mówki, wypowiedzianej nie bez swady, nakoniec zostałem uszczęśliwiony prostem i ciekawem spojrzeniem wielkiego człowieka, skierowanem wprost w moje oczy; a w jego własnych czytałem jasno: o czym ten stary dziad durzy mi głowę? Wszak ja jestem przede wszystkim politykiem. Polityka polega na rozmaitych zręcznych manewrach, jednych zjednać, drugich obalamucić, trzecim stołka postawić, przede wszystkim zorganizować sobie samemu jak najliczniejszy i najwierniejszy orszak zwolenników, wznosić się w sławę i robić „bajeczną karierę“. A tu mi opowiadają o jakichś drogach, szkołach, szpitalach, kasach itp. gminnych przedmiotach. Od tego są u mnie urzędnicy, którzy dadzą sobie radę, jak po-  
trafią.

Podczas powrotu jeden z moich towarzyszy, p. Sużycki, zapytał mnie, jakie wynoszę wrażenie z naszej rozmowy i z samego p. Piłsudskiego. Odpowiedziałem: co do rozmowy, to mniej więcej się domyślam tego, czego w kwestji naszych granic Naczelnik Państwa się obawia, mniej czego się spodziewa, ale o tem, co zamierza zrobić, nie mam najmniejszego pojęcia; o ile sam je ma, to oczywiście nie chce, żebyśmy się tego domyślali. Co zaś do człowieka, nic o nim panu nie powiem, bo rzadko w życiu spotkałem tak nieprzenikliwego.

Rzeczywiście toczących się już wówczas umów z Petlurą, katem ziemiaństwa polskiego, projektowanej ekspedycji na Kijów i jej następstw nikt się jeszcze nie domyślał nawet podobno wśród odpowiedzialnego rządu.

Muszę przyznać, że jednego przeze mnie prawie oczekiwanego wrażenia nie doznałem. Pan Józef Piłsudski już wówczas dowiedział, że posiada ten zespół zalet i wad, u nas Polaków bardzo rzadki, który stanowi t. zw. przewodników ludzi (*conducteurs d'hommes*). Do nich zaliczano jego wielki urok osobisty, ten częsty dar wybitnych awanturników n. p. Napoleona III, Cezarego Borgia i innych mniej udanych, choćby krótkotrwałego meteora, jakim był generał Boulanger; dzięki niemu ci ludzie umieją do siebie przywiązać na wieki niemal

wszystkich tych, którzy mieli z nimi styczność osobistą. Że pan Piłsudski ten urok posiada, dowodzi choćby przykład ś. p. księcia Stanisława Radziwiłła, z którym właśnie wówczas codziennie się spotykałem i często rozmawiałem na obiedzie w Klubie Myśliwskim. Póki „nadcześniaka” osobiście nie poznał, jako rdzenny konserwatysta oburzał się, że Polska mogła postawić na czele państwa znanego powszechnie socjalistę. W jesieni 1919 roku widywałem go w Wilnie, gdzie jako oficer łącznikowy z bawiącymi w Wilnie cudzoziemskimi oficerami przemieszczał w pałacu generał-gubernatorskim. Po kilkudniowym pobycie w czasie inauguracji uniwersytetu Naczelnik Państwa wziął go z sobą do Warszawy jako adjutanta, i już koło Nowego Roku zacny i kochany, choć niedaleko widzący Stanisław Radziwiłł nie dopuszczał innego porównania swojego szefa jak z Napoleonem: Cezara uważał za niewystarczającego, a za Hannibala wprost się oburzał. Przyznam się, że tego wrażenia zupełnie nie wyniosłem czy dlatego, że sam bohater nie raczył względem nas, chwilowych gości, eksponować swego magnetyzmu, czy też dlatego, że jestem na podobne wrażenia bardziej odporny.

W tymto czasie (koniec 1919 r.) mieści się epizod moich przygód gospodarczych, na którym warto zatrzymać uwagę czytelnika, bo jaskrawo oświeca pewną, bardzo groźną stronę naszej powojennej psychologii narodowej. Mówię o tym ogólnym zaniku pojęcia o „mojem i twojem”, o tej kompletnej pogardzie, tak ze strony organów państwowych lub społecznych jak ze strony pojedynczych osobistości, dla własności prywatnej, o tej orgji przywłaszczania sobie w najrozmaitszych formach i pod najrozmaitszymi pozorami cudzego mienia, wzbogacania się „prawem i lewem” kosztem bliźniego, o coraz bardziej rozpowszechnionej zasadzie, że kto w danej chwili w jakikolwiek sposób, czyto jako pełnomocnik lub mandatarjusz, depozytariusz, dzierżawca, lokator, dłużnik, współnik, opiekun i t. p. ma chwilowo w ręku cudze dobro, ruchome lub nieruchome, może niem rozporządzać na swoją korzyść, nie narażając się nie tylko na jakąkolwiek rzeczywistą odpowiedzialność, choćby cywilną (ochrona lokatorów, dzierżawców, czeladzi, moratorja, nadzór sądowy nad bankrutami i t. d.) albo nawet na tę ogólną pogardę i bojkot ze strony swego środowiska, które w innych społeczeństwach stanowią najsukuteczniejszy hamulec wrodzonej wszelkiemu człowiekowi chciwości.

Niem mało ludzi przypisuje tę zarazę moralną, która w końcu 1918 r. rozeszła się po całym narodzie i jeszcze trwa, temu, że od pierwszego dnia niepodległości swojej Polska została opano-

wana przez partję socjalistyczną. Sądę, że trzeba ją od tego zarzutu uniewinnić (zasłużyła na dostateczną ilość innych) i że ta zaraza, jak zakopane w ziemi i odkopane mikroby dżumy, ma swoje zarodki w głębokich podkładach duszy narodowej jako zabytek starych obyczajów z czasów „prawem i lewem“, zajazdów jako jedynego skutecznego wykonania dekretów sądowych i t. d. Przytłumiony w ciągu stu dwudziestu lat przez państwa zaborce, które dusząc nas politycznie i narodowościowo, do zatargów prywatnych wprowadziły siaki taki względny porządek i zasadę przymusu, ten instynkt anarchji, samowoli i obdzierania bliźniego, odrazu odżył w roku 1915, skoro okupujące terytorjum polskie mocarstwa rosyjskie i niemieckie, wyłącznie zajęte wojną, zresztą puściły cugle instynktom ludności. Jakoż bezczelna napaść na moją własność, którą zaraz opiszę, rozpoczęła się jeszcze jesienią 1918 r., nim wpływy polskiej partji socjalistycznej zaczęły dawać się odczuwać. Do faktów.

Jak mówiłem, posiadałem w 1915 r. w Łazdunach stadninę końską, która stanowiła jednocześnie najbardziej udane z moich przedsiębiorstw gospodarczych i jedyną poczęt skądinąd wstrętnego mi rzemiosła „hreczkosiecia“. Przewidując już od marca 1915 r. możliwość inwazji niemieckiej, umówiłem się z zarządem stadnin państwowych, że w razie grożącej inwazji niemieckiej stadnina moja będzie ewakuowana w głąb państwa, gdzie główny zarząd stadnin, rozporządzając licznymi dużymi majątkościami, własnymi lub dzierżawionymi, tę stadninę utrzyma do końca wojny, a potem się porachujemy.

Tak się stało. Wybierając się zagranicę w końcu czerwca 1915 r., zostawiłem memu rządcy instrukcję, aby w razie przybliżenia się nieprzyjaciela, pod dyрекcją starszego dozorcę lasów, p. Strzałkowskiego, opatrzonego dostateczną sumą pieniędzy, i starszego stangreta Adama Szurpickiego, całą stadninę wyprawił etapami tam na wschód, dokąd go skierują władze rosyjskie.

W grudniu 1915 r. otrzymałem w Paryżu raport p. Strzałkowskiego, w którym mi donosił, że stadninę w dobrym stanie dostawił do ogromnego majątku Wojejkowo w gubernji penzeńskiej, dzierżawionego przez główny zarząd stadnin państwowych, w którym już się znajdują inne stajnie rozplodowe, ewakuowane z Królestwa, gub. kowieńskiej i t. d. Wszystko jest pod kierunkiem p. Janczewskiego, czynnego członka kowieńskiego Towarzystwa Rolniczego, i dozorem stangreta Szurpickiego, a on, Strzałkowski, nie będąc więcej potrzebnym, objął jakąś posesję w innej gubernji.

W krótkim potem czasie, jak mówiłem wyżej, powierzając memu siostrzeńcowi i plenipotentowi p. Szymonowi Meysztowiczowi uzyskanie indemnizacji za zabrane w chwili niemieckiej



inwazji było, jednocześnie mu poleciłem (i wniosłem to do jego plenipotencji), aby całą tę stadninę albo sprzedał głównemu zarządowi stadnin państwowych, albo rozsprzedał na miejscu, naznaczając jako minimalną cenę czystych 45.000 rb. srebrem, (wówczas 90.000 franków złotem), na które je oceniłem w oślatnim inwentarzu. Albowiem przewidywałem, że wojna się przeciągnie tak długo, że stadnina będzie miała czas sama siebie zjeść, a znowu z korespondencji z moją siostrzenicą, p. Lipkowską na Podolu, wiedziałem, że ta likwidacja łatwo się uda, ponieważ cena na konie dzięki straszniemu wyniszczeniu przez wojnę już wzrosła pięć czy sześć razy w porównaniu z przedwojennymi, a chłop po wschodniej stronie linii bojowej wprost tonął w pieniądzach.

Lecz okazało się, że mój młody pełnomocnik już przyswoił sobie wyżej określoną pookupacyjną etykę i uważał, że mandat równa się darowiźnie od mocodawcy do pełnomocnika lub co najmniej oddaniu się pierwszego pod absolutną opiekę drugiego; odpisał mi, że zdecydował, iż stadnina ciągle rosnąca w wartości powinna być zachowana, dopóki triumfalnie nie powróci do Łazdun; pomimo ciągłych nalegań ani z miejsca nie ruszył, aż we wrześniu 1917 r. za Kiereńskiego dla odczepienia się pojechał na 12 godzin do Wojejkowa, skonstatował, że stadnina jest w dobrym stanie, i choć, jak mi później twierdził p. Janczewski (którego spotkałem w Poznaniu 1920 r.), mógłby dzięki ogromnemu wzrostowi cen wszystko rozprzedać w parę dni na miejscu daleko drożej niż za minimalną, przeze mnie naznaczoną cenę, odjechał i o swojej wycieczce odraportował mi do Paryża; wkrótce po listopadowej rewolucji bolszewickiej uciekł do Szwecji — i już o niczem nie słyszałem aż do mego powrotu do Łazdun latem 1919 roku.

Wówczas dopiero stangret Szurpicki opowiedział mi, że w rok po wizycie p. Meysztowicza w Wojejkowie, t. j. jesienią 1918 r., p. Janczewski mu oświadczył, że rząd polski (regencyjny, a właściwie Centralne Towarzystwo Rolnicze warszawskie) bierze stadninę pod swoją opiekę i że ją sam dostawi do Łazdun, a że on jest dalej niepotrzebny (jako niepożądany świadek tego, co się będzie działo?), więc powinien powrócić do Łazdun koleją, co mu ułatwiono. Naturalnie niezwykle roztropny, razem bardzo interesowny i życzliwy stangret analfabeta posłuchał, zostawił za sobą całą stadninę i wrócił.

Ponieważ o losach tego całego mego mienia nikt mnie nie uwiadomił, a wszak nie byłem w moim kraju szpileczką, której odszukać nie można, pomyślałem, że po wyjeździe Szurpickiego stadnina w rzeczywistości ewakuowaną nie została i zaginęła wśród bolszewickiego kataklizmu, więc postawiłem krzyż nad była moją „poezją”. — A na interwencję nieupoważnionego przeze mnie Centralnego Towarzystwa Rolniczego warszawskiego, tem

mniej uprawnionego, że moja prowincja nie wchodziła do regionu jego czynności, nie oburzałem się, znając jako prawnik, że i prawo rzymskie (pod nazwą: negotiorum gestio) i francuskie (gestion d'affaires), a za niem i polskie kongresowe, znają instytut prawny, pozwalający nieuprawnionemu formalnie człowiekowi wziąć w swoje ręce jakiś cudzy interes, w jego imieniu nawet czynić wydatki i zawierać zobowiązania ze zwrotem mu poniesionych kosztów, ale pod jednym absolutnym warunkiem, którego niedotrzymanie naraża tego „negotiorum gestor'a“ na odpowiedzialność całym własnym funduszem za wszystkie przez właściciela interesu poniesione straty: mianowicie, że od początku do końca postąpi w zawiadywaniu samowolnie wziętym na siebie interesem jako „dobry ojciec rodziny“ (bonus pater familias).

Otóż w listopadzie 1919 r. zupełnie niespodzianie dowiedziałem się, że moja stadnina została rzeczywiście jesienią 1918 r. ewakuowana z Wojejkowa i że jej resztki znajdują się w Warszawie w stajniach pewnego pułku kawalerji za Łazienkami; napisałem do Łazdun, aby mi wraz wysłano stangreta Szurpickiego, a tymczasem rozpocząłem indagację, bardzo utrudnioną tem, że każdy starał się „skrywać końce“; jednak sprawdziłem fakta następujące:

Moja stadnina razem z innemi schronionemi w Wojejkowie końmi polskimi wyruszyła stamtąd w końcu 1918 r. czy początku 1919 r. — Przed wyprawieniem jej został spisany inwentarz, który starannie przepatrzyłem w kancelarji Towarzystwa (za Kopernikiem) i który może jeszcze tam jest. Zupełnie porządny: (przezvisko, płeć, maść, wiek, wartość w rublach podług ceny miejscowej); ogólne oszacowanie moich pięćdziesięciu kilku sztuk wynosiło około 300.000 rubli, t. j. podług ówczesnego kursu w Szwajcarji przeszło 200.000 franków złotych i nie była wygórowaną, ponieważ za czteroletniego ogiera „Tunis“, który podkuty w chwili wyjazdu zachromiał, ocenionego 10.000 rb., wzięto 12.000 rb. — Brakowało tylko w tym inwentarzu, prawdopodobnie celowo, nazwiska właściciela.

Stadnina doszła szczęśliwie do Mińska w chwili, kiedy się toczyła po wyparciu Bolszewików z Wilna niby wojna z nimi. Jakiś czas chroniono ją od rabunku w lasach, gdzie te konie karmiły się jak ptaki niebieskie. Potem były oddane na przechowanie do majątku Łoszyca p. Aleksandra Lubańskiego, graniczącego z przedmieściami Mińska, i tam dorosłe konie, używane do robót polowych, jakiś pokarm dostawały, a młodzież? Potem znowu odprawiono stadninę, już ilościowo zmniejszoną (zaczął dawać się we znaki zupełnie nieprzewidziany wypadek, że niezem niekarmione zwierzęta nie chcą — szelny! — żyć, i wysadzono ją znowu koło Wolkowyska. Tam jeden z młodych Tyszkiewiczów, oficer polski, czy z rozkazu, czy na mocy

„zdobyczy wojennej“ p. Osmołowskiego, capnął ją i dostawił do Warszawy. — Przy pomocy stangreta Szurpickiego udało się utożsamić tylko 14 sztuk, wyłącznie przezimków lub dwulatek, ani jednej matki lub choć trzylatka, musiały po drodze znaleźć amatorów, a wszystko co do nogi ostatecznie zaparszywione, znędzniałe jak Dantego Ugolin we wilgę śmierci, niewarte swojej skóry, rozpaczliwie gryzące swoje puste żłoby. Spektakl wiadomy — i przyczyny — staremu koniarzowi jak ja. — Zawiadujący tą garstką dogorywających zdechłaków generał (nazwiska nie pamiętam) wspaniałomyślnie ofiarował mi przyznać moje prawo własności nad nimi i mnie je oddać za opłatą siedmdziesięciu tysięcy marek kosztów (wówczas niespełna dwa tysiące dolarów).

Zawróciłem się i jeszcze biegam.

W kilka tygodni potem już wszystko wyzdychało co do ogona.

Że przy zwykłych staraniach „dobrych ojców rodziny“ większość tej stadniny powinna była w dobrym stanie powrócić do Łazdun dowodzi to, że w tym samym właśnie czasie 1918—1919, kiedy to nie było z Sowdepją ani wojny ani pokoju:

1. Pan Fryderyk Jurjewicz, obecnie, zdaje się, głównie zarządzający stajniami państwowymi w Warszawie, przeprowadził z Ukrainy, Podola i Odessy do Królestwa w dobrym stanie koło dwustu koni wyścigowych, należących do różnych właścicieli.

2. Hrabia Franciszek Poletyło tak samo urałowal stamtąd dwadzieścia kilka koni.

3. Księżę Władysław Lubomirski przy pomocy dzielnego stangreta także sprowadził z mohilewskiej gubernji pozostałość swojej stajni wyścigowej.

4. I, to najlepsze!!, ten sam p. Janczewski, który w tymże Wojejkowie posiadał kilka swoich własnych koni, mówił mi tu w Poznaniu, że je pomyślnie dowiózł!

Pomimo to żadnych kroków sądowych przeciw nikomu nie rozpocząłem: Osmołowszczyzna już mnie nauczyła, w jakiej „odrodzonej“ atmosferze prawnej przychodzi mi dokończyć starość, a nigdy nie lubiłem narażać się na kiepskie żarty.

Wszelkie komentarze do tej smutnej, lecz prawdziwej historii są zbyteczne.

## Rozdział XV.

Wycieczka zagranicę i powrót do Wilna. — Projekt reformy agrarnej. — Chmury ze Wschodu. — Łazduny. — Wycieczka końmi do Warszawy, z Warszawy do Poznania. — Kórnik. — Artykuł „Vilno ou Vilnius“.

Wkrótce potem wybrałem się zagranicę zwykłą wówczas drogą na Czechy, Wiedeń i Szwajcarię.

Powróciłem do kraju na Berlin, dokąd w 1919 roku władze konsularne w Szwajcarii wizy mi jeszcze nie dały, i pierwszy raz od 1914 r. napatrzyłem się „narodowi enoty i bojaźni przed Bogiem“ w nowej jego, upokorzonej postaci. Jedno mnie pocieszyło za wszystkie od tych barbarzyńców doznane szkody osobiste: to że w półtora roku po zakończeniu wojny w ciągu dwóch dni w całym Berlinie spotkałem tylko jedną otyłą kobietę — a klasycznego, nabitego kielbasą i piwem brzucha niemieckiego nie spotkałem. To wzmocniło moje przekonanie, że kompletne zawalenie się nazewnałrz i nawewnałrz państwa i narodu niemieckiego w roku 1918 było zjawiskiem przeważnie gastrycznym.

Do Warszawy przybyłem w samym końcu maja, w kilka dni po triumfalnym powrocie p. Piłsudskiego z Kijowa. Ten krótki atak baraniego entuzjazmu już przeszedł i zaczęły krążyć mało pocieszające wieści o operacjach wojskowych nie tylko na Ukrainie, lecz nawet nad Dźwiną, gdzie generał Szeptycki, zrzucony z komendy frontu północnego i powrócony do niej, gdy jego następca generał Majewski dał Bolszewikom przedrzeć się przez front, siako tako dziurę zatknął, lecz w powietrzu unosił się niepokój. To też pospieszyłem do Wilna, dokąd przybyłem czwartego czerwca.

W parę dni po moim przyjeździe ukazał się samowładca naszego kraju i wydał do komisarza ziem wschodnich p. Jerzego Osmołowskiego, działającego jak ongi Murawjew na mocy udzielonych mu „wierchownych“ praw, „rozkaz najwyższy“, w którym w formie reskryptów nieboszczyka Mikołaja II rozkazy-

wał mu (sic), aby bezzwłocznie przedstawił do jego (a nie sejmu polskiego) zatwierdzenia projekt reformy agrarnej, oparty na zasadach ustawy agrarnej polskiej 10 lipca 1919 roku. Zaraz po otrzymaniu tego „najłaskawszego reskryptu“ p. Osmołowski zwołał komisję doradczą i zwrócił się do odradzającego się z popiołu Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego z prośbą o naznaczenie do tej komisji dwóch delegatów. Po dwóch czy trzech posiedzeniach, bardzo nielicznych dzięki pospiechowi (kilkunastu członków), lecz po bardzo rzeczowej dyskusji naznaczono jako delegatów ówczesnego prezesa p. Karola Wagnera, doskonałego rolnika a mniej doskonałego ekonomistę, i mnie, dając nam mandat oparty na wytycznych przeze mnie samego proponowanych. W streszczeniu były one następujące: nie zaprzeczać państwu prawa wywłaszczenia własności prywatnej dla jawnej i niezaprzeczanej korzyści kraju i ludności, na ogólnie przyjętej w cywilizowanym świecie zasadzie wynagrodzenia aktualnej i prawdziwej wartości wywłaszczonych ziem, lecz jednocześnie ograniczyć w zastosowaniu taką miarę wyjątkową prawdziwą niezbędnością, inaczej mówiąc, postawić całą kwestję nie na gruncie politycznym lub uczuciowym, nawet nie na jurydycznym, jak to błędnie uczyniono w Warszawie w 1919 roku, lecz wyłącznie na mocnym jak skała gruncie ekonomicznym.

Pierwsze posiedzenie komisji, złożonej z kilku urzędników przy przeważającej liczbie ziemian, miało miejsce pod przewodnictwem p. Osmołowskiego w połowie czerwca. Przedstawiono nam szkic projektu bardzo pospiesznie upieczonego przez podwładnych p. generalnego komisarza, który się go prosto z mostu wyrzekł jako „niedorzecznego“ i prosił nas ziemian o przedstawienie mu kontr-projektu w ciągu jakich dwóch tygodni.

Cały ten incydent był mi strasznie nie na rękę, bo opóźniał o tyle mój wyjazd do Łazdun, gdzie wskutek bardzo niskiego poziomu moich finansów chciałem zająć się częściową sprzedażą mego wówczas rzeczywistie zbyt rozciągniętego majątku i reorganizacją reszty po niemieckiej i pierwszej bolszewickiej inwazjach. Jednak jako dobry społeczny koń dyszlowy zostałem w mieście; z polecenia i po aprobach moich kolegów oraz przybyłych z Grodna i Mińska delegatów przedstawiłem i odczytałem nasz kontr-projekt na następnym posiedzeniu komisji pod przewodnictwem już nie p. Osmołowskiego lecz jego zastępcy. Jak się okazało potem, waleczny nasz satrapa lepiej od nas poinformowany, przeczuwając, jak się skończą rozpoczęte po tej stronie Dźwiny z Bolszewikami walki, poprostu uciekł, zostawiając cały kraj na łasce Boskiej. Za tym szlachetnym przykładem mieli w bardzo prędkim czasie pójść wszyscy przedstawiciele naszych władz, to też następne posiedzenie komisji, zapowiedziane na 4 lipca, nigdy nie miało miejsca.

Umówilem się z moim siostrzeńcem Oskarem Meysztowiczem, któremu projektowałem zdać ogólny nadzór nad moim majątkiem, że się zjedziemy w Łazdunach we czwartek 8 lipca a najdalej nazajutrz. Ponieważ wieści oficjalne z frontu były niepokojące, zapytałem się pułkownika Karola Martin'a, wówczas oficjalnego przedstawiciela Francji we Wilnie, czy nie może mi poufnie powiedzieć, jak rzeczy rzeczywiście stoją, a mianowicie czy mogę bez niebezpieczeństwa udać się na jakiś dobry tydzień do majątku na południo-wschód (100 kilometrów) od Wilna, jednakże o 150 km od mniemanej linii frontowej. Mówię mniemanej, gdyż już wówczas wszystkie operacje wojenne były otoczone tą mgłą niepewności a jeszcze bardziej świadomego kłamstwa, które nie przestały ich ukrywać przed oczami prostych śniertelników jak ja aż do samego przyjazdu do Warszawy Misji Francuskiej generała Weygand'a. Ostrożny pułkownik odrzekł mi dosłownie: „Ja nie posiadam innych wiadomości jak te, które codziennie czerpię w tutejszym sztabie a których wartość powinna być panu jako Polakowi lepiej znana niż mnie. Otóż sądząc podług tego, co mi mówią o sytuacji obecnej, i biorąc pod uwagę siły przeciwników, ilościowo i jakościowo, zdaje mi się, że sytuacja mińska nie jest pozbawiona niebezpieczeństwa i że to miasto mogłoby być chwilowo zajęte; co zaś do Wilna i do pańskiego majątku, tak jak pan mi jego położenie określa, to z punktu widzenia wojskowego mogłoby być zajęte przez nieprzyjaciela o tyle tylko, o ileby wyższa komenda polska sama tego chciała.“

Uspokojony tem udałem się do kompetentnego urzędu, po przepustkę, bez której podróżować kolejną nie było można. Zawiadujący p. Makarow (od paru pokoleń spolonizowany Rosjanin) najspokojniej jako rzecz najnaturalniejszą w świecie oświadczył mi, że przepustki ani mnie ani nikomu z ludności cywilnej nie da, albowiem sytuacja staje się groźną, pociągi mogą być zawałone pasażerami, a on musi przede wszystkim zabezpieczyć ewakuację wszystkich urzędników (dosłownie). Udałem się zatem do p. Niedziałkowskiego, który wówczas był czymś w rodzaju gubernatora ziemi wileńskiej; on mi przepustkę wydać kazał.

Ponieważ wynurzenia p. Makarowa już pozwalały mi przeczuć stopień bohaterstwa naszych obrońców, chociaż wybierałem się na wieś tylko na jakie 10 dni, miałem ostrożność zabrać z sobą całą garderobę i nawet dwa lepsze futra. Wyjechałem we czwartek 8 lipca. Na dworcu kolejowym znalazłem kapitana Oskierkę, adjutanta gen. Szeptyckiego, który wówczas miał swoją główną kwaterę w Wołkowysku. Kapitan właśnie tam się przez Lidę wybierał i zaprosił mnie do swego rezerwowanego przedziału, w którym już siedział pewien pułkownik szlabowy. Z informacji udzielonej mi przez tych dwóch oficerów dowie-

działem się, że front bolszewicki jakoby tego dnia z rana znajdował się przy stacji Busław, siódmej w kierunku północno-wschodnim od mojej, a podpułkownik sztabowy ze swoją daktylografką jest komenderowany do Mińska, dokąd z powodu przerobienia toru na rozmiar europejski udaje się nie na Smorgonie, lecz na Lidę, Mołodeczno i t. d. To mnie wielce uspokoiło. — A tydzień potem dowiedziałem się od tegoż adjutanta kapitana Oskierki, że właśnie w dzień, kiedy czcigodny podpułkownik z daktylografką wybierał się do Mińska, Mińsk był już w ręku bolszewików.

Na stacji w Lidzie, gdzie jeszcze trwogi czuć nie było, znalazłem moje konie i 9 lipca koło południa stanąłem w Łazdunach; siostrzeńca nie znalazłem, pokazało się, że pociągi pasażerskie między Lidą i Mołodecznem (tędy mu była droga) już nie kursują. Mój rządca zaś zaraz mi zakomunikował niepokojące spostrzeżenie. Chociaż Łazduny, jak mówiłem, leżą o siedem stacji kolejowych (około 150 kilometrów) od wspomnianej stacji Busław, ponieważ linja kolejowa idzie wyciągnięta wprost jak struna prawie ciągle między lasami, huk armatni dawał się wyraźnie słyszeć. A od poniedziałku 5-go lipca zupełnie ustal. To potwierdziło moje podejrzenie, że władze wileńskie systematycznie nas profanum vulgus oszukiwały co do rzeczywistego niebezpieczeństwa inwazji bolszewickiej. Natychmiast posłałem na bliższą stację Juraciszki obserwatora, aby rano i wieczór przywoził wiadomości, jakie naczelnik stacji otrzymywał telefonicznie. Dzień następny, 10 lipca, przeszedł w oczekiwaniu, a w niedzielę rano jednocześnie dano mi znać, że druga stacja na wschód od Łazdun, Listopady, już jest w ręku nieprzyjaciela, a wojsko polskie bezładnie i bez wystrzału ucieka; a po gościńcu, przechodzącym przed pałacem i stanowiącym najkrótszą drogę z Mińska w stronę Lidy, Grodna i Warszawy, zaczęły się pokazywać grupy uciekinierów, drobnej szlachty i włościan z pod Mińska. Nie było już nad czym się zastanawiać, pora w nogi. Bardzo niepewny mojego rządcy obawiałem się, że gdybym zwlekał, mógłby sam zbuntować służbę i czeladź, by przeszkodzić memu wyjazdowi, jak się to zdarzyło rzeczywiście w kilku majątkach. Kazałem siako tako zrestaurować pozostałą po Niemcach mizerną, lecz resorową bryczulkę i dwa wozy, szczególnie żeby móc coś potem spieniężyć. Właściwie na tych wozach prócz furazu i mojej z Wilna przywiezionej garderoby miałem tylko paręset tomów cenniejszych dzieł, kwiat mojej już przez Niemców mocno uszkodzonej biblioteki, którymi się jeszcze obecnie na mojej poznańskiej św. Helenie delektuję.

W poniedziałek 12 lipca o 7-mej rano wyjechałem w stronę Lidy, zamierzając nasamprzód zatrzymać się u mego siostrzeńca Meysztowicza o dwadzieścia kilometrów od Wolkowskiego. Rządca

mnie przeprowadził o parę mil. Jak się potem dowiedziałem, gdy powrócił koło pierwszej po południu, znalazł już dwór pełen uciekających żołnierzy polskich, a nazajutrz rano zjawili się bolszewicy krasnogwardziejcy. Ja zaś dojechałem do Lidy dobrze przed zachodem słońca i przenocowałem u pewnego przyjaciela, żydka, którego rodzina zamieszkiwała mój drugi majątek Ługomowicze jeszcze od polskich czasów.

W nocy z wtorku na środę, z trzynastego na czternastego lipca, zajechałem do Rohoźnicy, majątku mego siostrzeńca. Choć moja siostrzenica, Wielkopolanka (Kęszycka z domu), mająca łaski u generała Szeptyckiego za to, że gorliwie opiekowała się urządzeniem i prowadzeniem w Wołkowysku miejscowej gospody dla żołnierzy, codziennie do niego dojeżdżała na wywiady, jednak nie dokładnego o rzeczywistym postępie operacyj wojennych nie wiedziała, jako też i sam głównokomenderujący frontem a nad nim wódz naczelny sił polskich nie wiedzieli i rozkazów nie dawali. Widoki były tem bardziej groźne, że ten sam Oskar Meysztłowicz przed kilku dniami widział się w Warszawie z ówczesnym premierem p. Witosem, do którego został przez miejscowych ziemian delegowany, i ten 'drugi mąż opatrnościowy bez ogródek go uprzedził, że na obronę Kresów przez Polskę racliować nie należy.

We czwartek 15 lipca dowiedzieliśmy się o zajęciu Wilna, w piątek o zajęciu Lidy. Moi gospodarze pakowali się bezustannie, ja zaś już spakowany, rozliczywszy łazduńskich fornalików, którzy woleli powrócić pieszo do Łazdun, żeby, jak bezceremonijnie się przyznawali, brać udział w rabunku mego mienia, wyjechałem w sobotę rano do Wołkowyska. Miałem już z sobą tylko służącego Szymona, który chociaż służył u mnie od dwudziestu siedmiu lat i przeżył ze mną całą wojnę w Paryżu, po rewolucji rosyjskiej 1917 r. kompletnie zbolszewiczał, lecz z natury gruntowny tchórz, jeszcze bardziej bał się bolszewickich gwałtów niż współczuł z ich ewangelją. Ale w Wołkowysku, skąd także połowa miasta się wynosiła, natrafiłem na jakiegoś 'urzędnika z Warszawy, który mając młodą, chorowitą żonę i troje malutkich dzieci, bał się natłoku na kolei, wołał podróżować końmi z możliwością dostania po drodze mleka dla swoich dzieci i zaofiarował się sam powozić aż do Warszawy moim trzecim wozem; drugim powoził mój służący, pierwszym, to jest niemiecką bryczulką, ja sam.

Widząc już jasno, że w 72-im roku życia rozpoczynam karierę Robinsona Kruzoe, napompuwałem w siebie mocny zapas zimnej krwi, którą Pan Bóg od urodzenia mnie dość hojnie obdarzył, oraz cierpliwości, którą mi owszem skąpo wymierzył,



i tak w niedzielę 18 lipca przed zachodem słońca puściłem się na rosyjskie „awoś — nieboś — kak nibud!”

Pierwszą noc przebyłem w majątku jakiejs pani Bitnerowej. Zajechaliliśmy do pachciarni i rozlokowaliśmy się, jak Bóg dał. Ponieważ mnie pchły na śmierć zajały, udałem się do dworu; przyjęto mnie kwaskowało, jednak wyasygnowano mi jakąś kanapę i poduszkę; o 5 rano, nie skrzywdziwszy pani domu choćby o kruszynkę chleba i nawet bez widzenia się z nią, powróciłem do pachciarni, rozbudziłem moją małą rzeszę i marsz w stronę Białegostoku. Tu już wpadłem całkiem w potok uciekających ze wszystkich stron ziemian, przeważnie z częścią inwentarza, trochę chłopów i masy żołnierzy polskich. Ci ostatni najkompletniej zawiedli tak moje obawy jak i moje nadzieje. Jeszcze w Wołkowysku uprzedzono mnie, że stary, słaby, z małą świtą i naładowanemi wozami, mogę być łatwo napadnięty, obrabowany, może i zamordowany przez rozpasane i rozwydrzone „żołdactwo”. To też przez pierwsze parę godzin powoziłem tylko lewą ręką, a prawą trzymałem w kieszeni na gotowym do wystrzału brauningu. Tymczasem przez te trzysta kilkadziesiąt kilometrów od Wołkowyska do Warszawy niezmiennie wrażenie, jakie mi zostawiło to „rozpasane żołdactwo”, było następne. Grupy od trzech do trzydziestu kilku młodych ludzi, swobodnie i wesoło idących szosą, noclegujących lub popasujących na jakiejs łączce przy drodze — wszyscy w czystych mundurach — zdrowi, syci, podobni jak mleko do atramentu do tych tysięcy chwilowo urlopowanych z niedalekich okopów francuskich „poilus”, których przez trzy i pół lat spotykałem na ulicach Paryża w wytartych, połatanych mundurach, opalonych, wymizerowanych, bez uśmiechu na ustach, lecz w oczach błysk rozpalonej stali, bo w wilję nie uciekali, lecz od miesięcy i lat na jednym miejscu, w błocie po pas, otoczeni jękiem umierających braci i trupami poległych, bronili swojemi piersiami ziemi ojczystej. A tu, gdzie do napaści lub rabunku! Owszem — grzeczni, usłużni, skoro tylko spostrzegli, że przejeżdżający starzec schodzi, żeby poprawić ciągle psującą się uprząż albo wózek, podbiegali, pomagali, podsadzali, gościńca w pieniądzech brać nie chcieli, kilka papierosów z wdzięcznością przyjmowali; a wszyscy co do jednego bez żadnej broni nawet bagnetu lub sztyletu przy boku. Miałem mocne wrażenie, że gdyby kto się znalazł, któryby tymi dobrymi chłopakami zakomenderował: na lewo, zwrot, pał, toby wesoło i mężnie napadli na Bolszewików, którzyby uciekli jak zające, jak się to stało 15-go sierpnia. Tylko nie było tych „ktosiów”. Przez pierwsze dwa dni co kilka lub kilkanaście minut wymijali mnie, to na autach, to na rekwirowanych ziemiańskich ekwipażach (których właściciele włóczyli się na swoich przeładowanych wozach folwarcznych) panowie oficerowie. Elegancy, świeżo ogoleni, w alabastrowych

kołnierzykach, i na wlokących się żołdaków okiem nawet nie rzucali. Bodaj że w tem była tajemnica tej smutnej ucieczki od Dżwiny aż pod Wisłę.<sup>1</sup>

Pogoda była cudowna, lecz upalna. Domyślając się, że takiego fizycznego napięcia w moim wieku długo nie wytrzymam, pędziłem konie o tyle, o ile pozwalał prawie kompletny brak owsa po drodze. I moje etapy były od 50 do 70 kilometrów dziennie. Drugą noc, w poniedziałek 19 lipca, zanocewałem w wiosce o parę mil przed Białymstokiem; z trudnością otrzymaliśmy od gospodarzy po kawałku razowego chleba i szklanke mleka. Projektowałem w Białymstoku dać koniom i mojej kompanii dwudziestoczęterogodzinny wypoczynek, lecz na drogach stały warty, które do miasta nikogo nie puszczały, i kazano nam zawrócić w stronę Łomży, na zachód; jednak po paru godzinach mogliśmy zawrócić znowu na południe w stronę Warszawy. We wtorek przenocowaliśmy w jakiejś marnej oberży w Wysokiem Mazowieckiem; we środę w Ostrowiu, we czwartek, gdy konie już formalnie przystawały i nie było w bliskości ani wioski ani miasteczka, zajechałem na noc o parę mil przed Radzyminem do bardzo porządnego dworu pewnego p. Dziezbickiego, niemłodego człowieka, który, pomimo że miał już u siebie kilku uciekinierów, ze staropolską gościnnością mnie i moich towarzyszy podróży przytulił, nakarmił, znalazł sposób każdego na noc rozmieścić z dostatecznym komfortem i swojami majstrami naprawić już rozpadające się wozy i uprzęż. Rad byłbym, gdyby ta opowieść wpadła pod jego oczy i gdyby znalazł w niej wyraz mojej szczerzej wdzięczności.

W piątek koło godziny piątej po południu wjechałem na koniec na Pragę. Na moście Kierbedziowskim dopędził nas na doróźnie jakiś oficer, znajomy towarzyszącego mi urzędnika; opowiedział mu, że wyjechawszy z Wołkowyska pociągiem tego samego dnia co my (w niedzielę 18-go) lecz o kilka godzin wcześniej, dopiero w tej chwili dojechał na dworzec północny, przepędziwszy 120 kilka godzin o chlebie i wodzie w towarowym wagonie, w którym było czterdzieści kilka osób, siedząc cały czas na swojej walizie.

Zajechałem do młodsze mego siostrzeńca Meysztowicza, który zajmował na Alejach mieszkanie jakichś państwa, przebywających przez całe lato na Podlasiu. Znalazłem go już w mundurze wojskowym; pomimo bitych 44 lat zaciągnął się dobrowolnie jako kierownik pancernego samochodu i miał na-

<sup>1</sup> Naturalnie opisuję to, com osobiście widział i doznał na tym odcinku wojsk polskich, wśród których przyszło mi uciekać; od naocznych świadków słyszałem, że dwa sąsiednie oddziały pod komendą generałów Junga i Konarzewskiego, choć pod ciągłą groźbą okrażenia się cofały, lecz w porządku i nie bez walk, mnie zaś przez cały czas wypadło jechać wśród bezładnej fali rozproszkowanych zbiegów.

zajutrz wyjechać gdzieś do obozu. Konie i wozy odprawiłem na przechowanie do zakładu na Pradze.

Zaraz wziąłem jedną wannę, z której woda wyszła czarna, druga popielata, a dopiero trzecia była przezroczysta, i po lekkiej kolacji położyłem się do łóżka. Cały w Wołkowysku naładowany zapas energii odrazu wyparował, a gdy nazajutrz po piętnastu godzinach nieprzerwanego snu się obudziłem, doznałem jasnego i niezachwianego uczucia, które mnie aż do obecnej chwili już nie opuściło, że tego dnia, 23 lipca 1920 r., położyłem do łóżka wcale już niemłodego, lecz czerstwego i do wszelkiej pracy jeszcze zdolnego mężczyznę, a nazajutrz wyłaził z tego łóżka starzec w pełnym tego słowa znaczeniu.

W ciągu dziesięciu dób, które wówczas w Warszawie przebyłem, całymi dniami przesiadywałem w Klubie Myśliwskim. Służył on wtenczas za zbiornik wszystkich, w stolicy znajdujących się cywilnych i wojskowych członków Misji Zagranicznych, którzy szczególnie cenili w nim wyłącznie dobrą i taną kuchnię, mało łącząc się z Polakami.<sup>1</sup> Tych ostatnich nawet pomimo przybliżającego się niebezpieczeństwa było pełno, dzięki czemu koncentrowały się tam wszystkie nowiny a przeważnie plotki, jakie po mieście kursowały. Gdy sobie przypomnę ten stosunkowo tak niedaleki czas, trudno mi ściśle określić wrażenie, jakiego doznawałem. W pierwszych dniach, kiedy Bolszewicy, którzy już w czasie mojej ucieczki zajęli Grodno, Wołkowysk i Białystok, lecz jeszcze nie przeszli Bugu, dawała się czuć kompletna obojętność co do losu tak zwanych ziem zabranych, na które już od końca XVIII wieku, w 1807 r., 1830 i 1863 szanowni rodacy z Kongresówki przywykli patrzeć jak na szylerskiego Maura: Maur swoją powinność spełnił, Maur może sobie iść. Ale i po przejściu Bugu nie widać było, żeby cywilni się do ucieczki przygotowywali, oczywiście w przekonaniu, które się zresztą okazało słusznym, że tego dnia, kiedy się zaczęło walczyć naprawdę, lawina bolszewicka zostanie wstrzymana i cofnie się. Dla mnie samego nie było co do tego wątpliwości.

Albowiem przypominał mi się bardzo ciekawy referat, na który mnie zaprowadziła panna Marja Maklakow jeszcze latem 1918 r. w Paryżu. Pewien holenderski dziennikarz, który w końcu 1917 r. jakoś trafił do oddziału Kornilowa w południowej Rosji nad Donem, opowiadał swoje przygody w walce przeciw Bolszewikom. Cała ta kampanja była nacechowana tem, że ponieważ oba wojska żyły wyłącznie kosztem miejscowej ludności, więc jedno i drugie operowało wśród zbuntowanych prze-

<sup>1</sup> Wówczas to jakiś młody francuski oficer wskoczył do naszego niby najarystokratyczniejszego polskiego Klubu z wesołym zapytaniem: „C'est bien ici la popote des officiers?”

ciw nim muzyków i było prawie całkowicie odcięte od swoich tyłów; co zaś do potyczek między obu niby wojskami, opowieść Holendra, typowego awanturnika podług opisu Feniinora Cooper'a, była prawdziwie monotonna: czy się spotykało dwóch, czy pięciu, czy choćby dziesięciokrotne siły bolszewickie, natychmiast się atakowało, a skoro kule zaczynały podejmować pył przed linią Bolszewików, ci ostatni od razu rozsypywali się i, jak się wyrażał niebardzo wykwiitny we francuszczyźnie Holender, „ils fichaient le camp.“ — Tem dotychczas tłómaczę sobie słowny „cud nad Wisłą“. Gdy się pokazały na froncie liczne błękitne mundury francuskie, nasz ochotnik, ten sam sympatyczny chłopak, o którego się ocierałem przez paręset pierwszych kilometrów mojej ucieczki z Wołkowyska i który był wówczas liłości godnym zbiegini, zrozumiał, że „teraz trzeba bić się;“ a skoro on zaczął, Bolszewik ze swojej strony zaczął „ficher le camp“. Swego rodzaju kontredans wojenny.

To też mało mnie wzruszyły późniejsze zacięte polemiki na temat, czyj to plan przyniósł Polsce zwycięstwo nad Bolszewikami w drugiej połowie 1920 roku. Choć nie jestem żadnym strategikiem, nikt mi z głowy nie wybiję, że wszystkie plany są złe, kiedy własne wojsko systematycznie daje drapaką, a wszystkie są dobre, kiedy systematycznie daje drapaką wojsko przeciwnika.

Dlatego żadnego innego przytułku sobie nie szukałem; konie i wozy zaraz sprzedam i ze 150 tysiącami wręczonych mi za nie marek (a przedstawiało to jeszcze przeszło 800 dolarów) czekałem, co Bóg da. Ale cała kwestja właśnie zależała od tego: czy się zechce walczyć? Pod tym względem kursowały wcale nietajone a bardzo trwożące wieści o tem, co się dzieje i zamierza „w sferach decydujących“. Rozprawiano o ciągłych stosunkach z nieprzyjacielem - Bolszewikiem, o głośnych przechwałkach to tu, to tam schwytylanych a raczej dobrowolnie się zdających czerwonogwardystów, iż „mają w Warszawie współczucie;“ to wszystko strasznie pocięło wallenrodyzmem. Na czemby się to skończyło, gdyby w porę nie zdążyli ochotnicy wielkopolscy, generał Weygand z kilkuset oficerami i tyłuż uzbrojonymi ordynansami, dziś jeszcze się nie domyślam. Pragnę, aby się znalazł historyk, któryby dobitnie i stawiając kropki na i, wyjaśnił ten zagadkowy i mało dla całego narodu chlubny okres naszej nowoczesnej historii. Pragnę, choć się mało spodziewam, bo nie przestaliśmy jeszcze być narodem spiskowców, których zasadą jest, że lepiej jest usterki wewnętrzne pokrywać całunem milczenia, a z winowajcami cichaczem się porozumieć.

Drugiego sierpnia zrana raptem pod mieszkanie mojej siostrzenicy, u której dalej gościłem, zajęchała, także na kilku

mocno naładowanych wozach, cała rodzina rzeczywistych gospodarzy tego mieszkania, którzy uciekli ze swego majątku na Podlasiu, ratując, co mogli, przed najazdem nowoczesnych Hunnów. Byłoby zbyt niedelikatnem odwoływać się do sławnej, już wówczas panującej „ochrony lokatorów“. Naprędce spakowałem rzeczy, pojechałem do Hotelu Bristol, w którym posiadam protekcję, wymodliłem dla siebie i dla mego służącego jakiś przytułek na piątym piętrze, ale uprzedzono mnie, że to tylko czasowo, bo wszystkie główne hotele są zgóry zarekwirowane dla oczekiwanej lada chwila licznej Misji Wojskowej Francuskiej. Dowiedziawszy się, że Poznań jest jeszcze chwilowo nieprzeładowany, wybrałem się doń 4 sierpnia wieczorem. Początkowo zajechałem do brata p. Brezy, mego powietnika (posiada tam majątek Derewno po matce Czapskiej), lecz tego samego dnia jeszcze udało mi się ulokować w Bazarze.

W Poznaniu nastrój był znacznie patryjotyczniejszy i więcej wojowniczy niż wyglądało w Warszawie. Prawie każdy ziemianin, poniżej 50 lat a niejeden (jak np. hr. Ignacy Mielżyński, który już uformował pułk kawalerji) ponad tym wiekiem, nosił mundur wojskowy polski i lada chwila wybierał się na front. Po paru dniach spostrzegłem nieoczekiwanie w restauracji bazarowej siedzącego przy małym, pojedynczym stoliku p. Romana Dmowskiego. Trochę ku memu zdumieniu, bo już od 1917 roku nie widzieliśmy się, ukłonił mi się jednocześnie ceremonjalnie i uprzejmie. Wiedząc, że był naznaczony jako członek wówczas uformowanej, niby w zastępstwie nie zasiadającego Sejmu, Wyższej Rady Obrony Krajowej, podszedłem do niego i, odwołując się do znacznej różnicy wieku i naszych dawnych stosunków, prosto z mostu zapytałem: „Co pan tu robi, panie Romanie? Wszak tam w Warszawie nieprzyjacieli podchodzi już pod miasto, prawdziwego kierunku niema, a jeżeli jest, to nie wiadomo do jakiego stopnia godzien zaufania. Panu nie brakuje ani odwagi cywilnej, ani woli, masz pan w narodzie wielki rozgłos i mógłbyś być w tej chwili wprost zbawiennym.“ — Nie wyglądał zdziwiony z tej mojej interwencji, wiedząc oddawna, że także nie pakuję mego zdania do kieszeni, ale tłumaczył się przybliżającą się do niego samego sześćdziesiątką, ostatkami przebytej zimą 1919/20 ciężkiej i długiej choroby i t. d.

Nie nalegałem, chociaż domyślałem się, że tym, bądź co bądź bardzo dzielnym człowiekiem musi kierować inna, ważniejsza przyczyna. Wkrótce o niej się dowiedziałem z innego, lecz zupełnie wiarogodnego źródła. Był to incydent, który, choć znauy w poufnych kółkach, nie miał szerokiego rozgłosu, na jaki zasługuje. Na pierwszym posiedzeniu Rady Obrony Kra-

jowej p. Roman Dmowski, jak powiedziałem, człowiek silnego charakteru, wystąpił z referatem, który miał charakter formalnego aktu oskarżenia ówczesnego Naczelnika Państwa i sił zbrojnych Rzeczypospolitej. Ale tu okazało się, że jeśli w odwadze jest mało stopni (człowiek jest odważnym, albo tchórzem, i basta), to w przebiegłości między ludźmi są gradacje nie mniej rozciągłe niż w sztuce między artystami. Tu, jak mówią Rosjanie o sobie, Żydach i Ormianach, jeden Roman Dmowski wart trzech takich zwykłych Milewskich, ale jeden Józef Piłsudski wart trzech Dmowskich. Naczelnik p. Ehrenberga nie stracił przytomności. Wysłuchawszy cierpliwie aktu oskarżenia swego przeciwnika, oświadczył, że postawiona przez p. Dmowskiego kwestja jest zbyt ważna, by nie miała stać się przedmiotem formalnej deliberacji i postanowienia Rady Obrony, że, o ile Rada się przyłączy do zdania p. Dmowskiego, on jest natychmiast gotów ustąpić ze stanowiska Naczelnika Państwa i Wodza Naczelnego, w przeciwnym zaś razie będzie pomimo uczynionych mu zarzutów dalej służył ojczyźnie w miarę swoich sił i zdolności. Ponieważ zaś tak dla swobody zdań pojedynczych członków Rady, jak i dla godności zajmowanego przez niego najwyższego stanowiska w Państwie nie wypada, żeby ta dyskusja rozwijała się w jego obecności, więc się oddala i prosi Radę, żeby go powołano po zapadnięciu jej postanowienia. A skończyło się na tem, że p. Dmowski nie znalazł podtrzymania u ani jednego członka Rady i swój wniosek wycofał. Naturalnie potem już udział jego w posiedzeniach Rady stał się bezcelowym, a może jego pobyt w Warszawie osobiście dla niego niebezpiecznym.

Pytanie, czy w tym wypadku nie zabrakło znowu p. Dmowskiemu, jak to zauważyłem w niejednym z jego posunięć, poczucia, że tak powiem, „chwilowości”. Angielski żurnalista Dillon w interesującym dziele o Kongresie Pokojowym 1919 roku słusznie powiada, że w pewnych chwilach czynny polityk nie powinien przedsięwziąć żadnego kroku, nie patrząc na zegarek: to, co by się doskonale udało we wtorek, może być opóźnione we środę, a przedwczesnem jest w poniedziałek. W chwili, kiedy p. Dmowski wystąpił, sytuacja była groźna, ale jeszcze nierozpaczliwa. Było wiadomem, że generał Szeptycki dość poważnie zachorował na cierpienie nerwowe, generał Rozwadowski bodaj jeszcze bawił zagranicą i tak co do kierunku operacyj wojskowych jak co do rządu wewnętrznego można było wątpić o tem, czy warto zmienić konia w środku brodu; w dodatku sama Warszawa była na łasce niebardzo przebiegających w środkach elementów krańcowych. A jakie byłoby zdanie niejednego członka Rady Obrony trochę później, kiedy już w Warszawie zainstalował się otoczony aureolą sławy wojennej generał Weygand, jego rezolutny orszak kilkuset oficerów i tysiąca

ledwie ostygłych po swoim triumfie żołnierzy francuskich, a w samej stolicy i jej okolicach już zebrало się kilka tysięcy. przeważnie wielkopolskich ochotników innym duchem przepojonych?

Spotkałem także w Poznaniu mego powietnika p. Bronisława Umiastowskiego, kustosa Uniwersytetu Wileńskiego, który mi opowiadał szczegóły zajęcia Wilna przez Bolszewików w tydzień po moim z niego wyjeździe. Komendant miasta generał Boruszcak kazał rozkleić po całym mieście ogromne afisze; w siarczastej proklamacji namawiał ludność, aby z miejsca nie ruszała, obowiązując się miasto skutecznie obronić. — Później, w chwili kiedy Umiastowski zapakowywał skarby naukowe Uniwersytetu, które najspokojniej zdążył przewieźć do Poznania, widział, jak pan komendant sam wyjeżdżał z miasta „mit Pack und Sack“, nie pofatygowawszy się nawet rozwiązać i schronić jakiegoś operetkowego oddziału „sółdatek“ amazoнок, który został zaskoczony przez Bolszewików; okrutnie się pastwili nad temi biednemi dziewczętami, licznym oderżnięto piersi...

„Zwycięska szabla“ generał Boruszcak jako pokutę otrzymał pod Poznaniem jakąś elegancką t. zw. „resztówkę“, z której prawie codziennie podjeżdżał koleją do Poznania i w wagonie nie rozmawiał z dziećmi inaczej jak po niemiecku. Później dziennikarz p. Dworzaczek w jakimś artykule wypowiedział zdziwienie, że taki człowiek swobodnie chodzi po ulicach, za co „bohater“ pozwał go do sądu o zniesławienie. — P. Dworzaczek wezwał mnie na świadka. Naturalnie wypowiedziałem to, com wiedział od p. Umiastowskiego. Ponieważ była obawa, żeby bohater (co też nastąpiło) nie tłómaczył swego postępku „rozkazem zwierzchnictwa“, sprawa się toczyła przy drzwiach zamkniętych. Skończyło się cofnięciem zarzutu formalnej zdrady z jednej strony, skargi z drugiej.

Koło 12 sierpnia dyrektor Bazaru także mnie uprzedził, że hotel jest cały zarekwirowany dla przybywającego z Warszawy prawie całkowitego personelu Ministerjum Spraw Zewnętrznych i wszystkich poselstw zagranicznych. Wprawdzie działało w magistracie poznańskim biuro mieszkaniowe, w którym niczego dobić się nie było można, a w samym Bazarze bardzo dzielny Komitet Ziemianek miejscowych, który uciekinierów, przedewszystkiem kresowych, rozmieszczał po rozmaitych dworach, gdzie byli przyjmowani z podziwienia godną gościnnością. Lecz w moim wieku i stanie zdrowia, strasznie nie chciało mi się skorzystać z takiej uprzejmości nieznajomych mi ludzi. Wyratował mnie zacny i nieodżałowany Władysław Zamoyski z Kórnika, zapraszając mnie do siebie, jak powiedział,

choćby do śmierci jego lub mojej, co z radością przyjął.

Przeżyłem tam aż pod koniec września wśród rozczulających oznak przyjaźni ze strony jego sędziwej, lecz jeszcze umysłowo zupełnie rześkiej matki generałowej Zamoyskiej — i dziś jeszcze żyjącej hrabianki Marji. W tym przepysznym zamku dekoracja była wspaniała, lecz komfortu mało. Cała rodzina składała się z istnych Spartańczyków, zamek nie był zamieszkały od 38 lat. Ś. p. Władysław był większej części polskiego społeczeństwa znany jako Don Kiszot na wszystkie strony. Urodzony w Paryżu, syn francuskiego generała, dawny artylerzysta francuski, gdy koło 1880 roku odziedziczył Kórnik po rodzinnym wuju, panu Janie Działyńskim, Bismark, który prawnie nie mógł go pozbawić własności majątku, ale miał prawo wydalenia z terytorjum cesarstwa niemieckiego wszelkich cudzoziemców, postawił mu jako warunek swobodnego pobytu w Wielkopolsce, że przyjmie według własnego wyboru poddaństwo jednego z trzech państw zaborezych. Zamoyski przez bardziej szlachetny niż mądry poryw dumy odmówił i do 1918 roku mieszkał albo w Galicji, gdzie nabył ogromny klucz Zakopiański, albo też w Paryżu. A że w chwili śmierci jego wuja stanowisko głównego zarządcącego Kórniakiem było wakujące, więc naprędce dał generalną plenipotencję niedawno przybytemu z Krakowa uczonemu bibliotekarzowi p. Celichowskiemu, który tam jeszcze królował, kiedy zamieszkiwał w pałacu; jak na tem wychodziła kieszeń dziedzica, łatwo się domyślić. Ogromny klucz (14 000 hektarów) bardzo dobrej ziemi i pysznego lasu nie dawał prawie żadnego dochodu, bo rządził nim bibliotekarz, a w bibliotece, liczącej przeszło 70 000 dzieł, katalog nie był jeszcze zapoczątkowany, bo bibliotekarz był zajęty interesami majątku. W tym ogromnym pałacu o formach średniowiecznych pokoje były dostatecznie opalone, ale korytarze, wysokie na jakie sześć do dziesięciu metrów i ogromna klatka schodowa wcale ogrzewane nie były. Oprócz tego kuchnia i sala jadalna w pałacu jeszcze nie były odrestaurowane i prócz generałowej wszyscy trzy razy na dzień schodzili się do zaimprowizowanego pokoju jadalnego w oficynie po drugiej stronie dziedzińca.

To też w końcu września musiałem wyłącznie z punktu widzenia higieny pomyśleć o powrocie do miasta, a to tem bardziej, że zakończyłem bardzo interesujące zajęcia, które mi dała ś. p. generałowa, mianowicie przejrzenie wówczas przez nią wydawanych pamiętników i korespondencji jej nieboszczyka męża; wśród dużej ilości t. zw. balastu znalazłem tam niemało wielce interesujących rzeczy, szczególnie kilkunastoletnią korespondencję generała z Zygmuntem Krasińskim. Niektóre z jego listów okazały się zaiste proroczymi. Dwa ustępy, datowane z czasów drugiej republiki francuskiej, 1848—1851, chcę



zacytować z pamięci. Jeden głosi: Będziemy! jeśli nie przy pomocy zacytowanych, to dzięki woli Boskiej tego dokonają „Szatany”. W innym miejscu wieszcz wyrażał obawę, że nim nastąpi to zmartwychwstanie polskiego państwa, już będzie dokonany „chemiczny rozkład narodu”. Pierwsze się sprawdziło, ponieważ nim „zacni” na koniec się zdecydowali przyznać niepodległość państwu polskiemu, austro-niemieckie szatany w listopadzie 1916 roku — rosyjskie w marcu 1917 — już ją uroczyście ogłosili. — Czy nie dokonuje się także w naszych oczach druga przepowiednia?

W Poznaniu było jeszcze bardzo ciasno, ale nie do tego stopnia jak w połowie sierpnia, bo cała Kongresówka już była z Bolszewików oczyszczona i dużo uciekinierów powróciło do swoich siedzib. Znalazłem na ul. Piekary na trzecim piętrze znośny pokój meblowany i pokój dla służącego i tam prze-mieszkalem aż do marca 1921 roku.

Stołując się w hotelu przy wspólnym stole zaprzyjaźniłem się z pułkownikiem Martin'em (z którym się poznałem wiosną w Wilnie), jego sympatyczną żoną, a przez nich z większością licznych wówczas francuskich oficerów; kilkoro z nich — ci którzy sobie zadali fatygę, po kilku miesiącach wcale porządnie mówili po polsku. — Od nich się dowiedziałem, dlaczego musieliśmy oddać na łup Bolszewików taką ogromną część naszego kraju: z tej półmilionowej armji, którą w ciągu dwóch lat zacni kadziciele bałamucili polskie społeczeństwo, przeszło dwie trzecie egzystowały tylko na papierze. To samo miał w parę lat później stwierdzić ówczesny minister p. Witos, oświadczając przed komisją sejmową, że z trzydziestu kilku tysięcy oficerów, pobierających żołd, mniej niż połowa nie spełniała żadnych, choćby nominalnych funkcji.

W październiku tego 1920 roku już było jasnem, że hordy bolszewickie systematycznie odpłacają się grzecznością oprzytomniałym od 15 sierpnia wojskom polskim i cofają się bez walki, dokąd się ich zechce popędzić, czy na północ, czy na wschód. Zaczęły się sypać kolejno lub równocześnie wieści o oswobodzeniu większości kresów, o operetkowym „buncie” generała Żeligowskiego i jego wojska, o ucieczce z Wilna za-instalowanych w nim przez bolszewików litewskich band i władz, o niemniej operetkowym ogłoszeniu jakiejś oddzielnej „Litwy środkowej” bez określonych zrazu granic, wkońcu o pospiesznem zawieszeniu broni między Rzeczpospolitą Polską i Bolszewją oraz o mających się odbyć w Rydze pertraktacjach pokojowych.

To wszystko jasno świadczyło o kompletnym chaosie projektów, postanowień i „eksperymentów” w decydujących sferach warszawskich. Tam podług wszystkich wiadomości krzy-

zowały się zmienne wpływy, decyzje lub nawet mrzonki „Belwederu“, manewry wpływowych kół sejmowych, życzliwe rady misji francuskiej, nieżyczliwe poselstwa angielskiego, niewidzialne, lecz nie bezskuteczne intrygi litewskie, słowem, najwspanialszy „groch z kapustą“.

To też choć większość schronionych w Wielkopolsce kre-sowców pośpieszyła zpowrotem do swoich siedzib „na szczęście“ wślad za wojskami polskimi w nadziei, tylko częściowo spełnionej, że ich obecność na miejscu ochroni ich mienie od ostatecznego, po huraganowej inwazji watah bolszewickich, zniszczenia przez polskie. Ja się na to zdecydować nie mogłem. Wiek, stan zdrowia i spóźniona pora roku nie pozwalały mi puścić się na odwrotną względem lipcowej „ucieczki z Egiptu“, a także nie wiedziałem, w jakim stanie się znajdują moje dwie siedziby, wileńska i łazduńska, i czy jest do czego powrócić? Więc skorzystałem z tego, że mój przyjaciel, pułkownik Martin został z Warszawy telegraficznie przez misję francuską czasowo komenderowany do Wilna, żeby go poprosić, aby zwiedził moje mieszkanie wileńskie i opisał mi jego stan, a do Łazdun wyprawiłem mego służącego na wywiady. Pułkownik z francuską sumiennością odraportował, że moje mieszkanie wileńskie prócz ukradzonego przed wyjazdem przez jakiegoś litewskiego generała fortepianu jest w porządku, lecz zajęte przez polskiego pułkownika Dąbrowskiego, któremu mój już wspomniany siostrzeniec, ochotnik w jego pułku, z własnej władzy je „pożyzył“ niby nato (może słusznie??), żeby nie zostało zarekwirowane przez jakiego baszybuzuka. Służący zaś znalazł dwór łazduński, sąsiednie majątki Juraciszki i Tokarzyszki braci Rodkiewiczów oraz bliższe wioski zajęte przez sztab 9-j dywizji polskiej oraz liczne oddziały piechoty i kawalerji; nie puszczono go przez próg pałacu (niepożądany świadek), nie dowiedział się, ani dlaczego te wojska tu osiadły o sto kilometrów w tyle od ówczesnego frontu, ani jak długo zamierzają pozostać: są, bo są. Zabierają bez rachunku pomimo obecności mego rządcy, który z nimi powrócił, wszystko, czego im potrzeba, a głównie zajmują się z prawdziwą gorliwością, tak u mnie jak u moich sąsiadów... podpalaniem budynków. — Lecz o tem jeszcze później.

Zatem nie pozostawało mi chwilowo nic, jak siedzieć w swojej dziurze na Piekarach i trzymać się przepisu czcigodnego gapia, pana (dziś lorda) Asquith'a na początku wszechświatowego kataklizmu „wait and see“ (czekać i patrzeć).

Czekając końca pertraktacyj w Rydze między panami Dąbskim i Stanisławem Grabskim ze strony polskiej, a Jaśnie Wielmożnym p. Joffem z rosyjskiej, oraz wyjaśnienia, co wszechmocnemu „wodzowi naczelnemu“ zechce się zrobić z naszym krajem, czy oddać go bolszewikom, czy napowrót Litwinom, czy, wkońcu stworzyć z niby „Litwy. środkowej“ państewko od-

dzielne, nie wiedząc nawet, czy moja część (południowo-wschodnia) powiatu oszmiańskiego będzie wcielona do tego wielkiego — księstwa Gerolszlejnu, czy do Polski, postarałem się jednak memu biednemu Wileńku w miarę moich sił ostatnią już w mojej karierze publicysty oddać usługę. Ośmieleni bezgraniczną pobłażliwością kierowników polityki polskiej kowieńscy mężowie stanu już dobrali się do Ligi Narodów, gwałtownie dobijali się przyznania im Wilna (po litewsku Vilnius) jako stolicy ich państwa, nie szczędzili propagandy na wszystkie strony i ku memu zdumieniu przeczytałem w moim drogim „Journal des Débats” za podpisem kolegi A. Gauvain, jednego z najbardziej poważanych i wpływowych publicystów francuskich, cieszącego się zaufaniem ministerstwa Spraw Zewnętrznych, długi wstępny artykuł, w którym się domagał przyznania Wilna t. zw. Państwu Kowieńskiemu z następnych trzech powodów: *Primo*, że Państwo Litewskie potrzebuje stolicy, że miasto Kowno tego charakteru nie posiada, Wilno zaś posiada, zatem trzeba je oderwać od Polski i oddać Litwie, *secundo*, że Wilno, choć obecnie przeważnie polskie, będąc położone „wśród terytorjum litewskiego” i posiadając pewien podkład ludności tubylczej, mogłoby być prędko i łatwo zlitewszczone, *tertio*, że Litwa rdzenna ma prawo historyczne do restytucji „starego gniazda jej rasy i świątyni jej tradycji.”

Znając od samego A. Gauvain jego bliskie stosunki z głównymi przedstawicielami Francji w Lidze Narodów, postanowiłem, o ile w mojej możności, ten ogromny litewski pęcherz przekłuć. Poleciałem do trzech głównych bibliotek poznańskich, uzbroiłem się w dobry zapas literatury historycznej, dawniejszej i z czasów okupacji t. zw. Ober-Ostu przez Niemców, i zasiadłem do pracy, aby napisać dla mego starego dwutygodnika „Le Correspondant” artykuł, o którym dobrze wiedziałem, że raz wydrukowany w tem poważnem piśmie, trafi, gdzie potrzeba, jakoż i rzeczywiście trafił. Dałem mu tytuł: „Wilno czy Vilnius, wspomnienia i badania.”

Odwołując się do mego artykułu, ogłoszonego w temże czasopiśmie wiosną 1918 r., po krótkim streszczeniu losów tego miasta od zawieszenia broni 1918 r. do powtórnego jego zajęcia przez wojsko polskie, i biorąc odwrotny temat wspomnianego artykułu p. Gauvain, dowodziłem: a) że argument „ja tego wymagam, bo ono jest mi potrzebnem,” jest zasadą wszelkiego gwałtu nad obcą własnością, na co wystarczyło kilka wierszy. W nawiasie dodam, że tu jako też w poprzedniej pracy 1918 r. ogromnie mi posłużyła rzeczywiście rzadka, nawet rażąca analogja między stosunkiem historycznym, rasowym i politycznym rdzennej etnograficznej Litwy i Polski z jednej strony, a z drugiej tą częścią dawnej Bretanii, w której dotychczas jest przez ludność wiejską używany zupełnie odrębny, nie łacińskiego po-

chodzenia, lecz bardzo pokrewny z ludowemi narzeczami w angielskiem księstwie Walji i południowej Szkocji, język tak zwany nisko-bretoński (bas-breton), a Francją.<sup>1</sup>

Co do drugiego twierdzenia, jakoby Wilno w przeszłości stanowiło stolicę ściśle litewskiego narodu oraz świątynię jego tradycji narodowych, dowodziłem przy pomocy licznych cytat dzieł i broszur, wydanych przez samych panów litwomianów podczas wojny (kiedy to się płaszczyli przed Niemcami i prosili o wcielenie Litwy do Rzeszy niemieckiej), że w tem twierdzeniu słowa prawdy niema, ponieważ w tym czasie t. j. przed Mendogiem, do którego się ono może odnosić, rdzennie litewski naród żadnej stolicy nie posiadał, a Wilno nie egzystowało. Albowiem w czasie, kiedy Wilno zostało przez Giedyminą założone, 1325-26 r., państwo Giedymina nazywało się litewskiem tylko dzięki pochodzeniu panującej dynastji. Prawdziwe państwo rozciągało się wówczas aż do Kijowa na południe, pod sam Smoleńsk na wschód, tak że w niem pogańska i mówiąca gwara litewską ludność stanowiła zaledwie jedną szóstą część poddanych W. Księstwa, które było właściwie białorusko-rusińskie; dlatego właśnie Giedyminowi chciało się założyć stolicę nie rasową, lecz polityczną swego państwa, i założył ją na terytorjum białoruskiem i chrześcijańskim, jak tego dowodzą: z jednej strony czysto słowiańskie nazwiska dwóch rzek Wilji i Wileńki, na zlewice których miasto dotychczas stoi, i to, że wnet po założeniu miasta poganie, Giedymin i jego syn Olgierd, zbudowali w niem dwa klasztory katolickie i jedną cerkiew prawosławną. Z tego powodu podług twierdzeń samego p. Gaygalata, członka berlińskiego Reichstagu z pod Memla w broszurce wydanej 1917 r. językiem dworu litewskiego w Wilnie już od założenia i za czasów tak Olgierda jak Jagiełły (przed jego nawróceniem na chrześcijaństwo) była gwara białoruska a nie litewska.

Ostatnie twierdzenie p. Gauvain, jakoby Wilno, choć polskie, stoi wśród terytorjum rdzennie litewskiego i posiada podkład rasowy litewski, zbijałem zapomocą moich wspomnień osobistych w ciągu lat sześćdziesięciu o tem mieście i jego okoli-

<sup>1</sup> Może kiedyś wystarczy kilkuset pół-wykształconych szubrawców i kilkanaście milionów „Reichsmarck“, żeby Francja doczekała się swojej kwestji bretońskiej, a dzięki jakiemu Wilsonowi II i pochodzącemu od starych bardów dyktatorowi, nawet państwa bretońskiego? Gdy wybuchła wojna 1914 r., u pani Bicinainé, żony znanego publicysty, przyjaciela Polaków (z domu p. Dowojna z Suwalszczyzny) zjawia się, szlochając jak bóbr, bardzo jej oddana służąca i „daje 8 dni wypowiedzenia służby“. — „Dlaczego, czy ci u mnie źle?“ — „Och, pani droga, jabym chciała tu umrzeć ze starości.“ — „Wciąż?“ — „Mówią w dzielnicy, że w ciągu 8 dni wszyscy cudzoziemcy będą zmuszeni Paryż opuścić.“ — „A tobie co, toż jesteś Francuską?“ — „Nie, droga pani, ja jestem Bretonką.“

cach z dodatkiem krótkiego szkicu wszystkiego, co za mojej pamięci przeżyty i przecierpiał wśród braterskiej jedności obywateli litewska i polska od 1863 r. aż do wojny japońskiej, kiedy to pretensje tak zwanych Litwomianów raptem wyrosły jak trujące grzyby po deszczu. Dostało się także mimochodem „kwestji białoruskiej”, która w porównaniu z wielką błagą litewską jest piramidalną. W ciągu lat sześćdziesięciu nie spotkałem na wsi jednego Białorusina, któryby się domyślał, że jest takim. Aż do roku 1921 był on „lutejszym”, wyznawał wiarę „polską” albo „rosyjską” i mówił „po prostemu” albo „po szlachecku”. — Tu w Poznaniu zamieszkuje były senator rosyjski p. Korostowiec. Posiadając nabyty za czasów przywileju majątek pod Mińskiem, zimą 1920—21 r. pojechał tam w nadziei wyratowania czegoś. Przed traktatem Ryskim zjawia się u niego miejscowy wpływowy chłop i powiada: „Panoczku, wy szto usio wiedajecie, każycie szto z nami budzie? Wiedajem, szto za pradziadau tut była Polska. Pryszau Moskal, siedzieu sto let. Jawo prognau Niemiec, heuyj Niemiec uciok, pryszau bolszewik, jaho prognau Polak, apiać bolszewik — apiać Polak. A ciepier, każuć ludzie, budzie jakijto Białorus; szto heto za czelowiek, i odkul on uziausia?”

Wszystko to było napisane w sposób żwawy, zdolny zająć francuskiego czytelnika. Artykuł był gotów w początku lutego 1921 r., lecz przekonawszy się już, że poczta polska w Zbąszyniu szpieguje moją korespondencję zagraniczną jeszcze gorliwiej niż dawniej rosyjska w Wierzbołowie, musiałem posłać rękopis przez walizę dyplomatyczną francuską na ręce przyjaciela mego Ludwika Goreckiego w dwóch egzemplarzach, zalecając mu, żeby jeden wręczył redakcji czasopisma, a drugi już wspomnianemu p. Charles Dumont. Wkrótce po wyjściu artykułu (w Nr. czasopisma „Le Correspondant” 10 marca 1921 r.) otrzymałem od tegoż p. Charles Dumont długi list, którego odpowiednia część (w tłumaczeniu) brzmi:

Izba Deputowanych  
Komisja Budżetowa.

Paryż, 27. 3. 1921.  
Wielkanoc.

Drogi Panie!

Pański artykuł „Wilno czy Vilnius” miał największe powodzenie przedewszystkiem u moich kolegów w Komisji budżetowej, dla których kazałem odbić z niego sześć egzemplarzy.

Staraniem Goreckiego, który do Pana pisał, niedawno pojawił się na samym wstępie „Le Correspondant”. Jest bardzo czytany, bardzo komentowany w sali konferencyjnej Izby Deputowanych, gdzie w mojej obecności kilku kolegów go czytało i rozpatrywało.

Skoro go otrzymałem, poniosłem go do p. Leona Bourgeois i p. Berthelot.<sup>1</sup> Ci mężowie stanu są bardzo dyskretni, jeden z powodu swojej odpowiedzialności przed Ligą Narodów, drugi z powodu swego stanowiska na Quai d'Orsay. W jakiej mierze pan przyczynił się do porzucenia plebiscytu,<sup>2</sup> nie wiem, ale to postanowienie zostało poparte przez Leona Bourgeois po przeczytaniu Pańskiej pracy wówczas, kiedy dwa tygodnie przed tem słyszałem, jak nasz prezes senatu energicznie podtrzymywał konieczność plebiscytu i t. d....

Ten list w związku z ówczesnem *fiaskiem* litewskiem w Genewie, pozwala mi ludzię się myśla, że z całego stosu różnych prac, memorjałów, artykułów i t. d., które wydrukowałem przez te sześć lat (1915—1921), choć jeden dał jakiś cień praktycznego rezultatu.

<sup>1</sup> L. Bourgeois (niedawno zmarły) wówczas prezydent senatu francuskiego oraz Ligi Narodów. — Ph. Berthelot wówczas i w tej chwili bardzo zdolny sekretarz jeneralny ministerstwa spraw zewnętrznych na Quai d'Orsay; spotykałem go w czasie wojny u hr. de Castellane, nie robił na mnie wrażenia druha Polaków.

<sup>2</sup> Wówczas obawiałem się plebiscytu, bo to jest toporna maszyna, która w ręku rezolutnego maszynisty wydaje, co się chce. W Wilnie rdzenni Litwini stanowili nie więcej niż 3 % ludności katolickiej; ale obok niej było sześćdziesiąt kilka tysięcy żydów, Rosjan i t. p., którzyby jak jeden człowiek głosowali za wszystkim co nie polskie. Wystarczyłoby zatem przerzucenie 20 % głosów dla przeciągnięcia szali. Wszechwładnemu twórcy „Litwy środkowej“ przy pomocy biskupa Matulewicza (dziś znowu Matuleviusa) i własnych Pristorów to mogło się łatwo udać.

## Rozdział XVI.

Powrót do Wilna. — Odwojowanie mego mieszkania. — Odpolszczenie kraju. — Zwycięskie zdobycie, długotrwała okupacja i częściowe spalenie Łazduńskiego dworu przez dziewiątą dywizję wojsk polskich. — Osiedlenie się w Poznaniu. — Likwidacja majątku.

W połowie marca, mając już nadzieję dzięki podpisującemu się w Rydze traktatowi z Bolszewją, że nie będę natychmiast w Wilnie przewrócony na wyznawcę Perkunasa ani w Łazduinach na komunistę, bo granica polsko-bolszewicka miała przejść o 80 kilometrów na wschód, wybrałem się z całym dobytkiem, jaki wywiozłem, uciekając w lipcu uprzedniego roku, do mojej stolicy. Wiedząc, że moje mieszkanie jest zajęte przez mego zwyczajcę, p. pułkownika Dąbrowskiego, zatrzymałem się w mieszkaniu siostry mojej Meysztowiczowej. Krótki spacer po ulicach przekonał mnie, że w porównaniu z tem, czem miasto było ośm miesięcy wcześniej, już został dokonany przez jakąś potężną rękę po dziś dzień trwający nowy eksperyment, albowiem pod satrapą p. Osmołowskim eksperymentu prawne i ekonomiczne sypały się jak z rękawa, lecz personel administracyjny, wojskowy, cały wygląd miasta i t. d. nosiły charakter wybitnie polski.

Dziesięć razy więcej rozmowy rosyjskiej niż wówczas. W restauracji Żorża, dokąd zaszedłem na kolację, dobra część oficerów w mundurach polskich rozmawiała, a w gabinecie obok podśpiewywała, po rosyjsku.

Po restauracji „taszczyły się“ rosyjskie kokotki, pachnęło hasłem, że tak można podobać się zwierzchnictwu. Prawie wszystkie urzędy zajęte przed rokiem wyłącznie przez Polaków, nie zawsze doświadczonych, lecz przeważnie uczciwych, obsadzone nowymi figurami, często świeżo przybyłymi z Sowdepji i mało oswojonemi z Polską ortografją.

Zaraz się dowiedziałem, że i inne lepsze pomieszkauia polskie w mieście są także „zdobyte“, np. obszerne mieszkanie

mojej kuzynki Kognowickiej przez jakiegoś „zbuntowanego” generała, zawiadującego częścią cywilną równoległe z głównym rządowym delegatem, (obecnie wojewodą) p. Raczkiewiczem. Elegancki pałac, zbudowany nadzwyczaj wykwintnie i kosztownie wewnątrz urządzony przez mego brata Ignacego, potem nabyty przez ks. Marię ze Skórzewskich Ogińską, zajęty przez tę samą delegację; to trwało aż do wiosny 1925 r. naturalnie za „sprawiedliwym wynagrodzeniem” właścicielki, albowiem w 1924 r. zaraz po dewaluacji i wprowadzeniu złotego polskiego księżna otrzymała od Izby Skarbowej wileńskiej wezwanie, zredagowane z całą powagą należytą ze strony Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, aby się zjawiała dla otrzymania komornego za miesiąc maj 1924 w ilości C Z T E R E C H G R O S Z Y (autentyczne!).

Nazajutrz rano udałem się do p. pułkownika Dąbrowskiego. Z początku przyjął mnie mniej więcej w tonie marszałka Focha, kiedy siódnego listopada 1918 r. przed nim stanęli Erberger i generał von Winterfeld, błagając o zawieszenie broni; lecz gdy wydobyłem z kieszeni papier wydany mi uprzejmie w przejeździe przez Warszawę przez generała Rozwadowskiego, wówczas naczelnika generalnego sztabu, przyznający mi prawo natychmiast wywieźć z zarekwirowanego mieszkania całą moją ruchomość, wnet między mną i moim „zdobywcą”, który nie posiadał nawet własnego materaca, zapanował „duch z Lokarno”. Stało na tem, że ponieważ p. pułkownik był odwołany do Warszawy, gdzie jakoby podlegał dochodzeniu dyscyplinarnemu, więc we wtorek po Wielkiejnocy, wyjedzie ranym pociągami o 8-mej, a ja się wprowadzę o 9-tej.

W międzyczasie złożyłem wizytę generałowi Żeligowskiemu jako najwyższej w kraju władzy. Oddał mi ją nazajutrz, mając przy sobie jako adjutanta słynnego kapitana Pristora, który od niego jako od zbuntowanego na krok nie odstępował.

Tymczasem, gdy w umówiony dzień i godzinę wysłałem naprzód mego służącego, ten z pospiechem powrócił i zameldował, że w mieszkaniu już siedzi jakiś młody oficer z ordynansem i rozpakowywuje swoje rzeczy. Poszedłem tam. Ten nowy zdobywca okazał się jakimś podporucznikiem Siła-Nowickim, który mi oświadczył, że mnie ani nie zna, ani znać nie chce, że jako obrońcy ojczyzny jego prawo do mieszkania góruje nad mojem, albowiem mieszkanie było mu odstąpione przez pułkownika Dąbrowskiego. Nie zaszczycając go żadną odpowiedzią, udałem się wprost do komendanta miasta, zawiadującego rekwizycjami, pułkownika S. (dokładne nazwisko zapomniałem). Pułkownik udał wielce oburzonego — oświadczył, że każe porucznikowi wynieść się, ale prosi o 24 godzin cierpliwości, bo musi go uprzedzić i dać mu czas przenieść się do jakiego hotelu (wszystkie prawie stały puste). A nazajutrz porucznik



jeszcze siedział, bo mający go uprzedzić żandarm przy komendanturze „nie znalazł go w domu“, zatem nie mógł uprzedzić. Ponieważ przed tym groźnym żandarmem wychodził o pięć minut wcześniej drugi, aby winowajcę w porę ostrzec, i biegał, a tainten wolno chodził, więc ta komedia trwała cały tydzień. Wkońcu pan komendant oświadczył mi, że użycie radykalnego środka t. j. wczwie do siebie do urzędu „zbuntowanego“ także porucznika, weźmie od niego słowo honoru oficerskie (to ma być coś świętszego od innych), że się do dwunastej wieczorem wyniesie, a o ile odmówi, to będzie na miejscu aresztowany. Chwilę zaś przed dwunastą mój służący dał mi znać, że zbuntowany porucznik, wszystko sprowadziwszy z sąsiedniej restauracji, wydaje w moim mieszkaniu ogromną bibę z akompaniamentem kilku wesołych niewiast i że już rozweselona kompanja na cały dom wyśpiewuje popularne rosyjskie pieśni „Po Matuszkic po Wołgie“, „Krasnyj Sarafan“ i t. d., a najwzszyszim z gości i „zaśpiewała“ jest właśnie p. komendant pułkownik S.

Wówczas udałem się osobiście do generała Żeligowskiego. Tu wyszło inaczej. Zaczny generał rzekł mi krótko: „Niech pan jutro o 8-niej rano wyszle tam swego służącego, aby mieszkanie uprzątnął i odebrał klucze, a sam niech pójdzie o 9-tej; mieszkanie będzie swobodne.“

Tak się stało. O 9-tej zadzwoniłem do moich drzwi; na schodach siedział zdetonowany ordynans na porucznikowskich kuferkach, a porucznik (który także był pod śledztwem za kradzież konia) ulotnił się i już go w życiu nie widziałem.

Dla starca, jakim już byłem, nic nicma bardziej udręczającego jak niepewność o jutro i ciągłe zmiany. — Właściwie już od szczęściu lat prowadziłem życie koczownicze, od ośmiu miesięcy żywot zbiega-tułacza, nie wiedząc nietylko, czy posiadam jeszcze dostateczny fundusz dla zabezpieczenia mojej starości od nędzy i w jakiej postaci, lecz nawet do jakiej formacji państwowej należę? Ponieważ i zamłodu nie umiałem „picrwcj czynić a potem myśleć“, więc skorom się znów znalazł w moich wilcńskich penatach, wszystkie swoje myśli skupiłem na metodycznem wyjaśnieniu położenia jako warunku uplanowania reszły mego żywota.

Trzy tygodnie pobytu w mieście już wystarczyły, aby mnie przekonać, że w ciągu trzech miesięcy, które upłynęły między dobrowolnem oddaniem kraju bolszewikom w lipcu, a ich oraz Litwinów ucieczką w październiku, odbyła się w Warszawie wśród głów, rzeczywiście kierujących losami Rzeczypospolitej, jakaś gruntowna i doniosła ewolucja co do polityki polskiej na Kresach. Ściśle zgłębić tej ewolucji i związanych z nią planów

na przyszłość ani wówczas nie potrafiłem ani dziś nawet nie spróbuję dlatego, że nie można ich sprowadzić do jakiegokolwiek w formie oficjalnej ujawnionej zasady, a wszystkie ich poszczególne, faktyczne objawy już wówczas nosiły i jeszcze noszą charakter dorywczych, czasami między sobą sprzecznych, empirycznych posunięć. Lecz ogólnikowo jasnym było: raz, że obecny stan prawny tej „Litwy środkowej“ i miasta Wilna jako jej stolicy może być tylko prowizorycznym i będzie musiał ustąpić miejsca jakimś innym „eksperymentom“, powtóre, że Ładzuny nie weszły w obręb „Litwy środkowej“ i Wilno obecnie nie jest dla nich centrum administracyjnym. Głównie zaś, że jedyną i niezaprzeczoną myślą kierowniczą, jaką można dostrzec w nowej od jesieni 1920 r. zaprowadzonej polityce kresowej Państwa Polskiego jest to: systematyczne (dziś już sześć lat trwające i wzmagające się) o d p o l s z c z e n i e Kresów. Ono ujawniło się od pierwszego dnia reokupacji kraju przez zainianę od góry do dołu niemal całego personau administracyjnego, działającego w lipcu 1920 roku. — Z urzędników, w ogromnej większości miejscowych Polaków, prawie żaden na miejscu nie pozostał; wśród nowo-importowanych z rozmaitych stron Kongresówki, Galicji, nawet z Bolszewji karjerowiczów zapanował i panuje dalej znany duch „urzędników kolonialnych“. Jako środki tej systematycznej depolonizacji służyły przy zajadłym kierunku protegowanego przez Rząd polski, a wynalezione go przez Niemców biskupa-litwomana Matulewicza faworyzowanie kosztem języka polskiego wszelkich innych gwar i narzeczy, niby białoruskiego, a w rzeczywistości rosyjskiego, litewskiego, żydowskiego żargonu, lecz przede wszystkim, jak za Murawjewa wykorzenienie przez zubożenie i wyprzedanie się polskiego ziemiaństwa.

Jeśli dodać jeszcze do tego wiszący i wówczas i dziś nad całym ziemiaństwem polskim miecz Damoklesa wywłaszczenia z tytułu reformy agrarnej, konkluzją wskazaną tym stanem rzeczy mogło być tylko: że wyczerpany starzec, H. Korwin-Milewski, jego osoba i jego mienie, znajdują się w położeniu pasażera na pozbawionym steru dziurawym okręcie lub mieszkańca domu ogarniętego trzęsieniem ziemi, dla którego nie zostaje innego hasła jak: „ratuj się, kto może“.

Stan moich finansów był w tej chwili opłakany: kapitał ulokowany w Petersburgu zeszedł do zera, berliński dzięki runięciu niemieckiej waluty przybliżał się do tej cyfry, pozostało mi z wyprzedanych w Warszawie koni, a w Poznaniu futra, czym przeżyć parę miesięcy i tyleż z ostatka złapanych podczas wojny pieniędzy w Paryżu; jedyną deską ratunkową był ten jeszcze obszerny, ale mocno przez Niemców zrujnowany, a w tej chwili bezterminowo okupowany przez „zwycięskie szable“ majątek ziemski. To też, skorom się wyswobodził od wileńskich „zwy-

ciężców“, sprowadziłem drugiego siostrzeńca Meysztowicza, opatrzyłem go najobszerniejszą plenipotencją, aby mógł mnie przedstawiać przed łazduńskimi okupantami, wyjaśnić obecny stan rzeczy i, gdyby można, złapać jakieś pieniądze. Pomimo stanowiska i plenipotencji musiał zamieszkać u księdza proboszcza, pieniędzy nie przywiózł lecz z jego oraz przybyłych jednocześnie niepewnego i nieżyczliwego rządcy i życzliwego stangreta mogłem wyjaśnić główny dotychczasowy przebieg tego „zdobycia przez wojska Rzeczypospolitej Polskiej majątku Łazduny” oraz jego stan obecny. — To się przedstawiało tak:

Wogóle reokupacja tej części kraju przez wojska polskie — tak jak i miasta Wilna — odbyła się bez żadnych walk, ponieważ bolszewicy (a w Wilnie Litwini) uciekali o dobry dystans. Niemniej ta reokupacja naodwrot od tego, co się działo wiosną 1919 r., kiedy „vulgum pecus“ ziemiańskie skarżyło się na nadużycia wyżej opisaney „Osmołowszczyzny“, a wcale nie na postępowanie wojsk polskich, miała właśnie ze strony wojsk wyraźny charakter podbicia obcego, nieprzyjacielskiego kraju z zastosowaniem metod niemieckich w północnej Francji i Belgji. Zupełnie charakterystycznym zjawiskiem były przy oszczędzaniu wiosek liczne pożary w okupowanych choć czasowo dworach polskich. Prócz tych, o których zaraz wspomnę, u mnie i u dwóch moich sąsiadów, zostały u osobistych moich znajomych spalone elegancki dom mieszkalny p. Jana-Rafała Sliźnia i jeden z bardziej ozdobnych w kraju pałac p. Józefa Biszewskiego w Łutupach. To też znalazł się pewien poseł, który z mównicy sejmowej napiętnował ten powrót wojska polskiego do opuszczonego trzy miesiące wcześniej kraju jako „bandycką okupację“. — Głos na pustyni.

W moim zakątku mniej więcej w połowie października po ucieczce bolszewików zjawił się pod dowództwem pułkownika Trojanowskiego silny oddział 9-tej dywizji polskiej, z nią także mój rządca. — Nie pytając się nikogo ani tłumacząc, czem się ta okupacja usprawiedliwia lub jak długo ma trwać, sztab rozlokował się w pałacu, żołnierstwo w innych budynkach, sąsiednich wioskach Bieżemce, Bobrowicze i Baczeszniaki, a także w majątkach Tokarzyszki i Juraciszki pp. braci Rodkiewiczów. W sam dzień przybycia tych wojsk spłonęła mi do szczytu z całą zawartością, przez bolszewików pozostawioną, stodoła 75 metrów długa, 17 szeroka, z ciosanych brusów między murowanymi słupami, gontami kryta: pp. żołnierze potrzebowali o kilka kroków od dziurawych drzwi rozłożyć i zapalić dla ogrzania się duży stos drewna. W krótkim czasie potem został spalony murowany swireń, na sklepieniach, kryty dachówką, przerobiony przez Niemców na elegancką willę dla oficerów, a teraz zajęty przez żołnierzy polskich, którzy piece opalali słomą; a od tego

swirna spłonęła murowana wołownia na sto dziesięć opasów, z cementowymi podłogami i t. d. Tak samo wnet po przybyciu wojska spłonęły pełne stodoły u obu braci Rodkiewiczów. U dalszego sąsiada, p. Walickiego, żołnierze nie kwaterowali, zatem pożaru nie było, lecz przepędzono właściciela z jego domu mieszkalnego do czworaku, aby zainstalować szpital wojskowy, w którym później leczono wymienionego stangreta Szurpickiego, któremu jakiś żołnierz poderżnął gardło bagnietem za to, że oskarżył żołnierzy o kradzenie pługów.

Naturalnie, że aż do końca tej okupacji „bohaterowie” brali sobie bez pozwolenia, kwitów i t. p. wszystko, co się im we dworze podobało, między innymi pozostawione przez bolszewików w innym śpichlerzu i dwóch innych stodołach zbiory jare, w ziarnie lub w snopach i furaż, co nie pozwoliło wiosną 1921 r. z braku nasion i karmu dla uprzęży obsiać choć części pustujących pól.

Dowiedziałem się także, że już po zawieszeniu broni z bolszewikami i po pożarach moja biedna chałupa łazduńska została zaszczycona krótkotrwałym pobytem nie kogo innego jak p. Naczelnika Państwa, wodza naczelnego i pierwszego marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego... Sądzę, że musiał być zadowolony z zachowania się „Swoich” wojsk, bo po jego wyjeździe jeszcze przez długie miesiące nic w postępowaniu tych wojsk się nie zmieniło.

Co do kwestji, czy i kiedy ta bezprzykładna, chyba w naszym kraju „nieograniczonych możliwości” wojenna okupacja majątku własnego obywatela w czasie pokoju się skończy, mój siostrzeniec-pełnomocnik nietylko jeszcze nie wyjaśnić nie potrafił, lecz jakoby grożono mu to ogólną konfiskatą majątku jako „opuszczonego”, to nieograniczonem osadnictwem wojskowem, to przetróbieniem pałacu na szpital dla wenerycznych żołnierzy i t. d.

A stan samego majątku jako zawartość i źródło dochodu był następny: więcej niż połowa budynków gospodarczych i to główniejszych w Łazdunach do szczytu zniszczona czy przez niemieckich czy przez polskich okupantów. — Trochę martwego inwentarza (mniej więcej 10% przedwojennego) na zapoczątkowanie. — Ani jednego konia, ani sztuki bydła, ani centnara zboża; ze czterech tysięcy hektarów pól, łąk i pastwisk ani jednego hektara zasianego lub zaoranego, więcej niż połowa już zarastających krzewami. Zato kilkadziesiąt rodzin, poczęści mi do 1915 r. nieznanych, które to za Niemców, to za bolszewików, osiadły „prawem kaduka” w moich budynkach, zasiewało, co chciało, trzymało bydło. „Postępowe” prawa Rzeczypospolitej nie pozwalały mi się ich pozbyć inaczej, jak nadzielając ich dość suto ziemią jako iluzoryczne wynagrodzenie.

W takich to warunkach w kwietniu 1921 r. przyszło mi, przeszło siedmdziesięcioletniemu ustanowić plan: 1) gdzie mam zamieszkać i schronić swoje stare kości, 2) co począć z pozostałym mi funduszem, aby nie być w dość krótkim czasie (krótszym niż ten, który właściwie przeżyłem) zmuszonym do żebractwa lub do samobójstwa?

Co do pierwszego punktu, jedno było absolutnie wykluczone: mój powrót choćby chwilowy do Łazdun, o ileby zostały wkońcu opróżnione od okupacji. Nie miałem tam już swojej poduszki ani miski; żeby po bolszewickim i po tym polskim rabunku doprowadzić pałac choćby do stanu, w którym go pozostawili Niemcy, trzeba by dużo czasu i moc pieniędzy. Znowu o dawnym „posterunku“ polskim, który mi zatruł blisko czterdzieści lat życia, nie mogło być mowy. Bronić ziemi polskiej i polonizować przeciw Moskalom mogło być szlachetną utopją, przeciw samej Polsce byłoby brednią. Wkońcu przyznam się, choć to może kaprys, że czułem nieprzewidyelony wstręt do przejścia progu tego mego, od półroku przez różnokolibrowych baszybuzuków materialnie i moralnie splugawionego domu. — Co zaś do stałego zamieszkania w Wilnie, ono przestało być mojem centrum administracyjnem, bo dzięki dziwacznie stworzonemu podziałowi kompetencji Łazduny należały częściowo do nieegzystujących dotychczas powiatu wołożyńskiego i Województwa Nowogródzkiego, co do spraw ziemskich, leśnych i wojskowych do zdegradowanego Grodna; Izba Skarbowa w Brześciu, a tylko Sady Okręgowej i Apelacyjny w Wilnie (t. j. w „Litwie środkowej“) i t. d. — Towarzysko zaś, ponieważż ziemianie, o ile z tego świata nie zeszli, wszyscy przez oszczędność pochowali się po wsiach, miejscowych urzędników zastąpili różni przybysze; w tem mieście, w którem w 1914 r. nie mogłem spacerować inaczej jak z kapeluszem w rękę, już nikogo nie znałem.

Więc postanowiłem, nie narażając siebie i mojej dość cennej ruchomości na nowe eksperymenta, rekwizycje, okupacje i t. p., powrócić „mit Pack und Sack“ do Poznania, gdzie osiadła zacna i do mnie przywiązana rodzina Lipkowskich byłych polskich obszarników (Pani rodzona moja siostrzenica).

Zabiegając wprzód, zdałem mieszkanie, całą ruchomość starannie zapakowałem do dwóch wagonów, otrzymawszy od nieukończzonej dobroci Władysława Zamoyskiego pozwolenie ulokowania jej bezterminowo w pustującym Pałacu Działyńskich. — Przyjechałem do Poznania w końcu maja, trzy miesiące mieszkałem w hotelu, potem odziedziczyłem po pułkowniku Martin dwa pokoje meblowane na ulicy Ogrodowej i dopiero po dwóch latach, dzięki uprzejmości prezydenta miasta p. Ratajskiego, otrzymałem dostateczne dla „byłego człowieka“ mieszkanie, w którem rozłożyłem moje wileńskie graty, i w niem czekam woli Boskiej.

Co do planu działania z moim majątkiem, to, skoro o starym „posterunku“ już mowy nie było i być nie mogło, wyżej wspomniane warunki ekonomiczne zmuszały mnie nicodownie do częściowej lub też może całkowitej likwidacji mego majątku ziemskiego. Chwilowo z dwóch moich oddzielnych, choć graniczących posiadłości, mogłem się rozporządzić swobodnie tylko posiadłością Ługomowicze, stanowiącą, jak mówiłem w księdze pierwszej, mniejszą część rozległego klucza, którego większość przypadła w dziale memu bratu Ignacemu. Krótko przed wojną, kiedy brat sprzedał swoją schedę za 2 350 000 rubli Bankowi Włościańskiemu rosyjskiemu, agenci tego banku ofiarowali mi za moją schedę tak jak jemu po 256 rb. srebrem, to jest 128 dolarów za dziesięcinę. W żadne pertraktacje się wówczas nie wdalem, bo jeszcze byłem „na posterunku“. Jak zaś przyszło dokonać obecnie tej sprzedaży i z jakim skutkiem, zaraz powiem, co wyjaśni, dlaczego rozprzedaż skończyła się na całkowitej likwidacji mego funduszu ziemskiego.

Dla zaspokojenia pierwszych naglających potrzeb sprzedałem pewnemu szlachcicowi oddzielnie folwark Koroszenięta przestrzeni razem z kawałkiem lasu koło trzechset dziesięcin; trzy miesiące później prawie jednocześnie z ewakuacją Łazdun przez wojsko polskie sprzedałem towarzystwu parcelacyjnemu „Tospar“, którem kierował nie kto inny jak wyżej wspomniany pan Jerzy Osmołowski (były generalny komisarz Ziemi Wschodnich), samo fundum Ługomowicze, przyległy folwark Izabclin i 400 dziesięcin lasu. Ponieważ mój generalny plenipotent dał się skusić dopłatą kilku tysięcy marek na dziesięcinę i wbrew memu poleceniu dokonał tej sprzedaży nie na walutę lub na wartość żyta, lecz na marki polskie, i w dodatku zgodził się na termin wypłaty do 1 października 1921 roku, w czasie między zawarciem aktów a rzeczywistą wypłatą degrengolada polskiej waluty poszła takim tempem, że w rzeczywistości otrzymałem zamiast równowartości dwudziestu kilku tysięcy dolarów wszystkiego koło sześciu; koszta życia wzrastały w równym tempie i za to samo mieszkanie na Ogrodowej, za które we wrześniu 1921 r. płaciłem 3 000 marek miesięcznie, równo w dwa lata później w październiku 1923 r. płaciłem 8 milionów marek; ponieważ w dodatku czwarty folwark Ługomowicki Matiasowo został mi zabrany na osadnictwo wojskowe, a piąty folwark Jurkowicze rozszedł się prawie cały na nadziały rozmaitym włączęcom osiadłym w folwarkach Łazduńskich, których inaczej pozbyć się nie mogłem, więc *summa summarum* po dwóch latach doszło do tego, że z tych przeszło dwóch tysięcy dziesięcin gruntów i lasów, za które za „przeklętych“ czasów moskiewskich otrzymałbym przeszło dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, zostało mi trzydzieści koni i trzydzieści kilka krów kupionych do majątku Łazduny, aby się władze nie cze-

piaty tego, że majątek jest „opuszczony”, i nie nałożyły nań swojej łapy, jak to uczyniły z większą częścią pozostałego memu bratu majątku Geranony.

Co do ewakuacji łazduńskiego dworu, to nastąpiła ona na początku jesieni 1921 roku, t. j. blisko w dziewięć miesięcy po inwazji, i tak samo w formie dekretów Opatrzności bez uprzedzenia właściciela (a tem bardziej jakichś marnych rachunków). „Zwycięskie szable“ przyszły, bo przyszły, siedziały, bo siedziały, i wkońcu wyniosły się, bo się im znudziło.

Ta cała historia miała następne zakończenie prawne: Półki wojska siedziały i jeszcze było kilka budynków do spalania, a marka polska spokojnie waliła się do dwumiljonowej swojej wartości, nie podnosiłem głosu, aby nie było gorzej lub by mnie nie zbyło „czterema groszami“ Pani X. A skoro wprowadzono złoty polski, wystąpiłem przed ministerjum spraw wojskowych z żądaniem, aby oceniono wyrządzone mi rozmaite szkody i za nie mi wynagrodzono. Nim jednak złożyłem moją prośbę na ręce ówczesnego pomocnika Ministra, generała Majewskiego, miałem ciekawość zwrócić się z moim zamiarem jednemu z najbardziej poważnych generałów polskich. Ten z szczerością dostojną prawdziwego żołnierza powiedział mi: „Moja karjera pozwoliła mi dobrze się obznajomić z duchem i dążnościami naszego ministerstwa spraw wojskowych, więc mogę Panu powiedzieć, że o ile Panu chodzi o teoretyczne uznanie Pańskiego prawa do indemnizacji, to Pan prawdopodobnie otrzyma to uznanie czy drogą administracyjną, czy drogą sądową. Ale kiedy Panu chodzi o prawdziwe, żyjące, mogące Panu służyć pieniądze, to choćbyś Pan żył nie osiemdziesiąt, lecz sto osiemdziesiąt lat, Pan takich żyjących pieniędzy nigdy nie zobaczy.“

Zacny generał miał rację. Z uporem człowieka w młodości na zawsze zatrutego mlekiem rzymskiego „corpus iuris“, wręczyłem osobiście moją prośbę gen. Majewskiemu. Przyjął mnie z wielką grzecznością i obiecał, że moje dochodzenia oraz przyłączone do niej dokumenta niezwłocznie prześle do Dowództwa Okręgu Korpusu Nr. III w Grodnie, które mi odpowie.

Moje dochodzenia opierały się ze strony faktycznej na świadectwie wydanem memu rządcy przez władze gminne ługomowickie, zawierające opis przyczyn pożaru, oszacowanie szkody podług rachunku rzeczoznawców (urzędników sąsiedniej stacji kolejowej) oraz świadectwo miejscowego oficera o tem, że nikt ze służby łazduńskiej żadnej odpowiedzialności z powodu powstania pożarów nie ponosi, a ze strony prawnej te dochodzenia odpowiadały artykułowi 121 Konstytucji polskiej 17 marca 1921 r. brzmiącemu:

„Każdy obywatel ma prawo do wynagrodzenia szkody, jaką mu wyrządziły organy Władzy Państwowej, cywilnej lub wojskowej, przez działalność urzędową, nieczgodną z prawem lub

obowiązkami służby. Odpowiedzialnem za szkodę jest Państwo solidarnie z winnymi organami“... i t. d.

W nieczyt długim czasie otrzymałem od grodzieńskiego D. O. K. odmowę nie tylko uwzględnienia, lecz nawet i rozpatrzenia mojej pretensji, umotywowaną tem, że:

„Dowództwo nie znajduje możliwości prośby Pana uwzględnienia, ponieważ zdaniem Prokuratorji Generalnej Rzeczypospolitej Polskiej w danym wypadku nie ma żadnej podstawy do wypłaty odszkodowania.

Pożar budynków względnie zniszczenie pałacu miało miejsce na obszarze Ziemi Wschodnich, gdzie obowiązują przepisy prawa cywilnego, zawarte w zbiorze praw Ces. Ros. t. X. cz. I wyd. z r. 1914. W myśl uwagi I art. 684 t. X. zb. pr. Skarb Państwa odpowiada za szkody wyrządzone przez żołnierzy podczas nauki strzelania. Poza tem prawodawstwo rosyjskie, w szczególności prawodawstwo obowiązujące na Ziemiach Wschodnich, nie przewiduje odpowiedzialności Skarbu Państwa za czyny żołnierzy, wobec czego Prokuratorja Generalna zasadniczo stoi na stanowisku, iż Skarb Państwa za szkody wyrządzone przez żołnierzy nie odpowiada ustawowo (wyjąwszy wypadek I do art. 684 t. X. zb. pr.).“

Ten papier jest podpisany przez doradcę prawnego D.O.K. III imię „Doktora“. Ponieważ ten Pan nie wie, że jego argumentacja, oparta na zbiorze praw cesarstwa rosyjskiego wydanym roku 1914, stanowi w zestawieniu z wyżej cytowanym art. 121 Konstytucji Polskiej z 1921 r. kiepskiego gatunku kpiny, domyślam się, że jest „Doktorem“ prawa „honoris causa“.

A że kiepskich żartów wogóle nie lubię, więc pamiętny ostrzeżenia mego p. Generała na tem zaprzestałem.

Po ułotnieniu się pięciu folwarków ługomowickich, ponieważ mizerne gospodarstwo łazduńskie dawało tylko gruby deficyt, a Państwo zgodnie z już wspomnianym systematycznym planem wytopienia na Kresach ziemiaństwa polskiego nakładało na te do szczytu zrujnowane ziemie jeszcze grubsze podatki i świadczenia wszelkiego rodzaju, zostałem zmuszony do rozsprzedaży majątku Łazduny (oraz spieniężenia, o ile się na to otrzymywało pozwolenie władz, ostatków moich lasów). Jak się ta likwidacja odbyła przez cudze ręce, przy różnych tantiemach i tak zwanych „kosztach“, kryzysach walutowych i t. d., każdy się domyśli, kto ma pojęcie o naszych porządkach administracyjnych wogóle, a kresowych w szczególności.

W chwili, kiedy to piszę, ta likwidacja już dobiega końca.

Nastrecza mi się wspomnienie pierwszych dni mego gospodarowania w Łazdunach przed półwiekiem. Otrzymałem prośbę po rosyjsku z nagłówkiem „Wasze szlachectwo Wielki Monarcho Ilipolicie Oskarowiczu.“



Petent, wydany przez mego administratora z dzierżawy karczmy Gudzińskiego, prosił, abym mu ją znów wynajął i podpisał się „Leiba były gudziński a teraz powietrzny”. „Dzięki ojcowskiej opiece Rzeczypospolitej mogę podpisać te moje pamiętniki Korwin-Milewski, były łazduński, obecnie powietrzny.”

Naturalnie nie mam nadziei, żeby moim spadkobiercom mogło zostać cokolwiek przypominającego choć zdaleka mój przedwojenny fundusz (zresztą z tem sprawiłyby się nasze progresywne podatki spadkowe i metody oceny naszych urzędów skarbowych); zato może, o ile nie wybuchną jakie nowe eksperymenty, sanacje i t. p., uda mi się doczekać oswobodzenia od wszelkich trosk życiowych tak, że nie będę cierpieć prawdziwej nędzy jak tyłu, tyłu kresowców, nawet ode mnie zamożniejszych, którymi opiekowali się w 1921 r. w Rydze nasi ojcowie ojczyzny.

## Rozdział XVII.

### Rozwód Jadwigi i Jagiełły. — Zakończenie.

Zatrzymałem się dłużej na historii tego długotrwałego zajazdu przez dziewiątą dywizję wojsk polskich na mój majątek Łazduny, bo, o ile wiem, stanowił najbardziej jaskrawy epizod tej „bandyckiej“ okupacji (jak mówiono w polskim Sejmie) Kresów Wschodnich w październiku 1920 r. A znowu ta okupacja, kompletny przewrót w ciągu trzech miesięcy sposobu rządzenia temi Kresami w porównaniu z rokiem 1919-1920, już wspomniany system odpolszczenia kraju, który trwa dotychczas, warunki zawartego z Rosją Sowiecką w Rydze traktatu, wszystko razem stanowi zagadkę, której normalny człowiek sobie nawet wytłómaczyć nie może inaczej jak na podstawie nieraz stwierdzonego „instynktu samobójczego“ polskiego narodu. A to wszystko musi pociągnąć za sobą już dziś nieodwołalne skutki dla przyszłości tego narodu.

Należę do tych licznych sceptyków, którzy uważają przyszłość polskiego Państwa w jego kształcie obecnym jako problematyczną; sądzę owszem, że narodowość polska w tej lub innej formie przetrwa jeszcze długie czasy, zatem jeszcze będzie miała swoją historję; to jest swego rodzaju perz, którego w ciągu stu dwudziestu lat ani niemiecki pług, ani rosyjski topór wykorzeńić nie potrafili.

Z czego dotychczas i od przeszło pięciuset lat składała się ta narodowość? Z dwóch prawie równych sobie części: tej, którą w końcu XIV wieku przyniosła w posagu królowa Jadwiga, i tej, którą przyniósł w. książę Władysław Jagiełło. Zupełnie nierówne w samym początku tego związku, zrównały się prawie stopniowo w ciągu czterechset lat częściowo drogą infiltracji, częściowo drogą asymilacji, i właśnie wtedy, kiedy w końcu XVIII wieku Państwo zostało rozczłonkowane, było już dokonane zjednoczenie narodu.

Mówię tak dlatego, że wbrew szablonowym demagogicznym twierdzeniom wartość, produktyjność i twórczość większych na-

rodów nigdzie nie zależała i jeszcze nie zależy od gatunku jego plebsu. Zależy wyłącznie od jego warstwy czołowej, tak zwanej elity, stosunkowo nielicznej; bez jej kilkuset wiekowej pracy i wysiłków ten plebs jeszczeby się składał z prawdziwego stada dwunożnych stworzeń okrytych zwierzęcymi skórami, żyjących pod szałasami z gałęzi, broniących swego życia od drapieżników zapomocą kamieni lub kołów drewnianych. Otóż w końcu XVIII wieku, jeśli plebs kresowy różnił się swoją gwarą domową i poczęści obyczajami od rdzennie polskiego, to warstwa czołowa i tu i tam była do takiego stopnia zlaną i zrównaną, jak się tego jeszcze wtenczas nie zauważało między południowymi i północnymi Francuzami lub Niemcami. — Nawet, i to jest także zjawisko ogólnie europejskie u wszystkich większych narodów, ta wschodnia elita polska miała uczucie patriotyczne raczej silniejsze niż zachodnia. Dawał się też u niej zauważyć fenomen, którego po dziś dzień nie można nie zauważyć u innych narodów europejskich, mianowicie: że jakościowo ta elita kresowa przedstawia nie mniejszą lecz raczej większą wartość specyficzną niż wśród ludności od granic kraju bardziej oddalonej. Tak wszyscy trzej główni, właściwie jedyni twórcy odrodzenia i zjednoczenia Włoch byli kresowcami: Cavour Sabaudczykiem, Garibaldi Nicejczykiem, Mazini Ligurem z pod Genuy. We Francji, gdy tylko zaczęło przebudzać się poczucie jedności narodowej, pierwszymi bohaterami tego porywu byli lotaryńska pastuszka Johanna D'Arc, Bretończyk Du Guéclin, trochę później „rycerz bez skazy lub strachu“ Bayard z pod Grenoble, który w chłopięcym wieku pewnie używanego w Paryżu języka nie rozumiał. W przeszłym wieku uosobieniem patriotyzmu francuskiego byli Korsykańczyk Napoleon Bonaparte i Gaskończyk, świeży przybysz z Włoch, Gambetta. W tym samym wieku Anglja zawdzięcza protestanckiej Irlandji największych swoich bohaterów wojskowych: Wellingtona, Roberta i Kitchnera.

Gdyby w tych trzech krajach rozsortować wszystkie ich znakomitości z dziedziny czy wojskowej, czy politycznej, naukowej lub artystycznej, toby się znalazło, że ich kresy dostarczyły wspólnej ojczyźnie grubo więcej niż połowę tych ludzi, którym ta ojczyzna zawdzięcza swoją chwałę.

To samo z naszymi Kresami. Nawet dzisiaj, kiedy o nas już coś wiedzą na Zachodzie, zapytajcie się przeciętnego Anglika lub Francuza o jakich znakomitych Polakach on słyszał od czasu zagłady polskiego państwa, on wyliczy wam grodzieńskiego szlachciurę Kościuszkę, Wołyniaka ks. Józefa Poniatowskiego, także Wołyniaka ks. Adama Czartoryskiego, Nowogrodzianina Adama Mickiewicza, o ile jest artystycznie wykształconym, Mińszczuka St. Moniuszkę, Grodzieńczuka Henryka Sienkiewicza, urodzonego w Wilnie, wychowanego w Krzemieńcu Sło-

wackiego, Podolanina Paderewskiego. O prawdziwie wielkich Koroniarzach, jak Aleksandrze Wielopolskim, ten cudzoziemiec nie wie, bo przed pół wiekiem jego własni rodacy zjedli go w ciągu dwóch lat, a o Zygmuncie Krasińskim dlatego, że sam nie chciał, żeby ci cudzoziemcy o nim wiedzieli.

Otóż od jesieni 1920 r., dzięki już opisanemu systematycznemu odpolszczaniu Kresów oraz zbrodniczemu traktatowi w Rydze, dokonywuje się to, co możnaby nazwać „rozwo-dem Jadwigi z Jagiełłą.” I to nicodwołalnie, bez możebności przyszłego pogodzenia, bo z jednej strony nikt już temu ciesli senatora Korostowcewa, który jesienią 1920 roku pytał się z przerażeniem, co to za człowiek ten Białorus i skąd on się wziął nie wyjmie z głowy, że tym Białorusinem jest on sam, i że między nim a Polakiem jest antagonizm nie tylko klasowy (o czym zawsze wiedział) lecz i narodowościowy, a z drugiej strony, kiedy Rzeczpospolita Polska, co jest rzeczą najdalej jednego pokolenia, wyzuje z majątków całą szlachtę polską kresową, wszystkich tych „Niedobitowskich na bastjonie wschodnim” Marji Rodziewiczówny, którzy jeszcze się pazurami trzymają tej swojej gleby, codzień pod nimi się kureczącej jak skóra szagrynowa Balzaka, to z nimi na wieki wieków zgaśnie ten płomień polskości, który się tam wbrew wszystkim gwałtom rosyjskim utrzymywał i nawet rósł aż do czasów ostatnich. Nato, żeby wśród danej ludności wyrobiła się „śmietana” narodowa, potrzebne są liczne pokolenia: nato, żeby wyszła, jak to widzimy obecnie w Rosji, wystarcza jednego.

Wyżej przypisywałem winę tego rozwo-du Jadwigi z Jagiełłą licznym wśród rozgardjaszu, który wówczas panował w sferach kierujących, warszawskim „Konfusionskop-fom”. Lecz właściwie one nie gwałciły społeczeństwa kongresowego, ale wyrażały jego tendencję. Myśl o rozwodzie już była jawną 1908—1910 (patrz wyżej), kiedy to u ówczesnej monopolistki „polityki polskiej” t. j. endecji błysnęła genialna myśl, że ponieważ się dostało od Moskale po palcach za ciągłe wysuwanie języka, wystarcza zatrzeć ścierką pięćset lat historii i ekspansję polską skierować nie od pełni do próżni i od starszej do młodszej cywilizacji, lecz odwrotnie; zatem oddać Moskalowi Kresy i Chełmszczyznę, a przy pomocy neoslavizmu i „polnische Wirtschaft” odepchnąć Szwaba do Odry. Wówczas to dopiero Jadwiga spostrzegła, że Jagiełło jest Chłamek i poczęła wytykać mu jego prostactwo w porównaniu z jej własną „kulturalnością”. Ten pogląd leżał i podczas wojny wszechświatowej, i po niej na dnie całej „polityki polskiej”; moja skromna zasługa, że jeden w Paryżu go zwalczałem.

Nie dziw też, że przy powojennem przetasowaniu Europy środkowej, kiedy to Czechy, Rumunja, Serbja wzrosły więcej

niż w dwójnasób i wyskoczyły o siłach własnych różne, w końcu 1918 r. niewzmiankowane Łotewki, Litewki, Estoniecki i t. p., Polska, która stała na pierwszym planie już uznana przez wszystkich po obu stronach wojujące mocarstwa, bogata swoją przeszłością i rozgłosem po całym świecie, w końcu wyszła umniejszona o połowę swojej przestrzeni, o trzecią część swojej ludności ogólnej i o połowę rzeczywiście twórczej „śmietany narodowej“, bo sama nie chciała wziąć tego, co jej ofiarowano.

Kartą konstytucyjną „polityki polskiej“ przed otwarciem Kongresu Pokojowego był oficjalny list prezesa tegoż Kongresu p. Clémenceau do wiceprezesa Komitetu Narodowego p. Maurycyego Zamoyskiego, twierdzący uroczyście, że do celów Ententy należy wskreszenie Niepodległego i Zjednoczonego Państwa Polskiego „w jego granicach historycznych“. — Co z tego zrobiono, każdy wie.

Drugą kartą było zawieszenie broni między Polską a Sowdęją w październiku 1920 r., głoszące, że granica obu Państw będzie wytknięta podług stanu posiadania z 5 maja 1920 r. — Co z tego zrobiono, także każdy wie. — Dlaczego się tak stało?

W pomnikowej mowie, wypowiedzianej w Kaliszu w początku sierpnia obecnego 1927 roku przez oficjalnego przedstawiciela polskiego rządu i narodu, mówca przypisywał wszystkie te nasze klęski zewnętrzne i wewnętrzne dwom głównym przyczynom: po pierwsze temu, że naród polski należy „do rzędu idjotów“ — po drugie działalności różnych „agentur“.

Pierwszy zarzut nie odpowiada rzeczywistości. Naród polski posiada niezaprzeczoną dar szybkiego asymilowania sobie cudzych myśli i metod, bogatą wyobraźnię, dowcip oraz niezwykłą proporcję „spryciarzy“. To już wyklucza myśl o idjotyźmie. — Ale polega i twórczość narodów nie zależą od ich zalet umysłowych, lecz od ich zalet charakteru; te zalety miał niezawodnie na widoku lord Salisbury (cytowany przez Dmowskiego), kiedy przed sześćdziesięciu laty przepowiadał, że „gdyby się znalazła siła zdolna wskresić niepodległe Państwo polskie, to nie znalazłaby się zdolna utrzymać je na nogach.“ Winy naszego narodu p. Marszałek Piłsudski wołałby przypisać nie naszej głupocie, lecz naszej lichocie moralnej.

Drugi zaś zarzut mówcy jest słuszny z tem jednak zastrzeżeniem, że pierwszymi i po dziś dzień najbardziej wpływowymi „agenturami“ były i są „agentury“ austriacko-legjonowe i agentura niemiecko-aktywistyczna. One zaś tak jak wiedeńska, paryska, petersburska, moskiewska i t. d. wszystkie pracowały w jednym kierunku: umniejszycielskim. Licytacja w ustępstwach.

A tak się stało dlaczego? Dlatego, że nieprzewidziany cud 1914--1918 r. opóźnił się i nastąpił wówczas, kiedy już był do-

konany przepowiedziany przez Zygmunta Krasińskiego „chemiczny rozkład narodu.“

W 1914 roku dawny legendowy patryjotyzm polski, zwykle niedorzeczny lecz zawsze bezinteresowny, był po stu dwudziestu latach daremnych cierpień wyczerpany do dna. Choć wydawano go dalej jako pretekst, lecz podkładem jego była w najlepszym z lepszych razie chęć popisu, a u ogromnej większości bądź u socjalistów - terorystów, bądź u narodowców różnych odciennych ten niby patryjotyzm już nie był romantycznym, lecz utilitarnym, dążącym do opanowania czy gwałtem, czy drogą strategii politycznej „talerza z masłem“ w różnych jego kształtach; to pociąga za sobą usuwanie od niego konkurencyjnych firm. Stąd „agentury“, które były, są i będą.

Po rozwodzie następuje likwidacja majątków i posagów. Co do Jagielly widoki przyszłości są już jasne: oddanie Wileńszczyzny, w formie kantonalnej lub innej, zgrai kowieńskiej, o co w chwili obecnej toczą się niejasne układy, a gdy po wyginięciu polskiego ziemiaństwa, a za nim nielicznej inteligencji miastowej polskiej, nie pozostanie w kraju innej ludności jak kilka milionów sztucznie do swego obcoplemienstwa nawróconego chłopstwa i zruszczalego żydowstwa, oddanie tego osadu jakimś białoruskim, czy ukraińskim sowieckim republikom jest wskazane. Wówczas biednemu Jagielle jako już „powietrznemu“ nie pozostanie innego jak ulotnić się bez śladu. Nie wetknie nawet za pazuchę swego kozucha tych wszystkich Kościuszków, Mickiewiczów i t.d., których pożyczył Jadwidze, bo chytra niewiasta już ich ulokowała po swoich posagowych Wawelach, Krakowskich Przedmieściach i t.d., ale na wieki wieków przestanie dostarczać jej nowych. Gdyby nawet wśród tej wygasającej rezerwy polskiej urodziły się jakie pierwszorzędne umysły lub charaktery, nie będzie już „Króla Ducha“.

Jadwiga zaś ze znanym jej słodkim charakterem, podtrzymana życziwymi radami przyjaciela Brianda, będzie dalej ustępowała i ustępowała tak, jak odstąpiła w 1920 r. od zajęcia Kowna, a w 1923 od Kłajpedy, wydarłej w Wersalu wiosną 1919 r. przez Ententę Niemcom, nie na korzyść nieegzystującej wówczas Litwy, lecz na korzyść Polski jako dopełnienie obiecanego jej dostępu do morza. Tak samo będzie z Korytarzem (Bitte sehr, genießen Sie sich nicht), potem ze Śląskiem, potem z Wielkopolską, wkońcu z dawnym upatrzonym pasem między Kaliszem a „unser Łódź“; zostanie na pociechę i dla uspokojenia duszy św. pamięci Wilsona prawdziwie etnograficzna Polska między „unser Łódź“ i „rdzennie odwiecznie rosyjską“ Chełmszczyzną. Na niej Jadwiga rozlokuje, w braku dotychczas „spełniających obowiązek“ polskich znakomitości kresowców, swój własny „kulturalny“ posag. Już zastąpiła genialnego kre-

sowca Ksawrego Lubeckiego bolesnym (lecz etnograficznym) p. Władysławem Grabskim, zastępuje kresowca Fredrę „Perskiem Okiem“ i „Qui pro quo“.

Jednak ta dobrowolna amputacja narodu polskiego o dobre dwa miliony wykształconej jego warstwy nie będzie bez kompensacji. Zostanie jako kapitał rezerwowy kilka milionów mało jeszcze wykorzystanych, szczególnie na polu bitwy, rdzennych Polaków... mojżeszowego wyznania. Nie stanie w dzień grozy zbrakowanych jako wrzody hetmanów Chodkiewicza i Żółkiewskiego, to będą hetmani Silberman i Rosenkranz.

Na tej przestrzeni, uzdrowionej od „bialoruskiego wrzodu“ zmieści się jeszcze (trochę wyszczerbiony) talerz z masłem, dostateczny jednak, aby było koło czego się kłócić.

Tu pora mi postawić kropkę nad temi pamiętnikami. Od 1921 roku, kiedym się schronił do Poznania jak stara mysz pod komodę, niczego nie doznałem, czegooby nie doznały w naszym kraju dziesiątki tysięcy „byłych ludzi“, którzy nudnie, żmudnie wśród wszelkich wyzysków, bankructw prywatnych, bankowych lub państwowych, starają się utrzymać jakieś okruczki swego byłego stanowiska i dobrobytu, podczas kiedy miliony innych ludzi włożą im na karki i dokonywują przepowiedzianego już przed pół wiekiem przez E. Renana „najazdu barbarzyńców zdołu.“

A także niczego nie dowiedziałem się, czegooby nie wiedzieli jednocześnie ze mną wszyscy czytelnicy gazet. Więc film doszedł do końca; pora spuścić kurtynę.

Jednak nim się z tobą, Szanowny Czytelniku, rozstanę, winienem ci jedno wytłómaczenie.

Wiem zgóry, bo ten zarzut mnie już spotykał, że byleś nieraz zrażony lub nawet oburzony szczerością moich opowieści o czynach lub opowieściach licznych ludzi, przeze mnie wspomnianych. To było nieuniknione. W ogromnej większości byleś, z braku w naszym kraju dobrze zorganizowanych i dyscyplinowanych internatów, kształcony przez mężczyzn w gimnazjach lecz wychowany w domu czy w małych pensjonatach przez kobiety. Latami całemi słyszałeś: „Bądź grzeczny, Jasiu!“ — „Ustąp Jasiu!“ — „Nie sprzeczasz się, Jasiu!“ — „Jasiu, takich rzeczy nie wypada powtarzać“ — i t.d. W ciągłym zelknięciu z tą miłą połową ludzkości nabrałeś wstrętu do największej nieprzyjaciółki tej plci, głównej przeciwniczki całej jej strategii życiowej, mianowicie prawdy. Dzięki temu nawet często trudno czytać wstępne artykuły naszych publicystów, nie stawiając sobie ciągłego pytania: „Za kim ten pan trzyma, za wilkiem, za kozą, czy za kapustą?“

Ja zaś wyrośłem pod srogą dyscypliną największego mistrza sztuki pisarskiej, Boileau'a, który przedewszystkiem zaleca autorowi: nazywać kota kotem — a Rolleta filutem.

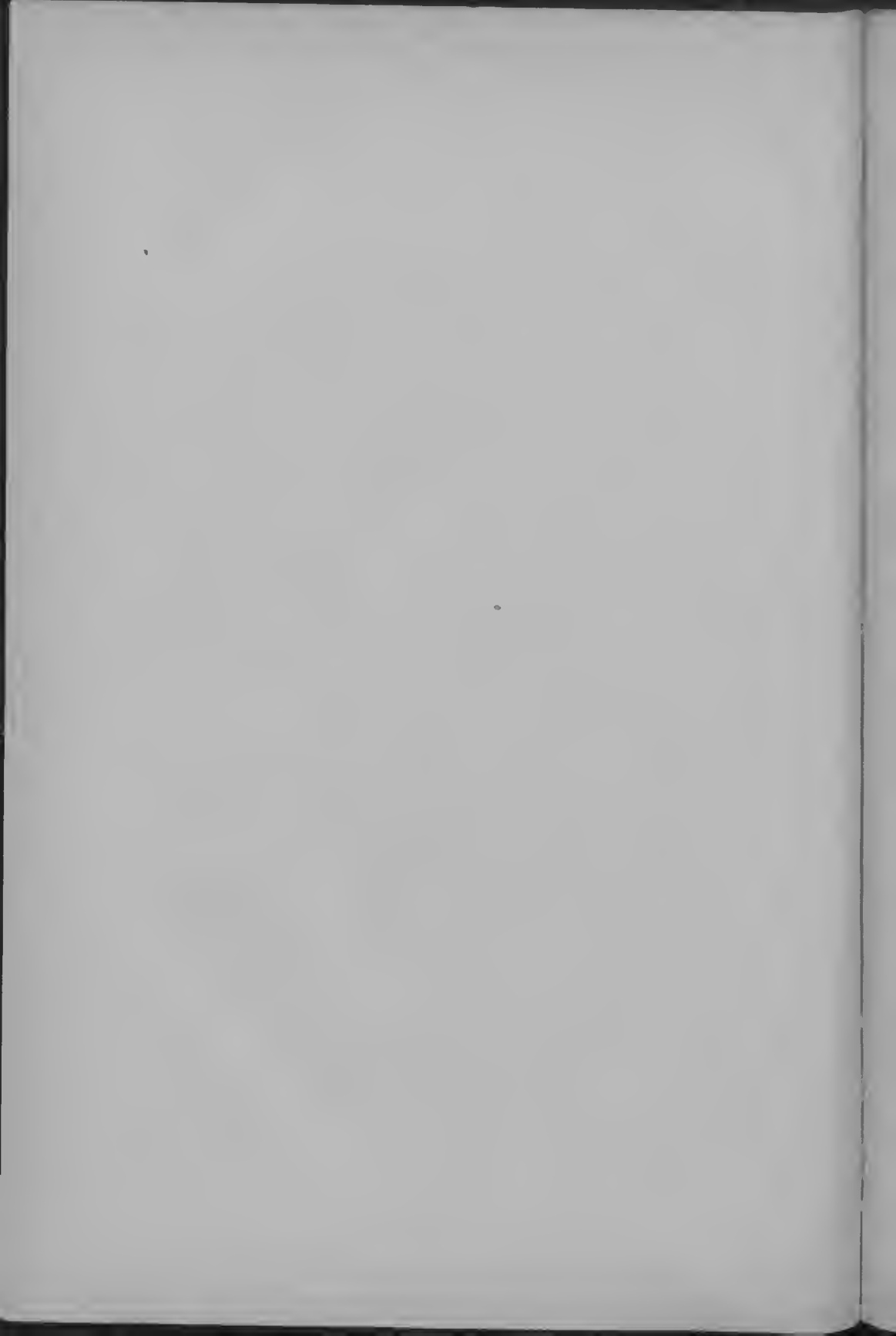
Więc dla mnie kwestja nie w tem, czy moje opowieści opowiadają tym zasadam syropowo-wazelinowej uprzejmości, które tobie, Szanowny Czytelniku, zyskały w całej Europie reputację „przyjemnego pod każdym względem młodzieńca”, lecz tylko w tem, czy wspomniane przeze mnie różne koty i Rollety były rzeczywiście kotami... czy nie. Wierz mi, że takimi się okazali, — i bywaj zdrów.

K O N I E C.

P o z n a ń, wrzesień 1927 r.



## ZAŁĄCZNIKI



## Załącznik I.

Memorjał 16/29 stycznia 1915 do senatora p. Lubimowa  
(w tłumaczeniu z języka rosyjskiego.)

Głęboko poważany Dmitrze Mikołajewiczu!

Przystępując do odpowiedzi na list Pański z 10/23 t. m. w związku z naszymi rozmowami o projektowanych reformach w zarządzie Królestwa Polskiego i częściowem urzeczywistnieniu proklamacji w. księcia Mikołaja Mikołajewicza, muszę zacząć od dwóch zastrzeżeń.

Pierwsze jest to, że chociaż jestem Polakiem, nie należę ani w obecnym ani prawdopodobnie przyszłym czasie do Królestwa Polskiego. Zatem, choć jestem gotów dziś lub jutro, tu czy w Petersburgu, w tak ważnej sprawie służyć mojem doświadczeniem, wiedzą i dobrą wolą, to tylko w granicach osobistego do mnie zaufania. Patrzeć na mnie jako na upoważnionego wyraziciela polskiego społeczeństwa można w Wilnie, nie w Warszawie. Na to są niemniej kompetentni i cieszący się zaufaniem swoich współobywateli działacze w osobach członków egzystującego w Warszawie, znanego W. Księciu i przezeń uznanego „Komitetu Narodowego“ (nie mieszać z Obywatelskim). Tam Pan znajdzie ludzi doświadczonych, umiarkowanych i szczerych. Moja rola obecnie i nadal może być tylko rolą zaufanego doradcy, w żadnym razie przedstawiciela.

Drugie zastrzeżenie, które warto ciągle mieć na widoku, jest następne: biorąc jako punkt wyjścia zatwierdzony wola monarszą manifest W. Księcia i rozumiejąc go tak, jak go zrozumiała cała Polska i cała Europa, trzeba przyznać, że ktoby chciał obecnie i ze wszech stron zaokrąglić szczegółowy plan reform i przekształceń, przypominałby dwóch partnerów bridge'a, którzy nie podjawszy jeszcze kart, wzięli się do zapisania wygranej, nie wiedząc jeszcze, czy ona będzie i jaka będzie, czy jedną skromną lewą, czy też wielkim szlemem. Dziś,

kiedy nieprzyjaciół jeszcze zajmuje wielką część kraju, można praktycznie wprowadzić tylko takie reformy dotychczasowego ustroju 9-ciu gubernij Królestwa Polskiego, które mogłyby być przy szczęśliwym zakończeniu wojny dostosowane do daleko szerszych ram.

Praktyczny starzec jak ja naturalnie gotów jest poświęcić więcej uwagi wróblowi w garści niż gołębiom na dachu i dlatego przedewszystkiem skończę z ostatniem. Zacznę od przeglądu polskiego społeczeństwa, jak mi się ono przedstawia na mocy własnych spostrzeżeń i dość pewnych wiadomości.

Polska nie byłaby Polską, gdyby i obecnie nie było w niej dobrej liczby partyj; najbardziej poważnemi i wpływowemi są: partja tak zwanych realistów, zasadniczo nie przyznających ani innego celu ani innej metody jak szczerze i przyjacielskie porozumienie z rosyjskiem społeczeństwem i Rządem, i partja N. D. t. j. Narodowej Demokracji. Ostatnia pod wpływem okoliczności i nabytego dzięki życiu parlamentarnemu doświadczenia do tego stopnia zbliżyła się do pierwszej, że główną różnicę między niemi upatruję w sferze, zatem i w formach ich działalności. — Pierwsza działa w bardziej wykształconych i zamownych kołach i dlatego jest więcej wstrzemięźliwą, druga w szerszych masach i dlatego jej mowa musi być głośniejsza. Ta ewolucja „endecji“ doprowadziła do powstania w jej łonie dwóch ugrupowań „secesji“ i „frondy“, właściwych różnic programowych niełatwo w nich dostrzec, ale one lubią nasunąć czapkę więcej na bakier i może sądzą, jak stary Grek o Arystydesie, że już zbyt długo założyciela i wszechwładnego kierownika „endecji“ nazywają sprawiedliwym. Mamy jeszcze polską partję postepową, P.P.P., idącą więcej na lewo, nie tak w narodowym jak w demokratycznym kierunku.

Nad mniej więcej podziemnymi ugrupowaniami socjalistów czy masonów się nie zastanawiam; nawet pośredniego dostępu do nich nie mam. Wiem tylko, że tak jak w innych krajach mają oblicze więcej międzynarodowe niż nacjonalne. Masonstwo zresztą ma prawie mikroskopijne rozmiary i naturalnie, jak mówi M. O. Mieński, „żydowieje“.

We wszystkich odpowiedzialnych partjach polskich tego groźnego separatyizmu, na którym tak długo aż do swojego spolonizowania się bębniło „Nowoje Wremja“, niema i nadzwyczajny, nieoczekiwany entuzjazm ludności polskiej w kierunku bratniej obok Rosji walki przeciwko germanizmowi dowodzi, że sztucznie wydęta „orientacja austriacka“ z tej strony granicy i nawet w Księstwie Poznańskiem powodzenia nie ma. Obecnie słabnie nawet w samej Galicji. W rzeczywistości tak było nawet przed wojną; dzięki więcej niż stuletniemu współżyciu z Rosją a tem bardziej od chwili proklamacji W. Księcia, górujący nastrój można sformułować: jak największa niezależność

u siebie w domu — a za domem przypieczętowany krwią na polach bitwy związek z Rosją.

Ludzie myślący wiedzą, że dla Polski nie wystarczy zmartwychwstać, trzeba także żyć; że nawet zwyciężony, upokorzony, czasowo rozbrojony i zrujnowany wielki naród niemiecki nie przestanie być tem, czem się okazał: w ciągu 40 lat pokoju dziwnie pracowitym i produkcyjnym, w czasie wojny znakomicie wojowniczym; że odparty od zachodu jeszcze się wzmocni w swoim „Drang nach Osten“, że tym „Osten“ jest to przedewszystkiem Polska, której egzystencja zostanie związana z potęgą Rosji, z którą węzły nie powinny być osłabione do tego stopnia, żeby ona sama na Polskę machnęła ręką.

Oto dlaczego przy określeniu przyszłego ustroju Polski zjednoczonej i swobodnej pod berłem rosyjskiem według formuły W. Księcia nie spotykałem u maksymalistów żądania takiego separatyizmu ekonomicznego jak ten, który nawet obecnie oddziela Finlandję od Rosji w kształcie własnej monety i systemu celnego.

Ostatni właściwie stanowi szantaż ze strony tych petersburskich kół, które nie mogą strawić wielko-księżęcej proklamacji. Oni, grożąc nim, nie zadają sobie fatygi sprawdzić, co już tu sprawdzono, mianowicie, że kordon celny między Cesarstwem a Królestwem, bardzo kosztowny dla rosyjskiego rolnictwa, poszedłby na korzyść prawie wyłącznie Moskiewskim Tkaczom; reszta przemysłu rosyjskiego, szczególnie chemiczny, żelazny, węglowy i lniany zostałby podług bilansu handlowego skrzywdzony.

Wiedzą także z tej strony, że w sprawie produkcji tak nazwany „obszar rynków“ jest nie mniej ważny niż bilans handlowy.

A jakie byłoby minimum? Chyba nikt w Polsce, a na pewno w reszcie Europy nie przewiduje stopnia autonomji mniejszego niż ta, którą cieszyła się w ciągu ostatniego półwieku Galicja jako część monarchji austriackiej. Ten ustrój jest niedostatecznie znany naszym petersburskim mężom stanu; liczni jakby się nawet nie domyślali, że Austriacy, rachując się z kobiecą słabością Słowian do cenienia słów i hasel zewnętrznych więcej niż rzeczywistość, wprost rozciągnęli na Galicję swoją ogólną prowincjonalną organizację. Ale Rząd austriacki nazwał naszego generał-gubernatora albo pruskiego oberprezydenta „namiestnikiem“, ziemski zjazd „sejmem“, ładny tytuł „wydział krajowy“ pokrywa „ziemską uprawę“, lecz wszystkie ważniejsze sprawy, nietylko prawodawczej ale i administracyjnej natury (np. uniwersyteckie, kolejowe i t. p.) decydowały się bezpośrednio w Wiedniu. Co rzeczywiście nadaje krajowi czysto polskie oblicze i co w rzeczywistości przeraża nasze koła urzędnicze, jest to, że mając pełną prawną możność pokrycia

całej Galicji urzędnikami niemieckimi, Rząd centralny mianował, zaczynając od namiestnika i ministra do spraw galicyjskich aż do najniższych urzędów tylko Polaków, dopuszczając ich także szeroko do urzędów centralnych — i nie miał okazji tego żałować.

Lecz w chwili, kiedy to piszę, słyszę huk armat niemieckich i przed temi perspektywami stoi wysoki znak zapytania.

Co stanowi zadanie dnia dzisiejszego? To rozumna myśl Rządu, podstawa Pańskiego, Dmitrze Mikołajewiczu listu, Pańskich i ks. Jengalyczewa ze mną rozmów, mianowicie chęć dania dowodu rzeczowego, że jakiby nie był wynik wojny, tak srogo nią dotknięta ludność Królestwa Polskiego ma prawo wierzyć w stanowczy zwrot dotychczasowej polityki względem niej. To jest bardzo ważne, szczególnie w razie skończenia wojny skwitowaniem, po którym oczywiście nastalby w krótkim czasie rewanż „wybranego narodu“ ale niekoniecznie w takich jak dziś pomyślnych dla nas warunkach czyli tak potężnej przeciw niemu Koalicji.

Przeglądając te reformy, które zdaniem Waszej Ekscelencji wypowiedziane mi listownie lub ustnie mogłyby osiągnąć ten rezultat, pozwolę sobie na następne uwagi.

1) Projektowane przez Pana ulgi dla języka polskiego idą daleko w porównaniu z obecnym stanem i same przez się nie mogą nie zrobić dobrego wrażenia. Jednak przewiduję, że liczni, bardzo liczni Polacy nie bez goryczy zauważą, że jednakże się nie oddalają od pojęcia o „ulgach“. Ta kwestja językowa w tej części dawnej Rzeczypospolitej, w której etnograficznie polska ludność stanowi ogromną większość, nie otrzyma rzeczywiście zadawalniającego rozwiązania, dopóki nie zmieni się gruntownie zapatrywanie, dotychczas panujące w większości rosyjskiego Rządu i rosyjskiego społeczeństwa, na polski język i polską kulturę.

Ile to razy zdarzyło mi się usłyszeć od dygnitarzy rosyjskich takie zdanie: w granicach Państwa rosyjskiego spotyka się niemniej setki różnych plemion i dialektów, zatem gdybyśmy przyznali językowi polskiemu charakter oficjalnego, trzebaby wprowadzić do administracji około sto języków i gwar. Dla ucha polskiego to brzmi tak, jak gdyby jakaś wysoka arystokratka, prosząc o audjencję u dygnitarza usłyszała: nie mogę wpuścić do mego gabinetu ulicy i wszystkich miastowych bab. Kwestja o języku polskim w Polsce stanie twardo dopiero wówczas, kiedy między społeczeństwem rosyjskiem a społeczeństwem polskim zawiąże się rozmowa podobna do słów, któremi księcia Talleyrand'a, potomka niegdyś suwerennych hrabiów Perigord, spotkał król Ludwik XVIII, potomek suwerennych książąt Ile de France: „Nasze dwa domy są równo co do czasu i pochodzenia, mojemu się więcej poszczę-

ściło". Państwo rosyjskie posiada w porównaniu z byłym polskim ogromną przewagę siły, ale ani jeden Polak nie przyzna ruskiej cywilizacji, językowi, historii i zasługom przed ludzkością jakiegobądź nad sobą pierwszeństwa. W ciągu dziesięciu wieków z rzędu ich rola wśród Słowiaństwa była jednakowo ważna, jednakowo zbawienna w walce z Islamem. Przewagę turecką początkowo przełamała nie Rosja lecz Polska, Rosja w tym kierunku tak jak w walce z germanizmem rozwija i urzeczywistnia odziedziczone od Polski zadania. Właściwie wykształcona Rosja nie powinna ignorować i przyćmiewać przyrosłych do niej polskich bogactw umysłowych i kulturalnych, lecz strzec ich i szczyć się nimi jako dodanym do jej korony grubym brylantem. Ja bym nawet marzył o stworzeniu przy petersburskim i moskiewskim uniwersytecie specjalnych katedr polskiej historii i literatury. Z tego punktu widzenia, który jest właściwym, niezależnie od wszystkich ustrojów państwowych, nawet najbardziej lojalnemu Polakowi, kwestja językowa rozwiązuje się prosto. W granicach Polski etnograficznej język polski powinien być w każdym kierunku gospodrzem, a obowiązkowe użycie języka rosyjskiego powinno być ograniczone absolutną niezbędnością. Doświadczonemu administratorowi jak Pan, wysoko uważany Dmitrze Mikołajewiczu, wystarczy wskazać na zasadę, aby ją sam rozwinął. Zadowolnie się dwoma przykładami: Język rosyjski w stosunkach z Petersburgiem stanowi niezbędność; ale projektowane prawo mieszkająca miejscowego, który w tym kraju przeżył dosyć czasu, aby zdobyć w nim udział w wyborach miastowych lub prowincjonalnych, do zastosowania z nim języka rosyjskiego, wcale już nie stanowi niezbędności, lecz rodzaj przywileju politycznego „Uebermensch'a“ dlatego, że faktycznie on może tylko udawać, że nie rozumie po polsku.

2) Pan, Dmitrze Mikołajewiczu, trafnie zauważyłeś, że obok kwestji językowej niema bardziej czulej dla ludności miejscowej, szczególnie dla bardzo wpływowej jego połowy to jest kobiet, niż religijna. Tylko ja, przyznaję, nie mogę sobie wyobrazić czysto miejscowej reformy w kwestji, która i co do swojej zasadniczości i dlatego, że Królestwo Polskie zawiera w swoich granicach tylko blisko połowę poddanych katolików z całej Rosji, powinna być uważana za ogólnopolską. Tu widzę dwie strony zagadnienia. Jedną wspólną wszystkim poddanym nie prawosławnego wyznania t. j. prawo wszelkiego obywatela rosyjskiego do wyznawania wiary odpowiadającej jego sumieniu i przechodzenia z jednej na drugą. Jak wiadomo, zostało ono zasadniczo przyznane przez Akt Woli Najwyższej 17/30 kwietnia 1905 roku, lecz w tak ogólnikowej formie, że nie wyklucza szerokiego miejsca dla samowoli wyższych, a nawet bardzo niskich urzędów. Projekt prawodawczy, opraco-

wany przez P. A. Stołypina celem ograniczenia tej samowoli, został daleko rozszerzony przez 3-cią Dumę Państwową, ściśnięty przez Radę Państwa do pierwotnej jego formy, nieco ciasnej dla wieku XX, jednakże znośnej, ale... dotychczas nie doczekał się żadnej sankcji monarszej. Uważam, że pierwszym krokiem w kierunku uspokojenia religijnego byłoby wprowadzenie w życie tego zupełnie gotowego i tylko pogrążonego w letargu projektu prawa. — Lecz dla katolików jest i druga strona zagadnienia; nie wystarcza prawo swobodnego wyznawania swojej wiary, jeśli nie wolno jednocześnie swobodnie spełniać wszystkich jej wymagań. Dla prawosławnego w Rosji, dla luteranina w Prusach, dla anglikanina w Wielkiej Brytanji wszystkie zjawiska i funkcje życia religijnego zaczynają i kończą się w granicach państwa; zupełnie inaczej dla wszechświatowego Kościoła katolickiego. Dla jego członków duchowieństwo w granicach państwa jest tylko władzą administracyjną, wykonawczą, a decydująca, że tak powiem prawodawcza, oraz suwerenność znajdują się w Rzymie.

Nawet w życiu prywatnem tak drażliwe kwestje jak małżeńskie, rozwody i dyspensy idą do Rzymu i tam się decydują. Z tego wynika, że dla katolika niema rzeczywiście swobody religijnej bez swobodnego stosunku jego duchowieństwa ze źródłem władzy, nadzoru i dyscypliny; tymczasem faktycznie poddany rosyjski wyznania katolickiego ciągle spotyka między sobą a Stolicą Apostolską prawie pełnomocnego wice-papieża innej wiary w osobie prostego dyrektora departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Tenże może podług stopnia jego taktu i skromności wścibiać palec we wszystkie szczegóły życia religijnego jemu obcego, a nawet, jak tu się zdarzyło już kiedyś, wyłować w Encyklopedji kilka słów z papieskich bull i zwycięsko dowodzić katolikowi, że jego biskup o teologii katolickiej nie ma pojęcia. — Stąd konieczna potrzeba, o ile się chce przyznać katolikom prawdziwą swobodę religijną: primo drogą obowiązującego dekretu Najwyższego ściśle określić granice i formy nadzoru departamentu wyznań obcych, a secundo ułatwić stosunki dla duchowieństwa katolickiego z Kurją Rzymską; najprostszym sposobem byłoby bodaj dopuszczenie do Petersburga takiego przedstawiciela Kurji Rzymskiej jak ten, który przy niej przebywa z ramienia Rządu Carskiego.

Zostaje wskazana przez Pana, głęboko poważany Dmitrze Mikołajewiczu, kwestja zakonów. Przyznam się, że zakony męskie w moich oczach palącego interesu nie przedstawiają. Co do nauki i wychowania w przeciwieństwie do czasów średniowiecznych my laicy stoimy znacznie wyżej od wszelkiego duchowieństwa i zakłady wychowawcze tego rodzaju straciły swoją



użyteczność, zaś oddawać się ascetyzmowi lub kontemplacji można i bez osobnej organizacji, praw jurydycznych itp.

Naodwrot co do zakonów kobiecych, wychowawcze takie jak Sercanki, Urszulanki, Niepokalanki i inne z jednej strony, a miłosierne jak Siostry Miłosierdzia „Petites Soeurs des Pauvres” itp. z drugiej, oddają pierwsze klasom wykształconym i zamożnym, drugie biednej ludności takie niczem niezastąpione usługi, one są tak bliskie sercom katolickim wszystkich stanów, zresztą tak niewinne w sensie politycznym, że zwrócenie im prawa swobodnego działania podług ich powołania niezawodnie zrobiłoby najlepsze wrażenie. Zresztą ś. p. P. A. Stołypin to przyznawał, i Niepokalanki faktycznie mają już swój zakład, chociaż właściwie kontrabandą.

3) Co się tyczy samorządu, to ja tutaj nie spotkałem zwolenników natychmiastowego przed końcem wojny zaprowadzenia instytucyj prowincjonalnych; przedewszystkiem warunki polskiej wsi tak ekonomiczne jak społeczne (bezstanowość, organizacja gminna itd.) do tego stopnia różnią się od warunków, na których spoczywa organizacja ziemstw w gubernjach środkowych, że trzeba byłoby mozolnej pracy dla przygotowania odpowiedniej ustawy. Powtóre do chwili oswobodzenia całego terytorjum Królestwa od wojsk nieprzyjacielskich i wskrzeszenia normalnego życia na prowincji nie może być mowy o wyborach. Główne to, że takie ziemstwa nie mogą zrobić nic rzeczywiście użytecznego bez odpowiednich środków, to znaczy samoopodatkowania; kogoż to i jak obciążać podatkiem w kraju, którego  $\frac{3}{4}$  do tego stopnia są zrujnowane, że nie potrafią przystąpić do odbudowy swoich gospodarstw i wskrzeszenia produkcji bez potężnej pieniężnej pomocy Państwa; stworzyć je teraz, to byłoby skazać je na bliskie bankructwo.<sup>1</sup> Naodwrot, wprowadzenie samorządu w miastach nie napotkałoby na takie trudności. — Dużo większych miast, zaczynając od Warszawy, nieprzyjaciela nie widziało, inne nie podległy takiej ruinie jak wieś. Kraj bardzo potrzebuje tej formy samorządu, albowiem biurokracyjne tak zwane magistraty okazały się wcale nie na wysokości potrzeb nowożytnego gospodarstwa miastowego i natychmiastowe zaprowadzenie takiej formy samorządu, nie potrzebujące żadnych specjalnych prac prawodawczych, niezawodnie zrobiłoby dobre wrażenie, lecz pod jednym koniecznym warunkiem; żeby był wprowadzony w życie nie przyjęty przez

<sup>1</sup> Odrzucenie narazie ofiarowanego Królestwu przez Pana Lubimowa samorządu, właściwie opierało się mniej na wypowiedzianych w tym memorjale poglądach jak na obawie, bardzo słusznej p. Dmowskiego, żeby ta oferta nie stanowiła właściwie nastawionego na nas sidła, aby tym ograniczonym samorządem prowincjonalnym z którego korzystałyby tylko każda gubernja osobno wzięta, zbyć tanim kosztem obietnicę autonomji dla całej Polski.

Dumę Państwową a odrzucony przez Radę Państwa projekt prawodawczy, lecz projekt wniesiony do Dumy Państwowej przez sam rząd. Wprowadzenie ustawy w ostatecznej redakcji Dumy Państwowej byłoby uważane raczej za krzywdę. Nie można zapomnieć, że w nadziei, by siako tako przepchnąć swój projekt przez Radę Państwa, większość Dumy Państwowej wskutek różnych zakulisowych konferencji zgodziła się właśnie co do wprowadzenia polskiego języka na takie ustępstwa, które zamiast prawa obywatelstwa pozostawiały mu tylko wąski, upokarzający lufcik; nie można również zapomnieć, że niektórzy polscy posłowie wówczas zostali narażeni wśród polskiego społeczeństwa na gorzkie wymówki za to, że nie woleli wtenczas przewalić w Dumie całej ustawy. Obecnie Duma Państwowa w stosunku do Rady Państwa znajduje się w położeniu strony, która względem przeciwnika zgodziła się na kompromis; tymczasem przeciwnik stanowczo kompromisu się wyrzekł. Samo przez się i ustępstwa odpadają. Wprowadzić na mocy artykułu 87-go praw zasadniczych można wprowadzić tylko projekt rządowy, opracowany przez P. A. Stołypina. Jurydycznie ten projekt ma tyle wartości i znaczenia, co i projekt przyjęty z biedy przez Dumę Państwową, lecz odrzucony. Jedno i drugie mają tylko wartość swojej treści i mogą służyć jako materiał dla oryginalnego aktu władzy najwyższej.

A tymczasem niektóre zmiany personalne wśród tak zwanych magistratów byłyby na dobre. Czy nie jest to rażące, że Wilno i Mińsk posiadają prezydentów Polaków, co miejscowej administracji żadnych trudności nie przysparza, a Warszawa się tego jeszcze nie doczekała?

4) Nie mogę nie przyznać, że zaprojektowane w liście Wszech Ekscelencji reformy wykładów po polsku na wszystkich stopniach szkoły ludowej, gimnazjum, lub nawet na uniwersytetach są zarysowane szeroko, zdolne natychmiast zadowolnić opinię publiczną i nawet w razie zwycięskiego końca wojny, i urzeczywistnienia W. Księżęcej proklamacji mogą z małemi zmianami wejść w ramy nowego ustroju. Obowiązkowemu wykładowi języka rosyjskiego nikt sprzeciwić się nie będzie. Oczywiście nawet przy szerokiej autonomji, obecnych i przyszłych stosunkach i zamianie wszelkich form pracy między Rosją a Polską dla każdego Polaka niezajomość języka rosyjskiego stanowiłaby niekorzystny brak w jego wychowaniu. Nicstety z punktu widzenia natychmiastowego wrażenia — któremu przypisuję pierwszorzędne znaczenie — trzeba będzie co do gimnazjum i uniwersytetów z musu ograniczyć zasadę: kompletu profesorów i nauczycieli nie można zaimprowizować. Tem bardziej ważne jest to żeby rzecz była zaraz rozpoczęta z tej strony, z której jest natychmiast wykonalna t. j. od szkoły ludowej i szkół prywatnych. Ponieważ zaś w ciągu lat ostatnich

panował nastrój odwrotny, więc można przewidzieć niechęć i inercję ze strony obecnego personelu; jako dowód stanowczości nowego kursu byłoby bardzo użytecznem przenieść do Królestwa z gubernij wewnętrznych i zachodnich poważną liczbę nie tylko nauczycieli lecz i inspektorów szkolnych Polaków; o ile wiem, wśród ogólnego personelu Ministerstwa Oświaty znalazłoby się ich dosyć.

5) Za niemniej szczęśliwą uważam Pańską myśl dopuszczenia do różnych urzędów państwowych w Królestwie Polskiem Polaków i Rosjan bez różnicy pochodzenia i wiary, wymagając od jednych i drugich, żeby władali obu językami. Lecz nie widzę potrzeby, przewidując owszem trudności w projektowanem unormowaniu jednych i drugich na 50 %. Jest tu pewna sprzeczność: skoro pochodzenie i wiara nie mają usprawiedliwiać różnicy, — to jedyną różnicę powinna stanowić zdatność, wykształcenie i uczciwość. Może się zdarzyć, że takie obowiązkowe unormowanie okaże się na początku przesadnem co do Polaków, bo w interesie służby nie można odrazu zaimprovizować dostatecznej liczby zdolnych i wykształconych urzędników, szczególnie na pewnym poziomie, a czasami będzie odwrotnie. Raz żegnamy się z myślą, że urzędnika Polaka trzeba zasadniczo uważać za niegodnego zaufania, to człowiek miejscowy, przedstawia więc już tę wyższość, że nie potrzebuje poznawać terenu swojej czynności i, będąc u siebie w domu, łatwiej się zadowolni swoim stanowiskiem i wynagrodzeniem. Tu także wiele zależy od prędkiego urzeczywistnienia choćby w ograniczonych rozmiarach tej szczęśliwej myśli. Wiem n. p. osobiście, że w chwili obecnej znajduje się w różnych instytucjach sądowych w Królestwie większa ilość wakansów. Zapełnienie ich zbywającymi w gubernjach środkowych Polakami równego stanowiska, którzyby niezawodnie się na to zgodzili, zrobiłoby w kraju najlepsze wrażenie.

Kończąc mój długi list, ale jeśli już wypowiedzieć się, to wypowiedzieć się na czysto, powracam do tego, od czego zacząłem. Najbardziej kompetentnymi doradcami Waszej Ekszellencji i ks. Jengatyczewa mogą być ludzie miejscowi, nie tylko członkowie Komitetu Narodowego, lecz i tacy działacze, którzy, choć i wyrzekli się swoich mandatów, wcale nie stracili zaufania swoich współobywateli jak n. p. moi byli koledzy w Radzie Państwa E. E. Dobiecki i baron Krqnenberg; pozwoliłbym sobie nawet na maleńką propozycję. Dlaczego by nie ustanowić, choćby czasowo i z naznaczenia przy Warszawskim General-Gubernatorze nielicznej rady dla rozpatrzenia projektowanych reform, powołując do niej także kilku wyższych urzędników, już dobrze obeznanych z krajem tutejszym i miejscowych działaczy społecznych?

Spodziewam się, głęboko poważany Dmitrze Mikołajewiczu, że mi się udało do pewnego stopnia i tylko w drodze informacji usprawiedliwić Pańskie do mnie zaufanie, i proszę Waszą Eksce-  
lencję przyjąć wyrazy wysokiego szacunku i szczerego oddania.

*II. Korwin - Milewski.*

Warszawa, 16/29 stycznia 1915 roku.

## Załącznik II.

Artykuł akademika Masson w gazecie „Gaulois“.

„Le Gaulois“ 26 Juin 1918.

### Un Coup de Balai, S. V. P.

Il est permis de se demander, non sans quelque inquiétude, à quelle nationalité appartiennent certains personnages, hommes et femmes, qui à Paris, à Nice et aux environs, exercent, au profit d'on ne sait trop qui, le métier d'informateur. Ils prennent parfois des airs aristocratiques, mais souvent ce n'est qu'une apparence à l'usage de la France, où, vu la République, les titres, vrais ou faux, produisent un tel effet qu'on en voit lever chaque jour de nouveaux chez les nationaux mêmes: qu'est-ce chez les étrangers?

Une lisière si étroite sépare les ci-devant sujets russes des sujets autrichiens, qu'une confusion peut très aisément s'établir entre les uns et les autres, également abrités par une Pologne de fantaisie. Certes, il y a dans les rangs de l'armée française et dans un corps uniquement composé de Polonais un grand nombre de très braves gens qui se battront à merveille et dont beaucoup donneront leur sang pour la cause des alliés — et la leur. Cela est fort bien, et si l'on peut s'étonner que la ville de Paris distribue à présent des drapeaux aux étrangers qui s'engagent pour la France, c'est sans doute qu'on juge, en haut lieu, la chose sans importance. Toutefois ne faudrait-il pas trop jouer avec les drapeaux!

Il y en eut, sur un autre front, de tous pareils à celui qui vient de sortir de la maison des Prévôts; il y en eut même quantité qui furent portés devant des légions bien autrement nombreuses, bénies par les patriarches de la littérature et saluées avec enthousiasme lors des batailles pour le compte de l'Autriche. Et l'on serait prudent en s'en souvenant.

Le club Polonais a été le plus ferme soutien de l'empereur apostolique, et il a su, moyennant des marchandages parlementaires où il excelle, se faire attribuer les portefeuilles, les honneurs, les sinécures financières et autres, en maintenant en servitude les Yougo-Serbes et tous les Slaves de la monarchie.

A présent encore les échos qui parviennent d'Autriche montrent dans le procès des légions polonaises un très fort attachement de certains Polonais pour l'Autriche, en qui ils semblent avoir placé toutes leurs espérances. Et cela ne les rend pas — que l'on sache — plus favorables à l'Entente: plus ils sont amis de l'Autriche, plus ils nous sont ennemis, eux, leurs parents, amis et confédérés. Et, dès lors, ils doivent être traités comme tels. Tout le reste est du sentimentalisme nocif!

Nous faisons la guerre et nous avons à gagner la guerre. Or, sous prétexte de nationalités opprimées, on abonde, chez nous, de personnages suspects qui sont tantôt Russes, tantôt Polonais, tantôt Ukrainiens, tantôt Serbes ou Yougo-Serbes et qui tous, par un étrange hasard, se trouvent avoir voyagé en Suisse, causé avec des Autrichiens, parfois avec des Allemands et avec certains Grecs, car ils n'ont pas de préjugés. Quel métier font-ils? Quelle puissance servent-ils? à quelle organisation plus ou moins suspecte faut-il les rattacher? Comment et par quel moyen trouvent-ils des répondants? Dans un moment comme celui-ci il faut être dix fois certain que les individus appartenant par leur naissance aux nations ennemies ont bien effectivement rompu avec leur patrie, leur famille et leurs amitiés, et qu'ils se sont jetés corps perdu dans notre parti. Pour cela il n'est qu'une preuve, c'est qu'ils soient engagés dans nos armées et s'y battent. Sinon, que font-ils chez nous? Pourquoi les tolère-t-on dans le camp retranché de Paris? Pourquoi ont-ils accès dans les hôpitaux? Pourquoi se promènent-ils dans les ministères? Pourquoi font-ils la roue dans les salons? Il y a assure-t-on, dans notre Paris, que l'on dit vide, quantité d'endroits où de tels étrangers — et d'autres qui, pour s'intituler neutres, ne sont pas moins suspects — sont accueillis et fêtés, portent leur esprit critique et récoltent des nouvelles et des renseignements.

On n'a point idée de ce qu'ils dépensent de taxis — quand ils n'ont point d'auto à leurs ordres — pour obtenir l'ubiquité nécessaire à leurs fonctions. Quelles fonctions? Il se peut qu'elles se bornent à leurs plaisirs, à la satisfaction de leur curiosité, à l'intérêt qu'ils portent à la France dont ils tâtent le poulx. Il se peut; mais enfin, ne faut-il pas quelque bonne volonté pour trouver à notre Paris un air de fête? Ce n'est pas à persiennes ouvertes que font accueil dans bien des quartiers, les visages des maisons, et l'on ne compte plus les portes closes. On mange mal, quand on mange, et l'addition, si l'on dîne au restaurant, s'écrit en caractères de MANE THECEL PHARES, bien qu'on n'ait rien consommé de sardanapalesque. Il faut bien de l'argent pour y vivre, tant d'argent qu'assurément les observateurs ont dû réclamer des diverses contrées où ils adressent le fruit de leurs veilles, de fortes indemnités de vie

chère. Et pourtant ils restent: on dirait même qu'ils se multiplient. Certains qui ont passé l'hiver et le printemps sur la Côte d'Azur refluent sur Paris, qu'on disait menacé. Et ils annoncent, précisent la menace en même temps, que, de leurs yeux fureteurs, ils cherchent les symptômes d'affolement et les impressions de défaillance.

À Paris comme ailleurs, le moment est venu, largement venu, d'en finir avec les suspects. Puisque les députés et les conseillers municipaux de Paris brûlent du légitime désir de s'employer à quelque chose et qu'il ne leur plaît point encore d'imiter ceux de leurs collègues qui sont au front comme Maurice Binder, et ceux qui ont donné leur vie comme Quentin Bauchart; puisqu'ils se sont aperçus que leur mandat implique des devoirs, qu'ils réclament donc la formation immédiate d'un tribunal des étrangers, d'un tribunal distribué en autant de sections qu'il faudra pour aller vite, examiner à raison de mille à deux mille par jour tous les étrangers résidant à Paris, prononcer en dernier ressort l'internement dans des camps de concentration, la conduite aux frontières, le renvoi aux tribunaux militaires.

Du train dont va l'organe administratif chargé de l'inspection des étrangers, on commencera dans une dizaine d'années à savoir quelque chose de ceux qui habitent Paris. Cela ne tiendrait-il pas à ce que les affaires de Paris ne sont jamais faites par des Parisiens? Paris ne s'apprend pas en un jour et les ombres plus ou moins chinoises qui se promènent sur l'écran du Père Séraphin, si elles sont muettes pour les provinciaux, en disent long aux Parisiens qui ont cinquante ans d'asphalte. Ceux-ci promènent en général un regard indulgent sur ces passants dont le trouble passé les intéresse. Mais à présent le temps est passé de ces accommodements et de ces complaisances. Il faut à l'intérieur un vigoureux coup de balai, si l'on veut sincèrement défendre Paris et la France. La première nécessité c'est de savoir quels gens sont à Paris, ce qu'ils y font et pourquoi ils y restent. Ensuite, on causera.

*Frédéric Masson,*  
de l'Académie Française.

Odpowiedź na powyższy artykuł.

Monsieur Frédéric Masson, de l'Académie Française.

Monsieur,

J'ai tardivement pris connaissance de votre article paru dans le Gaulois du 26 Juin, sous le titre „un coup de balai s. v. p.” Il est à ce point insultant pour chaque Polonais habi-

tant la France, qu'il ne doit pas rester sans réponse. Personne ne l'ayant fait que je sache, je me lance en volontaire.

Tout en tolérant que les Polonais soient admis à combattre aux côtés de l'Armée Française, vous affirmez que leurs compatriotes non combattants doivent être considérés comme génériquement suspects d'espionnage et traités en conséquence. Voyons les assertions et les suppositions sur lesquelles vous étayez votre thèse.

1. Vous affirmez, afin d'exonérer d'avance votre pays de toute reconnaissance, que les Polonais combattent „pour la cause des Alliés — et la leur”. Cela n'est pas. Ils combattent à 70 kilomètres de Paris. En l'état, pouvez-vous puiser non dans votre encrier, mais dans votre conscience, la certitude absolue qu'après avoir victorieusement obtenu la libération et l'indemnisation de vos départements envahis, de la Belgique que l'honneur vous force à traiter à votre égal, enfin, la restitution de l'Alsace-Lorraine, il restera à la France assez de force et de volonté pour imposer à l'Allemagne la renonciation et aux provinces polonaises récemment conquises, et à celles qu'elle détient depuis cent cinquante ans? Or, c'est seulement quand vous en serez là que vous pourrez honnêtement dire aux survivants de l'Armée Polonaise qu'ils versent leur sang non plus pour la France, la France symbole si l'on veut, mais pour eux-mêmes, et leur donner l'espoir que ne se répètera pas l'histoire uniforme de la politique franco-polonaise depuis un siècle et demi. Elle est lamentable.

Lors des partages de 1772, de 1792, des insurrections de 1830 et de 1863, la France „vibre” mais toujours se console à l'idée que „l'ordre règne à Varsovie”. Il y a pis. En 1795, le Directoire en guerre avec la Prusse, encourage et subventionne le soulèvement de Kościuszko, puis en pleine lutte, traite à Bâle et garantit à la Prusse, en retour d'avantages sur le Rhin, l'extension de sa part de Pologne en vue du dernier démembrement. En 1815, c'est la France qui, au Congrès de Vienne, fait échouer le projet de reconstruction totale de la Pologne sous le double sceptre d'Alexandre Ier et exige le maintien de la Posnanie sous la domination prussienne. En 1856, la France, victorieuse de la Russie, consent à ce que le nom de la Pologne ne soit pas prononcé au Congrès de Paris. Enfin, au cours de la guerre actuelle, en vertu d'arrangements secrets divulgués par les bolcheviks, entre MM. Briand et Izvolski, la France délie les mains à la Russie pour le cas où celle-ci voudrait, ainsi que l'avaient déjà annoncé Goremykine et Sturmer, escamoter la retentissante proclamation du Grand-Duc Nicolas (dépêche du 11 mars 1917).

En vérité, Monsieur, ce passé ne vous autorise pas à prendre comme vous faites des airs de bienfaiteur outragé pour re-



procher à la Nation Polonaise, comme une trahison ses légions galiciennes. Vous savez bien qu'elles défendaient leur propre sol contre l'invasion du véritable Grand Chéri de la France, le „rouleau compresseur” russe, qui le roulait avec accompagnement d'horreurs dépassant tout ce que les Allemands ont fait en Belgique, au point que le Russe Maklakoff, en pleine Douma, traitait cette expédition de „scandale européen” — L'organisateur et chef de ces légions Pilsudski est depuis plus d'un an emprisonné par les Allemands.

Quant à votre indignation contre la politique polono-autrichienne d'avant-guerre, à une époque où la négation même du mot „Pologne” était pour votre presse et vos historiens une des formes préférées de leur flagornerie tsariste, c'est de la hablerie rétrospective.

2. Je passe à vos accusations, suppositions et insinuations à l'effet de présenter en bloc les Polonais non-combattants comme suspects d'espionnage. Elles reposent sur l'échafaudage d'hypothèses suivant: au lieu de rester jour et nuit dans leurs lits, le nez au mur, les Polonais à Paris vont et viennent, invariablement munis d'une paire d'yeux, d'oreilles et d'une langue, à travers les rues, les restaurants et dans le monde; ils prennent même des taxis. Tout cela suppose de l'argent. S'ils en ont, c'est qu'ils en reçoivent. Ils ne peuvent le recevoir que du Boche qui ne paie que les espions.

Il y a deux gros trous dans ce raisonnement. Il y a encore des gens, même Polonais qui ont de l'argent sans en recevoir de personne. Et il y a des Polonais qui en reçoivent, mais pas du Boche! En réalité, les gens qui offusquent vos cinquante ans d'asphalte appartiennent à deux catégories.

Il y a des Polonais (et des Russes) qui vont dans le monde parce qu'ils en étaient avant la guerre et en sont. C'est par dérision, je pense, que vous demandez sévèrement „quel métier ils font, quel gouvernement ils servent, à quelles organisations suspectes il faut les rattacher”. C'est justement le propre des gens du monde (à moins que vous ne pensiez à celui de Bolo et consorts) de ne pas faire de métier, généralement de ne servir personne, et de se rattacher plutôt à un grand club de Varsovie, Petrograd ou même Paris, qu'à une C. G. T. ou une „Panthère des Batignolles”. Ces gens peuvent ne pas se vendre parce que ce qu'ils ont sauvé de leur opulence notoire et le crédit qu'elle leur vaut leur permettent encore de vivre et parfois de fréter un taxi.

Et il y a un petit nombre de Polonais (et de Tchéco-Slovaques d'Autriche) qui effectivement font une dépense supérieure à leurs ressources personnelles, à peu près nulles; ils jouissent pour aller en Suisse, en Angleterre, en Amérique, pour pénétrer dans les ministères, les hôpitaux, même au front, de facilités

refusées à leurs compatriotes susénoncés. Comme ils dépensent de l'argent sans en avoir à eux, il est évident ici qu'ils en reçoivent. Mais de qui? C'est ici, Monsieur Masson, que pour un homme qui a gagné honneur et profit à subodorer les flirts de Joséphine, vous manifestez peu de flair. Sachez donc que votre gouvernement, et l'Anglais son allié, ayant enfin appris que lorsqu'on est en guerre, il faut créer des difficultés intérieures à ses ennemis, ayant d'autre part besoin d'effectifs supplémentaires, ont par là même besoin d'agents de propagande et de recrutement. Ne pouvant „marcher” en vivant de l'air du temps, ils sont défrayés, largement. On a dû bien rire au Quai d'Orsay, devenu „une organisation suspecte”.

Je me demande, Monsieur, quelle mouche vous a piqué et quel but vous poursuivez? Vous n'avez pas cru sincèrement que vos vagues ragots aient ouvert à la police de votre pays une piste utile. Ce n'est pas ainsi que procède Léon Daudet, un convaincu, qui recherche les poutres et non les pailles. Vous savez que si les innombrables affaires d'attentats contre votre Patrie jugées ou en cours ont déjà fourni une liste de noms aussi gaulois que le vôtre, capable de remplir des colonnes de journal, ni en France, ni en Italie, ni en Angleterre, ni en Amérique (où il y a quatre millions de mes compatriotes) on n'a vu apparaître un seul nom Polonais: quelques Sky d'emprunt appartiennent tous à des Juifs, grands favoris dans vos propres „organisations”.

En tout cas, je sais ce que vous avez fait. En suspectant, en dénigrant les Polonais, leur aide à la France, en déclarant à ces enthousiastes qui depuis quatre générations rêvent l'unité de leur Patrie, que cette Pologne unie que leur a promise, au nom de la France, le Chef de l'Etat, n'est qu'une „Pologne de fantaisie” vous avez condensé en un seul article plus de cafard polonais que „Monsieur Badin” du Bonnet-Rouge ne delayait de cafard français dans dix numéros de son journal. Car l'idée mère de cet article tient en deux lignes: les Sénégalais blancs, comme les noirs, sont faits pour se battre au front et non pour circuler dans Paris. „Bon nègre doit défendre blanc, pas entrer dans case Sidi.”

Le million palpé par Duval pour ses décoctions de cafard me ferait la partie belle pour vous retorquer, au sujet des mobiles qui vous ont fait agir, vos soupçons infamants. Je ne suis pas un cuistre pour, n'y croyant pas, les insinuer. En revanche, je ne puis pas ne pas songer à la mentalité du gagne-petit qui a passé cinquante ans à amasser des sous pour sa vieillesse, les voit affreusement compromis par „la danse des milliards” voudrait coûte que coûte arrêter les frais, et s'en va maugréant „ces cochons d'Anglais (ou d'Américains) nous empêchent de

faire la paix". En moins grand, les Polonais et Slaves d'Autriche font la même chose, et allongent les buts de guerre.

Il serait assez dans l'esprit de votre article que vous réclamiez, pour crime de „rouspétence" l'expulsion, compliquée d'internement de son argent, d'un irrespectueux des suprématies raciales. Mais telle est ma répugnance pour toute apparence de pusillanimité que néanmoins je signe, Monsieur,

Votre serviteur

*H. Korwin - Milewski.*

7 Juillet 1918.

Saint-Brieuc. Hôtel d'Angleterre.

(Tłumaczenie z francuskiego.)

Szanowny Panie!

Po niewczasie dowiedziałem się o Pańskim artykule z 26 czerwca, który się ukazał w „Gaulois" pod tytułem: „Do miotły, jeśli łaska". Jest on do tego stopnia ubliżający dla każdego Polaka, zamieszkującego Francję, że nie powinien pozostać bez odpowiedzi. O ile wiem, nikt tego nie zrobił, puszczam się zatem na ochotnika.

Godząc się z tem, żeby Polacy walczyli po stronie armji francuskiej, Pan twierdzi, że ich współziomkowie nie walczący powinni być ogólnie podejrzewani o szpiegostwo i traktowani odpowiednio. Przepatrzyny podejrzenia i twierdzenia, na których Pan opiera swoją tezę.

1. Pan twierdzi celem zwolnienia swego kraju od wszelkiego obowiązku wdzięczności, że Polacy walczą za sprawę Aljantów i za swoją. Tak nie jest. Oni walczą o 70 km od Paryża. W rzeczywistości, czy może Pan czerpać nie ze swego kalamarza, ale z głębi swego sumienia pewność absolutną, że gdy zwycięsko wywalczyicie oswobodzenie i odszkodowanie waszych zagarniętych prowincyj, Belgji, którą honor zmusza was traktować narówni z sobą, wkońcu zwrócenie Alzacji i Lotaryngji, pozostanie Francji dosyć sił i energii, by narzucić Niemcom wyrzeczenie się nie tylko prowincji polskich, zdobytych teraz, lecz i tych, któreimi władają od 150 lat?

Dopiero gdy dojdzie do tego, będziecie mogli uczciwie powiedzieć ocalałym z armji polskiej bojownikom, że przelewali krew już nie tylko dla Francji, dla Francji symbolu, że się tak wyrażę, ale dla siebie samych, i dać im pewność, że nie powtórzy się historia, nieodmienna od półtora wieku, polityki francusko-polskiej. Jest ona oplakana.

1830 Podczas podziałów Polski w 1772 i 1792 roku oraz powstania 1930 i 1863 roku Francja z niemi współczuje, ale zawsze pociesza się myślą, że „porządek panuje w Warszawie.”<sup>1</sup> Lecz bywało gorzej. W 1795 r. Dyrektorjat w wojnie z Prusami zachęca i subwencjonuje powstanie Kościuszki, potem w pełni walk robi układ w Bâle i gwarantuje Prusom wzajemną za korzyści nad Renem rozszerzenie ich udziału w mającym nastąpić ostatecznym rozbiórce Polski. W 1815 roku na Kongresie Wiedeńskim Francja przyczynia się do upadku projektowanego wskrzeszenia całej Polski pod berłem Aleksandra I i wymaga, by Księstwo Poznańskie zostało pod panowaniem Prus. W 1856 roku Francja zwycięska nad Rosją zgadza się, by imię Polski nie było wymówione na Kongresie w Paryżu. Wreszcie podczas ostatniej wielkiej wojny na mocy tajnego układu, ogłoszonego przez Bolszewików, a zawartego przez pp. Briand’a i Izwołskiego, Francja rozwiązuje ręce Rosji na wypadek, gdyby ta ostatnia, jak to był oznajmił Goremykin i Stürmer, chciała zrzęcznie zeskałmować sławną Proklamację w. księcia Mikołaja (depesza z 11 marca 1917 roku).

Naprawdę przeszłość ta nie upoważnia Pana do brania, jak Pan to robi, postawy zawiedzionego dobroczyńcy, by wymawiać polskiemu narodowi jako zdradę legje galicyjskie. Pan dobrze wie, że one broniły ziemi swojej przed inwazją prawdziwego ulubieńca Francji „wału druzgocącego” rosyjskiego, który tam dopuszczał się różnych okropności, przewyższających wszystko to, co Niemcy robili w Belgji, do tego stopnia, że Rosjanin Makłakow na posiedzeniu Dumy określił tę okupację jako „skandal europejski”. Organizator i wódz tych legionów Piłsudski od roku jest uwięzionym przez Niemców.

Co do waszego oburzenia w sprawie przedwojennej polityki polsko-austriackiej w epoce, kiedy unikanie nawet wyrazu „Polska” było dla waszej prasy i waszych historyków jedną z ulubionych form pochlebiania rządowi carskiemu, jest to retrospektywna fanfaronada.

2. Przechodzę do Pańskich oskarżeń, przypuszczeń i podejrzeń w celu przedstawienia ogólnie Polaków, nie biorących udziału w wojnie, jako podejrzanych o szpiegostwo. Oskarżenie to opiera się na następujących hipotezach: zamiast leżeć dzień i noc w łóżku z nosem zwróconym do ściany Polacy, zaopatrzeni parą oczu, językiem i tem wszystkim, czem ich Bóg obdarzył, chodzą po ulicach, siedzą w restauracjach, obracają się w świecie i jeżdżą nawet samochodami. To wszystko wymaga pieniędzy. Jeżeli je mają, znaczy, że je otrzymują —

<sup>1</sup> Temi słowami (L'ordre règne a Varsovie) generał Sebastiani, Minister Spraw Zagranicznych, w roku 1832 uwiadomił Izbę Deputowanych o zajęciu Warszawy przez Paszkiewicza.

a mogą je otrzymać tylko od Niemców, którzy szczerze opłacają szpiegów!

W tem rozumowaniu są dwie luki: są jeszcze ludzie, nawet Polacy, którzy mają pieniądze, nie otrzymując ich od nikogo, a są też Polacy, którzy takowe dostają, ale nie od Bosza. Zaiste ludzie, którzy rażą „wasze pięćdziesiąt lat asfaltu”, należą do dwóch kategorii.

Są Półacy (i Rosjanie), którzy obracają się w świecie, bo do niego należeli i do niego należą. Chyba dla żartu zapytuje Pan srogo: „Jaki zawód uprawiają, na usługach jakiego rządu i do jakiej podejrzanej organizacji trzeba ich zaliczyć?” Jest to właściwość ludzi światowych (chyba że Pan ma na myśli świat Bolo-Baszy i kompanji), że nie mają żadnego zawodu, nie służą nikomu, i że można ich zaliczyć do jednego z wielkich klubów warszawskich, pietrogradzkich lub paryskich raczej niż np. do „generalnej konfederacji pracy” albo do jakiejś „Pantery z Batignolles”.<sup>1</sup> Ci ludzie nie potrzebują się sprzedawać, bo to, co wyratowali ze swego majątku, i kredyt, który zawdzięczają swojej notorycznej zamożności, pozwala im żyć a nawet czasem przejechać się samochodem.

Jest też mała liczba Polaków (i austriackich Czechosłowian), którzy rzeczywiście wydają więcej, niż ich osobiste dochody (bo prawie żadne) na toby pozwalały. Korzystają w podróży do Szwajcarii, Anglii, Ameryki, w dotarciu do różnych ministerstw, szpitali, nawet na front, z różnych ułatwień i udogodnień, odmawianych ich wyżej wymienionym współziomkom. Ponieważ wydają pieniądze, nie posiadając własnych, oczywiście takowe dostają. Ale od kogo? Tu, Panie Masson, jako człowiek, który osiągnął wiele korzyści i zaszczytów, podpatrując różne flirty Josefiny, wykazałeś Pan mało wężlu; otóż wiedz Pan, że rząd wasz i Anglik, jego sprzymierzeniec, doszli nakoniec do zrozumienia, że gdy się prowadzi wojnę, to trzeba stwarzać swemu nieprzyjacielowi jak najwięcej wewnętrznych zawiślań, z drugiej strony potrzebując dodatkowych zaciągów na froncie, przez to samo poszukuje się agentów dla propagandy i werbunku. Nie mogąc żyć tylko świeżem powietrzem, są opłacani i to hojnie. Musiano się dobrze naśmiać na Quai d'Orsay, dowiadując się, że ono stało się „podejrzaną organizacją”.

Pytam się, jaka mucha Pana ukąsiła i do jakiego celu Pan dąży?<sup>2</sup> Nie wierzy Pan chyba szczerze w to, żeby niewyraźnie

<sup>1</sup> Odkryte przed samą wojną stowarzyszenie zbrodniozo-anarchistyczne.

<sup>2</sup> Jak się potem dowiedziałem, mucha miała już czterdzieści lat wieku i była... patką. Koło 1880 roku, kiedy słynny wówczas ś. p. hr. Jan Zamoyski (vulgo Janio) prowadził głośny rozwód z żoną, córką marszałka Pélissier, koleżanka żony p. Masson, ten ostatni niezgrabnie wmieszał się do drażliwej sprawy i został przez Zamoyskiego srogo obity patką na bulwarach. Skończyło się „na sucho”.

Pańskie insynuacje i bajania naprowadziły policję Pańskiego kraju na trop pożyteczny. Nie tak postępuje p. Leon Daudet, prawdziwie przeświadczony, który poszukuje belek a nie zdziebeł słomy. Pan wie dobrze, że jeśli niezliczone sprawy, spiski przeciw waszej ojczyźnie, już osądzone lub jeszcze w toku będące, dostarczyły listy nazwisk równie francuskich jak Pańskie, zdolnej zapisać całe szpalty gazet, ani we Francji, ani we Włoszech, ani w Anglii lub Ameryce (gdzie zamieszkuje 4 miliony moich rodaków) nie znajduje się na tej liście ani jednego nazwiska polskiego. Niektóre „ski” przybrane należą wyłącznie do żydów, wielkich ulubieńców waszych własnych „organizacji”.

W każdym razie wiem, co Pan zrobił. Podejrzewając, ośmieszając Polaków i pomoc ich daną Francji, oświadczając tym zapaleńcom, którzy od czterech pokoleń marzą o zjednoczeniu swojej ojczyzny, że ta Polska zjednoczona, którą im obiecał w imieniu Francji nacelnik państwa, jest tylko „Polską fantazijną”, Pan skondensował w jednym artykule więcej polskiego zniechęcenia, niż p. Badin z „Czerwonego Czepca” rozmazał francuskiego zniechęcenia w dziesięciu numerach swego pisma. Bo myśl przewodnia tego artykułu zmieścić się może w dwu wierszach: Biali Senegalczycy tak jak czarni stworzeni są nato, żeby walczyć na froncie, a nie nato, by cyrkulować po Paryżu. Dobry murzyn powinien bronić białego, ale nie wchodzić do jego namiotu.

Miljon otrzymany przez Duvala za swoje dekokty zniechęcenia dałby mi dobrą sposobność podczas badania Pańskich pobudek zwrócić ku Panu jego hańbiące podejrzenia. — Ale nie jestem szubrawcem zdolnym. sam w nie nie wierząc, wypowiadać podobne podejrzenia. Lecz nie mogę nie pomyśleć o ustroju umysłowym chciwego gryziopiórka, który pięćdziesiąt lat poświęcił zbieraniu oszczędności dla zabezpieczenia starości, a widząc je zachwiane i narażone przez „taniec miliardów”, chciałby za wszelką cenę zatrzymać koszta i chodzi, wygadując na tych lajdaków Anglików i Amerykanów, którzy nam przeskadzają zawrzeć pokój. Na mniejszą skalę Polacy i Czechosłowacy czynią to samo i komplikują cele wojenne.

Byłoby to zupełnie w duchu Pańskiego artykułu, gdyby Pan zarządził za zbrodnicę niesubordynacji wygnanie, z dodaniem konfiskaty jego pieniędzy, śmiałka, nie szanującego wyższości rasowych; ale taki jest mój wstręt nawet do pozorów lichorzostwa, że się podpisuję.

Sługa

*H. Korwin - Milewski.*

7 lipca 1918.

Saint - Brieuc, Hotel Angielski.

## SPIS NAZWISK.

- Abazza admirał 185, 198, 310.  
 Akimow 275, 279, 281, 290, 292, 296, 299, 316, 318, 319.  
 Aksakow 71.  
 Aleksander I 10, 58, 71.  
 Aleksander II 20, 21, 33, 35, 47, 48, 53, 60, 63, 65, 73, 76, 77, 78, 97, 98, 124, 139, 140, 187, 247, 313.  
 Aleksander III 72, 136, 137, 139, 140, 146, 151, 152.  
 Albedyński generał 120, 138.  
 Aleksandrowicz 186, 332.  
 Ateksiejew 185.  
 Aladin 240.  
 Aleksy w. ks. 238, 276.  
 Antuszwicz 39.  
 Ampara książę 45.  
 Amiel VI.  
 Apuchtin 451.  
 Arago 98.  
 Archinard 455.  
 Armand hr. 429, 430, 463.  
 d'Asc 42.  
 Askenazy 405, 520.  
 Awdakow 243.  
 Andiffret - Pasquier 96.  
  
 Babiński 15, 275, 404, 443.  
 Bacharach 406.  
 Bazylewski 313.  
 Bassano duc 42.  
 Bark 251, 256.  
 Baturin 161.  
 Baramow 78, 79, 228.  
 Baranowski 204, 262, 347, 352.  
 Baruch 501.  
 Balfour 469, 505.  
 Barthou 491.  
  
 Baudoin 444.  
 Bałachowicz 375.  
 Balby 419.  
 Bakszta 49.  
 Belina - Prażmowski 504, 517.  
 Benoit 225, 232, 233, 261, 280.  
 Beau Julietta 42.  
 Bezobrazow 185, 210, 310.  
 Bekerath 467.  
 Bethman - Holweg 364, 379, 463.  
 Benkendorf 42, 264.  
 Benisławski 4, 58, 73.  
 Bezborodko 12.  
 Berezowski 98.  
 Berthelot 460, 510, 548.  
 Berdowska 78.  
 Bernardaki 42.  
 Bezak 76.  
 Bem 44.  
 Berg 317.  
 Białozorowa 5, 8.  
 Bismarck 73, 74, 91.  
 Bienaimé 418, 546.  
 Bobriński 292, 293, 302, 303, 306, 385.  
 Borkowski 289.  
 Bortkiewicz 150, 167, 172, 218, 256, 350.  
 Bonjean 47, 96.  
 Bonnefond 418, 449, 420, 421, 446.  
 Botkin 377.  
 Borch 4.  
 Boileau 566.  
 Bolo - Pacha 464.  
 Bourgeois 472, 473, 495, 548.  
 Bohdanowicz Adam 161, 162, 171, 216, 288.  
 Bohdanowicz Mieczysław 337, 338, 346, 347, 352, 354.  
 Boruszczak gen. 541.

Boharewicz 219.  
 Bonsquet 185.  
 Bolcewicz 181.  
 Bojarzyński 44.  
 Brochocka - Bolska 237, 239, 302.  
 Brianczaninow 238, 322, 321, 392, 463.  
 Branicka Marja 4, 101, 102, 153, 348.  
 Branicki Władysław 102, 332, 333, 334.  
 Branicki Konstanty 195.  
 Branicki Ksawery 23, 456.  
 Brockdorf - Rantzau 499, 500.  
 Brusiłow 456.  
 Briand 433, 436.  
 Bibikow 20, 21, 37, 62.  
 Bittner 517.  
 Biszewski 517, 553.  
 Buligin 198, 202.  
 Bukaty 13, 23.  
 Buturlin 59.

Castellane 428, 548.  
 Cambon 505.  
 Cambroue 87.  
 Cavour 561.  
 Celichowski 542.  
 Cochin 451, 452.  
 Cernetelli 267, 273.  
 Charrin 22.  
 Chaudey 96.  
 Chanzy 112, 114.  
 Chazal 113.  
 Chełmiński 404.  
 Chomiński 5, 44, 327, 328, 348.  
 Chowański ks. 68, 69.  
 Chomiakow 243, 277.  
 Chodkiewicz 3, 4, 310, 565.  
 Cywunelis 256.  
 Ciechanowiccy 4.  
 Ciundziewicki 5.  
 Cousin 24, 25, 26, 27, 28, 12, 13, 57, 73, 83.  
 Clemenceau 29, 465, 481, 501, 563.  
 Clément 23, 86, 87, 89, 92, 96.  
 Czetwerłyński Seweryn 211, 386.  
 Czetwerłyński Włodzimierz 33, 208, 238.  
 Czapski 5, 55, 74, 138.  
 Czarłoryski 10, 23, 15, 109, 561.  
 Czerewski 230.  
 Czepelewski  
 Czyż 13.  
 Cywiński 60.  
 Czyhaczew 231.  
 Czumikow 18, 206, 210.  
 Czerewski 280, 281.

Dawidowicz 199.  
 Dąbski 74, 353.  
 Dąbrowski 97, 98, 544, 549, 550.  
 Daszkiewicz 224, 232, 252, 275.  
 Daszyński 235, 494.  
 Dabsy 62.  
 Denikin 522, 523.  
 Denis 443, 444, 466.  
 Dembiński 23, 44, 260, 269.  
 Dębowicki 78.  
 Denissów 315.  
 Desbarraux 100.  
 Dembowski 345.  
 Dmowski 40, 186, 235, 266, 268, 271, 275, 293, 301, 322, 323, 385, 386, 417, 426, 434, 440, 444, 452, 459, 487, 493, 504, 505, 510, 539, 510.  
 Dmochowska 13.  
 De Roberti 32.  
 Dobiecki 232, 234, 268, 271, 281, 301, 386, 387.  
 Domeyko 53, 58, 94, 121, 138.  
 Donimirski 300.  
 Dowojna 546.  
 Dymsha 234, 270, 302.  
 Durnawo 213, 257, 275, 280, 290, 299, 318.  
 Dubrowin 171, 254.  
 Drucko - Lubecki 58, 211, 306, 350.  
 Dworzaczek 541.  
 Dumont 401, 421, 432, 483, 499, 504, 517.  
 Dzierżyński 319.

Enoch 48.  
 Engelman 72.  
 Erzberger 550.  
 d'Eudeville 113.  
 Elter 317.  
 Estournelles de Constant 314, 316.

Fedorenko 376.  
 Faure 91.  
 Fanchet 23.  
 Fabre - Luce 464, 481.  
 Favre 96.  
 Ferry 84.  
 Ferré 95.  
 Flottin 86.  
 Floquet 97.  
 Filosołow 251.  
 Filtz - James 428, 179.  
 Fryderyks 153.  
 Freze 176, 193, 199, 200, 211, 284.  
 Frvsch 225, 226, 229, 241, 259, 261, 274.  
 Fredro 565.



Gasiorowski 403, 460.  
 Gawroński 232.  
 Gapon 198.  
 Gambetta 84, 96, 561.  
 Gauvin 449, 545.  
 Gałęzowski 22, 24.  
 Garibaldi 35, 39.  
 Gallifet 95.  
 Gedroyé 166.  
 Gecewicz 5, 161, 162, 192, 288.  
 Gieysztor 41, 55.  
 Girardin 92, 106, 107.  
 Ginsburg 42.  
 Gołubiew 229, 259, 260, 265, 274, 318.  
 Goldman 172.  
 Golicyn 243.  
 Gorecki 203, 507, 547.  
 Gorko 275, 451.  
 Gorczakow 47, 238, 382, 392.  
 Górski 5, 60, 65, 202.  
 Goremykin 223, 239, 240, 243, 245, 248, 380.  
 Gonczarow 319.  
 Gralewski 269, 271.  
 Grabowska 58, 121, 412.  
 Grabski St. 74, 301, 353, 391, 407, 544.  
 Grabski Wł. 269, 565.  
 Grimm 319.  
 Grużewski 8.  
 Gutowski 461, 462.  
 Guczkow 277, 450.  
  
 Harnsewicz 231.  
 Halpert 365, 403, 428, 441, 448, 452, 460.  
 Harting 11.  
 Hesse 254.  
 Heyden 239.  
 Herten 48.  
 Henry 8, 16.  
 Heriot 416.  
 Hervé 418.  
 Herbet 420.  
 Hindenburg 382, 384.  
 Helmersen 74, 134.  
 Hertenstein 240.  
 Horwath 37, 461, 520, 521.  
 Hołyński 4, 5, 135, 375.  
 Horodyski 192, 412, 413, 459, 482, 483.  
 Hohenlohe 146.  
 Hłasko 202, 389.  
 Hrehorowicz 161.  
 Hrebniński 4.  
 Hryniewicki 23, 32, 34, 87, 157.  
 Huszcza 170.

Iszor 48.  
 Iczas 506.  
 Iwanow 160, 161, 162, 178, 179.  
 Ignatiew 184, 185, 231.  
 Izwołski 242, 243, 292, 378, 403, 415, 436, 440, 446, 449, 450, 459, 505.  
  
 Jacyna 238.  
 Jałowicki 289.  
 Jankowski VI, 3, 8, 14, 15, 181, 204, 213, 214, 217.  
 Jaroszyński 458.  
 Janczewski 526, 527, 529.  
 Jeleński 5, 345, 354.  
 Jengalyczew 388.  
 Jermołow 136, 160, 161, 178, 212, 243, 245, 246, 250, 281, 308.  
 Jelowicki 138, 232, 245, 263, 264, 275.  
 Jezierski 124.  
 Jewdokimow 519.  
 Jotejko 36.  
 Jollivet 88.  
 Jourde 96.  
 Judycki 5, 8.  
 Jung 536.  
 Juriewicz 529.  
 Jusupow 238.  
  
 Kantakuzen 149, 150, 151, 266.  
 Kapliński 87.  
 Kaufman 66, 68, 76, 78, 270.  
 Kalkow 66, 71.  
 Karnicki 58.  
 Kalinowscy 53, 310.  
 Kaszyc 11, 55, 88, 170.  
 Kamerer 460.  
 Kaszowski 374.  
 Karpiowicz 5.  
 Karaczewski 11.  
 Kamiński 520.  
 Kaufman 336.  
 Keller 21, 68.  
 Kejslerling 72, 73, 74, 227.  
 Kochanow 163.  
 Kołodziejow 49, 50, 52, 54, 55.  
 Kowalski 294.  
 Konarzewski 536.  
 Kozłowski 294.  
 Kokowcow 230, 251, 290, 291.  
 Koni 81, 227.  
 Komar 40.  
 Kończa 167, 170, 172, 201, 289, 351, 352, 373, 393, 394.  
 Konorow 174.  
 Kolyszko 67.  
 Kolucki 342, 353, 351.  
 Korsak 10, 17, 61.

- Kossakowski 5, 9, 21, 31, 59.  
 Kłagiewicz 60.  
 Kognowicki 518, 520.  
 Korostowiec 517, 562.  
 Kościnszko 561.  
 Korwin - Milewski Oskar 3, 55, 109.  
 Korwin - Milewski Ignacy 21, 25,  
 72, 81, 91, 122, 135, 143, 145, 148,  
 328, 405.  
 Kitchner 561.  
 Kosicz 257.  
 Korf 243.  
 Kęszycka 229.  
 Kłaczko 254, 267.  
 Kłofacz 292, 293, 302.  
 Kowalewski 164, 257, 263, 264, 299,  
 305, 316, 319.  
 Klingenberg 149.  
 Krasinski 58, 60, 209, 343, 562, 561.  
 Krasowski 213, 246, 285, 289, 302.  
 Kraszewski VI, 9.  
 Kramarz 292, 293, 302.  
 Kronenberg 232, 268, 280, 386.  
 Krestownikow 291.  
 Krywoszein 289, 380, 388, 390.  
 Krzesińska 193, 316, 317.  
 Krzyżanowski 274, 507, 508.  
 Krzywicki 262, 284, 285.  
 Kiereński 96, 316, 451, 457.  
 Kucharzewski 408, 437.  
 Kudassew 238.  
 Kuropatkin 194.  
 Kutaisow 257.  
  
 Laskowicz 11, 22, 23, 31, 48, 83,  
 97, 220.  
 Lamy 82, 195, 237, 400, 429, 464,  
 491, 498.  
 Laskowski 408.  
 Lenoir 464.  
 Ledóchowski 60, 61, 65, 333.  
 Leszycki 451, 453.  
 Leroux 412.  
 Lewenson 53.  
 Leygues 451.  
 Lemerre 195.  
 Lednicki 248.  
 Lipkowski 354, 403, 445, 455, 555.  
 Lubimow 262, 287, 384, 385, 388.  
 Ludre 450.  
 Łuśławski 342.  
 Lubański 40, 49, 59, 79, 107, 108,  
 142, 143, 160, 168, 169, 172, 528.  
 Louis 238.  
 Ligier 84, 88, 106.  
  
 Lipiński 67.  
 Lubomirski 327, 483, 492, 494, 508,  
 509.  
  
 Ludwig 73.  
 Łwow 239, 246, 254.  
 Łyautey 465, 466.  
  
 Łaniewski - Woffk 3, 5, 8, 9, 10,  
 11, 12, 15, 16, 61, 67.  
 Łazarew 327.  
 Łopaciński 1, 16, 62, 214, 232, 234,  
 281, 306, 326, 340, 461, 520.  
 Łęski 201.  
 Łosiew 55.  
 Łubieński 520.  
 Łukaszewicz 44, 45, 56.  
  
 Marcinkiewicz 61.  
 Mackiewicz 21, 22, 25, 31, 199.  
 Massalski 17.  
 Mario 43.  
 Martson 287.  
 Makart 333.  
 Maklakow 303, 380, 462, 463, 537.  
 Masson V, 462, 478.  
 Maciejewicz 344.  
 Maliński 335, 336.  
 Mańkowski 104, 443, 490, 494, 496.  
 Miasojedow 393.  
 Malinowski 170.  
 Mantuffel 69, 73.  
 Makarow 532.  
 Mangin 433.  
 Maginol 455.  
 Malvy 457.  
 Mauid de 83, 84, 85, 86, 88, 90, 92.  
 Mailla Harry 464.  
 Majewski 530, 537.  
 Małulewicz 69, 548, 552.  
 Mandel 501.  
 Meyszłowicz 79, 192, 193, 201, 306,  
 461, 520.  
 Merry del Val 205.  
 Metternich 488.  
 Martynow 208, 209.  
 Meiffet 448.  
 Mercier 84, 89.  
 Mostowski 70, 150.  
 Morawski VI, 12, 61, 502, 503.  
 Moninszko 561.  
 Morand 425.  
 Motz 403, 412, 414, 426, 445, 455,  
 460, 462.  
 Mokiejewski 453, 455.  
 Modzelewski 459.  
 Mordwinow 10.  
 Moriez (du) 490, 494, 495, 496, 502.  
 Montwill 108, 142, 143, 167, 170,  
 172, 192, 214, 253, 276, 289, 331,  
 334, 355.  
 Mierzejewski 174.

Mirski 51. 176. 177. 183. 187. 190.  
 191. 193. 195. 197. 199. 284.  
 Milulin 76.  
 Michelet 97.  
 Mickiewicz 13. 14. 15. 16. 23. 92.  
 192. 202. 445. 461. 478. 507. 561.  
 Mikulicz 202. 203.  
 Mikosza 44. 45.  
 Mirkowicz 12.  
 Miłaszewska 11. 13.  
 Milewski VI. 7. 10. 44.  
 Mirscy 5.  
 Michalkiewicz 343.  
 Mielżyński 289. 539.  
 Miklaszewski 294.  
 Milioukow 243.  
 Muromcew 225. 243.  
 Murawiew 48. 50. 52. 53. 54. 56.  
 57. 59. 61. 63. 64. 65. 66. 76. 79.  
 171. 253. 260. 451.  
 Meysztłowicz 365. 375. 388. 520. 526.  
 527. 533. 549. 553.  
 Mrozowski 438.  
 Mikołaj Mikołajewicz 372. 373.  
 Mikołaj II VIII. 152. 153. 180. 185.  
 193. 197. 198. 259. 260. 264. 266.  
 270. 282. 296. 317. 319. 339. 377.  
 449. 470.  
 Mikołaj I 17. 19. 20. 33. 62. 87. 95.  
 Michał w. ks. 191. 266.  
 Nalèche 401. 429. 432. 179. 183. 487.  
 Nabokow 240.  
 Nagrodzki 311.  
 Narzymski 311.  
 Napiórkowski 232. 234.  
 Nazimow 17. 20. 21. 32. 37. 47. 77.  
 Naryszkim 320.  
 Noussanne 322. 324. 457.  
 Nowaczyński 329.  
 Nowodworski 239. 269.  
 Nowicki 550.  
 Neuhard 232. 251. 257.  
 Niewierowicz 160.  
 Nivelle 457.  
 Niemeksza 68.  
 Niel 87.  
 Niesiołowski 5. 14.  
 Niesiecki 7.  
 Niemcewicz 5.  
 Niezabyłowski 5.  
 Obuchowicz 5.  
 Ogiński 5. 35. 53. 94. 149. 161. 162.  
 309. 310. 311. 312. 313. 550.  
 Olizar 232. 293. 294. 301. 302. 441.  
 O'Brien de Lascy 59.  
 Olszewski 466.  
 Oboleński 300.  
 Orlando 501.  
 Oranowski 336.  
 Oskierko 55. 58. 313. 346. 352. 354.  
 532. 533.  
 Olsufiew 384.  
 Orłow 265. 266. 315.  
 Orłowski VIII. 44. 125. 235. 275.  
 287. 402. 404. 438. 458. 486. 508.  
 509. 510.  
 Ostrowski 232. 271. 305. 386. 494.  
 Osmołowski 514. 516. 529. 530. 549.  
 556.  
 Osten - Sacken 9.  
 Osuchowski 405. 409.  
 Orzeszko 100. 252.  
 O'Rourke 12.  
 Orzewski 148. 149. 150. 151. 158.  
 163.  
 Paderewski 40. 321. 322. 323. 492.  
 497. 498. 501. 505. 507. 508. 512.  
 Patek 521.  
 Pac 3. 4. 10. 310.  
 Painlevé 457.  
 Paszkiewicz 47.  
 Pahlen 177. 179. 183. 199. 240. 213.  
 227. 236. 238. 240. 242. 254. 267.  
 306.  
 Pache 244.  
 Paprocki 7.  
 Paleologue 379. 383. 384.  
 Parczewski 163. 164. 339. 340. 341.  
 342. 351.  
 Połapow 54. 57. 66. 67. 79. 80. 96.  
 120. 124. 174.  
 Paweł w. ks. 238.  
 Paklewski 232. 282. 306.  
 Polowcow 227. 231. 235. 238. 242.  
 254. 265. 269. 270. 306.  
 Potulicki 310. 311.  
 Podhorski 520. 521.  
 Poletyłko 529.  
 Petain 457. 464.  
 Pokrowski 446.  
 Poliwanow 260.  
 Popow 65.  
 Poincaré 424. 425. 465.  
 Petrażycki 248.  
 Pereire 42.  
 Pochwiśniew 32.  
 Perrens 29.  
 Perrier Casimir 16. 30.  
 Pociąg 3. 4.  
 Plater 4. 5. 29. 60. 94. 121. 143.  
 144. 151. 160. 161. 162. 168. 169.  
 171. 179. 224. 253. 256. 288. 375.  
 384. 403. 417. 438. 459. 460. 520.  
 Petrażycki 391.  
 Penco 43.

- Pearl 42.  
 Piotrowski 31, 48.  
 Plehwe 131, 177, 178, 180, 187, 198.  
 Polocki 238, 248, 260, 269, 332,  
 334, 403, 413, 448.  
 Pichon 452, 480, 481, 483, 487, 488,  
 492, 504, 508.  
 Pilsudski 186, 187, 355, 466, 468,  
 475, 491, 502, 514, 516, 518, 522,  
 523, 510, 554, 563.  
 Piltz 404, 408, 413, 416, 417, 437,  
 438, 440, 443, 444, 448, 450, 452,  
 459, 483, 487, 493, 496, 503.  
 Puttkammer 217, 219, 220, 253, 256,  
 495, 496, 515.  
 Puryszkiewicz 254, 258.  
 Puzyna 5, 19.  
 Pusłowski 5, 7, 12.  
 Pristor 550.  
 Protopopow 440, 446.  
 Przewłocki 232.  
 Przeździecki 101, 104, 401.  
 Proper 237, 238.  
 Prołasewicz 45, 51, 52, 56.  
 Prusey 5.  
 Prozor 5.  
 Pruszyński 5.  
 Pichno 291, 297, 298, 299.  
 Płatonow 299.  
 Przybyłski 338, 340, 341.  
 Propolinas 341.  
 Prozorow 338.  
  
 Ralajski 555.  
 Raube 202, 210.  
 Radin 164.  
 Raczkowski 410.  
 Radziwill 3, 5, 9, 12, 58, 310, 375,  
 386, 525.  
 Raspulin VI, 265, 266, 277, 283,  
 327, 381, 389, 446.  
 Ramiszwili 210.  
 Renault 90.  
 Rampolla 315.  
 Rejtan 5, 11.  
 Reitinger 412, 413, 461.  
 Revertera 463.  
 Rennenkampf 371, 372, 374, 379,  
 382, 383, 384.  
 Richet 22, 83.  
 Ribot 451.  
 Rodziczew 137, 323, 321, 470.  
 Romer 286.  
 Rodziewicz 49.  
 Roqueplan 88.  
 Rodzianko 262, 277, 365.  
 Ropp 157, 177, 180, 181, 193, 204,  
 210, 212, 224, 254, 262, 263, 343.  
 Romanow 193, 375.  
  
 Rotwand 244.  
 Rotwand 232, 233, 261, 280, 306.  
 Roland 244.  
 Rodkiewicz 544, 553.  
 Rodziewiczówna 562.  
 Rossel 96.  
 Rostworowski 74.  
 Rodewicz 57.  
 Rochefort 418.  
 Rothschild 12, 91, 509, 510.  
 Rozwadowski 459, 540, 550.  
 Roździestwieński 200, 265.  
 Rożnowski 354.  
 Rudziewicz 335, 347.  
 Rudnicki 454.  
 Rumbold 101, 105.  
 Rubin 50, 51.  
  
 Sanguszek 332.  
 Saburow 81.  
 Samarin 71.  
 Sasse 91.  
 Sapielha 3, 310.  
 Sadowski 203, 208, 210.  
 Saburow 227, 236.  
 Sassoon 501.  
 Salmonowicz 375, 376.  
 Sazonow 377, 380, 391, 437.  
 Samsonow 372.  
 Salisbury 563.  
 Seyda 439, 466.  
 Sergiusz w. ks. 197, 198, 238.  
 Sęczykowski 68.  
 Second - Aberic 88.  
 Siemaszko 52.  
 Sienkiewicz 23, 287, 104, 409, 426,  
 443, 445, 561.  
 Siehen 5.  
 Sierakowski 403, 415, 444, 453, 456.  
 Sipiagin 177.  
 Sidorowicz 16.  
 Sianożęcki 232, 235, 239, 257, 303.  
 Siemionow - Taczański 251.  
 Sieyes 171.  
 Sonnino 501.  
 Sobański 459.  
 Sollohub 237.  
 Sołtan 4.  
 Solbotewski 69.  
 Suchomlinow 380, 393.  
 Suworow 47.  
 Sulistrowski 5, 58, 59.  
 Suworin 71.  
 Sudejkin 151, 158, 159, 167.  
 Sumorok 170.  
 Syroczyński 232, 233, 306.  
 Syrkin 164.  
 Surzycki 520, 521.  
 Skulski 521.

Slizien 58, 533.  
 Slaboszewicz 520, 521.  
 Słowacki 561.  
 Skirmunt 5, 59, 79, 192, 241, 252, 253, 275, 343, 459, 461.  
 Skarzyński 101.  
 Stockman 81.  
 Strogonow 140.  
 Starzeński 5.  
 Skrzyński 404, 409, 486, 489.  
 Stieglitz 236.  
 Slankiewicz 193, 200, 201, 262, 284, 285, 321.  
 Stürmer 446.  
 Strzalkowski 526.  
 Strahlborn 406, 407.  
 Słyszynski 244, 320.  
 Stachowicz 246, 291, 302, 316, 319.  
 Stodolski 174.  
 Stolypin 63, 64, 210, 223, 232, 245, 246, 247, 249, 250, 252, 254, 256, 261, 262, 265, 272, 273, 277, 282, 296, 298, 307, 317, 319, 339.  
 Swiacki 4.  
 Szapary 404, 484.  
 Szalewicz 36, 38, 39, 40, 47.  
 Szadurski 4.  
 Szebeko 235, 306, 309, 395, 441, 511, 520.  
 Szeptycki 530, 540.  
 Szuwałow 77, 80.  
 Szwański 8, 10.  
 Szwanenbach 276, 280.  
 Szyryński - Szachmatow 244, 245.  
 Szuman  
 Szukiewicz 9.  
 Szczegółow 229, 268, 301, 380.  
 Święcicki 251, 252, 253, 256.  
 Szypow 243.  
 Schneider 40.  
 Schwarz 45.  
 Schönlein 17, 22.  
 Tarnowski 403, 415, 438, 444, 495.  
 Tagancew 319.  
 Tatischev 176, 178, 190, 192, 199, 213, 262.  
 Talleyrand - Perigord 43, 124, 401.  
 Tanbe 403, 409, 415, 420, 428, 438, 452, 455, 460, 472, 495.  
 Tiepłow 181.  
 Taniejew 265.  
 Tytius 81.  
 Todtleben 138.  
 Tołwiński 340.  
 Tupalski 68.  
 Turgeniew 68, 78.  
 Tyszkiewicz 5, 7, 35, 37, 40, 43, 46, 53, 59, 62, 63, 76, 77, 85, 94,

96, 112, 116, 121, 123, 144, 148, 162, 163, 164, 177, 192, 201, 224, 232, 306, 331, 333, 370, 403, 462, 505, 506, 507, 520, 528.  
 Tereszczenko 450.  
 Trachtberg 81.  
 Thiers 29, 96.  
 Tyzenhaus 5, 53, 59, 116.  
 Trouseau 22.  
 Trubeckoj 197, 231, 242, 243, 246, 247.  
 Trepow 197, 198, 242, 243, 246, 247, 382, 446.  
 Trogan 378, 379, 401, 457.  
 Thomas 464.  
 Uniasłowski 5, 12, 44, 540.  
 U'sküll 222, 279, 292.  
 Uzès - Crussol 416.  
 Wańkiewicz 5, 256, 288, 348, 354, 520.  
 Wan - Derwis 231.  
 Wasylczyk 12, 243, 251, 253.  
 Walicka 40.  
 Wasilniew 32.  
 Wawrzecy 5.  
 Warzyński 59.  
 Wąsowicz 49.  
 Wagner 289, 531.  
 Waldemar 506.  
 Wilejszys 343.  
 Wiwulski 322.  
 Wielopolski 44, 306, 385, 386, 395, 440, 441.  
 Wimal 99.  
 Wittgenstein 17, 108, 146, 147.  
 Wierowkin 395.  
 Wiesiclicki 397.  
 Wisłouch 50.  
 Witos 96, 235.  
 Wereszczaka 59.  
 Winawer 240.  
 Wierchowski 230.  
 Witte 178, 180, 185, 208, 223, 230, 275, 291, 292, 317, 377.  
 Węclawski 218.  
 Wykowski 232, 257.  
 Wollk 7, 8, 9, 11, 12, 13, 22.  
 Wolski 12.  
 Wojciechowski 96.  
 Wojnikowicz 5, 38, 160, 161, 186, 221, 232, 233, 241, 251, 281, 289, 297, 355.  
 Woroncowa - Daszkow 153, 328.  
 Woularlarski 310, 311.  
 Wyrubow 265, 283.  
 Woehrmann 77, 78.

Wojno 5, 8.	Zawadzki 201, 204, 212, 213, 218,
Włodek 5.	334, 337, 338, 341, 346, 351, 354.
Wołkoński 383.	Zan 518, 520.
Woźnicki 412.	Zamoyski 47, 82, 96, 123, 291, 403,
Wielowiejski 461.	414, 426, 427, 436, 437, 441, 445,
Winterfeld 550.	453, 455, 459, 460, 479, 493, 495,
Weygand 532, 538, 540.	542, 555, 563.
Villeneuve 429.	Zubow 4, 11, 142, 144, 171, 172, 374.
Wilson Woodrow 447, 454, 456,	Zdanowicz 51.
485, 564.	Zabiello 5.
Wellington 561.	Zwierowicz 157.
	Zóllowski 490, 510.
Zamysłowski 249.	
Zawisza 5.	Żaba 5, 13, 61.
Zaleski 125, 411, 461, 505.	Żukowski 321.
Zabłocki 100.	Żychliński 68, 382.
Zamarajew 202.	Żółkiewski 565.
Zamiatin 250.	Żeligowski 543.
Zaluski 310, 314.	Zdziechowski 323.
	Zyberg - Plater 263.

*Wojno 5, 8. 322*

## SPIS RZECZY.

Wstęp . . . . .	Strona I—VIII
-----------------	------------------

### KSIĘGA PIERWSZA.

#### Życie prywatne.

Rozdział I.	
Historja starożytna. — Pochodzenie autora . . . . .	3
Rozdział II.	
Lata dzieciinne . . . . .	19
Rozdział III.	
Szkoly paryskie . . . . .	25
Rozdział IV.	
Przed powstaniem. — Wakacje 1860—1862 . . . . .	32
Rozdział V.	
Powstanie 1863 r. — Murawjew. — Uwięzienie Ojca. — Świat Wileński. — Kaufmann . . . . .	47
Rozdział VI.	
Uniwersytet Dorpacki. — Choroba . . . . .	70
Rozdział VII.	
Studja prawne w Paryżu. — Praktyka sądowa . . . . .	83
Rozdział VIII.	
Wojna 1870—1871 r. — Komuna . . . . .	91
Rozdział IX.	
La Bourboule. — Tuluza. — Nizza . . . . .	99
Rozdział X.	
Egzamin doktorski. — Co począć z sobą? . . . . .	106
Rozdział XI.	
Alger. — Wyspa Madera . . . . .	111

	<b>Rozdział XII.</b>	<b>Strona</b>
Dział familijny. — Florencja . . . . .		122
	<b>Rozdział XIII.</b>	
Rolnictwo. — Aleksander III. — Petersburg. — Moskwa . . . . .		127
	<b>Rozdział XIV.</b>	
Bank Ziemski Wileński. — Kochanów. — Orzowski. — Kroże . . . . .		142
<b>KSIĘGA DRUGA.</b>		
<b>Życie społeczne i polityczne.</b>		
	<b>Rozdział I.</b>	
Generał Trocki. — Serwituty. — Towarzystwo Rolnicze . . . . .		157
	<b>Rozdział II.</b>	
Walka z Bankiem Ziemskim . . . . .		166
	<b>Rozdział III.</b>	
Książę Mirski. — Hr. Pahlen. — Ks. Biskup v. Ropp . . . . .		176
	<b>Rozdział IV.</b>	
Wojna japońska. — Partja narodowo-demokratyczna. — Pomnik Katarzyny II . . . . .		184
	<b>Rozdział V.</b>	
Rok 1905. — Ukazy tolerancyjne Mikołaja II. — Kurjer Litewski. Manifest 17/30 października . . . . .		197
	<b>Rozdział VI.</b>	
Rok 1906. — Wybory do Dumy i Rady Państwa . . . . .		216
	<b>Rozdział VII.</b>	
Inauguracja Izby. — Pierwsza Duma. — Skład Izby Wyższej. — Związek Kół Polskich. — Stosunki petersburskie. — Rozwiązanie I-ej Dumy. — Stołypin . . . . .		223
	<b>Rozdział VIII.</b>	
Miedzy pierwszą a drugą Dumą . . . . .		249
	<b>Rozdział IX.</b>	
Druga Duma. — Koło Polskie i jego polityka. — Rozwiązanie tej Dumy. — Ukaz 6/19 czerwca 1907 r. . . . .		259
	<b>Rozdział X.</b>	
Trzecia Duma . . . . .		277
	<b>Rozdział XI.</b>	
Wilno wiosną 1908 r. — Towarzystwo Rolnicze. — Bezdany . . . . .		284
	<b>Rozdział XII.</b>	
Droga Amurska. — Neoslawizm . . . . .		290
	<b>Rozdział XIII.</b>	
1908—1909. — Stołypin słabiej. — Floty morskie. — Projekt Pichno. — Moja dymisja. — Fiasco neoslawizmu . . . . .		296



	Strona
<b>Rozdział XIV.</b>	
Ponowny wybór do Rady Państwa. — Kwestje agrarne. — Testament ks. Ogińskiego. — Delegacja francuska. — Kwestja finlandzka . . . . .	305

<b>Rozdział XV.</b>	
Kraków. — Dni grunwaldzkie. — Moskwa. — Nowe wybory do Rady Państwa . . . . .	322

<b>Rozdział XVI.</b>	
Teatr Wileński. — 1911-1911. — Założenie Spółki. — Śmierć Stolypina. — Erekcja gmachu. — Omyłki i trudności. — Egipt. Ems. — Tunis. — Towarzystwo Rolnicze. — Przeróbka teatru. Trochę filozofji . . . . .	330

## KSIĘGA TRZECIA.

### Z wojny wszechświatowej.

Ostrzeżenie . . . . .	361
-----------------------	-----

<b>Rozdział I.</b>	
Lipiec 1914. — Ems. — Berlin. — Wilno. — Łazduny. — Proklamacja w. ks. Mikołaja. — Wymarsz Rennenkampfa. — Tannenberg . . . . .	363

<b>Rozdział II.</b>	
Petersburg we wrześniu 1914 r. — Łazduny. — Warszawa w styczniu 1915. — Memorjal do pp. Jengalyczewa i Lubimowa. — Jego epilog . . . . .	380

<b>Rozdział III.</b>	
Petersburg w marcu 1915. — Wilno. — Łazduny. — Wielka ofenzywa austriacko-niemiecka. — Ucieczka przed prawdopodobną inwazją na Szwecję i Anglję. — Pobyt w Londynie . . . . .	390

<b>Rozdział IV.</b>	
Paryż w sierpniu 1915 r. — „Le sentiment profond“. — Izwolski. Ówczesni działacze. — Lozanna. — Vevey. — H. Sienkiewicz. — Powrót do Paryża . . . . .	400

<b>Rozdział V.</b>	
Paryż w listopadzie 1915 r. — Usposobienie Francuzów. — Działacze polscy. — Myśl o polskim Komitecie zachowawczym. — Zawodowe politykusi. — Potrzeba pracy dydaktycznej w sprawie polskiej. — PP. Piltz, Dmowski i K. Plater. — P. de Bonfond. — Polemika . . . . .	411

<b>Rozdział VI.</b>	
Praca o „obecnym stanie kwestji polskiej“. — Jej losy. — P. Raymond Poincaré. — Stosunki światowe . . . . .	422

<b>Rozdział VII.</b>	
Verdun. — Iune znajomości. — PP. Dmowski i Piltz. — Projekt mojej deportacji do Rzymu. — Bombardowanie z aeroplanów. Delegacja parlamentarna rosyjska . . . . .	431

<b>Rozdział VIII.</b>	
Życie materjalne. — Evian. — Sienkiewicz. — Wieczory słowiańskie. — P. Ernest Denis. — Manifest państw centralnych . . . . .	

w listopadzie 1916 r. — Zgon H. Sienkiewicza. — Trwożne wieści z Petrogradu. — Pośrednictwo Wilsona . . . . . 142

## Rozdział IX.

Oddźwięk rewolucji rosyjskiej. — P. Izwolski. — Seans polski w Sorbonie. — Formowanie wojska polskiego. — Mont්රésor. Praca o rewolucji rosyjskiej . . . . . 149

## Rozdział X.

Komitet narodowy paryski — i zwycięstwo bolszewików. PP. Poincaré i Clémenceau. — Praca „les éléments de la question lithuanienne“ . . . . . 159

## Rozdział XI.

„Credo“ o rewolucjach. — Propozycje stworzenia kontr-komitetu. Bombardowanie Paryża „Grubą Bertą“. — Atak niemiecki 23-go maja 1918 r. — Ś. p. Bronisław Piłsudski . . . . . 169

## Rozdział XII.

Saint Brienc. — Napaść akademika Fr. Masson na Polskę. — Odpowiedź. — Porażki niemieckie. — Brak pieniędzy. — Wyjazd do Szwajcarii. — Przygody graniczne. — Memorjał do p. Pichona w sprawie ewakuacji niemieckiej. — Łozanna w końcu 1918 r. 477

## Rozdział XIII.

Zarodek książki „o europejskim wschodzie“. — Powrót do Paryża (1-go marca 1919 r.) — Drukowanie książki. — Z kongresu pokojowego. — Losy książki. — Intrygi litewskie. Wpływy żydowskie . . . . . 491

## Rozdział XIV.

Powrót do kraju. — Warszawa w lipcu 1919. — Wrażenia. — Wilno. — Łazduny. — Osmołowszczyzna. — Otwarcie uniwersytetu wileńskiego. — Kwestja granic wschodnich i deputacja do naczelnika Państwa p. Piłsudskiego. — Tragedja Łazduńskiej stadtyny . . . . . 511

## Rozdział XV.

Wycieczka zagranicę i powrót do Wilna. — Projekt reformy agrarnej. — Chmury ze strony bolszewickiej. — Łazduny. — Ucieczka z nich końmi do Warszawy. — Z Warszawy do Poznania. — Kórnik. — Artykuł Vilno ou Vilnius . . . . . 530

## Rozdział XVI.

Powrót do Wilna. — Odwojowanie mego mieszkania. — Odpołszenie kraju. — Zwycięskie zdobycie, długotrwała okupacja i częściowe spalenie Łazduńskiego dworu przez dziewiątą dywizję wojsk polskich. — Osiedlenie się w Poznaniu. — Likwidacja majątku . . . . . 549

## Rozdział XVII.

Rozwód Jadwigi i Jagielly. — Zakończenie . . . . . 560  
Załączenia . . . . . 569  
Indeks nazwisk . . . . . 589

## Błędy drukarskie:

Strona	Wiersz od góry	Jest	Powinno być
6	47	pojął	poił
9	2	paddaństwa	poddaństwa
11	44	Hlortingowa	Hartingowa
12	25	były	byłe
15	24	akrostych	akrostysz
15	25	Rymaczewski	Rymaszewski
15	27	Jatottłowicz	Jatołłowicz
25	2	Sacre	Sacré
27	30	Gnothi	Gnoti
30	8	cracki	crack'i
32	30	Wasilniew	Wasiliew
33	3	Czetwistyński	Czetwertynski
39	45	Antuszowicz	Antosewicz
45	26	pstrokaczy	srokaczy
48	33	Jécamp	Fécamp
49	38	sto	to
51	3	byli bez żadnych strat	byli bezpiecznie bez żadnych strat
57	6	e sciences	ès sciences
58	29	furory	furorę
72	13	è lettres	ès lettres
75	24	równym niemieckiemu stopniowi doktora praw albo francuzkiemu liscencié en droit. Tak samo wymagano oprócz złożenia egzaminów rozprawy przez fakultet przyjęty	przepisywali je na czysto (rozpowszechnione dziś sposoby kopiowania jeszcze nie były znane) i sprzedawali je zamożniejszym kolegom
76	40	znanego	zaczego
85	10	society's	societies
85	19	societys	societies
92	32	z Wilna	do Wilna
96	6	niewolników	jeńców
99	3	Clermont Terrard	Clermont-Ferrand
105	1	panatlon	pantalon
113	17	kucze	kupy
116	19	które	która
121	22	we mnie	mnie
123	32	wyrósł	wzrósł
124	37	Benardaki	Bernadaki

Stro- na	Wiersz od góry	Jest	Powinno być
125	3	Birena	Birona
140	47	parter	parler
141	24	jenerałowi	generałowi
148	29	gniezdzie	gwiezzdzie
153	2	po słowie chwili opuszczono	kiedy cesarz miał wejść do sali św. Jerzego w której
233	12	indywidualnych	indywidualnych
246	13	Strachowicz	Stachowicz
248	12	Pietrze	Piotrze
250	3	zajęte	najęte
281	2	kontrakt	kontratak
292	46	Kleofacz	Klofaćz
320	17	Styczyński	Styszyński
337	10	pary	paru
340	10	Machniewicz	Michniewicz
370	42	guberji	gubernii
386	23	Czetywertyńskiego	Czetywertyńskiego
386	46	a w końcu końców	a koniec końców
390	13	po 13-ym wierszu opuszczono	Rozdział III który zaczyna się od słów: I znowu mia- łem kilka rozmów
394	13	Czetywertyński	Czetywertyński
397	29	dresował	tresował
407	20	Kajserling	Kejzerling
419	31	jourmale	journal
428	33	Jitz James	Fitz James
431	32	Jeoffre	Joffre
436	36	od kilku miesięcy	w pewnem czasie
448		w dopisku powinno być	1. a) po polsku tak b) po rosyjsku da c) po białoru- sku ale
457	2	Jeoffre	Joffre
489	8	Czermin	Czernin
499	21	232 miliony	232 miliardy
554	15	uprząży	inwentarza
557	14	pani X.	księżny O.
574	29	tu	to

24608

